



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV 5198.140.5(4)



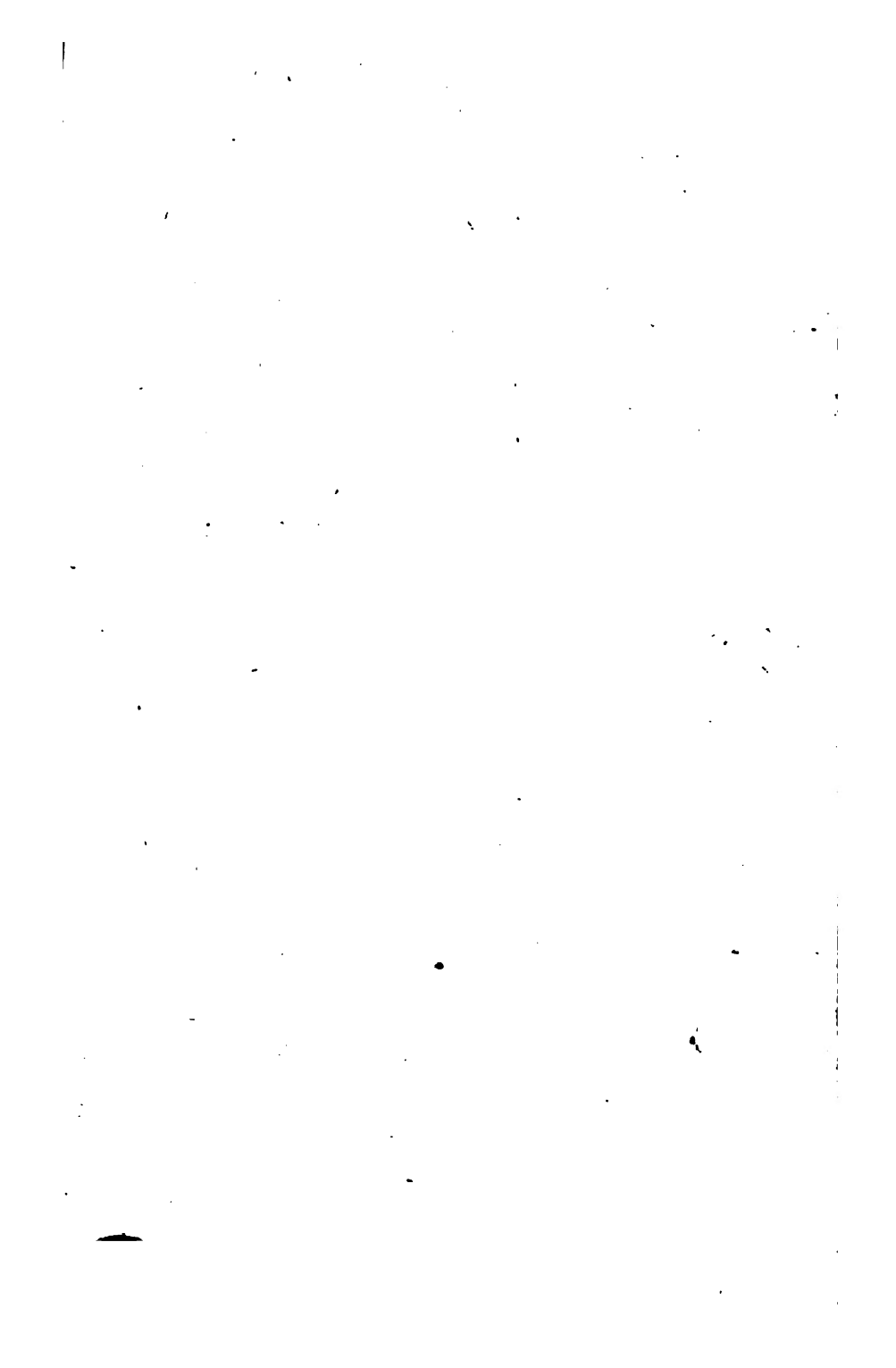
J. B.

EX LIBRIS

LU



HARVARD
COLLEGE
LIBRARY



CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM IV.

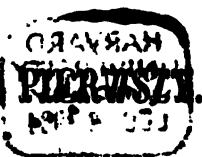


CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM IV.

ROK



Pazdziernik. Listopad. Grudzień.

WYDAWCA

KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM Drukarni „CZASU“.

1854.

△
Slav 5198.140.5 (4)

✓



o czwartym Goniie zawartych.

streamline

| | |
|--|------|
| I. O zbrodniarzach dzieciach w Anglii, przez <i>K. Lacha Szyrmę</i> | 3. |
| II. O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych (Część III) przez <i>X. Zygmunta Goliána</i> | 21. |
| III. Spalenie Zamku Tęczyńskiego, obrazek historyczny, przez <i>Józefa Męczyńskiego</i> | 73. |
| IV. Wiersz napisany w Moskwie 1827 r. przez Rosyan do Adama Mickiewicza przy oddaniu puharu | 89. |
| V. Reorganizacya małżeńska, obrazek Galicyjski, przez <i>Bartłomieja Arbutowskiego</i> | 91. |
| VI. Przegląd piśmiennictwa, przez <i>Lucyana Siemińskiego</i> | 168. |
| VII. Interesa europejskie i prawo mocniejszego, przez <i>Maurycego Manna</i> | 186. |
| VIII. Kronika z Krakowa. | 200. |
| Korrespondencya ze Lwowa. | 205. |
| " z Wiednia | 209. |
| " z Poznania | 212. |
| " z Berlina | 215. |
| " z Paryża | 225. |
| " z Boulogne | 236. |
| " z Londynu | 242. |
| IX. Gazetka literacka. | |

LISTOPAD.

stronice

| | |
|--|------|
| I. Kilka słów o epoce, w której rozkwitła sztuka byzantyńska przez <i>Józefa Kremiera</i> . . . | 259. |
| II. O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych (Część III, dokończenie), przez <i>X. Zygmunta Goliana</i> | 306. |
| III. Trzy bajki (Jabłko — Zdarzenie z nosem—Sekret) <i>Jenerała F. Morawskiego</i> | 360. |
| IV. Nigdy i Zawsze czyli dwie Siostry, dramat w pięciu aktach, przez <i>Maurycyego Manna</i> | 364. |
| V. Przegląd piśmiennictwa przez <i>Lucyana Siemienińskiego</i> | 467. |
| VI. Kwestye i Przymierza, przez <i>Maurycyego Manna</i> | 482. |
| VII. Kronika z Krakowa | 505 |
| Korespondencya: ze Lwowa | 511 |
| z Wiednia | 514 |
| z Berlina | 517 |
| z Paryża | 528. |
| z Londynu | 536. |
| z Warszawy | 545. |
| VIII. Gazetka literacka. | |

GRUDZIEŃ,

| | |
|---|------|
| I. Macaulay i Rewolucya 1688. przez <i>Michala Słomczewskiego</i> | 563. |
| II. Wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I i niektóre sprostowania dotyczące się tego pułku, przez <i>jenerała Józefa hr. Zabuskiego</i> | 597. |
| III. Poezye: Rytm Wiekowy (z rękopismów <i>Podchorążych</i>) | 640. |
| Kaczką, bajka (z pism niewydanych <i>Molskiego</i> .) | 644. |

| | | |
|-------|---|------|
| | Klaudja Homonoca przez <i>Władysła- wa Kulczyckiego</i> | 645. |
| IV. | Czarne Kwiaty, przez <i>Cypryana Norwida</i> | 651. |
| V. | Dyariusz podróży z Warszawy do Petersbur- ga hrabi Kazimierza Konstantego de Brühl Platera, Starosty Inflantskiego, później Pod- kanclerza litewskiego w r. 1792 odbytej, przepisany przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> | 667. |
| VI. | Przegląd piśmiennictwa, przez <i>Lucyana Sie- mińskiego</i> | 740. |
| VII. | Błędne Koło, przez <i>Mawrycego Manna</i> | 761. |
| VIII. | Kronika z Krakowa | 772. |
| | Korespondencye ze Lwowa | 780. |
| | z Wiednia | 785. |
| | z Berlina | 790. |
| | z Paryża | 798. |
| | z Rzymu | 807. |
| | z Londynu | 811. |
| | z Warszawy | 819. |
| IX. | Gazetka literacka. | |
| X. | Rok Pierwszy Dodatku do „Czasu“. | |



Роздѣльник — 1856.



O ZBRODNIARCZYCH DZIECIACH

W ANGLII.

Zapobieganie złemu dopóki ono w samym zarodzie, jest największą przysługą dla społeczeństwa; gdy przeciwnie, wzywając ramienia prawa karnego aby je przytłumić skoro już wzrosło, jest wielkim brakiem przezorności nagany godnym. *Quid leges sine moribus?* powinno być ciągle na baczniu. Dla dobrych nie potrzeba praw, pobudki wewnętrzne są dostateczne do ustrzeżenia ich od występku; prawa stanowione są tylko dla złych, u których, na własne ich nieszczęście, tych pobudek niema, z powodu że albo ich nie rozwinęto, albo te przez zbieg nieprzyjaznych okoliczności przytarte w nich zostały. Do takich należy młodzież zbrodniarza, osobliwie uboższych klas, w krajach przeludnionych i po wielkich miastach. Kto podróżował we Francyi przypomina zapewne sobie głosy obskakujących go dzieci wołających: *Monsieur, un sous!* a przybywszy do Paryża nie mógł bez politowania patrzeć na tak zwanych

gamins, żyjących ze zbierania łachmanów i co im się nadarzy po ulicach, a skorych do rozruchów i wstytkiego złego. Kto zaś przejeżdżał Anglię, musiał podobnie napotykać tam w znaczniejszych miastach a osobliwie w Londynie, na ulicach działawę mizerną, obdartą, żebrzącą wsparcia a często czepiającą się z tyłu przechodzących, osobliwie zaś w miejscach większego ścisku. Z trudnością zapewne przypuszczał jaką złą myśl o tych dzieciach, prócz litości nad ich nędzą i ubóstwem; a przecie wielka część tych młodych uliczników żyje zbrodnią: jedni wysyłani bywają przez rodziców, drudzy przez cech złodziejski, nie na samą żebranię ale na złodziejstwo. Zgoła nie ma występku ani zbrodni, którychby się te dzieci nie dopuszczały; gdzie zbrodnia najpoważniejsza a dla starszych niepodobna do wykonania bez niebezpieczeństwa, tam młode te włóczęgi do niej są używane. Codzienne stawianie ich przed policję, i zeznania na nich wydobyte, dowodzą, jak dalece to złe się rozszerzyło; tém zaś ono jest groźniejsze, że systematycznie uorganizowane. Dziecię przebywszy taki nowicyat musiało zatrzeć w sobie na zawsze wszelkie zarody dobrego i zostać nie czém inném jak nieprzyjacielem społeczeństwa, jego zakałą i hańbą.

Dla uratowania młodego pokolenia od takowego zepsucia i aby ochronić kraj od wewnętrznych a najgorszych wrogów, różne w ciągu lat ostatnich przedsiębrane były w Anglii środki przez przyjaciół ludzkości. Pomnożono liczbę szkólek niemowlęcych dla roboczych klas, aby w nich dozór rodzicielski zastąpić. Hr. Shaftesbury, jeden z najgorliwszych w tym względzie filantropów, pozakładał w stolicy szkoły obdartusów (*ragged schools*), do których dzieci włóczące się po ulicach są zbierane, nagrodami przynęcane. On dał popęd, że w wielu większych miastach po prowincjach pozakła-

dano podobne szkoły, i takowe utrzymywane są z wielkim pożytkiem ku poprawie opuszczonych lub zaniedbanych dzieci. Lecz jakkolwiek dobroczynne były te zakłady, nie zdawały się jednak być dostatecznymi, ile że w części tylko mogły zaradzać złemu, a nie w całości. Aby potrzebie tej kwestyi socyalnej zadość uczynić pod ostatnim względem, i niejako topór przyłożyć do korzenia złego, zawiązało się obecnie obszerniejsze towarzystwo czyli związek poprawczy pod tytułem: *National Reformatory Union*. Celem jego ma być zespolenie w sobie wszelkich miejscowych czynności, dla zwrócenia ich tém skuteczniej na rozwinięcie szkół poprawczych.

Podług uchwały parlamentowej z roku 1854, wolno jest zabierać włóczące się dzieci ubogie do szkół poprawczych, jakiegobądź one są wieku, byle nie były starsze nad 16 lat, i trzymać je w szkołach przez pięć lat. Uchwała ta ogranicza się jedynie do chłopców, i rząd płaci za każdego tygodniowo 5 szylingów, ale z resztą w nie się nie miesza. Wiele hrabstw korzystało już z tego zachęcenia od rządu i pozakładało u siebie szkoły poprawcze; inne zapewne niebawem pójdą za tym przykładem. Zamiarem więc *Związku* jest ułożyć pewny i stały plan, podług którego najlepiej byłoby szkoły już istniejące prowadzić, a nowe w hrabstwach jeszcze ich niemających zakładać; słowem, przyjąć metodę poprawy, udzielać sobie nawzajem swych doświadczeń, i w razie potrzeby przedstawienia swe wnieść do parlamentu. Zgoda zdaje się być na to powszechna, że nie dość jest karać zbrodniarzy zwłaszcza młodego wieku, lecz trzeba obudzić w nich dobre skłonności i naprawić.

Pierwszy zjazd tego Związku Poprawczego miał miejsce w Bristolu przy końcu sierpnia r. b., i posiedzenia, na których cały ten przedmiot poprawy młodych zbrodniarzy był roztrząsany, ciągnęły się przez trzy dni.

Przezydował na nich lord Stanley, syn hr. Derby, liberalny torys. W zagajeniu swém wyluszczył on cały przedmiot, który był należycie przez niego pojęty i zgłębiony; nie było pisma, nie było broszurki o nim — jak zaręczał — którejby nie czytał i nie rozważył. Sama okoliczność zniesienia w wielkiej części wysyłania winowajców do osad karnych za morza, jużto dla kosztów przewozu, jużto dla niechęci wielu osad w przyjmowaniu u siebie zepsutej ludności, natrącała te pytania: coby zrobić z zлочyńcami w domu? jakich środków użyć aby ich liczba nie wzrastała? czy niedałaby się zmniejszyć poprawą? — Poprawą — lecz tu zachodzi pytanie, czy poprawa jest podobną? W innych krajach zajęłaby się nią i zajmuje się władza wykonawcza, w Anglii przeciwnie, rząd się od niej uchyla i inicjatywę poprawy zdał na rozsądek i obywatelskie chęci światlejszej części narodu. Aby pokazać możność poprawy, lord Stanley wszedł w rozbiór statystyki kryminalnej z lat ostatnich, rozgatkował zbrodniarzy podług ich wieku, ilu było młodych a ilu starych. Z wywodu jego okazało się nadspodziewanie, że liczba pierwszych mało co była mniejsza od ostatnich, bo więcej niż trzecia część i ledwie nie połowa winowajców w więzieniach składała się z młodzieży. Szczegóły tego wyliczenia są ciekawe a nawet uderzające, dla tego je przytaczam. Roku 1853 w liczbie 100,000 winowajców, było młodych, to jest nie dochodzących do 17 lat wieku, 11,453, czyli $11\frac{1}{2}$ od sta w stosunku do ogółu zbrodni. Ilość znów zbrodni jakich się młodzi od 17 do 20 lat wieku dopuszczali, wynosiła 25 od sta; a ilość ta występku trudną byłaby do uwierzenia, gdyby najściślej zrobiony spis zbrodni z dwóch lat, mianowicie z 1851 i 1841, numerycznie tego nie był potwierdził. Za dziwną rzecz uważał lord Stanley, żeby liczba osób od 15 do 20 lat wieku stanowiąca 10tą część ogółu jednocześnie żyjącej z nią ludności, miała się sto-

sunkowo dopuszczać blisko 4tej części wykrytych zbrodni, zbrodnie bowiem nie wszystkie dają się wykryć. Na takąto część występców, radził on, by zwrócić poprawę ile można; gdyż o starszych jako zbyt zatwardziałych w zbrodniach, tracił wcale nadzieję. Lecz aby prowadzić skutecznie tę poprawę i przez nią zmniejszyć liczbę występków, należy przedewszystkiem zbadać źródła zbrodni i co bywa do niej początkiem. W tym względzie p. Clay zrobił nader ciekawe statystyczne postrzeżenie. Według niego, w 75 sprawach ze stu które on śledził, rodzice byli winnymi występstwa dzieci: w 57 przypadkach przez pijaństwo i. brutalskie obchodzenie się ojców z dziećmi, a w drugich 18 przypadkach przez obojętność i zupełne ich zaniedbanie. Drugi pisarz statystyki p. Adshead, niemniej ważne zrobił innego rodzaju postrzeżenie. Z pomiędzy 100 dzieci osadzonych roku 1840 w więzieniu w mieście Manchester, znalazł on, że:

Z nierządnych i nieuczciwych rodziców zrodzonych dzieci było 60.

Z rodziców rozwiązłych lecz niekryminalnej klasy, dzieci 30.

Z rodziców uczciwych i rządnych, dzieci 10.

Ogółem 100.

Z tej rubryki i rozgatunkowania kryminalistów młodych pod względem na ich urodzenie, widać jakoby zbrodnia groziła przechodem w dziedzictwo. Jeżeli przeto dziecię nie wyrwie się zawczasu z atmosfery tak zepsutej i skażonej, niepodobna aby nienabrało tej samej skazy. O ile poprawa mogłaby przydać się dla rodziców lub starszych, to może podpadać wątpliwości, lecz niema wątpliwości kiedy idzie o dzieci, aby je uratować ze steku zbrodni, ochronić od zarazy. Umieściwszy je w zakładach poprawczych, da się im poznać różnicę między złem a dobrem; da się rozbudzić w nich skłon-

ności ku dobremu, i skierować je na dobrą drogę. Wpoi się w młodociane umysły obowiązek do pracy, chęć do życia z niej i osiągnięcia niezawisłości; ku czemu można będzie im nastęrczać miejsca do zarobkowania i rzemiosła. Mało jest dzieci z natury złych i niepoprawnych, najwięcej ich zostaje takimi przez okoliczności i brak dobrego przykładu. Twierdzenie to nie jest prózną tylko teorią, ale jest wypadkiem opartym na doświadczeniu. W kilku szkołach poprawczych jakie dotąd znajdowały się w Anglii — jak biskup Bath'ski obecny na zgromadzeniu twierdził — osiągnięto jak najlepsze skutki. Na dowód przytoczył, że ze szkoły założonej w Metray a liczącej 900 dzieci, przyjęła się naprawa na 90 od sta; w drugiej w Redhill z 945 chłopcami, na 80 od sta; a w trzeciej niemniej licznej w Glasgowie, na 90 od sta.

Już w połowie przeszłego wieku sławny filantrop Howard zwracał uwagę na pomniejszenie zbrodni przez zakłady szkół poprawczych dla młodych kryminalistów. W tym celu roku 1788 zawiązało się *Philanthropic Society* w Londynie, od którego szkoła na Redhil wzięła była swój początek. W krótko powstało kilka innych podobnych szkółek z dobrowolnych składek; a w czem szczególnie Kwakry okazali się czynnymi. Lecz zakłady takowe nie należą wyłącznie do Anglii; fundowano je także w innych krajach. W Szwajcaryi p. Fellenberg założył r. 1810 szkołkę pod Bernem, w której przyjmował na poprawę żebraków i dzieci opuszczone, których mnóstwo błąkało się wówczas bez sposobu do życia z przyczyny długo trwających wojen. Zakład jego który z początku był schronieniem tylko dla 10 ubogich, pomnożył się z czasem do 100 takich tułaczów, i trwał przez 40 lat. Drugi taki zakład znajdował się w Düsseldorf pod Düsseldorf w Prusach, był pierwiastkowo ufundowany przez hr. von Recke, a teraz utrzymywany jest przez mieszczan düsseldorfskich. W nim także znajdują

prztyłek i poprawę ubogie dzieci opuszczone od rodziców. Trzeci zakład o którym tu wspomnieć należy, jest Rauhes Haus, we wsi Horn pod Hamburgiem, fundacyi p. Wicherein, człowieka małych zasobów. Rozpoczął go był roku 1833 tylko na jednym morgu ziemi; jednakże ta osada tak ciągle wzrastała, że r. 1851 utworzyła się z niej porządna wieś, i liczyła 95 wychowalców. Nie bez tego żeby i na wielu innych miejscach nieznajdowały się podobne instytuta, lecz nie widzę potrzeby wyliczania wszystkich; szło mi tu tylko o wskazanie ich użyteczności, i że ich coraz więcej w Anglii zakładać będą. Co do szwajcarskiego instytutu p. Fellenberga pod Bernem, winienem dodać jeszcze to, że było ich tam dwa jakem Bern roku 1822 odwiedzał: jeden na wyższą skalę urządzony, gdzie dawano wychowanie dzieciom najmożniejszych familij które z różnych krajów były tam przysyłane, a drugi w którym wychowywano, jak się powiedziało, dzieci biednej klasy. Dochody jakie Fellenberg miał od bogatych, dopomogły mu do utrzymania zakładu dla ubogich.

Zakładanie szkół poprawczych dla tak wielkiej liczby zepsutej młodzieży, albo na drodze zepsucia zostającej, a liczą jej do 11,000 stawianej corocznie za różne przewinienia przed sądy, pociąga za sobą wiele kosztów i nakładu. Na utrzymanie roczne każdego chłopca w takich szkołach przeznacza rząd 15 fst., która to summa w części ściąga się od rodziców po 5 szylingów co tydzień, jeśli ją opłacać zdolni, a reszta dopłaca się ze skarbu publicznego. Nałożenie płacy na rodziców występnych dzieci, jest niejako karą za złe onych wychowanie. Lecz jakkolwiek uciążliwe wydają się być te koszta, nie są one zbyt wielkimi — jak lord Stanley uważał — w porównaniu z wydatkami na winowajców w więzieniu, na chwytywanie ukrywających się przez policyę, i na koszta sądowe. Wedle obliczenia urzędowo zro-

bionego w Liverpoolu, straty przez kradzieże wynosiły do 700,000 fst. Jaką to klęską złodzieje muszą być dla społeczeństwa! Każdy złodziej ma w przecięciu, jak rachują, 100 fst. dochodu nieprawnie sobie przywłaszczonego; a ujęcie takich złodziei, osądzenie i ukaranie, podług obliczenia przez p. Clay zrobionego, narażają ogólnie na 62 fst. straty dla skarbu. Niektórych złoczyńców łapanie i proces kosztowały niesłychane sumy. P. Rushton w liście roku 1842 pisanym do władz miejskich miasta Liverpool, wymienił 14 takich spraw złodziejskich, które kosztowały od 2000 do 3000 fst. czystej straty dla kraju. Na więzienne cele niektórych wydawano częstokroć 150 do 200 fst., a czasem i więcej. Korzyści z pracy więźniów są małe, a szkody ze zbrodni wielkie, jeśli w obliczaniu ich ma się wzgląd na zamieszanie, na przestrach i na inne kłopoty jakich stają się przyczyną, a w porównaniu z którymi pieniężne straty łatwiejsze bywają do zniesienia. Tamte przeżywają regularny tok spraw, odrywają od zwykłych zatrudnień, zatruwają spokojność życia. Dla tego żadne koszta nie będą napróżno wyłożone, jeśli mogą stać się lekarstwem na tak wielkie zło. Nie znajdują w Anglii na to innego sposobu jak szkoły poprawcze tak męzkie jak żeńskie, aby wychowaniem odwracając od zepsucia ochronić społeczeństwo od najgorszej bo wewnętrznej plagi.

Jak dotąd, młodych winowajców przekonanych o zbrodnię sadzano za karę do domów karnych (prison, gaol, bridewell) odpowiadających niemieckiemu *Zuchthaus*, a nazwanym w Polsce domami poprawy, czem właściwie takie domy być powinny a nie są niemi. Posyłano ich tam podług rodzaju przewinienia na krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, rzadko wszakże dłużej nad 50 dni, zarówno jak i drugich starszych zbrodniarzy. Doświadczenie atoli nauczyło, że taki sposób karania chybiał swego celu:

zamiast bowiem poprawy lub odstraszenia od zbrodni, młodzi przez towarzystwo i styczność z dojrzałymi złoczyńcami wychodzili na najgorszych zbrodniarzy. W najlepszym nawet razie, gdyby i tego nie było, czas do sprowadzenia gruntownej poprawy był za krótki, bo umysł raz zwichnięty nie da się od razu sprostować. Więzienie młodych na krótki czas nie sprawia pożądanego skutku: zgadzają się na to zeznania dozorców i kapelanów więzień równie jak władz sądowniczych. Jeden z sędziów lord Alderson potępił je publicznie jako postępowanie niewłaściwe i nieludzkie z młodzieżą. Na dowód tego przytaczał cyfry z tablicy statystycznej więzienia Glasgowskiego, utrzymywanej od 30 lat, z której się okazało, że z więźniów młodych po raz pierwszy na 14 dni kary do domu karności skazanych, zwykło 75 od sta w krótkce wracać do więzień za nowe przewinienia; ze skazanych na 30 dni, 60 od sta; na 40 dni, 50 od sta; na 60 dni, 40 od sta; na 3 miesiące 25 od sta; na 6 miesięcy, 10 od sta; na 9 miesięcy, 7½ od sta; na rok cały, 4 od sta; na półtora roku, 1 od sta; na dwa lata, żaden całkowity; za dziesięć lat dopiero, wedle tablicy okazało się, że z całego tego przeciągu lat, było ich 93 od sta, co jeszcze dopuścili się wykroczeń. Do tego obliczenia jeszcze łączy się ten fakt, że z pośród tych co znowu po dwa lub trzy razy wracali do więzienia po wysiedzeniu krótkich terminów kary za pierwsze wykroczenie, wielu w końcu było skazanych na transportacyą lub szubienicę. Niemala jednak bywa tak prawornych, że się po cztery i po pięć razy dostają do więzienia nim ich spotka zasłużona kara.

Z tego stosunku wzrostu zbrodni przekonano się, że ani krótkość terminów na poprawę ani wtrącanie młodych winowajców do więzień jako zwykle się działo, nie były najlepszym środkiem do zmniejszenia zbrodni. Jakże bowiem można przypuścić, aby chłopiec ledwo

dorostek, a czasem prawie dziecię mógł się za parę tygodni lub za miesiąc zupełnie poprawić? To niepodobienstwem, tem zaś bardziej jeśli pomyślimy o miejscu, w którym nie zobaczy dla siebie ani dobrego przykładu z innych, ani zachęty do lepszego sprawowania się na przyszłość. Po odsiedzeniu krótkiego terminu więzienia pytanie też zachodzi: co ma dziecię wypuszczone z sobą począć? Jego charakter jest nadwreżony; rodzice i krewni jeśli się go wcale niewyrzekną, wstydzą się go; dzieci sąsiedzkie z którymi się znał i bawił stronią od niego jak od zapowietrzonego. Ma-li ludzkość go także odrzucać, odmówić podania mu ręki? Nie; jeżeli nam szczerze chodzi o to by niepowiększać liczby wrogów społecznego porządku. Myślimy raczej, że nie przez złe chęci stają się te dzieci gorszymi od innych, lecz jedynie przez to iż nie miały sposobności rozpoznania dobrego od złego i zrobienia między nimi wyboru. Prawda i to, że zdarzają się tacy co bardziej ze schorzonego stanu umysłu niż z zewnętrznych okoliczności dopuszczają się złych czynów, lecz ci są rzadkimi wyjątkami; a kto wie czy i takich zdrożne skłonności nie dałyby się pod wpływem rozsądnego postępowania, jeżeli nie zupełnie zatrzeć, to przynajmniej tak ułożyć aby niebyły zbyt szkodliwe? W razach naturalnej słabości lub nadwreżenia władz umysłowych, wiele może dobry przykład i rozsądna rada do przełamania uporu; gdzie zaś władze umysłowe są mocne i czerstwe, w takich razach hańba ze zbrodni, nędza wygnania i przedstawienie ostrości różnych kar mogą skutecznie działać na przekonanie; w obudwóch zatem razach niema co rozpaczać ale tylko jąć się szczerze do dzieła. Trzecia klasa młodych winowajców i najliczniejsza jest ta która przy najlepszych usposobieniach dopuszcza się jednorazowego występku przez niewiedomość tego co on za sobą pociąga, a dla której prawo niemniej jest surowe. Tacy

jako z usposobienia swego są inni, tak i w szkołach poprawczych powinnyby składać oddzielną klasę. Siedzenie w więzieniu samo z siebie bywa haniebnem; plama ta trwa na całe życie. Zwykle mało ma się względu na młodość, pokusy i brak wiadomości; a uczucie moralne raz przytępione nieda się łatwo przywracać. W takich zdarzeniach, mniemaniem jest że za wykroczenia mniejsze możnaby obchodzić się wcale bez więzienia a nakładać pieniężne kary. One byłyby ukaraniem dostatecznem, a przecie nie tak poniżajacem jak więzienie; byle te grzywny nie były wymagane od razu, lecz rozrzucone na terminy, jużto aby napomnieniem stały się dla płacącego, jużto aby uciążliwością swą niesprowadziły go znów do więzienia.

Zajęcie się staranniejszém wychowaniem ubogich dzieci jest koniecznością; jako istotom władzami umysłowemi obdarzonym z natury im się należy rozwijanie i obracanie ich na własną ich korzyść i na dobro społeczności. Tego zaś się dokaże przez szkoły poprawcze i stósowny w nich dozór. Dozorey tych zakładów, jak lord Stanley wyraża się: oddalą młodzież od złego towarzystwa, przyzwyczają ją do pracy ochędostwa i wstrzeźliwości, obmyślą dla dorosłych i porządných to co w ich stanie z trudnością przychodzi: miejsca do służby w warsztatach rzemieślniczych i fabrykach, i tym sposobem łatwo nastreczą im sposobność zapewnienia sobie na zawsze dobrego bytu, zamiast złych rad dadzą im dobrą i szczerą, ostrzegą ich jak nędzny jest stan dopuszczających się bezprawia i zbrodni, aby każdy z nich wiedział gdyby kiedy przeciw prawu wykraczał, że niebędzie dla niego pobbłazania, ani będzie mógł narzekać na sędziów ani na kraj, jak nieraz zdarza się teraz słyszeć od winowajców przed sady stawianych: „Karzenie nas, a nigdy nieuczyliście nas nic lepszego.“ Uważano, że z wszystkich wychowawców wychodzących ze

szkół poprawczych najlepiej odznaczają się dobrem postępowaniem ci co wysyłani bywają na osiedlenie do osad; mniej nierównie ich tam odpada niż między pozostałymi w kraju. Z tem wszystkiem, za pomnażaniem takich szkół i użytecznością ich zdaje się równie teoria jak doświadczenie przemawiać; zmniejszają one szerzenie się zbrodni i koszta ze zbrodni wynikłe.

Co do urządzenia szkół poprawczych, zamiarem jest ustanowić je jak najniekosztowniej, na wcale skromną stopę. Niema w nich być nic okazałego ani zbytowego w budownictwie ani szczegółach wewnątrz: bo prostota i skromność są niezbędnymi warunkami poprawy. Nie zbytecznego, owszem brak wygod potrzebny do zahartowania w życiu, powinien się we wszystkim przebijać. Przez sam wzgląd na inne rodziny ubogie a uczciwe według lorda Stanley przestrzegać tego należy, aby najuboższy włościanin tam się dostawszy nie znajdował nie do zazdrości i niemógł powiedzieć: jakbyto dobrze było dla własnych jego dzieci gdyby to w domu miały. Niemniej rodzaj nauk udzielanych zbrodniarszym dzieciom, powinien być do ich położenia zastosowany, aby wyższej edukacyi nie przeznacząć za nagrodę zbrodni. Celem zakładów poprawczych nie jest ukształcenie intelektualne jak w innych instytutach naukowych, lecz poprawa moralna i wdrożenie do pracy, aby wychodzących z nich niewynosić nad pocziwe dzieci, ani nad ich stan pierwotny. Przestawać na tem, by odwracać ich od próżniactwa, a zaprawiać do pracy, aby przez nią choćby najciężej dorabiali się chleba. W zakładach tych wszakże przyjmuje się za zasadę postępowanie łagodne i ludzkie, bez kar cielesnych, aby nie zacierać w nich cechy poprawczej i dla odróżnienia ich od zwyczajnych więzień. Robi się to przez wzgląd, aby hańba przywiązana zwykle do osób karanych więzieniem, nie ścigała się do tych które wychodzą ze szkół poprawczych.

Posiedzenie tego związku do poprawy młodych zbrodniarzy, w celu rozwinięcia różnych planów i widoków, trwało przez trzy dni w Bristolu. Na zebraniu tem czytane były rozprawy wyjaśniające całą sprawę, a między temi także ciekawą rozprawę panny Carpenter, nad wychowaniem w szkołach poprawy młodych dziewcząt. Przy zamknięciu posiedzeń, kilku członków podjęło się zwiedzić szkoły poprawcze w różnych miejscach już istniejące, dla przekonania się o ich skuteczności i mają o nich złożyć sprawozdanie. Dotychczas szkół tych było 26 na Anglię, a 11 na Szkocję. Stowarzyszenie to postanowiło, nakształt Towarzystwa Brytańskiego naukowego, co rok zgromadzać się w innem miejscu, jakie uzna za najdogodniejsze dla swych działań. Prezesem jego na rok bieżący jest lord Brougham, były kanclerz państwa zaszczytnie znany z swych pism o prawodawstwie i polityce.

Jeśli się tu rozszerzył, aby dać wam obraz stanu społecznego w Anglii pod względem na złe jakie się w nim wyrodziło, nie robię tego w tej myśli, aby środki jakie tu są przedsiębrane ku jego zapobieżeniu były u was potrzebne, bo powinszować muszę krajowi, że takowe złe pośród was nieznane; lecz podaję to tylko na przestrożę, gdyby to zepsucie rozwijać się miało, abyście wiedzieli jak mu zawczasu zapobiegać. Prawda że go teraz u siebie nie macie, stań towarzystwa jeszcze jest pierwotny, rolniczy i moralnie dość zdrowy; lecz w miarę zaprowadzania przemysłu i rękodziel, o co się tyle robi zabiegów, to zepsucie, jakie widzimy w Anglii, musi i u was się rozpocząć. Gruntem moralności i że tak powiem kapitałem moralnym, jest zawsze klasa rolnicza żyjąca po wsiach i mająca pewne i stałe zatrudnienia, a zatem i pewien stopień niezawisłości. Tak ona jest uważaną w Anglii, i taką jest wszędzie: Jeśli pośród niej są występni, ci bywają niemi przez niewia-

domość lub zetknięcie się z złem towarzystwem skrucha, żal u nich są łatwe, a przeto nietrudna i poprawa. Brak moralności i zepsucie daje się najwięcej postrzegać w klasach przemysłowych, bez stałych po fabrykach i po miastach siedzib i częstokroć bez zatrudnienia, a jakiej mało jeszcze jest u was, a przeto i o ileż mniej musi między ludnością waszą być zbrodni. W Anglii 1,400 jakie macie w Galicyi na milę kwadratową — gdzie potrzeba około 2,000 dusz dla rolnictwa — jak to widzę z przeglądu usiłowań rolniczo-przemysłowych z Nr. 198 *Czasu* — ledwo pewna część może się oddać przemysłowi. Owóż ta część ludności — a nie rolnicza — wymaga usilnego baczenia, aby ją ochronić od zepsucia którego jeszcze niema, a grożącego na przyszłość. Taką to ludnością nierolniczą, luźną, bez kawałka ziemi i domowej zagrody, Anglia jest w tej chwili zakłopotana, aby przytłumić zbrodnie które się w niej zbyt zagęścily.

Pytacie się zapewne jak się tyle luźnej i nieosiadłej ludności w Anglii namnożyło? Odpowiadam z historii: z winy właścicieli ziemi. *) Był i w Anglii stan niewolniczy, bo jakżeby go nie było gdzie był feudalizm i szlachta feudalna? Byli i w tym wolnym teraz kraju *thralls*, i ochydny stan ich *thraldom*; byli *villeins* (od *villa* wieś) wieśniacy i było *villany*, (sądząc ze znaczenia wyrazu) gorszy i bardziej poniżający od polskiego wieśniactwa. *Villain* lubo oznaczał klasę łagodniejszego niewolnictwa, był przecię na pogardę zwany także *litus*, który wyraz Dr. Grimm wyprowadza z Gotyckiego *latr*, z staro-noryckiego *latr*, — a co z czasem zamieniło się w polskim języku na wyraz *lotr*. W takim stanie po-

*) *Żałować należy iż sz.* Autor nie rozszerzył zakresu swój rozprawy tak dalece, aby mógł być uwzględnić wpływ religijny tak przeważny w tej kwestyi jako i w każdej kwestyi społecznej (P. R.).

gardy zostawała niższa warstwa ludu angielskiego i usługi jakich od niego wymagano, były równie niewolnicze. Była osobista służba i różne opłaty — była i pańszczyzna dla panów czyli właścicieli ziemi. Lecz cóż się stało? Przy wzmagającej się ludności i domaganii się przez lud o zwolnienie stanu niewoli, właściciele ci czyniąc zwolna koncessye, nieustępowali nic z swych praw do ziemi, tak że w końcu wydzielili lud cały z ziemi, i ściętnili nawet samo prawo przechodzenia dóbr ziemskich przez zaprowadzenie majoratów (entails). W ten sposób feudalna szlachta angielska została przy ogromnych posiadłościach ziemskich, i o ile może do dziś dnia broni ich rozdrabniania. Przezorniejszą ona w tym względzie, ale oraz mniej ludzką okazała się od alldyalnej szlachty polskiej, ziemię swą zdawien dawna jako własność posiadającej, a nie z nadania przez obcych zdobywców; w nader rzadkich tylko przypadkach dostającej ją z łaski królów, jako *panis bene merentium*. Szlachta polska będąc z pochodzenia swego zupełnie odmienną, była nią także z charakteru: od wieków dzieliła się w dobrach swych ziemią z ludem pracującym, przestając na pańszczyźnę i tak zwanych darowiznach, jakby one miały dla niej zostać wiekuistemi, aż dopiero okoliczności zrzędziły zmiany przez zniesienie tych powinności — nie przeciw jej chęciom i życzeniu, ani jak rozumiem na jej szkodę. Może to być przez niejaki czas dolegliwem, jako każdy stan przejścia niem bywa; lecz za to kraj się wywdzięczy, bo się wyrwie z poniżenia i zarzutów jakie mu cudzoziemcy wciąż czynili. Postęp czasu nieodzownie tę zmianę nakazywał.

Nieraz mnie to korciło, że patrząc na mnóstwo luźnej ludności widziałem między nią tyle ubóstwa, zepsucia i zbrodni; i mając raz rozmowę ze światłym Anglikiem, nienależącym bynajmniej do klasy arystokratycznej, lecz z zawodu lekarzem, żyjącym z liczną ro-

dzina, zagadnąłem go o przyczynę tak biednego stanu znacznej liczby ludności. Chcąc od razu zdanie jego otrzymać, argument mój począłem od tego, że los naszego wieśniaka, o którego poddaństwie tyle rozprawiają zagraniczni, był lepszym w porównaniu ze stanem tak wielkiej masy ubóstwa w Anglii. — bo nasz wieśniak ma dom, ma kawałek ziemi z której przy pracy z rodziną wyżyć może, i ta ziemia nawet w dziedzictwie na dzieci jego przechodzi; wspomniałem też o pańszczyźnie którą odrabia od swego łanu, jakby musiał opłacać pieniężny *rent* czyli czynsz gdyby był dzierżawcą (farmer) w Anglii; na poparcie zaś całego rozumowania dodałem: A to wasza arystokracja przyczyną tej biedy, która lud z ziemi wydziedziczyła. — polska szlachta tego nie zrobiła. — Cóż mi on na to? — „Arystokracja nasza — rzekł — dobrze zrobiła, i my jesteśmy jej wdzięczni za to.“ Zdziwiły mnie niemało te słowa z ust jego, zwłaszcza że znałem go jako człowieka liberalnego i litościwego dla ubogich. — „Ze skutków trzeba te rzeczy sądzić — mówił dalej — to co pan nazywasz wydziedziczeniem było właściwie usamowolnieniem naszej ludności; a temu winniśmy zamożność i potęgę naszego kraju. Ludność od roli rzuciła się do przemysłu jako środka do życia, co dało początek rozlicznym u nas fabrykom i postawiło rękodzieła na wysokim stopniu doskonałości. Kraj dawniej opustoszały, co miał tylko warowne zamki szlacheckie, a obok nich nędzne chaty ludu niewolniczego, zakwitnął z czasem w ludne miasta, i ma bogatych swobodnych mieszczan i fabrykantów. Nowe miasta coraz pyszniejsze od dawnych powstają, a w nich dostatni mieszkańcy lub kupcy z książęcami fortunami, milionery z tych co byli niegdyś *adscripti glebae*. W parlamencie zapełniły się krzesła mężami z ludu gdzie dawniej szlachta tylko zasiadać miała prawo. Za dobrym bytem pomnożyła się ludność, a nawet nastąpiło przelu-

dnienie; lecz i na to znalazł się sposób. Przy odkryciach nowych łądów i powiększonej żegludze przewożono zbyt dużą ludność za morza do mniej zamieszkałych krajów i na odległe wyspy pod łagodniejsze niebo i z obfitością produkeyi. Potworzyły się kwitnące osady we wszystkich częściach świata, a z nich jedne w Północnej Ameryce zwały się w osobne mocarstwo. Bo czemuż są Zjednoczone Stany, jeżeli nie odłamkiem Anglii, fundacją z jej biednego ludu a nawet wygnańców tak religijnych jak politycznych? Czém Kanada, Zachodnie Indyje, Przylądek Dobrzej Nadziei, i czém wzrastające osady Australii, jeżeli nie podobnym odłamkiem? I czém nakoniec ogromne państwo Indyj Wschodnich liczące przeszło 100,000,000 ludności jeżeli nie zdobyczą przedsiębiorczą kompanii kupieckiej, a zostającą pod opieką rządu angielskiego? Wielkich na to wszystko trzeba było sił i nieminiejszego wytrwania, a przecie lud który się zdawało był skrzywdzony bo wydziedziczony od ziemi i niemal od ojczyzny w której się rodził, potrafił przemysłem i zdołał bezprzykładną energią tego wszystkiego dokazać.*

Przyznałem mu że tak jest. W tem niemal sprzyja położenie kraju oblanego ze wszech stron morzem, przez które lud mógł się śmiało na wszystkie strony rzucać na przedsiębiorstwa. Tyle zdziałał przemysł oderwany od rolnictwa, tak obszerne otworzył dla siebie pole, i niemal przestwor do zajęcia się. Dla tego kto ma zdrowe siły i ochotę — jak Anglicy sądzą — nie tylko niepowinien cierpieć niedostatku, lecz zyskać bogactwa i zaszczyty; ubóstwo zaś mniemają być skutkiem lenistwa lub nieuczciwości. Ztąd małocenienie i nawet pogarda dla ubogich. Niechciałbym jednak aby mnie w tem źle rozumiano. Jeżeli anglikom zarzuca się cześć dla mamony jakto powszechnie się czyni, o tyle oni tylko przywiązują do niej wagi, o ile ona przyczynia się do osią-

gnienia niezawisłości i ustrzeżenia się wad i poniżenia charakteru jakie wynikają z ubóstwa. Jawne to nam, jak i im, i na całym świecie. Dla tego to tyle starania podejmują aby wpoić w niższe klasy, że przez pracę i uczciwość przychodzi się do dobrego bytu i nawet bogactwa, a od nich do niezawisłości i cnót z nią połączonych. To poda niejako czytelnikowi klucz do zrozumienia, dla czego tyle usilności zwracają Anglicy na poprawę przez okoliczności zepsutej i obłąkaniej młodzieży z klas ubogich, o której mówiło się wyżej. Przez tę pieczołowitość o nich, radziły im dopomódz wyjść na ludzi, albo jak u nich się mówi, na szanownych członków społeczeństwa.

K. LACH-SZYMA.

O NAJZNAKOMITSZYCH TEGOCZESNYCH MOWCACH RELIGIJNYCH*).

III.

Pisać o najznakomitszym dzisiaj mowcy religijnym na klassycznej ziemi włoskiej, o *najznakomitszym mowcy religijnym w Rzymie* i niewspomnieć o mowcach starożytnego świata, to byłoby nie do usprawiedliwienia. Samo to wyrażenie „*Najznakomitszy mowca rzymski*“ już nam przywodzi na myśl *Forum* z wszystkimi tradycjami, z całą historią *Wymowy*, która tak niesłychanie wielką odgrywała rolę i doszła do tego punktu, iż jej reprezentant pod wielu względami stanął na równi z Demostenesem, a pod wielu nawet go przewyższył.

Można być znakomitym mowcą religijnym w Londynie, w Paryżu lub w Madrycie, ale czy równie łatwo

*) Patrz zeszyt kwietniowy i czerwcowy.

można nim być w Rzymie? W Rzymie gdzie obok wojennej sławy Pompejusza i Cezara kładzie się tuż oratorska sława Cyncerona, gdzie wymowa stanowiła jedną z najpotężniejszych sił poruszających olbrzymie ciało monarchii, gdzie, jak powiada Tacyt ¹⁾ po wszystkie czasy najgłębszém było przekonaniem, że człowiek bez wymowy nie mógłby zająć żadnego wyższego stanowiska w państwie, gdzie wymowa była nie tylko zaszczytną, ale nawet konieczną; gdzie jak być wymownym stanowiło chwałę, tak być *niezdolnym publicznego słowa* było pewnego rodzaju idiotyzmem obudzającym wzgardę; gdzie się wstydzono nazwy klienta, a każdy usiłował być obrońcą lub oskarżycielem; gdzie powierzać komuś swoją obronę było toż samo, co się przyznawać do niedołężności; gdzie przedmiotem wymowy były sprawy publiczne i prywatne, gdzie auditorium stanowił lud królów a trybunę Kapitolium lub majestatyczne Forum? Ojciec Ventura dowiódł, że można; my w kilku wstępnych uwagach powiemy, dla czego same trudności ułatwiają stanowisko.

Wszakże zwracając uwagę na stanowisko znakomitego mowcy w Rzymie, nieczynimy tego ze względu li tylko na Ojca Venturę, którego kaznodziejskie prace zamierzamy w niniejszej części naszej rozprawy przedstawić; ale głównie mamy na myśli ogólne stanowisko mowcy religijnego w stolicy zwiącej się niegdyś Panią świata a wymownej każdym dziejowém wspomnieniem i każdym pomnikiem. Stawiać w porównaniu kaznodzieję katolickiego jak O. Ventura z oratorem pogańskim, jak był Hortensyusz lub Cyncero, byłoby rzeczą bardzo naciągniętą i do niczego niewiodącą, bo czybyśmy ich chcieli porównać ze względu na przedmiot, czy ze względu na formę w obudwu razach zbywałoby

¹⁾ Tacit de Orat. 36, 7.

nam na punktach zetknięcia tak przecie nieodzownych w każdym porównaniu, jak są nieodzowne punkta odróżniające. Ale zupełnie co innego kiedy sobie stawiamy pytanie: czy mówca katolicki religijny może być znakomitym w Rzymie, który w starożytności stanął z Ate-
nami najwyżej w dziejach wymowy, równie jak w dzie-
jach życia publicznego.

Ze względu na przedmiot niema najmniejszej wątpli-
wości. Kaznodzieja katolicki przedmiot bierze z rąk Boga, pogański brał go z rąk ludzi; mówca katolicki głosi prawdę która jest najdoskonalszym obrazem Prawdy przedwiecznej, a pogański Orator głosił prawdę nader kruchą i względną, będącą obrazem własnego jego przekonania, albo własnej pychy, lub też wyrazem opinii, albo namiętności ludu, że już niepowiem wyrazem dumy, rozpusty i tyranii władców. Kaznodzieja nakazuje w imie Wcielonego Słowa, nakazuje z równą siłą na stopniach Jerozolimskiej świątyni, jak w o-
bec Areopagu, jak na Forum, on mówi słowem *Słowa*, słowem Kościoła, słowem świętej tradycji, słowem Ewan-
gelii, *słowem bożem*, słowem, które wiodło i wiedzie do czynu, do zmiany życia, do przerobienia z gruntu czło-
wieka i społeczności choćby ofiarą wszelkich możebnych poświęceń; a rzymski lub ateński mówca podsłuchuje, co myśli ich słuchacz, i wielki, kiedy mu w ową myśl trafi, największy, gdy mu swoją myśl narzuci; a Cyncero niezrównany gdy w obec ludu utrafił w myśl ludu, a w obec Cezara utrafił w słabość Cezara; a Demostenes sam bez ogródki powiada: „Mężowie ateńscy, gdy już zniesiecie te fatalne prawa, sznkaście mowcy któryby wam po prostu przedstawiał to, coby się wam w prze-
konaniach waszych najpożyteczniejszemu zdało; ale nim to wykonacie, niemyślcie, ażebyście mogli znaleźć takiego, któryby się chciał narażać dając wam co najlepsze rady i wystawiając się na niebezpieczeństwo tem sa-

mem, że by je wam udzielał... Co do praw, o których wam mówię, właśnie dla tego samego trzeba je znieść co prędzej, że wam je doradzała oględność mowców na wasze zachcenia ²⁾).

Co się więc tyczy przedmiotu, mowca katolicki wszędzie góruje, chociażby stanął wśród najwyższych potęg oratorskich nie dopiero na miejscu sławném ich tradycjami. Przedmiot jednakże stanowi więcej o nauce opowiadanej, niż o wymowie, która jest jój wyrażeniem, jój kształtem, a o którą właśnie nam idzie. Czyż jednak i przedmiot wymowy niestanowi o jój formach? Owszem, stanowi tak dalece, że sam wytwarza formy, które chociaż stósownie do miejsca i czasu mniej więcej ulegają zmianie, nigdy jednak nie zmieniają się do tyła, żeby miały stracić to, co jest głównym ich fizyonomii wyrazem. To też wymowa, której przedmiotem jest słowo Boże, prawda przedwieczna, niezmienna, zupełnie w innych występuje kształtach, jak wymowa, której przedmiotem było słowo ludzkie, prawda względna, niepełna i zmienna. W tej drugiej piękność, regularność, żywóść i majestatyczność kształtów zawisła także od ilości zawartej w jój przedmiocie prawdy, ale gdy samą prawdę wielkie w niej ubóstwo, więc daleko więcej zawisła od przekonania, wiedzy i usposobienia mówiącego albo słuchających, co jój też daje pewną wyłączności cechę, że czyniąc jednym warunkom zadosyć, inne całkiem nihiluje. Śmiało też powiedzieć można, iż w starożytności pogańskiej gdzie niebyło mowcy, któryby zdołał podjąć *całą prawdę*, niebyło też mowcy, któryby tym wszystkim warunkom zadosyć uczynił i że jak nieraz Demostenes męczy swoją powagą i regularnością pozbawioną życia i ruchu, tak Cycero znowu morduje i rozdrażnia nerwy swoją ruchliwością, gwałtownemi zwrotami, uga-

²⁾ *Κατα Φιλίππου Λογος Τριτος.*

nianiem się za świeżością, harmonią i przepychami stylu pozbawionemi siły w rozumowaniu, jasności w dowodzeniu i powagi w pokonywaniu przeciwnika. Pierwsza znowu, to jest katolicka wypływając z *prawdy całej*, w całym też jawi się blasku, kiedy ta prawda już sama przez się wymowna wypowiada się przez usta które Bóg dla chwały swego Kościoła zapalił genialności żarem. Gdyby najgorliwsi nawet zwolennicy pogańskiego klasycyzmu chcieli porównać Demostenesa z ś. Chryzostomem, albo Cycerona z ś. Grzegorzem Wielkim lub ś. Leonem, dostrzegliby, o ile ci drudzy bez porównania są że tak powiem kompletniejsi w swęj wymowie, to jest doskonalej jednoczący wszystkie jej warunki ³⁾. Bo tu znowu *prawda* katolicka zawsze piękna, poważna pełna siły i wdzięku stanowi daleko więcej o piękności, sile i powadze wysłowienia niż *indywidualna* mowcy *genialność* i ona głównie na niem wyciska swą [pieczęć, ona jest owym stanowczym, najwybitniejszym wyrazem w fizyonomii wymowy katolickiej, tak jak osobista genialność jest znowu stanowczym wyrazem w fizyonomii wymowy pogańsko-greckiej lub rzymskiej.

To nam wyjaśnia stanowisko znakomitego kaznodziei w stolicy słynnej wymową. On pod względem osobistych zdolności może być o wiele niższym niż byli mowcy pogańscy których wspomnieniami owa stolica jest słynna, ale to bynajmniej niewprawia go w kłopot ani w obec słuchających zniża, bo on się czuje podniesionym nieskończenie wyżej siłą przedmiotu, który podej-

³⁾ Tym, którzy tego rodzaju zdania mają za podjęcie zasad ks. Gauma pozwalamy sobie zrobić uwagę, że wcale co innego jest potępiać klasycyzm pogański pod względem form piękna i ohoić go *wykluczać* z nauczycielstwa i literatury chrześcijańskiej, a co innego *przekładać* nadeń klasycyzm chrześcijański. Zresztą, *niepiszągo o sztukach ani o literaturze powszechnej*], ale o *kaznodziejstwie* sądzimy, iż samo nawet wykluczenie i potępienie nie byłoby od rzeczy.

muje, bo jego w obec słuchaczy otacza aureola pewnej świętości, którą w około niego tworzy ogłaszana przez ten prawdą. Ztąd ten urok, ta powaga i siła, a z drugiej strony to zajęcie a często nawet zachwyt słuchacza, *to działanie* na jego umysł i serce w obec czego wszystko czem się zalecała wymowa pogańska i słabem i błędem się zdaje.

I niemoże być inaczej, bo wymowa katolicka *zawsze* jednej, dobrej, świętej sprawie służyła i służy, gdy tymczasem owa starożytna podnosiła razem sprawy najpiękniejsze i najbezpieczniejsze. Pominawszy, że jednocześnie z Cyncerem występuje na Forum rozpustny, krwawy wyuzdany Kłodiusz, że w Senacie mówi Katylina a potem Antoniusz, że później publicznie podnosi głos Kalligula w pochwalę Tyberyusza, a jeszcze później Nero w pochwalę nierządnicę Popei — pominawszy, że sam Cyncero co w jednej mowie potępia, to w drugiej pod niebiosą wynosi, że częściej mówi o sobie, niżli o sprawie publicznej — pominawszy to wszystko, któż nie wie jak się wzajemnie częstowali najwięksi mówcy, jak Eschines z Demostenesem, a Cyncero z wszystkimi swemi przeciwnikami rzucali na siebie zółcią i błotem, jak sobie dowodzili wzajemnie zbrodnie, szalbierstwa i zdrady; jak na czynione sobie zarzuty krwawą odpowiadali ironią, a na ironią ulicznymi niemal przezwiskami; jak potem nieraz przychodziło do pięści i najzaciętszych rozdwojeń i wojen domowych.

Poważna w treści wymowa katolicka zawsze też poważna i w formach, w znakomitościach swoich nie razi nigdy niczem wyszukaném a prostotą i naturalnością piękną i silną, obudza w sercach szacunek dla sprawy, którą przedstawia. — Sama jej deklamacya i mimika jakkolwiek spokojna, pełna przecie życia i ruchu, sama postawa mówcy razem pokorna i wzniosła, skupiona i paląca się zapalem dla prawdy i żarliwością w podbi-

janiu ludzkich serc Bogu, wszystko to stawia ją na wysokości, z której najpotężniejszy wpływ wywierać może. Tymczasem, jakże razem śmieszny i smutny cały aparat rzymskiej wymowy! Jakaż mogła być powaga słowa w podobny sposób opowiadanego! Retor wstąpiwszy na obszerną trybunę istnym jest aktorem według tego, co pisze Tacyt i Quintylian. Tacyt naprzykład skarży się na zbyt krótkie togi, w których się mowcy niemogą dość artystycznie drapować ⁴⁾). Szkoła urządzała w mowcy każdy ruch, aż do wyrazu twarzy, aż do toalety.— Najniższa krawędź togi powinna spadać do kostek, najwyższa poniżej kolana. Wszakże w miarę jak mowca wpada w zapal układ zewnętrzny może być nieco zaniedbany. Po wstępie, naprzykład, może puścić jeden fałd togi, w chwili dowodzenia może opuścić całą; gdy walczy przeciwnika, ubiór sam walkę powinien wyrażać; gdy zapal doszedł do szczytu, kiedy lud wzruszony, gdy grzmią poklaski, w ten czas niech wszystko będzie w nieładzie a sam mowca zadyszany i obłany potem. Pliniusz pozwala wówczas używać chustki, ale bardzo ostrożnie, żeby nienadwerężyć włosów. Wszystkie te studia i mnóstwo innych, których tu przytaczać niemożemy, mogły mieć jeszcze jakieś znaczenie, za czasów Republiki, kiedy w samej istocie życie publiczne, parlamentarne, było jeszcze celem takich występowania kiedy sprawy wewnętrzne i zewnętrzne urządzały się przez Senat i Lud; wszakże pod Cesarstwem cel przestał istnieć zupełnie, ale szkoły wymowy nieprzestały dostarczać retorów, którzy gorszyli i spychali do ostatniego upodlenia lud, przedstawiając mu w pewnym uroku świętości wielkie zbrodnie Kalligulów Messalin i Neronów lub najostatniejszą głupotę Klaudyuszów.

Otóż są te przesławne dzieje i tradycje wymowy starożytnego, przedchrześcijańskiego Rzymu. Jeżeli one żyją

⁴⁾ Tacit. de Orat. 39.

w samą istotę w pamięci rzymskiego ludu, to niemoga jak tylko usposabiać umysły i serca pod nasienie zbawczego słowa płynącego strumieniem zawsze świętej, zawsze silnej, zawsze poważnej wymowy, która jeźliby się miała czego rumienieć w obec wspomnień i wielkich pomników tamtej, to chyba nadużycia i sponiewierania tych wszystkich środków, których Stwórca udzielał i udziela w mowcach społeczeństwu, jakoby dla dopełnienia powszechnego słowa i dla użytkowania boskiej jego siły.

Bo co na samych tych środkach, to wymowie katolickiej niezbywało i niezbywa. Im ona doskonalej odpowiada słowu, które głosi, im żywotniej jest z niem zjednocza, im ważniejszym jest jego obrazem, tem sama jest dzielniejsza, tem potężniejszy i trwalszy jej wpływ. Jak słowo boże płodna w środki działania na umysł i serce, jeżeli wymaga jakich ćwiczeń i przygotowań to nie innych tylko tych samych, których wymaga święty stan kapłaństwa. Wychowanie ściśle duchowne, wyrobienie się w duchu apostołstwa przez modlitwę, przez oderwanie się od świata, przez praktyki i cnoty wyższej pobożności, rozdmuchanie danej łaski powołania w żar gorliwości i bezwarunkowego poświęcenia się dla sprawy królestwa bożego w sercach ludzkich a obok tego dokładne wykształcenie się w umiejętnościach świętych, zwłaszcza też w znajomości pisma świętego, Ojców, Doktorów Kościoła, w teologii dogmatycznej, moralnej i liturgicznej, oto są usposobienia nieodzowne, oto prawdziwa i jedyna szkoła wymowy katolickiej. Wyższa zdolność takimi wzbogacona skarbami może być dopiero prawdziwą znakomitością kaznodziejską. Tak zasilony wrodzony talent wymowy, wyda dopiero trzydziesty, sześćdziesiąty a może i setny owoc — obejmie całego człowieka i całą społeczność w ich najistotniejszych potrzebach i wszystkim poradzi — umysły błędzące wśród błędów nagromadzonych przez ducha czasu wyprowadzi na

dobrą drogę i prawdami bożemi rozjaśni — serca scho-
rzałe występkami, zleczy, zwątlale zawodami umocni,
zbołałe trudami życia, smutne stratami, zalane goryczą
przez doświadczone zdrady, opustoszałe przez brak wia-
ry pocieszy, utuli uczuciami wiary, miłości, rezygnacyi
poświęcenia z bogaci i uszczęśliwi — a w ten sposób
działając na każdego i na społeczność do której przema-
wia, tak potężnie wpłynie i tak ją zreformuje, jak żadna
potęga z tego świata niepodola, jak wpływa powszech-
ny Kościół nauczający na powszechną społeczność wier-
nych i niewiernych.

Taki szczęśliwy wpływ Ojciec Ventura wywierał we
Włoszech a od lat pięciu wywiera w stolicy Francyi. —
W braku szczegółów biograficznych przypatrzmy się
jak w nim żyje talent boży i mając przed sobą mnó-
stwo prac kaznodziejskich, zobaczymy jak się w nich to
pełne życie objawia.

Ojciec Joachim Ventura jest Sycylianinem — urodził
się w Palermo roku 1792 i z zacnych rodziców wziął
tę silną, a pełną życia naturę, którą się zawsze dzieci
Sycylii odznaczały, a która ich podniosła do współza-
wodnictwa z Grekami w chwilach, kiedy ci ostatni byli
u szczytu swęj cywilizacyi. Pierwsze jego wystąpienia
w zawodzie kaznodziejskim miały miejsce w Neapolu.
Ukazał się na ambonie jako zakonnik Teatyn i od-
razu zadziwił katolicką publiczność niezwykłą swoją
wymową. Głębokość Sawonaroli, łatwość Segnierego po-
bożny zapal Leonarda da Porto Maurizio, a nad to wszy-
stko niesłychana obfitość pierwszych Ojców Kościoła i
teologiczna wiedza ś. Tomasza z Akwinu cechowały ka-
żde jego kazanie. Mówiono powszechnie, że przez jego
usta płyną skarby tradycyi katolickiej w żywotnem
i pełnem wdzięku zespoleniu, a echo jednogłośnego

uwielbienia prędko doszło do samego Rzymu. Jak go Rzym ocenił, dość powiedzieć że trzydziesto-kilkoletni zakonnik mianowanym został konsultorem świętej Kongregacyi Obrzędów i examinatorem kleru rzymskiego. Wymowa jego w stolicy Chrześcijaństwa prędko się stała razem chwałą Miasta Wiecznego oraz chlubą i pociechą Kościoła, a zaufanie jakie sobie zjednał przez nieustanną pracę w odważnej, uczonój i żarliwój obronie Kościoła, objawiło się jak tylko można najświetniej, kiedy w r. 1830 a zatem roku życia trzydziestym siódmym, wybrany został na powszechnój kapitule pod przewodnictwem kardynała Albani jenerałem swego Zakonu. Na téj wysokości jeszcze się wyżej podniósł jako kaznodzieja i potęgą swego słowa gromadził około siebie tłumy ludu, które pod względem liczby porównać tylko można z tłumami cisnącemi się około Hortenzynsza lub Cyclerona na Forum.

Co do samego mowcy, trudno byłoby porównywać go bądź to pod względem samej wymowy, bądź pod względem uczucia, siły zapału, deklamacyi, i całej zewnętrżności oratorskiej, z którymkolwiek z wielkich tegoczesnych mowców, bo u niego wszystko własne, wszystko oryginalne, wszystko z religijną powagą i z genialnością pomysłów harmonizujące. Moznaby go nazwać rzymskim Demostenesem i chrześciańskim Cycleronem, tak z potęgą przekonywania łączy majestatyczność formy. W jego ułożeniu zawsze szlachetność i spokój, głos jego razem wdzięczny i poważny, pełny i przestrony, wystowienie łatwe, płynące a zbyt silnym przyciskiem zdradzające co chwila wulkaniczną naturę Sycyliana. W kościele świętego Jędrzeja *della Valle* jednym z największych po Watykańskim, gdzie miał przed sobą do dziesięciu tysięcy słuchaczy, w najodleglejszych zakątkach świątyni był słyszany jak najwyraźniej. Wbrew przeciwwyćzajowi mowców francuzkich a nawet włoskich

w najgwałtowniejszych ustępach umie zachować przytomność pod względem wyrazu twarzy i ruchów, unika wszelkich rażących i nieodpowiednich przedmiotowi i miejscu teatralności, i niebędąc nigdy sztywnym, nigdy się nie miota. Głowa zawsze w linii prostopadłej, pierś nigdy nie pochylona, ani też wyprężona zbyt mocno; wszystkie zgięcia i modulacye głosu naturalne, żadnego nigdy rachowania na efekt, bo efekt sam z siebie, z rzeczy płynie; we wszystkim zgoła wykończona, chociaż bynajmniej nie wyrachowana klasyczność. Francuzi powiadają, że według najwierniejszych portretów uderzająco przypomina piękną postać Bourdalego więcej blaskiem oka i siłą wyrazu, któremi nim jeszcze usta otworzy, już w głębi duszy słuchaczy wibruje.

Ventura jest urodzonym mowcą katolickim. Na wyniosłem jego czołe zdają się być wyryte drogi wielkich myśli — w ustach przypominających słodkim a wiecznym uśmiechem wdzięczne usta Piusa IX, drgają tych myśli wzniosłe wyrażenia — w całej postaci jest jakieś żywe świadectwo geniusza chrześcijańskiego i apostołskiej surowości życia. To też kiedy mówi, zdaje się, że wszystkie umysły i serca trzyma w swoim ręku. Katolicy lgną do niego a przez niego do Chrystusa porwani siłą wyznawanej a w całym blasku przedstawionej prawdy; protestanci zapominają wszystkich swych przeciwników Kościołowi uprzedzeń i słuchają go z wyrazem zająęcia, które świadczy razem o niepokonanej prawdy potęgę i o przejęciu się mowcy jej boskością, skutkiem którego tak tę prawdę wypowiada, iż własną siłą bez posługi filozoficznych dowodzeń wpada do serc i własnym ciężarem stoi, *mole sua stat*. Każde jego kazanie miało w Rzymie wagę wielkiego zdarzenia. Kiedy w ogromnym kościele Teatynów miało zabrzmieć jego słowo, napływ słuchacza najróżnorodniejszego, jak powiada jeden z dzienników francuzkich, tak był wielkim, że audy-

toryum Lacordair'a i Ravignan'a ledwie słabe daje o nim wyobrażenie. Tłumy te jak wody morskie w chwili przedburza falowały od wielkiego ołtarza do wielkich drzwi i na powrót, a początkowy szmer, który stopniowo w głośny zamieniał się gwar, nagle w chwili ukazania się mowcy w tak głębokie przechodził milczenie, że głos mowcy od razu silny i pełny rozlegał się jakby po pustkowiu.

Wszakże jak powiedzieliśmy Ventura nie jest człowiekiem efektu, który często im jest gwałtowniejszym, tym prędzej przemija i czczość zostawia po sobie — Ventura przede wszystkim był człowiekiem poświęcenia, mężem zakonnym, *kapłanem Wcielonego-Słowa*, kaznodzieją ewangelii. On czuł, że co wziął od Boga, to wziął dla sprawy Boga wśród ludzi, to jest dla sprawy Kościoła, więc też uwielbienie, które dla znakomitości tego świata bywa celem wszystkich wysiłków i najwyższą rozkoszą i chwałą, dla niego było powodem do smutnych bolesnych rozmyślań. Jego najwyższym pragnieniem było rozbudzenie w sercach wiernych i niewiernych *religijnej czci i religijnej miłości Kościoła*. On się palił pobożną żądzą, ażeby świat zwiący się chrześcijańskim rzucić do stóp Oblubienicy Chrystusa — zkądby go ona podjąwszy w pocałunku miłości podniosła do lepszej, szlachetniejszej doli. Tymczasem z Niemiec i Francji dochodziły echa bluźnierstw idących w zawody z bluźnierstwami Woltair'a — Panteiści i eklektycy podjąwszy rolę ateuszów jadłem swoim pryskali na wszystkie świętości, a propagandy angikańskie podjęte w duchu judaszowskiej polityki we Włoszech północnych, już i nad tą ojczyznę katolicyzmu otwierały katarakty straszego potopu. Jedni walczyli w imię Chrystusa, drudzy wzniesli sztandar walki przeciw Chrystusowi w imię postępu. Jak pokonać tak sprzecznego wroga? Ventura u stóp krzyża zrozumiał

stan kwestyi i przez apologią Chrystusa zamierzył podjąć obronę katolicyzmu razem w imię Chrystusa i w imię rzeczywistego postępu.

Ale jak tu podjąć apologię Jezusa Chrystusa w obec wiernych zgorszonych temi bluźnierstwami, w obec ludzi słabiej wiary a raczej dość nikczemnego serca, ażeby dla nędznych krzyków kilku niemieckich i francuzkich szarlatanów zachwiać się w wierze, miłości i czci należnej Bogu-Zbawicielowi; w obec tych mizernych półkatolików, którzy za każdym zarzutem ciśniętym w oczy Kościołowi, spoglądając nań z uśmiechem na pół szyderczym zapytują: „A cóż ty na to?“ jak gdyby pewni, że już wszelaka replika nie możebna; nakoniec w obec samych otwartych nieprzyjaciół Kościoła i Chrystusa, u których wszystkie najuczestsze wywody, dowodzenia, apologie nic nie znaczyły i lada nowym zarzutem powalić się dały — w obec tych wszystkich jak i jaką podjąć obronę, żeby przecież mogła mieć jakieś znaczenie, interes i siłę przekonywającą? Ventura powiedział sobie, iż najlepszym sposobem obrony Jezusa Chrystusa jest to, ażeby Go dać jak najlepiej poznać. To niezawodne, że prawda nie potrzebuje często, jak tylko być poznana, ażeby się stała wierzoną i miłowaną. Ale jakże Go jednak poznać, gdzie Go odszukać, ażeby Go przedstawić, tak jak był i jest z całą siłą prawdy? Ventura odpowiada: *W Ewangelii*. Tajemnicza ta księga jest najważniejszym obrazem boskiej Zbawiciela postaci; jest jakby najczystszeń zwierciadłem, w którym się odbiło na zawsze całe życie, cała historia, wszystkie czyny, nauki, cuda, cierpienia, męki, śmierć i tryumf nad śmiercią. Jak Jezus Chrystus razem jest Bogiem i Człowiekiem tak i ta księga jest połączeniem boskiej wzniosłości i dziwnej prostoty. Jak Jezus Chrystus jest Słowem Boga ukrytym w człowieczeństwie, tak ona jest słowem Boga zakrytem, wcielo-

ném w literę; jak Jezus Chrystus niemógł być pojęty tylko przez Ducha świętego, tak ona w cudowném zjednoczeniu boskiej mądrości, z prostotą ludzkiej litery i pod jój zakryciem, tylko przez Ducha świętego żyjącego w Kościele nauczającym wyrozumianą być może. — Ona więc jest księgą noszącą w sobie dowody swój prawdy, autentyczności, boskiego natchnienia — więc też niezawisłe od wszelkich rozumowań, wszelkich zewnętrznych naukowych dowodów samo jój pobożne i uważne czytanie wystarcza do poznania boskiego jój Bohatera i do przekonania, że był osobą nieskończenie wyższą nad wszelką wielkość, że był razem najwyższą w sobie wielkością, najgłębszą pokorą i najcudowniejszą tajemnicą, to jest razem Bogiem i Człowiekiem. Wszakże część téj książki najwymowniejsza, najsilniej mówiąca do serca, przekonywująca najgłębiej, to historia męki i śmierci Chrystusa. Męka Zbawiciela, to chwila największego upokorzenia i najwyższej chwały. W nię Jezus Chrystus razem bezsilny i wszechmocny, najłagodniejszy i najstrasliwszy, poniżony i wzniosły, więzien i wolny, sługa i pan, oskarżony i oskarżyciel, sądzony i sędzia, poddany i władca, razem w takiej boleści, wzgardzie odepchnięciu i potępieniu, jakiego tylko doświadczać może człowiek i tak mądry, potężny, wolny, cudowny jak tylko może być sam Bóg!

Jakże jednak szczęśliwy ten pomysł urzeczywistnić? Napisać i wydrukować książkę? Któż ją będzie czytał? Ci którzy wierzą i w wierze swojej utwierdzić się chcą, ci którzy wielbią, kochają Chrystusa i chcieliby się pocieszyć tém, że ktoś szczęśliwie przedstawił boskość i posłannictwo Odkupiciela. To dobre, ale dla serca rozplamionego miłością apostołską, to niedosyć. Ventura radby ten obraz stawić przed oczy całemu światu, a zwłaszcza tym, którzy jak pismo święte powiada: *bluźnią to, czego nie znają*. Cóż więc uczyni?

Apostoł narodów szedł do Koryntu, Efezu i Aten i tam opowiadając Boga Człowieka, cisnął im w twarz zarzutem najprzeciwiejszym dumie ludzkiego rozumu, mówiąc: *Wy czcicie czego nie znacie*, a On radby biegł do wszech katedr, z których filozofia racjonalna jak Annasz, Kaifasz, Herod i Pilat z swych tronów wskazywała na śmierć Chrystusa i Chrystyanizm, ażeby tym uczonościom, na słowa których łatwowierna i rozpustna młodzież i tak zwani ludzie ducha czasu, przysięgali, ażeby im powiedzieć: „*wy bluźnicie którego nie znacie. Oto „jest! ukorcie się przed nim i oddajcie mu swe serca, „a on ich rany zagoi i umysłom waszym da pokój, „którego żadne dowodzenie dać nie może!*“

Takie myśli, takie uczucia i pobożne pragnienia grały w duszy zakonnika pieśnią tęsknoty za walką w sprawie sercen jego najdroższej, najświętszej, kiedy raz (było to w roku 1840, w miesiącu Sierpniu) zapukano do jego celi i wezwano go w imieniu Ojca świętego, ażeby się na rok następny przygotował z kazaniami postnemi do bazyliki świętego Piotra na Watykanie. Wezwanie było bardzo zaszczytne, Ventura jednak, jakkolwiek od pierwszej chwili swego kapłaństwa ciągle był zajęтым głoszeniem słowa bożego, przecież wymawiał się swoją nieudolnością do podjęcia jednej z najtrudniejszych części kaznodziejstwa jaką jest właśnie: *la praedicatione quaresimale* we Włoszech. Mówić kazanie dzień po dniu przez cały post wielki, (mówić je na pamięć, bo we Włoszech a szczególnie w Rzymie nigdy nikt inaczej nie mówi) a co nadewszystko, mówić je w najslawniejszym i w największym świata kościele, to mu się zdawało i nad zasoby ducha i nad siły fizyczne. W samej istocie Ventura niebył już w tym wieku, w którymby można przedsiębrać coś podobnego, co niezawodnie i sił fizycznych i młodzieńczo-świeżej pamięci wymaga. Pięćdziesiąt lat życia przy ciągłej umysłowej pracy, to już

wiek na dobre graniczący ze starością. Inni mniej wypracowani, radzi myślą w tej epoce życia o wypoczynku, tymczasem on jeszcze w lat 16. potem, a zatem w roku 66 mówi z zapalem młodzieńca tém piękniejszym, że połączonym z mężką siłą i doświadczeniem starca. A mówiąc tak przez rok cały, wydaje w tym samym roku wielkie dzieło dwutomowe. Takto zakonne poświęcenie czyni silnym i czynnym, a zakonne życie tak każdą chwilę rozprzestrzenia.

W przedmowie do drugiego oddziału homilii ⁵⁾, sam tłumaczy swoją odmowną odpowiedź daną na pierwsze wezwanie: „Opowiadać, mówi on, słowo Boże w kościele Watykańskim świętego Piotra rzecz nadzwyczaj trudna; pominąwszy, że wśród słuchaczy zajmuje miejsce duchowieństwo niezmiernie licznie zgromadzone, do którego także koniecznie trzeba się stosować, pominąwszy sam ogrom kościoła, i niedogodność miejsca z którego się mówi, dość jest rozważyć przedmioty otaczające mowcę, aby się zgodzić, że nawet to samo, coby go wznosić i wielkimi myślami natchnąć powinno, bardzo łatwo może go wszelkiej pozbawić odwagi.“ W samej istocie, z jednej strony katedra świętego Piotra, z drugiej grób tego księcia Apostołów, a w nim jego ciało. Tuż w bliskości relikwie narzędzi męki Zbawiciela, dodajmy do tego obecność żywego Piotra w osobie Papieża, a w nim obecność Chrystusa i wszystkich tradycyj katolickich, wszystkiej wiary, obecność całego Kościoła, w jego najwyższej głowie, a łatwo każdy pojmie, że obok najsilniejszych bodźców wznoszących duszę w sfery jasnowidzenia wiary i żarliwości, prawieby niepodobna było niedoświadczać uczucia osobistej nędzy i maluczości, które najwyższy zapal zdolnem jest ostudzić, a

⁵⁾ *La Scuola de' Miracoli*, ovvero Omilie sopra le principali opere della potenza e della grazia di Gesù Christo.

najwznioślejsze pomysły własnemu umysłowi mowcy w karłowatych kształtach przedstawić. Oto co jeszcze w téj mierze O. Ventura pisze w swój przedmowie (§.2.) „Tam kaznodzieja też samą wysokością swego stanowiska, która serce i umysł jego wielkimi myślami zapala, czuje się tak maluczkim i zgniecionym, że usta ledwie zdolne doszukać się słów, któreby owe myśli wyraziły. Siedmdziesiąt razy mówiąc w téj bazylice, wyznaję, iż prawie zawsze doświadczałem tego samego uczucia, i nie wacham się oświadczyć, iż ktoby go tam nie doświadczał, ten albowy nie był zdolnym pojmwować całej świętości i wzniosłości otaczających go przedmiotów, albo byłby człowiekiem dziwnie chłodnej wiary; w pierwszym razie nie mógłby być mowcą, w drugim razie niemógłby być prawdziwie chrześcijańskim kaznodzieją“.

Wzbraniającemu się przyjąć to tak chlubne wezwanie, zostawiono kilka tygodni do namysłu. Był to właśnie czas wakacyi. Ventura odsunąwszy się od zwykłych zatrudnień, rozważał w osobności i cichości u stóp Zbawiciela co ma począć, i Bóg mu podał do serca myśl, iż to właśnie najlepsza sposobność i pora do nowéj apologii katolicyzmu, i że ta apologia nigdzie z podobną korzyścią podjętą być by nie mogła, jak w owéj świątyni, w której obok najpobożniejszego auditorium mógł być znaleźć tysiące przybyszów ze wszech stron Europy, reprezentujących prawie wszystkie kacerstwa i odszczepieństwa i najsprzeczniesze opinie religijne. Ventura zatem wezwanie przyjął i odpowiedział mu tak godnie trzydziestu trzema homiliami o męce Jezusa Chrystusa, iż po skończonym kursie zaraz mu ofiarowano też samą ambonę na rok 1843.

Niepodobnaby nam było przytaczać choćby tylko najpiękniejsze ustępy z tych homilii, bo samo ich przedstawienie wymagałoby miejsca obszerniejszego, niż ar-

tykuł przeglądowy zająć może. To pewna że, aby coś podobnego znaleźć w tym rodzaju, trzeba sięgać albo do owych pierwszych wieków Chrystyanizmu, kiedy święci kaznodzieje mówili o Jezusie Chrystusie prawie co tylko zeszyłym widomie z téj ziemi; kiedy wyraz Jego oblicza, ciepło Jego miłości, świętość Jego życia wypełniały serca wiernych, słuchających o Nim z ust naocznych tego życia świadków; kiedy każdy szczegół z Jego ostatnich chwil, Jego męki i śmierci, każdy wyraz z ust Jego wyszły przypominano sobie wśród świętych zgromadzeń wiernych, jako szczegóły i słowa z życia najdroższego Mistrza i Zbawiciela, Boga-Człowieka, który ich co dopiero pożegnał, i z człowieczeństwem swoim uniósł w niebo ich myśli i serca. Homilie te nazwał ojciec Ventura *Skarbem ukrytym*,⁶⁾ mając tylko na myśli cudowne tajemnice, nauki i pociechy zawarte w dziejach męki Chrystusowej, a każdy kto je dziś czyta i pobożnemi a wzniosłemi uwagami mowcy duszę swą karmi, rozrzewnia, rozplomienia i co kartka pragnieniem coraz wyższej doskonałości wznosi się ku niebu, każdy tuląc tę księgę do serca, mogącą zająć miejsce tuż obok rozmyślań o męce Pańskiej, świętego Bonawentury, nie nazwie jęj pewno inaczej, tylko prawdziwym *Skarbem ukrytym*!

W roku 1843 O. Ventura wystąpił powtórnie w bazylice watykańskiej. Homilie Jego były dalszym ciągiem apologii Jezusa Chrystusa i tém się różniły od pierwszych, że jak tam w poniżeniu i boleściach męki Zbawiciela odsłonił ukryte skarby boskiej Jego mądrości i mocy, tak tutaj w najświecniejszych Jego czynach,

⁶⁾ *Il Tesoro Nascosto, ovvero Omilie sopra i Misteri, le dottrine e gli esempj che si contengono nella storia Evangelica della Passione del Signor nostro Gesù Christo predicate per la prima volta nella Sacrosanta Basilica Vaticana l'anno 1841.*

to jest w Cudach odsłonił ukryte skarby Jego dobroci i miłosierdzia. Homilie te nazwał *Szkołą cudów*, ⁷⁾ to jest szkołą, w której uczniom Jezusa Chrystusa, i samym nawet nieprzyjaciółom Jego Kościoła własne Jego cuda opowiadają, iż tak być pełnym niewysłowionej dobroci, tak przychylającym się ku wszelkiego rodzaju nędzy, aby od niej ratować, aby w niej pocieszać, ubogacać, uświęcać i zbawiać, nie mógł by kto inny tylko sam Bóg. Oto jak je zaczyna:

„Gdy ludzka mądrość uczy nas tylko przez słowa, „wcielona mądrość boska jednoczy słowa z czynami a „przez swe czyny, równie jak przez swe słowa naucza. „I być inaczej nie może. Gdy bowiem, jak powiada „Augustyn święty, Jezus Chrystus sam jest żywym Boga Słowem, więc téż i każdy czyn owego Słowa jest „dla nas nauki słowem: *Quia ipse Christus Verbum Dei „est; etiam factum Verbi, verbum nobis est.* Co miłosier- „ny Pan nasz przez boskie swe słowa przenosi w serca „za pomocą słuchu; najwznioślejsze tajemnice, najważniejs- „sze nauki i najdroższe prawdy; to czynami swojemi po- „twierdza, tak że czyny Jego są to niejako widzialne „nauki, dotykalne boskiej Jego miłości dowody, iż się „spełnia doskonale proroctwo Izajasza: *Oczy twoje pa- „trzyć będą na Mistrza twego.*

„A jeżeli wszystkie Jego czyny są dla nas słowami „nauki, cóż dopiero cuda, które są razem zdumiewają- „cemi dziełami i niewymownemi słowami; czynami jako „historycznie prawdziwemi, słowami, jako mistycznie lub „proroczno rzecz boską przedstawiającemi. Gdybyśmy, „woła święty Fulgencjusz, gdybyśmy po wszystkie chwi- „le tylko zdziałane przez Chrystusa cuda rozważali, oh!

⁷⁾ Spiegazioni Evangeliche contenente La Scuola de' Miracoli ovvero Omilie sopra le principali opere della potenza e della grazia di Gesù Christo. (3 vol.)

„jakżeby się wiara w nas spotęgowała, jakby się rozpłomieniała pobożność, a postęp w cnoty jakże byłby stały i „olbrzymi! Przekonani o prawdzie tych słów, oświadczamy drodzy chrześcijanie, iż w ślad za Apostołem narodów, nie chcemy wam opowiadać nic innego, tylko o „życiu, o czynach, o cudach Pana. Jego życie i czyny to „wielka księga, księga, z której możecie zaczerpnąć moc „wiary, cnoty, i mądrości bożej ⁸⁾).

Po męce i cudach idą *Parabole Ewangeliczne*. Przedstawiony w nich Zbawiciel świeci najwyższą mądrością i objawia przez nią swe bóstwo. O. Ventura jest tu niewyczerpany i tyle z każdego zdania, z każdego słowa skarbów wydobywa, tyle w jego wykładzie życia, takie w przytaczaniu najpiękniejszych zdań Pisma świętego i Ojców bogactwo, taka we wszystkim jedność a razem taka różnorodność, taka razem ścisłość teologiczna, spokojność i pewność w dowodzeniu, taka misyjność, żarliwość i podniosłość ascetyczna, że widoczną jest rzeczą, iż cały ten wykład dokonanym został pod światłem, którego sama nauka nigdy dać nie zdoła, ale którym umysł rozjaśnia miłość działająca przez modlitwę, usposabiająca do głębokich rozmyślań, i odsłaniająca tam nawet niezliczone skarby znaczenia, gdzie i najuczciwszy komentator przy chłodzie serca niczegoby się nie dobrał. W homiliach tych, jak i w poprzednich, wszystko znaleźć można, co tylko było do znalezienia. Jest tam i chrześcijańska filozofia i dogmat jak najżywotniej przedstawiony, są oparte na dogmacie przepisy moralności, jest poważna i gorąca polemika, są miejsca pełne tkiwości, zdolne najtwardsze rozbroić serca, są dowodzenia pełne żelaznej siły, zdolne pokonać i upokorzyć najdumniejsze wielką nauką umysły, są święte pociechy mogące służyć za balsam ulgi lub uzdrowie-

⁸⁾ Omilia prima. *Il Giovine Indemoniato*. §. 1.

nia na najboleśniejse rany serca, a to wszystko tak uporządkowane, tak jedno z drugiego płynące, tak bosko-symetryczną tworzące całość, że się od nich oderwać nie można.

Takim—jest ojciec Ventura w Homiliach, teraz proszę mu się przypatrzeć w kazaniach pogrzebowych.

Kazania pogrzebowe, to część mymowy kościelnej niezawodnie najtrudniejsza. Rodzaj ten, niezwany starożytnym, stworzony został przez silną wiarę w nieśmiertelność ludzkich przeznaczeń, którą katolicyzm natchnął swych wyznawców oraz przez wiarę w stosunki istniejące między trzema społecznościami: walczącą, cierpiącą i tryumfującą, które katolicyzm objął w tych dwóch wyrazach: *Świętych Obcowanie*. Kazania pogrzebowe zwykle też na tych dwóch zasadniczych punktach naszej wiary budowane, mają być razem nauką zdjętą z życia a dowodzoną czynami i potiechą wysnutą z przekonania wiary, iż życie osoby, której stratę oplakujemy nie znikło, ale się na stopień doskonałości podniosło, lub przez modlitwy podnieść się może; mają też być żywym przedstawieniem zapasów życia z śmiercią toczących się przez przeciąg egzystencji człowieka na ziemi i tryumfu, który każdemu zapewnia religia po dobrém życiu i po dobrej śmierci; a na koniec mają być, zwłaszcza też nad grobem wielkich ludzi, wykazaniem działania Opatrzności posługującej się dla szczęścia rodu ludzkiego, dobrą wolą, zacnem czynami i poświęceniem Chrześcian, oraz przypomnieniem, czem jest potęga ludzkiego rozumu, ludzkiej woli, ludzkiej miłości, ludzkiego działania, ludzkiej sławy i powodzenia a nawet ludzkich nieszczęść i boleści, podniesiona do znaczenia rzeczywistej siły i ku wiecznym skierowana celom przez współdziałanie Boga. Trudność tego rodzaju wymowy właśnie to stanowi, że ją do wystąpienia zawsze ta sama przyczyna, tenże sam fakt zaszłej śmierci wywołuje; powtórę, że

się w niej wszystko do jednego mianownika, do jednej i tejże samej nauki o rzeczywistej wartości tego, co jest wieczne, a o nicości tego, co jest doczesne, sprowadza; nakoniec, że chcąc uniknąć powtarzania miejsc komunalnych, z drugiej strony prawie jest niepodobna uniknąć powoływania się na zdarzenia z życia nieboszczyka, na zdarzenia, które, albo jak zwykle mniej więcej są pospolite, wszystkim wspólne, a przez to samo nic szczególniejszego do zauważania nieprzedstawiające, albo co rzadko się zdarza, są wielkie, wyłączone, nadzwyczajne, następstwami wielkimi ciężarne, z całemi społecznościami stosunek mające, i wywołujące wielkie zmiany, albo na nie przeważnie wpływające, a tem samem znówu wymagające w mowcy nie tylko znajomości rzeczy świętych ale nawet umysłowo wyższego na rzeczy poglądu i pewnego zmysłu syntetycznego, zdolnego chwycić związek między rzeczą a rzeczą między człowiekiem a epoką w której żyje, między czynami zmarłego a powszechną dążnością i potrzebami społeczeństwa, a co największa między ubiegłym życiem a myślą Bożą, czyli posłannictwem dla spełnienia którego życie to wywołaniem zostało. Wszakże dla tego samego, że ta część wymowy religijnej tyle trudności przedstawia, kiedy jest podjęta i dokonana szczęśliwie, najpotężniej o genialności mowcy stanowi. Bossuet jako orator właśnie mowami pogrzebowymi wznosił się na najwyższy szczyt sławy, Flechier i Mascaron mowami pogrzebowymi najbliżej stanęli, téj kolosalnej postaci, gdy tymczasem tacy nawet mowcy jak Larue i Beauvais ledwie, że przy nich są dojrzanymi; tak dalece zdolność w téj mierze, jeżeli nie jest znakomitością pierwszego rzędu, znakomitością nadzwyczajną, na mało się przydaje. Włochy ta wtóra po Grecyi ojczyzna mowców wszelkiego rodzaju, pod względem kazań pogrzebowych ledwie że dwóch przedstawiają, z których jeden na Bossuetowskiej

stał wysokości, a drugi już obok niego i z Mascaronem niewytrzymać porównania ⁹⁾). Pierwszym jest właśnie Ventura, a jest nim według zdania ludzi najuczeńszych. Jego *Elogi Funebri* liczą się do *arcydzieł wymowy włoskiej*, a trzy z nich są niezawodnie arcydziełami wymowy tegoczesnej i pozostaną na zawsze chlubą wymowy kościelnej. Słuchajmy co o nich mówi znany w świecie literackim Baraldi: „Niepierwszy to raz wspominamy w dziele naszym o słynnym autorze mów pogrzebowych, w których wszystko znakomitości jego wysokie oddaje świadectwo, a które się czytają z niewysłowionem zadowoleniem. (Jakże się dopiero słuchały! ¹⁰⁾)“ W samej rzeczy trudno najdoskonalej w jednym przedmiocie połączyć i potęgę rozumowania i wysokość poglądu i głębokość wiedzy i znajomość metafizyki i zręczność w władaniu bronią polemiki, i żar młodzieńczy w uczuciach i męską dzielność w wymowie i starą wytrawność w sędzi. Wymowa pochwalna przez takich ludzi podjęta nie gubi się w próżnym dźwięku słów, nie kończy się na krągłych frazesach i zręcznych porównaniach, na brylantowo-pietystycznym gadulstwie, ale czuje, że wtenczas tylko prawdziwie jest wielka, gdy wielkie rzeczy podejmuje, wiąże i przedstawia; że wtenczas tylko jest prawdziwie pożyteczną, kiedy służy rzeczywistym interesom tak człowieka jak społeczności, kiedy w myśl Chrystusową dotyka najistotniejszych stosunków między człowiekiem a społeczeństwem i Bogiem.

⁹⁾ Sławny professor Bernardoni tak się o nich wyraża: „Quoad „laudationes funebres exemplo sint: Turehins, de laudibus Mariae „Theresiae Austriacae; et P. Ventura ex Theatina familia in obitu „Pii Septimi P. M.: qua funebri oratione, jam septies excussa, summam apud omnes eruditissimos viros sibi gloriam comparavit. (*Preceetti ed Esempii di Eloquenza Sacra desunti da Padri e dei dettori della Chiesa. Milano 1831.*)

¹⁰⁾ *Memorie di Religione e di Letteratura.* Tom 12. str. 279.

Wzniosła, odważna, i pewna siebie, bo na zasadach ewangelicznych oparta, posługuje się wszystkim, co w zakresie wiedzy ludzkiej prawdziwie jest wielkie a sama obsługuje nieskończenie nad wszystko wyższą sprawę Pańską. Tuliusz, Plato, Demostenes podają jej na kolanach jak królowej zdobyte potęgą swego geniuszu siły, a ona, rozumując, filozofując, i dowodząc z nimi, naucza, pociesza, wzmacnia, podnosi i uświęca tylko z Chrystusem, będącym dla niej początkiem, z którego wychodzi i końcem, do którego potężnym swym prądem wszystkie umysły i wszystkie serca porwać usiłuje. Ventura tak pojmował i tak też podjął tę gałąź wymowy kościelnej. Oto, co sam mówi w przedmowie do pierwszej edycji swych mów pogrzebowych: „Poświęciwszy od lat niewielu szczupłe me zasoby i usiłowania najświętszej i najdroższej sprawie religii, pragnąłem w tych kazaniach, podobnie jak we wszystkich moich pismach przedstawić jej najwyższą prawdę, świętość, pożyteczność, dzielność i piękności, oraz wdrożyć w umysły i serca wielkie a jedynie z niej płynące zasady porządku i życia, które w smutnych naszych czasach, same tylko uratować jeszcze zdołają chylącą się ku ostatecznej ruinie społeczność. Jestem przekonany, że jeżeli po strasliwie groźnym przesileniu, jakie ród ludzki przechodzi obecnie, społeczność wyjdzie szczęśliwie, to nieinną podźwignięta siłą, tylko tą samą, która ją stworzyła, a która stanowi grunt Chrystyanizmu. I w tem właśnie przekonaniu starałem się zawsze z tej wysokości religijnej obejmować zdarzenia i to co się zdawało być tylko miejscowém, prywatném, usiłowałem przedstawić w pewnym związku z interesem powszechnym, w odniesieniu do potrzeb społecznych i do ostatecznych naszych przeznaczeń.“

I w samej istocie, dziwne, niespodziewane, niewyrachowane wypadki napelniające historią ostatnich cza-

sów niemogły wielkiego mowcy religijnego inną natchnąć myślą, innem pragnieniem. Takie czasy zwykle wytwarzają tego rodzaju znakomitości, i kiedy umysły małe pozbawione gruntu wiary gubią się w zamęcie zdarzeń, umysł wyższy, wykształcony pod wpływami religii podoba sobie w wykazywaniu ukrytej we wszystkim woli Opatrzności i w upokarzaniu ludzkiego rozumu, który im smutniej błądzi tem się uporczywiej stawia jako naczelne prawo wszech rzeczy i najwyższy ludzkich przeznaczeń kierownik. Taki umysł jest prawdziwem błogosławieństwem na czasy wielkich przesileń, bo żadna tyrania tak niemorduje, jak tyrania z wiarą rozwiedzonego rozumu. Nikomu z chrześcijańskich filozofów nie udało się pod tym względem tak głęboko wniknąć w myśl Bożą, jak autorowi Wieczorów Petersburgskich, to też przy jakimkolwiek podniesieniu religijnem, w chwilach, jak te nasze, niesłychanie wyszedł on na wierzch i coraz więcej wychodzi, jako błoga oaza w Saharze *czystorozumowych* na rzeczy poglądów.

Co najsilniej w tym zamęcie najsprzeczniejszych i niespodziewańszych zdarzeń, zapelniających całe prawie ostatnie stolecie owe potężne umysły uderza? Co w ich oczach największe światło na historią wszystkich wstrząśnień politycznych i społecznych rzuca? Co im tłumaczy straszliwą zagadkę tych dwóch najostatniejszych sprzeczności jaką jest anarchia i despotyzm? Co rozwiązuje tajemniczą kwestyę krwi i błota, któremi bluzga na wszystkie ziemskie wielkości, obluzgana i upojona swawola rewolucyjna — a razem niesłychanej politycznej, jednego człowieka potęgi, przed którą się korzą zdumiałe i umordowane ludy? — To jedno, że za odstępstwo od *Prawdy* Bóg karze jednych drugimi, a karząc, jednych przez drugich, do *Prawdy* sprowadza; to jedno, że, gdy sama tylko prawda, prawda boska, Prawda-Bóg stanowi rzeeczywisty węzeł

społeczny, zjednoczenie umysłów i serc — stosunki żywotne, więc za odstępstwem od niej, za buntem przeciwko niej, za wojnę jej wypowiedzianą, za zamachem jej zamordowania idzie odstępstwo stanu od stanu, idzie wzajemne rozdzieranie się, potarganie wszelkich stosunków, śmierć społeczności i jedyna siła łącząca rozpadać się członki — to jest rewolucyjny lub despotyczny terroryzm.

W kazaniu na pochwałę Piusa VII Ventura z tej wysokości spoglądał rzeczy..

Bo też właśnie historia Piusa VII pełna owych nadzwyczajnych zdarzeń niemogła być ani z innego punktu objęta, ani według innego kryterium sądzona. Święty ten Papież rzucony w społeczność całkiem zrujnowaną, postawiony w obec ludów wypowiadających wszelką uległość i w obec potęgi niszczącej wszelkie instytucje i tradycje ludów, wystąpił w dziejach jako męczennik restaurator. Żywiol antykatolicki burzył do reszty wielki gmach społeczny; katolicyzm zbierał szczątki i runące ściany siłą swego poświęcenia podpierał. Ostatecznym wyrazem pierwszego był Bonaparte najwyższym wyrazem drugiego był Pius VII. — Mowca dwie te postaci schwylił w jeden obraz — dwa posłannictwa tak sprzeczne przedstawił w żywym zetknięciu jako dwa narzędzia Opatrzności. Niesłychany kontrast dwóch wielkich geniuszów, geniuszu potęgi materialnej i geniuszu ewangelicznego poświęcenia, przedstawił się syntetycznemu jego umysłowi, jako przedmiot do najgłębszych spostrzeżeń i do najżywotniejszych nauk.

Z przedstawienia dwóch naczelných zdarzeń łatwo czytelnik zrozumie do jakiej wysokości w mowie tej wzniósł się Ventura, a tem samem, jakie ona zajmuje miejsce wśród nielicznych arcydzieł tego rodzaju wymowy.

Pierwszem jest konkordat zawarty między Piusem VII a Napoleonem.

Któż niewie, jak wiele sprzecznych zdań i sądów wywołał i wywołuje do dziś dnia ten wielki akt potęgi papieżkiej, akt będący niezawodnie w owych czasach antykatolickich najwznioślejszym obrazem starłej powagi i boskiego majestatu ojca chrześcijaństwa, akt wypowiadający jak najdobitniej w obec protestującego świata przeciwko wszelkiej władzy i wpływowi kościoła, że po ośmnastu wiekach działania Ewangelii w pośród ludzkiego rodzaju, *spółeczność ludzka polegająca na zespoleniu umysłów i serc nie może być społecznością jeżeli serc niejednoczyć miłość objawiona przez Chrystusa a tryskająca żywym źródłem jedynie z serca Kościoła*: — Akt w którym na wielki podziw świata na upokorzenie dumy ludzkiego rozumu, na naukę wszech wieków widziano jak rewolucya wylęła ze spisku na zniweczenie katolicyzmu, tajemniczą siłą pchnięta sama się zwraca ku niemu, zdeptane prawa Kościoła podnosi, przed jego władzą się korzy, najwyższy kierunek nad społecznością przyjmuje i uznaje; na koniec akt dziwny, w którym Papież zdający się czynić koncessyę dla Państwa, koncessyę Państwa zdobywa, a następujący coś z swych przywilejów, używa najwłaściwszego przywileju traktując z szczegółową społecznością jako najwyższy zwierzchnik społeczeństwa powszechnego.

Ventura w przedstawieniu tego wielkiego aktu z życia Piusa VII chciał wykazać, jak on wielkimi ciężarony był następstwami nie tylko dla Francyi, ale dla całej Europy, dla całego chrześcijańskiego świata, jak w konkordacie najważniejszym ze wszystkich ówczesnych ¹¹⁾ założone zostały fundamenta przyszłych stosunków Ko-

¹¹⁾ Il più importante, e, per le conseguenze di cui non è possibile il calcolare tutta l'estensione, il più utile - di tutti i Concordati, che il Sacerdozio abbia mai concluso coll' Impero. (W edycyi rzymskiej z r. 1845 str. 81) —

ściola z Państwami, nasienie zgody i pokoju między ludem Chrześcijańskim zwracającym się jak syn marnotrawny ku ojczySTEMU domowi, a ojcem powszechniej społeczności. Oto co mówi o przeznaczeniach Francyi i jej dziwnych wpływach na wszystkie inne narody: „Pius zdawał się zapomnieć o Europie, o całym świecie i tak nadzwyczajnie zajęty był Francją, jak gdyby interes całego katolickiego świata leżał w interesach Francyi, jak gdyby Prawda koniecznie potrzebowała Francyi. Ah tak! On widział, że aby Europie powrócić religią, trzeba nią było najpierw obdarować Francję. Bo ten naród swoją mową, duchem swego prozelityzmu, tyranią swoich mód i swoich zwyczajów, wielką opinią o swoich wewnętrznych zasobach, wdziękiem swojej rzutności, dziwną wywiera władzę, a nawet pewnego rodzaju despotyzm na wszystkie umysły europejskie. Narody nawet nienawistne wielkości Francyi niemogą się powstrzymać od przyjmowania jej zwyczajów i jej języka. Berło opinii w jej ręku, wszechwładny wpływ nad umysłami w jej potędze. Ażeby podbić Europę, trzeba by, na to, zjednoczyć wszystkie siły innych ludów, ażeby ją zrewolucjonizować, to potrafi sama Francja przez zmianę w opiniach, w przekonaniach, w pojęciach. Kiedy najsłabszy z narodów miałby sobie za hańbę przyjmować narzucone pojęcia i zwyczaje narodów najpotężniejszych, tymczasem narody najpotężniejsze i najdumniejsze z swych własnych instytucyj podobają sobie w hołdowaniu samemu szaleństwu Francuzów. Kiedy angielski filozofizm i niemiecki fanatyzm marzyć tylko i rozprawiać umiały o rewolucyi, sama Francja zdołała jej dokonać, a kiedy świat cały zadrżał przed rewolucyi burzącą potęgą, sama Francja zdołała obedrzyć ją z jej zdobyczy i ona sama zwróciła się ku Kościołowi z bezinteresownością i wielkomyślnością potężnego ludu. Wrócić więc religię temu ludowi przeznaczonemu do tego po wszystkie cza-

sy, ażeby, proszę mi wybaczyć to wyrażenie, ażeby nadawał ton swemu wiekowi było toż samo, co zapewnić jój posiadanie całej Europy! I oto dla czego Francya stała się jakby wyłącznym przedmiotem uwagi, troskliwości i działania Ojca i najwyższego Zwierzchnika powszechnej religii ¹²⁾.

Przedstawiwszy następnie trudności zawarcia konkordatu, a co większa, trudności zastosowania, oraz jak nad wszystkiemi Pius VII zatryumfował swoją nadzwyczajną słodyczą i nieograniczoném poświęceniem, tak jój następstwa maluje:

„Religio święta! Oto dni piękne twojego tryumfu!
„Ledwie, że się we Francyi katolicyzm podniósł z swych
„popiołów, ledwie, że na gruzach bóstwa sromoty chci-
„wego krwi i pożogi wznosił się znak ludzkiej nadziei,
„znak pokoju, pociechy, zbawienia, alie natychmiast na
„tój ziemi tak już nieszczęśliwej wszystko zmieniło swą
„postać. Zabiegi Jakóbinizmu zmordowane, upadają, ucie-
„ka krwawy duch zniszczenia. Na miejsce dawniej, stra-
„szliwej energii tworzącej chaos i śmierć upładniającej;
„powstała nowa potęga z samychże ruin życie wywodzą-
„ca. I wnet się wzniosły świątynie, z gruzów powstały
„ołtarze, cześć pańska w dawnym ukazała się blasku,
„hierarchia kościelna, jak gdyby z pod ziemi z całém
„swojem życiem wyszła, kościołom wrócono paste-
„rzy; apostołstwo chrześcijańskie, ten boski źródło po-
„koju i nadziei z dawnymi swojemi wpływami, da-
„wną odzyskało dzielność; głos zwiastunów ewangeli-
„cznych zabrzmiał w świątyniach na wielką pociechę
„spragnionego u dobrych słowa prawdy słuchu, chłosta-
„nego przedtem naukami niszczącego ateizmu, a zbłąka-
„nych na drogę prawdy sprowadzał. Duch świętego
„Wincentego à Paulo żywy jak wiara, czynny jak na-

¹²⁾ Str. 24.

„dzieja, jak miłość potężny zmartwychwstał z swoich „popiołów na wielką pociechę wszelkiego rodzaju cierpiących i nieszczęśliwych; lud ujrzał znowu swojego „Chrystusa; Kościół się pocieszył powrotem najszlachetniejszej części swych owieczek; Bóg wrócił i zamieszkał w swym Sijonie; Francya weszła na nowo „w drogie stósunki braterstwa z światem katolickim, „stanęła znowu z świetnym tytułem arcychrześcijańskiej „wśród europejskiej rodziny; z hordy świętokradzkich „barbarzyńców przemieniła się w naród i zasiadła wyznaczone sobie przez Kościół pierwsze miejsce wśród „ucywilizowanych ludów!“

Drugim wielkim epizodem podjętym przez Venture w mowie o Piusie VII. i z niesłychaną przedstawionym siłą, była koronacya Bonapartego. Wielki ten akt, któremu tylko nienawiść, albo niewiedomość może mieć coś do zarzucenia, był niezawodnie najwyższem wykonaniem prawa, wypływającego z władzy papieżkiej względem społeczeństwa, oraz głośnie, dobitną, stanowczą protestacyą przeciw wszystkim uzurpacyom bezbożnego ducha czasu. Nie było to w samej istocie coś nadzwyczajnego, ażeby człowiek rewolucyi, władzca wyszły z ruin gmachu społecznego, geniusz wyniesiony najniesłychańszą dumą albo raczej wiarą w swoje własne siły, ażeby ten człowiek w obec świętokradzkiej Francyi, w obec gorzej jak protestanckiej Europy, w obec opinii całego świata potępiającej i depreczającej wszystko, co tylko w życiu społecznem mogło być jakąś reminiscencyą władzy i wpływów Kościoła, zwracał się jawnie ku Głowie tego Kościoła, i wzywając go na cały głos do bluźniaczej jeszcze przeciwko Bogu stolicy, głośnie wyznawał, że potęga i majestat jego nie mogą mieć rzeczywistości, póki mu swego błogosławieństwa religia nieudzieli, i że aby mógł być władzcą, potrzeba było, ażeby Kościół czoło jego otoczył świętym majestatem! Nie by-

łoż to coś prawdziwie oudownego, iż tego głosu nie zagłuszył powszechny krzyk publicznej opinii, widzącęj w tym akcie zwrót do wieków barbarzyńskich i oburzającęj się na samą tę myśl, że najwyższy reprezentant wielkiego narodu schyla się przed majestatem bezsilnego i wzgardzonego kapłana! Jakież tu dziwne rozrządzenie Opatrzności! Papież — jako papież, jako głowa Kościoła, jako namiestnik Chrystusa, jako klucz w sklepieniu społeczném, jako najwyższy widomy wyraz stosunków ludzkiego rodzaju z Bogiem, Papież — w stolicy świeżo zbluzganęj krwią katolików, kapłanów, biskupów! Co tu za myśl Boska? Jaka siła?

Ventura odpowiada: „Potrzeba było, ażeby Kościół tam właśnie boskiem swém życiem najpierw i jak najwyżęj zajaśniał, gdzie najsamprzód i najgłośnieję śmierć jego zawyrokowano.“

Podług niego wpływ władzy papieżkiej nieodzownym jest do ustalenia stósunków między rządzącymi a rządzonymi, czyli do utrzymania chrześcijańskiej prawdziwęj monarchii, która się wyradza we wschodni despotyzm albo w rewolucyjną anarchię, wielokroć razy wpływ ten zaprzeczony i odepchnięty. To straszne następstwo powiada on, jest nie do uniknienia i na próżno chciałby go zaprzeczać umysły religijne, gdyż wszelkie argumenta i subtelności bezbożnej polityki obala doświadczenie i ten pewnik, że społeczność głównie polega na harmonijném zespoleniu dusz, nie zaś na *wspólności doczesnych interesów*, a zespolenia tego dokonywa miłość wzajemna, którą Chrystus przyniósł i Kościołowi przekazał; przeto bez zdecydowanego kierunku religii przez Kościół niema i być nie może należytej społeczności ludzkiej¹⁵⁾. Oto są jego słowa:

¹⁵⁾ To tak dalece, że sami pogańscy filozofowie zasadniczo to prawo społeczności uważali za wykonywane przez bóstwo i za jedno z religii. Plato (Lib. IV. de Leg.) powiada: *Religio vera est*

„Rewolucya, ta straszna plaga gniewu bożego przebiegła Europę szybkością piorunu i wszystkie wywróciła trony. Od téj chwili wielu z panujących doszło do tego, iż dobrze zarządzili, żaden przecież nie królował prawdziwie. Dopóki Francya miała tylko konsulów, dopóty Europa nie mogła mieć prawdziwych monarchów. A więc interes całej Europy wymagał podniesienia tronu francuzkiego, a ów tron wpływem swoim wnet miał podnieść inne trony. Wskazże tronu Francyi

firmamentum reipublicae. Cicero w mowie przeciw Verresowi powiada, że się wszystko siłą religii porusza: *Omnia religione moventur* (V. in Verrem); a w dziele *de Legibus* (I, 7) społeczność ludzką o tyle za społeczność uważa, o ile jest jedno z społecznością boską: *Una civitas communis deorum atque hominum existimanda*. Seneka najbliższy Chrystyanizmu wyraża się silniej, niż poprzedni mówiąc: *Philosophia docuit... pene deos imperium esse inter homines consortium* (Epist. 90), a poniżej: *Omne hoc quod vides, quo divina atque humana conclusa sunt, unum est, membra sumus corporis magni*. Co do pisarzy Chrześcijańskich, pomijając Ojców Kościoła, którzy jak Tertulian, człowieka uważali o tyle z natury za istotę społeczną, o ile już z natury jest chrześcijańskim, albo jak Augustyn, społeczność ludzką, o tyle uważali za społeczność, o ile była *społecznością Boską* (*De Civitate Dei*), pomijając nawet i pisarzy średniowiecznych, żyjących w epoce najwyższego wpływu Kościoła na pojedyncze państwa i na najistotniejsze stosunki między ludami a panującymi, pomijając tych wszystkich, nawet i Ś. Tomasza (z którego à propos naszej rozprawy *O Dziennikarstwie* ktoś przytacza dystynkcyę między prawem cywilnem a kościelnem, jak gdybyśmy byli napisali: O tożsamości kanonów kościelnych z kodeksami cywilnymi), pomijając mówię i Śgo Tomasza, który rozróżnia społeczność ze względu na jej *dwa swierszchnictwa*, ale razem jak najdobitniej utrzymuje, że społeczność świecka o tyle w prawdziwem znaczeniu między ludźmi istnieć może, o ile istnieje w swym żywiole rzeczywistym i na istotnej swojej podstawie, to jest o ile jest katolicką — pomijając to wszystko, zapytujemy naszego krytyka, czy w samej istocie przekonany jest, że kościół i społeczność ludzka to są rzeczy esencjonalnie różne i stojące obok siebie bez wężła żywotnej jedności? Nie pytamy się o fakt tylko o zasadę, bo nie wnioskujemy od *jest* do

„żadne inne wznieść nie mogły ręce, krom tych samych, „które niegdyś tron ten zbudowały, to jest ręce religii, „i gdyby palec boski nie poświęcił na nowo tak sponie- „wieranej, podeptanej władzy, Francya mogłaby była „mieć jeszcze krzesło krwawego dyktatora, ale by nie „miała tronu Karola W., świętego Ludwika, i Europa „miałaby także tylko dyktatorów. Dla dobra zatem „państw europejskich, było to rzeczą konieczną, ażeby „w tej samej Francyi syn rewolucyi tę jedność podniósł

być powinno? Prosilibyśmy, aby nam zacytował społeczność *praw-
dowiną, żyjącą, osiągnącą swe przeznaczenie*, któraby nie wzro-
stała na gruncie religijnym? Prosilibyśmy dalej, aby nam wytłuma-
czył co znaczy ta *ścisła, wewnętrzna, żywotna jedność* praw reli-
gijnych i praw politycznych w układzie każdej szczegółowej spó-
łeczności, jakakolwiek byłaby forma jój rządu (rządu, który jak
nam się wydaje sz. krytyk bierze za synonim społeczności i zasadę
jedności społeczeństwa z Kościołem miesza z ochotkami jednoczenia
spraw Stanu z sprawami religii) i co znaczy potrzeba władzy i wpływu
kapłaństwa niewiedzieć gdzie rozleglejsze, czy w narodach półbar-
barzyńskich, czy w państwach ucywilizowanych? Niech nam też
wytłumaczy ów fenomen społeczny, że wielokroć razy w jakiejś
epoce wpływ religii słabnie, tylekroć razy wszystkie węzły spó-
łeczne rozwiązują się lub pękają? Czem się stało, że ze społeczno-
ści tak do zbytku pełnej życia, jak była społeczność Rzymian,
skoro tylko prawa i instytucye zbudowane na dogmacie przeniesiono
na grunt filozoficzny, został tylko wielki trup? Dla czego spó-
łeczność nowa na jój grobie wzrosła wzięwszy wszystko od Kościoła,
swoją esencjonalną formę, swe instytucye, hierarchią, trwałością
swoją i doskonałością przeszła wszystkie inne i ułożyła się w na-
rody-siostry składające jedną rodzinę pod najwyższym zwierzchni-
ctwem Rzymu? Czem się stało, że gdy przyszła arcyheresya i arcy-
odazosepięństwo Lutra *protestujące* najprzód przeciw władzy, kie-
runkowi i wpływom kościoła, natychmiast ukazał się także zaród
śmierci w społeczności? Co rozzerwało na szlaki Państwo Niemie-
ckie, co zniżyło braterstwo narodów, co wywołało stary, po-
gański, pożerający antagonizm, co rozdarło stany, co zachwiało i
zniweczyło najżywotniejsze społeczne stosunki, co dziś odpycha
umysły i serca, że się ludzie w żaden sposób porozumieć nie mogą?
Czy tego nie zrobił rozwój Społeczeństwa z Kościołem? Jeżeli

„i ustalił. Tak jest; koronacya Bonapartego była rzeczą „nieodzowną. Pius VII, oświecony światłością z góry wi- „dział, że jakkolwiek ta koronacya nie była według zasad „zwyczajnej, w ciasne ramy ludzkiego sposobu widzenia u- „jętej sprawiedliwości, przecież wymagało jej niebo w moc „zasad sprawiedliwości wyższej, powszechniejszej!... Nie „ludzkiej zatem radził się rachuby, ani dogadzał wido- „kom osobistej dumy, ale szedł za kierunkiem wyższe-

spółczenstwo a Kościół to rzeczy całkiem różne, więc pytamy się
czem wówczas jest Kościół? Czy Kościół *nie jest zgromadzeniem*
wszystkich wiernych pod przewodnictwem jednego Pasternka?
A cóż to jest takie zgromadzenie jeżeli nie najżywotniejsza spół-
czność? Ale są spólczności istniejące po za Kościołem. *Sq.* ale
powtarzamy iż nie pisaliśmy historii tego *co jest*, tylkośmy przed-
stawili zasadę i z niej wnioskowali *jak być powinno*. Powiedzie-
liśmy wyraźnie, że *fakt nie może stanowić zasady*. Skoro tylko
na zasadzie *faktu* uznano, że spólczność cywilna istnieje sama
w sobie niezależnie od tego, co w średnich wiekach było jej duszą,
to jest od Kościoła, zaraz wyszło na wierzch to nierozumne pyta-
nie: *Czy Kościół istnieje w Państwie czy Państwo w Kościele?*
za którym znów poszło owo zabijające axioma, *cujus regio ejus*
et religio, tak dalece rozdzielił Spólczności od Kościoła wiedzie
zaraz do zgubnej *smieszki* żywiołu duchowego z żywiołem mate-
ryalnym spólczności. Zresztą cóż stanowi fundament spólczności?
Sprawiedliwość. Ale co to jest sprawiedliwość? *Est juris substan-*
tia. Trwanie, żywotność prawa. A co to jest prawo? Jest to odda-
nie każdemu, co mu się należy. Cóż się każdemu należy? Oto wiel-
ka kwestya! Kwestya po za religią, po za katolicyzmem wiecznie
problematyczna. Religia przed Chrystusem jakkolwiek niedoskonała,
zepsuta, zeszpecona, oparta przecież na gruncie szczątek z pierwo-
tych tradycyi umiała to prawo jako tako regulować, a o ile nie
umiała o tyle spólczności nawet takie jak Grecka i Rzymska rządy
antyspólcznym duchem swych instytucyj. Religia żydowska każde
prawo na stosunkach z Bogiem opiera; przychodzi Zbawiciel i obja-
wia, co świat ledwie przeczuwał, to jest prawo wykazujące co się
ludziom od ludzi należy: *Przykazanie nowe daję wam, abyście się*
spólecznie miłowali, jakom ja was umiłowem. Oto jest zasada
spólczna.

„go natchnienia, za wolą niebios i działał w myśl najwyższego interesu całej Europy.

„To też kiedy w tej uroczystej okoliczności umysły płytkie, powierzchowne, upatrywały tylko ukoronowanie żołnierza, umysły głębsze, wieley polityczni myśliciele „widzieli w on dzień powstającą z ruin monarchią europejską. Tak jest, Pius VII nie uświęcił tym aktem „uzurpacyi ale przywrócił władzę (*ristabili la Sovranità*), „nie ustanawiał nowej monarchii, ale odnowił starą i tak „odnowił, żeby mogła służyć za punkt oparcia, za fundament dla wszystkich innych; on niekoronował syna rewolucyi, ale narzędzie i namiestnika prawności (*vicario della legittimità*). . . . Rewolucya głosiła aż do znudzenia i obrzydliwości, że *wszelka władza pochodzi od ludu*, a teraz przez usta swego najwyższego reprezentanta, zbyt mało dbającego o *głosowanie ludu*, nalega „z pewnego rodzaju natręctwem (mniejsza o to w jakiej „intencji) o *papieżkie poświęcenie*, a tym aktem protestuje w obec tego samego ludu, który uwodziła, protestuje „przeciw swym burzącym naukom i publiczny hołd oddaje wielkiej, konserwatywnej zasadzie porządku, że *wszelka władza pochodzi od Boga*. . . . Pius VII i Bonaparte, baranek i lew, dwaj ludzie dwóch ostateczności pod względem charakteru, geniusze uczuć, myśli i „działania stają razem jako dwa wielkie wybrane od Boga narzędzia celem dokonania tego dziwnego odrodzenia Europy. Bonaparte podnosi trony a Pius VII w jednym wszystkie poświęca. Bonaparte ogłasza na nowo „władzę, a Pius VII tę władzę godzi ze społecznością. „Bonaparte wraca jej siłę, Pius wraca jej powagę, to „jest boski urok, którego siła jest w niej śmiercią tak „rządzonych jak rządzących. Jeden działa heroizmem rycerstwa, drugi heroizmem świętości swego charakteru „i świętości cnoty. W tém wszystkiém i Bonaparte i Pius „wypowiadają, iż papieztwo jest czém było zawsze, że jest

„*władzę prawdziwie zasadniczą wszelkiej inniej władzy*“.

Tak się wielkiemu mowcy przedstawiły wielkie kontrasta polityczne w czasie, kiedy do podobnych spostrzeżeń stan Francyi i stan Europy bynajmniej nie zdawał się upoważniać. Ale dla umysłu wyższego, patrzącego na rzeczy pod światłem religii, stan istniejący nie stanowi jeszcze ostatniej instancyi, ani najpewniejszego próbierza do sądu o rzeczach; on wśród chaosu sprzecznych widzeń, sprzecznych chęci, nadziei i wniosków nie szuka arcymysli wielkich zdarzeń, ani się kieruje sądem opinii zbyt jeszcze bliskiej owych zdarzeń, ażeby mogła być wolną od wpływów namiętności; on oparty na zasadach boskiej łaski, wychodzi najprzód z odwiecznych wszech rzeczy syntezy, którą jest Bóg, a zstępując po różnych stopniach krzyżujących potęg i zdarzeń, wskazuje analitycznie współczesnej i potomnej społeczności, jak na dnie wszystkiego tkwi jedna, niezmienna i opatrzna wola Twórcy człowieka i Twórcy wszechspołeczeństwa. Tym sposobem mowca staje się nauczycielem i pocieszycielem społecznym, nauczycielem, bo ludzie potrzebują, ażeby im wciąż przypominać, z kąd tryska źródło światła, moralności i szczęścia, czyli jednym słowem prawdziwej cywilizacyi społecznej; pocieszycielem, bo wśród rozpaczliwego obrazu szaleństw, nędzy i nikiemności, napełniających życie narodów, umysł i serce ludzkie potrzebują jakowejś wielkiej i rzeczywistej pociechy, której nie innego dać nie może krom rozważania woli boskiej kierującej zdarzeniami, i prowadzących wśród nich ludy i ludzi do wytkniętych im przeznaczeń. O. Ventura jest niezawodnie pod tym względem jednym z najznakomitszych tegoczesnych myślicieli; trudnoby było lepiej schwycić i przedstawić charakter chrześcijańskiej polityki. Jego wymowa porywa myśl i nadawa zarazem dojrzałość i polot, bo się też sama wzbija na skrzydłach religijnej wielkości i chrześcijańskiej wolno-

ści; pierwszej mieliśmy próbkę w ustępach mowy na cześć Piusa VII, druga wionie z każdego zdania mowy pogrzebowej, na cześć Daniela O'Conela.

Mowie tej wielu wiele zarzucało, ale cenzura rzymska zamknęła usta surowym krytykom, gdy ją pozwoliła ogłosić drukiem tak, jak była powiedziana. Prezes cenzury X. Buttaoni, który z najgłębszą znajomością rzeczy dawnych łączy gruntowną znajomość i wyborne uczucie rzeczy nowych, odsyłając ją O. Venturze wraz z pozwoleniem na jej druk, przesłał mu nader pochlebny list w tych słowach: „Jak z wielkiem upodobaniem potwierdziłem błogosławieństwo ostatniego twego kazania u ś. Piotra, nieuważając zgół na uprzedzenie niektórych, albo zbyt ograniczonych, albo gorliwych źle zrozumianą gorliwość; tak jeszcze z większem upodobaniem potwierdzam tę mowę pogrzebową na cześć sławnego O'Connella, bo mam ją nie tylko za najwymowniejszą, ale nadto za zdolną do sprostowania wielu wyobrażeń i mogącą wiele dobrego sprawić (ed a fare un gran bene)“.

W samej istocie w mowie tej, która na zawsze zajmie chlubne miejsce wśród arcydzieł katolickich, Ventura podjąwszy najważniejsze kwestye religijne w odniesieniu do stosunków społecznych i kwestye społeczne w odniesieniu do najwyższych ludzkich przeznaczeń, przedstawia je z Bosnetowską potęgą, ale razem z taką świeżością i życiem, że od pierwszej do ostatniej stronicy czuć w niej to, co obecnie nurtuje w życiu indywidualu i w życiu narodów, a co się tylko przez usta prawdziwego geniuszu mogło wypowiedzieć. Mowa ta ogarnąwszy wszystko, wszystkiemu poradziła, a jakkolwiek dwoma zawodami powiedziana i oba razy po dwie godziny, słuchana była przecież z niewypowiedzianem zajęciem i nieraz przerywana oklaskiem, któremu surowe protestacye mowcy tamy położyć nie mogły.

Mając mówić ile O'Connell zrobił dla religijnej i cywilnej wolności ludu Irlandzkiego, rozpoczyna odpowiedź na zapytanie co to jest lud?

„Najwięcej używanem i najsmutniej nadużytem jest słowo *Lud*. Nazywano ludem albo zgraję łotrów, albo sektę fanatyków, albo frakcyę wichrzycieli. Nazywano także *ludem* jednego ambitnego egoistę, trybuna, konsula, dyktatora. Nazywano *ludem* hańbę, wyrzutka, nienawiść, ohydę i tyrana ludu. Tak jak niestety! interes kilku nazywano interesem ludu; wola ludu, szaleństwo lub kaprys jednego, a wolnością ludu jego uciemiężenie. Takie fałszowanie bywa skutkiem hypokryzyi i złości, ale często też błędu i głupoty. O! iluż rozumiejąc, że pracują dla szczęścia ludu wypracowali mu zgubę! Dla czego? Bo ludzie owi nie szukali w prawdziwej religii miary sprawiedliwości do działania w sprawie ludu, w sprawie chrześcijańskiej wolności: *Bo nie kładli Boga przed oczyma swemi* (Ps. 53). A bez Boga nie można być przyjacielem ludu, nie można pod żadnym względem polepszyć stanu człowieka!“

Chcąc powiedzieć dalej jak sam Bóg przygotowywuje ludzi zdolnych zrozumieć tę wielką kwestyę i w widokach szczęścia ludu, tak się wyraża:

„Bóg ma szczególne staranie o ludziach, których do wielkich dzieł wybrał. On ich sam kształci według widoków swojej Opatrzności przez położenie, w którym ich stawia, przez ludzi których im następcza, przez wypadki, których świadkami ich czyni i więcej jak ich rodzice w pewien sposób sam ich wychowuje. Tę opiekę doznał O'Connel. Postawiony na ziemi francuzkiej w krwawej epoce rewolucyi, patrzył na ten okropny dramat, w którym wystąpiły na scenę wszystkie szaleństwa sprzymierzone z wszystkimi zbrodniami.... Widział na własne oczy monarchią zmuszoną do spodlenia się i zadania sobie własną ręką ciosu śmierci; widział tron najprzód

zbrzyzany błotem przez niecných dworaków a potem ręką ojcoobójczą we krwi zatopiony; widział najlepszego z królów umierającego na rusztowaniu, ofiarę niemniej obcych zbrodni, jak własnych słabości; widział grzech nazwany cnotą, zbrodnię ogłoszoną za moralność, ateizm postawiony na ołtarzu; widział boginię rozumu uczczoną tysiącami ofiar krwi ludzkiej; widział lud dzieśiatkowany, uciśniony przez podłych tyranów w imieniu wolności a naród ze wszystkich najoświecenszy widział strąconym aż do ostatnich bezbożności i barbarzyństwa otchłani!

„Bóg to zrządził, a zrządził dla tego, aby młody O'Connel był świadkiem tych najgłośniejszych i najsilniej uczących w historyi wypadków, aby go natchnął wstrętem do zgiełków i buntów. Bóg go tym sposobem nauczył, iż niema nic głupszego i nic zgubniejszego jak ogłaszać prawa człowieka depeczęc prawo Boże, budować wolność na gruzach Religii, stanowić prawa dyktowane przez namiętności pod natchnieniem świętokradztwa — nauczył go, że dla odrodzenia ludu Religia jest wszystkiem a filozofia niczem, a tém samém ukształcił go do wzniosłej nauki społecznej ściśle strzegącej porządku, sprzyjającej prawdziwej wolności, która też zawsze była duszą jego zamiarów, prawidłem jego działań, siłą walk i zwycięstw sprężyną.“

O obłudnej antykatolickiej wolności tak mówi:

„Historya naszego wieku napisana jest w historyi wieku XVIgo. Ludzie wszelkich zdolności i wszelkich niecności z wyrazem *Reforma* w ustach zawiechrzyli w ówczes świat chrześcijański; ludzie podobnego piętna za dni naszych z wyrazem *wolności* na ustach wzburzyli świat polityczny. Jakże więc? Możesz to być, aby geniuszowi złego uosobionemu w jakimś człowieku dano było wzruszać i zakłócać światem podług upodobania i ciągnąć go w otchłan buntu i herezy? Nie, niepodod-

bona! Hereziarchy XVIgo wieku tak się obłudnie powoływali na *Reformę*, jak się obłudnie dzisiaj po za prawdą powołują wichrzyciele spokojności powszechnej na *Wolność*. Jak w ustach tamtych *Reforma*, tak w tych ustach *Wolność* jest tylko pozorem, przywłaszczeniem, kłamstwem. Temi uroczemi słowy tamci chcieli rozsadzić Kościół, a ci chcą potargać węzły, któremi ludzi ten Kościół zespolił. Jedni i drudzy zostawili po sobie tylko gruzy i zniszczenie, a stawszy się panami pobożowiska, pierwsi okazali się najbezbożniejszymi chrześcijanami, a drudzy despotami najokrutniejszymi“.

Obok dwóch kazań, w których Ventura przedstawił stosunek religii do polityki oraz do najżywotniejszych instytucyj społecznych, równie się znakomitym ukazał w mowie pogrzebowej nad zwłokami słynnego matematyka i profesora w uniwersytecie królewskim w Neapolu *Mikołaja Fergola*, w której znowu rozwinął po mistrzowsku *stosunek religii do umiejętności w ogóle a w szczególności do matematyki* ¹⁴⁾. Opowiadając życie i prace uczonego a razem pobożnego i prawie *in odore sanctitatis* zmarłego profesora, podnosi umysły słuchaczy i czytelników do wyższych a pełnych prawdy spostrzeżeń o przymierzu umiejętności z pobożnością, o smutnym kierunku filozofii nowożytniej zniewalającej człowieka do wyzucia się z religii w uczonych a nadewszystko w ściśle umiętnych poszukiwaniach, jakoby religia miała mieć tylko swe zastosowanie w stanie niedozwalającym rozwijać ducha na drodze umiejętności, jak gdyby ona miała być tylko udziałem ciemnoty i słabości. Za dni naszych nie można powiedzieć, żeby pod tym względem nie było jakiegoś *na dobre* postępu, wszakże po krwawych naukach, jakie społeczeństwo odebrało i odbiera jeszcze z powodu antyreligijnej organizacyi nauczycielstwa po

¹⁴⁾ *Elogio Funebre del Professore Niccola Fergola.*

szkołach i uniwersytetach, postęp ten nie jest taki, żebyśmy się mieli nim cieszyć i wielkie sobie z niego obiecywać skutki. Wpływ religii na umiejętności jeszcze jest bardzo słaby, blady, letni, nie do pochwycenia. Nikczemne schlebianie duchowi czasu i opinii publicznej tém gorsze, tém niebezpieczniejsze pod tym względem u nas, gdzie się nadzwyczaj mała liczba umysłów do głębszych badań usposabia i gdzie powierzchowność w wychowaniu i w umiejętnościach tak wielką rolę odgrywa. Umysły raz rozwiedzione z prawdą religijną na drodze nauki, nadzwyczaj trudno do niej wracają, kiedy punktem do którego doszły jest tylko *mierność*. Mierność w nauce a tem bardziej powierzchowność najuporczywiej odpychają wpływy religijne i jak strachu lękają się każdego uznania na rzecz religii, oglądając się zawsze na to, co trzyma on duch czasu, prawdziwy strach na umysły miałkie i jak stoi opinia, będąca u nas zwykle stekiem przestarzałych, obcych szaleństw. Gdyby się zresztą radzono prawdziwego ducha czasu objawiającego się na Zachodzie przez dzieła wielkich znakomitości pod względem nauki, przez dzieła oddające coraz jawniejsze świadectwo Katolicyzmowi, gdyby się oglądano na stopień opinii tam, gdzie ona jest i gdzie razem jako próbierz i jako czynnik społeczny właśnie umysły wyższe zwraca ku religii i zniewala do szukania i przedstawienia jój stosunków do umiejętności, w ten czas niebyłoby to bez korzyści, ale o tem niema mowy. Na takie przedstawienia gotowa odpowiedź, że to obce, a nam trzeba być samodzielnymi. Smutna zaiste samodzielnność polegająca na wiecznem powtarzaniu oklepanych formuł wolteryńskich. Ależ dobre przejmować niebyłoby ani źle, nam zwłaszcza, którzy w gorączkowem przyjmowaniu obcych niedorzeczności wcale inaczey objawiamy nasze zdanie. Zapatrując się naprzykład na ducha badań geologicznych wstydzono by się prze-

cie czynić jeszcze dziś zarzuty Biblii od Bóg wie jak dawna zbite i zaledwie znajdujące miejsce gdzieś w szarym końcu obiekcyj niezliczone razy przez samych studentów rozwiązywanych. Toż samo co do badań historycznych; na przykład o początku rodu ludzkiego, w której to kwestyi tak się jeszcze często uwijają zdania, z jakichby się gdzieindziej ośmioletnie dzieci śmiały. A co mówić o wszelkich punktach zetknięcia dziejów świeckich z kościelnymi. Jak się jeszcze panowie profesorowie i pisarze entuzyazmują w swem oburzeniu, jak rzucają w oczy Kościołowi i religii świętą inkwizycję, jak się nieposiadają w gniewie przeciw tyranii Papieżów i to wszystko w imię postępu ani się domyślając, że ich od postępu przedziela to wszystko co od lat pięćdziesięciu napisano, dowiedziono, a co dla nich jest jak najkompletniej *terra incognita*. Zresztą pomijając owe uczoności wyrażnie atakujące, które bądź co bądź śmieszają już dzisiaj lub rażą, jakby śmieszyły owe postacie zeszlowieczne w sztaffelkach i perukach, lub jakby raziły widma skarłowaciałych D'alambertów i Helwecyuszów, wyznajemy, iż się daleko więcej obawiamy owych suchych uczonych, którzy niby ze względu na ścisłość, w wykładach swoich unikają wszelkiego zetknięcia z religią, tak jakby umiejętności przez nich wykładane żadnego nie miały związku z życiem wewnętrznym i żadnego odniesienia do najwyższych człowieka przeznaczeń. A przecież, jeżeli to są umiejętności mające jakoweś zastosowanie do życia społecznego i społecznych potrzeb, toć niepodobna, aby nie wpływały na pojęcia, stanowiące tło życia umysłowego społecznego, to jest właśnie na pojęcia religijne. Z drugiej strony Religia jest życiem umiejętności, ona wszystkie w jedną całość wiąże, a im je silniej wiąże, tem je wyżej wznosi, tem je pożyteczniejszymi czyni. Gdy więc ona z żywego wienca umiejętności wydarta, wówczas pozostają wprawdzie formuły i metody, przybędą

nawet może pewne fakta nowe, pewne odkrycia, teorie, ale wpływ ich zbawienny na społeczeństwo, albo się całkiem na przeciwne zmieni albo zniknie. Wówczas odkrycia, formuły, teorie, poprowadzą do rezultatów materialnych, ale nigdy do zastosowań moralnych, albo jeżeli wkroczą w zakres moralnych stosunków, to wbrew przeciw prawom rzeczywistej moralności i na jej skażenie lub zupełną zgubę.

Ventura mając właśnie na uwadze ten smutny rozdział umiejętności z religią, temi słowami w obec ciała Uniwersyteckiego rozpoczął.

„Panowie! Dwa rodzaje mądrości rządzą światem i ustawicznie walczą ze sobą o całkowite nad nim panowanie.

„Jedną jest mądrość niebiańska, której korzeniem zasada, normą, pełnością, koroną jest, jak Pismo Święte uczy; Bojaźń Pańska.

„Druga mądrość jest światowa, którą ten [apostół nazywa *ziemską*, bo ona oczu swoich niewznosi do nieba; *zwierzęcą* bo dąży do zezwierzęcenia człowieka cielesnego, bo szuka pomnożenia zmysłowych rozkoszy; *diabelską*, bo przez księżęcia ciemności po raz pierwszy wyszła na świat z ciemności na zagubę świata, mądrość straszliwa dla człowieka, bo rozpoczynając od wzbicia go w pychę, kończy zepchnięciem go w nieczystość, w zesromocenie: *Znikczemnieli w myślach swoich i zaciężone jest bezrozumne serce ich.... podał je Bóg poządliwociom serca ich, ku nieczystości... i powiadając się być mądrymi głupimi się stali*; mądrość nakoniec, którą za to wszystko Bóg dla swego majestatu i swęj chwały upokarza i wstydem okrywa a jako poprzysiągł w swym gniewie, podoba sobie w jej ustawiczném odrzucaniu i niweczeniu: *Zagubię mądrość mądrych a roztropność roztropnych odrzucę* (1, Cor. 1, 19).“ Czy dla tego prawdziwą mądrość religia odrzuca, potępia? Nie, Pismo święte

mówi z tem oburzeniem o mądrości, która odpychając i wstydzając się religii sama się tym sposobem odrzuca i potępia. Mowca utrzymuje owszem, że religia prawdziwa mądrość, nawet tę, która celem swym najbliższym ma zadość uczynienie doczesnym potrzebom społeczeństwa, że religia tę mądrość sama wypielegnowała, przechowywała, uświęciła, ale że ją nieprzyjaciele Chrystyanizmu właśnie przez rozdział z religią znizyli, zbezżytecznili, zgubną uczynili dla społeczeństwa. Oto jak tę myśl rozwinał:

„Religia, nie na to nam tylko wyłącznie jest dana aby urządziła nam bezpośrednie stosunki z niebem, ale też i na to, aby zaradzała wszystkim nędzom i słabościom ludzkim, a ponieważ między nędzami i słabościami najsmutniej ducha ludzkiego znizającymi, niewiedomością jest jedną z pierwszych, przeto Religia pracuje nad tem, aby ją pokonać i prawą mądrością zastąpić. Ztąd naturalnie do niej najpierw wszelkie nauczycielstwo należy. Nauczaniem Chrystyanizm zakręlował w świecie, nauczaniem bez przerwy od pierwszej chwili swojego istnienia.... Kiedy nauki i umiejętności uciekały wystraszone szczękiem barbarzyńskiego oręża, Chrystyanizm dał im w swoich świątyniach przytułek. Tu się przechowywało święte ognisko mądrości, ztąd się żywymi źródłami ku oświeceniu i cywilizacyi narodów rozlały, do tego stopnia, że jest dowiedzione, iż wszelka cywilizacya, która niewyszła z świątyni jest albo żadną, albo fałszywą i niebezpieczną. Wszakże świętokradzkiej bezczelności zeszłego stulecia niedość było na tém i niewstydziła się spotwarzać Religii, jakoby była przyjaciółką i protektorką ciemnoty, ona! która właśnie na nieprzyjaciół prawdziwej oświaty rzuca swe przekleństwo mówiąc: *Biada Wam, iżście wzięli klucz wyrozumienia; samiście niewieśli, a tych którzy wchodzili hamowaliście* (Łuk. XI, 52). Po takim oskarżeniu w nad-

miarze czarnej niewdzięczności i szatańskiej pychy orderwała umiejętność od religii i wśród poklasku wrogów katolicyzmu ogłosiła jej *sekularyzację*“.

Zstępując potem do szczegółów przedstawia nadużycia i niebezpieczeństwo wielkiej nauki w geniuszach pozabawionych religii:

„Niewiem, mówi on, skutkiem jakiej fatalności umysły genialne zwykle są narażone na te smutne przejęcia. W nieszczęśliwych naszych czasach nadużycie zdolności tak się stało powszechnem, że prawie co jest przedmiotem umiejętności stało się mieczem przeciw religii i i porządkowi społecznemu. Wiedza jest dzisiaj równie straszliwą jak była w pierwszych chwilach istnienia człowieka; wtenczas ona zgubiła człowieka, a dzisiaj zgubiła społeczność.

„Wszakże między wszystkimi umiejętnościami, matematyka wzięła najfałszywszy, najfatalniejszy kierunek. W planie walki wystósowanym przez filozofizm przeciw Chrystyanizmowi, matematyka wezwana była do zajęcia pierwszych stanowisk i do uderzenia najsamprzód. Niebędąc przystępną pospólstwu uważana była tem samem za najzdolniejszą do przeprowadzenia uknutego spisku, albowiem najłatwiej mogła oszukać nieświadomość, i podejść łatwowierność. Najprostszy człowiek jest w możności ocenienia siły moralnych dowodów religii. Ale jakże jest mało tych którzyby mogli sądzić o dokładności rachuby jeometrycznej. Ekiertka i kompas łatwo więc stać się mogły i stały się w samej rzeczy najniebezpieczniejszą bronią w rękach bezbożności i pychy. Tym sposobem potargano wszelkiego rodzaju wędzidła, wszystkie rozpasano żądze i uderzono w najświętsze podstawy religii.

„Ah, bo sama tylko religia umie zdolności i niewinnemi i pożytecznemi uczynić. *Ona jest*, jak dobrze powiedział był Bacon, *aromatem, który umiejętności broni od*

zepsucia. Bez niej największe talenta rodzą tylko nierządną i zabójczą dumę, pewną rozwiązłość umysłu, fałszywą miłość wiedzy, która wypala w duszy wszelkie uczucie dobra; pewien szal rozumowania bez końca; pewien zbytek wiadomości próżnych, najszaleszych poszukiwań, które mnożąc się stopniowo oddalają coraz bardziej, jak powiada ś. Paweł od poznania i posiadania prawdy: *Semper discentes, nunq am ad scientiam veritatis pervenientes* (Tom III. 7.); pewną rozpustę bezbożności, która pod maską ducha systematycznego tyle zrodziła szaleństw i tyle występków a tem wszystkiem jeszcze się nie nasyciła.

„Jeżeli więc wierze i moralności Mikołaja Fergoli nie da się nic z owych smutnych owoców pysznej i nieprzyjaźnej Bogu umiejętności zarzucić, jeżeli w nim możemy z całą spokojnością wielbić naukę zawsze pożyteczną i zawsze prawdziwą, to on niezawodnie winien owej oględności na zasady religii; która go nieodstępowała, która mu towarzyszyła wśród uczonych badań i broniła przeciw obłąkaniom tak zwykłym i nieodstępnym od dzieł współczesnych mu wielkich znakomitości.“

„Już bowiem i na naszym horyzoncie ukazały się owe dni bezwstydu i zbrodni, które były zapowiedzią tylu strasznych klęsk; dni, w czasie których umysły niecierpliwiące się pod jarzmem zbawiennych nauk rzuciły się w ślad za mistrzami bezbożności a w skutek potwornej mieszaniny niedowiarstwa z łatwowiernością i pychy z podłością już się okazywały skłonnemi do porzucenia najwyższych prawd i do rzucenia swęj wiary pod plugawę stopy bluźnierczych systematów i szalonych złudzeń. I niestety! sprawdziło się już co przepowiedział Apostoł narodów: *Albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nieścierpią, ale według swoich pożydkowości nagromadzą sobie uczyteliów mając świerzbące uszy. I od prawdy*

słuchanie odwrócić a ku baśniom się obrócić. (II. ad Tim. IV, 3.) Widziano w ówczas jak najpiękniejsze genjusze podbite przez ducha błędu odstępując od wiary sprzymierzały się z sługami przepaści, i jak w tym samym czasie pijane dumą, stoczywszy się z drogi prawdziwej umiejętności, stały się wedle apostoła jako małe, chwiałe się dzieci, porywane każdym wiatrem najzmienniejszych opinij, smutne igrzyska pychy i ciemności.

„Fergola, w tym tak zgubnym i gorszącym stanie rzeczy umiał być wiernym w strzeżeniu drogiego depozytu prawd religijnych. Religia też wczas go nauczyła, co potem bardzo często powtarzał swym uczniom, że Jezus Chrystus nieustanowił społeczności, któraby się zabawiała kłótliwymi dysputami, oczczą umiejętnością, badaniami schlebającemi nieograniczonej dumie rozumu, ale społeczność, którejby członkowie przedewszystkiem i we wszystkim wciąż podbijali swe serca pod posłuszeństwo, a umysły pod słodkie jarzmo wiary poddawali; że skutkiem nieprzejrzaną głębokości sądów Bożych, świat nie drogą dawniej wiedzy dochodzi do poznania i umiłowania Boga, ale przez to, co się w jej oczach zda być największem głupstwem, to jest przez opowiadanie krzyża!

„W tym to albowiem czasie, kiedy Lalande i Laplace, umysły albo zbyt ograniczone, jeżeli niewiedzieli, iż jak są różne porządki prawd, tak są różne drogi wiodące do ich poznania; albo serca zbyt występne, jeżeli wiedząc o tem, zaprzeczali onej zasady; kiedy mówię, tacy ludzie stawiając matematykę jako umiejętność powszechną, jako klucz i fundament wszelkich ludzkich nauk a nawet wszelakich prawd, usiłowali dowieść, iż niema nic pewnego, tylko to co się da sprowadzić do zrównań geometrycznych; kiedy tacy ludzie, w duchu owej zasady niewiem co więcej, czy szalonej czy bluźnierczej, spychali między przesady dziecinne dogmata

o Opatrzności, o różnicy między dobrem a złem, o duchowości i nieśmiertelności duszy, jedynie tylko dla tego, że się nie dały dowieść na drodze linii, kątów, łuków i kwadratów; kiedy, nareszcie chcieli wszystko nawet uczucia serca, nawet miłość załgebraizować, kiedy samo bóstwo brali pod krédę, pod kombinacye linii i liter i kiedy tym sposobem obrzucili umiejętność błotem śmieszności i wzgardy, w tym to właśnie czasie, Fergola, współzawodnik Newtonów, Pascalów, Cassinich, Torricelli'ch nietylko przez samą wysokość i bogactwo swój wiedzy, ale i przez ich szlachetne użycie, widział prawda i w rozumie ludzkim narzędzie, którego celem jest kierować człowiekiem na ziemi, ale w poznawaniu i badaniu prawd mających odniesienie do wiecznych przeznaczeń, szukał innego kierownika, inné i-gły magnesowój. Uznawał zatem że jest rozum wyższy, doskonalszy, któremu się winien poddać wszelki rozum i posłuszny jego wezwaniu przestawał na poznaniu powodów swój wiary niekusząc się nigdy zuchwałym wzrokiem swojego rozumu wnikać w niedocieczone jój tajemnice. I był to zaiste dziwny fenomen w owych czasach widzieć mędrca, który wśród wielkich swego rozumu zdobyczy w chwilach głębokich ściśle umiejętnych badań pozwalał temu rozumowi brać najwznioślejszy polot nawet ku słońcom prawd religijnych, ale mu nigdy nie pozwolił przekraczać granic, przepisanych wiarą, i wzbijając się z całą wolnością ginał w wysokościach wiedzy ale nigdy nie wyszedł z granic pokornéj wiary“.

To zdaje się wystarczy czytelnikowi na ocenienie, jaka myśl przewodniczy O. Venturze w tych najtrudniejszych, ale też razem najwznioślejszych kompozycjach wymowy religijnej, jakim w nich rządzi się duchem, jaką w głównych pomysłach w saméj istocie świeci znakomitością, ale razem jaką w dążności swojéj, o kimkolwiek i o czemkolwiek bądź mówi, jaśniej miłością

Kościół i gorliwością dla świętej sprawy jego. Radzi-
byśmy bardzo przytoczyć tu jeszcze dwie mowy mogące
zająć miejsce obok trzech poprzednich, jedną w której
przedstawia wzór cnót, działania i gorliwości kapłań-
skiej ¹⁵⁾, drugą w której maluje poświęcenie świętobli-
wego zakonnika ¹⁶⁾, ale obawiamy się, czy by to nie
było przekroczeniem rozmiarów przeglądowej rozprawy
i nadużywaniem cierpliwości czytelnika, tem bardziej,
że jeszcze mamy przed sobą filozoficzne prace mowcy,
o którym piszemy i jego obecne stanowisko we Fran-
cyi. Ograniczymy się zatem na tém krótkiem oświad-
czeniu, iż jak pierwsza z tych mów dowodzi jak naj-
głębszego przejęcia się kaznodziei świętością powołania
kapłańskiego, tak druga jest budującą manifestacją te-
go apostolskiego uczucia poświęcenia, którem zda się
być zawsze przepelnione serce Teatyna. Mówiąc o ka-
płanie zajmującym jedno z wyższych stanowisk w Ko-
ściele podnosi w nim cnotę, dla której ma zawsze naj-
wyższe uwielbienie i którą wtenczas nawet przyświecał,
kiedy jak sam wyznaje w wyborze środków pobłądził.
Tą cnotą jest miłość Kościoła, bez której kapłan niżej
czy wyżej stojący, jest jak zagasła pochodnia — ta mi-
łość, która sługę bożego czyni boskim, Chrystusowym
przyjacielem, a bez której jest on tylko sługą świata,
sługą własnych i cudzych słabości; ta miłość, która
jest źródłem mądrości, dając bodziec do ciągłych na-
uk i badań, ażeby być gotowym do każdej walki prze-
ciw świętości i prawom Oblubienicy Pańskiej; ta miłość,

¹⁵⁾ *Lo Specchio dei Sacerdoti, ovvero Elogio funebre di D. Giu-
seppe M. Grattiosi. Teologo Romano e Canonico dell' Arcibasilica
Lateranense, recitato di 2 ottobre 1847.*

¹⁶⁾ *I disegni della divina Misericordia sopra le Americhe. Pane-
girico in onore del Martino de Porres, terziario professore dell'ordi-
ne de' PP. Predicatori.*

która przez ciągłą i żarliwą modlitwę za Kościół, jego powodzenie, jego chwałę, jego tryumf, wyrabia to w duszy kapłana, iż cały żyje Kościołem i w działaniu swoim jest prawdziwą jego reprezentacją; ta miłość nakońiec, która nigdy nie da odpocząć ale jak ogień trawi służbę bożego w ustawicznych pracach bądź to konfesyonału, bądź ambony, bądź służenia ubogim, bądź nakońiec w powierzonym sobie jakim bądź duchownym urzędzie; która nie niepozwoli przedsiębrać kapłanowi, w czemby niemógł wystąpić jawnie jako kapłan, w czemby był zmuszony kryć swój święty charakter i w czemby sobie niemógł powiedzieć, że ma na myśli i w sercu, co miał boski jego mistrz i co ma zawsze w swoim Kościele.

Powiedzieliśmy na początku, iż Ojciec Ventura zaraz w początku swego kaznodziejskiego zawodu zamierzył sobie przeprowadzić nową apologię katolicyzmu razem w imie Chrystusa i w imie rzeczywistego postępu. Jak się wziął do tego i co zrobił; widzieliśmy już przeglądając prace homiletyczne i kazania pogrzebowe. W pierwszych odpowiedział razem i tym którzy przeciw Kościołowi miotają Ewangelią i tym, którzy przeciw Ewangeli i miotają zasady naturalnej moralności i tym którzy przeciw rzeczywistemu Chrystusowi miotają Chrystusów wymarzonych w obalamuconych swych głowach lub w zepsutych sercach i tym wreszcie, którzy przeciw niezaprzeczonym faktom i dowodom z życia Boga-Człowieka stawiają negacye bóstwa albo człowieczeństwa, albo razem i bóstwa i człowieczeństwa. W drugich odpowiedział tym, którzy ze stosunków społecznych chcieliby wyprzeć wszelkie działanie, wszelki wpływ Chrystyanizmu przez Kościół, tym którzy społeczeństwo chcą

mieć całkiem od kościoła niezależne, wprowadzają weń, żywiły pogańskie lub je przerabiają wedle wyrozumowanej *a priori* ekonomii społecznej a raczej wedle tego, co ciało przeciw duchowi doradza, jednym słowem odpowiedział tym którzy społeczeństwo emancypują z pod panowania ducha, jakim dla niego był Kościół, a uznawszy je skończonem i nie tylko mogącem ale nawet winném się rozwijać li tylko w warunkach materialnych, Kościołowi każą zawisnąć gdzieś w ehmurach, lub jako razem niepotrzebny i szkodliwy usiłują zniweczyć a przynajmniej tak ujarzmić, żeby go raz na zawsze uczynić niezdolnym wszelkiego wpływu i wszelkiego czynu.

Oprócz tych dwóch stanowisk, z których nieprzyjaciele wciąż napadają pełną, żywą, boską, katolicką prawdę mieszkającą wśród ludzi właśnie dla tego, aby wszystko, co jest ludzkie podnieść i uświęcić, zostaje jeszcze stanowisko wprawdzie teoretyczne, ale niemniej dla tego szkodliwe jak pierwsze, a nawet jako początkujące owe napaści daleko szkodliwsze. Tem stanowiskiem jest filozofia. Ojciec Ventura nie zniszczyć, ale je zdobyć usiłuje. On w filozofii, jak niegdyś Laktancjusz ¹⁷⁾ niewidzi jeszcze mądrości ale *drogę* mogącą ze względu na ludzką słabość daleko łatwiej doprowadzić do błędu i fałszu, niż do mądrości i prawdy, oraz siłę naturalną udzieloną człowiekowi do rozwijania prawd danych, ale której człowiek łatwo użyć może na zaprzeczenie tych prawd, jak w samej istocie użył i używa. Ojciec Ventura nie występuje przeciw filozofii, ale przeciw jęj nadużyciom, przeciw zdradzie, jakiej ona, dana na usługę prawdy dopuszcza się przeciw prawdzie.

¹⁷⁾ Respondit (Pythagoras) se esse philosophum, id est quaesitorem sapientiae. Si ergo philosophia sapientiam quaerit nec ipsa est sapientia. (*Divin. Instit. Lib. III. cap. II.*),

Filozofię tak nadużytą i zdradzającą chrześcijańską prawdę, nazywa filozofią pogańską, filozofią rozumu rozwiedzionego z wiarą, albo *rozumem filozoficznym* i występuje przeciwko niej w imię filozofii prawdziwej, w imię *rozumu katolickiego* czyli powszechnego, to jest rozumu nie tego lub owego filozofa, ale rozumu całego ludzkiego rodzaju, podniesionego i ustalonego w posiadaniu prawdy przez objawienie.

Zobaczmy jak się z tego zdania wywiązał.

(Dokończenie w przyszłym numerze.)

X. ZYGMUNT GOLIAN.

SPALENIE ZAMKU TĘCZYŃSKIEGO.

Obrazek historyczny.

W bieżącym roku dwieście lat upływa, jak zamek Tęczyński do najokazalszych w Polsce liczony, gniazdo i grób jednej z najznakomitszych rodzin naszych, został zrabowanym spalonym i ruinami swemi pomnożył te nieprzeliczone ruiny, na których wypisana przeszłość nasza.

W dwóchsetną rocznicę pogrzebu jego świetności, wiodę cię do tych zwalisk, pragnąc tam opowiadaniem mojem odbudować z pozostałej zasy pyłów, dawne warowne mury, baszty i okazałe komnaty, a wspomnieniami które do dziś przetrwały wskrzesić ci dawnych mieszkańców i pamięć ich cnót dla twój nauki i chluby.

Słuchaj i dowiedz się, że przed dwoma wiekami górę tę, na której w początku czternastego wieku Nawój Ka-

sztelan Krakowski wybudował zamek, Tęczynem zwany; okrywały od północy ogrody i winnice zajmujące całą jej pochyłość, a droga wijąca się między temi rozkosznymi ogrodami wiodła do bramy zamkowej.

Do téj bramy w ostatnich dniach października roku 1655 przybył wysłannik od wojska szwedzkiego które po opanowaniu Krakowa rzuciwszy się w jego okolicach na włości i grody, przyciągło do Tęczyńskiego zamku pod wodzą Koenigsmarka syna jednego z głównych dowódców szwedzkich. Wysłannik ten zażądał poddania zamku, lecz dowódca jego załogi Jan Dziuli kapitan piechoty, dał odpowiedź: że o zamek Lubomierskiego marszałka W. koronnego darmo się król Szwedzki kusi, bo pan jego raz królowi Kazimierzowi przysięgłszy, jako wolnemi głosami obranemu, nikomu innemu zamków swych nie otwiera.

Po téj odpowiedzi, podstąpiły wojska szwedzkie pod warowne mury, które wraz z pięciu basztami wznosił Jan z Tęczyna kasztelan Wojnicki zmarły roku 1593, i pokusiły się o zdobycie zamku. Nieliczna jego załoga stawia im mężny odpór, ale pomimo tego Szwedzi zdobywają północną bramę i drugą od zachodu położoną, pomiędzy dwoma murami ubezpieczonemi w strzelnice, dostają się pod wieżę kwadratową, najwyższą, przez którą wchód był na dziedziniec. Lecz wchodu tego zdobyć nie mogą, a równocześnie przyjęci strzałami z wieży i z dwóch stron z po za muru, do cofnięcia się zmuszeni zostali.

Po tak odpartym szturmie śle znów Koenigsmark parlamentarza z oświadczeniem, że serce jego powodowane jedynie litością skłoniło go do cofnięcia wojska, aby uniknąć mordów, od których nie byłby w stanie powstrzymać swych żołnierzy, gdyby zdobyto szturmem zamek. Nie tak wiara w te kłamliwe słowa, jak przekonanie iż jeden jeszcze taki szturm a zamek przemocy

ulegnie, nakłoniło kapitana Dziuli do oznajmienia, iż gotów się poddać, jeżeli przyrzekną wolność osobom i ochronienie od grabieży i zniszczenia tego co się w zamku znajduje. Warunki przyjęto, lecz po wejściu wojsk szwedzkich na zamek, jak wszędzie tak i tu skalali się wiarołomstwem najeźdźcy. Zaczęto od rozbrojenia załogi i wtrącenia jej do więziennych lochów pod wieżą okrągłą, która stała przy bramie zamkowej. Potem wzięto się do rabowania zamku. Sam Koenigsmark z kilku oficerami pierwszy dostaje się do tych sal i komnat, które położone po prawej ręce wchodząc do zamku, były przybrane nie tylko okazale ale i bogato; i tu jedne rzeczy niszczy, drugie zabiera a w liczbie tych zegar niemały złocisty, bardzo misterny, brzącaący ganiem, trąbieniem i bębny, a który wielce ceniono, już jako kosztowny, już też jako pamiątkę, gdyż jeszcze Zygmunt I obdarzył nim Jędrzeja Tęczyńskiego Wojewodę Krakowskiego. Niedosć Szwedowi na tych zdobyczach, dostaje się do położonej w tej stronie zamku kaplicy i świętokracką ręką obdziera ją z naczyń i aparatów, a z obrazu świętego Andrzeja, którego Tęczyńscy za patrona swjej rodziny mieli, zabiera złote ramy wysadzone drogiemi kamieniami.

Kiedy tak starszyna tu rabowała, rabowali także żołnierze w lewej stronie zamku, gdzie były mieszkania dworzan, kuchnie i łaźnia, a nieoprzestając na tém co znaleźli, wzięli się i do ludzi, obdzierając ich prawie do koszał, przy czém kilku raniono, dwóch zabito, a kobiety shanbiono.

Lecz gdy wśród tego rabunku niewynaleziono skarbów, które znaleźć spodziewał się Koenigsmark, wiedząc, że król Kazimierz opuszczając Kraków skarbiec koronny oddał Lubomirskiemu, m. w. k. do przechowania, ten go zaś wywiózł z Krakowa, przeto zajęli się badaniem o niego, to samego dowódcę Dziuli, to jego

podwładnych, od których po skatowaniu ich dowiedział się tyle tylko, że o skarbach przywiezionych z Krakowa niewiedzą. Jest w prawdzie w lewej stronie zamku niedaleko wielkiej sali sieni, a z niej drzwi do tak zwanej ciemnej izby, służącej za skarbiec zamkowy, ale i w nim nic niema jak im wiadomo. Niewiedząc Koenigsmark, że drzwi do tej ciemnej izby już przez jego żołnierzy wybite zostały, zapytał się kto ma klucz od nich, a gdy mu powiedziano że niejaka pana Zalewska, kazał ją wyszukać i przywieźć przed siebie. Przyniesiono ją, gdyż sama iść niemogła. Przeszło stuletnia ta staruszka była jeszcze na rezydencji u Agnieszki z Tęczyna Firlejowej, wojewodziny krakowskiej i od niej wielce poważana jako siostra cioteczna kardynała Hozjusza po bracie matki jego.

Staruszka ta niemal jak święta szanowana, oświadczyła, że niewiadomo jej gdzieby się podziały klucze, albowiem żołnierze rabujący zabrali jej wszystko z izby, ją samą odarli i na gołej ziemi zostawili, lecz kiedy ją tu niesiono, widziała że izba stała otworem, ale nie było co z niej zabierać, bo całkiem była pustą. Co usłyszawszy Koenigsmark, nagli staruszkę do zeznania gdzie są skarby, a gdy ta odpowiedziała: „Niewiem“, dał jej policzek, mówiąc:

— „Już ta stara czarownica wyśpiewa mi o nich, choćby konającym głosem!“

— Jakto? mnie śmiał kto uderzyć? — zawołała Zalewska niedowierzając samej sobie, że ją taka zniewaga spotkała, a po chwili jakby nowych przybyło jej sił, zerwała się z krzesła na którym ją posadzono, i stanawszy przed dowódcą szweczkim, rzekła głosem obrazy i żalu:

— Tyś śmiał uderzyć mnie starą niewiastę i patrycyuszkę krakowską! to choćbym ja ci przebaczyła, Bóg nieprzebaczy i powiadam ci, że umrzesz młodo, bo Bóg niedarzy starościami tych którzy starości nieuszanowali.

To rzekłszy padła osłabiona na ziemię, a kiedy Koenigsmarkowi wytłómaczono jej słowa, kopnął ją ów heretyk nogą, mówiąc:

— Wtrącić do więzienia to ścierwo prorokini katolickiej, i oznajmić jej że dopóty ani jeść ani pić nie dostanie, dpóki nie powie, gdzie ukryte są skarby.

Wykonali ten rozkaz posłuszni żołnierze, a rozpatrzwszy się już poprzednio w zamku wiedziano gdzie obrać dla niej więzienie; osadzono ją zatem we wieży w końcu dziedzińca zwanej „Dorotka“, w której jak upewniało podanie, jedna dziewczica z rodu Tęczyńskich ukaraną była śmiercią za jakieś przewinienie.

Tegoż jeszcze dnia po północy Koenigsmark wybiega na dziedziniec zamkowy i każe straży poprowadzić się do owiej wieży. Skoro ciemny loch rozwidnił się zapalonem łuczywem, dowódzca szwedzki ujrzał klęczącą Zalewską z głową opartą o ścianę, a tak nieruchomą jakby postać z kamienia wykuta. Jeden z żołnierzy ujął ją za ramię i wstrząsnął, lecz poznawszy że to trup stężały, uczuł jakiś nieznany przestach i głosem drżącym od trwogi zawołał: To trup skośniały!

I tak też było. Bóg się ulitował i ochronił staruszkę od cierpień głodowej śmierci. Lecz miłosierny On dla prześladowanych i cierpiących a surowy dla występnych i okrutnych; to też czas kary rozpoczął się dla Koenigsmarka ze śmiercią ofiary tej zamęczonój przez niego.

Sen przez resztę nocy niezamknął już jego powiek; widziano go aż do świtu w oknie siedzącego. Rano zaś gdy wszedł z raportem oficer służbowy, zerwał się z siedzenia i zawołał: „Czyliż cię zawsze i wszędzie widzieć muszę! Precz, precz odemnie!“ — Zmieszalo przybyłego takie przyjęcie, lecz zwolna zbliża się do dowódcy chcąc o znaczenie tych słów zapytać, ale Koenigsmark odpycha go i wybiega na dziedziniec zamkowy, woła-

jąc: „Ratunku! ratunku!“ — głosem tak okropnym iż go powtórzyły echa sąsiednich gór, wołając za nim: „ratunku, ratunku!“

W kilku minutach Koenigsmark otoczony był prawie całą załogą zamku. Każdy pytał co się stało, a on milczał, wodząc do koła oczyma, w których się malowała cała dzikość obłąkanego umysłu.

— „On oszalał!“ zawołał jeden z oficerów, a za nim powtórzyli inni, i po krótkiej naradzie, postąpiono z nim sobie jak tego nakazywała ostrożność i stan człowieka, który temu nieszczęśliwemu losowi ulegnie.

Do Krakowa ślą o tem wiadomość, która wielce zmar-twiła ówczesnego komendanta wojsk Szwedzkich, feldmarszałka hrabię Alfreda Wittenberga, który dla ojca Koenigsmarka był z wielkiem poważaniem i przyjaźnią. Niemając w lekarzach wojskowych najmniejszego zauszania, wywiaduje się o najlepszego doktora krakowskiego, a gdy powszechna opinia wskazała mu takiego w osobie Wawrzyńca Smieszkowicza profesora akademii i po kilkakrotnie jęj Rektora, sam generał udaje się do niego z prośbą aby jechał na Tęczyn. Litościwe serce lekarza, którego pamięć została we fundowanėj przez niego Bursie dla młodzieży szkolnej, uległo prośbom.

Za przybyciem na Tęczyn gdy lekarz chorego wy-badał, upewnił, że nie jest to pomieszenie zmysłów, lecz umysł jego zostaje pod wpływem jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia, które tak silnie na niego działa, iż po-padł w stan gorączkowy, z którego wyprowadzić go ma nadzieję, jeżeli zdoła wygładzić mu w pamięci wspo-mnienie tych wrażeń. Potrzebuje więc przedewszystkiem dowiedzieć co się wydarzyło i czego się chory tak lęka, iż zakrywając swe oczy woła nieustannie: „Znowu ją widzę! Znowu mię napomina!“

Opowiedziano mu wydarzenie zaszłe z Zalewską, co taką zgrozą lekarza przejęło, iż niemógł się powstrzy-

mać, i rzekł do towarzyszy chorego: „Obowiązek każe mi ratować życie tego człowieka, ale sumienie woła na mnie: jego zbrodnia bezkarnie ująć nie powinna. Jednemu i drugiemu uczynię zadosyć, bądźcie tego pewni.“

Doktor Śmieszkowicz niemógł się wszelako dowiedzieć kogo się chory tak lęka, różne bowiem były domniemania w tym względzie co słysząc stary klucznik zamkowy, którego nazwisko czas zagrzebał w niepamięci, tak to wyjaśnił. O nazwisko ięz jego mniejsza, bo naucza stare nasze przysłowie: *Onota w czynieniu, nie zaś w imieniu.*

— Niemają lat na usługach w tym zamku spędziłem. Tu moje ręce otwarły grób dla Jana Tęczyńskiego wojewody krakowskiego, w którym złożyliśmy ostatniego potomka tego zasłużonego Polsee rodu. Ale nieopogrzebaliśmy z nim wraz domowego ducha rodziny Tęczyńskich, który od wieków pojawiał się tu każdego razu, ilekroć jakie nieszczęście miało spotkać tę rodzinę lub ten zamek. Znam ja go dobrze, gdyż nieraz własnymi oczyma przyjrzałem mu się, jak okryty białym płaszczem, stawał na jednej z wież zamkowych, albo przesuwiał się po warownych murach. I tu na tym dziedzińcu spotkałem go także kiedy nasz panicz młody wybierał się na gody ślubne z Cecylią królowną Szwedzką a duch spieszył się do ojca pana młodego aby mu przepowiedzieć śmierć syna.

Tego to ducha minionej nocy widziałem! Spostrzegłem go w tym kącie gdzie oto jest łazienka. Wszedł potem do Dorotki, zkađ po chwili wyszedłszy, dążył posuwistym krokiem mijając kaplicę, do komnat jej dotykających a zajętych dziś przez oficerów szwedzkich. W króćce potem gdym zobaczył jak z tego skrzydła zamku wybiegł na dziedziniec jeden z oficerów, pomyślałem sobie: jego to zapewne duch ten nawiedził. Biada mu, jeżeli złym jest człowiekiem, bo gdy się ta-

kiemu ukaże, to go już choroba i nieszczęście nie ominą i w grób wtrąca!

— Mądry wprzód nim uwierzy prawdy doczeka — odezwał się doktor Śmieszkowicz — ale czyli tak czyli nie, wywieźć dowódcę z tego zamku potrzeba, bo tu wszystko przypominać mu będzie popełnioną zbrodnię. Co też niebawem uczyniono.

Młody Koenigsmark, po cało miesięcznych w Krakowie staraniach doktora, powrócił wreszcie do zdrowia, tylko że na jego twarzy pozostał wyraz smutku wykrywający zgryzotę wewnętrzną.

Lecz doktor Śmieszkowicz dopełnił także i drugiej części danej w Tęczynie obietnicy i zaraz po swem przybyciu do Krakowa przesłał królowi Szwedzkiemu Gustawowi opis zdarzenia zaszłego w Tęczynie, z prośbą o wymiar sprawiedliwości za popełnione tamże gwałty przez Koenigsmarką. A że to było wtedy, kiedy jeszcze król Szwedzki łagodnością i sprawiedliwością tudzież karnością wojsk swoich przynęcał do siebie Polaków, więc jak tylko Koenigsmark odzyskał zdrowie, oddany został pod sąd wojenny.

Niech zawiadomią o dalszym jego losie słowa wyjęte z dawnego rękopismu pod tytułem: *O szwedzkich z królem IMcią y koroną Polską postępkach z roku 1665.*

„Więc on *ferox Juvenis in anti-Camera Regia* podczas tego sądu uderzył auditora t. j. sędziego wojskowego w głowę y do broni się nań porwał, za co był w areszcie aż do wieści o narodzonym synu królewskim, którą przyniesiono królowi pod Królewiec idącemu we wsi *Malgiensfeldzie in Prusia Ducatu*, na tydzień przed Bożem Narodzeniem; tam jego darowano gardłem *in gratiam Principis nati*, ale nie mał sejmowano bo go nie tylko regimentu ale y żołnierstwa w wojsku odsądzono y bandizowano *ex omnib. Regiis et Regni Sueciae ditio-nibus*. Zaczem i ten młody Kimzmark (Koenigsmark) od-

mienił habit niemiecki na polski y tak jechał do ojca swego, który powiadają na tę wojnę pożyczył królowi Szwedzkiemu więcej niż miliona.“

Do téj wiadomości o Koenigsmarku dodam jeszcze, że Kochowski opisujący te czasy powiada, iż tenże uchodząc przed ścigającemi go Polakami na przeprawie przez Wisłę pod Kwidzynem utonął. Do świadectwa dwóch powyższych pisarzy odwołałem się, aby przekonać iż na Koenigsmarku sprawdziło się co mu przepowiedziała Zaleska i co oznajmił był stary klucznik o skutkach pokazania się złemu człowiekowi, ducha rodu Tęczyńskich.

A teraz wracajmyż znów na Tęczyński zamek w którym szwedzkiego rabunku niepowstrzymała ani wytoczona sprawa Koenigsmarkowi, ani doznane przez niego nieszczęścia. Dziesięciomiesięczna ich gospodarka w zamku uprzątnęła z niego wszystko co przez ciąg półczwarto-wiekowego bytu swego nazbierało się ze szczerdej hojności zamożnych panów. Stał Tenczyński zamek obdarty i złupiony, a sieroctwo po cnotliwych i pobożnych dawnych jego mieszkańcach było tem boleśniejsze iż zostawał w mocy ludzi bez czci i wiary. Znany nam już tylko stary klucznik nieopuszczał zamku choć mu serce z żalu i rozpaczy pękało, na widok takiej przemiany. Ale tę cierpienia znośniejszymi dla niego były od tych jakich doznawał na samą myśl, porzucenia téj kolebki i grobu dawnych swych panów.

Kiedy wiarą ożywione a zgodą zjednoczone serca narodu skłoniły się do zawiązania Konfederacyi Tyszowieckiej i zaczęto wieść wojnę partyzancką z nieprzyjacielem, wtedy rozpoczęła się ona i okolo Krakowa z końcem Maja 1656 roku, a wystąpili w nią w pole na czele swych oddziałów, Franciszek Dębiński, Michał Zebrzydowski i Jerzy Lubomirski.

O ostatnim kiedy się dowiedziano w Tęczynie, załoga tego zamku miała, że się on naprzód pokusi odzyskać tę swoją własność i że ukarze ją za popełnione gwałty i rabunki. Kto w powodzeniu ciemieczą, temu gdy nadejdą dni obawy, tchórzostwo zaćmi oczy i serce osiodła. Załoga Tęczyna posunęła tę swoją lekliwość tak daleko, że pobyt takiego starca jakim był klucznik, budził w niej niepewność; kazano mu przeto wynieść się ze zamku. Błagał ich starzec aby go raczej na miejscu zabito, a nie wyrzucano ze zamku. Musiał bardzo o to prosić kiedy w sercach ich obudził litość. Ale u takich ludzi sama nawet litość ma w sobie coś ze srogości: pozwolono mu bowiem pozostać w zamku lecz pod warunkiem zamknięcia w jednej z wież. Przystał i na to starzec tylko prosił aby tém więzieniem była dla niego kaplica zamkowa iżby mógł w niej jak słubował, modlić się codziennie za dusze dawnych swych panów.

Zamknęli starego klucznika w kaphcy, śmiejący się z tego przesądu lutrzy; lecz wielką mu właśnie wyrządzili przługę, bo on w tem swoim więzieniu, stokroć był szczęśliwszym niż gdyby był z bliska przyglądał się gospodarowaniu nieprzyjaciół kraju, bo w domu Bożym człowiek modlitwą zbywa się ziemskich trosk i niepokoi; gdy tymczasem te plagi boskie, dręczyły Szwedów z każdym dniem coraz więcej, z każdym albowiem dniem dochodziły ich nowe i zastraszające wiadomości o powodzeniu oręża polskiego.

Tak minął czerwiec i połowa lipca, kiedy w dniu ś. Szymona z Lipnicy załoga Tęczyna odbiera od gubernatora Krakowa Pawła Wirtza rozkaz bezzwłocznego opuszczenia zamku i albo dostania się do Krakowa albo połączenia się z wojskiem szwedzkim które po za Wisłą pomiędzy Tyńcem i Lanckoroną zbiera się aby dać odpór nacierającemu wojsku polskiemu pod Michałem

Zebrzydowskim. Kończył się zaś ten rozkaz jak wszystkie rozkazy tego barbarzyńcy które przesłał do Żywca, Zakliczyna, Pilicy, Szczekocin, Przyrowa i innych grodów, aby i Tęczyn równie jak tamte przed odejściem spalono.

Wykonano ten rozkaz i zamek tenczyński podpalony na kilku miejscach wybuchającemi wewnątrz i zewnątrz płomieniami zaświecił naraz kilkomilowej okolicy. Mieszkańcy poblizcy zbiegli się aby powstrzymać pożar, lecz słupy płomienia i kłęby dymu nikomu zbliżyć się nie dały. Stali więc wszyscy pod zamkiem i ze łzami patrzeli jak gorzał ten ich dom ojcowski bo ojcami prawdziwymi byli im Tęczyńscy w każdej przygodzie i nie szczęściu.

Wtem między zgromadzonym ludem daje się słyszeć okrzyk i podziwu i trwogi. Oczy wszystkich skierowały się ku kaplicy zamkowej na szczycie której pojawił się znany im duch rodziny Tęczyńskich. Ujrzano go osłaniającego szatą swą kaplicę, jak gdyby jęj bronił w tej ciężkiej doli, i w rzeczy samej pożar co wypalał cały zamek nietknął się wcale tej kaplicy.

Cud ten wzbudził jeszcze otuchę w wątpiających, zagrzał ich odwagę i o własnem niebezpieczeństwie zapomnieć kazał. Rzuceno się przez płomienie do kaplicy aby niejako współ z siłami niebieskiemi wziąć udział w ratowaniu. Kaplicę otaczały kłęby dymu które nie im widzieć niedozwalały, dopiero kiedy się do niej przedarli, ujrzeli na środku klęczącego starca na kamieniu zamykającym sklepy kapliczne. W pierwszej chwili myśleli że to duch którego z Tęczyńskich z grobu powstały, ogarnęła ich bojaźń a zarazem i poszanowanie i zbliżyć się do klęczącego nie śmieli. Dopiero gdy się podniósł i zwróciwszy się ku nim zawołał: „Bóg was tu zsyła moje dzieci.“ Poznali że to był klucznik zamkowy. Chciano go ztąd wynieść, ale nieprzystał na to

mówiąc: „Wszak zastaliście drzwi kaplicy otwarte, a między Szwedami to znalazł się człowiek z sercem który mi je otworzył i nalegał abym uchodził zanim pożar ogarnie zamek, alem ja pozostał, bo jeżeli tak rozrządził Bóg, że z popiołami siedziby Tęczyńskich, mają się mieszać popioły ciał ich tutaj spoczywających, toć niech i moje wraz z niemi wiatry po świecie rozniosą. Nie w mocy ludzkiej wstrzymać ten pożar, mówił dalej nad moc ludzką silniejsza jest modlitwa,: klękniemy i módlmy się a wyżebrzem może u Boga że ocali tę kaplicę. —

I tak zrobiono, a kiedy zamek Tęczyński zdawał się być na swojej górze, otworem wulkanu wyrzucającego ognie i dymy to z pośrodku tych płomieni i kurzawy w zamkowej kaplicy jego śpiewano starą pieśń ojców:

„Kto się w opiekę poda panu swemu
A całem sercem szczerze ufa Jemu
Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga!

Rozważając jak mogła wśród takiego ognia nie spłonąć ta kaplica, śmiało można i teraz powtórzyć to co wtedy wszyscy utrzymywali, że ocalala cudem Bożym!

Chociaż dawna dziedzina Tęczyńskich ruiną tylko świeciła, nieopuścił jęj stary klucznik i przemieszkiwał w nadwerężonej ogniem wieży okrągłej przy bramie zamku w jęj nierozwalonym dolnym sklepie. Widywano go zawsze albo modlącego się w ocalonej kaplicy albo dumającego pośród rozwalin zamkowych których nigdy nieopuszczał. Włościanie sąsiednich wsi odwiedzali tego jak go nazwali pustelnika z Tęczyna, darząc go czcią należną wiekowi i pobożności. Smutek czy radość w ich chaty zawitała, biegli do pustelnika by radość ich dzie-

lił i w smutku cieszył. Szczęśliwi byli którzy z nim mówić a rad jego zasięgać mogli.

I ciekawie słuchali opowiadań jego gdyż on tak jak dawni słudzy dawnych panów polskich wraz z katechizmem wyuczył się dziejów ich rodzin. Stąd to ich cnoty, rodziły w sercach sług miłość i szacunek dla nich.

A jego jeszcze panowie, jak napisał Kochanowski:

Wiedli swój ród wysoki z domu Tęczyńskiego
Zkąd ustawicznie jako z konia Trojańskiego
Jeden po drugim ludzie wielcy wychodzili
Którzy doma y w polu godni Polsce byli

więc miał o swych panach co rozpowiadać a przystrajał to jak zwykle przystraja wszystko nasz lud starodawnymi podaniami.

On to w części przekazał ludowi podania do dziś dnia przechowujące się w ich pamięci, to o tych wielkich skarbach ukrytych w tym zamku; to o tych duchach niewidomych skazanych tu na wieczne tułactwo za wiarałomstwo, a które mają być duchami więzionych tu niegdyś Krzyżaków.

Corocznie zaś w dzień spalenia zamku Tęczyńskiego przybywał do jego ruin pleban z parafialnego kościółka ze wsi Tęczynka, i w kaplicy zamkowej pod jego będącej opieką odprawiał żalobną mszę błagając o miłosierdzie dla tych dawnych a możnych jego mieszkańców, którzyby przed sądem Bożym stanęli jak mówi Pismo Święte: *Nędznymi i mizernymi i ubogimi i ślepiemi i nagiemi.*

W dziewiątą taką rocznicę to jest w roku 1665 po nabożeństwie skończoném gdy ksiądz wyszedł na dziedziniec i spostrzegł między wieśniakami przybyłemi na nabożeństwo kilku gospodarzy Tęczynka o których wiedział że przybyli z gór z dóbr Jerzego Lubomirskie-

go hetmana i marszałka W. K., zapytał ich co tam słychać.

— Oj źle Ojcie Dobrodzieju! odpowiedział z nich jeden — a dyć tam przyszło pisanie królewskie omawiające naszego dziedzica o Bóg wie co i o zdradę króla!

— Błuznierstwo i kłamstwo wam powiedziano, zawołał pustelnik i z ciężką boleścią rzekł: „Lubomirski zdrajca! on co ratował tron Kazimierzowi, wypędzał z Polski Szwedów oświecając im drogę pożarami własnych włości swoich. Lubomirski zdrajca! a w czymże zdrada tego naszego Pana?“

— Na cóżem ja was takiego smutku nabawił, odrzekł mu wieśniak, a jeszcze mi nie sporo odpowiedzieć o co pytacie, bo się zabaczyło co dłużny, ino kęs się z tego zostało w głowie, a przedewszystkiem, że na nasze karki chciał bisurmana sprowadzić ratując Cesarza Ruskiego.

— Że niechciał iść, dodał drugi z gospodarzy, na Moskiewską wojnę.

— Moje dzieci — odezwał się ksiądz Pleban — wierzajcie słowom moim, że wszystko to złość i zazdrość ludzka wymyśliła i król dał się uwieść.

— Juści to tak musi być, mówił znów inny z wieśniaków, kiedy Ojciec Dobrodziej tak poręcza. Ale z przeproszeniem boć tam człek na to głupi przecież to czarne na białem we wyroku stoi.

— Moi kochani powiedział im pleban i na Jezusa Chrystusa był wyrok napisany i wykonany.

— Żeby nie był wykonanym i na naszym Panu to trzeba się strachać Ojcie Dobrodzieju boć on wrócił pono do kraju i siedzi u syna w Lubowni na zamku a ma jechać na swój zamek Łaneucki. A tu pismo królewskie o którym mówiłem że przyszło, zachęca gorali aby winą jego głowę gdy przez góry przebywać będzie zdjęli.

A oni niemają dla niego serca jak go nie mieli dla jego rodzica i dziada kasztelana Wojnickiego za wymuszone na nich daniny. I dziś tam jeszcze usłyszysz śpiewających:

Hejże, hejże Wojnicki
Pobije cię płacz ludzki
Coś za grzyby nałupił,
Piekłoś sobie zakupił.

Wśród powyższej rozmowy oczy starego pustelnika rzucały spojrzenie tak już obumarłe, a tak świętobliwe i smętne, że patrzeć na niego nie można było bez żalu. Gdy zaś wieśniak powiedział że król skazał na gardło Lubomirskiego i że to górale wykonać zdolni, wtedy z wolna przesunął ręką po zmarszczoném czole jakby chciał się upewnić czy nie jest igraszką okropnego snu i widzieć było iż się przekonał że to nie sen, bo wznosił w niebo oczy nawykłe tam czerpać sił do znoszenia cierpień.

I sił tych zaczerpnął. Zabłysły oczy jego ogniem a oblicze wyrazem boleści i usłyszano z ust jego te słowa: *Bóg brzydzi się bezbożnikami przelewającemi krew niewinną.*

Tej siły zdaje się że mu Bóg udzielił na to aby przypomniał otaczającym go wieśniakom te słowa które już przed wiekami słyszał świat od samego Chrystusa. Po wymówieniu bowiem tych słów tylko lzy się mu z oczów wydobyły, a krzepnąć, na stygnących licach pozostały na twarzy jego. I widziano je a widok łez starca wyciskał je u otaczających go i oczy wszystkich przez lzy na niego patrzyły, niewiedząc, że on łzami swemi żegnał świat, a oni jego żegnali swojemi, bo to była chwila konania! Padł starzec bez duszy na zie-

mię niezdradzając ani jednem poruszeniem tajemnicy swej spokojnej śmierci.

— Śmierć taka, otarłszy łzy, powiedział x. proboszcz nieprzyszła niespodzianie, nie nagle to śmierć, ale nagle odejście ducha. Grzechy jego przed nim umarły!

Po tych słowach kapłana otoczyli wszyscy ciało zmarłego spoczywające na tych ruinach domu panów jego, na tym najpiękniejszym dla niego katafalku i błagali Boga aby przyjął w niebo duszę zostawiającą takie przykłady cnót na ziemi.

JÓZEF MĄCZYŃSKI.

PRZY ODDANIU PUHARU

WIERSZ NAPISANY PRZEZ ROSSYAN DO A. MICKIEWICZA

w MOSKWIE 1827 roku.

przekład Alex. Chodźki.

1.

W pamięć Twojego rozstania się z nami,
Darzym ci puchar zaklęty,
Zaczarowany przyjaźni ustami,
Na dnie talizman jój rznęty.

2.

Pod inném niebem gdy, w biesiady gwarze,
Talizman winem zakryjesz,
Nie szukaj pijanej radości w pucharze;
Łzy dni minionych wypijesz.

3.

Zatęsknisz; łzawe wino nieupoi,
Pieśń natchniona w ustach skona;
Ale jój echo usłyszą, tu twoi,
Na pucharze ich imiona.

4.

Czytaj nas; bośmy w tejże samėj chwili,
Tchnęli tu owém natchnieniem:
Bólem tęsknoty twojój zatęsknili,
Drgnęli serca twego drgnieniem.

5.

Nieraz sam puchar, jak zegar zadzwoni,
Sam! — to talizmanu siła —
To myśl — ta nasza, co za tobą goni —
Skrzydłem o puchar trąciła.

6.

Nie, nie na wieki Ci tęsknić w niedoli,
Może Bóg krzywdę naprawi,
Może — nawet na cudzej ziemi, gwoli
Snom wieszczym, dola się zjawi.

7.

Tylkoż puharem nie pij z Lety źródła,
Przyjaźń zapomnieć nie zdoła,
Puhar nasz ze dna, z talizmana godła,
Niezapominaj! zawoła.

REORGANIZACYA MAŁŻENSKA.

Obrazek Galicyjski.

Rodzina miaszczńska.

Chwalcie wysokie domy nowomodne z płaskim dachem, szklannemi ścianami, o przewiewnych murach i jaskrawo malowanych pułapach! Ja zaś czy to z przesądu czy z nalogu niesłychanie lubię te staropolskie ciepłe izby duże, gdzie to powalę w strop ułożoną powstrzymuje podwójny tragarz, niemalowany, niebielony, ale wraz z powalą samorodną barwą zazwyczaj zciemniony tak, żebyś posądził o kopeć gdyby nie ta śnieżna białłość ścian i kominka. Kominek zaś w domach szlacheckich w kącie i ognisko obszerne a niskie. Obszerne, aby całe płachty kłaść można, gdyż o drzewo nie trudno; niskie, aby światło i ciepło biło na izbę i na kółko wieczorne w półokrąg usadowione. U miaszczan przemogła oszczędność: Kominek szczuplejszy, mniejszą ilością drewna w drobne polanka porzniętych, oświecał skromniej a grzewał aż po zatankaniu otworu dymnego

U spodu mieścił półkę na garnki i rynki, w górze zaś gdyby orderzy szerokie połyskiwały cynowe talerze i półmiski. Drobniejsze jadło: śniadania, wieczorne odgrzewane, warzono na kominku w izbie, mianowicie w chłodny czas; objad gotował się w kuchni lub piekarni. Piece po dworach i zamkach, obok kominków po kątach lub wyjątkowo (w jadalniach) do środka czelnej ściany przystawione, lśniły kaflami białe, błękitne, lub brunatno polewanymi. Na każdym z nich jakaś ozdóbka, a w historycznych domach, rodzinny herb wraz z poszkleniem, w ogniu wypalany. Ciekawe tego rodzaju zabytki i dziś zobaczysz w Podhorcach, majątku domu Rzewuskich. W jednej bowiem z wspaniałych komnat zamkowych, stoi piec, gdzie na kaflach herb Koniecpolskiego z głoskami P. R. t. j. *palatinus Russiae*; w drugiej obok, już oprócz tytułu wojewody Ruskiego, stoi hetmaństwo polne koronne.

W miejskich domach były piece z gładkich zielonych kaflów, ani w kącie ani w środku izby stawiane, boć chodziło o zapiecek. A zapiecek dla mieszczanina ważnym kątem! Tam siedziała babunia nad dzieckiem i kołyską, tam dziatwa drobna wieczór porozbierana do koszuli igrała między sobą lub z stareńką babunią i słuchając dziwnych powiastek usypiała snem słodkim, jakim tylko dzieci i aniołki usypiać mogą. Tam dosychały wieniec grzybów i pasma zwilżonej przędzy na motowidłach, parzyły się polcie słoniny, bochny sadel i przygotowane do Wielkanocnego święcenia kielbasy sążniste. Na umieszczonych zaś jodłowej obłupionej żerdce przesuszano czasami tułuby męzkie i przyjaciółki ciepłe, wraz z kontuszem, słuckim pasem i baranią na koniec zatknietą czapką.

Dworskie izby i zamkowe komnaty lśniły zbroją i bronią rozmałą porozwieszaną jak to się w Podhorcach napatrzyć można. Jest tam bowiem i staropolska, w któ-

rój i którą ojciec i dziadowie walczyli i zdobyta w różnych potrzebach ze Szwedem lub Turkiem. Tu szwedzka halabarda i muszkiet gwintowany z widelkami do oparcia, tam ostry kindżał agi tureckiego; tu przytępiony nóż hajdamacki, a tam łuk Tatarzyna rogowy z umieszczonem wewnątrz wierszem koranu. Jest i zbroja skrzydlata i powiewny proporzec siedmiolokciowy u złożonej ośmiolokciowej kopii. To oręż hussaryi pułku Jabłonowskiego która nie dla parady zbroje i kopie pod Sobieskim nad Dunaj niosła. W koło makaty i obicia adamaszkowe, a na nich obrazy bohaterów polskich i krewnych hetmańskich i królów i historycznych scen z życia Koniecpolskiego flamandczyka ręką wiernie oddanych i Sieniawskiego i innych. A wszystko to i te Herkulesy i te Rubensa głowy i podobno nawet Tycyana i te widoki Lorraina i Rosy jak poprząsywali z Włoch i Bóg wie żkąd, i poprząbijali przed dwoma wiekami zdobiąc komnaty może na chrzciny Jana IIIgo co pęknięty podczas obrzędu stół marmurowy, tamże ustawiony, pamięci naprowadza — tak wszystko wisi do dziś dnia na tym samym gwoździu. Makaty już spelzły, karmazyn pożółkł a pod obrazami jak gdyby z Bagdadu przywiezione, tak jasno i świeżo błyszczą liście i kwiaty wrabiane w adamaszek, a gwoźdź zrdzewiały, karbem głębokim świadczy: iż dawno nosi powierzony sobie ozdoby ciężar, którego rama szczerzo złociста chociaż przypstrzona, przecie w swój poniewierce dumna i piękna, lepsze, bo zwyciężkie, hetmańskie przypomina czasy. Ale! kto by to tam wszystko opisywał kiedy to nie do opisania piękne, a przecie wyglądające opisu piórem i rylcem. Nawet o szlacheckich dworach niewspomnę! chybaby o Swidniku w naszej sądeckiej ziemicy; gdzie prawnuczka Wielogłowskiego konfederata tarnogrodzkiego, zachowała od ostatniej zatury zbroję z Bogarodzą na lewym boku prosto jak serce leży i szyszak z ochroną

uszu, a krzyżową ochronką twarzy, i tarczą pancerną i róg na proch i napierśnik z rzędu hussarskiego z herbowym koniem i kilka innych pamiątek. O Łańcuchowie w Lubelskiem niewiem czy wspomnieć i o zbroi kasztelana Czerskiego, którą w *oranżeryi* ogrodnik... Ale dam spokój! o innych także zamilczę! Historyczne rodziny jeżeli zechcą i uznają za zgodne z cywilizacją wieku naszego, toć przecie wiedzą jak swe guiazda i klejnoty świata pokazać. Przeździecki dobry dał przykład godny tych świętości naszych.

Ależ wróćmy do mieszczan.

W storoświeckiej izbie pod zielonym piecem w ulubionym kąciку siedział sobie z opartą o rękę głową, sławetny Maciej Rzemieński i niewiedzieć czy dumał, czy drzymał. A piec był troszeczkę letni: bo to na polu majowe wietrzyki igrały z cierniowém kwieciami a na Tatrach jeszcze śniegi błyszczaly jak gronostaje na barkach królewskich. Pani Maciejowa siedziała także pod piecem ale widocznie nie drzymała: bo czytała w nabożnej książce drukowanej *in quarto* z czworoboczném wieńcem wykretasów kwiecistych w około pisma, a co ustęp z obrazkiem Pana Jezusa ukrzyżowanego, Matki boskiej bolesnej siedmią mieczami przebitej, jeżeli nie jakiego świętego lub przynajmniej „Imienia Jezus“ albo „Marya“. Zapiecek był cichy. Babuni niebyło: już w Bogu spoczywa i właśnie za jój duszne zbawienie odmawia pani Maciejowa modlitwy i wieczne odpoczywanie. Wnucząt także jeszcze nie było; ale córeczka dorodna na wydaniu, siedziała sobie przy okienku i spierała główkę o pulchną rączkę z dołkami na stawach. Rozumie się, iż także nie drzymała: — bo gdzieżby dziewczę siedemnastoletnie rumiane jak poziomka, gdzieżby takie dziewczę mogło drzymać w okienku przy święcie, kiedy jaki taki ubrany chodzi i kłania się i w okno zagłada. Zresztą serduszko jój które od urodzenia drzy-

mało; od roku bezmala zaczęto się budzić i pukać o stanik sznurowany niby się domagając czegoś! a nie wiedzieć czego? Przynajmniej Marynia niemogła wyrozumieć czego ono żąda że tak czasami kołacze? i właśnie nad tem myślała; a myśląc czyż można drzymać? Nawet muszki nie drzymały, lecz brzęczały i krążyły wadząc się: to po obrazie świętej Kunegundy patronki naszej sądeckiej, co w zakonnym stroju z koroną na głowie a klasztorem swoim starosądeckiem w ręku na tle złocistych promieni, i pięknego kwiecica tak ślicznie z wosku wyrobiona stała! że się zdawało iż dyszy a paciorkowe szklanne ślniące oczka, to się niby aż ruszały. Z obrazu czyli raczej szklanej szafki w której ta śliczna osóbką św. Kunegundy umieszczoną była: zlatywały swawolne muszki na świętego Jana z barankiem na zwierciadle malowanego, albo na ś. Józefa z lilią w ręku, albo nawet na drewnianego gołąbka uwieszzonego pod światem z różnobarwnych opłatków prze-myślnie uklejonym, a który gołąbek z czubkiem, Ducha Świętego wyobrażał. Od świecącej się przed Matką Boską lampy stroniły obsiadając tylko łańcuszki srebrzyste na której wisiąca. Obrazami bowiem świętych pańskich ozdobione były ściany w około a gromnica święcona i kropidło zawieszone pod Matką boską Częstochowską, wedle starego miejskiego zwyczaju, a kropielniczka z wodą święconą pilnowała odrzwi, z których właśnie wyszedł głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — Odrzekła pani Rze-mieńska przymykając książkę, i pan Maciej wytrzeszczając oczy, i panna Maryanna rumieniąc się po jednym policzku i po drugim i w około dołeczka bródki.

— Tać to pan Jakub! co ja widzę!

— Kubuś! wszelki duch chwali pana Boga! dalibóg że Kubuś!

— Macieju! mielibyście też rozum! jakżeż możecie mówić panu Jakubowi Kubuś, przecież widzicie że to już pan Jakub.

— Tak! pan Jakub! jakże mi się pan Jakub miéwał witamy!

— Witamy! witamy! panie Jakubie! prosimy dalej, prosimy siadać! Marysiu! albo wy Macieju dajcieże panu Jakubowi stolka....

— Dziękuję, ja tylko chwilę zabawię bo muszę wracać.

— A kejże to wracać panie Jakubie?

— Do Tarnowa, bo ja tam teraz zostaję.

— A cóż tam pan robisz w Tarnowie, czy tam pan do kancelaryi chodzisz?

Jakub kiwnął głową.

— Jużcié że pan Kubuś.... Jakub tam jakimś urzędnikiem....

— Ale Macieju! dajcie no spokój kiedy ja gadam; bo ja wiem przecie co gadam!... to jakimże to pan Jakub urzędnikiem? czy dużo panu płacą?

— Ja praktykantem dopiero przy Forum...

— A co to znaczy praktykantem?

— Ale! kobieto, wolałabyś się zapytać jak się też ojcowie pana Jakuba mają, przecie wiesz że to kumowie...

— A prawda, prawda, przecie ja to wiem i przeciem niezapomniała, bo toby dopiero pięknie było! To jakże się też ma kumeczek mój jak się mn też tam powodzi?

— Dziękuję, dobrze, zdrów chwala Bogu, tylko się postarzał...

— Postarzał? widzicie Macieju! a jak też dawno u nas nie był? podobno jeszcze, wtedy na święty Bartłomiej czy nie!... to w Matkę Boską zielną było — nie, na Siewną podobno... kiedy na Kalwaryą jeździli...

— Niepamiętam: a jeździł to mój ojciec na Kalwaryą?

— Jeździli a jakże, jeździli! a pan Jakub też niebył na Kalwaryi?

— Nie! nie lubię się włóczyć po odpustach...

— Szkoda! że pan nie był: jak też to tam ślicznie! jakie to stacye, jaka to tam woda piękna w tym Cydronie, co to Pana Jezusa przez nią prowadzili. A wie pan że ten cały potoczek i ta cała woda to święcona! A jakie to tam kazanie prześliczne bywa, a jakie nieszpory i godzinki! że to się aż wyjechać niechce. Bo to nasz ksiądz proboszcz to jak śpiewa: to tak cichutko! a tam ksiądz kaznodzieja — ten wielki, taki — jak zaśpiewa; to aż się sklepienie trzęsie!

— Ale matko! dajże Panu spokój z Kalwaryą. Pan tam we Lwowie nie takie kościoły widział i biskupów i arcybiskupów. Lepiejbyście pomyślały, kiedy prosicie siedzieć: że do siedzenia trzeba picia i jedzenia.

— A prawda, prawda! Marysiu, dziewczyno, chodźno tutaj! to ja ci powiem! albo lepiej — poczekaj! to ja pójdę sam a aty tu gadaj z panem Jakubem; albo chodź i ty, to mi pomożesz. A wy też Macieju zostańcie i ugadajcie mi pana Jakuba to ja tu potem przyjdę.

— Idźcie z Bogiem, my sobie tu pogadamy.

Wyszła pani Maciejowa, a pan Jakub mimo sztychającego uśmiechu niemógł powstrzymać uczucia przyjemności na widok słusznej kobiety, o niezłej tuszy, doskonałej proporcji, w adamaszkowej staroświeckiej spodnicy wiśniowej a bławatnym ciemnym gorsecie, przy którym dziwnie odbijał bielutkeni rąbek czerwony w koło szerokiego kołnierza obszywanę koszuli i pęk koralik z srebrnym krzyżem. Na głowie tiulowa haftowana koronka marszczoną dostatnio obszyta chustka z sutym fontaziem i węzłem nad czołem a duże srebrne kuleczki w uszach. I na Marynię nie bardzo mu przykro by-

ło spojrzeć, bo jęj do twarzy był: *szlafroczek* muślinowy biały w ciemną, drobną rzutkę i szkarłatny rumieniec i w koszyk splecione bujne warkocze i koralikowe maneliki przy zębczastych świeżutkich mankietkach. Bo to sobie pan Rzemieński był mieszczanem na małym miasteczku, chodził w kapocie i pasie, i mieszkał w staroświeckiej własnej izbie w której się urodził; ale jak ludzie gadali było go stać na kilkanaście tysięcy złotych reńskich. Dzieci nie miał jeno dwoje: zamężną córkę, której niezbywało na niczem, jak tylko: że ją Pan Bóg potomstwem jeszcze niepobłogosławił; i tę drugą Marysię pieścioszkę, ulubienicę i oczko w głowie obojga rodziców, którą matka postanowiła nie wydać za żadnego kogo!

Oswobodzony na chwilę, wypytywał się pan Maciej o swego przyjaciela z młodych lat z którym wzrósł, biedował i dorabiał się grosza po świecie; a każde słówko syna jego, każda wieść, każda okoliczność, choćby najdrobniejsza, znalazła miejsce w prawym sercu starzejącego się druha. Pan Jakób zaś odpowiadał, ale nie opowiadał; bo pan Jakub już po części zapomniał albo raczej chciał zapomnieć o Radomyślu i Mielcu, a pragnął być Lwowianinem. Ależ bo to trzeba wiedzieć co to jest Lwowianin rasowy i z przekonania! Miasto Lwów zamieszkałe przez Polaków, Niemców, Rusinów, Ormian i Żydów niema wprowadzić jednolitości; ma jednak znamie swoje właściwe. Młodzież wszystkich klas uczęszcza do szkół publicznych wraz z młodzieżą wschodnich i zachodnich części prowincyi; nie bez tego więc żeby niebyło między nią zetknięcia się i wzajemnych przymówek, z początku dziecińczych i żartobliwych a w końcu dość jadowitych i złośliwych. Stosunek ten trwając lat kilka, przechodzi częścią w przekonanie, częścią w nałóg: u młodzieży uzdolnionej wyrabia najprzód ironię a potem lekceważenie, zaczawszy od wyszy-

dzianych towarzyszy aż do wszystkiego niemal co ich otacza; u mniej zdolnych zaś niemogących oddać wet za wet wyradza się w złość i skrytość, rzadziej w anielską cierpliwość. Pan Jakub należał do rzędu pierwszych i lubił lekceważyć i wyszydzać co się nawinęło: bo czuł w sobie wyższe wykształcenie.

Wyższe wykształcenie to znaczy: Uczyłem się po łacinie, po niemiecku i po francuzku; uczyłem się historii całego świata; uczyłem się filozofii prawa, słowem wszystkiego! pamiętam cokolwiek, z tego wszystkiego a umię właściwie: kilkanaście paragrafów, i albo w *bi-lard*, albo *wiska*, i *preferansa*. Czytam dzienniki i znam kilka dramatów i komedyj przedstawianych, kilka ustępów z „Dziadów“ i „Odeę do młodości“ „Żyda wiecznego“ i „Tajemnice Paryża“. W dodatku lubię muzykę. Od młodości w ogóle trudno więcéj żądać: przynajmniej pan Jakub uważał, że to bardzo dosyć. Półgębkiem więc odpowiadał, a jeżeli opowiadał to o Lwowie i stosunkach swych z tym wielkim światem! Szczęście że nie miał zanadto wiele czasu do tego, bo pani Maciejowa już wracała z kuchni.

Marynia, rumiana z natury, rumiejsza od ognia a jeszcze rumiejsza z przyczyny gościa obecnego, wydobyla z kufra wielkiego serwetę czerwoną w biały deseń, na której chłop prosty, tkacz w Rakaszawie nad Wistokiem gdzie ten przemysł kwitnie, wyrobił dokładnie zamek Zawadę i daniele pasące się. Zastawiono potężny imbryk albo raczej dzbanuszek kawy na fusach a niepośledniejszą ryneczkę z śmietanką; cukier zaś na spodku od filiżanki a na talerzu potężną osetkę świeżutkiego masła i duży chléb domowy pół na pół z pszenicą, a pani Maciejowa przyniosła ze szafki arak.

Szklanki dwie niemal półkwartowe stały w pogotowiu. Marynia nalewała, a Jakób patrzył na jéj świeżość i

zdrowie i bujny tok ciała i myślał w duszy: Dalibóg! tęga dziewczyna i wcale ładna.

Pani Maciejowa nie wiedziała co myśli; ale widziała jego wzrok wlepiony w jej dziecko i wielce się rozradowała, bo dawno już myślała sobie: takiego zięcia mi trzeba.

— Ale jak też panna Maryanna wyrosła, jak wyładniała, zaprawdę żebym się nigdy nie był spodziewał — przerwał p. Jakub z umizgiem.

Dziewczyna spuściła oczy a gadatliwa mamunia rada sposobności uchwyciła za wątek:

— A czy to już nie czas żeby wyrosła? przecie to już rok temu jak z Staniątek wróciła od panien zakonnice. Trzy lata się tam uczyła i umie czytać na każdej książce i pisać i wszystko. I czyta sobie książki nawet, a my słuchamy. Ot! niedawno, to jej pożyczył stary pan ten — jakże się tam zowie — ten starsuszek ślacheć bogaty co to.... co zawsze w złotym pasie do kościoła jeździ a w mieście do nikogo nie lubi wstąpić tylko do nas — to jej pożyczył dwie książki: jedną o wielkim zbójcu! a drugą o świętej Genowefie. To panie! co my się należały tego zbójcy a nad tą biedną świętą Genowefą to my aż wszyscy płakali. Tak panie Jakubie tak! Nawet po niemiecku to umie szczebiotać, ale nie chce z nikim tylko z tym starym kapitanem wysłuzonym co tu u nas mieszka, i często do Macieja na gawędę chodzi. To jak przyjdzie zaraz do Maryni: *gut aben!* i ona jemu: *gut aben!* i zaraz do niej po niemiecku, to ona musi mu odpowiadać, bo jak nie chce to on stary ją łapie i chce całować. — Ale niechże pan Jakub pije, niechże sobie pan Jakub wleje araku!

. — O! dziękuję! jeszcze nigdy nie piłem białej kawy z arakiem!

— To niechże pan skosztuje, to dobre, my tu tak pijewa, nas tego kapitan nauczył, bo on to lubi — ja to

kosztowała i dobre; tylko mi ciężko całej szklanki wypić, bo mi się głowa z tego kręci i spać się chce; ale Maciej to piją czasem z kapitanem i mówią że dobre — niechże sobie pan doleje — ej! Pan Jakub widzę *cere-monie* stroi, to ja panu sama doleję — i nie czekając zezwolenia, chlust mu araku do kawy dobre pół peters-burskiej porcy.

— Ale pani Rzemieńska! tego to już nadto! nie dam rady.

— Ej ja pana nie myślę prosić, musisz pan pić i kwita. Kiedyś był malcem, toś mi pan nieraz Marynię prętem przeparzył, że się dziecko biedne od płaczu aż zachodziło, a nie prosił pan czy to wolno, ani mnie pan nawet nie chciał przeprosić, a teraz nie chcesz pić u nas kawy z arakiem? a to mi się podoba! ja pana nie będę prosić — pij pan i koniec.

— Wolę przeprosić panią i pannę Maryannę, ale pić nie będę bobym się upił.

— Oj! żebym pana tylko mogła dobrze spoić, bo ja sobie nieraz myślała: jak pana kiedy przydybię, to muszę spoić koniecznie za moje biedne dziecko, ale widzi pan że ja ją przez to przecie ładnie odchowala.

— To właśnie może ja pomógł do tego że panna Maryanna tak pięknie wyrosła?

— No, no, poczekajno pan, już ja muszę cię spoić, żebyś dzieciom do wzrostu nie pomagał — ale pijże pan...

— Kiedy mi to zaszkodzi...

— Zaszkodzi? cóżto czy my pana chcemy zatruć?

— Nie — ale...

— Marysiu! daj no mi moją szklankę to i ja się napiję w kompani choć mi się głowa zakręci, aby pan Jakub wiedział, że my ludzi nie trujewa.

— Ale ja nie myślę — jednakowo....

— Jednakowo z pana był lampart, jest lampart i bę-

dzie lampart! ale ja pana przecie lubiła, lubię i niepuszczę od nas, aż dobrze ugoszczę i ugadam.

— Ale ja tylko na chwilę wstąpiłem, bo muszę wracać.

— Wrócisz pan na czas, Tarnów nie daleko, ja panna jutro sama odwiozę.

— Na żaden sposób, dziś muszę koniecznie.

— Przecież tam panna młoda w kościele nie czeka na....

— Ale matko! dajże spokój! nie męcz że pana Jakuba bo ty nie wiesz że służba wolność traci! — łagodził Maciej.

— Wszystko to prawda tylko pan Jakub nie pojedzie aż się z nami kawy z arakiem napije a potem zje co Bóg dał: bo to ja dobrze wiem że człek z sobą kuchni nie wozi.

Tak tedy rad nie rad pił pan Jakub kawę białą z arakiem a w duszy złorzeczył, bo w Tarnowie miał być wieczorek w domu panny Emmy; a panna Emma to była dla niego czem magnes dla żelaza.

Pił tedy i myślał jakby się tu wyrwać gościnną pani Maciejowej, z którą innym razem byłby gadał cały dzień; bo mu się tam przecie wszystko jakoś podobało. Nawet Maryni chciałby się być dobrze napatrzeć: bo coś miała w sobie nęcącego, czego sam niemógł wyrozumieć. Kibić nie taka wcięta i smukła jak Emmy — rumieniec nadto może zdrowy — rozmowa z nią nie osobliwa, bo nie prawie nie mówiła albo bardzo mało i skromnie: Chybaby ta nieśmiałość i świeżość?

Czem dłużej siedział i czem więcej kawy z arakiem pił, tem mu się miłsze robiło towarzystwo rodziny Maciejów, tem bardziej zapominał o wieczorze, Tarnowie, Emmie i ironii. Usta się rozwiązały i opowiadał pani Rzemieńskiej: o Lwowie i wałach i zamkowej górze, o

Zofiówce i żelaznej wodzie i pierogach ze śmietaną i o teatrze o „Berku zapieczętowanym“ i Nowakowskim w „Zemście“ Fredry itd. itd. itd. — nawet o kielbasach zbaraskich pod ś. Jurem.

A pani Maciejowa słuchała z uwagą i natężeniem a ciągle sobie myślała: takiego mi zięcia trzeba! bo to i mądry i z dobrego gniazda i ma znaczenie w świecie, o co jej najwięcej chodziło.

W kuchni tymczasem huk i puk nie lada. Stara Jadwiga kucharka, służąca od czasów zamęścia pani Rzemieńskiej, oplukała kawał połówicy wołowej i zdjawszy jaworowy miąższy wałek, tłukła co siły. Żeby tak było trafiło na słuchaczy mniej zajętych, byłiby ten huk słyszeli lub przynajmniej sześć siekacza którym świado- ma sztuki swęj Jadwiga, cebulkę z masłem i bułeczką na miazgę siekała; dodawszy pieprzu i soli, *quantum satis* (mówiąc po aptekarsku). Ale o Lwowie, teatrach, walach i szkarpach, o dobrym tonie i wielkim świecie, rozgadał się pan Jakub a słuchacze jego byłiby słuchali cały tydzień. Tymczasem Jadwiga połówicę ponarzynawszy, jak balsam w ranę tak w kaźden rozkrój kładła usiekana masę i zwilżoną wedle prawideł znajomych sobie, w obszernej rynce przystawiła do ognia; aby utworzyć słynną w dziejach kuchni koronnęj *husarską pieczeń*. Protestuje się niniejszém przeciw wszelkim *uzurpacyom* madziarskim, bo można zaręczyć śmie- le iż husarska pieczeń jest ani mniej ani więcej, tylko ulubionem jadłem historycznych zastępów szlacheckich, walczących konno, w zbroi, i z kopią, a ponieważ husaryja głównie je reprezentowała więc i pieczeń rycerską nazwana: husarską! — zostaje ona w najbliższych powinowactwa stosunkach z królewskimi zawijaniem i zrazami: tak prawie jak zostawali królowie do. husaryi. —

Historyczna woń pieczeni hussarskiej, rozszerzając się po całym domu dotknęła *atmosfery* naszych państwa i wywarła wpływ następny: pan Jakub zamilkł, i może w duszy porównywał woń pieczeni niniejszej z onemi które Lwowianie w jadalniach publicznych czytają pod nazwą: *husaren-bratt*. —

Pan Maciej obejrzał się mimowolnie i musnął wąsa; pani Maciejowa rzekła do swęj córki: Maryniu! idź też do kuchni! i Marynia wyszła do kuchni. Od tęg stanowczej chwili rozmowa wzięła inny obrót więcęj poziomy bo gospodarski.

Pan Jakub opowiadał ustępy z życia i gospodarstwa kawalerskiego; a ponieważ w *ekonomii* całego świata niezachwianą prawdą: że żona trzy a mąż czwarty węgiel domu utrzymuje; więc cóż naturalniejszego nadto, żeby z pogadanki o gospodarstwie zejść na pogadankę o żeniaczce? zwłaszcza między matką córki na wydaniu a kawalerem na ożenieniu!

— Ta: bo czemużesię pan Jakub nie żenisz raz, przecie byto już pora — zagadala pani Maciejowa po długich ostrożnych korowodach. Pan Jakub odpowiedział jako człowiek wykształcony: że najprzód nie ma pieniędzy, a dla żony prócz serca, koniecznie trzeba pieniędzy i powtóre żeby się nigdy nie żenił tylko z takąoby mu się podobała. — „Naturalnie! naturalnie!” — uważała pani Rzemieńska i chciała już *analizować* warunki pod któremi tylko, pan Jakub raczyłby się nagiąć w jarzmo małżeńskie... kiedy się odezwał głos Maryni za drzwiami: „Mamuńciu! niechżeż mameczka otworzy bo mi źle samęj...” — Pani Maciejowa ucieęła rozmowę i pospieszyła poratować swą córkę i otworzyć drzwi: jęg i hussarskiej, cudną woń rozszerzającej pieczeni; i kapuśniaczkom rumianym, masnym, i gorącym jak serca chłopców których złośliwe stare zrędy „kapuścianemi głowami” zowią.

Pan Jakub nie był głodnym! nikt o tem niewątpi; więc dziękował i prosił się ale nadaremnie: „Ja tu pana prosić nie będę! pan robisz *ceremonie*, a przecie my wiemy, że pan z sobą kuchni niewozisz! niechże pan bierze — niechże pan jé — jeżeli nam pan cokolwiek dobrze życzysz!... “— I jakżesz tu było nie jeść hursarskiej pieczeni? A kapuśniaczków jakżesz nie skosztować? kiedy Marynia stojąc podawała pułmisek z przynuką.— Niechże pan weźmie, niechże pan skosztuje bo to mego pieczywa! — Kiedy tak prosi osiemnasty roczek, wzrost słuszny, tok ciała jak ułaf, włos ciemny, oko szafir, usta koral a ząbki jak śnieg — czy podobna odmówić! zwłaszcza że pieczeń i kapuśniaczki doskonałe, a tu się kilka lat lwowskiemi prywatnemi gar-kuchniami żyło! Zresztą nosił pan Jakub w sobie jeszcze szczątki rodzimego polskiego żołądka; szczątki, których ani rosółki traktyerskie, ani hreczane pierogi w Pohulance i Zofiówce, ani słynne *kwargle* z piwem winnickiem na strzelnicy miejskiej, ani nawet skład kiszek i kielbas na rogu halickiej ulicy we Lwowie zwalczyć nie zdołały!! — A żołądek polski to *temperament* polski! tak jak głowa z sercem, charakter! Żołądek dobry: *temperament* dobry. Krewkość wesola swawolna nawet!! — Żołądek zepsuty: krewkość zmieniona, przeważa żółć albo śledziona, człek zły, smutny, zgryźliwy! „w złym *humorze*! w złym sosie.“ — co to znaczy? Nie innego jak: sok czyli sos, t. j. *humory* żołądkowe zepsute, skisłe, albo wyrażając się naukowo: *Fermentacja* octowa wkradła się do żołądka. Głównem zaś znamieniem naszego rodzinnego niezepsutego żołądka, równie jak naszej krewkości (po staremu, a po modnemu) *temperamentu*) jest: wyprężalność i strawność! wielkie cnoty, w braku onych nie istniałoby już może nasze plemię na okrągłej ziemi naszej. Dobry humor nasz: strawi wszystkie troski! a obejmie nawet przedmioty i isto-

ty które właściwie daleko po za obrębem jego zostawać powinny. Żołądek nasz, najlepszy po strusim! i mam ważne *daty* na poparcie téj *hipotezy*. — Nieprzytoczę z nich tylko dwie: Czy nie otrulby na śmierć czterech cudzoziemców, czy Francuzów, czy Włochów, czy jakich bądź, taką porcyą kielbasy jaką *normalny* polski żołądek potrzebuje aby się dostatecznie posilić? Powtórny przykład jeszcze żywiej w oczy bijący niech nam stawi pan Jakub, który z szczątkami tylko, żołądka rodzimego podolał: białej kawie z arakiem (*dozys* olbrzymia) — pieczeni husarskiej z ziemniaczkami, po której *szwedy* szperczane jak Gustawa Adolfa zastępy kupami obozowały; podolał kapuśniaczkom smacznego wyrobu ładnej Maryni, a w końcu nie został paduchem tknięty usłyszawszy z ust pani Maciejowej wychodzący ukaz: Maryniu idź no! zrób nam jeszcze kawy! Ukazowi temu towarzyszyło wyciągnięcie z za pasa pęku kluczy spiżarnianych, które Marynia z taką zajmującą powagą odebrała i tak się zwinnie zakrzętała koło szafki i szuflady: że pan Jakub uniesiony gospodarnym wdziękiem zawołał mimowolnie: Ale jak uważam to z panny Maryanny będzie gospodyni całą gębą!

— A jakżeżby to inaczej? a któżby za nią gospodarował, gdy za mąż pójdzie? moja dziewczyna musi gospodarować i wszystkiego się uczyć; bo to krawców, szewców, nawet zegarmistrza, prędkiej dostanie, jak dobręj gospodoni. Sameś pan gadał przed chwilą jaka to bieda bez gospodyni. Ale! ale! a jakżeżby też to musiała być dziewczyna by się panu podobała na żonę? niech no mi pan powie! jaka by się panu podobała? — Jużcie najsamprzód ładna, i młoda! odrzekł pan Jakub odgadując myśli pani Maciejowej, że mu będzie miód na wargi smarować. Już bowiem kilka miesięcy t. j. od poznania i zajęcia się panną Emmą niemal sposobności wypłatania jakto zowią figla, czyli wyraźnie

orzekiszy: nie znalazł głupszego od siebie z któregoby bezkarnie mógł drwiakować. Ostatni figiel i żarty z woznicy żyda, który go brodzką budką wraz z tuzinem innych pasażerów do Tarnowa przytaszczył, nie bardzo się mu powiódł: bo trafił na żyda ciętego i pyskatego, który jak to mówią z błotem go zmieszał. Pani Rzemieńska naiwnością swoją nadarzała doskonałą sposobność do żartów; postanowił więc udawać: iż wchodzi w jej zamysły, i bawić się jój kosztem.

— Ładna! ładna! jużćie ja wiem: że się panu przecie szpetna nie podoba, bo to każdemu tak, i Maciej byli ładniejszy za młodu!

— Kobieto miałabyś też już raz przecie rozum! pleciesz ni w pięć ni w dziewięć!

— Widzi pan, gniewa się że był ładniejszym jak teraz — ale to tam mniejsza. Jakaż to ma być ładna: czy czerwona, czy blada?

— Rumiana.

— Czy wesoła czy smutna?

— Tak jak pani Rzemieńska.

— Czy może bardzo uczona? po francusku i Bóg wie co?

— Niekoniecznie, byle gospodyni...

— Może jaka bardzo z pańska, delikatna?

— Co mi po tém! żeby ot tak naprzykład jak pana Maryanna!

— To by się panu Marynia podobała?

— Matko! jak nie ustaniez kosałki opałki pleść to dałibóg! będę myślał że ci arak do głowy poszedł!... zauważał zniecierpliwiony pan Maciej.

— Macieju! siedzielibyście kiedy wam dobrze, tu ja gadam, tu ja *fundament* bo to córka! żeby o syna to wybyście sobie głowę łamali, ale córka to na mojej głowie...

— No! łamże sobie głowę łam! a ja pójdę na nie

szpór, bo nie mogę słuchać babskich gadanin przez które nas pan Jakub jeszcze po świecie obniesie...

— Ale panie Rzemieński...

— Ej! siedź pan siedź! oni bo ta na starość to już taki zrzęda, w niczem im nie ugodzi: zresztą choćby ugodził to oni swój litanii nie opuszczają! To idźcie że idźcie! a wracajcie! — Poszedł tedy Maciej a pani Maciejowa usiadła wedle Jakuba i nie tracąc wątku powtórzyła:

— To jakże? podoba się panu Marynia?

— A czemuże nie! Panna Maryanna taka hoża i taka do rzeczy, każdemu musi się podobać i dziwić się, że jeszcze za mąż nie poszła.

— Bo to widzi kochany pan Jakub! ja panu powiem prawdę tak jak przy świętej spowiedzi. Jużci co prawda to nie grzech: dziewczyna nie szpetna i niegłupia zresztą prawdę powiedzieć i nie goła! to też ma oczy u ludzi. Ho ho! panie! tu już jeździli nie jedni! Tu jeździł jakiś cukiernik z Tarnowa; jeździł jakiś bogaty piekarz z Rzeszowa co to się w samej Warszawie uczył i jakiś kupiec młody co jęj aż z Medyki bukiety woził; ale to panie bukiety jak ten piec! a takie śliczne, że to cud! tylko nie pachnące. To też za to mydełka takie śliczne jak szkło a pachnące, że jak człek powonił, to aż serce ścisnęło i takie perfony, że to aż mdliło: a wszystko w złocistych ramkach! i ten stary szlachcic z waszecia, co to tam teraz podobno w Tarnowie siedzi a w żółtych butach chodzi i w takim pasie jak Maciej; to i on tu był! to panie jak przyjechał to mnie w rękę całował, i mówił mi: Pani Dobrodziko!

— A przecie córki nie dostał?

— Jakżeż miał dostać, kiedy się ani spojrzeć nie chciała: że stary! tylko sobie pod nosem przyspiewywała:

Staremu, staremu za piecem zagrozić,
Młodemu chłopczynie do dziewczyny chodzić!

— A to panna Maryanna widzę szpaczkami karmiona.

— Jużciż że nie w ciemię bita! — bo cóż to jej starego męża! to kieby młyński kamień u szyi; a tu dziewczynie do światu dopiero.

— A tamciż? ten piekarz, kupiec i cukiernik czy także starzy?

— Broń Boże! młode chłopcy i grzeczne! tylko cukiernik i kupiec to troche bladawi, ale tamten to osoba okazała: że było na co spojrzeć.

— I czemuż go niechciała?

— Czemuż? czemuż? czy to pan nie zgadniesz? dziewczyna ma chwałę Bogu urodę i rozum i pieniądze: toby też rada *unoru*, znaczenia! — ja sama nieradabym ją wydała za byle kogo bobym także wołała zięcia z *unorem* i znaczeniem, nie lada piekarza albo kramarza; tak, za jakiego *ofcyalistę* to bym dała. Ot tak! za pana tobym ją dała!

— Za *anie*? a chciałyby mnie panna Maryanna?

— Ej coby tam nie miała chcieć...

— Kto wie?

— Ja wiem! bo ja matka, a ona moje dziecko! już ja ją wyrozumiała w kuchni; naumyślnie wywołałam ją tam żeby z niej wyrozumieć. A choćby i nie to, tom mogła zgadnąć że się jęj pan spodobał; bo ona tu żadnemu kapuśniaków tak czempredź nie piekła jak pannu. Tamci jak bywali, to patrzyła jakby się ich pozbyć co rychlej i uciekała z izby a kiedy my ją wołali żeby przecie z kawalerami pogadała kiedy do niej zjechali, to odmrukła: Nie dla psa kielbasa i trzask! zamknęła się w swą izbę, jeżeli się bardzo naprzykrzali i zo-

stawiała ich nam starym na głowie. A przy panu, to i prędzej usiedzie i kiedy jej co dysponuję to się nie bardzo spieszy; to się jeszcze zeprze — to stanie, to kluczy szuka — jakby niewiedziała kędy leżą, a co się pan na nią spojrzysz to raka spieczę.

— Ha! kiedy tak! kiedy pani twierdzi że się spodoba pannie Maryannie: tobym może...

— Ba! ale pieniądze! to fundament! wieleżby to pan Jakub pieniędzy chciał?

— No! rozumie się: że jak najwięcej, już to przynajmniej z pięć tysięcy reńskich w srebrze.

— Pięć tysięcy srybla? bój się pan Boga a na cóżby wam tyle pieniędzy?

— Czy się to pani tak wiele widzi? cóż to jest pięć tysięcy tak osobliwego?...

— Co tak osobliwego? pięć tysięcy? a co to pan myślisz że to pieniądze teraz na owsisku rosną? ho! teraz trzeba dobrze popracować na każdy szeląg. Co to pan myślisz! co takie dziecko kosztuje nim się z domu wyprowadzi.

— Wyprawa swoją drogą i spodziewam się: że przecieży się pani wstydziła ładajako wyprowadzić; zresztą meble do żony należą...

— Memble! memble! co panu po memblach. My się bez memblów obchodzili a żyliśmy i dał nam pan Bóg że coś zostawimy po sobie! a wy teraz zaraz memble, do siedzenia memble, do spania memble, do grania memble, zwierciadło membel, skrzynka membel, zegarek membel! wszystko membel. Głowa w memblach! na szyi na rękach złote, srebrne memble! wszędzie memble a w kieszeni: bez membli! bo się wszystko wymemblowało. —

Pan Jakub nie mógł się dalej powstrzymać i śmiał się serdecznie dogadując ciągle to o meblach to o fortepianie, to dywanach, serwisie itp.

— Eh! pan się śmieje że ja membli nie lubię!..

— Moja pani! inne czasy, inne obyczaje — bez mebli teraz ani żyć na świecie. Proszę sobie wystawić na przykład zięcia swojego, urzędnika dajmy na to! Przychodzi pani odwiedzić dzieci, a tu posadzka wywoskowana aż się świeci, kanapa, krzesła z prochów otrzepane, czyściutkie. Marynia czysto ubrana siedzi i haftuje sobie, a wnuczątko małeńkie po dywanie biegnie bo so przeciwko babci i choć upadnie to się nie rozbije choć bosa to się nie zaziębi.

— To prawda! dla dzieci to prawda że to dobrze, bo jak się zaziębi to zaraz kaszle...

— A widzi pani że to dobrze...

— Ale kiedy to kaducznie drogie...

— Gdzie tam drogie, ot i ten adamaszek co pani no-si drogi i ta chustka tiulowa haftowana droga, i tych koralu nad Dunajcem w piasku nie znajdzie a przecie kiedy się zaszanuje to tanie a piękne...

— To prawda! kiedy się zaszanuje!

— A widzi Pani!

— No to dobrze! to memble fraszka bo jużci i w ko-ściele człowiekowi milój kiedy ładnie. To słuchajże pan!,...

— Słucham!

— Damy panu tysiąc *śrybła*!... i.

— To mało! ani mowy...

— Ale słuchajże mnie pan: tysiąc *śrybła*, sześć łyżek *śrybnych* i sześć łyżeczek do kawy i dwie krów dojnych i wyprawę domową, kilka sukien na lato, kilka na zimę; futro, sześć spodniczek dymkowych...

Pan Jakub znowu w śmiech serdeczny. To mało! to wszystko mało!

— Ale słuchajże pan: i koralu z krzyżem i kulozyki *śrybne*, i pierścionek z krwawnikiem... i ze dwa pol-cie słoniny albo wieprza karmnego...

— To wszystko mało...

— I na memble ze sto srybla...

— Sto srebra! na meble? a toby było!... eh! z panną widzę końca nie dojdzie, pfe takie skąpstwo...

— Ale panie Jakubie; niechno pan da spokój; bo ja nie skąpa; ażebyś pan nie myślał tak o nas: to damy panu dwa tysiące *srybla* i na memble...

— Mało — mało!

— I wyprawę: sześć spodniczek dymkowych... i *priskinę* jedwabną...

— Co? co? *priskinę*? —

— A tak, nową jedwabną.

— Ah! *krispinę*!

— Tak *priskinę* nową! i sześć!...

— Tej chwili weszła panna Maryanna; więc trzeba było rozmowę przerwać! Wraz z jej przybyciem przyszła kawa i śmietanka i arak i znów się rozpoczął drugi tom białej kawy z arakiem. — Pani Maciejowa za nadto zabruęła w przedmiot wydania córki, aby całkiem zamilczeć mogła. Rozpoczęła więc na nowo zwracając mowę do Maryni:

— Widzisz Maryniu! pan Jakub mówi: że mu się bardzo podobasz i niechce wierzyć że się tobie także podoba...

Zawstydzona Marynia oburzyła się na tę gadatliwość matki i wyrzekła z dąsem:

— A już też prawda że mama taka zabawna, takie mama rzeczy baje...

— Marysiu dziewczyno! dajno spokój! i ja była dziewczyną a słuchałam co mi matka gadała, bo matka pewnie dziecku swemu na złe nie chce. Ty to sama kiedy zobaczysz jak ci pan Bóg dozwoli być matką.

Pan Jakub znowu w śmiech, a Marynia już nie na żarty niedyskretną matki mową oburzona i zawstydzona uciekła z izby. Dobrze że Maciej wrócił z niesporów

a z nim stary kapitan, który jeszcze za drzwiami wołał: *Guten Abend Fräulein Mary! guten Abend!* Ale niebyło Maryni, więc pan Jakub wstawsz odrzekł: *Guten Abend!* dobry wieczor! Poznano się nawzajem, a za pomocą tej *metastazy* zabierał się pan Jakób koniecznie do Tarnowa z powrotem. Przy pożegnaniu usłyszał kilkakrotne zaprosiny od pana Macieja i pani Maciejowej która nie omieszkala mu powtarzać raz po raz: Bo ja pana bardzo lubię! bo to pan przecie i mądry a nie taki hardy, tak się pan z człkiem ugadasz, że aż miło. Panna Maryanna przywołana na pożegnanie, bez trudności przyszła, a kiedy Jakub koronując *figla* swego w rękę ją pocałował i przy tej sposobności lekko uściśnął: spuściła dziewczyna oczy, a matce spłynęły zrenice łzami radości, i ani kawy niedopiła ani kapitana nie słuchała, ale poszła do spiżarni, zamknęła się, klękla i zmówiła Akty strzeliste do Matki Boskiej, aby zamysłem jej błogosławiła. —

Wieczór u Panny Emmy! — Des-à-des!

Panna Emma przyjmowała także gości: ale innych i inaczej.

Przyjaciółkę swoją Lizę, przyjmowała bez wszelkiej etykiety: jako przyjaciółkę od serca! A była sobie panna Liza może troszkę za przysadkowatą; oczy miała duże czarne, wcale niebrzydkie, nosek mały, usta okrągłe, a ząbki drobniutkie i często je pokazywała. Włos czarny bujny, cera blada a wymowa szczebiotliwa i troszkę szepleniąca. Zwykle mówiła po polsku ale łamanym językiem; kiedy zaś chciała światu zaimponować, a zagałała po francuzku: to i Polska miała dosyć i Niemcy podostatek, a Francuzom się przecie coś dostało! Gdyby tak na złośnika, toby rzekł: że gadał wszystkiemi mo-

wami, jak za apostołskich czasów. Owóż panna Liza przyszła sobie sama, jako emancypowana panna a na wstępie oświadczyła: że po nią ma przyjść ładny *Marquis Vasquez*!!!!

Dwie siostrzyczki w niebieskich sukienkach przyjęto grzecznie ale z pewnem wymuszeniem. A była temu przyczyna szczególna. Młode bowiem wesole dziewczątka lubo się porodziły gdzieś w niepołomskiej puszczy; jednak największą część życia na Morawie spędziły, gdzie ojciec ich urzędował, a one odbierały wychowanie gospodarsko-muzykalne. Gospodarować jeszcze nie miały na czem, ale muzyka była ich drugą duszą, a co tylko z rodzinnych naszych śpiewów dostały, uczyły się na pamięć, wyśpiewując przy fortepianie z wielkim zapalem, lubo nienajczystszy akcentem; uczucie jednak było najczystsze.

Panna Emma nie lubiła tego słuchać zwłaszcza w liźniejszém gronie; aczkolwiek nadwiślanka zabita w całym pokoleniu swoim nieznała osoby, któraby była w stanie wymówić: *łuj* nie *uj*, *mydło* a nie: *myduo*, jednakowoż ceniła tylko arye z najświeższych oper, i popisywała się czasem z niemi kalecząc niemiłosiernie text niemiecki. Dlatego to względem tych dwóch niebiesko ubranych dziewczątek, u których serce było jak na dłoni — okazywała się zimną, a nawet lekoceważącą.

Panią komissarzową znowu przyjmowała jak najgrzeczniej uwzględniając rangę a jeszcze bardziej świetny stopień: *Elegantki!* którego tytułu całe miasto odmówić jój nie śmiało i nie mogło. — Ona bowiem pierwsza obręcz w spodnicy, ona pierwsza włosiennicę zawdziiała; najpierw na nią podziwiałły Tarnowianki *kryspinę* i *Mantyllę z kapiszonem o czerwonym kutasie*; jak obecnie, ona pierwsza pokazała światu jak „dobrze do twarzy“ młodej kobiecie z kędziorkami w około główki

à la Titus! — I któżby nie oddawał hołdu i cześci tak znamienitej, w świecie mody, pani komissarzowej, której wszyscy zazdrościli, a która przecie miała swego mola!... (bardzo proszę nieuprzedzać się i nieprzewodzić na pamięć starego jój męża; bardzo proszę)!.. mola, który ją gryzł i dręczył: że nie umiała: *dos-à-dos!* ale o tem potem!

Przez wzgląd dla pani komissarzowej przyjęto dość grzecznie jój towarzyszkę, kuzynę męża jój, bardzo miłą osobę słusznego wzrostu, zdrowej cery, która gdzieś na Podolu czy Pokuciu, czy gdzieś tam za wodami u jakiejś bardzo bogatej hrabiny za guwernantkę była i dobrze śpiewała do gitary. Obecnie przyjechała poznać swą piękną Wujaneczkę, która ją wprowadziła ze sobą.

Już się Panie przywitały, już pogadały o sukniach i kołnierzykach i o żydzie krawcu co tak doskonale sznurówki i gorsety robi: że tam i Wiednia nie trzeba i o wszystkich mężczyznach zdania zapadły; już hafty i mozolne *mereszki* chusteczek batystowych zoglądano, a z Pannów jeszcze ani jednego nie było widać! — Już z rączki do rączki obeszły maleńkie wazoniczki porcelanowe z kwiateczkami sztucznymi, i figurki porcelanowe pocieszne: to zakonnik wesoły, to gałganiarka z putnią na plecach to piesek i myszka i wszystko! i koszyk ścienny haftowany podziwiano! i robotę na kanwie! i co tylko było! — W ostateczności przystąpiono do środka najostateczniejszego i zaczęto oglądać *kwodlibety!* — *Kwotlibet!* ach! drogie wspomnienie dla badacza postępu i dziejów umiactwa w Galicyi! *Kwotlibet!* ta jutrzienka, ten zwiastun zamiłowania artystycznego ten łącznik płaskorzeźby z malarstwem! ileż tam myśli, ile czucia, ile dowcipu! — Tu żona średniowiecznego rycerza, zakonu smoka albo lwa, o zdradę nieślusnie pomowiona w więzieniu zamknięta wznosi o-

kowane, ręce, nad niemowlęciem swoim, co się z barłogu zbutwiałego ku niej uśmiecha; a tam z boku mops na nią szczeka a nad nią bocian zabę niesie! — Tu Suwarow na koniu jedzie przeciw Napoleonowi a między niemi stanął kielbaśnik i raczy ich smacznym wyrobem! — Tu kościół wywrócony przez pól a z pozaniego wygorsowana jakaś francuska dama; tu widok morski, a tam cebula czerwono *illuminowana*, tu rycina sławnego Falka, barbarzyńsko obcięta, a tam *krewniklerski* burmistrz na szczecistym wierchowcu ugania i t. p. i t. p. i t. p.!

Jak znak honorowy na piersi lub blizna na twarzy walecznego wojownika, tak *kwotlibet* koniecznym był na ścianie tak zwanój naszej intelligencji, jeszcze do niedawna; ileż to rycin padło ofiarą wzmagającej się oświaty! ile dzieł mianowicie z przedmiotu nauk przyrodzonych! Lecz stało się! *fait accompli!* *kwotlibet* jeden i drugi sążnisty wisiał na ścianie, panie podziwiał y i właśnie spostrzegły małpęczkę prześliczną, kiedy...

Zadzwonił dzwonek na sprężynie do siennych drzwi przybity, i słychać było mocne tupanie i skrobanie podszew i pokaszliwanie i głosy grube... i weszli panowie kawalerowie w liczbie puł tuzina!

Dwóch Czechów od *Bunclau* i *Czaslau* szli przodem, za niemi Szlązak od *Oderbergu*, Morawian od *Znajmu*, a drugi z Berna, a w końcu *hałycka detyma*, rusinek młody z nad Dniestru ostrożnie drzwi zamykając. Inny duch wstąpił w Panie ale nie we w wszystkie: bo Liza, niby wyglądała kogoś i Emma wyglądała kogoś! Liza sobie, Emma sobie uszkiem strzygły i w okno od niechcenia spozierały.

Przybyli Panowie byli po większej części *applikan-tami* przy różnych urządach; młodzi ludzie a każdy prawie swojego właściwego kroju, a odgadnąć ich nie było trudno!

W krótkim czasie utworzyły się grupy i rozebrano role: Jeden Czech i Panna Emma siedzieli przy *fortepianie*, drugi zajął stanowisko obok panny Lizy; Morawianie i Szlązak przy siostrach niebiesko ubranych, a halickie dziecko wynurzało w dobranych wyrazach głęboki hołd i cześć pięknej pani *komisarzowej*; gędziebna w końcu guwernantka siedziała nieboga samotnie! — Wszyscy rozmawiali prócz grających i guwernantki.

Adonis panny Lizy stał wyprężony, i widocznie silił się okazać układ swój światowy i pociąg serdeczny do czterech tysięcy Złr. posagu Panny Lizy, głośnego po wszystkich ulicach i bórach!

— Jakże zdrowie pani?

— Wyborne! a Pan jak się ma? już dawno nie miałam szczęścia go widzieć!

— Proszę pani! byłem bardzo zajęty; we dnie urzędowaniem a wieczorami przygotowaniem się do *egzaminu z kameralistyki*, który (musi pani wiedzieć!) daleko trudniejszy od *kryminalnego*, a nawet od *politycznego*. Bo cóż oni w *kryminalnym* mają? dwadzieścia trzy zbrodnie i kilkanaście *paragrafów procedury karnej*. Polityczny: to sama *kazuistyka*, ale nasz! to co innego! — Począwszy od definicji „*placu celnego*“ aż do ileż to najrozmaitszych przedmiotów zawiera: to stęple, to cła, to dobra kameralne, lasy, górnictwo i Bóg niewie co! to tego trzeba przysiedzieć!

— Ale pan już umie? rzuciła Liza od niechcenia, spoglądając w okno.

— Nie tylko że umie, alem już zdał! naturalnie! i *adjutum* już mam ustalone, i *awans* zapewniony . . . i tylko mi jedną rzecz dostaje . . .

— Czegóż naprzykład?

— Lubej, dobrej żoneczki . . . rzekł patrząc się jak mógł najczulej na Pannę Lizę, która poziewając lekko,

odrzekła: A to czemuże się Pan nie żeni, kiedy Pan ma ochotę? ... i znów spojrzała w okno. — Kawaler westchnął i zamilkł. Liza także się nieodzywała, i tak milcząc poszli oboje do tańca, bo właśnie *Szperłpolka!* zabrzmiała skocznie. Konkurent w chwili wytechnienia nieprzestawał bawić panny Lizy rozmową z której dowiedziała się: że ma ślicznego pieseczka ... że na śniadanie zawsze mu kobieta z Strusiny nosi za „trzy *dułki*“ śmietanki bo tego godzien będąc bardzo lubym i bardzo schludnym pieseczkiem. Dalej: że niedawno kupił sobie sztukę płótna, z której jednak nie było tyle koszul ile się spodziewał, ale za to bardzo się robota udało ... chustek do nosa by sobie jeszcze rad sprawić, ale się z myślami bije jakich? bo w sklepie, gdzie zwykle kupował towary niciane, już nigdy nie myśli kupić z przyczyny, że go na *szkarpetkach* okropnie oszukano: za dwa miesiące już się wszystkie na piętach podziurawiły!! a chciałby nienabywać tylko trwałych rzeczy aby kiedyś ... ktoś ... nieśmiał się z niego ... bo jak mówił brakuje mu lubej dobrej żoneczki ... i spodziewa się: że znajdzie! ...

Mniej więc w podobny sposób, lecz każdy, z właściwem sobie zacięciem, starał się bawić pannę do której się przysiadł; — było więc w każdym kącie pokoju pełno szeptów, chichotań się, a nawet i spazmatycznych ziewań. Szczególniej na twarzyczkach dwóch niebiesko ubranych siostrzyczek, które usiłował bawić pocziwy Szlżak rozprowadaniem o Cieszynie, jego towarzystwie, zabawach, a przede wszystkim o wybornem cieszyńskim piwie, dającem się pić bez końca i miary, nie tak jak bawarskie, którego ofiarą padł pewien tam blacharz wypróżniający go co dzień po kilka kuflów, w skutek czego zdusiła go apopleksya.... Podobne anegdoty sypałyby się jak z rękawa ku wielkiemu ziewaniu dwóch

wesolutkich i trzpiotowatych panienek... bo opowiadający jak beczka heidelberska był niewyczerpanym — gdy na szczęście, nagle pociągniony dzwonek z ulicy przedlał się dzwonieniem zapowiedział nowych gości....

— Ach! Vaskez, Vaskez! zawołała z radością Liza i poskoczyła ku drzwiom na przyjęcie gościa. Adonis jej skarpetkowy zagryzł wargę i wykrzywił twarz z niechęcią.

Pana Markiza Vaskez wprowadzał i przedstawiał pan Walanty, członek urzędu ławniczego miejskiego czyli Magistratu po dzisiejszemu. Oba różnili się wielce od wszystkich przytomnych ubiorem: Markiz był w aksamitnym czarnym *tuzurku* z szkiełkiem na sznureczku, Walanty zaś w sutój czamarze granatowej. Chwilowa przerwa wnet się naprawiła, skoro markiz obok Lizy a Walanty obok pani komisarzowej miejsce zajęli. Okoliczność ta sprawiła, że adonis Lizy równie jak Nadniestrzanin zostali *luzakami* i mieli czas patrzeć i słuchać. Oba patrzali na Lizę i markiza, oba słuchali a oba co innego widzieli i słyszeli. Pierwszy widział tryumf markiza i słyszał grzeczności z ust Lizy wyrzeczone, a drugi widział, że Liza nad obyczaj blisko przy markizie stała, a zauważał iż czasami coś oichaczem z sobą mówili. Pierwszy się odsuwał, drugi przez ciekawość zbliżał się ku Lizie. Ponieważ zaś taniec nietylko nie ustawał ale owszem świeżo kadrylem się rozpoczynał, wyproszono pannę Emmę z za fortepianu i stanęły pary obok siebie, rozumie się markiz z Lizą. Pani komisarzowa także poszła i wszystkie panie, boć to chodziło o „*dos-a-dos!*“

Trzeba wiedzieć że Lwowianie onego czasu wielki, wielki postęp w tańcu zrobili. Polonesy nudne ustały, polka fikana na oba boki weszła w obyczaj, a w celu upokorzenia baletników paryżkich wynaleziono nowe ka-

dryle w liczbie 17 czy 19 i z wiekopomną figurą *dos-a-dos*. Opisywać ich nie będę boć to zbyt mozolne; o sławném *dos-a-dos* tylko wspomnę, że go tańczono plecyma ku sobie, z czego zwykle *karambol* wynikał, a w tém była cała trudność. Jeżeli taniec ma wyrażać czucie lub namiętność, toćby to bardzo łatwo było spolszczyć tę figurę i nazwać: *das-a-das*, niby że się obie panie przeciwtańczące podąsały i plecyma się obróciły do siebie.

Pani komisarzowej jako mężatce zostawiono pierwszeństwo, i trzeba przyznać że słusznie. Trudno bowiem wystawić sobie coś naturalniejszego od jój tańca; kiedy w obawie zetknięcia się z swoją *vis-à-vis* panną Emmą, natężonym wzrokiem spoglądała ukradkiem przez oba ramiona na Emmę, a usta i całe oblicze przybrało mimowolnie wyraz jakiejś obawy i niecierpliwości połączonej z uporem, słowem istotnego *dasu a dasu*. Aleć bo i panna Emma doskonale *das*a tańczyła: *das*ała się bowiem dusza jój na Jakóba, na tego poetycznego czulego Kubusia, który sam na sam z nią będąc, zachwycenia napady miewał i chociaż w ogólnikach, zawsze jednak bardzo wyraźnie o nieczułość ją obwiniął, pomawiając cały biedny ród niewieści. Obecnie, kiedy taniec i muzyka uświetnia błogie przypomnienie niebogi: że 19 wiosna widziała ruciany wianeczek na jój dziewiczej skroni, w takiej chwili rzewnej w której każde serduszek panieńskie do żalu się nastraja, wtedy właśnie niewdzięcznika nie było, a co gorzej, niewiedzieć gdzie się zawieruszył. W tak więc okropnym *humorze* mogła Emma wyśmienicie tańczyć *das*y.

I tańcowała doskonale — i wszyscy w te dwie panie oczy wlepili: jak zgrabnie się mijały; mianowicie pani komisarzowa, której wielce chodziło o to, aby piękna jój suknia o wysokiej *walizie* z tyłu, z honorem walkę *Terpsychory* odbyła. Słowem było na co popatrzeć, tyl-

ko Liza nie miała czasu spoglądać. Markizą zostać, Markizą! żoną hiszpana, który jak już z aksamitnego *tużurka* znać, bardzo musi być bogatym, a kto wie, może i dziedzicem *Alhambry* cudnej, której fantastyczne łuki i *arabeski* dopiero niedawno w *Pfenig-Magazynie* podziwiała. Zresztą nie koniecznie być dziedziczką *Alhambry*, byle hiszpana za męża dostać i po Tarnowie, Rzeszowie, Bochni a może nawet i po Lwowie słynąć rzadkim tytułem Markizowej. Opojona nadzieją tak wielkiego szczęścia, nie poglądała Liza na das a das, ani zważała na wyniosłą *walizę* sukni pani komisarzowej, ani na zgrabne ukazowanie pięknego haftu balowej spodnicy, ani wreszcie na to, że jej ubóstwiany hiszpan wraz z nią przy wąskim stoliku stojący o stół się oparł a dla wygody obie ręce między siebie i ostrą krawędź stołu podłożył. Ani tego nie zważała, że romantyczny naddniestrzanin z zadowoleniem topił oko w bujnej postaci pięknej pani komisarzowej, i w ładnych włosach, i prześlicznej tiulowej chmurce, która alabastrowe jej popiersie lekkim przezroczem zamgliła. Zatopiony w ponętym obrazie, uczuł żywsze bicie serca i potrzebę oparcia się. Stolik bliski był ku temu bardzo przydatnym. Stał więc obok markiza i spariszy się jak on o stół, wyciągnął prawą rękę po za jego plecy i patrzył dalej na tańczącą panią konsyliarzową: a serce mu coraz mocniej biło, i twarz mu się rozogniała, a w głowie czuł wezbranie mózgu. W tém mu się zdało, iż niby czuje lekkie ściśnienie prawej ręki która za plecyma markiza spoczywała. Za chwilkę wyraźnie poczuł uścisk pulchny-miękki-czułogorący! i wnet się dorozumiał istoty czynu. Panna Liza bowiem w uniesieniu w jakim się znajdowała, zerknąwszy boki obaczyła rękę za plecami markiza. Będąc pewną że to markizowa wierna prawica, nie wahała się wystąpić zaczepnie *w manewrze* miłosnym jak widać często już powtarzanym, i nie wiele

myśląc, ścisnęła z lekka rękę widzianą, która jednak nią była własnością Markiza. Naddniestrzanin rad tej niespodziance pochodzącej z omyłki, nie tylko że się przyczaił, ale owszem z całą improwizowaną czułością oddał uścisk ręczny Lizy... i nastąpiło wielkie, ciche, czułe i serdeczne obopólne ściskanie!! Podczas tego Liza chcąc widzieć jakie to sprawia wrażenie na markizie, wlepiła namiętny wzrok w odętą twarz kochanka, i dziwiła się w duszy, iż tak serdeczny, tak wielomowny uścisk tak mało robi zmiany w rysach mężczyzny, którego twarz gdyby z głazu lub raczej z papendeklu utworzona, tak obojętnie przed siebie patrzyła, że rozpaczałoby można. Zimną krew zachowujący naddniestrzanin, widział ten żar w jej źrenicach, ten płomień na twarzy; a porównyując z obojętną miną markiza, nie mógł już dłużej wytrzymać. Ujawszy tedy silniej rączkę Lizy, nachylił się ku niej i rzekł: Panno Lizo, czy dziś prima Aprilis? — Liza będąca w siódmym niebie, nie zrozumiała pytania, i silny uścisk silnym uściskiem oddała. Tu już trzeba było wyraźniej zagadać i dobitniej dać do zrozumienia: „Pani się pomyliła“ powtórzył niegodziwiec, i jak ściśnie rękę, aż Liza w głos wykrzyknęła owym panięńskim przeraźliwym: Ach! którego wysokość tonu po nad *sferę nót muzycznych* sięga.

Wszyscy się obejrżeli na nią, a Markiz wytrzeszczył siwe oczy jakby chciał powiedzieć: Co wy tu proch wynachodzicie? Czy co? bo ja go niemogłem wynaleść. Niektórzy się domyślili prawdy, drudzy nie. Ponieważ zaś kolej tańcu przypadła właśnie na Markiza z Lizą i Szlązaka z młodszą panienką w niebieskiej sukni; tańcowano das-a-das z taką doskonałością, że lwowski wynalazca widząc to, nieposiadałby się w radości i niechęć czyliby ze skóry niewyskoczył. Bo to Liza na prawdę była zadana na Markiza: że taki niedomyślny; a na figlarza od Dniestru: że taki domyślny i złośliwy; a

na całe towarzystwo: że słyszało wykrzyknik i mogło się Bóg wie czego domyślać. Mała zaś niebieska pannyka dała się na swego tancerza od Szląska, że ją niestara się bawić, bo wyczerpawszy swoje wiadomości o Cieszyźnie, niemiał już co powiedzieć. Tak tedy obie panny słusznym gniewem uniesione ledwie stopą posadzki dotykając, skakały plecami do siebie obrócone, i dały się tak przesłicznie: że szkoda, jeżeliby świat niewdzięczny zapomniawszy das-a-das; pozbawił się tak przecudnej *lwowskokadrylowej figury*, której ani *walc-kozak* ani *walc-kołomejka* ani *kadryl-kołomejka* ani *węgierski kadryl* ani żaden *galicyjskoślowiński* taniec nie posiada ani zastąpić zdola.

Po skończonych piasach panowała wielka różnorodność humorów; bo to panna Liza powarzona; niebieska sukienka zadana; markiz zdziwiony; Emma bolesno zadumana; naddniestrzanin uśmiechający się; i niebrakowało tylko pana Jakuba, który nareszcie przybył i skwasił do reszty wszystkie humory!

Powitany od Emmy owym niemym a wyrazistym dygiem, owym zimnym uśmiechem, który gdyby chłodna piana na kipiącym morzu namiętności igra; poczuł się do grzechu i zaczął od przeprosin. Łatwo odgadnąć iż mu przerwała mowę zwykłym w podobnych okolicznościach: Niewiem dla czego się pan uniewinniasz? — nikt pana niepomawia o nic — nie miałeś pan czasu wcześniej, więc przyszedłeś pan później.... niedziwię się.

— Ale moja pani! chciej też wysłuchać mego uniewinnienia się, czyli raczej opowiadania, bo ciekawe.... ja właśnie jadę ze swatów!

— Ze swatów? ze swatów?! zapytała zdziwiona Emma — a za nią chórem reszta pań i panów powtórzyło to pytanie.

— Tak jest ze swatów! i to nie jam swatał ale mnie swatano: z młodą, ładną, grzeczną i posazną panną....

— Co? co? co? z młodą ładną posażną? i panbyś niechciał takiego kaska?

Pan Jakub nieodpowiedział: ale zaczął od opisanie osób i okoliczności, przytoczył całą rozmowę z panią Rzemieńską, wytykał kilka razy zabawne wyliczanie posagu, i w najlepsze przedrwiwał i z matki i córki; — a kiedy był w najwyższym ferworze opowiadania przerwał mu nagle pan Walanty.

— Niech pan wybaczy! ale to wcale niema z czego sztydzić że się znalazła pocziwa matka, która panu chciała oddać dziecko ukochane w zamęcie a majątek w posagu; jedno i drugie jak sam wyznajesz nie do odrzucenia.

— Ależ panie Walanty sposób w jaki...

— Sposób? uważam: że dla pana był za nadto pocziwy, kiedy się pan wysmiewasz że szczerze przywiązanie, szczerze wyjawili. Jednakowo chcieli panu oddać wszystko co mieli drogiego, i to niezwykłą szczerością; widać że panu prócz majątku, powabu i dobroci koniecznie trzeba deklamacyi...

— Nie deklamacyi ale przecież jakieś maniery, jakiegoś znalezienia się...

— Gdzież się to ma znaleźć?

— Wszędzie?

— Ej panie! zwykle ci co się umieją wszędzie znaleźć, nie umieją się znaleźć we własnym domu; u obcych są jakby w domu, u siebie zaś jak u obcych. Inna rzecz świat wielki, rody historyczne i majątki krociowe, a inna my biedni officialiści. Tamci żyją kosmopolitycznie, żyją zagranicą i konieczna im maniera wielkiego świata do której trzeba dużego majątku. Pan masz *adjutum* 300 złr. prawie na rękawiczki w wielkim świecie, a największa nadzieja: urząd radcy. Niewiele słyszę aby po urzędniku majątek dzieciom pozostał, więc sądzę, że

nam *manier* małego świata: oszczędność, skromność, potrzebniejsze...

— A wiesz pan! gdyby Rzemieńska wiedziała jakieś w panu orędownika posiada: toby panu pewno tak miód na wargi smarowała jak mnie!

— Zaręczam, że gdyby mnie jęj córka wybrała, a dali mi ją: podziękowałbym Bogu! — jeżeli to prawda że tak pocziwe są jak ich pan opisujesz; zaręczam oraz, żebym potrafił młodą żonę niezepsutą i bez *manier* wielkich prędszej nauczyć światowości życia z ludźmi, niżeli przekształconą odzwyczaić od zbytecznych i wcale niekoniecznych wielkoświatowych *manier*. A matka w staroświeckim ładnym stroju i mówiąca co serce czuje, nieporównanie więcej warta od różowanej staręj jakiejś *kokiety* w napuszonych czupidlach na głowie.

Wymówione słowo *róż* — wywarło skutek niespodziewany na Lizie, która troszkę miała go na lieu. Zrażona pomyłką w uściśnieniu ręki, przełękła się że i róż na twarzy wysłedzony i straciwszy równowagę umysłu, ni z tego ni z owego zerwała się i kłamiąc różne powody pośpiechu odeszła w towarzystwie markiza i — czego się nikt niespodziewał, naddniestrzanina. Niecnota ten po owym wykrzykniku ciągle jeszcze przy niej stawał i ciągle jęj coś szeptał: — Odechodząc jednak nieżegnał się, oświadczając, iż tylko Lizę odprowadzi i wróci.

Chwilowa przerwa niezakończyła sporu między panem Jakubem i Walantem, owszem poddała ostatniemu świeżej osnowy.

— Ot! patrz pan! panna Liza jest według widzenia rzeczy twego, osobą z *manierami* i tem czemś! co pan tak wiele cenisz — niebrakuje jęj nic prócz tego co pan w Rzemieńskiej wyśmiewasz t. j. niezepsucia! Widzieliśmy dokąd wiedzie *maniera* przenoszona nad skromność dziewiczą....

— Cóż to było właściwie między niemi?

— Co było? pytaj się pan panien i pań czego się tak chichoczą ukradkiem jedna do drugiej....

— Cóż takiego? bo niewiem co zaszło.

— Nie osobliwego.... Adonis klękając przed panną nożkę jej przydeptał...

— Eh! nieprawda? bo się panie śmieją.... to coś innego....

— Niesłuchaj pan! nie nożkę przydeptał, ale serdu-szko scisnął, które na chwilkę w ręczce zamieszkało! — tłumaczyła pani komisarzowa i rozmowa ożywiwszy się obmową przeszła na inne pole gdzie bohaterem był markiz.

— Ale! bo ja widzę że państwo wszyscy pana Wencła Waszkowica na serio macie za markiza.

— Przepraszam! ja nie! my oba z Bunclau rodem, od dzieciństwa się znamy i tu w Tarnowie z sobą żyjemy; odrzekł Czech muzykalny.

— On nie markiz?! zapytały zdziwione panie.

— A jużcie że nie! ale, że w aksamithym tażurku chodzi i miny stroi gdyhy *Grand* hiszpański: więc my go z figlów nazwali markizem, a państwoście twierzyli. Waszkowica przerobiliście na *Vaskeza* i dyplom gotowy.

— Bójcie się Boga! tać Liza pomieszała zmysłów dostanie skoro się dowie o tem.

— Nie będzie jej nic! niech się pani komisarzowa aspokoi, ona ma na tyle *manier i rutyny*: że się wykręci z kłopotu.

Pogadanka szła coraz żywiej, śmiano się żartowano i wszyscy z ciekawością wyglądali powrotu naddnie-strzanina. Przyszedł niebawem, i przywitawszy się, wydobyl pakę karmelków i zaczął przytomnych rzezyć, począwszy od pani komisarzowej.

— A panu co takiego z karmelkami?

— Cóżby było? dostałem od panny Lizy trzy funty odczepnego i traktuję pania.

— A toż znova co? jakież to odczepne?

— Oto tak: Pod adresem Markiza mnie się dostało uściśnienie anielskiej rączki, ja zaś będąc panem sekretu pogroziłem, że jeżeli mi nie da trzy funty karmelków odczepnego to wszystkim opowiem, co ją tak przestraszyło, że niby żartem kupiła karmelki. Niechże panie biorą, bardzo proszę i pożywają za zdrowie panny Lizy.

— Idź pan! nie lubię pana kiedyś taki Judasz! żartowała zagadniona i śmiech ogólny powstał z tej nowej awanturki. Nawet Emma która z początku noskiem krzywiła że z jej przyjaciółki żarty strojono, niemogła śmiechu powstrzymać i cała wieczorynka zeszła wśród wesołej zabawy i żartów.

Wkrótce gadano po mieście: że rozczarowana Liza dowiedziawszy się prawdy o Markizie wyjechała do ciotki mieszkającej we Lwowie, że Jakub się oświadczył pannie Emmie, a Walanty podobno się żeni z Marysią Rzemieńską, którą mu niechęący pan Jakub zarekomendował.

Organizacya będzie!

Spełniły się życzenia pańa Jakuba. Wkrótce bowiem uzyskał posadę *aktuaryusza* przy jednym z sądów karnych galicyjskich, a *Zahlungsbogen* t. j. assygnata płacy 500 zlr. m. k. otworzyła mu bramy świątyni *Hymenu*. — Ślub się odbył modnie: za *indultem*, na rannej mszy, niby ukradkiem. Mimo to zebrali się licznie znajomi i dziwili się pięknej i drogiej sukni ślubnej panny Emmy, tiulowej na białym atłasie, obszytej koronkami i blondynami i brylantowym kulezykom i przyznali jednogłośnie: iż wygląda na księżniczkę choćby teatralną, ale zawsze nie na oblubienicę skromnego aktu-

aryusza. Niemniej podziwu wzbudzała czwórka pożyczana i dryndula stara, także pożyczana, którą do ślubu jechali, a którą z błota obmyć woźnica wiejski na wieki zapomniał. Po ślubie dziwiono się nad przepychem zastawy stołu i cukrów i szampana musującego jak cztery pułki *zuarów Bosqueta*, i tylko tę mającego wadę: że niekorzystnie na wolność żołądków działał. Podziwiano niemniej romantyczność nowożeńców: jak się po tysiąc i znów po tysiąc razy przy gościach całowali, — i znów całowali — i jeszcze całowali!! Po śniadaniu, które trwało do drugiego rana, i do którego panie zasiadły nie zdejmując kokardziastych i pierzastych kapeluszów i w nich do wieczora przesiedziały; rozdzieliło się towarzystwo na grupy i podczas kiedy młodzi żartowali, obliczali starsi mruczkiem: ile też takie wesele kosztować mogło? I niezdawało im się to mądrze; aby panna z posagu wynoszącego parę tysięcy złr., 300 złr. na ślubną garderobę i wesele, 300 na wyprawę od słabych kitajek i muślinów obracała. Ale to zawsze było niegrzecznie ze strony tych starych paraflańskich mruków obliczać cudze wydatki! Co im do tego; dano wam jeść i pić siedźcie cicho.

Po weselu dziwiono się zbyt długiemu odosobnieniu się nowożeńców od świata, czyli wyrazem kawalerskim: zbyt długiej *kwarantannie* poślubnej. Lecz kiedy już państwo młodzi wychylili głowy na świat i rozpoczęli oddawanie *wizyt*, (rozumie się znowu pożyczanym *ekwipażem*); dziwiono się piękności zrebięcia łysogo, które przy matce swój licowój klaczy skacząc, wszędzie sielankowy obraz niemowlęcia u łona przed oknyma wizyty powtarzało. Jeszcze bardziej podziwiano przezorność woźnicy, który znać niedowierzając miastowój gościnności, tęgą wiązkę siana zamiast lokaja, z tyłu ekwipażu przypowroziwszy: na korcowym pełnym worze obro-

ku, wysoko jak na stole królewskim usiadł i często gęsto węzłowatym batem, gdyby buławą wywijał.

Pan Walanty zostawszy Assesorem Magistratu, gdzie p. Maciej do rady miejskiej należał; z mniej wyrafinowaną paradą zaślubiał rumianą Marysię Rzemieńską. Zapowiedzi szły zwykłym porządkiem, przez trzy niedziele; a zaraz po pierwszej, przyszedł stary ów szlachcic w złocistym pasie — co to się starając o Marysię matkę jej „Dobrodziejką“ tytułował — i wymawiał: że mu dała odkosza, i groził wiecznym gniewem, jeżeli go na wesele, sama, ustnie niezaprosi. Naturalnie zaproszono najuroczyściej, i panią siostrę jego i pana brata jego. Raczylili zjechać suto i przywieźli jeszcze sąsiada, który często z Maciejem interesa robił, a którego Maciejowie przez skromność prosić nie śmieli. Mieszczanie powydobywali staroświeckie kontusze i pasy, a mieszczki kornety; więc naturalnie i ksiądz Gwardyan w litęj kapie ślub dawał i wszystkie ołtarze oświecić kazał. Wesele trwało dwa dni, nie o szampanie wprawdzie ale o węgrzynie i miodzie i chociaż wszystkiego było obficie i goście się doskonale bawili, przecież niekosztowało tyle co śniadanie Jakuba. Panna młoda ledwie przeledwie, że się po oczepinach dała pocałować, a trzeciego dnia udali się najprzód do kościoła a potem do łaskawych gości z podziękowaniem, rozumie się pieszko: bo całe miasteczko za godzinę można było obejść. Pani Rzemieńska zaś, cieszyła się niezmiernie iż wydała córkę z *unorem* za Assesora Magistratu miasta swego rodzinnego, a wszyscy mieszczanie i mieszczki kłaniali się głęboko panu Assesorowi i pani Assesorowej, która nazajutrz po ślubie 2000 złr. gotówką pod poduszką znalazła i jako ufająca żona, mężowi swemu oddała.

Minęło lat kilka, szybko ot! zwykle jak lata mijają. Walanty rozsiedział się na *assesorstwie* jak na krześle

wygodnym. Mieszczanie go szanowali, żydzi z zaufaniem szli po radę wexlową, a nie jedną gaskę i nie jedną kopę jaj zniosły wieśniaczki przychodzące z prośbą: aby poradził: jakby to zmusić justycyaryusza do ukończenia *pertraktacyi massy* i kłótni o *grunt* po ojcu, która kłótnia sądowa już czwarty rok trwa i blisko sto zhr. kosztuje a końca jój niema.

I pszeniczkę się nie zawsze kupowało: bo tu szlachta o *kontrakt*, tam o *kompromiss* prosiła i znala się czasami na rzeczy. Słowem! dobrze się panu Walantemu powodziło, i tem lepiej: że pilnowaniem urzędu i pracą zasłużył sobie na kilkokrotne pochwały pisemne przełożonych. Dziątek mu Pan Bóg dał dwoje, więc się i zapiecek zaludnił a babka sama nastawiała na kupno dywanika nie drogiego i meblików przyzwoitych a nie drogich: żeby i świat nie obmawiał i wnuczęta biegając bosemi nożętami kaszlu się nie nabyły. Pani Assesorowa zaś za powodem męża nabrała prędko *manier*y i uchodziła za bardzo przyzwoitą kobietę dobrze widzianą w małym kółku znajomych z którymi mąż jój przestawał.

Nie tak pomyślnie wiodło się panu Jakubowi.

W lat kilka, pochwytano całą bandę złodziejąw i rabusiów, a Magistrat miasteczka odebrał rozkaz z całą surowością sprawy téj dochodzić, w skutek czego kilkunastu obżalowanych popadło *procedurze* karnéj. Odstawiał ich Walanty, któren jako sędzia karny i cywilny do tego processu delegowany, sam akta wraz z więźniami oddać miał. Zasiedziawszy się lat kilka w małym miasteczku, rad był przejazdce i sposobności obaczenia się z dawnymi znajomymi, mianowicie z Jakubem, który przy tymże sędzie karnym urzędował. Uwinał się więc z oddaniem, i poszedł do Jakuba, którego tylko nawiasem w urzędzie przywitał, aby go odwiedzić i pogadać, dawne wspomnienia obudzić.

Wszedłszy do przedpokoju, a niezastawszy nikogo — zapukał do drzwi i poszedł dalej. Znowu niema nikogo. Myśli sobie: cóż tu takie pustki? w tém z trzeciego pokoju słyhać płacz niewieści i dziecka. *Ryzykując* ując za niedelikatnego zaglądał i ujrzał: Emmę siedzącą w karle ze zwieszoną na ramie głową a wyprężoną ręką — łkanie i płacz jakiś dziwny wydobywał się czasami z piersi — słowem: *w spazmach*; — Chłopczyzna bledziutki jak opłatek, w szkockich majteczkach po kolana, siedział na ziemi i siłił się wdziać trzewiczek aksamitny, co go dużo nadaremnej pracy kosztowało; a w pięknej kolebce leżało dziecię obsypane kartami, któremi się bawiło i wyciągnęło rączkę ku Walantemu z uśmiechem aniołka! Chłopczyzna, nie mogąc wdziać trzewika oglądał się na matkę i zawołał płaczliwie: Mamo! zawsze mama płacze i płacze! nie-wiedzieć czego; a Munio chodzi boso i niemoże się obuć sam; a pan doktor powiedział: że jak się Mufio jeszcze raz zaziębi to umrze, i w ziemię go zakopią! a Mama dopiero wtedy... W tém spostrzegł Walantego i wytrzeszczył siwe oczęta.

— Jest Tato w domu? szepnął Walanty.

— Jest! tam w swoim pokoju...

Z westelnieniem wymknął się na palcach i wróciwszy bawialnią szedł w drugie drzwi przedpokoju. Znalazł Jakuba; z cygarem w ustach chodził po pokoju i rzucał wzrokiem w około jak gdyby wyzywał kogo do bitwy. Przed wchodzącym stanął i udając spokojnego i uśmiechającego się rzekł: Jak się masz Walanty?

— Jak się masz?

— Ot tak dobrze!

— Bój się Boga Jakubie! taś twoja żona jakaś słaba? —

— Słaba? czyś tam był u niej?

— Szukając ciebie zaszedłem do niej.

— Pozwól na chwilkę! zobaczę co jój jest...

Poszedł i w mgnieniu oka wróciwszy; zapalił świeże cygaro i z najzimniejszą krwią odrzekł: Co ci się śni o słabości? to spazmy które często miewa!

— Spazmy? alboż to spazmy nie słabością?

— At! śmiej się z tego! — mówmy o czem innem! gdzie będziesz dziś wieczór?

— Sam niewiem jeszcze.

— Przyjdź do mnie zagramy trochę; zapoznasz się z kilkoma kolegami.

Przyjął Walanty zaproszenie i wypaliwszy podane cygaro ruszył w miasto za sprawunkami a wieczorem stał się pełen smutnej ciekawości. Zastał już towarzystwo złożone z kilku mężczyzn, i w krótko zasiedli do kart. Dla uczczenia Walantego grano w bawialni, a Walanty miał dobrą sposobność przypatrzeć się pięknemu onej urzędzeniu. Grali wcale wysoko, ale cóż było robić: „Wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony“. — Do herbaty wyszła pani Emma i przywitawszy się z Walantym serdeczniej niżeli się spodziewał, prosiła usiąść obok siebie. Siadł, przypatrzył się Emmie i żał go za serce ścisnął. Nie zbrzydła, nie zestarzała się; lecz ileż to smutku widać było w téj bladéj twarzy! Głos jój przybrał więcej dźwięku, ale dźwięku rzewnego, bolesnego, a stłumiane westchnienia, znawcy tylko ludzkiej natury, widoczne, świadczyły, że w téj wysmukłej postaci pod tą wciętą i mocno zciagnioną suknią; bije serce boleścią i żalem, gdyby falą morze, ujęte wysokimi lądami ciasnej zatoki. Ani wysilony uśmiech, niepokrył wyrazu, ani piękne barwy jedwabnej sukni niezdolały zwrócić oka i oderwać od smętnego oblicza. Przypomniał sobie żywcem ów wieczór u Emmy w Tarnowie, na którym Jakub żonę jego a w tedy nieznaną mu jeszcze pannę Rzemieńską wyśmiewał. Gdyby na jawie, widział przed sobą Emmę stęsknioną za kochankiem i z przerażeniem

porównywał kwiecisty smutek tęskniącej dziewczyny, z cierniową boleścią żony i matki! Nigdy w życiu nie czuł tak głęboko wielkości błogosławieństwa jakie Bóg na niego zesłał obdarzając go prostotą duszy i skromnością życzeń! Prostocie onęj bowiem dłużeń szczęście swoje domowe i żonę na której twarzy czerstwój uśmiech szczęścia lub powaga miłego obowiązku; ale nigdy stłumiony żal i uśmiechająca rozpacz niepostała.

W mało ożywionej rozmowie zapytał Walanty Emmę o matkę jej, jak się miewa? i rad był odpowiedzi, że jeżeli sobie życzy to go do niej zaprowadzi; bo ona z dziećmi w cieple siedzi i radaby się z nim ugadać. Niebawem prosił o tę łaskę i zdawszy *partye* swą jednemu z panów, poszedł do pokoju gdzie staruszka z dziećmi siedziała.

— Babciu! babciu! ten pan idzie co to przyszedł rano kiedy mama płakała: wołał Munio! zapowiadając gościa. A trzeba babci było takiego ostrzeżenia! bo biedaczka wzrok miała mocno już przytępiiony.

Emma przyprowadziwszy Walantego, oddała go matce a sama wróciła do gości nalewać powtórnie herbatę. Odchodząc westchnęła głęboko jak gdyby w przeczuciu ulgi jakiej, której serce jej tak bardzo łaknęło.

— Jakże mi się pani Dobrodziejka miewa? — zaczął Walanty całując staruszkę w rękę. Kopę lat my się nie widzieli!

— Oj! prawda że dawno! bo to za młodu tylko czas prędko leci, ale czem bliżej grobu tem wolniej.... oj! źle się mam na starość! źle panie! wyplakałam sobie oczy, już niedowidzę dobrze, ot! i pana więcej z głosu poznaję niżli z twarzy. A tu człek niema spokoju przed śmiercią....

— No! no! no; niechno pani Dobrodziejka da spokój! tać to jeszcze nie tak źle jak się wydaje....

— Oj! złe panie złe! ja widzę żeś już niepotrzebna na tym waszym młodym świecie! Czegożem się do-
czekała? ot, to jedno dziecko miałam, wydałam za mąż,
i cóż z tego? patrzę się na jej łzy! i proszę Boga żeby
mnie wziął z tego świata, abym nie widziała i nie sły-
szała.... Tu staruszcze płacz mowę przerwał a wnuczek
błady widząc łzy babki zapłakał sobie: Niech babcia
nie płacze! Munio niechce żeby babcia płakała: bo pan
doktor kazał żeby Munia nie żalić; bo jak się rozłali
to umrze i w ziemię go zakopią!...

— Cyt dziecię cyt! babcia już niepłacze! chodź po-
kochaj babcię!

— Babcia nie płacze? a babci woda kapie z oczów!
ja tak nie chcę! ja tak nie chcę! niech sobie babcia
oczy obetrze; bo to takie słone to Muniowi zaraz żal
się robi, i Munio babci umrze i zakopią go!

Chwila dobrą upłynęła nim się uspokoili, bo i Wa-
lantemu łzy w oczach stanęły. Wziął chłopca na kolana
ucałował, uspokoil, a babką mówiła dalej!—

— A to wszystko niepotrzebnie mój panie! ja zdro-
wie gubię, Emma zdrowie gubi, on się trapi i życie mu
się przykray, a wszystko dla czego? że się nie może po-
wstrzymać w swęj *ambicyi*. Chciałby żyć po hrabsku a
tu trudno, czasy ciężkie. Mój nieboszczyk mąż, panie
świeć nad jego duszą — także był urzędnikiem i żył
my z pensyi i to z mniejszej a wystarczało. Teraz on
ma 500 ja mam 300 to 800; a koniec z końcem się
nie zejdzie, i długów także nie mało. A potrzebne to?
Z początku perswadowałam, prosiłam, to mnie żartami
zbywali: żeś skapa, żeś taka, żeś owaka; teraz kiedy
żydzi chcą sekwestrować meble, ona spazmów dostaje
a on po całych dniach i wieczorach w domu nie siedzi
tylko gra w karty. Ja biedna na starość i dzieci baw
i kuchni doglądaj i wszystko; bo Emmie każda rzecz
szkodzi, zaraz choruje i kaszle! Ot! złe panie! złe! nie-

raz wołam śmierci, ale kiedy spojrzę na te robaczki, to Boga proszę, żeby mię niezabijał cierpieniem, bo któż sieroty odchowal!...

— I rozszlochała się staruszka, i dzieci widząc ją płaczącą także w beki.

Walanty już nie wiedział co począć ze sobą — tak mu się przykro robiło. Gdy wtem Jakub widząc długą jego nieobecność: w obawie aby się babka z czem niewygadała, przyszedł po niego i zabrał z sobą na powrót do bawialni. Emma siedziała zadumana na kanapie nie mówiąc ani słowa; a kiedy Walanty wszedł, westchnęła głośno i mimowolnie spojrzęła mu w oczy. Walanty, który jeszcze nie ochłonął z wzruszenia spojrzął na nią i jeszcze mu się jój bardziej żal zrobiło. Pod pozorem dziękowania za herbatę, wziął jój rękę i przycisnął do ust. Ręka zadrżała! Emma konwulsyjnie ścisnęła przyjazną dłoń i wzruszona odeszła; a Walantemu ciągle się zdawało: iż słyszy głos zdesperowanej staruszki, szlochającej na niedolę, swoją i drobnych wnucząt.

Byłby się dłużej rozkwilił temi myślami, gdyby nie przerwał mu Jakub będący w złym humorze, bo grał dziś nieszczęśliwie:.

Proszę cię Assesorze! nie słyszałeś też tam co o organizacji? bo dalibóg, jeżeli już rychło nie nadejdzie: to sobie trzeba chyba wleć palnąć! —

— Nie słyszałem! i nie bardzo jój tam i pragnę!

— Prawda! bo to wy Magistraty boicie się organizacyi, i słusznie, kiedy wam się dobrze dzieje.

— Zapewne, każdemu się mniej więcej dobrze dzieje, kto pracuje i niewydaje więcej jak zapracować może; z resztą lepiej może trafiłem, bo się nie mam co skarżyć na położenie moje; na kilka mil w koło nie masz sędziego *cywilnego*: więc kto justycyaryusza: niechce musi z każdą sprawą chyba do Tarnowa jeź-

dzić. Ztąd częstszy sąd polubowy i zgoda. Tak samo z wexlami i procesami włościańskimi.

— Otóż to o czém mówię! ale to swoją drogą. Na tę organizację przeciebył był bardzo ciekawy, co to będzie? jakie to będzie? i czy będzie? —

Poruszonego przez Jakuba pytania nie popuszczano; ale orzekano na wszystkie boki i każdy przytomny był ciekawym, i każdy pragnął i każdy się spodziewał złotych gór. — Cały wieczór gadano o organizacyi; nazajutrz gdzieś się zdybał z jakim urzędnikiem gadano o organizacyi; w drodze każdy podróżny, nawet żyd każdy o organizacyi, a powróciwszy do domu pierwsze słowo usłyszane z ust prezesa było: Organizacya! Ach gorący to czas był dla tych, którzy pragnęli organizacyi, ale dla obojętnych prawdziwie okropny. Nawet w gronach pięknej płeći, ba po wsiach nawet tak ciągle o tém jednym gadano: że niemożna było wynaleść kąta, gdzieby zmęczone ucho wypocząć mogło. — Podobną epokę pamięta tylko Lwów po odjeździe słynnego Kąskiego. Mazury jego tak okropnie w modę weszły, że aż się już życie przykrzyło; bo na każdej ulicy, w każdym oknie brzmiał mazur Kąskiego, i w traktyerniach i w kawiarniach i w teatrze i wszędzie. Sandeczanin jeden to aż na Podole uciekł przed mazurem Kąskiego i wolał się tam ożenić, niżeli wrócić do Lwowa słuchać dźwięków, których wielkim sam był wielbicielem — nim mu się sprzykrzyły na śmierć.

Nic okropniejszego dla umysłów żywych nad długą niepewność. Tak było z Jakubem.

Lekkomyślnie rozpoczynawszy prowadzenie domu nad stan i dochody, nieumiał wybrnąć z kłopotów, w które go długi nabyte wprowadzały. Ograniczyć się w wydatkach, w pomieszkaniu, ubiorze, wystawności, zdawało mu się niepodobieństwem; a Emma dzieląca puste przekonanie, ważyła raczej zdrowie swoje i dzieci i

matki a nie ustępowała kroku. Widząc zaś pobłażanie męża, działała *logicznie* — żądała ciągle pieniędzy! i narzekała na niego... Biedne matczyisko za wszystkich cierpiało; bo nie dość, że ponosiła niedostatek ale musiała patrzeć jak się oboje nawzajem trapiłi i gryźli i nie było widoku, aby się to skończyć miało.

Nadszedł w końcu upragniony dzień w którym *Gazeta lwowska* przyniosła pierwsze zamianowania. Urzędnicy biegali jeden do drugiego, a każdy umiał na pamięć *listę* mianowanych, a każdemu serce biło i mózg wybierał: bo każdy się spodziewał *awansu*. Gdyby było tysiąc miejsc na przełożonych, nie byłoby wystarczyło. — Jeżeli zaś wszyscy latali wgorączkowej niecierpliwości; biedny Jakub chodził jak w malignie. Wysocki wzrostem, wyprętył się jeszcze wewnętrzną walką tak, iż się zdało jakoby podrośł. Zwykle blade i pociągłej twarzy, stał się jak kość żółtym i osowiałym. Mówił bardzo mało, a gdy go kto zagadał, to wytrzeszczył tylko jasne duże żrenice, co przy jasnym blond czubie i wąsach, dziwne wrażenie robiło. Zresztą palił cygaro za cygarem, grał w karty i czytał — czyli raczej trzymał — gazetę w ręku, po całych dniach i godzinach. Jadł bardzo mało a spał jeszcze mniej.

Tymczasem Pan Bóg rozpoczął także organizację ludzkości, w straszny i bolesny sposób: cholera! Zewsząd pogłoski, zewsząd strachy nieplonne, a rozprężony umysł Jakuba niezdolał się im oprzeć. W kilka chwil po przeczytaniu nominacji na przełożonych widząc się pominionym: dostał kureczów okropnych, i *cholera sicca* zaczęła druzgotać wszystkie atomy ciała jego! — Cudem prawie tylko ocalał, a kiedy przy ostatniem pomazaniu Emmę swoją dawniej tak ubóstwianą, ujrzał rozpaczającą, kiedy spojrzał na drobne sieroty, myśl winy i poprawy zatrzęsa skruszoném sercem jego

i w głębi duszy ślubował: zmianę przekonania i sposobu myślenia!

Wyzdrowiał! ale jak? Twarz, jak pierwój żółta stała się ciemnośniąda, postawa pochyloną a głucha boleść ciążyła ciągle na śledzionie i wątrobie jego. Stał się *hipochondrykiem* w najwyższym stopniu, i dwie myśli dręczyły go bezustannie: obawa iż przy organizacyi zostanie pominiętym i obawa śmierci! która mu już w tak okropny sposób w oczy zaglądała. Co go jedna trwoga opuściła, już się go imiała druga. We dnie chodził po wszystkich znajomych o których tylko mógł myśleć, że mu o organizacyi co powiedzą, a w nocy: żeby mu noga zcierpła albo cokolwiek zabolalo, budził wszystkich, żądał księdza, robił testament i już umierał — aby znowu nazajutrz to samo zacząć. Czuwanie i niepokój nocny, coraz bardziej zdrowie Emmy podkopywały, a wieczne lamenta już się nawet lekarzom sprzykrzyły. Radzili mu zatem wyjechać na wieś na świeże powietrze. Napisał więc do przyjaciela swego o którego życzliwości był przekonany, prosząc o przysłanie koni, i o pomieszkanie na parę tygodni, aby z żoną i rodziną mógł na wsi bawić i zdrowie krzepić. Przyjaciel ten, biedny dzierzawca, natychmiast przysłał i niepomahał się zdziwił nad zmianą jego, a jeszcze bardziej nad sposobem leczenia się. Najprzód bowiem przywieziono kosz wody *maryenbadzkiej* którą miał pić i pił zrana. Po wodzie pił wstrzymujące krople „od cholery“ — potem na śniadanie herbatę z czerwonym winem także przeciw cholerze. Przed obiadem pił *centuryę* na wzmożenie żołądka, a na obiad jeżeli kurczęcia nie było, to nie niechciał jeść prócz kleików, mieniąc wszystko trucizną dla siebie. Po południu znowu herbata z czerwonym winem, wieczór kleik a na dobranoc znowu *centurya*. Chleba nie jadał ale bułeczek zwykle sześć przez cały dzień, bo apetyt się wzmagał. Z polecenia lekarzy

zarzucił z początku cygara i zaczął tabakę niuchać, ale niezadługo wziął się do fajki i odtąd palił fajkę i niuchał tabakę. Cały dzień mówił prawie tylko o organizacyi i o losie jaki go dotknął, a niemając się przed kim zaliczyć, siedł dopiero na przechadkę. Miejscem przechadzki obrał sobie ścieżkę wzdłuż trzechnmorgowego pola i z fajką w ustach ciągle tam i sam chodził, dumając i patrząc w ziemię tak że się ohłopi dziwili: Co też to ten pan takiego zgubił, że już kilka dni ciągle szuka a szuka? Nawet szukali sami po drodze, gdyż im się cel takiego chodzenia upartego w głowie pomieścić nie mógł. —

Pocsiwy dzierzawca wszelkiemi sposobami chciał go rozerwać, ale nadaremnie! Organizacya! i wiecznie organizacya opanowała umysł jego ustępując chyba śmiertelnej trwodze. Jednakowo świeże powietrze zaczęło skutkować i widocznie lepiej wyglądał i lepszej cery nabierał; niedobitki także żołądka polskiego praw swych domagać się zaczęły. Poczęto go więc namawiać aby dał spokój lekarstwu a spróbował pożywniejszej strawy. Dał się namówić i zjadł kawałek cieleńcej pieczeni wróżąc naprzód ze go to zabije. W nocy przebudził się a że już potem niemógł usnąć zdawało mu się iż znowu będzie umierał. Skoro się tylko rozwidniło, wstaje, zbiera się i chce jechać do miasta aby lekarze nad nim *konaytkum* czynili — gdyż mało nie umarł. Opowiada to swemu przyjacielowi puszczejac kłębami dym z fajki.

Ten zaś widząc przywidzenie, mówi mu: Chcesz jechać to jedź! zaraz konie każę założyć; ale pozwól mi troche fajki twój niech popalę bo mnie zapach dobrego tytoniu zalecał.

— Nie dam! boż dopiero zapalił, a bardzo mi smakuje! —

— Smakuje? a nie słyszałeś to: że jak kto istotnie słaby to mu najprzód fajkę odrzuca?

— A to prawda! w chorobie niemogłem palić.

— Widzisz! przekonajże się sam, jakiś chory! *hypochondryku* wmawiasz w siebie słabość którą już przeżyłeś...

— Ty mi nie wierzysz?

— Nie wierzę! i jeżeli chcesz abym ci wierzył to napisz do doktora jaki twój stan a gdyby się pogorszyło rozstawnem kołmi przywiozę doktora i leki. Teraz siadaj i pisz list.

— A wiesz! téj obojętności na moje zdrowie nie spodziewałem się po tobie; jednakowo żeby cię przekonać, napiszę.

Napisał. W odpowiedzi odebrał *receptę*: Dwa razy na dzień mięsiwo pieczone jeść i *flakę* wina pić, na śniadanie dobry kleik owsiany. Zresztą chodzić jak najwięcej, a o *organizacyi* nie myśleć!

Niebyłby się może pochwalił z podobną receptą ale przyjaciel jego bez ceremonii odpieczętował, przeczytał jemu i Emmie i uśmiechnął się z radości: że się zdrowie jego polepsza. Odtąd dał się Jakub namówić na dalszą przechadzkę do lasu, i w kilka dni tyle otuchy nabrał, że chodził po górach o ćwierć mili. Wprawdzie o organizacyi ciągle gadał i przechodził wszystkie możliwe wypadki: coby mu zaszkodzić mogły. Przyjaciel czasami badał jego myśli chcąc je rozerwać:

— Proszę cię! czyś ty kiedy nie należał do jakiego spisku albo tajnego towarzystwa?

— Bogiem się świadczę że nie!

— A z resztą nieprzeszkrobałeś co kiedy w urzędowaniu?...

— Jak dzieci kocham nigdy ani na szpilkę!

— A czemuż oni cię nie organizują?

— Czy ja wiem! gubię się w domysłach, i nawet cieniu znaleźć nie mogę... Jedno tylko przypuszczam że chyba jaka fałszywa denuncyacya...

— Co znowu! alboż to dla prostej denuncyacji — bez dochodzenia urzędowego bez dowodu i obrony rząd by cię potępił? to niepodobieństwo!...

— Ja również nie chcę przypuszczać tego.

— A więc czekaj cierpliwie i nim zostaniesz jakim starostą chodź tymczasem na przechadzkę ze mną, ale aż tam na wierzch góry!

— Dobrze! chodziłem tam i bardzo mi się podobało, lecz na samym wierzchu nie byłem.

Poszli więc. — Idą naprzód łąnami zboża. Jakub podziwiał urodzaj i zaczyna się rozpytywać o szczegóły gospodarstwa. Tak w pogadance przyszedł aż pod las.

— No! Kubusiu wypocznij, bo tam będzie gorzej: żebyś się nie zmęczył bobyś mi znowu umierał i musiałbym koni dać po lekarzy!

— Nie bój się ja dziś taki zdrow jak nigdy! chodźmy dalej!

— Zgoda! — I poszli dalej. Droga się wila lasem do góry po nad potok, a bór coraz gęściejszy, rzadko tylko i to pojedynczymi promieniami przepuszczał słoneczne światło. Potok szumiał w czarnej głębi a podczas kiedy wolniejszymi od drzew miejscami i polankami ciepły wietrzyk letni zawiewał; unosił się z jaru głębokiego chłodek odświeżający powietrze. Przedzierające się promienie słońca czarownem oświetleniem krasily miejscami ponure jodły, a ciemne ich konary poważnie odbijały od bursztynowej beżmala barwy, któremi bujne mchy leśne w około polanek wyższych jaśniały; pojedyncze zaś brzozy białe stercząc nad gajmi jałowców, powiewały długimi sploty gdyby dziewczęta w bieli zasylające chłopcom swawolne ucałowanie.

— Odpocznijmy trochę! bo się bardzo zmęczysz!

— Daleko jeszcze?

— Dokąd?

— Do domu!

— Jeszcze paręset kroków a będziemy u wierzchu—

— Chodźmy! bo mi się słabo robi —

— Odpocznijno jeszcze.

— Nie, chodźmy tędy, będzie nam bliżej.

— Ale co robisz? tam potok, nie przejdiesz, wróć się nazad do drogi bo jeszcze gdzie wpadniesz w jaz....

Ledwo usłuchał i wróciwszy na drogę, trzymał się lewą ręką za bok, a w prawej łaskę konwulsyjnie ścisakając, nie szedł ale biegł pod górę.

— Powoli Jakubie, bo się zmęczysz całkiem; siądź lepiej i odpocznij.

— Chodźmy, dla Boga bo mi słabo!

Ledwo zdążyli na małą polankę wysłaną mchem górskim gdyby miękkim samorodnym kobiercem a ogrzaną ciepłym słońcem i wietrzykiem, kiedy Jakub z wyrazem cierpienia zawołał: Dla Boga już nie mogę dalej, tu już koniec mój! — i usiadł pod krzakiem na ziemi. Przełęczony dzierzawca ledwo go nakłonił aby trochę dalej na słońcu usiadł by się nie zaziębił. Lecz on rozciągnął się na pulchnym kobiercu mchów, a za chwilę usiadłszy znowu zakrył twarz rękoma i począł gorzko narzekać:

— Oh! Boże! Boże! tak mi już dobrze było — centurya i krople tak mi pomagały. Czemuż ja też nie-szczęśliwy ciebie usłuchał! czemużem się dał namówić! ach! moje dzieci! moje biedne dzieci!..... żeby też... żeby też — choć — wody! bo... umieram!...

Dierzawca przestraszony na prawdę, skoczył jak opętany i gdyby mu kto Merkurego skrzydła przyprawił tak leciał pod górę do najbliższej chałupy. Kilka słowami wyjaśnił chłopu rzecz, a że to był biedak którego na przednowku nakarmił, przeto rzucił zaraz kosę i nie mówiąc słowa porwał garnek i biegł do źródła a ztamtąd na opisane miejsce, na polance pod jódkami na bujnych mchach. — Człeczysko pocziwe tak się pokwapilo, że za powrotem już go zastał na polance trzy-

mającego garnek z wodą w oburącz i biegającego od krzaku do krzaku.

— A co Janie?

— Niema tego pana!

— Niema? a gdzie się podział?

— Czy ja wiem, ale go niema.

Pewno się chciał zerwać na nogi, zatoczył się, spadł i leży tam gdzie konający w potoku — pomyślił biedny dzierżawca i udzieliwszy swój obawy chłopu, natychmiast jęli się do odszukania go. Chłop z jednej, on z drugiej strony skoczyli ku potokowi na złamanie karku i dalejże szukać z całą sumiennością pocziwego serca. Żadnego krzaczka nie minęli, żadnego parowu, żadnej zapadliny. Ówierć godziny zleciało jak mgnienie oka, pot słony gęstymi kroplami zalewał im oczy. Kto zna góry, może sobie wystawić co to za praca biegać urwiskami. W końcu sił już nie stało; a tu słońce ma się ku zachodowi i polanka cieniem się pokrywa.

— Janie, to nie może być, on nie spadł ale musiał pójść sobie.

— Skoczę ja na ten wirch gdzie to miernicy *patryq* postawili; ztamtąd całe grunta dworskie widać, tobym go i zobaczył.

— Dobrze, a ja tędy pójde; jeżelibyście go zaś gdzie zdybali albo ujrzeli, to hopkajcie.

— Dobrze panie.

Za chwilę rozległ się odgłos po lesie, taki, jakim się lowcy w kniei zwołują: hop! hop! — hop! tu — hop! hop! — hop tu! — i zeszli się znowu.

— Proszę pana — woła chłop z daleka — widziałem go tam, precz na dziale koło krzyża już ku dworowi.

— Ha no! to chwałaż ci Panie! bo ja już dychać nie mogę.

— A ja sobie garnek rozbił niepotrzebnie, — bodaj téż tego pana co on nam za psotę wystroił!..

— Macie tu kilka krajcarów na garnek — a zejście tam kiedy to wam dam garść zboża za mitręę.

— Panie Boże jegomości zapłać! Panu Bogu jegomości oddaję.

Wraca tedy zmęczony i zdyszany dzierżawca, i wyszedłszy z lasu pyta pastuszką: Szedł tu jaki pan?

— Oj! jegomość! przeleciał wedle nas, aż my się przelekły.

— A nie znać było na nim że chory?

— Kaj ta kaj! tak sobie czesał na dół, aż ognia dawało!

Chwała Bogu! pomyślał sobie; to znać nie był tylko *paroksyzm hypochondryczny* spowodowany malém wstrząśnieniem i boleścią wątroby. Na łanie żeney składają pszenicę w kopy a karbownik zakłada na wierzch chachoły. — Antoni! szedł tu pan Jakub?

— Proszę pana nie szedł, ale tak rześko biegł, że aż Klimek zawołał: Patrzcie no karbownikowi, jak to temu panu nasza wieś polubowała, — jak on to nogami zbiera kieby zając — a niedawno to laził po polu tam i nazad przygarbiony, że my myśleli iż co zgubił.

— A za brzuch się nie trzymał? nie wyglądał słabo?

— Ale kaj tam! jeszcze się ze mną kłopotał; bo koniecznie chciał mi oderwać dwoje ludzi żeby szli pana szukać do lasa... ale ja sobie nie dał oderwać tylko z przeproszeniem powiedział: Nasz pan tam nie zginie: trafił tam, to przyjdzie i napowrót.

— Dobrzeście zrobili.

Wraca tedy do dworu i idzie wprost do Jakuba. Wechodzi, patrzy: Emma zapłakana, matka zapłakana, Munio biega od babki do matki, od matki do babki i woła: Niech mama nie płacze! niech babcia nie płacze! bo Munio umrze i w ziemię go zakopią! pan doktor tak powiedział!... — No, pomyślił sobie dzierżawca, z tego malca już widać także kawałek *hipochondryka*!

Cóż robił nasz chory? — palił fajkę i pił herbatę z czerwonym winem.

— Moje panie, co on też tu paniom nagadał? bo ja mu nie zapomnę tego figla co mi wypłatał.

— Figla? — on mówi że w lesie zemdlął i byłby pewno umarł, gdyby nie był miał jeszcze tyle przytomności, że sobie tarł skronie i twarz i nacierał pulsa gasnące, czém się otrzeźwił.

— A już co za nadto, to za wiele! Ale niech mi też panie opowiedzą okolicznie jak to było? i co mówił przyszedłszy?

— Tak było, stanął we drzwiach i zawołał: Dzieci! Emciu! o włos byłbym was już więcej nie widział... wyprowadził mnie w las — zemdląłem i małym nie umarł!

— Więc to ze strachu aby nie umrzeć pędził ćwierć mili klusem i kłocił się z karbownikiem? — jeszcze jak żyję nie widziałem takich *pacyentów*! — a panieście uwierzyły?

— Jakżeż nie wierzyć? splakałyśmy się serdecznie.

— Jabym ci dał herbaty! chleba bym ci bochen uwiesił u stragarza i zamknął w izbie o wodzie, żebyś skakał dotąd ażbyś podskoczył do chleba, urwał i zjadł! Ale poczekaj i ja tobie figla wypłatom!

Wieczór zjadł Jakub dobry talerz klejku i kawałek pieczeni, wykapawszy się wprzód w macierzance, i najweselój pisał listy do 11tej godziny. Nazajutrz z rana wesoly i zdrowy przychodzi do gospodyni domu na dzień dobry z fajeczką i zbijając piętami hołupca rzecze: Dzień dobry gosposi! — Ta się patrzy i z uśmiechem mówi: Dzień dobry! tak to nieboszczykowie hołupce wycinają?

Rozgniewał się i mówiąc: To mi pani nie wierzy? to pani myśli że ja udaję? — odszedł i do wieczora się dąsał. Przez cały tydzień pobytu swego na wsi siłił się

udowodnić że w saméj rzeczy umierał w lesie, a przyjaciel jego widząc świeżego bzika, na korzyść go obracał. Ile razy bowiem zauważał że nad organizacją rozpaczać zamyśla, napomknął mu o umieraniu w lesie i wnet całą myśl i całą żołąć od organizacyi odwrócił i na siebie sciągnął. A przy tém wszystkiém Jakub widocznie do zdrowia przychodził, i wydało się nawet, że w niebytności swego przyjaciela ukradkiem tą samą drogą przechadzkę odbywał i na téj saméj polance gdzie to wprzód niby umierał, fajeczkę paląc siedział, a odchodząc zajązwał w potok i tęgi niuch tabaki zażył. Wszystko to było ukradkiem; ponieważ zaś Jan chłop właśnie także ukradkiem w lesie gałęzie zbierał, więc ukradkiem wszystko widział i ukradkiem opowiedział.

W kilka dni nadszedł *Czas*, a w *Czasie* między innemi mianowaniami: Pan Jakub aktuariuszem w Niebylecu — Pan Walanty także aktuariuszem w Niebylecu, jeden politycznym, drugi sądowym! Pękła tedy organizacyjna rozpacz i trwoga, a nowomianowany aktuariusz odetchnął z głębi serca. Emma zaś — która od czasu jak mąż jój zachorował a potem rolę spazmatyka objął — spazmów nie miała, ale za to okrutnie modlić się i do kościoła chodzić poczęła; ślubowała sukienkę i płaszcz na drewnianą figurę Matki Boskiej, którą dziopy wiejskie podczas procesyj kościelnych po przed obrazami na drążkach nosiły.

Posłano tedy po organistę a niebawem przyniósł pod pachą drewnianą figurkę, która miała przedstawiać Przerzystą dziewicę Maryę!! Była to jak zwykle po wsiach mianowicie po górskich, potworna lalka, której głowa wynosiła trzecią część całej postaci; ubrana po wiejsku z mnóstwem paciorków i dętych koralu szklanych na szyi, pomalowana na ceglasto z wielkimi czarnemi tęcznicami! — Przybyła i gospodyni domu na radę i postanowiono po długich sporach ubrać w sukienkę i płaszcz

odpowiedniejszy, i ubranó w sukienkę u spodu koronkami obszytą i płaszczyk najnowszój mody zupełnie kroju takiego, jaki sobie niedawno pani komisarzowa elegantka sprawiła. Gospodarz domu jako prostoduszny wieśniak zauważał wprawdzie, że dawniej na chwałę boską i posążki i suknie poważniejsze sprawiano; lecz zbyty zarzutem niedowiarstwa i filozofii, ustąpił ruszając ramionami.

Zaspokoivszy tedy sumienie, pomyślała Emma o sobie, i spakowawszy czempredźej rzeczy nagliła do odjazdu.

W domu wyglądano ich przybycia z wielką niecierpliwością. Ledwie wysiedli, ledwie Emma rozpoczęła narzekanie na prochy i pyły nieznosne które podczas jēj niebytności wszystkie meble nielitościwie przysiadły; ledwie że usiadłszy u *fortepianu* rozpuściła ląknące paluszki po śnieżnych kościanych klawiszach, aby się przekonać czy *fortepian* i paluszki nierozstrojone; ledwie Jakub w pokoju swoim na przywitanie niuch tabaki zatywszy pierwsze cygaro zapalił, kiedy — po zapukaniu trzykrotném, uchylonemi drzwiami wszedł starozakonny Mantele opiekun ludzi, których los wprawdzie wychowaniem przyzwoitém i światłem, ale za to szczupłą *fortuną* obdarzył. Z radością w oczach i uśmiechającemi usty witał pana Jakuba, wypytywał o drogie zdrowie i składał życzenia szczere z powodu otrzymanej zaszczytnój posady. W końcu dopiero rozmowy i to z wielką i skromną, nieśmiałością, wydobyl papierek półewiartkowy i pokazał panu Jakubowi, który na ten niemiły widok czoło zmarszczył i dym kłębami puszczał, wielkimi krokami po pokoju chodzić zaczął. Starozakonny opiekun stał u drzwi z papierkiem w ręku i patrzył za chodzącym to w prawo to w lewo.

— Jakżeż będzie proszę pana dobrodzieja?

— Daj mi spokój, nie mam pieniędzy.

— A mnie co do tego?

— Jakub jakby nie słyszał nie — chodził w milczeniu po pokoju coraz większymi krokami i coraz gęstsze kłęby dymu puszczał.

— Panie dobrodzieju! pan wie że to *wexel*, a z wexlami nie ma co żartować; bo to papierek mały a mocny!...

— Co? ty mi grozisz?

— Nie, ja nie grożę panu dobrodziejowi ale proszę o zapłatę.

— Z Niebylca ci przyszlę...

— Z Niebylca? ja wolę żeby pan tu został i zapłacił mi...

— No! słuchajże! nie droczże mię... bo...

— Bo co? — ja pana nie będę droczył, ja pana nie będę nudził, ja panu wyraźnie powiem... albo lepiej niech pan sam czyta!... Tu wydobył drugi papier i pokazał Jakubowi. Jakub rzucił okiem i struchlał.... Był to dekret na areszt osobisty za dług wexlowy.

— No panie, jakże teraz będzie? — to co pan widzisz, to ja mam, a mój zięć ma drugi dekret na pana.... kiedy pan mówi że meble i wszystko nie panowe tylko żony, to my pana bierzemy, to pan będzie nasz! Ale na co tego paskuctwa? niech starsza pani da swój *calungsbogien* to ja sobie powoli odbiorę a państwo pojedziecie w dobrém zdrowiu.

Gdyby tak w przytomności osób zyczliwych na których współczucie liczyłby można, byłby Jakub niezawodnie mdlał, konał i umierał; lecz przy żydzie, przy tej duszy lichwiarskiej okazać słabość charakteru — tego znowu ambicya nie pozwalała. Uspokoił się i kazał żydowi przyjść nazajutrz a o całym wypadku zamilczeć, co lichwiarz uroczyście przyrzekł. Chwilę jeszcze dobrą po odejściu żyda czekał Jakub na *paroksyzm* i *mdłości*, ale nie przyszły ku wielkiej konfuzji jego. Był on jak

ów Herbut na wojnie, którego Turczyn dziurytem uderzywszy już z konia zsadzał, gdy w tém drugi *Spaki* z przeciwnéj strony bodnąwszy go w bok, chwiejącemu się na lęku równowagę przywrócił i przez to ocalił. — Żyd zaś przezorny nie ufając słowom Jakuba, poszedł po cichu do bawialni z kąd właśnie tkliwe dźwięki jakiejś *Thalberga fantazyi* dochodziły jego prozaicznych uszu. Żywy rumieniec, dawno nieznany gość, oblał zmieszaną twarz Emmy na okropną dla niej wicść areztu męża; lzy jej się w oczach zakręciły i gdyby znowu nie ambicya byłaby niezawodnie spazmów dostała. Żyd sam wzruszony widokiem dumiał coby tu czynić, a w końcu rzekł:

— Niech się pani niegniewa na mnie, bo żeby ja państwu nie dobrze życzył, tobym był zaraz przyszedł z asystencyą po pana. Ale niema się czego martwić; nich pani pozwoli to ja Mamie powiem delikatnie żeby ją nie zmartwić a zobaczy pani, że wszystko będzie dobrze. Gdzie mama jest? ja pójdę niby się przywitać i delikatnie powiem. Biedna Emma niemogąc słowa wymówić siedziała z zakrytymi oczyma a żyd dorozumiawszy się poszedł do pokoju babki.

— Czego ty żydzie chcesz? tu taty niema; przywitał go Munio zdziwiony...

— Niech się Munio nie boi, ja do babci przyszedł...

— Do mnie? cóż tam aspan powiesz?

— Tak przychodzę zapytać się jak się państwu jeździło? jak się państwo macie?

— Dobrze! dziękuję wam; ale przecie musicie mieć jakiś interes?

— Nie wielki! proszę pani Dobrodziejki! Jabym tylko chciał państwa przestrzedz; bo mój zięć chce panu zięciowi jejmości, głupstwo zrobić!

— Cóż takiego?

— Ny; on ma *wexel* a pan niechce zapłacić i powiada że nie ma nic, że to wszystko nie jego: to mój sięć mu grozi *aresztem*!

— O! mój Boże! zapłakała gorzko staruszka czy mnie też już pan Bóg...

— ... Niech no pani nie płacze my temu zaradzi-my....

— ... Jakim sposobem?...

— Jakim sposobem? takim sposobem: Niech to między nami zostanie! ale ja wiem dobrze: że jejmość całą swoją pensyą dzieciom daje.... ny! to czy tak czy tak! pani nie ma nic z tego, to pani da swój *Zalungsbogen* a ja nim zięciowi mojemu gębę zatkam, i wszystko będzie dobrze. A tak to się pani gryzie i córka się gryzie i zięć się gryzie, naco tego! ja to czuję bo ja także mam dzieci, wnuki...

Staruszka biedna nie mówiąc słowa wyjęła z komody *arkusz płatny* i dała żydowi, który uspokajając ją i Munia odszedł uradowany.— Z ściśnionem sercem stała Emma podeszłwiami i słuchała rozmowy żyda i słów matki, a skoro odszedł— pokazawszy *arkusz płatny* i szepnąwszy: Widzi pani! wszystko będzie dobrze! pójdę zaraz do pana— weszła do matki i wśród płaczu stłumionego całowała jej ręce. Staruszka biedna z suchem okiem i zupełnem poddaniem się woli Boskiej, ścisła ją i wnuki i uspokajała i cieszyła. O ofierze uczynionej zamilczała, bo serce jej cnotliwe płonęło jasnym ogniem czystej miłości macierzyńskiej; a twarz jej sędziwa przybrała wyraz spokoju nadludzkiego! Słodki uśmiech poświęcenia się, opromienił oblicze matki.

Jakub się nurzał jeszcze w czarnych kłopotliwych myślach; kiedy żyd znowu trzykrotnie zapukawszy z uśmiechem Judasza *arkusz płatny* pokazał mu. W kilku słowach opowiedział jak go dostał i polecił dalsze kroki potrzebne w celu usunięcia przeszkód i trudności

z strony urzędu płatniczego. Wieczór Jakub niewychodził z domu, a na dobranoc całując rękę teści — czego już dawno! dawno! nierobił — ślubował jej: iż odtąd nie będzie miała przyczyny płaczu i łez.

Przeminęła więc i ta burza nad strapioną Jakuba głową; oswajał się z położeniem swoim i myślał o odjeździe. Trzeba było pożegnać znajomych a między niemi lekarza swego, człowieka bardzo ludzkiego i życzliwego. Zaraz na wstępie do pokoju został od niego przywitany otwartymi ramiony i wykrzyknikiem: Nieboszczyku Kubo! jak się masz? słyszałem żeś umarł na przechadzce w górach, i po śmierci miałeś tyle przytomności, żeś sobie nacieraniem skroni i pulsów życie przywrócił. Wiesz, dokonałeś arcy-arcy-arcydziela *medycyny* 19 stulecia!

— Jakto? i ty niewierzysz że mi się...

— ... Zmarło i zmartwychwstało!... wierzę najzupełniej wierzę!

— Któż ci to gadał?

— Wszyscy tylko o tem mówią, jesteś bohaterem chwili! ale mniejsza o to; jakże mi się masz? — I nie wdając się w dalszą pogadankę poszedł do szafki wyjmując *roztopczyzna* t. j. doskonałej wódki trochę niby tatarskim zieleń pachnącej, nalał kieliszek i zawołał: W ręce twoje Jakubie!

— Ale bój się Boga! gdzież mnie wódkę pić?

— Z lekarzem można — zresztą, czy umrzesz? obaczymy... gołnijnio!

— Ale bój się Boga!

— Nie balamuć no, pij, bo ja chcę widzieć czy umrzesz — zresztą testament masz gotowy?

— Umrzeć! nie umrę... ale...

— Nie nudź tylko... pij... duszkiem... a śmiało!... ot; tak!... teraz siadaj a wprzódym nim umrzesz zakąś szynką bo doskonała i... słuchaj! jesteś zupełnie zdro-

wym na ciele ale na umyśle nie! Mieję rozum! nie wmawiaj w siebie i w ludzi zmyślonych chorób, bo się śmieją z ciebie, a Arbuzowski jak się dowie to cię uwieczni! —

W kilka dni odjeżdżał Jakub do Niebylca. Żona i teścia miały później wyruszyć. Niby w celu pożegnania się, zboczył do swego przyjaciela dzierżawcy. Cały dzień tam bawił i cały dzień kluczył się z nim: iż o jego zemdleniu po świecie rozgadał. Dzierżawca się uniewinniał: że tylko sąsiadowi swemu opowiedział, a ten tylko *expedytorowi* poczty pod *sekretem*. W końcu się dziwił co to za zakazana choroba, żeby z niej tajemnicę robić. Wszystko to niepomogło! pod surowym gniewem odebrał napomnienie, głębokiej tajemnicy *bzika hypochondrycznego*, i rad nie rad musiał zamilczeć.

Emma zaś wystrojona jak najpyszniej — z łańcuchem na piersi, zegarkiem za pasem i trzema manelami u rąk żegnała sąsiady a do drogi ubrała się w zgrabny negliżyk — Munia zaś po szkocku z piórkiem za czapczką czy kapeluszykiem.

Organizacya jest

— To go chyba wyprzedź! — zawołała pani Walantowa na swego woźnicę, któremu jakiś wóz drabiniasty wysoko meblami wyladowany drogę zajechał poruszając się wolno gościńcem. Woźnica zaciął konie i zboczył „od siebie.“ — Skoro się wyrównał z wozem poprzód jadącym; woźnica tegoż znowu sobie konie podciął i wzięwszy także „od siebie“ nie dał się wyprzedzić. Zmusiwszy zaś bryczkę pani Walantowej pozostać w tyle, wstrzymywał konie i jechał powoli. Tak czynił raz drugi — niecierpliwąc do ostatka podróży naszych. Aż się też już woźnicy i koniom samym sprzykrzyło,

ruszyły bowiem tak rażno z miejsca, że w mgnieniu oka zrównały się z furą. Złośliwie uparty chłop siedzący na niej, widząc iż go wyprzedzają, smagał konie co mógł i pędził czwałem mimo wołań i groźby mijających. Mocnym pędem rozchybany wóz drabiniasty ilekroć koło na kamień gdzie wpadło, kotysał i rzucał się na oba boki, aż źle upakowane stołki, stoliki i stołeczki zerwawszy więzy swe z wozu i liter padać, a padając w kawałki się łamać poczęły. Łoskot mebli padających nakłonił w końcu złośliwego chłopca do wstrzymania koni. Złorzecząc rupieciom i mijającej bryczce, zbierał zbłoczone niedołamki, i wrzucał na litry, nasi zaś podróżni jechali dalej. Dojechawszy do miasteczka pobliskiego stanęli na popas w żydowskiej karczmie, jedynym hotelu w onem miasteczku. Było ich czworo: Wlantowa z matką swą panią Rzemieńską i dwojgiem dzieci; wszyscy zatuleni w chustki i futra bo listopad ostremi wiatry przejmując aż do żywej kości, torował drogę zimie. W karczmie była tylko jedna wielka izba z *angielską* kuchnią czyli po goralsku: z *cygankiem*; ponieważ ci kłamią co twierdzą, że mało drzewa potrzebuje. Alkierz pełen łózek i bachorków niebardzo był ponętym; że zaś izba wbrew zwyczajowi dość schludnie wyglądała, rozgościli się w niej. Porozwijane i ucałowane dzieci zapewniły iż nie zziębły; a babka wydobyla niebawem z koszyka garnuszki a z flaszek kawę gotową i mleko słodkie, zbierając się do ogrzania pierwszego dla siebie i córki, drugiego dla wnucząt rozpatrujących się po karczmie. Niebawem nadjechała i stara Jadwiga kucharka z wozem naładowanym naczyniami kuchennymi, śpizarnią i meblami. Ogrzewając ręce zziębnięte opowiadała, jak tam na gościńcu zdybała wóz, z którego się meble czyjeś wysypały, i co to za piękne meble i jaka to szkoda że się tak połamały i powalały. Opowiedziawszy to wszystko, przyniosła na-

czynie kuchenne i parę kurcząt sporządzonych i przygotowanych, także kapuśniaczki, które zaraz poodgrzewała i podczas kiedy panie kawę piły i dzieci karmiły: zrobiła potrawki, a dla siebie jakiejś kaszy ugotowała. Panie jeszcze przy kawie, widziały brykę z meblami zajężdżającą przed karczmę. Chłop zlął i siedł do izby zdaje się na wódkę. Wchodząc jednak, skoro zoczył naszych podróżnych cofnął się, siadł i ruszył dalej.

Pogadano o tem; zganiono złośliwość i lekkomyślność a wreszcie zapomniano o furze, woźnicy, i meblach uszkodzonych. Podróżny obiadek wnet był gotów i zastawiony, a ponieważ dzieciom podróż chęć jadła zastrzyła; więc przy dzieciach i matce i babce lepiej smakowało. Była zresztą i bułka domowa bez *wanilli* w prawdzie, ale dobrze wypieczona i nie zła, a babka aby przecie karczmarce dać co utargować, kazała przynieść piwa, dla siebie zimnego a dla kucharki i woźnicy grzanego. Z takimi więc wygodkami kończyły panie swój obiadek i rozmawiały o dalszej drodze, kiedy świeży transport gości nadjechał. Pani dość młoda prowadziła za rękę chłopczyka bladego i płaczącego, a wystrojona pokojówka z niechęcią niosta zatulone małe dziecko. Chłopczyk w kapeluszyku z strusiem piórkiem w płaszczyku modnym miał wprawdzie na nożkach berlaczyki piękne, ale za to spodeńki szkockie do kolan ledwie sięgały a czerwone pończoszki nie bardzo musiały być ciepłe kiedy chłopczyzna rzewnie płakał i dygotał. Sama pani także widać porządnie przeziębła, bo ją dreszcz brał a pokojowa miną tylko nadrabiała.

Wszedłszy do karczmy obejrzała się w około, kiwnęła głową naszym podróżnym, i pytała żydówki czyby niemożna czego dostać do zjedzenia dla siebie i dziecka. Żydówka odrzekła, że ma obwarzanki i masło, a jeżeli pani każe, to piwa zgrzeje.

— Mleka nie macie?

— Było! ale dzieci zjadły na objad!

— A jaj?

— Jaj? teraz jaj? kiedy się kury nie niosą? niech pani każe piwo...

— Nie lubię piwa... ale możeby mięsa dostał na rosół?... albo cielęciny?...

— Cielęciny? teraz? aż po godach to zaczną cielećta bić a mięso to na szabas dostanie, ale we wtorek?....

W tem chłopczyna ujrzał że dzieci Walantego jadły bułkę i załośnie zawołał: Mamo ja chcę bułki...

To już za wiele było dla Rzemieńskiej. Wstawszy poszła ku Emmie, bo to ona była tą panią i rzekła: Niech się ta pani niegniewa, że ja taka śmiała, ale pani nie tu niedostanie — na szczęście mamy ze sobą bułkę świeżą i mleko i kawę, a i kurczątka się znajdzie; jeżeli pani pozwoli to prosiemy.

— Emma zaczęła dziękować — wymawiając się, ale pani Rzemieńskiej nie tak łatwo odmówić. Niechże pani pozwoli, niechno pani *ceremonij* nie robi! prosiemy... Marysia także przyłączyła swoje zaprosiny, i wnet Jadwiga przygrzała kawę i mleko i zrobiła potrawkę dla Emmy i dzieci. Munio zaś niepotrzebował długo czekać bo Zosia wnuczka Rzemieńskiej wzruszona jego płaczem ulitowała się i swój kawałek bułki odstąpiła mu, za co się oboje serdecznie ucałowali. Przysiadła się tedy Emma do nich a po kilku słowach niebyło radości końca skoro się Rzemieńska dowiedziała, że karmi synową i wnuki kumeczka swego a żonę Jakuba, którego tak ochętnie za zięcia przybrać chciała.

Emma się wypatrzyła ciekawie na Rzemieńską, która ludzkością swoją niesłychanie miłe wrażenie na jej umyśle sprawiła i na córkę jej przystojną i przyzwoitą kobietę; — owoż wieczór ów paniećny, stanął jej zaraz przed oczyma, kiedy to Jakub zabawiał całe towarzystwo kosztem tej pocziwój rodziny... Przypomnia-

wszy to sobie wielki ją wstyd ogarnął. Szczególniej za męża swego wstydziła się i postanowiła wymówki mu czynić o to; zwłaszcza, gdy przypuszczała, iż Rzemieńscy przez zięcia swego mogli się dowiedzieć o całej tej rozmowie krzywdzając ich dom. Nie miała się jednak czego obawiać, gdyż pocziwszy Walanty zatrzymał wszystko w tajemnicy, niechcąc siebie podwyższać poniżeniem drugih.

Rzemieńska widząc, że Emma oórcie jój sąsiadować miała, nierobiła odtąd różnicy między nią a swemi dziećmi. Najprzód wydobyła z kufra poduszkę i chustkę wełnianą ciepłą, w którą Emmę zaodziała, dając poduszkę na nogi. Munia przybrała w swoją staroświecką przyjaciółkę królikami podbitą, całując biednego chłopczykę, który ledwo odtajał z przeziębienia. Nawet wyelegantowana panna pokojowa — która przez cały czas popasu nie raczyła się tknąć niczego, coby można było nazwać usługą, zapewne bojąc się dyshonoru, zruściła pychę z serca i przyjęła ciepły wełniany koc na przyodzianie od ostrego wiatru. Tak więc zaopatrzona od zimna, puściła się Emma w dalszą podróż, trzymając się swych towarzyszek opiekuńczych, aż wreszcie po niegodziwych drogach i bezdrożach cała karawana dostała się szczęśliwie do Niebylca.

Niebylec miasto górskie na kraju świata naszego galicyjskiego położone, słynie z swój skromności historycznej, która jest jedynym powodem: że nikt o niem nie wie. Zresztą miasto całe patryarchalnie pod strzechą stoi, jak za dobrych czasów Piasta, a w okolicy znane przysłowie: że tam w aptece maź sprzedają. Co jednak wcale mylnie i ubliżające aptece: bo maź *in crudo* t. j. w surowym stanie, sprzedaje żyd sąsiadujący aptecę w tym samym domu, a napis tylko i godło wspólnie służy maziarzowi i aptece; aptecę prawem własności a maziarni prawem przywłaszczenia. Zresztą obfituje to

miasto w krypcie czyli kurpiele, nie tak jednak wyłącznie, aby między mieszczanami nieistniało pułtora buta t. j. para nowych i para podszycia. Owoż takie miasto przeznaczone na stolicę urzędu powiatowego, a tem samem na *rezydencyę* naszych pań podróżnych. Emma, aczkolwiek nie z Paryża rodem, jednakowo znając Tarnów, Wojnicz, Tuchów, myślała: że Niebylec będzie podobnym do którego z tych miast; więc kiedy woźnica pani Rzemieńskiej wjeżdżał do ratusznej karczmy, pytała się zdziwiona: czemu tu się zatrzymuje? czemu lepiej prosto do Niebylca nie jedzie? a jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy jej powiedziano, że to już sam — niechwaliwszy się — Niebylec! — Niedowierzając jeszcze wysiadła i poszła do izby, zkąd wielki hałas słychać było, a wszedłszy ujrzała: męża swego pana Jakuba, w nowym *uniformie* z czapeczką urzędową, jak właśnie w gniewie tuzował potężnie tego zuchwałego chłopca, który jej meble wioził i pogruchotał na gościńcu. Na widok wchodzących, zmitygował się pan Jakub i kazał winowajcę wsadzić do kozy; poczem się przywitał z żoną, dziećmi, z Rzemieńską, i jej rodziną.

— Gdzie nasze pomieszkanie? zapytała Emma trwożliwie.

— A tu!

— Bój się Boga! To niepodobna.

— Dziękuj Bogu kochanie i za to, bo nasz przelozony ani takiego nie ma. W końcu! co ci po pięknem pomieszkaniu, kiedy ten łotr meble pogruchotał w kawałki, a *kwotlibety* w proch potłukł!

Emma spojrziała w koło siebie, i lży jej w oczach stanęły. Bo najprzód: podłogi nie było, chociaż nadzieja niedaleka że będzie, gdyż dwóch cieśli siedząc na kupie deszczek trzymali hebel za oba końce a wióry długie gdyby wstęgi zlatywały na ziemię. Ściany były wybielone, piec chociaż nowy jednak już ze dwa razy

przepalany, a szklarz wędrowny zaprawiał szyby w oknach. W alkierzu pukali mularze kielniami w próżne cebrzyki i wołali: gliny! — bo już lepił wierzeh pieca, a za alkierzem palił się ogień pod cygankiem, który już ukończony wyglądał kucharza. Właśnie Emma rozrzuwiona sielankową prostotą pomieszkania swego, chciała puścić wolny pęd uczuciowości swój, kiedy prozaiczny Walanty wpadł i najprzód żonę swoją i dzieci po prostu bo serdecznie ucałowawszy, matkę i Emmę w rękę pocałował i naglił:

— Chodźcie, chodźcie, bo ojciec wygląda a wygląda. Pani z nami pójdzie bo tu nie ma co robić i za tydzień jeszcze — służę pani, niech się pani nie namyśla....

— Idź rozumie się, kiedy masz gdzie; bo tu trudno ci zostać — rzekł Jakób — a Walanty wyprowadził całe grono.

Z podziwieniem patrzyła Emma na cel uroczego pochodu podziwianego przez sławetną publiczność Niebyleca. Celem bowiem onym była chałupa wiejska, pod nową wprawdzie strzechą ale jednak pod strzechą. Wchód do niej mimo zwyczaju był od tyłu, a z przodu niby płot, niby sztachetki otaczały kawałek ziemi, widać na ogródek przeznaczonój. Płotek ów nowy, już organizacyi cywilizującej Niebylec byt swój zawdzięczał, gdyż dotąd nie mogło się miasto poszczycić podobnym obwarowaniem i ozdobieniem ogrojców swoich. Mała sionka także nie wiele obiecywała, ale czém dalej tém więcej. Z izdebki bowiem po prawej wyszedł stary i siwiuteńki Maciej Rzemieniński z święconą wodą, z solą i chlebem, i po staroświecku t. j. po ojcowsku przyjął żonę i dzieci swoje ukochane. Izdebka była ciepła bo ogień płonął na kominku, a stolik do pisania, łóżko i książki świadczyły że to przybytek gospodarza. W drugiej izbie cokolwiek większej stał stół okrągły i mebliki skromne ale schludne, a zegar ścienny mierzonym krokiem ru-

chadła i skazówką bieg czasu pokazywał; na oknie stało parę wazoników, a firaneczki muslinkowe już były opięte. Dalej był mały pokój jak stworzony na dzieciarnię, a w końcu izba jasna na wschód i południe, z kądem drzwi do kuchni prowadziły. Umeblowanie skromne, już samo wskazywało przeznaczenie jej, choćby Walanty nie był wyrzekł: Nie wiem Maryniu czy będziesz kontenta z mego rozkładu, bo ja ten pokój dla ciebie obrałem; masz drzwi do kuchni i spiżarki, możesz się jeżeli zechcesz zamknąć przed ludźmi, a jak ci się spodoba to i przedemną.

Serdeczny uścisk odebrał w odpowiedzi, a Emma westchnęła niewiedząc sama czego. Porozbierano się z podróży rupieci; Emma na prośby przyjęła bawialny pokój na tymczasowy pobyt nim jej pomieszkanie ukończonem będzie; a z kuchni rozległ się niebawem odgłos wałka jaworowego, którym stara Jadwiga mięso tłukła aby huzarska pieczeń była krucha i aby się państwu pierwszy obiad w Niebylcu nadał. Po rozpakowaniu zaś i zniesieniu rzeczy z wozów, pani Maciejowa najsamprzód powiesiła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nad łóżkiem córki, wraz z srebrną lampą, którą nalala oliwą i zapaliła według swego staropolskiego zwyczaju. I lampą gorzała jaśnym płomykiem a w sercu babki rozniecała się bogobojna radość. Zmówiła akty strzeliste do Matki Boskiej, prosząc o błogosławieństwo dla nowej siedziby.

Nazajutrz rano zdziwiła się Emma kiedy ją oboje Rzemieńscy zaprosili z sobą do kościoła na wotywę śpiewaną: aby Pan Bóg dał zdrowie i szczęście na tym nowym pobycie i w tém nowém zmienionem położeniu. Pobożność ta prostoduszna, żywego rumieńca ją nabawiła. W kłopotach bowiem pożegnania i podróży, zapomniała była o ślubach pobożności; a matka pocziwa

którą odjechała dla fortepianu t. j. aby w drodze z fortepianem jadąc onegoż od szkody strzegła: stanęła jęj przed oczyma i obudziła wyrzuty sumienia. W kościele za przykładem Rzemieńskich tak się szczerze przejęła modlitwą, iż ani uważała, że zwróciła uwagę i księdza i organisty i nawet samych jęj towarzyszy modłów.

Czem więcjęj wglądała w domowe pożycie swych gospodarzy, tem bardziej ich szanowała i lubiła, a porównywając z własnem domowem udręczeniem, zastanawiała się nad przyczyną: czemu u siebie w domu nie ma tęg spokojuści? czemu przy więkzych wydatkach nie ma tęg wygody, ani sama, ani mąż, ani dzieci ani biedne pocziwe matczyko? — Ile razy zaglądnęła do zimnég ratuszowég karczmy przyszelego swego pomieszkania: tyle razy widziała *niepraktyczność* męza swego. Jemu widać zawsze chodziło o wystawność. *Salon* to jego cel, jego główna uwaga. Niedawno jeszcze ani jęj na myśl nie przyszło, żeby to mogło być inaczej. Wszakże meble, fortepian, to jęj własność, ona była panią, ona gospodynią salonu swego; tam błyszczała wystawnością, tam jęj talent podziwiany. — Oh ta wystawność, ta chęć wzbudzenia podziwu! Ile razy na nie wspomniała, zdawało jęj się: że widzi czarny węgielny kamień niedoli swęj — bo za tem szły długi, zmartwienia, choroby ich fizyczne i moralne, a w końcu: na tym salonie, wśród tych podziwian wili się cierniowy wieniec męczeński dla staręj matki jęj, niegdys tak kochanęj. Skutkiem podobnych rozmyślań był zwykłe żal do Jakuba, bo jęj się zdawało: że on jako mąż jęj, jako głowa domu, odpowiedzialnym jest za całą lekkomyślność jęj i swoję. On najlepiej wiedział stan dochodów i całego mienia: powinien był mieć na tyle doświadczenia albo ostrożności, żeby nie narażać siebie i rodziny na podobne smutne następstwa. Niemogła mu zapomnieć

owego często powtarzanego wysmiewania starych Rzemieńskich, których naśladować w wielu rzeczach ale nie wysmiewać potrzebę czuła. Czekala tylko sposobności aby mu to wszystko wymówić. O sposobność zaś podobną było najłatwiej.

W parę dni przyjechała wreszcie matka jej z fortepianem dla którego całą drogę największe niewygody ponosiła. Obaczywszy pomieszkane, ruszyła tylko ramionami i rzekła córce: Bój się Boga Emciu, jakże my tu wysiedzimy? To jedno izbisko za wielkie; tamta kłiteczka za mała, że się niema gdzie obrócić; niebyło też raczej tak zrobić jak państwo Walantowie?

Pan Jakub posłyszał tę nową bodzącą jego zarozumiałość i odpowiedział opryskliwą niegrzecznością; Emma szukająca zaczepki nieomieszkała mu wylać żalu którem serce jej przepełnione było. Pan Jakub wytrzeszczył oczy bo się nie spodziewał podobnego oporu ze strony Emmy, która dotychczas bezwarunkowo dzieliła jego przekonanie co do prowadzenia życia. Już miał odciać ironicznie jak się nieraz był odcinał we Lwowie współuczniom swoim różnonarodnym; ale gdy Emma dotknęła *tematu* wyszydzania Rzemieńskich którzy dla niego dawniej i teraz tyle ludzkości okazywali — zmaliał i umilkł. Emma zaś postanowiła sobie odtąd nie ulegać woli męża co do wystawności i zmienić sposób życia.

Zacząła zatem od prośby do Walantego: czyby to nie można jako przerobić żeby się nie wprowadzać do tej zimnej, pustej karczmy?

— Jeżeliby pani nie wzgardziła pomieszkaniem podobnem naszemu toby do tygodnia mogło być gotowe zaraz obok nas, gdzie także chałupa jest do wynajęcia. Piece są gotowe i ten sam murarz je stawiał co tu — izby wybielone, chodziłoby o podłogę i przepierzenie

sieni aby z niej zrobić podobny pokój dla dzieci jak nasz. Najdalej do dziesięciu dni możnaby to uskutecznić. Fortepian by się może nie tak dobrze wydał... ale...

— Nie mów mi pan o tem, proszę pana, bo ja się teraz dopiero uczę tego com dawno powinna była umieć, przerwała Emma i odwróciła zapłakane oczy, — a jakżeżby z ratuszem?

— Najmniejsza! Pomieszkanie to jak raz nada się na sądową izbę której nam koniecznie potrzeba. Nawet gdyby się nie znalazło lepsze pomieszczenie urzędu niewiem czyby go nie przenieśli z Niebylca, choćby i na wieś gdzie, tembardziej: że kilku panów z okolicy mają wielkie niepotrzebne zabudowania, a dawniejsze gorzelnie i browary które do trzechmiesiący w pomieszkaniu przemienić się obowiązują.

— Mój panie, chciał mi też tę łaskę wyświadczyć i zająć się tem, bo mój mąż...

— Właśnie chciałem pani o tem mówić. On koniecznie obstawał za tamtem pomieszkaniem i gotówby się na mnie obruszyć!

— Dobry panie, muszę się panu wypowiadać; bo przecie raz trzeba znaleźć przyjacielskie serce! — Pan znałeś dawniej Jakuba i lepiej odemnie. Jam siebie nieznała i jegom nieznała. Dziś jestem rozczarowaną zupełnie. Kobieta nierozumna myślałam: że co on robi, na co on przystanie, to musi mądre być i dobre dla żony i dzieci. Mnie jedynaczkę rodzice stroili i pieścili za młodu; cóżem więc mogła innego czynić jak stroić i pieścić się. On mnie powinien był naprowadzić na drogę rozumu, powinien był nauczyć w ostatnim razie: zakazać głupstw robić. Nieuczynił tego — niechciał czy niemógł; mniejsza o to! Stracił zdrowie sobie, mnie i matce mojej. Żydz nas grabić, a w końcu jego do wię-

zienia za długi oddać mieli. Matka go wykupiła oddawszy żydom swoją pensyą wdowią! — Niedolą z zaślepienia wyleczona, czuję potrzebę odmiany życia, potrzebę oszczędności i gospodarstwa domowego... a on i teraz matce mojej ubliża...

Placz nie dał jej dokończyć. Walanty stał jak na szpilkach; a chcąc ją uspokoić, zaczął go uniewinniać.

— Niech go pan nieuniewinnia!... przerwała — on nie wart tego... zarozumiałości niemożna uniewinnić... jemu wszystko było głupiem co tylko tchnęło zdrowym rozsądkiem... państwo wielkie czepiło się go, a tu niema czem dokazywać... zresztą ja mam do niego żal głęboki za te wyszydzania... ot! ja się panu w oczy nie śmię spojrzeć za niego!!

— A to o co? proszę pani.

— Powiem panu o co! bo ja się raz muszę przed panem wynurzyć tak jak przed ojcem lub bratem... radabym zapomnieć ten wieczór u nas, kiedy się o mnie starał, i te żarciki pańskiej żony i teściowej...

— Ależ moja pani! jakżeż można takie dzieciństwa pamiętać — tać to tyle lat temu...

— Prawda! że lata minęły; a ja co chwila żywię widzę tę scenę całą niegodną mężczyzny z honorem!..

— Otóż to macie! jak pani będzie dłużej o tem dzieciństwie mówić to dalipan gotowym być niegrzecznym! i powiem...

— Muszę mówić.

— ... Bo powiem!

— ... Co pan powie?

— „Wspomniała sobie babka, że też miała dziadka“ Moja pani! wtedy on był trzpiotem i starał się panny bawić. — Zresztą moja teścia w samej rzeczy oryginalnie go swatała, a „kawa z arakiem“ i mnie nie mało kłopotu i śmiechu nabawiła; ale to rzecz skończona,

wróćmy do rzeczy! Więc jutro zamawiam pani kwatere obok nas, a karcznię czyli ratusz obrócimy wedle jego dawnego przeznaczenia. Pana Jakuba zaś jeżeliby co broił oddamy pod sąd kobiecy. Zgoda?

— Niemogę, tylko szczerze podziękować.

— Ot! idzie winowajca! poczekaj no Jakubku! sprawiamy ci tu łaźnię!

Jakub nadchodząc już w sieni dokąd Walanty wyszedł na powitanie go, zaczął: Proszę cię mój Walusiu! moja pani mi się tak dzisiaj zbuntowała, że się obawiam czy mi ją nie bałamucisz.

— Żebym tylko mógł! ale to jeszcze czas na to. — Słuchaj coś ci powiem.

— Słucham!

— Będziecie mieszkać obok nas!

— W tej chałupie?

— W tej saméj! za dziesięć dni kubek w kubek ją urządzę jak moją. Będziecie mieli ogród, będzie można krowę trzymać, będziesz gospodarował, a zamiast w karty grać, będziesz pielł grządki albo z dziećmi figle stroił — a zabawy, wystawność, jako rzeczy przedorganizacyjne pojdą *ad acta*!

— Jakub się popatrzał na niego zdziwiony a jeszcze bardziej na panią Rzemieńską, która dosłyszawszy płacz Emmy niemogła tego przenieść na sobie i ujęła się po swojemu: Panie Jakubie niegadała ja to zawsze że z pana był lampart i będzie lampart! Za młodu to mi pan Marysię prętem smagał aż się biedne dziewczę od płaczu zachodziło, a teraz to żona na pana będzie płakać! a godzi się to tak, zaraz mi ją pan przepróż; zaraz!

— Ale proszę Pani, ja niewiem o niczem...

— Ja pana niebędę prosić! Marysiu, pomóżno mi, weź no go za rękę,... mąż powinien wszystko wiedzieć... przeprosić natychmiast!

— Niech i tak będzie, — przepraszę, kiedy panie każecie.

— Ba, ale Emma niechciała się przeprosić i z gorzkim wyrzutem rzekła: Tam moja matka, ją niech przeprosi, on wie za co?

— Ależ Emciu, bój się Boga!

Emma się odwróciła, a on się zdziwił, bo taką nie znał jęj jeszcze.

— Mamę przeprosić! babcię przeprosić, nagliła Rzemieńska.

— Dobrze.

Poszedł, przeprosił staruszkę i wróciwszy rzekł: Przeprawiłem, o cóż ci jeszcze chodzi?

— O co mi chodzi? tu pani Rzemieńska tu jęj córka: wiesz doskonale jak szczerze winienieś ich przeprosić; myślę, że się dorozumiesz za co? czy może mam przypomnieć?... rzekła, patrząc mu surowo w oczy.

Jakuba gdyby ukropem złał, zmieszał się, niewiedziat od czego zacząć, w końcu ruszył ramionami: Przepraszam i panie jeżeli obraził...

— Nie, jeżeli — bom obraził, przerwała Emma dodając: a teraz przepros swój rozum za te niedorzeczności coś porobił przez życie.

— Ależ bo to pani nie żartuje! odezwał się Walanty zdziwiony, ja na jego miejscu paniąbym nazwał rozumem i przeprosiłbym.

— Obejdę się tą razą bez jego przeprosin, rzekła Emma już z zimną spokojnością, a Jakub stał jak trusia i nieśmiało słówka pisać. —

Za dwa tygodnie sprowadzili się państwo Jakubowie obok Walantego, a w tydzień później przyszła Emma do Maryni swęj wielkięj przyjaciółki:

— Z prośbą przychodzę do ciebie!

— Proszę cię z jaką?

— Naucz mnie też chleb piec, bo te gneciuchy kupne widocznie nam niezdrowe, a ja przy całej mej edukacyi uczciwego chleba ani bułki upiec nie umiem. Torty różne, ciasta wymyślne to mi się udaje, ale tego mi teraz nie trzeba, a wstydzę się nieumieć chleba piec. —

Najchętniej wysłuchano prośbę. Także i Munio zyskał na sąsiedztwie, bo miasto szkockiego ubioru dostał wygodną flanelową bluzkę i buciki w których tupa po pokoju i nawet po ogrodzie albo do Zosi biega. Za poradą Rzemieńskiej pije mleko prosto od krowy i widocznie zdrowszej cery nabiera. — Fortepian nie poszedł w zapomnienie, owszem po gospodarskiem zajęciu najmilszą dla Emmy rozrywką, zwłaszcza: że ci co słuchają jej trelów, wszyscy są dobrymi przyjaciółmi. Grządki w ogrodzie skopane na zimę, nasionka warzywne i gospodarskie zapisują się, i niemoże się Emma wydziwić jak mile jej czas upływa w Niehylcu. Wszyscy zyskali na zmianie prócz Jakuba: bo przewaga jego w domu przepadła z krete sem. Ile razy dowcipem ironicznym usiłuje ją sobie zdobyć, tylekroć ułszy wspomnienie *węzłów, aresztu, umierania na spacerze* itd. i musi stulić słuchy. Panna pokojowa także nie zasmakowała w słomianej strzesze: odprawiła się korzystając z sposobności iż znajomy jakiś *sierżant* wracał z *transportem* do Tarnowa.

Przed kilkoma dniami przyjechała żona przełożonego okręgu Niehylca i niesłychanie się zcieszyła Emma, gdyż była nią jedna z owych dwóch niebiesko ubranych wesołych panienek; poszła ona za komisarza Czecha, który został przełożonym obwodu. — Humor jej nie zmienił się, zawsze lubi śpiewać ładne piosneczki i zaj-

mować się literaturą, a mając wiele świętych książek, zasila niemi swoje sąsiadki. Młoda ta i wesoła kobieta doskonale się z niemi zgadza, tylko Emmie wymawia, czemu swego męża tak krótko trzyma, prawie jak pod pantoflem. — Emma zaś odpowiada: Nieumiał on mnie trzymać, za to ja go trzymam.

BARTŁOMIĘJ ARBUZOWSKI.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Do najwykwintniejszych przyjemności życia, a przytém najwięcej urozmaiconych i najmniej rozczarowujących, są podług mnie podróże. Świat otwarty, wolność nieograniczona, bo jako gość nie doznajesz tego co miejscowych dotyka lub boli — urok i niebezpieczeństwo najprzeciwniejszych sobie klimatów — bogactwo widoków natury rozwijających się bez końca przed oczyma podróżnika — arcydzieła wszelkich sztuk rozsiane w każdym kraju — pamiątki i ruiny zwiedzane na ziemiach klasycznych — historia, umiejętność, poezycja towarzysząca ci w każdym kroku — oto są rozkosze wzniosłe i trudne zarazem; bo ileż to potrzeba mieć odwagi, ile znajomości rzeczy wszechstronnej, ile wyobraźni, ile świętego ognia, aby te widziane dziwy ogarnąć, zrozumieć, i podać w taki sposób, iżby ten, co niemiał szczęścia patrzeć na nie, mógł je wyobrazić sobie, zrozumieć i powiedzieć w duchu: nie byłem tam, a jakbym był tak znam!

Takie podróże i tacy podróżnicy zawsze należyć będą do rzadkich wyjątków, chociaż jeśli kiedy to za naszych dni ułatwione środki podróżowania pędzą najróżnorodniejszą ludność na sieć kolei żelaznej pokrywającą ląd stały, na parowce przeryniające we wszystkich kierunkach morze Śródziemne, które dziś zmalało do wielkości jeziora. Tysiące niezatrudnionych głów, prostodusznych hreczkosiejów, spanoszonych giełdowców, dam nudzących się na partykularzu gdzie ich toaletowych wdzięków nikt podziwiać nieumieć, zgola wszystko co ma za co i niema za co, przebiega Włochy, Sycylię, Grecyę, płynie w górę Nilu, pielgrzymuje do Jerozolimy, drapie się na Liban, zagląda do Stambułu pytać zapewne o zdrowie wysokiej Porty. — I cóż z téj wycieczki przynoszą? Oto chorobę morską, i prawo nudzenia nas rozpowiadaniem o tém, o czém wszyscy wiedzą:

Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyi rozboje.

Ja i ty mój czytelniku, co pilnujemy domowego ogniska, zostawmy tym szczęśliwym śmiertelnikom ich niepotrzebne trudy i kłopoty, oklepiane wzruszenia i podziwy, widoczki kupowane na miejscu, a robione gdzie o tysiąc mil, stosy starożytnych rupieci sfabrykowanych w wilią ich przejazdu, niebezpieczeństwa hotelowe, rozbić się na kropli wody, oszustwo Greków, spokojną otrętwiałość Turków, i ten kanibalizm czy na południu, czy na wschodzie, który już nie zjada podróżnych a tylko na ich kieszeń poluje.... Siedząc na domowych śmieciach zyskujemy na tém najwięcej, bo nie popisując się przed cudzoziemcami z zapasem naszych próżności i śmieszności, nie narażając się na trud i koszt, pożywamy najspokojniej każdy owoc jaki nam z wycieczek dalekich przyniosą; — co jeżeli się nie zawsze zdarza aby miał smak i świeżość, to przecież nie można powiedzieć aby na tysiąc turystów, jeden się nie znalazł

który pojechał nie na darmo, jeśli przywiózł ze sobą tak bogate zniwo postrzeżeń i żywych obrazów, iż gdy się zamkniesz w pokoju i wyobraźnię swoją powierzysz temu przewodnikowi, to widzisz, myślisz i czujesz z nim razem i jesteś jakby w śnie przeniesiony pod skwary Afryki, lub w przedpotopowe lasy nowego świata.

Wielu tem się tłumaczy: poco opisywać, poco badać — kiedy tylu przed nami opisało i zbadało te lub owe strony? — Zapewne, przysłowie mówi: Nic nowego pod słońcem — lecz w świecie umiejętności i pojęć wszystko bywa nowe, lub odnawiające się. Po tylu np. pobożnych i uczonych pielgrzymach wzbijających od trzech wieków tumany kurzu na świętej drodze palestyńskiej, po Radziwile Sierotce, Drohojewskim, Hołowińskim, Chwali-bogu — zostało jeszcze dużo miejsca na interesujące nowością karty. Co wiecznie piękne, to i wiecznie świeże, byle patrzeć z innego coraz punktu.

Taka Podróż na Wschód M. Mana — lubo potoczyła się po gościńcu ubitym stopami Chateaubriana i Larmartyna, tych najniebezpieczniejszych towarzyszy, co rozsieli tyle brylantów poezyi i wymowy na piaskach pustyni — zawiera jednakowoż mnóstwo rysów pominiomych przez jego poprzedników, i wiele postrzeżeń zrobionych z innego punktu widzenia.

Tak bardzo już nadużyto owych wrażeń podróży, tak przekarmiono publiczność zachodami słońca, burzami, zachwytaami w obec ruin, a nadewszystko zmyślonemi przygodami, że jaki taki z trwogą bierze podróż do ręki, myśląc sobie: co mi po jego wrażeniach i przygodach, kiedy o pierwsze nie dbam, a w drugie nie wierzę! I słusznie, dziś bowiem rutyna nie popłaca; światły czytelnik chce ścisłości i prawdy nawet w romansie, a cóż dopiero w podróży, która powinna się liczyć do rzędu pism łączących przyjemność z rzeczywistym pożytkiem, zawierać rysy dokładnej ścisłości, naukę grun-

towną, i fakta niezmyślone. — Dla tego Podróż Mana na Wschód obfitując w fakta i postrzeżenia, nie jest igraszką wyobraźni; autor nie wynajduje, lecz widzi; nie marzy, lecz sądzi; nie pragnie olśnić, ale oświecić i nauczyć. Opisy jego brane z natury na którą patrzył gołym okiem, skromne są, bo prawdziwe, nie przesadzone kolorytem i bez fałszywych efektów, a w opowieści zawsze czerpane z historyi, kiedy mówi o przeszłości — z życia rzeczywistego kiedy teraźniejszość maluje. — W ciągu całej téż drogi którą przebiegł od Nilu do Stambulu, mnóstwo potrąca przedmiotów odnoszących się do miejscowości, do ludzi, do historyi, do sztuki, do administracyi, obyczajów a nawet do polityki. Obfitość ich taka, że zaspakaja umysł i serce czytającego daleko więcej, niżby zaspokoić mogły namiętne deklamacye, igraszki stylu kwiecistego i zaraźliwe urojenia umysłu upojonego samym sobą, a głuchego na wrażenie prawdy. — Lubię i to w jego podróży, że się wyrzekł swęj osobistości aby uwydatnić każdy przedmiot; chowa się by sobą nie zasłaniać widoku na rzecz; nie mówi o sobie, a za to każe mówić faktom. — Zgoła sumienna ta i na obszerniejszą skalę zrobiona podróż grzeszy może tém tylko, że autor więcej po podróży, jak przed nią oddawał się studiom nad zwiedzanemi przez siebie krajami, co sprawia, że nie będąc dostatecznie przygotowanym na tę drogę która nań niespodziewanie przypadła, nie miał tych zasobów pamięci niezmiernie dopomagających wyobraźni do ożywienia miejsc, dźwignienia ruin, zaludnienia pustych. —

Bądź jak bądź, dziwi mię dla czego książka mająca tyle dobrych zalet, została milczeniem pokrytą w warszawskich pismach czasowych, które lubią tak szeroko rozprawiać nieraz o najfałszywszych relacyach podróży, będących raczėj prostą igraszką z łatwowierności czytelników, niż sumienném opowiedzeniem tego co się wi-

dzi, doświadcza, odkrywa i obserwuje przy zwiedzaniu cudzych krajów. — Czyżby publiczność miała być tak usposobioną że jej więcej do smaku przypadają nie-stworzone banialuki haftowane na tle jeografii elementarnej, niż pracowite studium nad duchem i fizyonomią społeczeństwa, nad zabytkami i wspomnieniami z historii, nad obyczajami, instytucjami, gospodarstwem i urządzeniami wewnętrznymi jakiego kraju? — Przyznam się że nie bardzo wierzę aby taki smak miał być powszechnym, bo zbyt niekorzystną dawałby miarę o stanie intelligencji; prędzej przypuściłbym niedostatek dobrej krytyki która niewyrobiła sobie żadnej skali i wszystko jednym łokciem mierzy, czy ulotną powiastkę lub wierszyk, czy owoc trudu, doświadczenia i nauki.

Bynajmniej nie miałem zamiaru mówić o tej książce Mana w tej myśli, abym ją chciał we wszystkich częściach rozbierać; ale wszcząwszy rzecz o podróżujących i podróżach, uważałem za właściwe dotknąć tego faktu, któryby mógł być wcale niepokieszącym symptomatem, gdyby wszystkie fenomena i symptomata umysłowe w społeczeństwie, znachodziły pełny swój organ i wierne tłumaczenie w gazetach i dziennikach. Że tak nie jest — więcej niż pewna; a najbardziej u tych nie jest, co sobie przypisują wyłączne posłannictwo wyrażania potrzeb, chęci, nadziei, a nawet dążeń czytającego i nieczytającego społeczeństwa. — Zaiste, byłoby to rzeczą wcale niepokrzepiającą dla ducha żebyśmy mieli kochać się więcej w fatalaszkach rozbrykanej imaginacyi, niż w rzeczach prowadzących do ścisłego zbadania prawdy, a do tego nie w płodach fantazyi, jak powieść, lub romans, ale w przedmiotach wymagających ścisłości nieledwo matematycznej, skrupulatnych studiów i obszerniej znajomości różnorodnych przedmiotów, czego wszystkiego wymaga podróż, jeżeli na to nazwisko zasłużyć pragnie. ---

Co się dotąd rzekło, miało jedynie na względzie podróż w najobszerniejszym znaczeniu wziętą — podróż kosmopolityczną, przez którą wchodzimy do składu literatury powszechnej, trącając o przedmioty opisywane i obrabiane przez koryfeów literatury francuskiej, angielskiej, niemieckiej i t. p. Taka zagraniczna podróż nie jest bez interesu dla obcych, a bez znaczenia dla nas, bo pokazuje w jaki sposób zapatrujemy się na różne instytucje, społeczności, obyczaje i sprawy publiczne; nam zaś pochlebia ten rozszerzony zakres obserwacyi przynoszący w zysku miarę porównania, a nade wszystko praktyczną mądrość doświadczenia.

Wszakże gdybyśmy pędzeni ciekawością poznania i badania samych tylko obcych i dalekich krain, nie myśleli o poznaniu tej ziemi, na której żyjemy, z przyczyny, że to nie tak zaszczytnie brzmi powiedzieć: wracam z Polesia, lub Pokucia, które zwiedziłem — jak kiedy się powie: wracam z pod bieguna lub z Australii — gdybyśmy w ten sposób palili ofiarę naszej próżności, i chorobie włóczenia się światami, byłoby naganną sprawą, jak naganną jest dzisiejsza podróżomania która rokrocznie na kilka miesięcy wypróżnia kraj z połowy ludności klas zamożniejszych. Lecz na szczęście, można od niejakiego czasu uważać, że zajęcie się rodzinną ziemią mające na celu dokładne poznanie miejscowości będących z historią w związku, badania nad fizjonomią, zwyczajami, i wyobrażeniami ludu, poszukiwania zabytków pod względem archeologii, postrzeżenia geologiczne, zoologiczne, roślinne, niemniej nad stanem rolnictwa i przemysłu, stósownie do tego jak co gdzie przeważa, — że zajęcie się temi przedmiotami wchodzącemi w monografię, czy miast, czy pewnych okolic, czy prowincyj, — stało się rzetelną potrzebą. Najmniejszy taki opis z wycieczki w jakąkolwiek okolicę więcej nierównie interesuje, jeżeli nie jest suchym i trywialnym, niż

najświetniejsze opisy obcych dziwów, lub najniepodobniejszych do prawdy przygód. W téj tedy gałęzi piśmiennictwa postąpiliśmy niesłuchanie, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę niezmiernie ubogie i skąpe monografie z czasów dawniejszych, które można powiedzieć nieumiały się wyłamać z ram jeografii i to jeografii nie tak rozwiniętej jak dzisiaj. Nasi starzy nierozumieli pejzażu.

Najpierwsza Tańska w listach swoich opisujących podróż do Krakowa dała szerszy zakres téj gałęzi piśmiennictwa¹, ograniczonej dotąd na humorystycznych postrzeżeniach przeplatanych dowcipnemi wierszykami, jak to widzieliśmy u Krasickiego i Karpińskiego. Po niej, Kraszewski który wyborne rzucił szkice okolic Polesia i Litwy może za doskonały wzór służyć. Przędziński opisał Podole i Wołyn. Raczyński Wielkopolskę. Goszczyński i Zeiszner Tatrzańskie okolice. Syrokomla część Litwy a szczególnie Nieśwież; dodajmy do tego wyborne monografie Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, Rzeszowa, Tarnowa, Jarosławia; dodajmy mnóstwo artykułów rozsianych po pismach czasowych a opisujących malowniczo wdzięczniejsze okolice, zamki, kościoły, tak pod względem dziejowym, jak archeologicznym i etnograficznym, a będziemy mieli wyobrażenie materiałów co dzień mnożących się do uzupełnienia obrazu całej krainy, już na tle jakie sucho jeszcze, rzucił był w Opisie starożytnéj Polski Baliński i Tymoteusz Lipiński, już w sposób więcej ożywiony i malowniczy, bo obejmujący i dawne i nowe życie rozsianego na niej narodu. O takiej podróży wolno nam marzyć, że kiedyś biegle pióro przysłuży się nią ogółowi, ale dopiero wtenczas, jeżeli wszystkie strony kraju zostaną dokładnie zwiedzone przez ludzi znających rzecz, umięjących robić studia i rozmiłowanych w ubożach-

nych zabytkach i pięknościach natury, często tak oryginalnych....

Co do tego punktu można powiedzieć, iż mamy wiele zakątków takich które w powszechności, a nawet dla ludzi czytanych, mogą być oznaczone mianem: *terra incognita*. Zazwyczaj są to okolice słynne nawet w dziejach, lecz na pograniczach, lub daleko od dzisiejszych dróg cywilizacyjnych położone, czyli nieprzytykające do bitych gościńców wiodących ku stolicom, ani do kolei żelaznej, wiodącej w świat — a zatem zapomniane, jak ułamek co się z rachunku wyrzuca... Tymczasem właśnie bywają to miejsca najbardziej interesujące, bo jeszcze świeże, bo zachowały odrębny charakter tak w swoich mieszkańcach, jak na licu krainy gdzie jeszcze natura fantazjuje sobie w najlepsze.... Mógłbym wiele takich okolic naliczyć, które drzemią w zapomnieniu, dla tego, że pióro pisarza z wyższym talentem nie dało im życia, czyli niewykryło tej poezji jaka tkwi w ludziej, w pamiątkach, w uroczym naturze. Pieśń lub powieść popularyzuje opiewane strony, i napawa ku nim tęsknotą, jak do każdej krainy obleczonej w mglisto-różową szatę poetyczności; zajmuje to i wystarcza na jakiś czas, ale nie na długo; bo człowiek, dziecko ciekawe, tłucze najmisterniejszą zabawkę, aby zobaczyć czemu ten kanarek śpiewa, i co to za płyn przelewa się w tej szklanej kuli niemającej żadnego otworu?— To samo i z poezją miejsc; z razu zachwycają cię te brylantowe opisy — potem zbiera chęć przekonać się naocznie o prawdzie — zastajesz rzeczywistość prawie zawsze prozaiczną i niższą, lubo duch unosi się nad nią jeden i ten sam, jaki wyśpiewali poeci....

Ukraina tylekroć opiewana, zaczawszy od apostrofy Trębeckiego, aż do poematów Alexandra Grozy, mająca prawie osobną swoją szkołę, nazwaną przez Michała Grabowskiego *ukraińską* — żyła długo w wyobraźni na-

szęj uprzyzmowana wszystkimi czarodziejstwami nagarnionemi na nią ze świata fantazyi jej ludu, rozmiłowanego w tęsknych dumkach i rokosznych powieściach nanieasionych gdzieś od Gangesu, i branemi z tej natury stepowej nadzwyczaj bujnej i dziko-swobodnej, która uroczy tworzyła kontrast z prowincjami wystawionemi na bezpośrednie parcie cywilizacyi.... Wszyscy kochali Ukrainę i tęsknili do niej, oczarowani dumkami i szumkami; lecz w powszechności mało kto miał wyobrażenie o tej stronie pod względem dokładnych opisów miejscowości, stanu rolnictwa, przemysłu, towarzyskiego pożytku, obyczaju, a nawet pamiątek historycznych dosyć gęstych. Szczególniej część Ukrainy leżąca nad Dnieprem, cały ten kąt od Zabożyna do Kremenczuga, należy do najmniej znanych, choć może najciekawszych. Te to właśnie strony znalazłem opisane w książce *Opowiadania i krajoobrazy — szkice z wędrówek po Ukrainie* przez Tadeusza Padalicę *). Autor, jak sam powiada, urodzony w tych stronach, będących sercem Ukrainy, od dawna zajmował się zbieraniem podań i pieśni ludu i studiami historycznymi, odnoszącymi się do miejsc pamiętnych po największej części bojami staczanymi z kozactwem i Tatarami, niemniej krwawym dramatem koliszczyny. Z takim przygotowaniem i zaopatrzeniem się w zasoby badań, przy gorącej miłości dla stron rodzinnych i ludu, z uczuciem poetycznym dla uroczych krajoobrazów naddnieprskich, i dla natury jeszcze tak świeżej i tak ogromnych rozmiarów, mógł on snadno wywiązać się z zadania i skreślić obrazki i sceny tętnące życiem i tą prawdą, która pociągając i przywiązując czytelnika, już tym samym daje mu pewność że autor nie igra z jego dobrą wiarą.

*) Tomów dwa. Wilno, nakładem Zawadzkiego, 1856 r.

Z sumienną tą pracą przybywa nam jeden ciekawy rys do dziejów naszej ziemi; zaznajomiamy się bliżej z tym ludem który poduszczony i prowadzony przez śmiałych swoich pół-hetmanów, pół-hersztów, zadał był ciężkie rany Rzeczypospolitej, jakby za karę, że nie miała dość siły i energii zaślaniać mieszkańców tych ziem odległych, przeciw nadużyciom i krzywdom możnych panów; a raczej ich podwładnych, którzy administrowali dobrami bez żadnej kontroli, najczęściej z całą dzikością drapieżnego służalca wyniesionego z łaski pańskiej nad równych sobie.

Historyczne pola wielu bitew stoczonych w tych okolicach, częstokroć mylnie podawane przez naszych kronikarzy, znajdujemy w tym opisie skreślone z taką dokładnością, że czytelnik czuje się przeniesionym na miejsce akcyi; do czego autor posługiwał się ciekawą kroniką Wieliczki podającą wiele nowych szczegółów, jak niemniej zwiedzenie sceny samej, jeszcze silniej uobecniko nam te wojenne rapsody w których jako działające postacie występują Potocey, Czarniecki, to znów Chmielnicki i zgraja przewódzców rzezi Humańskiej.

Od szerokiego obrazu bitwy wążącój na ostrzu losy tej prowincyi, do domowych scen po drewnianych zamczkach gubernatorów, i po futurach gdzie się przechowywał jaki watażka, wszystko tu się przewija w ożywioném opowiadaniu, pełnem miejscowego kolorytu, aż do języka pochwyconego z całą znajomością gminu.

Wszystko tu nowe, urocze, poetyczne i ciekawe — czy posłuchamy co nam z przeszłości opowiada, czy damy ucho uwagom nad obecnym stanem tej części Ukrainy — która, cóż piewcy dumek i szumek na to powiedzą! przeobraziła się w ruchliwy cukierniany warsztat z smukłemi kominami i szumem machin parowych, powstających w miejscu dawnych zamczków i ostrogów, oku-

rzanych nieraz dymem samopałów i szmigownie, a najczęściej powiewających sztandarem ogniowej pożogi....

Osobliwa rzecz! przeszłość historyczna Ukrainy niezo-
stawiała prawie znaku po sobie: Zameczki budowane
z drzewa i ziemi, spopielone pożarem, wiatr rozwiął —
został tylko gdzieniegdzie okop lub wał... i podanie
zapisanie w ustach gminu lub w kronikach. — Mnó-
stwo zaś kurhanów rozsypanych jak gwiazdy na niebie
po całym obszarze tych ziem — Bóg wie do kogo nale-
żą, jakich to ludów pomniki — bo to pewna że rzadka
mogila kryje kości poległych w boju...

Tem większa zasługa autora tych wędrówek po
Ukrainie, gdy na téj białej karcie narysował, ubarwił,
ożywił tę rycerską przeszłość, a nadewszystko gdy u-
miał się wtajemniczyć w dziwy tych romantycznych łąk,
borów i siół, monasterów porzrzucanych w jarach nad
brzegami Dniepru, Rosi, Taśminy, i nieodłączając ludu
od pejzażu, malować go takim jakim jest, choć może
studiował go tylko w chwilach jego poetycznej zadumy,
lub rozpasanej hulanki z nożem i głownią...

Szczegółowego rozbioru téj podróży dawać niepodoba-
na, bo w takim razie trzeba by zatrzymać się nad ka-
żdym opisem, każdą sceną, lub powiastką, lub rozu-
mowaniem czy historycznem czy ekonomicznem — a za-
tem wypadłoby powtórzyć w skróceniu całą książkę;
coby znowu dało pretext niejednemu do poprzestania na
mojej treści; gdy zaś najszczerzej pragnę aby z talentem
napisaną książkę jak najwięcej osób czytało, przeto za-
trzymam się tylko na niektórych miejscach co mię naj-
więcej zajęły, lub co wywołują spór na polu wyobrażeń
i faktów.

Trafne jest postrzeżenie autora, gdy mówi, iż lud
nasz nieumie szanować pamiątek historycznych, nawet
takich co się odnoszą do bohaterów najściślej z nim

związanych, czyli najpopularniejszych. Ta myśl przyszła mu na widok Subotowa, téj sławnej siedziby Bohdana Chmielnickiego, o której znaczeniu historycznym żaden chłop nie wie, choć pamięć Chmielniczénka uwiecznia w pieśni. — Dalej powiada, że na Zachodzie ocalonoby każdą cegielkę, wystawionoby mu pomnik itd. Niech mi wolno będzie zapytać czy autor rozumie, że lud na Zachodzie bywa troskliwszy o pamiątki narodową, niż Ukraiński? — Bardzo wątpię; — trzeba tylko zapytać historyi, aby się przekonać że w każdym ruchu rewolucyjnym, nieprzepuszczał żadnym pamiątkom choć ciosanym z granitu, choć przypominającym mu najlepszych jego dobroczyńców. Prosty lud wszędzie jednaki; będąc bowiem bierną stroną w dziele cywilizacyi a zatem niewyrabiając jój z siebie, o tyle tylko przyjuje cywilizacyjne wyobrażenia, o ile mu takowe w większej lub mniejszej massie dane są z góry. — Niewątpić że i do dziś stałby w Subotowie czy dom Chmielnickiego, czy jaki posąg poświęcony jego pamięci, gdyby to był bohater narodu — lecz Rzeczpospolita nie miała interesu stawiać posągu — buntownikowi, kiedy go stawiała swemu obrońcy w Tykocinie, gdzie po dziś dzień stoi.

Autor troskliwy o przechowanie nam pamiątki po Bohdanie: daje opis Subotowskiego dworca, podług jakiegoś pisarza Małoruskiego który opisując dom Sotnika Czornysza w Woroneżu, powiada że był zbudowany na wzór domu Chmielnickiego. — Ciekawy to opis: „Sześć czeremchowych drzew wyrastało przed oknami hetmańskiego pomieszkania. Opodal stała jabłoń rozłożysta przy której na trzech dużych lwach wspierało się koryto wyciosane z kamienia. W paszczekach tych lwów umocowane były trzy kółka srebrne, do których uwiązywano konie starszyny wojskowej, przybywającej do hetmana gdy ten szukał wytchnienia w Subotowie. W ścianach

domu widniały niskie staroświeckie okna z okrągłymi szklami, w dębowe ujęte ramy, zieloną pomalowane farbą. Nad oknami były ulepione z gipsu konie i armaty, ulubione wizerunki Chmielnickiego. Ściany wzmocnione były ogromnymi szkarpami, których szczątki dotąd postrzegać się dają, a na północnej stronie domu wybiegała do góry zębata wieżyczka z podługowatymi otworami do koła, jak w strzelnicy. Ganek domu wspierał się na dwunastu słupach, i zajmował prawie część trzecią frontowej ściany. Był on wyłożony kamiennymi płytami rzeźbionymi w nieokreślone kwiaty i postacie. Dach tego ganku niebył wyprowadzony w trójkąt jak terazniejszych ganków, lecz miał fronton w półkole, ozdobiony sztukaterią. Na polu frontowym owego ganku ulepiony w płaskorzeźbie był niedźwiedź wybierający miód z ula, a z tyłu jego pasiecznik z zamierzoną siekierą. —

Do koła owego wizerunku stał napis: „Co będzie to będzie; a będzie tak jak Bóg da.“ Sentencya ta była godłem Chmielnickiego, niektórzy zaś pisarze małoruscy utrzymują iż wyobrażenie niedźwiedzia z pasiecznikiem, miało być aluzją do zajścia Czaplińskiego z Chmielnickim i odebrania ostatniemu futoru z pasieką i młynem na uroczysku Subotowo“.

Padalica Subotów tak kreśli: „Wyras okolicy tęskny, dziki i zaprawdę oryginalny. Nieprzypisujemy bezwzględnie Chmielnickiemu, ażeby w tych hajdamackich jarach wykołysał dumną myśl rokoszu, ale patrząc na te garby, do których przylepiły się szeregiem wieśniacze chaty, na tę tęskną smugę piasku ścielącą się za rzeką i zakończającą widokrag; z tyłu zaś na te głębokie paszcze jarów, co niegdyś patrzyły przerażającą ciemnością lasu, przyznać trzeba iż podobny widok jeżeli nie natchnął krwawych zamiarów, to powzięte mógł rozżarzyć i żywioł. Nie jest to [futor, jakich na Ukrainie

tysiące, ani ma z niemi podobieństwo. Ani pól potocznych, ani kwiecistych niema tu gajów. Rybacka to raczej lub myśliwska sadyba, a nie spokojnego rolnika.“ A jednak ten futorek wartujący niewiele był pierwszą przyczyną owego szerokiego pożaru, który zapalił Ukrainę i palił ją wiek cały.

Autor słusznie twierdzi, że ani Polacy, ani Rosyanie, ani Małorusini niemają epoki Chmielnickiego napisanej bezstronnie. Radzi więc zbierać materiały przygotowane; i bardzo słusznie, bo nigdy rozumowania i poglądy niemogą być trafne, jeżeli się nieopra na pewnych danych.

Nowe są niektóre szczegóły zebrane tu przez Padalicę, a jeden mianowicie rys podany w kronice Wieliczki nazwałbym sceną z Szekspirowskiego dramatu, tak ma coś patetycznego. Jest to akt zemsty Bohdana na Czaplińskim. — Po zwycięstwie Żółtowodzkim, wysłał Chmielnicki do Czehryna oddział kozaków, rozkazawszy im pojąć i przywieść Czaplińskiego. Wpadnięto na zamek o zmroku i wyciągnięto go z łóżka, obito nahajami, a potem odziewszy w prosty kożuch i kazawszy na wieki pożegnać się z żoną, porwano na konia i stawiono przed strasznym mścicielem. Natenczas Chmielnicki w obec więźniów polskich oświadczył, iż z Czaplińskiego przyczyny zaczął wojnę, i za obóz go odprowadziwszy, ściać rozkazał, a jak dodaje Wieliczko: „daby wraha mira i pokoju, nieleżał z tymi szlachetnymi trupami, kotoryje z jeho przyczyny, tam, na Żowtowodzie, swoi biedstwenno położyli hołowy.“ Rzecz pewna, iż takie uczucie nieraz w początkach tych krwawych wojen odzywać się mogło w Chmielnickim, który sam szlachcie, wychowany na dworach pańskich, żałował że tak marnie gubi rzeczpospolitą przez nienawiść dla możnowładców Ukrainnych. Wówczasnych pamiętnikach nieraz napotyka się to jego zdanie, że się czynje być narzędziem do ukarania niesfornej i butnej szlachty

odmawiającej posłuszeństwa własnemu królowi.... Wi-nieniem wszakże sprostować jedną myłkę w opowiada-niu Padalicy, który ją powtórzył za kroniką Wieliczki, a ta jest, jakoby zamku w Brodach miał być fundatorem któryś Potocki. Następnie że tenże Potocki oglądając ro-boty forteczne uważane za niezdobyte, spytał koniuszego swego Chmielnickiego, co myśli o tych wałach i murach? na co zapytany odpowiedział: Co ręka ludzka zbuduje, też ręka i zburzyć może! — Odpowiedź ta, jak wiadomo oburzywszy dumę Potockiego zawiesiła nad głową Boh-dana niebezpieczny piorun gniewu; on też nieczekając aż spadnie, umknął na Ukrainę. W podaniu tem błę-dem jest pierwsze: bo nie Potocki, lecz Stan. Koniee-polski wystawił zamek Brodzki — podrugie ta odpo-wieźdźdź powtórzona we współczesnych relacjach miała być daną Alex. Koniecpolskiemu przez Bohdana przy fortyfikowaniu Kudaku po wycięciu załogi Marion, a zatem była to jakaś stereotypowa odpowiedź, wzięta zapewne z jakiego obcego historyka dla okraszy stylu.

W ciągu rysów z historii wojen kozackich które au-tor podaje lub z nowych źródeł wyjaśnia, widzimy wszę-dy chęć dotarcia prawdy, i postawienia faktu w właści-wém świetle — z tego też powodu częste stacza utar-czki z kronikarzami małoruskimi, którzy jako stojący na bardzo poziomém stanowisku nienawiści i ciemnego fanatyzmu, plelą niestworzone duby o okrucieństwie ta-kiego np. człowieka jak Żółkiewski. — Gdzież się już mieścić będzie rycerska wspaniałość, i łagodność po-chodząca z religijnego i światowego wykształcenia, je-żeli ją odmówimy Cecorskiemu męczennikowi, który sły-nał i z mężstwa i z pobożności, i cnót obywatelskich i z niepośledniej nauki? — Do téj szermierki miał sze-rokie pole autor, lecz widać że wiele rzeczy musiał po-minąć milczeniem; dla wyświecenia historycznej prawdy niezawsze wolno swoją świeczkę zapalić. — Na bardzo

wiele ustępów i opisów Padalicy mógłbym zwracać uwagę czytelników, bo gdzie jest obfitość, tam wybór nie trudny i wszystko nęci. Mam sobie jednak za obowiązek, polecić powiastkę osnutą na tle hajdamaczyzny Ukrainskiej, a wplecioną w jego podróż — pod napisem: *Zosia Zytkiewiczówna*. Jest to jeden z najudatniejszych obrazków, pełen porywającego interesu, i tej świeżości która zawsze towarzyszy studiom z natury jeśli im przyświeca lampa poezyi. Co ją wszakże najbardziej w oczach moich podnosi, to wyborna charakterystyka osób — tego Zytkiewicza, cichego a pełnego odwagi szlachcica — tego Mamaja co pod szatą szlachecką zdradza gbura — a niemniej i tego Pawła co tak się zhultał, że i na Sicz za wiele.... A jakże znowu uroczo na tych szorstkich ogorziałych postaciach odbija się miniaturowym pędzlem namalowana pół anielska twarzyczka Zosi!... Wszystko tu tak plastyczne, tak dokładnie narysowane, że tylko układać i robić sceny do obrazków.... a to nie mała zaleta, kiedy większa część figur wchodzących w nasze powieści tak słabo stoi na nogach, że gdzieś to na kupie wszystko spoczywa, jak te szeregi kart które dziecko podmuchem obala.... Druga powiastka: *Nestor Pisanka*, ponieważ podobna w treści do poprzedniej, bo opowiada romans hajdamaki z panienką, a zatem czerpnięta z jednego źródła, mniej już interesuje....

Kończąc jednak to sprawozdanie, miałbym chęć napomknąć cośkolwiek o potrzebie unikania przesady w unoszeniu się nad życiem i naturą gminu z uszczerbkiem klasy ucywilizowanej, którą raz tylko pokazał nam autor na jarmarku w Medwedówce, a to obok obrazka wziętego z *Osnowianeńki*, który porywa swoim humorem przedstawiając rozhulanego Szponia, co z rokoszy wskakuje w beczkę smoły — otóż obok tego arcydzieła fantazyi Ukrainskiej, postawił Padalica rozmowę kilku

szlachty. Wiemy przecież że rozmaity może być przedmiot rozmowy, i zajmujący, i nudny, i rozumny, i głupi... téj treści rozmowy bywają nawet w Paryżu.... ale nie godzi się włożyć stek głupstw oklepanych w usta szlachty tamtejszój, dla tego aby uroczej odbijały poetyczne legendy ludu.... Że to rys chybiony, dowód łatwy — bo nikt nie wierzy aby szlachta ukraińska nie mogła i nie umiała lepiej mówić, jak tym karczemnym językiem popowiczów.

Również znalazłem nie dość trafnie i w duchu kościoła wyrażoną myśl Padalicy co do zakładania klasztorów. Ujmuje się on niby za klasztorami przeciw owym co na Zachodzie usiłują dowieść ich niepotrzebność. A dowód swój popiera tém, że „człowiek skolatany, bez nadziei i szczęścia na tym padole płaczu, niemiałby nawet ustroina gdzieby się mógł schronić, i odświeżyć w rozmyślaniach samotnych ścieżkę duchowego żywota i zbliżyć się do Stwórcy.“ — Zdaje mi się że to tylko połowa rzeczy i to mniejsza, bo większą połową, a właściwie celem klasztorów było poświęcenie się ludzi niekoniecznie złamanych i startych przez świat i nieszczęścia, ale świeżych czuciem i umysłem, na służbę i chwalenie Boga. — Rzecz pewna, że ta myśl oddania żywota Bogu na chwałę, jak to i dziś jeszcze trafia się, gdy nieraz młode osoby najszczęśliwsze w życiu, zamykają się w klasztorze — niełatwo mieści się w nowożytnych rozumach, czemu dziwić się nie można, kiedy i sam Napoleon, który wszystko na świecie rozumiał — był zupełnie ciemnym w téj kwestyi, jak przekonywa rozmowa jego z przeorem Karmelitów w Głębokiem na Litwie:

- Czy bogaty wasz konwent? — zapytał Cesarz.
- Mamy do tysiąca dymów — odparł przeor.
- *C'est trop* — a czemże się zatrudniacie? —
- Boga chwalimy.
- *C'est peu....* •

Odpowiedź na pierwsze mogła być sprawiedliwą — na drugie tylko dowcipną..... — Jakkolwiek niezupełnie zgadzam się w niektórych rzeczach z autorem Podróży, mimo tego z niecierpliwością wyglądam dalszych tomów przynoszących ze sobą technienie stepowe i woń ukraińskich sadów...

LUCYAN SIEMIŃSKI.

INTERESA EUROPEJSKIE

I PRAWO MOCNIEJSZEGO.

Europa życzy sobie pokoju. Dowodzić tego nie potrzeba: dość spojrzeć na to co się dzieje, na kierunek opinii publicznej, na ruch w świecie finansowym i przemysłowym, na sposób oceniania spraw politycznych bieżących przez wszystkie warstwy społeczeństwa — z małym bardzo wyjątkiem. Zaledwie ukaze się jakowa kwestya na widnokręgu politycznym, natychmiast powstaje pytanie: czy tylko pokój przez nią lub przez jej następstwa naruszonym nie będzie?... Oto pytanie powszechne, ale też i jedyne. Odpowiedzi na nie zajmują wyłącznie umysły, poruszają giełdy, miarkują przedsiębiorstwa, zgola, stają się barometrem dla wszystkich interesów, nie tylko publicznych, ogólnych, znaczniejszych, ale nawet dla prywatnych, szczególnych, najdrobniejszych. Obok tego pytania wszystko reszta jest obojętne: strona polityczna kwestyi pozostawia się dyplomacyi, strona zaś prawna marzycielom i dziennikom.

Nikt nie dba, nikt się nawet nie pyta: przy kim zostaną ostatecznie wyspy Węzowe, lub kto się utrzyma przy Bołgradzie? Mniejsza o to, czy Turcyja czy Rosyja, byle tylko ktoś ustąpił, i spór był usunięty... Komuż o to idzie, czy księstwa Naddunajskie połączą się w jedną całość, lub czy pozostaną nadal tak jak są dzisiaj? Mniejsza o to, czy Turcyja ma jedynie prawo zwierzchnicze *lenności*, czy prawo zwierzchnicze *poddaństwa*; czy Księstwa mają prawo domagać się połączenia; mniejsza nawet o to, komu dogadza taki obrót tej sprawy, a komu ten obrót nie dogadza — byle tylko sprawa co prędzej rozsądzona, przestała być kością niezgody... Któż się troszczy, ażali Czarnogórę w jej żądaniach, zaspokoją, lub jaki los czeka Słowian pod berłem Otomańskim zostających? Niema dziś Słowianofilów, tak jak niema już Filhellenów, coby żądali ewakuacyi Peloponezu przez wojska sprzymierzone. Niechby okręty francuzkie i angielskie wiecznie stały w porcie Pirejskim, jeżeli w tem leży najmniejsza choćby rękojmia trwałej spokojności na Wschodzie. Niepodległość państwa Greckiego, to dla pokoju europejskiego bardzo podrzędna sprawa...

Co większa, niema już politycznych filantropów, negrofilów. Cała kwestyja amerykańska ogranicza się na wyborze prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mniejsza o to, kto będzie wybrany, czy Fillemore czy Fremont, jak również mniejsza o to, czy stronnictwo obstające za niewolą, lub stronnictwo jej przeciwnie weźmie górę w Nowym Świecie — byle tylko wybór padł na człowieka, którego by sposób myślenia, opinie, a szczególnie rząd, jak najmniej przedstawiały trudności i zawikłań w stosunkach ze Starym Światem, wzdychającym za utrwaleniem pokoju.... Pięknieby to zapewne było dla ludzkości, gdyby nie było korsarzy morskich, gdyby Ameryka zgodzić się chciała na ową humanitarną zasadę,

ogłoszoną na kongresie paryskim, a znoszącą na przyszłość rabusiostwo morskie ulegalizowane! Ale zresztą niechby sobie Amerykanie i zachowali prawo wydawania listów korsarskich — aby tylko do wojny morskiej nie przyszło...

Rozumowaniom takim nie można praktycznej loiki odmówić. Lecz z latarnią Diogenesa szukaćby dziś podobno wypadało po Europie człowieka biorącego udział w ogólnym ruchu społecznym, coby się jak to mówią, zapalał w jakowej kwestyi politycznej przez wzgląd na zasady. Zasady polityczne dawniejsze przestały być podstawami rządów społeczeństwa — stały się narzędziem. Idea państwa pochłonawszy je w swym ogromie, używa ich teraz dowolnie; są one dla niej środkiem — nigdy celem. To też forma rządu jest tu rzeczą całkiem obojętną. Czy w Hiszpanii będzie konstytucya lub nie; czy będzie konstytucya z roku 1837 lub 1845, czy też inna całkiem nowa, oktrojowana — kogóż to obchodzi?... Niechaj u steru rządu będzie O'Donnell lub Narvaez, mniej-sza o to, byle Hiszpania zastosowała się do wymagań dzisiejszego systematu politycznego; byle weszła w skład państw; byle niewywołała zbrojnej interwencji, a w końcu nie stała się powodem do wojny... Kogóż to obchodzi, czy król Pruski utrzyma się przy swych prawach do kantonu Neufchatelskiego — byle się utrzymał przy nich bez zerwania stosunków ze Związkiem Szwajcarskim, bez europejskiego z tej strony wstrząśnienia... A nawet niechaj król Neapolitański da jakąkolwiek amnestyę lub jęj całkiem odmówi, niechaj przeprowadza reformy sądowe lub też żadnej nie czyni zmiany — byle zapowiedziane lub dokonane demonstracye nie wywołały następstw, któreby pokój zakłócić mogły... Bo wreszcie, mało komu chodzi o prawo interwencji, lub nieinterwencji, lecz wszystkim chodzi o utrzymanie pokoju.

Pomimo wszelkich polemik dziennikarskich, najściślej-
szych rozumowań, historycznych lub społecznych do-
wodzeń; pomimo przytaczanych argumentów z traktatów
lub teoryj z prawa publicznego; pomimo Grocyuszów i
Puffendorfiów — taki jest rzeczywisty prąd opinii publi-
cznej, z małemi jak powyżej zastrzeżono wyjątkami.
Prąd ten jest ogólny, objawia się wszędzie, po części
nawet tam, gdzie kwestye są w toku, to jest na tea-
trach sporu. Obrót jaki bierze sprawa, jest prawie wszę-
dzie obojętny; ostateczny tylko wypadek zajmuje, i to
jako działacz wywierający wpływ na ogólną politykę e-
uropejską, czyli na kwestyę pokoju. Każda sprawa po-
jedynczo wzięta i wszystkie razem, przypuściwszy że
zerwać one pokoju nie zdołają, mniej są dla opinii do-
tkliwe, cokolwiekby zresztą się stało, aniżeli sama je-
dna kryzys obecna we Francyi. Prawdziwa to skazów-
ka dla bezstronnego dostrzegacza.

Kierunek ten umysłów, jest koniecznem następstwem
dzisiejszej formy społeczeństwa, owej kolei po której
postępuje, dążności w jakich się rozwija, sfery która
jeszcze została dla działania przystępną; jest on odpow-
iedni systematowi politycznemu jaki się na idei pań-
stwa wyrobił. Im głębiej systemat ten przenika społec-
zeństwo, im bardziej wciela się w jego żywioły i na
jedną ogólną przekształca je modłę, zacierając dawne
tradycye i różnice, kosmopolityzując zwyczaje i pojęcia,
naginając je w jednym kierunku i wpierając do jedne-
go ruchu — tem więcej z jednej strony obojętnieć musi
społeczeństwo, tem silniej z drugiej życzyć sobie musi
pokoju. Gorące to życzenie w obecnym stanie społec-
zeństwa przeradza się już w żądanie; będzie ono wkrót-
ce potrzebą społeczną; a w końcu koniecznością stać-
by się musiało, gdyby rozumem wskazane następstwa
były przeznaczeniem świata, a spełnienie obrachowań
zadaniem ludzkości.

Atoli wie o tem każdy, że mylą najdokładniejsze rachuby zawodzą, najbystrzejsze przewidzenia, niedopisuje rozum i doświadczenie, kiedy idzie o kolej jaką postępują polityczne wypadki. O tej ktoś wyżej ostatecznie rozstrzyga. Opinia publiczna ma jeszcze w świeżej pamięci, że w chwili zawiązania się sporu rosyjsko-tureckiego, nikt prawie nie przypuszczał wojny i co większa nikt jej nie chciał. Chybiły wszakże wszelkie kombinacye, usiłowania daremnemi się okazały. Wojna wybuchła i trwała dwa lata wbrew woli rządów, wbrew dążeń społeczności europejskiej.

Ztąd też ciągle obawa zerwania pokoju towarzyszy owemu gorącemu życzeniu jak największej jego trwałości. Obawa ta może wyraźniejsza w obecnej chwili, niż przed wojną wschodnią; bo też i potrzeba pokoju nierównie jest większa. W miarę potrzeby rośnie żądanie, to zasada nieochybna tak w sferze ekonomicznej jako i politycznej. Tu one obie mocno z sobą spójone. Systemat polityczny rozwinął się na kongresie paryskim przez przyjęcie zasady solidarności państw europejskich, utrudnił wybuchnięcie wojny, ale też w równej mierze postąpiła społeczność europejska na drodze spekulacyjno-przemysłowej. Może nawet poszła za ręką, i zaszła dalej aniżeli na to systemat pozwalał, a przynajmniej dalej, aniżeli w tej chwili mógł swą opiekę nad nią rozciągnąć. Ruch społeczny ku przedsiębiorstwom i spekulacyom najśmielszym skierowany, niemałą zdaje się być trudnością dla dyplomacyi w załatwieniu spraw bieżących. Wywołując rezultata niespodziewane, kryzysy, jeżeli nie wiąże rąk zupełnie gabinetem, to przynajmniej sprawia ciągle wahania i zwłoki. Wszystko też zostaje w zawieszeniu.

Owe zwłoki, przerwy w działaniu pośród nieustannych negocyowań, konieczne dla dyplomacyi, która przecież nie może całkiem spuścić z oka maksymy *respicie finem*, wskazane zresztą naprzód traktatem paryżkim który stanowczo i ostatecznie żadnej nierozwiązał

kwestyi — lubo niepokoją, cokolwiek umysły, bywają wszelako prawie zawsze z pewnem zadowoleniem przyjmowane przez opinię publiczną. W każdej takiej zwłoce upatruje ona nie tylko przedłużenie pokoju, ale niejaką rękojmię utrzymania go nadal. Przysłowie mówi, że co się odwlecze to nie uciecze. Opinia przeciwnego jednak jest zdania, a w polityce doświadczenie za nią przemawia. Z szczególnym też instynktem tuli się ona pod skrzydła owego systematu solidarności, przeczuwając bardzo trafnie, że naturalnem jego następstwem jest utrudnienie wybuchu wojny. Każdą, choćby najdrobniejszą, najmniejszej wagi sprawę, rozciąga na warsztat tego systematu. Kwestya przybiera ogromne rozmiary i rośnie aż do wielkości interesu europejskiego. Wtedy opinia publiczna nie widzi już innego dla tej sprawy rozwiązania oprócz kongresu: stawia ją przed kratki najwyższego europejskiego trybunału. Nie zważa bynajmniej na to, że w takim postępowaniu znikają już nie tylko narodowości, bo o tych mowy niema, ale znikają nawet państwa, to jest ich istota: zwierzchnictwo najwyższe i niepodległość. Cieszy się tylko, że tym sposobem Europa cała stanowi jedno państwo, które samo sobie wojny wydać nie może — a zatem pokój... Dalej idąc tym torem, opinia baczy pilnie i troskliwie oblicza wszelkie symptomata dotyczące się przymierzy istniejących: nie dla tego aby jej na zachowaniu ich wiele zależało, lecz że widzi w nich sposoby oddalenia i utrudnienia wszelkiego prawdopodobieństwa wojny. Przyjęłaby z chęcią inne, gdyby się tylko przekonać mogła, że będą one korzystniejszymi dla cywilizacyjnych dążeń, które według niej, od utrzymania pokoju zawisły.... W bieżących sprawach, opinia chwytą z wielką skwapliwością wszelkie oznaki owęj solidarności politycznej, mniej o to dbając, czyli wmięszanie się wielkich mocarstw w apór jaki jest uproszczeniem lub nowem

zawikłaniem — albowiem spór sam i jego rozwiązanie nie obchodzi jęj bynajmniej, ale pyta się tylko: czy nadal używać będzie pokoju?.... A pytanie to tem drażliwsze, że opinia wyniosłszy każdą sprawę do godności interesu europejskiego, czuje aż nadto dobrze, iż w razie gdyby się z tęg sprawy wojna wywiązała, takowa musiałaby mieć tę samą cechę: byłaby wojną europejską. Owóż odwrotna strona systematu — który jak każda rzecz, musi mieć dwie strony.

Łatwo pojąć, że przy takim usposobieniu pokojowem, okólnik księcia Górczakowa niemiłe musiał sprawić wrażenie w opinii publicznej. I znowu powiedzieć można: mniejsza o to, że okólnik ten do agentów rosyjskich tylko był wystósowany, i nie miał, jak utrzymują, ogłądać światła dziennego, czyli kolumn dziennikarskich — lubo uwierzyć trudno, aby tajemnica dyplomatyczna tak w samą porę naruszoną została, publikacya bowiem tego dokumentu wypadła równocześnie prawie, kiedy demonstracyę zbrojną przeciw Neapolowi jako bliską i pewną głoszone.... Mniejsza o to, że styl okólnika różni się od stylu zwykłego nót dyplomatycznych i nierównie energiczniej się wyraża — rzecz to kancelaryi petersburskiej.... Mniejsza o to, że okólnik nie może opierać swych rozumowań na historyi rosyjskiej, na jęj polityce dawniejszėj i najświeższėj; że nowy całkiem kierunek polityczny wskazany w tym akcie, jeżeli się zgadza z tradycyą samowładców Rosyi co do niezależności najwyższego zwierzchnika w państwie, to znów nie zgadza się wcale co do zasad interwencyjnych z polityką Piotra Wielkiego, Katarzyny II i cesarza Mikołaja... Mniejsza nawet i o to, że okólnik rozesłany z Moskwy, w chwili właśnie, gdy reprezentanci systematu solidarności politycznej państw, przesadzali się w przepychu na uroczystościach koronacyjnych, — w chwili, gdy szli o lepsze który z nich świetniej się przyłożył do

inanguracyi nowego z Rosyą pokoju.... Ale co ważna, to że okólnik w zastosowaniu prawa interwencyi na mocy systematu solidarności upatruje tryumf prawa mocniejszego i przeciw takowemu protestuje, protestacyę zaś swoją popiera wzmianką o rozporządzeniu materyalnemi siłami państwa.

Nie idzie zatem, aby Rosya wojnę z powodu Grecyi lub Neapolu wydawać miała, ani się też opinia publiczna w Europie wojny z Rosyą w téj chwili nie ułękla. Wojna wschodnia nie dość jeszcze odległa — dzień 16 stycznia, w którym Rosya propozycye mocarstw sprzymierzonych przyjęła za bliski. Lecz wywołanie prawa mocniejszego, prawa którego wykonanie zawsze niemal dotąd wojnę za sobą pociągało; ukazanie go w dzisiejszym systemacie w tem samem świetle co dawniej, ni mniej ni więcej jak zawsze bywało, a to pomimo traktatów i kongresów, pomimo wszelkich cywilizacyjnych dążeń i postępów; — ukazanie prawa mocniejszego po traktacie paryskim, i ukazanie go takim jakim było na końcu zeszłego i na początku teraźniejszego wieku, — w innéj formie pod innem hasłem i pozorem, ale bez zmiany co do istoty to jest co do przymusu słabszego przez mocniejszego za pomocą siły; — zgola zaprzeczenie zasady, aby państwa europejskie nawet solidarnie miały prawo narzucać wolę swoją jednemu, kiedy chodzi o niepodległość i godność władzy zwierzchniej, a każdy spór o takowe potracić musi, wstrząsało zawsze budowę systematu politycznego, około którego garnęły się nadzieje pokojowe. Okólnik księcia Górczakowa dawał do zrozumienia, że Rosya nie uznaje aby „interes europejski“ miał być w prawie publicznem najwyższą ustawą: *suprema lex esto*. Minister rosyjski sprowadzał politykę państw w pewnym względzie do zasad dawnéj polityki narodów, stosując to co

niegdyś mówiło się o narodach, do naczelných zwierzchników państw. Czyni on ich jedynymi i najwyższymi sędziami interesów państwa i wszystkimi, najmocniejszym jako i najslabszym, równe w tej mierze przyznaje prawo od Boga idące. Gwałt temu prawu zadany być może według niego chyba tylko na zasadzie prawa mocniejszego, i zawsze jest gwałtem, czy się go dopuści jedno państwo, czy też trybunał z kilku państw złożony.

Lubo idea państwa przerabiała się w systemat polityczny głównie na podstawie prawa mocniejszego, i to od czasów Reformacyi czyli od traktatu westfalskiego, jak to już dawniej i obszernie na tem samem miejscu wykazaniem było, to przecież prawo to, jako w teorii przeciwne cywilizacyi, coraz więcej w aktach politycznych wychodziło z użycia. Cywilizacya uzyskawszy obywatelstwo w prawie publicznem, niepozwalala się na to prawo odwoływać, potępiając je jako zabytek barbarzyństwa i czasów średniowiecznych. Wszakże, gdy prawo to ciągle istniało, a istniało tak dalece, że nawet najczęściej i najotwarciej w imieniu właśnie tejże samej cywilizacyi wykonywanem bywało — okazała się potrzeba w aktach politycznych, dyplomatycznych notach, w traktatach, nadania mu innego miana zgodniejszego z ideą państwa i z nowym kształtem jaki przybierała społeczność europejska, czyli zgodniejszego z tak zwanym duchem wieku i postępu.

Przyznać należy, że publicystyka europejska wielką pod tym względem oddała dyplomacyi przysługę. Nie sięgając zbyt daleko, pomijając koniec zeszłego stulecia i epokę napoleońską gdzie armaty większą grały rolę niż noty dyplomatyczne i rozprawy gazeciarskie, ukazuje się zaraz po traktacie wiedeńskim gdzie systemat państw wybitniej się przedstawił, wyrażenie bardzo często używane: „interes państwa dobrze zrozumiany.“ Nie słuszniejszego nad to, że publicyści pisali nie „o pra-

wadli" ale „o interesach," bo rzeczywiście z upodkiem polityki narodów interes zwykle następował prawo. Ale „dobrze zrozumiany interes" był zawsze płaszczykiem pod którym ukrywała się groźba prawa mocniejszego. Publicyści podając rady jakowemu zagranicznemu państwu w tej formie, powinni się byli domyslać, że jako rada bez żadnego od rządu poparcia nie ma ona żadnej wartości, bo przecież każdy minister spraw zewnętrznych lepiej rozumieć musi interes państwa aniżeli oni wszyscy razem. Niepostrzegali atoli zrazu domosłosci używanego wyrażenia; lecz wyrażenie było dogodne, nosiło cywilizacyjną barwę i przeszło też niebawem do not gabinetowych.

Tu naturalnie nabrało innego znaczenia. Było dowodem „że interes państwa tego lub owego inaczej jest rozumiany przez inne państwo" — że więc „pierwsze państwo ale swój własny interes rozumie" — w końcu zaś „że trzeba aby państwo to swój interes tak rozumiało jak tego życzy sobie, chce, lub wymaga tamte państwo". Upór prowadził do wojny — a szło o to kto mocniejszy. Słabszy ustępował, czyli „rozumiał swój własny interes." W podobnego rodzaju sporach rozstrzygało tylko prawo mocniejszego. Król Holenderski „nie rozumiał dobrze interesu swego państwa" w roku 1838, i wojska francuskie stanęły pod Antwerpią. Sultan Mahmud „nie rozumiał dobrze interesu Turcyi" w roku 1828, a feldmarszałek Dybicz przeszedł Bałkan i zajął Adrianopol. Dziś „dobrze rozumiany własny interes" nakazywałby królowi Neapolitańskiemu ustąpić i uczynić to czego po nim państwa zachodnie oczekują... Ale dziś już wymaga tego ustąpienia po nim nie tylko „własny interes dobrze zrozumiany" ale „interes europejski."

Z rozwijającymi się bowiem coraz bardziej systemattem politycznym państw w kierunku solidarności euro-

pejskiej, i z wzrastającym coraz szybciej kosmopolitycznem dążeniem społeczności na polu przemysłowem i spekulacyjnem, „interes“ przybierał również cechę coraz ogólniejszą, powszechniejszą, stawał się „interese europejskim.“ Każdą sprawę uważać zaczęto z tego stanowiska, jako odpowiedniego i systematowi politycznemu i dążnościom społeczeństwa. Jeżeli interes jest ważny, musi być europejski. Skoro wyrażenie to przeszło do not dyplomatycznych, a przeszło tak dalece, że za podstawę dzisiejszych czynności gabinetowych, za zasadę polityczną uważanem być może — zmieniła się nieco postać czyli forma w jakiej się objawiało prawo mocniejszego, ale w gruncie pozostało to samo. Nie idzie już o to, aby państwo „rozumiało dobrze swój własny interes“ w sporze jakowym, ale idzie o to aby punkt sporny uznany przezeń został za „interes europejski.“ Jeżeli go zaś za takowy uzna, przystać musi na stawione żądanie w imieniu takiego interesu, bo interes własny każdego państwa, nie może odłączać się od interesu ogółu, od interesu całej Europy. Interes europejski, to wyrażenie kosmopolityzmu w systemacie państw. Chodzi więc tylko dziś „o uznanie,“ czyli o przyznanie tej cechy każdej sprawie — skoro zaś to nastąpi, interes jak to mówią — skończony.

Wszakże, gdy właśnie cecha ta nie da się dotykalnie określić, ani bezsprzecznie oznaczyć; gdy różne w tej mierze mogą być zdania, nietylko pojedyncze ale gabinetowe; gdy żądania postawione lub wymagane ze strony jednego lub kilku nawet państw, jako dla interesu europejskiego niezbędne, konieczne, mogą się wydawać temu państwu, któremu są postawione, jako wcale niekonieczne a nawet interesowi europejskiemu przeciwnie — przeto i tu zachodzi potrzeba sędziego a raczej wykonawcy. Dekret sam bowiem niewystarczy,

trzeba egzekucyi, przymusu — tak więc rozstrzygnięcie zostaje ostatecznie zawsze przy prawie mocniejszego. Królowie Grecki i Neapolitański nie są wcale tego zdania aby zajęcie Peloponezu przez wojska sprzymierzone, i reformy sądownicze w państwie Obojga Sycylii miały być interesami europejskimi. Lecz mocarstwa zachodnie są tego zdania, i dla tego flaga francuzko-angielska powiewa ciągle w porcie Pirejskim, i zagraża ukazaniem się w zatoce neapolitańskiej....

Rosya w wypadkach lat ostatnich najlepiej doznała skutków ostatecznych zasady mieszczącej się pod nazwą „interesów europejskich.“ Zdawało jej się „że interes Turcyi dobrze zrozumiany“ wymagał aby protektorat nad chrześcianami berłu Ottomańskiemu poddać, przez nią to jest przez Rosyę wyłącznie był wykonywany, do niej wyłącznie należał i traktatem przyznany jej został. Turcyja przeciwnie, upatrywała w tem swoją zgubę. Obecnie mocarstwa wystąpiły na scenę sporu w imieniu cywilizacyi i interesów europejskich, których wnet ukazało się więcej na Wschodzie, aniżeli z początku spór rosyjsko-turecki zawierał w sobie punktów. Żądano „uznania“ od Rosyi — a gdy go nieotrzymano, wybuchła wojna.

Po jednej kampanii, Rosya na konferencyach wiedeńskich uznała i to z niemałą trudnością, że niepodległość Turcyi jako państwa jest interesem europejskim. W skutku czego rzec się musiała wyłącznego protektoratu nad Księstwami Naddunajskimi, w którego posiadaniu już była, tudzież protektoratu wyłącznego nad chrześcianami poddanymi Turcyi, o który jej właśnie chodziło. Uznała, że protektorat wszystkich wielkich mocarstw nad Księstwami Naddunajskimi i nad rajasami tureckimi, były to interesa europejskie. Niemniej jednak wojna ciągnęła się dalej, bo się wykazały

inne jeszcze interesa europejskie na których uznanie Rosya zgodzić się nie chciała.

Po drugiej kampanii, Rosya uznała neutralność morza Czarnego jako interes europejski; w skutek czego przystała na ograniczenie panowania swego na tych wodach i na usunięcie stanowcze swój przeważnej floty Czarnomorskiej. Dalej, uznała wolność żeglugi na Dunaju jako interes europejski, w skutek czego ustąpiła części Besarabii.

Każde uznanie „interesu europejskiego“ okupiła Rosya pewnem ustąpieniem praw już nabytych mniejsza o to jakim nabytych sposobem, lecz zawarowanych traktatami; każde zadość uczynienie żądaniu wymaganemu w imie takowego interesu opłacić musiała pewną ofiarą, która bądź co bądź szła na korzyść mocarstw sprzymierzonych. Jakkolwiek bowiem politykę tych ostatnich cechowała bezinteresowność, bo nie działały dla siebie ale dla całej Europy, a kongres paryski nie mieścił w swoim gronie ani zwycięzców ani zwyciężonych i wszelkie ofiary za dobrowolne ustąpienia ogłaszał, zawsze jednak podstawą związanych konferencyj było przyjęte przez Rosyę *ultimatum* po dwóch latach krwawej, uporczywej i kosztownej wojny.

Nie przeto dziwnego, jeżeli Rosya doświadczywszy praktycznie skutków zasady „interesów europejskich“, i przekonawszy się na jakim one koniec końców opierają się prawie, nawet w systemacie solidarności państw, jeżeli Rosya, zwraca uwagę swych zagranicznych agentów na tę stronę systematu, z powodu bieżących spraw, i z pewną drażliwością a niezwykłą otwartością wypowiada swój sposób widzenia. Dziwniejszą atoli rzeczą, jeżeli tylko prawda, że Rosya z powodu sprawy neapolitańskiej do nowego zachęca kongresu. Chyba że ma nadzieję ukończenia na tej drodze z korzyścią dla siebie niektórych spraw w zawieszeniu będących, lub też

zająć na nim pragnie nowe stanowisko w obec zasady „interesów europejskich.“ Tego domyślałby się kazał okólnik z 2go września, jeżeli rzeczywiście ma on być programatem dalszej polityki cesarza Aleksandra.

Lecz jakkolwiek niemiłe wrażenie w opinii sprawić musiała odezwa rosyjska, wystawiając na jaw słabszą stronę systematu politycznego na traktacie paryskim opartego, stronę zresztą w cywilizacyjne zwoje starannie uwiłtą, ale bardzo naturalną, jakby ułomność ciała ludzkiego w zręcznie przykrojonych sukniach ukrytą;—wrażenie to zawsze miarkowane było przekonaniem, że prawo mocniejszego trudniej w wojnę przemienić się może, gdy dla wydania onęj potrzeba koniecznie zgody państw kilku. Spór wtedy dłużej na drodze dyplomatycznej pozostawać musi. Pokój przeto ma zawsze w systemacie solidarności niejaka rękojmnię. Wypadki dopiero wskazać mogą, jak dalece forma, istotę rzeczy w stosunkach politycznych przy nowym systemacie zastąpić zdoła.

MAURYCJ MANN.

KRONIKA.

Kraków w październiku.

Przez parę tygodni Kraków niezmiernie w tym miesiącu był ożywiony. Hotele przepełnione, w sklepach ścisk, na chodnikach uwijano się z trudnością, rogi ulic obwieszono różnorodnymi afiszami, a domy wielkimi znakami kupieckimi, płatami płócien, pstremi serwetami i chustkami, płaszczami i futrami; gwar i szwargotanie w całym mieście, na ulicach, w hotelach, oberżach, kawiarniach, knajpach: to czas jarmarku w Krakowie.

Jarmark w Krakowie był tylko dopełnieniem przeobrażenia tego miasta; kto w nim od dziesięciu lat nie powstał, tenby go już niepoznał wśród zwykłych okoliczności, a coś dopiero w ciągu jarmarku. Zdaje się nawet, iż dla tem dokładniejszego przeobrażenia go, potrzebny był ów pożar który znaczną część jego w gruzy zamienił, aby na tém pogorzelisku powstało nowe miasto; bo kiedy mieszkańcy się zmienili, mury także nie powinny były pozostać te same. Zmiana ta Krakowa nie wypadła na szkodę jego jako miasta. Przybyło mu ludności, ruchu kupieckiego i rękodzielczego, świetności wystaw sklepowych, jaskrawości w strojach niewieścich, konsumpcyi cygar i piwa, słowem tego wszy-

stkiego czego wymaga powierzchowność miasta europejskiego. Dawniej Kraków był tylko zaściankiem — dziś jest już miastem. Zaściankowy jego charakter przeniósł się na przedmieścia, ale samo *City* potrzebuje tylko jeszcze gazowego światła, aby się piękność jego tem piękniej wydała. Przedmieścia niedługo się ostoja w swoim stanie osowienia. Kleparz, dawniej będący stekiem domów zajezdnych, błotnistą targowicą, po której tylko wysokie buty kapotowego mieszczanina i łapserdaki zaszarganego żyda stapać się nie wzdrażyły, dziś opustoszał, zamarł i wyludnił się; bo właściwe pokolenie kleparskie musiało wymrzeć, rozwiać się po świecie, lub iść w dziady, aby przygotować wolne miejsce dla nowiej przyszłości. Krakowskie „City“ już dziś za ciasne, musi część swych mieszkańców wyrzucić za obręb plantacyj, a pustkowie kleparskie oczekuje ich przybycia ofiarując im za bezcen walące się chaty swoje, by na ich miejscu wzniesli piętrowe kamienice. Podcienia na misternie rzeźbionych słupach wsparte, już więcej nie istnieją, część ich zniszczył pożar, część wyprostowała się wedle przepisów budowniczych w bielejące ściany niedającą przed słońcem i deszczem ochrony, reszta zaś pochyłona starością, pozbawiona ozdób wykrzywionych które odpadły, straciła cały swój charakter odmiennego porządku architektonicznego.

Przedmieście Piasek dawno już pozhawione właściwej swojej cechy, która go czyniła siedliskiem przemysłu garbarskiego, tak jak Kleparz był siedliskiem handlu zbożowego. Przodowa część Piasku patrzy już od dawna w miasto rzędem kamienic pod sznur wyciągniętych, a ulice jego które przed najazdami szwedzkimi aż pod dwór łobzowski, dwór królewski, ciągnęły się, skurczone teraz, niebłyszczą już sieciami zasłanemi przezroczystym złotawym klejem. Z okiennic jego raz po raz znikają znaki rozpiętych skór białych i kolorowych, a z cechów białoskórniczego, garbarskiego, kordybanowego, łąziebnego, piwowarskiego, krupniczego, itd. które zaludniły to przedmieście osiedlając się nad wodami Budawy, pozostały dziś tylko ślady po części w formach dachów do suszenia skór i kleju przeznaczonych, po części w nazwach ulic: Garbary, Krupniki, pod Młynami itd.

Przedmieście Groble znikło pod nowoczesną nazwą, Nowy Świat, niema w sobie nic takiego, coby tę nazwę usprawiedliwiało.

Smoleńsko tak dziś jak i dawniej siedziba największego ubóstwa, będzie zapewne ostatniem z kolei, do którego zajrzy cywilizacya. Ponieważ zaś cywilizacya niewyklucza ubóstwa, lecz owszem przez wzrost proletaryatu szeregi jego zwiększa, przeto Smoleńszczanie mogą śmiało wzrostu ludności swojej spodziewać się.

Zwierzyniec stracił całą swoją ważność przystani wiślanej, odkąd kolej żelazna zasila Kraków węglami, a handel zboża i płodów rolniczych do Warszawy i Gdańska bądź ustał zupełnie bądź zwrócił się na Wrocław i Szczecin. Niskie położenie tego przedmieścia nigdy tam nie znuży mieszkańców miasta, lecz za to Smoleńsk i Piasek mogłyby się z czasem pokryć willami, gdyby u nas powstała kiedy ta klasa mieszczańska, któraby umiała używać bogactw w handlu, przemyśle i rękodzielnach nabytych, bez uciekania się zaraz do zmiany stanu swego.

Rybaki na Podzameczu, osada niedawna, przeniesiona z Zawisła, gdzie dotąd ślad jej w nazwie nadbrzeża pozostał, nie uległa najmniejszej zmianie od swego tu przeniesienia się. Ale za Wisłą już nie znajdzie zamężnych niegdyś rybaków; część ich podupadła i w chałupy i zagrodniki poszła, część rozbiegła się po świecie oddając się flisactwu. Upadek tej osady datuje się od wielkiego wylewu 1813 r. który wtedy poobalał ich domostwa, poprzerywał groble wiślane i podmył brzogi, a te odtąd obsuwając się coraz dalej, zmieniły znacznie koryto Wisły, a natomiast Zwierzyniec i ujście starej Wisły coraz bardziej odsepami piaszczystymi okrywać się zaczęły.

Na Stradomiu nastąpiło zetknięcie się dwóch żywiołów chrześcijańskiego i żydowskiego, a jako w punkcie zetknięcia się ich najzaciętsza wrzała długi czas walka, w której właściciele niewielu domów tego przedmieścia stanęli po stronie najeźdźników. Osiedlenie się żydów na Stradomin, było jedyną wyprawą w r. 1848, która się powiodła szczęśliwie, a zwycięzcy przy zdobyczy zostali. Na kongresie paryskim, gdzie nawet Neufchatel ma być zwrócony domowi Hohenzollern a Monaco domowi

Grimalki, zdobywca ta Kazimierska pominiętą zapewne będzie milczeniem, by zawikłać europejskich jeszcze bardziej nie płatać. *Fait accompli* najpiękniejszy tryumf tu swój obchodzi. Mniej już szczęśliwymi byli żydzi poznawszy, gdyż przyjęcie ich do Rzeszy niemieckiej cofniętem zostało.

Jak przed kilku laty ze Stradomem, tak dawniej stało się z Kazimierzem, który przyjął na łono swoje mieszkańców tak zwanego żydowskiego miasta i stał się sam przez to miastem żydowskiem. Ci co rządzą na ówczas Krakowem, niedoprowadzili równouprawnienia żydów aż do wolności nabywania przez nich domów w głównej ulicy Kazimierskiej, wykluczwszy ich od prawa posiadania w tej ulicy domów które najwięcej właśnie przynosiły korzyści. Na innych ulicach dozwolono im wspinałomyślnie budować się. Dziś miasto żydowskie stoi pustką, a stare mury Kazimierzowej szkoły głównej która tu pierwsze swoje miała w 14tym wieku siedliako, obszarpane z tynku i smrodliwe, najuboższemu tylko żydostwu dają przytułek. Ale już i żydzi dużo postąpili na drodze europejskiej cywilizacyi, bo jeżeli weźmiemy miarę z tego co pewien Anglik powiedział, iż każdy naród o tyle jest ucywilizowańszym, o ile więcej potrzebuje mydła; to bacząc na to, że coraz mniej widać na Kazimierzu nieumytych żydziaków, wnosząc należy że konsumpcya mydła znacznie się tam zwiększyła, a zatem cywilizacya wzrosła. W ubiorach również widoczna zmiana. Lubo starzy żydzi noszą jeszcze długą odzież, młodszy co rok każą sobie uciąć poły, aż naraz niepostrzeżenie powstaje z żydowskiej kapoty modny paletot. Skoro się oko z nim oswoi, paletot się rozpina z przodu i z pod niego błyszczy na atlasowej kamizelce złoty łańcuch od zegarka, a z rękawa coraz szerszego wyścibia główkę złocista zapinka. I już przeobrażenie gotowe. Żydówkom łatwiejby jeszcze szło to przebranie, gdyby nie ów wschodni zabitek strzyżenia włosów, którego nie osłoni żadną sztuczną tkaniną, a moda wymagająca otwartego z pod kapelusza czoła utrudza właśnie to zaparcie się pochodzenia.

Tym sposobem Kazimierz przekroczywszy raz most na starój Wiśle, sięga przez Stradom do Krakowa i już część plantacyj ku Nowej Bramie w wyłączne prawie

zajął posiadanie. Tandeta pod Nową bramą, a ztamtąd przecznice ku Szpitalnej ulicy, którą niewłaściwie poświęcono na miejsce handlu starzyny, są to jakby tacy etapowe, po których pociągnie kiedyś wielka wyprawa kazimierska do środka miasta.

Na jarmark przybyli oni tylko w gościnę na Rynek Krakowski, na wielki podziw tych którym się zdawało, że same Paryże i Londyny zjadą do Krakowa.

Jarmark przeminał — pozostało po nim tylko w mieście paręset jesiennych burych paletotów i tyleż szarych płaszczyków damskich, które jednej barwy, jednego niemal kroju pojawiają się na ulicach. Niewiem zaprawdę co znaczy szara lub bura barwa w języku kolorów, lecz mile mi zawsze wpada w oko suknia szara, bura, lub popielata może dla tego, że jako nieoznaczone i przechodnie kolory nie wyrażają one nic stanowczego, nie udzielają noszącemu je jakiegoś oznaczonego charakteru, a przeto niedozwalają mieć uprzedzenia do osoby już z samego koloru sukni jej. Zdaje się jakoby szara odzież była pewną oznaką zaniedbania. Odzież szara znalazła wielką liczbę zwolenniczek w mieście naszym, gdzie od niejkiego czasu zagnieżdżać się zaczynała taka pstrocizna ubiorów, iż po tem zmęczeniu wzroku rozrywanego między najróżnorodniejsze i niezgodne ze sobą barwy, oko dziś spokojnie spocząć może na tej łagodnej barwie zmroku i wytechnąć jakby w cieniu szarej godziny. Na balu, na świetnym wystąpieniu, niechaj suknia odpowiada wewnętrznemu popędowi serca, wesołości lub uroczystości. Kolor jej powinien wtedy oznajmiał usposobienie serca i umysłu, czy to naturalnie czy z umiejętnem ku temu nagięciem; lecz w chwilach powszednich szary kolor najlepiej odpowiada przeznaczeniu, nie udziejając sukni żadnego znaczenia wybitnego. Kolor szary jest także kolorem jesieni i może dla tego teraz wśród jesieni tak mi się wydaje być zgodnym z niebem, powietrzem i popielatym błotem krakowskim. Otóż na sukni szarej nieznac płam od błota. Może to ten tylko powód, dla którego tyle szarych płaszczyków przesuwają się po zbloconych chodnikach ulic krakowskich.

Lwów w październiku.

Chciałbym wam donieść nieco, przy dzisiejszej ciszy powszechniej, o naszych domowych, czyli raczej miejscowych uroczystościach. Jakkolwiek nie zadziwiamy świata wielkimi rzeczami, a może najmniej w dziedzinie naukowej, to na chęciach i usiłowaniach chwalebnych nam niebraknie, więc niech mi się godzi za śpiewakiem rzymskim powtórzyć: *sint hic etiam sua praemia laudi*. Na początku miesiąca tego otworzono we Lwowie szkołę realną, składającą się z sześciu klas, tak zwanych trzech niższych realnych i trzech wyższych. Uroczystość otwarczenia odbyła się w obecności JExcellencyi hr. Namiestnika i władz miejscowych, grona profesorów, licznój publiczności i uczniów z różnych wydziałów naukowych. Po przemowie dość długiej inspektora szkół, p. Linzbauera, w której tenże wyłożył obszernie w języku niemieckim cel i korzyści nauk realnych, odezwał się także burmistrz miasta p. Höpflingen składając dzięki Jego Excellencyi za podjęte starania około wzniesienia tej szkoły. Dzięki te JExc. Namiestnik w przemowie swojej uchylił od siebie, przyznając w tém pierwszą zasługę miastu, które w główniejszych rzeczach do uposażenia tej szkoły przyczyniło się. JExc. Namiestnik odezwał się przy końcu swój przemowy, do młodzieży w języku polskim, zagrzewając ją do nauk i do wdzięczności rządowi za podaną sposobność nową kształcenia się. Słowa JExcellencyi wnikały do serc i wywoływały oklaski rzetelnych dobrych chęci. Oby tylko w tych chęciach młodzież nasza, tyle zdolności zawsze okazująca ostatecznie wytrzymała! Ciekawą jest rzeczą słysząc toczące się rozmowy tu i owdzie z powodu przeważających zapędów dzisiejszych ku naukom realnym, praktycznym, technicznym. Wielbiciele dawniejszego kierunku nauk wołają: „ukształcenie humanitarne coraz więcej znikać będzie z koła społecznego; nauki podnoszące ducha i uszlachetniające serce ustępować będą w głąb sceny; ich miejsce zajmie zimna praktyka; powstanie pokolenie samolubnych utilityuszów, dla których pożytek jest jedynym celem, a giełda świątynią wiedzy i cywilizacyi wszelkiej.“ Łatwo pojąć i wytłu-

maczyć takie głosy w obec dzisiejszej europejskiej pochopności ku materyalnym sprawom i wśród atmosfery giełdowej, która wnika coraz więcej w wyższe i niższe społeczne warstwy. Posłuchajmy drugich.: „Świat, mówią oni, dość nabłakał się to po mrzonkach mitologicznych klasycyzmu, to po fantastycznych niwach romantyzmu, to po ciemnych manowcach abstrakcyjnej nihy wiedzy; i do czegoż doprowadził? Oto widzimy go bezradnym w potrzebach życia, które czas niesie, ho nie stał na gruncie rzeczywistości, patrząc myślą zawsze albo wstecz po za siebie, albo naprzód przed siebie, niepomny obecności, która mu każe żywić się chlebem powszednim.“ — I te głosy łatwo pojąć przy jednostronności dawnego kierunku nauk u nas. Na dwóch przeciwnych biegunach stoją więc zdania, jak zwykle w chwilach przechodowych. Jestto nihy dalszy ciąg sprzeczek o to co nam spadnie z koleją żelazną: złe czy dobre. Tymczasem czas, gospodarz na swój zagroździe, zasiewa eo zasiać trzeba, i on zapewne pogodzi zdania o kierunku wychowania publicznego, potwierdzając swoje odwieczne: *medium tenere beati*.

Drugą uroczystością w naukowym świecie było posiedzenie w zakładzie naukowym imienia Ossolińskich, które odbywa się corocznie 13 października. Jego Excellencya hrabia Namiestnik, Jej Excel. hr. Namiestnikowa i J. Emin. książdz Arcybiskup Baraniecki, zaszczytali swoją obecnością tę uroczystość zakładu, na którą wiele osób z koła uczonych i liczna publiczność złożona z miłośników nauk i młodzieży szkolnej przybyła. J.W. hrabia Kurator zakładu zagał uroczystość pięknem wspomnieniem o zasługach ś. p. Ossolińskiego, i odczytał sprawozdanie coroczne z zarządu tegoż zakładu. W sprawozdaniu tém zestawiony terazniejszy stan biblioteki i funduszków zakładowych ze stanem jej pierwszych lat, nader korzystny we wielu względach okazał wypadek. Następnie dyrektor zakładu p. August Biełowski zdawał sprawę ze świeżo odbytej podróży naukowej i poszukiwań historycznych w bibliotekach berlińskiej, drezdeńskiej, mnichowskiej i wiedeńskiej. Sprawozdawca rozpoczął od uwagi nad szczupłą liczbą swoich źródeł dziejowych; a oznaczwszy trafiłe przyezyny tegoż, przeszedł do źródeł postronnych, w których,

co w podróży naukowej odkryć zdarzyło się, tak we wzmiankach i objaśnieniach stósownych, jakoteż i w podobiznach przedłożył. Po nim odczytał kustosz biblioteki p. Karol Szajnocha rozprawę swoją: jak pojmować należy wzmiankę Marcina Galla o łaźni, którą Chrobry niektórym sprawiał, tudzież o przeciwném znaczeniu stąd urosłego przysłowia, do czego snąc kronikarz tenże dał powód zapisując mylnie pojęte zdanie łaźiebne. Pan Szajnocha opiera swój wywód na indukcji złożonej z przykładów, które napotykaemy w rycerstwie średnich wieków; odnosi on się także w tém do początków orderu łaźiebnego, wnosząc z podobnych okoliczności, że owa łaźnia sprawiana przez Bolesława Chrobrego ma raczej znaczyć zaszczyt poprzedzający pasowanie na rycerza. Nie tu miejsce ważyć argumenta mowcy; zostawiamy wszystkie *pro* i *contra* swobodnym pogadankom uczonych przy nadchodzących długich wieczorach jesiennych.

Kiedy już dziś o duchownym obroku mówić mi wypadło, dodam jeszcze słów kilka o tutejszym domu poprawy dla kobiet, zostającym obecnie pod wyłącznym zarządem Panien Miłosiernych obok kościoła św. Maryi Magdaleny. Słyszałem już nieraz o dobrém jego urządzeniu, a pochwały częste i ciekawość moja, poznać bliżej system poprawczy, zachęciły mię odwiedzić to miejsce, gdzie pokuta z poprawą najbliżej siebie, według zdań niektórych, staćby powinny. W istocie znalazłem urządzenie domu nader odpowiadające celowi; można powiedzieć z pomocą gospodarczą, jakiej tylko postęp dzisiejszy dostarczyć może. W przyziemiu wewnętrzne domu gospodarstwo, kuchnia, pralnia, spiżarnia, magazyny, składy potrzeb domowych i t. d. Za pomocą parowego ogrzania gotuje się jedzenie, pierze się i suszy bielizna; wszystko z widoczną oszczędnością pracy, czasu i miejsca. Dom jest obszerny o dwóch piętrach z wielkim dziedzińcem, z salą czyli długą galeryą, w której pokutnice pracują. Tuż obok nich tak zwane *kaznie*, czyli raczej komnaty widne dla spoczynku nocnego, i ciemne dla skazanych na osobną pokutę za niesforność i występki już w domu poprawy popełnione. Wszedłszy do galeryi przeznaczonęj do pracy, widzisz

dwieście pięćdziesiąt pokutnic, zatrudnionych przy stołach — niesłychać ani słowa gdziekolwiek wymówionego. Tu mówić nie wolno; więc wszystko milczy grobowym milczeniem. Nie małe to zadanie, zważając na liczbę i naturalny popęd towarzystwa. Jeden tylko, nader rzadko i z cicha odzywa się głos — wielebniej siostry dozorujaćej. Właśnie gdym miał odejść, była chwila kończącej się dzienną pracę. Zadzwoniono — wszystko pada na kolana, odprawia modły wieczorne i udaje się do komnat na spoczynek. Lecz nie o samym tylko porządku i wewnętrznym urządzeniu mówić chciałem. Więcej jeszcze niż owe wzorowe urządzenie uderza tu kierunek pracy i porządek obok zachowania dla władzy uroku jej należnego, bez użycia środków ostatecznych. Jest to położenie arcytrudne, i tylko sumienna dokładność w dozorse, i ścisła konsekwencya w postępowaniu z pokutnicami, potrafił wszystko w należytych utrzymać karbach. Mimo ca odzienną pracę, kłopotu z żywiołami niesfornymi, mimo dawanych nauk, w głos czytanych ksiąg ku poprawie obyczajów, ku ulepszeniu woli i serca zmierzających, trzeba jeszcze w nocy odbywać straż po oświetlonych korytarzach, chodząc i słuchając, czy nie ma rozmów lub jakich zdrożności. Tę straż znowu odbywają siostry miłosierdzia, kosztem trudu a następnie i zdrowia. Był nawet i rokosz w pierwszych początkach objętego przez nie zarządu, rokosz grożący niebezpieczeństwem życia obecnej nadzoreczyni, którą tylko przytomność i takt pewien uratowały. Rzecz jasna, że nazajutrz władza wyższa zapobiegając podobnym wypadkom surowo ukarała występne, a na przyszłość umieszczono w pobliżu dziedzińca straż wojskową. Lecz ileż pracy i poświęceń! Zaprawdę, niegodzi się ubliżać zasługom znanej Miss Nightingale, jak niegodzi się zaprzeczyć wielu osobistych poświęceń, które wszędzie gdzie szlachetne serce bije, powstać mogą; lecz to są osobiste i pojedyncze popędy szlachetne. Tylko pod strażą wiary katolickiej (i to jest naszym przekonaniem) mogą być praktykowane poświęcenia podobne zbiorową siłą całego towarzystwa, które ożywione pobudkami wiary świętej, pełni obowiązek poświęcenia przez nią włożony połączonemi

siłami. Słychać, że dom karny i poprawczy męzki ma być powierzony kierownictwu O. O. Franciszkanów.

Wiedeń w październiku.

Powierzchność stolicy już zapowiada zbliżającą się zimę, pomimo że termometr wskazywał dotąd bez przerwy od 20 do 25° wyżej zera. Jest to jesień, tutaj nie-pierwsza. Od lat kilku mieliśmy podobnych trzy czy cztery, ale tak pięknej, pogodnej i ciepłej, jeszcze nie widziałem. Owóz i ruch po ulicach wśród dnia i wieczorami jest niesłychany. Co krok napotyka się znajoma jakaś postać pośród tego tłumu, w którym cudzoziemcy i przybyli z prowincyj przeważnie zajmują miejsce. Damy szczególniej przez ciekawość lub obowiązek gospodarski, zwijają się po sklepach. I w rzeczy samej jest między nimi (mówię tu o sklepach) nie mała liczba takich, które drogą ciekawości lub pozornej potrzeby, prowadzą do przesadzonych nawet wydatków. Pod tym względem Wiedeń zbliżać się zaczyna do Paryża. W ozdobach zewnętrznych, równie jak w rozkładzie i wystawie towarów, coraz więcej artystycznej widać symetrii, znajomości ludzi i zręczności. Kupiec wiedeński zrozumiał już, że przez oczy trafia się do duszy. Brakuje mu tylko jeszcze téj wprawy i téj biegłości jaką Paryż podniósł do stopnia sztuki lub nauki w urozmaiceniu, odświeżaniu, i że tak powiem w odnawianiu przez sam układ i uporządkowanie rzeczy, niekiedy zupełnie nawet wyszłych już z mody. Wiedeńczyk wystawia zwykle takie towary na pierwszej linii, i sądzi, że dokazał arcy-sztuki pokrywając je wielkim złoconym napisem: „*Etoffes français*“ — albo „*anglais*“ — „*Haute qualité.*“ Po przypatrzeniu się z bliska, dostrzedz nie trudno, że nie tylko wyroby nie są świeże, ale że nie są ani francuskie ani angielskie, lubo oddać trzeba tę słuszną fabrykantom austriackim, że w niektórych śmiało z zagranicznymi iść już mogą w zapasy. Krążąc po tych sklepach, gdzie cały jeszcze dzień drzwi otwarte, patrząc na ubiory prawie letnie dam i mężczyzn po ulicach, na okna zasłonięte od słońca zielonemi jak

zwykle lub różowemi firankami, trudnoby powtarzam było, przypomnieć sobie, że jesteśmy w końcu października, a nie w czerwcu, gdyby wyglądająca tu i owdzie z powozu wilczura jakiegoś północnego wędrownika lub toczące się przy każdym prawie domu, stosy drzewa opałowego, nie ostrzegały, że po za temi uśmiechającemi się i niestety zwodliwemi wdziękami już dobrze podstarzałej jesieni, idzie w trop często i tutaj nawet dokuczliwa i kapryśna zima.

Jaką będzie teraz trudno zgadnąć, patrząc przez szkło prześlicznych obrazów którymi otacza nas dotąd łaskawa jesień. Oprócz ruchu po ulicach, co za życie na wąłach, na Glacis i na Praterze! Powozy które odpoczywały latem, już się ukazują na nowo, lubo rzadkie dotąd, w nowym stroju. Jest to jeszcze strona dosyć słaba wiedeńskiego smaku. W Paryżu i Londynie powóz jest oznaką jeżeli nie godności, to majątku. W Wiedniu jest zaprzęgiem mieszkaniem. Byłe wygodny, byłe w nim spać i na przypadek przekąsić było można, głównem to jest obok przyjemności uniknięcia pieszej bieganiny przeznaczeniem powozu w oczach Wiedeńczyka. Wystawa, przepych, okazałość, są tak rzadkie pod tym, jak i pod wielu innemi względami. Najpierwsze arystokratyczne rodziny, widuję od lat kilku przez cały czas ich pobytu w stolicy, w tych samych koczach lub karetach niezmienionych bynajmniej ani co do zaprzęgu ani co do służby, ubrania i t. d. Młodzi strojnisi zwijają się w lichych faetonach, karyolkach, zaprzężonych nieraz końmi, które na lędźwiach noszą niezatarte ślady swej niegdyś wojskowej służby. Miłośnicy jazdy ukazują się czasami na dobrych koniach angielskich. Najpiękniejsze są w stajniach cesarskich. Oficerowie poprzestają na koniach krajowych, między którymi galicyjskie i węgierskie, pierwsze zajmują miejsce. *Prater* od dni kilka jest jak zwykle polem tych popisów. Powozy zatrzymują się na drodze, lub idą jedne za drugimi wolnym krokiem na zawołanie dam i dzieci przechadzających się najczęściej pieszo. Inne pędzą cwałem aż do zakręgu i na powrót. Rzadko które posuwają wycieczkę aż do kawiarni nazwanej *Lusthaus*. Przyczyną tej ostrożności, zdaje mi się być pył nieznośny, którym się trzeba przebijając puszczając się w te ustronia. A

wszakże woda Dunaju tuż pod ręką i nieledwie że wiadrami możnaby ją do skrapiania drogi sprowadzić. Paryzanie którzy po raz pierwszy widzą *Prater*, odechwalić się nie mogą tych upiększeń, któremi błyszczy teraz lasek Buloński, lecz wyznają, że przy pomocy sztuki i starań, *Prater* mógłby się stać pierwszym parkiem w Europie. Zdaje mi się, że to nie tak rychło nastąpi, i że długo jeszcze, jak dotąd jedyną jego ozdobą będą stoletnie drzewa, zakręty błękitne Dunaju i pyszne stada jeleni.

Patrząc pewnego dnia na cały ten obóz rozłożony pod szopą, w której zimą znajdują jelenie swój pokarm, zapytałem stojącego na boku dozorcę, dla czego przy tak pięknej i ciepłej pogodzie, zwierze to szuka już przygotowanego dla siebie na przykrzejsze czasy pożywienia. Odpowiedział mi, że jest to zwykle oznaką blizkich i tęgich przymrozków. Lecz na pytanie, czy z tego fenomenu, można co o zimie wnosić stanowczego, nie umiano dać mi objaśnienia.

Sądziłbym atoli z przygotowań, które robią przezorni gospodarze, i z podniesionej ceny drzewa, że zima terazniejsza będzie ostrą. W mieście da się ona uczuć mniej, lecz na przedmieściach, po domkach wyrobników, gdzie niedostatek jest prawie przyjacielem domowym, co za smutne widoki!

Pospieszam wszakże z pocieszającym zapewnieniem, że dobroczynność tak prywatna, jak publiczna, już zwracają w te strony swe pieczołowite oko. Oddać nawet w tej mierze sprawiedliwość trzeba ludności tutejszej, że obmyślane i zastosowane środki do ulżenia cierpieniu bliźnich, rzadko kiedy chybiają swego chwalebego celu. Zawód jawnego żebraka lub wstydliwego nędzara, albo nieznanu tu jeszcze albo mało bardzo zrobił dotąd postępy. Ci co mogą, wołają o tyle i jak mogą zarabiać na życie pracą, niż żyć z łaski lub jałmużny. Widzę zimą nawet na ulicach i przechadzkach publicznych kaleki i ślepych, którym rozrzewniającą dla serca i często bardzo przyjemną dla ucha muzyka, dostarcza co dzień, uczeiwie i pracowicie zarobiony kawał chleba. Proszących o jałmużnę spotyka się rzadko, jakkolwiek w razach podobnych, policya zdaje się patrzeć przez szpary, lub zamykać zupełnie oczy.

Dziś mamy pierwsze przedstawienie p. Renza w Cyrku. Powiadają iż konie są tak piękne i jeszcze lepiej wyrobione, jak te, któreśmy widzieli, a które padły w Warszawie. Kompania ma być również dobra. Sciask będzie przez dni kilka nieznośny. Miejsca wszystkie z góry na tydzień wyprzedane.

Teatra żyją staremi sztukami, i dobre robią interesa, gdyż są pełne i zbywają publiczność małym kosztem. Opera wróciła do p. Andera po rozmaitych nadziejach i pogłoskach, które krążyły, że się nowym i nadzwyczajnym wzbogaci tenorem. P. Ander ma jeszcze głos dość czysty i silny, ale nieodpowiedni wszystkim wymaganiom sceny. Wszakże chcąc niechcąc musi śpiewać co każą. P. Bock jest ciągle na pierwszym jako baryton miejscu, pani Czyllag-Hermann daje się słyszeć rzadziej: może dla tego że jest zamówioną na lat kilka, natomiast panie Liebhart i Tietjens śpiewają jak mogą w rozmaitych rolach. W tych dniach przybywa panna Taglioni i z nią nadzieja nowego baletu. Oczekujemy także pani Ristori, która zabawi dni parę w przejeździe do Pesztu.

Poznań w październiku.

Nasza kronika miejscowa, tak mało obfita jest w wypadki, że nawet dwumiesięczny przeciąg czasu zaledwie cokolwiek ich dostarczy, by niemi choć krótki list zapełnić.

W ciągu września mieliśmy uroczyste przyjęcie Arcybiskupa, po powrocie jego z Granu i Częstochowy; po byłt Deotymy w Księstwie, a wreszcie egzamina po gimnazjach: oto jedyne wypadki ubiegłego miesiąca. Przyjęcie J. O. Arcypasterza, jak to wiecie z miejscowych dzienników, było bardzo świetnem; publiczność zamiejscowa tak świecka jak duchowna, nie wzięła w niem udziału, bo ordonatorowie nie budzili ogólnego zaufania, nie wiedziano, czy to były ku temu upoważnione osoby, ponieważ nie było żadnej rocznicy kościelnej, a wreszcie cały rozkład uroczystości, zupełnie cudzoziemską miał cechę; ale brak ten udziału w tym razie, nie

wyklucza bynajmniej gotowości całej archidiecezyi, okazania każdej chwili swego uszanowania Głowie naszego kościoła. Twierdzą że jeden z ordonatorów uroczystości, zostaje kanonikiem, jesteśmy przekonani że to złośliwy wymysł.

Deotyma zwiedziła Gniezno, Kruszwicę, Trzemeszno, Poznań, ślady jej przejażdżki ukazały się w drobnych poetycznych utworach, drukowanych w *Gazecie W. ks. Poznańskiego*, nie wątpimy że je dostrzeżem w poemacie, dla którego właśnie chciała zwiedzić wspomniane miejsca. Żałujemy, że była w porze kiedy Poznań pusty, mało ją też osób poznało, ale wszędzie serdecznie ją przyjęto, a dowodem tego, że zadowolnioną była, jest gorące pożegnanie z nad granicy przysłane, również w *Gazecie* zamieszczone.

Egzamina gimnazyalne, obfite w tym roku wydały owoce: jeszcze nigdy tyle młodzieży nie ukończyło z dobrym postępem nauk szkolnych; nadzieja ztąd, że się dużo ludzi wykształci w wszelkich zawodach, a co jeszcze więcej pociesza, to że kościół z tego tak znacznie skorzysta; znaczna bowiem liczba wstępuje do seminarjum duchownego, które dziś w Poznaniu i Gnieźnie liczy z okładem 180 alumnów; jakże to cieszyć winno J. O. Arcypasterza, gdy sobie przypomni, że przed 10ciu laty ogólna ilość kleryków 30 do 40 wynosiła na tak wielką archidiecezyą.

W Poznaniu budują nowe gmachy dla obu gimnazjów, w Trzemesznie także, ale wszystkie gimnazya razem niewystarczają potrzebie; muszą przeto utrudniać wstęp podniesieniem opłaty szkolnej i ograniczeniem liczby uczniów, co wiele rodziców w smutne stawia położenie niemożności dania dzieciom wyższego wykształcenia.

Ćwiczenia duchowne księży świeckich powtórzyły się dwukrotnie około Śgo Michała w Poznaniu, Gnieźnie, Gostyniu; dyrygowali je Ojcowie Jezuiti; myślimy, że mało jest duchownych w archidiecezyi, którzyby w nich nie byli wzięli udziału już w tym roku. Wrzesień przyprowadził w domowe progi większą część naszej podróżującej publiczności, z wód, kąpiel, przejażdżek, a wreszcie w drugiej swjej połowie szczególnie, tak piękną nas trwającą dotąd obdarzył pogodą, żeśmy go

mile wspominać wiśni, a najwięcej gospodarze, którym pogoda sprzyjała i do zasiewów jesiennych i do wszelkich innych robót i prac tej porze właściwych.

Z dniem 1go października, po raz pierwszy myśł ludzka od Wrocławia iskrą przybiegła do Poznania. W tym dniu bowiem otwarto telegraf, te dwa miasta a zarazem i Kraków z Poznaniem łączący; ale przy obecnej kryzys finansowej, niezawodnie cyfry, kursa giełdy, pierwszym były podróży na tej pierwszej drodze, a bodaj czy i nadal najczęstszym niebędą, sądząc po ogólnym kierunku świata, tak industrialnym, tak materialnym, że właśnie telegraf, jedyną jego duchową stroną być się zdaje.

Oczekujemy w tym miesiącu oświecenia gazem Poznania, (chcielibyśmy znośniejszego bruku w dodatku), wreszcie otwarcia kolei wrocławsko poznańskiej, po której już codzienne chodzą pociągi, lecz jej dotąd nieodano jeszcze nu usługi publiczności. Kolej ta łączy nas z Krakowem, z Warszawą; oby więc w tych kierunkach jak najzwawsze obudziła stosunki, bo zresztą, każda lokomotywa w kraj nasz wchodząca, to rydwan cywilizacji zachodniej, z którego nam tu w księstwie chorągiew złowróżna powiewa, stając się niesłychaną siłą parcia z zachodu na wschód.

Sejm prowincjonalny 5go b. m. otwarty, nader mały budził interes z powodu nie nie znaczących przedmiotów obradom jego przedłożonych; z tego też pewnie powodu, wielu członków zwykle czynnych, nie zjechało; co jednak zawsze jest nagannem i ze szkodą dobra publicznego, bo nikomu niewolno w żadnym razie opuszczać stanowiska na jakie go okoliczności powołały. W kościele Ojców Dominikanów, odbyło się z równą jak lat dawnych uroczystością, i z równym napływem wiernych, nabożeństwo Różańcowe i w tym roku; przez dni kilka kazali i spowiadali Ojcowie Jezuiti, tak że to nabożeństwo, od lat trzech stało się jakoby corocznie powtarzającą się misją dla miasta Poznania.

Ochrona Sgo Józefa, połączona z Szwalnią sierot, pod zarządem Sióstr Miłosierdzia zostająca, rzeczywisty ideał i model ochron, przeniesioną została z walącego się domku, w którym dotąd była, do zdrowego, porządnego domu, na ten cel zakupionego, z funduszków kilku mo-

niejszych Sióstr, co przed laty kilku do zakonu wstąpiły.

Dla Ochroniarek wiejskich temi czasy osobny nowicyat na wsi otworzonym został, i widocznie dziełu temu, o którym wam w styczniu wspomniałem, Bóg sprzyja, i szerokie rozwinięcie przewiduje.

W Zaniemyślu odbył się 2go tego miesiąca pogrzeb ś. p. Konstancyi z hr. Potockich hrabiny Raczyńskiej, dokąd zwłoki jej, z Francyi gdzie przed kilku laty umarła, sprowadzonemi zostały, i pochowanemi obok grobowca ś. p. jej męża Edwarda hr. Raczyńskiego.

Interes jaki obudziło wśród naszej publiczności pismo Ojca Gagaryna o nawróceniu się Rosyi, którego dowodem rozbiory poważne pisma tego, i w waszym *Dodatk*u, i w naszym peryodycznem piśmie, powinienby dowieść tym, którzy nas o indyferentyzm religijny posadzają, jak żywo kwestye kościelne nas obchodzą.

Obraz dagerotypowej wierności jednego z największych bólów ludu naszego w powieści zamieszczonej w zeszło-miesięcznym *Dodatk*u, pod tytułem „Z blizka i z daleka,“ nadzwyczaj zajął i rozrzewnił publiczność tutejszą.

August Cieszkowski, po kilkoletniej niebytności, wrócił do Księstwa.

Berlin w październiku.

Około otwartej tu od początku września wystawy obrazów i dzieł rzeźbiarskich koncentruje się obecnie wielka część umysłowego zajęcia publiczności berlińskiej. Mniemasz może szanowny Redaktorze, że w dwudziestu salach Akademii sztuk pięknych, w których się wystawa urządza, niemożna się precyzyjnie przed natłokiem odwiedzających ją każdodziennie osób? Bardzo byś się mylił. Zdarza się to tylko w południowe godziny niedzielne, w których salony wystawy są miejscem schadzki cywilizowanej i eleganckiej publiczności, zbierającej się więcej dla przypatrzenia się sobie samej, niż dziełom sztuki, do których wtedy rzeczywiście niemasz odpowiedniego przystępu. Obecna wystawa mieści w so-

bie mnóstwo portretów osób żyjących. Unieśmiertelniony śmiertelnik lub śmiertelna, przychodzą w dzień świąteczny podziwiać ideał swego ziemskiego stworzenia w gronie promieniejącej wyrazem zadowolenia rodziny, i chwalić na głos przed otaczającą publicznością genialność malarza, fryzjera, krawca, jubilera, złotnika, który potrafił cały charakter, stan, godność, nawet wewnętrzne usposobienie osoby wlać z taką wytwornością wykończenia w każdy szczegół ubrania, w każdą ozdobę z złota i drogich kamieni, mianowicie w order przypięty na piersiach lub tabakierkę wysadzaną brylantami w rękę. Przysłuchującemu się spokojnie głośnieму objawieniu opinii przez publiczność niedzielną na wystawie, zdaje się, że ma samych znawców a przynajmniej zagorzałych miłośników malarstwa przed sobą. Ale zajdź tylko na wystawę w dzień powszedni, nie będziesz wiedział, co się stało z owymi niedzielnymi znawcami i miłośnikami, zastaniesz wcale inną publiczność, przypatrującą się pilnie i długo, w bliższym i dalszym odstępie, każdemu znakomitemu dziełu; a z tego i z mierniej ich liczby domyślisz się, że to są prawdziwi znawcy i miłośnicy.

Liczba ich, mianowicie pierwszych, nigdzie podobno nie jest zbyt wielka. Ale czyżby tak być miało i w Atenach nad Sprewą? gdzie tyle piszą o sztukach pięknych i tak się chwala z ich pielęgnowania? gdzie od wieku mają akademią sztukom pięknym poświęconą? gdzie mają galerią obrazów starych mistrzów, nie najpierwszą wprawdzie co do wartości i liczby arcydzieł, ale zawsze zbiór zupełny i historycznie wedle szkół, z wyraźnym celem kształcenia smaku i sądu, jak najdokładniej uporządkowany, a oprócz niej galerią obrazów mistrzów bieżącego wieku w pałacu królewskim Bellevue, i znakomite galerje prywatne hr. Raczyńskiego, konsula Wagnera, kupca Ravenego i inne? gdzie nienastająca wystawa obrazów w litograficznym instytucie Sachsego daje poznać publiczności najlepsze prace żyjących mistrzów wszystkich krajów? gdzie istnieje od wielu lat towarzystwo sztuk pięknych, które stoi w związku z podobnymi towarzystwami całej Europy a nawet i Ameryki, i stara się przedstawiać publiczności peryodycznie wszy-

stko to co w bieżącym czasie wychodzi znakomitego w dziedzinie malarstwa, rytownictwa, druku, rysunku? gdzie co kilkanaście, co kilkadziesiąt kroków napotkać można w znaczniejszych ulicach handel przedmiotów sztuki, i każda księgarnia jest zarazem składem wszelkiego rodzaju rycin i olejnych obrazów? gdzie od lat kilkunastu budują ogromne muzeum dla pomieszczenia zbiorów i wzorów sztuki wszystkich wieków, w którym sławny Kaulbach maluje freski? gdzie dla Campo santo przyszłej katedry protestanckiej, przerwaną dziś w budowie swojej, niemniej sławny Cornelius rysuje znane po części światu kartony? gdzie istnieją liczne instytuta rytownictwa, nie mówię już na kamieniu lecz na miedzi, których prace, wychodzące np. z pracowni członka akademii prof. Mandla, równają się najslawniejszym angielskim i francuzkim? gdzie wreszcie liczą się na setki pracowni artystów malarstwa i rysunku — o daguerrotypistach i fotografach nie mówię — a każda piękniejsza samopas chodząca dziewczyna, gdy ją zaczepisz, powie ci z pewną dumą, zapewne dla uzaczenia osoby swojej i upiększenia procederu o który ją może podejrzywasz — że jest modelem?

Wszystko to prawda. Znajdziesz w Berlinie tysiąc sposobności do estetycznego wykształcenia się; znajdziesz je może prędzej i łatwiej niż gdzieindziej, bo tu każde muzeum, każda galeryja, każdy gabinet, jakichkolwiek wzorów lub osobliwości, urządzają się przedewszystkiem dla nauki. Nauka pierwszym i głównym jest celem w każdym podobnym zakładzie publicznym. Zaspokojenie ciekawości publicznej jest rzeczą podrzędną. Gdzieindziej można widzieć i więcej i większe arcydzieła sztuki; ale uformować, wykształcić i wytrawić sąd swój w tym zakresie wiedzy ludzkiej, nie łatwo znajdzie się do tego tyle i tak taniej sposobności.

Wnieśliby żąd należało, że gruntowne znawstwo w dziedzinie sztuki malarskiej jest dość pospolitą przymiotem nawet pomiędzy tak zwaną wielką publicznością Berlina. Tak nie jest. W mieście, w którym pomiędzy sztukami pięknymi prym wiedzie muzyka, upodobanie w malarstwie i wytrawny sąd w niem mogą tylko być udziałem mniejszej publiczności. Muzyka z natury swój, lubo także powstaje z żywiołów wymagają-

cych bliższego nad niemi zastanowienia się, przystępniejszą jest dla słuchającego, bo uderza od razu całą jego istotę i w ogólnem subiektywnem czuciu znajduje dość pewną co do upodobania i sądu podstawę. Malarstwo zaś zajmuje nasamprzód refleksyą i stopniowo tylko prowadzi patrzącego do rozpoznania i pochwycenia w całej harmonii tajników swojej piękności. W muzyce każdy słuchacz musi mieć bezpośrednie prawo do sądu; w malarstwie zastanowi się wprzód, nim go wyda, albo pójdzie za zdaniem znawcy. Każda nowa opera lub inne nieznanne dzieło muzyczne ściąga tu zaraz na pierwsze przedstawienie i wykonanie wielką publiczność do teatru i sali koncertowej. Odegranie takowego dzieła muzycznego staje się wypadkiem w mieście, przedmiotem powszechnej rozmowy nie tylko pomiędzy publicznością, która chodzi na pierwsze miejsca, ale i pomiędzy tą, która chodzi na ostatnie. Muzyka, jednym słowem, stała się tu własnością wszystkich klas towarzystwa, a teoretyczna i praktyczna znajomość jej ustaliła o niej pojęcie i smak, które rzadko stają w sprzeczności z wyższą estetyczną krytyką.

Przeciwnie się rzecz ma z malarstwem. Obecna wystawa obrazów w pierwszym dniu i tygodniu otwarcia była pusta. Pierwsi co pospieszyli odwiedzić ją w samym początku, byli to artyści wystawiający dzieła swoje, krytycy piszący o nich do dzienników i osoby mające szczególnie w sztuce tej upodobanie, wołające pa-trzeć na piękny obraz, niż słuchać opery. Wielka publiczność oczekiwała sądu krytyki, zanim zaczęła odwiedzać wystawę i popisywać się w towarzystwach z przyjętym zdaniem. Mówiłem już w poprzedzającym liście o tem, jakie to trudności z samego względu na techniczną stronę malarstwa, mają przed sobą wszyscy ci, którzy, nienależąc do cechu, zabierają się do sądzania mniemanych nieśmiertelnych utworów mistrzów i uczniów wpisanych do bractwa ś. Łukasza. Ta to techniczna strona sztuki malarskiej, jak wszędzie gdzie malarstwo znajduje się jeszcze w początku i szkole dopiero przechodzi, tak i w Berlinie, gdzie więcej ma pretensyi niż rzeczywistej wartości, najdrażliwszym bywa punktem dla każdego malarza z profesyi, gdy się go właśnie zaczepi. Wielka część tych długowłosych,

na wzór Rafaela ubierających się wirtuozów pędzla, mniema istotnie, że malarstwo jest ich wyłącznym wydziałem, o którym gruntownie sądzić nikt inny nie jest w stanie, jak artysta z powołania. Zdaje im się niemal, że sztuka malarstwa istnieje tylko dla samych malarzy. Każdego, który pozwoli sobie objawić naganne zdanie o ich mniemanych arcydziełach, gotowiby zmusić do mileczenia klasyczną odprawą starożytnego mistrza: ne sutor ultra crepidam. Ale wprzód trzeba być mistrzem, aby mieć prawo do dania takiej odprawy; a potem klasyczny ten cytat nie przypada całkiem do stopnia rozpowszechnienia sztuk pięknych w naszych czasach, od świątyn i gmachów publicznych aż do prostych prywatnych mieszkań, a nawet mieszkanka niejednego szewca; nie przypada i do stopnia rozlania się ich, mianowicie rzeźbiarstwa i malarstwa, nawet na wyroby rękodzielne i fabryczne.

Nie ulega wątpliwości, że malarz patrząc na obraz, więcej w nim widzi, niż niejeden z ludzi zwyczajnych. Pochoodzi to ztąd, że jako malarz zmuszony był obserwować naturę z większą uwagą i pilnością. Nie zależy to jednak bynajmniej od znajomości techniki, bo inaczej, każdy malarz byłby w stanie czuć i wydać najdelikatniejsze odcienia natury, co przecież tak nie jest. Obserwować może każdy, i jest to szczególny talent, który w bardzo różnym stopniu posiadać mogą równie profani jak artyści, pierwsi nawet w stopniu daleko wyższym niż drudzy, chociaż techniki nie znają. Jakże to często się zdarza, że profan zwróci uwagę malarza na szczegóły postaci, postawy, kolorytu, perspektywy, światłocienia, chociaż nie uczyć się ani rysować ani malować, oddać ich nie umie, jak nieumiał oddać ich z zupełną akuratnością i prawdą przestrzeżony artysta, mimo znajomości techniki, w której mniemał, że przyswoił sobie najskrytsze tajniki malarstwa. Co wykształconemu estetycznie profanowi pozostaje istotnie w sztuce malarskiej tajemnicą, to sposób, jakim się ta technika, o której mowa, dokonywa, czyli innemi słowy, jak malarz prowadzi pędzel, jak nim nawodzi i nawodzić powinien kolory, aby przedmiot malowany przez niego przedstawił nam się w całym znaczeniu prawdy. Niekiedy prawda ta tak jest uderzającą, że zapominamy o o-

brazie, a pytamy, jakim sposobem malarz potrafił tak wiernie przekopiować naturę? Wiadomem jest w tym względzie współubieganie się o pierwszeństwo najsławniejszych malarzów dawniej Grecyi, Zeuxisa i Parrhasiusa, z których pierwszy malował winogrona, do których się ptaki zlatywały, drugi płócienną zasłonę, która zwiódła samego Zeuxisa. Na to trzeba odpowiedzieć, najprzód, że malarstwo nie jest prostem naśladownictwem natury, i przywiedziony przykład z starożytnego świata nie daje nam zbyt wysokiego pojęcia o jego ówczesnem przeznaczeniu i udoskonaleniu; powtóre, że powyższe pytanie całkiem jest obojętne dla samego sądu o dziełach malarstwa, bo krytycznemu estetykowi nie chodzi bynajmniej o to, jak obraz powstał, lecz jakim jest obraz sam?

Widzimy stąd, że odmawianie sądu o dziełach malarzskich ludziom nieznającym praktycznie techniki, jest całkiem bezzasadnem, a doświadczenie uczy, że pochodzi ono po największej części od takich artystów, którzy lepiejby zrobili, gdyby technikę swą do malowania sylldów lub lakierowania butów ograniczyli. Gdy się nadto zastanowimy nad idealną stroną malarstwa, nad zadaniem jego estetycznem, nad pojęciem piękna, nad kompozycją, to mocniej się jeszcze przekonamy, że strona ta wewnętrzna mniej jeszcze jak poprzednia uważaną być może za wyłączną dziedzinę malarzów z profesyi. Również i okazanie prawideł i oznaczenie granic każdej sztuki pięknej z osobna, niejest rzeczą samych tylko artystów, lecz w ogóle ludzi wykształconych, a w najczęstszych razach, jak historia sztuk pięknych uczy, rzeczą wszechstronnie i głęboko uczonych estetyków, co właśnie nie jest zbyt wydatną cechą wszelkiego rodzaju artystów i wirtuozów naszego czasu. To też wielcy filozofowie począwszy od Platona i Aristotelesa aż do Kanta, Schellinga i Hegla byli rzeczywistemi twórcami i prawodawcami nauki estetyki. Oni zaś równie jak najwięksi w nowszych czasach znawcy sztuki: Lessing, Winkelmann, Visconti i tylu innych, niebyli nigdy wykonywającymi artystami. Wielcy malarze wiedzą o tém bardzo dobrze; wiedzą i to, że wszystkie sztuki piękne stoją z sobą w ścisłym związku i powinowactwie, tak co do pojęcia i powołania swego, jak i co do prawideł

kompozycyi i wykonania, którym każda w swoim obrębie podlegać muszą. Opozycya przeciwko profanom poważającym się sądzić dzieła sztuki malarskiej, wychodzi głównie, jak już powiedziałem, a diis minorum gentium, którzy wiedzą że ich popiersia nie będą stały w żadnej Walhalli, ani przeglądać będą w freskach muzeów w Atenach nad Sprewą lub w Atenach nad Isarą.

Każda nowa wystawa obrazów w Berlinie poczyną się od takiej walki pędzla z piórem. Malarz i krytyk, to są dwa wrogi, którym trudno być razem w jednym towarzystwie. Wystawa terazniejsza jest czterdziestą z porządku, a walka o której mówię, toczy się z większą niż w wszystkich latach poprzednich zaciętością. Już to samo dowodzi, że malarstwo berlińskie nie stanęło jeszcze na takim stopniu udoskonalenia, z któregooby mogło z spokojnością słuchać sądu krytyki w obec ukształconej publiczności. Kto bowiem pewnym jest swego ten nie lęka się sądu. Prózne tylko i słabe duchy trwożą się przed objawem każdej śmielszej opinii. Postrzeżę się to równie w rzeczach sztuki, jak w wszystkich innych stosunkach i zawodach. Duch jest, który o wartości każdego położenia i dzieła ludzkiego wyrokuje. Znanem jest powszechnie zdanie Lessinga, który powiedział: że Rafael byłby największym malarzem, chociaż by się był bez rąk urodził. Jest to wprawdzie paradoks, bo bez rąk nikt nie zostanie malarzem, i niewiedziano dotąd, aby kto zamiast rękami nogami malował, chociaż widziano takich co nogami szyli i pisali. Ale w zdaniu powyższem leży ta myśl głęboka, że to co malarza czyni prawdziwym mistrzem w swęj sztuce, nie mieści się głównie i jedynie w rękach, lecz przede wszystkim w duchu. Duch zaś jest wspólną wszystkich ludzi własnością. Im więcej ukształcony, tem większe ma prawo mówić o wszystkim co z ducha pochodzi, a więc i o dziełach sztuki malarskiej.

Przeciwko tym, zdaniem mojem, dość pospolitym orzeczeniom, powstają, jak mówiłem, po największej części tylko tuzinkowi wirtuozi pędzla, którzy widząc się zaszczyconymi przyjęciem malowanych płócien swoich na wystawę, największy mają w tem interes, aby z towarem swoim wyszli jako tako przed sądem publiczności

sprzedali go jak można najkorzystniej, i nadto polecieli firmę swoją dalszym kupujących względem. Z panami tymi, co do umysłowego wykształcenia, chociaż mieszkają w uczonym Berlinie, i wielu z nich było i w Paryżu i w Rzymie, pospolicie dość zaniedbanymi, łatwaby była dla krytyki sprawa. Lecz ten stan rzeczy zmienia się i przybiera daleko poważniejszą postać, gdy po stronie przypuszczonych na wystawę peckarzy stają mistrze zawołani, sędziwi wiekiem, i używający niemałej w kraju i za granicą reputacji. Rzecz tak się ma.

Senat akademii sztuk pięknych, który się trudni urządzeniem wystaw obrazów w budynku swoim, wydaje przy tej okazji z urzędu katalog wystawionych dzieł sztuki, z krótkim podaniem treści każdego i z oznaczeniem ojczyzny artysty; na wstępie zaś zdaje sprawę z ważniejszych wypadków, zaszłych w akademii w przeciągu dwóch lat ostatnich, które przedzielają jedną wystawę od drugiej. Otóż w sprawozdaniu takim, zamieszczonem przed tegorocznym katalogiem, akademія, dając szkic życia i dzieł zmarłego tu w zeszłym roku malarza Begasa, swego członka, w którym to szkicu dla geniuszu jego nie szczędzi największych pochwał, nazwała krytyków, którzy ostatnie, mianowicie religijne prace tego artysty dość ostro byli sądzili, „najemnymi pismakami, znajdującymi przyjemność w szarpaniu sławy wielkiego mistrza.“ Senat akademii, mówiący publicznie przez usta sprawozdawcy, nie mógł wyrzec nierozmyślniejszego słowa. Cały szereg krytyków zerwał się jak ukąszony na nogi, i uderzył z niezwykłą gwałtownością nie tylko na piszącego katalog członka, ale i na całe grono akademickie, odpowiedzialne za publiczny głos pierwszego. Przed innymi, redaktor tygodniowego literackiego pisma *Montagspost*, najzdolniejszy, lecz zarazem najzłośliwszy z tutejszych estetycznych krytyków p. Kossak, natarł na pisarza katalogu i jego akademickich kolegów, sposobem tak dotkliwym i w rzeczy i w osobach, że senat akademii uznał się być spowodowanym do zanieśienia przed prokuratorem królewskim skargi przeciw obrażającemu jego akademicki majestat krytykowi. Na przypadek, że prokurator znajdzie słuszny powód do skargi i sprawa dostanie się przed sąd, zarazem jako próbkę polemiki pióra przeciwko pędzlowi,

przytaczam tu w skróceniu głównejsze myśli zaskarżonego artykułu.

Autor jego powiada naprzód, że zna bardzo dobrze stopień zuchwałości, który mieć trzeba, gdy się kto zabiera mówić w materyi sztuki, bo pamięta, że przy dawniejszych razziach profana na terytoryum malarstwa, ściągnał był na siebie taką nienawiść dzisiejszych Ty-cyanów i Vandyków, że ciż, aby go zabić najęli sobie i uzbroili najśmielszych panegirystów, przed którymi go tylko tępość ich sztyletów, niezgrabność bandytów, i łaska nieba uratowały. W obec twierdzenia dzisiejszych malarzy, że kto nienależy do ich cechu, nie jest w stanie rozprawiać i sądzić w przedmiotach sztuki, przyznaje się autor, że przy całym swoim długoletnim entuzjazmie dla starych i nowych arcydzieł malarstwa, i mimo z bogaceniam wyobraźni swojej przeglądaniem pierwszych galeryi obrazów w Niemczech, w Francyi, w Włoszech, oraz najpilniejszego rozważenia różnych metod malarzkiej techniki, talent jego własny w użyciu związanych włosów i szczeciny pozostał na tym samym stopniu, na którym stał, gdy go dwunastoletniego chłopca stary profesor rysunku zabić chciał kluczem od domu, ponieważ, mając od niego rozkaz odrysowania jakiegoś przedmiotu wedle natury, wybrał sobie do tego naczynie, które konwencyonalność dzisiejszych ludzi usuwa z widoku dziennego. Nie rozbiera, jaką trucizną konflikt ten bardzo wczesny pomiędzy starym profesorem rysunku i malarstwa a nierozwiniętym jeszcze przyszłym dziennikarzem, mógł wlać do jego duszy. Ale to czuje, że ma instynktowy wstręt przeciw starym akademikom i ich dziwnym obrazom, i że uczucie to prawie równie jest gwałtowne i niepowstrzymane, jak owa historyczna odraza starych profesorów malarstwa i rzeźbiarstwa od ludzi, którzy pozwalają sobie w dziennikach pociągać ich do odpowiedzialności za tyle poniszczonego płótna, za tyle uszkaradzonych murów publicznych gmachów. Przechodzi potem krytyk do pisarza katalogu, i powiada, że do niego zastosowaćby można to co filolog Fryderyk August Wolf powiedział o starym Hircie: jako ten wielostronny uczony nie tylko jest „ein Hirt,“ ale także „ein“ w naukach i sztukach.

Autor artykułu rozbiera potem znaczenie użytego przez pisarza przedmowy katalogu wyrazu „Lohnschreiber,“ i przywołuje szanownym członkom korporacji akademickiej, których antypatye koleżeńskie i nepotyczne stały się prawie przysłowiem, wszystkie takie przykłady na pamięć, które świadczą, że właśnie członkowie jęj używają najczęściej „płatnych pisarzy,“ zamieszczających w dziennikach od czasu do czasu pełne kadzidła dla nich panegiryki. Imby więc najmniej przystało o nich wspominać. Brudy czyszczą się najlepiej w zakątku ogniska rodzinnego, i już Sancho Pansa polecał tę regułę życia: żeby w domu wisielca nie gadać o powrozie.

Wyzwanie krytyków wystawy przez akademią, mówi w końcu autor artykułu, odniesie swoje korzyści. Sławni wirtuozi pędzla niechaj to sami sobie przypiszą, jeżeli na przyszłość ich rafaelska wysokość mniej będzie szanowaną, jakby to może było w innym stanie rzeczy. Być może, że takowe spory wpłyną i na modyfikacyę dzisiejszych akademii stosunków, a biorąc pochop z wyrazu „zapłaty,“ nie będzie może niestosownością, gdy profan przypatrzy się wystawie berlińskiej, choćby raz jeden, w blasku jej merkantylnego światła. W tym względzie stawia autor korporacyi akademii takie pytania: Jaki zysk mają profesorowie akademii z dochodu za bilety wejścia? Jaką szkodę ponoszą ztąd, gdy przez ganiącą krytykę w dziennikach bojaźliwe dusze powściągają się od częstego odwiedzania wystawy? Czy żądane ceny za obrazy, odpowiadają ich wartości, czyli też, jak w małych handlach, zachowuje się pewien system zaceniania, spekulujący na nieznajomości kupującego? Czy istnieją szeroko rozgałęziona spekulacya, licząca na smak mody, co to kryjąc się pod patetycznymi frazesami sztuki, pracuje tylko dla luidorów?

Niewiadomo, czy senat akademii, jeśli sprawa przyjdzie przed kratki sądowe, na pytania powyższe odpowie? Mniejsza o to. Sprawa i tak toczy się jawnie, przed sądem publiczności. Cała korzyść z niej ta, że publiczność pilniej czyta krytyki, które przy takim umysłowym podrażnieniu, muszą starać się być i gruntowniejszemi i sumienniejszemi; przez to pojęcia się prostują, sąd się wytrawia, i sztuce wskazuje się stanowisko, do którego podnieść się musi, jeżeli ma odpowiedzieć wy-

sokiema zadaniu swemu, i nie poniżyć się do prostego rzemiosła, pracującego dla widoków przemysłu i handlu.

W następnym liście dalszy ciąg o znakomitszych obrazach wystawy.

Paryż w październiku.

Ab Jove principium. To znaczy przetłumaczone na dobrą polszczyznę, że jeżeli kto ma pisać sprawozdanie z tego co się dzieje w jakim zakątku ziemi, powinien zacząć od nieba, czyli od stanu atmosfery. — Tak też czynię, choć wiem że ten przedmiot tak mało ludzi obchodzi, że aż w przysłowie weszło, jeżeli kto chce nudną definiować rozmowę, mówić, iż prawil o pogodzie i dészczu — jakby to rozmowa o powietrzu którym oddychamy, o słońcu które w nas wlewa życie i siły, nasuwa świetne pomysły i piękne czyny — rozmowa o burzy co przestrasza i dręczy ducha, o słońcu co go pozbawia wszelkiej jasności, energii i ochoty do czegoś, była mniej zajmującą niż *szepeiscetel* ostatniego obiadu pani A. — swary podsłuchane w sypialni pani B. — toaleta pani C. — rozmowy z garderobianą lub kielnerem — i wszystkie na świecie „*on powiedział*“ lub „*ona powiedziała*“, które ogół interesują przedewszystkiem.

Nie ludźmy się. Człowiek niemniej ściśle połączony jest z naturą jak każde drzewo lub zwierzę; tylko duma nie pozwala mu dopatrywać w sobie jej wpływów, a godność jego osobista srodze uczuła by się dotkniętą, gdyby nawet sam przed sobą wyznał, że ta lub owa szlachetna myśl z której się chlubił, wpłynęła do serca z promieniem majowego słońca, a to znów niecne postanowienie weszło do głowy z podmuchem północnego wiatru. — Nie ludźmy się. Matka natura rządzi nami tak dobrze jak marnym kwiatkiem róży i wyniosłym cedrem Libanu — jest naszą wielką przewodniczą, której słuchamy niewolniczo choć bezwiednie, i słuchać musimy, chcąc nie chcąc, gdyż biada temu kto się z pod jej praw wylamie! — Zaczynam więc od pogody — chociażbyś mnie nawet miał nazwać nudziarzem.

W tym pięknym kraju Franków, w którym kwitnie laur i winogrono dojrzewa, bywa zazwyczaj jesień słotna, stokroć smutniejsza i przenikliwsza niż w krajach więcej na północ posuniętych — jesień mglista, bez uroczych słońca zachodów, które napawają duszę tęsknotą, bez zapachu zrumienionych skwarem owoców, bez latających płócien Arachny co srebrzą nasze pola skoro z nich złote kłosa ustąpią — jesień nudna, splinowa, podczas której słońce jak kokietka zamyka się u siebie, skazując swych wielbicieli na ciemność i czczości serdeczne.

W Paryżu nie rzadko zdarzają się jesienie pod obne do zimy jak dwie krople wody; drzewa jeszcze zieleń one, georginie i astry kwitną, winogrona i brzoskwinie dojrzale, ale deszcz zimny pada, niebo szare, a bruk czarny. Na bulwarach, przed Passażami stoją melancholiczne grupy czekające na fiakra lub promień słońca, niewidzialne obadwa; właściciele kawiarni i restauracyj wzrokiem pogrzebowym spoglądając na bolesny brak spacerujących, powtarzają na wszystkie tony jedną piosnkę: „Istna kara boża, taka jesień!“ — Przyjaciele witają się pod parasolami i udzielają sobie wzajem nowiny, że nieznośny deszcz pada. — „Czy slychana rzecz taki październik?“ pyta jeden. — „To minie“, odpowiada drugi, i pocieszają się, że to tylko taka kwadra. Ale niestety, zdarza się że ta kwadra dopiero przez mróz złuzowaną bywa — i trwa do Bożego Narodzenia, dokuczając bez litości parasolom, przechodniom, koniom, skoczkom, ulicznym tenorom, katarynkom — słowem całej téj zajmującej pieszej ludności, która polegając na słowie kalendarza, rachowała na suchy bruk, mieszkalny trotuar, przychylnie niebo, jesień wierną swemu urzędowemu zobowiązaniu.

Tak bywa zwykle.

Tegoroczna jesień paryzka niewiedzieć czy skutkiem tego, że zima przeciągnęła się aż do lata, czy skutkiem zapowiedzianych odwiedzin komety którego powitać mamy po trzech wiekowém niewidzeniu, stanowi wyjątek w zwykłej regule. Pogoda prześliczna trwa bez przerwy — całe miasto w ciągłym ruchu — życie z domów wybucha na ulicę i z podwójną siłą krąży w powie-

trzu — radość jest na balkonach, kwiaty na terasach, kobiety w oknach, a słońce wszędzie.

Od rana całe miasto wylega na ulicę i już nie podwójnym ale przechadzkowym chodzi krokiem — *marquize* oceniają sklepy, złote napisy błyszczą jak dzienna iluminacya, posagi tuleryjskie zdają się uśmiechać do każdego — Sekwana toczy spokojnie zieloną wodę a bulwary wesołe twarze — wszystkie kobiety są ładne, bo ubrane w uśmiechy, błyszczące materye i łaskawe wejścia, zdają się wszystkie dobre i młode.

Korzystając z wieczora który wydawał mi się jeszcze piękniejszy niż zwyczajnie, wyszedłem i ja na miasto przechadzkowym krokiem, w zamiarze obejrzenia przepyszego nowego sklepu, czyli *Składu dzieł sztuki*, założonego niedawno na Kapucyńskich bulwarach przez braci Bisson.

Zégar, rzadca paryżkiej kawiarni, wskazywał pół do szóstej wieczorem, godzinę największego ruchu w mieście. Cały Paryż przechadzał się po bulwarach od kościoła Magdaleny aż do nieobecnej Bastylii. Przed Tortonim przykładni gastronomowie przygotowywali się do obiadu pijąc absint; elegancko ubrana młodzież oczekując godziny szóstej, zasiadła krzesła, a paryżkim obyczajem bujała się od niechocenia oparta na ich poręczach; inni przechadzali się, niecierpliwie spoglądając na zegarki i złymając na kogoś co nie przybywał na umówioną schadzke. Od czasu do czasu piękność jaka oparta na męzkim ramieniu, szła, przeciskając zręcznie rozłożyste falbany przez to przedobiednie głodne zgromadzenie; wtedy ustawała rozmowa i kiwanie krzesel — smakosze wstrzymywali przy ustach opalowy kubek absintu, i wszyscy półgłosem odzywali się chórem: „Piękna kobieta!“ A tak spłaciwszy ten zwykły haracz, który kaźden paryżanin składa u nóg piękności, towarzysztwo znowu do dawnego powracało porządku.

Minąwszy włoskie bulwary, stanąłem u celu przechadzki.

Narożny skład pana Bisson przedzielony od ulicy nie murem ale jedną kryształową ścianą, słusznie nazwać można kryształowym pałacem sztuk pięknych. Rozmaitej wielkości posagi białe marmurowe z dala widne, z dala witają przechodnia bladą twarzą; przystąpiwszy

bliżej spostrzegasz mniej miękkie i jasne, ale silniejsze i wyrazistsze rzeźby ze starożytnego brązu, jedne ciemnoczokoladowej barwy, inne koloru zielonej śliwki nie otartej z rodzimego pyłu, inne błyszczące jak złoto — spostrzegasz rozstawione na sztalugach — obrazy olejne w przepysznych ramach — fotografie wielkie na trzy i cztery łokcie — heliografie wystające jak płasko-rzeźba — sztychy dziwnej piękności — blade akwatinty, litografie, pastele, słowem wszystko co może stworzyć ręka artysty.

Z razu olśniony tym widokiem, jak motyl przy krzaku stulistnej róży krążysz, nie wiedząc przy którym z tych arcydzieł zatrzymać się, które najprzód oglądać, bo wszystkie mówią razem i wszystkie wołają: patrz na mnie! Tu umierający Abel, biały, zwraca na cię konające źrenice — tu Mefistofel skośnym zaczepia cię wzrokiem — tu muza stroi lirę, więc patrzysz w nią i słuchasz co zaśpiewa — tu Ristori deklamuje scenę z „Myrrhy“ — tu Rachel z wymownym gestem rzuca Maksymowi sławne „*Tu m'oses aimer, et tu n'oses mourir!*“ — tu tańczy pełna wdzięku Cerito — tu Hamlet rozmyśla *czy być czy nie być?* tu rąbie Zuaw, bębni stary gwardzista, trąbi pobudkę napoleoński huzar — Hugonot śpiewa dzieje Rosselli, a dzieci ojczyzny Marseliezę — tu Indyanin strzałę na węża napina — tu wzdycha Dante do patrzącej w niebo Beatryczy — tu wschód słońca, tam burza — tu bitwa, a tu biesiada — tam kochają, tam mordują, tu szczęście, tam rozpacz — wesele, żaloba, gniew, szal — cnoty i zbrodnie — wszystkie, wszystkie uczucia zmieszane razem, wszystkie myśli jakie kiedykolwiek wstrzęsły mózgiem człowieka... I od czegoż tu zaozać?

Jużciż od jasnej gwiazdy co góruje nad tém wszystkim. Zacznijmy od Matki Zbawiciela, której wizerunek wedle Rafaelowskiego wzoru wyrył na stali sławny sztycharz paryzki Henriquel-Dupont. Rzecz to nader rzadka i mało komu znana, gdyż nią jestto kopia wzięta z obrazu, ale z kartonu znajdującego się w muzeum cesarskiem.

Każdy malarz katolicki malował Madonny, i każdy wmieszał coś z własnej natury do świętego obrazu: Albert Dürer dał Maryi rysy niemieckie; Morales hiszpańskie; Gentil Bellin weneckie; jeden Rafael dał jéj wyraz

boski, a wszystko co potrzeba było pożyczyć od ziemi żeby ją uwidomić ludzkiemu oku, tak podniósł i uszlachetnił, że z pomiędzy wszystkich on jeden był i będzie prawdziwym Maryi wyobrazicielem. Każdy rafaelowski wizerunek Maryi, jest jakby strofa litanii do Matki Zbawiciela, jakby wykrzyknikiem adoracyi.

Przypatrzywszy się pilnie Madonnom Rafaela po kolei, jak je stwarzał, badacz spostrzeże wyraźne przeobrażanie się ideału. — Najprzód ukazuje on nam Maryę nieśmiałą, trwożliwą, naiwnie piękną, wśród zielonych ogrodów, klęczącą obok boskiego niemowlęcia i patrzącą wen jakby się oswoić nie mogła z cudem.

Później mistrz porywa ją z pomiędzy kwiatów, i na tronie lub na obłoku maluje w wieńcu niebieskich cherubinów, trzymającą syna przed rozklęczonym światem.

Już to nie jest dziewica z Bethleem, ale królowa Nieba, rodzicielka Boga; twarz jęj przybrała wyraz niewysłowionęj szczęśliwości i spokojnego opromienienia.

Później Rafael ukazuje nam Maryę dręczoną przeczuciem męki, pobladłą od bólu z którego jeszcze sama sobie sprawy zdać nie umie, bo na pogodnym swém niebie widzi go dopiero jak czarny nieznaczny punkcik na lazurze.

Później mistrz z Urbinu maluje Maryę patrzącą ze łzami na bawiącego się krzyżykiem Zbawiciela — a na koniec Wniebowziętą.

Sztuch o którym mowa, należy do drugiej, najszcześniejszëj epoki z ziemskiego życia Matki Zbawiciela.

Wśród ogrodu Marya siedzi na kamieniu; lekka szata tysiącem fałdów obwija cudne jęj kształty. Po włosach zaczesanych skromnie, spływa biała, przezroczysta zasłona. Na kolanach Maryi leży maleńki Jezus i bawi się fałdami jęj stanika, jak to zwykły czynić świeżo odsadzone dzieci. Marya z uśmiechem zatrzymuje drobne paluszki i obejmuje boską dziecinę promieniem miłości który ze spuszczonej jęj oczu tryska jak żywy promień słońca i pada na twarz Chrystusa.

Sztuch ten którego przezroczystych cieni i księżycowych światł opisac nie podobna, należy do najpiękniejszych dzieł sztuki jakie w tych czasach pojawiły się w Paryżu.

Prawda którą pan Cavalier korzystając z tradycyi

mógł przedstawić nago, liczy się także do piękniejszych utworów. Rzeźbiarz wybornie rozumiał swój przedmiot. Nic lubieźnego nie razi w nagości tej kobiety mającej uosabiać *Prawdę*, przedstawia ona ludziom bez żadnej pokusy swe zimne wdzięki skąpane w studziennej wodzie, spokojna, bo pewna że zawsze kiedyś zwycięży, nie szuka powabnej pozy, nie wdzięczy się do nikogo. Na czystym jej czołe błyszczy gwiazda złota, w rękę trzyma zwierciadło niepochlebne, w którym cnotliwy i występny widzi się jakim jest w istocie. Znać że tworząc tę statuetkę pan Cavalier miał ciągle przytomną w umyśle sławną definicyę Platona: „Piękność jest splendorem prawdy.“

Od *Prawdy* do Berangera bliżej niż gdzieindziej. Mnóstwo biustów i portretów jego złożono w *składzie artystycznym*. W tym miesiącu dwa nowe modele zubożyły ten liczny zbiór. Medal gipsowy pana Jacquemin w wielkiej teraz modzie, przedstawia Berangera jak wyglądał przed dziesięciu laty; profil poety otaczają owe pamiętne jego słowa: „*Je n'ai flatté que l'infortune.*“ Bronzowe popiersie wykonane przez pana Magniadas przedstawia Berangera jakim jest dzisiaj; u spodu wyryto napis: *Au Poete national, Pierre-Jean Béranger né à Paris le 19 août 1780.* Obok wypisane tytuły wybornych jego piosneczek, jako to: *les Gueux, le Sénateur, Louis XI, Dieu des bonnes gens, les Reliques* itd.

Jako *pendant* do popiersia Berangera, p. Jacquemin zrobił popiersie Molliera, chcąc przez to wykazać istniejące pomiędzy nimi pokrewieństwo. Myśl bardzo trafna. Komedia i piosneczka zawsze bliskie krewne, jeszcze ściślej połączyły się z sobą w bratniem natchnieniu Molliera i Berangera, którzy obaj urodzili się w Paryżu i obaj wyszli z ludu: pierwszy był synem tapicera, drugi krawca. Słychać że twórca tych dwóch popiersi pracuje obecnie nad nowém nader ciekawem dziełem, a natchniony ognistym piórem dziejopisa, modeluje podobno całą galeryę owych istot pięknych, namiętych i silnych, które odmalował Michelet pod napisem: „*Les Femmes célèbres de la Révolution.*“

Ogromne fotografie przedstawiające rozmaite gmachy i widoki Paryża, zdumiewają swą doskonałością. Dwie mianowicie, Luwr i widok Paryża wzięty z *Pont des*

Arts, na dwa metry szerokie, a jeden i pół wysokie, są arcydziełem w swoim rodzaju, i zapewne nie znalazłyby sobie równych w całym świecie. Skutkiem doskonałego zbadania potrzebnych środków chemicznych, i wybornych szkła, które są właściwie wzrokiem maszyny, dokładność odbicia jest tak wierna, że ten kto by spojrzał na te obrazy przez lorynetkę, nie wiedząc że na papier skierowana, gotów przysiąc iż oknem na Luwr wygląda, lub z *Mostu Sztuk* widzi wspaniałą panoramę stolicy, rozpoczynającą się dwoma wieżycami katedry *Notre Dame de Paris*, a kończącą się zieloną oazą Pól Elizejskich która co raz to błędąc, z zielonych w niebieskawe przechodzi barwy, i wreszcie roztopia się w złotej kurzawie zachodzącego słońca.

Pominawszy sztychy w których Francuzi od dawna prześcignęli Anglików, a których nowy zbiór złożony z kopij celniejszych obrazów olejnych, nie do życzenia nie pozostawia, wspomnieć tu jeszcze muszę o litografii, tej nieszczęśliwej sponiewieranей sztuce, która pod umiejętną ręką paryzkich litografów nabrała wdzięku, czystości i powabu. Sam Sennefelder nie poznałby swego wynalazku; do tak zadziwiających doprowadzono go we Francyi rezultatów. Mianowicie utwory pp. Leroux i Fanoli, uderzają swą doskonałością.

Pierwszego *Rekruty Arabskie* litografowane wedle obrazu pana Bida, i *la Ronde des Wilis* drugiego, stanowią razem jakby ciało i duszę sztuki litograficznej. Ołówek pana Leroux pewny, wyraźny i dokładny, odbija jak zwierciadło sceny życia, chwytą rzeczywistość w całej swjej nieestetycznej prozie — Fanoli zaledwie dotykając nim płyty, kręśli blade i przezroczyście widziadła kapiące się w przezroczu księżycowych nocy, przedstawia rzeczy tak wiotkie i nienętne, iż zdaje ci się dość dmuchnąć w te ramy ażeby w nich czysty papier pozostał. Dzieła Fanolego są zdaniem mojem, szczytem do jakiego może dojść litografia, bo osiągnęły dwa najtrudniejsze jej zadania: czystość i miękkość.

Olejne obrazy wszystkie nowe, pędzla młodych artystów dotąd nie sławnych, przedstawiają po większej części sceny z ostatniej wojny. *Zdobycie wielkiego Redanu* płótno ogromnych rozmiarów, przedmiotem i jaskrawością kolorytu ściągają nieustannie ciekawe tłumy, nie zdaje

mi się jednak żeby na uwagę znawców zasługiwało. Zdaniem ich, najprzedniejszém dziełem z całego *Składu* pana Bisson, jest Mefistofeles, posąg półnaturalnej wielkości, ulany z zielonego brązu.

Mefistofeles długi i suchy jak skielec, w stroju takim w jaki go ubrał Goethe, siedzi w gotyckim krześle; jedno kolano ująwszy w długie kościste palce podobne do szponów sępa, trzyma zgięte na drugiem; po twarzy jego ostrój jak brzytwa i pooranaj w głębokie bruzdy, nurkuje jakiś pomysł szatański, niewyraźny, bo dopiero jakby rodzący się pod nasuniętą brwią, co się jeży nad dwójgiem oczu przez które całe piekło wygląda. Na ustach przykrojonych wedle wyrazu najzjadliwszej ironii, przebiega wzdurliwy uśmiech . . . zda ci się, iż szatan lada chwila przemówi i powita cię jak Fausta, cedząc przez zęby szyderczą apostrofę: „*Ich salutire den gelakrten Herrn!*“

Ten ideał Złego jest pojęty tak doskonale i tak niezrównanie oddany, że gdyby artysta z równą siłą poczuł i wcielił ideał Dobrego, nazwać by go można słusznie zwiastunem królestwa Bożego na ziemi.

Ale już dosyć o artystach — pomówmy nieco o literatach.

Ostatnie dzieło Wiktora Cousin pod napisem *Madame de Hautefort*, którym zakończył swoją galerię kobiet siedemnastego wieku, oburzyło całą piękną połowę mieszkańców Paryża. Szanowny członek akademii, Ariost filozofii, opiewszy cnoty przyjaciółki Ludwika XIII, zawiesza lirę i temi słowy kończy swoją epopeę:

„Rzucam pióro! nie będę już malował tych czasów co minęły bezpowrotnie, i tych niewiast, których nie ujrzysz więcej mężkie oko. Żegnam was marzenia, które pieściła młodość moja. — Żegnam was bohaterki, nieodstępne towarzysзки moje aż do podeszłej starości. Z bólem serca porzucam was. Przy rozstaniu błogosławię ci Muzo! Tyś to mnie nauczyła stronić od wydeptanych ścieżek i powiększać serce, nie fortunę. Dzięki twoim naukom ukochałem dumne ubóstwo, utraciłem bez szemrania wszystkie owoce życia i pozostałem wierny sprawie opuszczonej dzisiaj, ale wielkiej w przyszłości. O! wzniosłe niewiasty siedemnastego wieku, dusze silne, promienne i uwielbiane, które rozlawszy tyle błasku,

miałycie odwagę usunąć się w głuchą ciemność i zgasnąć... dajcie mi nieco téj siły co umie uśmiechać się do samotności, choroby i śmierci. Uczennice Chrystusa, połączcie się z Mistrzem waszym i powtórzcie mi w imię ewangelii i filozofii, iż czas porzucić rzeczy znikome, i że jedynym dziś przedmiotem myśli moich winna być praca poświęcona obowiązkom i Bogu.“

Cudzoziemiec po przeczytaniu powyższego monologu, nie ma nic do zarzucenia panu Cousin, prócz tego, iż mógł był mniej napuszystym stylem żegnać muzy, i z mniejszym żalem powracać do Boga i obowiązków—ale paryżanki, zazwyczaj z innego stanowiska zapatrujące się na płody literackie, do żywego dotknięte zostały tą deifikacją siedemnasto-wiecznych kobiet, tém bardziej, iż autor oświadcza wręcz bez ogródki *„że takich nie wjrzy więcej mężkie oko.“* „Któraś kobieta, mówi w inném znów miejscu, *jeżeli to miano jest jeszcze mianem czucia, szlachetności i delikatności i t. d.*“ Takich przysmaków pełno; nie dziwota, że nie mogły smakować ładnym usteczkom, i że wielbicielom ich natchnęły krwawe satyry. Ledwie książka opuściła prasę, ozwał się głośny śmiech krytyków zarzucających autorowi, że wszystkie jego wspaniałe frazesy przypominają, bajkę o owym lisie, który nie mogąc dostać winogron, wmawia w siebie, że kwaśne; że się otoczył martwemi ideałami siedemnastego wieku dla tego, iż żaden żywy, dziewiętnastowieczny ideał nań nie spojrzy; że prześladuje nazbyt cierpko kobiety naszych czasów, iżby niemożna dopatrzeć w tem obrażonej miłości własnej itd. itd.

Jakoż rzeczywiście, szanowny akademik tak często podnosi przeszłość kosztem teraźniejszości, iż możnaby go posadzić, że dla tego tylko malował niewiasty siedemnastego wieku, ażeby mógł wykazać niższość dzisiejszych. Nie zważając wszakże na tę stronniczość autora, co łatwo przyjdzie każdemu z nas, mianowicie jeżeli już doszedł do téj smutnej prawdy, że ani wtedy nie było, ani teraz niema na ziemi kobiet doskonałych, a to co zowią pięknosciami ich duszy jest najczęściej złudzeniem optycznym, lub zwierciadłem odbijającym ideał patrzącego — książka pana Cousin czyta się bardzo przyjemnie.

Ciekawy jest opis tej miłości platonicznej która po kardynale Richelieu miała pierwszy głos w sumieniu wstydliwego okrutnika; ciekawe są intrygi jakich używał kardynał do podniecania lub osłabiania wedle własnych widoków, tego dziwnego uczucia które wyrosło w królewskim sercu jak biała róża na śmieciisku. — Wszech potężny kardynał który trzymał w swém ręku losy Francyi, zajmował się niezmiernie tą sentymentalną idyllą; uorganizował osobną policję która mu donosiła każde słowo wymienione pomiędzy panią Hautefort a królem. Pani Hautefort zdawało się, iż jest dosyć silną ażeby mogła walczyć z żelazną ręką co naginała wszystko — jakoż długo walczyła szczęśliwie, ale w końcu złamaną została. Słaba wola kochanka niemogła jej zasłonić przed ciosem który wypadł z pod kardynalskiej purpury. Skazana na wygnanie, długie lata przesiedziała zdala od stolicy — na dwór powróciła dopiero po śmierci Richeliego. — Cała ta historia jest rodzajem dramatu, w którym nie bez wstępu widzimy religię i piękność służącą za narzędzie polityce.

Karr w swoim ostatnim *Bourdonnement*, napisał arcydowcipną satyrę na fajczarzy, w której dowodzi, że palenie tytoniu, pominawszy już wszystkie jego zgubne następstwa, jakoto: oddalanie nas od towarzystwa kobiet, grubienie zmysłów, odurzanie głowy, przytępienie umysłu, zatrucie powietrza którem oddychamy, itd. ma tę największą wadę, iż staje się potrzebą, a potrzeby są jedynym rzeczywistym tyranem człowieka. Potrzeby zrodziły zależność, konieczność ciągłej pracy i ubóstwo mass. Każde przyzwyczajenie jest powrozem przyczepionym do nogi człowieka, każda potrzeba łańcuchem. Pokolenie nasze zgubiły wymysły nowych potrzeb; *chleb powszedni* stał się teraz tak skomplikowany przez rozmaite potrawy i rujnujące zaprawy, jada się na takiej zastawie, na takich stołach i w takich apartamentach, że zdobyć go można tylko albo galerniczą pracą, albo służalstwem — ów chleb powszedni skomplikował się teraz tak dalece, że już nie Boga, ale diabła prosić o niego trzeba co rano.

Przedziwny artykuł powyższej treści, Karr zakończył powiastką pod tytułem: *Histoire morale du Serin de Canarie*, którą i ja list mój zamykam:

„Kanarek był kiedyś także mieszkańcem lasów; ale od czasu jak się przyuczył do biszkoptów, cukru i faworków, już nie mógł żyć wolny. Zdarza się jeszcze niekiedy że ujrawszy nie zamknięte drzwi klatki, żółty ptaszek instyktowo wychodzi z niej, leci na drzewo, siada na gałązce, strzepuje biedne podrętwiałe skrzydełka, śpiewa pewien rodzaj maluchnej Marseliez, i z przyjemnością oddycha nie przez kratę. Ale nadchodzi godzina śniadania: kanarek szuka swego żłóbka. Na drzewie niema żłóbka zawsze napełnionego ziarnem — szuka biszkoptów, cukru.... niema! Drzewa nierodzą biszkoptów ani rafinowanego cukru — ziarenka są wprawdzie, ale rozsiane na półmłowej przestrzeni; szuka więc i znajduje — ale znów trzeba pić, a strumień daleko!

„W tem właściciel spostrzega, że kanarek uciekł. Zakłada więc do porzuconej klatki kawał świeżego biszkoptu, większą miarkę siemienia i kawałek cukru innej formy — ptasznicy wiedzą, że to najpewniejszy samotrząsk na ptaszki.

„Okolo południa kanarek przestaje śpiewać; w parę godzin później już zupełnie sowieje, bo głodny i spragniony. Ziarna rozrzucone, woda daleko — z resztą i cukru już dawno nie jadł... noc nadchodzi, nie ma gdzie spać... gałęzie drzew chropowate, często koleczyste, urażają w łapki przywykłe do politrowanych prątków klatki. Nadto, jakże tu spać pod gołym niebem? może zjeść kot, oskubać ptak żarłoczny.... trzeba tylko drzemać jednem okiem a czuwać drugim. W klatce spało się tak bezpiecznie, twardo i smacznie!

„Tak rozmyślając kanarek powoli przysuwa się do klatki; wreszcie po niedługim wahanu pomiędzy klatką a niebezpieczną swobodą, wybiera: z wolną, nieprzymuszoną wolą wchodzi do klatki i poczyną śpiewać.

„O! młodzieży która masz nas zastąpić, nieprzyzwyczajaj się ani do cukru, ani do faworków, nie daj się owładnąć sztucznym potrzebom. Pamiętaj zawsze że mądry Diogenes spostrzegłszy raz dziecko pijące ręką, wrzucił swój kubek w morze, mówiąc: jeszcze jedna rzecz bez której mogą się obejść.

„Jestto przykład do którego trzeba zmierzać jak do białego punktu, kto chce trafić w tarczę. Ty, młode pokolenie, któremu niezadługo zostawimy społeczność i oświatę,

jeżeli nie będziesz lepszym od nas, nie zaczynaj przy-
najmniej od naszej zgrzybiałości. Badaj starannie każdą
rzecz ochrzczoną mianem potrzeby — pytaj każdej: po-
trzebo, jesteś ty rzeczywistą potrzebą? Przyjemności,
jesteś ty rzeczywistą przyjemnością? i jedną jak drugą
płać tylko tyle ile warta.“

Boulogne w październiku.

Niewiem czy was doszedł pierwszy mój list pisany
niby z Bononii francuskiej; bądź co bądź, piszę drugi.

Już to najprzód uczynić muszę uwagę, że jeżeli moda
jeżdżenia do wód, takie będzie robiła postępy jak w
tym roku, to się może i sprawdzą słowa poety, iż wszy-
scy ludzie są chorzy, a świat cały szpitalem. Wiecie
że ta moda szerzy się szczególnie między nami na pół-
nocy; powiadano mi, że na Renie, gdzie niegdyś pano-
wał niemal wyłącznie język angielski, w tym roku nie-
słyszano jak polski i rosyjski. Wszystkich para niosła
do Ostendy. Gdybyś ich zagabnął dla czego koniecz-
nie do Ostendy? odpowiedzieliby ci z niejakiem pomię-
szaniem: bo... bo... bo taki zwyczaj.

Ja co nie jestem niewolnikiem zwyczaju, co jeżdżę do
morza dla zdrowia, nie pod pretekstem zdrowia, co prze-
kładam spokojność nad liczne towarzystwo znajomych,
puściłem się w tutejsze strony. Jakoż kąpiele morskie
w Boulogne, kto wie czy nie są najwygodniejsze w ca-
łej Francji. Łożysko morza równe, gładkie, piaszczyste
ani jednego kamyka. Woda blisko brzegu, płytka, bez-
pieczna i szeroka; bałwany obfite i częste.

Temperatura w złych latach żywa, ale daleko zno-
śniejsza od Ostendzkiej i Scheveningskiej, bo więcej
zasłonięta od wiatrów północnych, przyrząd kąpielny
staranny, lekarzy dostatek, aptek co niemiara, na naj-
większą skalę. Woda do picia dobra, zawstydzająca
Ostendzką; wygody życia dostępne, artykuły żywności
wymienite.

Ktokolwiek w tym roku uciekał z Dieppe lub Trou-
ville, dla niesłuchanej drożyzny i niedostatku mieszkań,
znalazł tu przytułek jakiego pragnał. Miasto posiada do

80 hotelów rozmaitej rangi i mnóstwo mieszkań prywatnych. Hotele są tak drogie jak wszędzie, ale apartamenta prywatne, złożone z kilku pokoiów, niekosztują więcej jak 200—600 fr. miesięcznie. Kto niechce trzymać własnego gospodarstwa, płaci za dobry obiad w hotelu pospolicie 3 franki, bez wina. Za 12 biletów kąpielnych daje się 10 franków, (od dzieci 7 franków) licząc w to bieliznę, strój męski i żeński, i furmanki zawożące w głąb morza. Kto bierze kąpielnika, płaci mu naraz 10 sous, kobiecie połowę. Kto mieszka w odleglejszej części miasta, nie na tem nie traci, eleganckie omnibusy przejeżdżają się ustawicznie po głównych ulicach, a kurs nie kosztuje więcej jak 2 sous: wydatek wynadgradzający się tańszem mieszkaniem. Pamiętają i o bezpieczeństwie kąpiących się. Towarzystwo dobroczynności utrzymuje tu dom ratunku (*maison de sauvetage*) opatrzone we wszelkie przyrządy na przypadek nieszczęścia; a jego strażę niespuszczają z oka śmiółków którzyby zbyt cieżko oddalali się od brzegu. Jak wszędzie tak i tu ci tylko toną co umieją pływać.

Pomimo takiego komfortu, port Bułoński niewabi do siebie francuzów, a jeszcze mniej polaków. Pochodzi to ztąd, że obfitując we wszystko cokolwiek potrzebne do zdrowia i wygod, mało przedstawia sposobności do rozrywek. Czy to że zostawał długi czas pod panowaniem angielskiem, czy dla bliskości miejsca, Anglicy zrobili z niego swoją kolonią. Mieszka tu ich ciągle do 4000, bądź dla ekonomiki, bądź dla łatwiejszego wychowywania dzieci, a w dwójnasób tyle przybywa ich tu w porze letniej, przyprowadzając z sobą konie, pojazdy, a nawet i meble; przepływ z Anglii nie trwa i pół trzeciej godziny. Całe też miasto, składające się z 30,000 mieszkańców, urządzone jest niemal wyłącznie dla wygody Anglików i stosownie do ich obyczajów. Francuzi, co narzucają swój język całej Europie, ustępują tu pierwszeństwa sąsiadom, w własnym zakątku. Każdy francuz co łokciem mierzy lub funtem wazy, mówi po angielsku, obchodzi się nawet bez napisu, *english spoken*, a z tej swej anglomanii tak jest dumny i szczęśliwy, że jeżeli spytasz o towar po francuzku, mierzy cię okiem z dołu do góry, jakby chciał powiedzieć: „pocóż się tu zablakał, nie dla ciebie nasze

rzemiosło," francuzkę lub polkę zbywa czém tem, angielce podaje stólek. Gdziekolwiek spojrzysz, niewidzisz jak napisy angielskie: tu *Exchange*, tam *boarding house*, owdzie *Agent office — Steam company — velvet and silks — shoes and boots — circulating Library — dancing Academy — Sebastopol house* i t. d. i t. d. Wy-chodzi nawet raz na tydzień gazeta angielska.

I w rzeczy samej, głównem źródłem pomysłności miasta są anglicy, bo lubo znaczna ich część żyje tu dla oszczędności, zawsze stanowi najbogatszą warstwę towarzystwa. Daje się to widzieć na widowiskach publicznych. W teatrze francuzkim np. zastajesz niemal zawsze próżne ławki, i nieraz się zapytujesz, jakim sposobem antreprenier potrafi utrzymać równowagę w swoim budżecie; niechże się zjawi widowisko angielskie, a sala trzeszczy pod natłokiem lordów i miledych błyszczących blaskiem najmodniejszych toalet, pachnących wonią przepysznych bukietów.

Obok elementu angielskiego, każdy inny musi tu grać podrzędną rolę, której nieprzyjmują inni cudzoziemcy, a najmniej my polacy. My szczególnie mamy wstręt niezwykły do obyczajów angielskich. Anglicy są bardzo ostrożni w zabieraniu znajomości, ograniczają swe zabawy do kół domowych, lubią spokojność, pędzą życie podług form etykietałnych posuwanych częstokroć aż do śmieszności; to słowo *przyzwoitość* ma u nich powagę ewangelii; chociaż przy tém wszystkiém mają wielką cnotę, iż się z swą oryginalnością nienarzucają nikomu; dumni z własnej wolności, umieją szanować ją w drugich. My przeciwnie, lubimy weselość, lubimy zgiełk, huczne zabawy, serca nasze otwieramy pierwszemu lepszemu który do nich zajrzy, oburzamy się na wszelki przymus, ale też za to, powiedzmy sobie prawdę, kochamy wolność tylko dla siebie, naszą rachawością i krzykliwością częstokroć naprzykrzamy się innym, niepojmując nawet, aby to było jaką towarzyską wadą; przytoczę na dowód jedno zdarzenie.

W jednym z tutejszych hotelów, siadło raz do obiadu kilkadziesiąt osób rozmaitego narodu. Zabłąkało się między nich i kilku nas polaków, z których jeden siedział obok mnie na jednym końcu długiego stołu, drugi na drugim. Ledwie się wzięto do łyżek, mój sąsiad

rozpoczyna dialog po polsku, z siedzącym naprzeciwko siebie rodakiem, ale tonem tak głośnym, że całe towarzystwo z zadziwienia jeść przestało. „Zmiłuj się bracie — rzekłem do niego półgłosem — nie krzycz tak zwłaszcza językiem którego nikt nierozumie.“ — „Cóż to? — oburknął się na mnie — czy mam się wstydzić własnego języka?“ — „Uchowaj Boże! niewstydź się, tylko mów ciszej, albo swój dyalog zostaw na poobiedzie; wszak widzisz jaką na siebie zwracasz uwagę. Czy krzyczysz kiedy wchodzisz do kościoła? nie krzyczysz, bo byś ubliżał świętości miejsca. Czy krzyczysz kiedy wchodzisz na bal dworski, lub na jakie zgromadzenie dostojniejszych od siebie osób? niekrzyczysz, bo wiesz, że niższy ton mowy, tak obojętny na pozór, jest oznaką szanowania. Jeżeli więc krzyczysz tutaj w obec tylu nieznanych ci cudzoziemców, pokazujesz że ich nie masz za nic, a zatem ich obrażasz, co nie cechuje dobrego wychowania.“ Mój młodzieniec, (był to młodzieniec z Wielkopolski, po raz pierwszy podróżujący za granicą) chcąc niechcąc zamilkł na moje argumenta, i dzięki moim siwym włosom, nie miałem awantury.

Z tego wszystkiego wypływa, że do wód tatejszych nie mamy wielkiej atrakcyi. Kto tu z nas przyjeżdża, musi sam sobie wystarczać, a do podobnej rezygnacyi nie wszyscy posiadamy potrzebne usposobienie. Całą rozrywką gości, jest tu spacer na wąską groblę prowadzącą do latarni morskiej, widok snujących się po wybrzeżu factonów lordowskich i kawalkad wyśpiarek, oraz roje dzieci angielskich, postrojonych w najszybkowniejsze szaty. Dodają życia statki rybackie wysypujące codziennie swój połów przeznaczony do Paryża i ustawiczne pakiety parowe przywożące lub odwożące passażerów. Zastanowiła mnie tu jedna okoliczność. Rozwożeniem bagażów pasażerskich trudnią się same kobiety. Z razu przypisałem to przypadkowi, lecz później dowiedziałem się, że to jest przywilej wdów po rybakach, składających tu najuboższą klasę mieszkanców. Kiedy się zważy, że tędy co rok przejeżdża kilkadziesiąt tysięcy passażerów, i że każdy zostawia nie mniej jak półtora franka za przewożenie swych rzeczy, napróżd do komory celnej a potem do gospód; powinnować należy

zwierzchności miejscowej, iż wynalazła raz na zawsze tak piękny grosz wdowi. Żaden mężczyzna niemoże dotknąć się kufra, każdy szukać musi innego zarobku i łatwo go znajdzie.

Miasto samo mało się przykłada do rozrywek gości; karmi ich, choduje i leczy, ale nie bawi. Na wieczorne schadzki jest tu tylko jedna sala konwersacyjna w zakładzie kąpielnym, w której parę razy na tydzień dają bale, ale wszystko się kończy na skokach dzieciennych. Dojrzałe towarzystwo unika spotkania osób podejrzanych, choć może niesłusznie. Magistrat wyprawia niekiedy fety pod gołem niebem, ale i te, jedynie dla dzieci. Teatr miejscowy nieosobliwy; nie tyle dla braku zdolnych subiektów, jak dla nędznego pomieszczenia po spaleniu dawnego gmachu, schronić się musiał do tymczasowej szopy. Mówiłem że na widowiska angielskie jest zawsze tłok, wspomnieć jeszcze muszę, do jakiego stopnia nadużywają tu łatwowierności anglików.

Pewnego dnia ujrzeliśmy po rogach ulic kolosalne afisze z napisem *great attraction* (sic) zapowiadające widowisko amatorskie na korzyść pewnej ubogiej rodziny, a pomiędzy aktorami same imiona historyczne. Był to dostateczny bodziec do ściągnięcia licznych widzów, a na ich czele całego kwiatu towarzystwa. Tymczasem zaraz na wstępie, ukazał się aktor z doniesieniem, iż wydrukowani na afiszu lordowie i gentlemany dla nagłej słabości zdrowia wymówili się od ról, publiczność zatem daruje iż będą zastąpieni przez inne osoby. Wystąpili tedy owi zastępcy, ale cóż na to powiecie? żaden z nich nieumiał roli, każdy trzymał kartkę w ręku z której jakając się, rzecz recytował, dodajcie do tego nieprzystojny ubiór, maniery pełne zakostwa, pustoty i efronterii, a pojmiecie jakie było *desappointement* modnego świata. Francuzi byliby aktorów jabłkami wypędzili ze sceny, niezważając na ich charakter amatorski, ale publiczność angielska przez wzgląd na rodaków i wysokie uczucie przyzwoitości, niechciała posuwać swego gniewu do tak energicznych kroków. Odezwały się tu i owdzie to śmiechy politowania, to napomnienia *Manners! Manners!* (obyczajność! obyczajność!) zresztą nikt nie dotrwał do końca, i każdy wyszedł, przysięgając, iż się drugi raz złapać nie da. Po-

kazało się, że to była mistyfikacya wymyślona przez kilku angielskich studentów, dla zebrania pieniędzy. Czy te poszły na cel przeznaczony? o tem zapewne władzy miejscowej wiadomo.

Mieliśmy tu i drugie dość oryginalne widowisko z któregoby Kraków był uszczęśliwiony. Niejaki pan Lewis tytułujący się *Afrykańskim Mesmerystą*, ogłosił na korzyść szkół, prelekcję o zwierzęcym magnetyzmie, obiecując zastosować go praktycznie do tańczących stolików i wywoływania duchów. Jest to w istocie murzyn w stroju europejskim, posiadający doskonale język angielski i wielką w wykładzie wprawę. Obietnica doświadczeń ze stolikami, sprowadziła mu liczne towarzysztwo, szczególnież niewieście. Dopóki tłómaczył teorię magnetyzmu, przyklaskiwano mu rzesisto, ale gdy przyszło do doświadczeń, porwały się nici. Chciał uspić widzów to spojrzeniem, to muzyką, sypał iskry z oka, wyciągał ręce, upatrywał ofiary, ale nikogo niezachwiał. Z niewolony do robienia doświadczeń na własnych współnikach, usypiał ich jednym dotknięciem palców, rozciągał ich na podłodze, zapytywał czy wierzą że śpią, trzyumfował z odpowiedzi, ale z niecierpliwości widzów mógł zgadnąć, że ta przedewszystkiem pragnie stolików i duchów. Przystąpił tedy i do tej materji, zapraszając publiczność aby delegowała kogo z grona swego do zajęcia miejsca przy stoliku, ale o zgrozo! żaden gentleman, żadna milady poświęcić się nieraczyli; prosił, błagał, zaklinał, perswadował, nic niepomogło, mówił do głazów, czem obrażony oświadczył, iż niechcąc uchodzić za szarlatana, na ten raz posiedzenie zamyka. A że to wszystko trwało niezmiernie długo, każdy wziął chętnie za czapkę, i wyszedł na wpół śpiący, nie z magnetyzmu ale z nudów.

Cóż wam jeszcze powiem o tutejszém mieście? Dla literata jest biblioteka, dla naturalisty muzeum zoologiczne, w którym wszystkiego po troszku. Dla archeologa i dla artysty nic prawie. Angielki zajmują się tu połowem ryb i albumami, ale nienapotykać nic więcej jak sieci rybackie, żagle lub pudła popsutych łodzi. Okolica piaszczysta, pagórkowata, prócz nagiej przestrzeni morza, nie przedstawia nic malowniczego.

Nadaremniebyś szukał starożytnych budowli lub historycznych pamiątek. Snują się tu cienie legionów rzymskich, Karola Wgo, Gotfreda de Bouillon, Henryka VIII., Franciszka I. ale namacalnych świadectw ich bytności, niemasz ani śladu, wszystko zatarta ręka czasu. Na sławném polu *złotych namiotów*, (*champ du drap d'or*) rosną ziemniaki i koniczyna. O tutejszej okolicy trzeba czytać, a nie na nią patrzeć. Jedyłą ciekawością, wabiącą dziś turystów, jest kolumna Napoleona I. wystawiona w r. 1804 na pamiątkę armii zgromadzonej na podbicie Anglii, i puste baraki świeżo opuszczonego obozu, którego równie wielkie przeznaczenie poszło z dymem, z powodu nagle podpiśanego pokoju.

Na tem kończę mój opis. Gdyby kto u was chciał jechać do tutejszego morza, powiedźcie mu, że znajdzie wygodę, znajdzie przystępne ceny, znajdzie może i zdrowie, ale gdyby szukał czego innego, niech się daremnie nie trudzi.

Londyn w Październiku.

We wrześniu rozpoczęto kursa naukowe w instytucjach mechanicznych, o których często wam wspominałem, i te ciągną się do maja.

W samych początkach przy zawiązaniu się tych instytucyj lat temu niespełna 40, najwięcej ochotnicy wykładali dla ludu przedmioty, jakich potrzebę uznawali; lecz za rozwinięciem się ich w latach ostatnich, dla zachowania większej regularności w odczytach, uznano za rzecz dogodniejszą, mieć w nich na nauczycieli stałe i płatne osoby, a znane z biegłości w różnych gałęziach umiejętności i nauk równie jak z popularnego ich wykładu. Ochotnicy wprawdzie i teraz nie są odrzucani, i często można widzieć lordów i członków parlamentu występujących w roli profesorów; lecz tamci właściwie są z powołania uprzywilejowanem na to ciałem. Oni żyją z tego, są wędrowni i jeżdżą od jednego instytutu do drugiego gdzie ich zamawiają do dawania odczytów;— mówię odczytów, bo ten wyraz zdaje się być przez was przyjęty zamiast prelekcyi, chociaż właściwie, rzadko

któ z nich odczytuje z pisma, lubo i tego nie wyłącza się, lecz pospolicie ustnie swój przedmiot wyklada, jakby improwizacyę. Taki sposób uważany jest za stosowniejszy, przemawiając do prostego ludu, i nauka przystępniejszą staje się do pojęcia.

Dla tego co wy nazywacie odczytem, a oni lekturą, nie jest ani jednym ani drugim, ale właściwiej możnaby nazwać rozprawą, albo raczej rozprawianiem, a to tem bardziej, gdyż po skończonym wykładzie zwykle następuje dyskusya między wykładającemi przedmiot a jego słuchaczami, w sposób jak się odbywają dysputy uniwersyteckie. Wykład przedmiotu zajmuje półtory do dwóch godzin czasu, a po nim dyskusya rzadko kiedy dłużej nad kwadrans. Dyskusye prowadzą się z przystoitością, unikając wszelkiej obrazy; inaczej przydują głos odbiera.

Uczęszczają do instytutów równie mężczyźni jak kobiety; na literackich i muzykalnych przedmiotach jak uważałem, liczba ostatnich bywa nawet znaczniejszą.

Na większą część odczytów członkowie instytutu wchozą darmo, a na kosztowniejsze, jako koncerty dawane przez znakomitych artystów stolicy, za pewne opłaty, i każdy członek ma wtedy prawo, wprowadzić jedną osobę nieczłonka za podwójną opłatą biletu; Instytut mechaniczny w Manchester uchodzi za najliczniejszy, liczba członków wynosi przeszło 4,000.

Każdy instytut choćby najmniejszy, ma swą bibliotekę, gabinet historyi naturalnej i innych ciekawości. Utrzymuje pisma peryodyczne i gazety, bo dla wszystkich przyjęta jedna zasada, i też same wszędzie znajdują się urządzenia. Wszystkich ma być do 900 w całym kraju; kompletna rzeczpospolita uczona, niezależna od żadnej władzy; komitety i prezesowie obierani bywają corocznie. Zważając na mnóstwo tych instytutów, i oraz na przedmioty w nich wykładane, lubo nie co dzień, ale podług reguły najmniej raz na tydzień, i dla słuchaczy płci obojej, starszych i młodych, najchęćiej od 300 do 500 osób w przecięciu a czasem nawet do 1000 z górą, jaka to masa oświaty staje się udziałem ludu!... A przecież są to tylko zaczątki, ziarnka rzucane, które mają na przyszłość rozwinać się

w plon. Drzewo wiadomości wzrasta, daj nam Boże, rozeznanie dobrego od złego.

W tych dniach byłem na jednej takiej rozprawie w instytucie, przedmiotem jej były lody — nie kra, ale góry lodowe i to nawet nie północnej półkuli, co bliżej nas; ale lodów pod biegunem południowym. Wykład o nich dawał pan Towson. Poznanie natury tych lodów nader jest ważnem dla żeglugi. Niedawno słyszeliśmy, że Ks. Napoleon zmuszony był zaniechać dalszych swych badań pod biegunem północnym, z powodu zbyt dużego napływu lodów ku południowi, a które na Europę tyle zimna pod koniec lipca były naniósł. Według pana Towson, mają one w większych nierównie masach znajdować się na półkuli południowej niż na północnej, i dalej się rozciągać ku równikowi.

Lodów tych dwa są gatunki: jedne tworzą się od wielkiego zimna pod biegunami i pływają na powierzchni wody jak kra w bryłach — te, choć są zawadą dla żeglugi, nie grożą wielkiem niebezpieczeństwem okrętom, drugie są góry lodowe (*icebergs*) pływające w bliskości obu biegunów po morzu, sterczące wysoko po nad jego powierzchnią.

Natura ich tajemnicza, trudno się do nich zbliżyć i zbadać, bo niebezpieczno. Nie są one jak pierwsze kra, ani powstały jak kra z zmrózzonej morskiej wody, bo morska woda jest słona, gdy przeciwnie formacja olbrzymiej wielkości gór lodowych, nie jest ze słonej, lecz ze słodkiej zwyczajnej wody. Wnoszą więc ztąd — gdyż niemożna inaczej wytłómaczyć tej cudownej tajemnicy natury, chyba tym domysłem, iż te pływające góry lodowe, których skład ma być ten sam co lodów *glaciers*, w Alpach ze śniegów utworzonych, a zsuwających się w doliny, były nie czem innem jak tylko odłamkami gór, znajdujących się tuż pod obydwoima biegunami. Ależ jakie to były odłamki! Dość tu dać opis jednego, jaki w drodze do Australii, przy okrażeniu przylądka Dobrej Nadziei o 200 mil angielskich od brzegów Afrykańskich, zdarzyło się widzieć. Był to szereg gór lodowych pływających na morzu, rozciągający się w kształcie półpodkowy, na 80 mil angielskich, (około 20 mil polskich) wzdłuż. Jedne większe, drugie mniejsze, jakby ogniwa łańcucha leżały nieprzerwanie i tuż

wedle siebie. Prawie w samym środku tej półpodkowy był przedział i zdawało się, że morze tam wolne. Ta ciałnina parowiec angielski próbował przepłynąć w swej drodze do Australii, lecz zbliżywszy się do niej znalazł na kilka stóp w głębi pod wodą grubą masę lodu, która stawiała mu nieprzebytą zaporę do przejścia. Widać było, że te obie połowy łańcucha gór lodowych, które na pierwszy rzut oka wydawały się być rozdzielone, trzymały się razem, składając jedną nierozdzieloną masę lodu, niebezpieczną dla żeglugi; jakoż właśnie tam przed niejakiem czasem jeden okręt był się rozbił.

Góry te były różnego kształtu i wielkości, większa ich część od 100 do 200 stóp wysokości nad powierzchnią morza, a jedna najogromniejsza miała blisko 300 stóp. Jak głęboko zaś zanurzone były pod powierzchnią morza, to podobno zostanie wieczną tajemnicą, lubo niektóre podobne pod północnym biegunem starano się zmierzyć, lecz one tam bywają nierównie mniejsze. Szerokość zaś tego łańcucha zajmowała w poprzek do 20 mil ang. czyli $4\frac{1}{4}$ mil polskich. W obec takiej masy, czyli krainy lodów, acz tylko w wyobraźni, na samą myśl o nich aż się nam obecnym w sali chłodno zrobiło, lubo na dworze był upał. Zdjęto fotografię, z tego zjawiska którą p. Towson przyniósł z sobą na pokazanie. Miano też na podoręczu stereoskop, aby za pomocą jego wszystko dostateczniej widzieć i pojąć. Spojrzawszy przezeń na fotografię tę najwierniejszą rysowniczkę przyrody, przedstawiały mi się w perspektywie bliskiej i w nieprzejrzanej dali, sterczące góry, wąwozy, przepaście, tak jakbyście sobie wyobrazić mogli Karpaty wśród zimy, kiedy szczyty ich, urwiska skał, doliny i lasy są nasute śniegiem, bielejące jakby od śmiertelnej koszuli, pod którą cała natura z tem co żyje legła pogrzebaną. W niektórych miejscach dały się postrzegać jakby stawy i jeziora: bo te góry lodów przyplływawszy pod szerokość zwrotników, z czasem tają od ciepła, tworzą jeziora słodkiej wody, i w końcu — ale lat wielu na to trzeba — rozplływają się w oceanie. Sąsiedztwo ich łatwo rozpoznać, bo od legowisk ich wionie naokoło przenikające zimno, albo raczej zima, i termometr znacznie spada. Dziwna rzecz, że one na południowym półkolu znajdują się aż pod 40 stopniem szerokości geograficznej, co

z górami lodowatego morza północnego jest bez przykładu, gdyż przez to klimat całej Europy byłby znacznie zmieniony. A ponieważ góry te wielce są niebezpieczne dla żeglugi do Australii, którą w tej porze Anglia osadami swemi załudnia; przeto p. Towson przysłużył wielką przyniosł nie tylko dla Anglii ale w ogóle dla żeglugi wszystkich narodów handel prowadzących, że wynalazł w szerokościach wyższych i ku biegunowi zbliżonych inną bezpieczniejszą drogę do Australii, a na której lubo ta jest dłuższą, takich gór lodowatych nie spotyka się, i okręty nierównie rychlej tam zawijają. Drogę tę nową wynalezioną przez siebie nazwał wielką okrężną żeglugą (Great Circle Sailing) i opisał ją w dziełku wydanem r. 1848 pod tym tytułem. Pan Towson o którym tu tyle piszę, był prostym mechanikiem w królewskich dokach w Devonporcie; lecz przysługa jaką przez swe odkrycie zrobił dla żeglugi, przywiodła go do fortuny i poważania w kupieckich gronach. Kupcy z Liverpoolu prowadzący handel z Australią, uznając jego przysługi dla żeglarstwa, przeznaczili mu znaczną nagrodę i dożywotnią pensję, tak że mógł się rzucić swej służby i zoldu w rządowych dokach. Nagrody które zasłużeni ludzie otrzymują od rządu angielskiego, bywają w ogólności małe i prawie niczem w porównaniu z temi jakie zyskują się od publiczności. Niezmierzony to daje popęd w naukach i sztukach, ale zarazem i utrudnia zawodnictwo.

Na innem znów posiedzeniu instytutu mechanicznego była rzecz o Szekspirze, wszystkie bowiem odczyty w tych zakładach bywają w wieczornych godzinach jako wolnych od pracy dla ludu. Sala z galerią na okół, obejmowała z górą do tysiąca słuchaczy: mężczyzn, kobiet i dorosłych i młodzieży, aby słuchać co się powie o ulubionym swym dramatycznym poecie. Pan Dawson, jedzą z owych wędrownych lektorów o których powyżej wspomniałem, zjechał był umyślnie, by udzielić bliższej wiadomości o ulubionym pisarzu. William Shakespeare tj. Szekspir, jakśmy jego imię z wymawiania sobie spolszczyli, urodził się dnia 23 kwietnia roku 1564 w Stratfordzie nad Awonem, dziwnem zdarzeniem umarł w samą rocznicę swych urodzin r. 1616. Synem był rzeźnika, i dom w którym się urodził, starannie

jest dotychczas zachowywany — z resztą mało o nim z pewnością wiadomo. Pierwsza historyczna wzmianka o Szekspirze znajduje się z roku 1589, gdzie mowa o nim, jako o jednym z właścicieli teatru londyńskiego na *Blackfriars*, kiedy miał 25 lat wieku. Wtenczas to pewno miał on sposobność rozwinąć swój geniusz dramatyczny, i musiał już dobrze być z utworów swych znanym, kiedy we trzy lat później r. 1592, wywołał na siebie zawiść zjadliwego krytyka, niejakiego Roberta Greene, który wyszydzał niewiązane jego wiersze, jako bombastyczne i obmawiał go nawet o grabieże na swych poprzednikach popełnione. Szydlerczo nazywa on Szekspira podlotną wroną (*upstart crow*) przystrojoną w cudze pióra. „Z tygrysiem sercem w kuglarza szubie;“ mieni go być Totumfackim (*Johannes Factotum*), a nagrawając się z nazwiska jego i profesyi aktorskiej, przezywa go zarozumiałym w kraju Trzęsi-sceną (*Shake-scene*.) Lecz jak na przekor zawistnym krytykom, Szekspir nie przestawał coraz bardziej wzbijać się w sławę i wziętość, tak że w sześć lat później przez jednego z ówczesnych krytyków ogłoszony został największym z dramatyków angielskich w tragedyi równie jak w komedyi. Zdaje się atoli, iż więcej słynał on z dzieł swych jako pisarz, niżeli z gry aktorskiej, kiedy w czasie przedstawienia najszczytniejszego z utworów swoich jakim jest „Hamlet“, tylko do tak podrzędnej roli jak duch, Hamleta był używany. Wrażenie wszakże jakie Szekspir wystąpieniem swem w tej roli sprawiał na widzach musiało być niepospolite. I któż potrafiłby ją lepiej wydać, jak ów co będąc weświecony w tajemnice duchów, pojęcia umysłowego świata tak trafnie umiał uzmysławiać? Całe siły wielkiej jego duszy musiały być ześrodkowane na wydanie tej podziemnej, a przecie nadziemskiej roli. Lecz mówię o tem nawiasem, jako mogące być przydatnem dla czytelników polskich. Lektor Dawson jako przemawiający do publiczności angielskiej obeznanej i z życiem poety i umiejacej pisma jego na pamięć, niewidział potrzeby nad niemi wiele się rozwodzić, pominął je więc całkiem jako rzecz zbyteczną, a całą uwagę zwrócił na krytykę — nie na krytykę samego Szekspira, bo to byłoby bluźnierstwem, jakiego by nikt z słuchaczy nie mógł znieść, ani by mu jej też.

darował, ale na krytykę tych, którzy śmieli Szekspira krytykować. Naprzód ostro powstawał na tych co jego pisma niedbale wydawali, a potem na tych, co zepsuty tekst poprawić chcieli. Pierwszymi wydawcami niektórych sztuk Szekspira byli właśni jego współaktorowie i jak się zdaje wydali je z niedokładnych kopij, jakie się w ich repertoarze teatralnym znajdowały. Wyszły one bez jego wiedzy — bo Szekspir sam mało podobno dbał o swe pisma — z mnóstwem omyłek drukarskich, bez zachowania właściwej interpunkcyi; wiersze były często-króć drukowane w jednym ciągu jak proza, proza jak wiersze. Niedbałość ta tem bardziej nie jest do darowania, zwłaszcza że rękopisy Szekspira ile ich się dochoowało, są pisane wyraźnie, czysto i nawet piękną ręką. W ten sposób wiele z utworów jego wyszło z druku, niektóre pojedynczo w całości, inne tylko w urw-kach za jego życia, t. j. począwszy od roku 1593, w którym egzemplarz jego „Tytusa Andronika“ podług zwyczaju aż do dziś dnia używanego, był złożony w *Stationers Hall*. Tragedya „Hamlet“ była tamże złożona r. 1602, lecz był to pierwszy jej zarys, bo drugie jej wydanie rozszerzone niemal o połowę więcej i doskonalej wypracowane, wyszło dopiero roku 1604. Jest to Hamlet, w tym kształcie jakiego dziś posiadamy. Nastąpiły potem inne wydania: „Król Lear“ r. 1608, a „Troilus i Kresyda“ tudzież „Perykles“ r. 1609. „Ottelo“ wydany dopiero 1622, to jest w sześć lat po śmierci autora. W rok później, r. 1623, wyszedł nakoniec zbiór wszystkich dzieł jego, in *folio*, nieoceniony skarb, przewyższający wartością wszystko, co kiedykolwiek przed nim było pisane dla teatru.

Pierwotne wydania Szekspira zaginęły z tych samych przyczyn, z jakich u nas tyle dzieł z wieku zygmunto-wskiego zatracono. Ile zaś teraz są cenione, dość mi przywieść na przykład to, co w obecnej chwili literatów angielskich mocno zajęło. Jeden tylko egzemplarz „Hamleta“ z roku 1602 był im znany, znajdujący się w zbiorach zabytków księgarskich u księcia Devonshire. Był on ułomny, bo brakowało w nim ostatniej karty. Drugi teraz odkryto egzemplarz drukowany tegoż Hamleta, w pierwotnym, jak go Szekspir był ułożył zarysie, lecz bez początkowej karty, a zresztą dochowany w ca-

łości, i z ostatnią na szczęście, której w pierwszym wydaniu brakowało. Wielka radość między bibliofilami, że wydanie Hamleta, posiadają całkowite. Egzemplarz ten drugi, zawierający pierwszy pomysł i niejako tylko szkic do Hamleta nabył pan J. Halliwell do swego zbioru, za 120 funt. szter. — niemała to summa za kilkanaście kartek dawnego druku. Rzadkość zabytku uczyniła go tak drogim. Łatwo ztąd pojmiecie, ile Anglicy przywiązują ceny do wszystkiego, co pochodzi od Szekspira. Hamlet bezwątpienia jest największym z jego wielorakich utworów.

Szekspir miał później rozmaitych wydawców i komentatorów, a w ich liczbie nawet takich, jak poeta Pope, Warburton, Johnson i Melon. Każdy z nich — jak p. Dawson dowodził — coś z tekstu, według swego widzimisię przeistoczył, słowa i całe sentencje przemieniały niby poprawiał, a w istocie psuł. Pochodziło to częścią z niezrozumienia poety, a częścią z pedantycznej zarozumiałości opierającej się na klasycznych wzorach. I tak, Jackson drukarz, który r. 1825 najlepszą ze wszystkich edycję Szekspira wydał, lubo w przedmowie do niej utrzymywał że tekst oryginału jak najsumienniejszanował, przyznał się przecie do 700 poprawek przez siebie zrobionych. Wydawca Seymour któremu wiersz poety nie podobał się, poprzerabiał go całego na dziesięć zgłoskowy czyli tak zwany aleksandryjski. Jedni wydawali różne sztuki z zastosowaniem do reprezentacji na scenie, wyrzucając z nich to co się zdawało mniej potrzebnem lub rażącym dla widzów, drudzy robili wydania dla młodzieży — *editiones expurgatas*, jak zwyczajem było drukować klasyków rzymskich we Francji *in usum Delphini* — okrzęsując sztuki Szekspira z miejsc rażących rubasznnością, wywołujących rumieniec, i według ich zdania, przeciwnych moralności. Społeczność cała wieku osiemnastego, tak angielska jak innych krajów, była ukształcona na francuzkich wzorach i pojęciach — uczeni i piszący nicznali i znać nie chcieli innych arcydzieł prócz greekich i rzymskich, lub podobieństwo do nich mających, słowem, byli klasykami, a Szekspir był Gotem, wyobrazicielem nie słonecznego południa, lecz pochmurnej północy — tłumaczem pojęć, uczuć i podań brytańsko-skandynawskim pokoleniom

właściwych. Równy on tak od klasyków jak architektura gotycka różni się od greckiej, włoskiej lub francuskiej. Dla tego niedziw, że nie był od nich zrozumiany. Sam Milton, wzniosły autor „Raju utraconego“ nazywa utwory jego leśno-dziką nutą (*wood notes wild*) później Thomson, śpiewak „Pół Roku“, przypisując mu podobnież dzikość, zowie go po prostu dzikim (*wild Shakespeare*). Jeżeli taki sąd wydawali o nim anglicy, oż tedy mówić o cudzoziemcach, a zwłaszcza o francuzach, u których klasycyam znajdował najdlużej swój przybytek i miał najliczniejszych czcicieli. Według zdania Woltera, Szekspir był potwornym barbarzyńskim poetą. Nieinaczej też zapatrywał się Ducis na jego tragedye, tłumacząc je, albo raczej okrzestując na cywilizowany język i ucywilizowany teatr francuski. Usuwał on duchy, mordercy, grabarzy, czarownice, całkiem ze sceny za kulisy, aby ich dziką postacią nieobrażać poleowanego zgromadzenia widzów; odmieniał, by się im przypodobać, same nazwiska osób dramatu na inne jako lepiej brzmiące dla spieszzonego francuzkiego ucha, i ubierał bohaterów w peruki, koronki i mankiety. Nikt nieumiał doskonałej robić parodyi z Szekspira jak p. Ducis — był on w tam mistrzem. A przecież u nas nieznaliśmy Szekspira jak tylko z bazarzania francuzkiego przerabiacza.

Wieszając przeto literaturze polskiej, że ten wielki dramatyk angielski znajduje w tej chwili u nas niejednego, ale kilku naraz tłumaczów. Przez siłność swą potrafią oni przecie zatrzeć tę plamę w literaturze i zapełnią istniejącą dotąd próżnię. Z pomiędzy wszystkich krytyków, Niemcy najwięcej oddali należną sprawiedliwość Szekspirowi, mianowicie Schlegel, który zgłębiwszy dostatecznie ducha jego utworów, nie tylko je dobrze przełożył, ale i samego autora wyjaśnił. Geniusz ma swe wewnętrzne prawa, którym się rzadzi: trudno i nie należy mu nauczać innych z obcych wzorów lub z mody, ani z nich wyrokować o jego utworach. Szekspir nie był Eschilem ani Eurypidesem — a mniej jeszcze Kornelem lub Raszynem, naśladowcami tragiczków greckich, ale był tem czego po nim geniusz północny i plemienna jego narodowość wymagała. Wyobrażenia i obyczaje, historia i legendy ludu północnej sfery były jego tematem; na nich osnawał „Leara“, „Makbeta“ i „Hamleta“.

swych „Henryków“ i „Ryszarda III.“ Nie pominął on Greków i Rzymian, na dowód czego jest jego „Perykles“ i „Timon ateński“, „Koryolan“, „Juliusz Cezar“, „Antoniusz i Kleopatra“; na każdym z nich jednak tak silnie wycisnął swego ducha piętno, iż je Anglii przyswoił, unarodowił. Niepominął także dziejów potężnych wówczas rzeczpospolitych włoskich, dowodem tego: „Kupiec wenecki“ żyd, „Otello“, „Romeo i Julia.“ Najpospolitsze zdarzenia życia nie uszły jego uwagi i osnawał na nich liczne swoje komedye, w których uosabiał różne śmieszności i przywary wieku w istotach takich jak Malvolio, Shallow, Dogberry, Tonchstone i Falstaff, który rozweselał swym dowcipem tak jak wino.

W co tylko ludność na północy wierzyła, i nawet co było czystym utworem własnej jego bujnej wyobraźni, jako: czarownice, Ariel, Caliban — to wszystko na widownię wyprowadzał; bo uniwersalność jest udziałem geniusza. Uniwersalnością tą przeszedł Szekspir swych poprzedników i nie znajdujemy równych mu następców. Przekłady jego sztuk dramatycznych znajdują się we wszystkich główniejszych językach europejskich. W tych dniach dowiedziałem się, że Juliusz Cezar prześlomaczony został na francuzkie, rozumie się poprawniej, by się nie wstydzic za p. Ducia. Drugi zaś przekład tej tragedyi gotuje Anglik powien w języku łacińskim. I tak za lepszym pojęciem rzeczy i zdrowszym smakiem, widzimy północny getyzm, albo jak go inaczej zowią, romantyzm, występujący teraz w kroju i w mowie południowego klasycyzmu. Ciekawą rzeczą co by na taką przemianę pomyślał *Populus Romanus*, ów lud rzymski, przyzwyczajony słyszeć na swej widowni Plauta i Terencyusza, i jakby przyjął owe słowa przez brytyjskiego tragika, włożone w usta Brutusa, przemawiającego do ludu: „*Not that I loved Caesar less, but that I loved Rome more. As Caesar loved me, I weep for him; as he was fortunate, I rejoice at it; as he was valiant, I honour him; but, as he was ambitious, I slew him. There is tears, for his love; joy for his fortune, honour for his valour; and death for his ambition. Who is here so base, that would be a bondman? If any, speak; for him have I offended. Who is here so rude, that would not be a Roman? If any speak; for him I have offended.*“

Who is here so vile, that will not love his country?..“*)

Ta mowa tak trafiła, podług Szekspira, do przekonania Rzymian, że nie tylko przyjęta była z powszechnym okrzykiem, ale nadto powstały wołania: „żeby nikt po niej słowa nie mówił.“ Po Szekspirze Wolter pisał Cezara, lecz gdy go się przeczyta, lubo Wolter miał wzór angielski przed sobą i mógł z niego korzystać, — wydaje się ckliwą jego parodyą. Tak angielski Cezar nad francuzkim góruje.

Powiedziawszy tyle o poezyi i o poetach, pozwólcie mi cokolwiek dodać o naukach ścisłych. Obszary ich w naszym wieku rozległy. Mam tu na myśli najnowszą i najważniejszą ich zdobycz: *Telegrafy elektryczne*. Wypada mi o nich mówić z okazji uczytanej tu przed niewiele dniami dla profesora Morse, któremu Ameryka zawdzięcza urządzenie telegrafów swych w różnych kierunkach na 40,000 mil angielskich, a którego system w całej już zaprowadzony Europie. Zajmuje się on teraz połączeniem telegrafem Anglii z Ameryką przez morze Atlantyczne, prowadząc drut z Irlandyi do Newfoundland, gdzie Ameryka i Europa najbliższe siebie, a morze najmniej głębokie. Drut na ten cel już przygotowany, leży zwinięty — dno morza, jego wzgórza, zakłębłości i równiny głębin, są zbadane na całej linii, którą ten misterny drut ma być puszczoney. Drugi podobny telegraf, jak wam wiadomo, przygotowuje się na morzu śródziemnem, dla połączenia Europy z Afryką; a trzeci uprojektowany w Anglii na wschód, dla komunikacyi z Indyami wschodniemi. W ten sposób rzucają się fundamenta do szybkich komunikacyj na całej kuli ziemskiej, szybszych niż kolej żelazna, gdyż ta służy tylko dla ciała i materyi, gdy przeciwnie tamte mają służyć dla myśli i ducha. Są to jeszcze same początki

*) „Nie iżem mniej kochał Cezara, lecz żem Raym więcej kochał. Że Cezar mię kochał, płaczę za nim; że był szczęśliwy, cieszę się z tego; że był walecznym, szanuję go; lecz że był wyniosłym, szlifem go. Mam więc żzy dla jego miłości; radość dla jego szczęścia, cześć dla jego waleczności, a śmierć dla jego wyniosłości. Któż jest tu tak nikczemnym, coby chciał być poddanym? Jeśli jest, niech przemówi, bom go obraził. Któż jest tu tak nieokrzesanym, coby nie chciał być Rzymianinem? Jeśli jest, niech przemówi, bom go obraził. Któż jest tu tak podłym, coby nie kochał swojej ojczyzny?...“

telegrafów, które z czasem obejmą całą ziemię w swą sieć; a wtedy myśl błyskawicą rozlatywać się będzie po jej przestrzeniach, sięgając najodleglejszych ich krańców. Siła elektryczności należy bezwątpienia do najcudowniejszych w przyrodzeniu, a użycie jej do telegrafów jest tryumfem umiejętności naszego wieku. Nie wie świat uczony komu przyznać palmę tego wynalazku: spór zacięty o to się toczył w dziennikach. Ile z mów przy obiedzie mianych wyrozumieć było można, przypisuje się on jednocześnie trzem lub czterem osobom, między którymi na czele stawiany był prof. Wheatstone; wspomnienie też zrobiono o Oesterdzie duńczyku, jakoby on był świadomym teorii telegrafów. Przedmiot ten zostaje więc niewyjaśniony, a profesor Wheatstone choć zaproszony, nie był na obiedzie.

On jeden mógłby może najlepiej tę zagadkę rozstrzygnąć. W całej tej sprawie można to powiedzieć, że jedni niezawodnie przyczynili się więcej do teorii, a drudzy więcej zastosowaniem jej w praktyce. Prof. Morse w mowie swój mianej na uczcie a nacechowanej skromnością, jaka przystoi prawdziwej zasłudze, nieprzypisywał sobie żadnej chwały pod względem teorii, niepoliczając się do pierwszych jej wynalazców; lecz ze jedynie starał się ją zastosować do potrzeb życia. Mówił on o sobie skromnie, że człowieka przeznaczeniem jest być narzędziem dobrego, jeżeli tylko chce dopełnić swego posłannictwa. Temu co mu dał popęd i wskazał cel, należy wszelka cześć i zaszczyt. Dla niego samego jako narzędzia, dość zaszczytu, że jest współpracownikiem w podrzędnej sferze w celach tak zbawiennych dla świata.

Kiedy taka niepewność panuje w tak ważnym przedmiocie i kiedy spór wiedzie się o wynalazek teorii tak ważnej jak telegrafu elektrycznego, gdy go odmawia sam sobie prof. Wheatstone, któremu go przysadzają, iż wynalazek ten w Anglii w praktykę wprowadził, — winienem przytoczyć, że pierwój nim co o telegrafach elektrycznych w Londynie lub gdzie indziej słychać było, to jest na parę lat zanim się do nich wzięto, jeden z naszych rodaków z ich teorią się nosił; mnie samemu ją tłumaczył, o korzyściach ich marzył. Ten sam Polak wszedł dla polepszenia swego losu, w obowiązki

inżynierskie u prof. Wheatstone w Londynie, i jak mi sam nieraz powtarzał, nie tylko przedstawiał mu swą teorią, ale na drutach praktyczność jej objaśniał. Lecz cóż na to profesor powiedział? Oto te słowa: „Wszystko to dobre, aleby się przydało tylko do korespondowania z żoną w drugim pokoju.” Jednakowoż profesor nie był tak ograniczony jakby się wydawało. Nasz rodak wkrótce otrzymał korzystną posadę jako inżynier do budowania mostów i dróg (ponts et chaussées) w Rzpłtej Wenecuelskiej w Ameryce, z najlepszymi zaświadczeniami od prof. Wheatstone. Dopiero pó jego wyjeździe posłyszeliśmy o rozpoczętych robotach nad telegrafami. Nieujmuję w tem zasługi prof. Wheatstone, że teorią w praktykę zamienił; lecz z tego co się mówiło, wynalazek sam zdaje się do kogo innego należeć. Wymieniam tu naszego rodaka po inteniu, zowie się on *Wojciech Lutowski*, niegdyś uczeń Instytutu Politechnicznego w Warszawie, gdzie również dobrze był mi znany. Od czasu wyjazdu jego do Wenezueli, nieotrzymaliśmy od niego żadnej wiadomości.

Od epoki wędrówki narodów niewidziano takiego ruchu ludności na zachód, jaki był w ciągu lat ostatnich. Rzecz zastanowienia godna, ile to jej wychodzi z Europy, z starego do nowego świata, biorąc tylko Stany Zjednoczone Ameryki. Od r. 1819 ogół emigrantów do Stanów Zjednoczonych wynosił 4,212,624 dusz; z nich 2,343,445 urodzonych w królestwie W. Brytanii. Najwięcej ich wyszło w ciągu roku 1854, bo 427,833 osób, a w ich liczbie 206,054 z Niemiec. Przeszłego roku 1855, było wszystkich wychodźców 200,877 tylko, włączając w to 66,219 Niemców. Z całej téj emigracyi od roku 1819 na 2,343,445 poddanych angielskich, liczone 1,747,930 samych Irlandczyków. Niemcy wydały 1,242,082; Francya 188,723; Szwajcarya 32,071; Szwecya z Norwegią 29,441; Chiny najwięcej do Kalifornii, 18,714, Włochy 7,185; Rosya 938; Polska 240, a Turcya 123. Wiele także przenosiło się do Stanów Zjednoczonych z sąsiednich krajów Amerykańskich; np. z Meksyku 15,960, z posiadłości Angielskich w Kanadzie 91,699, z wysp Zachodnio-Indyjskich 35,817. Z Indyj Wschodnich było 101, z Przylądka Dobrej Nadziei 2, a 20 z Australii. To poniekąd tłumaczy przyezynę nadzwyczajną

czajnego wzrostu ludności w Stanach, kiedy taki był jej napływ z kądinąd.

Letnią porą najmniej w Anglii pism wychodzi i najmniej ich się czyta. Dla tego tą razą literaturę wcale pomijam. Nadmienię tylko o stratach jakie w przeszłym miesiącu poniosła. Umarł w bardzo podeszłym wieku Admirał Sir John Ross znany z swych morskich ekspedycyj roku 1818 do Baffins zatoki w celu odkrycia północno zachodniej drogi do morza Spokojnego. Wydał o tem dzieło: „*Voyage of Discovery*” a między innemi pismami jego znajduje się także jedno o żegludze parowej. Wszedł do służby morskiej r. 1786, i okryty był 13 ranami, które w różnych bitwach otrzymał. Sprawował też przez kilka lat urząd konsula w Sztokholmie. — Umarł także p. Becket pisarz humorystyczny, jeden z piszących do *Puncha* czyli angielskiego „Charivari”, i autor dziejów pod tytułem: *The Comic History of England*. Był sędzią w sądach policyjnych. Trzecim zmarłym wspomnienia godnym jest Yarvell naturalista, autor najgruntowniejszego dzieła o ptakach i rybach brytańskich, i pisarz rozmaitych rozpraw w zakresie historii naturalnej ogłaszanych w rocznikach Towarzystw Linneuszowskiego i innych zoologicznych. Posiadał znaczny zbiór ksiąg i gabinet historii naturalnej. Pan Yarvell miał rozwiązać zadanie od wieku Pliniusza utrzymujące w wątpliwości naturalistów, a tyczące się węgorzy, bo doszedł, że one należą do rzędu noszących jajka (ovipara). Czwartą stratą jest Sir R. Westmacot, jeden z najznakomitszych snycerzy i członek Akademii królewskiej. Do arcydzieł jego dłuha liczą Psychę i pomniki Foxa i Abercrombie w Opactwie Westminsterkiem, a lorda Collingwood w kościele ś. Pawła. Kolosalna brązowa statua Achillesa w Hyde-Parku, na pamiątkę zwycięstwa odniesionego przez Wellingtona pod Waterloo, jest także jego dziełem. Żył 82 lat.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Z trzech drukarni Krakowskich założonych na obszerną skalę, mimo że ciągle są w ruchu, mniej daleko wychodzi książek niżby wychodzić powinno. Dla tego liczba drukarni nie może być wziętą za miarę literackiego ruchu. —

Do najświeższych nowości należą Kalendarze na r. 1857. *Kalendarz dla rodzin Katolickich* wydany przez W. Wielogłowskiego odznacza się dowcipnymi rysami z życia towarzyskiego; — *Kalendarz powszechny* Juliusza Wildta, ozdobnem wydaniem, drzeworytami, zbiorem potrzebnych wiadomości i wskazówek gospodarczych. — *Kalendarz Krakowski* Czecha, słynie z przepowiedni, które nigdy nieprześtaną się sprawdzać, dopóki na świecie słońca i zimna, deszczu i sniegu, ciszy i wiatru.

Wydawnictwo katolickie ogłasza niezmiernie zajmujące *Obrázky z obyczajów ludu Wiejskiego*, napisane p. W. Wielogłowskiego: Jest ich już trzy; teraz czwarty i piąty, wychodzi z druku pod napisem: *Wsiowi Złodzieje*, i *Szkodnicy*, oraz *Niedbali Rodzice* i *Występne dzieci*. Literatura tak zwana ludowa przybiera tu

właściwą sobie formę przystępną dla ludu.

W témże wydawnictwie kończy się druk bardzo wziętej dziś powieści kardynała Wiesemana: *Fabiola*, przetłumaczonej na polskie. Pomimo wielu scen głębokiego cierpienia i dramatycznego efektu, napisana jest ona właściwie dla protestanckich Anglików, aby im pokazać że Sakramenta nie są późniejszym wymysłem kościoła, ale wypływają z ducha pierwszego Chrystyanizmu, o czem katolicy są w gruncie przekonani. — Toż wydawnictwo zajęło się wydaniem pośmiertnych pism X. Metropolity Hołowińskiego; z téj liczby drukuje się już przekład Hymnów kościelnych, wierszem rymowym.

Do nowości mających się nabawem okazać, należą dwie tragedye wierszem białym: *Samuel Zborowski* i *Jadwiga*. Ma to być owoc wieloletniej pracy meża znanego z pism swoich na polu historycznem.

W drukarni *Czasu* wyszły w odbiciu z Tygodnika Rolniczo-Gospodarczego: *Notaty Gospodarskie* Gostomskiego; jest to przedruk staréj i rzadkiej broszury, pełnej staropolskiego ro-

sumy i prostoty prawdziwie rolniczej; pod względem języka rzecz arcy szanowna. Wydał ją i objaśnił Jan Radwański.

— Karol Langie ogłosił *Sprawozdanie z wycieczki do Salaska górno-pruskiego i do Łuży Saskich*, w r. 1856 odbytej. Ciekawe znajdujemy tu postrzeżenie co do powtarzania się tych samych nazwisk siół u Łużyczan, jakie znajdują się w Krakowskiem — i tak koło Budyszyna są wsie: Smierdząca, Nowa wieś, Kaśów, Chrost, Cholesów, Kwacysca — a niepodal od Krakowa także jest: Smierdząca, Nowa wieś, Kaśów, Chrośna, Choleksyn, Kwaczała. — Podobnych przykładów podaje wiele — ooby mogło naprowadzać na myśl że Wendowie dali początek wielu osadom Krakowskiego. —

— C. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie zwołane na d. 25go Października zajęło się wyborem prezesa, sekretarzy i prezydujących we wszystkich trzech wydziałach: Nauk moralnych, przyrodzonych i Archeologii. — Presesem został wybrany Kasztelan Franciszek Wężyk.

— Teofil Żebrawski kończy druk 9go Tomu Histor. Lit. polskiej Wiszniewskiego. Mając on dane sobie urywki tylko wypisów i notat, podjął się uporządkować i uzupełnić krytycznie ten tom ostatni, a oraz przydać *Index* któryby ułatwiał znalezienie się w tej massie nazw i szczegółów.

— Dowiadujemy się, że Wincenty Pol dał już do druku swój poemat *Wit Stęś* — niemniej robi trzecie wydanie *Mohorta*, i nowe wydanie Benedykta Winnickiego, powiększone poematem zupełnie nowym: *Stryjanka*. Wróciwszy także z ostatniej swojej wycieczki z nad Dniestru i z *Pokucia* pisze obecnie obrąski z *Pokucia* w sposobie notatek z popasu.

— Dr. Zygmunt Helcel deprawdził już do 65 arkusza druk swego dzieła mającego tytuł: *Pomniki Ustaw, praktyki Sądowej i nauki dawnego prawa polskiego*. —

Texta obejmujące 54 arkusze druku, składają się z następujących zabytków Kasiemiersowskiego prawodawstwa: Statut Wiślicki i Summa do niego — Ordynacya Salin. — Przywilej lokacyi Sądu wyższego prawa Niemieckiego na Zamku Krakowskim. — Przywilej Akademii Krak. — Statuta Mazowieckie Xiążąt linii Płockiej od r. 1426. — Dyplom inkorporacyi ziemi Gostyńskiej do Korony. — Wyciągi z najdawniejszych ksiąg Sądowych Ziemstwa i Grodu Krakowskiego. — Statut Wartyński Wład. Jag. — Statuta Synodalne prow. Gnieźnieńskiej od 1233—1406. Wszystko to poprzeda Wywód historyczno-krytyczny o prawach Kasiemierskich. Owoc wieloletnich badań uczonego męża, który tem dziełem postawi niepożyty pomnik prawodawstwu polskiemu.

— Lwów. W zakładzie naukowym, Imienia Ossolińskich, odbył się coroczny obchód uroczystem posiedzeniem na d. 13 października. Kurator zakładu hr. Maurycy Dzieduszycki zagał posiedzenie rysem stanu tego zakładu, który w początkach gdy biblioteka sprowadzoną została do Lwowa r. 1826 liczył ksiąg 35 tysięcy, gdy dziś ilość dzieł wynosi 48 tysięcy a liczba tomów 80 tys. — Rękopismów było w ówczas około 700, dziś 1367; rycin 1445 dziś 5241; atlasów i map 133, dziś 316; malowideł 26, dziś 347; dyplomów ledwie 30, teraz 168; rzeczy muzealnych i archeologicznych kilkadziesiąt, a obecnie 341; mała ilość autografów wzrosła do liczby 2170;

medalów i monet liczone wten-
czas 1128, a teraz samych pol-
skich 2016, a zagranicznych do
9000. Najsilniej wsparł zakład
X. Henryk Lubomirski wcielając
swoje zbiory, niemniej i inne o-
soby powodowane obywatelskiem
uczuciem samofinansowania nauk. —
Urzędniczy zakład tego zajęli
się, jak wiadomo, poprawnem
wydaniem Słownika Lindego;
pierwszy tom wyszedł w roku
zeszłym; drugi obejmujący gło-
ski G do L włącznie, już jest
gotowy. Tom zaś trzeci tak da-
leko posunięty, że się składa je-
dynasty arkusz — Po Kuratorze
przemówił August Bielowski, za-
stanawiając się nad źródłami
dziejowemi polskimi, które się-
gają tylko po wiek 13; głębsze
zaś wieki, mianowicie 10, 11 i
12, przedstawiają się oku dzi-
siejszego historyka jak biała
karta, na której ręka współcze-
sna ani jednej głoski nie wpi-
sała. Z tego powodu pomników
pisemnych dla naszej historii
szukać należy u postronnych na-
rodów; jakoż p. Bielowski przed-
stawił podobną wycieczkę do
Niemiec, gdzie zwiedził różne
biblioteki, i opowiedział co zna-
lazł. W końcu odczytał przeło-
żony przez siebie Żywot S. Woj-
ciecha, wykryty w bibliotece kró-
lewskiej Monachijskiej, a napi-
sany tamże ręką z 11go wieku.
Kodex zaś w którym się znalazł
pochodził z klasztoru Benedyk-
tyków w Tegernsee. Żywot ten
ma się różnić od dotychczasowych
żywotów i podaje z wielką do-
kładnością szczegóły męczennic-
stwa ś. Wojciecha i sprowadze-
nie zwłok jego do Polski.

Na końcu odczytał p. Szaj-
nocha, znany autor *Jadwigi i*
Jagiełły rozprawę wyjaśniającą
początek przysłówia: *Sprawdź*
komu łasnie.

— Księgarnia Jabłońskiego za-

mierzywszy wydawać: *Dzieła*
znakomitych pisarzy krajo-
wych, zeszytami — zaczęła od
pism Józefa Dunina Borkow-
skiego, których ukazał się już
zeszyt trzeci — w dotychczasow-
ych zeszytach mieszczą się dro-
bne wiersze oryginalne, prze-
kłady, rozmaitej, często wzię-
tej wartości.

Szanek. Nieporozumienia
między wydawcą Biblioteki Pol-
skiej p. Turowskim a jej na-
kładcą p. Pollak, księgarzem,
zdaje się, że już załatwionemi
zostały na drodze polubownej; bo
prenumeranci odebrali właśnie
trzy, świeżo wydane dzieła; to
jest: resztę *Kroniki Marcina*
Bielskiego, a właściwie Joachi-
ma Bielskiego, z obszernym do-
datkiem podającym bibliograficzne
szczegóły zebrane z różnych roz-
praw o tych historykach, a mia-
nowicie wyborną pracę T. M. So-
biechowskiego; następnie wy-
szło w jednym zeszyście bardzo
rzadkie pismo An. Max. Fredry:
*O porządku wojennym i o po-
spolitem ruszeniu małym* — a
na koniec *Bajki i przypowieści*
Krasickiego.

Warszawa. Znany pisarz hi-
storyczny, Julian Bartoszewicz,
pracuje nad obszernym żywotem
Hozyusza. Znakomita postać kar-
dynała, tego obrońcy kościoła
przeciw różnowiercom, nastroży
szerokie pole historycznemu pió-
ru, do wystawienia ówczesnej
Polski, na którą miał ten niepo-
średni wpływ wywierał. Ważną
pomocą będzie dla niego zapewne
żywot Hozyusza przez Eichorna
wydany w Moguncyi.

S. Orgelbrand, księgarz, za-
myśla wydawać Encyklopedyę
powszechną, wcielając w nią naj-
więcej artykułów mających zwią-
zek z Polską. Całość obejmować
będzie 15 tomów. W dziele ta-
kiem sależy głównie na jedno-

litej podstawie, inaczej bowiem byłby to zbiór artykułów, jakto mówią od Sasa i Lasa.

— *Zeszyt Biblioteki Warszawskiej* na miesiąc październik, mieści następujące artykuły: Zwycięstwo Jana Sobieskiego nad Turkami pod Lwowem w r. 1675 przez K. Szajnochę. — Pamiętniki p. Sabiny z G. G. — Instrukcyja o konduktorach, z franc. przeł. Teofil Ciohocki. — Kronika Zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. — Spominki historyczno-artystyczne. Ed. Rastawieckiego. Nowy zwrot poezyi francuskiej — Poezye: Branki p. W. Korotyńskiego. — Spowiedź zakonnika, p. Henryka Cieszkowskiego. — *Kronika literacka*: Przegląd muzyczny, Ossolow, — Dobrzyński, jego kwintety, przez M. K. — Mohort, rapsod rycerski, W. Pola, przez Leopolda Jakubowskiego. O społecznościach gromadzkich i gminnych w dobach rządowych w Cesarstwie (dokończenie) i t. d.

— Księgarni Natanson wydający ilustrowane *Romansy i powieści* Kraszewskiego, ogłosił już *Kordeckiego, Pod włoskiem niebem*, a najwiecej *Ostrożnie s ogniem*. Nieprzyjemny ten format w niczem nie wynagradza dawniejszych wydań, tańszych i dogodniejszych do czytania, które jeszcze są na składach edytorów; i tak p. Bobrowicz w Lipsku ma mieć jeszcze kilkadziesiąt egzemplarzy *Pod włoskiem niebem*, a edycya lwowska powieści: *Ostrożnie s ogniem*, kosztowała coś około 2 złotych, kiedy w *ilustrowanem* wydaniu o jednym obrazku, kosztuje złp. 4.

— Prof. gimn. lubelskiego p. Feliks Jezierski, przygotował do druku przekład dwóch poematów Longfellofa: *Złota legenda* i *Ewangelina*.

— Gust. Zieliński, znany śpiewak:

Kirgisa, Stepów, wydał teraz poemat dramatyczny: *Czarno-książnik Twardowski*, dwa ustępy z dramatu osnutego na podaniach gminnych. Wiersze przesłizane, dykcya porywająca, lubo sam mistrz Twardowski cokolwiek przypomina Fausta. Zawsze to utwór noszący cechę wyższego poetycznego talentu.

Wilno. Wydawnictwo Orgelbranda ogłosiło *Słownik języka Polskiego* do podręcznego użytku, wypracowany przez Alex. Zdanowicza, Michała Bohusza Szyszkę, Januarego Filipowicza i Waleryana Tomaszewicza z udziałem Bronisława Treutowskiego. W słowniku tym jak mówi program, objęte będą wszystkie nowe nabytki języka Polskiego, napotykanne u nowszych pisarzy, niemniej terminologia filozoficzna, prawna, matematyczna itd. także wyrazy mitologii plemion słowiańskich, które B. Trentowski wypracował, również jak terminologią filozoficzną. Dobry to pomysł, że słownik ten nie obejmie więcej nad 1-ą tom w 8-ć większej. Z pierwszym październikiem miał się ukazać 1szy zeszyt. Co do terminologii naukowej, tę można mieć obawę, aby takowa nie była inną w Wilnie, inną w Warszawie, inną w Krakowie, a inną w Poznaniu.

— W drukarni Marciniowskiego wyszły dotąd w 3 zeszytach *Przechadzki po Wilnie* i jego okolicach, przez Jana ze Sliwna (Kirkora), z podługnym widokiem Wilna, litografowanym podług rysunku Dmochowskiego. Systematyczna ta monografia, wiele zawierająca szczegółów z historii i archeologii.

— Komisya archeologiczna wileńska dostała w darze dwa rękopisy: jeden mieści w sobie listy (autentyki) do Michała Korybuta Wiśniowieckiego, wojew.

wileń. ostatniego z rodu Wiśniewskich, pisane przez Jakóba Sobieńskiego (królowskiego). Franciszki Orszuli Radziwiłłowej, znanej ze swoich zapomnianych dramatów, Jabłesowskiego kass. krak. i innych anakemitych osób z czasów Aug. II. Drugi rękopis jest kopią z rękopisu Zoriana Chodakowskiego: Słownik geograficzny ziem słowiańskich.

— Pierwszy tom Pamiętnika archeologicznego wileńskiego — ma niebawem opuścić prasę. Obiecują tam wiele ciekawych objaśnień historycznych i starożytnościowych.

— Piszą nam, że p. Adam Kirkor, czynny osłonek kom. archeologicznej, rozkopywał 9 kurhanów w gub. wileńskiej i mińskiej; poszukiwania te przyniosły 219 bardzo ciekawych przedmiotów; wiele srebrnych a nawet złotych osób znalaziono przy urnach. Oglądaliśmy rysunek zdjęty z niektórych ciekawszych osób i widziemy wyraźnie znamie wysoko podniesionej sztuki, która razem idzie z cywilizacją.

— Najważniejsze z dzieł co się pojawiły w Wilnie temi czasami, są *Studia Historyczne* Michała Balińskiego. gdzie znajdujemy ciekawe i wyborne skreślenie ustępu: Jan Sniadecki i Czacki. — Napoleon i Jan Sniadecki. — dopełnienie pamiętników o królowej Barbarze. — Spytko z Melastyna i ród jego — Zgon Żółkiewskiego. — Paprocki i Panoza — i Dopisek o Szkicu P. Szajnochy: Barbara Radziwiłłówna. Baliński co pisze, odznacza się zdrowym i jasnym poglądem na rzecz, niegoniąc za oryginalnem jakimś pojmowaniem przeszłości, tem trafniej umie ją odgadnąć i wyłomaczyć. Zgoła pisarz, który nie sadzą się na to, aby historia jego była stękiem samych kuriozów i osobliwości,

niemniej jednak przywiązuje do siebie czytelnika. — Niektórzy brali mu za złe, że nie pozwolił na otrucie Barbary — czy dla tego, żeby się niektóre tragedye utrzymały? wszakże i bez tej katastrofy tragicznej, umiał on pamiętniki o niej zrobić bardzo interesującymi.

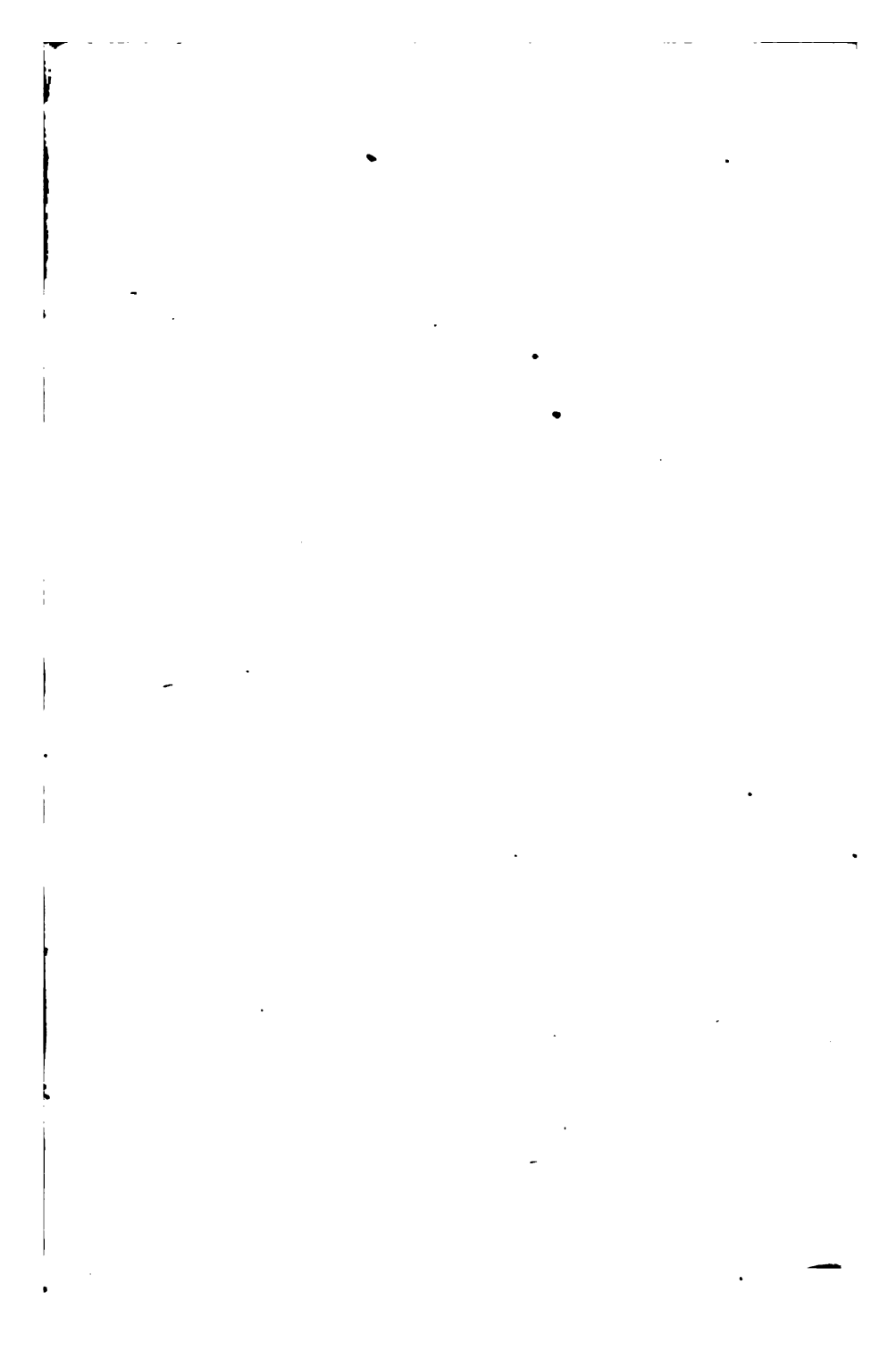
Poznań. Światły opiekun badań historycznych i wydawca wielu dzieł, Tytus hr. Działyński, ogłosił *Dyaryusz sejmowski Lubelski* in 4to. Oszedne to wydanie, dotychczas ma drzeworyt, wzięty ze statutu Łaskiego a wyobrażający sejm polski. — Wyasły tam także *Zarysy towarzyskiego życia z XIX stulecia*, przez L. P. Niemcewicz *Obrasy z pisma Świętego*, Ludwika Niemojowskiego, które są często rozwiekłą parafrazą ascetycznej i zwięzłej prostoty ksiąg pisma Świętego. — Jagielski przetłumaczył *Frytlofową Sagę*, wierszem nierymowym, przekład ze Szwedzkiego Isajasa Tegnera. Jakkolwiek poemat ten nie zbyt interesujący w oryginalu, tem więcej stał się ciężkim i ciemnym, przez ubieganie się za archaizmami i wyrazami katami przez tłumacza. — Czasopis poświęcony naukom przyrodzonym, pod napisem: *Przyroda i Przemysł*, wydawany przez Zabrowskiego, utrzymuje się ciągle i miewa zajmujące artykuły.

Paryż. Znany rytownik A. Oleścożyński, wykonał piękną rycinę portretu Jana Zamojskiego wyrównawając wielkości jego Kopernika i otoczonego stosownymi emblamatami. W górze nad portretem jest napis: *Johannes Sarius Zamojski, M. Cancellarius Reg. Poloniae Supremus Duc. Excerptum Musarum Sarmatarum Cultor ac tutor Pacis, ac belli Artibus clarissimus*. Pod portretem u dołu: *Andreas Sario*

Comiti Zamojski Industriae ac opum suorum fautori grata patria consecra sibi manu Antonii Olesz. dicat et consecrat 1856. W samym owalu portretu z prawej strony, herb Zamojskich i rok urodzenia i śmierci hetmana. z lewej fac simile jego podpisu. Nad głową dwóch aniołów trzyma tablicę na której wypisane są nazwiska najznakomitszych mężów wyszłych z Akademii Zamojskiej. W czterech narożnikach umieścić artysta postacie rycerzy w kostiumach dawnych.

— Hr. Adam Tabasz Krosnowski

wydaje w języku francuskim pismo wychodzące raz na miesiąc pod napisem: *L'Exemple* (Przykład), zawierające rysy odwagi, poświęcenia się, dobroczynności, itd. Dotąd wyszło 5 Numerów. W ostatnich zeszytach jest powieść napisana przez Holleender-skiego pod tytułem: *Katarsyna Szołajtis*. — Pismo to ma na celu ogłaszać wszystkie przykłady cnót, aby przez to obudzić chęć do naśladowania ich; co nie zawsze potrzebne, bo prawdziwie cnotliwie czyn nie lubi rozgłosu.



Листопад — 1856.



KILKA SŁÓW

O EPOCE, W KTÓREJ ROZKWIŁA SZTUKA BYZANTYŃSKA.

Gdy spojrzymy powierzchownie na naturę a na te jej zjawiska i jestestwa powstające i niknące w chwili, zdaje się zrazu, jakoby całe istnienie przyrody było jedynie wieczną walką wbrew sobie przeciwnych potęg, jakoby wszystkie jej moce fizyczne były na siebie zawzięcią nienżyłą, nawzajem się zagładzając i niwecząc. A jednak, gdy się nieco głębiej rozpatrzymy w tej dziwnej grze, nie trudno dojrzyć, że te zjawiska i potęgi nawzajem są warunkiem swojego bytu, że jedno od drugich zależą i obejść się bez siebie nie mogą. Tak przeto owe siły wszystkie i jestestwa wszystkie, na pozór tak sobie wrogie, powiązane są spólnym przymierzem a zestrojone jedną harmonią, której się tylko duch nasz dosłuchać może. Ta walka i przeciwieństwo mocy przyrodzonych z jednej strony, z zestrój ich i harmonie z drugiej, są właśnie czynnikami ciągłego udoskonalenia się, coraz wyższego rozwoju całej natury. Umiejętność

nauczywszy się czytać we wnętrzach ziemskich, przekonała się na oczy o coraz doskonalszych epokach planety naszego, o coraz wyższych stopniach rozwijających się na nim jestestw żyjących, a tém samém o coraz wyższém także udoskonaleniu się natury nieżyjącej otaczającej je w koło i będącej warunkiem żywota wszelkiego. Te stopnie coraz wyższe a epoki coraz wyższej doskonałości rodziły się wśród boleści, wśród walki a łamania się potęg przyrodzonych; ale wśród walki i łamania się brzmiała wszechwładna wszędzie obecna harmonia, bo nad światem czuwała opatrzna mądrość, a nieskończona miłość Boża.

Jeżeli atoli tak się rzecz ma na nizinach materyalnej natury, cóż dopiero się dzieje w duchów królestwie! Bo przecież ta natura jest jedynie chętną służebnicą jestestw duchowych, a ten świat materji jest przecież tylko domem wychowania, który zbudował Bóg ludzkiemu rodowi, by miały gdzie tymczasowo mieszkać i wykształcać się jestestwa rozumne. Nie dziw więc, że te sprzeczności, że te odwrotne sobie potęgi robiące, kipiące w życiu ludzkiego rodu, że te jego łamania się i prace ciężkie, również są tajemną harmonią powiązane z sobą, że są sprawcami coraz wyższej zacności, coraz wyższego uczłowieczenia się człowieka. Tak tedy każda epoka dziejowa jest zarazem wyższym stopniem prowadzącym ród ludzki pod tron jasności wiekuistój. Bo jest prawdą niezaprzeczoną, że choć ludzki ród, podobnie jak człowiek pojedynczy, ma posagiem oddaną sobie wolną wolę i udzielność samoistną w czynnościach, toć przecież wiemy, że jak jemu tak i całemu rodowi ludzkiemu przyświeca opatrności oko, a te same Boże wysłańce, co wodzą niebo gwiazdziste, by nie przepadło w otchłaniach bezdeni, wodzą też wieki przez historią. czuwając nad światem miłością nieskończoną.

Uważmy atoli, że lubo oddawna przeminęły one głuche, ślepe sądy o świecie, mniemające, jakoby cała historia powszechna była jedynie niecném widowiskiem szamocących się namiętności ludzkich; uważmy, że lubo oddawna spłynęły wyobrażenia, jakoby całe dzieje świata były jedynie kaprysem bezmózgłego przypadku i ni by bezsercą zabawą demonicznych potęg, grających w kości o losy świata; uważmy, że lubo podobne zapatrywania już oddawna nie ostały się między ludźmi; toć przecież wątpić nie można, że i moce nie duchowe, zewnętrzne, że potęgi natury także wpływają na losy państw a charaktery epok historycznych, stając się nie-lada czynnikiem w rozwoju historii człowieka.

Pod tym względem zaiste dzieje narodów i epok całych, podobne są ludziom pojedyńczym.

Jakoż człowiek pojedynczy, ściśle mówiąc, nie jest nigdy sobą samym; on nigdy nie zdoła wyrobić do ostataka i z całą swobodą, téj właściwej sobie istoty od urodzenia mu danéj, a różniacéj go osobném piętném od wszystkich innych ludzi. Od kolebki do skonu uderzają na niego wypadki nieprzyjemne, co przytłumiają, hamują a niekiedy i skręcają tę pierwotną jego istotę. Towarzystwo, położenie osobiste, to zbyt biedne, to zbyt świetne losy, niemoc, krzywdy ludzkie, własna krewkość ciała i wszystka ta ślepa ciżba okoliczności zewnętrznych, dławią i duszą wolny rozwój jego duchowój natury. Tak tedy się dzieje, że człowiek choć w starości zbliżając się do grobu, nie wie czém na prawdę był i czém mógł być w życiu. A niekiedy dopiero w samej chwili skonu, gdy po jednym spadają niedostatki ziemskie, gdy ulecą te biedne uciechy i te biedne cierpienia doczesne, gdy wiekuistość już ochuchnie umierającego tohem swoim, wtedy niekiedy błyskawicą rozjaśni się w nim istota nieśmiertelna od Boga mu dana i ona rozplonie w spojrzeniu, w słowach kilku i w proroczym jasnowi.

dzeniu serca. Wtedy dopiero oblicze blade okryje się nigdy niewidzianym u niego wyrazem i wdziękiem niebiańskim cichego pokoju. Tak się tedy dzieje, że życie człowieka zewnętrzne choćby najdłuższe na tym świecie, że czynności jego od ludzi widziane nie są jeszcze objawem jego najgłębszej istoty; tak jak mimika jego ciała, wyraz fizynomii, muzyka jego ruchów, nie jest czystym tej istoty odbiciem. Najlepsza, najszlachetniejsza część człowieka jest zakryta przed światem, ona samemu Bogu tylko znajoma.

Podobnie dzieje się i z żywotem państw a cechami głównych epok świata. Bo choć prawda, jakośmy dopiero co rzekli, że potęgi natury i wypadki bezrozumnej przyrody, mniej mają wagi dla ludów, co są zbiorem milionów, których żywotem jest długi stuleciów szereg; jednak i temu nikt nie zaprzeczy, że klimat, że położenie plastyczne rodzinnego kraju, że urodzajność jego płynąca młékiem i miodem, lub nieużytość natury ojczystej, nie jest obojętną dla hartu a rozwoju duchowego ludów. Jeden z nich założył sobie mieszkanie wśród zaciszy oddalonej od wazenia się pierwiastków świata; ów drugi znowu sąsiadując z morzem, myślą ulatuje pod obce nieba, w obce, dalekie stosunki ziemskie; jednego ludu kraj bez naturalnych granic zewsząd otwarty, bez bram i progów i ścian przyrodzonych, odpornych; a innemu znów ludowi wody i góry utworzyły naturalne okopy, za któremi jakby w twierdzy wychorować się bezpiecznie może z duchowej niemocy i t. n.

Stąd już widzieć możemy, że historia sama przez się nie jest bynajmniej wiernym wizerunkiem ani wewnętrznej istoty ludu, ani wewnętrznego nastroju epoki historycznej; a zatem przekonywamy się, że jeżeli pragniemy przejrzeć wskruś lud jaki lub okres jakowy, już wtedy wypada nam nie tylko baczyć na jego historią, ale należy zwrócić uwagę naszą raczej na te powawy,

które idą li ze samego wnętrza ducha jego, w których ta treść duchowa występuje w całej swobodzie nieskalanej, niezwichniętej; słowem — wypada nam zrozumieć te dzieła duchowe, które się zrodziły w onych szczególnych chwilach, gdy duch wznosił się nad stan swój powszedni, zwyczajny.

Takowemi dziełami są *piękności dzieła*, a takowym stanem są chwile zachwycenia w *mistrzu sztuki*, gdy go twórczy duch uniesie ponad żywot powszedni.

Wszak mistrz, wieszcz, gdy stwarza, przestaje być sobą, przestaje być tym człowiekiem zwyczajnym, bo geniusz piękności gdy wstąpi w śmiertelnego człowieka, przeistacza go na wróżbitę rzeczy wielkich, nieśmiertelnych. Wtedy rozplynie obłokiem świat codzienny, ziemski, ułomny — zmysły fizyczne ogłuchną, oślepną a natomiast pojawia się państwo ideałów; a rozwierają się zmysły, które nie są z tego świata. Gdy piękność się rodzi, wtedy w mistrzu, we wieszczu już przewyżczone są one krzywdy ziemskie od natury, od ludzi, od własnych ułomności mu zadane, spadają z duszy więzy bolesne, a duch rozpina w swobodzie nieskończonej promienne skrzydła swoje. Co się dzieje w mistrzu w chwili tworzenia dzieła sztuki, to jest i koniecznie obecne w dziele samém. I w tém dziele niema już śladu ziemskiej biedy i tych niedostatków, idących od krzywd doczesnego żywota; w dziele sztuki świeci idea w całej swobodzie, nieprzypylona, nieprzytłumiona, niezwichniona.

Jak tedy z dzieł sztuki zaiste poznać zdołamy, czém był mistrz, tak z nich wyczytać możesz, czém był lud tego mistrza, czém była epoka historyczna, w której zrodziły się te dzieła jego. Bo mistrz choćby najwyższego geniuszu, choćby był mistrzem dla wszystkich ludów, zawsze atoli jest także synem społecznego mu wieku a wykwarem własnego ludu swojego. Co więc,

mistrz o tyle jedynie będzie miał w sobie potęgę a siły świeżej, twórczej, o ile on się karmi własną ziemią swoją, o ile rozrósł tohem społecznej mu epoki; bo inaczej talent jego choćby najświecniejszy, osłabnie w sobie i zwichnie się i będzie żył życiem pożyczanem, przyuczonem, sztucznem.

Jeżeli powiadamy; że jaśniej z dzieł sztuki niż z historii zewnętrznej poznać można, czém była najgłębsza treść każdej epoki historycznej i każdego ludu, toć już orzeczenie nasze nie powinno być tym trybem wzięte, jakobyśmy znaczenie a polityczną wielkość i zasługi jakiegoś narodu lub dziejowego okresu mierzyli wedle wysokości, do której w nim doszła sztuka piękna. Owszem wiemy dobrze, że były ludy ogromnej wagi w dziejach ludzkich, w których sztuka zatrzymała się na poniższych doskonałości stopniach ¹⁾.

My jedynie pragniemy orzec, że cechy i właściwości sztuki, są wyrazem doskonałym treści każdego ludu, że tedy nawet rodzaj niedostatków w sztuce jego, służy do poznania wewnętrznych dążeń jego ducha.

Nie rozumiemy téż, jakoby takowe orzeczenie nasze było zdaniem nowém, więc zbyt zuchwałém; wszak dwa tysiące temu lat minęło z górą, gdy Aristoteles porównywając Historję z Poezyą, Poezyi daje pierwszeństwo, z powodu, że ona jest filozoficzniejszą, głębszą, bo przedstawia ogólnego ducha pracującego w dziejach ludzkich i maluje, czémby rzeczy stać się powinny — a Historja wprost opowiada, co się stało i działo (Arist. Poet.) A my nie posuwając się nawet do téj śmiałości orzeczenia Aristotelesa, jesteśmy tylko zdania, że sztuka każdego ludu jest najwierniejszym odgłosem jego wewnętrzznego usposobienia a treści duchowej.

¹⁾ Starzy Rzymianie są tego najdobitniejszym przykładem.

Lecz jeżeli tak jest, jeżeli dzieła sztuki są wcielonym duchem pradziadowych narodów, jeżeli z tych dzieł wyrozumieć możesz, co miały na sercu ludy od wieków pogrzebione, więc też nie dziw, że człek choć nieuczny przechadza się pełen uszanowania wśród nagromadzonych pomników starych lat, i że każdemu z nas w duży świątecznie, gdy się rozpatrujemy w muzeach sztuki, kędy są zebrane dzieła mistrzów dawnych, owe dzieła, co są niby sejmujące posły od pomarłych czasów, od narodów, które dawno w pokoju złożyły kości swoje.

Więc też każdemu krajowi idzie na wysoką chwałę, jeżeli się dorobił takowego Muzeum sztuki! — Lecz słusznie na wyższą chwałę mu się liczyć winno, gdy te zbiory jego nie powstały przez samowolne i sztuczne nagromadzenie, przez oderwanie pomników z pierwotnych miejsc swoich, by je umieścić w przybytku późniejszymi czasy ku temu zbudowanym; lecz gdy zbiór takowy urosł samorodnie, gdy wieki z kolei na niego się składały, gdy naród cały trzymając się wiernie przez cały żywot swój jednej i tej samej myśli, pracą artystyczną składał cześć świątnicy najwięcej od siebie ukochanej; gdy żadne pokolenie nieprzeszło milczkiem po tym przybytku; gdy każda wielka epoka zostawiała w nim, jakby na zadatek a na pamiątkę po sobie, dzieło swojej sztuki, którą utworzyła wedle właściwych uczuć swoich, wedle właściwego sobie stylu a zapatrywania się społecznego jój świata. W takowym przybytku nie widzisz samowoli, bo te pomniki jego mnożą się w nim z własnej siły i same przez się, jak one drzewa w odwiecznej samorodnej puszczy bożej, które same się sieją, same rosną i bujają w konary, gałęzie, liście i kwiaty.

Wszak przybytkiem takowym, mającym dostać długim szeregom wieków, a przetrwać historyczne zmiany czasów i żywiołów zawieść, może być jedynie świątynia

Bogu poświęcona, a w której skrzydła wiary otulą prace znikome ludzkich rąk.

Podobnym przybytkiem a świątynią jest *Katedra Krakowska*.

Zaprawdę jeżeli kościół katedralny na Wawelu objął w przestrzeniach swoich pomniki prawiące o najważniejszych epokach Polskiej historii, jeżeli te pomniki w nim zamknięte, są jakby pędzlem, jakby dłutem wyrobioną kroniką dziejową; to również prawda, że z tych pómników nauczyć się możemy całej historii sztuki chrześciańskich wieków. Trzeba tylko troszkę otwartych oczów, troszkę ciepłej miłości dla tego, co piękném i zacném, aby z tych pomników, grobowców, ołtarzy, rzezb i obrazów malowanych i sklepień, wysłuchać bicia serca pokoleń, które w nich złożyły nczucia swoje.

Dziwném szczęściem się działo, że w całym pasmie historii chrześciańskiej, nie znajdziemy żadnej głównej epoki sztuki, któraby się nie przedstawiła naocznie pomnikiem w Katedrze Krakowskiej, Nawet pobieżny pogląd przekona nas o prawdzie tego orzeczenia naszego.

Widzicie te dwie malowane postaci, tak pełne uroczystej grozy, one to dziś mieszczą się w samotnym a cichym zakątku kościoła. Te ogromne wizerunki ś. Wojciecha i ś. Stanisława patrzą na późne pokolenia oczyma dawno upłynionych stuleciów. Bo choć na nich widać już wpływy wieków średnich, przecież te ich oblicza ciemne, brunatne, ów wyraz skamieniały, te figury ich przydluższe a złote tło, a pozłota gruba na szatach, i fałdowanie się draperyi, a technika w wykonywaniu i ornamentyka i wiele innych cech, czynią te obrazy istném byzantyńskim malowaniem; więc to one należą do epoki *staro-chrześciańskiej* sztuki, wyprzedzającą przeszło półtysiącem lat Stólecia Średnie.

Te wizerunki są więc jakoby wysłannikami owego byzantyńskiego cesarstwa, owego Konstantynopolu, co świecił i lśnił i błyszczał na Wschodzie, co lubo niemocą śmiertelną złożony, a konający przez życie całe, jednak przechowywał u siebie dobytek a skarby duchowe starożytnego klasycznego świata przez wszystkie one czasy, gdy inne ludy Europy kipiały jeszcze dziką, zamętną, choć zdrową potęgą, mającą się kiedyś wyrobić z barbarzyństwa, na zając robotnicę około cywilizacji i oświaty ludzkiego rodu.

Arcyważnym stopniem do tej przyszłej kultury był ów czas, który wiekami średnimi a epoką *romantyczną* zowiemy. Jak tedy sztuka starochrześcijańska stanowi pierwszy wielki okres w historii artystycznej ludów chrześcijańskich, tak owe stulecia romantyczne stanowią drugi jej główny okres, który atoli rozdziela się w sobie na dwie części. W pierwszej wykwitła sztuka *romańska*, w drugiej zaś sztuka *gotycka* wybujała całym fantastycznym urokiem swoim.

Także dziwnym a arcyszczęsnym trafem, ów styl romański tak rzadki w naszych stronach, ma w katedrze naszej właśnie wyobraziciela swojego.

Wstąpmy do podziemnego sklepu, kędy spoczęły zwłoki króla Jana III, Kościuszki i księcia Józefa, popatrzmy się po tych łukach, sklepieniach, kolumnach i kapitelach, a obaczmy się zaiste wśród architektury, będącej puścizną z romańskich czasów.

A sztuka gotycka! Wszak ona wyobrazona jest w katedrze wawelskiej nie tylko architekturą ale i rzeźbą, nie tylko wyjawiała tutaj ogólne zarysy swoje, ale odbiła się w różnych kolejnych stopniach swojego rozwoju. Porównajmy np. grobowiec króla Łokietka z pomnikiem wielkiego Kazimierza, i znów pomnik ten z arcydziełem, które wywołało na jaw dłuto cudowne Stwosza, ku uczczeniu pamięci Kazimierza Jagiellona — a które

zaiste będzie na zawsze u nas pierwowzorem pomników gotyckich, pełnych głębokiej romantycznej poezyi.

Wszak średnie wieki a z niemi sztuka romantyczna przeminęła, więc gotycyzm tak śmiały i fantastyczny omdlał w sobie; więc ludy europejskie a na reju ich ziemie italskie, zwróciły się myślą i sercem do starożytności klassycznej, więc wykwił światu ów uroczy styl „*renesans*“²⁾, stanowiąc następną epokę w dziejach sztuki. Styl ten zrodziwszy się we Włoszech w drugiej połowie piętnastego wieku, z cudownej ojczyzny przeszedł śnieżne Alpy i zwolna rozgospodarzył się po innych krajach Europy, i wszędzie był mile witany; bo ten styl był tak radosny, uroczy, tak młody i wiosenny! Więc on stanął też i nad Wisłą, wstąpił wcześniej do katedry naszej i tutaj po dziś dzień świeci w tym uroczym pomniku króla Albrechta, i później wystawił swą przesławną na cały kraj kaplicę Zygmuntów, nad którą już niema piękniejszej.

Lecz co piękne i urocze, tego nie długo na świecie. Styl renesansowy zwichnięty był tytaniczną potęgą Wielkiego Michała Auiola Buonarotti, któremu mniej chodziło o formy i przystroje architektoniczne, co wypływają ze samej istoty budynku, jak raczej o to, aby zuchwałą choć gienialną ręką zmuszał te formy, aby się stały wyrazem osobistego usposobienia duszy jego. Wszakże te jego gwałty choć tak butne i harde, są zachwycające, wspinałe, bo poszły z głębi wielkiego człowieka. Lecz wnet następcy jego, karły talentem, rzucili się jego torem: nie brakło im zuchwalstwa, ale brakło gieniuszu onego arcymistrza. Tak sztuka a zwłaszcza architektura wy-

²⁾ Nie używamy tutaj bynajmniej wyrazu „odrodzenia“ bo rzeczywście stylem „odrodzenia“ starożytnej sztuki, była sztuka późniejsza a mianowicie Palladiusza, Vignoli itd. różniła się wielce od epoki sztuki, którą renesansem zowiemy.

paczyła się we Włoszech stylem *baroco*, a później we Francyi zaczęła swawolić, kipieć i mizdrzyć w stylu *Rococo*. Wszak zanim do tego przyszło, widzimy jeszcze styl przejścia, co choć już kroi na one *baroco*, nie może przecież jeszcze zapomnieć o czasach, w których wdzięczył się renesans. Ten styl przejścia więc pięknego barokizmu, widzisz w kaplicy Wazów. Łamią się tutaj wprowadzie zuchwałe linie i powierzchnie, dziwaczają się nieco szczegóły architektoniczne, świeci się suto na marmuroch srebro, złoto, jednak mimo tego wszystkiego, jeszcze ta architektura téj kaplicy chwyta za serca, przejmując głęboko czcią, bo jeszcze w nią przemieszkuje sztuka wspaniałością majestatu a szlachetną grozą.

Mocniej a mocniej już odzywa się ten styl w pomniku króla Michała i Jana IIIgo. Przecież już w całej mocy i oko w oko patrzy on na nas z pomnika olbrzymiego, wystawionego w hołdzie zacnemu Biskupowi Szaniawskiemu. Po obu stronach siadły dwie rzeźbione olbrzymie niewiasty w pozycyi niewygodnej i śmiałowatěj, w oczach ich wyrobione źrenice, a w środku medalion owalny z popiersiem Biskupa, trzymany przez jakąś postać unoszącą się na ciężkich skrzydłach, dmącą w trąbę sławy itd.— Tak jest, jest to ten styl szumny, buńczuczny, trąbiący, wabiący hałaśnię uwagę ku sobie! Choć i to prawda, że i baroko i rokoko mają téż znów znakomite zasługi i wdzięki swoje. Lecz o nich nie tutaj nam prawić!

Tuż naprzeciw kaplicy, w której grobowiec Szaniawskiego wyobraża nam skrzywienie się uczucia piękności, widzimy dzieło będące szlachetnym wyjawem *ostatniej* a nam współczesnej epoki sztuki. Jest to pomnik Włodzimirza Potockiego, utworzony gieniuszem arcy-mistrza Thorwaldsena. Z téj postaci marmurowej a tak zycia pełnej, nieměj a tak wymownej, tak przejętej

prawdą i naturą, a przecież idealnych uroków, widzimy, że rzeźba dzisiejsza policzyła się z zadaniem swoim, że ona jest zaprawdę zacną uczennicą starożytniej skulptury, a jednak odetchnęła powiewem niebiańskim Wiary Zbawienia.

Lubo więc tak pobieżnie i z opuszczeniem tylu innych pomników, przeszliśmy myślą katedrę naszą, okazało się atoli, że w niej nie brakuje żadnej wielkiej epoki, żadnego ważnego ogniwa Historji sztuki ludów chrześcijańskich ³⁾. A ta rozmaitość stylów jest zaiste rodzimą! Tu i owdzie po stolicach europejskich, stawiają się dziś różne style równocześnie obok siebie; co stąd pochodzi, że obecny świat nauczył się wszystkich architektonicznych stylów, przecież sam nie zdoła wyrobić sobie stylu właściwego; stawia się to z gotycka, to z byzantyńska, z romańska, to znów naśladuje renesans, to Greków, to Rzymian, to bazyliki. A lubo te budowania bywają i mistrzowskie, toć przecież są one raczej owocem studiów głębokich i nauki, niż natchnienia; mniej idą z serca niż z głowy, bo należą do obcych wieków, bo są cudze. W naszej katedrze zaś rozmaitość stylów nie jest samowolną, lecz pochodzi stąd, że je stawiały po sobie rodzące się epoki, a każda epoka stawiała wedle własnego smaku i natchnienia, nie naśladując na oślep dawnych czasów, lecz czerpiąc z siebie i z własnych najgłębszych uczuć swoich.

Nie mówmy tedy, że ten lub ów pomnik, nie nadaje się ze stylu do architektury katedry naszej i do otocze-

³⁾ Wprawdzie styl byzantyński był jeszcze wyprzedzony architekturą rzymskich bazylików, wiemy atoli, że on nie mógł spóźniej okazać się w Polsce, bo on powstał w czasie, gdy jeszcze nie zawiązała się Historia polska, bo on zrodził się we Włoszech przez przerobienie budynków starorzymskich na kościoły chrześcijańskie; nie wspominamy już innych powodów, które były przyczyną rozszerzenia się tego stylu w stronach naszych.

nia swojego. Bo każdy styl jest tutaj naprawdę wieszczem swojego okresu. A kościół jest domem Bożym; rzekłbyś, że jak te pokolenia wszystkie, jak te epoki wszystkie z kolei ulatywały z ciepłej dłoni Stwórcy, gdy przychodził ich czas pojawienia się w historii i dokonania na Ziemi zadanej im roboty, tak podobnie, gdy ich czas przeminał, gdy odprawiły doczesny żywot a ciężki trud swój, znów wracały z kolei do Ojca swojego, do Ojczystego domu, tuląc się do cichych a świętych jego ścian.

Widać tedy, żeśmy mieli za sobą słuszość, twierdząc, że w tej katedrze krakowskiej możnaby odbyć kurs historii sztuki, a nawet cywilizacyi wszystkich czasów chrześcijańskich. Z Wawelu rozwinąłby nam się widok obszerny, rozległy, jak cały europejski świat, jak cała przeszłość chrześcijańska! Zaiste piękny to widok i uroczy z tej wawelskiej skały — gdy nam się roztoczą Wisły błękitne wstęgi i zbożne niwy i pagóry lasem poszywane, i dworki i siola wesołe, i domy Boże niby twierdze wiary, gdy się w dali dźwigną, jakby chmury, Bieskidów kształty harde, lub gdy niekiedy nawet zaświecą srebrem płonącym zachwale Tatrów budowania. To widoki zaiste piękne i urocze; lecz te widoki wszystkie choć tak wdzięków i majestatu pełne, są jedynie widokiem dla doczesnych oczów naszych — gdy zaś oczy duchowe uświęcimy onemi pomnikami, co je historia jakby testamentem przechowała w katedrze naszej, już wtedy z wawelskich wysokości obaczymy żywot oddalonych wieków, które dawno w Bogu zasnęły — dojrzymy ludy i narody. dalekie, które od dawna zaszały za głęboki horyzont dziejów świata.

Byłaby to więc rzecz nielada, gdyby się kiedyś udało jasnym a przetrzonym słowem, z pomników urosłych w Katedralnej świątyni, wywróżyć pulsa ducho-

we każdej wielkiej epoki cywilizacyi. Byłaby to książka; jak myślę, i wielce użyteczna i wielce zajmująca.

Ośmielał się być zdania, że aby osiągnąć celu tego, wypadłoby przy rozbiórce pomników będących najdobitniejszym wyrazem społecznego sobie historycznego okresu i stylu, podzielić sobie rzecz niby na trzy części.

W części pierwszej należałoby choć lekkim zarysem skreślić obraz tego okresu historycznego, w którym styl, o którym mowa, się zrodził, i wykazać ogólne nastroje nie społeczności w tej epoce. W części drugiej przyszłoby podać charakterystykę stylu artystycznego tej epoki, a razem wyjaśnić, jak to koniecznie ten a nie inny styl mógł powstać z takiego nastrojenia duchowego i z takowej społeczności. Część trzecia na koniec zajęłaby się badaniem, wyświecającem, jakimi drogami styl ów dostał się w *nasze strony* i jakich doznał modyfikacyi i zmian stósownie do materiału miejscowego i do właściwości artystycznej fantazyi w Polsce. Gdyby się przeto takowe badania powiodły, jużby ze samych zmian o modyfikacyi, którym uległy różne style na polskiej ziemi, można odgadnąć cechy i dążności estetyczne narodu.

Przecież taka praca wymagałaby i długich pracowitych studyów nad krajem, i badań estetycznych i dziejowych, więc też usiłowania jednego człowieka wydołałby tu nie mogły; należałoby się wielu ludziom o chęci uczciwej, a ciepłej miłości, a nielada nauce sprzymie rzyć ku temu celowi.

Ale bądź co bądź, nie zawadzi choćby zacząć! —

Więc ośmielał się zacząć, a zaczynam od samego początku, zatem od stylu bazantyńskiego, czyli raczej nawet od początku tego początku, od pierwszej części rozprawy o nim, bo od obrazu społeczności, w której styl takowy się zrodził.

A uważmy, byzantyńska sztuka, jest właśnie wielce znaczącą dla dziejów artystycznych w Polsce, bo jak nam wiadomo, po kościołach, kaplicach, napotykamy u nas tak często święte obrazy i wizerunki malowane byzantyńskim trybem, że je każdy już od dziecięcych lat ukochał i uczył. A wiadomo też wszystkim, jako na wet te biedne, sąsiedne nam cerkwie galicyjskie, skromne i niewymyślne, z drzewa stawiane, gątem pokryte, udające jak tam mogą kopuły, mają przecież swoje wspaniałe a harde pierwowzory w oném świetném państwie carogrodzkim, co dawno runęło bez śladu. Byzantyńska architektura rozeszła się po całej Europie i po znacznej części Azji, lecz już najgęściej się rozsiała po czarnomorskich krajach i po słowiańskich ziemiach. Wszak nawet w katedrze naszej krom onych dwóch wspomnianych obrazów, znajdujemy i inne ważne zabytki tego stylu. Przypominam n. p. obrazy malowane, choć na gotykiem, sklepieniu, w kaplicy Śgo Krzyża; dalej ów wizerunek pana Jezusa ukrzyżowanego tak rzownie modlitwami czczony przez Jadwigę królową, a mianowicie już tło jego z blachy srebrnej wyrabiane co patrzy na nas tak z byzantyńska; podobnie też w zakrystyi pokazują ów sławny krzyż zwany kijowskim, co tak zdobny i strojny, tak pełen drogich kamieni, co dziwi tém mnóstwem jeźdźców i ptaszków misternie wyrabianych,—wszak i on jak się zdaje wyszedł z ręki byzantyńskiego mistrza.

W onych czasach, gdy stary, twardy Rzym trzymał jeszcze świat wszystek i wszystkie w koło ludy w nieużytem jęctwie swojém, gdy jego chwała świeciła najjaśniejszym promieniem; wtedy jeszcze Byzancyum, choć wśród cudów natury, choć pod niebem wiecznie wiosenném i wiecznie młodém, żyło życiem skromném, cichém, rzadko wspominaném od ludzi. — Wszak i nad

harda, Roma, Historya wybiła godzinę ostatecznego sądu! — Roma dopełniła powołania swojego na Ziemi, bo żelazną, bezlitosną pięścią, ująwszy ludy Afryki i Azji i Europy, wśród niesłychanych boleści i mąk, wycisnęła z ich serca dzikie natury ochoty i demony chuci surowych. — A tak mimo wiedzy przygotowała te ludy do przyjęcia nadgwiezdnych prawd wiary chrześcijańskiej. Nie dziw tedy, że Rzymskie imperium dokonawszy swojego w dziejach ludzkich, zapadło ciężką, śmiertelną niemocą, i że niedługo później, jakby zniewołone natury katastrofą, jakby wodzone przez niewidome moce historyczne, ciągnęły z zapadłej Azji ku Europie tłumy narodów i ciągnęły gęstą ciżbą, niby roje ludzkie ku Włochom, ku Rzymowi. Niby przeczućciem party duch rzymskiego państwa, uprzedzając wyroki zawieszone nad Romą — przenosi się z Italskiej ziemi do Bizancyum. — Konstantyn W. dźwiga w niém złociste budowania, rynki, grody, pałace, kościoły; więc jakby na czarodziejskie skinienie jego, Bizancyum niegdyś głuche i opuszczone, teraz stawszy się Konstantynopolem, błysło najwyższą wspaniałością, co strojna, harda i bogata, wznosi się całą dumą i sztuką dawniej rzymskiej cywilizacji, a zarazem ubiera się w przepych sąsiedzkiego Wschodu. I słusznie przeniosła się stolica do nowego Konstantynopola, bo w Rzymie straszło, bo po świątyniach, forach, około rozsypanych mównic dawnych, snuły się nocami niby cienie wielkich ludzi i wspomnienia wielkiej przeszłej historyi i starorzymskiej wolności.

Zaledwie w świecistym Konstantynopolu rozsiadła się władza, a już zaczęły się w Azji poruszać one czernie milionowych tłumów i ruszały przez półtora tysiąca mil, by mścić na Rzymie krzywdy wyrządzone światu i mścić Bogów zamordowanych, które niegdyś były czią ludów przez Rzymian podbitych. Złowrogie tłuszcze zbli-

wały się ku Włochom, ku Tybrowi. Nie na długo, nie na wiele zdało się podzielenie całego imperyum na dwie ogromne połowice, ani oddanie ich pod władztwo dwóch osobnych cesarzów. Tém rozdzieleniem atoli wystąpiły na jaw poraz pierwszy owe dwa ogromne przeciwieństwa wschodniej i zachodniej Europy, co choć arcyważne pod względem natury, ciężiej atoli jeszcze waży w historyi europejskich ludów. Zachód z Italską ziemią i ze Rzymem, stały się zrazu pośmiewiskiem a państwą północnej czerni, później poszły im na dziedzictwo a własność. Lecz gdy ten Zachód, ono siedlisko odwiecznej cywilizacyi, był płomieniem w niwecz obrócony, krwią zalany, kopytem końskim rozniesiony i skonał pod stopami najeźdźców; Konstantynopol przeciwnie to utwierdzony położeniem geograficzném, to odporem szczęśliwym, to złotem haniebnie od śmierci się wykupując, włókł długo jeszcze żywot swój.

Tak gród cesarski w Konstantynopolu stanął wśród najazdów jako wyspa skalna, o którą rozbijały się niby bałwany, barbarzyńskie tłumy. W nim świecił zbytek złocisty, lśniący, wykwint niesłychany; w nim moliła się bystrość zepsutego rozumu, by nowemi myślami rozdrażnić, wskrzesić obumarłe, strupiałe żądze; i znowu ten sam rozum ćwiczył się niby gimnastyką, aby szermierzyć w zagadnieniach teologiczno-filozoficznych. Bo w tém państwie nie było już myśli czerstwej, zdrowej, rozsądnej, ale zchorzały mózg wykręcał się w misternych, przemądrzałych abstrakcyach, szachrując metafizyką niby kuglarz jarmarczny. A cały lud, nawet całe uliczne pospólstwo, klóciło się zaciętym sporem o zasady wiary i filozofii; więc zawrzały stronnictwa a partye, więc gdy dowodów nie stało, mord szalony i rzeź broczyły rynki publiczne, amfiteatra i bruki miejskie. Często cesarze zapominając o godności swojej, zehodzili z wysokości tronu i mieszały się do wrza-

wy stronnictw zajadłych; ba! niekiedy nawet opierali na jedném z nich chwiejącą powagą swoją przesładując, ścigając bezlitośnie jęj przeciwników.

Tak rozpusty bezuzdne, okrucieństwo łaknące krwi i mąk współobywateli, i owa rafinowana gimnastyka myśli, i podłość bez granic szły razem z sobą i łączyły się z przepychem zapamiętałym wschodnim, co owionął Konstantynopol od Persyi i Arabii, czyniając mu serce, smak i myśl. Więc one czarodziejskie scenki i obrazki, z któremi tylko do twarzy bajeczkom i przypowiastkom z *Tysiąca Nocy i Jedna*, stawały się w Carogrodzie pierwiastkiem życia rzeczywistego i rządu a dworu ⁴⁾).

Do łyskotnych dziwadeł, do wymyślnych sztucznych rozkoszy, do frachów dzieciennych umizgały się ówczesne pany połowy znajomego świata! Lecz choć ich los tak był świecisty, słoneczny, przecież one kończyły często straszliwie koleje swojego żywota. Bo nie rzadko się działo, że ten co dopiero pysznił się otumaniony, okadzony obłokiem nikczemnych pochlebstw, za kilka dni uciekał cichaczem z państwa, lub z wylupanemi oczyma a wyciętym językiem, ledwie nędzne życie unosił, albo też

⁴⁾ Tak n. p. w ogromnej a lśniącej sali posłuchania jednego greckich cesarzów, dźwigał się tron promieniejący, błyszczący złotem i drogim kamieniem, a przed tronem stało drzewo platanowe, wyrobione ze szczerzego złota a rozwijające się w gałęzie i liście. Gdy posłowie ościennych państw stanęli w obec majestatu cesarskiego, wtedy każdy z nich, wedle przepisu, całą długością ciała swojego rzucał się twarzą na ziemię, a od tego ceremonijału swalniała tylko niedziela, niby dzień, w którym najgłębsze hołdy oddawały się jedynie Bogu. Otóż, gdy leżące na ziemi posły, kornie ozołem biły o posadski mozajkowe, już wśród gałęzi onego drzewa, zaczęły śpiewać złote ptaszki, a u stóp jego rykły straszliwe złote lwy, a gdy powstały z podłogi zdziwione ambasadory, osłupiały widząc, że krzesło cesarskie wzniosło się wysoko nad ich głowami.

konał mizernie w ciemnicach podziemnych, wilgotnych jakiego lśniącego pałacu.

Dodajmy do tego wszystkiego jeszcze żądzę niewstrzymaną, szalejącą do zabaw publicznych, mianowicie do wyścigów wozowych, które niby chorobą umysłową rozhuły się we wszystkich głowach, we wszystkich prowincjach; dodajmy nakoniec do tego jeszcze ową najściślej określoną hierarchią dygnitarzy i urzędów państwa, która jakby siatka żywa oplótła kraj cały, a złożymy sobie jako taki obraz czasu i ludzi, w których powstawała i rozkrzewiła się sztuka bizantyńska.

Wszak mimo tego, obraz takowy byłby zbyt ogólny, bo to państwo trwało przecież kilkanaście stuleciów, bo i ono choć mumią, choć strupiałe jednak przez sam upływ wieków zmieniało rysy twarzy, tak jako umarły w trumnie zmienia fizyonomią swoją. Ot ograniczmy się raczej na jednej epoce téj bizantyńskiej historii — a łatwo nam takową wybrać. Mając albowiem lekkim zarysem przedstawić społeczność, w której roztoczyła się sztuka bizantyńska, tém samem przychodzi nam mówić o czasach, w których ona urósłszy w najpotężniejszą moc, stworzyła najcenniejsze pomniki swoje, a takim czasem jest właśnie panowanie cesarza Justyniana. Jego to sprawom tedy przypatrzeć się nam wypadnie. Jednak i tutaj obraz ogólny zaiste nie wystarczyłby wcale, wolimy się więc ograniczyć skreśleniem wizerunku niektórych figur otaczających Justyniana a będących niby żywym czasem jego i uosobionym duchem jego epoki. Takowe wizerunki choć kilką słowami zrysowane, będą miały tę zaletę, iż będą wierne, bo je weźmiemy wprost z pisarzów ówczesnych, którzy patrzyli się żywymi oczyma na to, o czém tu pobieżnie wspomnimy ⁵⁾.

⁵⁾ Główném źródłem naszym będąc Procopius w zbiorze: *Corpus scriptorum Historiae Byzantinae*.

Było to za panowania cesarza Leona, gdy trzech młodych parobków illyryjskich, ruszało razem z wioski oczystej ku cesarskiej stolicy ⁶⁾). Na plecach zgrzebny worek, w nim kawał owsianego chleba, i kij w rękę, ot to całe ich mienie, i wyprawa w daleki świat i życie; ale zato u młodych wieśniaków wzdymało się serce bogate w nadzieje. Bieda i głód tak im dokuczyły w chacie domowej, że już postanowili powędrować do Konstantynopola, aby w szeregach wojskowych doświadczyć szczęścia swojego. I jednemu z nich zaiste, jak obaczymy, nieźle się udało. Bo przebiegły i zwinny, lubił pojąć z losem na stawki zuchwałe, przytém był to chłop barczysty, wysoki, a nakoniec natura opatrzyła go mężką urodą, co jak nam wiadomo nie zawadza nigdy w życiu. Ten chłopiek młody zwał się Justinus.

I doszli do Konstantynopola — Justinus zaciągnął się do gwardyi cesarskiej.

Stało się, że niedługo później, bo za czasów Anastyusza, Justinus ruszył na wojnę. Wczasie tej wyprawy był od naczelnego wodza Jana wtrącony do więzienia — może, iż wczémś grubo przewinił bo został skazany na gardło. I miał być stracony za dni kilka. Lecz cóż się dzieje! Wodzowi przyśniło się w nocy, jakoby przed łóżem jego stanęła postać nadzwyczajnych uroków i domagała się wypuszczenia uwięzionego żołnierza. Przebudził się Jan. Zrazu było mu jakoś markotno na sercu, przecież, gdy później zaśniały promienie zarania, więc spłoszyły nocne strachy. Justinus tedy został w kaźni swojej. Ten sam sen atoli powtórzył się i nocy następnej. Generał teraz zatrwożył się nielada, ale wstyd go było uleźć strachom, i pomyślał: że sen to nic, to mara. Więc trwał przy swoim — rozkazał nawet, aby więzień był stracony w dzień następny. Przecież takie zuchwalstwa

⁶⁾ Procop. Arcana 6.

udają się, jak stara gadka niesie, zwykle tylko do trzeciego razu. Jakoż gdy w nocy trzeciej, toż samo widmo stanęło przed śpiącym wodzem, gdy już teraz groźnie a obliczem i słowem surowém nakazywało uwolnienie Justyna; wtedy generał do żywego przestraszony przekonał się, że już niema żartów. Zatem skoro świt zabłysnął, otworzyły się drzwi więzienne a żołnierz wrócił do szeregów ⁷⁾).

Dalsze koleje Justyna zamkniemy w kilku słowach. Los rozkochawszy się w pięknym wojaku, wyniósł go wysoko. Ów chłopak illyryjski został trybunem, potem hrabią, potem generałem, a przed samą śmiercią cesarza Anastazyusza mianowany był wodzem gwardyi cesarskiej.

Dziwne też okoliczności towarzyszyły skonowi Anastazyusza! Cesarz ten ośmielił się z własnej mocy dodać słów kilka do modlitwy. Stąd okrzyczano go za kacerza, stąd o mało co nie był ukamienowany przez pospólstwo i zaledwie uszedł z życiem. Jednak jak prawią historycy, nie uszedł zasłużonej kary. A ponieważ sny były na porządku dziennym, czyli raczej na porządku nocnym, więc nie dziw, że i cesarz Anastazyusz opłacił zuchwalstwo swoje złowrogim snem. Otóż w dwudziestym siódmym roku jego panowania, pojawił mu się pewnej nocy mąż strasznego wejrzenia, trzymając zwój pergaminu w rękach i rzekł do śpiącego: „Patrz, za winy twoje wykreślam z życia twojego lat czternaście“ — i wykreślił lat czternaście i zniknął. Cesarz się budzi i zdity trwogą przywołuje Amantiusa szambelana swojego i opowiada ten straszny sen swój. Szambelan przerażony woła: „O Wielomocny Panie, wszak i mnie w tej chwili nawiedziło okropne marzenie — śniło mi się, że zwierzę nieczyste — nierogaczina — o-

⁷⁾ Procop. l. c.

gromnej wielkości, chwyciwszy mnie za poły, powaliło na ziemię i pożarło ze szczętem. Wtedy już cesarz i szambelan złożywszy radę, nie czekają poranku, ale bez zwłoki posyłają po Proklusa; bo Proklus był z urzędu wróżbitą, więc do niego należało tłumaczenie marzeń sennych. Wróżbita słucha, kiwa głową, zachmurzył i zadumał się głęboko; наконец przepowiedział: iż równie i cesarza i szambelana czeka niechybnie rychła śmierć, dodając, iż oba zginą od ognia ⁸⁾).

Cesarz chcąc ująć grożącego niebezpieczeństwa, przywołał tłumy niezliczone robotników, którzy spieszenie, nagle poprowadzili mnóstwo rur miedzianych z wodą po wszystkich świetlicach, komnatach, korytarzach stołecznego pałacu, aby w razie pożaru zalać w okamgnieniu szerzące się ognie. Jednak te ostrożności na nic się nie zdały. Piorun uderzył i zabił Anastazyusa.

Po śmierci jego ów szambelan Amantius niepomny na łaski doznane od nieboszczyka pana swojego, postanowił wykluczyć rodzinę cesarską od tronu, i pragnąc samowładnie gospodarzyć w państwie, umyślił wyjednać tron cesarski dla jakiegoś biednego niedołęgi, co by już był na przyszłość narzędziem bezwolnym jego intryg czwanych. W tym celu zaprasza skrycie do siebie Justyna, owego dowódcę gwardyi i złożył do rąk wiernych jego mnóstwo srebra i złota, a prosił aby datkami bogatemi zniewolił wszechmożnych gwardzistów do wyboru onego. Justinus święcie wykonał polecenie, bo nie zostawując ani grosza dla siebie, wszystko złoto i srebro rozdał gwardzistom, z tą jedynie odmianą, że je rozdał swoim imieniem i pod warunkiem, aby jego samego okrzyknęli cesarzem. Tak się stało. Justinus zasiadł na tronie.

⁸⁾ porówn. *Schlosser Geschichte der Bilderstürmenden Kaiser* str. 17 i 18.

Niema się czemu dziwić, że zawiedziony Amantius zalił się i mruczał i wygadywał, więc był nie na rękę i niewygodny nowemu panu, więc go oskarżono o spisek, więc poszedł pod miecz katowski; a ów niedołężny kandydat do korony wrzucony był do więzienia i kamieniami zabity ⁹⁾).

Lubo atoli takimi ciemnymi drózkami Justinus dopiął się cesarstwa, przecież nie mógł dać rady trudnym powinnościom swoim; a i zapewne niełatwa naówczas była sprawa ze szaleństwem rozjuszonych stronnictw. Mówiliśmy powyżej, jako istny zawrót myśli opadał rozumy ówczesne. Czezość w głowie, głuchota w sercu ląknęły zabaw, a mianowicie onych igrzysk w cyrkach a amfiteatrach, kędy ogromna ilość wozów na skręcenie karku pędziła z sobą na wyścigi. Ta ochota już się była zagęściła od wielu wieków; wszak Nero, a nawet inne jemu z ducha równe Cezary, wypuściwszy z serca pamięć godności swojej, same udawały woźniców pragnąc oklasków onego ludu rzymskiego, którego się stały katami. Lubo późniejszymi czasy te pany świata nie brały osobistego udziału w igrzyskach publicznych, przecież powszechne w nich upodobanie wzmogło się prawie do obłąkania — utworzyły się korporacye uorganizowane z tych, co łożyli koszta na konie i wozy; więc były bióra, dyrektorstwa, registratury i cała hierarchia urzędników. Gdy woźnice w cyrkach odznaczali się barwami szat, więc też im odpowiednie korporacye od tych barw przybrały nazwiska swoje. Zrazu podzieliły się na białych, czerwonych, niebieskich i zielonych; lecz gdy te dwie ostatnie stały się tak potężne, iż pochłonęły w sobie dwie pierwsze, więc zostało tylko stronnictwo zielone i niebieskie. W pierwszej epoce zielone liczyło

⁹⁾ Gibbon, *Histoire de la Décadence* i t. d. Wydanie Guizota t. VII str. 217.

w gronie swoim 1500 patrycyuszów a niebieskie 900 ¹⁰⁾). A za tymi patrycyuszami, co niechętnie wydali, stały ciżby ich zwolenników z pospólstwa, które na oślep wykonywały skinienia swoich patronów. Złowrogi to był stan rzeczy, bo partye cyrku nabierały barwy stronnictw politycznych a zwłaszcza religijnych. Słowo jedno, wyraz, frazes, kwestya z onęj metafizyki misterniej jak tkanka pajęczna, zapalały spory na zabój. Przychodziło tedy często do walk morderczych: jakoż np. za cesarza Anastazyusa niebiescy i zieleni tak się zwarli z sobą, iż trzy tysiące trupa padło ¹¹⁾). I nielepiej się działo za Justyna. W Antiochii taki zawrotny a zajadły szal opętał zielonych, iż rzuciwszy się z wściekłością na niebieskich, wyrzegli ich prawie do nogi. Morderstwa i rozboje z Antiochii rozbiegły się po prowincjach a posoka ludzka zalała miasta i wioski. A straszno pomyśleć, że najwyższa władza sama należała do jednego ze stronnictw, więc nie było miary gwałtów i krzywd. Sady, policya, zwierzchność każda, nie rozstrzygały sporów wedle słuszności i prawa, lecz wedle tego, do jakiej partyi należał.

Cesarz Justinus będąc już obciążony laty i czując niemoc swoją do rządów, przybrał sobie do rady a wybręki siostrzeńca swojego Justyniana. Lecz wypadło dać Justynianowi władzę przeważną a mianowicie dowództwo nad wojskiem, by go uczynić istotną podporą tronu. O sposobność do tego nie było trudno. Właśnie wtedy niedaleko Konstantynopola stał w miejscu obronnym z armią potężną a zwycięzką Vitalinus z rodu Got; chęci jego dla cesarza były wielce podejrzane, zatem

¹⁰⁾ Schlosser l. c. str. 19.

¹¹⁾ O tych stronnictwach prawi wyszłe niedawno pismo zajmując Ad. Schmidt: *Der Aufstand in Konstantinopel unter Kaiser Justinian* Zürich 1855.

trzeba go było jakoś usunąć. Więc posłano mu zaprosiny słodkie, miłuchne, pochlebne, wynosząc pod niebiosą jego zasługi, a waleczność a prawowierne zasady. Otumaniony Got dał się złudzić, opuszcza wojsko, udaje się do Konstantynopola. Justynian wraz z wujem głaszczą go jedwabnymi słówkami. Lecz niezadługo nieogłędny wódz, przy stole cesarskim był przeszyty siedemnastu razami, łatwowierność swoją życiem placąc ⁽²⁾.

Został tedy Justynian wodzem naczelnym. Naletzało mu przeto ruszyć z wojskiem na nieprzyjaciół i zarobić na krwawe wawrzyny chwały. To prawda! Lecz jakże w tym czasie odstąpić stolicy! Podeszły wuj mógł łada kiedy umrzeć, a w takim razie przepadłby tron dla siostrzeńca. Więc bezpieczniej było posłać do boju kogo innego na swoje miejsce. I tak się stało. Wódz naczelnny Justynian został tedy w domu; przecież za to po kościołach modlił się rzewnie za powodzenie wojska; a nadto w cyrku oświadczał uroczyście ludowi, jako z całego serca pragnie, by wrogi były pobite. Przytém jedną sobie względne chęci pospółstwa, wyprawiając mu dla zabawy arcyświatne igrzyska. Tak np. na jednym i tém samém widowisku wypuścił w cyrku do walki 20 lwów i 30 lampartów. Krom tego swoił sobie też i senatorów, choć prawda, że ich życzliwość wyfrymarczał kosztem skarbu publicznego. Krótko mówiąc skończyło się na tém, iż pewnego razu dygnitarze państwa, zebrawszy się świetném gronem, stanęli przed zgrzybiałym cesarzem i upraszali, aby ukochanego siostrzanka przyjął za kolegę swojego. Stary Justinus z początku wymawiał się, o ile mógł; w końcu niedowierzając swojemu krewnemu i obawiając się o własną osobę swoją, przystał na te prośby dostojników swoich. Niedługo pó-

⁽²⁾ Procopius l. c. porów. z Gibbonem l. c.

źniej Justinus umarł a Justynian został władcą świata, a było to w r. 527.

Zanim o Justynianie wspomnimy, przypatrzmy się bliżej figurom otaczającym tron jego.

Któż z nas nie słyszał o Belizaryuszu! Znamy go z opery Donizettego, znamy go z powieści Marmontella, znamy go z obrazu Gérarda, którego piękne dzieło powtórzyło się niewiedzieć ile razy na rycinach, litografiach i t. d. Na tém malowaniu widzieć możemy, jak to ów niegdyś świetny zwycięzca, sponiewierany niewdzięcznością swego pana, mając na rozkaz jego wylupione oczy, w postaci ślepego żebraka, boso, o kiju, w łachmanach dźwiga chłopczykę przewodnika, co omdlał ukąszony od węża. Ba! wszak i Dawid zasłużył sobie na pierwsze wience malując (w r. 1782) Belizaryusza jako prośzalnego dziadka, co wyciągając ręce do przechodzących, błaga o obol, o ów najdrobniejszy pieniążek bizantyński. Przecież gdy nie wszystko jest szczérą prawdą, co mówią romansiści, co wyśpiewują opery a malują malarze; zatém podobno nie zawadzi spytać się naszego Procopiusa o losy tego wielkiego wodza, bo on znał go bardzo dobrze i spisał nam dokładnie prozą wszystko, co widział i na co się sam patrzył.

Otóż wiemy wszyscy, że Belizaryusz rozświecił panowanie Justyniana jasnością sławy wojennój: on rozniósł potęgę cesarza swojego po trzech częściach świata. Więc powalił nagle jakby gromem państwo Wandalów rozsiadłych szeroko po Afryce północnej, potem zdobył Kartanę, Syrakuzę i Włochy południowe, uczynił się panem Rawenny i wziął dawną stolicę świata, ów Rzym. Tak wódz zawsze zwycięzki, zawsze szczęśliwy, wracał z tryumfem z bez liku wypraw wojennych.

Tak jest, wracał „z tryumfem,” bo ono Byzancyum spruchniałe, przypominając sobie starorzymskie czasy, rade było podlechtać swoją próżność, wyprawiając try-

bem dawnym uroczyste tryumfy. Więc odbył tryumfy Belizaryus, więc nieśli przed nim zdobycz bogatą, więc krzesła i sprzęty, naczynia złote i stosy klejnotów, i całe kupy pieniędzy i zbroje wysokiej ceny, i prowadzili pojmanych książąt i jeńców, i było wszystko po dawnemu, z tą tylko różnicą, że jak powiada Prokop ¹³⁾, tryumfujący Belizaryusz nie stał na rydwanie tryumfalnym, lecz skromniucho szedł piechotą przez ulice, dążąc przed oblicze cesarskie. Mówią, iż pewnego razu jakiś żydek wpatrując się hardemu pochodowi, wśród łupów zabranych, poznał sprzęty święte sprawione przed półtoratysiącem lat z górą, przez Salomona do kościoła Jeruzolimskiego. Te przedmioty starożytne, po zdobyciu świętego miasta, cesarz Tytus uniósł z sobą do Rzymu, a znów po długim, długim czasie barbarzyńcy rabując Rzym zabrali je z sobą, a teraz Belizaryus wydarłszy je z kolei barbarzyńcom, przywiózł do Carogrodu. Gdy Justyniana doszła wieść o tém, co ów żyd gadał, obawiał się kary Bożej, gdyby sobie przywłaszczył owe zabytki święte, bez zwłoki więc odesłał je do Jeruzolimy.

Mówiliśmy, że cesarz zazdrościwém okiem a podejrzliwém sercem patrzył na wielkiego wodza swojego. Przecież to wielce niesłusznie. Bo Belizaryuszowi ani przez myśl nie przeszło, aby na swoją korzyść obrócił sławę swoją i prace a trudy wojenne, choć mu się do tego nieraz sposobna wydarzała pora. Wszak niemało się go naprosili i nabłagali Włosi, by został ich królem; on tę ofiarowaną sobie a tak ponętną karonę, złożył u stóp pana swojego, nie dbając na krzyki włoskie, wyrzucające mu, iż woli być podnóżkiem Justyniana, niż sam królować.

Przecież, choć Belizaryus uczynił władztwo pana swojego potężne i groźne, choć mu podbił mnóstwo miast

¹³⁾ Procop. de bello Vandalico II. 9.

i państwa rozległe, bogate, choć mnóstwem zwycięstw niby lśniącemi brylantami, ustroił koronę swojego cesarza, choć go wybawił często z grożącego upadku i ukracał buntury straszliwe wstrząsające tronem Justyniana, przecież to wszystko nie zdołało mu zjednać szczerzej życzliwości pana swojego. Po każdym zwycięstwie przyjmowanym był na zimno i z dumą nieużyta przez zazdrośnego Justyniana; po każdej szczęśliwej wyprawie, wpadał jakby w niełaskę i niby zapomnienie. Dopiero gdy jaki naród ościenny powstał dobywając miecza, gdy strach padał na Konstantynopol; wtedy przypomniano sobie Belizaryusza, wtedy kazano mu zwyciężyć i on zwyciężył; a gdy wrócił, znowu raczono go dawną jałową oziębłością. Tak całe życie tego wodza o męztwie lwim a sercu gołębiem, było pasmem zwycięstw, przeplataném krzywdami i zniewagą. Belizaryusz był istnym bohaterem z cierpliwości i płaszcząc się pokory!

Lecz stokroć dokuczliwszą biedą niż te niewdzięczności a zawiastki Justyniana, były strapienia, których doznawał Belizaryusz w życiu swoim domowém, z powodu niecnój małżonki swojej Antoniny. Była to niewiasta bez czci i sromu. Od wczesnej młodości swojej szargała się obyczajem rozwiozłym i bezwstydnym. Namiętności jej zapamiętałe nie miały miary. Ani też Antonina nie weszła w siebie, gdy się stała małżonką Belizaryusza. Bezyrdna rozpusta miotła jak dawniej tak i teraz jej sercem; lecz choć jej sprośność była światu jawną, choć ta zepsuta niewiasta stała się nawet w tym czasie przegniłego obyczaju przedmiotem publicznej pogardy, choć wszyscy o tym kale a hańbie jej prawili, jeden atoli Belizaryusz, będąc sam człowiekiem bez skazy moralnej, wierzył upornie w zacność mającej go małżonki. Tymczasem Photius własny syn Antoniny z pierwszego małżeństwa, młodzieniec słabego zdrowia

lecz pełen uczuć szlachetnych, oddawna oburzał się na bezecne prowadzenie się matki swojej.

Stało się atoli, iż niewiasty służebne Antoniny, nie mogąc dłużej przenieść na sobie zbrodni swojej pani, wyjawily Belizaryuszowi hańbę jego domu, a otrzymawszy od niego pod przysięgą zapewnienie, że ich bronić będzie od zemsty zapamiętałej niewiasty — przyrzekły, że mu dostarczą dowodów jej występków. I to się stało — Lecz Teodozyusz gach uciekł do Azyi. Łzy i sztuczki zwodne Antoniny przebłagały Belizaryusza, a one nieszczęsne służebnice na rozkaz jej potajemny schwytane, rozsiekane były na drobne sztuki i wrzucone do morza.

Antonina przecież wiedząc o niechęci jaką wzbudzała w duszy własnego syna, nie szczędziła wymyślnych demonicznych środków, by mu zaprawić życie palącym jadem. Photias przywiedziony do ostateczności staje przed Belizaryuszem i nieoszczędzając już własnej matki swojej, odsłania haniebne jej występki i życie zwalane ohydą namiętności i chuci. Belizaryusz do żywego dotknięty, klęka przed młodzieńcem i zaklina, aby raczej pamiętał na powinności honoru, niż na pochodzenie swoje i wzywa go do spólnego przymierza przeciw matce jego. — Obaj tedy podniósłszy ku niebu rękę, w obec świętego ołtarza przysięgają sobie nawzajem, że się nie opuszczą, że nawzajem się bronić i wspomagać będą, i że wyświecą na jaw potworne życie Antoniny. W skutek tych ślubów wzajemnych Photias udaje się bezzwłocznie do Efezu, tam wymusza na powiernika matki swojej oczywiste dowody jej hańby. Uwięził jej gacha Theodozjusa i odbiera mu bogactwa bezwstydem nabyte. Photius atoli tém postępowaniem gwałtowném, pominał formy prawne, a tak oddał wrogom swoim miecz na siebie. Belizaryusz zaś obaczywszy się z małżonką, w pierwszej chwili gniewu kazał ją pojmać. Lecz cesa-

rzowa Teodora sama zbezczeszczona życiem występniem a sprosnem, ujęła się za przyjaciółką, a nawet jeszcze pośredniczyła jej z gachem. Belizaryusz był odwołanym i na rozkazanie cesarzowej, w jej przytomności uściśnął małżonkę; co mu atoli bez trudności przyszło, bo on sam wzdychał od dawna do pory sposobnej pojednania się z ukochaną żoną.

Antonina atoli choć się niby pogodziła z małżonkiem nie przebaczyła synowi. Photius dotknięty był okrutną karą, nie będąc nawet wysłuchanym. Wzięto go pod męki katowskie; tortury nieludzkie niezdolały atoli wymóżyć zgwałcenia przysięgi uczynionej przed ołtarzem Belizaryuszowi. Wytrzymywał katusze najsroższe oprawców. Dwa razy udało mu się uciec i schronić się do kościołów najwyżej od ludu czczonych, ale dwa razy nieszczęsny młodzieniec był przez siepaczków swojej matki gwałtem oderwany od stóp ołtarzy i zawleczony w ciemne kaźnie znajdujące się pod jej pałacem. Przecież po trzech latach powiodła mu się ucieczka ze straszego więzienia — umknął do Jerozolimy i tam został mnichem. A Belizaryusz? — Belizaryusz tak się lękał żony swojej, że mimo owych najświętszych przysięg swoich, nie ośmielił się ująć za młodym przyjacielem. Może tajemne męki jego duszy z niedotrzymanego mu słowa, sroższe były niż okrutne tortury, które wycierpiał nieszczęśliwy Photius ¹⁴⁾.

Niezdługo znowu dano generałowi dowództwo i wysłano do Persyi. I znowu Belizaryusz ocalił Wschód. — Pewnego razu atoli w obozie rozeszła się mylna wieść o śmierci Justyniana. Naczelny wódz wierząc tej pogłosce, swobodniej niż zwykle wyraził się o panowaniu cesarza. Więc pod pozorem błahym przywołano go do Konstantynopola. Gdy Belizaryusz ze szczupłym gronem

¹⁴⁾ Co się tyczy Photiusa, perówn. Gibbon l. c. T. VII. c. XLI 41.

swoich przyjaciół zbliżał się ku stolicy, wyprawiono cichaczem komisarzy do obozu, nakazując, aby skonfiskowali majątek jego, i postarali się o dowody jego winy. Gdy wielki wódz szedł przez ulice Carogrodu w towarzystwie tak nielicznego orszaku — lud stawał — i patrzył się w milczeniu na ten widok. I Belizaryusz pogromca ościennych państw i zbawca od wrogów, zeszedł teraz na przedmiot litości ulicznego pospółstwa! Justynian i Teodora przyjęli wodza z lodową oziębłością, a dworaki z zuchwalstwem a urąganiem. Udał się Belizaryusz do własnego palacu, tam powitały go pustki i głuchota. Antonina unikając spotkania z nim, w pogardliwém milczeniu zamknęła się w komnatach swoich. Wieczór zapadł, Belizaryusz drżąc z lęku i boleści, rzuca się na łożo. — Prawie już noc zaległa samotność jego, gdy się pojawił przed nim sługa z pismem od cesarzowej Teodory. Ze strachem Belizaryusz otwiera list ten i czyta: „Wiesz zapewne, żeś zasłużył na nieukontentowanie moje. Mogłabym ci kazać życie odebrać i cały majątek twój zagrabić na skarb publiczny. Raczę atoli łaskawie uwzględnić zasługi twojej małżonki; zostawiam ci tedy życie i część twoich skarbów, ale nakazuję, byś objawił wdzięczność małżonce swojej, przecież nie czczemi słowami, lecz całém postępowaniem życia swojego.“

Generał przeczytawszy list ten, udał się do Antoniny, ukląkł przed nią i ucałował stopy jej ¹⁴⁾.

Lecz ukończmy obrzydliwy ten wizerunek, dołączając jedynie jeszcze słów kilka o śmierci Belizaryusza. Wiele jeszcze lat przeminęło, wiele jeszcze zwycięstw uwieńczyło wawrzynem czoło carogrodzkiego wodza, gdy w samych ścianach stołecznego palacu, zawiązał się spisek. Bo oddawna już niezadowolnienie i niechęć ogarnęły umysły. Ale zamachy się wykryły. Mnóstwo dygnitarzy

¹⁴⁾ Gibbon I. c. XII.

uwięziono. Rozpoczęły się śledztwa. Dwóch dworzan Belizaryusza wzięci na męki zeznali, że należąc do związku, postępowali wedle polecenia swojego pana. Tak przeto mąż ten, który przez lat czterdzieści składał dowody wierności swojej i najwyższych zasług, teraz został uwięziony w pałacu swoim i przed sąd stawiony — i odsądzony od majątku. Niedługo później atoli uznano niewinność jego, wrócono mu zaszczyty i dawny stopień. Jednak po ośmiu miesiącach Belizaryusz umarł — na serce. ¹⁵⁾

Mówiąc atoli o Belizaryuszu i małżonce jego Antoninie, trudno nie wspomnieć o trzeciej figurze z onych czasów, bo o sekretarzu tego wodza. Tym sekretarzem był właśnie ów Procopius, wspomniany powyżej jako główne źródło naszego opowiadania. Był on niby dworakiem, a przecież niby mężem prawym, był niby lekkim a przecież odważnym, był niby człowiekiem szczerym, a przecież mściwym. Wszak to on w dziełach swoich spisał najważniejsze sprawy ówczesnej epoki. Naprzód skreślił historią wypraw wojennych Belizaryusza i takową poświęcił cesarzowi; ale gdy Justyniana korciła sława generała wyświecona w tych dziełach, więc autor nie otrzymał żadnej nagrody. Więc Procop dworski ćwik — zgrabnie uchwycił tę stronę panowania Justyniana, która zaiste była najświetniejszą, bo opisał

¹⁵⁾ Gibbon l. I. X. c. XLIII.

Niewiem dla czego *Sismondi* (*Histoire de la chute de l'empire Romain* T. I. str. 347) powtarza wieść o żebractwie Belizaryusza. Wszak nawet skonfiskowanie skarbów jego, pewnie nie pociągało za sobą żebrania ulicznej, o której prawi *Sismondi*. A ta bajeczka tém osobliwsza w jego dziele, gdy szanowny jego rodak *Le Beau* w swojej historii *Wschodniego Państwa* ks. XXXIX wytknął długo przed panem *Sismondi* nieprawdę tej wieści i wraz z innymi autorami wykazał, że ona wyszła z lekkomyślnego *Tzetseasa* nie bardzo znakomitego pisarza żyjącego dopiero w 12 wieku.

budynki wystawione przez tego cesarza i wynosił pod obłoki wspaniałość a mądrość jego. Liczył na sute, okazałe uznanie swojej pracy. Lecz i tym razem nie wyszedł na swoje. — Ominęły go spodziewane dzięki bojne; snąc, że Justynian jeszcze krzywo patrzył na pochwały, które autor obsypał Belizaryusza. Wtedy oddając Procopius wet za wet, napisał pokryjomu rodzaj pamiętników tajemnych (anecdota arcana) i w tych już nieżałując sobie i nikogo nieoszczędzając, zdarł opone z postaci Justyniana i Teodory i wywłókl ich pamięć na ohydę potomności. Czytając te pamiętniki, myśl się wzdryga na te wizerunki jego, i odwracamy się z obrzydzeniem od onych czasów o bagnistém sercu, a radziłyśmy nie wierzyć Procopiusowi; — przecież jest rzeczą pewną, że on nie zmyślał kreśląc te obrazy. Wszak sam Montesquieu, wszak sam Gibbon wierzą tym pamiętnikom! Dla naszego celu wystarczy przytoczenie, choć w skróceniu, kilku słów jego, wyjętych ze wstępu do tych „Arcanów“. „Trwożę się myśla“ mówi Procop „czyli opisanie moje żywota Justyniana i Teodory, nie będzie się kiedyś zdawało niepodobném do prawdy; obawiam się, abym nie był uważany za bazarza niegodnego wiary, a ja przecież mówić będę o rzeczach jawnych, zaświadczonych przez ludzi, którzy dziś żyją. Wszak z drugiej strony, niewoliła mnie jeszcze do pisania nadzieja, iż ci, którzyby kiedyś w przyszłości, również tak haniebnie panować chcieli, powezmą w tych księgach odstrach od złego, widząc, jako historia oddaje zbrodnie na przekleństwo potomnemu światu. A przytém dufałem, iż gdyby znów kiedyś miały w dziejach nastać okropne czasy naszym podobne, wtedy nieszczęśliwi czytając historią naszej epoki, znaleźliby ulgę w zwém strapieniu. Bo wszyscy nieszczęściem nękan i tén się zwykle pocieszają, że to nietylko na nich samych spadają srogie klęski“.

Wiemy, jak to w duchu starego Rzymu, dwa główne pracowały pierwiastki; bo gieniusz wojenny i gieniusz prawnictwa. Stary Rzymski lud był ludem żołnierzem-prawnikiem, a te dwa pierwiastki żyły w nim taką potęgą, że zrodziwszy się z onemi bliźniakami przez wilczycę wyniańczonemi, przetrwały wszystkie koleje, wszystkie jasne i ciemne epoki państwa rzymskiego, a przeniosły się nawet w późny świat byzantyński. I zaiste, jak pod Justynianem Belizaryusz jest uosobieniem gieniuszu od miecza, tak prawo znalazło pod tym cesarzem swojego wyobraziciela, a był nim głośny po wszystkie następne czasy Tribonianus.

Wszak każdy, który choćby wieścią posłyszał o umiejętności prawa, wie, że rdzenia a sercem jurisprudeneyi, od półtoratysiąca lat bezmała, jest prawo rzymskie; wie, że ona gruba księga, którą „*Corpus Juris*“ zowiemy, jak jest podwaliną węgielną wszelkiego ustawodawstwa państw cywilizowanych Europy, tak jest również wyćwiką bystrości prawniczego rozumu. Więc też nikt nie może zwać się prawnikiem, kto nie skapał ducha swego w tém arcydziele prawniczém. Otóż to *Corpus Juris* powstało za czasów i z rozkazania Justyniana, a za sprawą i przewodnictwem jego kanclerza Państwa (*quaestor sacri palatii*), Triboniana.

Tribonian był człowiekiem niesłychanej erudycyi! bo iście strachy nas biorą na samą myśl olbrzymiej jego uczoności; ale przytém był zachowania uprzejmego a gładkiego. Rozum jego niby piskorz zwinny, wysmykujący się ze wszelkich trudności; serce jednak jadła chciwość przedajna a łakomstwo zdziercze tak bezsumienne, iż bióro jego było niby straganem, kędy się targowano o wyroki sądowe. Więc też gdy w r. 532 wybuchł ów rokosz okropny, straszliwy, który o mało co niewywrócił tronu Justyniana, zaciekle nienawiść rozhukanego ludu rzuciła się głównie przeciw Tribonianowi. Więc ce-

sarz zniewolony będąc koniecznością, złożył go z urzędu. Tribonianus atoli należał do tych ludzi, co choć strąceni z wysoka, zawsze jakoś na nogi padną; więc też, po uśmierzeniu owego powstania, znów na wierzch wypłynął i wrócił do dostojenstw swoich i do zbierania złotych plonów swojej jurysteryi. Taki to był człowiek, co przysłużył się europejskiej umiejętności dziełem prawniczym, nad które nie było, ani zapewne nie będzie ważniejszego.

Powiedzmy słówkiem, jak się rzecz miała z tém Corpusem. Od czasów starorzymskich namnożyły się z kolejną wieków: ustawy, przepisy i prawa bez liku i końca, — do tego jeszcze przybyły dzieła umiejętne wielkich prawników, mających cześć i wysokie zachowanie w świecie jurisprudeneyi; więc niema się czemu dziwić iż te źródła prawne, spadając „jakby grzech pierworodny z pokolenia na pokolenie“, urosły w taką ilość olbrzymią, żeby było czém jak ówczas mówiono obciążyć całą gromadę wielbłądów.

Już za czasów Konstantyna W. myślano o przejrzeniu tego lasu bezdrożnego ustaw; lecz zaledwie się jęto tój roboty, ogrom niewypowiedziany materiałów odstraszył pracowników. Dopiero Justynian jakby „natchniony duchem Bożym“, taka niby jest myśl własnych jego słów, postanowił skrócić to prawodawstwo tylu stuleciów i zebrać je w jedną książkę, a tak dokonać dzieła o którym nikt dawniej ani zamarzyć się nieośmielił.

Cesarz Justynian polecił tę pracę Tribonianowi. Nie ma wątpliwości, że najtrafniejby byłoby odpowiedziało temu zamiarowi dzieło systematyczne, roztaczające najgłębszą treść i niby duszę onych nieprzebranych materiałów jurisprudeneyi. Jednak na taką księgę ustaw nie stać było epokę ówczesną świata, na taką pracę zdobyć się nie mógł nawet Tribonian mimo bystrości,

mimo olbrzymiej nauki swojej. Bó dzieło takowe wymagało twórczej żywej potęgi, samodzielności duchowej, a téj nie było w przeżytem państwie byzantyńskim, omdlewającym ze starości. Jak w sztuce pięknej tak i w prawodawstwie, brakło wówczas już mocy rodzącej, a na miejsce jej celowała jedynie mechaniczna wprawa, technika; miejsce mistrzów zajęli majstrowie, a zamiast kompozycji popisywało się wirtuozostwo w kompilowaniu. Taki też ma charakter owe prawodawstwo Justyniana, a mianowicie najgłówniejsza część jego, bo *Digesta* (Pandekta). Tribonian zebrawszy po naszymu mówiąc, komissyą złożoną z najwyższych i najuczeńszych dygnitarzy państwa, rozdziela ją na trzy sekcye, a każdej z tych sekcji oddaje jeden z trzech rodzajów źródeł prawodawczych, polecając jej wypisywanie z nich wyjątków krótkich a treści pełnych i które dopiero miały być układane w porządku różnych materij. I szła ta robota jakby we fabryce, żwawo, ochoczo, niesprzeczanie, a jej duszą wszędzie i zawsze obecną, był Tribonianus, istny gracz do rzeczy takowych. Mając już gotowe wyjątki wszystkich trzech sekcji, pospajano je wedle materij mechanicznie, niby sztuczną mozaikę; z tą tylko różnicą, że mozaista naprzód z góry wie, jaki mu się obraz z tych drobnych kamyczków jego złoży, co więcéj, że niekiedy sam bywa twórcą tego obrazu, który idealnemi oczyma przed sobą widzi; praca zaś Triboniana i spółrobotników jego, zależała od materiału zostawionego puszczoną od przeszłych wieków. Cesarz naznaczył dziesięć lat na dokonanie téj pracy. Atoli energia i niesłychana zręczność a istne wirtuozostwo Triboniana, dokazały tego, iż praca dokończona była dużo wcześniéj, mimo to że trudy prawodawcze przerwane zostały na dłuższy czas owym buntem niebezpiecznym. Więc też Justynian w radości serca swojego, unosi się pochwałami i gorącą wdzięcznością, oddając

słuszność onęj skrzętnęj czeladzi prawniczej. A jest rzeczą wielce charakterystyczną, że cesarz arytmetycznie wylicza i niby na łokcie mierzy tę robotę, mówiąc, że trzeba było przewertować 2000 ksiąg, że trzeba było trzy miliony wierszy przeczytać i popisać 9000 wyjątków i t. d. i t. d., zanim się to dzieło złożyło ¹⁷⁾.

Tak tedy jak wszystkie pojawy duchowe tej epoki, tak i to Corpus juris, jest istnym i wiernym odgłosem owej społeczności. W tej księdze, jakeśmy rzekli, nie dopatrzysz się genialności, ani twórczej mocy, ta księga jest bezduszną kompilacją bez wszelkiego wyższego natchnienia, bo była sklecona rzemieślniczą zręcznością, mechanizmem doskonałym. A przecież, przecież ona sprawiedliwie bywa nazywaną arcydziełem jurisprudence i pomnikiem, co przetrwa wszystkie inne prace tego rodzaju! Z tego już poznać można wielkość owych prawników starego Rzymu, i znaczenie głębokie ich dzieł mistrzowskich, z których Tribonian i koledzy jego pobierali one wyjątki swoje. Lecz dość już o tym Tribonianie i o młodszej braci jego. —

Było to jeszcze za czasów Anastazyusza cesarza, gdy pewnego razu podczas uroczystości, amfiteatr w Konstantynopolu napelnił się ludem czekającym na ulubione igrzyska i hece. Wtedy w środku Areny pojawiły się trzy dziewczątka małe. Śliczne to były dzieci! Najstarsze miało zaledwie lat siedm. Wystąpiły one ubrane zwyczajem tych, co proszą o łaskę. Gdy się zwróciły błagając ku stronie, kędy siedzieli zieleni, ich prośby przyjęto sarkaniem i pogardą; przeciwnie niebiescy okazali biednym dzieciom jakieś współczucie i życzliwość litosną. Ojciec tych dziewczątek przez wiele lat był dozorcą dzikich zwierząt chodowanych dla cyrku i zjadł nazwany był „niedźwiedziarzem“; umarł, zostawując te trzy

¹⁷⁾ De confirm. Digestorum 1.

małe sierotki. Matka ich pragnąc, aby urząd ojca nie wyszedł z rodziny, czém rychléj wybrała sobie powtórnego męża, ufając, że jemu dostaną się obowiązki nieboszczyka; lecz nadzieje ją omyliły, bo nie jemu, lecz komu innemu udzielono to miejsce. Teraz więc wysłała do Cyrku te dziewczątka swoje, aby wybłągać u ludu jakieś łaski dla siebie.¹⁸⁾

Otóż średnia wiekiem dziewczynka zwała się Teodora: ją przeznaczyły losy na cesarski tron. Teodora pamiętała zielonym do śmierci ich przyjęcie i przez długie, długie lata mściła się krwawo za ową obelgę swoją doznaną od nich na arenie. Ona wychowała się przy cyrku, a już we wczesnej młodości przepadła w bagnisku najokropniejszej rozpusty. Występowała wprawdzie na scenie, ale nieumiejąc ani grać na flecie, ani śpiewać, miała sobie udzielone jedynie role niewolnic: więc na scenie nosiła na głowie krzesło za siostrą swoją; więc celowała pantomimą, więc błaznowała na wielką uciechę zgromadzonej drani; a zwłaszcza gdy nadęła twarz udając boleść z otrzymanych policzków, już cały teatr trząsł się śmiechem i poklaskiem zgromadzonej, a znać, jak grubasznój publiczności. Mniejszaby było jeszcze o to, jednak życie jój bezecne, bezwstydné, czyniło ją wyrodkiem ludzkiej natury. Dość powiedzieć, że uczeni wydawcy dzieł Procopiusa dla uniknienia zgorszenia opuścili całe ustępy, w których skreśla obyczaje Teodory. Więc i my nie rozwodźmy się już nad jój prowadzeniem się; powiemy tylko tyle, iż w tym Konstantynopolu rozbukany zmysłową swawolą taka jednak rozszerzyła się odraza do téj Teodory, iż kto rano wyszedłszy obaczył ją na ulicy, już to spotkanie za złą wróżbę sobie uważał, wierząc, że tego dnia jakie nieszczęście na niego spadnie.¹⁹⁾

¹⁸⁾ Procopius Arcana 9.

¹⁹⁾ Procop. 9.

Przecież mimo tego bezwstydnego życia, Teodora zachowała cały urok niewypowiedzianych wdzięków swoich. —

Justynian wstąpiwszy na tron wziął ją za małżonkę i uczynił cesarzową.

Trzeba atoli wyznać, iż odziewszy się purpurą zmieniła tryb prowadzenia swojego; lecz zato napuchła dumą bez miary. To nie Justynian, lecz raczej ona rządziła państwem, ujawniając myśli i serca poddanych jakby w kleszcze żelazne. Nie było już swobodnego oddechu w cesarstwie, a im wyższe kto piastował urzędy, tym podłej się musiał płaszczyć, by nie stracił względów łaskawych. W dnie uroczyste senatory i dostojniki państwa i dworu, wedle przepisów ceremoniału, postępując długim szeregiem przez sale złociste, kędy zasiadała Teodora na tronie, z kolei rzucali się wszyscy na ziemię, i czołgając się milczkiem, i opierając rękami na ziemi, całowali końce jej stóp. ²⁰⁾

Gdy w świetlicach cesarzowej kapłało złoto, gdy wykwinny zbytek i przepych szalony stroił jej błyszczące mieszkanie, pod pałacem w ciemnościach jęczały na mękach jej ofiary. Ona nieprzeblagana, okrutna, nie zapomniała nigdy urazy — więc biada każdemu, kto na siebie zwrócił nieukontentowanie cesarzowej. W tym stanie najstraszliwszym i zgrozy pełnym, niema się czemu dziwić, że lud, że sam Procopius uwierzył, że Teodora miewała ze szatanami konszaktę miłosną, że pewnego razu widziano Justyniana w postaci lucyfera na tronie, że po nocach przechadzała się po świetlicach cesarskich postać straszna, bez głowy itd.

Przecież ta niewiasta sama jedna w całym dworcu cesarskim miała rozum bystry, zuchwały, ona sama jedna miała serce męskie. Wszak podczas owego okro-

²⁰⁾ Procop. Arcana 30.

pnego buntu wspomnianego powyżej (w r. 522) ²¹⁾, gdy sojuszem chwilowym złączyły się stronnictwa zielonych i białych na obalenie tronu, gdy od wielu, wielu dni rozkołysane wściekłością pospólstwo, biło się po ulicach z wojskiem, gdy pożar za pożarem obracał w perzynę najwspanialsze budowle, zakłady, kościoły i rynki stolicy, gdy w samym pałacu wszyscy utracili odwagę, gdy sam cesarz przejęty strachem, chciał już uciekać na statku przygotowanym do tego celu w porcie; Teodora sama jedna uratowała zwątpioną sprawę. Jakoż stanąwszy w obec męża a wśród wodzów i dygnitarzy, tak się odezwała: „Zaiste, teraz nie chwila po temu, byście rozbierali czyli przystoi, aby kobieta wbrew trwożliwym polecała odwagę! Myślę atoli, że powinnością jest, aby w godzinie najwyższego niebezpieczeństwa rozważyć, jak zaradzić złemu. Jestem przekonana, że ucieczka jest hańbą nawet wtedy, jeżeli przyniesie ocalenie. Każdy, kto ujrzy jasność świata, umierać powinien; a dla władcy najokropniejszym sromem, błąkać się jako tułacz mizerny. Lecz ja nie chcę doczekać się dnia, w którymby się bez purpury okazała światu, i nie chcę dożyć godziny, w którejby mnie spotykali ludzie, bez oddania mi czci jako cesarzowej. Jeżeli zaś ty cesarzu obstarasz za ucieczką, uczyni wedle woli twojej: tu masz skarbów stósy, tam masz okręt gotowy i morze otwarte! Ja zaś trzymam się stariej zasady, że najpiękniejszym łóżem śmierci — jest tron“. —

Te słowa zniewoliły wszystkich — postanowiono broń się do ostatka, i po krwawych morderczych walkach, bunt został powalony. A Justynian nawzajem Teodorze zawdzięczył koronę.

Zaiste, dość tych figur; wystarczą one, by uzupełnić

²¹⁾ Co do tego buntu odayłam czytelnika do powyższego a świeżo wyszłego pisma p. Schmidta.

smętny obraz onych czasów. Cesarstwo Wschodnie konało długą, niewyleczoną chorobą — rak toczył serce jego, rozum przemądrzały, prerafinowany skrzył jego myśli; siły rodne, twórcze, od dawnego czasu wymarły, bez nadziei zmartwychwstania; cywilizacya starożytnej Grecyi, i pradziadowego Rzymu przechowała się mumią; fantazyja artystyczna o istnieniu zachwyceniu wstąpiła od dawna do grobu. Więc kalkuł chłodnego rozumu, więc wprawa techniczna rąk, więc tradycya stereotypowa ciągle siebie powtarzająca, zajęła miejsce sztuki z natchnienia zrodzonej.

Przecież z drugiej strony, nie ceniłmy zbyt lekko owych bizantyńskich czasów; i one dokonały swojego powołania w dziejach ludzkości, i one pewnie miały w rdzeniu swojej jakąś siłę a moc. Wszak to wschodnie cesarstwo jeszcze po Justynianie przeczekowało lat 900, zanim runęło pod uderzeniem Turków. A ten wielowiekowy żywot, choć był tylko długim konaniem, jest przecież jawnym dowodem, że to państwo nie było, bez treści a siły wewnętrznej. Tą treścią była cywilizacya, która lubo zepsuta, nadawała atoli ogromną przewagę carogrodzkiemu cesarstwu, nad dziczą zalewającą ówczesny świat; tą siłą jego była organizacya władzy doskonała, rozsnuta jakby robotą pająka po prowincjach, a zbierająca się jakby węzłem w Konstantynopolu. I ta centralizacya była raczej koniecznym wypadkiem niż powodem wskrusz zepsutej, robaczkowej społeczności.

Wszak opatrzna mądrość czuwająca nad światem, przedłużając żywot tego państwa, z niem razem przechowała dziedzictwo dawniej greckiej i rzymskiej kultury. Bez cesarstwa Wschodniego cały bogaty dobytek umiejętności i sztuki, którego się dosłużyły niesłychanym trudem dawne wieki, i te wszystkie tryumfy ludzkich gieniuszów przepadłyby na zawsze w zapomnieniu, byłoby stracone dla Historii i w niwecz obrócone przez

barbarzyńską czerń, rozsiadającą się na gruzach dawnych dziejów. I stał ten Konstantynopol, aż do owej chwili, gdy Europa a zwłaszcza Włochy, odbywszy średnie wieki, już dojrzały i już były przygotowane do przyjęcia skarbów mądrości i nauk i kultury starożytnego świata. Wtedy dopiero ten Konstantynopol runął a duch dawnych stuleciów w nim przechowany, przeniół się do Italii i do innych ludów Europy, by ich odświeżyć, odrodzić życiem dawno zapomnianém i wprowadzić Historią na nowe dotychczas nieznane ścieżki. Więc i panowanie Justyniana a nawet własna jego osoba, nie zasługuje na zbyt lekkie wazenie. Bo to przecież za jego czasów, lubo za sprawą Belizaryusza, oręż cesarski dobił się potęgi i nowych dzielnic po trzech świata częściach, bo to przecież z natchnienia tego cesarza, a pod jego powagą zrodziła się ona znakomita księga praw, bo to wreszcie trudno zaprzeczyć, że okres jego rządów zajaśniał jeszcze innemi znakomitemi czynami. Tak tedy nie łatwo by przyszło odmówić Justynianowi duchowego i osobistego znaczenia.

Wszak ten Cesarz miał jeszcze jedną zasługę powyżej zaledwie przez nas z lekka wspomnianą, a która właśnie nadaje się składnie do celu niniejszej rozprawki naszej, zatem też ukończymy ją tém, że się tej zalety Justyniana z lekka dotkniemy.

Cesarz Justynian gorzał chęcią odznaczenia rządów swoich dziełami sztuki, a zwłaszcza też świetnemi budynkami. Stąd Konstantynopol, stąd miasta wszystkie a prowincye choć oddalone, zajaśniały wspaniałemi dziełami architektury. Styl bizantyński doszedł pod Justynianinem najwyższego południa swojego. Jednak najświetniejszym szczytem a owocem najogromniejszego mocowania się onego czasu, był kościół *Świętej Zofii*, który dziś obrócony przez Turków na meczet, jest zawsze jeszcze sławnym podziwem świata.

Od czasów Konstantyna Wielkiego, szczycił się Carogród kościołem pod wezwaniem Zofii Śtėj, lecz takowy zgorzał płomieniem w czasie wspomnionego powstania. Całą duszą jął się tedy cesarz nowėj budowy. Dziesięć tysięcy robotników chwyciło się tėj pracy. A wśród nich Justynian sam pojawiał się codzień, ubrany dla pokory w szaty białe niciane. Lecz zaledwie ukończono budowlę, trzęsienie ziemi zniszczyło znaczną jėj część. Nie odstręczyła się tą klęską silna wolna cesarza — ba, lud cały zajmował się serdecznie tą myślą, więc modlił się, i odbywał processye, i w najwyższem natężeniu duszy czekał dokonania olbrzymiego dzieła. Justynian trzech najpiérwszych dygnitarzy wyprawił na wyspę Rodus, by czuwali nad wyrobieniem cegieł mocnych a jak można najlżejszych. Na każdėj cegle wyciśniono napis „Bóg ją zachowa, ona nie zadrga w sobie i doleży od ranka do ranka“. Święte relikwije wmurowano we fundamenta; a ile razy stanęło nowych 12 warstw cegieł, cesarz i lud cały odprawiał publiczne nabożeństwo. Jak zaś ogólny był zapał w tėj sprawie, z tego widać, iż wierzone, że pomoc samego nieba jawnie, widomo towarzyszyła tėj budowie. Tak chodziła wieść, że gdy pewnego razu sami architekci nie umieli sobie radzić w jakiejś trudności konstrukcyi, w nocy okazał się cesarzowi anioł we śnie i objawił mu sposób rozwiązania onėj trudności.

Tak dźwignęła się ta świątnica na wszystkie kraje głośna. I zaiste, sam ogrom i zuchwalstwo kopuły godne podziwu. Ta kopuła jest sklepiona a arcyplaska, bo jėj wysokość liczy tylko jedną szóstą część jėj średnicy, a średnica olbrzymia dochodzi 108 stóp. Nie rozwodzimy się już o onych półkopułach, co z zachodu i wschodu przypierają do tej kopuły, ani o onych niezmiérnej potęgi filarach, które dźwigają brzemień skle-

pień i kopuł całej świątnicy, która zewnątrz widziana wznosi się „niby góra nad inne dzieła ludzkich rąk“.

Z drugiej strony wyznać winniśmy, że kościół Śtój Zofii jest raczej dziełem kalkulującego i rafinowanego rozumu, niż artystycznego natchnienia, że szczegóły architektoniczne, jako gzymsy, kapitele, filary i kolumny, nie są rozwinięte dostatecznie, że żyją jakby stulone w sobie: rzekłbyś, że te szczegóły nie ośmielają się wystąpić na jaw, ale że lękiem przejęte stanęły na pół drogi, nie mając do swojego rozrostu dostatecznego oddechu, że je trzyma potęga wszechwładna wszystko w sobie kupiąca, koncentrująca. Wszak ta siła koncentracji, dośrodkowa, wyjawia się niby symbolicznie tak we formie kwadratowej planu gruntowego, jako i w kółkości łuków i półkółkości kopuł. Chętnie też przyznajemy, iż zamiast twórczości mistrza, widzimy tutaj drogość materiału i kosztowność pozłoty, mozaiki i wysokiej ceny kamienie a nadewszystko najdoskonalsze techniczne wykonanie. Mimo tych niedostatków, nikt przecie nie zaprzeczy, iż ta świątynia jest istną chwałą chrześcijańskiego świata i onęj epoki, która ją stworzyła ²²⁾.

Nielada to był styl, skoro on znalazł tyle miłości w ówczesnej Europie i skoro dziś jeszcze tu i owdzie chętnie bywa naśladowany. A co więcej, ten architektury rodzaj jest tém wyższego dla estetyka i dziejopisa—filozofa znaczenia, że styl ten niby niemą mimiką tak wyraźnie prawi o historii wewnętrznej tych dawno zapadłych wieków.

²²⁾ Najdokładniejszego wyobrażenia o tym kościele nabrać można z pracy p. Salzenberg, który z polecenia N. króla Pruskiego a kosztami ministerstwa handlu i robót publicznych wydał to dzieło z atlasem przepysznym przedstawiającym plany architektoniczne kościoła Śtój Zofii i innych świątyni Carogradzkich pod tyt. *Altchristliche Baukunst von Constantinepol vom V bis XII Jahrhundert*. Berlin 1854. —

Nakoniec téj architekturze bizantyńskiej z mistrzowska wtóruje społeczne malarstwo bizantyńskie. Wszak wiele o niém rozprawiano, wypatrując niedostatki jego. Lecz cechy, które w niém widziano, były tylko ujemne, negacyjne; więc obumarłość, więc martwieć głucho, więc sztywną otrupiałość mumii. Przecież uważmy, że podobne cechy negacyjne miało i państwo carogrodzkie; lecz gdy właśnie jego długotrwałość dowodzi, że były i siły twierdzące, dodatne; więc téż i malarstwu, będącemu jego istnym wykwitem, pewnie nie braknie i tych pierwiastków dodajnych.

Jak w rzeczy każdéj, jak w człowieku każdym, tak i w tym stylu nierównie łatwiej wypatrzeć niedostatki niż zalety! Więc tutaj lubo na przódce, obaczmy czyli nam się nie uda wytłumaczyć na lepsze tych właściwych cech tego bizantyńskiego malowania, co zwykle tak bardzo bywa ganione.

To złoto lub lazurowe tło tych figur! Wszak to są postaci święte wzniesione nad naturę, nad rzeczywistość; więc nie otaczają ich krzewy, kwiaty, góry i obłoki ziemskiej natury: one przerwały stósunek swój ze ziemią grzeszną — złoto to nijakość barwy i błękit to wzniesienie się niebiańskie nad wesele i płacze doczesne. Te twarze posępne, smętne, ciemno-brunatne tak są dalekie od wszelkiej idealnej piękności, iż zaledwie w lekkich rysach twarzy, zaledwie w draperyi tylko z lekka dosłyszonym odgłosem przypominają piękność klasyczną idealną dawnéj Grecyi i epoki Phidiaszowéj. — Uważmy atoli, że te bizantyńskie postacie patrzą na nas z innego świata, ich nie obchodzą uroki ziemskie, w nich przestało bić serce, bo to ich serce jest niby wiecznością, ono nie zna, co życie i puls, co pukanie krwi, bo nie zna co czas. Te figury patrzą na nas, jakby były już patrzyły na sąd ostateczny, jakby od zgrozy skamieniały; — dla nich niema przeszłości, niema jutra. Ośmieliłbym się jeszcze

twierdzić, że było koniecznością przez same dzieje świata nakazaną, aby ona piękność idealna klassyczna pogańska zamarła niby w trumnie w tych bizantyńskich malowaniach. — Zaiste! ta fantazyja klassyczna skonała, aby znów odrodzona, wyświęcona nowym chrześcijańskim żywotem zmartwychwstała kiedyś w nowożytnej sztuce europejskich ludów. — Jakoż w 15 i 16 stuleciu najwyższem zadaniem przebudzonej sztuki nowożytnej, było zaślubienie owęj głębokiej treści chrześcijańskich mistrzów z pięknością idealną, właściwą sztuce klassycznej dawniej Grecyi; — fantazyja sztuki romantycznej tak bujnie rozwinięta w wiekach średnich, miała na się przybrać formy artystyczne czasów Peryklesowych. — Lecz aby się to ziściło, należało koniecznie, aby wprzód fantazyja twórcza mistrzów i wieszczów chrześcijańskiego świata, rozwinęła się po swojemu, aby urosła o własnej sile i z całą swobodą, więc bez wpływów owęj sztuki klassycznej, co choć była córą najwyższej olimpijskiej piękności, była przecież obcą, bo pogańską — i dla tego właśnie ta sztuka starogrecka ustąpiła na długie wieki ze świata, i dla tego właśnie ona zamarła w bizantyńskich dziełach. — A gdy ona zasnęła jakby w grobie, wtedy sztuka ludów chrześcijańskich w sobie się wzmogła i spotężniała właściwą sobie romantyczną fantazyją, i gdy się już dorobiła własnej istoty swojej, wtedy dopiero nastał czas, w którym bez stracenia tak głębokiej treści swojej mogła badaniem dzieł klassyczności dawniej, wskrzesić zmarłych owę wdzięku pełną grecką siostrzycę swoją i nauczyć się od niej owych form nieskończonego uroku — tak się więc stało, iż w wieku 16tym sztuka nowożytna związała piękność niebiańską i ziemską miłości przymierzem.

Lecz wróćmy znowu do obrazów bizantyńskich. — Zarzucają jeszcze temu malarstwu stereotypowe ciągle powtarzające się, więc niby rzemieślnicze wykonanie wedle

przepisów jednej i téj samej modły! Lecz — czyliby kto z was był powierzył onemu czasowi carogrodzkiemu wolność malowania wedle natchnienia wizerunków świętych? czyliby się ta swoboda nie była przerobiła w swawolę świętokradzką, w onę epokę skręconych uczuć a spaczonego smaku i obyczaju? Wszak obrazy będąc kultu przedmiotem, zawsze były i będą li kopiowaniem pierwowzoru, i dla tego właśnie mniej w tych kopiach będzie artystycznego natchnienia, niż wykończenia technicznego. A wysadzenie klejnotami tych malowideł i ona gruba, wzdymająca się złotem ornamentyka? Uważmy, że w czasach, kędy człeka nie stać na istną sztukę, więc na najcudowniejszy kwiat duszy swojej, wtedy rad choć z dobytku światowego złożyć Bogu ofiarę i poświęcić bogactwa ziemskie na cześć Nieba, by sobie ulżyć na sercu; więc w klejnotach na obrazie widzi klejnoty niebiańskie rzewności swojej i one czyste perły i świecące brylanty nieśmiertelne, które Bóg włożył w serce śmiertelnego człowieka, by w nim wiekuistością gorzały. Wszak i inne właściwości tak architektury jak i malarstwa tego stylu, dałyby się, jak myślę, wytłumaczyć na głębsze znaczenie. Przecież takowe, wszystkie uwagi już występują z zakresów, któreśmy sobie z góry dla téj rozprawki zamierzili, bo ta bynajmniej nie miała zamiaru ocechowania pod względem estetycznym onę starą bizantyjską sztukę.

JÓZEF KREMER.

O NAJZNAKOMITSZYCH TEGOCZESNYCH MOWCACH RELIGIJNYCH. *)

III.

(Dokończenie).

Najpierwszém dziełem filozoficzném Ventury, na które prawie we wszystkich późniejszych sam się powołuje, a które w swoim czasie wielki miało rozgłos i wywołało zwawą a zbawienną walkę w świecie umysłowym, była książka o siedmiuset stronicach wydana w Rzymie w r. 1828 pod tytułem: *De Methodo Philosophandi*. Ojciec Ventura połączył w niej jasność z głębokością, przenikliwość z bogactwem wiedzy, przepyszne wysłowienie z całą ścisłością metody scholastycznej. Książka ta jakkolwiek napisana po łacinie, nadzwyczaj prędko doszła do wiadomości publiki europejskiej. Samo imie autora już znane i wymieniane

*) Patrz zeszyt kwietniowy, czerwcowy i październikowy.

między katolickimi znakomitościami Włoch, Francyi i Niemiec, sława, której już używał jako jeden z pierwszych kaznodziei Rzymu, samo zresztą zaufanie, jakim go zaszczycał Ojciec chrześcijaństwa, wyciskały na niej pieczęć pewnej wartości wprzód jeszcze, nim osądzoną być mogła i podały ją w ręce najuczeńszych ludzi. Dzienniki antykatolickie i Gallikańskie, to jest napółkatolickie same nieprzyjaznymi swojemi krzykami przyczyniły się do jej rozślawienia, a czasopisma zasad jawnie i stanowczo katolickich jak *Giornale ecclesiastico di Roma* i *Memorial Catholique* we Francyi oddały autorowi jak najchlubniejsze świadectwo. W tem ostatniem znajdujemy uczoną recenzją stawiającą Venturę na równi z Bonaldem, de Maistrem i z jaśniejszym jeszcze podówczas całym blaskiem genialności i ortodoxyi de Lamennem. Z samego tytułu sądzić by można, że to po prostu dzieło czysto spekulatywne, traktujące o przedmiotach oderwanych, rozumujące o tem, jak rozumować, czyli dające w teorii abstrakcye podniesione do drugiej potęgi, tymczasem jakkolwiek głównie wystósowane jest do nauczających filozofii i teologii, dziwnie przecież jest pełne życia i interesu dla każdego, kto w jakikolwiek bądź sposób zajmuje się kwestyą religijną w stosunku do obecnych i przyszłych przeznaczeń społeczeństwa i prawdziwym postępem ludzkiego rozumu.

Ventura kładzie najsamprzód zapytanie, co jest powodem bezbożności tak gwałtownie wzrastającej między katolikami? Powodem niemoże być ani rozpusta namiętności, ani postęp lub upadek umiejętności. Namiętności bowiem zawsze są, a jeżeli są obecnie gwałtowniejsze, systematyczniejsze, to raczej jest skutkiem nie zaś przyczyną bezbożności. Również powodu niestanowi upadek nauk, nigdy bowiem z większym nieoddawano się im zapale — tém bardziej przyczyną bezbożności niemoże być postęp w naukach, boć jednak Ojcowie

Kościół byli mędrcami swego wieku, boć z resztą Kościół przez najuczestszych ludzi uratował w średnich wiekach umiejętności i tak je wysoko podniósł; boć na koniec religia jest mądrością samego Boga. Gdzież więc powód nieszczęścia? Gdzie korzeń złego?

Korzeń złego jest w złym kierunku filozofii, która jest propedeutyką wszech umiejętności. Filozofia zapładnia umysły teoryami, które następnie prowadzą człowieka po wszelkich stopniach naukowości. Jeżeli więc filozofia jest błędna, fałszywa, nieprzyjemna wierze, koniecznym następstwem rzuca w nauki i w umysły nasienie bezbożności. Na takim gruncie wzniesiony gmach religijny prędko się w gruzy rozsypuje. A ponieważ filozofia, jakiej dzisiaj nauczają powszechnie jest właśnie fałszywa, błędna, nieprzyjemna wierze, więc łatwy wniosek i odpowiedź na zapytanie, dla czego bezbożność nawet pomiędzy katolikami tak się wzmacnia gwałtownie. Jakże temu zaradzić? Cała filozofia mieści się w metodzie jej nauczania. Metodę zaś stanowią cztery rzeczy: *przedmiot*, którym się umiejętność zajmuje, *cel* jaki sobie zakłada; *podstawa pewności* i *zasada scyentyficzna* z której wychodzi.

Ventura absolutnie stanowi, iż filozofia tegoczesna pod względem wszystkich tych czterech punktów jest na błędnej drodze.

Co do pierwszego: Filozofia tegoczesna wszystko z tegoż samego tytułu chce mieć przedmiotem swych badań i wszystkie umiejętności bądź to boskie, bądź ludzkie, bądź umysłowe, bądź doświadczalne jednako traktując, o wszystkich sędzi się jednako uprawnioną do wydawania swoich wyroków. Tak naprzykład témże samem okiem mierzy stosunek pomiędzy Bogiem a ludźmi, co i stosunki pomiędzy ciałami; tak moralność ujmuje w linie i cyfry, do tego stopnia, że pod tym względem niema dla niej żadnej różnicy między Bogiem a

rzeczą najpodlejszą, między teologią a weterynaryą. Jaki ztąd rezultat? Oto, iż jak w sferze politycznej, kiedy ludziom, którzy z natury są tylko sobie podobni zachce się być równymi, natychmiast wszelka hierarchia i wszelka władza upada a lud, który jest tylko najwyższą siłą fizyczną ogłasza się wszechwładnym pod każdym względem; tak samo i w zakresie scyentyficznym, jak tylko umiejętności ogłaszają się pod względem swojej natury i ważności równymi, zaraz najwyższe wśród nich stanowisko i królowanie teologii niszczyje i przechodzi do umiejętności fizycznych, doświadczalnych, cielesnych, jako do mających dotykniejszą, materyalniejszą pewność. Niegdyś, kiedy rzeczy stały normalnie, miano powszechnie za zasadę, iż wszystko co się sprzeciwiało dogmatom prawdziwej religii, musiało być błędne, fałszywe. Dziś przeciwnie, wielu nawet z chrześcian ma to przekonanie, że skoro się tylko coś sprzeciwia doświadczeniom fizycznym, już tém samém jest absurdem, i że o wszelkich rzeczach niewidzialnych sądzić potrzeba, z tego co jest widzialne, dotykalne ¹⁾).

Powtórę, metoda nowoczesna grzeszy niemniej celem jaki sobie zakłada. W dziełach najgenialniejszych doktorów katolickich filozofia zakłada sobie rozwinięcie, wytłumaczenie, wykazanie *prawdy posiadanej* i obronę jej przeciw sofizmom fałszu; przeciwnie filozofia nowa szuka samej prawdy, jakoby jej wcale jeszcze nie było; co ostatecznie wypada na to, jakby sobie powiedziała, iż religia chrześcijańska nie jest regułą prawdy, gdy téj

¹⁾ Z tego sposobu zapatrywania się na rzeczy można już poznać jak dalece fałszywem jest zdanie krytyków Ventury, takich jak p. Chalambert, który jak zobaczymy poniżej sarzuca Venturze *sensualizm*! Tym panom dziwnie jest łatwo pluskać podobnemi sarzutami. Co zresztą bardzo się pojmuje, bo i cóż mogliby napisać, gdyby im jeszcze nie było wolno ciskać z góry takimi wyrażeniami, jak na przykład: *to heretyka! to nieścisłość! to do niczego!* i t. d. i t. d.

prawdy szukać trzeba, pomimo tego, że ją religia podaje, tak jakby jej wcale nienauczała, a zatem, że wszelkie dogmata religijne powinny stawać i tłumaczyć się przed jej trybunałem; że to tylko za prawdę przyjąć można, co ona prawdą ogłosi; że wszystkie tradycje, by najstarsze i najpowszechniejsze nie nieznaczają, albo tylko tyle, ile im wartości przyzna filozofia. Łatwo pojąć do jakich następstw podobne zasady zdolne są doprowadzić.

Co do *podstawy pewności*, ta jest całkiem żadna. Filozofia bowiem już dla tego samego, że sama szuka prawdy, i sama się ogłasza za jedynie zdolną do jej znalezienia, wszystkie prawdy istniejące, znane, przyjęte bądźto naturalne, bądź nadnaturalne ogłasza za niepewne, a zatem za żadne, boć prawda o tyle jest prawdą o ile jest pewną bądź dla zmysłów, bądź dla umysłu, bądź dla wiary, a prawda, której dopiero dowodzić potrzeba najwięcej jeżeli jest *wątpliwością*. Cóż zatem wedle tej metody jest prawdziwe? To co dla rozumu jest *oczywiste*? Ale co dla rozumu jest oczywiste? Nic. Boć rzecz z pozoru najoczywistsza ma pewne strony ciemne, niezrozumiałe, niedowytłumaczenia, co czyni właśnie, że nie jest oczywista, to jest ze wszech stron jawna, wyrozumiała, niepotrzebująca dowodzenia. A ztąd znowu jaki wniosek? Oto, że religia chrześcijańska która nakazuje wszystkim jedną i tę samą wiarę, która potępia wszystkie opinie osobiste, jeżeli się tylko powszechną wierze sprzeciwiają, która w sferze religijnej nakazuje przyjmować za prawdziwe to tylko, co wszędzie, zawsze i od wszystkich uznawanem było i jest za prawdę, która tę wiarę i sąd powszechny uważa za fundament pewności filozoficznej, która według Pallavicini'ego właśnie dla tego przekłada w wiekach średnich i dziś jeszcze Arystotelesa nad Platona, że ten pierwszy, owo *powszechne przekonanie (sensus communem)* przyjął za

podstawę swęj filozofii, — że ta religia zupełnie sprzeczna pod tym względem z filozofią nie nieprzyjmującą za pewne jedno to, co dla osobistego rozumu jest oczywiste, że religia ta, powtarzam niema rzeczywistęj wartości i niemoże być regułą życia. Tutaj Ventura jest w zupełnej zgodności z autorem dzieła *Essai sur l'indifference*. „Nowa filozofia, powiada on, jest tak samo sprzysiężeniem i walką przeciw powszechnęj ludzkiej mądrości, jak protestantyzm jest sprzysiężeniem i walką przeciw powszechnęj religii. Jednem słowem, Kartezyanizm jest, jak był protestantyzmem w zakresie filozofii, tak samo, jak protestantyzm jest jak był kartezyanizmem w religii.

Co do zasady scyentyficznej, filozofia nowoczesna niemniej jest zabijającą. Oto, czego w tęj mierze naucza. W istocie złożonej istotowo lub fizycznie, jaką jest człowiek, kwiat, drzewo, równie jak w złożoném akcydentalnem, jak na przykład stos kamieni, zboża lub piasku niema żadnej jedności fizycznej, rzeczywistęj, ale jest tylko jedność abstrakcyjna, jedność *podmiotowa*, to jest w naszym rozumie istniejąca. Zdawałoby się na pierwsze wejrzenie, że ta metoda jest całkiem obojętna, bez rzeczywistych, praktycznych następstw. Tymczasem zupełnie rzecz ma się inaczej. O. Ventura wykazuje jak na dłoni, że z nięj wypłynęły najpotworniejsze błędy w zakresie filozofii, religii, moralności i polityki.

On też powiada: Starożytni kładli za podstawę i punkt wyjścia w rozumowaniu, że co jest złożone istotowo (substantialiter) z dwóch albo więcj pierwiastków, jest w sobie rzeczywistą jednością. Tę rzeczywistą jedność uznawali oni między materją i formą w ciele; między duszą i ciałem w człowieku, między umysłem a prawdą *poznana* naturalnie w rozumie, między umysłem a prawdą *objawioną* nadnaturalnie w wierze; między człowieczeństwem a bóstwem w osobie Jezusa Chrystusa; między biskupami a

papieżem w Kościele między mężczyzną a kobietą w małżeństwie; między szlachcią a panującym w państwie, między państwami w jednej społeczności chrześcijańskiej, to jest w Kościele; między filozofią a teologią w chrześcijańskiej mądrości. Według tej teorii, ciało nie jest ani materią ani formą, ale jedną rzeczywistą całością będącą rezultatem istotowego jednej z drugą zjednoczenia — a tak samo, człowiek nie jest ni ciałem, ni duszą: rozum nie jest umysłem ani prawdą, rodzina nie jest kobietą ani mężczyzną; Kościoła nie stanowią biskupy ani papież; równie jak państwa nie stanowi szlachta, ani panujący, ale i człowiek i rozum i rodzina i Kościół i państwo i społeczeństwo są w sobie jedną rzeczywistą całością będącą rezultatem istotowego zjednoczenia dwóch pierwiastków, czyli części konstytutywnych. Ztąd wypływa, że biskupi bez papieża, że szlachta bez panującego, że kobieta bez męża, że umysł bez prawdy nie stanowią same ani Kościoła, ani państwa, ani rodziny, ani rozumu, podobnie jak dusza bez ciała nie stanowi człowieka, podobnie jak materia bez formy nie stanowi ciała. Ztąd na koniec wypływa, że czem jest dusza dla ciała w układzie człowieka, czem jest prawda dla umysłu względem rozumu, czem jest mąż dla niewiasty w układzie rodziny, czem jest panujący dla szlachty w układzie państwa, czem jest papież dla biskupów w układzie Kościoła, tem jest KOŚCIOŁ DLA WSZECZ LUDÓW W UKŁADZIE PRAWDZIWÉJ SPOŁECZNOŚCI.

Dalej jeszcze, według tej teorii, twórcą rozumu, rodziny, państwa i Kościoła, czyli prawdziwej społeczności powszechnej jest Bóg nie zaś człowiek, Bóg, który w rozumie Adama zjednoczył umysł z prawdą, i utworzył pierwszy z wszech ludzkich rozumów, tak jak jednocząc Adama i Ewę i utworzył pierwszą rodzinę. Tym sposobem pierwszego człowieka uczynił dla wszystkich jego potomków nie tylko naczelną zasadą rozrodczenia

się ale też i naczelną zasadą nauczycielstwa, a to w ten sposób, że jak wszystkie narody wyszły ze społecznego zjednoczenia Adama i Ewy, tak znowu wszystkie idee, zasady, pojęcia, umiejętności i sztuki wypłynęły ze zjednoczenia duchownego między umysłem Adama i prawdą, zdziałanego przez samego Stwórcę. Ta nauka tak piękna, szlachetna i wzniosła o początku idei i umiejętności była też tak powszechną, tak zwykłą w szkołach chrześcijańskich, że święty Tomasz, który w razie najmniejszej w pojęciach różnicy lub niezgody, zaraz stawiał dowody, na które niema repliki, co się przecie owiej nauki dotyczy, tak ją po prostu bez dowodzenia przedstawił jakby najmniejszej nieulegała wątpliwości.

Ojciec Ventura przedstawia następnie, jak kacerstwo Lutra i filozofia Kartezjusza zniweczyły tę wielką harmonię, jak rozerwały tę jedność. Metoda kartezjańska, ten protestatyzm filozoficzny, położywszy za zasadę, iż każdy z pierwiastków istotowych pewnej całości złożonej stanowi w sobie całość, i niezależnie od innych istnieje, stała się główną przyczyną *niepewności*, któremu z owych pierwiastków należy się pierwszeństwo i wyższość: materii czy formie w ciałach, umysłowi czy prawdzie w rozumie, szlachcie, czy panującemu w państwie biskupom czy papieżom w Kościele, państwu czy Kościołowi w społeczeństwie. Co większa, ponieważ według tejże metody pierwiastki konstytutywne całości z nich złożonej są w niej połączone *nie istotowo (substancyalnie)*, ale tylko *przypadkowo (akcydentalnie)*, przeto proste ztąd następstwo, że owe pierwiastki mogą istnieć osobno w oderwaniu jedne od drugich. Więc też jednocześnie poczęto w samej istocie nauczać publicznie, że to co Bóg zjednoczył węzłem nierozwiązalnym można bez zbrodni rozłączać — a przeto, że można bezpiecznie a nawet należy umysł odłączyć od prawdy, biskupów od papieża; szlachtę od panującego, żonę od męża.

za, państwo od Kościoła, czyli krótko mówiąc, że sceptycyzm powszechny, że odszczepieństwo, bunt, rozwód, ateizm legalny, mogły być rzeczami nietylko nader uprawnionymi, ale nawet arcykoniecznymi. Nareszcie ponieważ części składowe istnieją w sobie niezależnie od drugich i drugim są równe, przeto niemożna ani myśleć o ich połączeniu bez pewnego rodzaju wzajemnego porozumienia, koncessyi, ugody (*Contrat Social*). W tem to przekonaniu poczęto szukać sposobów zbliżenia, pogodzenia, stanowić prawa zasadnicze przymierza i równowagi, między objawieniem a rozumem, między papieżem a biskupami, między teologią a filozofią, między prawdą a umysłem, między duszą a ciałem, między mężem a żoną, między panującym a szlachtą, między Kościołem a państwem. A ponieważ we wszystkich tych kwestiach według owjej metody stanowić może tylko rozum osobisty, indywidualny, przeto rezultatem ostatecznym niemoгло być co innego, jak tylko ostateczny rozterk i najniesłychańsza babilońska wieża.

Równie silnie, choć nierównie zajmująco daje ogólny zarys drugiej części zamierzonej reformy filozoficznej ze względu na jej podstawę w dość obszerném dziele pod tytułem: *Wyjaśnienia co do kwestyi o zasadzie pewności*. Widocznie, że książka ta pisana była pod wpływem ducha tej polemiki, która będąc wywołaną przez system Lamennais'go o *rozumie powszechnym* dochodziła właśnie wówczas do punktu kulminacyjnego. Wszakże niemożna w żaden sposób utrzymywać, jakoby O. Ventura przyjmował na gotowe ów system. On rozum powszechny uznaje tak, jak go uznawała po wszystkie czasy filozofia chrześcijańska a zwłaszcza ś. Tomasz. On stojąc między dwoma przeciwnymi obozami filozoficznymi mówi do jednych: niestawiajcież, jakoby coś nowego zasady, która zdrowo rozumiana jest rzeczą bardzo starą, ani nazywajcie tego wyłącznie fran-

czukiem, co jest chrześcijańskim; niechciejcie uchodzić za twórców nowego filozoficznego systematu, ale postawcie kwestyą tak jak jest, pokażcie ją tam gdzie jest; to jest w skarbnicy rozumu rozwijającego wszystkie prawdy pod *Światłem Światłości*; niechciejcie tworzyć szkół filozoficznych, które pod panowaniem Ewangelii już niemogą mieć żadnego znaczenia i tworzą tylko sekty, ale dostrzegłszy prawdy ukażcie ją tam, gdzie filozofia chrześcijańska czerpie rozjaśniające ją światła, w tym, który powiedział: *jam jest Światłość światła*, a o którym prorok wyrzekł: *in lumine tuo videbimus lumen*. Do drugich zaś, to jest do przeciwników teorii o rozumie powszechnym zwracając słowa powiada: Nie nazywajciez fantazyą świeżo wylęglą tego, co jest starą i najprawdziwszą nauką, niebierzciez tego za wybryki rozumu indywidualnego, lub jakowejś szkoły co wypływa z zasadniczych praw ludzkiego rozumu, to jest z jego natury; niekrzyczcie, że to wstrząsa rozumowe zasady i dowody, na które w obec niechęcych wierzyć powołuje się religia ale przypatrzwszy się głębiej przekonajcie się, że to właśnie owe zasady robi niewzruszonemi, a dowody niezbitemi; rozumiejąc bowiem, że walczyacie w sprawie rozumu, zaprzeczacie mu tego, co jest sześćdziesięciu wiekową jego podporą; rozumiejąc, że bronicie religii, bronicie raczej przeciw niej herezyi, nie na czém innem właśnie, tylko na sądzie indywidualnego rozumu opartej; a wyobrażając sobie, że zaczepiacie Lamennais' go, zaczepiacie raczej ś. Tomasza, zaczepiacie najwyższe filozoficzne potęgi i stawiacie się w otwartą wojnie nie z człowiekiem ale z Bogiem. ²⁾

²⁾ Schiarimenti sulla Quistione del fundamento della Certezza tratti da' principii della scuola Tomistica — Roma 1829.

Nakonec, małej objętości, ale ogromnej wagi rozprawa: o *zasadniczym pierwiastku prawdziwej filozofii* *) jest rzuconém w zarysie dopełnieniem wielkiego pomysłu mowy filozofa. Rozprawa ta powiedzianą była na posiedzeniu literackiem Akademii Tyberyjańskiej, a umieszczona zaraz w *Rocznikach Umiejętności religijnych* stanowi jak się wyraża jój ówczesny redaktor X. Arrigki, najpiękniejszą kartę tego Czasopisma.

We wstępie rozpoczyna zdaniem, iż jak mowa jest wyrazem myśli człowieka, tak literatura jest objawem stanu umysłowego społeczeństwa, jest wielkiem słowem wypowiadającym głównie myśl religijną i filozoficzną pewnej miejscowości lub epoki. Ztąd im więcej prawdy w filozofii i religii, tem więcej w literaturze siły i piękności, albowiem piękno, jak się wyraża Plato jest oklaskiem prawdy. Ztąd w szczegółowym zastosowaniu sławny wiek Augusta całą swą wyższość winien wielkiemu skarbowi tradycyi i prawd pierwotnych przechowywujących się na przekor bałwochwalstwu wśród Rzymian i rzucających wielkiem światłem na wszystkie gałęzie umiejętności i sztuki, jak lampa przed samem zagaśnięciem rzuca ostatnim najsilniejszym blaskiem. Z wygaśnięciem tradycyi pod zabójczym wpływem Tyberyusza i filozofii epikurejskiej, lud rzymski karmiony co dopiero poezją Wirgiliusza i wymową Cycerona już nie zna innéj literatury krom obrzydłe rozwiozłych wierszy Juwenalisa, prócz Klaudyana, Persa i Petroniusza. W końcu też zeszłego stolecia, kiedy wielki jeden naród zamienił prawdę na błąd, a Boga Wiary na bóstwo rozumu, stracił zaraz smak do prawdziwych piękności i zdrowe uczucie siły a jak niegdyś z uniesieniem słuchał Bossuet'a, Racin'a, Corneill'a i Bourdalego, tak

*) Del Principio fondamentale della Vera Filosofia Ragionamento Roma 1846.

potem smakował już tylko w poezyi Marsylianki z towarzyszeniem bębna i huku dział, z wymową Robespiera i straszliwem echem gilotyny.

Następnie przedstawia jak całkiem przeciwnie, kiedy społeczność była najbogatszą i najsilniejszą w posiadaniu wielkich prawd jaśniała też najwznioślejszą i najgodniejszą tej nazwy poezją; jak wiąże wszystkich teologów i filozofów, ś. Tomasz dawał natchnienie i wyprowadzał na scenę świata takie genjusze jak Dante Alighieri wiąże wszech poetów — Tu zapytuje co owych prawd było zasadniczym pierwiastkiem, brakiem którego tak świat zubożał pod względem dzieł rzeczywistego piękna i w taki popadł labirynt pod względem filozofii? —

Jak zasadniczym pierwiastkiem teologii jest nadnaturalny dogmat Boga człowieka, w którym się reasumuje cała teologia, tak zasadniczym pierwiastkiem prawdziwej filozofii jest naturalny dogmat istoty człowieka, w którym się reasumuje cała filozofia. Jak więc teologia polega na należytem rozwiązaniu kwestyi: *co to jest Jezus Chrystus?* tak filozofia polega na należytem rozwiązaniu kwestyi: *co to jest człowiek?* A jak wszystkie kacerstwa wyszły z fałszywej zasady teologicznej zaprzeczającej hypostatycznego zjednoczenia dwóch natur w jedności osoby Boga-Człowieka i negującami albo bóstwa na rzecz człowieczeństwa albo człowieczeństwa na rzecz bóstwa, tak wszystkie błędy w zakresie filozofii wyszły z negacyi substancjalnego połączenia duszy i ciała w jedności natury człowieka. Więc znowu jak skutkiem pierwszej ukazały się dwa naczelne kacerstwa, jedno Fantazyastów zaprzeczających realnej ludzkiej natury w Chrystusie, a drugie Humanitarzy zaprzeczających w nim realnego bóstwa; tak skutkiem wtórej ukazały się dwie naczelne sekty, jedna Spirytualistów zaprzeczających realności ciała w człowie-

ku, druga Sensualistów zaprzeczających w nim realności duszy. Wszakże dla filozofii, kwestya co do człowieka pozostałaby wieczną zagadką, gdyby chrześcijańska teologia nie rozwiązała kwestyi co do Boga człowieka; bo jak według Tertuliana Bóg w tworzeniu człowieka miał przed sobą wielki oryginał, archityp człowieka to jest ideę Bóstwa wcielonego, tak filozofia o tyle tylko poznawać może człowieka, o ile się nań zapatruje pod światłem już owęj idei zrealizowanej. I dla tego też kiedy się umiejętność odłączyła od Religii, wówczas wszystkie filozoficzne prawdy tak przedtem doskonale oznaczone, stały się znów zagadkami, i kiedy o człowieku zaczęto rozprawiać bez żadnego odniesienia do Boga-człowieka, zaraz też człowiek stał się dla filozofów chrześcijańskich, czem był dla pogańskich, czem był dla Platona, to jest niedocieczoną tajemnicą. A tak filozofia zgubiwszy swój wątek, swój zasadniczy pierwiastek sama też rozplynęła się w nieskończone domysły. Bako w Anglii, Kartezjusz we Francyi, Leibniz w Niemczech, widząc w człowieku dwie istoty, to jest duszę i ciało, alej niemogąc dojść do ich związku, niemogli też żadną miarą zrozumieć wspólnego tych istot działania i dali początek błędom i zgorszeniom, jakie kiedykolwiek miały miejsce w pogańskiej Grecyi lub Rzymie. Z systematów legły się systemata coraz to potworniejsze, z błędów tworzyły się błędy. Szkoły filozoficzne stały się areną, na której walczyli gladiatory filozofii ochiwe sławy i poklasku. W tym chaosie nauk, zasad, powątpiewań i sprzeczności wywrócono wszystkie prawdy, wszystkie zasady filozoficznego, moralnego i politycznego świata, wszystko zanegowano, zbluźniono i w imię postępu cofnięto historią o całe osiemnaście wieków.

Był przecie czas, kiedy ślepa zawiść a z nią ręka w rękę ślepa niewiadość miały wiele mowcy naszemu do zarzucenia i pod względem filozofii i pod względem pojmowania potrzeb i dobra Kościoła. Co do pierwszej będziemy jeszcze mieli sposobność przekonać się o ile były niesłuszne, co do drugiego zarzucano mu, że był za nadto jedno z X. Lamennais, co jakkolwiek podówczas niemogło być ubliżające, bo Lamennais używał jak najczystszej jeszcze sławy, było jednak jak najfałszywsze. Dowodem tego prócz słów powyżej przytoczonych z dzieła, które wspólnie oczywiście zaprzeczają, jest jeszcze list Lamennais'go zamieszczony w dzienniku *l'Avenir* (12 lutego), w którym tenże w taki sposób odpowiada na poczynione swojej nauce zarzuty przez O. Venturę, iż raczej pod wielu względami w kwestyach ulegających dyskusji za całkiem sprzeciwiających się sobie uważać by ich należało. Za wstąpieniem na tron papieżki Piusa IX. Ventura jako jeden z najbliższych przyjaciół papieża, stał się dla wielu przedmiotem tém nieubłagańszej zawiści. W roku 1848 napisał broszurę dotyczącą stanu Sycylii i wykazującą potrzebę pewnych reform politycznych; natychmiast za jej ukazaniem podniosły się krzyki oburzenia, co przecież nieprzeszkodziło, że rozprawę tę powtórzyły wszystkie prawie katolickie dzienniki na Zachodzie a cenzura rzymska pozwoliła ją także drukować. W chwili wielkich zamieszek w Rzymie, Ventura niezawodnie wiele błędów popełnił z których największym był ten, iż zamiast w odosobnieniu i cichości służyć świętej sprawie Kościoła, jak przystało na zakonnika, wdał się w politykę i pozwolił się unieść gwałtownemu jej prądowi. Wszakże były to tylko błędy; złych zamiarów i złych sposobień, czy to względem Kościoła, czy względem papieża, niebyło nigdy. Błędy te spowodowała źle zrozumiana gorliwość i to pragnienie, żeby Pius niestracił nic z wielkiej popularności, pragnienie, któreby zapewne

powinno złagodzić pamięć strasznej niepopularności, jakiej na Kalwaryi doświadczył sam Zbawiciel, ale które zawsze dowodziło wielkiej miłości Papieża. Wszakże co było błędem, to czarna zawiść nazwała zbrodnią i jako zbrodnie przed światem głosiła. W chwili gdy Pius z sercem rozdartem wielką boleścią był zmuszonym zbiedz z swojej własnej stolicy, Ventura pozostał w Rzymie. To było jego największe nieszczęście, ale i tutaj jeszcze dawał wielkie dowody swęj niezachwianęj dla papieżstwa wierności. Kiedy Canino niemógł wymóżyć na kardynale Orioli ażeby przyjął najwyższą władzę wykonawczą, udał się prosto do O. Ventury z tą samą propozycją, co go tak dalece dotknęło, iż natychmiast zerwał z radykalistami wszelkie stosunki, a w kilkanaście dni potem *L'Ere Nouvelle* zamieściła list następujący, który zaraz powtórzył *L'Univers* (Nr. 769. 1849): „... Co do mnie, do niczego się nie mięszam, a od tej chwili już się nie odezwę i ani jednego nie napiszę słowa. Niemogę, niechcę, bo by to może wzięli za jakąś manifestacyą przeciw papieżstwu, a ja mu wiernym pragnę pozostać do zgonu. Jeźliby wam doniesiono, że O. Ventura choć jedno słowo napisał o sprawach Rzymskich, niewierzcie temu. Mam nadzieję, że nigdy nikt niepowie, abym coś uczynił lub powiedział przeciw Kościołowi lub Papieżowi, którego tak kocham i i dla tego tyle cierpię. Gdybym kiedykolwiek zdolnym był tej bezbożności, naprzód wam pozwalam, abyście mi w twarz plunęli, bo w ówczas zasłużyłbym na wszelką hańbę.“

Na kilka miesięcy przed napisaniem tego oświadczenia, w pierwszych zaraz chwilach po wyjeździe papieża z Rzymu O. Ventura miał nieszczęście mówić na pewnej uroczystości politycznej. Mowa ta obok najprawdziwszych zasad, razi namiętnem i pełnem goryczy zastosowaniem. Zostósowanie to przecież, jakkolwiek miało na celu o-

wych właśnie, których w swém przekonaniu mienić sprawcami smutnej doli Papieża, żadną przecież miarą usprawiedliwić się nie da. O. Ventura w liście pisanym do X. Leray tłumaczy swoje pobudki i słowa jego mogły mieć wagę w obec ludzi prostego serca i w obec znających go bliżej, ale w obec ludzi złej wiary były tylko czezą wymówką. I mniejszaby o to, że sam za swoje błędy przycierpiał, ale wcale niemniejsza ze względu na nieprzyjaciół Kościoła, którzy działania człowieka od działania kapłana nieumieją rozróżnić a za błędy kapłana Kościołowi wytaczają proces. Do tego, stanowisko O. Ventury, jako wielkiego mowcy i obrońcy Kościoła, oraz jako kapłana zajmującego wysokie stanowisko w hierarchii zakonnej, rzecz tę niezmiernie obciążało. Kongregacya Indexu zamieściła tę mowę w rzędzie niebezpiecznych, o czem uwiadomiony Ventura w czasie swego pobytu w Montpellier z całą uległością Chrześcianina i pokorą zakonnika poddał się wyrokowi, który zawsze za nieomylny uważał. • Był to piękny przykład uznania własnego błędu, do czego w człowieku na pewnej wysokości stojącym i wśród takich okoliczności potrzeba nie lada siły. Bogu dzięki, że na tej sile nie brakło naszemu mowcy. — Duch pański łaską pokory nagrodził w nim miłość dla Kościoła.

W skutek bezzwłocznego i bezwarunkowego poddania się wyrokowi, Ojciec Ś. przesłał mu breve następującej treści:

„Ukochanemu synowi, pobożnemu mężowi pozdrowienie i błogosławieństwo Apostolskie.

„Ojcowskie nasze serce prawdziwej doznało radości „na widok oświadczenia Twego wydrukowanego w Montpellier z datą 8 września, jako się poddajesz wyrokowi ś. kongregacyi Indexu najwyższém naszym potwierdzeniem opatrzonemu.

„Dla tego nieprzestajemy błagać Najwyższego, ażeby cię zawsze niebiańska swą strażą osłaniał i miłosierdziem swoim obdarzał.

„Im większe są zdolności, któreś od Boga otrzymał, tem silniej i skwapliwiej starać się powinieneś o zbudowanie wiernych, tem wytrwalej masz pracować nad zbijaniem błędów rozpowszechnionych po świecie i wykorzenieniem z umysłów zdań fałszywych i niebezpiecznych.

„Wkrótce zapewne ziści się nasze życzenie, gdyż jak się dowiadujemy masz ogłosić książkę, w której walczysz ze starym błędem, odnowionym przez jednego z pisarzy heretyckich, i wykazujesz, że święty Piotr, xiążę Apostołów był rzeczywiście w Rzymie.

„Takimi chwalebными dziełami zjednasz sobie przychyłność ludzi zacnych i pobożnych, tych szczególnie, którzy się znajomością nauki katolickiej odznaczają i doświadczysz od nich ukochany synu dowodów przywiązania. *

„Jako zakład szczerości wyrażonego przez nas życzenia i naszej ojcowskiej przychyłności udzielamy ci z miłością ukochany synu błogosławieństwo apostołskie.

Pius IX Papież.“

W samej istocie niemogło nic silniej zamknąć ust nieprzychylnym, jak ów list wymownego Teatyna, o którym Ojciec ś. wspomina w swém brewe, a w którym on przedstawia cały swój sposób myślenia ze względu na politykę w stosunku do praw Kościoła. List ten wywołany nader bolesnem dla niego zdarzeniem tém jest rzeczywistym wyrazem jego wewnętrznego przekonania i na tém większą zasługujący uwagę, że był napisany właśnie wtenczas, kiedy by się zdawało, iż obrażone uczucie miłości własnej (gdyby ta w samej istocie nim powodowała), działałaby powinno najsilniej.

Trudno i prawie niepodobna przypuścić, żeby w takiej chwili ognista dusza Sycylijanina mogła zastawiać swoją wiarę, swe zdanie, swoje uczucie dekoracją na zimno obrachowanych frasesów. Nieprzyjaciele mogą go wprowadzić i tu podejrywać, ale to podejrzenie wywołuje tylko ta zaprzysiężona i nieubłagana nienawiść, która i w najpiękniejszych onotach, w najszlachetniejszych poświęceniach, w najczystszych zamiarach rada upatruje brudy egoizmu. Wszakże, jeżeli co świadczy o brudach duszy, to właśnie tego rodzaju podejrzenia i nikt na głębszą nie zasługuje wzdargę jak ci, którzy pracują nad tem, aby czyn szlachetny nieprzyjaciela zawłoc pod pręgierz pogardy. List o którym wspomnieliśmy jest wielkim krzykiem oburzenia wydartym z duszy zbolalój, a jako taki niemoże być, jak tylko najprawdziwszom tej duszy świadectwem. Wielka boleść moralna zanadto sama przez się jest wzniesłą, aby miała być doradczynią klanstwa, a za nado harmonizująca z stanem chrześcianina i wpływająca nań silnie, aby się obok niej mogło coś znaleźć, coby nieharmonizowało z Prawdą. Rzecz tak się miała.

Ojciec Ventura zniewolony naleganiami przyjaciół opuściwszy Rzym i Włochy w r. 1849 w chwili najgwałtowniejszych wzburzeń politycznych udał się do Francji i tam postanowił pozostać tak długo, jak długo by go wola Ojca świętego niepowołała na powrót. Już był w Marwylii i wybierał się do Montpellier, dokąd go zapraszał tamteczny biskup, kiedy prawie na samem wyjeździe wrócono mu list adresowany do Civita-Vecchia ale przybyły tam już za późno, bo w dziesięć dni potem, kiedy Ventura, z ściśniętym sercem pożegnał swą piękną ojczyznę. List ten pisany przez ministra protestanckiego — wywołany był, jak się jego autor wyraża korespondencją Ventury zamieszczoną w dzienniku francuzkim *National* bez wiedzy mowcy, a nawet wyra-

źnie przeciw jego woli. Jakież było jego zdumienie gdy w liście owym wyczytał skreślone ręką nieprzyjaciela katolicyzmu i Rzymu następujące wyrazy: „Z najżywszém zajęciem przeczytałem w dzienniku *National* dwa listy Pana z 5 i 13 czerwca. Uwagi jakie w nich wyrażasz każą mi wierzyć, iż Bóg raczył już sprawić w duszach rzymskich wielką próżnię, ażeby je wkrótce napoić i napelnić Ewangelią i Prawdą. Ponieważ zaś Pan zdajesz się jasno przewidywać ten stan rzeczy i żywo się tem interesujesz, przeto pewien jestem, że z zajęciem przeczytasz dziełko przezemnie wydane, będące skróceniem nader sumiennej rozprawy pod tytułem: *Czy święty Piotr był kiedy w Rzymie?* Dzieło to przeznaczone jest dla ludu; oddaję zatem do pańskiego rozrządzenia tyle exemplarzy ilebyś tylko zażądał.

Był to za nadto dotkliwy cios dla serca żarliwego zawsze obrońcy Kościoła, ażeby go mógł niepowalić. Zaledwie też przybył do Montpellier zachorował tak silnie, że ledwie we dwa tygodnie zdolnym był wzięść pióro w rękę i na ów list tak niedouwierzenia bezczelny przesłać swą odpowiedź. Było to właśnie owo wyznanie, według którego każdy bezstronny winienby oceniać jego przekonanie, co do smutnych wypadków, których Włochy jeszcze nie przestały być krwawym teatrem. Z oburzeniem ale razem z godnością i spokojnością chrześcijańskiego kapłana tłumaczy w nim swoje postępowanie a razem chłoszcze dumę, zachwalstwo i cynizm z jakim go ów protestant częstował zjadliwym paszkwilem na to, co było jego najgłębszém przekonaniem i najszacowniejszą częścią chwały chrześcijańskiego Rzymu. Odpowiedź ta stanowi jakoby wstęp do trzech listów *), w których zwycięzko zbija wszystkie argu-

*) Lettres du R. P. Ventura à Monsieur L.... T.... Ministre Protestant. Août 1849.

menta wytoczone przeciw bytności ś. Piotra w Rzymie i tę bytność jak najoczywiściej udowadnia; niemożemy podjąć silniejszej obrony rzymskiego kaznodziei, jak przytaczając ją przynajmniej w kilku ustępach: Zaczawszy od usprawiedliwienia się, iż natychmiast, jakby wypadło nie odpowiedział, w ten sposób przystępuje do rzeczy bez żadnej ogródki:

„Muszę Panu oświadczyć, iż list Jego sprawił razem „w mém sercu i wielką boleść i wielkie zdziwienie; bo „co do listów, które z Civita-Vecchia pisałem do moich „przyjaciół we Francyi, a które przeciwko mojej inten- „cyi wydrukowano w dziennikach, co do tych listów, „powtarzam, nie tam takiego nie mogłeś Pan znaleźć „coby go mogło w tak wielki błąd wprowadzić, wzglę- „dem méj osoby i względem moich opinii... Wszystko „to, co pan piszesz znaczy, jeżeli się nie mylę, iż oparty „na moich listach sądzisz, że według mego zdania zmia- „ny zaszele w tych czasach pod względem uczuć religij- „nych pewnej części rzymskiego ludu, są zrządzeniem „woli Bożej, kierując: j rzecz ku temu, ażeby protestan- „tyzm, który w przekonaniu Pana jest religią Ewangelii „i prawdy znalazł nakoniec miejsce w sercach rzym- „skich; co większa; iż na tychże listach oparty, rozu- „miesz, że ja sam przeczuwając ten stan rzeczy, żywo „się przyczyniam działaniem mojem do uskutecznienia „tój niby myśli Bożej; że następnie przestałem obsta- „wać za najwyższém zwierzchnictwem Papieża, jako na- „stępce Piotra na wiecznej Stolicy a zatem, iż zasługu- „ję na to, abyś mnie Pan przypuścił do udziału w swéj „opinii, iż *święty Piotr nigdy nie był w Rzymie*. i abyś „mnie wtowarzyszył do rozszerzania tój opinii między „ludem rzymskim!

„Zdawało by mi się przecież, iż w listach moich nad- „to jasno wyraziłem się w tych tak ważnych kwestyach, „ażebyś Pan podobne następstwa mógł z nich wywnio-

„skować. Otóż przypominam Panu, że tam napisał „iż
„Kościół i Papież są i zostaną dla mnie na zawsze
„przedmiotami mojej miłości i ości, iż Pius IX jest
„w mojem religijném przekonaniu zawsze namiestnikiem
„Jezusa Chrystusa, Głową Kościoła, oraz nieomylnym
„Nauczycielem, doktorem i tłumaczem tak co do prze-
„pisów jako też i co do moralności. To jest moja wia-
„ra, moje najgłębsze przekonanie, zechciej więc Pan o-
„sądzić, czy nie miałem powodu być razem i wielce
„zdziwionym i do żywego w moich najdroższych uczu-
„ciach dotkniętym, listem jego w którym wypowiadasz
„myśl swoją, iż ja mogłem się choćby na chwilę za-
„chwiać w mej wierze o świętym, katolickim, apostoł-
„skim, rzymskim Kościele, o tej Matce, Nauczycielce,
„i Pani wszech Kościołów; że ja się zmienił w tej
„wierze, że ja był zdolny choćby w najmniejszej rze-
„czy zmniejszyć ją w sobie, a odtąd dopiero, żebym ja
„mógł wystąpić przeciw temu Kościołowi zaczepiając
„w czemkolwiek bądź najwyższe i najświętsze prawa
„jego Naczelnika.... Wiedz Mości Panie, że z pomocą
„Boga gotów jestem raczej umrzeć, tysiąc razy umrzeć,
„niżbym się miał dopuścić podobnej bezbożności.....
„Wiedz, iż mocno żałuję i nadzwyczaj wiele nad tem
„cierpię, że z zanadto wielką żywością podjął pewne
„religijne następstwa niezgodnej z mojem przekonaniem
„polityki. Chciałem tylko za pomocą strasznego obrazu
„tych następstw, zrobić wrażenie na sercach tych, któ-
„rzy, jak mi się zdawało zbyt się namiętnie i nierozwa-
„nie rzucali w ową politykę i pociągali w nią mnóstwo
„innych. Trudno jest wyobrazić sobie ile cierpiełem sły-
„sząc na me własne uszy straszne błuznierstwa rzuca-
„ne w Rzymie od 30 Kwietnia przeciw temu wszystkiemu,
„co ukochał z całej mojej duszy, przeciwko tym, dla
„których tyle pracowałem, dla których poświęciłem się
„cały i całe me życie. Serce moje rozdarła wielka

„boleść i w tych właśnie wewnętrznych męczarniach
„napisałem owe dwa listy, za których Pan w tak strasznie dotkliwy sposób swe domysły uzasadniasz. Jeżeliś to zrobił dla tego, że listy te zdziwiły i zgorzły niektórych katolików, to się czuję zmuszonym oświadczyć mu, że ci którzy się mną gorszyli albo nieznali całej okropności zmiany zaszłej w ostatnich czasach w Rzymie, albo też są to ludzie dla których religia jest tylko sprawą podrzędną, środkiem dorobania się jakowegoś stanowiska, sprzężną wyrachowaną na podniesienie jakiegoś systemu politycznego; albo nakoniec są to ludzie, którzy nigdy niepojmowali i zrozumieć nie mogą co to jest kochać Kościół, co to jest cierpieć kiedy się widzi jego świętą sprawę zniżoną w obec wiernych całego katolickiego świata! Powtarzam Panu, że jeżeliś z tych krzyków sądził o mnie i moich zasadach, omyliłeś się bardzo i jak najfałszywiej zrozumiałeś moje listy, które po prostu są tylko wyrażeniem wielkiej boleści i wynurzeniem się serca ściśniętego widokiem wielkiego nieszczęścia, jakim było dla mnie *osłabienie wiary katolickiej w całych masach ludu w skutku uczestniczenia pewnej części duchowieństwa w owej smutnej polityce...*

„Pan rozumiesz, że ja tę straszliwą próżność pod względem zasad świętej mojej wiary przypisuję działaniu Boga? Ależ w żaden sposób Bógu przypisywać niemogę, to co oplakuję, czém się brzydzę, co z głębi serca potępiam. — Tak jest, nigdy tej zmiany w religijnych uczuciach Rzymian i Włochów, w ich usposobieniu dla duchowieństwa nie uważałem za łaskę ale owszem zawsze ją uważałem za najstraszliwszą ze wszystkich kar bożych, za największe nieszczęście i plagę jaką kiedykolwiek ściągnąć mogły na siebie „Rzym i całe Włochy“.

Oświadczywszy w kilku dalszych ustępach, iż przekonany jest, że Włochy i Rzym wszystko co mają dobrego, pięknego i szlachetnego, wszystkę swą siłę, wyższość pod względem życia umysłowego, pierwsze miejsce pod względem sztuk i całą swą cywilizacyę będącą według Guizot'a źródłem cywilizacyi Europejskiej, winne są katolicyzmowi i boskiej instytucyi Papieństwa, protestuje z całą energią Włocha i katolika przeciw inwazyom ducha protestanckiego, w którym widzi śmierć cywilizacyi i śmierć narodów, oraz przeciw wszelkim naprąściom na tron papieżki, w którym upatruje jedyny grunt prawdziwej chrześcijańskiej społeczności i jedyną gwarancyę przeciw despotyzmowi i anarchii. Czego jednak nie można sobie wytłumaczyć, to owego złudzenia, którego rzymski kaznodzieja w żaden sposób pozbyć się nie może wielokroć razy zniewolony jest dotknąć kwestyi wrzrząśnień rewolucyjnych we Włoszech. Pod wpływem tego złudzenia w ruchu włoskim widział on dwojaką dążność, jedną ludową, drugą sekciarską, spisującą, będącą reminiscencyą ducha pogańskiego. Pierwszą z tych dążeń nazywa głęboko chrześcijańską i katolicką, wielką, konserwatywną; drugą zwie wolteryjańską, szaloną, niszczącą, ohydą, i jakby umyślnie zamyka oczy na tę smutną prawdę że ów ruch ludowy, tak zachwalony w Rzymie był tylko skutkiem ruchu sekciarskiego i rozwinął się pod jego przywództwem, że niebędąc początkowanym z góry, zkađ ryczałtem zwykły ruch życia popłynął, był materyalną stroną ruchu śmierci wyrachowanego na zniweczenie świętych zamiarów jednego z największych Papieży. Pod wpływem tegoż samego złudzenia wyrzuca gorzko niektórym z obrońców katolicyzmu we Francyi, iż nieczyniąc owego rozróżnienia cały ów ruch bez wyjątku zbyt surowo potępiali zwiąc go *polityczném zbrojactwem* i to im za największą w tym sądzie niesprawiedliwość poczytuje, że będąc obywatelami kra-

ju, w którym niedawno jeszcze tak po barbarzyńsku i zbójceku przelano krew tylu tysięcy kapłanów, zakonników i niewiast, śmieli rzucać kamieniem na lud włoski bez rozstrząśnienia sprawy i bez sądu. Ojciec Ventura niespostrzega, że tego rodzaju odpowiedź wcale kwestyi nierozwiązuje, bo jak z jednej strony, dobrzy katolicy oburzający się na postępowanie ludu rzymskiego w r. 1849 wcale nieusprawiedliwiali krwawych spraw roku 1793 u siebie i potępiali je głośno jako rzucające najsromotniejszą plamę na dziejową kartę Francyi, tak znowu z drugiej strony, lud rzymski rządzony zawsze po Ojcowsku przez Papieży w żaden sposób porównać się nie da z narodem rządonym przez ludzi, którzy skutkiem swego nierządu i niemoralności, skutkiem pobłażania najjawniejszym niszczytelom wszelkiej wiary i wszelkiej świętości, wystawili go na najsmutniejsze bankructwo tak pod względem wszystkich źródeł pomyślności zewnętrznej, jak i pod względem zasobów ducha. Lud rzymski nadto dobrze był, że tak powiem wychowany i strzeżony tkliwą opieką papieży, aby w swym upadku mógł być porównan z ludem, który od swych panujących brał lekce zepsucia i rozwiozłości a był okradany z wiary przez filozofów głaskanych i uwielbianych od znakomitości najbliższych tronu. Próżne zatem wysilenia, aby usprawiedliwić to, co się samo tak krzycząco potępia.

Wszakże złudzenie, to jeszcze nie plama — a zresztą O. Ventura nawet w samem tem złudzeniu jeżeli jest do wytłumaczenia, ma coś takiego przecie, co mu jeszcze przynosi zaszczyt. Przy wszystkich swoich zasługach, przy całej znakomitości mieć tylko przeciwko sobie grzech chwilowego złudzenia, grzech, za który się w chwili rozważi publicznie i bez żadnej restrykcyi żał swój objawia *) to dowodzi, że w człowieku, którego rzeczą

*) Zobacz epilog ostatniej konferencyi Tomu pierwszego *Sur la Raison catholique et Raison philosophique*.

jest upaść, żył potężnie chrześcijanin, którego rzeczą jest powstać i kapłan Chrystusów, którego obowiązkiem jest budować.

Ojciec Ventura po przedstawieniu, ozem by się stały Włochy, gdyby wbrew kierunkowi i usiłowaniom papieży przyjęły choć w części wpływ protestantyzmu objawia swe zdanie co do propagandy protestantów anglikańskich co-raz się smutniej na ziemi włoskiej szerzącej:

„Co się więc mnie dotyczy, pisze on, bądź Pan prze-
„konany, że tych wszystkich, którzy pracują nad spre-
„testantyzowaniem Włoch miałem i mam za ludzi naj-
„bezbożniejszych, za najniegodziwszych wichrzycieli po-
„litycznych, za zdrajców i katów ludu włoskiego, któ-
„rzy obdzierając go z katolicyzmu, obdzierają go razem
„z wszystkich jego dóbr, ze wszystkiej sławy moralnej,
„naukowej, literackiej, artystycznej, politycznej i cywil-
„nej.... Prawda więc, że jak się Pan wyrażasz, zaj-
„mowałem się i zajmuję się jak najżywiej, jak najser-
„deczniej zmianą, jaka grozi pewnym częściom włoskiej
„populacyi, ale się nie tak zajmuję, jak Pan pozwalasz
„sobie o tem sądzić, nie tak, żebym miał w niej brać
„jakowyś udział, żebym ją potwierdzał: Bóg niech mnie
„broni od podobnej zbrodni; jeśli się nią zajmuję, to
„żeby jej przeszkodzić, stawić tamę z własnej piersi,
„żeby przeciw niej waleczyć ze wszystkich sił, żeby ją
„zakłąć jak węża i zwieczyć choćby ceną wszystkiej
„mojej krwi, choćby poświęceniem życia“.

Przechodząc następnie do wykazania jako prawdziwa wolność połączona z miłością porządku i uszanowaniem dla władzy, jakiejkolwiek byłaby ona formy jest córką katolicyzmu tak we Włoszech jak i w całej Europie (str. 15 i 16), tak się wyraża co do wpływu protestantyzmu na polityczne stosunki Europy, a szczególnie na usposobienie Włochów:

„Wznowiony w XVI wieku poganiizm polityczny za

„pomocą poganizmu literackiego i artystycznego zniweczył, „co katolicyzm dla szczęścia ludów dokonał. Nie innego, „tylko protestancka reforma, wsączyła w chrześcijańską „społeczność europejską ten nowy, zabijający żywioł, który w niej zatrął chrześcijańskie uczucie wolności.

„Niezapominajmy, że nie kto inny, tylko doktorowie „protestanczy byli w XVI wieku pierwszymi i najzardzi- „wszymi apostołami absolutyizmu, że to Henryk VIII „był pierwszym z panujących, który z tych lekcji ko- „rzystał i zrobił aż nadto znane wszystkim jęj zastoso- „wanie do społecznych i politycznych stosunków.

„Co do natury włoskiej, która ma w sobie coś essen- „cyonalnie i wyłącznie katolickiego, jestem pewien, że „jeżeli protestantyzm zdoła ją zatrąć swym wpływem, „wpływ ten kończy się zupełną śmiercią religijną. Tak „jest, wiedz Panotém, że jeżeli Włoch przestanie być kato- „lickim, to wówczas tylko kiedy w sobie zdołał zamordo- „wać wszelkie uczucie religijne, że jeżeli porzuci katoli- „cyzm już wówczas nie jest niczem pod względem religij- „nym. On to czuje, co Fenelon tak prawdziwie powiedział „iż: Między katolicyzmem a ateizmem niema żadnego ro- „zumnego środka. Łatwiej też daleko jest zrobić Włocha „wokteryaninem niż lutrem, anglikaninem, lub kalwinem. „Kacerstwa i sekty mają coś dla niego, co tylko obrzydli- „wość i wzgardę obudza. Jeżeli porzuci wiarę ósmnasta- „wiskową, wiarę prawego Kościoła, wiarę Soborów, Mę- „czenników, Doktorów, Świętych, to pewnie nie dla tego, „żeby nad nią przekładał wiarę wczorajszą, wiarę Lutra, „Zwingla, Kalwina, Henryka VIII, Elżbiety i tym podobnych „Apostolów, których reformatorskie posłannictwo wyszło „z świętokradztwa, zawiści, dumy, chciwości, kaziro- „dztwa i rozpusty. Tak jest jeżeli nieszczęściem Włoch „przestanie wierzyć w niepojętą prawdę, to nie dla tego „pewnie, żeby miał po nich wierzyć w niepojęte błędy... „Jeżeli się wam gdzieśkolwiek na ziemi włoskiej uda

„piekielna wasza propaganda, jeżeli oderwie gdzieś od „Kościoła jaką liczbę nieszczęśliwych, to będzie wprawdzie bolesna strata dla Kościoła, ale dla was żadnej „to nie będzie stanowić zdobyczy. Zrobicie ich całkiem „niewiernymi, ale nie protestantami albo protestantami, „ale takimi, że do dna wychylą wasze niszczące nauki i „protestować będą nietylko przeciw Kościołowi, ale nawet przeciw samemu Bogu (str. 21.)“.

Kończąc list silną protestacją przeciw myślom i uczuciom, które gwałtem usiłowano weń weprzeć, tak pisze:

„Otóż w ten a nie w inny sposób oceniam ową *próżnią w duszach rzymskich*, a jeżeli mi Bóg pomoże, to „w ten a nie w inny sposób pragnę współpracować, aby „tę próżnię zappełnić Ewangelią i prawdą, ale nie taką „Ewangelią i Prawdą o jakiej pan myślisz, tylko Ewangelią, której depozytem i tłumaczem jest Kościół; tylko „prawdą, której tłumaczem i sędzią jest następca świętego Piotra!

„Co do moich stosunków z Papieżem, te do pana nie „należą. Pius IX. wie, że jak go zawsze wielbiłem i miłowałem, tak Go i dzisiaj miłuję i wielbię... Jeżeli „skutkiem fałszywych doniesień straciłem dawne tytuły „do jego dobroci i łaskawości, mam nadzieję, że to „Bóg raczy naprawić. Kiedy się będzie mógł o wszystkim dowiedzieć, przekona się w ówczas, iż czyniłem wszystko, co tylko mogłem dla niego, ale nie „przeciwko niemu. Mogłem się omylić w wyborze środków, ale pod względem celu, serce moje, dzięki Bogu „nie obłąkało się nigdy... Gdy o tym wszystkim, „przekona się Ojciec święty, jestem pewien, że mi powróci w sprawiedliwości, dobroci i miłości swojej, tę „tkliwą przychylność, jaką się dawniej cieszyłem, a gdy „bym się zresztą nie miał i tej doczekać pociechy, będzie to zawsze sprawa rodziny, sprawa między Ojcem

„a synem, do której obey żadnego niemają prawa się „migać.“

W trzech następnych listach składających małej objętości broszurę zbija z całą głębokością rzymskiego teologa i historyka wszystkie protestanckie argumenta przeciw bytności świętego Piotra w Rzymie, a dowiodłszy zwycięzko, jego pobytu i śmierci w tej stolicy starego i nowego świata, tak kończy (str. 117):

„Co do mnie, zawsze panu dziękuję za dobroć z jaką mi oddałeś do wolnego rozrządzenia tyle exemplarzy swojego dzieła, ilebym zażądał. Chwytam Pana za słowo i dar ten przyjmując, proszę abys mi oddał wszystkie pozostałe egzemplarze. Rzecz skończona. Już one do Pana nie należą, ale są moją własnością: *Donare est perdere*. Do mnie należy rozrządzać niemi i w moc tego prawa domagam się, abys je w mojem imieniu „zniszczył. Jestem pewien że nie zechcesz danego słowa cofnąć... Niszcząc to swoje dzieło zrobisz Pan przynajmniej tyle dobrego, ileś złego popełnił, pisząc je i w obiegu puszczając... Tym sposobem oszczędzisz sobie wiele niespokojności i wyrzutów sumienia „na czas, kiedy się znajdziesz na łożu ostatniej boleści,... „a może też ta ofiara usposobi cię do przyjęcia łaski, „pod światłem której czytając Ewangelię, znajdziesz „nie tylko Jezusa Chrystusa w boskiem *jego słowie*, ale „też i jego oblubienicę, prawdziwy Kościół zrodzony i „kupiony własną krwią jego przelaną na Kalwaryi. „W ten czas zrozumiesz mnie Pan inaczej; w ten czas „w objęciach jednejże matki uściśnieniemy się i zjednoczymy — w ten czas będę miał sobie za szczęście i „zaszczyt zwać się jego pokornym sługą i bratem w Jezusie Chrystusie.“

D. Joachim Ventura“.

Cała ta korespondencya, jak powiedzieliśmy napisała została w Montpellier, gdzie O. Ventura doznał naj-

pierwój uprzejmój gościnności francuzkiej. Biskup tameczny Mgr. Thibault przyjął go z żywem współluciem. Prawdziwie godzien był jeden drugiego. Umysł z umysłem, serce porozumiało się z sercem. Od pierwszój zaraz chwili, zawiązały się między nimi stósunki tkliwój przyjaźni, o którój, jak się wyraża jeden z publicystów francuzkich, byłoby mnóstwo prześlicznych i budujących rzeczy do powiedzenia, gdyby uszanowanie dla zabopólnej pokory i świętobliwego biskupa i wymownego zakonnika nie nakazywało milczenia. Na co szczególniej zwracamy uwagę czytelników, to że wszystkie kryki i zarzuty podniesione we Włoszech i Francyi przeciw ozigodnemu wygnaneowi najmniejszój nie zrobiły różnicy w przyjęciu go serdecznem przez biskupów znanych z swego poświęcenia dla Stolicy Świętój. Mgr. Thibault głośnie potępiał rewolucyę rzymską i wszystkie podobne jój ruchy, a jednak O. Ventura przyjął bez wachania, otaczał go dowodami swego szacunku, ofiarował mu swą przyjaźń i miał sobie za pewien zaszczyt, iż u niego pierwszy raz głosił słowo Boże w mowie francuzkiej. Po kilku miesiącach takiej gościnności Ojciec Ventura ze łzami pożegnał Montpellier i udał się do Paryża; gdzie go wzywał jak najuprzejmiej Arcybiskup Sibour. Stanowisko jego w tój wielkiej stolicy, gdzie niedawno z takim zapalem uderwano pomoc dla Papieża przeciw nadużyciom wolności jego własnego ludu i gwałtom rządu rewolucyjnego, nieulegało ani na chwilę wątpliwości. Arcybiskup ofiarował mu ambonę w kościele *Wniebowzięcia*, a zapowiedziane przezeń co niedzielne konferencye sprowadziły co najuczestszą część wielkiego auditorium Lacordaira i Ravigniana. Był to właśnie ostatni rok konferencyi Notre-Dame. Dominikanin był u szczytu powodzenia — Ravignan mówił w porze wieczornój o męce

Pańskiej. — Ventura stanął w pośród nich i odrazu zajaśniał w całym blasku wielkiego mowcy.

Włoch mówił po francuzku — mówił w Paryżu — mówił w najtrudniejszych przedmiotach, rozwiązywał najważniejsze kwestye — mówił w obec auditorum złożonego z samych męczyzn, w obec ludzi stanu, filozofów jak Cousin, Jouffroi, Leroux, w obec znakomości literackich pierwszego rzędu i mowców parlamentarnych znanych z wielkiej potęgi słowa, w obec licznie zgromadzonego duchowieństwa — i mówił jakby u siebie i był słuchany z takim zapalem, jakby między nim a słuchaczami wszystko było wspólne krom genialności mowcy. Najzdolniejszy lingwista może mówić kilku, kilkunastu językami, a tłumaczyć się w swych uczuciach, nauczać, być wymownym umie być tylko w swojej rodzinnej mowie. Owszem ładnie mówiący dobrze kilku językami w życiu potoczném, zwykle w swym własnym są najmniej wymowni, tymczasem Ojciec Wentura, najznakomitszy kaznodzieja włoski, mówi po francuzku z największą pewnością, nigdy się o wyrażenie nietroszcząc, ani się kłopotując wymagalnościami doborowego słuchacza. Oto co pod tym względem, pisze o nim jeden z dzienników Paryzkich: „Człowiek ten niema w sobie nic zwyczajnego. Zdaje się, że w miarę trudności jakiej doświadczać musi w mowie obcej sobie, potraja, potęguje siłę wyrażenia, że zdobywny frazes, gwałtem wydzierając zeń krzyk wielkiego znaczenia, jakiegoby może z niego najwymowniejszy niewydobył francuz. Śmiałość i pewność z jaką mówi jest niesłychaną, że się zdaje jakby go szczęście samo ścigało, kiedy się awanturuje w imię geniuszu. Po akcentcie poznasz go zaraz, ale sama ta uderzająca niedoskonałość wymawiania, ma w sobie jakiś wdzięk niewypowiedziany, który podnosi potęgę jego wymowy i robi go zachwycającym.“ Jeżeli się ozem wyróżniał od mowców fran-

cuzkich, to silnie wyrobioną metodą filozoficzną i niesłychaną erudycją teologiczną, tak że zdaje się być żywą biblioteką Ojców i Doktorów Kościoła, a obok tego dziwną zawsze naturalnością, że nigdy u niego nie wyszukanego, nigdy nie danego tylko na wystawę; dodajmy jeszcze, że wśród najściślejszego rozumowania nie raz jakby błyskawicami natchnionych myśli gwałtownie wszystko rozjaśnia, że w chwili, gdy mu brakuje wielkich tradycyjalnych argumentów, zwłaszcza ze szkoły tomistycznej, tworzy je jakby w nim sam doktor anielskie swoje pomysły rozwijał; że to wszystko od początku do końca ogniem katolickiej żarliwości ożywione, jakby przez każdą myśl i każde słowo przeszedł promień włoskiego słońca, a razem żar wielkich patriotycznych męczarni i wzruszeń doświadczanych z powodu rozpoczętej na obcej ziemi pielgrzymki, a będziemy mieli mniej więcej dokładny obraz Ventury przemawiającego z paryżkiéj ambony.

Mówiąc w Paryżu rozpoczął jak się zwykle rozpoczyna w przekonywaniu umysłów schorzałych, odrzucających wszelką powagę i to tylko przyjmujących co rozum uznał za prawdziwe i pewne. Racyonalizm i Eklektyzm panowały we Francyi, nie tylko w zakresie czysto filozoficznym, ale téż i w ekonomii społecznej i politycznej, — w prawodawstwie, we wszystkich stosunkach tego dziwnego narodu. Więc przeciw tym dwom arcy-błędóm, Ventura wystąpił w swoich *konferencyach*: *O Rozumie katolickim i Rozumie filozoficznym*. Występując do téj walki, przedstawia najsamprzód historią dwóch tych rozumów, wyklada ich zasady, maluje ich postęp i głównejsze rezultata, a oparty na niezaprzeczonych faktach, przedstawia w całej nagości nędzotę, nikczemność, maluczkość, nieplodność, niemoc rozumu filozoficznego i odsłania razem całe bogactwo, wielkość, podniosłość, płodność i siłę rozumu katolickiego, to jest

roзумu uznającego w wierze punkt swego wyjścia i szukającego natchnienia i rozjaśnień w prawdach religijnych. Dowodzi dalej, iż rozum filozoficzny nie tylko, iż nie jest zdolny wynaleść własną siłą jakąś prawdę, którejby wprzód nie posiadał, ale że owszem stracił wszystkie prawdy wzięte z rąk religii i tradycyi powszechnych i cisnął się w przepaść skeptycyzmu; gdy tymczasem przeciwnie, rozum katolicki przechowawszy jak najwierniej wszystkie prawdy religijne, wznosił się na najwyższe przyczółki wiedzy w zakresie filozoficznym i spoczął wpośród swych zdobyczy i swego postępu na granitowej opoce pewności. Pierwszoletni ten kurs miał jak najzupełniejsze powodzenie; Ventura był prawie w ciągłym oblężeniu — ci co go słyszeli za jak największe poczytywali sobie szczęście, zbliżyć się do wielkiego mowcy Rzymu, ci co go niesłyszeli dla zbyt wielkich odległości swoich siedzib od stolicy, ale o nim czytali sprawozdania po dziennikach, a prawie jednocześnie czytali i same konferencye, acz zbyt niedokładnie zamieszczone w *l'Enseignement Catholique*, zasympywowali go mnóstwem najpochlebniejszych listów i zapytań dowodzących, że w nim upatrywano najwyższą indywidualną potęgę teologiczną i filozoficzną. Wszakże nie brakło i na krytykach tém nieprzyjaźniejszych im jawniej Ventura wykazał niemoc Racyonalizmu i Eklektyzmu. *Revue des Deux Mondes* *) zamieściła artykuł, w którym ojciec Ventura postawiony został obok Donozo Cortez i Gauma i razem z niemi z wszelkiej opinii znakomitości odarty. Artykuł ten był, jak się można domyślić napisany przez hołdownika opinii, który dawszy mu za tytuł: *Kościół katolicki w średnich wiekach i w wieku XIX*, dowodził, iż ponieważ Ventura, Donozo

*) Tome Seizième. XXII Année. — Nouvelle période. 1 Novembre — 3. Livraison.

Cortez i Gaume nieklaniali się duchowi czasu, ani pod jego wyroki nie poddawali swoich przekonań, *ergo* niezasługują tylko na odepchnięcie i śmiech. Wszystko to naturalnie powiedzianem było nader uprzejmie, grzecznie, bo krytycy jak książę de Broglie są zawsze grzecznymi, salonowymi, pachnącymi i nigdy się niedopuszczają *grubijanskich wyrażań lub podejrzeń*, jakich nie szczędzą dzienniki zdecydowanej opozycji; ale bądź co bądź wszystkie te grzeczności kończyły się owem Molierowskim *ergo* w którym się razem wypowiadało *wszechwładztwo wiedzy tego*, który krytykuje i niedorzeczne utopie krytykowanych (*les utopies qui font sourire!*)

O co szło głównie? Szło o rzecz niemalą, szło o oznaczenie *czem* prawdziwa filozofia być powinna, co jest jej właściwym *przedmiotem*, co powinno być jej *celem*? Ventura tak się wyraził w tej mierze zawsze wiernej chrześcijańskiej swój metodzie: „W dwóch wyrazach „zawiera się cała historia filozofii od początku świata „aż do naszych czasów. Filozofia była zawsze, albo „*poszukiwaniem* prawd nieznaných, albo *dowodzeniem* „i rozwijaniem prawd znanych oraz ich zastosowaniem „do udoskonalenia człowieka i społeczności.

„Filozofia więc była i jest albo poszukującą (*inquisitiva*), albo dowodzącą (*demonstrativa*). Pierwsza odpycha wszelką prawdę niebędącą jej zdobyczą, druga „przyjmuje chętnie każdą prawdę, gdziekolwiek by ją „znalazła; pierwsza jest naturalnym wrogiem zasady „religijnej, a jeżeli czasem jak się to za dni naszych „zdarza, usiłuje religię wciągnąć w przymierze z sobą, „to tylko dla tego, aby ją zniżyć, upokorzyć, by nad „nią panować, żeby ją zgubić, podobnie jak złodziej na „wielką skalę stowarzysza się z samotnym podróżnym „i udaje przyjaźnego, póki nie stanie na bezpiecznym „miejscu, gdzie go już może bezkarnie napasać, zra-
bo-

„wać i zabić; — przeciwnie druga szczęśliwa, wielokrot
„razy może być objaśniona wyższą światłością płynącą
„dla niej świętym kanałem religii, jest przyjaciółką i
„szczerym sprzymierzeńcem zasady religijnej, a usiłowa-
„nia jej dążą do rozwinięcia tej zasady, do jej wpoje-
„nia w umysły, do jej obrony przeciw napaściom błędu
„i namiętności

„Że starożytni filozofowie byli, jak zowie Apostoł:
„*filozofami poszukującymi*, to się da jeszcze wytłumaczyć.
„Religia pogańska przedstawiała im same absurda za-
„mienione w obrzędy bezecne, ochydne, okrutne. Tra-
„dycje ludów były tak zepsute, zaćmione, iż zaledwie
„można się było czegoś w nich doszukać. Cóż więc
„dziwnego, że owi mężowie usiłowali odszukać prawdę
„własnym swym rozumem. Ale inaczej całkiem rzecz ta
„ma się co do Chrześcian. Ci w Kościele i przez Ko-
„ściół skarb całej prawdy znaleźli, poznali Boga i jego
„przymioty, stwórcę i stworzenie, człowieka, jego po-
„czątek, przeznaczenie, prawa, obowiązki, grzech i jego
„oczyszczenie, kary i nagrody, oraz ich wieczność a po-
„znali to wszystko w sposób tak czysty, jasny, ścisły,
„pewny i zupełny, że żadną miarą pojąć niemożna, na
„co by się im zdało szukać tego co mają przed oczyma
„i czego się własnymi rękami dotykają. Tertulian po-
„wiada: My po wzięciu Ewangelii nie potrzebujemy
„badać filozoficznie, co nam po ciekawych poszukiwa-
„niach prawdy, kiedy mamy taką prawdę, jak Jezus
„Chrystus. *Nolis curiositate opus non est post Christum*
„*Jesum, nec inquisitione post Evangelium*“ (de praeserr).

I dalej :

„Prawdziwa filozofia (filozofia demonstratywna) wy-
„chodzi z zakresu wiary, aby przejść mogła w zakres
„wiedzy, nie zaś z wiedzy do wiary. Droga ta wy-
„tknięta rozumowi ludzkiemu przez Chrystyanizm jest
„z jego naturą, i z naturą filozofii najzgodniejsza. Bo

„sam rozum i doświadczenie dowodzą, iż poczynając „przez wiarę umysł osiąga pojęcia i wiedzę nic nie- „straciwszy z téj wiary, kiedy przeciwnie wychodząc „z pojęcia i wiedzy i wiarę gubi i wiedzy onej nigdy nie- „osiąga: *Nisi credideritis non intelligetis*; cała rzecz jaką „rozum na tej drodze zdobywa będzie tylko pojęcie po- „wszechnego wątpienia, to jest pojęcie boleści, rozpa- „czy która wychodząc jak powiada Pismo z nieprawdy „rodzi nieprawość (Ps. VII 15)“.

Tak nauczał Ventura. Pan Brogli zaczął obydwą zasadnicze punkta téj nauki, powstaje przeciw filozofii demonstratywnej, jako przeciw średniowiecznej (zwykły powód do oburzania się dla umysłów słabych i o średniowieczności tyle wiedzących ile o niej znaleźli w protestanckich i pseudofilozoficznych deklamacjach), oraz przeciw metodzie stawiającej wiarę za punkt wyjścia, jako także średniowiecznej.

Zobaczmy kto ma słuszość, bo *Revue des Deux Mondes* jest to Czasopismo u nas podobno ze wszystkich przeglądów najwięcej czytane, sądy jego dla wielu stanowią *verba Magistri*, na które nieledwie, żeby przysięgali.

Filozofia starożytna wychodziła, z pewności, z pewnika, z czego też wychodzi i dzisiaj każda filozofia chrześcijańska. Ale z jakiego pewnika? Protestantyzm wma- wia w łatwowiernych, że to był pewnik *ślepej wiary*. P. Broglie nieinaczej to rozumie. Według niego społeczność średniowieczna we wszystkich swych badaniach filozoficznych miała za podstawę i zasadę *wiarę dogmatyczną*. Tłumaczyć rzeczy wiary, to było całe jéj zajęcie. P. Broglie przytacza tu swe przekonanie i niewiedzieć czy w skutku niewiadomości, czy w skutku złej wiary, wyrachowanej na zniesienie Teatyna w oczach Ignacjéj do niego publiczności, dowodzi, że ponieważ i Ventura z takiego pewnika wychodzi, przeto jest raczej

widmem średniowiecznym, niż filozofem mogącym się dzisiaj przydać na coś Kościołowi.

Najsamprzód trzeba uważać, że Ventura mówiąc z ambony niezawsze używa wyrażeń ścisłych, jakich używał kiedy mówił jako professor z katedry. Powtóre, że są wyrazy, które nie będąc dość oznaczonemi używają się przecie i w najściślejszych rozumowaniach. Otóż tedy nieraz używa on wyrazu *wiara* nie w znaczeniu dogmatycznym, ale na oznaczenie owego przyzwolenia (*assensus*), które zwykle wyprzedza wszelkie dowodzenie, a przez które umysł ludzki przyjmuje najwyższe zasady, jako pierwsze i służące za podstawę do wszelkiego dowodzenia, a zatem same niemogące być dowodzonemi. Z dwojakiego względu można nazywać wiarą takie przyzwolenie umysłu, raz kiedy jest uznaniem prawdy, której umysł dla jej nadzwyczajnej tajemniczości i ciemności dowieść nie może, a wtenczas jest ona wiarą ścisłą, drugi raz, kiedy jest uznaniem prawdy przez się jasnej, ale znowu tak jasnej, że dla zbytnej jasności dowodzić jej nie podobna, a wtenczas jest wiarą w znaczeniu nieścisłym. Ventura użył tu wyrazu *wiara* w tém drugiem znaczeniu. A p. Broglie zarzuca mu średniowieczność a średniowieczności niedorzeczność, dla tego właśnie, że sam niedorzeczność popełnia biorąc za jedno filozofią demonstratywną z teologią scholastyczną. Ta ostatnia, to jest teologia, kładzie bezwątpienia *artykuły wiary* za podstawę, za *zasadę*, ale pierwsza wychodzi z wiary jako z punktu *pewności*, jako z wiary rozumowej, filozoficznej. Gdyby krytyk zamiast mówić wiele o Summie Świętego Tomasza chciał być do niej zajrzeć, byłby tam znalazł owo rozróżnienie: *Sicut aliae scientiae non argumentantur ad sua principia probanda sed ex principiis argumentantur ad ostendendum alia in ipsis scientiis; ita haec doctrina (theologica) non argu-*

mentatur ad sua principia probanda, sed ex eis procedit ad aliquid ostendendum (Summa Theol. p. I. 9. I. art. VII).

Byłby się też z tego Doktora średniowiecznego dowiedział, że Metafizyka rozprawia nawet z tymi, którzy przeczą jej zasady, ale którzy przecząc, coś przecie tą wiarą filozoficzną przyjmują i wierzą, ale rozprawiać by z nimi niemogła, gdyby nie przyjąć za pewnik niechcieli: *Si autem nihil concedit, non potest cum eo disputare* (Ibid).

Wszakże filozofia chrześcijańska nie wymaga onego uznania pierwszych zasad, jako aktu wiary należnej Bogu objawiającemu, lecz tylko jako aktu uznania, które, prawda zasadnicza wkłada na umysł nieschorzwały przez sofizmata, bez żadnego dowodzenia, tak jak światłość daje widzenie każdemu zdrowemu oku, niepotrzebując żadnego innego światła, ażeby była widziana. Kiedy więc mowa o zasadzie, z której wychodzi filozofia, trzeba zostawić na boku objawienie i wiarę, jeżeli się chce uniknąć zmieszki pojęć filozofii i teologii. Ventura czyni to wyraźnie w dziełku p. t. *De la vraie et de la fausse philosophie en reponse à une lettre de M. Vicomte de Bonald*, gdzie na stronnicy 35 tak się wyraża: „Byłoby śmiesznością, w filozofii, gdyby chciała „prawd swoich dowodzić Pismem świętym, decyzjami „Papieży i Soborów lub Tradycją chrześcijańską, albo „gdyby chciała przeciw nieuznającym ani starego ani „nowego zakonu, walczyć pierwszym lub drugim. Do „takich nieprzyjaciół trzeba się brać z bronią rozumu „naturalnego.“

A Broglie na to, że Ventura tym rozumem chce mieć jednak wiarę, nie zaś *wątpienie*.— Wszakże, czyż dla tego, że filozofia nie wychodzi z *wiary*, już wypływa że wychodzić powinna koniecznie z *wątpienia*? Z drugiej strony, jakże tego rozumem przekonać, kto o wszystkim, a więc i o samym rozumie wątpi? Jak dowieść

jakowejs prawdy bez oparcia się na innę niewątpliwęj przez się prawdzie? Możnaż wywnioskować konkluzę pewną z niepewnych praemissów. Ani filozofia średnio-wieczna ani O. Ventura niemogliby nic podobnego przy-puścić.

Cóż z tego kiedy tak chce mieć filozofia nowa i Pan Broglie (zawsze w wielkiej miłości dla Kościoła, któremu każe przyjmować wszystko, co ma duch czasu, złe czy dobre, aby tą koncessyą sam mógł być z łaski przy-jęty), — Pan Broglie powiada: *powątpiewanie jest dziś punktem wyjścia dla filozofii, jak w wiekach średnich była nim wiara*. On nazywa tę filozofią fatalną, ale ją przecie koniecznie każe przyjąć Kościołowi. Ale na Boga dla czegoż? *Parceque c'est un fait avec laquelle il faut compter, parceque la société française n'est point assise dans la foi, elle erre au contraire dans le doute* (440). Miły Boże a cóżby dziś było z ludzką społec-znością, gdyby Kościół chciał podobnie rozumować i to przyjmować koniecznie, co gdzie znajdzie, zamiast to wszędzie wpajać, co sam posiada. Kościół dla tego, że społeczność błądzi, nie może brać błędu za metodę po-stępowania, a co do faktu, że umysły francuzkie jeszcze błądzą i wątpią (choćaż Bogu dzięki już dzisiaj rzeczy stoją inaczej), ten może coś znaczyć w polityce, ale nie w filozofii, gdzie znaczą zasady nie faktu. I u nas na podobném rozumowaniu nie zbywa. Każą nam tego rodzaju chrześciance siedzieć cicho i tém się kontento-wać *eo jest*, żeby Kościół i reszty nie stracił. Rozumo-wanie to w prawdzie, więcéj jest w sferze życia, niż w sferze teoryi, ale właśnie tém jest niebezpiecz-niejsze. Jakby Kościół chciano oderwać od społeczeń-stwa, żeby sobie mogło być pogańskie dla tego, że niém *jest*, tak by też chciano oderwać sprawę religii od spraw i stosunków życia codziennego, dla tego, że się z pod jej wpływu te sprawy i stosunki *de facto* wysunęły.

P. Broglie wyrzuca O. Venturze, iż potępia filozofią, którą ze względu na ducha społeczności winienby podjąć w interesie chrystyanizmu. To prawda, że religia nie gardzi, owszem przyjmuje chętnie posługę, każdej umiejętności, ale umiejętności prawdziwej, więc też i posługę filozofii, ale nie tej filozofii, która wedle czasów różne odgrywa role (le rôle de la philosophie), tylko filozofii prawdziwej, która jest zawsze ta sama. Jeżeli filozofia XIII stulecia dobrze wykonała swe posłannictwo względem Kościoła, powinnyby równie dobrze spełnić i w wieku XIX, jeżeli nie może w XIX, więc i w XIIIym nie mogła. Gioberti w dobrych jeszcze chwilach powiada o niej: „I dla czegoż dowody, które wczoraj były silne, jasne, zdolne wlać przekonanie w takie umysły jak Dantego, Eulera, Hallera, Anquetila i Muratorego, miałyby dziś lub jutro stracić siłę przekonowania *)?

P. Broglie jeszcze powiada: Gdyby Doktor Anielski żył za dni naszych, polemika jego przeciw tegoczesnym niewiernym niewychodziłaby zapewne z wiary w dogmata, jak chce mieć O. Ventura.

Ależ pominąwszy, że Ś. Tomasz oprócz *Summy Teologicznej* napisał *Summę przeciw Poganom*, w której dogmata wiary idą po wywodach rozumowych, pytamy się czyż można brać za jedno nauczanie filozofii i walczenie przeciw błędom niewiernych? Jeżeliby Doktor Anielski z uwagi na różność nieprzyjaciół zmienił broń w polemice, czyż dla tego miałby też zmienić naukę i zasady filozofii? Ależ jeżeli niezbite i nie do zaprzeczenia były wywody i dowodzenia najwyższych prawd w Uniwersytecie paryzkim w obec Scholastyków, zdaje się, że i dzisiaj byłyby nie do zbiccia w obec studentów p. p. Cousin lub Damiron. Z resztą, jeżeliby ta zmia-

*) Introd. 665.

na potrzebną była dla pokolenia, które wynaturzyło swój umysł, to ztąd jeszcze niewypływa, ażeby miała być koniecznie używaną w nauczaniu pokolenia już wzrosłego i dojrzewającego, ażeby to miało być właściwą funkcją filozofii. Można karmić w pewnych dozach nawet truciznami chorego, ażeby go uzdrowić, ale trucizna dla tego nie stanowi jeszcze pokarmu dla zdrowych.

Tak Ojca Venturę krytykowano w r. 1852, on sam dla tego ani swęj metody filozoficznej nie zmienił, ani względem społeczności, u której czuł się gościem bynajmniej serca nie stracił. W przedmowie tylko do drugiego tomu konferencyi *) zamieścił krótki ustęp (§ 5) na czele którego położył jako tytuł to zdanie iż: „*nie sądzi się być obowiązany do odpowiadania na krytyki „dowodzące tylko złośliwości lub niewiadomości tych przez „których zostały napisane.*” W ustępie tym oświadcza, iż jeżeli co winien tego rodzaju krytykom, to chyba zapomnienie i przebaczenie, sądzi bowiem za rzecz zbytęczną rozprawiać z ślepem uprzedzeniem, z wyrachowaną zawiścią i złą wiarą. Ani też myśli odpowiadać owym filozofom salonowym, którzy dla tego tylko, ażeby o nich mówiono jako o ludziach uczonych (gdy już przestano mówić jako o mężach stanu) wkręcają się w zakres umiejętności, gdzie im się podobnie wiedzie jak im się wiodło w zakresie polityki. Dziwi się, jak ludzie tak pozorni, którzy o pierwszych zasadach filozofii wyobrażenia nie mają, mogą sobie rościć prawo do dyskusyi czysto filozoficznej i podnosić głos z taką niesłychaną lekkomyślnością w kwestyach tak ważnych. Powiada dalej, iż niedosyć jest być nawet znakomitym literatem, ażeby wkraczać z taką śmiałością w zakres

*) La raison philosophique et la Raison Catholique, ou Conférences sur la Creation prononcées à Paris dans l'Année 1852.

filozofii i kto na to nie pamięta powinien wiedzieć, iż brak umiejętności, nędza myśli, ubóstwo idei obok podobnego zuchwalstwa jest nie do przebaczenia a nakoń-
niec, że jak dla filozofa nie podobna rozprawiać z gram-
matykami, tak teologowi niewłaściwie byłoby wdawać
się w dyskusyę z adwokatami.

Mimo takiej odpowiedzi może troszkę za szorstkiej,
ale bardzo do usprawiedliwienia w najznakomitszym
tagoczesnym teologu zaczepionym przez znakomitostki
literackie, w roku bieżącym ukazała się nowa krytyka
zamieszczona w *Le Correspondent* w miesiącu kwietniu
i maju przez P. Chalambert pod tytułem *Le Père Ven-
tura. Correspondent* rehabilitując się, przez tego rodza-
ju artykuły, w duchu niby umiarkowanym a w samej
rzeczy w duchu bałwochwalstwa dla opinii pisane, jest
smutnym z owęj *niby bezstronności, która im więcej oso-
bie mówi, tém się bardziej na wszystkie strony ogląda* i
owęj dla religii przychylności, która się manifestuje nie
przez szlachetną i otwartą polemikę, ale przez grzeczną
wojnę podniesioną przeciw najszczerzszym religii obroń-
com. Bolesna rzecz, iż w Czasopiśmie tak niepewnych
zasad znajdujemy dwa imiona, dwa z najmilszych dzi-
siaj każdemu sercu katolickiemu, to jest Montalembert'a
i Lacordair'a. To pewno, że się *Correspondent* przez
owe imiona widocznie tylko przyczepione niepodniesie,
ale to jeszcze, niestety, pewniejsza, iż sąsiedztwo z ta-
kiemi artykułami jak, artykuł *o obecnej religijnej pole-
mice* przez P. Broglie, jak rozprawa p. t. *Le parti Ca-
tholique*, Pana de Falloux, jak wreszcie krytyka P. de
Chalambert — że sąsiedztwo takie nie może być jak
tylko zniżające.

Książę de Broglie dowiódł, iż Ventura śmiesznym jest
wskrzesicielem średniowieczności w filozofii, przez zby-
teczną wierność zasadom filozofii scholastycznej.

A p. Chalambert dowiódł, iż Ventura zwodzi opierając się niby na szkole scholastycznej a fałszując naukę tej Słońca, to jest Ś. Tomasza.

Czy dowiódł? zobaczmy. Kwestya nader jest ważna, idzie bowiem o początek idei.

Ojciec Ventura wychodząc z zasady *substancyjalnej jedności człowieka*, to jest *substancyjalnego zjednoczenia dwóch pierwiastków duchowego i materialnego w jednej osobie*, będącego, jak powiada, obrazem *hypostatycznego zjednoczenia dwóch natur w Bogu-człowieku*, utrzymuje według tego kanonu scholastyków: *Actiones sunt Coniuncti*, iż czynności ludzkie nie są ani czynnościami samej duszy ani samego ciała, ale *Całego Człowieka*. Ztąd i w początkowaniu idei, jakkolwiek duszy główne działanie przyznaje, naznacza przecież pewną podrzędną, ale konieczną częśćkę i ciału, a tym sposobem wychodzi z zakłętego kółka Idealistów i Sensualistów, w których od czasów Bakona, Kartezjusza i Leibnica, ustawicznie się kręą szkoły filozoficzne, głównie z tej przyczyny, że nie uważając człowieka za istotę złożoną *substancyjalnie*, i uznając duszę i ciało za dwie istoty osobno *w sobie* istniejące, a w koniecznym następstwie zaprzeczając jednej na rzecz drugiej, tem samem zniwolonone są wszystkie czynności ludzkie albo samemu ciału i zmysłom, albo samej duszy przypisywać. Ventura przeto kładąc za fundamentalną zasadę prawdziwej filozofii istotową jedność człowieka bez zmieszki ducha z naturą, jak za fundamentalną zasadę chrześcijańskiej teologii jedność osoby Jezusa Chrystusa, bez zmieszki Bóstwa z Człowieczeństwem, przychodzi koniecznym następstwem do uznania w człowieku *jedności działania*, bez zaprzeczenia, że *zasadą tego działania jest dusza*. Dusza, powiada on, zajmując ostatni szczybel w wielkiej skali istot duchowych i niemogąc sama przez się rozróżniać przedmiotów, które są przed nią, jakoby w pewnej zmie-

szce, rozróżnia je za pomocą zmysłów ciała, jak krótkowidzący rozróżnia przedmioty za pomocą szkieł przybliżających. Tu się rozwiązuje wielka kwestya co do początku idei. Dusza *ma w sobie możność* (potentiam) ich tworzenia, ciało zaś podając duszy obrazy, służy jej pierwszym materyałem, jest więc w tworzeniu idei przyczyną *tylko materyalną* (*causa materialis*), dusza zaś pobudzona wziętym przez zmysły obrazem, wychodzi z możności do czynu (de potentia in actum), odrywa od obrazu szczegółowe pojęcie, uogólnia je, tworzy z niego ideę, jest więc w tworzeniu idei *przyczyną uskuteczniającą* (*causa efficiens*), owszem jest przyczyną pierwszą przez działanie umysłu na obraz, wyprzedzające działanie, przez które bierze owe pojęcie oderwane od obrazu. A tak pierwszości i zasadniczości działania nieprzypisuje obrazom lub obrazowaniu, ale duszy *czynnej* przez umysł, ona nie dla tego pojmuje, że jest zjednoczona z ciałem, ale dla tego, że jest oświecona promieniem, wyższej, boskiej światłości skutkiem którego jest czynną i zdolną pojmowania i tworzenia idei. Obrazów oderwanych przez zmysły, nie bierze umysł wprost, ale przez posługę wyobraźni będącej pośrednią władzą między zmysłem a umysłem. Wyobraźnia bierze obraz, umysł odrywa pojęcie i wytwarza ideę, umysł więc *ma w sobie* potrzebne światło i siłę działania, ciało zaś przez zmysły znosi przedzeń szczegółowe przedmioty i służy mu do wyrabiania idei uniwersalnych. Że Ś. Tomasz tak uczy, dość przytoczyć na dowód ów znany każdemu mniej więcej obznajmionemu z filozofią scholastyczną kanon sformułowany przez niego: *Intellectus humanus in statu praesentis vitae nihil videt sine phantasmate*.

Tymczasem p. Chalambert twierdzi stanowczo, że ta nauka niezgadza się z nauką świętego Tomasza i jest tylko jej sfalszowaniem. Niewchodząc w rozbiór jego

własnej teorii, ani w sprawdzanie cytacyi ś. Tomasza, któreby dowodziło tylko, że recenzent albo miał postanowienie to tylko w Summie znaleźć, co już poprzednio w swęj głowie ułożył i wmówiwszy w siebie, że znalazł, chce toż samo wmówić w czytelników; albo, że o Summie w tenczas się dopiero dowiedział, kiedy potrzeba było dowieść, że ojciec Ventura zdanie swe podszysza pod firmę Anioła Szkoły; niewchodząc powtarzam w sprawdzanie tych cytacyj, weźmy przed się *Summę Contra Gentiles*, w której ta kwestya *ex professo* jak najobszerniej jest traktowaną i porównajmy.

Oto co znajdujemy w Księdze drugiej, w rozdziale 73cim: ś. Tomasz zbijając w tem miejscu zasadę, według której umysł ludzki (in potentia) ma sam przez się materyał do idei, taki stawia dowód pospolicie zwany u scholastyków *ab absurdo*: „Ztąd by wypływało, powiada on, że umysł ludzki (possibilis) niepotrzebuje obrazów do pojmowania, że my przez sam tylko ów umysł poznawamy, niepotrzebując ku temu ani zmysłów ani obrazów, co oczywiście jest fałszem *).“

A dalej: „Duch ludzki, jak każda inna istota działa według sposobu w jakim jego natura istnieje, a ponieważ według swęj natury duch ludzki jest formą ciała, więc poznaje wprawdzie rzeczy niematerialne, ale je widzi czemś co jest materialne. Jasny tego dowód w naukach uniwersalnych, gdzie się zawsze przedstawiają przykła-

*) Ex hoc videtur sequi, quod intellectus possibilis non indigeat phantasmatibus ad intelligendum nos autem per intellectum possibilem intelligimus, neque igitur nos sensu et phantasmate indigemus ad intelligendum, quod est manifeste falsum. Intellectus possibilis znaczy toż samo u ś. Tomasza, co umysł ludzki w przeciwstawieniu z umysłem boskim, który jest „*purus actus respectu entis universalis*“ i zmysłem duchów czystych, który jest zawsze *in actu, respectu suorum intelligibilium*.

dy z przedmiotów szczegółowych, w których się upatruje myśl jakąś ogólnie wypowiedziana.

P. Chalambert powiada, że ponieważ Ventura stanowi, iż umysł do wytwarzania idei uniwersalnych potrzebuje najprzód fantazmatu, przeto tem samem poznawanie, pojmowanie, idee przenosi z umysłu w zmysły i grzeszy sensualizmem!! a nawet nieróżni się pod tym względem od Kondilaka!! Jak się różni od Kondilaka dość powiedzieć, iż kiedy ten ostatni utrzymuje, iż sensacya *sama przez się wyrabia idee* a duch je przyjmuje *biernie*, Ventura całkiem przeciwnie uczy, iż umysł biorąc od wyobraźni fantazmat i odrywając od niego kształt myślny *tworzy z niej idee czynnie*. Ale pominąwszy ten zarzut, bo komużby mogło przyjść to do głowy, żeby w teorii Ventury o wytwarzaniu idei upatrywać sensualizm i do tego sensualizm Kondilaka, pominąwszy ten zarzut, powiemy tylko iż gdyby p. Chalambert chciał był rzeczywiście troszkę głębiej przypatrzeć się Sammie byłby tam między trudnościami nader stanowczo rozwiązanemi znalazł i tę, o której rozumie, że jest jego pierwszym wynalazkiem i którą miota w oczy Venturze, jako dowód, że świętego Tomasza źle zrozumiał, albo sfalszował. Trudność tę przedstawia komentator Summy w księdze i rozdziale powyżej wyrażonym w ten sposób.

„Jeżeli umysł, jako forma ciała, widzi przedmioty niematerialne (to jest idee) w rzeczy materialnej, więcby ztąd wnosić można, iż pojmowanie nie jest czynem umysłu ale zmysłu.“

Co przedłożywszy tak odpowiada:

„Ażebyśmy mogli tę trudność rozwiązać, zważmy iż gdy władze tak zmysłowe jak umysłowe, zasadę swego działania mają w duszy, przeto dusza jest pierwszą zasadą nie tylko pojmowania ale i czucia. Tym sposobem dusza spostrzega przedmiot szczegółowy przez zmysł, a

uniwersalny przez umysł. Przez zmysł na przykład widzi jak się coś porusza samo przez się i zwykle w ten czas mówimy, iż *widzi życie*. (Ruch widzi zmysłem a z fantazmu ruchu odrywa pojęcie życia, z którego wyrabia uniwersalną ideę życia przez umysł. Tym sposobem dusza poznaje przedmioty niematerialne czyli uniwersalne w przedmiocie materialnym szczegółowym; nie tak, jakoby widząc przedmiot szczegółowy widział w nim razem naturę uniwersalną (ideę), ale tak, że przez fantazmat z rozkazu umysłu przez wyobraźnię wytworzonego, wyobraźnia poznaje przedmiot szczegółowy, właśnie przez ów fantazmat przedstawiony, a umysł poznaje naturę niematerialną, uniwersalną w przedmiocie materialnym i szczegółowym *).

Że zaś w samej istocie święty Tomasz tak a nie inaczej trzyma, przytacza ustęp z *Summy Teologicznej* (P. I. p. 84 art. 8), gdzie święty ten wykazuje, *jak* umysł potrzebuje fantazmatu nawet po wziętém z niego pojęciu. „Jeżeliby umysł do działania swego (to jest do wytwarzania pojęć i idei) niepotrzebował działania jakowéjs

*) *Dubitatur circa rationem propositionis 1mo: Quia si id circo intellectus inspicit immaterialia in re materiali, quia est forma corporis.... sequeretur quod intelligere sit per organum materiale. Pro solutione considerandum, quod cum potentiae tam sensitivae quam intellectivae in essentia animae radidentur, anima est primum principium non solum intelligendi sed etiam sentiendi... et sic simul anima cognoscit aliquod singulare per sensum et universale per intellectum, sicut ex eo quod per sensum videt aliquem a se ipso moveri, statim cognoscit per intellectum illud esse substantiam viventem et sic dicitur in motu videre vitam. Et sic anima intellectiva dicitur cognoscere immaterialia sive universalia in re materiali et singulari, non quia simul intellectus videat singulare et in ipso singulari videat naturam universalem, sed quia per phantasma ad imperium intellectus formatum imaginatio cognoscit singulare cuius illud phantasma est representativum et simul per speciem intelligibilem ratiocentem in illo phantasmate intellectus naturam universalem cognoscit.*

władzy używającój organu ciała, tedyby żadną miarą utrata owego organu przeszkadzać mu w jego działaniu niemogła! wszakże gdy widzimy, że to jest fałszywe, przeto niezawodną jest rzeczą, że aby umysł w czynie pojmował, nie tylko z nowa biorąc poznanie, ale nawet używając nabytėj wiedzy, potrzebuje do tego pomocy wyobraźni i innych sił *).

Nakoniec, że człowiek niema w umyśle swoim idei, ale je bierze *per abstractionem* sam ś. Tomasz tak tego dowodzi (*Lib. Secund. c. LXXVII*). „Owe zaś pojęcia, których dusza umysłowa ludzka nabywa, Plato nazwał pojęciami istniejącemi same przez się, to jest ideami, i dlatego już mu niebyło potrzeba było przypuszczać umysłu tworzącego pojęcia. Co gdyby było prawdziwém natenczas im pojęcia byłyby duchowniejsze, tem byłyby dla nas przystępniejsze, tymczasem zupełnie jest przeciwnie bo najprzystępniejszymi dla nas są właśnie te, które są najbliższe zmysłu **).

Prosimy to porównać z teorią O. Ventury i osądzić czy ona nie jest jak najwierniejszém tych zasad rozwinięciem.

Według p. Chalambert człowiek ma idee w stanie niezdecydowanym, niejasne, niezrealizowane (str. 61) Co to są idee niezrealizowane? to są idee nieistniejące. A jeżeli się ma przez nie rozumieć *idee możności*, które je-

*) Si non requireretur ad actum intellectus, actus alienius potentiae utentis organo corporali, nullo modo impediretur in suo actu per laesionem alienius organi corporalis, atqui etc. etc.... ~~et~~ manifestum est quod ad hoc quod intellectus actu intelligat, requiratur actus imaginationis et caeterarum virtutum.

**) Haec autem intelligibilia, quae anima intellectiva humana intelligit, Plato posuit esse intelligibilia per se ipsa, scilicet Ideas unde non erat ei necessarium ponere intellectum agentem intelligibilia. Si autem hoc esset verum. oporteret quod quanto aliqua sunt secundum se magis intelligibilia eo magis intelligerentur a nobis, quod patet esse falsum, nam magis sunt nobis intelligibilia, quae sunt sensui proximiora.

szcze nie wyszły do czynu, w takim razie są one jedno i to samo, co umysł w możności działania (*intellectus possibilis*), którym właśnie w teorii ojca Ventury postawiony jest jak najwyraźniej. Krytyk powiada dalej: człowiek te idee niezrealizowane, niejasne, realizuje przez aplikowanie do przedmiotów szczegółowych. Ależ kiedy mówię, że mam ideę czegoś niejasną, mówię w ten czas, że mam jakoweś niezupełne poznanie rzeczy, o której albo słyszałem, albowiem się o nią w jaki bądź sposób dowiedział, ale jeżeli ją ani widział, ani o niej słyszał, ani o niej żadnym zwykłym sposobem nie dowiedział, wówczas niemogę powiedzieć, że mam ideę niejasną, tylko mówię, że o tej rzeczy *nie mam żadnej idei*.

Jak człowiek przychodzi do poznania bądź siebie, bądź Boga? Ventura odpowiada: „Człowiek nie sam przez się poznać nie może bez nauczycielstwa zewnętrznego, które podając mu obrazy i pojęcia pobudza umysł jego do działania do wytwarzania idei i zasad.

A p. Chalambert na to: więc ks. Ventura umysł człowieka robi pewną *tabula rasa*, na której niema nic póki objawienie, lub nauczycielstwo zewnętrzne czegoś nie wypisze. Jakto, więc umysł *in potentia* umysł mogący wyjść do czynu, tworzyć idee i zasady, to *tabula rasa*? Czy w teorii ojca Ventury umysł jest *tylko bierny*? Czy go nie przedstawia jako *czynno biernym*, który przez to, co przyjmuje w ruch jest wprawiany, ale *w ruch, którego zasada w nim samym spoczywa*? Ależ to prawie dotykające.

Według ojca Ventury umysł ma w sobie *zasady idei, est habitus principiorum*, jak uczy ś. Tomasz; według p. Chalambert ma idee gotowe. Ojciec Ventura powiada, iż człowiek mocą złożonej w sobie zdolności czynnie z pojęć szczegółowych wytwarza idee uniwersalne, ale przez ich aplikowanie do szczegółów zewnętrznych dopiero

je realizuje, oznacza. U któregoż proszę umysł czynniejszy? U Ventury *tworzy*, u Chalamberta *to, co wziął razem z umysłem realizuje przez to, co wziął przez zmysły*.

Można być zwolennikiem *idei wrodzonych*, można być filozofem i w szkole Platona, jak nim być można w szkole Arystotelesa, ale do tego trzeba przedewszystkiem znać prawa logiczne. Pan Chalambert w krytyce swojej znajomości téj wcale niedowodzi, a że mu *nietłoiczości* nie zarzucamy jedynie dla tego aby zarzucać, oto jest dowód:

Krytyk tłumaczy jak według jego teorii, człowiek który niemówi od urodzenia uczy się pojmować znaczenie dźwięków ujętych w kształty słowa (67). Co do przedmiotów zewnętrznych rzecz arcylatwa. Naprzykład? ojciec pokazuje *niemowlęciu* przedmioty i nazywa je, a niemowlę *chwytą stosunek między przedmiotem wskazanym a dźwiękiem wyrazu i pojmuje*. Proszę się zastanowić: Niemowlę chwytą stosunek!! Ależ takim sposobem co trudne dla najgłębszego filologa i filozofa, to łatwe dla niemowlęcia! Ojciec mu pokazuje *słońce* i wypowiada wyraz *słońce* a niemowlę zdaje sobie sprawę (chwytą stosunek) dla czego *słońce nazywa się słońce* i przyjmuje razem pojęcie i wyraz!

Cóż dopiero pod względem przedmiotów nadzmysłowych. Tu dziecko musi samo przez się chwytąć stosunek między dźwiękiem wyrazu a przedmiotem, którego niewidzi. Mając z jednej strony (dziecko) przeświadczenie (*conscience*) stosunków między fenomenami świata fizycznego a z drugiej strony *mając świadomość idei* (la notion de l'idée) przychodzi pomалу do pochwycenia stosunku między dźwiękiem wyrazu, a ideą którą wyraża. Tak ojciec pokazuje mu niebiosa, niezmierność i powiada *Bóg*, a ponieważ jest pewien stosunek między niezmiernością a ideą *nieskończonego* więc dziecko wnioskuje (*iduit*) po pracy wewnętrznej dłuższej lub

krótszej, że dźwięk wyrazu *Bóg* wypowiada ideę nieskończoności i tę ideę w umyśle realizuje.

I tego to rodzaju krytyce ojcu Venturze zarzucają nieloiczność. Słyszałem, jak u nas przeczytawszy ktoś przedstawianą dopiero krytykę, nazwał ojca Venturę heretykiem.

W roku 1852 i 1853 ojciec Ventura prowadził dalej rzecz o Rozumie katolickim i filozoficznym. Wierny zawsze pierwotnej myśli bronienia prawdy katolickiej przez jej proste przedstawienie tak, jak ją znalazł w Ewangeli, w ojcach, w wyrokach soborów powszechnych, w dziełach wielkich chrześcijańskich filozofów i teologów a szczególnie w ośmnasto przeszło wiekowej wierze Kościoła, w duchu tej myśli walczył za sprawą katolicyzmu w imię samego zdrowego Rozumu. Była, to *Metafizyka głównych dogmatów katolickich*, w której nader szczęśliwie udowodnił, że dogmata te są *rozumne* i daleko rozumniejsze, niż powątpiewania i negacye filozofii bądź to materyalistów, bądź idealistów, panteistów, Eklektyków i całej czeready szkół nowszych. W przedstawieniu dogmatu *O stworzeniu świata* wykazuje (w konferencji 10 i 11tej) wraz z Laktancyuszem i Bossuetem, że wszystkie błędy tak religijne jak filozoficzne są logicznem i koniecznem następstwem negacyi dogmatu stworzenia, że starożytni filozofowie zaprzeczywszy prawie wszyscy tego dogmatu popadli co do religii w *ateizm*, co do moralności w *cynizm*, co do filozofii w *skeptycyzm*. Wsparty następnie na niezbitym rozumowaniu Cyserona u starożytnych a u nowożytnych Kartezjusza, odsłania ze zgrozą fatalną niemożność uniknięcia skeptycyzmu, kiedy się tylko rozpoczyna od tego przypuszczenia, że człowiek nie jest dziełem Boga-Stworzyciela. Nadzwyczaj zajmujący jest obraz, w którym Descartes zniewala ateusza do wyznania, iż *najmniej z tej rzeczy nie może być pewnym*, jeżeli nie uzna, że Bóg jest Stwórcą

człowieka. Pierwszy promotor racjonalizmu zniewolony jest sam przeciw sobie, party siłą żelaznej loiki wyznaczyć, że bez wiary w Boga Stwórcę rozum z przepaści zsuwa się w przepaść nieznajdując dla siebie w niczem ani po za sobą, ani w sobie punktu oparcia. I dziwnie jasno przewidział następstwa własnej zasady. Spadkobiercy tej zasady nieznajdowali już pewności w *Cogito ergo sum* dowodząc, że kto inny *myśli*, a kto inny *jest*; pomimo tego zaprzeczywszy, iż *dla tego są*, że ich Bóg stworzył, zawyrokowali, że dla tego, iż oni *myślą*, Bóg *jest*. Jedni umysł zrobili stwórcą Boga *Cogito, ergo Deus est*, drudzy ogłosili go Bogiem *Cogito ergo mens est* i nie więcej tylko *mens*; inni niemogąc nie a nie schwytać swą myślą w *rzeczywistości istnienia* zaprzeczyli wszystkiego: *Cogito ergo nihil est*.

Cóż przecie filozofowie postanowili na miejsce zaprzeczonego dogmatu stworzenia świata z nicości? Oto trzy hipotezy. 1. Że Bóg stworzył świat z materji wraz z nim od wieków istniejącej i oto *Dualizm*. 2re. że Bóg świat stworzył z swęj własnej substancji i oto *Panteizm*. 3cie. nakoniec, że świat powstał w skutek odwiecznego ruchu materji i przypadkowej aglomeracji atomów, i oto *materyalizm*.

Zburzywszy i ztarlwszy w proch młotem katolickiego rozumu Ojców i Doktorów Kościoła w trzech następnych konferencyach trzy te hipotezy, wykazuje (w konferencyi 15tej) wsparty na świętym Tomaszu 1. że dogmat stworzenia z nicości jest *możliwy*, 2re, że jest *rozumny*, a wskazując na pierwsze karty Genezy dowodzeniem swoim każe niemal na kolana padać przed ich majestatyczną wielkością i pięknnością, przed ich najgłębszą filozoficznością, przed ich bijącą w oczy jawnością i prawdą.

Jakie wrażenie zrobiły te konferencye nie tylko we Francji, ale i w Niemczech, we Włoszech, w Belgii,

nawet w Anglii, dość jest powiedzieć, że natychmiast po ich ogłoszeniu drukiem ukazały się w licznych przekładach. Co większa, kiedy się w Belgii zjawily małe broszurki rozrzucone pomiędzy lud tysiącami przez nieprzyjaciół katolicyzmu, a będące stekiem zarzutów przeciw Eucharystyi, naówczas gorliwi tameczni katolicy i znane z swęj teologicznej głębokości duchowieństwo, zanieśli prośbę do Ojca Ventury, aby na owe zarzuty zechciał odpowiedzieć w sposób razem popularny i rozumowy. Prośbie tēj natychmiast stało się zadosyć w całym znaczeniu tego wyrazu zwycięzko. Jak chlubnym było to wywiązanie się, dowodem tego jest, że Duchowieństwo Belgijskie, więcej niż którekolwiek bądź inne obznajmione z dziełami świętego Tomasza, jak najtkliwiej dziękowało mowcy, przez którego usta, wielki luminarz Kościoła wypowiedział tyle rzeczy nowych a jak najdoskonalej z swą nauką zgodnych i z swych zasad jak najściślej wywnioskowanych.

Prośba ta była powodem, że trzeci Tom konferencyi z r. 1854 cały jest poświęcony filozoficzno-teologicznemu wykładowi o Spowiedzi i Eucharystyi. Wykład ten z dwoma dziełami Gerbet'a o Pokucie i Eucharystyi pozostanie na zawsze pomnikiem wielkiej reakcyi dokonywującej się w łonie obecnego pokolenia, na pociechę religii, na chwałę Kościoła, z którym dwa te Sakramenta niezawodnie najżywotniej jednoczą. Obraz moralnej ruiny jaką sprawił protestantyzm wśród narodów porwanych kipiącą swoją lawiną byłby niezrównany, gdyby O. Ventura mniej się wdawał w cytacye takich pisarzy jak np. Nicolas, których imiona przy całych zasługach i pięknej sławie niedość stósownie brzmią na ambonie i na tle tak majestatycznem troszkę wyglądają za blade. Konferencya ośmnasta kończy się apostrofą pełną ognia od przytoczenia której niemożemy się powstrzymać: „Co do was, woła mowca, co do was, któ-

rzy w postaci przyjaciół, adwokatów, opiekunów ludu, ludzie pychy, bezwstydu, chciwości i zaślepienia, głosicie się apostołami prawdy, a którzy każdym słowem powiedzianem lub napisanem z wnętrzości tego ludu wydzieracie resztki skarbów wiary katolickiej, resztki szacunku dla kapłaństwa, pojęcia cnoty, zamilowania obowiązku, zgola resztki tego wszystkiego, co ten lud ma jeszcze w sobie człowieczego i chrześcijańskiego, co do was posługacze piekła, którzy szczególnie nie-przestajecie obrzydzać temu ludowi spowiedzi sakramentalnej, ażeby go do reszty rozwieść z Kościołem, z religią, z Bogiem, co do was, powtarzam, nie mogę być, niestety! jak tylko zwiastunem smutnych dla was rzeczy, wielkiego nieszczęścia! O wy zacięte tego ludu wrogi, wy przy całej złości jużbyście mu niezdolali straszliwszej krzywdy wyrządzić jak kradnąć mu wiarę a z wiarą wydzierając mu wszystko, czem ona go obdarzyła, całą energią poświęcenia, wszystkie wielkie pobudki ofiary, całą moc cnoty w ubóstwie, całą odwagę w nieszczęściu, najsilniejsze przeciw zbrodni wędzidło, całą skarbnicę pociech, a w sercu jego wysuszacie źródło pokoju i szczęścia. Całe jego zepsucie, zniechęcenie, rozpacz w nędzy, dzikość w rozpacz, całe spodlenie i zezwierzęcenie, wasza to robota! Wy nadużywając niewiadomości i łatwowierności ludu spychacie go na dno zbrodni, niewoli i śmierci. Czekaście, czekaście robotnicy śmierci, oto się już sami do jej strasznych bram zbliżacie. Obluda, kłamstwo i zdrada kopią przepaść pod waszemi własnymi nogami. Drzę na samą myśl tego co was czeka! Ale to pewna, że idzie czas, w którym lud podlegany przez was przeciw wszystkiemu, czem go otoczył katolicyzm spostrzeże się i z srogością, strasznych swęj krzywdy mścicieli weźmie się do uprzątnienia tej czarny zgrai to protestanckiej, to wolteryjańskiej, to panteistycznej, to racjonalnej, to filozoficznej i zdru-

zgocze was całym ciężarem swego gniewu jako gniewu żywego Boga wykonawca... Straszliwa przyszłość! ale wszak jeszcze rozkląć ją możecie! W jakie imię? W jakie imię? W imię dotąd przez was bluźnione, w imię wiary, w imię Kościoła, w imię Boga, w imię krwi Zbawicielowej działającej przez Sakrament! Duchowni nie wiele poradzą jeżeli co oni dzisiaj zbudują, wy jutro zburzycie. Więc z nim ręką w rękę! więc do stóp konfessyonału przywodźcie zgorszony lud, sami się spowiadając najpierwsi!“

Konferencye o Eucharystyi i wieczności kar równie są silne i zapewne nie bez wpływu na publiczność francuską tak się dziś jeszcze garnąca do Boga. Homilie o *Niewiastach Ewangelicznych* *) miane w r. 1852 stanowiły dla mowcy chwile błęgiego odpoczynku, po nużących walkach ze zbuntowanym przeciwko Bogu rozumem. Pełne duchowego, wyższego namaszczenia, pełne świętego wdzięku, pełne najpiękniejszych nauk zastosowanych do życia politycznego i ewangelicznej prostoty zrobiły O. Venturę tak popularnym w Paryżu, że jest dziś razem i ulubieńcem dworu i kochankiem ludu. Niewspominamy o nich szczegółowo, bo w całkowitem tłumaczeniu pragniemy je złożyć w ręce pobożnej naszej publiczności. Ojciec Ventura napisał jednocześnie prawie z swemi kaznodziejskimi pracami dzieło p. t. *La femme Catholique*, które przy pokornem usposobieniu serca mogłoby i u nas być z pożytkiem czytane. Takich to dzieł wieńcem skroni jego otoczyła zarliwość kapłańska i znakomitość kaznodziejska. Co do nas prosimy Boga, aby na tej skroni mogła spocząć jak najprędzej błogosławiąca dłoń ukochanego Ojca chrześcijaństwa!

X. ZYGMUNT GOLIAN.

*) Les Femmes de l'Evangile homélies prêchées à Saint Louis D'Antin.

JABŁKO.

(Bajka).

Prześliczne jabłko małpa urwała
I wziąwszy je w łapek dwoje
I skakała i wołała:
Jabłko to jest moje!

Kiedy w tem Henryś, zwinny jak łasiczka,
Wyrwie je małpie i pyszny z zdobyczy,
Lata i woła i krzyczy:
Jabłko to, jabłkiem Henryczka!

Ale zaledwie na pół je rozłupi
Patrzy aż wewnątrz sprosny robak leży
Co szydząc rzecze: — pysznys jest a głupi,
Jabłko to do mnie należy!

Czy słyniesz z wdzięków, czy też berłem władasz,
Czy do dzieł wielkich rozum cię uzdatni,
Zbyt krótko dar twój posiadasz,
Robak właściciel ostatni.

ZDARZENIE Z NOSEM.

(Dykteryjka staropolska).

Stał za stolikiem synek Cześnika
Gdzie kilku Panów grało z sobą ćwika
A między niemi krótki i pękaty
Jakiś szlachetka dziwnej facyaty
Z krzywą bródką, rudym włosom
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów zrazu cichy i skromny
Patrzy i graczków obchodzi do koła
Kiedy w tem nagle zawoła:
Co za nos ogromny!

Spojrzał się srogo Cześnik na syna,
Przeląkł się, zadrżał chłopczyzna
I woła, wznosząc głos drżący i cienki:
Jakież to nosek malenki!

Już też naówczas jakby zjadła osa
Zrywa się Cześnik i za bat porywa
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:
Ten Pan niema nosa!

Bije więc Cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się że chłopca chce dobić,
A biedne dziecię w swą rozpacz nie wie
Co z tym nosem zrobić.

W różny więc sposób i woła i krzyczy
A gniewny ojciec coraz mocniej ćwiczy.

Tak i my co to lubiemy rozprawiać
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy
Chcemy się niby ratować, poprawiać
A wciąż gorzej brniemy.

S E K R E T.

(Z Lafontena.)

Nie tak nie cięży jak sekret kobiecie,
Sam on się z ust jój wyrывa;
Jakoś jój nawet lżej i zdrowiej bywa
Kiedy się z czego wyplecie.

Pewien mąż swojej chcąc doświadczyć żony
Tak wpośród nocy krzyczał jak szalony:
Pękne! ach pękne dla boga!
Ratuj mię żono, ratuj duszko droga.
Bo duszę z ciała wywrzeszczę!

Nakoniec jakieś zdziwienie udaje,
Cóż to jest? rzecze: wszak ja zniosłem jaje,
Patrzaj kochanko, oto ciepłe jeszcze.
Lecz przebóg żono, nie rozgaduj dalej
Boby mnie kurą przewali.

Żona szczególne jakieś niewiniątko
A nawet trochę cielątko,
Święcie mu milczeć przyrzekła.

Cóż, gdy przysięga już z nocą uciekła!
Zaledwie że się przebudziła z rana
Już dyrda, leci do jednej z sąsiadek.
Kumo, zawoła, ach kumo kochana
Straszny się u nas wydarzył przypadek
Powie wam ale w cichości
Mój mąż zniósł jaje ogromnej wielkości!
Ależ na Boga niemówcie nikomu
Kijem by mnie wygnał z domu.

Nie znasz mię, druga rzecz, miałabym was klócić,
Jam do sekretu stworzona,
Mnie co powiedzieć, jakby w studnię wrzucić.
Idzie więc, wraca Jajkorody żona
Lecz Panią kumę już języzek śwędzi,
Dalej więc, dalej, po sąsiadkach pędzi,
Szepce o wielkiem zdarzeniu sąsiada,
Zamiast jednego, troje jaj powiada.
Łapią nowinkę wszystkie kumy drugie
I nuż o jajach szeptu gęste, długie,
Ta z nich o czterech, ta o pięciu plecie
A każda w wielkim sekrecie.
Wzmaga się sława, liczba jaj podwaja,
Rosną i rosna niezliczone jaja.
Tak iż nakoniec dzięki lotnej wieści
Nim zmierzch osiadł na dolinie
Już ich było sto czterdzieści
A wszystkie wielkie jak dynie.

F. MORAWSKI.

NIGDY I ZAWSZE

czyli

DWIE SIOSTRY

Dramat w pięciu aktach

przez

MAURycego MANNA.

OSOBY:

PANI MOLIŃSKA.

ZOFIA, starsza jej córka, żona Hrabiego.

IRENA, młodsza jej córka.

JULIUSZ MOLIŃSKI, ich brat.

HRABIA EDMUND NIEŚWIESKI.

LEON ZENOWICZ, członek paryzkiego Żokej-klubu.

PIOTR, kamerdyner Hrabiego.

JAKÓB, masztalerz Hrabiego.

Dwaj służący w liberyi.

Rzecz dzieje się w roku 1847 w pałacu Hrabiego na wsi, o dwanaście mil od Warszawy.

Objaśnienie Wyrażenia na prawo i lewo rozumieją się od sali. Osoba wyrażona naprzód w tytule każdej sceny, powinna zajmować pierwsze miejsce na lewo od widzów i tak następnie. U spodu stronnicy oznaczone są zmiany pozycyi podczas sceny.

Ubiory wskazane są przy każdym akcie.

AKT PIERWSZY.

Teatr przedstawia pokój przechodni — mało umeblowany — w głębi i po obu stronach drzwi — we drzwiach po lewej stronie zawieszona portiera — bliżej sceny mała kanapka przy ścianie — po prawej stronie drzwi. w głębi stolik. —

Za podniesieniem zasłony widać kobietę stojącą na środku sceny — przed nią klęczy mężczyzna — w lewą rękę trzyma prawą rękę kobiety, a drugą błagać się ją zdaje.

SCENA I.

HRABIA, IRENA *).

IRENA, (*nachyla się ku Hrabiemu, lewą rękę wspiera na jego głowie, patrzy na niego chwilę namiętnie, poczem głosem rozpaczcy*)

Nigdy!... (*podnosi rękę lewą jakby odepchnąć go chciała — prawą wyrzywa nagle i wybiega drzwiami po prawej stronie*)

HRABIA (*zostaje na kolanach — patrzy za odchodzącą, nareszcie wstaje i idzie na przód sceny wolnym krokiem — głosem przytłumionym*)

Nigdy!... (*opiera czoło na dłoni i stoi nieruchomy*)

SCENA II.

HRABIA, ZOFIA.

ZOFIA (*wchodząc przez drzwi w głębi*)

Otóż mój mąż! Edmundzie, nie widziałeś Ireny?

HRABIA (*obraca się z przestrachem*)

Ja?...

ZOFIA

Tak — ty?

HRABIA (*tymże głosem*)

Czemu się pytasz?

*) Ubiory: Irena w wykwintnym rannym negliżu — Hrabia surdut zielony — kamizelka biała — spodnie ciemne — Zofia w podobnym stroju co Irena.

ZOFIA (*zbliżając się*)

Co tobie Edmundzie?... tak jakoś dziwnie mówisz do mnie?...

HRABIA (*przychodząc do siebie*)

Przepraszam cię.... przepraszam.... byłem zamyślony....

ZOFIA

Widzę to... ja też tylko pytam, czy przypadkiem nie widziałeś Ireny?

HRABIA (*niespokojnie*)

Ireny?... tak... przypominam sobie... niedawno co tam wyszła...

ZOFIA (*z uśmiechem*)

Ale którądy wyszła? (*pokazuje drzwi na prawo i lewo*) czy tędy czy tamtędy? (*Hrabia nie patrzy—Zofia bierze go za rękę*) Co tobie?... to nie ładnie być tak roztargnionym?

HRABIA (*do siebie*)

Roztargnionym! (*głośno*) Masz słuszość — to nie do darowania. Irena pewnie poszła do swego pokoju. Nie gniewaj się Zofio.... mam tyle interesów na głowie....

ZOFIA (*przerwywając*)

A czyż ja się gniewam?... przeciwnie, pojmuję zupełnie twoje kłopoty.... sam zarządzasz majątkiem....

HRABIA (*na stronie*)

Co za anioł!

ZOFIA

Spostrzegłszy cię myślałam, że się dowiem gdzie moja siostra, a przytem chciałam się także ciobie poradzić co do tej przejażdżki konnej którąśmy wczoraj ułożyli.

HRABIA (*roztargniony*)

Ułożyliśmy wczoraj, mówisz?...

ZOFIA

Czy znów?... nie przypominasz sobie?...

HRABIA

A prawda! już wiem... miałyście jechać do Dębiny.

ZOFIA

Jakto my?... przecież to ty jedziesz z nami. (*Hrabia patrzy na nią ale nie słucha*) Chciałam cię więc zapytać,

czy sądzisz iż tak daleki spacer nie zaszkodzi Irenie?

HRABIA

Dla czegoż bo mnie o to pytasz?

ZOFIA

Jakżeś dziś nudny z tem ciąglem: dla czego? — dla czego?... dla tego, bo wiem, że niechciałbyś aby zachorowała. Lubię radzić się ciebie o zdrowie Ireny bo widzę wtedy że ty także bardzo ją kochasz — nie prawda mój drogi?

HRABIA (*zakłopotany*)

Nie przeczę że Irena obchodzi mnie żywo, tak jak cała twoja rodzina Zofio. Ale bądź spokojna, mówiłem z nią dziś rano i zdaje mi się że może śmiało przejechać się konno.

ZOFIA

Zwłaszcza kiedy ty będziesz czuwał, abyśmy nie jechały za prędko, uniesione wesołością...

HRABIA

Wybacz mi, ale nie mogę wam dziś towarzyszyć.

ZOFIA (*z żywością*)

Jakto? chcesz więc żebyśmy jechały same z panem Leonem?

HRABIA (*żywo*)

Al z Leonem? (*sposstrzega się*) No tak.... z Leonem czegoż się obawiasz?...

ZOFIA (*wahając się*)

Zapewne że nieczego.... ależ to... bo...

HRABIA (*z przyciskiem*)

Bo?... bo co?... Czy o to ci idzie że Leon zaleca się Irenie?... wszakże będziesz przy niej, a powaga siostry i mężatki, sądzę że wystarczy...

ZOFIA (*wahając się*)

Prawdę mówisz Edmundzie... wystarczy... ale pan Leon w twojej nieobecności...

HRABIA (*gwałtownie*)

Cóż takiego?... pan Leon w mojej nieobecności...

ZOFIA (*rumieniąc się*)

O nic... nic... tak tylko chciałem mówić że pan Leon często ma tak dziwne obejście się...

HRABIA (z gniewem)

Jakto?... dziwne obejście się...

ZOFIA (z słodyczą)

Proszę cię nie gniewaj się Edmundzie... zaraz dopowiem... oto zdaje mi się, że przy tobie więcej wazży swoje słowa...

HRABIA (spokojniéj)

Aha, rozumiem teraz (uśmiecha się ironicznie). Poczciwy Leon pozwala sobie trochę i we lwa się bawi kiedy na niego nie patrzę! zresztą to bardzo naturalnie... biedny chłopiec, czemuż nie ma sobie czasem odetchnąć... Nie zważaj na to proszę cię... wiem kto on jest, a jeżeli cię czasem zadraśnię słowem, to możesz mu wybaczyć.

ZOFIA (wahając się ciągle)

Jednakowoż.... tak same.... na spacer.... z nim... (na stronie) Jakże mu tu powiedzieć, że on się mnie zaleca?...

HRABIA

Ta obawa z twój strony, to jeszcze przypomnienie panieńskiej skromności, ostatni odbłysek dziewiczego życia, który świat zetrze niezadługo, a nawet ja sam na niego się targam, prosząc żebyś jechała z Leonem. W Zokey-klubie paryzkim miał on sławę doskonałego jeźdźcy; a jeszcze jak wam dodam za giermka starego Jakóba, będę zupełnie spokojny.

ZOFIA

Jabym jednak wolała żebyś ty jechał z nami.

HRABIA

Nie Zofio — to być nie może.

ZOFIA (z przymileniem)

Teraz na mnie kolój — a dla czego Edmundzie?

HRABIA

Bo mam zatrudnienia, które koniecznie ułatwić muszę przed obiadem.

ZOFIA (podobnie)

Bardzo ważne?

HRABIA

Bardzo.

ZOFIA (podobnie)

Nie podobna ich odłożyć?

HRABIA

Niepodobna.

ZOFIA (*smutnie*)

Kiedy tak — to my odłożymy nasz spacer — pomówię o tem z Ireną. (*chce odejść*)

HRABIA (*zatrzymuje ją*)

Proszę cię nie czynić tego. Byłoby mi bardzo przykro, żebym wam zepsuł zabawę. Patrz jak pięknie w polu, takich dni mało mamy w tym roku.

ZOFIA

Jeszcze się zdarzyć mogą — ale mniejsza o to Edmundzie. Mam jakieś przeczucie, że ta przejażdżka zaszkodzi mój siostrze (*chce odejść*).

HRABIA (*zatrzymując ją*)

Posłuchaj mnie chwilę. Miłość siostry przejmuję cię przesadzoną o zdrowie Ireny obawą. Mnie ona wcale nie wydaje się być tak słabą. Ty myślisz, że to choroba piersiowa, ręczę, że się mylisz. To po prostu osłabienie nerwów. Jój bladeść nie dowodzi nic wcale. Wiesz dobrze, jak lubi się bawić, a przytem znasz jój upór. Sprzeciwianiem więc jój zaszkodzisz niż najdłuższym spacerem.

ZOFIA

Mam jednak wielką ochotę nie usłuchać cię tym razem Edmundzie.

HRABIA (*z naleganiem*)

Nie Zofio, nie wystawiaj mnie przed ludźmi za dziwaka, proszę cię. Cóżby powiedziały matka i Irena, gdybym przeszkadzał tej wycieczce dla powodów, których nie wymieniam — bo musiałbym wiele mówić.... o rzeczach bardzo nudnych. Cóżby wreszcie pomyślał Leon, gdyby się dowiedział, żeście nie chciały sam na sam z nim jechać. Miałby prawo wnioskować, że się go lekacie, że nawet ja się go boję (*uśmiechając się*) dopieroby trząśł grzywą.... Nie, nie, rzecz skończona... pojeździecie — proszę cię...

ZOFIA (*wolno, opierając się na ramieniu Hrabiego*)

Więc jedźmy razem Edmundzie...

HRABIA

Pocóżbym też dał tak długo się prosić, gdybym to mógł uczynić? Czyż mię nie znasz? z największą rozkoszą podzielałam zwykle wasze zabawy — ale istotnie dziś nie mogę.

ZOFIA (*smutno*)

Ha, cóż robić! niechże tak będzie jak pragniesz.

HRABIA

Ale mi tego za złe nie bierzesz?

ZOFIA (*wychodząc, z słodyczą*)

Nie mój drogi, pewna jestem, że nie odmówiłbyś mi tej przyjemności bez ważnych powodów, bo wiem że mnie kochasz zawsze. (*wychodzi na prawo*).

SCENA III.

HRABIA (*sam*).

Zawsze!... (*nieporuszony patrzy za odchodzącą*) Piękna, przeczysta dusza!... taka słodka... ufająca... tak jest, powinienem ją zawsze kochać; — Zdradzić — byłoby zbrodnią!... Zbrodnią?... a jednak w tem samym miejscu.... przed chwilą.... przysięgałem... u nóg Ireny (*zakrywa sobie twarz rękoma*) Zdradziłem przez to żonę?... Nie! nie jestem podły — niechcę nim być na Boga! (*z uniesieniem*) Czemże więc było to, co mną miotало w owej chwili, kiedy nagle wybuchająca namiętność stłumiła we mnie wszystko.... sumienie.... miłość.... obowiązki?... Skądże więc płynie, ten ogień którego natura ludzka pokonać niezdolna, który mimo rozpacznej obrony, prędzej czy później pochłonać nas musi (*z gorącością*) O nędzne, bezsilne serce człowiecze! Szalony kto wyrzekł, że zważyć je potrafi!... a i po cóż ta walka kiedy jedna chwila wystarczy do zniweczenia najszlachetniejszych wysiłków, kiedy jedna chwila zamaści w głowie tak że na zgłiszczach cnoty goduje całe piekło! (*z obłąkaniem*) przeklęty!... stokroć przeklęty!... Ona powiedziała Nigdy!.... Boże, to niepodobna... to być nie może!... (*po chwili*) Gdzież jestem?... Irena słusznie wyrzekła Nigdy! Ani jęć widzieć, ani mówić z nią... nigdy!... (*idzie spieszenie ku drzwiom w głębi*).

SCENA IV.

HRABIA, PANI MOLIŃSKA.

P. MOLIŃSKA (*wychodzi ze drzwi na prawo*)
Edmundzie — poczekaj...

HRABIA (*w głębi*)
Co Pani każe? (*do siebie*) Jeszcze!

P. MOLIŃSKA
Chciałam cię prosić abyś towarzyszył konno Zofii i Irenie.

HRABIA (*na stronie*)
Cóż to za męka! (*głośno*) Wybaczysz mi kochana Pani że nie mogę zadość uczynić twemu życzeniu. W tej chwili właśnie mówiłem o tym z Zofią... (*wraca pomału na scenę*)

P. MOLIŃSKA
Całą też rozmowę waszą opowiedziała Irenie. Ja sobie wcale nie życzę tej przejażdżki; wczoraj Irena nie zdawała się pragnąć jej tak gorąco, ale teraz koniecznie chce jechać — ani sposobu jej odradzić — wiesz że nie mam siły odmówić jej niczego... zezwoliłam....

HRABIA
Dobrześ Pani zrobiła...

P. MOLIŃSKA
Przeciwnie, źle bardzo. Irena jest słabą i właśnie dla tego życzę sobie żebyś jechał z niemi. Ona ciebie jednego słucha...

HRABIA (*przerzuwając*)
Mylisz się Pani — nie mam ja tej władzy. Ale choćby i tak było, przykro mi że muszę odmówić. Wszakże o biedwie z Zosią, przesadzacie jej słabość, jeśli jest jaka, bo widziałem ją niedawno i zdawała mi się zupełnie zdrowa.

P. MOLIŃSKA
Dostrzegłam wszakże przed chwilą że ma gorączkę.

HRABIA (*z przest్రachem*)
Czy to być może?

P. MOLIŃSKA
Wprawdzie nie w tem zastraszającego; bo wiesz że

podzielam twoje zdanie Edmundzie. Cały jój system nerwowy w wysokim jest stopniu rozdrażniony...

HRABIA *(na stronie)*

Byłaby to miłość, czy tylko wzruszenie?...

P. MOLIŃSKA

Więc ostatecznie odmawiasz mi Edmundzie?

HRABIA

Sam nad tem boleję wierzać mi Pani.

P. MOLIŃSKA

Kiedy tak, to muszę zdać opiekę nad memi córkami panu Zenowiczowi...

HRABIA *(żywo)*.

Zenowiczowi?...

P. MOLIŃSKA

No oczywiście, skoro mają z nim jechać na ten nie-szczęśliwy spacer.

HRABIA.

Bądź Pani spokojna, polecę Jakóbowi żeby je miał ciągle na oku.

SCENA V.

CIŻ SAMI, LEON *)

LEON *(wchodząc)*

A cóż Hrabio — damy nasze gotowe?

HRABIA **) *(zimno)*

Nie wiem.

P. MOLIŃSKA

Bądź Pan chwilkę cierpliwy — zaraz nadejdą.

LEON.

Pani, czekać na damy to naszym obowiązkiem — tym razem prawdziwa przyjemność. Dzień mamy prześliczny, do konnej jazdy jedyny. *(do hrabiego)* Ale cóż to widzę i tyś jeszcze nie ubrany?

*) Leon w reitfraku, krawat niebieski, kamizelka żółta, spodnie białe, buty ze astylpami, biały kapelusz — szpicrut w ręku.

**) Leon, Hrabia, p. Molińska.

HRABIA.

Bo ja z wami nie jadę.

LEON (*z radością*)

Niepodobna?

P. MOLIŃSKA

A tak, Edmund zmuszony jest odmówić sobie tej przyjemności.

LEON (*udając*)

Doprawdy?... (*na stronie*) a to szczęście! (*głośno*) I czemuż ta zmiana?

HRABIA (*na stronie*)

I ten także? to jakby umyślnie (*głośno*) Bo mam pisać listy do Warszawy, które nie cierpią zwłoki.

LEON (*udając ciągle*)

Jaka szkoda!

HRABIA

Zapewne, ale szczególnie dla mnie (*do p. Molińskiego*) Idę uprzedzić Jakóba i przekonać się czy konie dobrze osiodłane... (*wychodzi drzwiami w głębi*).

LEON (*idąc za nim*)

No, no, pomyśl jeszcze, jakże można tak nam psuć partya (*kładąc kopelusz i szpicrut na stole, na stronie*) to niespodziewana gratka!

SCENA VI.

LEON, P. MOLIŃSKA.

P. MOLIŃSKA

Pan więc będziesz dzisiaj jedynym opiekunem moich amazonek, a jako matka nie mogę mu dosyć zalecić ostrożności.

LEON

Możesz być Pani zupełnie spokojna, bo chociaż nie zdołam zastąpić hrabiego jako towarzysza spaceru, to z drugiej strony śmiem bez zarożumienia ręczyć Pani za zupełne tych pań bezpieczeństwo.

P. MOLIŃSKA

Wiem że z Pana jeździć niezrównany a mam nadzieję że zechcesz być ostrożny.

LEON (*kłaniając się*)

Pani...

P. MOLIŃSKA

Ale oprócz tego mam jeszcze Pana o jedną łaskę prosić.

LEON

Jestem na rozkazy.

P. MOLIŃSKA

Irena jest cierpiąca.

LEON (*obojętnie*)

Doprawdy?... (*spostrzegając się, prędko*) Jakto, panna Irena cierpiąca? ależ jeszcze rano przy śniadaniu...

P. MOLIŃSKA

Tak jest była zdrowa... dopiero! potem...

LEON (*przerwywając*)

Cóż potem?...

P. MOLIŃSKA

Zapadła cokolwiek lubo niechce się przyznać. Proszę więc Pana jechać powoli i nie daleko.

LEON.

Stanie się jak Pani każe (*na stronie*) o co nie to nie!
(*Zofia wchodzi po prawej*).

SCENA VII.

CIŻ SAMI, ZOFIA, IRENA *)

ZOFIA (*wchodząc*)

Otóżemy gotowe.

IRENA (*we drzwiach, na stronie*)

Nie ma go!

P. MOLIŃSKA **)

Dobrze moje dzieci, ale uprzedzam was że macie słuchać pana Leona, władzę moją na niego przelałam.

ZOFIA (*dając znak matce że rozumie*)

Szczególniej jak długo bawić mamy, nie prawdaż?

LEON (*kłaniając się*)

Dla mnie i to wiele, i na to nie zasłużyłem.

*) Zofia i Irena w amazonkach, w kapeluszach męskich ze szpicrutem w rękę.

**) Leon, Irena, p. Molińska, Zofia.

IRENA (*cicho do Leona*)

Pojedziemy daleko i ciągle galopem?

LEON (*głośno*)

Nie Pani, pojedziemy bardzo wolno: w obec tak wielkiej odpowiedzialności czuję, że straciłem zupełnie odwagę (*cicho*) będziem pędzić jakby na wyścigach.

IRENA (*cicho do Leona*)

Dziękuję Panu bo mi potrzeba ruchu i powietrza (*kasze, przykłada chustkę do ust, i chowa ją starannie*)

LEON (*do Zofii*)

Jakżeż Pani do twarzy w tym nowym kapelusiku!

ZOFIA

Siostra moja ma taki sam zupełnie.

LEON (*na stronie*)

Oj!! (*głośno*) I tamten niemniej piękny...

ZOFIA

Ale gdzież jest Edmund?

P. MOLIŃSKA

Poszedł obejrzyć czy konie dobrze osiodłane. (*Hrabia wchodzi w głębi*) O! wraca.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, HRABIA.

HRABIA (*przy drzwiach*)

Jakób już gotów i konie czekają.

LEON (*idąc ku niemu*)

Więc nie jedziesz hrabio?

HRABIA

Żal mi bardzo, ale zostać muszę.

(*Leon w głębi bierze ze stołu kapelusz — szpicrut — wkłada rękawiczki. Zofia przechodzi na lewo. Irena rozmawia z matką.*)

ZOFIA *) (*do Hrabiego*)

Edmundzie źle robię że cię słucham.

*) Zofia, Hrabia, Irena, p. Molińska, Leon w głębi.

HRABIA

Czemu?

ZOFIA

Irena jest bardzo słaba... dostrzegłam krew na chustce gdy zakaślnęła...

HRABIA (*z przest్రachem*)

Dla Boga!... czy prawdę mówisz?

ZOFIA

Cicho... cicho... nie trzeba jęć drażnić... przeczuć moje nie myliło mnie, gdym ci mówiła Edmundzie, że Irena ma w sobie zaród choroby z której nie wyleczy się nigdy.

LEON (*w głębi, do siebie*)

Jakieś narady? bałyżby się jechać same ze mną (*głośno zbliżając się*) Chciejcie Panie zważać że czas upływa... ostrzegam.

IRENA (*obracając się z żywością*)

Prawda, prawda... jedźmy Zosiu... jedźmy.

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Pamiętaj Pan o przyrzeczeniu.

(*Leon kłania się — p. Molińska wychodzi*)

HRABIA

Leonie podaj rękę Zofii (*cicho*) proszę cię jedź powoli...

LEON (*wychodząc z Zofią, cicho*)

Nie bój się (*głośno*) do widzenia Hrabio.

IRENA (*do hrabiego który przybliżył się by jęć podać rękę, z giestem rozkazującym*).

Zostań!!

(*wychodzi ostatnia*)

SCENA IX.

HRABIA (*sam*).

Jakże twardec pożegnała mnie słowem? Co znaczy ten wzrok surowy? Miałaby się gniewać? czyż mnie

tyle nawet nie kocha aby przebaczyć zdołała? Każdy jój gość zimny jak lód... A gdybym ja się mylił... bo czyż podobna udawać do tego stopnia?... Oh jakie okropne moje męki jeżeli ona nawet nie lituje się nademną?... (z ironią) Choroba jój, mówiła Zofia jest nieuleczoną... Czyż jest na świecie taka choroba? (z gorczyzą) wyleczy się?... Biedna Zofia — zaślepiła ją zbyt tnia troskliwość... ona taka dobra ta moja żona... muszę ją ratować!... Ją!... to mnie nieszczęsnego trzeba ratować! Ale cóż począć? (przechadza się) Zostać?... to wieczna walka a ja już bez siły. . . ja się już zużył chcąc się wydobyć z tego wiru sprzecznych uczuć które sobie wojnę w mém sercu wydały!... Przed godziną byłem panem siebie?... Nie, zostać nie mogę (z ogniem) Obecność jój otacza mnie płomienną atmosferą... żarem nieznanych rozkoszy pali... Nie!... muszę się oddalić!... A ona?... wszakże stroni odemnie, unika!... z radością jechała na ten spacer gdy wiedziała że niebędę jój towarzyszył... a w téj chwili ta oziębłość! (z boleścią) oh jeżeli mnie kocha miłość jój jakże różna od mojej! (po chwili) Cóż więc daje mi prawo ją dręczyć?... W końcu po co to wieczne kłamstwo na które wzdrygam się cały? tak dalej żyć nie mogę... Ucieczka to ostatni dusz słabych ratunek.... Uciekać... od niej? (ze smutkiem) to może wszystko skończy... Odjechały... korzystajmy z chwili... niema nikogo w pałacu... to właśnie pora... mogę wszystko ułożyć. (dzwoni)

SCENA X.

HRABIA, SŁUŻĄCY.

HRABIA

Zawołaj mi Piotra.

SŁUŻĄCY

Niema go w przedpokoju Jaśnie Panie.

HRABIA.

To go poszukaj — niech tu zaraz przyjdzie.

SŁUŻĄCY.

Dobrze Jaśnie Panie. (wychodzi).

SCENA XI.

HRABIA, (*sam*).

Piotr to jedyny człowiek na którego spuścić się mogę (*chodzi*) Tak, tak, jeden środek mam przed sobą... o żeby mi tylko sił nie brać! (*chodzi i zatrzymuje się nagle*) Pewnie już są daleko... a gdyby Irena była rzeczywiście chorą?... Twarz jej paliła, oczy gorączkowym ożywione blaskiem dziwne rzuciły spojrzenia... gdyby Zofia miała słuszność?... Złe zrobiłem żem z niemi nie pojechał... patrząc w nią nieustannie byłbym dostrzegł najmniejsze wysilenie... miarkował zbytnią odwagę... prosiłbym... mógłbym rozkazać, czyż matka nie mówiła że Irena mnie jednego słucha!... Gdybym też teraz pojechał?... rozkazała mi zostać... ale mógłbym jechać z daleka... w milczeniu... czuwać nad nią... (*z siłą*) Tak, powinienem jechać... muszę jechać... bo mogę ulżyć jej cierpieniu... O Boże jakaż to rozkosz, ulżyć jej cierpieniu!... (*zamyśla się*) Co za myśl okropna... Miałabym ja być przyczyną... miałożby wyznanie mej miłości wionąć na nią jak oddech zatruty... o biegnę!... lecę do niej... to moja powinność... o bowiązek... (*biegnie i zatrzymuje się*) Cóż powiem jak dogonię?... Co powiem?... ona cierpi a ja się waham... ja, który za jedno jej spojrzenie oddałbym świat cały... (*chce wyjść, spotyka Piotra we drzwiach*)

SCENA XII.

HRABIA, PIOTR.

HRABIA

A to ty Piotrze!

PIOTR (*przy drzwiach*)

Pan Hrabia mnie wołać kazał.

HRABIA

Osiodłać mi konia natychmiast... biegaj...

PIOTR

Którego Panie?...

HRABIA.

Araba.

PIOTR

Dobrze panie Hrabio.

HRABIA

No czegoż stoisz?... spieszże się... przedź... przedź...

PIOTR

Zaraz... zaraz... *(na stronie wychodząc)* i było mnie też po co wołać... *(wychodzi)*.

SCENA XIII.

HRABIA *(sam)*

Arab szybki jak strzała... gdybym tylko jeszcze na czas zdążył!... obawiam się nieszczęścia *(z uczuciem)* Widzę ją, widzę... jak pędzi... pierś jej z trudnością prąd wiatru przecina... kibić lekką podaje jak kwiat walczący z wichrem... a koń tumany piasku miota i złotą mgłą ją otula... Leon jej nie zatrzyma... ten szaleniec czwałem będzie pędził... bo szczęście rąco bieży... a on jest szczęśliwy *(namiętnie)* bo długie jej amazonki zwoje pieszczą go igrając z wiatrem... bo hamując w biegu jej konia może dotknąć się jej ręki... pochwycić jej oddech, spotkać małą nóżkę... ah krew w żyłach mi zawrzała... *(jak szalony)* Nie.... dopóki ja tu iestem... do tej kobiety nikt się nie przybliży.. nikt... przysięgam na życie... *(wybiega — słychać za kulisami głos wołający: Edmundzie! Edmundzie!)*.

SCENA XIV.

JULIUSZ *w ubiorze podróżnym, SŁUŻĄCY.*

JULIUSZ *(wchodząc, do siebie)*

Czy oszalał?... gdzież on tak leci?... otarł się o mnie, bez mała nie wywrócił... i nie poznał! wołam: Edmundzie! Edmundzie! nawet się nie obejrzał... czy ogluchił? po dwóch latach niewidzenia przyjęcie za kawy przyjemne... *(do służącego)* Gdzież to Pan tak spieszył?...

SŁUŻĄCY

Niewiem Panie — w téj chwili kazał sobie osiodłać konia...

JULIUSZ

Dokądże miał jechać?

SŁUŻĄCY

Może za Państwem, bo wyjechali nie dawno na spacer.

JULIUSZ

Konno?

SŁUŻĄCY

Tak jest Panie.

JULIUSZ

Któż więc pojechał?

SŁUŻĄCY

Pani Hrabina, panna Irena i pan Zenowicz.

JULIUSZ (*do siebie*)

Zenowicz? — nie znam. Wreszcie to mi obojętne. Ale ten pośpiech Edmunda nie miał w sobie nic męzowskiego a jeszcze mniej szwagrowskiego. Myślałem że co innego się święci (*myśli*) Trudno przypuścić aby ten pan jak się tam nazywa... Jeśli się myślę tem lepiej... (*do służącego*) Gdzież pani Molińska?

SŁUŻĄCY

Pani starsza ubiera się w swoich pokojach.

JULIUSZ

Powiedz proszę mojej matce żem przyjechał. Przygotuj mi pokój i znieś rzeczy.

SŁUŻĄCY

Pokój jest gotowy.... pan Hrabia spodziewał się Pana. —

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

A widać że się mnie spodziewał i bardzo... (*do służącego*) prowadź mnie więc...

(*Wychodzą*).

KONIEC AKTU PIĘKWSZEGO.

AKT DRUGI.

Salon wytwornie przybrany — duże drzwi w głębi — na prawo drzwi mniejsze, w nich portiera podniesiona, taż sama którą w pierwszym akcie widać było spuszczoną — na lewo i na przodzie sceny, kanapa, przed nią stół, kilka foteli, krzesła — dalej okno przystrojone kwiatami — po prawej stronie na przeciwko kanapy stolik do gry — rozmaite meble. —

SCENA I.

JULIUSZ, PANI MOLIŃSKA *).

JULIUSZ.

Mówisz więc matko, że to była...

P. MOLIŃSKA.

Niespodzianka, którą Edmund chciał zrobić żonie, wierz mi, że nic innego.

JULIUSZ

Niechże i tak będzie, lubo mi się to w głowie pomieścić nie chce, zwłaszcza widząc go podczas obiadu tak smutnym... zaszepionym... Dalibóg, trudno przypuszczać że o niespodziankach myśli, że chce przypodobania się żonie tak go zaślepia i ogłusza, że nie poznaje szwagra, nie słyszy wołania... Otoż mówiąc po prostu, zdaje mi się, że Edmund zmienił się bardzo, przez te dwa lata com był za granicą.

P. MOLIŃSKA.

Być może, ale dzięki Bogu, nie zmienił się dla Zosi.

JULIUSZ.

Bardzo mi rad, że to słyszę od ciebie kochana matko, bo wyznam ci szczerze, że sądząc po zimnych żonie odpowiedziach, właśnie kiedy ona za tę, skoro tak już jest, niespodziankę, tak wdzięczną mu była, miałbym inaczej...

P. MOLIŃSKA.

I byłbyś się pomylił Juliuszu. Zaręczam ci, że od

*) W tym akcie damy w eleganckich toaletach, mężczyźni we frakach.

czterech lat jak się pobrali, Edmund zawsze równie dla żony uprzedzający, troskliwy, pełen dobroci, słowem zawsze równie kocha Zosię. Co do humoru, to zgadzam się z tobą, widzę w nim także zmianę. Zdaje mi się że trochę spowaźniał, ale dodać muszę, że od roku jak mieszkam z nimi pierwszy raz dopiero widzę go tak ponurym i zamyślonym.

JULIUSZ

A niedomyśla się Mama, jaka może być tego przyczyna?

P. MOLIŃSKA

Owszem, mówił mi dzisiaj. Ma ważny interes w którym o część majątku idzie... Ale wracając się jeszcze do tego co cię tak mocno zadziwiło, trzeba ci wiedzieć że Irena...

JULIUSZ (*przerywając*)

Przepraszam, że ci przerywam Matko, ale miałem właśnie mówić o Irenie. Jakżeż ona pięknie się rozwija!... jak wyładniała!... tylko zdawała mi także jakaś nie swoja... jakby w gorączce...

P. MOLIŃSKA

Bo nie jest zdrowa mój synu. Wiesz że przed trzema laty odebrawszy ją z pensyi, bawiłam jakiś czas we Włoszech, gdyż zdawało mi się, że cierpi na piersi. Wróciłam spokojna i pewna, że włoski klimat zupełnie ją wyleczył, ale teraz przekonywam się, że tak nie jest, że zaród choroby musiał pozostać. Dzisiaj szczególnie stan jej mnie zatrwożył; kaszlała bardzo i w rzeczy samej ciągle ma gorączkę. Długo nie chciałam zezwolić też na ten konny spacer, ale nieszczęściem Irena jest tak gwałtowna... uparła się... Edmund jeden ma nad nią przewagę... i to dosyć tłómaczy jego pośpiech — bo on bardzo ją lubi i czuwa nad jej zdrowiem... wiedział, że pojechały z Zenowiczem...

JULIUSZ

Ale... ale... któż jest ten Zenowicz... ten pan Leon?... trochę jowialny... ale z resztą wesoły i grzeczny chłopiec...

P. MOLIŃSKA

W istocie dosyć przyjemny — ale bardzo roztrzepany, jeśli nie lekkomyślny. Powrócił nie dawno z Pa-

ryża, gdzie był członkiem Żokej - Klubu. Sprowadził konie angielskie i o niczem nie marzy jak o gonitwach. Edmund znał go w Paryżu, spotkał w Warszawie i zaprosił do siebie. Bawi tu już od miesiąca i jak ci mówię, podobał nam się, towarzystwo jego miłe, szkoda tylko, że czasem lwa udaje... Zdawało mi się nawet nieraz, że nadskakuje Ireni...

JULIUSZ

Ireni?... to dziwna, przy obiedzie ciągle coś szeptał do Zosi... Lecz słyszę że ktoś nadchodzi... przejdźmy się trochę po ogrodzie za nim dadzą herbatę. Będziemy mogli dalej rozmawiać bez świadków.

P. MOLIŃSKA

Bardzo chętnie.

(Irena wbiega z prawej strony).

SCENA II.

OJŚ SAMI, IRENA. *)

JULIUSZ.

Biegasz Ireno?... widać że cię spacer nie zmęczył.

IRENA *(zadyszana)*.

Zawsze tak biegam... to już mój zwyczaj...

P. MOLIŃSKA.

Idziemy do ogrodu... czy nie pójdziesz z nami?

IRENA.

Nie mam, wolę zostać... poczekam tu na was.

JULIUSZ

Dobrze siostrzyczko, rób jak ci się podoba...

(Wychodzi z matką przez drzwi główne)

SCENA III.

IRENA, *(sama)*

Tak... biegnę... bo ten pokój strachem mnie przeraża... dreszcz po żyłach przebiega na samo wspomnienie!... Tam słyszałam wyrazy, które zapomnieć pragnę... a dźwięk ich w uszach pozostał mi na wie-

*) P. Molińska, Juliusz, Irena.

ki, jak echo cierpień mego serca... marzeń całego roku!... Jakże często kołysała mnie niebiańska tych wyrazów harmonia... którą przeczuałem nie znając jej nigdy... Nigdy!... Edmundzie!... Edmundzie!... jakież życie pędzić będziemy oboje! (*kasze*) O dobrze... dobrze... lepsza śmierć... lepszy koniec... niżli takie męki! (*po chwili*) Muszę stronić od ciebie... bo obecność twoja mnie zabija.... myśl o tobie mnie pali... powinnam więc unikać... Unikać?... gdy się kocha, gdy się jest kochaną (*z egzaltacją*) O Boże jakież los biednej zgotowałeś kobiecie! wymagasz takiej po niej siły, a wlałeś tyle miłości w jej serce! Czyliż niewinność ma życiem boleści przypłacić? O nie... nie... to być nie może... Ty nie mogłeś nieszczęścia dać mi w przeznaczeniu!... Edmundzie!... (*zamysłła się*)
(*Leon wchodzi z cygarem w rękę i zatrzymuje się w głębi sceny*)

SCENA IV.

IRENA, LEON.

LEON (*do siebie w głębi*)

Panna Irena?... sama?... a to wybornie... obaczmy jakie wrażenie sprawi na niej moja obecność... un petit tête à tête... dowiem się jak daleko zaszedłem (*z zarozumiałością*) żeby tylko nie za daleko!... (*głośno przybliżając się*) Pani... jakżem szczęśliwy...

IRENA (*przestraszona*)

Ah! (*przychodząc do siebie*) Aha to pan...

LEON (*na stronie*)

Otóż jest!... (*głośno*) Przepraszam Panią jeżeli przerwałem dumanie...

IRENA (*spokojnie*)

Bynajmniej — poruszenie moje było mimowolne... przeleżałam się nieco... ciemnić się już zaczyna (*z melancholią*) Ale mówiłeś Pan, że jesteś szczęśliwy... bardzo mię to cieszy... czy można bez niedelikatności wiedzieć co go uszczęśliwia?

LEON (*na stronie*)

Nie boi się wcale!... (*głośno*) Sposobność że mogę mówić z tobą Pani...

IRENA (*przerwywając*)

Ależ zdaje mi się, (*z przyciskiem*) że to szczęście, (*z uśmiechem*) a pozwól sobie Pan powiedzieć, że profanujesz ten wyraz, że więc to szczęście spotyka Pana zbyt często, abyś mógł do niego jakąkolwiek przywiązywać wagę.

LEON (*na stronie*)

Cóż to za dziwny ton? (*głośno*) Chciałażbyś mi Pani ubliżać do tego stopnia, i wątpić, że wielką przywiązując cenę do każdej szczęśliwej sposobności, tak jest szczęśliwej, w której mogę z nią rozmawiać...

IRENA (*podrywając*)

Rozmawiać?... rozmowy są tak różne.

LEON.

Nie prawda?... w życiu na wsi, familijnem, gdzie się ciągle jest razem, tyle jest zawsze zajmujących na pozór, chociaż drobnych rzeczy, o których się mówi, nieporuszając myśli ważniejszych, co częstokroć zajmują całą duszę naszą, a trudne do wypowiedzenia...

IRENA (*zamyślona*)

O to prawda!... Ale czy nie znajdujesz Pan że w takim właśnie usposobieniu nie ma większej męczarni, jak owe ciche rozmowy?

LEON (*do siebie*)

Baczność! (*głośno, zbliżając się*) A czy wolno się Pani spytać jakie jest jej usposobienie w tej chwili?

IRENA

Widzisz Pan że wyborne, kiedy tu rozprawiam a siostra czeka na mnie. Właśnie miałam wychodzić... wybacz więc Pan, że go samego zostawić muszę... (*klania się i odchodzi przez drzwi w głębi*)

LEON (*klaniając się*)

Proszę, proszę, lubo mi bardzo przykro...

SCENA V. *)

LEON (*sam*).

(*Idąc ku drzwiom*) Czyli raczej bardzo się cieszę... (*wracając*) bo jeśli się nie mylę to żartuje sobie ze mnie

*) Pod czas tej sceny ściemnia się coraz bardziej.

po prostu... nie była jednak w różowym humorze... Ale cóż mnie to szkodzi!... Jeżeli tak jest, to jeszcze lepiej!... Nie ma co mówić ładna dziewczyna, chociaż dzisiaj... (*sposstrzegając cygaro*) Cóż to jest?... a do licha... cygaro!... dobrze że go niespostrzegła (*wyrzuca cygaro przez okno*) Jaki ja też roztrzepany! (*wracając*) Ależ bo doprawdy jest czego?... Niech mnie diabli porwą, jeżeli aby trochę rozumiem co się to ma znaczyć?... I chciałbym was widzieć prześwietni członkowie klubu do którego mam zaszczyt należeć, chciałbym was widzieć na mojem miejscu! Pytam was: Zalecam się Hrabinie — No, to bardzo naturalnie... powiecie. . Zgoda niech i tak będzie... chociaż to nie tak łatwo jak naturalnie... ale to moja rzecz. — Dla lepszego pozoru udaję zakochanego w İrenie — to jeszcze naturalniej, zawołacie — Być może, chociaż nie zabawnie... bo jestem wyśmiany... ale to moja rzecz — Teraz jakąż rolę gra w tem wszystkiem Hrabia? małżonek? — Zależy od ciebie odpowiedzieć... udajesz dobrze to nie... udajesz źle, to będzie zazdrośny. — Otóż właśnie o kogo?... Naturalnie o żonę — Moje biedne sportsmeny, żal mi was dalibóg, z całym waszém doświadczeniem niezgadlibyście nigdy... Hrabia jest podwójnie zazdrośny... podwójnie, rozumiecie... zazdrośny zapamiętałe... jak kot, jak tygrys... nie wiem jak to już nazwać: mówisz z jedną, już słucha... zbliżysz się do drugiej, on tuż... gdyby nie kochał żony to bym jeszcze rozumiał... ale ją kocha... (*idąc do okna*) Słowo honoru, gdybym go nie znał, o bigamią bym go posądził. (*patrzy przez okno*) O wilku mowa a wilk tu... radzi coś z Piotrem... O ty podwójny Otelu!... dajesz mi się we znaki... Cóż tam Piotr niesie? nie mogę rozpoznać... już się zmierzchno... podobnoś płaszcz, kuferek podróżny... zapewne ktoś wyjeżdża... (*wraca na scenę*) Tak, tak... dziś na przykład, na tym spacerze, który mi tak popsuł... bo mi go popsuł do szczeru ten przekłety Edmund — każe się prosić... odmawia... potem nagle przylatuje... jakby go czarci nieśli... a jak przyjechał adieu plaisir!... Pędzi galopem... wali szczupaki, to znowu osadza, sam nie wie czego chce od konia... Ot, porzucę ten pałac bo mnie to wszystko strasznie nudzić zaczyna ...

(wraca do okna. — Służący przynosi lampę i dwie świece — stawia lampę na stole przed kanapą, a świece na stoliku od gry).

SCENA VI.

LEON, SŁUŻĄCY.

LEON *(przy oknie)*

Janie, rychło tam będzie herbata?

SŁUŻĄCY

Zaraz Panie.

LEON

Ależ nie ma nikogo?... gdzież państwo poszli?

SŁUŻĄCY

Są przed pałacem... pewnie tu zaraz przyjdą...
(wychodzi)

SCENA VII.

LEON, później JULIUSZ i P. MOLIŃSKA

LEON, *(sam, ziewa wyglądając ciągle oknem)*

O nudzę się potężnie!... trzeba jednak jeszcze parę dni posiedzieć... bo ta hrabina bardzo powabna dalebóg... trzyma mnie wyznając... zresztą głupio byłoby wyjechać jak student...

(p. Molińska wchodzi z Juliuszem)

P. MOLIŃSKA

Jakto? sam tutaj pan Leon?

LEON

Jak Pani widzisz.

JULIUSZ

To mój przyjazd zapewne jest tego powodem. Zofia zapomina obowiązków gospodyni. Przepraszam Pana, że moja rodzina wyłącznie mną dzisiaj zajęta...

LEON

Nie ma istotnie za co... dopiero co wszedłem tutaj.
(z uśmiechem wymuszonym) a wreszcie lubię dosyć samotność.

P. MOLIŃSKA.

Pan lubisz samotność? a to coś nowego!

JULIUSZ

Zdaje mi się, że pan Zenowicz dowodzi tego bawiąc

w domu Edmunda. W przeciwnym razie jakież powab takie życie jak nasze, mogłoby mieć dla człowieka z wielkiego świata, przyzwyczajonego do zabaw...

LEON

Żartujesz Pan ze mnie... nigdy nie bawiłem się lepiej, jak w domu państwa (*rozmawiają dalej przy oknie— Służący wnoszą herbatę, ustawiają przed kanapą, kładą dwie talie kart na stoliku, wychodzą.— Pod ten czas weszła Irena.*)

SCENA VIII.

LEON JULIUSZ, przy oknie, P. MOLIŃSKA, IRENA, na przodzie sceny.

P. MOLIŃSKA

Ireniu, gdzie Zosia? herbatę przynieśli, trzeba postać po nią.

IRENA

Kiedy niewiem gdzie się podziała.

LEON (*na stronie*)

Doprawdy?...

P. MOLIŃSKA

Więc nie od niej przychodzisz?

IRENA

Nie mam.

LEON (*na stronie*)

Domyslałem się tego.

(*Zofia wchodzi*)

SCENA IX.

CIŻ SAMI, ZOFIA *)

ZOFIA (*idąc do stołu gdzie zastawiona herbata*)

Wybaczyć mi państwo, że niemogłam przyjść prędzej. Musiałam wyszukać Edmundowi ważnych papierów, które były u mnie a których pilno potrzebował. (*nalewa herbatę*) Biedny Edmund, chciał mi zrobić przyjemność a teraz musi pracować — prosi aby na niego nie czekać. Siadajcież proszę, herbata nalana.

*) Leon, Juliusz, Zofia, p. Molińska, Irena.

P. MOLIŃSKA

Siadaj na kanapie Ireno, bo musisz być zmęczona.

(*siadając na kanapie*)

ZOFIA (*wskazując na krzesło między nią i Ireną*)

Siadaj Juliuszu.

JULIUSZ (*wskazując Leonowi to samo miejsce*)

Proszę Pana.

LEON

Dziękuję (*na stronie*) pocziwy chłopiec! (*siada między siostrami*).

JULIUSZ *) (*siadając po drugiej stronie Zofii*).

A ja między tobą i Edmundem, wszak przyjdzie?

ZOFIA

Przyjdzie niebawem.

LEON (*do Zofii*)

Wyborna herbata!

JULIUSZ (*do Leona*)

Czytałeś Pan dzisiaj Pressę?

LEON

Przejrzałem politykę: zawsze ta sama piosnka: la paix à tout prix. Ale w felletonie był rozbiór dramatu przedstawionego w teatrze historycznym paryzkim.

P. MOLIŃSKA

Czy jaka nowa sztuka?

LEON

Nie pani, tłómaczona z Szyllera: Intryga i Miłość.

ZOFIA

Nieznam jój — czy to dramat efektowy?

JULIUSZ

Pod względem układu nie może się równać z dzisiejszemi francuzkiemi dramatami... Czytałem go w oryginale, jest to po prostu, obraz namiętności i nie więcej.

LEON

Tak, zdaje się, nie ma nadzwyczajnych wypadków, ani mordów, ani tortur...

P. MOLIŃSKA

Wolę sto razy taką sztukę, niżeli te dzisiejsze, przepelnione zjawiskami i zbrodniami. Kiedy się ich słucha

*) P. Molińska, Irena, Leon, Zofia, Juliusz.

włosy prawda stają na głowie, ale nie uzacnia się przez to natura dramatu.

JULIUSZ

Niezgadzam się na to zdanie. Zbyt wielkie ubieganie się za wywołaniem wrażeń jest szkodliwe, zapewne; ale co do mnie, lubię widzieć wielki charakter rozwinięty w niezwykłych wypadkach; olbrzymie czyny wśród wielkich wstrząśnień i katastrof mają wyznaję niezmierny dla mnie urok. Jakoś łatwiej mi potem patrzeć na życie codzienne, gdzie sama proza i jaka proza!...

IRENA (*zapominając się*)

O jakżeś niesprawiedliwy dla życia Juliuszu!

JULIUSZ

Rozumiem cię Ireno, w twoim wieku żyje się wyobraźnią, poezją: szczęśliwe lata w których człowiek nie spotkał się jeszcze z rzeczywistością!

ZOFIA

A jeżeli rzeczywistość równie piękna jak ideał — cóż powiesz na to mój bracie?

JULIUSZ

Dla ciebie także nie mam odpowiedzi, (*Hrabia wchodzi*) jedném słowem: Oto Edmund! zamknęłabyś mi usta, nieprawdaż?...

SCENA X.

CIŻ SAMI, HRABIA

HRABIA (*zbliżając się*)

Przepraszam, ale...

JULIUSZ (*przerywa*)

Twoja żona już cię wytłumaczyła, siadaj tylko.

(*Hrabia siada obok Juliusza **)

ZOFIA (*podając filiżankę*)

A oto masz herbatę...

HRABIA

Dziękuję ci.

*) P. Molińska, Irena, Leon, Zofia, Juliusz, Hrabia.

LEON

Jak wypijesz kochany Hrabio, pogodzis nas może w kwestyi, która jest na stole.

HRABIA

Aha — jest jakaś kwestya? *(do siebie)* Znów przy niej!...

LEON

Tak jest: przedmiot do niej podał dramat prosty Szyllera: czy wolisz dramat efektowy?

HRABIA *(pijąc herbatę)*

Co nazywasz sztuką efektową?

LEON

Dramaty w modzie, pełne obrazów, niepodobieństw, gwałtów, rzeczy niesłychanych, okropnych... słowem dramat kolosalny.

HRABIA

Jeżeli tak, to wolę nieskończenie sztukę, w której autor bada serce ludzkie, a wdaruje się aż do głębi, wyświeca najskrytsze uczucia, odkrywa niepojęte sprzeczności, żądze złe i dobre składające jego istotę... wolę taki dramat wewnętrzny...

(Leon rozmawia z Ireną).

JULIUSZ

Ależ namiętność, bo widzę że ją przypuszczasz, namiętność z trudnością może się rozwinąć w życiu rodzinnem, zwyczajnem, obranem z wypadków... to zacieśne dla niej pole...

HRABIA *(zapalając się)*

Za ciasne pole? jak to, więc życie człowieka spokojne na pozor, ale w którego sercu namiętność palące i niszczące wzniciła uczucia, życie w którym rzeczywistość niezwykła stawiała zapory, a fatalność ciągnie w przepaść mogącą pochłonąć sumienie, honor, obowiązki... jakto, więc życie takie, to zacieśne dla dramatu pole?... *(coraz z większym zapalem)* Lub gdy namiętność wplecie go w koło zakłętę najsprzecznieszych uczuć, z których wydobyć się nie może, tylko przez podłość lub zbrodnię... *(miarkując się)* i jeszcze by wiele innych znaleźć można wypadków w zwyczajnem pożyciu, w których serce człowieka ciekawy przedstawia widok... czy sądzisz, że taki dramat na scenie niesprawiłby wrażenia?...

(Leon rozmawia ciągle z Ireną, która się wydaje bardzo być nim zajętą).

ZOFIA

Ireniu, nie uważasz jaki Edmund wymowny, z jakim ogniem dowodzi?

JULIUSZ *(z uśmiechem)*

Widzę kochany szwagrze, żeś zawsze równie egzaltowany, zawsze poetyczny jak w chwili gdy cię poznał. I zapewne masz słuszność, jeśli przypuścimy takie położenie... Ale w życiu zwyczajnem bardzo ono rzadkie... prawie niepodobne...

HRABIA

Tak sądzisz?... Być może... *(do siebie, spojrzawszy na Leona jak pierwszej zajętego Ireną)* Ciągle z nią rozmawia!

JULIUSZ

A cóż Pan mówisz na to panie Zenowicz?...

LEON *(zwracając się nagle)*

Ja?... o ja sędzę o sztuce dopiero gdy się skończy. *(cicho nachylając się ku Irenie)* To mnie zagadł, nie wiem o co chodzi!...

HRABIA *(na stronie)*

Jakże się nachyla... i szepce... co za męki cierpię!...

ZOFIA

Wypijesz może drugą filiżankę Edmundzie?

HRABIA

Nie, dziękuję ci.

IRENA

To ja cię o nią proszę.

(Leon jej podaje)

HRABIA *(na stronie)*

Nie... to się skończyć musi... dłużej patrzeć nie mogę... *(głośno)* Leonie, będziesz grał dzisiaj?... mam wielką ochotę zrobić partya maryasza...

LEON

Hrabio, jesteś niezmordowany... pracowałeś... zamiast sobie wypocząć... kreślisz obraz jednej namiętności, i znów chcesz walczyć z drugą?...

HRABIA *(wstając)*

Chodź, zrobimy trzy pule na więcej czasu nie mam. Nie możesz mi odmówić boś mi winien rewanż *(idzie do stolika i rozwija karty)*

LEON (*wstając*)

Prawda, prawda (*siada*): Ale zapomniałem państwu powiedzieć rzecz najlepszą... krytyk zdając sprawę z tego dramatu ubolewa, że tłumaczenie nie jest wierszem napisane tak jak oryginał... *)

JULIUSZ

A to pocieszna historia!... więc nie czytał Szyllera?...

LEON

Gdyby się był choć książkę przypatrzył, jeżeli po niemiecku nie umie... byłby widział że prozą napisane... Otóż to sąd francuzów o literaturze niemieckiej a krytyk znany autor i dowcipny człowiek...

HRABIA (*siedząc przy stoliku*)

No cóż? nie przyjdiesz Leonie?...

LEON (*wstaje i idzie do stolika*)

Wiesz, że gdyby nie rewanz i że bym nie grał dzisiaj. (*siadając*) Tak mi tam dobrze było. (*Służący wchodzi i zabiera herbatę*) Po czemuż gramy? Czy jak zwyczajnie?

HRABIA **)

Nie — bo jestem przegrany — a chcę się odegrać.

LEON

Nie słuszniejszego — po czemu więc?

HRABIA

Sto rubli.

LEON

Zgoda.

(*Grają — Służący wychodzi — kobiety biorą roboty — wychwyszy Irenę*)

JULIUSZ

Już to ciebie Zosiu się nie spytam bo wiem naprzód że tak myślisz jak Edmund... ale ty Ireno nie powiedziałas nam wcale zdania twego o dramacie?...

IRENA

I ja także zgadzam się z Ed... z moim szwagrem..

HRABIA (*na stronie*)

Z jój szwagrem!...

LEON

Z czterdziestu i panfil zadany... a więc moja dograna... nie masz szczęścia Hrabio!

*) Felleton *la Presse* z 14 czerwca 1847.

**) Przy kanapie: p. Molińska, Irena, Zofia, Juliusz. — Przy stoliku: Leon, Hrabia.

HRABIA

Na ciebie dawać karty.

IP. MOLINSKA

Więc sama jedna namiętność wystarczyła Szyllerowi na treść do dramatu?

JULIUSZ

Tak jest moja matko, jedna i do tego jak to mówią mieszczańska, w zapasach z intrygą...

LEON (*niecierpliwie*)

Zapominasz dwudziestu marysza Hrabio!

ZOFIA

I jakież rozwiązanie sztuki?

JULIUSZ

Kończy się śmiercią kochanków (*śmiejąc się*) ale panie Zenowicz, te panie pytają się o koniec sztuki — to do Pana należy...

LEON

Sześćdziesiąt i dubla. (*do dam*) Tak jest moje panie, kończy się śmiercią, prostem otruciem... szklanką wody... czy tam limonady...

JULIUSZ

Przepraszam... otrucie jest podwójne...

LEON (*do Juliusza*)

Prawda, masz Pan racyę... podzielili się napojem podobno... (*do Hrabiego*) Żadajesz?

HRABIA

Ze dwudziestu.

IRENA

Mówisz bracie, że Szyller kończy swój dramat śmiercią... czyż może być inne rozwiązanie dramatu?

JULIUSZ

To jak do dramatu.

LEON (*tasuje karty*)

Znów przegrałeś Hrabio! (*do dam*) Bez wątpienia moje panie, są inne sposoby...

IRENA

Inne? jakież panie Leonie?

LEON

Rozstanie się... odjazd na przykład (*do Hrabiego*) zapominasz znowu dwudziestu... tak wygrać nie sposób...

IRENA

Ale rozstanie się lub śmierć — czy to nie wszystko jedno?...

LEON (*do Ireny*)

O gdzież tam Pani! to całkiem co innego... (*do hrabiego*) o otóż i panfil... znów czterdzieści... a na honor niespodziewałem się wygrać drugiej puli...

HRABIA

Ułóżmy więc trzecią inaczej, żeby była więcej zajmująca... idzie o sumę którąm przegrał do ciebie...

LEON

O pięćset rubli?...

HRABIA

Tak — quitte ou double!

LEON

Piękna gra... wiesz że nie cofam się nigdy!

JULIUSZ (*cicho do Zofii*)

Tysiąc rubli! Zosiu, czy Edmund zawsze tak wyśoko grywa?...

ZOFIA.

O nie — przynajmniej pierwszy raz widzę — ale mu nie śmiem mówić — on taki dziś dla mnie był dobry!... spróbuj ty Ireno...

(*Wchodzi służący*)

SCENA XI.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY (*przy drzwiach*)

Piotr chce się widzieć z Jaśnie Panem.

HRABIA (*na stronie*)

Bałwan! (*głośno*) Juliuszu, proszę cię zastąp mnie na chwilę.

JULIUSZ

Nie Edmundzie, gra jest za wysoka, przecież Piotr może czekać.

HRABIA (*wstaje*).

Przepraszam cię Leonie. (*idąc do Juliusza*) No no, zastąp że mnie, wrócę zaraz... może będziesz szczęśliwszy...

(*Wychodzi ze służącym — Juliusz siada na jego miejscu*)

SCENA XII.

P. MOLIŃSKA, IRENA, ZOFIA (*przy kanapie*),
LEON I JULIUSZ (*przy stoliku od gry*).

JULIUSZ (*grając*)

Nie lubię grać za kogo, zwłaszcza...

LEON (*przerywając*)

Graj Pan śmiało, zaręczam, że wygrasz prędzej jak on, okropnie dziś roztargniony... (*cicho*) Nie karty jemu w głowie, jakaś tam grubsza stawka być musi (*głośno*) ze dwudziestu (*cicho*) domyślam się, że się musiał w jakąś spekulację diabelnie zapłacić...

JULIUSZ

Być może.

P. MOLIŃSKA (*do Ireny która kaszle*)

Kaszlesz wciąż Ireno, i masz taką gorączkę... czy cierpisz?

IRENA

Nie mam, tylko jestem bardzo osłabiona.

ZOFIA

To pojdźmy już do siebie.

JULIUSZ

Zaczekajcie chwilkę proszę, aż skończę tę pulę...

LEON

Zaraz podobno będzie koniec... otoż czterdzieści, a ostatnia przy mnie.

(*Hrabia wchodzi*)

SCENA XIII.

CIŻ SAMI, HRABIA

ZOFIA

Edmundzie czegoż Piotr chciał od ciebie?

HRABIA (*przybliżając się*)

Dziś w nocy wysyłam go do Warszawy, przyszedł po listy.

LEON (*cicho do Juliusza*).

A cóż nie mówiłem?

JULIUSZ (*cicho*)

Zapewne. (*głośno*) Masz pan ogromne szczęście — otóż i trzecią wygrałeś pulę...

(*Wstaje — p. Mołińska przybliża się do niego — i mówi po cichu*).

ZOFIA *) (*do Hrabiego*)

Odchodzimy już mój drogi. Irena jest bardzo cierpiąca.

HRABIA

Doprawdy? (*na stronie*) O mój Boże... odchodzi... ostatnia to chwila...

LEON (*zbliżając się do Hrabiego*)

Przepraszam cię... istotnie szalona mi szły karty...

HRABIA **) (*przechodząc ku Irenie która wstaje*.)

Alboż to twoja wina...

LEON

Zapewne prędkiej twoja...

HRABIA (*cicho do Ireny*)

Nigdy?... więc żegnam cię... na zawsze!...

(*w chwili kiedy Hrabia nachyla się ku Irenie, Zofia upuszcza chustkę po stronie Hrabiego, Leon stojący przy niej schyla się, podnosi i oddaje*).

ZOFIA

Dziękuję Panu.

LEON (*na stronie*).

Co znaczy to pożegnanie?

ZOFIA (*do Ireny która się chwieje i opiera na kanapie*)
Ireno? co ci jest? pobladłaś... czy ci słabo?...

IRENA (*stłumionym głosem*)

Słabo mi... bardzo słabo...

(*Leon idzie do stolika gry p. Mołińska i Juliusz się zbliżają*)

ZOFIA ***)

Podajże rękę Ireni, Edmundzie.

IRENA

Nie to nie... już mi lepiej, pójdę sama... wybacz-

*) Irena, Zofia, Hrabia, Leon, P. Mołińska, Juliusz.

**) Irena, Hrabia, Zofia, Leon, p. Mołińska, Juliusz.

***) Hrabia, Zofia, p. Mołińska, Irena, Juliusz, Leon.

cie mi... (*do Hrabiego*) Dobra noc (*przechodząc koło Juliusza podaje mu rękę*) Dobra noc ci Juliuszu!

JULIUSZ

Śpij spokojnie droga siostró.

P. MOLINŚKA, ZOFIA, IRENA, (*razem*)

Dobra noc, panie Leonie.

LEON

Nawzajem paniom życzę. (*kłania się*)

(*Wychodzą na prawo — za nimi Hrabia*)

SCENA XIV.

JULIUSZ, LEON, *potem* HRABIA

JULIUSZ

Zdrowie mojej siostry, trochę mnie niepokoi.

LEON

To zapewne jakieś chwilowe osłabienie...

(*Hrabia wraca*)

JULIUSZ *) (*do Hrabiego*)

No cóż?

HRABIA

O! minęło zupełnie... ale już dziesiąta godzina... ty musisz być strudzony Juliuszu udasz się pewnie na spoczynek... zaprowadzę cię...

JULIUSZ

Zapewne — położę się z ochotą — chociaż po drodze nigdy spać nie mogę — (*do Leona*) dobra noc Panu... czy pokoje nasze w sąsiedztwie?

LEON

Niewiem — mój pokój na pierwszym piętrze... nie-daleko Hrabiego...

HRABIA

Tak, a ty masz pokój na dole Juliuszu — Dobra noc więc Leonie... Ale, ale... dobrze żem sobie przypomniał... ponieważ nie idziemy razem na górę, przyslij mi proszę twego służącego tak za kwadrans, ... bo chcę ci przegraną odesłać...

LEON

Cóż znowu? dzisiaj jeszcze!

*) Juliusz, Hrabia, Leon.

HRABIA

Wolę dzisiaj.

LEON

Lub jutro ...

HRABIA

Nie, dzisiaj — nie lubię wiesz długów karcianych.

JULIUSZ

Nic piękniejszego... ależ w nocy...

HRABIA (*sposstrzega się*)

I to prawda... dobrze — więc do jutra Leonie.

LEON

Do jutra — to lepiej. Dobra noc Panom. (*idzie ku drzwiom i wraca się*) Idźcie panowie proszę... muszę poszukać mego kapelusza...

(*Juliusz i Hrabia wychodzą głównymi drzwiami*)

SCENA XV.

LEON (*sam*)

Cóż to u diabła miało znaczyć, to... nigdy żegnamię cię na zawsze... Nie... nigdy na zawsze cię nie żegnamię... ale nie... powiedział: nigdy żegnamię cię na zawsze... i to zemdleńcie... i ten Piotr... i te podróżne przybory... które widziałem przypadkiem... i ta żona która nie wie co się święci... a wreszcie teraz to spieszne oddawanie długu... wszystko to intryguje mnie mocno!... wątpię dalibóg aby mi się spać chciało tej nocy... (*szuka po kątach*) Prawda... nie przyniosłem kapelusza, przyniosłem cygaro... (*wychodząc*) jaki ze mnie roztrzepaniec!...

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Apartament Hrabiego — drzwi w głębi — na lewo drzwi od sypialni otwarte — na przodzie sceny po prawej stronie duży stół do pisania — na nim paląca się świeca — pistolety leżą w otwartym pudełku — pudełko cygar — dalej na prawo okno — po lewej stro-

nie na przodzie sceny ażeśląg — dalej biórko otwarte — na niém druga świeca — przed stołem stoi fotel — drugi przy ażeślągu a na nim kapelus — kilka krzeseł tu i owdzie. —

SCENA I.

HRABIA *sam, ubrany po podróznemu w paletocie, stoi przed biurkiem, układa papiery i chowa do szufladek.*

Jeszcze to tylko i skończę... ktoś idzie!... (*słucha*) czy to Piotr? ... nie... zobaczmy (*bierze świecę otwiera drzwi i patrzy w kurytarz*) Nie ma nikogo... zdawało mi się... (*zamyka drzwi i stawia świecę na biurku*) o bo tak mi się w głowie mąci!... (*otwiera okno*) może mię powietrze ożywi... Obszedłem pałac... wszystko śpi jak zabite... tylko jeszcze w pokoju Juliusza światło... ależ on się niczego niedomyśla... i na dole nie usłyszeć nie może... (*smutnie*) ja tylko czuwam... ale cóż to za okropne czuwanie! Milcz szalone serce! milcz na Boga!... pracujmy... (*wraca do biurka i układa papiery*). No teraz wszystko jest na swoim miejscu (*z goryczą*) porządny ze mnie człowiek! (*zamyka biórko — stawia świecę na stole — klucz wrzuca w szufladę*). A jeszcze słów kilka napisać trzeba... byłbym zapomniał... (*siada — pisze — składa i adresuje*) Do pana Leona Zenowicza (*rzuca list*). Przecież... to już i wszystko... jestem gotów! O Boże... (*bije północ. — Wstaje*). Północ a Piotra jeszcze nie widać... zawsze taki akuratny... aha słyszę kroki (*słucha*) tym razem niemyłę się, to on...

(*wchodzi Piotr.*)

SCENA II.

PIOTR, HRABIA.

HRABIA.

A co? czy wszystko gotowe?

PIOTR.

Gotowe panie Hrabio.

HRABIA.

Nie spotkałeś nikogo?

PIOTR.

Nikogo panie. Wieczorem wyniosłem sam rzeczy i ukryłem je przy furtce w ogrodzie. Teraz byłem w stajni, i kazałem zaprządz kłusaka do doróżki, poczem powiedziałem że zajadę sam w umówione miejsce, bo pan Hrabia nie chce budzić nikogo w pałacu i sam się będzie powoził...

HRABIA.

Dobrze. Więc doróżka czeka?

PIOTR.

Czeka tam gdzie Pan kazał — można ją z tego okna zobaczyć. Przyśrubowałem kufer, przywiązałem konia do drzewa... a oto klucz od furtki...

HRABIA. (*biorąc klucz.*)

A nie ma nic zepsutego u powozu? zaraz zjadę z bi-tój drogi... łatwo może co pęknąć...

PIOTR.

Oglądałem starannie — doróżka mocna...

HRABIA.

Zapowiedziałeś Jakóbowi żeby miał konia gotowego — bo pojedziesz téj nocy do Warszawy?

PIOTR.

Kon mój gotów panie Hrabio.

HRABIA. (*zbliżając się do niego.*)

Teraz słuchaj mnie Piotrze. Pojedziesz prosto do Warszawy, bez wytechnienia. Czy masz tam kogo cobyś u niego mógł konia zostawić?

PIOTR.

Zostawię go w pańskiej stajni.

HRABIA. (*z żywością.*)

O nie — nikt w moim domu nie powinien wiedzieć, żeś przybył do miasta, rozumiesz? nie stawaj więc tam, i strzeż się aby cię kto z moich ludzi nie spotkał.

PIOTR.

Kiedy tak, to zaprowadzę konia do jednego ze znajomych — będzie miał o nim staranie.

HRABIA.

A umie on milczeć?

PIOTR.

Ufam mu jak sobie samemu.

HRABIA.

Zostaw więc konia u niego, i daj mu pieniędzy, później doniesiesz co ma z nim zrobić... ale jeszcze raz pytam, czy to człowiek pewny?

PIOTR.

Bądź pan Hrabia spokojny — milczy jak grób.

HRABIA.

Bo może byłoby lepiej żebyś go gdzie zostawił w jakiej austeryi... albo zsiadłszy puścił samego... mnie przedewszystkiem idzie o tajemnicę — rozumiesz?

PIOTR.

Rozumiem panie.

HRABIA.

Teraz uważaj (*bierze ze stołu pularę*). Tu masz paszport osobny dla siebie i tysiąc rubli. Jak się pozbędziesz konia, idź zaraz do jakiego fabrykanta powozów i kup kocz podróżny...

PIOTR.

Pański jeszcze prawie nowy, ten co jest w Warszawie.

HRABIA (*zniecierpliwiony*).

Cóż u stu katów zapomniłeś com ci mówił dopiero! że nie masz się pokazywać w moim domu... cóż więc czy nie pojmujesz, że o to właśnie idzie, aby nie wiadano, w którą stronę jadę... aby śladu nie było... i nie mógł nikt...

PIOTR.

Przepraszam pana Hrabiego — już wszystko rozumiem. Kupię powóz — najmę konie... i będę czekał... gdzie panie Hrabio?

HRABIA,

Otóż to... to... to... Będziesz mnie czekał na drugiej stacyi pocztowej na szosie do Kalisza.

PIOTR.

Dobrze panie.

HRABIA.

Tam czekaj póki nie nadjadę... zapewne jutro wieczór. A teraz jedź z Bogiem Piotrze... jedź natychmiast... pędź co koń wyskoczy — niech padnie mniejsza o to — Pamiętaj — pośpiech i mileczenie...

(Piotr wychodzi).

SCENA III.

HRABIA, (sam).

No, teraz na mnie kolój... dalej w drogę! — zdaje mi się załatwiłem wszystko... (*patrzy przez okno*) powóz czeka... jedźmy więc. (*smutnie*) O jakże to okropnie opuszczać rodzinne miejsce!... ten ogród w którym dziecinne lata przeskakałem... te drzewa które szumiały nad głową szalonego młodzieńca... podsłuchiwały westchnień... bywały świadkami szczęścia... O Zofio! ciebiez ja to porzucam? (*zakrywa twarz rękami*) Boże dodaj mi siły... Kiedyż powrócę w progi ojców moich?... nigdy może!... bywajcie mi zdrowe... bywaj zdrowa Zofio! odjeżdżam jak zbrodzień nie pożegnawszy ciebie... Ah to okropnie!... Zofio moja... biegnę w świat... przebacz mi... widzisz łzy moje... o przebacz... nie rzucaj potępienia na mą biedną głowę... przebacz mi, przebacz! wszak nie jestem podły ani wiarołomca... uciekam żeby nim nie zostać! (*chwila milczenia*).

A gdybym do niej napisał?... tak, muszę wszystko jej wyznać otwarcie, żeby poznała cały stan duszy mojej... Odkryję przed nią to dziwne niepojęte zjawisko, które serce moje na dwie rozrywa strony... może ona je pojmie... wytłómaczy... ona mnie tak kocha!... O ty przebaczysz mi Zofio... ty pojdziesz boleść moją... ty uwierzysz że nie sama jesteś ofiarą (*siada przy stole*).

Boże opuściłeś mnie... ulituj się nad żoną moją!... prowadź me pióro... niech wypowie co cierpię... żeby tak jasno jak ty czytała w mem sercu... (*plaszę*) prawdę wyznać muszę... najboleśniejszą prawdę... precz

z wahaniem...*(zrywa się)* Coż to za szelest...*(zwraca się do okna)* to Piotr może odjeżdża...*(patrzy)* Tak...to on... echo rozchodzi się po rosie... ale spieszymy, koń się niecierpliwi...gotów się urwać *(zamyka okno, siada i pisze)*. Tak będzie dobrze... nikogo prócz siebie nieobwiniam... *(gorzko)* obwiniam...mojaż to wina fatalność która na mnie ciąży...precz z tą myślą! *(czyta)* Muszę coś dodać jeszcze *(pisze)* skończyłem *(składa list)* na piśmie na adresie: „Do mojej żony...do niej *(z drżeniem)* do niej tylko...*(z rozpaczą)* A do niej?...czyliż nie jęj nie powiem?... nigdyż jęj niezobaczę?... nigdy nie usłyszę tego dźwięcznego głosu... nigdy już mnie nie owionie ta świeżość młodości — nigdy wzrok mój nie spocznie na tój pięknej, precudnej postaci *(porywa się)* O Boże wspieraj mnie bo upadam...*(z wysileniem)*. Muszę jechać...ona mnie nie kocha...odjazd mój jęj obojętny...tak zimno mnie pożegnała...tak uprzejmą była dla Leona... może go kocha... tak, ona go kocha... *(idzie po kapelusz)* pojedę... ucieknę...*(w szaleństwie)* nie widząc jęj...Nigdy! bądź zdrowa na zawsze!...*(kładzie kapelusz)* ratuj mnie Boże! Zofio!... *(biegnie do drzwi — otwiera — Irena w białej sukni i czarnej mantylli ukazuje się w kurytarzu. Na widok ten cofa się z krzykiem)*.

Ah! to ona! *(milczenie)* Ireno ty tutaj?... *(z radością)* kochasz mnie więc! o szczęście!... *(z trwogą)* Przez Boga! ona drży... chwieje się... upadnie... *(wybiega — porywa ją — i składa na szesłagu — klęka przy niej, całuje ręce, kapelusz spada na ziemię...)*.

SCENA IV.

IRENA, HRABIA.

HRABIA.

Ireno!... odpowiedz mi... odpowiedz na Boga!... ona umiera... Ireno!...

IRENA *(otwiera oczy, potem słabym głosem)*.

Edmundziè! porzucić mnie chciałeś!

HRABIA.

Ona żyje.... dzięki tobie o jakis ty dobry mój Boże... (*z miłością*) mów, mów jeszcze Ireno... niech się twym głosem napieszczę...

IRENA (*bez poruszenia*).

Edmundzie! bez pożegnania porzucić mnie chciałeś!

HRABIA (*z prośbą*).

Ireno... zaklinam cię, nieobwiniaj mię!... (*chwytając ją za rękę, Irena ją wyrывa i wskazuje aby usiadł na fotelu, Hrabia siada*). Czy sądzisz żebym potrafił przejść koło drzwi twoich... wierzaj mi... tam... tam, pomimo najsilniejszej woli zostałbym przykuty... ja cię musiałem zobaczyć...

IRENA (*nieruchoma, zimno*).

Edmundzie! więc na zawsze porzucić mnie chciałeś

HRABIA.

O litości! Ireno... zlituj się nademną... (*chce paść na kolana, Irena wstrzymuje go skinieniem*). Przysięgam ci, żebym nie był odjechał... u drzwi twoich byłbym wołał: Ireno... odjeżdżam... umieram... jeżeli mnie nie kochasz!... bo ja nie wiedziałem że mnie kochasz!...

IRENA (*wlepiając wzrok w Hrabiego*).

I skądże to czerpałeś siłę do tej próby... bo ja byłam gotowa na wszystko Edmundzie... ja myślałam o śmierci... samobójstwie... ale o rozstaniu?... ale... porzucić cię... nie widzieć ciebie więcej... o nie...nie... to dla mnie było niepodobnem!...

HRABIA (*w egzaltacji*).

O i ja także odjechać nie mogłem... nie byłbym odjechał — czuję to w głębi duszy — przysięgam ci Ireno! — Bo ty kochasz — wszak prawda? — kochasz mię, kiedyś przyszła tutaj — sama — w pośród nocy — kochasz mnie ale powiedz — powiedz mi to Ireno!

IRENA (*podnosząc się*).

Nie, ty wiedzieć nie możesz co się ze mną działo kiedy wyrzekłeś te słowa złowieszcze! — Uczułam w sercu zimno od ostrza sztyletu — potem wierzyć nie mo-

głam abyś był tak okrutny — zaspokoić się chciałam myśłą, że mnie kochasz, że kiedyś ja niezdolna odjechać i ty opuścić nie potrafisz Ireny — potem przyszły zwątpienia — męczarnie — O Boże! cóż cierpiałam! — Oh cierpień takich ty nigdy nie pojmiesz Edmundzie!...

HRABIA.

Mylisz się Ireno — mylisz się — i ja przebyłem katusze, na które słów w ludzkim zabraknie języku — ależ nie mówmy o tem — wszak kochasz mnie nieprawda? — o powiedz — powtórz stokroć razy — zaklinam cię (*pada na kolana, z ogniem*) wyrzeknij wyrok szczęścia Ireno — a skoro myśląc o nim myślałaś o śmierci — powiedz: kocham cię! — niech skonam u nóg twych z rozkoszy!

IRENA (*w obłąkaniu gorączkowem*).

Niechże więc i tak będzie... tak — Edmudzie — kocham cię — kocham — tak — ja to muszę powiedzieć — bo inaczej — ty — ty sam Edmundzie byś mnie potępił — za to że tu jestem — (*chwytając jego głowę w obie ręce i wpatruje się w niego namiętnie*) tak jest — kocham cię — kocham!...

HRABIA (*w zachwyceniu*).

Nieba!... co za szczęście!...

IRENA. (*spuszcza ręce i upada znowu na szesłąg*).

Nieszczęście! — wołaj raczej; — stokroć powtórz nieszczęście! — Edmundzie — powiedz teraz — będzieszże mógł odjechać?...

HRABIA (*gwałtownie*).

Co? — ja? — mam odjechać? — teraz — mam się rozstać z tobą? — Ireno gdy mnie kochasz — o nie! nigdy! my będziemy szczęśliwi!...

IRENA (*z goryczą*).

Shczęśliwi! my oboje!... my? Edmundzie czyliż nie wiesz że to być nie może?... przeciwnie, serca nasze będą łupem rozpaczy... nieszczęście nasze bliskie... zobaczysz! (*zapala się*) Świat się dowie że ja byłam tu... u ciebie — świat nierozumie miłości — świat nie pojmie że niemogłam przenieść na sobie aby cię niepożegnać —

że przeczekawszy godziny w tym zimnym kurytarzu przywlokłam się nareszcie drżąc — na pół żywa, aż tutaj, by się przekonać, czy los mój już spełniony (*wznosi oczy do Nieba z słodkim uśmiechem*) Dziękuję ci Boże; jeszcze ciebie zastałam! — Ależ świat czy uwierzy, że na twój widok — uległam pod wzruszeniem — upadłam pod szczęściem? — Nie, nie! ludzie temu nieuwierzą — nieuwierzą nigdy — (*zakrywa twarz rękami*) potępią — biedna ja kobieta!...

HRABIA (*w zachwycie*). "

Nie płacz, nie płacz droga Ireno — bo serce mi pęka... (*z obłąkaniem*) Co nas świat obchodzi... my musimy być szczęśliwi... (*zrywa się*) ukryjem się — tak — żyć będziemy dla siebie — tak, uciekajmy! — daleko — daleko — pójdź — pójdź Ireno... powóz czeka — śpiesz się! my musimy być szczęśliwi...

IRENA (*powstaje nagle*).

Uciekać! — uciekać z tobą Edmundzie!... (*odwraca się*) o zgrozo!...

HRABIA (*wskazując na okno*).

Patrz — przekonaj się — wszystko gotowe — przeznaczenie tak chciało — znikniemy bez śladu — oko ludzkie nas nie dosięże — ucho nie zasłyszysz — chodź — chodź Ireno — czyliż ze mną nie będziesz szczęśliwa?...

IRENA (*ze zgrozą*).

A Zofia Edmundzie? — moja siostra! — twoja żona!...

HRABIA (*z rozpaczą*).

A więc cóż? — więc wolisz oszukiwać ją tutaj? — bo Ireno miłość nasza bez granic — ty mnie kochasz a ja ciebie ubóstwiam (*z siłą*) Stało się! przepaść nas pochłonęła! — (*z przekonaniem*) Jeżeli zostaniem powiedziałaś Ireno — świat się dowie — potępi — przeklnie — (*pomału*) i rozłączy — Ireno! potrafisz żyć bezemnie?...

IRENA (*z boleścią*).

O nie — nie — wszak dla tego abyś mnie nie opuścił stłumiłam głos sumienia — opuściłam matkę — rozłączyć się nie mogę — wolę śmierć!...

HRABIA.

I czegoż się więc wahasz?... (*porywa ją za rękę*) Chodź błagam cię— chodź bo czas ucieka...

IRENA (*opierając się*).

Uciekać!... o ja nieszczęśliwa!... (*wyrywa się i pada na szesłąg z wysileniem*). Nie! nie! nie pójdę!...

HRABIA (*z wściekłością*).

Nie pójdiesz?... Ireno!... pragniesz więc żebym padł trupem w twoich oczach? Cóż? nie? — raz jeszcze wyrzeknij to słowo — a jeżeli natura cios wytrzymać zdoła — to przysięgam na piekło że ta broń... (*idzie do stołu*).

IRENA (*zrywając się biegnie ku niemu*)

Edmundzie! Edmundzie! (*pada w jego objęcia*) Ja cię kocham (*słabym głosem*) pójdę gdzie rozkażesz...

HRABIA (*z radością*).

Pójdź!... pójdź!... kochanko moja... a jeżeli świat nie dość wielki żeby nas mógł zrozumieć — to przynajmniej dość obszerny aby nas ukryć zdołał... (*podnosi kapelusz*)

IRENA.

Boże! jeżeli jestem występną, to czemuż taką miłość wlałeś w piersi moje!

HRABIA (*ciągnie ją*).

Uciekajmy, uciekajmy Ireno! (*na stronie ponurym głosem*) Żono, przebacz mi!

IRENA (*odchodząc, na stronie*).

Zofio, nieprzeklinaj mnie!

(*wychodzą głównemi drzwiami, które były otwarte i udają się w lewą stronę. Po chwili z prawej strony ukazuje się na kurytarzu Leon w pokojowej czapeczce, rannym ubierze, bonżurku, tureckich spodniach i pantoflach haftowanych. Staje we drzwiach, patrzy w stronę w którą poszli Hrabia z Ireną — poczem wpada na scenę, śmiejąc się do rozpuku*).

SCENA V.

LEON. (*sam*).

Ha, ha, ha, ha, ha, ha, coż to za wyborna historia! ho, ho, ho, ho, ho, ho, a to łotr! hi, hi, hi, hi, hi, bravo! a to odegrał rolę... warto mu pomnik za tę sztukę wystawić! Otóż i rozwiązana zagadka (*śmieje się*) to sławne na honor! Żegnam cię na zawsze — znaczy o północy... Piotr — znaczy powóz... a ślepotą żony znaczy — znaczy — ha, ha, ha, mniejsza o to, jak się to nazywa po prostu... Ale coż to za mistrz z tego Edmunda — dalibóg Żokej klub mógłby się nim szczyścić — wszak to jeniałny człowiek!... Ależ też w nim Irena rozkochana na zabój! (*idzie do drzwi*) Nic nie słychać, musieli iść do ogrodu może ich zobaczę oknem (*otwiera na pół okno i patrzy*). Nie myślę się, to oni — idą do małej furtki — myślałem o niej często — ba i doróżka czeka?... no i coż naturalnie — spacer — ale prawda, prawda słyszałem wyraźnie jak mówili, uciekajmy! wychodząc... Więc to nie schadzka panie, to nie spacer, tylko po prostu wykradzenie! — A to Don Juan ten Hrabia... Oto otwiera furtkę — niezapomniał klucza chociaż, jak to mówią, na złodzieju czapka gore... Wsiadają — noc im nawet sprzyja bo dość jasno aby nie wywrócić a nie dość znów żeby być poznanym... Rüşzają klusem — ale coż kiedy w doróźnie jednokonnej — pfe — uwozić kobietę w doróźnie — i kobietę comme il faut! na to trzeba odwagi — przyznaję... Jadą ku Dębinie — (*żegna ich ręką*) Adieu — bądźcie zdrowi — szczęśliwej podróży... (*wraca na scenę*)

Teraz nie żałuję bynajmniej żem się spać nie położył, i czekał tak długo ukryty w kurytarzu, bo do prawdy nie łatwo się wydarzy tak wyborną wypatrzyć intrygę. A co najlepsza w tem wszystkim, że mąż ustępuje mi z placu, i zostawia na swoim miejscu (*wskazuje fotel*) a jeszcze i cygar zostawił (*idzie do stolika i bierze cygaro*) uprzedzający małżonek na honor (*zapala cygaro*) prawdziwie z Hawany!... (*siada w fotelu*) Przednio mi tu siedzieć dalibóg. (*pali*) Pomyślmy co to będzie jutro jak się dowiedzą (*śmiejąc się*) A to dopiero niespodzianka — za nie dzisiaj — już to widocznie on lubi robić żonie

miespodzianki — *(pali)* Bądź co bądź kiedy już nie będę miał Otella przy boku *(z przesadą)* kiedy Otello stał się niewdzięcznikiem, zdrajcą, wiarołomcą, będę mógł raz zająć się Desdemoną *(pali)*. . . Hola, to nie idzie, — loika i sport oto podstawy młodego człowieka, a w tem niema loiki, rozważmy lepiej. *(pali)* Jeśli udam że nie wiem, wypadnie jakoś zaraz wyjechać, a tu nie o to idzie! djabliż potem!.. A choćbym został na nicby się nie zdało, bo jakże się zalecać kobiecie w takiej chwili, kiedy spazmy, rozpacze itd. itd. *(pali)* Więc lepiej wiedzieć ... Niebardzo, bo tém samem ją upokorzę... kobieta nie może znieść upokorzenia itd. itd. to' rzeczy wiadome... *(z niecierpliwością)* A do stu piorunów, to położenie moje wcale nie lepsze! — Aha, gdybym też wystąpił jako zbawca i pobudził wszystkich?... pfu! to skandal, parafianaszczynna... A gdybym ją tylko samą obudzić kazal?... Powiedziawszy, trzeba by wyjechać... nędzny koncept!... Cóż u diabła nie wymyślić nie mogę... Pokazuje się że Edmund sto razy rozumniejszy odemnie, jakie się tam jemu teraz myśli roją... *(ustaje)* A gdybym sam puścił się w pogoń?... dopędzę go i wróci — a więc będzie tu znowu, pierwsze głupstwo!... Przytem nie obejdzie się bez pojedynku, drugie głupstwo!... ha, mniejsze od pierwszego... *(siada)* Bilbym się gdyby potem nie trzeba wyjechać, ale wszystko na odjeździe się kończy!.. *(uderza pięścią w fotel)* A to jakieś zakłète miejsce kiedy z żadnego położenia nie mogę korzystać!... *(chce palić)*

No i cygaro mi zgasło *(nachyla się siedzący ku świecy)* Al! jakiś list... *(czyta)* Do pana Leona Zenowicza *(kłada cygaro i bierze list)* do mnie? Obaczmyż czego chce swawolny Edmundek *(czyta)* „Wyznaję niniejszém żem winien prostym długiem Panu Leonowi Zenowiczowi tysiąc „rubli które na każde żądanie wypłaci mu żona moja „Hrabina Zofia Nieświeska“ — podpisano „Hrabia Edmund Nieświeski“ — data dzisiejsza — No to jednak bardzo ładnie z jego strony; w podobnej chwili nie zapomnieć o takiej drobnostce... Jeśli kiedy poda się do klubu muszę to powiedzieć jak go będą ballotować — ani jednej czarnej nie będzie miał gałki... to jak mówią anglicy gentleman całą gębą! *(rzuca list na stół)* Słowo honoru, to mi się bardzo podoba... *(bierze cygaro i chce zapalić)* Ależ bo tu i drugi *(kłada cygaro bierze list)*

i obraca) bez adresu — to zapewne rewers dla mnie przygotowany... Zobaczmy, — ej nie — ale co tam — ej dam pokój — nie potrzebne skrupuły!... Miałaby je który z członków moich kolegów — to loika i strategia... bo czyliż nie jestem jak generał w wilią batalii, kto wie zkad mogą przyjść posiłki, nie powinienem korzystać z błędów przeciwnika?... złe porównanie bo nieprzyjaciół uciekł z placu bitwy.. Dajmy pokój porównaniom i czytajmy list... niezapieczętowany, bez adresu (otwierając) wreszcie może i ten do mnie... mógł być jeden to może być i drugi — czegoż się po nim spodziewać nie można... (czyta)

„Zofio!“ (do siebie) a co tego to za wiele! jakto? piesz do żony... a, co na to wyznać muszę że ja bym sam się nie zdobył (czyta) „Zofio, kocham cię tak jak cię kochałem, tak jak zawsze kochać będę“ (do siebie śmiejąc się) ha, ha, ha, ha, a to żart pocieszny, kochać ją będzie zawsze — to zawsze jest niezrównane! (czyta) „Wierz mi, przysięgam, i daję ci dowód miłości!“ (do siebie) Sliczny dowód na honor! (czyta) „Nieszczęsna „i zbrodnicza namiętność“ zawładnęła mną do tyła że „już miałem cię zdradzić“ (do siebie) Miał ją zdradzić (czyta) „Jednym ciosem nieszczęśliwemi nas na wieki „uczynić. Odjeżdżam więc“ (do siebie) To jest — odjechałem (czyta) „O gdybym mógł odjechać nie rozstawając się „z tobą mój Aniele“ (do siebie) Aniele, coraz lepiej (czyta) „Ale to było niepodobne — przysięgam ci, chwyciłem się jedyne go sposobu ratowania nas obojga, jedynego, żeby zostać godnym ciebie, przysięgam ci na „wszystko, co mam najświętszego“ (do siebie) hm, hm, to się mówi kobietom — to zwykła formuła (czyta) „Na „wszystko co mam najświętszego, na naszą miłość!“ (do siebie) Wyborny! (czyta) „Dla niej to spełniam dzisiaj „tę straszną ofiarę. Odjeżdżam“ (do siebie) Tak, to najwygodniej. (czyta) „Na próżno szukać będziesz moich „śladów. Przebacz mi Zofio i przybądź mi w pomoc. „Powiedz co zechcesz matce twojej, siostrze,“ (z zadziwieniem do siebie) Siostrze? (czyta) „całej rodzinie i całemu „światu, bo nikt o mojem przedsięwzięciu nie wie — „nikt o niem słyszeć nie będzie. Żyć winieniem samotny“ (do siebie) Samotny? (czyta) „Ty jedna Zofio będziesz wiecznie... wiecznie w mojem sercu!“ — (do siebie) A niech mię diabli porwą, teraz znowu nie nie ro-

zumiem!... (czyta) „Skoro tylko czas przygasi nie-
„cną namiętność lub nieprzebytą wzniesie dla nięj
„zaporę, napiszę ci abyś do mnie przybyła. Zofio wszak
„przyjedziesz nieprawda? bo szczerość moja powinna
„ci być rękojmią mego przywiązania. Jeżeli cię pismo
„moje przebłagać nie zdoła, ależ ja temu nie chcę, nie
„mogę temu wierzyć, sam przybędę żebrać u nóg two-
„ich przebaczenia i nadziei, tak jak w tej chwili wołam
„do ciebie na klęczkach o pomoc i wspomnienie! Bądź zdro-
„wa Zofio! najdroższa żono moja, niechaj niebo wspie-
„ra cię w tej ciężkiej próbie, co mi serce rozdziera,
„niechaj Bóg nie pozwala, abyś miała przestać kiedyś
„kochać twójego Edmunda“ (do siebie) Jest i post scri-
ptum (czyta) „Rób co chcesz z moim majątkiem; znaj-
„dziesz wszystko w porządku. Klucze wszystkie są w szu-
„fladzie od stolika do pisania. Bądź zdrowa, przebac
„mi, wierz mi, żałuj mnie — w pałacu Uboczy o pół-
„nocy“ (wstaje trzymając list w ręku i przechodzi się po po-
koju).

Pokazuje się z tego, że mężczyzna może kochać na raz dwie kobiety... jedną namiętnie... a drugą spokojnie... dwa uczucia na raz... Dowiedziałem się czegoś nowego... jakże to po łacinie? (staje) Aha (napuszyćcie) experientia docet. (chodzi) Biedaczysko! chciał więc sam uciekać to widoczna... a uciekł z Ireną... ona go kocha... on się zdradził tem: żegnam cię na zawsze!... ale bo też dziwnie jakoś i nigdy tam wkręcił... to niezgrabne było niech mi daruje... i wszystko popsulo... Irena przyszła chcąc go jeszcze raz zobaczyć... widziałem ją z mego ukrycia, jak stanęła drżąc przed drzwiami... wreszcie osłabła... zemdlała... on ją porwał na ręce... wniósł do siebie... i skończyły się projekta (śmiejąc się) w dorożce... (patrzy na list, ogląda, chowa do kieszeni i siada).

Mniejsza o to... żal mi ich... i gdybym mógł pomóc... bo widzę teraz że będą wszyscy nieszczęśliwymi! zwłaszcza Zofia... biedna Zofia... najgodniejsza litości! dałbym wiele gdybym ją mógł od nieszczęścia uchronić... czuję że w tej chwili poświęciłbym się chętnie aby ją uratować (wstając) ho, ho, byłbym przypadkiem zakochany? (myśli) Może... sam nie wiem...

ale to pewna, że uczucie honoru obudziło się we mnie! Cóż ja to robię przez noc całą?... szpieguję... podsluchuję...? czytam listy bez adresu... wstyd mię... wstyd na honor... uczciwemu człowiekowi w oczy zarzucić bym nie śmiał! (*chodzi po pokoju*) Muszę zrzucić to z siebie... dla siebie, dla honoru, ratować muszę Zofię... Tak, przez Bóg żywy muszę ją wyratować... (*z siłą*) wyratuję! ale jak?... Przedewszystkiem trzeba ich dogonić... tylko o to chodzi, czy sam mam ścigać czyli wysłać kogo?... a spieszyć się trzeba... (*idzie do okna*) Muszą już być daleko... bo szczęście rącho bieży... a oni są teraz szczęśliwi. Ale gdzież się to świeci jeszcze?... W skrzydle pałacowem na dole... to Moliński jeszcze nie śpi... cóż to za traf szczególny (*idzie do stolika od pisania*) Uda mi się mój pomysł... bo od razu miałem jakby objawienie... (*chce wziąć papier na list*) nie... bo by poznano że ktoś tu był (*dobrywa pularaśik i wydziera kartkę*) kilka słów, tu pomieszczyć (*bierze pióro i rzuca*) i to by wydać mogło (*wyjmując ołówek z pugilaresu i pisze*) Teraz trzeba poszukać co ciężkiego... co by tu?... nie ma nic... (*szuka po kieszeniach*) imperyał?... choćby jego obwinać? to za wiele wyrzucić przez okno... mogliby się domyśleć... (*szuka jeszcze w kieszeniach*) oho trojak... jeden i drugi, za nic złoto! (*śpiewa aryę z Roberta Diabła obwijając trojaki w papier*) złoto czczy tylko chimera... Teraz żebym tylko trafił (*idzie do okna*) jak chybię... to już nie wiem co zrobić... a czas mija... No, w imię Boże! (*rzuca, słysząc szybę stłuczoną*) Niech żyje zręczność! (*patrzy się*) firanka się odsłania... szuka... więc znajdzie... ubierze się (*zamyka okno*) naturalnie zaraz tu przyjdzie... (*idzie do stolika*) Czy tylko wszystko jest jak było... moje cygaro... (*chowa do kieszeni*) list do mnie... a tamten... a, schowałem go... dobrze... Nikt go czytać nie powinien... Zofia mniej niż ktokolwiek... a teraz umykajmy... (*biegnie do drzwi i zatrzymuje się nagle*) A gdyby go też chęćka wzięła pojsć do mnie? cóż znowu? nie świecił się... nie wie gdzie mieszkam... zresztą przecież ma rozum... ot zda mi się, że słyszę kroki... Uciekajmy... (*wychodzi — drzwi zawsze stoją otworem.* —
Juliusz na pół ubrany wpada i staje w progu)

SCENA VI.

JULIUSZ, (sam.)

Drzwi nie zamknięte — świece się palą — Edmundzie! — Edmundzie! — nie ma nikogo... (*wchodzi do sypialni i mówi w kulisach*) lampa zapalona — łóżko nietknięte — niko-go... (*wychodzi napowrót*). Boże wielki! więc to prawda — (*idzie do stolika*) List do Zenowieza (*czyta*) Dla tego to tak się spieszył z zapłatą — a ta niespodzianka przed obiadem — pojmuję... O cóż to za nieszczęście!... (*chodzi gwałtownie po scenie*). Drzwi od pokoju Ireny także otwarte — wejść nie śmiałem by nie zbudzić służącej... Nie ma rady tylko ta którą mi dano... ale któż to mnie ostrzegł?... więc ktoś wie o mej hańbie — O biada mu!... Lecz zkądże to rzucono?... nie ztąd — za wysoko — zamknięte okno... — Nie, niema rady — tylko biedz i przekonąć się... Zgaszę świecę by kto nie wszedł... aha pistolety! (*bierze je*) wezmę — bo jeżeli prawda (*gasi świecę*) a niedopędzę zaraz... o myśli téj nie zniosę... o wtedy biada! biada!...

(*wybiega — zamyka drzwi — ciemno w pokoju*).

SCENA VII.

LEON, (sam, uchylając drzwi).

Zgasił świecę... brawo! roztropny człowiek — to do-wód zimnej krwi (*idzie do stolika i rozpatruje się*). O, za-brał pistolety — co tego to nie lubię — zdaje mi się jak gdybym bić się nie chcąc zastępcę był wysłał... ej do tego nie przyjdzie — przecież to szwagier!... Podobnoś słyszę jakby tentent kopyt końskich... (*słucha*) tak, tak, byłby to Moliński?... A to wziął nogi za pas... (*idzie do okna*). Arab leci jak strzała — powinienby dogonić — byle tylko na czas (*otwiera okno*) bo ten Edmund djabeł... prawda że w dorożce... (*patrzy*) Księżyc teraz wyszedł — tém lepiej bo Moliński może nie zna drogi... gdzie tam, pędzi ku Dębnie... Podoba mi się ten Moliński — do-brze siedzi, tego wypuścił konia... Arab drze... szkoda tylko że nie follblut — nie trenowany... to niewytrzyma długo... Dobrze (*woła po angielsku*) away! heup! heup! (*zamyka okno*). Jakby to zrobić, żeby Zośa nie wiedziała

nigdy... o tej nowej niespodziance? — (*wraca na scenę*)
wiele bym dał za to... Dziś już niema co robić... a
jutro? (*staje*). Jutro? (*z obojętnością*) Zobaczymy...

(*wychodzi*).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Teatr przedstawia wielką salę na dole — w głębi drzwi szklane wychodzące na dziedziniec pałacowy, za drzwiami ganek z schodami — na lewo drzwi — w około sali stoją krzesła wyplatane — przy ścianie na lewo kanapa duża — na prawo wielki stół — na nim różne dzienniki.

SCENA I.

P. MOLIŃSKA, później JULIUSZ *)

P. MOLIŃSKA, (*sama, niespokojna*)

Juliusz nie przychodzi a tu każda chwila wiekiem!.. Te kilka słów które mi powiedział wracając z Ireną takim smutnem przecuciem napęłniły me serce... W jakim że bo ona była stanie!... co znaczy ten nocny spacer z Juliuszem!... Irena nic nie gada... Juliusz kazał się przygotować do wyjazdu... dziś jeszcze... koniecznie... potem wyszedł, a rano w sali jadalnej kazał na siebie czekać... cóż on mi powie?... jakiś strach mnie przejmuje... A, otóż i on.

(*Juliusz wchodzi drzwiami szklanymi*)

JULIUSZ **)

Dzień dobry matko! jak się ma Irena?

P. MOLIŃSKA

Jeszcze spoczywa... kaszle niezmiernie... krwią plu-

*) Stroje ranne. Juliusz surdut czarny — kamizelka w kraty — spodnie lotnie.

**) Juliusz, p. Molidska.

je... biedne dziecko niewiem czy będzie mogła dzisiaj jechać...

JULIUSZ (*surowo*).

Musi.

P. MOLIŃSKA.

Ale czemuż na miłość Boga? wytłómacz się Juliuszu!

JULIUSZ.

Powiem zaraz — skoro inaczej być nie może... Oh cóżbym dał za to gdybyś mogła niewiedzieć téj smutnej katastrofy?...

P. MOLIŃSKA

Katastrofy?... przerażasz mię.

JULIUSZ

Uspokój się matko... Bogu chwała, wisi ona dopiero nad nami... Ale potrzebuję twój pomocy aby ją odwrócić... i nas dwoje nie będzie za wiele... Słuchaj więc i uzbroj się w odwagę...

P. MOLIŃSKA

Drzę cała!...

JULIUSZ

Zmęczony podróżą nie mogłem usnąć... była może godzina pierwsza po północy... wtem słyszę jakby ktoś rozbił szybę kamieniem... Wyskoczyłem z łóżka... otwieram okno — niema nikogo... Patrzę w koło siebie i dostrzegłem jakiś biały pakiecik. Był to trzygroszniak, obwinięty w papier na którym te wyrazy skreślone ołówkiem... Hrabia Nieświeski... zaraz (*szuka i dobywa z kieszeni karteczkę*) ot lepiej, czytaj sama...

P. MOLIŃSKA (*czyta*)

„Hrabia Nieświeski kocha pannę Irenę. W chwili szaleństwa porwał ją...” (*głośno*) Boże! ależ to niepodobna!

JULIUSZ (*porwijając ją za rękę*)

Cicho! zaklinam cię matko, aby kto nie usłyszał. Tak było w istocie — lecz bądź spokojna wszak Irena u ciebie... trzeba tylko uniknąć większego nieszczęścia... Czytaj dalej...

P. MOLIŃSKA (*oddaje kartkę*)

Nie mogę... O ja nieszczęśliwa!...

JULIUSZ (*czyta*)

„Pojechali dorózką przed pół godziną. Są na drodze do Dębiny. Jeśli p. Moliński chce ocalić swą rodzinę, wsiedzie w tej chwili na Araba najtęższego z całej stajni bieguna, dogoni ich, odprowadzi pannę Irenę do matki tak aby nikt niewidział, nie powie słówka nikomu. Tym jedynie sposobem uniknie się zgorzelenia. Hrabia uczyni dobrze, gdy nie wróci razem.” (*chowa kartkę*) Ot wszystko.

P. MOLIŃSKA

To oszczerstwo, nieprawdaż Juliuszu?

JULIUSZ

I jam tak sądził z razu... W gniewie pobiegłem do drzew Ireny które na wpół otwarte zastałem. Mocno już niespokojny wpadłem do Edmunda... tam nikogo... wszystkie ślady ucieczki... nareszcie znalazłem list, który mnie o niej przekonał... Dosiadłem konia — pędziłem jak wiatr — w godzinę spostrzegłem dorózkę... doganiam...

P. MOLIŃSKA (*coraz niespokojniejsza*)

A w niej Juliuszu?... w niej...

JULIUSZ

Edmund powoził... przy nim Irena na pół nieżywa.

P. MOLIŃSKA (*z płaczem*)

Co to za cios okropny! o biedna ja matka!

JULIUSZ

Jakże ci opowiedzieć to nasze spotkanie! w połu i wśród nocy! Prośby, zakłęcia, wymówki, pogrożki, rozpacz, wyrzuty i niewiem co jeszcze, wszystko słowem co tylko namiętność w zapasach z rozumem dostarczyć mogą szaleństw i dowodzeń, rzucaliśmy sobie kolejno. Już się wahali... zgadzali... to znów szła ich zaślepiła! Zwyciężyłem nareszcie i zawróciłem powóz. Jechałem obok nich aż ćwierć mili od dworu. Tam wysiadła Irena. Niechciałem aby widziano nas razem. Podałem jej rękę, wlekliśmy się powoli, koń mój szedł za nami...

P. MOLIŃSKA

Jakto Juliuszu?... siostrze takiej słabej piechotą iść

kazałeś, tak długo! o to okrucieństwo... to może ja
o śmierć przyprowadzić!...

JULIUSZ

Masz słuszną matko moja, droga była okropna...
Irena ledwie się wlokła... Kaszel targał piersi... co
chwila tchu jej brakło... trzeba było wypoczywać —
tak szliśmy godzinę... Niemogłem patrzeć na nią...
serce mi pękało — lecz gdyby była skoła... trupa
byłbym ci przyniósł matko (*czule do matki która zachodzi
się od łkania*) oh daruj mi, daruj! — ale ja tak pojmuję
honor rodziny!

P. MOLIŃSKA

Takież to los o Boże gotujesz na me stare lata!...
mów dalej, niech wiem wszystko...

JULIUSZ

Przybywszy do furki ogrodowej która była otwarta,
uwiązałem konia by później oddać go do stajni... we-
szliśmy do pałacu, niespotkawszy nikogo — a niechcąc,
aby służąca spostrzegła Irenę wprowadziłem ją do cie-
bie, resztę wiesz lepiej odemnie...

P. MOLIŃSKA

Przestraszyłam się gdyście weszli — ależ takiego cio-
su któż domyśleć się może!

JULIUSZ

Dziękujmy Bogu że straszniejszy odwrócił! ale wi-
dzisz więc matko — trzeba wyjeżdżać natychmiast....

P. MOLIŃSKA

Tak, tak, trzeba co prędzej... wydałam już rozka-
zy... ale gdzież Edmund? powiedz, gdzież jest ten
nikczemnik?...

JULIUSZ

Nie potępiaj go tak prędko matko moja! U ludzi po-
dobnych jemu, namiętności z straszliwą wybuchają siłą.
Oni się oprzeć chwilowemu uniesieniu nie mogą. Wiesz
co, wśród okropnej walki o której ci mówiłem, zaręczał
mi Edmund że żonę swoją kocha.

P. MOLIŃSKA

Zotię? on ją kocha? on?...

JULIUSZ

W człowieku namiętym nie ma niepodobnej sprzeczności... on może kochać żonę — ja wierzę, że ją kocha — co więcej chcę temu wierzyć — w tem jedną jeszcze nadzieję pokładam.

P. MOLIŃSKA

Czy wrócił już?

JULIUSZ

Nie jeszcze. Bo późno za okropna była scena to ich rozstanie! Tak byli nieszczęśliwi że we mnie samym litość się budziła. Edmund chciał odjechać na zawsze — bo taki zresztą miał tej nocy zamiar — wszystko było przygotowane — już wychodził — kiedy w kurytarzu spotkał Irenę, która raz jeszcze obaczyć go chciała — i wtedy — rozpacz, niemoc, namiętność zgłuszyły głos sumienia — uciekli!.. wierzaj mi matko, oboje byli oblakani!...

P. MOLIŃSKA

A więc teraz pojechał?

JULIUSZ

Właśnie na to zezwolić nie mogłem — dla świata — komentarzy o tem nagłym zniknięciu — każdy byłby zgadywał przyczynę... wreszcie, może kto i odgadł prawdziwą. Nalegałem więc aby powrócił rano — ale wszystko na próżno. Udałem się do Ireny, tak do Ireny aby go zatrzymała, albowiem zdaniem mojem on musi być tutaj, aby ślad tej nocnej wycieczki zagał... Uległ Irenie i dał słowo że wróci na śniadanie.

P. MOLIŃSKA

Ależ godzina śniadania minęła — to może już nie wróci?

JULIUSZ

Wróci niezawodnie... ja na miłość rachuję. Radziłem mu aby jechał do którego z odleglejszych folwarków; będą świadki i nowa nieobecności przyczyna. Proszę cię tylko i bardzo proszę moja matko, nie wspominać mu o tem co się stało — nie czyni wyrzutów, na nie się to nie przyda. Wyjedziemy, czas dokonać reszty. Bądź

z nim, tak jakbyś nie wiedziała o niczem... czy mnie usłuchasz? powiedz?...

P. MOLIŃSKA

Zrobię jak sobie życzysz, a chociaż wyznam ci szczerze, wiele leż kosztować mnie to będzie... przyrzekam. Lecz któż to mógł cię ostrzedz Juliuszu? nie wiesz kto był tym aniołem opiekuńczym nas wszystkich?...

JULIUSZ

Nie wiem. Czy pisma nie poznałaś przypadkiem?

P. MOLIŃSKA

Nie... z resztą wyraźnie podrobione.

JULIUSZ

Gubię się w domysłach. Edmund mi zaręczał że wyjazd swój otoczył najgłębszą tajemnicą. Jeden Piotr wiedział o nim, a i on nawet sądził że pan jego sam udaje się w podróż - zresztą Piotr jest w Warszawie. Chwilę sądziłem że to może Zenowicz, ale wstawszy w nocy nie widziałem światła w jego oknach, w końcu jakżeby mógł być wiedzieć w którą pojechali stronę... kiedy sam Edmund o tem nie myślał dopiero gdy wsiadł do powozu... jednak...

P. MOLIŃSKA

Właśnie nadchodzi...

(*Leon u drzwi szklanych*)

JULIUSZ (*cicho do matki*)

Bądźmy ostrożni i uważajmy go pilnie.

SCENA II.

JULIUSZ, P. MOLIŃSKA, LEON *)

LEON (*kłaniając się*)

Dzień dobry Pani.

P. MOLIŃSKA

Dzień dobry.

*) Leon w ralsfraku. Ubiór wykwinaty, Kapelusz biały.

LEON (*do Juliusza*).

Dzień dobry, jakżeż Pan po drodze? dobrze spałeś?

JULIUSZ

Dziękuję Panu. Wybornie.

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Nie zeszliśmy się dzisiaj na śniadanie jak zwykle...

LEON.

Chciałem właśnie Pani spytać się dla czego?

P. MOLIŃSKA

Bo mamy zmartwienie. Irena na prawdę się rozchorowała.

LEON.

A mój Boże... czyby to ten spacer wczorajszy zaszkodził?

JULIUSZ

Masz Pan słuszność, zapewne ta przejażdżka pogorszyła jej zdrowie (*idzie ku drzwiom*)

LEON (*do p. Molińskiego*).

No proszę, sprawdziło się znów przysłowie, że niema złego coby na dobre nie wyszło. I tak, przykro mi było wyznając, jak mi wczoraj Hrabia opiekę nad córkami Pani odebrał, dzisiaj zaś niezmiernie się z tego cieszę, bo choć ubolewam nad słabością panny Ireny, nie mam sobie nic do wyrzucenia (*do siebie, kładąc na stole kapelusz*) Ważę każde słowo, a mimo to zdaje mi się, że ciągle się wyrażam dwuznacznie.

(*Zofia wchodzi z lewej strony*).

SCENA III.

ZOFIA, P. MOLIŃSKA, LEON, JULIUSZ (*w głębi, patrzy w dziedziniec*)

ZOFIA (*wchodząc*)

Mamo, mam do ciebie prośbę. Dzień dobry Panu. (*Leon kłania się i przerzuca dzienniki*) Zostaw mama Irenę, ona taka słaba doprawdy, że nie można myśleć o po-

dróży... niech mama nie odjeżdża. Czyż jój tu źle jest u mnie?

P. MOLIŃSKA (na stronie)

Biedaczka, nie wie o co prosi! (głośno) Ależ kochane dziecko, zdrowie Ireny wymaga właśnie wyjazdu do Warszawy, aby się tam poradzić lekarzy.

ZOFIA.

O! jeśli o lekarzy chodzi, to pošę w tej chwili po Wolfa lub Malcza...

JULIUSZ *) (na stronie, wracając)

To nieszczęście! (głośno) Zastanów się Zosin — sprowadzać z tak daleka lekarzy, to byłoby szaleństwem — przecież Irena nie jest tak słabą — zniesie podróż, a lepiej zawsze że będzie w mieście, gdzie środki leczenia łatwiejsze.

ZOFIA

Lecz jeśli sprowadzę doktora — ile razy tylko będzie tego potrzeba, cóż ci to szkodzi Juliuszu? apteka jest o milkę, a mnie tak będzie miło samą ją pielęgnować.

JULIUSZ

Dobrze to wszystko. ale pomyśl tylko, że to choroba długa — trwać może miesiące, rok cały...

ZOFIA

Cóż z tego? to tem lepiej że ja o nią będę miała staranie... Panie Leonie, wszak prawda że można tak dobrze wyzdrowieć na wsi jak w Warszawie?

LEON (na stronie)

Słowa jój tak mnie bolały jakby o śmierć mnie prosiła. (głośno) Zapewne Pani, zapewne, można i na wsi się leczyć, jednak bywają przypadki... na przykład gdyby potrzeba było złożyć konsylium...

JULIUSZ.

Widzisz i pan Zenowicz podziela nasze zdanie.. Irena musi jechać koniecznie.

*) Zofia, p. Molińska, Juliusz, Leon.

ZOFIA (*ze łzami*)

Matko, ty tego nie powiesz...

P. MOLIŃSKA.

Nieźmiernie mi przykro moje dziecię, że cię zmartwie muszę, ale cóż począć? — obowiązek...

ZOFIA

Nie mówiłabyś tak, gdybyś była słyszała Irenę bładą, wołającą rozdzierającym głosem gdy się dowiedziała że chcesz z nią wyjechać: Boże ja nie pojadę, wypędzasz mnie Zosiu — ach pozwól mi umrzeć w waszym domu! (*placze*)

LEON (*na stronie*)

Biedna dziewczyna!

P. MOLIŃSKA (*łzawym głosem na stronie*)

Co za męczarnia! (*głośno*) Nie smuć się Zosiu... Irena zwyczajnie ma takie czarne myśli — bo słaba — wierzaj mi — gdybym uległa twym prośbom, srogie kiedyś mogłabyś czynić sobie wyrzuty....

JULIUSZ

Nie matko, nie możesz, nie powinnaś zostać...

ZOFIA

Kiedy tak, niech tylko Edmund wróci — poproszę go aby się za mną wstawił — zresztą on tak kocha Irenę, że jej pewno nie puści...

LEON (*na stronie*)

Ma słuszość — tego jeszcze brakowało!

ZOFIA (*do Juliusza*)

Ale gdzież jest Edmund? nie widziałam go jeszcze dzisiaj?

LEON (*na stronie*)

Masz teraz! (*głośno*) Prawda? gdzie też jest Hrabia? Posyłałem dziś rano do niego, aby mu zakład proponować, na konia którego mi przedwczoraj przyprowadzili z Warszawy — a radłbym wypróbować, bom ciekawy, czy mnie Anglik nie oszukał. Służący odpowiedział mojemu że wyjechał przed świtem.

JULIUSZ

Tak — mówił mi wczoraj że musi jechać w nocy nawet — objechać jakieś odległe folwarki.

LEON (*na stronie*)

Nie źle — wcale nie źle.

ZOFIA.

Mówiono mi że sam się powoził w doróźce; boję się jakiego wypadku.

JULIUSZ

Miał wrócić na śniadanie — zapewne dłużej zabawił jak zamierzał — coś za przypadek wydarzyć się może jadąc jednym koniem dorózką?

ZOFIA

Ale czy tylko pewny jesteś że pojechał dorózką? bo Jakób powiedział dziś rano że niewie kiedy Edmund wyjechał — bo w nocy ktoś brał, konia wierzchowego ze stajni...

LEON (*na stronie*)

Do licha -- coś się psuje. (*głośno*) To pewnie Piotr, wszak w nocy miał jechać do Warszawy?

JULIUSZ (*do Leona*)

Nie Panie, to ja. Prosiłem wczoraj jeszcze Edmunda aby mi Araba pożyczył — miałem interes do załatwienia.

ZOFIA (*zdziwiona*)

Wczoraj jeszcze? w nocy?

JULIUSZ (*wpatrując się pilnie w Leona*)

Tak jest. Miałem się spotkać z jednym dobrym znajomym — uwiadomiony zostałem bilecikiem wprawdzie trochę późno — ale nie za późno — coż było robić!

LEON (*na stronie*)

Przypił do mnie (*głośno, kłaniając się*) Rozumiem.

JULIUSZ (*uderzony*)

Jak Pan mówisz?

LEON (*domyślnie*)

Mówię, że domyślam się, co to za interes.

P. MOLIŃSKA (na stronie)

Wie o wszystkim, to on!..

JULIUSZ (z intencją)

Doprawdy? domyślasz się Pan co to za interes... ah ciekawy jestem...

LEON (cicho do niego śmiejąc się)

Wielkie rzeczy... jakaś dawna znajomość, sąsiadka, niecierpliwa przyjaciółka... dowiedziała się o powrocie, wytrzymać nie mogła, a co?.. czy nie zgadłem? (głośno) musisz mi Pan to opowiedzieć.

JULIUSZ (mruga na matkę, na stronie)

To nie on! (głośno) Dobrze, opowiem, lecz później trochę...

LEON (na stronie)

Mam go! (głośno) Proszę, jak to wszystko na wierzch wyjść musi na świecie!

ZOFIA.

A czy ty chciałeś bracie żeby się nikt o tem nie dowiedział?

JULIUSZ

Rzeczywiście — chciałem utaić tę nocną wycieczkę i wcale bym sobie nie życzył żeby się rozniosła.

ZOFIA

Kiedy tak, obiecuję że ci więcej o niej nie wspomnę, ale co do Ireny nie przyrzekam ci tego wcale... Teraz idę zająć się śniadaniem Edmunda, skoro mówisz że wkrótce nadjedzie. (wychodzi po lewej stronie — p. Molińska odprowadza ją i staje przy drzwiach szklanych.)

SCENA IV.

JULIUSZ, LEON, P. MOLIŃSKA (w głębi)

LEON (na stronie)

Teraz na mnie kolej! (cicho do Juliusza) Bez indystrycji czy można się spytać jak się powiodło? co? spotkałeś Pan?

JULIUSZ (z uśmiechem)

Spotkałem.

LEON (*tymże tonem*)

I zwyciężyłeś? jak mówił niewiem już który Rzymianin — przepraszam ale bo mnie to bardzo intryguje.

JULIUSZ (*seryo*)

Zwyciężyłem, Panie Zenowicz. (*na stronie*) Nie wiem co myśleć o tej dwuznacznej mowie.

P. MOLIŃSKA

Otóż i Edmund wraca.

(*Leon bierze dziennik*)

JULIUSZ (*idzie do matki i cicho mówi*)

Idę uwiadomić Edmunda jak rzeczy stoją. Zawołaj tu Zofią i staraj się uspokoić Irenę droga matko (*wychodzi i zostawia drzwi otwarte*)

P. MOLIŃSKA (*do Leona*)

Wybacz Pan, ale muszę na chwilę oddalić się do Ireny.

LEON

O niechże Pani nie zważa na mnie, bardzo proszę.
(*P. Molińska wychodzi na lewo.*)

SCENA V.

LEON, (*sam, rzuca dziennik*)

Zofia nie wie o niczem — matka zaś jeśli się nie myli, wie o wszystkim... Moliński wybornie tą sprawą kieruje... (*patrzy we drzwi*) Rozmawia z Hrabią — opowiada bez wątpienia co się tu dzieje (*wraca*) Ciekawym co zrobi Edmund?... pewno będzie chciał wiedzieć kto uwiadomił brata, i co się stało z owym listem do żony który mam w kieszeni... Dotąd dość zgrabnie się wywinałem — ale to na nic wszystko — lada chwila na mnie zwrócą się podejrzenia — a te wszystkie nocne wycieczki, ten przymus Ireny, muszą w końcu żonie oczy otworzyć... Gdyby można jako odwrócić uwagę od tego niieszczęsnego wypadku, czemkolwiek bądź? (*milczy*) Tak, to myśl nie zła — chociaż może dziwaczna... toby ją uspokoiło z tej strony, w mężu obudzi gniew, zazdrość — a mnie z ambarasu wyprowadzi... Lecz jak

się to nie uda, a zły obrót weźmie?... Cóż znowu!... Edmund tu zmierza jak się zdaje... (*wraca naprzód sceny, Zofia wychodzi na lewo*) O! szczęśliwy traf zsyła mi ją tak w porę...

SCENA VI.

ZOFIA, LEON.

LEON (*zbliżając się*)

Jakże Pani wdzięczny jestem za podaną sposobność mówienia z nią bez świadków.

ZOFIA (*zdziwiona na stronie*)

Cóż to ma znaczyć?

LEON (*śmiało*)

Widzę po obejściu się twojem Pani ze mną że mylisz się co do natury uczuć moich..

ZOFIA (*zmięszana*)

Ależ panie Zenowicz....

LEON

Tak Pani, jestem szczery i prosto idę do celu.. Pani sądzisz że kocham jej siostrę...

ZOFIA (*sucho*)

Ja nic nie sędzę Panie.

LEON (*usilnie*)

Napróżno się Pani zapierasz, tak jest, niezawodnie—inaczey nie byłabyś tak zimną dla człowieka który jest gotów wszystko dla ciebie poświęcić!

(*Hrabia **) *wchodzi — zatrzymuje się we drzwiach szklanych — i słucha*)

ZOFIA (*z godnością*)

Muszę się widzę oddalić, bo ani chcę, ani powinnam go słuchać.

LEON (*na stronie zatrzymując ją za rękę*)

Zostaniesz, tu o ciebie idzie (*głośno*) Nie Pani, słuchać

*) Hrabia ubrany jest jak w akcie poprzedzającym.

mnie będziesz, przysięgam (*na stronie patrząc na drzwi*)
Mąż stoi — tém lepiej! (*głośno*) Mimo twoich okrucieństw
i pogardy, pomimo że mnie masz za człowieka lekkie-
go, fanfarona, że niechcesz przyjąć mego poświęcenia
którego jak najrychlej pragnę ci dać dowody, pomimo..

ZOFIA (*wyrywając się*)

Co to jest? puścić mię proszę — puść mnie Pan...

LEON (*trzymając ją za rękę, na stronie*)

Czyż nie wejdzie nigdy? (*głośno*) O nie puszcze cię
Pani, dopóki nie otrzymam od ciebie choćby jednego
słowa, jednego tylko, bo nie podobna, byś nie dała się
przebłągać, kiedy serce szczere i szlachetne...

ZOFIA (*wyrywając się z przymusem*).

Puść mnie Pan bo o pomoc zawołam!..

LEON (*na stronie niepuszczając*)

Jeszcze nie, a to cierpliwy! (*głośno z wyszukaną patety-
cznością*) Pani, zlituj się nad człowiekiem, który życiem
chętnie opłaciłby szczęśliwą sposobność oszczędzenia ci
choć jednej łzy, choć jednego cierpienia (*na stronie*) niech
się dzieje co chce! (*głośno*) nad człowiekiem (*pada na ko-
lana*) co cię kocha, bo ja cię kocham Zofio!

HRABIA (*wchodząc*)

Panie Zenowicz!...

SCENA VII.

ZOFIA, LEON (*klęczący*) HRABIA.

ZOFIA (*wyrywa rękę i pada w objęcia męża*)

Edmundzie! on znieważa twą żonę!..

LEON (*na stronie, wstając*)

A przecie! (*idąc naprzód sceny po prawej stronie*) i to na
czas, bo w końcu mówiłem już na seryo (*otrzepując ko-
lana*) i rzeczywiście powiedziałem za wiele.

HRABIA (*na stronie*)

To rzecz niepojęta!..

*) Zofia, Hrabia, Leon.

ZOFIA (*placząc w objęciu męża*)
Edmundzie! jam niewinna!...

HRABIA
Nie płacz droga Zofio, ja ci wierzę, ja wiem żeś niewinna...

LEON (*na stronie*)
Spodziewam się że wiesz, tak jak ja wiem żeś winny.
(*Juliusz wchodzi w głębi*)

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, JULIUSZ *)

JULIUSZ (*wchodząc na stronie*)
Zofia płacz! (*cicho do Hrabiego*) Cóż się stało? czy się dowiedziała?

HRABIA (*cicho do Juliusza*)
Nie, to zupełnie rzecz inna, opowie ci sama. (*do Zofii*) Zofio, uspokój się, błagam, czy nie wiesz że cię kocham droga moja żono... Wyjdź z Juliuszem do ogrodu, sam z tym panem chcę zostać.

LEON (*na stronie*)
Zapewne! trzeba zrobić rachunek...

ZOFIA (*z płaczem cicho*)
Edmundzie, bądź ostrożny, zaklinam cię, pamiętaj o twojej Zofii.

HRABIA
Nie lękaj się (*cicho*) wszystko to się załatwi, idź moje dziecko, idź, (*cicho do Juliusza*) wróć tu nie zadługo.
(*Juliusz z Zofią wychodzą na lewo*).

SCENA IX.

HRABIA, LEON.

HRABIA (*postępując naprzód sceny po lewej stronie*)
Postępek Pana jest...

LEON (*obraca się nagle i mówi bardzo głośno wpatrując się bystro*)
Panie Hrabio!

(*Hrabia się zatrzymuje jak wryty — patrzą na siebie chwilę w milczeniu.*)

*) Zofia, Hrabia, Juliusz, Leon.

HRABIA (*odwraca się pierwszy, na stronie*)
Czyż mi braknie odwagi by mu stawić czoło?

LEON (*na stronie*)

Nikczemny, chciał powiedzieć, ale się zadławił (*głośno*)
No cóż? słucham.

HRABIA (*postępując znów — do siebie*)

Tylko spokojnie — dowiem się wszystkiego (*głośno*)
Znając Pana jak znałem, niewiem jak sobie mam tłómaczyć to co widziałem w tej chwili?

LEON (*na stronie*)

Za cóż się mam gniewać? wszakże sam tego chciałem? (*zwyczajnym głosem*) Nie możesz sobie Pan wytłómaczyć? No to ja mu ułatwię. Spróbowałem; nie udało mi się — rzecz cała w dwóch słowach.

HRABIA

Lecz istotnie nie pojmuję...

LEON (*przerywając z żywością*)

Jakto? Pan nie pojmujesz takich rzeczy?.. Pan?.. (*na stronie*) To za wiele!

HRABIA (*na stronie*)

Tylko spokojnie! (*głośno i zimno*) Nie Panie.

LEON (*gwałtownie*)

Pan nie rozumiesz jak można uleść chwili szata? u-niesienia... (*ustrzymuje się*)

HRABIA (*na stronie*)

Nie myślę się, to on! (*głośno z intencją*) Rozumiem więc kiedy Pan chcesz koniecznie ażebym zrozumiał.

LEON (*na stronie*)

Strzeliłem baka (*głośno*) Chcę tego bezwątpienia, bo każdy kto ma serce, wiedzieć powinien, iż są chwile w życiu, w których nad namiętnością panować nie można...

HRABIA (*na stronie*)

To on — jużem pewny. (*głośno*) Wiem o tem, i tylko nie pojmuję, jak człowiek taki jak Pan...

LEON (*przerywając*)

Mógł wybrać tak niestosowną porę?...

HRABIA

W samej rzeczy — dziwi mnie to bardzo ... ale mniejsza o to...

LEON (*na stronie*)

Poprawiam się (*głośno*)... Dla mnie wcale nie mniejsza, takich błędów trudno sobie przebaczyć Wyśmieją się ze mnie w klubie, chociaż znają przysłowie: zbierze czasem talara i najlepszą szkapę...

HRABIA (*na stronie*)

Szczególny, dziwny człowiek! (*głośno z umiarkowaniem*) Nie o tem mówić chciałem, albowiem błąd ten skoro tak się Panu podoba nazywać oświadczenia miłosne, błąd ten, w jakiej dobrej czy złej popełniłeś go chwili, stawia cię w obec mnie...

LEON (*z dumą*)

Za nadto znam świat Hrabio, abyś potrzebował przypominać jakie jest moje względem ciebie stanowisko... (*na stronie*) Trzeba go podrażnić (*głośno*) Chodzi mi tylko o to, i to tylko mnie martwi, że moja niezręczność złe pani Hrabinie o mnie da wyobrażenie...

HRABIA (*przenikliwie*)

Czy to Pana obchodzi?...

LEON (*udając zdziwienie*)

Jakto! czy mnie to obchodzi?...

HRABIA (*z przyciskiem*)

Więc żona moja nie jest Panu obojętną...

LEON (*na stronie*)

Domyśla się!... najgorzej!... (*głośno*) Mylisz się Pan i nie zmuszaj proszę, ... ażebym mu powiedział...

HRABIA (*zimno*)

Cóż takiego?

LEON (*z udanym ogniem*)

Chcesz Pan koniecznie? ... ja nie cofam się nigdy....

HRABIA (*zinnno*)

Doprawdy?

LEON (*z mocą*)

Doprawdy? Więc powiem: kocham się w żonie pańskiej.

HRABIA (*wybuchając*)

„Panie Zenowicz!

LEON (*zinnno*)

Panie Hrabio!

(*Milczenie*).

HRABIA (*na stronie*)

Więc to nie on mnie zwrócił skoro się kocha w Zofii!

LEON (*na stronie*)

Wygrałem! dokończyć tylko trzeba.

HRABIA (*podnosząc głos*)

Kiedy więc tak...

LEON

Tylko nie krzycz Pan tak głośno... zrobisz scenę w własnym domu... Wreszcie coś Pana tak dziwi... jestże w tem co nowego? Od miesiąca zalecam się hrabinie... wiedziałeś o tem dobrze... bo byłeś zazdrosny... i naraz kiedyś mnie zastał przed nią na kolanach i mówię ci że ją kocham, dziwisz się niesłychanie... i krzyczysz?... Naturalnie że kocham, kocham zapamiętałem...

HRABIA (*na stronie*)

Nie wie nic! (*głośno*) Tego już za wiele!

LEON (*na stronie*)

I mnie się tak zdaje.

HRABIA (*z trudnością się powściągając*)

Zdaje mi się iż zbyt czczeniem byłoby przypominać Panu, iż takich rzeczy nie mówi się bezkarnie mężowi... a tem samem że żądam od niego...

LEON (*lekko*)

Tylko nie unosi się Hrabio! wszystko to załatwimy spokojnie.

HRABIA (*gwałtownie*)

Załatwiemy?... żartujesz Pan ze mnie (*na stronie*) do czegoż on zmierza?...

LEON (*lekko*)

Broń Boże... tylko powoli... powoli...

HRABIA (*z gniewem*)

Załatwiemy spokojnie?... (*na stronie*) Miałoby to być wet za wet?... czy mi będzie proponował zamiannę nikczemną?

LEON (*zawsze jednakim tonem*)

Kiedy mówię, załatwiemy spokojnie, to chcę przez to rozumieć że uczynimy tak, jak w podobnych razach postępować zwykli ludzie dobrze wychowani. Wiem bardzo dobrze żem Panu winien satysfakcyę... będziemy się więc strzelać... to rzeczy nazbyt proste... w klubie to nazywają być w bulońskim lasku!...

HRABIA (*na stronie*)

Odetchnąłem. (*żartobliwie*) A jakże nazywają w klubie to coś Pan dziś zrobił?

LEON (*seryo*)

Nie rozumiem Pana.

HRABIA (*ironicznie*)

No ów błąd?... kiedy się to nie uda?...

LEON (*z goryczą*)

Wyśmiewasz się Pan ze mnie... to na gentlemana nie przystoi... to za nadto łatwo...

HRABIA

Masz Pan słusznie... odwołuję com powiedział.

(*Juliusz wchodzi na lewo*)

SCENA X.

HRABIA, JULIUSZ, LEON.

LEON (*obracając się*)

A, pan Moliński (*do Hrabięgo*) zapewne będzie Panu sekundował?

HRABIA

Tak jest.

LEON (*do Juliusza*)

Panu wiadomo?...

JULIUSZ (*zimno*)

Wiem wszystko...

HRABIA

Nie odmówisz mi tej przysługi Juliuszu? nie p
wda?

JULIUSZ

To mój obowiązek, Edmundzie (*na stronie*) lecz cię

LEON (*wesoło*)

Wszystko więc jak najlepiej moi Panowie. Chod
tylko o to, że tu bić się nie mogę, bo to nie wyp
da. Podaję więc projekt. Mój powóz i służących wysz
do Warszawy. Sam zaś siadam na konia. Ale a propo
konia... chciałem dziś rano założyć się z tobą o nie
go Hrabio, i puścić na wyścigi z Arabem, nieszczęście
nie było cię w domu... odłożemy na później...

HRABIA

Arab zawsze będzie na usługi...

JULIUSZ (*na stronie*)

Na honor! szczególny oryginał!...

LEON

Tak, tak, co się odwlecze to nie uciesze... pewny
jestem, że Pana pobiję (*klania się*) na wyścigach rozumie
się panie Hrabio!... (*szukając myślą*) ale na czymże sta
nałem? Aha... siadam więc na konia i jadę do Józ
fa Zaręby... do Dąbrowki, ztąd mila mała drogi...
pół godziny galopem... mało co dalej jak do Dębiny

HRABIA (*spoglądając na Juliusza*)

Wiem, wiem, i znam pana Zarębę...

LEON.

Znasz go Pan? to wybornie. Wiadomo więc Panu że
mieszka sam jeden — zastaniemy go niezawodnie — jest
to mój przyjaciel i mogę na niego rachować na ślepo.

Panowie tam przyjeżdżacie... paf... paf... a potem każdy o przedzie do siebie... to jest każdy albo nie-każdy... jak wypadnie...

JULIUSZ

Bardzo dobry plan — tym sposobem wszystko zostanie w tajemnicy.

LEON

Ma się rozumieć.

HRABIA

Jutro więc o szóstej rano...

LEON (*przerzywa*)

O nie — dzisiaj jeszcze, powiem tak jak Pan mówiłeś wczoraj o tym długu karcianym (*serjo zmieniając ton*) Znasz mnie Pan za nadto, ażebyś mógł sądzić że ci go przypominam — powiedziałem ot tak... bez myśli, (*z ogniem*) i nie przyjmę teraz tych pieniędzy... chyba kiedyś w Warszawie... daję słowo honoru (*spokojnie*) Ale kiedy się już stało i wspomniałem niechęć... to będę się upierał więcej aniżeli Pan wczoraj... bo mam do tego powody a Pan ich wczoraj zapewne nie miałeś...

HRABIA (*podejrzliwie*)

Powody?

LEON

Tak jest — ważne, a pewnie słuszniejsze od pańskich. Zaczynam od najmocniejszego: naprzód że dzisiaj dzień a wczoraj była noc, powtóre... że jestem niecierpliwy i mam zwyczaj się spieszyć... mam pewien rodzaj gorączki...

JULIUSZ

Gorączki?

LEON (*z uśmiechem*)

Przekonasz się Pan wkrótce, że to nie ze strachu... tylko mnie to właściwe... Żart na bok, zależy mi wiele na pośpiechu, i spodziewam się po Panach że będziecie mieli dla mnie tę oględność. Przybędziecie najdalej w ciągu dwóch godzin, tak na przykład, żebyście mogli wrócić na obiad. Tym sposobem ani się kto domyśli. Cóż, przystajecie?...

JULIUSZ (*na stronie*)

Rzeczywiście to przyczyni się jeszcze do zatarcia śladu tej nieszczęśliwej ucieczki (*głośno*) przystajemy —
wszak zgadzasz się Edmundzie?

HRABIA (*waha się*)

Jednak, chciałbym wprzód...

LEON

Uporządkować papiery? wierz mi Pan że to nie potrzebne... w sprawach honorowych chociaż żartów nie lubię, z uśmiechem o nich myślę...

JULIUSZ (*do Leona*)

I słusznie! (*na stronie*) muszę go popierać (*głośno*) No Edmundzie, więc pojedziemy zaraz do Dąbrówki?

LEON (*nalegając*)

Tak, zróbcie to Panowie... wszak to zresztą jedyny mój warunek... a wszystkie wasze z góry przyjmuję, uprzedzę o tém Zarębę... No cóż dobrze?... jadę na przód... przygotuję wszystko i będę was oczekiwał w przeciągu jednej lub dwóch godzin... im prędzej tem lepiej...

HRABIA (*na stronie*)

W końcu to mi wszystko jedno (*głośno*) Dobrze.

LEON (*biorąc za kopelusz*)

Więc rachuję z pewnością?

HRABIA i JULIUSZ

Będziemy niezawodnie.

LEON (*klaniając się z grzecznością*)

Sługa Panów moich.

HRABIA i JULIUSZ (*klaniając się*)

Najniższy!

LEON (*chce wychodzić i powraca*)

Wybacz Pan, panie Moliński...

JULIUSZ (*obraca się*)

Co Pan każe?

LEON (*cicho do Juliusza*)

Hrabia wie o sekrecie?

JULIUSZ (*zdziwiony*)

O jakim sekrecie?

LEON (*tak samo*)

O nocnej historii?

JULIUSZ (*przestraszony*)

Co Pan przez to rozumiesz?

LEON (*przerzuciwszy*)

Zapewnie musi wiedzieć skoro ma w niej udział?

JULIUSZ (*przerazony*)

Udział?

LEON (*tym samym tonem*)

Naturalnie... przecież Panu dał konia.

JULIUSZ (*przychodząc do siebie*)

Ah prawda... zapomniałem był na śmierć... naturalnie... możesz Pan mówić śmiało... Edmund wie o wszystkim...

LEON (*głośno*)

Zapomniałeś?... już?... daj go katu!... jak Pan rzeczy serca lekceważysz... tylko nie zapominaj proszę żeś mi opowiedzieć obiecał... w Warszawie lub gdzieindziej... bo ja nie zapomnę.

JULIUSZ (*z uśmiechem*)

I ja także nie, bądź Pan pewny.

LEON.

Zabieram obietnicę... (*kłaniając*) więc do zobaczenia.

JULIUSZ i HRABIA (*kłaniając*)

I wkrótce.

(*Leon wychodzi*)

SCENA XI.

HRABIA JULIUSZ.

JULIUSZ (*patrząc za odchodzącym Leonem*)

No, i cóż o nim myśleć?...

HRABIA (*siadając na kanapie*)

Gaduła!

JULIUSZ

Tak, mówi za wiele... ale gdyby nie ta jego gadatliwość... byłbym przysiągł że to on mnie ostrzegł...

HRABIA (*opiera głowę na ręce*)

Nie wie nic.

JULIUSZ.

I pewny jesteś... że w nocy, gdyście wychodzili widzieć was nikt nie mógł? .

HRABIA (*bez poruszenia jakby myślał o czem innem*)

Nikt.

JULIUSZ

Zostawiłeś drzwi otwarte, bo tak je zastałem?

HRABIA

Otwarte.

JULIUSZ

Okna zamknięte?

HRABIA

Zamknięte.

JULIUSZ

Dwie świece się paliły, lampa...

HRABIA (*z niecierpliwością*)

No tak, tak, wszystko tak zostawiłem...

JULIUSZ

Na stoliku od pisania był list do Zenowicza.

HRABIA

A drugi do Zofii.

JULIUSZ.

Drugi?

HRABIA

No tak, drugi do żony, zapomniałem go zaadresować

JULIUSZ

Nie widziałem.

HRABIA (*wstając*)

Jakto, nie widziałeś listu mego do Zofii?

JULIUSZ

Nie.

HRABIA

Nie czytałeś go? . . . więc nie leżał na stole?

JULIUSZ

Może i był, alem go nie spostrzegł.

HRABIA

Muszę iść zaraz się przekonać (*chce iść*)

JULIUSZ

Czekajno . . .

HRABIA

Za jedną drogą przyniosę pistolety . .

JULIUSZ

Twoje pistolety? . . . ja je mam u siebie . . .

HRABIA

Wziąłeś je?

JULIUSZ

Tak jest — zabrałem je w nocy.

HRABIA

W nocy? a to na co?

JULIUSZ (*z prostotą*)

Na przypadek, gdybym cię nie był na czas dogonił
Edmundzie . . .

HRABIA (*z uśmiechem*)

Rozumiem — zabić mnie chciałeś.

JULIUSZ (*zimno*)

Nie wiem . . . może . . .

HRABIA (*z goryczą*)

Jeszcze czas . . . uczyni to . . . wyświadcysz mi łaskę!

JULIUSZ (*surowo*)

Nie bluźnij . . . niebo może na kogo innego to zdało!

HRABIA (*obojętnie*)

Tem lepiej!... w każdym razie muszę tego listu poszukać. (*chce wyjść*)

JULIUSZ

Ja tym czasem każę osiodłać konie... bo czas u-
pływa.

HRABIA (*zatrzymując się*)

Nie czyn tego Juliuszu — wolę jechać powozem.

JULIUSZ (*z troskliwością*)

Czy masz złe przeczucie?

HRABIA

Nie, lecz wolałbym jechać powozem.

JULIUSZ

Więc czujesz się zmęczony?

HRABIA

Moralnie — i bardzo!

JULIUSZ

Jednak konno byłoby bezpieczniej — wzięlibyśmy starego
Jakoba — ten nikomu nic nie powie — powiedz — cze-
mu nie chcesz jechać konno?

HRABIA

Bo ztamtąd ruszę dalej, tak jak miałem téj nocy
uczynić.

JULIUSZ

Jakto? ciągle masz więc ten zamiar Edmundzie?

HRABIA

Tak jest... bo tu mi zostać niepodobna... nie mogę
patrzeć w oczy twojej matce która wie o wszystkim i
mojej żonie...

JULIUSZ (*przerываяjąc*).

Matka wie wprawdzie... nie mogłem zrobić inaczej,
ale dała mi słowo, że nigdy o tem z tobą mówić nie
będzie... a Zofia nie wie o niczem... i kocha cię...

HRABIA

Kocha mnie!... a ja będę musiał oszukiwać ją co
dzień... co chwila... co słowo... nie, to niepodo-

bną!... takie życie jest nad moje siły... Ten pojedynek nastęrcza mi wyborczy pozór...

JULIUSZ (z mocą)

Nie, Edmundzie — ty nieodjedziesz!

HRABIA (gwałtownie).

Któż mi zabroni? ty może? ..

JULIUSZ (z godnością).

Nie, Edmundzie — ty sam sobie zabronisz! Nie, nie opuszczisz żony która cię tak kocha, bo krok ten byłby dla niej karą! W czymże ci zawiniła? Przez Boga, ty niespadłeś jeszcze tak nisko Edmundzie, byś chciał powiększać jeszcze wyrządzone jej krzywdy! nie, niewystawisz jej na potwarz... bo w oddaleniu twojem świat opuszczenie żony przez męża by widział!

HRABIA (nieruchomy jak statua).

Nie wiem — już nie nie wiem — może masz słuszość...

JULIUSZ (z przekonaniem).

Wierzaj mi drogi Edmundzie, że rady moje dobre... wszakże powrócisz?... co?...

HRABIA (nieruchomy).

I cóż potem?

JULIUSZ (smutnie).

Zobaczmy. Teraz czas myśleć o Dąbrowce... kąkę osiodłać konie... Jakób je tam potrzyma... dobrze?

HRABIA (nieruchomy).

Rób co chcesz.

JULIUSZ.

Idź więc do siebie... ja wezmę pistolety... a jak wszystko będzie gotowe dam ci znać... tylko nie bądź na siebie czekać... bo w podobnych razach to jak wiesz nie uchodzi (na stronie, odchodząc). Powiem matce aby wyjechała przed naszym powrotem...(wychodzi).

SCENA XII.

HRABIA (*sam, ogląda się*).

To mój dom?... i ci sami w nim ludzie?... i ja między nimi?... czy to tylko być może?... czy ja żyję?... Więc dzisiaj, to jak wczoraj... przedwczoraj? więc ani wola ani cierpienie, ani szczęście ani rozpacz, nawet ten pojedynek nie zmienił nic wcale?... Nic!... tak wszystko jest, jak było... a w głowie taki zamęt, że sprawy zdać sobie nieumiem z niczego!... Jedno tylko wiem... czuję... pragnienie... o! pragnę... i nic więcej!... Może ja zwaryowałem?... A z całej tej nocy jedno tylko zostało wspomnienie... które mię pali... męczy... rozrywa... a zarazem upaja... jakby mnie szczęście rozkoszy skrzydłem trąciło w przełocie!... (*jakby przebudzony*). Cóż ja to miałem robić?... po co miałem iść do siebie?... Ah prawda... szukać tego listu... muszę go zniszczyć kiedy znów mam powrócić!... Lecz zostać tu nie mogę... (*patrząc w koło siebie z przestachem*) nie... nie... bo się lękam... ona tak blisko mnie... (*z niespokojnością*) strach pomyśleć... a jeśli ją spotkam... nie!... tu żyć nie mogę... niech Juliusz mówi co chce... ten pojedynek będzie wyborną wymówką (*idąc ku drzwiom*) Ja tu już nie wrócę!...

(*Zofia wchodzi na lewo i zatrzymuje go*).

SCENA XIII.

ZOFIA, HRABIA.

ZOFIA (*z niespokojnością*).

Edmundzie! Zenowicz wyjechał w tej chwili... powiedz co to ma znaczyć? nie zostawiaj mnie w srogięj niepewności... proszę cię...

HRABIA (*ze znużeniem*).

Wyjechał do Warszawy... podobne sprawy załatwiają zwykle przyjaciele stron obu...

ZOFIA.

Więc będzie pojedynek?

HRABIA.

Nie lękaj się Zofio... nie mówię tego wcale... spodziewam się nawet że do tego nie przyjdzie... bo w istocie było to tylko szaleństwo z jego strony... nie więcej...

ZOFIA.

Prawdę mówisz Edmundzie... Ten postępek dowodzi szaleństwa... on nawet wyglądał jak waryat przy tej deklaracji... i oświadczać się... tutaj... ni ztąd ni z owąd... kiedy nigdy żadnem słowem nie upoważniałam go do takiego kroku... ani ośmieliłam choćby tylko wejrzeniem...

HRABIA (*znużony*).

Tylko nie uniewinniaj się, zaklinam; bo to dla mnie zbyteczne... a nawet bolesne...

ZOFIA (*ze słodyczą*).

O ja wiem żeś ty najlepszy z mężów... że mi ufasz bez granic!... lecz jakże myślisz że się ta sprawa skończy?

HRABIA (*z kłopotem*).

Jak?... no... widzisz... musi rzecz naprawić... przeprosić... ciebie... którą obraził... przy świadkach... sądzę że to uczyni...

ZOFIA (*pieszczotliwie*).

Niech tylko ciebie przeprosi Edmundzie... ja mu wszystko daruję... żebyś ty się tylko dla mnie nie narażał... bo tej myśli Edmundzie, widzisz znieść nie mogą...

HRABIA.

Uspokój się Zofio... mam nadzieję że to dobry weźmie obrót.

ZOFIA.

I ja także mam nadzieję... ja przypuścić nie mogę abym była powodem krwawego spotkania... abym cię narażała na niebezpieczeństwo, ciebie, mój drogi, któryś mnie zawsze tak kochał, któryś nigdy w życiu

na najmniejszą z méj strony nie zasłużył wymówkę...
ah! to byłoby okropne!

HRABIA (*na stronie*).

To nad siły! (*głośno*) Zofio... droga Zofio... nie lękaj się... zaklinam... Ale opuszczam cię (*z obłąkaniem*) bo... bo... przebrać się muszę...

ZOFIA.

Ah prawda — zapomniałam żeś ty jeszcze bez śniadania... pójdz, herbata gotowa...

HRABIA.

Dziękuję ci, bo widząc że się spóźnię na wasze śniadanie, piłem kawę u ekonoma w Lipkach.

ZOFIA (*smutnie*).

I my także się nie zeszli jak zwykle na śniadanie... z powodu Ireny...

HRABIA.

Ireny?...

ZOFIA.

O bardzo chora biedaczka!...

HRABIA (*z żywością*).

Co?... Irena chora? a Juliusz mi powiedział że zdrowsza niż wczoraj!...

ZOFIA.

To też dziwno mi było żeś mi się dotąd o jój zdrowie nie spytał... przypisywałam to téj nieszczęśliwej historii... a to tymczasem Juliusz...

HRABIA.

Jakże? czy Juliusz nie wie że jego siostra słaba? posłałaś po doktora?

ZOFIA.

Wie on dobrze, ale zapewne umyślnie ci powiedział że zdrowsza, bo chce koniecznie żeby jeszcze dzisiaj jechała z Mamą do Warszawy...

HRABIA.

Dzisiaj? . . . będąc tak słabą? . . .

ZOFIA.

Matka moja, a Juliusz bardziej jeszcze, boją się niesłuchanie o jej zdrowie, do tego stopnia, że ją prawie gwałtem zabierają . . . bo ona nie chce jechać...

HRABIA (z radością).

Nie chce jechać powiadasz? (na stronie) więc kocha mnie zawsze!

ZOFIA.

Nie chce, mówiła do mnie przed godziną: Zosiu wypędzasz mnie... ah pozwól mi umrzeć w tym domu!...

HRABIA (z żywością).

O Boże! tak mówiła Irena? cóż ty? . . . cóż ty na to?

ZOFIA (ze wzruszeniem)

Ja? ze łzami prosiłam Matki i Juliusza . . . żeby nie jechali . . . te słowa wskrós mnie przeszły . . . ja miałabym ją wypędzać? . . . ja, moją drogą Irenię wypędzać od siebie? . . . prosiłam ich jakby o największą łaskę żeby mi jej nie zabierali . . . Byli nieubłagani!.. A wystaw sobie Edmundzie teraz co już wstała i położyła się na kanapie, teraz przed chwilą, znów słyszałam jak z płaczem do nich mówiła: Nie, ja nie pojadę... miejcie choć trochę litości nademną . . . pozwólcie mi tu umrzeć . . . w tym domu . . . ja rozstać się z nim nie mogę . . . (płacząc) serce się krajało Edmundzie!

HRABIA (ze złością na stronie).

Męczą ją za to że mnie kocha . . . biada im! (głośno) Chcą ją więc zmusić do wyjazdu? . . . z mego domu? . . . Nie jestem ja już w nim panem? . . . jak Bóg żyw!... zobaczemy! . . .

ZOFIA (ze słodyczą).

Ależ oni pragną jej dobra Edmundzie! obawiają się że jeśli tu zostanie...

HRABIA (*przerzywa*).

Nie będzie miała doktorów?... co?... sprowadzę ich z całego świata!... lub że jej braknie starania?... (*z próśbą*) to przecie ty ją będziesz pielęgnować Zosiu?... nie prawda, że otoczysz biedną siostrę wszystkimi skarbami twego przywiązania... będziesz czuwać nad nią. O nie prawdaż, że musi się tak stać jak ona sobie życzy (*z siłą*) Nie wyjedzie!

ZOFIA.

Tak, tak, drogi mężu, będziemy ją pielęgnować oboje... byłam pewna i mówiłam im, że jak ty przyjedziesz, nie będę ich potrzebowała prosić... bo wiem jak ty kochasz to dziecko... moją lubą Irenię... wiedziałam że nie pozwolisz jej dręczyć... kiedy taka chora...

HRABIA (*z egzaltacją*).

Nie pozwolę! przysięgam na Boga!...

ZOFIA (*całując go*).

Ten Edmund kochany! (*po chwili*) Zważaj tylko że taka wola matki, jeśli ona każe, Irena musi słuchać. Ale wiesz co, w takim razie pojedziemy z nią razem do Warszawy? dobrze?...

HRABIA (*na stronie*).

Razem! (*głośno*) Tak... zapewne... (*na stronie ponuro*) Oh to przeznaczenie!

ZOFIA.

Edmundzie, gdybyś ty poszedł ze mną powiedzieć jej o tem?... to nawet na jej zdrowie mogłoby dobrze wpłynąć... ten przymus nie będzie ją tak drażnił (*biorąc go za rękę*) pójdźmy do niej, zobaczysz jaka ona blada... zmieniona!...

HRABIA (*na stronie z radością*).

Widzieć ją!... co za szczęście! (*głośno*) Pójdźmy Zosiu! (*zatrzymuje się nagle*).

ZOFIA (*ciągnąc za rękę*).

I tak nie widziałeś jej jeszcze dzisiaj... ona się już pytała o ciebie... chodź...

HRABIA *(na stronie ponuro)*.

Co ja robię? gubię ją i siebie! *(głośno)* Ależ bo ja nie byłem nigdy w pokoju Ireny? . . . niewiem czy iść mogę? . . .

ZOFIA.

Cóż to szkodzi? . . . dla czegoż byś iść nie miał kiedy chora? . . . Ona tak się ucieszy . . . jak cię zobaczy . . . i usłyszysz . . . chodź! . . . chodź! . . .

HRABIA *(na stronie)*.

Ucieszy się! niech świat przepadnie! *(głośno)* Chodźmy więc.

(idź do drzwi na lewo z których właśnie wychodzi służący i staje we drzwiach).

SCENA XIV.

SŁUŻĄCY, ZOFIA, HRABIA,

SŁUŻĄCY *(we drzwiach)*.

Szukałem Jaśnie Pana, pan Moliński kazał powiedzieć że go czeka.

HRABIA.

Aha . . . prawda . . . dobrze . . . zaraz idę . . .

ZOFIA *(do służącego)*.

Gdzież mój brat?

SŁUŻĄCY.

Na koniu czeka tu o kilka kroków, Jaśnie Pani, przed pałacem.

(wychodzi).

SCENA XV.

ZOFIA, HRABIA.

HRABIA *(jak obłąkany)*.

(na stronie) Już na koniu! *(głośno)* Bądź zdrowa Zofio... muszę cię opuścić . . . na chwilę . . . muszę koniecznie . . .

ZOFIA (niespokojna).

Musisz? ... koniecznie? ... Gdzież ty jedziesz? ...

HRABIA (nie wie co mówi).

Nigdzie ... tak ... przejechać się chcieliśmy ...
wrócę nie długo ... na obiad ... (wychodząc) z pewno-
ścią powrócę! ... (wybiega drzwiami szklanymi).

SCENA XVI.

ZOFIA, (sama).

Cóż to znaczy? ... chcą się przejechać? ... coś
w tem jest ... on niepowiedział prawdy ... taki był
pomieszany ... (idzie do drzwi w głębi) Boże co ja wi-
dzę ... Jakób trzyma skrzynkę ... to pistolety ...
(otwiera drzwi i woła) Edmundzie! ... Edmundzie! ...
zatrzymaj się, na Boga! (z rozpaczą) nie słyszy mnie! ...
odjechał! ... (wraca chwilejąc się) Edmund strzelać się
będzie ... i strzelać się o mnie! (pada na krzesło).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Salon — dekoracya ta sama co w akcie pierwszym.

SCENA I.

IRENA, *potém P. MOLIŃSKA.*

IRENA,*) (wychodzi z drzwi po prawej stronie, idzie wolno na-
scenę ku drzwiom w głębi, zatrzymuje się, spogląda
w około siebie, i mówi słumionym głosem.)

W tem miejscu klęczał wczoraj o téj dobie... tu
zostanę...

P. MOLIŃSKA (wychodząc z tych samych drzwi)

I cóż Ireno?

*) W białym reanym aslafrocaku.

IRENA (*idąc ku sofie*)

Za słabą się czuję... chciałam wyjść przed pałac na świeże powietrze... ogrzać się trochę na słońcu... (*siadając*) nie mogę.

P. MOLİŃSKA.

Nie masz dość siły moje dziecię?

IRENA.

Widzisz droga matko, że ani myśleć o wyjeździe.

P. MOLİŃSKA (*na stronie*)

Cóż tu z biedną robić! (*głośno*) Jednak, gdybyś....

IRENA (*przerzywa z drażliwością*)

Nie, o nie zmuszajcie mię... Zlitujcie się nademną... (*kładzie się na sofie.*)

P. MOLİŃSKA (*z troskliwością*)

Może przejdiesz do salonu... byłoby ci wygodniej

IRENA

Dziękuję, mnie tylko spokojności potrzeba. Zostaw więc matko samą, ja usnę.

P. MOLİŃSKA

Jak chcesz... ja będę niedaleko — w salonie...

IRENA

Jakaś ty dobra Mamo!

(*P. Molńska wychodzi przez portierę*)

SCENA II.

IRENA (*sama, chwilę milczy, potem słabym głosem*)

Tutaj, tu, wyznał mi swoją miłość... o jakże rada przebywam w tem miejscu... już go się nie lękam jak pierwój... tak mi tu dobrze... takam spokojna!... Wszystko się zmieniło z nadzieją rychłego końca... (*chwila milczenia*) Gdzież Zosia?... tak dawno jak odeszła... jój obecność była mi wprzód przykrą — teraz chciałabym zawsze być przy niej... Jój troskliwość była mi przedtem cierpieniem... dziś jój starania są balsamem dla serca... A on... Edmund... tak długo nie wraca... (*głośniej*) Jego widok może... (*kasze i znów słabym głosem*) Nie... nie... wszystko stę zmieniło... wszystko... ja nawet sama... (*głowa opada jój na poduszkę, zdaje się jakby usnęła*)

(*Zofia wchodzi na lewo*)

SCENA III.

IRENA, ZOFIA. *)

ZOFIA

Usnęła!... (*wskazuje na drzwi lewe*) Od godziny jak przykuta siedzę tam przy oknie... skąd naprzód spostrzedzbym go mogła... Gdybym go też ujrzała ranego... gdyby go nieśli... oh! ja tego nie przeżyję! Boże! ty tego niedozwolisz... w Tobie jedyną pokładam nadzieję — czuwaj nad nim Panie!... Odejść musiałam... bo jakże matce to nieszczęście powiedzieć... ona już tak Irenią zmartwiona!... (*patrzy na Irenę*) Biedna... jak ciężko oddycha... przytem ciągle gorączka. Niewspomniałam jej nawet jeszcze o Edmundzie... ani o tém cośmy uradzili... pytałaby gdzie jest... widzieć by go chciała... a i dla niej coś to za cios okropny... może jej nawet ten Zenowicz podobać się potrafił... wczoraj zdawało mi się, że nim była na prawdę zajęta... zresztą czy nie dość, że Edmund w niebezpieczeństwie... czyż ją los jego nie obchodzi!...

IRENA (*kasze i otwiera oczy*)

Czy to ty Zosiu?

ZOFIA (*zbliża się*)

Spałaś Ireniu?

IRENA

Nie — ale marzyłam jak we śnie...

ZOFIA

O czemże siostruniu? (*na stronie*) spróbuję ją rozerwać.

IRENA (*na stronie*)

A gdybym też wszystko przed nią wyznała? (*głośno*) Dziwny bardzo sen miałam.

ZOFIA

Opowiedz mi go Ireniu, proszę cię... jeśli cię to nie męczy (*bierze małe krzeselko pod nogi i siada na nim przy sofie*)

IRENA

Zobaczę. (*do siebie*) Czuję że mi to ulży. (*głośno*) Zdawało mi się, wystaw sobie Zosiu, że żyłam w zaczarowanym pałacu, w którym widziałam szczęście dwóch kochających się istot... Szczęście ich było wszędzie...

*) Zofia ubrana jak w akcie przeszłym.

w powietrzu którym oddychałam... tak mi też lubo było... tak wciągałam całą pierśią te technienia rozkoszne... niewypowiedziane... Zwolna... *(zatrzymuje się)* ty nie słuchasz siostró?...

ZOFIA *(jakby przebudzona)*

Słucham, słucham cię Ireno *(na stronie)* o jakże czas powoli się wlecze *(głośno)* mówiłaś... że zwolna...

IRENA

Tak — zwolna, jakieś pragnienie, którego ani opisać, ani wytłumaczyć nie zdołam... jakaś żądza niepojęta... a przecież bolesna, jakby wyrzut sumienia, jakieś pragnienie owionęło całą moją istotę, otoczyło mnie biedną jakimś ciemnym i ponurym obłokiem... I to samo powietrze... owa atmosfera dawniej tak czysta... tak ożywcza... luba... przechodząc przez tę lekką zaporę... stawiała się suchą... palącą... zabójczą... Uczułam wtedy... *(zatrzymuje się i patrzy na Zofię która daje znaki niespokojności)* Ty nie słuchasz Zosiu?

ZOFIA *(na stronie)*

Jakże trudno ukrywać męczarnie! *(głośno)* Nie zważaj na mnie Ireno... ja słucham... nerwy moje jakoś dzisiaj nie statkują... mów dalej, proszę cię...

IRENA

Uczułam więc wtedy nieugaszone pragnienie... jakby wiecznie trwać miało... ścinały mi się usta... płuśca żar wysuszał... całych sił dobywałam aby tchu nie brakło... *(przerzywa jęj kaszel)*

ZOFIA

Sen skutkiem był choroby, kochana Ireno...

IRENA *(ciągnąc dalej)*

A oddech w ogień się zmieniał, gdy serca dotykał... a oddychałam ciągle... i jeszcze.. i jeszcze.. choć czułam, że mnie rozrywa... i wkrótce mnie spali... Nagle przyszło technienie silniejsze od innych... jakby przecucie nieznanego mi szczęścia... buchnął płomień i olśnił jakby błyskawica... poczem niezmierna boleść... a nareszcie odpoczynek... śmierć... *(kaszle gwałtownie)*

ZOFIA *(ściskając ją)*

Nie mów o śmierci Ireno, oh nie mów o śmierci za-

klinam cię! (*na stronie*) Ona mówi o śmierci — on tam kona może!.. litości Panie, litości! (*placze*)

IRENA (*z czułością*)

Zosiu! co tobie?.. powiedz... ty cierpisz?

ZOFIA (*boleśnie*)

O tak cierpię nad wszelki wyraz!.. nad pojęcie ludzkie!..

IRENA (*przestraszona*)

Powiedz... powiedz... co ci jest na Boga?.. jakakolwiek twa boleść... podziel się nią ze mną.

ZOFIA (*nie powściągając się więcej*)

Dzięki ci droga siostró... dzięki ci, bo upadam sama pod ciężarem... on za wielki dla mnie... (*wstaje*) Ireno!... Edmund ma pojedynek w tej chwili...

IRENA (*podnosząc się*)

O Nieba! co słyszę?

ZOFIA (*z rozpaczą*)

Tak jest — Edmund strzela się w tej chwili z Zenowiczem!...

IRENA (*staje*)

Boże! Edmund strzela się... i strzela się o mnie!
(*pada w objęcie Zofii*)

ZOFIA (*zdziwiona*)

Jakto? co mówisz? Ireniu! o ciebie?...

IRENA (*w obłękaniu*)

O mnie... bo ty nie wiesz siostró że ja kocham...

(*Wchodzi p. Molińska*)

SCENA IV.

P. MOLIŃSKA, IRENA, ZOFIA.

P. MOLIŃSKA (*wchodząc*)

Cóż to wam moje dzieci?

ZOFIA (*na stronie*)

Nieszczęsna cóżem zrobiła! ona kocha Zenowicza!

P. MOLIŃSKA (*z przestraczem*)

Cóż się stało? mówcie na miłość pana Boga!...

ZOFIA

To moja wina matko... powiedziałam Irenie że Edmund ma pojedynek...

P. MOLIŃSKA (*przerywa*)

Wiem o tém.. lecz właśnie co powrócił.. widziałam przez okno...

IRENA.

Żyje!!!

ZOFIA (*składając ręce*)

Wysłuchałeś mnie Boże!

P. MOLIŃSKA (*na stronie*)

Byle jój tu nie zastał (*głośno*) Ireniu ty upadasz... pójdz do twego pokoju... ty się musisz położyć... zażyć na wzmocnienie... chodź ze mną, moje dziecię... proszę cię...

ZOFIA (*do siebie*)

Moja biedna Irena! ja się cieszyć nie śmiem! (*obiedwie wyprowadzają Irenę na prawo, Zofia idzie ostatnia — za nią wyszła, Hrabia ukazuje się w głębi — Zofia biegnie i rzuca mu się w objęcia*) Edmundzie!

HRABIA (*ściska ją*)

Zofio!

(*milczenie*)

SCENA V.

HRABIA, ZOFIA, potem JULIUSZ *)

ZOFIA (*z czułością*)

To ty? ah! to ty drogi mój Edmundzie!... przecież cię znowu widzę... i do serca przyciskam... ja uwierzyć szczęściu memu nie mogę.. To ty.. mój mężu.. nie prawdaż... nie jesteś ranny?

JULIUSZ **) (*który wszedł za Hrabią*)

Nie, nie, bądź spokojna, włos nie spadł mu z głowy i honor pomszczony.

ZOFIA

Jakiś ty dobry mój Boże! (*przechodząc do Juliusza ***)*)

*) Hrabia & Juliusz ubrani jak w akcie przeszłym..

**) Juliusz, Hrabia, Zofia.

***) Juliusz, Zofia, Hrabia.

mój Juliuszu! *(całuje go)* . . . A cóż dzieje się z tamtym... z Zenowiczem?...

JULIUSZ

Zenowicz dosyć niebezpiecznie ranny...

ZOFIA *(z przestrachem)*

Lecz przecie nie śmiertelnie?...

JULIUSZ

Mam nadzieję że nie. Zostawiliśmy Jakóba żeby natychmiast nam doniósł co powie chirurg jak go opatrzy.

ZOFIA

Biegnę zaraz uspokoić Irenę.

JULIUSZ *(zdziwiony zatrzymując ją)*

Irenę? czemu Irenę? . . . czy ona wiedziała o tem?

ZOFIA

Wiedziała niestety! . . . Nie mogąc utaić méj niespokojności, byłam dosyć okrutną, aby jéj powiedzieć, że Edmund pojedynkuje się z Zenowiczem . . . wtedy ona rzuciła się w moje objęcia mówiąc że to za nią . . .

HRABIA *(uderzony)*

Za nią?

ZOFIA

I dodała jeszcze: bo ty niewiesz że ja go kocham... wtem weszła matka . . . ale nie trudno domysleć się reszty . . . Biedaczka pokochała Leona . . . kiedy tak nagle wyjechał, myślała może, że ją opuszcza . . . że Edmund wskutek jakiejś rozmowy wyzwiał go . . . to do ciebie podobne Edmundzie . . . z resztą alboż ja wiem co myślała . . .

JULIUSZ *(na stronie)*

Opatrzność nad nią czuwa!

HRABIA

I pewnie te wstrząśnienia pogorszyły jeszcze stan jéj zdrowia?

ZOFIA

Zapewne . . . to też sobie darować nie mogę . . . ale byłam taka nieszczęśliwa! . . . nie gniewaj się na mnie! . . . zobaczysz, pobiegnę zaraz do niéj, powiem żeś ty wrócił . . . że Zenowicz żyje . . . dodam jéj nadziei . . . powtórzę także to, coś mi przyobiecał . . . *(do Juliusza)* Tak, tak, bracie mój, rób co chcesz, Irenia zostanie u nas, albo pojedziemy z nią razem do Warszawy! . . .

*(wybiega na prawo — Juliusz w osłupieniu —
Hrabia rzuca się na sofę po lewej stronie)*

SCENA VI.

HRABIA, JULIUSZ.

JULIUSZ *(na stronie)*

Teraz między nami sprawa! *(głośno)* Czy prawda, że to przyrzekłeś Edmundzie?

HRABIA *(zimno)*

Prawda.

JULIUSZ *(hamując się)*

Więc ty nie wierzysz w Boga kiedy sobie z gniewu Jego tak żartujesz? . . . Jaktó, więc w chwili gdyś uniknął śmierci, a co więcej jeszcze hańby . . . śmiesz podniecać w sobie występne płomienie! . . . Jaktó, więc wtój samej chwili, w której on cię ratuje, ty, z zimną krwią chcesz zatrzymać w swym domu dziewczynę którą o mało co że nie wtrąciłeś w otchłań zbrodni i bezwstydu? . . .

HRABIA *(zimno)*

Ona nie chce jechać.

JULIUSZ *(z mocą)*

Ona musi jechać!

HRABIA *(z ogniem)*

Ty jój nie przymusisz!

JULIUSZ

Przymuszę! — choćby nawet śmiercią przypłacić to miała . . .

HRABIA *(wstając nagle)*

Kto? . . . ty . . . przymusisz? tu? . . . w moim domu? . . . nieważając na jój życie? . . . Ja? . . . *(trzęsąc się od gniewu)* Nie mów tego! . . . nie mów tak Juliuszu! . . . bo bym się mógł zapomnąć . . .

JULIUSZ *(z godnością)*

Ja jestem panem siebie . . . bo chociaż cię potępiam, lituję się nad tobą . . . i jeszcze nie straciłem dla ciebie szacunku . . . *(Hrabia pada na sofę)* Wypocznij sobie trochę . . . chciej rozważyć spokojnie, a zobaczysz sam drogę jaką obrać należy.

HRABIA (z goryczą)

Drogę?... jedną tylko mam przed sobą... drogę ratunku a ta jest w ucieczce... Juliuszu, nie stój mi na przeszkodzie!

JULIUSZ (z prostotą)

Powiedziałem ci już, że tym sposobem żonę na potwarz wystawiasz.

HRABIA

Ten pojedynek nastęczy i tak obszerne pole do obmowy.

JULIUSZ

Zenowicz za nadto ma szlachetne uczucia, aby nie miał w potrzebie całej wyznać prawdy... a ludziom którzy mu uwierzyć nie zechcą, winienś zamknąć usta żyjąc razem z Zofią...

HRABIA

A gdyby umarł Zenowicz?... gdyby mnie ścigano?..

JULIUSZ

Zapomniałeś, że każdy z was miał przy sobie świadectwo samobójstwa, własną podpisaną ręką... które wszelkie dochodzenia w tej mierze niweczy...

HRABIA (zgnębiony)

Prawda... zapomniałem!

JULIUSZ

Nieźmiernie wdzięczny byłem Zarębie za tę ostrożność, jakkolwiek mam nadzieję że nie będzie potrzebną. Wiesz więc Edmundzie, rozum i sumienie nakazują ci..

HRABIA (wstając nagle)

Mnie serce rozkazuje!.. ono silniejsze nad wszystko!.. ono woła, że tutaj żyć nie mogę... nie mogę zdradzać żony... żony która mnie kocha... której każde słowo, spojrzenie, pieszczota, są najcięższym wyrzutem... najsroższą męczarnią!.. Serce mi wskazuje, że nie potrafię żyć tutaj, unikając kobiety, którą kocham tak szalenie... że światy i morza rozdzielić nas powinny!... Juliuszu, stanie się jakieś wielkie, nieprzebrane nieszczęście!.. Czy się ty nie boisz? Nie wstrzymuj mnie, nie wstrzymuj! Pamiętaj że lada dzień mogę zostać o-darty ze czci i honoru! że co chwila palcem wytykać mnie mogą jako najpodlejszego na świecie człowieka! Bo jest ktoś, i jest żywy, ten co zna moją miłość...

bo masz ot tu, przy sobie... masz czarno na białem : Edmund kocha Irenę!... Czyś ty o tem zapomniał?... (z prośbą) bądź dla mnie sprawiedliwy... nie wstrzymuj mnie, nie wstrzymuj!...

JULIUSZ (rozczulony)

Masz rację Edmundzie, oh co to za nieszczęście! ale uspokój się.. uspokój...

(Służący wchodzi w głębi)

SCENA VII.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY (przy drzwiach)

Masztalerz Jakób chce się widzieć z Jaśnie Panem?

JULIUSZ (na stronie)

Już wrócił?

HRABIA

Niech wejdzie.

(Służący wychodzi)

SCENA VIII.

HRABIA, JAKÓB, JULIUSZ.

JULIUSZ

A cóż Jakóbie?

JAKÓB (przy drzwiach)

Pan Zenowicz umarł.

HRABIA i JULIUSZ (razem)

Umarł!

JAKÓB

Tak panie Hrabio, skonał w pół godziny po pańskim odjeździe. Stósownie do rozkazu, zaraz wsiadłem na konia i pędziłem co siły. Oto jest list który pan Zaręba kazał oddać panu Molńskiemu.

(podaje list)

JULIUSZ (bierze list — idąc po lewej stronie naprzód sceny)

Biedny młodzieniec!

HRABIA (zbliża się do Jakóba)

Dziękuję ci poczciwy Jakóbie! (kładąc palec na ustach) wiesz?...

JAKÓB

Wiem Jaśnie Panie. *(wychodzi)*

SCENA IX.

HRABIA, JULIUSZ.

JULIUSZ

Ot co pisze Zaremba: *(czyta)* „W téj chwili biedny „mój przyjaciel ducha wyzionął. Kula za głęboko tkwi-
„ła w piersiach. Nie odzyskał na chwilę przytomności.
„Wszystko skończone. Przed światem Leon Zenowicz
„to szaleniec, który sobie w skutek nieszczęśliwej miłości
„życie odebrał. Zanim panowie przybyli, Leon oddał
„mi list, i kazał przysiądz, iż w razie śmierci odeszlę
„podług adresu. Posyłam go więc Panu, pewnym bę-
„dąc, że wypełnisz chętnie ostatnią wolą zmarłego.
„Łączę wyraz...” *(dobywa list z tej samej koperty)* A to
rzecz szczególna! *(czyta)* „Do Panny Ireny Molińskiej” —
Do mojej siostry?

HRABIA *(przystępując z żywością)*

Do Ireny?

JULIUSZ *(pokazując list)*

Patrz...

HRABIA *(chce wziąć)*

Nie trzeba go oddawać! kto wie co zawiera?

JULIUSZ *(cofając list, zimno)*

Przeciwnie — oddać trzeba, bo to ostatnia wola czło-
wieka, który już nie żyje... Oddać trzeba zaraz, bo
to nowy dowód dla twój żony... *(dzwoni)* Utwierdzi ją
w domysłach...

(Służący wchodzi w głębi)

SCENA X.

CIŻ SAMI, SŁUŻĄCY *(u drzwi)*

JULIUSZ *(do służącego)*

Oddaj list ten pannie Irenie do rąk własnych.

SŁUŻĄCY

Czy zaraz?

JULIUSZ

Natychmiast.

(Służący wychodzi na prawo)

SCENA XI.

JULIUSZ HRABIA.

JULIUSZ (*wracając na przód sceny do Hrabiego po-
grążonego w myślach*)

Zabiłeś więc Edmundzie tego odważnego i szlache-
tnego młodzieńca!

HRABIA

Będziesz mi wyrzucał śmierć jego?

JULIUSZ

Nie wyrzucam ci śmierci — ale żal mi go szczerze.

HRABIA

Przecież widzieć musiałeś, że na głos komendy od-
wróciłem się i strzeliłem nie patrząc...

JULIUSZ

Widziałem bardzo dobrze — aleś trafił i zabił...

HRABIA

To fatalność...

JULIUSZ (*przerwywając*)

Nie Edmundzie! to nie jest fatalność!... Nie ukazu-
jeż się w tem wszystkim wyraźny palec Boży? Wra-
casz do domu i zastajesz znieważoną żonę... wycho-
dzisz zeń i zabijasz człowieka!... nie są to straszne
następstwa twój namiętności! karze cię Bóg... ale cię
nie chce zgubić... Patrzaj na te wyrazy (*pokazuje list*)
patrzaj... otóż co świat orzeka: Leon Zenowicz jest
szaleńcem, który sobie w skutek nieszczęśliwej miłości
życie odebrał. — A gdy nad honorem twój żony opatr-
ność tak czuwa, czy nie położysz w niej twego zaufa-
nia? Wierz mi, oddaj jej staranie o resztę... ona po-
trafi usunąć lub zmusić do milczenia świadka twego
występki Edmundzie!

HRABIA (*pognębiony*)

Cóż więc mam czynić?... powiedz?...

JULIUSZ

Zostać tutaj — i zezwolić na wyjazd Ireny.

HRABIA

Jak chcesz bym przyrzekł to, czego dotrzymać na-
przód wiem, że nie potrafię?.. O ty nie znasz miłości!..

ty jej nie rozumiesz! (z ogniem) Jako?... chcesz abym wiedząc, że ona tam umiera w Warszawie siedział tutaj spokojnie?... abym nie leciał ku niej?... O przysięgam ci...

JULIUSZ (zatrzymując go)

Nie przysięgaj Edmundzie!... bo gdybyś to uczynił... gdybyś przybył za nią do Warszawy... ja bym cię nazwał podłym!

HRABIA (z gniewem)

Kiedy tak, więc jestem podłym... chcę nim być!...

JULIUSZ (zapalając się)

Na mnie kolej... nie mów tego Edmundzie... nie mów tak... bo wtedy... wtedy... zabić bym cię musiał...

HRABIA (z wściekłością)

Zabić byś mnie musiał?... O zabij! zabij mnie Juliuszu, błagam cię, zabij tysiąc razy... ale nie żądam po mnie tego, co nad moje siły!... Bo ja kocham ją widzisz, ja nie mogę jej powiedzieć, pójdź precz, pójdź precz Ireno... Bo ona mnie kocha, rozumiesz, ona mnie kocha, więc nie może odjechać...

(Podczas gdy Hrabia mówi, Irena w ubiorze podróżnym weszła po cichu po prawej stronie i stanęła między Juliuszem i Hrabią).

SCENA XII.

JULIUSZ. IRENA, HRABIA.

IRENA

Juliuszu! Edmundzie! bracia moi!

JULIUSZ i HRABIA (cofając się)

Irena!

IRENA (słabym głosem)

Juliuszu idź do matki... wyjeżdżamy natychmiast.

HRABIA

Co słyszę?

JULIUSZ (zdziwiony)

Któż cię zdołał nakłonić?

IRENA

Moja własna wola. Idź, zostaw nas samych.

JULIUSZ (*wahając się*)

Ależ siostró!...

IRENA

Rozumiem... boisz się o mnie... idź, idź spokojnie bracie, nie masz się czego lękać, wierzaj mi... Śmierć Leona skłania mnie do wyjazdu. (*z gorzkim uśmiechem*) Wszak wiecie, że kochałam tego młodego człowieka... W tej chwili powiedziałam Zofii, że idę pomówić po raz ostatni z tym z którego ręki zginął. (*idzie i siada na sofie*).

HRABIA (*z rozpaczą*)

Po raz ostatni!...

JULIUSZ

Czynię co każesz siostró.

(*wychodzi na prawo*).

SCENA XIII.

IRENA, (*siedzi*) **HRABIA** (*stoi bez poruszenia*)

IRENA, (*na stronie*)

Boże! dodaj mi siły! pozwól spełnić tę ofiarę. (*głotno*)
Słuchaj mnie Edmundzie.

HRABIA (*zbliżając się*)

Ireno!

IRENA (*podając mu list*)

Poznajesz ten list?

HRABIA (*biorąc list*)

O Nieba! list do mojej żony?

IRENA (*z prostotą*)

Czyni on ci zaszczyt Edmundzie — dowodzi, że masz wielkie i szlachetne serce. Zofia powinna cię kochać boś godny jej miłości.

HRABIA (*przygnębiony*)

Przebac mi, przebac Ireno...

IRENA (*ze słodyczą*)

Przebaczyć? ja? tobie? czyż nie wiesz, że przeciw mnie zawinić nie możesz? (*podając drugi list*) a ten czy poznajesz?... weź...

HRABIA (*biorąc list*)

Tego nie znam.

IRENA

Czytaj... czytaj głośno — rzadkie to na świecie dyktowało go serce...

HRABIA *(czyta)*

„Kiedy Pani list ten odbierzesz, już mnie nie będzie na świecie. Piszę go do Ciebie — bo Ciebie jedną o-brazilem. Ja to byłem świadkiem chwilowego Pani za-pomnienia i ostrzegłem jej brata.“ *(przerwywając czytanie)* Jako? więc Zenowicz...

IRENA

Czytaj tylko dalej...

HRABIA *(czyta)*

„Przekonany o twej niewinności, postępек mój poczy-tuję sobie za zasługę i śmiem Cię prosić o przebacze-nie mi obraży. Wmieszałem Cię Pani w intrygę ja-kiej nie omieszka nigdy prawie zawiązać młody czło-wiek, skoro los go postawi w obec dwóch pięknych kobiet. Po wyjeździe waszym wszedłszy do pokoju „Hrabiego“... *(przerwywa)* Więc mnie szpiegował... *(czyta)* „przeczytałem list, który pisał do żony“... *(przerwywa z wybuchem)*. Ależ to podłość!...

IRENA.

Jak skończysz... będziesz sądził...

HRABIA *(czyta)*.

„i postanowiłem ją ocalić. Aby odwrócić uwagę po-„wszechną narobiłem sobą hałasu. Spodziewam się że „krok ten odpowiedział celowi. Jeżeli Hrabina Zofia „niedowie się nigdy o tem co się stało, będzie to moją „najpiękniejszą pośmiertną nagrodą; jeżeli mi nigdy „zniewagi nieprzebaczy, będzie to słuszną karą przy-„wiązaną do mego wspomnienia. Posyłam Pani list „hrabiego pisany do żony“... *(przerwywa z gniewem)* O te-go już nadto!...

IRENA *(przerwywając)*

Czytaj tylko!...

HRABIA *(gwałtownie)*.

Nie chcę wiedzieć nic więcej!...

IRENA.

Edmundzie! przeczytaj list ten do końca... proszę cię...

HRABIA (czyta).

„W nim spoczywa rękojmia jój szczęścia w razie „gdyby jakim sposobem tajemnica wydała się po méj „śmierci. W twoje ręce składam ten dowód, bo znam „szlachetne twoje serce. Chwilową lekkość i występna „ciekawość, okupuję ofiarą mego życia; może i ty Pani „mi przebaczysz.— Leon Zenowicz.“ (z gniewem) Więc to on jest przyczyną mego nieszczęścia przesyłając ci list do Zofii . . . Niechaj będzie . . .

IRENA (przerywając z żywością).

Edmundzie!

HRABIA (podobnie).

O, ja go prze . . .

IRENA. (podobnie).

Ja go błogosławię . . . to coś chciał powiedzieć było zbrodnią Edmundzie . . . Błogosławić trzeba serce tak szlachetne, wspaniałe . . .

HRABIA (przerywając).

Chcesz abym błogosławił pamięć człowieka co mnie zdradził . . .

IRENA (kaszłąc)

Nie przerywaj mi Edmundzie . . . słabą jestem . . . wiele mówić niemogę . . . Człowiek ten, wskazał mi drogę prawą odsłaniając przedemną miłość twą ku żonie. (z powagą) Bóg chciał nas od upadku uchronić skoro dozwolił byś miłość ku Zofii w twem sercu przechował. Człowiek ten, krwią zbroczony stanął między nami . . . Czy nie słyszysz jak mówi: Nie zbliżajcie się do siebie — bo dotknięcie trupa! A zbeszcześcić go musicie, bo dążycie do zbrodni! a on cnoty strzeże! . . . Edmundzie, na zawsze rozstać się musimy! . . .

HRABIA (z rozpaczą).

Ireno! Ireno! tyś mnie kochać przestała!

IRENA (głosem przytłumionym).

Patrz na mnie . . . umieram . . .

(p. Molińska i Juliusz wchodzi po prawej stronie w ubiorach podróżnych).

SCENA XIV.

IRENA, HRABIA, P. MOLIŃSKA, JULIUSZ.

P. MOLIŃSKA.

Ireno powóz czeka. Bywaj zdrów Edmundzie.
(*Hrabia całuje ją w rękę*).

IRENA.

A gdzież Zofia?

JULIUSZ.

Cała łzami zalana czeka cię przy powozie . . .

IRENA (*wstaje*).

Żegnam cię Edmundzie . . . bądź szczęśliwy . . .
w sercu Zofii znajdziesz źródło szczęścia . . . Niezadłu
go . . . ot ztamtąd (*wskazując na Niebo*) czuwać będę nad
wami. Bądź zdrów! . . .

(*Hrabia zakrywa twarz rękoma. Irena oparta n
ręku matki wychodzi w głębi*).

SCENA XV.

HRABIA, JULIUSZ.

HRABIA.

O nie, ja porzucić jej nie mogę! . . . życie z nią ra-
zem mnie odbiega . . . (*biegnie do drzwi*).

JULIUSZ (*stawa we drzwiach*).

Nie puszczę cię . . . a jeśli masz skonać to tutaj! . . .

HRABIA (*porywa go jak wariat*).

Puszczaj mnie! albo przysięgam na piekło . . .

JULIUSZ (*stale*).

Nie puszczę, choćbym miał paść trupem jak Leon!

HRABIA (*cofa się przerażony*).

Leon! . . . Ach! jakież ja nieszczęśliwy!

JULIUSZ.

Nieszczęśliwy, bardzo jesteś nieszczęśliwy Edmun-
dzie! . . . lituję się nad tobą . . . ale jeszcze jesteś u-
czciwym człowiekiem . . . dotrwaj tylko do końca . . .
jak żołnierz na stanowisku . . .

(*słychać turkot powozu*).

HRABIA (*krzyczy*).

Boże!! odjechała!!!!

JULIUSZ.

Edmundzie, powiedz, czy miałbyś dosyć zimnej krwi aby w tej chwili nie zdradzić się przed Zofią?

HRABIA (*rzuca się na sofę*).

O nie! nie, bo turkot ten powozu duszę wydarł ze mnie!...

JULIUSZ.

A jednak, wytrwać to powinność twoja. Zbierz siły Edmundzie... niech Zofia nigdy nie wie jakie burze wrą w twém łonie... jeżeli nie chcesz... aby ten anioł przeklinać cię musiał...

(*Zofia wchodzi*).

SCENA XVI.

HRABIA, (*siedzi*) ZOFIA, JULIUSZ.

ZOFIA (*we łzach do Juliusza*)

Ah czemuż nie przyszedłeś wsadzić Ireny do powozu?...

JULIUSZ (*wskazując na Edmunda*)

Zostałem z mężem twoim...

ZOFIA (*idąc do Hrabiego*)

Mój drogi mężu!

JULIUSZ (*do Zofi*)

Ten pojedynek... to pożegnanie... te wzruszenia wyczerpały jego siły...

ZOFIA

Musi być bardzo słaby... kiedy mi nic nie odpowiada...

JULIUSZ

Nie... nie... bądź spokojna (*cicho*) Otocz go tylko pieścizotami, miłością... przyjdzie wkrótce do siebie... (*głośno*) Bądź zdrowa... oddaję ci męża.

ZOFIA

Ty także odjeżdżasz?... i to zaraz?...

JULIUSZ

Nie mogę zostawić matki samej z Ireną tak słabą.
Przyjadę za dni kilka powiedzieć wam jak się miewa.

ZOFIA (*całując go*)

Przybывaj co prędzej mój drogi.

JULIUSZ *) (*przechodzi do Edmunda*)

Żegnam cię Edmundzie, (*cicho*) bądź odważnego ducha... polecam ci żonę (*głośno*) do zobaczenia!

HRABIA (*cicho, ściskając go za rękę*)

Dziękuję ci bracie!

(*Juliusz wychodzi — Zofia siada przy Hrabie*).

SCENA XVII i ostatnia.

ZOFIA, HRABIA.

ZOFIA.

Cóż to za okropny dzień... jakże mnie serce boli,
gdy widzę twe cierpienia mój biedny Edmundzie!...

HRABIA

Biedny... o bardzo biedny! jestem godzien litości.

(*milczenie — słychać turkot powozu*)

ZOFIA (*smutno*)

Ot i Juliusz odjechał. Zostaliśmy więc sami. Jakże ci ciężko będzie żyć z tem okropnym wspomnieniem! A jednakże czuję, że nie powinienes być całkiem nie-szczęśliwym... (*pieszczotliwie*) bo mnie kochasz nie prawdziwie mój Edmundzie? wszak mnie kochasz? i będziesz kochał zawsze?...

HRABIA (*padając do nóg Zofii i opierając głowę na jej kolanach*)

Zawsze!..

SŁUŻĄCY (*podnosząc portierę*)

Już dano do stołu, proszę Jasnych Państwa!

(*zasłona upada*).

KONIEC.

*) Hrabia, Juliusz, Zofia.

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Chciałbym w niniejszym przeglądzie pomówić jeszcze o poezjach młodego poety.

Może mi kto zarzuci, że zbyt często zajmuję się tym rodzajem literatury z uszczerbkiem innych rodzajów, że nadto wielkie daję miejsce poezyi, co może gniewać ludzi bardzo poważnych, niemiec powabu dla umysłów lekkich, wstrętem nabawiać dusze pospolite, a tylko zajmować szczupłe kółko wybranych czytelników. Jednakowoż kto zważy niesprawiedliwą nierówność w kolejach literackiego powołania, kto się zastanowi nad niedorzecznością, moralną dającą nieraz skandaliczną lub głupiej powieści stokroć więcej rozgłosu, sławy i dochodu, niż jakiemu szlachetnie i czysto poetycznemu tomikowi poezyi — ten przyjdzie, jak miemam, do tego przekonania i wniosku: że sumienie nakazuje, a uczucie słuszości wymaga, aby znalazło się gdzieś schronienie dla tych królów bez królestw, którzy wolą umieść swoje czyste godła, niżeli je kalać bezrozumnym oklaskiem. Mimo tego bynajmniej nie mam na celu

przywracać zwichnioną równowagę i wynagradzać mojem wspomnieniem te wydziedziczone istoty; chcę tylko okazać sympatyę i wdzięczność tym rzadkim pisarzom co mi pozwalają oddychać świeżem powietrzem naszych pól i lasów a nie zepsutym wyziewem społeczeństwa odzwierciadlanego z najsmutniejszej strony, którym wreszcie winienem tę szczytną i wykwinną rozkosz, czytania pięknych wierszy wyrażających piękne myśli, malujących pełne życia i ruchu obrazy i postacie. Niemogę i téj drugiej pominąć rozkoszy doznanej przy czytaniu tych poetów, a ta jest, że mi dowiedli iż nasze powątpiewania o przyszłości poezyi, żale nad jej upadkiem, jej wyczerpaniem się i zmęczeniem, były może przedwczesnemi wróżbami — bo jakkolwiek świat rzuci się w odmet realizmu, jakkolwiek powywiesza sztandary przemysłowego postępu i w pyśle spanoszonego giełdowca, lub szczęśliwego spekulanta z góry poglądać będzie na plody czucia i fantazyi nienotowane na giełdzie, jakkolwiek znajdą się ludzie usiłujący nas przekonać że niema zacniejszego ani wyższego celu, jak osiągnięcie materialnych wygód z których mają się dopiero wyrodzić zdobycze umysłowych i duchowych bogactw — z tem wszystkiem prąd poetyczny, jakby rozbudzony przeciwnościami tego kierunku mającego już swoje organa, rwie się coraz żywiej, odzywa z różnych stron, i oplatając gałązkami bluszczu upadłe serca, odmładza je swoją świeżością.

Są więc poeci i będą długo poeci — bo na téj drodze współzawodnictwo nie jest strasznem, przeciwnie na innéj wskazywanej przez niebacznych doradców, których gruby zmysł olśnił od materialnych zdobyczy i wygódek cielesnych, zawsze będziemy nisko stali jako pozbawieni warunków sprzyjających rozwijaniu się swobodnemu i samodzielnemu przemysłu lub handlu, jako wreszcie najmłodszy w tej grze tak różnej od rol-

niczego i gospodarczego zawodu sięgającego najdawniejszych wspomnień plemiennych.

Nie idzie zatem, com powiedział, aby wyrzec się całkiem postępu i ulepszeń materyalnych, stanowiących bogactwo krajowe, bo to byłoby skazaniem się na nierozumną bezczynność; ale radbym żeby i ta praca płynęła z wyższej potrzeby moralnej, była jednym z warunków, ale nie celem życia, dowodem czynności umysłowej rospóścierającej się wszechstronnie, a nie nikczemną służbą u złotego cielca któremu składanoby ofiary ducha: cnotę, sumienie i szlachetniejsze uczucia i przekonania.

Przepraszam za odstępianie od materji; lecz przywyklszy uważać każdy fakt czy moralny czy fizyczny, w związku z wszystkimi fenomenami społeczeńskiego życia, niemogłem mówić o poezji i poetach oderwanym sposobem, czyli niedając im za tło najświeższego rysu epoki. Wracając tedy do przedmiotu, pragnę pomówić o tomiku poezji wydanym w ciągu bieżącego roku, pod napisem: *Kwiaty i Kolce* przez Felicyana. Jest to jak widzimy nowy anonim, czy pseudonim, ogłaszający prace swoje w Warszawie, gdzie dotąd mniej bywało pseudonimów niż na Litwie i Ukrainie. Takie schowanie się pod przybrane miano, lubo niezmiernego kłopotu nabawia naszych bibliografów, którzy będą zmuszeni stworzyć nową rubrykę dla anonimów przeźroczystych i nieprzeźroczystych, za co ich nie żałuję, dowodzi dwojga rzeczy: albo nieśmiałości młodzieńczej tak łatwo dającej się uniewinnić przy pierwszém wystąpieniu, albo też, co pewniejsza, trwogi przed chłostą dzienników, zwykle próbujących swych sił na słabszych i nieśmiałych, a zwłaszcza debiutantach. Autor *Kwiatów i Kół* preczuwając widocznie, że mu nie ujdzie płazem nuta cokolwiek odmienna od téj, na jaką nastrojona większa część dzisiejszych gęśli, niepołożył swego na-

związka, i obawę miał słuszną, bo jeśli go nie starto na miazgę, to nieprzepuszczono usterkom stylu, słabym wierszom, niezbyt szczęśliwym wyrażeniom, a nade wszystko pewnej pretensjonalności zakrawającej na manierę, co się zdarza u młodych, jeszcze niewytrawnych pisarzy, a co zwykle się przebacza, zwłaszcza tam gdzie niespodziewane piękności traktowane w odmienny sposób spotykają się dość gęsto.

Wziąwszy go tedy ze słabszej strony, a więc z niedoskonałości dostępnych oku nie tylko krytyków, ale i prostego czytelnika, niedoskonałości, z których się tak łatwo poprawić, kiedy jest fundusz na lepsze, wbito *kolce w kury*, i dziwiono się czemu wiedniały?!

Niepojmuję, przyznam się, jak się to stało, że w pewnym względzie nowy tok poezji Felicjana, pełność i obfitość natchnienia, bogactwo porównań i obrazów, a nade wszystko rączy lot liryczny i niezrównana artystyczność w plastycznym rysunku figur, zgłębiła te przymioty prawdziwego poetycznego talentu, niewiem jakim sposobem uszły wzroku pisarzy dających sąd o nich po dziennikach. O zawiść lub niechęć bynajmniej pomawiać nie myślę, bo podobny domysł przypuszczałby niesumienność i nieszczerłość ze strony krytyków, którzy nie wątpię, szli za najszczerzszym przekonaniem. Prędzej, dorozumiewałbym się, że mimowolnie wciągnięni w pewne kołko wyobrażeń będących na dobie, wsłuchani w jedną nutę którą brzmią dzisiejsze bardony— niezadali sobie pracy ocenić te utwory z innych żywiołów złożone i innym oddane krojem. Niespodziewano się zapewne w płodach pierwszy raz występującego pieśniarza, znaleźć coś, co by sięgało wyżej nad pospolitość. Słuszne poniekąd uprzedzenie do wszelkich pierwiosnków Muzy, czyni krytyków niedowierzającymi. Tym jednak razem, można było z uprzedzeń zrobić wyjątek.

Poeta, przewidywał może wieszczem przeczuć, jaka dola spotka jego pieśni, kiedy we wstępnych zwrotkach takie postawił pytanie:

Jeżeli świeże przynęci was kwiecie
Cierń z nich skorzystać wam wzbroni;
Jeśli dla kolców tknąć ich niezechacie
To nieznacie ich woni.

I zgadł! — bo się tak przerażono kolców, tak widziało li tylko kolce, że o woń mało kto pytał, i jeżeli coś o niej wspomniano, to z daleka, niby z domysłu że gdzie są kolce mogą być i wonne kwiaty.

Co się mnie tyczy, wzięwszy ten tomik do ręki, napadłem za otwarciem książki na jakąś wonną strofkę, która mię zupełnie ujęła dla jej autora, tak dalece, że kiedym przystąpił do porządnego czytania, nie zraziłem się kolcami, poczytując je za zwykły wyskok młodzieńczości lubiącej się spowiadać ze swoich dziejów serdecznych niestety! bardzo powszednich. Zazwyczaj bywa to rzewna elegia po stracie kochanki, pełna tęsknoty, rozpacz, nadziei; to znowu strofy ognisto-namiętne wyrażające szal i upojenie miłości; jakieś reminiscencye z Mickiewiczowskiego *Żeglarza*, *Rezygnacyi* Szyllera, lub *Snu* Byrona — a wszystko gwałtowne, ciemne, niepewne, chaotyczne jak burza miotająca sercem co mogło pragnąć, a nie osiągnąć celu pragnień i wzdychań, lub osiągnąwszy, straciło bezpowrotnie! Rodzaj ten poezji egotycznych, tych zwierzeń się z doznanych cierpień i uniesień przed światem, aczkolwiek nie podejrzewam ich autentyczności, niezmiernie bywa śliski i niebezpieczny, bo najczęściej do wypowiedzenia swoich tajemnic (sercowych) używa języka tych mistrzów, którzy niewiem, czy szczęśliwiej kochali, czy gwałtowniej cierpieli, ale to pewna że najszczęśliwiej

musieli odmalować co przeszło przez ich serce i głowę. Reminiscencye mają tu ważny wpływ i udział. Z tej przyczyny w zbiorze poezji Felicyana, wszystkie te strzeliste rymy, mógłbym policzyć do kolców, lecz wcale nieobrazających, bo tak jest wszystko trzymane w tonie jaskrawym, i w rysach niepewnych, a pomyśl tak pokruszony dytyrambowemi podskoki, że trudno sobie jakąś całość ułożyć, a jeszcze trudniej silić się na rozwiązanie zagadek, kiedy główna zagadka odrazu zostaje rozwiązana: młodzieniec się kochał — i cóż w tem dziwnego? —

Wszakże i to zdanie da się złagodzić w zbytnej surowości, albowiem między temi erotykami znajduje się kilka bardzo ładnych piosneczek zalecających się prostotą, i najszcześliwiej związaną całością. Właśnie to miśterne ujęcie całości, w której nic dodać, nic odrzucić, daleko wyżej cenię, niż najświeższe strofki i obrazy słabo zlepione ze sobą. Między innemi piosnka: *Rozmaryn* nosi cechę skończonego artystostwa:

Miała sukienkę białą, gdym do niej
Z pożegnałnemi wszedł słowy,
W pasie błękitną wstążkę, u skroni
Wianuszek rozmarynowy.

— Czym ładna tobie? spyta nieśmiało,
— Och! co ty mówisz dziewczyno.
Gdyby inaczej kiedy być miało,
Niech z łez mi oczy wypłyną!

Ona jak bluszcz, gdy drzewo obwinie
Splotem swych rąk mię obwija,
— Albo ja będę twoją jedynie,
Albo niebędę nieczyją!

W świat mię iść pchnęło. W tém nagła zmiana
W powrót mię pędzi myśl tkliwa,
Wracam — dziewczyna moja wybrana
W chłodnej trumience spoczywa.

W sukience białej jak mieć ją chciałem,
W przepasce z modrych wstążeczek;
W światłych jej włosach, nad czołem białem,
Rozmarynowy wianeczek.

Złożyłem na jej piersi dziewczęcój
W krzyż obie rączki łabędzie:
Niebędzie ona moją już więcój,
Lecz i niczyją nie będzie. —

I znów poszedłem gdzie wzrok poniesie.
Idę przez ciernie i znoje,
I znów mi spieszno stanąć przy kresie —
Dziewcze bo czeka mię moje.

Czegóż trzeba więcój! Cała ta smutna historia zamknięta w niewielu strofkach, a jest jakby długim romansem. Felicyan, znać to, kształcił się na dobrych wzorach, bo umie do wagi i harmonii przyprowadzać części i tym sposobem tworzyć jakby z jednego odlewu swoje obrazki i posążki.

Szkoda że miłośne te rymy nie są oddzielone w osobnej księdze, tylko pomieszane z innymi poezjami zupełnie odrębnej natury; sąsiedztwo to szkodzi i jednemu i drugiemu; gdyby bowiem stały osobno, utworzyłyby jakąś może całość i obudziły dla siebie interes...

Najbardziej zdaniem mojem, udatne kawałki, nacechowane niepospolitym artyzmem, są te, które Felicyan złożył w uniesieniu dla świetnych wspomnień starożytniej Hellady. Nieliczę je bynajmniej do rzędu tych wy-

silen rymotwórców erudytów, co to dzisiaj chcą pisać jak Sofokl, Pindar lub Anakreon i przybierają ich rytm ich wyrażenia się, porównania, koloryt, spokój nawet, aby w nas chyba wmówić, że jeśliby im Pan Bóg pozwolił był urodzić się w Peryklesowym wieku, to i oni potrafiliby tak samo pisać i tak samo unieśmiertelnić się — wszystko to być może, tymczasem owoc spłodzony z książkowej móżdżki, jest tem w stosunku do płodu żywego natchnienia, co woskowa brzaskwinia do świeżo zerwanej z drzewa. —

W poezjach z motywów greckich jak i naszych słowiańskich, podziwiam w *kwiatach i kolcach* nadzwyczajną żywość w obrazowaniu i niepospolity talent plastycznego uobecnienia nam każdej postaci. Są to rysy tak szczęśliwe, tak mocne i dobitne, że czytelnikowi od razu wrażają się w pamięć, lubo częstokroć ku końcowi humorystyczny zwrot psuje poważny efekt początku.

Jakże to piękny, jak skończony obrazek: *Zwycięzca Hippodromu!* Poeta stawia się w osobie szermierza w gonitwach wozowych i jakby wyprzedzając polot kół warczących, z szalonym pędem lirycznym chwyta wszystkie uczucia i wrażenia jakie mogły przejść przez serce i głowę takiemu szermierzowi, co pędzi na złamanie szyi, aby tylko zyskał wieniec i mógł go u stóp kochanki złożyć... Wszystko tu jest objęte, zupełne, ściśnione, i nagle — a tak uobecnione, że jakbyśmy gołym okiem patrzyli na ten sprząg wichrowy lecący w tłumie kurzawy, i druzgocący się u mety. —

Niech sam czytelnik osądzi:

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,
Jak dym, gdy buchnął wiatr w zgłiszcze, —
Tunika wzdęta furcząc w tył ulata,
W rozwianych włosach wiatr świszczce.

Ha! lecę pierwszy — inni — w błysk pioruna

Tuż za mną, szął mnie pochwycą...

W drżącój się dłoni pręży leje, jak struna,

Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moje

Wichro-kopyte bieguny!

Feba słoneczny owies wam! wód zdroje

Płynące srebrem w blask Lamy!

Pięć wolów w cześć twą, jak stanę przy kresie

Herkulu możny półboże!

Dziesięć! Dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie

Spiesz! Bo za późno być może!...

O! tam, w tunice z śniegu, czarnobrewa,

Ściga mię wzrokiem Neera.

Zarumieniona, rąbkiem z mgły powiewa,

Serce jój w piersi zamiera.

O słodka Wenus! Bogi wielowładne!

Och! wy mię wspomódz zechciecie!

O Ceusie! Ceusie! niechaj trupem padnę,

Bylebym upadł przy mecie!

Och! ten — tuż za mną — pędzi *znakomicie*, —

On mię dosięgnie — przeniesie...

O wichry moje! toż w miejscu stoicie?

O Ceusie! o Herkulesie!

Dopędza — w równi prawie już... O Bogi!

Toż wy mię odstępujecie?

Stój! Stój! — Zawadzi... Trzask! Och! cios był srogi,

Ha! alem upadł przy mecie!...

O! wstać niemogę... krew — ból... Sprzęg wichrowy
Ostatki wozu w dal miota...
Gońcie je — w winie skąpać je! Podkowy
Z szczerego ulać im złota!

Ha! co? jam pierwszy — prawda! Śmiech mię szczerzy
Gdy w tył pamięcią pogonię...
Co? tylko żebra? — Co? i tylko cztery?
Dawajcie wieniec na skronie...

O piękna moja! wstrzymaj łyż. niewieście,
To, co na skroni mój było,
To może spocząć u twych stóp, a wreszcie
Choćby nad moją mogiłą.

Prócz tych *wód płynących w blasku Luny*, które są
zbyt poetyczną zachętą dla wiatro-kopytych biegunów,
prócz wyrażenia: *pędzi znakomicie*, nie niemalującego —
wszystko zresztą wyborne w tym kawałku. — Równie
pełny życia obrazek, jakby zdjęty z tych freskowych
malowideł dawnego Rzymu i ożywiony nowem technie-
niem, jest *Tancerka Herkulanu*, którą poeta humorysty-
cznie zlał z dzisiejszą baletnicą. *Bój-Zabawa*, inny ka-
walek w tonie całkiem przeciwnym maluje najście Per-
sów na Grecyą; mąż wysłany na podsłuch donosi kró-
lowi że widział Greków bawiących się rzucaniem krę-
gu, wyścigami, i szermierką. — Dziwny lud bo swoi
walczą swoich! — Król mu na to, że pewnie dla boga-
tój nagrody idą w zapasy? — Wysłaniec zaprzecza, bo
tylko o prosty wieniec lauru tak się dobijają. — Naten-
czas powstanie wódz jeden w narodzie i zawoła:

Cóżeś zrobił Mardonie!
Śmiercią jest niechybną z ludem takim spotkanie,
Nie nam zwalczyć lud ów — zgon nam mocny nasz Panie,

Marnie, w obcej gdzieś stronie...

Liczbą — moc to słaba. Wierzcie jako wam prawię:
Tym, co w bój się bawia, walczyć — równo zabawie,
Zginać tym, co ich sięga. —

Byłaby to prześliczna kompozycja, bo pomyśl śliczny, gdyby ją nie psuła dykcya ciemna cokolwiek i wymuszona. Poeta pragnie być zwięzłym, lecz czasami miasto zwięzłości staje się zawilym, ciężkim i ciemnym. Do szczęśliwych pomysłem utworów liczę wiersz: *Sprawa o królową*. Król Młot ma córkę o którą stara się trzech młodzieńców. Komu ją dać? Oto temu, powiada król Młot — kto mię na rękę przemoże. Występują do walki: lecz z królem Młotem trudna sprawa! bo oto pierwsze go powalił, a po nim i drugi leży na ziemi; gdy przyszła kolej na trzeciego, oświadcza że niemyśli walczyć z ojcem tej o którą prosi w zamęcie, bo i ta dłoń uschnęłaby

która wiekowi czci dać nie umie.

Zastanowiło to króla, pomyślał i uznał, że kto umiał uczcić wiek, ten go najlepiej zwalczył — oddał mu więc córkę, która również poznała się na wartości młodzieńca:

Tamci bo siebie, niż mnie, zbyt hardzi,
Ten mnie, niż siebie, miłuje bardziej. —

W ogóle mogę powiedzieć że wszystkie te powiastki trzymane są w tonie epickim; ogromny w nich ruch i życie, plastyka figur nakreślonych częstokroć kilką potężnymi rysami daje dobrą wróżbę że śpiewak *kwiatów i kołców* umiałby podolać i poematowi większych rozmiarów w którymby postaci występowały samodzielnie

a nie jak teraz zwyczaj w rozwlekłych pogawędach, gdzie się wszystko opisuje lub opowiada przeplatane częstokroć reflexyami, dość prozaicznymi, a zawsze dydaktycznymi, opowiadającego. Porończe to dziecko eposu tak się ma zupełnie do swojej matki, jak nasza zapieckowa epoka do epok bohatyrskich. — Wszakże nie mogę ani chcą utrzymywać, żeby utwory Felicyana stały już na tej wysokości, która nie do zyczenia niepozostawia; przeciwnie — grzeszy on często ciemnością wysłowienia się, mglistością rysów, a to szczególnie w tych kawałkach gdzie usiłuje być filozoficznym, a jest tylko niezrozumiałym; gdzie miał wolę napisania, a nie natchnienie woli. Uważam także że ma pociąg do kakofonicznych wierszy, jak między innemi w tej pieśni mroźnej o *gorącej miłości*, którą zaczął takim wierszem:

O kraje lodów bez miodu i mleka!
Serce krającej kry kraje!

Jest to zapewne igraszka dowcipu; ale nawet tam, gdzie nieigra w ten sposób sili się na styl twardy i szorstki, zapewne żeby rzucić rękawicę tym wymuskany wierszopisom, co to oklepane rzeczy wypowiadają miodopłynnymi słowy. Wyszukiwanie zaś wyrazów twardegrzmiących i niezwykłych wcale niedodaje mocy poetycznym wyrażeniom, albowiem siła właściwa tkwi nie tyle w słowie, jak w umiejętnym i trafnym użyciu onegoż, a nadewszystko w sposobie oddania myśli, silnej samej przez się.

Tyle, co do dobrych i ujemnych stron *kwiatów i kołód* — teraz przychodzi mi pomówić słówko o najgłośniejszej rzeczy, bo o charakterze tych poezyj w ogóle.

Wspomniałem już, że dostawszy je pierwszy raz do rąk, zastanowiłem się jakby na widok niespodziewane-

go zjawiska. Nietylko w stylu, ale i w obrobieniu pomysłów, a nadewszystko w zwrotach jakie pomysłem swoim poeta nadawał, nie trudno mi było odgadnąć humorystę, który do obrazów i scen wziętych z najpoważniejszej strony przymieszywa sarkazm lub ironię najczęściej ku sobie samemu zwróconą, a zatem niebolesną dla nikogo, a pokazującą przytem jakby dwa oblicza każdej rzeczy na tym znikomym padole wielkości, pragnień, i marzeń...

Dziwiło mię dla czego krytyka niepodniosła zalet tych humorystycznych piosnek rozsianych tak obficie w *kwiatach i kolcach* — czy ten rodzaj uważała zbyt lekki, lub nieznaczący dla swoich szczytnych poglądów i stanowisk? — Co więc, przesłała nawet autorowi przestrogę aby nie wpadł w to, czem zgrzeszył Henryk Heine. Ależ jak sędzę, przestrzeń dzieląca Felicjana od autora *Romancero*, tak jest szeroka, że jeszcze niema obawy. Tymczasem ta mieszanina tkliwości i ironii, lekkości i filozoficznej głębi, miękkości i siły, tworząca naturę humorysty, zawsze należyć będzie do niezwykłych zjawisk w naszej poezyi, która niekiedy przystrajając się w chmurną powagę arcykapłańską jakby dźwigała losy i przeszłość całej ludzkości, potrzebowałyby żeby ję ukazano prawdę w mniejszem zwierciadelku. —

W humorystycznych poezjach Felicjana można znaleźć tę żywą, swobodną, nieobrazającą nikogo żartobliwość w połączeniu z tą poetyczną sympatją, co umie czuć wszystko, zrozumieć i wyrazić. Myśl ciągle czujna, kapryśna, śmiała, z jednego ciągu wyobrażeń i przedmiotów rzuca się w drugi aby jaką tajemnicę serca wyświecić, jaką sprzeczność natury naszej odsłonić, jaką prawdę rozdeptać jak balon przekłuć i do właściwej objętości sprowadzić. Dla tego też uśmiech, wesołość, polo-

tność, towarzyszą kapryśnej i wałęsającej się wyobraźni, lecz ta niefrasobliwość, niedbająca niby o cały świat, jest tylko pokrywką dla cichego smutku lub łez. Właśnie owa nagłość wrażeń, owe sprzeczności coraz nowe, są treścią i tajemnicą humorysty, który umie ogarniać naraz dwie strony życia, dzielić się między łyż i wesołość, i niezmordowaną fantazją ożywiać przedmioty brane z najwyższych i najniższych sfer. —

Mogę powiedzieć że właśnie ta strona humorystyczna jest u Felicyana najoryginalniejszą, co jeszcze nieznaczy, aby już nie niezostawiała do życzenia — owszem, w wielu strofkach spotyka się pewne wymuszenie, dowcip naciągnięty, a o trywialność czasem tak blisko trąci, że prawie staje się płaskim. Kto ma przymioty humorysty, niepotrzebuje gonić za dowcipem — sam on przychodzi. — Dla tego nie wszystkie piosenki są równej wartości. Do szczęśliwszych, bo nieznac w nich wysilenia, a mieszczących pomysł głębszy i trafnie ujęty, jest *Narcyz*:

Ile Nimf tylko, wszystkie są w rozpacz,
W łzach mokrych, brudnej żalobie;
Bo Narcyz żadnej kochać z nich nieraczy —
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle,
Tak, aż zdarzeniem dość rzadkiem,
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle,
Nie już człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcej głupcem był, niż głazem. —
Jabo w podobnej potrzebie,
Mógłbym się kochać w wszystkich Nimfach razem
A zawsze kochałbym siebie. —

Egoizm miłości wybornie scharakteryzowany w tym obrazku któremu nie dodać ni ująć nie można, bo znać że go artysta kreślił. Uczucie też artystyczne w wysokim stopniu wyrobione prowadzi rękę Felicyanowi kiedy pisze swoje poezyje.

Mam niepłonną nadzieję, że w następnych płodach, jakie ogłosi, pójdzie jeszcze dalej — i pewnie przepisywać siebie nie będzie, ani trzymać się Heinego.

LUCYAN SIEMIŃSKI

KWESTYE I PRZYMIERZA.

Ktokolwiek spokojnem okiem przypatruje się codziennym wypadkom, nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do jakiegokolwiek kwestyi, sądzi bezstronnie o istniejących przymierzach, a zwłaszcza nie zapuszcza się w domysły i przypuszczenia, mając przekonanie, że aby takowe na pewnej oprzeć podstawie, potrzeba mieć udział w sferach dyplomatycznych i gabinetowych, to jest tam gdzie się sprawy polityczne traktują; — ten bezwątpienia, na widok obecnej sytuacji politycznej w Europie, zadaje sobie pytanie: gdzie istotnie leżą owe trudności, które rzeczywiście czy pozornie bieg polityki hamują i sprowadzają ów chwilowy zamęt, który wszystkich uderza i społeczność pewnym niepokojem nabawia?... Czy szukać tych trudności wypadła w samychże kwestyach, których rozstrzygnięcie zadaniem jest teraz dyplomacyi? czy upatrywać je w niedostatku środków traktatami podanych i w przymierzach, które wykonanie ścisłe warunków traktatu zaręczyły? Czy na-

reszcie owe nieprzebrane źródło jak się zdaje trudności, znajduje się w samymże systemacie politycznym, z którego wynikał traktat 30 marca?...

Kwestye czyli sprawy zajmujące w téj chwili świat polityczny są różne i dzielą się na trzy oddziały: W pierwszym oddziale stoją kwestye, które są pozostałością po sprawie wschodniej, a z tych znów jedne określone w traktacie paryzkim, jakoto Bołgrad i Księstwa naddunajskie, inne które się z wykonania traktatu wywiązały, jakoto sprawa o wyspy Węzowe, o ewakuacyę Księstw naddunajskich, Morza Czarnego i Grecyi. W drugim oddziale znajdują się sprawy jak neapolitańska, które początek wzięły na konferencyach i lubo nie mają z traktatem bezpośredniego związku, wszelako równocześnie prawie z nim wystąpiły, i należą niejako do systematu, który w Europie wziął przewagę. W trzecim nakoniec są sprawy całkiem odrębne od traktatu i dzieła konferencyi, jak neufchatelska, ale które przy ogłoszonej solidarności politycznej państw, uważane także być muszą za europejskie, i załatwione być nie mogą tylko za porozumieniem się wszystkich mocarstw. Wiele innych spraw się pomija, naprzykład amerykańską, duńską, jako nie przedstawiające tak chwilowego i ważnego zajęcia w polityce europejskiej.

Wymienione kwestye sąż do rozwiązania tak trudne, aby tą trudnością wytłómaczyć się dało dostatecznie zjawisko, iż od kilku miesięcy widać je ciągle na porządku dziennym polityki, bez żadnej prawie zmiany; że zwłaszcza od miesiąca nie postąpiło ani kroku naprzód ich rozwiązanie, a co gorsza nawet, że coraz większe panuje w nich zawikłanie?... Zważając na nie bliżej, i sprowadzając je jeżeli tak wyrazić się wolno, do najprostszego mianownika, trudności w istocie samychże spraw zawarte nie odpowiadają usiłowaniom ku załatwieniu ich łożonym.

Utrzymanie się przy posiadaniu Bołgradu jest zapewne ważną dla Rosyi sprawą, już to z powodu, że miasto to znaczną w osadach tamecznych gra rolę, już też dla korzystnego położenia jakie gród ten w sąsiedztwie z Dunajem zajmuje. Pojąć więc łatwo, że Rosya obstała przy Bołgradzie, zwłaszcza gdy pomyłka przy wytknięciu nowój granicy na konferencyach niezaprzeczenie dała jej prawo upierać się przy opisanym w traktacie kierunku. Prawda, że pomyłka była mimowolna, że błąd na mapie jeograficznój stał się jej źródłem; ale i to prawda, że jeżeli kiedy, to w tym razie nie możnaby mieć za złe nikomu, a tem mniej Rosyi, która już i tak znaczne czyni terytoryalne ustąpienia. Jednakowoż, dla tego właśnie, że mocarstwo to w interesie pokoju i Europy do niejednej i nie równie większej skłoniło się ofiary, wnosić wolno, że upór jego w tej kwestyi nie może być tak stanowczy, aby wszelki układ czynił niepodobnym. Po ustąpieniu Izmajlowa, Reni a zwłaszcza Suliny, czy podobna aby Rosya miała zamiar rozpoczynać spór z Europą o Bołgrad. Czy nie można się w tej mierze ułożyć? W niejednym już dzienniku nawet czytać można było projekt do zgody, który bardzo rozumowo uwzględniał interesa Rosyi i reszty mocarstw, na traktacie podpisanych. Czyż dyplomacya miałaby tym razem pozostać w tyle co do pojedynczych pomysłów? Nadto i ta uwaga, że kwestya Bołgradu tamuje dalszy ciąg spraw na Wschodzie, — że dopóki ukończonem nie będzie to nieszczęśliwe rozgraniczenie Besarabii, organizacya Księstw naddunajskich nastąpić nie może, — że zajęcie Księstw przez wojska austriackie znajduje w zawieszeniu kwestyi Bołgradzkiej usprawiedliwienie swe, a zajęcie znów tych prowincyj przez obce wojska, wywołuje niejako obecność floty angielskiej na Morzu Czarnem, co Rosyi nie może być na rękę — te wszystkie względy popierają mniemanie,

że upór Rosyi nie samą jedną jest tylko trudnością na której zatrzymuje się rozwiązanie kwestyi Bołgradzkiej. Jakoż w istocie, Rosya poddaje się naprzód wyrokowi jakiby w tej mierze orzekł nowy kongres zebrany w Paryżu.

Cóż dopiero powiedzieć o kwestyi tak zwanéj Wysp Węzowych?... Możnaż myśleć, aby sprawa o skalę nie- użytą i niezamieszkalną, o latarnię morską którą oświecać chcą i Rosyanie i Turcy, o garnizon złożony z siedmiu biedaków, których los przypomina Robinsona Kru-zoe, aby podobna sprawa ukrywała we wnętrzu swoim trudności nie do pokonania dla dyplomacyi europejskiej?... Każda sprawa zapewne gdzie chodzi o prawo wielkiego państwa jest kwestyą ważną, (ale nie daż się ona ułożyć, kiedy utrzymanie tego prawa natrafia na przeszkody takie naprzykład, jak się to dzieje przy Wyspach Węzowych, gdzie okręty angielskie niepozwalają przybliżyć się statkom rosyjskim? Nie daż się zwłaszcza ułożyć sprawa, której przedmiot prawie mikroskopiczny, a doniosłość tak wielka że trąca o zasadę niezmiernie dla Rosyi ważną, o zasadę neutralności Morza Czarnego, którą ona zachować musi dla braku okrętów, a którą Anglia nadweręża bezkarnie, biorąc za pochop postępowanie i upór Rosyi w kwestyi Wysp Węzowych? To też Rosya i tę kwestyę oddaje pod rozstrzygnięcie nowego kongresu gdyby się takowy zebrał w Paryżu, lub też całkiem od niej odstępuje.

Kwestya Księstw naddunajskich zależy jak wiadomo od załatwienia kwestyi bołgradzkiej. Dopóki ta ostatnia nie jest usunięta, komisye w Bukareszcie i w Jassach nie mogą przystąpić do działań. Czemuż więc widać pomimo tego z góry zapowiedzenia, kwestyę tę o Księstwa występującą coraz w innéj formie, a zawsze z trudnościami które ją ciągle na tym samym trzymają punkcie? Sąż one tak wielkie? nieprzelamane? O cóż rze-

oczywiście chodzi w tej kwestyi, o której tomy już naczytać się można było od roku? Czy o to aby narodowość romańską zabezpieczyć na przyszłość?... Czy o to, aby prowincyom tym odrębny i właściwy nadać charakter, i wzmocnić je tak aby z nich przedmurze dla Turcyi wystawić?... Czy o to, aby mieszkańców tamecznych, raz na zawsze od przewagi, czy Turcyi czy Rosyi zasłonić i przedstawić w tych krajach niejako wzór swobód jakich używać mają wszyscy rajasy czyli chrześcianie pod tureckim zostający berłem?... Upatrywać takie cele w kwestyi Księstw naddunajskich, byłoby złudzeniem. Któż raczej nie widzi, że idzie o to, aby organizacya tych prowincyj dała dostateczne rękojmie dla spokojności państw których kraje z niemi graniczą; że idzie o to, aby prowincye nie zamieniły się w kraj mogący się stać przytułkiem dla ludzi których obecność niepokoiłby mogła, w kraj gdzie wpływ lorda Palmerstona, lub Francyi nie cesarskiej, ale rewolucyjnej mógłby działać swobodnie i rozpościerać się ze szkodą tego lub owego granicznego mocarstwa? Nie idzie przeto o połączenie Mołdawii z Wołoszczyzną, ani o ustalenie raz na zawsze bytu tych krajów, ale o nadanie władzy Sultanowi aby się mógł zastosować w razie danym do życzeń tego lub owego ościennego państwa, ale o pogodzenie paragrafów zapisanych w traktacie na korzyść Księstw naddunajskich, z wymaganiami przewidywanemi polityki ościenniej. Otóż i cała trudność. Czemuż porozumienie idzie tak oporem, skoro trudność niezbyt wielka a właśnie tej natury, to jest należy do rzędu tych trudności, w których rozwiązywaniu dyplomacya europejska od kongresu wiedeńskiego wielką miała wprawę, i posiada też niezaprzeczoną w rozstrzyganiu podobnych spraw biegłość?...

O zajęciu Księstw naddunajskich przez wojska austriackie i o obecności floty angielskiej na morzu Czar-

nem, nie ma co mówić. Kwestye te jak dzisiaj, zawiśły od poprzednich to jest od kwestyi bolgradzkiej i kwestyi wysp Węzowych. Z usunięciem trudności co do granicy besarabskiej i co do posiadania wysp Węzowych, upada kwestya o ewakuacyą Księstw, i o nadwzięcie zasady neutralizacyi morza Czarnego przez Anglią. Podobnie co do Grecyi, z ukończeniem sprawy Wschodniej stósownie do warunków w traktacie z 30 marca położonych, znika powód konsystencyi wojsk i flot sprzymierzonych w Pireu. Można by w prawdzie, i może nie bez przyczyny, postawić pytanie: czy Austria i Anglia w razie nawet załatwienia kwestyj o Bolgrad i o wyspy Węzowe, bądź przez ustąpienie Rosyi, bądź za pomocą kongresu, uznają za stósowne odwołać posterunki swoje na Wschodzie? lub czy Francya i Anglia nawet po dokonaniu wszystkich warunków traktatu z 30 marca nie znajdują powodu bądź w niesnaskach greckich, bądź w rabusioństwie, lub innych okolicznościach do utrzymania swych straży na wodach Peloponezu? . . . Ale to pewna, że w tym razie kwestye wyniknąć ztąd mogące, na inną całkiem opierać się będą podstawie; że trudności jakieby się ztąd wykłuly, w innem znów upatrywać by należało źródło; że dzisiaj są to tylko przewidzenia lub przypuszczenia które jakkolwiek wchodzić mogą w rachubę dyplomatycznych kombinacyj, nie mogą tak przeważnej w nich odgrywać roli, aby hamować miały bieg wszelkich układów w kwestiach dotyczących się sprawy Wschodniej.

Kwestya neapolitańska, jest sprawą wpływu przymierza francuzko angielskiego na konferencyach paryzkich, jest jeżeli po prostu wyrazić się wolno, ogonem tychże konferencyj. Za taką i za taką jedynie uważać ją należy. Byłoby to złudzeniem i do tego wielkiem, sądzić, że kwestya neapolitańska jest kwestyą włoską, a nawet że w nią leży zamiar wywołania takowej kwestyi. Kwestya włoska powstałaby z niej mogła, ale w tedy stało-

by się to całkiem od ludzkich usiłowań niezawisłe, nawet na przekór tymże, przeciwko ich chęci; stałoby się to przypadkiem, nieprzewidzianem, tak jak naprzykład ze sporu turecko rosyjskiego wybuchła wojna Wschodnia, a nawet bardziej jeszcze pomimowolnie, bo każde porównanie nieco kuleje. Byłoby to złudzeniem myśleć, że tu idzie o narodowość włoską, lub o jakieś plany zjednoczenia Włoch, lub nareszcie o jakąkolwiek zmianę w *statu quo* dzisiejszem auzońskiego półwyspu. O gdyby tak było, to trudności zapewne byłyby nader wielkie, ani dziwiłoby się można że dyplomacya poradzić im nie jest w stanie, że sprawę tę od miesięcy kilku na tym samym widzimy stopniu. Ale o cóż idzie rzeczywiście w kwestyi neapolitańskiej, jaką jest obecnie? O to naprzód że przymierze angielsko-francuzkie nie może być biernem ale musi być czynnem, idzie więc o przedmiot działalności przymierza. W nieczynności nastąpiłby rozstrój przymierza, sprowadzony różnicą stanowisk obu mocarstw, różnicą ich interesów i siłą dawnych wiekowych tradycyj. Idzie dalej o utrzymanie a zarazem o wykazanie wpływu tego przymierza na Zachodzie, wpływu moralnego a raczej cywilizacyjnego Francyi, i materialnego Anglii. Na zaspokojenie więc tego celu, a oraz na załatwienie całej kwestyi wystarczyłoby kilka małych koncesyj ze strony króla Neapolitańskiego, otrzymanych z przyzwoleniem Austrii. Czyż można się tu dopatrzeć tak wielkich i nieprzełamanych trudności?... Czyż podobna zaprzeczyć aby wpływ Francyi i Anglii na południu Europy nie istniał? a nadto aby nie miał być naturalnym? czy nie istniał on zawsze?... Skądże ów opór jaki w tej chwili wywołuje, opór większy niż kiedykolwiek, a właśnie wtedy, gdy mocarstwa zachodnie są przymierzem spojone?... Wprawdzie żądania ich uderzają w zasadę wielce drażliwą, w zasadę interwencyi obcych mocarstw w sprawy wewnętrzne niepodległego

państwa. Ale kiedyż tu nie chodzi bynajmniej o naruszenie w czemkolwiek ani godności ani niepodległości korony Obojga Sycylii, dla których tak Anglia jak Francya wyznają największe poszanowanie, nie chodzi również ani o zmianę stosunków poddanych do króla, ani o zmianę całej administracyi; chodzi tylko o małe koncesyje, o kilka małych królewskich dekretów, które monarcha *proprio motu* każdej chwili ogłosić może. Ileż to razy widzieć można nierównie radykalniejsze zmiany, nie równie twardsze i przykreszejsze żądania postawione słabszym przez wielkie mocarstwa, a przeprowadzone za pomocą dyplomacyi, która pogodzić umiała nieraz prawo interwencyi i z godnością korony i z niepodległością państwa? Czemuż dziś w daleko łatwiejszej sferze dokazać tego nie może?...

Kwestya neufchatelska, która później nieco weszła w poczet spraw europejskich bieżących, lubo całkiem niezawisła i niemająca styczności ani z traktatem 30 marca, ani z konferencyami odbytymi w Paryżu, pominiętą wszakże być nie może, albowiem z powodu systematu solidarności państw w Europie, wywiera chociaż niebezpośrednio ale niepośredni wpływ na czynności dyplomatyczne i na skład przymierzy i mocarstw w równowadze politycznej. Kwestya ta jest walką między prawem króla Pruskiego do księstwa Neufchatelskiego, i faktem przez który Zgromadzenie Szwajcarskie Neufchatel wyłącznie za kanton związkowy uważa, i li jako takowy do konfederacyi wcieliło. Jest fakt dokonany po zwycięstwie Zgromadzenia Związkowego nad Sonderbundem w r. 1847, i niezaprzeczony przez nikogo, w obec prawa uznanego przez kongres Wiedeński. Fakt nie znosi prawa — tak się wyraziły w protokule konferencye londyńskie w r. 1852, i starały się pogodzić pierwszy z drugim. Trudność dzisiaj zdaje się być ta sama co w r. 1852, z tą tylko różnicą, iż Szwajcarya

żąda obecnie aby król Pruski zrzekł się prawa, i tym sposobem aby kwestya raz na zawsze uchyloną została.

Owóż z tego jakkolwiek pobieznego, ale po prostu i otwarcie skreślonego przeglądu ważniejszych spraw europejskich, obranych z frazesów dziennikarskich i dyplomatycznych przyborów, które je zaciemniają, przekonać się można, że trudności jakie te kwestye przedstawiają nie leżą w istocie tych spraw; chyba że pod ich zasłoną ukrywają się inne interesa dla opinii publicznej niedostępne a przeto całkiem niezbrane. Trudności widoczne nie są ani tak wielkie, ani tak do przełamania niepodobne, aby przypuścić można, nie odejmując nawet i nie ubliżając bynajmniej ważności tych spraw, że dyplomacya, która potrafiła wyjść zwycięsko z zawikłania w sprawie Wschodniej, zawrzed w przeciągu miesiąca traktat ogólny i przywrócić pokój europejski, niezdolała od pół roku załatwić podrzędnych kwestyj i tym sposobem narażała na szwank spójność i najdroższe życzenia całej społeczności. Inaczej byłoby prawdziwie: „morze przepłynąć a na Dunajcu zginąć.“ Jeżeli zaś trudności główne sprowadzające obecny zamęt w polityce, nie znajdują się w samych sprawach, to jest w ich istocie, natedy w poszukiwaniu ich źródła wypada sięgnąć nieco wyżej, to jest do sposobów użytych na załatwienie kwestyj, do przymierzy które ich rozwiązanie zawarowały, a wreszcie do systematu opartego na tych przymierzach.

Że sposoby wskazane i określone traktatem z 30 marca na załatwienie kwestyj, które w zawieszeniu zostawił, nie były dostateczne, o tem cała Europa była aż nadto od samego początku przekonana. Co większa trudno było wątpić, aby w wyznaczonych owych komisjach nie miał znajdować się nie jeden wątek nowego zawikłania. Komisye złożone były z reprezentantów mocarstw nie mających żadnego bezpośredniego interesu

w kwestyach nad rozwiązaniem których pracować miały. Solidarność wszystkich mocarstw w interesach europejskich, zasada teoretyczna, nie mogła w praktyce odpowiedzieć jak należy. Zwłoka przynajmniej była już konieczną. Nadto komisye rzeczzone są to jakoby małe kongresy, z tą różnicą że nie stanowczo ukończyć nie mogą. Mają przeto wszystkie ich wady, bez posiadania głównej zalety. Winny tylko prace przygotować, kwestye wyrobić—orzeczenie i rozstrzygnięcie zostaje przy kongresie. Trudności więc jakie przy komisyi pierwszej powstały, nie mogły być wcale usunięte, bo żadne pojedyncze mocarstwo nie w tej mierze postanowić nie może. Na dobrą sprawę trzebaby ciągłego kongresu. Co tém gorsze musiało mieć następstwa, że trudności mogą wyjść od pojedynczego państwa, ale nie mogą być przez pojedyncze państwo usunięte. Jest to niejako *liberum veto* zastosowane do Europy i w dyplomatycznej formie.

Lecz niepraktyczność owych komisyj, do której dołączyła się zwłoka, gorsze jeszcze spowodować musiała wypadki. Jakoż w rzeczy samej, trudności których komisya do wytknięcia granicy Besarabskiej wyznaczona, uchylić nie zdołała, wywołały nową kwestyę o ewakuacyę Księstw naddunajskich; zajęcie zaś wysp Węzowych zatrzymało flotę angielską na morzu Czarnem nawet po terminie przepisany w traktacie; a to znów wszystko stało się powodem że niektóre gabinety głośno przemawiać zaczęły o niewykonaniu warunków traktatu z 30 marca, oskarżając o to, to Austryą lub Anglią, to znów Rosyą, niezgadząc się atoli wcale, czy traktat w istocie swojej złamany został, czy też, jak dalece i przez kogo został nadwreżony.

Zdawać się mogło, że obrót rzeczy takowy, był z góry przewidziany przez same gabinety. Niepoprzestając bowiem na przymierzu francuzko-angielskiem, na przy-

mierzu poczwórném między Anglią, Francją, Turcją i Sardynią, które wojnę z Rosją prowadziło, na przymierzu z 2go grudnia, między Austrią, Francją i Anglią, które się najwięcej do ukończenia wojny przyłożyło, niepoprzestając nawet na zgodzie siedmiu mocarstw, Austrii, Anglii, Francji, Prus, Rosji, Sardynii i Turcji, które zawarły i podpisały traktat pokoju, pod warunkami przez wszystkie solidarnie zagwarantowanemi— uznano jeszcze potrzebę zawarcia osobnego traktatu na d. 15go kwietnia, i wzmocnienia nim przymierza z 2go grudnia. Cóż sprzymierzeńcy z 15go kwietnia mieli na oku, jeżeli nie wykonanie warunków traktatu z 30go marca, pod zagrożeniem nawet, że niedotrzymanie podpisanych warunków pociąga za sobą *casus belli*? Któż zatem miał rozstrzygać czy traktat dotrzymany lub nie, jeżeli nie Francja, Anglia i Austria?... Skądże więc dzisiaj owa kwestya o niedotrzymanie traktatu, a oraz niepewność kto go niedotrzymał i w jakich warunkach?... Stąd, że aby przymierze z 15go kwietnia mogło być w tej mierze rozstrzygać, trzeba koniecznie na to zgody między sprzymierzeńcami, a rzecz się ma inaczej. Przymierze z 15go kwietnia dostarczało rękojmią aż nadto wystarczających, że warunki traktatu zostaną wykonane, ale w przypuszczeniu, że mocarstwa przymierze, składające jednego w tym względzie będą zdania. Otoż prawdziwa trudność, o którą rozbijają się usiłowania dyplomacyi, otóż prawdziwa przyczyna zamiętania obecnego w polityce. Zastanowić się warto, czy mogło być inaczej w systemacie inaugurowanym przez traktat 30go marca.

Powiedział, i to nie dzisiaj, któryś z publicystów, że jak przyjaźń między ludźmi zawisała nie od podobieństwa charakterów, ale od ich różnicy, tak trwałość przymierzy między narodami zawisała znów nie od tożsamości ich interesów ale właśnie od ich sprzeczności.

Miał po części słusznie; zwłaszcza dawniejsze dzieje polityki narodów popierają to zdanie, nie udowadniają jednak tak ogólnie, aby nie przestało ono należeć do rzędu paradoksów politycznych. Wszelako to pewna, że w polityce narodów, tożsamość interesów wywołuje konkurencją i antagonizm, sprzeczność zaś interesów usuwa te dwa żywioły bardzo dla przymierzy niekorzystne. Sprzeczność ta niewyklucza z resztą aby narody będące w przymierzu nie miały mieć jednego interesu wspólnego, który je właśnie kojarzy, ale niebezpiecznem jest bezwątpienia aby ich interesa w ciągłej styczności, na wszystkich miejscach zostawały. Były wszakże między narodami i inne okoliczności, nie tylko same interesa, które dawniej powodowały w zawieraniu przymierzy; była jedność religii, formy rządu, wspólność tradycji, pochodzenia, wreszcie pokrewieństwa panujących, a to wszystko nieraz zwyciężko przeważało trudności jakie jedność interesów w utrzymaniu przymierzy stawiała.

Lecz w polityce państw, gdzie wszystkie te zwyte wspomniane okoliczności, nic wcale albo przynajmniej bardzo mało ważą, gdzie interes państwa wszelkie inne nie tylko góruje, ale nawet je w sobie zestrzelił a nawet pochłonał, na utrzymanie przymierza nie wystarczy ani tożsamość ani sprzeczność interesów, potrzeba czegoś więcej jeszcze. Potrzeba podstawy, na której się opiera zawarte przymierze, i celu w którym działa. Podstawa musi to być czyn wspólnie dokonany przez państwa, które zawarły przymierze, którego następstwa wiążą je z sobą, i sprawiają, że interes państwa każdego z osobna, wymaga utrzymania przymierza. Cel musi być wyraźnie i praktycznie wytknięty, nieustający i ściśle połączony z interesem państwa. Na tem zawiśła trwałość przymierzy między państwami. Skoro tylko usunie się podstawa, lub przestanie być potrzebną

dla interesu państwa, albo też, skoro cel dopiętym zostanie, lub znajdzie się w sprzeczności z interesem państwa — rozwiązuje się przymierze, i trwać mu nawet na papierze dość trudno. Historia polityczna państw europejskich od czasów Reformacyi dostarczałaby nie jednego w tej mierze przykładu, ale nie ma przyczyny sięgać tak daleko. Czemuż nie trwały wszystkie przymierza na początku tego wieku zawarte, za napoleońskich jak to mówią czasów? Bo nie miały podstawy. Cel miały w prawdzie, koalicya przeciw Anglii najczęściej, ale to nie dosyć. Za każdą kampanią nowe występowały przymierza. Czemu trwało tak długo święte przymierze? bo miało podstawę, czyn jeszcze z wieku przeszłego, i cel pokonanie Neapoleona i zasad rewolucyi francuzkiej. Miało ono warunki potrzebne do utrzymania przymierza w polityce państw, i dla tego wielu utrzymuje dziś jeszcze, że jeżeli nie istnieje już co do formy to nie przestało istnieć co do ducha. Coż powiedzieć o poczwórnem na przykład przymierzu za Ludwika Filipa, któremu brakowało i podstawy i celu?.. Przymierzom zaś dzisiejszym wywiązany z sprawy Wchodniej w przeciągu trzech lat ostatnich nie można także przyznać, aby posiadać miały te główne warunki. Wojna bowiem nie jest jeszcze czynem mogącym służyć za podstawę przymierza, bo jeżeli nie zmieni *statu quo* poprzedniego, to następstw niema żadnych, prócz jednego nieuniknionego, jak pogoda po deszczu, to jest pokoju. Wojna na Wschodzie odbyta, właśnie była taką. A nawet gdyby i wojna Wschodnia uważana być mogła za podstawę przymierzy, gdyby zmiany w Bessarabii, na morzu Czarnem, mogły być uważane za zmiany w poprzedniem *statu quo*, to jeszcze na tej podstawie oparte przymierza nie miałyby ściśle wytkniętego, praktycznego, i ciągłego celu. Wykonanie traktatu to tylko koniec wojny. Interesa europejskie, równowaga,

to ogólniki które zbyt różnie tłómaczyć się dadzą — a coż dopiero powiedzieć o interesie cywilizacji europejskiej, mającym być celem głównym przymierzy obecnych! Jakże się spodziewać można aby interes państwa, każdego z mocarstw sprzymierzonych, dał się zawsze pogodzić z tak obszernym i nieokreślonym celem?... To też interes każdego państwa w szczególności niebawem wystąpił, i sprawił różnicę w zapatrywaniu się na jedne i te same kwestye a nawet na warunki traktatu z 30go marca. Stąd niepewność, chwiejność przymierzy i osłabienie ich wpływu — jedna z głównych przyczyn panującego dzisiaj w polityce europejskiej zawiłkiania.

W przymierzu angielsko-francuzkiem prawdziwa zgoda trwała tylko tak długo jak trwała wojna. Już gdy szło o jej ukończenie ukazywały się symptomata nieporozumienia, bo Francyi w wojnie szło tylko o zdobycie a przynajmniej o odzyskanie stanowiska; Anglia miała inne materyalne widoki. Bezinteresowność przy zawarciu pokoju pomagała Francyi do pochwycenia przewagi na polu moralném; Anglia widziała tylko na próżnołożone koszta i ofiary. Interes cywilizacji europejskiej jest środkiem dla Francyi, Anglia uważa go za koncesyę. Inne też stanowisko Francyi na Wschodzie, inne w kwestyi neapolitańskiej aniżeli Anglii. Francyi wpływ na Wschodzie był zawsze moralny. Anglia boi się o utratę swego rzeczywistego wpływu. Francya może się zbliżać do Rosyi, Anglia musi z nią w ciągłych zostawać zapasach. Bołgrad, wyspy Węzowe, nieusprawiedliwiają w oczach Francyi zajęcia Księstw naddunajskich ani obecności floty angielskiej na morzu Czarnem, nie stanowią powodów do oskarżenia Rosyi o nieodtrzymanie traktatu; gdy tymczasem pobyt wojsk i flot obcych na terytoryum i wodach tureckich po upływie terminu w traktacie oznaczonego, są nadwergażeniem onegoż. Anglia w tych samych kwestyach widzi świę-

kę w wykonaniu warunków traktatu, a wyspy Węłowe służą jej za pozór do utrzymania swęj przewagi na morzu Czarnem. W kwestyi Księstw naddunajskich Francya postępuje ciągle w kierunku, który został ogłoszony przez opinią publiczną za cywilizacyjny; Anglii połączenie się księstw naddunajskich jest całkiem obojętne, a przynajmniej podrzędne, ztąd zbliża się więcéj do Austrii, i przewagę swego wpływu powiększa w Turcyi. Anglia obawia się Rosyi w zatargach swoich z Persyą, bacząc na swoje posiadłości indyjskie; Francya wpływ Rosyi w Azyi znajduje naturalnym, bo cywilizacyjnym. Toż w Neapolu, Francya chce tylko ustalić swą moralną przewagę, bez poruszenia rewolucyjnych żywiołów; Anglia ma swoje materyalne widoki, a o zamieszanie jakie ztąd wyniknąć może bynajmniej jęj nie chodzi. Słowem, istota nawet przymierza inaczej jest pojmowana we Francyi, a inaczej w Anglii, lubo dla obudwóch są one tylko środkiem. Dla Francyi każde przymierze jest korzystnem w tęj chwili bo każde jęj pomaga do osiągnięcia owęj przewagi moralnęj do któręj dąży, ale zarazem nie chce i nie może wiązać się żadnem przymierzem zbytecznie, aby zostać najwyższym spraw europejskich rozjemcą, być sprzymierzeńcem ale nigdy narzędziem; Anglia takie tylko chce mieć przymierza i te tylko mocarstwa za sprzymierzone z sobą uważa, które służą jęj polityce, jęj widokom, które nie są bynajmniej wyłącznie cywilizacyjnymi, jęj interesom, które nie są również koniecznie interesami europejskimi. Francya mogła interesa tak zwane cywilizacyi europejskiej, przyjąć za cel przymierza, bo interes państwa w tęj chwili zostaje przypadkiem z nimi w zgodzie, dla Anglii cel ten musiał zostać tylko pozorem i firmą.

W przymierzku potrójnem z 2go grudnia, odnowionem przez zawarcie traktatu z 15 kwietnia, do stanowisk

już dość różnych Francyi i Anglii, przydać trzeba stanowisko Austrii, znów całkiem odrębne. Austria miała swoje widoki, odpowiednie interesowi państwa, przystępując do tego przymierza. Protektorat Rosyi w Księstwach, jój panowanie przy ujściach Dunaju, były sprzeczne, z tym interesem, ale i wojna w dalszem swém rozwinięciu nie małym zagrażała niebezpieczeństwem. Starano się przeto o jój ukończenie ale widoki jój w czasie pokoju zostały te same. Połączenie Księstw równie nieodpowiada polityce państwa jak protektorat rosyjski.

Mniej dba Austria o przewagę Anglii na morzu Czarnem, przeto gdy obecność tamże floty angielskiej tłómaczy poniekąd zajęcie Księstw przez jój wojska, obojętnie na to spogląda. Wyspy Węzowe leżą przy ujściu Suliny, stąd pochoch zbliżenia się w tej kwestyi do Anglii. Anglia zresztą nie dba o połączenie Księstw, walczy z wpływem Rosyi nieprzychylnym w tej chwili dla Austrii, Anglii obawia się Austria w Neapolu nierównie więcej niż Francyi, wszystko stawia Austryą po stronie Anglii. Francya znów zbliża się do Rosyi, co musi niepokoić, Austryą i Francyi nie potrzebuje Austria dla przewagi w Niemczech, bo ją kwestya Neufchatelu od strony Prus w tej chwili zaspakaja; przeto nie popiera ona polityki francuskiej co do tłómaczenia warunków traktatu z 30 marca, a nawet odmawiając ewakuacyi Księstw naddunajskich, wprost przeciw niej staje. We Włoszech całkiem inny znów Austria ma interes, niż Francya i Anglia, życzyć sobie tam nie może wpływu ani jednego ani drugiego z tych mocarstw, przeto i tam działanie przymierza nie może być zgodne i silne. Ale Austria trzymając się Anglii, pobłażając jój polityce na Wschodzie, może otrzymać pewne we Włoszech concessye i oddalać niebezpieczeństwo grożące z tej strony trzymając równowagę między swemi dwoma sprzymierzeńcami. Interes cywilizacyi europejskiej uważany za

cel przymierza 2go grudnia o tyle tylko się zgadzał z interesem państwa, o ile szło o przywrócenie pokoju; zaś wykonanie warunków traktatu z 30 marca, postawione za cel przymierza z 15 kwietnia, o tyle może być celem o ile się to wykonanie zgodzi z interesem państwa.

Przymierze zaś siedmin mocarstw zasiadających na konferencyach w Paryżu, jeżeli zawarcie pokoju i podpisanie traktatu przymierzem nazwać można, posiada mniej jeszcze warunków trwałości przymierza, bo jednoci nawet celu dopatrzeć się tam nie można po przywróceniu pokoju. Jakże przypuścić aby Rosya i Turcya ten sam miały interes w traktacie z 30 marca? Aby Austria, Anglia i Rosya warunki traktatu jednakowo tłumaczyły? Na to musiałoby każde z tych mocarstw spuścić z oka główny interes państwa. Nadto przymierze angielsko francuzkie starało się w owem przymierzu utrzymać niejaką przewagę; chciało korzystać z swój bezinteresowności, żądało ofiar w imieniu ofiar położonych, a otrzymywało tylko koncesye. Przymierze zaś z 2go grudnia, wywoływało i koniecznie wywoływać musiało pewien antagonizm innych mocarstw, jako siła która bądź co bądź nakładała warunki innym mocarstwom, choćby tylko dla tego, że życząc sobie pokoju oprzeć się im nie mogły. Ale ztąd jeszcze do zgody daleko. Jakoż zaledwie pokój nastąpił, Rosya której polityka Francyi więcej niż angielska była na rękę, zbliżyła się do niej. Stanowisko rozjemcze i przewagi moralnej, które Francya utrzymać się stara, Rosya popiera nie wzbraniając się bynajmniej poddać sprawę Bołgradu i wysp Węzowych pod decyzją nowego kongresu w Paryżu. Ale Anglia niepokoi ją na morzu Czarnem, Austria w Księstwach naddunajskich, przeto upartuje ona nadwergęcenie warunków traktatu, i tu zgadza się z Francją. W kwestyi neapolitańskiej zgadza się znów więcej

z Austryą niż z Francją i Anglią, występuje bardzo wyraźnie przeciw żądaniom mocarstw zachodnich, a w obronie praw niepodległości i godności korony Obojga Sycylii. Ale z drugiej strony, aby osłabić wpływ austriacki a zarazem zachodni, podaje rękę królowi Sardyńskiemu, który znów jak wiadomo pierwszy żądał reform w państwie neapolitańskim. — Turcja zostawszy państwem europejskiem, usiłuje zachować wszystkie zawarte przymierza, i korzystać z panującej w nich niezgody. Położenie jej atoli jest trudne. Potrzebuje Anglii aby walczyć z wpływem rosyjskim, ale radaby utrzymać zasadę zamknięcia Cieśnin, bo inaczej jest na łascie floty angielskiej. Zbliżanie się do Anglii, oddala od niej Francją. W kwestyi Księstw naddunajskich, Austrya znów popiera silniej jej prawa aniżeli Francya a nawet Anglia. — Prusy również nie chciałyby się w tej chwili poróżnić a żadnem mocarstwem. Ale cóż z tego? Dawny sprzymierzeniec jej Rosya chętnym widziałaby okiem Prusy popierające związek jej z Francją a oraz widoki przeciw Anglii i Austryi. Lecz bliski ślub księcia pruskiego z córką królowej Wiktoryi, wiąże Prusy z Anglią — a znów kwestya neufchatelska wymaga oględności dla Austryi. W żadnej więc kwestyi, nawet co do warunków traktatu z 30 marca, Prusy nie mogą podnieść głosu, który mają niezaprzeczenie jako mocarstwo pierwszego rzędu, należące do systematu solidarności państw w Europie. Co do Sardynii powyższa wzmianka aż nadto wskazuje że położenie jej jak było fałszywe tak niem i nadal zostaje...

Lubo wiele z powyższych rysów położenia chwilowego jednych państw względem drugich po zawarciu pokoju, oparte są tylko na przypuszczeniach, wszelako te które jako fakta zaprzeczeniu nie ulegają, są dostateczne, aby przekonać, że przymierza istniejące nie wystarczają na rozwiązanie kwestyj bieżących. Nie brak

im na sile, lecz brak na zgodzie — to jest zbywa na podstawie i celu. Ale czyż może być inaczej w systemacie politycznym solidarności państw do którego się te przymierza odnoszą?...

Mówiąc po prawdzie, i ściśle biorąc następstwa tego systematu, solidarność wykluczać się zdaje wszelkie przymierza odrębne, i istnienie ich czynić niepotrzebnem. Jeżeli bowiem każda sprawa obchodzi wszystkie państwa solidarnie, i bez udziału wszystkich obejść się nie może — na coż się przydać mogą odrębne przymierza? Zarzucano też tę zbyteczność przymierzowi 2go grudnia, gdy się dowiedziano o zawarciu traktatu z 15go kwietnia. Skoro wszystkie państwa solidarnie zaręczyły wykonanie warunków traktatu 30go marca, a więc i Francya, Anglia i Austria, na coż znów potrójne przymierze tych mocarstw w tym samym celu? Solidarność państw w loicznym swem zastosowaniu, jeżeliby to kiedykolwiek praktycznem być mogło, mieści w sobie równowagę europejską, a raczej ją znosi absorbując wszelkie antagonizmy, i przypuszcza tylko jedno przymierze wszystkich państw. Takiego przymierza celem nie może być cel inny jak interes europejski, cywilizacyjny — bo żaden materialny, połączyłby wszystkich państw nie mógł. Może wtedy idąc dalej za utopią, cel taki byłby dla przymierza ogólnego odpowiedni, ale w dzisiejszych przymierzach wyrodzić on musi tylko słabość, a w kwestiach zawikłanie. Skutki traktatu z 30go marca, i sprzeczność tłumaczenia jego warunków, pomimo wszelkich rękojmij wykonania ich, najlepiej tego dowodzą.

Lecz systemat solidarności, jeden jeszcze i to najwyższy podał środek jakby w przewidzeniu mogących zajść trudności, to jest zwołanie nowego kongresu. Cóż z tego, skoro co do zwołania kongresu, te same jeżeli nie większe jeszcze istnieją przeszkody, jak co do orzeczenia kto i o ile niedotrzymuje warunków traktatu? Fran-

cya życzy sobie zwołania kongresu, ale w Paryżu, bo takowy wzmacnia jej moralną przewagę. Anglia właśnie dla tego nie widzi potrzeby takowego zebrania, i utrzymuje, że ona sama wystarczy aby warunki traktatu zostały wykonane, stósownie jak się do tego zobowiązała. Rosya chce zwołania Kongresu, Austrii chwila nie zdaje się być stósowną, Prusy nie są przeciwnie zebraniu reprezentantów mocarstw w Paryżu, ale tylko dla sprawy neufchatelskiej, a Turcya jest całkiem obojętną i nie oświadcza się ani za ani przeciw.. Nie ma więc wcale zgody — a przymusowego kongresu wystawić sobie trudno.

I mniej niż w innych sprawach dziwić się można trudnościom jakie napotyka zwołanie nowego kongresu. Jeżeli każda najmniejsza sprawa wymaga kongresu, jeżeli taka sprawa jak bołgradzka nie może być rozwiązana tylko na kongresie, zaprawdę wtedy kongres nieustający przestaje być fikcją.... Jeżeli kwestya o wyspy Węzowe musi być koniecznie na kongresie europejskim rozstrzygniętą, coż zostanie wtedy za sposób na rozstrzygnięcie kwestyj wielkich odnoszących się naprzykład do równowagi europejskiej? Nie jest że t. użyciem herkulesowej maczugi na zabicie muchy? Nie jest że to zużycie politycznego środka? któż nie będzie potem lekcewżył kongresowych aktów, skoro najmniejsza trudność nowe wywołuje równie wielkie i poważne zebranie?...

Zdaje się także przechodzić coraz mocniej w przekonanie państw, że zasada solidarności zastosowana za pomocą kongresów, znosi po wielkiej części niepodległość państw i nadwiera godność korony. Król neapolitański uzbrania się poddać spór swój z mocarstwami zachodniemi pod narady nowych europejskich konferencyj; bo Neapol jako państwo drugiego rzędu drażliwszy być musi na godność własną to jest na pozór

jej uwłaczający, aniżeli na przykład Rosya lub Prusy. Rosya i Prusy kwestye bołgradzką i neufchatelską chętnie do nowego odsyłają kongresu, bo jako mocarstwa pierwszego rzędu czują się na siłach utrzymać przewagę na kongresie, i godność swoją zakryć z bronią w rękę, gdyby istotnie na szwank jakowy narażoną była.

Daléj jeszcze, w systemacie solidarności, kongres jest to rodzaj europejskiego sądu przysięgłych (*jury*) z państw złożonego. Jako taki, winien on wyrokować o sprawie mu przelozonej jednomyślnie, podobnie jak się to dzieje w sądzie przysięgłych. Większość głosów nie może tu rozstrzygać — bo któreż państwo by takową większość uznało? — bo jakże żądać od mniejszości aby się solidarnie obowiązywała do wykonania tego co niezgodnem być sądzi ze swym interesem? — bo nareszcie kongres jest dobrowolny.... Tymczasem zdaje się, że inaczej miały się traktować sprawy na projektowanym kongresie, skoro jedno mocarstwa chciały drugie wykluczać a to pod pozorem, aby się nie znajdowały w mniejszości. Na coż większość zda się skoro każdemu i w każdej chwili wolno wystąpić z kongresu? A znów na mocy jakiego prawa można go nie przypuszczać, skoro interes jest za europejski uznany i wyrok ma być orzeczony znów na mocy kodeksu politycznego solidarności państw?...

Nareszcie, chociażby się nawet zgodzono na zwołanie kongresu i bez żadnego wykluczenia, czyż to wystarczy na rozwiązanie kwestyj bieżących? Wątpić o tem wolno. Nie wszystkie naprzód kwestye oddane zostaną pod ten trybunał, a jednakowoż wyrokować *zaocznie* w polityce nie na wiele się przyda, ani od wojny uchronić nie może — a w kongresie właśnie chodzi o utrzymanie pokoju. W kwestyach zaś pod kongresu wyroki poddanych, czyż można się jednomyślności spo-

dziewać?... Kongres ostatni odbyty w Paryżu nie może służyć za miarę porównania. Kongres paryżki w marcu kończył wojnę dwuletnią, której nikt już dłużej prowadzić sobie nie życzył, bo znużenie było ogólne. Warunki główne traktatu były naprzód ułożone, a co większa przez wszystkie strony przyjęte — zgoda więc była niejako z góry zapowiedziana. Ale też żadna inna kwestya nie została rozstrzygniętą — i dotąd spór trwa z powodu tej spuścizny jaką kongres umierając zostawił. Niezgodzono się ani o Księstwa naddunajskie, ani o los rajasów, ani o kwestyę neapolitańską!... Pośpiech także nie małym był bodźcem na drodze zgody i jednomyślności przy ułożeniu traktatu z 30 marca. Do pośpiechu w tej chwili nie ma przyczyny, a więc nie ma jej i do zgody — działa już nie stoją na wyżynach sebastopolskich, a pokój zastąpił zawieszenie broni.....

Podobnie więc jak przymierza tak i kongres nowy, gdyby go nawet zwołano, nie rozwiązałby może wszystkich kwestyj zajmujących obecnie politykę europejską. Załatwiłby je o tyle tylko o ileby na to pozwolił interes państwa każdego mocarstwa, po należytem wszystkich państw razem porozumieniu się. Bo rzecz próżna sądzić aby tak w kwestyach jak i w przymierzach był cel inny prócz interesu państwa. Innéj polityki nie ma obecnie. Systemat solidarności ściśle wzięty jest teorią polityczną której interes państwa w praktyce stoi ciągle na zawadzie. W tem źródło trudności uwieczniających kwestye, niweczających działalność przymierzy.

Polityka europejska podobną jest dzisiaj do labiryntu, gdzie mnóstwo krętych ścieżek, a każda z nich prowadzi do obszernego placu, z kąd znów inne wychodzą manowce, i tak bezkońca. Ścieżkami są kwestye i przymierza, wiodące do systematu, gdzie zamiast

rozwiązania nowe powstają kwestye. Z wysoka spoglądaćby podobno trzeba, aby mózż dostrzedz punkt wyjścia.... z tak wysoka dziś patrzy podobno tylko oko Opatrzności.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w listopadzie.

Mgły, deszcze, śnieg, wiatr, mróz i odwilż naprzemian, niebo szare, drzewa nagie, latarnie miejskie zaledwie migocące, wieczory długie nieożywione towarzyskiemi zebraniem, teatr z odwiecznym repertoarem, kalosze i nienustający katar, eklektyzm w życiu publicznem, nudy w życiu prywatnem — oto tło, na którym spłowiałemi barwami i w niewyraźnych zarysach maluje się Kraków w szarej mgłę listopadowej. Wiadomo że jedno z księstw niemieckich ma za herb, rozdziawioną gębę: heraldycy niemogą się wszakże zgodzić na to, czy otwarcie tej gęby jest skutkiem zadziwienia czy poziewania. Gdyby natomiast Kraków tem malowniczem obdarzony był godłem, któżby mógł wątpić choćby na chwilę, że gęba ta nie poziewa? Kraków nudzi się zawsze, a najbardziej nudzi się teraz; niedziw więc, że piszący kronikę potoczną tego miasta, przystępuje do niej ziewając; że zaś ziewanie jest zaraźliwem, więc się ono zapewne udzieli i czytelnikom, co z resztą dowodzić będzie sympatyi między publicznością a autorem, tyle dla ostatniego pochlebniej.

Ziewanie, ów symptom nudów, wspólne jest całemu tutejszemu towarzystwu, począwszy od poważnych herbat literackich, na których się zwykle słucha, czegoby nikt dobrowolnie nie czytał, aż do studenta ziewającego nad książką, która niestety! formułami mądrości zawczasie głowę jego ma nadziać; począwszy od starca znudzonego już życiem, do młodzieńca, który w obawie zawodu unika złudzeń. Nudy zarówno towarzyszą tym którzy bujnie używali życia, jako i tym którzy z kredką w ręku obliczali się w niem z siłami swemi; zarówno temu, kto w zbytecznej troskliwości jada i sypia podług zegarka, wychodzi podług barometru a z termometrem pilnuje palenia w piecu, jako również i temu, który jada w tenczas kiedy może, wychodzi kiedy musi i opala mieszkanie kiedy ma czem. Cała różnica zależy jedynie na tem: jak się nudzić, czy jawnie, czy skrycie, czy publicznie, czy prywatnie, okazale czy skromnie, w salonie lub w kącie, czy poziewając na całe gardło z towarzyszeniem przeciągania się, czy zasłaniając usta chustką.

Jedni nudzą się systematycznie, drudzy bez ładu. Tamci zawczasu układają sobie jak mają przepędzać dzień, wieczór, porę roku, całe dalsze życie swoje, mniej dbając o to, czy warto tyle zachodów dla takich celów; ci nudzą się dla tego, że sobie żadnego planu życia nie ułożyli. Inni znów nudzą się przez zasadę, mniemając, że powaga stanu i rodu, majątku i znaczenia, urzędu lub tytułu, nauki istotnej lub pozornej, nakazuje im być nudnymi.

Czem są właściwie nudy? czy negacją, tak jak zimno negacją jest ciepła, a choroba negacją zdrowia, czy też stanem samodzielnym? Nudy grasują tak jak zaraza, jak dżuma: udzielają się zarówno powietrzem jak i przez zetknięcie. Zostają one w bliskim powinowactwie z wieloma chorobami umysłowemi i fizycznymi, lecz nie są same przez się chorobą: lubo umysł osłabiony, serce ostudzone, przesyć życia, wycieńczenie sił fizycznych, nieregularne trawienie, cierpienie śledziony, pycha, zbyteczne o sobie rozumienie, szczególnie do nudów usposabiają. Chcąc się zatem ich pozbyć, potrzeba siły umysłu, gorąca w sercu, świeżości fizycznej i moralnej, zdrowego żołądka, więcej pokory ducha, skro-

mności żądań i potrzeb, a w ogóle ruchu i pracy. Nudy są upadkiem ducha, świadectwem o niewoli jego lub zgrzybiałości. Częstokroć można je wmówić w siebie, a wtedy, jako dawniej sztuczna i udana czułośćkość lub spazmy modne, przeradzały się w prawdziwe cierpienia nerwowe, tak i nudy wmawiane w siebie, ogarniają nas na prawdę. Najniebezpieczniej zaś dać im przystęp w listopadzie, gdzie sprzyja wszystko ich zagnieżdżeniu się, gdzie wpływ powietrza wyradza już sam przez się śpiączkę i spleeny, gdzie podróżować nie można, gdzie tak trudno o rozmaitość, zwłaszcza w Krakowie, który co do nudów mógłby iść o pierwsze z najcichszym i najustronjszym zaściankiem, z najszczuplejszym kółkiem familijnem, z najtkliwszem *tête à tête* nierozłącznego jubileuszowego pożycia małżeńskiego.

Są ludzie uprzywilejowani, którzy się całe życie nudzą; inni nudzą się tylko czasem np. w listopadzie. Tamci niemogą nigdzie i nigdy znaleźć dla siebie zajęcia. Nudzi ich towarzystwo, książka, samotność, nudzi praca i próżnowanie, lato i zima, płacz i śmiech cudzy. Sami nie płaczą nigdy i nigdy się nie śmieją. Przebyli wszystkie rodzaje uciech jak ów rzymski imperator, od wykwintnych biesiad do pogardzanych szermierek cyrkowych, a lubo nie oni spalili Kraków, lecz i ten gróźnie wspaniały obraz nie sprawił na nich wrażenia. O tych niema co mówić; nudy listopadowe niemają z nimi nic wspólnego.

Nudy listopadowe chodzą pod parasolem w kaloszach i nieprzemakalnych oponczach, lub siedzą w domu w szlafroku i pantoflach, z rezygnacją godną lepszego celu, słuchają gamm wygrywanych przez córkę, czytają cierpliwie gazety żeby się z nich dowiedzieć, czy będą jeszcze konferencye lub nie, odpisują na zaległe listy przyjaciółom, słuchają o której właściwie godzinie biją zegary, a niekiedy ośmielają się iść do teatru aby się upewnić w słusznym przeczuciu swoim, że nowy tytuł na afiszu nie jest konieczną oznaką nowej sztuki, lecz tylko nowym sposobem zbogacenia skromnego repertuaru.

Gdyby zresztą nie ta zmiana, niemielibyśmy jak tylko jedną nowość w teatrze: „Hrabiego na Wątorach“, potomka Romulusów i Cyrusów, właściciela srebrnej tar-

czy z godłem beczki i wiernego Szansopanszy któremu na imię Baltazar. Hrabia na Watorach jest ciężkim grzechem, który nie łatwo przyjdzie Syrokomli zmasać, musiałby chyba wykupić wszystkie co do jednego egzemplarze i spalić je na stosie ofiarnym dla przebłagania cieniów tych którym ubliżył.

Dla czego u nas dramata historyczne się nie udają, dla czego ten w wasach, ów w tarczy herbowej widzi przeszłość? Bo nauka historii leży odłogiem, bo oprócz spisu ważniejszych zdarzeń który szumnie nazywamy historią, niemamy nawet jakich takich porządnie zebranych materiałów historycznych. Historycy nasi albo pisali kompendya, albo patrzeli przez pryzma swoich politycznych wyobrażeń dzisiejszych, nowoczesne pojęcia przyoblekali w formy przeszłości, albo historię kraju tak oderwanie traktowali od dziejów ościennych narodów, że się nigdzie w niej nie dopatrzy wpływów zewnętrznych zdarzeń. Wprawdzie od niedawna pomyślano o tem żeby zacząć grzebać w przeszłości, lecz znów sięgnięto za daleko, bo aż do wędrówek ludów, i dalejże w spory zachodzące aż w Persyą i Indye, dalejż do skorup i popielnic, kamiennych grotów, runów i klinowych głosek, jak gdyby w nich leżała przeszłość bezpośrednio nasza. Dobrze i to — było dawniej w zwyczaj u pisać rodowody rodzin, którym szukano w arce Noego protoplastów, dziś się to dzieje z rodowodami narodów. Nikt przecież nie wątpi, że się tam znajdowali owi protoplaści. Ale jak wiadomo, nietrudno było historyografowi rodziny Montmorencyów przeprowadzić rodowód ich familijny od Noego do pierwszego Montmorency, lecz za to niesłychane miał trudności w ułożeniu genealogii następnych Montmorencyów. Podobnież bywa i z dziejami narodów. Przypuśćmy więc że aż do chwili tworzenia się spójni politycznych u nas wiadoma jest cała przeszłość, a zajmijmy się rodowodem tych późniejszych już czasów piastowych, jagiellońskich i bliższych, by drugi jaki hrabia na Watorach wiedział, że herb jego nieprzepadnie, choćby stopił tarczę, bo to nie złotnik herb nadawał, jak go dziś nieraz nadaje pieczętarz, lakiernik powozów lub wydawca herbarza.

Grano w tym miesiącu i dramat z powieści „Listopad“ przerobiony, a gdyby nie tytuł ten, możeby mi i na myśl

nie był przyszedł. Lecz z dramatu tego opadła cała polemiczna powłoka powieści będącej obroną pewnego nie stronnictwa, ale koteryi, i został z niej suchy szkielet, rusztowanie sztucznie złożone z argumentów, które wzięto w dramacie za akcyę. Jest to tak jakby z memoryału dyplomatycznego chcieć napisać powieść historyczną.

Jeżeli te pare przedstawień teatralnych, zdołało rozebrać lisopadowe nudy, to przyznałbym, iż Kraków może jak wielbiad na pustyni wytrzymać długo bez wody. Tylko że Kraków nie samą poi się wodą, ale również znaczną obfitością piwa.

Piwo to ma do siebie, a zwłaszcza też owe piwa ciężkie jakie zwykle teraz w Krakowie pijają, iż zamiast jak inne napoje ożywiać, rzeźwić, rozweselać, czyni ociężałym, flegmatycznym, nudnym. Zdaje mi się że to jest napój zgodny właśnie z charakterem obecnym mieszkańców miasta naszego zwłaszcza w tej porze, a przeto że nic stósowniejszego jak parę słów poświęcić mu tutaj.

Przed laty sływał Kraków wybornemi winami węgierskiemi, których głównym był składem. Tutejsi winiarze posiadali pewne tajemnice piwniczne przechowywania wina, lecz z upadkiem tej gałęzi handlu i z wygaśnięciem pokolenia umiającego cenić te zalety piwnic krakowskich, liczba winiarzów zmalała, ubyło wielbicieli wina węgierskiego, a zwolna na opróżnionych węgarach piwnicznych zaległy beczki piwa. Piwo niebyło obcem w kraju. Sama nazwa jego dowodzi starożytności pochodzenia jego, bo powstało ono wraz z tworzeniem się języka którym mówimy, lecz jako *piwo*, to jest napój, było ono przeznaczone zapewne do zaspakajania tylko pragnienia. Miód także stawał na przeszkodzie piwu, aby je podnieść do zaszczytnego stopnia napoju upajającego. Ale winiarnie i miodziarnie z rzadka tylko gdzie jeszcze istnieją, natomiast izby piwne zagęściły się po całym mieście. Myliłby się ten jednak ktoby sądził, że piwiarnie krakowskie są miejscami, w których panuje wygoda, czystość, a tem mniej jakaś wytworność zwykła miejscom publicznym. Są to prawie wyłącznie izby szynkowe, do których się wchodzi wprawdzie nie przez drzwi opatrzone wiechą gorzałczaną, lecz przez sklep korzenny. Szczególnym bowiem zwyczajem szynki pi-

wne stały się atrybucyami handlów korzennych. W Niemczech ojczyźnie piw upajających, izby piwne przechodzą nieraz wytwornością inne miejsca publiczne, a bez względu na atmosferę tytoniową jaka w nich panuje, starają się stanąć na równi z kawiarniami i restauracyami francuzkami. W Krakowie komfort nie doszedł do tego jeszcze stopnia, aby w piwiarni publicznej można usiąść bez obawy oparcia łokcia na stole. Tem mniej znajdzie w Krakowie kawiarnię według wyobrażeń jakie się ma z zagranicy o takich zakładach. Piwiarnie krakowskie szynkują zazwyczaj piwa mocne, wyrobu nietutejszego, a po cenie tak wysokiej, iż dawniej za te pieniądze taką samą niemal ilość wina dostać można było. Dla czego zaś tutejsze browary niewyrabiają piwa w należytej ilości i mocy, to pozostanie zapewne zagadką przemysłową. Słynne niegdyś tutejsze piwa Jeniego dziś poszły w niepamięć, a przecież naturalny ich smak i moc dostateczna, przemawiały za utrzymaniem ich w dawniej reputacyi. — Teraz jakieś piwa ciężkie, czarne, przypalone, niby z porterem graniczące, a obcemi piwu zaprawami, wzbudzają odrzę dla niezepsutego smaku. Lecz że i Mitrydates do trucizny nawykł iż mu ta nieszkodziła, więc i piwa te bez obawy jak to skutek pokazuje, pić można. Czy wszelako wpływ takiego napoju w codzienną wyradzającą się potrzebę nie działa zwolna na przeinaczenie się całego organizmu, o tem już szeroko pisał Liebig, który przecież bierze tylko na uwagę piwa bawarskie wyrabiane jak wiadomo z całą troskliwością i bacznością nie tylko fabrykantów, ale i władz, które pilnują, aby nie szkodliwego zdrowiu nie wchodziło w przyprawę piwa. Gdyby Liebig zakosztował kiedy piwa do Krakowa sprowadzanego, niewiem już pod jaką nazwą i z jakich miejsc, możeby z właściwą sobie dokładnością obliczył, że za jakie pięćdziesiąt lat, pokolenie w którego krwi płynie piwo używane w Krakowie, nabędzie téj lub owéj wady fizycznej; może jak w pewnych okolicach wól u szyi, tak w Krakowie inne nabrzękłości chorobliwe rozpowszechnią się. Pamiętam, że przed wielu laty Francuz jakiś stawiał różnice charakterów między narodami piwopijnymi i winopijnymi, i smutne dla Paryżan wyprowadzał stąd wnioski, że piwo zaczyna tam

wchodzić w modę. Nie myślę ja go tu bynajmniej powtarzać, boć i niepamiętam już co on takiego mówił, ale to wiem z pewnością, że wielu poetów sławiło w pieśniach swych wino, a o piwie jeden tylko wspomina Ossyan, który zresztą mieszkał w kraju, gdzie panowały mgły. Odin skandynawski pijał także piwo, lecz nienabył on nigdy tak szerokiego na świecie imienia, jako Jowisz, który napawał się nektarem.

Lwów w listopadzie.

Mieliśmy już w tym miesiącu mrozy i śnieg obfity, i znowu dni parę najprzyjemniejszej jesieni, która ustępując przed surowszem licem zimy, jeszcze nas na chwilę pożegnać chciała. Powoli zaludniają się pierwsze piętra, częściej mijają się po ulicach okazalsze powozy, już zaczynamy nawet przy herbacie wieczornej myśleć jakie zabawy przyniesie nam pora zimowa. Teatr zwykle rozpoczyna ich szereg; obaczmy więc najprzód co się dzieje — nie za kulisami, to nie do nas należy — lecz na scenie lwowskiej. Są rzeczy, przeciw którym, jak mówi pewien dawny mędrzec, i bogowie sami daremnie walczą. Są zdania tak uporczywe, że dla nich niema lekarstwa, ani nawet strata materyalna przy przedsiębiorstwie teatralném. Donosiłem Wam już dawniej, że wina upadku sceny polskiej we Lwowie ciąży głównie na jéj dyrekcyi, która upodobała sobie bawić publiczność nowicyszami w sztuce i miernościami w dramatycznym zawodzie, dając na powód, że chce wykształcić nowe talenta po wydaleniu dawnego grona artystów. Jestto wygodny argument pod względem ekonomicznym; sprowadza on bowiem płace aktorów do *minimum*, czemu uczniowie Talii cierpliwie poddawać się muszą, a do czego dawniejsi mistrzowie nie okazywali powolnej chęci. Ztąd wynika, że nie patrzmy na scenę, aby smakować w arcydziełach sztuki i w artystycznych przedstawieniach, lecz aby widzieć próby szkoły dramatycznej, robić komentarze i uwagi nad grą w myśli, i pozlewać, kto się zdecydował odsiedzieć parę godzin. Że w takim położeniu sceny nie wielu

miłośników zabawy scenicznej, to widać już z pustek w teatrze prawie zwykłych i z narzekañ, że publiczność nie odwiedza teatru. Ależ przebóg! cóż ta publiczność winna, że jej wyobrażenia o scenie nie przypadają do wyobrażeń dyrekcji? Mieliśmy sposobność przekonać się o tem właśnie w tych dniach. Występywał w niemieckim teatrze, jako gość, śpiewak p. Reichardt. Widać było, że publiczność umie cenić talent i zdobyte artystyczne stanowisko, kiedy teatr za każdą razą przepełniony, nie mógł znaleźć miejsca, nawet dla stojących. Pojmujemy zapłacone wstępne na przedstawienie sztuki przez artystów (nie robiąc w tym względzie bynajmniej wymagań nadzwyczajnych), ale dla próbek i ćwiczeń początkowych nieś zamilowanie gorące, i bawić się nadzieją przyszłych talentów, wyznajemy, że tego rodzaju zabawa trudna do pojęcia. Prawda, że młode talenta dojrzewają jedynie tylko przy scenie, gdzie mają sposobność widzieć wzory sztuki w ukończonych artystach, lecz gdzie są te wzory na scenie lwowskiej? Jeden Smochowski. Dawnych pierwszego rzędu artystów i artystki dyrekcja osądziła za dobre oddalić; zapewne gwoli odmłodnienia sceny talentami *in spe*, i gwoli bawienia publiczności procesem tworzenia się gieniuszów za czarodziejską łaską p. Chełchowskiego.

Cokolwiek bądź, dyrekcja ma swój gust, a publiczność ma swój; a że *de gustibus non est disputandum*, ergo — nie masz sposobu złać w jedno ten dualizm.

Świat literacki cieszy się niepomalu otworzeniem katedry języka polskiego i literatury przy uniwersytecie lwowskim. Różne też ta katedra od ustanowienia swego przechodziła koleje. Jak wiadomo, pierwszy zajmował ją ś. p. professor Michalewicz. Jego dawniejsze koleje, stosunki z ś. p. hr. Ossolińskim rokowały piękną przyszłość dla katedry i znamienite owoce dla młodzieży krajowej. Jakoż w początkach Michalewicz zalecał się gorliwą pracą, a lubo nie zajaśniał talentem wyższym i autorską sławą, umiał jednak wzniecić interes w słuchaczach swoich i w głuchych owych dla języka polskiego czasach rzucić ziarno pożytku w leżący od dawna ugór. Nieprzychylny los rzucił nieszczęście w domowe stosunki profesora. Te nie mało oddziały-

wali na stanowisko jego, na pierwotną gorliwość i resztę życia. Odtąd zobojętniał dla przedmiotu, zmałał na duchu — *sit ei terra levis*! Po nim objął katedrę Dr. Jan Szlachetowski, niegdyś kustosz biblioteki Ossolińskich, młody, gorliwy, wyższy talentem i naukami nad poprzednika swego, niepospolity znawca literatury polskiej, sam pisarz i wydawca, rokował piękne nadzieje. Krótko atoli był na katedrze. Czasowe koleje nie sprzyjały dłuższemu na niej bytowi jego, i odtąd katedra przez lat trzy i dłużej opróżnioną była. W czasie tego osierocenia rozmaite szerzyły się wieści o przyszłości katedry, najobszerniej obiegała pogłoska o zupełnem jej zwinięciu, co dotyczyło boleśnie światlejszą część kraju. Jakby zadając kłam pogłoskom, zjawia się wreszcie przed kilką tygodniami wiadomość urzędowa, że Wysockie Ministerium oświecenia mianowało na katedrę języka i literatury polskiej przy uniwersytecie lwowskim Dra Małeckiego. Wiadomość ta przyjęta była z prawdziwą uciechą i wdzięcznością; raz że rozchwiała fałszywe pogłoski, powtórę, że wybór Wysockiego Ministerium odpowiedział oczekiwaniom w sposób pożądanym. Nie wątpimy bowiem, że autor „Listu żelaznego“ i „Grochowego wieńca“, sam znawca i miłośnik piśmiennictwa polskiego, z korzyścią dla kraju i dla literatury polskiej potrafi wywiązać się z przyjętego obowiązku. Jest też i wiadomość, że z przyszłym rokiem szkolnym ma być otworzony wydział lekarski przy tutejszym uniwersytecie, co podniesie znaczenie tegoż. Wiele w tym względzie i w innych, dotyczących istotnej korzyści kraju, winniśmy staraniom Jego Excellencyi Namiestnika hr. Gołuchowskiego, któremu także, by tylko wspomnieć o miejscowych rzeczach, zawdzięczamy urządzenie wzorowego domu poprawy pod dozorem Sióstr Miłosierdzia u Maryi Magdaleny, otwarcie szkoły ogrodników, założenie ogrodu botanicznego na wielkie rozmiary przy tutejszym uniwersytecie, i pierwszy pomysł do wydawnictwa słownika Lindego.

Widzieliśmy tu także „*Hrabiego na Wątorach*“ i zgadzamy się zupełnie ze zdaniem objawionem w *Czasie* Nr. 262. Jedną wszakże uwagę pozwólcie mi dodać. Kiedy ktoś z Niemiec sąsiedzkich wykrzywi oblicze historyczne naszego narodu („*Soll und haben*“, romana

Freitaga) da się to wytłumaczyć wiadomemi powodami, dla których, gdy potrzeba, każda historia nie jest rzeczą świętą. Kiedy francuz (w tegorocznej „*Revue des deux mondes*“) za niemcem też samą niedorzeczność powtórzył, można pomyśleć z Goethem, że są książki nie dla tego, jak się zdaje, pisane, aby się z nich czegoś nauczyć, lecz dla tego, aby myślano, że autor przecież coś wiedział. Ale kiedy pisarz swojski fałszywe oblicze swego narodu kreśli, to podobny „*fantastyczny obrazek*“ (nie wątpimy że jest tylko *fantastycznym*) nie zbawi od grzechu literackiego. Uderzmy się w piersi; mieliśmy i mamy swoje wady: ależ dla Boga! nie strójmy naszych przodków w wady cudze, boć i tym co nie żyją, sprawiedliwość się należy, nawet i na scenie. Właśnie też scena łącząc z przedstawieniem udział rzeczywistości, zaciera prawdziwe rysy historii u wielkiej części widzów.

Wiedeń w listopadzie.

Wyjazd wysokiej rodziny cesarskiej na dwa lub trzy jak powiadają miesiące do prowincyj włoskich, nie pozostanie bez wyraźnego wpływu na życie towarzyskie stolicy w czasie nadechodzącej zimy. Wprawdzie dwór cesarski jest w ogólności prostym i skromnym co do popędu lub udziału w ruchu światowych zabaw i rozrywek, lecz w tym zakresie był istotnie punktem do którego skupiały się zwykle, lub z którego wychodziły wszystkie tego świetnego koła promienie. Przeszłej zimy prócz dwóch lub trzech wielkich balów u Cesarstwa, były wieczory tańczące u Arcyksiężnej Zofii, a obecność NN. Państwa na balach u książąt Lichtenstein Szwarzenberg, Trautmannsdorf i u margrabiego Pallavicini, była silnym i może głównym bodźcem do tej wystawy, którą się odznaczały te wspaniałe zebrania. Za nimi, przez chęć popisu lub naśladowania, szły jakby na wyśoi gi inne bogatsze i uboższe salony. Zima więc zwiastowała podczas karnawału, była wesołą i ożywioną. Terazniejsza zdaje się że będzie spokojniejszą i oszczędniejszą, tak z powodów wyżej wymienionych, jak ze

składu ciągle bardzo cierpkiego ogólnych i następnie pojedynczych stosunków finansowych. Od dwóch miesięcy trudno spotkać osobę na ulicy, w salonie, którejby po pierwszym przywitaniu, niepotrzeba było dzielić bolesnych narzekañ na spadek papierów, na brak pieniędzy i na rozmaite z tego podwójnego źródła pochodzące straty. Kupujący i sprzedający, to jest spekulanci w masie, cierpliwi posiadacze akcji, i ich gwałtowni naraz nieprzyjaciele, wszyscy się skarżą, wszyscy ubolewają, wszyscy się kurczą. Znikły złote nadzieje i wśród nich zrealizowane mniej lub więcej znaczne zapasy. Ulotnił się jak spalony diament, lekko i spiesznie wygrany zarobek. Zrównało się błogosławione *agio* ze stanem atmosferycznego barometru, który coraz zwawiej posuwa się do zera. Pozostała smutna, jak zwykle w sprawach ludzkich, rzeczywistość, to jest pustki lub ubytek dotkliwy w kassie, i otwarte do opał u piece i kominy. Pod tym względem Wiedeń przedstawia w tej chwili uczący choć nie miły obraz. Wszakże dodać na pociechę można, że na tak śliskim polu tych spekulacyjnych zapasów, wrodzona w charakterze odznaczająca ludność tutejszą, umysłowa spokojność, osłoniła ją dotąd od owych tragicznych, któremi się najczęściej w Paryżu lub Londynie podobne rzeczy kończą, rozwiązań. Twarze wprawdzie i tu zaszępiłone: oczy nieco zapadłe, włosy nieraz rozczochrane i ubiór przy wyjściu zwłaszcza z giełdy, trochę zaniedbany — ale dzięki Bogu, nikt jeszcze się nie utopił, nie zastrzelił, ani z cudzemi pieniędzmi, lub z własnymi nieumknął długami. Każdy się łąta jak może i na lepsze cierpliwie spuszcza się czasy. Lecz że stan ten, jeżeli potrwa, życia zimowego nie uprzyjemni, za to śmiało ręczyć można. I jakoż, dotąd przynajmniej, żadnych do zabaw nie widać przygotowań. Arystokracja bawi prawie cała jeszcze po wsiach dzieląc czas między gospodarstwem i połowaniem. Najznaczniesze w tym kole rodziny pozostaną zapewne w swych zamkach w Czechach i w Węgrzech przez całą zimę. Urzędnicy wysocy u dworu, będą może musieli przenieść się później do Wenecyi lub Medyolanu. W salonach ministrów będą jak zwykle, małe tylko przyjęcia. Hr. Buol, którego bale odznaczały się w latach przeszłych świetnością i właściwą w dyploma-

tycznej sferze delikatnością smaku, przyjmie zapewne sam jeden na siebie cały reprezentacyi urzędowej ciężar, jeżeli go obowiązek służby niepowoła do boku N. Pana. Osierocona w takim razie dyplomacya, zamknie się wyłącznie w swém kole z małemi po za niem wyjątkami. Sir Hamilton Seymour już otworzył swe salony w wspa-
niałym pałacu ks. Clary. Na pierwszym zebraniu które się odbyło temi dniami, znajdowało się przeszło pięćdziesiąt osób, między niemi księżniczka Turn-Taxis, ks. Windischgrätz, hr. Bille-brahe żona posła duńskiego, znany z kampanii krymskiej generał Rose i wielu innych członków dyplomatycznego ciała. W przyszły czwartek może przyjdzie w tymże samem zebraniu do tańca. Mówią również że bar. Bourquenay da wkrótce wielki wieczór. Bar. de Budberg jest w żałobie i przyjęcia swoje ograniczy do prostych wzajemnych odwiedzin. Inni ministrowie zagraniczni są albo nie żonaci, albo żyją spokojnie. Świat finansowy jak powiedziałem, zanađto zmartwiony lub zakłopotany, żeby o zabawach mógł lub chciał myśleć. Pan Per... ma nawet zimę przepędzić w Hitzing, p. S. Ma... jest niebezpiecznie chory, p. Es... już w przeszłym roku ograniczył swe przyjęcia do łoży w teatrze. Liczna i bogata rodzina pp. Bid... rozbiegła się po świecie, lub zesła do starych i sędziwych szczątek. Jednem słowem, widoki światowe na zimę bardzo jak widzicie szczupłe i posępne.

Pozostaną wszakże bale publiczne, pikniki, bale maskowe, koncerty i tym podobne rozrywki, o których wam w swoim czasie zdać sprawę nieomieszkam. Na teraz poprzestaję na doniesieniu, że pierwszy bal maskowy odbędzie się w *Reducie* pod przewodnictwem artystycznym p. Straussa, który niedawno wrócił z Moskwy z nowemi laurami i niemałym jak mówią zapasem rubli i brylantów. Błogosławiony to kraj dla artystów, zwłaszcza zagranicznych. Czy Rosya niema, czy zanie-
dbuje własnych, nie wiem, lecz w Europie znaną jest tylko ze swęj dla obcych wspaniałomyślności.

Teatra są przepełnione, pomimo że pod względem artystycznym mało się poprawiły. Zasługuje wszakże na wyjątkowe i chlubne wspomnienie, teatr cesarski w Burgu. Jest to bez wątpienia najlepsza a nawet powiedzieć

można pierwsza scena dramatyczna w Niemczech. Wartość ta pod względem literackim jest prawie wyłącznie dziełem p. Laube, który prócz wybornej dyrekcyi, przyniósł temu teatrowi znakomity zbiór własnych utworów dramatycznych. „Struensee“, „Monaldeschi“ i nowo przedstawione drama „Hr. Essex“ należą do niepospolitych w tym zakresie dzieł pod względem ducha i wykonania. Dobór artystów, aktorów i aktorek jest wszystkim wymagalnościom wielkiej sceny odpowiedni. Ubiory i dekoracye często bogate i wspaniałe, zawsze świeże, gustowne i celowi odpowiednie.

Opera niemiecka dzieli tę zasługę z teatrem Burgu, jeżeli hojność kassy cesarskiej za zasługę teatrowi liczyć można. Lecz pod względem artystycznym jest niezmiernie od przeznaczenia swego daleką. Orkiestra wyborna i sama tylko godnie pierwsze zajmuje miejsce. Śpiewacy i śpiewaczki albo poczynający albo na schyłku. Niema szkoły i nie wiele talentu, z wyjątkiem pp. Ander i Beck. Balet lepszy. Pani Taglioni go podnosi swemi osobistemi zasługami. Panna Ricci obiecuje mu coraz więcej, i to co dziś, już jest niepospolitem.

O teatrach na przedmieściu trudno coś powiedzieć więcej, jak to, że żyją farsami, za które jednak publiczność dobrze płaci, i na które z przyjemnością patrzy.

Czas mamy zimny lecz pogodny. Dziś trochę pochmurno i deszcz ciepły kropi. Śniegu prawieśmy jeszcze nie widzieli.

Berlin w listopadzie.

Opisywać wystawę dzieł sztuki dla publiczności, która jej nie widziała, jest to, zdaniem mojem niemal samo, co rozprawiać przed niewidomym o kolorach. W każdym razie przedsięwzięcie podobne ma więcej powabu i korzyści dla piszącego, niż dla czytelnika, którego ciekawość obudza, ale nie jest wstanie jej zaspokoić. Takiem przynajmniej było dotąd moje doświadczenie, ilekroć zdarzyło mi się czytać opisy wystaw, mianowicie wystaw dzieł sztuki. Dzieło muzyczne trzeba było słyszeć, obraz lub statwę widzieć, aby

czytać z zajęciem, co estetyk lub krytyk o nich rozprawia. Najpiękniejszy opis, najtrafniejszy sąd, nie zastąpią wrażenia i wyobrażenia, których się doznaje i nabywa przez własne zetknięcie i obeznanie się z opisanym przedmiotem. Prosty jego szkic lub rysunek dopomoże opisowi więcej, niż tysiąc najdrobniejszych i najlepiej użytych słów. Potrzebie téj przypisywać należy, że dziś mamy tyle czasopismów i dzieł ilustrowanych. Czytająca publiczność ogląda ryciny; najpiękniejszy opis służy jój tylko albo za ich objaśnienie, albo pomija się po największej części nieczytany.

Z arcydziełami dawnych mistrzów, rozrzuconemi po publicznych galeryach Europy, oglądanemi przez każdego podróżnika, rozpowszechnianemi przez kopie i sztychy do najodleglejszych zakątków cywilizowanego świata, rzecz się ma wcale inaczej. Estetyk może rozwodzić się szczegółowo w opisie, rozbiórze, krytyce, nad którymkolwiek znakomitszym utworem; znajdzie z pewnością znaczną liczbę takich osób, które przynajmniej w pamięci utwór opisany mieć będą przed sobą. Opis taki zdolnym będzie, i pamięć ich ożywić, i wyobraźnię na nowo zająć i estetyczne uczucie pobudzić do tém głębszego rozważania zasad, warunków i tajemnic sztuki. Natomiast opisywanie choćby najdokładniejsze dzieł sztuki nowych, po raz pierwszy na widok publiczny wystawionych, dalekim czytelnikom nieznanych, nie sprawi na nich ani podobnego skutku, ani przyniesie samemu piszącemu pożądanego z pracy swój zadowolenia.

Wzgląd ten wstrzymuje mię od szczegółowego opisywania i oceniania dzieł sztuki znajdujących się na wystawie berlińskiej. Zamiar ten już z samych materialnych przyczyn trudnyby był do wykonania. Parę tysięcy wystawionych przedmiotów nie da się w szczytłych granicach miesięcznej kroniki opisać i ocenić. Nie czynią tego nawet miejscowi krytycy wystawy. Pytają się bowiem oni naprzód, tak samo jak ja, czy wszystko opisywać i oceniać warto? Wypada mi zatem ograniczyć się do skreślenia ogólnej fisyononii wystawy, podnosząc w niej te szczególnie rysy, w których mniej więcej rozpoznać można charakter, stopień wy-

kształcenia i obecne dążności sztuki malarskiej w Berlinie.

Nadmieniłem już był w poprzednich listach, i czytelnik miał sam sposobność poznać z przedstawionej przeze mnie zaciętej walki pomiędzy tutejszą krytyką a malarstwem, że sztuka ta nie stoi tu dotąd na takim stopniu udoskonalenia, aby mogła niedbać o chwilowy sąd publiczny we względzie rzeczywistej wartości większej części dzieł swoich. Wystawa tegoroczna zawiera blisko 1700 numerów, z których dwie trzecie części przypadają na obrazy, jedna trzecia na dzieła rzeźbiarskie, sztychy, rysunki, i małą liczbę innych przedmiotów sztuki. Gdyby z ilości sądzić przyszło o wartości, toby tegoroczna wystawa przewyższała nią wszystkie poprzednie, przewyższając je liczbowo o paręset numerów. Lecz najprzód liczba ta jest zupełnie przypadkową. Tutejsza wystawa obrazów urządzająca się co dwa lata przez królewską akademią sztuk pięknych, nie jest wyłączenie berlińską ani pruską, ani nawet niemiecką; przyjmują się na nią obrazy i dzieła sztuki wszystkich krajów. Stosownie do wziętego w niej udziału przez artystów zagranicznych, niemieckich, francuzkich, belgijskich, na których nigdy nie zbywa, ilość numerów katalogu powiększa się lub zmniejsza. Powtóre, krytyka tutejsza zdaje się mieć racya, gdy akademią posadza, że tego roku mniej była trudną w wyborze obrazów przypuszczonych na wystawę, jak w latach poprzednich.

Rzeczywiście na wystawie 1854 r., która 1500 numerów zawierała, nie było tyle dzieł tak mierniej wartości, jak na tegoroczną. Akademia chciała zaimponować liczbą, przewidując z zapowiedzianych przed czasem dzieł, że nie będzie miała tą razą nadzwyczajnych rzeczy do pokazania publiczności.

Tak było istotnie. Każda z poprzednich wystaw miała kilka, jeden przynajmniej obraz niepospolitej wartości, przed którym gromadziła się całemi godzinami publiczność, nie mogąc nasycić się i poetycznością przedstawionego przedmiotu i pięknnością kompozycyi i wytwornością wykonczenia. Takim np. obrazem na przeszłej wystawie byli „Muzykanci słowiańscy,” pędzla belgijskiego malarza *Gallaíta*. Obraz ten znajduje się w Berlinie, w prywatnej galerii kupca *Ravenégo*, który

go nabył za 6000 talarów. Na tegorocznej wystawie nie było żadnego podobnego obrazu. Dopiero przy końcu wystawiono obraz tutejszego malarza Gustawa Richtera, przedstawiający „Chrystusa wskrzeszającego córkę Jaira“. Obraz ten uratował honor artystów berlińskich, szarpany może zbyt złośliwie i nie zawsze słusznie przez miejscowych krytyków. Zawdzięczając mistrzowi, artyści wyprawili mu solenną fetę, ale przez to dali niejako racją krytyce, która ich samych wzbraśniała się uznać za podobnych mistrzów. Obraz kupił król za 3000 talarów, albo raczej zamówił go za tę sumę u artysty, widziawszy poprzednio jego szkicę.

Lubo skutkiem przypuszczenia na wystawę berlińską obrazów artystów zagranicznych, nie możnaby właściwie wyciągać z niej wniosku o stanie sztuki malarskiej w Prusiech, mianowicie w Berlinie samym; to jednak z powodu, że liczba obrazów nadesłanych z zagranicy jest tą razą bardzo mała, nie oddalimy się od prawdy, jeżeli właśnie tegoroczną wystawę uważać będziemy za wyraz wykształcenia malarskiego w kraju, a w szczególności w jego stolicy. Większa bowiem część obrazów wyszła z pracowni malarzów w Berlinie zamieszkających, znaczna liczba z pracowni malarzów dysseldorfskich. Inne miasta niemieckie, jako Drezno i Monachium, nie zbyt wielki wzięły udział, zawsze większy niż w latach poprzednich. Z Wiednia zaś żaden obraz nie nadszedł. Z paryzkich malarzów nadesłali prace swoje *Comte* i *Couturier*, z belgijskich *Genisson*, *Kannemant*, *de Noter*, *Koekkoek* i dwóch lub trzech innych. Obraz Comta był najznakomitszym pomiędzy nadesłanymi z zagranicy, i uważano go słusznie za jedną z największych ozdób wystawy. Wystawia on Karola IX króla francuskiego w chwili tajemnej narady, w której Katarzyna de Medicis, książęta Anjou i Nevers, kanclerz Biragin, Albert de Gondy i inni starają się go skłonić do przyzwolenia na rzeź w nocy ś. Bartłomieja. Obraz jest własnością p. Fallou w Berlinie. Także Albert de *Meuron*, malarz neufchatelski, przysłał obraz znakomitej wartości, przedstawiający myśliwych alpejskich, spoczywających na szczycie skał po zabiciu parę dzikich kóz. Również i *Winterhaltera*, mieszkającego stale w Paryżu, policzyć należy do malarzów zagranicznych. Dwa obrazy jego

pędzla znajdowały się na wystawie. Pierwszym był przesłannie wykonany obraz księżniczki pruskiej Ludwiki, teraźniejszej W. księżnej Badenskiej, wielkości naturalnej; drugim portret dziecka, własność pułkownika pruskiego Boyena w Berlinie. Pomiedzy zagranicznymi malarzami nie mogę pominąć dwóch artystek, które już na poprzednich wystawach zwróciły były przez prace swoje powszechną na siebie uwagę. Pierwszą z nich jest pani *Jerrichau* z domu *Baumann*, rodem z Warszawy, obecnie zamieszkała w Kopenhadze. Obraz jej „Modlitwa domowa,” przedstawiający ojca i matkę w świątecznym stroju wieśniaków duńskich, siedzących za stołem, którym córka, siedząca naprzeciw, równie świątecznie ubrana, czyta z biblii, zachwycał publiczność pięknoscia kompozycji, uczuciem religijnem rozlanem na twarzach modlących się osób, i rzadką harmonia kolorów. Drugą artystką jest pani *Emma Gaggiotti* zamężna za anglikiem Richards, rodem z Ankonu, przebywająca czasowo w Berlinie. Na przeszłej wystawie podziwiano jej talent i pędzel w charakterystycznym portrecie Aleksandra Humboldta, na obecnej własny jej portret czyli obraz naturalnej wielkości. Artystka jest bardzo piękną osobą. Obraz ten jest własnością Księcia Pruskiego.

Z wyłączeniem tych kilku malarzów zagranicznych, całe wielkie grono należy do Niemiec, w szczególności do Prus. Między nimi znajduje się wielu znakomitego imienia, jako to: Achenbach, Becker, Begas syn, Bleibtreu, Edward Hildebrandt, Huebner, Kaulbach, Kalkreuth, Krueger, Magnus, Mueller, Menzel, Edward Meyerheim, Otto, Pape, Richter, Schrader, Steffek i inni. Niemasz jednak tą razą między nimi imion znaniej reputacyi w Niemczech: Lessinga, Teodora Hildebrandta, Knausa, Schirmera z Karlsruh, Martersteiga, Calama, Tichmunda. Z nowych malarzy zwrócił na siebie uwagę Rudolf *Henneberg* z Brunszwiku, znajdujący się obecnie w Paryżu. Obraz jego „Dzike myśliwstwo“, wedle ballady Buergera: „Dziki myśliwy“, uderzył bujnością fantazyi, śmiałością rysunku, energią pędzla. Obraz jest własnością p. Kleinfeldera w Paryżu. Nie wiem czy do Polaków czy do Niemców policzyć kilku malarzy polskiego imienia, którzy nie liczą się wpra-

wdzie do smakomitości, ale każdy z nich ma pewne zalety. August *Kaselowski*, zamieszkały w Berlinie, wystawił trzy obrazy: „Chrystusa na górze Oliwnej“, „ś. Jan i N. Panna“, „Miłość macierzyńska;“ Marcin *Loudowski*, także z Berlina: dwa popiersia w formie medalionów; Maksymilian Antoni *Pietrowski*, nauczyciel przy królewskiej akademii sztuk pięknych w Królewcu, przysłał obraz pełen wyrazu „Ecce homo;“ Oskar *Wiśniewski* z Berlina, wystawił dwa obrazy: „Przejażdżka konna w polu“, „Dzieci na cmentarzu“, i jedną akwarellę; Jan *Tysiewicz*, z Paryża, przysłał obraz Gruzynki. Tego znając bliżej z obrazu ś. Magdaleny, obwożonego przed wielu laty po stolicach europejskich przez jakiegoś oryginalnego szlachcica galicyjskiego, liczę do Polaków.

Co do liczby i do wartości obrazów znajdujących się na wystawie, oddziały landszaftów i portretów pierwsze zajmowały miejsce. Po nich szedł oddział obrazów i obrazków rodzajowych, między którymi znaczna liczba była nader pięknych. Oddział obrazów ściśle historycznych był mało liczny, a w nim zaledwie parę obrazów wyższej wartości. Najsłabszym zaś ze wszystkich był oddział obrazów religijnych i malowanych wedle treści pisma świętego; wszakże i w nim znajdowało się parę dzieł niepospolitej wartości.

Rzuciwszy powierzchownem okiem na tę ogromną liczbę różnego rodzaju i wykończenia obrazów, trudno od razu poznać, w jakiej stronie, w jakiej szkole Niemiec ten i ów obraz powstał. Przed niewielu jeszcze laty można było za pierwszym spojrzeniem różnicy tej dostrzedz, i na pewne wyrzec, nie znając malarza: to obraz dysseldorfskiej, to monachijskiej szkoły. Bo o tych dwóch szkołach w Niemczech istotnie można tylko było mówić. Dreźnieńska nigdy się do właściwej szkoły nie podniosła, i znacznego wpływu na rozwój malarstwa w Niemczech nie miała. O berlińskiej zaś szkole nigdy mowy nie było i nawet dziś nie ma. W akademii sztuk pięknych nigdy nie było tak wielkiego mistrza aby się około niego było mogło zebrać i wykształcić w pewnym kierunku większe grono uczniów i naśladowców. Każdy z znakomitszych tutejszych malarzów za swoim zwykle szedł popędem, to temu to owemu holdując kierunkowi, czasem wszystkim razem. Malował

w swojej pracowni własne kompozycje, przeznaczone na sprzedaż, lub wykonywał dzieła zamówione jakiegobądź treści. O stworzeniu szkoły żaden z nich nie pomyślał. *Magnus* np., najslynniejszy portrecista berliński, żadnego znakomitszego ucznia nie wykształcił. *Begas*, również znamienity portrecista, który jednak malował i landszafty i obrazy religijne, zamówione do kościołów, wykształcił tylko syna swego, który może ojca przewyższyć. *Cornelius*, powołany z Monachium, przybył tu, urządził i otworzył wielką pracownię, ale nie długo bawiąc, opuścił Berlin i mieszka we Włoszech, nie mając podobno myśli powrotu. *Kaulbach*, malując od kilku lat freski w nowém muzeum, posługuje się w pracy tej po największej części swymi dawniejszymi uczniami; latem pracuje w Berlinie, na zimę wraca do ulubionego Monachium. Akademia wysyła uczniów swych, którzy w ubieganiu się o stypendyum odnieśli zwycięstwo, za granicę, do Belgii, do Francyi, do Włoch. Tym sposobem zbiegają się manieri większej części szkół europejskich w Berlinie, i można ich słabsze lub wyraźniejsze naśladownictwo widzieć na każdej tutejszej wystawie. Czas wreszcie sam zbliżył różne szkoły malarzkie do siebie. Szkoła monachijska porzuciła przesadzoną surowość i powagę swojej manieri; szkoła dysseldorfska odstąpiła od swjej miodowej sentymantacności i nad miarę wygładzonej techniki. Zaczyna przoważać pewna realność jak w kompozycyi tak w harmonii kolorów, co tylko z korzyścią być może dla sztuk. Ale tu strzedz się trzeba, aby kolor nie pozostał surowym materyalnym kolorem, jak to można było uważać na mnóstwie portretów i landszaftów tegorocznej wystawy, lecz aby, sztucznie ożywiony, surowość materyi stracił, i był tylko tem czem być powinien, to jest, środkiem do tém mocniejszego wydania naturalnej prawdy przedmiotu.

Przechodzę do pobieznego zastanowienia się nad pojeđynczemi oddziałami i do wymienienia znakomitszych z każdego obrazów i nazwisk ich twórców. Zacznę od oddziału obrazów religijnych i biblijnych.

Wszystkie dotychczasowe usiłowania protestanckich malarzy w Prusiech, aby się zdobyć na wielkie dzieło pędzla treści religijnej, były nadaremne. Dążność reli-

gijna obecnego rządu, budowanie kościołów, i kaplic, nagrody przeznaczane na ten cel przez wewnętrzną misją, kierowanie umysłów młodszych artystów przez akademią sztuk pięknych ku rzeczom religijnym, wszystko to nic nie pomogło. Cokolwiek w tym względzie z nowszych utworów widzieć można w tutejszych kościołach, rzadko jest czém więcej, jak mierném naśladowaniem mistrzów średniowiecznych; a co się z obrazów religijnych na tegorocznej wystawie znajdowało, to zasługiwało, mówiąc w ogóle, zaledwie na poważną uwagę patrzącego. Najlepszem dziełem tego oddziału był obraz ołtarzowy Andrzeja *Muellera* z Dysseldorfu, przedstawiający Madonnę z dzieciątkiem Jezus siedzącą na tronie, po prawej stronie klęczy ś. Agnieszka z fundatorką obrazu, po lewej ś. Urszula. Obraz przeznaczony do kościoła w Lank pod Dysseldorfem. Artysta należy do liczby malarzów, którzy ozdobili freskami kościół ś. Apolinarego w majątności hr. Fürstenberga, Remagen nad Renem. Policzyć tu muszę kartony do okna kościoła dominikańskiego w Krakowie, wykonane przez Juliusza *Huebnera* z Drezna, a zamówione przez fundatorkę kaplicy w tymże kościele. Kompozycja to bardzo poważna, pełna siły i życia, a charakterowi malarstwa na szkło całkiem odpowiednia. O obrazie religijnym *Pietrowskiego* wspomniałem wyżej; resztę opuszczam. Między dziełami treści biblijnej, pierwsze zajmuje miejsce wymieniony już także wyżej obraz *Richtera*, Chrystus wskrzeszający córkę Jaira. Osoby są naturalnej wielkości. Postać córki jest cudownie piękna. Widać budzące się życie w martwem jeszcze ciele, które bez opierania się rąk dźwiga się wyższą mocą z leżącej postawy, a z pod odmykającej się widomie powieki źrenica pełna blasku spogląda utopiona w wskrzeszającego. Postać Chrystusa piękna, szlachetna, ale ma w sobie coś z wyrazu zadowolonego z siebie magnetyzera. Postacie innych osób trąfnie pomyślane i wykonane. Zresztą malarze tutejsi zdają się mieć nieprzewyciężony wstręt od czytania biblii i szukania w niej nowych dla sztuki przedmiotów. Adam i Ewa, Agara i Izmael, Herodias z głową ś. Jana — przedmioty tylekroć i przez najslawniejszych mistrzów malowane — muszą naturalnie być na każdej wystawie. Krytyka słusznie się dziwiła, że

nie było Judyty z głową Holofernesa, aby zadosyć uczynić ogólnemu życzeniu publiczności.

W oddziale obrazów ściśle historycznych najznakomitszym był obraz paryskiego malarza Comta, o którym wyżej wspomniałem. Większa część tego rodzaju obrazów przedstawiała wypadki bez historycznego znaczenia. Całą zaletą ich było, że były dobrze malowane. Tak Juliusz *Huebner* z Drezna wystawił dwa wielkie historyczne obrazy, do których treść wziął z życia Fryderyka W. i cesarza niemieckiego Karola V. Ale jaką treść? Oba przedstawił w ostatnich chwilach zgonu. Pierwszego, kiedy parę dni przed śmiercią, kazał się, siedząc w krześle, wytoczyć na taras przed pałacem Sanssouci, i tam, otoczony ulubionymi swymi charcikami, zwróciwszy schorzałe blade oblicze i martwe oko ku zachodzącemu słońcu, miał rzec: „Wkrótce zbliżę się ja ku tobie.“ Drugiego, to jest Karola V., kiedy w klasztorze ś. Justa siedzi w otwartym korytarzu na krześle z brewiarzem i różańcem w ręku, w głębokich myślach zatopiony, a obok niego przy krześle siedzą dwa koczodany czyli małpeczki, a na poręczu krzesła siedzi gadająca papuga — ulubieniec jego, otrzymane w darze od królowej portugalskiej — a u stóp jego kwatera z tulipanami, które także bardzo lubił, a tuż przed korytarzem ogród z widokiem na zbudowaną przez niego fontannę i góry lesiste w oddaleniu. Oba obrazy pełne są pretensyi. Każdy szczegół wybornie odrobiony: charty, małpy, papugi jak żywe. Ale w tych zapasłych, strupiałych twarzach osób ani śladu dawnego ducha, którym mocarze ci przenikali czasy swoje. Szkoła było pędzla artysty na obrazy podobnej treści.

Wcale inne wrażenie sprawiał na patrzących obraz Adolfa *Menzla*, członka akademii, do którego treść także była wzięta z historii Fryderyka W. Treścią była krytyczna chwila dla króla i wojska podczas nagłej i niespodziewanej napaści na obóz królewski, o świcie d. 14 października 1758 r., czyli bitwa pod Hochkirch. Artysta umiał i w kompozycyą i w koloryt wlać całą okropność położenia. Okropność też jest właściwym przymiotem tego obrazu. Król kupił go za 5000 tal. Tenże Adolf Menzel, który prawie całkiem poświęcił się ilustrowaniu historii Fryderyka W. swymi obraza-

mi, miał na wystawie drugi historyczny obraz, przedstawiający Fryderyka wielkiego w chwili odbierania holdu od stanów szląskich 1741 r. Obraz ten, przeznaczony do galeryi domu posiedzeń tychże stanów w Wrocławiu, nie przynosi mistrzowi wielkiego zaszczytu. Nie ma w nim żadnej powagi, ani w osobie młodego wówczas króla ani otaczającej go wówczas świty. Jest to rzeczywiście tylko historyczna ilustracya wzmiankowanego aktu.

Między historycznemi malarzami zaszczytne także zajmują miejsce Juliusz Schrader, członek senatu tutejszej akademii. Z pięciu obrazów jego znajdujących się na wystawie, najwięcej zajmował oznaczony w katalogu napisem: „Milton dyktuje córkom swoim Raj utracony.“ Wiadomo, że Milton tworząc poemat ten utracił wzrok. Ludzie niewidomi mają coś niezgrabnego, niezdarnego i niepewnego w ruchach ciała i rysach twarzy. Sztuka zależała na tém, aby wszystko to, co może mieć w sobie niepięknego, brak oczu w głowie, usunąć, i rysom twarzy i całej postawie ciała nadać wyraz natchnionego wieszacza. To się artyście zupełnie powiodło, i obraz czyni na patrzącym jak najprzyjemniejsze wrażenie. Inny historyczny obraz Schradera miał za przedmiot: Pożegnanie Karola I. króla angielskiego w ostatnich chwilach zgonu z dziećmi swemi. Pomiedzy malarzami historycznymi w Dysseldorfe godni wspomnienia: *Bleibtreu*, który wystawił dwa obrazy: Bitwę pod Crefeld 1758 r. i część bitwy pod Waterloo, w której był ranny książę Oranii, późniejszy król holenderski Wilhelm III; *Camp-hausen*, który wymalował parę wojskowych scen; i *Huenten*, malarze scen tegoż rodzaju. Wielką liczbę innych opuszczam. Wilhelm Kaulbach z Monachium nie miał na wystawie żadnego olejnego obrazu; przysłał tylko kartony kompozycyj swoich do Szekspira, zdumiewającą fantazyi w oddawaniu charakterów.

W oddziale landszaftowym, najliczniejszym na tego-rocznej wystawie, muszę poprzestać na kilku uwagach i wyliczeniu znaczniejszych imion. W landszaftcie widać wyraźny postęp. Zdejmowanie widoków natury odznacza się większą rozmaitością i więcej malowniczym charakterem. Upodobanie w przedstawianiu ratujących efektów ustąpiło miejsca lepszemu smakowi. W rodza-

ju tym odznacza się szczególnie szkoła dysseldorfska. Trzyma ona się po największej części północnej, niemieckiej i skandynawskiej natury, i nader troskliwie obrabia wszystkie szczegóły widoków. Malarze berlińscy lubią najwięcej przebywać w Alpach i pod południowym niebem. Imiona znakomitszych malarzy landszaf-towych są: *Achenbach, Hildebrandt, Pape, Graeb, Kalk-reuth, Schirmer, M. Schmidt*, i wielu innych.

W oddziale rodzajowym równie bardzo licznie na tegorocznej wystawie reprezentowanym, panowała więk-sza jeszcze rozmaitość niż w landszafcie. Cywilizo-wane frakowe i kapeluszone towarzystwo nasze mało dostarcza malarzom odpowiedniego estetycznemu sma-kowi materyału. Większa część artystów rodzajowych zwróciła się zatem do klas niższych, mianowicie do lu-du, znajdując w domowych stosunkach i całym zatru-dnieniu jego więcej poezyi, w ubiorze więcej malowni-czości. W tym kierunku najwyżej stanął *Meyerheim* z Bremy, profesor i członek tutejszej akademii. Obraz-ki jego zdjęte z familijnego życia wiejskiego tak są prawdziwe, naturalne, serdeczne, że się od nich oder-wać nie można. Jego śladem poszedł *Meyer*, także z Bremy, i stanął prawie obok niego. Liczba artystów rodzajowych jak wszędzie tak i tutaj jest nader wiel-ka. Nie każdy jednak jest z natury tak poetycznie usposobiony, aby w bliskości siebie i w własnym kra-ju znajdował gotowy materyał do zajmujących obraz-ków; mniejsza zatem, że go znajdzie pod obcym nie-bem, więc tam spieszy. Każda wystawa zawiera z tego powodu znaczną ilość obrazków rodzajowych to z Ty-rolu, to z Szwajcaryi a mianowicie z Włoch. Między tutejszymi malarzami rodzajowymi pierwsze na tegoro-cznej wystawie zajął miejsce *Herman Kretschmer*, obok niego *Jordan* z Dysseldorfu. Obrazów treści mytologi-cznej mało co było na wystawie.

O oddziale portretów, to wcale już nie mówię. Jest to pasja Berlińczyków kazać się portretować, i jeżeli można, wywiesić na wystawie. Każdy malarz portretów ma w tym osobisty interes, chcą się polecić lubiącej próżności tej publiczności. Akademia była w wyborze takich pędzlowanych fizyonomij bardzo mało surową, mniemam, że więcej z litości dla kieszeni malarzy, niż

z zapoznaniu dla jej sztuki. Najznakomitsze na wystawie portrety były: *Richtera*, tego samego, o którym wyżej mówiłem, *Magnusa*, *Kruegera*, *Winterthaleru*, *Lenzgo*, *Kretschmera*, młodego *Begasa*, *Heydena*, który także malował obraz historyczny na pamiątkę 400letniej rocznicy założenia uniwersytetu greifswaldzkiego, i innych.

Na tém kończę szkic o malarstwie. Pozostaje mi skreślenie stanu sztuki rzeźbiarskiej w Berlinie, która także licząc i bardzo poważnie reprezentowaną była na wystawie. Dopelnię tego w następnym liście. Zresztą wystawa skończyła się z dniem 16. b. m.

Paryż w listopadzie.

„Ciemno wszędzie głucho wszędzie,
„Co to będzie, co to będzie!“

Tajemniczy ten chórzał miesza się mimo woli w uchu polaka z posępnym głosem wielkiego dzwonu *Notre-Dame de Paris*, który stolicy święto umarłych zwiastuje. Na trzysta sześćdziesiąt pięć dni roku, jedyny to dzień w którym Paryżanie jak Ateńczycy nie znający melancholii, bawią się w zamyślenie — a jeżeli nie myślą na seryo o innym świecie i o drogich cieniach co ich tam poprzędziły, to przynajmniej udają, że dla nich zapomnieli na chwilę o bursie i *kommandycie*.

Dzień zaduszny jest rzeczywiście jedynym dniem, który się różni od innych w Paryżu, jedynym, w którym słysząc dzwony, a nie słysząc hulaśnej kapeli — słysząc jęk cierpiących, a nie słysząc śmiechu szczęśliwych wybrańców jednej chwili — słysząc modlitwę szeptaną na grobie, a nie słysząc odurzającej wrzawy gonitwy za dobytkiem, za którym milion ludzi ubiega się tu bez wytchnienia, popychając się, dręcząc, raniąc, i zabijając wzajemnie, jak owa czerń na kartonie *Corneliusa* roztrzącana kopytami rumaka unoszącego na wychudłym grzbiecie największą plagę ludzkości, która wtedy *zarazą*, a dziś *chęcią używania* się zowie. Święto umarłych jest tu jedynym dniem odpoczynku, rodzajem zawieszenia broni, w ciągu którego ustaje zażarta

walka o kawałek chleba, a wstrzymanie interesów dozwala człowiekowi obejrzyć się w koło siebie i zastanowić nad tém, że nie wszystko tutaj się kończy.

Ledwie zawita ten dzień blady, otulony zawsze czarnym płaszczem żałoby, co swym cieniem powłóczy ulice i twarze, a cały Paryż podzielony na trzy kolumny, na trzy różne rozchodzi się drogi, wiodące do trzech wielkich cmentarzy: *Père-Lachaise*, *Montmartre* i *Mont-Parnasse*. Ubrani czarno, wszyscy idą piechotą; a że droga wiedzie ciągle pod górę, więc każdego tą fizyczną przyczyną jakby żalem złamany, stąpa z wolna, pochylony, niosąc w ręku złoty wieniec z nieśmiertelników, lub ze srebrnych *Chrisanthemów* uwita girlandę, godło czystości mające spocząć na grobie dziewicy.

Wnet ciche miasto umarłych, wezbrane czarną rzeszą co płynie a płynie w jego bramy, zmienia się w dziwne zbiegowisko, które najwłaściwiej można porównać do mrowiska, bo jak ono, pełne ruchu, a milczące. —

Mianowicie malowniczy cmentarz *Père-Lachaise* niezmiernie jest w tym dniu zajmujący. — Grobowce niesławne ukryte w cieniu płaczących wierzb i cyprysowych szpalerów, obstępuje rodzina i przyjaciele — pomniki na których błyszczą świetne imiona, otacza tłum wielbicieli. Literaci gromadzą się około brązowego popiersia Balzaka, którego twarz pełna wyrazu, nikomu przejść mimo obojętnie nie dozwala. Malarze, z których świetnego grona właśnie znikły dwie gwiazdy (*Chasseriau* i *Delaroche*) grupują się przy pomniku sławnego *Géricault*, przedstawionego z paletą w ręku i w zadumaniej postawie, jakby rozmyślał nad nowym podobnym arcydziełem jak „*Huzar*“ lub „*Rozbicie Meduzy*“, które w płaskorzeźbie spód pomnika zdobi. — Muzycy podsluchują harmonijnej skargi cieniów *Belliniego* i *Chopin*a — aktorowie podają sobie dłonie na grobie *Talmy* i *Moliera*, któremu długo wzbranianą bramę do poświęconej zagrody otworzył nareszcie pamiętny wierszyk *Chapella*, niegdyś wysoko ceniony na dworze *Ludwika XIV*:

*„Puisqu'à Paris on dénie
„La terre après le trépas,
„A ceux qui pendant leur vie
„Ont joué la comédie,*

„*Pourquoi ne jette-t-on pas
„Les bigots à la voirie?
„Ils sont dans le même cas“.*

Patryoci składają wieńce na grobie Masseny, Sucheta, Ney, Goberta — finansisci podziwiają pomnik księżnej Demidow, który kosztował 120,000 fr. Młodzi małżonkowie z grobu Abeillarda i Heloizy pragną wydrzeć tajemnicę wiecznej miłości. Patrząc na tyle głów pochylonych nad grobami, wydaje ci się, że swary i zawiści musiały uciechnąć w sercach tych ludzi, że myśl o nieskończoności musiała się w nich obudzić mimowolnie, a wiara że te groby są raczej drzwiami prowadzącymi w inne światy, musiała ukoić choć na chwilę palącą żądzę życia.

Obraz jaki przedstawia cmentarz paryzki w dzień Zadusznego, tak dobrze naśladuje prawdziwy smutek, tak bardzo zbliża się wyrazem do rzeczywistego bólu, iż byłoby to widok prawdziwie budujący, gdyby go nie zakłócały przybywające co chwila karawany z całym swym kamedyantskim orszakiem i śmieszną wystawą, która jak balowe dekoracye najmuje się tu po cenach stałych i płaci z góry.

W Paryżu śmierć jak każda dama, ma swoich *furniszerów*, którzy ją ubierają wedle mody: jak tej kapeluszy, koronek, jedwabów, pachnidel i t. d. tak tamtej kupcy dostarczają całunów ze srebrnymi frandzlami, haftowanych na kirze herbów, koni wystrojonych w kapy i pióra, służby w bogatej liberyi, osłon przetykanych srebrnymi łzami, srebrnych kadzielnic, gotyckich lichtarzy i t. d. Kompanie tak zwane *des pompes funebres* przedadzą ci wszystko, nawet mowę pogrzebową, jeżeliś jej nie miał czasu napisać — wedle tego ile masz pieniędzy, zakupujesz mniej lub więcej żalu.

Jeżeli zmarły może dobrze zapłacić, przedsiębiorcy dają mu osmiu ludzi do eskorty: tak zwanego *Ordona-tora*, poważną osobę w czarnym fraku, krótkich spodniach, jedwabnych pończochach i srebrnym łańcuchu na szyi, woźnicę w stószowanym kapeluszu i sześciu adiutantów wystrojonych w srebrne akselbanty, których lud zowie *les croque-morts*, dla tego, że żyją z łapowego jakże im się ze sakiewki nieboszczyka okroi. Czar-

ni ei posługacze śmierci, stanowią zupełnie odrębną kastę w ludzkiej rodzinie, nie klasyfikują oni ludzi ani wedle urodzenia, ani wedle stanu, ani wedle zasługi, żywi nieobchodzą ich bynajmniej — społeczność dla nich dzieli się tylko na dwie kategorie: na *dobrych* i *złych nieboszczyków*.

Dobry nieboszczyk jest ten, który daje 50 fr. na wino i smaczny obiad w dodatku. — *Zły* jest ten, który nie wyznaczył żadnego kubana, i wyniósł się z tego świata niegrzecznie, to jest, nie uściwwszy się z długu ostatniemu człowiekowi, który doń na tej ziemi ręce wyciągnął.

Karawanowy woźnica, człowiek odbierający najwięcej ukłonów w Paryżu, bo nikt jego wozu nie minie niezdjąwszy kapelusza — zasługuje ze wszech miar na ten szacunek powszechny: żaden wyrzut sumienia niechmurzy jego rumianego oblicza — zazwyczaj bywa on dobrę tuszą, a zawsze spokojny jak przeznaczenie, którego wóz prowadzi.

Bogacze, prócz powyższej eskorty, najmują jeszcze dla członków swjej rodziny od administracji *des pompes funèbres*, płaczków, którzy w komedyi pogrzebu odgrywają rolę tragiczną. Te żyjące elegie, których obowiązkiem naśladować wszystkie objawy rozpacz, są tem samem, czem owe biedaki co za franka przedstawiają po tutejszych teatrach hrabiów i grandów składających orszak bohatera dramatu. — Zwykle odgrywają oni swoje role wybornie — płaczą tak serdecznie, łkają tak głośno, że francuzi, którzy umieją oceniać przymioty aktorskie, nie mogąc dać brawa, żywe okazują im współczucie, a rozchodząc się powtarzają na wszystkie tony: oto pogrzeb co się zowie! Nie brakowało niczego: były i krzyki rozpacz, i łzy, i jęki, i mowy, i kwiaty — w istocie przyznać należy, że to *administracya* pierwszego rzędu. *C' était magnifique!*

Jak każdy obyczaj, tak i obyczaj najętych płaczków wypłynął z ducha narodowego. Naród, który nie umie się smuć, który nie ma w swoim języku nawet wyrazu na tęsknotę, a jednak ma artystyczne pojęcie żalu i żaloby, czyż mógł się obejść bez najętych płaczków? Bez nich pogrzeb byłby nie tylko nie poważny, ale nawet nieprzyzwoity. Przyzna to każdy cudzoziemiec, jeże-

li przypadkiem wmięszal się kiedy w orszak idący za trumną. Najswobodniejsza rozmowa toczy się tam bez przerwy, i dwuznaczniki, żarty, trywialne spostrzeżenia krążą jak na weselu; idąc za trumną ten i ów załatwia swoje interesa, ten rozprawia o polityce, ten o kursie papierów na giełdzie, ten układa zamęcie wdowy, ten obrachowuje korzyści, ów straty jakie mu przyniósł skon człowieka którego odprowadza do grobu. Wielu jest takich co łączą się z pogrzebową processyą, dlatego żeby jechać za darmo w jednej z czarnych karet wlokących się za karawanem. Inni (takich jest najwięcej) przybyszą do domu nieboszczyka żeby dostać parę rękawiczek które tam wedle przyjętego zwyczaju gratis rozdają gościom, a dostawszy takowe, ruszają dalej, upatrując we drzwiach drugiej zasłony, za którą drugą parę dostać można.

Wyjąwszy poważnego ubóstwem i osamotnieniem karawanu biednych, który wydziedziczone dzieci fortuny do wspólnego wywozi dołu, a za którym zwykle nikt nie idzie, pogrzeb w Paryżu jest widowiskiem jak każde inne: jak skoczkom w Hipodromie, baletnicom w Operze, tak i trumnie przypatrują się tu przez lornetkę, admirują dekoracje i obliczają ile zań zapłacono, bo wiadomo każdemu, że ze wszystkich szaleństw jakie tu sobie człowiek pozwolić może jeżeli ma pieniądze, najwięcej kosztuje głupstwo finalne: suty pogrzeb. —

Powyższe względy moralne, oburzające zdzierstwo trudniących się pogrzebami towarzystw; jak również ważny wzgląd fizyczny na zdrowie mieszkańców wielkich miast otoczonych do koła cmentarzami, był powodem, że kilka poważnych głosów ozwało się tu w ostatnich czasach za przywróceniem ciałopalenia. Przytaczano mnóstwo faktów wykazujących szkodliwość i szkaradę zwyczaju grzebania trupów w ziemi. Myśl zastąpienia trumny urną została bardzo dobrze przyjętą, i pokazało się, że nie jest nową we Francyi.

Jeszcze w VII roku Rzeczypospolitej, założyciel cmentarza Montmartre podał municypalności Paryża wraz z planem cmentarza, projekt reformy pogrzebów. Dokument ten zatwierdzony przez Dyrektoryat istnieje dotąd w archiwach miejskich.

Obywatel Cambry proponuje, żeby na górze Mortmar-

tre założyć *Pole spoczynku* mające cztery bramy i cztery oddziały poświęcone czterem porom wieku człowieka: dzieciństwu, młodości, dojrzałości i starości. Nie potępiając grzebania trupów, p. Cambry dopomina się tylko przywrócenia zwyczaju palenia ciał dla biednych. „Zostawmy, mówi, każdemu wolność działania w tym względzie — ale niech będzie dozwolony wybór: niech rozsądny i ubogi ma skromną urnę, w którą by mógł schować drogie popioły — a próżny bogacz niech sobie buduje pomniki, które dadzą chleb rzemieślnikom i artystom. Wtedy przynajmniej ten co zechce swe zwłoki powierzać ziemi, będzie je musiał tak schować, żeby nie tylko wyziewami nie zatrzymały powietrza, ale naznaczone pomnikiem, przyczyniły się do ozdoby *pola spoczynku*.”

Dalój założyciel cmentarza Montmartre, wchodzi w szczegóły wykonania projektu ciałopalenia. Proponuje budynek w kształcie piramidy, mający 28 metrów podstawy, na której ognisko miało być urządzone w sposób zapobiegający mieszanii się popiołów. W tych piramidach palenie ciał odbywałoby się w obec rodziny lub znajomych zmarłego, którzyby przy tym akcie chcieli być przytomni, oraz w obec lekarza potrzebnego na przypadek pozornej śmierci czyli letargu, z którego dotknięcie płomienia cuci natychmiast.

Na powyższy projekt obywatela Cambry, rada muncypalna Sekwany roku VIII Rzeczypospolitej następnym odpowiedziała wyrokiem :

„Zważywszy, że w starożytności istniał zwyczaj palenia ciał, że ten zwyczaj ustał tylko skutkiem przemiany pojęć religijnych, że przywrócenie go jest ze wszechmiar korzystne,

„Komissarz Dyrektoryatu wykonawczego postanawia:

„Każde indywiduum zmarłe, którego środki materialne nie dozwolą pochować wedle dekretu z dnia 28 *frimaire* tegoż roku, będzie odwożone na stos publiczny i na nim palone.

„Krewni życzący sobie zabrać popioły zmarłego, mogą być obecni przy paleniu ciała. Popioły zebrane starannie, oddawane będą za pokwitowaniem żądającemu.

„Na *Polu spoczynku* Montmartre będzie skład urn sprzedających się po cenie stałej: półtora franka.“

Mimo poparcia rządu i ponętnej taniości jaką miało za sobą, rozporządzenie palenia ciał zostało odrzucone przez opinię publiczną; *autodafe* zachowano tylko w klasycznych tragediach, a z projektu obywatela Cambry przyjęto tylko plan emętacza, który dzisiaj na szczycie góry Montmartre zielenieje.

Czemu naród francuzki tak skory wtedy do wszelkich innowacji, naród, który z bezprzykładną śmiałością cały istniejący porządek wywrócił, nie przyjął tego projektu — trudno zgadnąć. Rzecz dziwna: odrzucono go w czasie kiedy przyjmowano wszystko byle nowe — a dziś w czasie konserwatyzmu, opinia publiczna za nim się oświadczyła.

Pierwszy artykuł w tym przedmiocie, piera pana Bonneau, sprawił wielkie wrażenie — wywołał cały szereg innych artykułów popierających i rozwijających myśl przywrócenia pogrzebów starożytnych. Przeciwnicy trzy tylko wynaleźli argumenta na zabicie korzyści ciałopalenia: jedni protestowali dla tego, że ten obyczaj bierze swój początek w uczuciu nieczystem, w zemście Sylli który pierwszy pod pozorem uczenia, zniszczył ogniem ciało Mariusza — drudzy nie zezwalają na *autodafe*, nie wiedząc jakby się potem przedstawili na sądzie ostatecznym — innym nakoniec (romantynom) chodzi o to, że po takim pogrzebie żaden duch już na ziemię nie powróci.

Ten ostatni zarzut zdaje się właśnie przemawiać za urną. Bo pytam, po co ten kto raz umarł ma powracać? Dawniej cienie miały jeszcze do tego powód jakis: zadanie rozbudzania wyobraźni poetów i fantastycznych naśladowców Anny Radcliffe. Ale niestety, ten powód już ustał, bo minęły czasy kiedy literatura trupia miała swoich wielbicieli, kiedy ścinano bohaterów zachowując sobie prawo przyklepienia im głowy opłatkiem w następującym rozdziale. A szkoda, wielka szkoda, że wyszły z mody powieści zaczynające się naprzykład tak:

„Noc była czarna — wiatr lodowaty, cała natura w rozpacz... drzewa oświecone drżącym blaskiem księżycy wydawały się jak olbrzymy załamujące ręce... Zegar zamkowy wybił północ — i nie słychać nie było prócz śpiesznych kroków spóźnionego wędrowca i za-

łośnego wycia psa niepokojonego łoskotem bram kołatanych burzą....

„W tej posępnej godzinie, pan zamku miotany wyrzutami sumienia, nadaremnie wzywał snu wijąc się na samotném łóżu... w tem — drzwi się otworzyły i... widno blade, z roztarganym włosiem, posagowym wzrokiem, stanęło naprzeciw alkowy wyciągając ku zdrajcy kościaną rękę!“

Któż nie przyzna, że warto było wrócić z tamtego świata, żeby podobne natchnąć powieści — ale dziś kiedy ich nikt nie pisze i nikt nie słucha, kiedy zimna rzeczywistość rządzi światem, po cóżby umarli powracać mieli? Cóżby zastali w domu po tej nieobecności którą każdy za wieczystą uważa? Nie, prócz dowodów niestałości ludzkiego serca i słabości głowy ludzkiej.

Przypuśćmy na przykład, że mąż jaki korzystając z otrzymanego urlopu powraca z tamtego świata i wchodzi do swego domu jako duch niewidzialny. Jeszcze rok od śmierci jego nieupłynął, jeszcze kamień nie po czerniał na jego grobie, a już własnego domu nie pozna. Sypialnia mimo żaloby, jakieś weselsze przybrała barwy — wdowa jakby panna na wydaniu musi dbać o pozory i skarbić względy ludzkie; gdzie spojrzysz, zmiana... znajomą szarą koldrę zastąpiła koronkowa osłona podszyta różowo; stare machonie zmieniono na nowe palisandry — we fotelu przy kominku siedzi twój przyjaciel, a jejmość w twojem zwierciadle opatruje bacznie czy żal nie zostawił śladów na gładkiem czole.. W salonie jakby nigdy nic, bawią się wesoło twoje dzieci. Twego psa wiernego, dla tego że był z tęsknoty, uwiązano w podwórzu... Biedny cieniu, gdyby ci się zachciało na chwilę zostać człowiekiem, jużbyś tu do niczego nie trafił. Suknie twoje rozdano pomiędzy ubogich kuzynków, szpilek dyamentową oprawiono w pierścionek, płaszcz pocięto dla pani na kacabajki, zegarek darowano doktorowi, który cię nie zdołał zatrzymać na tym padole płaczu... A twój portret... gdzie portret? Czy chcesz biedny cieniu śledzić jego wędrówkę? Zwykła to historia serca ludzkiego:

Przez sześć miesięcy wisiał w sypialni wdowy.... nieutalona w żalu lubiła przypatrywać mu się — cierpienie ma swoje gorzkie rozkosze...

W pół roku przeniesiono go do salonu; jako malowidło historyczne wszedł w poczet przodków.

Po skończonej żałobie portret nie wiedzieć z jakiego powodu stał się niedyskretny... oczy jego zdawały się ścigać wdowę po wszystkich zakątkach salonu... wyniesiono go więc do pokoju dzieci. Tam był dość długo — ale jeżeliś przybył w parę lat po śmierci, to i tam go już nie zastaniesz, i chyba od następcy swego dowiesz się co się z nim stało.

Biedny cieniu, czyż warto było wracać?

Na szczęście, Opatrzność przewidziała to wszystko — i tym co raz przestąpili próg wieczności już go przestąpić na powrót nie wolno. Wszystko powraca na tej ziemi: niewierni przyjaciele i niewierne kochanki powracają za pierwszym uśmiechem fortuny — róże po zimie, wesołość po smutku — słońce po burzy — wszystko, wszystko powraca prócz tych, których Bóg do siebie powołał.

Palić więc można bez obawy nasze ciała, bo rola materyi skończona w chwili w której swą rolę rozpoczyna dusza — a drogie formy trudno lepiej uczcić jak przemieniając je w czystą garsteczkę popiołu.

Tu mnie pewnie zapytasz, czy zostałem *Croque-morrem*, że tylko o umarłych gadam. Nie — ale piszę w południe przy świecy, więc podobny obrót myśli łatwo sobie wytłumaczysz. Zresztą nic się nie dzieje: w teatrach, w księgarniach, w dziennikach, w przeglądach, bezprzykładne pustki. Oczekujemy śniegu i mrozu, który ma, podobno ożywić stolicę. — W chwili obecnej gęstą mgłą otoczonej, mogę ci tylko powtórzyć od czegoś zaczął:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
„Co to będzie, co to będzie!“

Londyn w listopadzie.

Listopad jest najmniej powabnym miesiącem w Anglii i wszystko w nim przybiera na się postać obumierająca, posępna. Łany, na których przez lato kwitły

różne zboża, leżą odłogiem lub poorane tu, i owdzie z zasiewem oziminy, która jeszcze nie weszła; tam koniczyna z pod ściernia lub niezebrane jeszcze ogrodowiny, strzępiaste kapusty i brukiew. Żywe płoty, któremi cała Anglia jest porozgradzana, stanowiące wielką po wsiach ozdobę, tracą w tym miesiącu swą zielen, kwiaty i wonność, a wiatr pomiata po drogach suchym ich liściem. W lasach, parkach i sadach — jakby na ożeść miana tego miesiąca — liść poopadał, a drzewa z obnażonemi gałęzmi podobne do mioteł. Na jednych jeszcze dębach liść się trzyma, jakby swą siłą pasować się chciał z zimą, lecz i on już wszystek zwiędły, żółkły; tylko laur jak zawsze tak i w tej porze się zieleni, jakby na to, aby nigdy nie brakło czém uwienczać nieśmiertelnej skroni. Na tem tle powiędłej przyrody, na schyłku roku odbijają się ponuro ciemną swą zielonością jakby na przypomnienie lata, wzniosłe sosny, rzadkie w Anglii świerki, posępne cyprysy i wijące się bluszcz po budowlach, rozwalinach. Niebo również mało sprzyja tu w listopadzie. Grube mgły jesienne ociemniają przedmioty, ścięśniają widnokrąg dla oka. Trwają przechodzące deszcze z wiatrami zachodnemi; lecz choć i deszcz nie pada, niebo nie bywa czyste, pogodne; powietrze pełne wilgoci. Rzadko się słońce z poza wilgotnych chmur przedziera, a jeśli zaświeci to na chwilę. Przytem krótkość dnia a długość nocy obłóczą w posępność całą przyrodę, zasępiając nawet umysły mieszkańców tej wyspy. Czuł to głęboko śpiewak „Pór Roku“ Thomson i widocznie miał listopad na myśli, kiedy w swym opisie „Jesieni“ wykrzyknął:

*He comes! he comes! in every breeze the power of
philosophic melancholy comes!*

(Nadchodzi, nadchodzi, z każdym wiatru wiewem filozoficznej posępności siła!)

Wyrażając się temi słowy, poeta chciał wskazać skutki jakie pora listopadowa sprawiać zwykła na umysły, naprowadzał na przyczynę, dla czego w tym miesiącu więcej niżeli w innych popelnia się samobójstw między jego ziomkami. Jest też starodawna pieśń toż samo o listopadzie opiewająca, iż w nim najwięcej się Anglików wiesza i strzela.

Tyle na wstęp do listopada. Ten miesiąc prócz tego

zajmuje ważne miejsce w historii angielskiej. Dzień 5 listopada szczególnie pamiętnym jest z wielkich wypadków. Naprzód jest on rocznicą, wielkiego spisku prochowego (*Gunpowder plot*) w r. 1605, kiedy podłożeniem prochu pod parlament chciano go z wszystkimi jego członkami i królem w powietrze wysadzić. Powtóre jest on rocznicą wylądowania Wilhelma III księcia Oranii, małżonka Maryi, starszej córki Jakóba II, na brzegi angielskie, a który w skutek rewolucyi r. 1688 powołany został przeważnym głosem protestantów na tron po teściu swym Jakobie II. Nie pierwój się jednak na tronie ustalił, aż po stoczeniu krwawej z nim bitwy nad rzeką Boyną w Irlandyi, gdzie 15,000 wojska katolickiego poległo. Pod królem Wilhelmem III ustalił się protestantyzm w kraju. Po bitwie pod Aghrim roku 1691, która równie nieszczęśliwie jak pierwsza dla króla Jakóba wypadła, zmuszony on był ze stronnikami swymi ratować się ucieczką do Francyi, gdzie w dzieście lat potem umarł. Potomkowie nieszczęśliwej dynastyi Stuartów nazywani w dziejach angielskich pretendentami — z których jeden miał później książniczkę Maryą Klementynę Sobieską za żonę, nie zdołali odzyskać utraconego tronu, i cała ich linia wygasła na księciu York, który umarł kardynałem w Rzymie.

Potrzenie, dzień 5 listopada pamiętnym stał się za naszych czasów przez stoczenie sławnej bitwy pod Inkermanem w Krymie. Wtóra jej rocznica obchodzona była przez wielką paradę w Londynie, a później uczta-mi w wielu kołach wojskowych, przez tych, którzy przed dwoma laty byli uczestnikami tego krwawego boju. Lecz o tém jako rzeczy dzisiejszej i znaniej nie-ma co mówić dłużej.

Przeciwnie o spisku prochowym, jako ważnym wypadku historycznym, a mniej może wiadomym dla wielu, niech powiem tu kilka słów więcej. Jest on już z tego względu ważnym i ciekawym, iż tak wraził się w pamięć u pospolitego ludu w Anglii, że od 250 lat do dziś dnia rocznica odkrycia tego spisku bywa obchodzoną każdego roku w dniu 5 listopada, i to w sposób dość oryginalny, z duchem narodu zgodny. Początek i powód do spisku był takowy: Za wstąpieniem na tron Jakóba I. syna owój Maryi Stuart, której tra-

giczny koniec jest znany, katolicy w Anglii spodziewali się że mniej pod jego berłem będą prześladowani, niżeli za rządów królowej Elżbiety; lecz mocno się w tem zawiedli, bo król będąc wychowany w surowej szkole presbiterianizmu szkockiego zamiast zmniejszenia powiększył jeszcze ich ucisk. Przywiedzeni do rozpacz, szukali sposobności jakby się krzywdy swej zemścić. Jeden z pomiędzy nich, Robert Catesby, znakomity obywatel pochodzący z starożytnej i znanj rodziny w kraju, wpadł na nieszczęśliwą myśl, aby budynek parlamentu wraz z całym zgromadzeniem i królem na pierwszej sesji wysadzić w powietrze. Zwierzył się on z swj myśli innym i znalazł wielu współników, bo różnica wyznań była oraz różnica stronnictw politycznych. Aby dokonać swego rozpaczliwego zamysłu, spiskowi zajęli na imię Percy współnika swego, dom stykający się z budynkiem parlamentu. Z tego domu przebiwszy mur na trzy łokcie grubości, dostali się na sklepienie, pod którym był wielki skład węgla kamiennych. Odkrycie to wielce ich zmartwiło, lecz wkrótce dowiedziawszy się, że cały skład węgla, miał być sprzedany, a piwnica wypuszczona w najem przez licytacją najwięcej dającemu, ucieszyli się znowu, bo właśnie tego im potrzeba było. Zakupili więc na siebie piwnicę i nawet z resztą niesprzedanych węgla, aby zostały na miejscu. Następnie sprowadzili skrycie z Holandyi 36 baryłek prochu i złożyli go tam również przysypawszy węglami i narzuciwszy chróstem i wiórami dla niepoznania. Po czem nie zamykali drzwi, nie broniąc wejścia nikomu, aby widziano, że nie było tam nic niebezpiecznego. W przekonaniu, że wszystko im się uda, poczęli układać dalsze projekta, ile że otwarcie parlamentu było bliskie, a w ten fatalny dzień miało wszystko od razu być dokonane. Naprzód rachowali na to z pewnością, że król z królową i najstarszym swym synem Henrykiem przybędą na otwarcie izb parlamentowych — a więc że zginą. Drugi ich syn dla młodości niemógł być z niemi razem w parlamencie — więc Percy przeznaczony był albo go porwać i zabić. Księżniczka Elżbieta, która także była jeszcze dzieckiem, bawiła pod ten czas na prowincyi w domu lorda Harrington —

więc niejaki Everard Digby miał przywieść ją do Londynu i ogłosić królową.

Do spisku strasznego należało, ile później ze śledztwa dojść można było, dwadzieścia osób, a przez półtora roku zostawał on w największej tajemnicy. Bez litości i względu na kogokolwiek i na własne nawet spiskowych bezpieczeństwo, uknuty przez nich zamach, byłby podobno przyszedł do skutku — jeśli nie w całości, to w znacznej części — gdyby uczucie przyjaźni nie było uchowało kraj od takiej zgrozy. Jeden ze spiskowych Sir Henry Percy pragnął uratować życie Lorda Mounteagle, przyjaciela i towarzysza swego od młodości, który był także katolikiem. Na dziesięć dni przed zebraniem się parlamentu, lord Mounteagle, który już był przybył do miasta, otrzymał list bezimienny, przyniesiony mu przez nieznaną osobę, która po oddaniu go natychmiast znikła. List ten przytaczam jako dokument historyczny:

„Milordzie, nie bądź na otwarciu parlamentu, gdyż Bóg i ludzie zgodzili się na ukaranie zepsucia naszych czasów. Niechciej ważyć lekce tego zawiadomienia, lecz wróć na prowincję i spokojnie tam czekaj na to co się stanie. Chociaż nie widać żadnych oznak najmniejszego ruchu, jednakże upewniam, że straszny to będzie cios, jaki dotknie parlament; a nikt nawet nie pozna, z kąd nań przyjdzie. Nie pogardzaj tą radą, ona na pogardę nie zasługuje: może ci wyjść na dobre, nigdy na złe. Spal list — ze spaleniem wszelkie niebezpieczeństwo zniknie.“

Lord Mounteagle wszelako niespalił listu. Tajemnicza treść jego nieco go zastanowiła; lecz sądząc, że może na postrach i wystawienie go na śmiech, był pisany, nieprzywiązywał do niego żadnej wagi, — pokazał go atoli lordowi Salisbury, sekretarzowi stanu. Ten także nieprzywiązywał do niego żadnego znaczenia, przedłożył go wszakże królowi, na radzie, kiedy ten w parę dni wrócił do stolicy. Lecz i tu nic niezdecydowano, oprócz tego, że list wskazywał na grożącą jakąś klęskę i nie był na żart pisany. Pośród powątpiewania i trwogi obecnych na radzie, król Jakób I przeniknął znaczenie tego złowróżbnego pisma. Dał się słyszeć ze zdaniem, że jeśli grożące niebezpieczeństwo miało być tak nagłe, nie

mogło to być inne, chyba za pomocą prochu. Uznano zatem, że trzeba wszystkie zakątki i sklepienia parlamentu zrewidować. Hr. Suffolk, wielki szambelan, otrzymał polecenie, aby to zrobił: co też przyjął na siebie, ale odłożył ten przegląd umyślnie aż na ostatni wieczór poprzedzający otwarcie parlamentu, to jest 5 listopada. Przejrzawszy całą budowlę, udał się na końcu pod sklepienie piwnicy, gdzie znalazł kupę drzewa, gałęzi i trzasek ułożonych na węglach leżących tuż pod Izbą lordów. Lecz co gorsza, znalazł tam osobę w płaszczu i w butach, z latarnią w ręku, zajętą przyrządzaniem różnych sprzętów do zbrodniczej i straszliwej eksplozji, która miała wybuchnąć dnia następnego. Zrewidowano tego człowieka i znaleziono przy nim lonty i inne palne materyały. Człowiekiem tym był Gwidon Vaux — albo jak go teraz lud zowie: *Guy Fawkes*. Cały zamiar związkowych w ten sposób odkryty został, a zamach zgubny odwrócony. Guy Fawkes, stawiony przed sąd, nie mając nadziei przebaczenia, nie zapierał się; lecz z miną nieokazującą trwogi rzekł, że byłby najszczęśliwszym, gdyby swych sędziów i z nimi razem siebie mógł w powietrze wysadzić. Przed Radą stanu zachował też samą nieustraszoną i wzgardę, że nie nie można było od niego dowiedzieć się; żałował tylko że nie udało mu się zamysłu dokonać. Dopiero kiedy go zaprowadzono do Tower i miano go brać na tortury, odwaga go opuściła — przyznał się do winy i wydał wszystkich współników spisku.

Catesby, Percy i inni spiskowi, posłyszawszy o ujęciu Guy Fawkesa, ratowali się ucieczką z miasta do hrabstwa Warwick, gdzie Digby ufając zupełnie w udanie się spisku, uzbroił się z swymi stronnikami. Lecz trwoga padła na cały kraj; gdziekolwiek się obrócili, tam znaleźli sobie niechętnych i siłę zbrojną. Przypierani ze wsząd i niewidząc sposobu dłuższego utrzymania się, zawarło się ich 80 w jednym domu, z postanowieniem bronięcia się do ostatniego lub sprzedania drogo swego życia. Przypadkiem iskra padła na proch, który suszono, a ten zapalił się i niemal cały dom rozwalił. Wielu ze spiskowych było ranionych, a ci co ocaleli, otwarłszy drzwi, chcieli się przebić przez tłum ludu otaczającego to ostatnie ich schronienie. Większą ich część lud

rozjuszony posiekał na sztuki; a Catesby, Peroy i Winter stanawszy we trzech plecami do siebie, odpierali jak długo mogli natarczywość przeciwników, dopóki dwaj pierwsi niepadli od ran, a Winter dostał się żywcem w ręce. Drudzy, co przy życiu pozostali, przed sąd stawieni, i podług stopnia winy, jedni padli pod katowskim toporem, między nimi Garnet i Oldcorn, jezuici; drugich mniej winnych król ulaskawił.

Działo się to przed półtrzecia set laty. Teraz opowiem jak pamiątkę tego wypadku w duchu dzisiejszego wieku obchodzą. Lalkę mającą przedstawiać Guy Fawkesa, ubierają w odzież w jakiej go złapano, z dodatkami rozumie się, jakie wyobraźnia ubierającym go nastrecza i dają mu jaką szkaradną maskę. Skoro zmrok nadejdzie wsadziwszy go na osła, oprowadzają przy pochodniach po ulicach — oraz z latarnią i z jego bótami, w których był znaleziony w piwnicy — puszczając szmermele i race dla jaskrawszego oświetlenia całej tej procesyi. Obeszedszy miasto zwraca się tłum na jaki otwarty plac lub rynek, gdzie gorejący stos drzewa na ten cel rozniecony, i tam po różnych przemowach i drwinach, pośród szyderstw, hałasu i śmiechu, wrzucają Guy Fawkesa w płomienie. Ale niedość na tem. Lud ma zawsze takich co przeciw niemu grzeszą, co obrażają opinię powszechną, działają przeciw duchowi wieku, a których tłum nienawidzi. Również jak na Guy Fawkesa, biorą lalki z maską podobną do takiej znienawidzonej osoby i w tym samym pochodzie co z Guy Fawkesem, oprowadzają po ulicach z szyderstwem, a potem na spalenie *in effigie* na stos gorejący wrzucają. Nienawiść religijna była dawniej powodem, że najczęściej na osobach hierarchii kościoła katolickiego tę pomstę wywierano, gdyż spiszek prochowy był przez katolików zrobiony, a przynajmniej ówczesne sądy im go przypisywały; lecz przy większem rozszerzeniu się tolerancyi, zwłaszcza w ostatnich latach, rzadziej się to zdarza. Cała zemsta atoli tego roku zwrócona była na Puzeistów. Biskup Oxfordzki, protegujący ich, wraz z pewnym księdzem Cameron w puzeickim swym stroju, paradowali obok Guy Fawkesa we własnej jego dycezyi. Lud nieogranicza się w tym dniu na własnych ofiarach, lecz częstokroć i na obcych zemstę swą wywiera. W miasteczku Farnham,

procesya składała się tego roku z ogromnego wozu, na nim szatan, trzymający przed sobą Guy Fawkesa i amerykańнина p. Brooks, okrutnego właściciela murzynów i obrońcę niewoli w Stanach Zjednoczonych. Wóz ten napelniony mnóstwem najszkaradniejszych masek w najdzikszych ubiorach, przebywszy całe miasto z bandą muzykantów, zajechał na rynek, gdzie płonął wysoki słup smołą oblany. Na nim Lucyper Guy Fawkesa i owego Brooksa pana licznych murzynów na słupie powiesił. Między maskami znajdowała się lalka wyobrażająca murzynkę z dzieckiem murzyńskim na rękę, której Lucyper podał bizun do ćwiczenia nim wiszącego Brooksa. Czego też ta czarna niewolnica nie zaniechała. Takie karykatury lud angielski robi z tych co ściągają na siebie jego nienawiść, takie sprawia im *charivari*.

Nienawiść do systemu niewoli uprawnionego w Ameryce, objawia się tu silniej jeszcze na wiadomość o wyborze Buchanana na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przypominają tu sobie sympatyje Amerykanów dla Rosyi i wyszukują podobieństwa między niewolą murzynów i poddaństwem chłopów. Przed kilku laty jeszcze, krążyła anegdota o rozmowie pewnego znakomitego amerykańнина z cesarzem Mikołajem. P. Wheaton znany pisarz, dziś już nieżyjący, będąc w Peterhofie, zwyczajem swego narodu zaczął się rozszerzać przed cesarzem nad zaletami rządu republikańskiego. Cesarz Mikołaj słuchał go długo w milezeniu i nakoniec mu przerwał, mówiąc: „Prawda, p. Wheaton: zgadzam się zupełnie na to coś powiedział. Bo też w istocie nie masz jak dwie prawdziwe demokracje w ucywilizowanym świecie — jedna moich biednych muzyków, druga waszych murzynów.“

Cesarz miał podobno na myśli owe gminy rosyjskie, o których baron Haxthausen Europie ponabijał głowę, a o jakich czytam w pewnem pisemku, świeżo tu w Londynie wyszłem, te ciekawe słowa i przestrożę:

„Stan socyalny w Moskwie — mówi autor — jest zupełnie przeciwny pojęciom o oświecie mieszkanców Europy. Jako wzór gminy moskiewskiej, chwalee jej przedstawiają gminę Kozaków uralskich, gdzie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi żyje komunistycznie. Nikt z liczby tych 25 tysięcy nie ma własności gruntowej, co rok ro-

bią nowe podziały ziemi do uprawy i brzegów rzeki do połowu ryb.

„Wszystkie gminy moskiewskie tak są urządzone; nikt nieuprawia tejże ziemi długie lata; ciągle są zmiany, ponieważ tam podział ziemi jest nie podług stanu majątkowego gospodarza, lecz podług ilości dzieci jego i ogólnie ilości osób rodziny.

„Pozornie jest to dobrém; bo każde nowonarodzone dziecko odbiera na swoją część kawałek gruntu; ale niepewność utrzymania tego gruntu (bo ze śmiercią dziecka lub kogokolwiek z członków rodziny grunt jego odbierają) sprawia, że nikt nie troszczy się o ulepszenie onego.

„Lecz rzecz najważniejsza jest: że ten brak uczucia własności gruntowej, przywiązanie się tylko do odzieży, do bydła, jedném słowem do rzeczy łatwo przemijających, wpływa w najgorszy sposób na stan moralny mieszkańców, bo stąd nieuszanowanie cudzej własności; stąd przywiązanie się większe do osób, jak do prawa, stąd niewola i ciemnota, zabójstwo osobistości człowieka.“

Szkoci zbierają do niejakiego już czasu składkę na wzniesienie pomnika dla Wallacea, sławnego bohatera szkockiego za dawnych wojen z Anglią. Uwiecznił go poeta wieśniak Robert Burns w swym wzniosłym wierszu:

Scots, wha hae wi Wallace bled, itd.

który z dorobioną muzyką oryginalną szkocką został teraz wielką narodową pieśnią Szkotów. Przy najuroczystszych narodowych obrzędach można ją słyszeć śpiewaną z zapalem do nieopisania. Niedawno było w mieście Falkirk poświęcenie instytutu sztuk pięknych. Lord adwokat szkocki whig, i wysoki urzędnik kraju, dopełniając tej uroczystości, zwróciwszy mowę swą pełną narodowych uczuć na Wallacea, wyrzekł, jakiby najstosowniejszy był pomnik dla bohatera Szkocyi. Nie aby jaśniał on ozdobami dła lub sztuki snycerskiej — nie aby w nim podziwiano wysilenie sztuki architektonicznej; lecz aby jako najwłaściwszy symbol bohatera i walecznych jego czynów, obrano bryłę granitu, szorstką, nieociosaną, tak ogromną jaką siła machin dziś podważyć zdota, — i aby tę bryłę olbrzymią w całym nieokrzesaniu i pierwotnej postaci, włożono na najwyższy szczyt Abbeycraigu, gdzieby przetrwała walkę z burzą-

mi nieba — jak Wallace, którego ma być symbolem, pośród przeciwności swego wieku stał niewzruszony, surowy, dzielny, groźny. Myśl to nowa, a pomnik taki świadczyć będzie jak mury Cyklopów, że na tej ziemi mieszkali olbrzymy zwani Anglikami.

Warszawa w listopadzie.

Zrobię wam niespodziankę. Sądziecie zapewne, że zacznę wam od razu prawić o pani Ristori, której pobyt w naszym mieście był po prawdzie najważniejszym *evenementem* ubiegającego miesiąca. Otóż właśnie tak nie będzie. Panią Ristori odkładam na potem, a zacznę od czego innego.

Kilka dość charakterystycznych wypadków, kilka ploteczek zajmują obecnie Warszawę. — Opowiem wam je po szczególe.

Słyszeliście zapewne o owem dziwnem małżeństwie mieszkanka Warszawy p. S* z panną W*, a możecie nawet pisali parę słów o tem, boć to było w kilku gazetach niemieckich i angielskich. Ja przyznam się wam szczerze, że chociaż przeglądam dzienniki, a mianowicie wasz, który z powszechności i powagi swojej wygląda na ojca polskich gazet, nie mam jednak czasu czytać je tak dokładnie, abym wszystko, co się w nich znajduje wiedział. Wolę więc opowiedzieć wam to, com słyszał o tym wypadku, jeżeli zaś będzie to tylko powtórzeniem, daję wam najzupełniejszą swobodę wykreślenia tego com napisał.

Owóż przed rokiem czy dwoma latami bawiła podobno w Warszawie niejaka pana W*. Tak wieść przynajmniej niesie, bo ja się wam przyznam, że jej nigdzie nie spotkał ani o jej pobycie nie wiedziałem nawet, a dziwnem mi się to wydaje, bo Warszawa pod względem komerażów i ploteczek zakrawa na małe miasto; wszyscy tu wiedzą o wszystkim, więc osoba takiego położenia towarzyskiego jak panna W*, o której wieść niesie, że jest córką naturalną księżny M*D** i br. W* nie mogłaby się tak dalece ukryć, zwłaszcza że

podług tegoż samego podania dość długi czas bawiła w Warszawie.

Ta panna ładna, młoda, bogata i książęcego rodu, spotkała gdzieś na przechadźce podobno w ogrodzie saskim niejakiego pana S* nauczyciela rysunków podobno starozakonnego. Pan S* podobno sierota, urodził się w bardzo ubogim stanie, i karierę swą, jeżeli udzielanie lekcyj rysunków można nazwać karierą, winien był dobroczynności dwóch lub trzech bankierów warszawskich tegoż co i on wyznania, którzy uznawszy w nim zdolności, oddali go do gimnazjum, potem do szkoły sztuk pięknych i ciągle jeszcze rozciągali nad nim swoją opiekę.

Ale pan S* który podobno jako rysownik był bardzo miernym obdarzony talentem, otrzymał za to od matki natury w darze, piękną postawę, twarz bardzo wyrazistą, ogniste oczy i mocny zarost, słowem wszystkie zalety tej prawdziwie męskiej piękności, która najbardziej przemawia do wyobraźni płci pięknej. — Więc podobno i panna W* zająwszy się powierzchownością pana S*, zażądała aby jej był przedstawionym, i postanowiła brać od niego lekcye rysunków. A lekcye poszły tak dobrze, że w kilka miesięcy panna W* otrzymała z Paryża rozkaz wyjechania z Warszawy, i ze łzami a rozpaczą opuściła nasze miasto, przyrzekając panu S*, że wkrótce usłyszy o niej. I rzeczywiście usłyszał, bo w niespełna pół roku dostaje on list z Paryża, by czém prędzej przyjeżdżał żenić się z córką księżny M**, posiadaczką milionów, i *dwoma lewemi bokami* spokrewnioną z panującym domem.

W liście tym wyrażonem było, że panna W* długo walczyć musiała przeciw woli ojca i matki, aż nareszcie łzy jej, rozpacz i przekonywające dowody prawdziwej miłości, która już zdrowiu zagrażała, przełamały opór rodzicielski, i szczęśliwemu panu S* pozostaje już tylko wsiąść na kolęj żelazną, dążyć najszybszymi sznelcugami, a przybywszy na miejsce pocałować w rękę tatę i mamę, i poprowadzić do ołtarza narzeczoną, piękną jak słońce a bogatą jak Kalifornia.

Nastąpiła wielka radość w Izraelu — Pan S* z listem w kieszeni pobiegł do swoich opiekunów i pokazał im czarno na białem los jaki go spotyka, a trudno było

odmówić świadectwu własnych oczu. Zebrano więc czemprędzej składkę, zakupiono wyprawę, żeby szczęśliwy Józef Warszawski nie powstydział się na dworze Faraonów, i pan S* wyprawił się w drogę.

W kilka tygodni gruchnęło po Warszawie, a opiekunowie pana S* w nieokreślonej radości z tak świetnej koligacyi, najbardziej się przyczynili do rozszerzenia tej wieści, że podróżnik szczęśliwie przybył do Paryża, że tam kazano mu niezwłocznie przejść na wiarę katolicką, że arcybiskup dopełnił na nim obrządku chrztu św., że niebawem hrabiankę W* poprowadzi do ołtarza, że jako podarunek ślubny, oprócz wiadomych milionów uzyskał patent na hrabiego, i ma nawet przyrzeczoną książęcą godność, że wszystkie salony paryżkie ubiegają się o zaszczyt posiadania choć na chwilę znakomitego Warszawianina, że nareszcie wyjeżdża z żoną do Londynu, a potem mają zamiar odbyć podróż po Europie. Pokazywano nawet, jak wam to już wypominałem, wyciągi z gazet angielskich i niemieckich, gdzie wyraźnie, wielkimi literami, stało o tych ważnych wypadkach.

Przez kilka tygodni zdarzenie to był głównym przedmiotem rozmowy we wszystkich towarzystwach, jedni ręczyli za autentyczność podania, drudzy pokręcali głową z niedowierzaniem, ale najgłośniej odzywali się o tym krewni i opiekunowie zaci zaimprovizowanego hrabiego, którzy własnoręcznymi jego aktami popierali prawdę słów swoich.

Tym czasem rzecz się jakoś wyświeciła powoli.

Otrzymuję w tej chwili wiadomość, że panna W* była podobno garderobianą hrabiny B*, którą ta pani z Podola do Warszawy przywiozła, że rzeczywiście poznała się z panem S* i przyrzekli sobie dożgonną miłość, że potem w skutek ukartowanego planu, panna W* dostawszy jakąś zapomogę od hrabiny B*, która pragnęła jej los zapewnić, pojechała do Paryża, a pan S* zmyśliwszy list powyżej przytoczony, udał się z nim do swoich opiekunów, żeby tym sposobem uzyskać od nich zapomogę, a otrzymawszy to czego żądał, pojechał w samej istocie do Paryża, gdzie rzeczywiście odbył się ślub dwojga kochanków, którzy sobie tak prze-myślnie zapewnili utrzymanie. — I za tego podania

prawdę nie ręczę, chociaż prawdopodobniejsze od tamtego; zresztą czas wyświeci, która z postaci w tym nowym balecie „*Księżna i Szwecowa*” jest rzeczywistą.

W tych dniach odbył się w Warszawie dziwny ślub w cerkwi prawosławnej.

Oblubieniec jest synem jednego z wyższych oficerów armii Rosyjskiej, zajmującego znakomite stanowisko w stolicy cesarstwa, oblubienica zaś córką bogatego obywatela ze Stanów Zjednoczonych.

Poznali się we Włoszech.

Ona przyjechała tam z ojcem dla zwiedzenia najpiękniejszych pomników stałego ładu i spotkała się z *nim* podobno we Florencji. Znajomość szybko się zabrała. *On* słynął z tryumfów nad pięcią piękną, któremi jak błyszczącym szlakiem oznaczył drogę swoją po Europie, utrzymywano, że niema kobiety, któraby potrafiła się mu oprzeć. Rzeczywiście jest to młody człowiek ujmujących rysów twarzy, z zadziwiającą jak na swój wiek znajomością świata i serca kobiet, obdarzony temi wszystkimi przymiotami, które zapewniają powodzenia tego rodzaju, trudniejsze do osiągnięcia niżby się zdawało. Bo niech tam co chcą mówią powieściopisarze, ród Lowelasów coraz bardziej maleje i uszczupla się.

Młoda i piękna amerykanka była nader ponętną pokusą, podróżowano więc razem i zamieniono nawet obietnice małżeństwa. Trzęsienie ziemi, które podczas pobytu ich wydarzyło się w Nicei, a które więcej jeszcze zbliżyło dwoje narzeczonych, spowodowało przyspieszenie spełnienia tych obietnic.

Ślub więc odbył się w kościele katolickim, niepamiętam już w którym włoskiem mieście, a ponieważ we Włoszech trudno szukać cerkwi prawosławnej, odłożono na później dokompletowanie tego obrządku podług przepisów kościoła wschodniego, przysięga bowiem katolicka jedną tylko stroną obowiązywała.

Dla urządzenia tego wszystkiego i zawiadomienia swojej rodziny, pan *** w kilka miesięcy po ślubie opuścił młodą małżonkę udając się jak twierdził do Rosji.

Ale jakąż była rozpacz i przerażenie młodej Amerykanki, kiedy w kilka tygodni po jego odjeździe otrzymuje wiadomość, że niewierny stara się o rękę młodej współrodaczki, córki znakomitego dygnitarza, i że już

podobno od niej i od rodziców jej przyrzeczenie otrzymał.

Udano się do dyplomatycznych stosunków.

Najwyższym rozkazem pan *** ściągnięty został do Warszawy, gdzie również młoda jego małżonka otrzymała rozkaz przybycia, i zaślubiny podług obrządku prawosławnego odbyły się przed kilku dniami w tutejszej cerkwi.

W czasie obrządku ślubnego państwo młodzi ani razu nie spojrzeli na siebie.

Po wyjściu z cerkwi rozłączyli się natychmiast.

Podobno nowo-zaślubiona podała obecnie prośbę do tronu o zerwanie małżeństwa, które musiało się wprawdzie odbyć dla ocalenia jej honoru, ale które w żadnym razie nie może połączyć we wspólnem pożyciu dwoje serc rozdzielonych tak śmiertelną obrazą.

A teraz myślicie może że już wyczerpał cały zapas moich nowinek brukowych? Otóż macie jeszcze jedną tylko w zupełnie odmiennym rodzaju:

W pewnej wsi w gubernii radomskiej wydarzył się w tych dniach straszliwy wypadek.

Rządca znacznych dóbr w tamtych stronach znany był z surowości z jaką postępował z włościanami podległymi jego władzy.

Chłopi go niecierpieli i burzyli się ciągle, a chłopstwo w tych okolicach bardzo zuchwałe.

Niewiem już za jaką winę, rządca kazał wyliczyć jednemu z chłopów 50 batów, co było nadużyciem, prawo bowiem niedozwala tak srogiego obchodzenia się.

Chłop znalazł doradcę jakiegoś Protazego z „Łobzowian,” i podjudzony przez niego udał się na skargę do naczelnika powiatu.

Urzędnik ów żyjący z rządcą w przyjaznych stosunkach, postanowił zatrzeć tę sprawę, i uspokoiwszy chłopę, dał mu list do rządcy, zapewniając że skoro się z tym listem uda, zostanie wynagrodzonym za swoją krzywdę, i że tym sposobem nie będzie już miał powodu czynić dalszych w tej mierze poszukiwań.

Ale rzeczy zupełnie inny wzięły obrót.

Chłop powracając z listem, dla nabrania lepszego rejonu wstąpił do karczmy, i tam rozpowiadawszy gromadzie, że ma pismo od urzędu do pana, i że go pan

musi przeprosić, zalał sobie porządnie palękę, a namówiony przez drugich, radych temu jak nazywali, upokorzeniu rządcy, przyrzekł ostro się stawić i nie dać się zbyć lada czem.

Tak rozzuchwalony i ledwie trzymając się, na nogach, poszedł do dworu dla oddania listu.

Skoro go rządcą zobaczył, rozgniewany już jego miną zuchwałą, w tém większy wpadł gniew, widząc, że nie zdejmuje przed nim czapki.

— A wiesz ty chamie do kogo mówisz? — zawołał strącając mu czapkę z głowy.

— Co mnie Pan będziesz potrącał — odkrzyknął chłop zuchwale — ja byłem w urzędzie, i tam kazano, żebyś Pan mnie wynagrodził za moją krzywdę, i dano mi nawet pismo, żebyś Pan wiedział o tem, bo teraz inne nastają czasy, i nie wolno wam już będzie krzywdzić biedny lud.

Ale rządcą ani chciał wziąć pisma do ręki, tylko zaraz na dziedzińcu kazał dworskim drugi raz rozciągnąć chłopą za zuchwalstwo i wyliczyć mu znowu pięćdziesiąt batów.

Ale chłop już się nie podniósł z ziemi; czy tego powtórzenia chłosty nie mógł wytrzymać, czy też go zabiła apopleksya skutkiem nadużycia wódki, niewiadomo.

Gromada dowiedziawszy się o tem, zebrała się w te tropy na naradę, i postanowiono, żeby natychmiast wszyscy z całej wsi, z czem kto ma, z siekierami, widłami, łopatami, kosami, udali się do dworu dla dopełnienia zemsty na rządcy.

Ten ostatni uprzedzony o tym buncie, nie chciał uciekać chociaż mógł, ale zatarasowawszy drzwi od dworu, uzbroił w strzelby służących, a sam trzymając w ręku dubeltówkę i położywszy przy sobie dwa pistolety, krzyknął na chłopów z okna żeby nieważyli się zbliżać, bo jeżeli się natychmiast nie oddalą, każe strzelać do nich.

Ale chłopstwo nie zważając na to, sunęło się naprzód, huknęły dwa strzały z dubeltówki i dwóch chłopów śmiertelnie rannych padło na ziemię.

Tymczasem inni wylamali drzwi i pomimo gwałtownego oporu rządcy, który jeszcze z pistoletu jednego z nich

ranił, porwali go, związali i zaczęli radzić pomiędzy sobą jakaby karę nań wymierzyć.

Uradzono żeby go rozćwiertować na kawałki.

Wyrok ten spełnionym został natychmiast, tak że urzędnicy, którzy nazajutrz przyjechali tam na śledztwo, nie znaleźli ani śladu ciała tego nieszczęśliwego.

Chłopsstwo rozsiekało je w najdrobniejsze kawałki i rozniosło po polu.

Kiedy drzwi wylamywano, służący uciekli tylną furtką.

Winowajcy są już w ręku sprawiedliwości, zapewne bardzo surowo ukaranemi zostaną, bo tu idzie o przykład, który może stać się zgubnym; w każdym jednak razie powinno to być srogą nauką i dla drugiej strony.

Już tylko jeden mały wypadek, ale zaręczam że ostatni.

Pewien młody obywatel wiejski, bywał u bogatej panny w sąsiedztwie w zamiarach matrymonialnych.

Panna ta miała ojczyma który się opiekował jej majątkiem.

Bardzo to było dlań wygodnie i nie myślał tak prędko zdawać rachunków.

Widząc jednak że ta sprawa zaczyna się na dobre koryżać, i że młody sąsiad nie odstraszonej zimnem jego przyjęciem, coraz częściej powtarza odwiedziny, a przytem panna zaczyna się ku niemu przychylić, postanowił jak twierdził dać mu małą nauczkę.

Pewnego więc razu gdy tamten przyjechał jak zwykle w godzinach poobiednich, ów opiekun zaprosił go do swojego pokoju, gdzie czekało kilku chłopów i ekonom z batogiem, i tam odbyła się egzekucya w całym bolącym znaczeniu tego wyrazu.

Nazajutrz skrzywdzony przysłał sekundantów.

Ale ojczym odmówił pojedynku, twierdząc, że ze szanbionym człowiekiem nie może mieć sprawy honorowej.

Tymczasem któż był sprawcą tej hańby?

Podobno odbył się sąd honorowy na którym postanowiono że pojedynek może mieć miejsce, i że ci panowie będą się strzelać o 10 kroków.

Możeby lepiej było żeby panowie obywatele postąpili sobie jak to już miało miejsce w dwóch podobnych

wypadkach na Wołyniu i w Królestwie. W obu tych wypadkach sąd honorowy zawyrokował, że taka obraza przeciwna wszelkim prawidłom honoru niemoże dotknąć tego który stał się jej ofiarą i postanowili wykluczyć ze swojego towarzystwa obrażających. Takie postąpienie całego obywatelstwa zaciera zupełnie krzywdę, a zarazem najsroższą jest karą dla tych, którzy zapominają o wszelkich obowiązkach jakie ludzie ucywilizowani winni są jedni drugim.

Wszystkie te opowiadania tyle mi zajęły miejsca, że niewiem jak już pomieszczyć taką wielkość jak panią Ristori na tym kawałku jaki mi pozostaje jeszcze.

Ale cóż bo i o niej pisać, gazety nasze tak się nad nią ciągle rozszerzały, że musicie być już zmęczeni tem ciąglem powtarzaniem jednego.

Dyrekcya zapłaciła jej za siedm przedstawień 35000 złp. —

Handlarze biletów porobili majątki; pod tym względem spekulacya odbywała się na wielką skalę.

Pani Ristori rozmaitszą jest od Racheli, silniej od niej wyraża namietność, ale niedorównywa artystce francuzkiej w uplastycznieniu postaci i prawdziwie starożytnych posagowych pozach, które były zawsze tryumfem tej ostatniej.

Z sześciu ról w których pani Ristori występowała w Warszawie, dwie role Maryi Stuart i Mirry najwięcej uczyniły wrażenia.

W tej ostatniej zwłaszcza, prawdziwego cudu dokazuje, bo ci którzy jej nie widzieli, nie zdołają pojąć, jakie ona życie wyprowadza z tej postaci, która będzie martwą dla każdego co nie widział wielkiej artystki.

Z Warszawy wyjechała do Pestu, zamtąd zdaje się do Włoch.

Na przyszły rok ma podobno wrócić, i znów kilka dni zabawić w przejeździe do Petersburga, gdzie jak słyszałem, jest zaangażowaną na 11 miesięcy a każdy miesiąc ma jej przynieść 20000 r. sr.!!

Pię z Tolomejów tłumaczą już na naszą scenę, i Maria Stuart ma być także podobno tu przedstawioną.

Godna pochwały odwaga artystki która występować będzie w tych dwóch rolach, przynajmniej ja to uważam za wielkie poświęcenie.

Byleby tylko nie chciała naśladować p. Ristori, bo byłaby śmieszna: żeby grać tak jak pani Ristori trzeba mieć chyba jej talent.

Innych nowin teatralnych mało, wkrótce dają „*Chatkę w Lesie*“ Syrokomli, także zapowiadają nam „*Skąpca*“ komedię oryginalną Drzewieckiego. Winiarski także coś napisał.

Gazeta Codzienna chciała się przemienić w tygodnik, nie udało się jej to; teraz podobno hr. Przeździecki się odsuwa, a redaktorowie dotychczasowi chcą sami dalej to pismo prowadzić. Dobrze to wszystko, ale z kąd wezmą to czego Montekukulli tak koniecznie żądał do prowadzenia wojny, a wydawanie pisma codziennego u nas jest prawdziwą wojną.

Szkoda by jednak była, żeby konsens miał zagać, daj Boże żeby to jakoś dało się jeszcze nadłatać — Mamy w tych czasach zapowiedzianych kilka koncertów. Molduano daje przedstawienia magiczne, dwie menażery ogłosiły swoje przybycie, roboty około oświecenia miasta gazem ciągle postępują, powietrze mroźne ale pogołdne, stan zdrowia w mieście zadawalniający i.... godzina 4ta po północy — więc trzeba iść spać.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wiadomo że w Warszawie zabrano się do ogłaszania lepszych poetycznych utworów w bardzo tanich przedrukach myśl dobra, ale dopóki da się zastosować do nieżyjących już pisarzy, gdyby zaś żyjących miało przedrukowywać, z groźbą dla autorów, że jeżeli na to nie-zezwolą, to i bez pytania przedruk się zrobi — w takim razie byłoby to naruszenie własności choćby upstrzone godłem: *pro publico bono*. Pogłoska krąży że w ten sposób odbywał się już któryś księgarz Warszawski; jeżeliby to prawda była, a nastąpiło panowanie piraterii drukarskiej, natenoczas nam służyłoby prawo odwetu, i przedrukowywanoby się wzajemnie, odnawiając gorszącą historję kontrafasonów belgijskich.

W ciągu tego miesiąca ukazała się nowa książka z drukarni Budwoisera: *Samuel Zborowski i Jadwiga żona Jagiełły*

Trajedye dwie po trzy akty każda. —

Są to utwory na tle historycznem osnute, a pisane wierszem białym, z chórami na podobieństwo greckiej trajedyi. Damy o nich obaczemy rozbiór.

W tej chwili prassy naszej zajmuje się drukiem kilku ważniejszych ksiąg, między innemi drugim tomem wydanej *Fisyologii* Dra Majera.

Wydawnictwo katolickie nieustaje w swojej czynności. Wspominaliśmy o Hymnach kościelnych X. Hołowińskiego mających wyjść niebawem; teraz możemy donieść iż drukują się już tegoż autora: *Kazania Niedzielne*, *Świąteczne* i *Przygodne* oraz *Allokucye*.

Niewiast Ewangelicznych X. Ventary w przekładzie X. Geliana wychodzi zeszyt 5ty pod tytułem: *Dziweczka wskrzeszona czyli śmierć sprawiedliwych*; z Nowym Rokiem mają

wyjść na widok publiczny oryginalne kazania X. Gollana.

Zapowiadany od dawna przekład Fabioli wyszedł już w Wydawnictwie Dziel Katolickich; tytuł książki następujący: *Fabiola powieść z czasów prześladowania Chrześcian w r. 302*, napisana w języku angielskim p. kardynała Wisemana, a tłumaczona przez C. M. — Tłumaczony tłumaczka ofiarowała korzyść z tej książki na zakład wychowania zaniedbanych chłopców w Krakowie. — Grube to i starannie wydane dzieło, przejdzie się tylko po 8 złp. — który to taniociś ten jest właściwie powód — że jak czytamy w przedmowie hr. A. P. ofiarował ponieść kosztu druku byle tak pożyteczne dzieło stało się przystępnem dla większej liczby. Dowiadujemy się również, że w innym polskim przekładzie powieść ta drukuje się już w Wiedniu. — Ten tu wygra czyje tłumaczenie będzie lepsze, i książka tańsza. —

Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego pr. W. Wielogłowskiego wyjdą w trzecim ilustrowanym wydaniu. — Widać że dziełko to trafiło do smaku publiczności, kiedy w kilku miesiącach doczekało się trzeciego wydania.

Lwów. Szajnochów obszerne dzieło *Jadwiga i Jagiełło* skończyło się z trzecim świeżo wydany tomem. Jestto owoc wieloletnich poszukiwań, szczegółów historycznych spojonych z wielką starannością w pewną całość potocznego opowiadania.

Drugi Tom *Słownika Lindesgo* także opuścił prasek, i jest nowym dowodem sumienną i gorliwej pracy wydawców.

— Julian Alex Kamiński pisarz i archiwista Zakł. Ossol. wydał: *Przebieg Materyatów*

do monografii i historii rodu Kamińskich i Kamińskich. —

W przedmowie do tego spisu wszystkich Kamińskich i Kamińskich powiada autor że zamysła wydawać *Pantheon narodowy*.

Wiedeń. Słynny w świecie naukowym Oryentalista Hammer Purgstall wydał świeżo *Historję Chanów Krymskich z tureckich źródeł* napisaną (*Geschichte der Chanen der Krim Wien 1856.*) Lubo to jest tylko dopełnienie obszerniej jego Historji Państwa Tureckiego, jednakowoż znajdując się ciekawe szczegóły o Tatarach których historycy nasi tak mało znają, chociaż stosunki między Krymem a Rzeczpospolitą trwały przez tyle wieków. — Między innemi piękną jest ustęp o Krimgeraju ostatnim z wielkich Chanów — jak wiadomo sprzyjają on Polaczom, najechał był rossyjskie prowincje i zniszczył je mieczem i ogniem, lecz po miesięcznej wypprawie wrócił do siebie, gdzie pomimo ostrzeżeń Aarona Totta został otruty przez greckiego lekarza Siropulo — a tak dzielny sprzymierzeniec konfederacyi usunięty został. W chwili kiedy czuł zbliżający się koniec, kazał przygrywać muzyce i tak skończył z konającymi dźwiękami instrumentu. Ten sam Krimgeraj wystawił tę sławną fontannę w Bakosyseraju którą podziwiali podróżni i poeci: Hammer jednak zbija podanie jakoby to było ku uczczeniu pamięci jakiejś Maryi Potockiej albowiem miejscowi o tem nic nie wiedzą i fontannę tę nazywają *Selcebil*: co znaczy Bajske źródło. —

— Professor Uniwersytetu Lwowskiego Dr. Ferdinand Bischoff wydrukował tam dzieło: *Oesterreichische Stadtrechte und*

Privilegien. Austriackie prawa miejskie i przywileje z dodatkami literackimi i uwagami. — Są to zebrane (dość niedostatecznie) przywileje znacniejszych miast Monarchii Austriackiej w co weszły także przywileje Krakowa, Krosna, Mościsk, Sanoka, Tarnowa, Tarnopola, a nawet Wilna. Co do naszych miast przywileje te są najwięcej czerpane z Dodatku przy Gascie Lwowskiej. — Niema tu żadnych uwag krytycznych, bo gdyby były zapewne niedowiedzielibyśmy się w jakim stosunku do całości zostają przywileje Piastowskie i Jagiellońskie.

Warszawa. Druga serja obrazów sztuki średniowiecznej, wydała dotąd 10 zeszytów. mieściących, jak zawsze pięknie wykonane rysunki zabytków wanych pod względem historycznym, i osobliwych, pod względem sztuki. Mieszczą się w nich następujące przedmioty. Infuła, i pierścionk pasterski S. Stanisława. — Kielich ś. Jadwigi, w skarbcu Katedry Krakowskiej. Tarcza ze swydetwem Lesaka Czarnego nad Jądrzejowcami, w zbrojewni Królewskiej w Dreźnie. — Zbroja Jana Sobieskiego w zbrojewni królewskiej w Dreźnie. — Czaszka Ryxy królowej Polskiej z grobowca w katedrze Kolońskiej. — Łyżka i trzonki od noża, od grabek, błogosławionej Kingi czyli Kunegundy księżnej Krakowskiej, w klasztorze Klarysek w Starym Sączu. — Kufel eskłanny i szasa Zygmunta Augusta. — Krzesło z XVI wieku, w Bractwie Miłosierdzia w Krakowie. — Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka widziany z przyczołka i z boku. — Grobowiec Piotra Bnina w Wrocławku. — Zygmun August król Polski. — Katarzyna Austriacka trzecia żona Zy-

gmunta Augusta. — Obrazek Matki Boskiej po królowej Maryi Ludwice. — Kiejasoty Polskie z XVI wieku. — Relikwiarz Łęczycki. — Łaska sądowa miasta Kurzelowa. — Chrzcielnica w kościele ś. Krzyża w Bodzentynie. Chrzcielnica w kościele ś. Jana w Toruniu. —

— *Opis Omentarsa Powązkowskiego* wydawany przez Wójcickiego ukazał się w IXtym zeszyście Hgo tomu, który zawiera żywoty: Szymona Bielackiego pijara — Kiejsa Pomorska — Ignacego Zaborskiego i Teodora Wagi (pijara) — Stefana i Kaspia Bomów — Karola Morwella. — A. I. Zubolewicz prof. Stanisława Lisowskiego — J. Grandyszyńskiego — F. Bentkowskiego — Adryana Krzyżanowskiego — F. Pancera — A. Gołonskiego — Ludwika z Skopczów Jędrzejewiczowej — L. A. Dmurszewskiego. — Dotychczas jest 6 ryso, jako to: Karta tytułowa do drugiego tomu — pomnik grobowy X. Dembka — Ambona na omentarsu — Grobowiec Adryana Krzyżanowskiego. Grobowiec Zygmunta Korzeniewskiego — Pomnik dla Malczewskiego autora Maryi. — W zbiorze tym natrafie można na wiele nowych szczegółów z życia ludzi znakomitszych i grających pewną rolę, ale też i takich niebrak żywotów które niedowiedział za co figurują w tym drukowanym Westminsterze.

— Listopadowy zeszyt Biblioteki Warszawskiej, mieści następujące artykuły: O Bolesławie Chrobrym nowe świadectwo współczesne przez J. Papłońskiego. Wiadomość o pismach Stanisława Kaczkowskiego przez E. S. — Przegląd literatury francuskiej. Pamiętniki przez Sabinę z G. G. (dokończenie). O telegrafii elektrycznej przez S. E... Kronika

zagraniczna. Romeo i Julia przekład z Szekspira przez J. Paszkowskiego. Ruskie piosenki ludowe: Trzy kukułki, Dwie sorze, przez T. Lenartowicza. Kronika literacka. Dziejopisowie krajowi III Jana Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego. Krótki pamiętnik rzeczy polskich, od Zygmunta Augusta zmarłego r. 1572 w miesiącu lipcu. do roku 1590. Przekłożył z łacińskiego i zyciorysem autora poprzedał Władysław Syrokomla przez Juliana Bartoszewicza. Przegląd muzyczny przez M. K. Przechadski po Wilnie i jego okolicach przez Jana ze Słiwina (Adama Kirkora). Rozmaitości: Najdawniejszy komentarz pod Warszawą przez Aleksandra Wejnerta. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od J. Ł.

— Karol Drzewiecki znany autor dramatów: *Kontrakt* i *Wiśniowiecki*, napisał komedję *Szkiepiec*. Ma to być oryginalnie polski a nie Molierowski charakter.

— Merzbach księgarz warszawski wydał swoim nakładem *Budowa nieba* czyli *Astronomia popularna* figurami objaśniona według A. Smitha a w przekładzie T. Dziekońskiego. Dziełko to starannie wydane, ułożone jest sposobem katechizmowym.

— Księgarz Nowolecki zajmuje się wydawaniem dzieł kilku nowych autorów; między innemi jego staraniem wyszła powieść Walerji Morakowskiej: *Nowy Gładyator*; teraz wydaje p. Scisłowskićj *Wspomnienia* z przejażdżki po kraju w 2 tomach. U niego wyjdą Leona Kunickiego: *Nad-Bolesne* powiastki i obrazki w 3 tomach.

— Panna Józefa Szmigielska zaczęła wydawać w Warszawie pismo *Zabawy przyjemne i pożyteczne* poświęcone dla młodego wieku, którego wyszło 3 zeszyty. Znajdują się tu artykuły samej

redaktorki panny Szmigielskiej, Julii Janiszewskiej, Maryi Ilakickiej, Pauliny Wilkońskiej, Deotymy, Bożenney i innych pseudo i anonimów. Niektóre kawałki są dość zajmująco napisane i zastosowane do potrzeb i pojęcia młodego wieku. Jednakże gdyby kto uważał na wstępny wiersz pod tytułem *Zorza*, mógłby się szczerze ockolwiek szumnie zaszczepić:

„Śpią w głębokiej nocy dawne pokolenia,

„Śpią — w czasów pomroce — lecz nie śpi ich duch,

„On czuwa i widzi mimo ciał uśpienia

„Następców swych dzieła i wiekowy ruch.“

Jakżeż inaczej umiał przemówić do dzieci stary nasz Krasicki w swoich bajkach!

— Znany rysownik Fajana wydał Kalendarz na rok 1857 złożony z dwóch chromolitografowanych tablic. Rysunek układu Gersona następujący: z jednej strony pod cieniem rozłożystej lipy, na której zawieszony obrazek Naj. Panny, zasiadli Mikołaj Rój, Jan Kochanowski i Urzszulka i Sobestyan Klonowicz. Po bokach stósowany rozwija się krajobraz: za Rejem knieja i jelenie, za Klonowiczem gród jakiś nad Wisłą po której tratwy z flisakami płyną, przy boku wierzy pies. Ornamencysta z narzędzi rolniczych, przyborów wojskowych, pieśniaczych i pisarek zakończą widok od dołu. Po drugiej stronie Kalendarza, w niszach gotyckiego porządku stoją: po lewej sędziwy Brudzewski, po prawej Kopernik, łączący te niższe arkada tańkość stylu. Na jednym jej boku na podstopiu pomnik Warszawski Kopernika, miniatury wchodzących kaskadów, na drugim próżna krokastyka, mająca wymo-

wnie świadczyć, żeby nie łatwo było, obok tego pomnika, postawić drugi, równie wielkiej dla narodu chlubny meża.

— Alojzy Misierowicz wydał nowy zeszyt *Przeglądu Augustowskiego* złożony z 6 widoków zdjętych z natury, jako to: Słuszę Augustowską — Klasztor pokamedulski w Wigrach — Alezotę nad Niemnem — pomnik Czarnieckiego w Tykocinie — Kolegium po pijarskie w Szczuocynie — Studzienię, miejsce pobożnych pielgrzymek. — Litografie te mają nieustępować w ničem sagrańszyszym. — Tenże rysownik przygotowuje nowe Album malownicze gub. Radomskiej. —

— W litografii p. Pocą ma wyjść Album *Łubelskie* podług rysunków zdolnego artysty pana Lorne Lublinianina. Składać się ono będzie z ośmiu zeszytów, każdy zaś zeszyt obejmie ceterę rycin wraz z ówiarłką tekstu wiadomości historycznych. Sam Lublin dostarczyć ma dwadzieścia widoków kościołów, gmachów i ruin. Z okolic będą widoki Kasimierza, Krasnegostawu, Krypcy, Radecznic, Puław, Rozanki itd.

Wilno. Syrokomli poemat: *Stere Wrota* które opiewają przysgodę z życia Xiędza Skargi już krążą w publiczności i podobają się znawcom więcej niż inne jego gawędy. — Kraszewski dał rysunek starych wrot, które rytowane na drzewie ozdabiają tę książeczkę.

— Glücksberg ogłasza dwa nowe dzieła Marsinkowskiego, piszącego dawniej pod pseudonimem Gryfa, a teraz Nowosielskiego. Pierwsze jest: *Lud Ukraiński*, drugie: *Pisma krytyczno-filozoficzne*. Lud ukraiński mieścić będzie w dwóch tomach następujące przedmioty:

Misteryjozofia Słowiańska — Bajki ukraińskie — Bajki słowiańskie u Herodota i Lucjana — Zagadki, Zamawiania, przyśłowia, zabobony, sekreta lekarzkie i t. d.

— X. Lipiński napisał: *Życie Ś. Jadwigi* uważane z pięciu stanowisk Chrześcijańskiej niewiasty jako i dziełwicy, żony, matki, pani domu i wdowy. Namby się zdawało że lepiejby z jednego stanowiska napisać, a mającego dobre źródło, to jest: autentycznym legendy drukowane u Stenela, a tohnące prostotą ewangeliczną owych wieków. lub z żywota Jadwigi napisanego pr. kanonika Gerlicha. — Tenże X. Lipiński przedrukował *Meisteczność do nabożeństwa świętej Jadwigi*.

— Włodzimierz Badzyński wydał w dwóch tomach: *Niemcy i Szwajcaryę*. Adam Pflug zbiór wierszy: *Ktoś z rodzimój niwy*.

Poznań. Znany pisarz w agromicznym przedmiotach Włodzimierz Wolniewicz wydał piśemko *O gospodarstwie majątkowem* czyli o stosunkach majątkowych W. X. Poznańskiego. Główną przyczyną upadku majątków szlacheckich i przejścia ich w obce ręce przypisuje życiu nad skalę i brakowi moralnej spójni czyli solidarności w obywatelstwie

— Księgarni Mersbach ogłosił piśmo zeszytowe: *Szkielet*. które ma upowszechnić postępowanie naukowe. Będą to pojedyncze rozprawki o świętych wynalazkach i odkryciach. — Pierwszy zeszyt już wyszedł i zawiera rzecz: *O wynalazku balonów* z 23 drzeworytami.

— Zapański wydał broszurę: *Wyciąg z Geografii Polakiej p. Teodora Węgr* w r. 1767 skróconej i ogłoszonej. — U niego także wyszedł w powtórnym po-

prawném wydaniu: *List Żelazny* traj. Małeckiego. —

Petersburg. Niestrudzony wydawca dzieł literatury naszej B. M. Wolff, świeżo puścił w świat nową edycję *Wiesława* Brodzińskiego w wielkiej ósemce, przepysznie drukowaną i ozdobną drzeworytami wykonanymi po-

dług rysunków L. Starzyńskiego. M. Fredry i J. Kossaka. Oprócz karty tytułowej, dwadzieścia siedem drzeworytów ozdabia tekst. Poemat ten, ma być pierwszym z rzędu licznych ilustrowanych edycji naszych poetów, które B. M. Wolff przygotował.



Грудзѣи — 1856.



MACAULAY

1

REWOLUCYA 1688.

*The history of England by Thomas Babington
Macaulay Vol. 8.*

Poezya, sztuki piękne i wymowa zaszczycają się arcydzielami z których ani nie ująć ani do których nie dodać nie można. W Iliadzie Homera, w mowach Demostenesa każdy prawie wyraz jest tak stosownie użyty i tak zrosły z całością, iż trudno go zmienić bez osłabienia ogólnej harmonii i piękności. — W naukach ścisłych genialne pomysły zapewniają niezmienną wartość dziełom, dla tego prace Kepplera i Newtona ludzie specyjalni zawsze z ciekawością czytać będą. Do tego czasu jedyna historia pomimo wielu znakomitych pisarzy, nie może się pochlubić takimi utworami, o którychby powiedzieć można iż są zupełnie doskonałe. — Ztąd wnosić można o ile powołanie historyka jest trudne; o ile wymaga znajomości i wszechstronności które prawie przechodzą siły ludzkie. —

Gdyby dobroć historyi zależała od żywego i prawdziwego opowiadania wypadków, od jasnego wykładu urządzeń administracyjnych; systemu finansowego i od charakterystyki dosyć trafnej znakomitych osób, wówczas wiele dzieł zaliczyć moglibyśmy do najlepszych. Historyk nie tylko powinien być artystą, filozofem i moralistą, lecz musi posiadać te wszystkie przymioty w takiej równowadze, aby żaden z nich nie brał góry nad innymi. Jeżeli imaginacja przeważy za nadto u niego, to zamiast historyi pisać będzie nowelle lub romanse, a jeżeli rozum, to szukając w faktach praw i teorii, użyje wypadki za komentarz swych opinij.

Szczęśliwe nawet połączenie w jednej osobie tych wszystkich zalet jakimi się po szczególe odznaczali znakomici historycy starożytności, nie posłużyłoby jeszcze do utworzenia arcydzieła historycznego. — Gdyby historyk opowiadał wypadki z naiwnością i żywością Herodota, gdyby posiadał znajomość perspektywy na podobieństwo Tucydidesa, i te tylko przedstawiał szczegóły które są niezbędne do wyjaśnienia całości, gdyby narazie malował portrety na podobieństwo Tacyty, niewywiązałby się jeszcze z swego powołania. Dzieło jego zostałoby bezwątpienia pomnikiem nieśmiertelnym i najdoskonalszym utworem jaki dotąd posiadamy.

Wypadki opisywane z taką prostotą jak gdyby sam historyk brał w nich udział, a z lekką żywością jakby je opowiadał ustnie ciekawej i sympatycznej publiczności dodałyby jego dziełu wiele powabu i dramatyczności. Gdyby umiał kreślić charaktery, tworzyłby portrety zgodne zajmować miejsce obok Klaudiusza, Nerona, i Tyberjusza, namalowanych niezrównanym pędzlem Tacyty. Nie ulega wątpliwości iż przez to galerya historyczna bardzoby zubożoną została, publiczność mając w żywej pamięci fizyonomie osób sławnych z cnoty lub ze

zbrodni, zyskałaby typy pewne do którychby w swych sądach odnosić się mogła.

Lecz niedosyć aby historyk bawił i nauczał, musi on jeszcze wyrokować. Sąd ten powinien być sprawiedliwy i pobłażający. Jakkolwiek historyk zawsze winien potępić złe, jednakże posiadać musi spólcucie dla słabości ludzkich. Nie dosyć że nam przedstawi straszny obraz zbrodni, potrzeba jeszcze aby nam dał poznać namiętności i usposobienia zbrodniarza, wykazał pobudki kierujące jego czynami, i w duszy jego szukał powodów jeżeli nie do złagodzenia kary, to przynajmniej do wytłomaczenia niektórych jego win.

W każdym człowieku i w każdym czynie ludzkim znajduje się mieszanina dobrego ze złem. Skoro historyk nieposiada delikatnego instynktu do zrozumienia natury ludzkiej i nie umie patrzeć na dzieje z właściwego punktu, bardzo łatwo zrobić może z Lauda świętego a z Henryka IVgo tyrana. Lecz zdaje się iż ten rodzaj sprawiedliwości która będąc surową potrafi być jeszcze pobłażającą przystoi tylko Bogu samemu. Ludzie albo potępiają bezwzględnie lub przebaczą do tego stopnia iż usprawiedliwiają wszelką zbrodnię. Prawdliwa bezstronność jest niepodobna w życiu ludzkim i historii. Bóg który czyta doskonale w duszach i czynach naszych jedynie o nas sprawiedliwie sądzić może. Sąd ostateczny położy koniec powołaniu pojedynczych ludzi i całej ludzkości, dla tego Bogu tylko samemu wiadomy jest cel istotny historii, ztąd też nikt nie może być zupełnym i doskonałym historykiem. Historyk więc pozostanie zawsze czemś niecałkowitem, krótkim fragmentem w ogólnych dziejach świata.

Historii Macaulaya nie możemy sądzić według ideału, który nie zostanie osiągnięty lecz musimy ją uważać względnie do dzieł istniejących. Nie ulega wątpli-

wości iż należy on do najznakomitszych historyków czasu naszego.

Gibbon przypisywał dobroć swój historyi temu iż był oficerem w milicyi i członkiem Izby niższej. Macaulay nie tylko był członkiem parlamentu lecz należał do najznakomitszych jego mowców. Jako esseista traktował ogólnie w pojedynczych artykułach niektóre z tych pytań które dzisiaj po szczególe opowiada w swój historyi. Jako poeta i literat zajmował się literaturą i posiada uczucie artystyczne rozwinięte do wysokiego stopnia. Jako człowiek polityczny rozumie doskonale ducha i taktykę partyi, a jako znakomity kolorysta maluje z wielkim talentem najdelikatniejsze ich odcienia.

Podobnie jak swobody Anglii są czysto angielskie, tak również jej historycy mają właściwy sobie charakter. Instytucye angielskie nie mają żadnego podobieństwa z greckimi i rzymskimi. Dla Anglika więcęj ma znaczenia Wielka Karta, aniżeli prawa Solona lub Justyniana. Westminster Hall i Westminster Abbey więcęj robią na niego wrażenia aniżeli Kapitol i Forum, bo tamte przypominają mu imiona znakomitych przodków którzy zasłużyli się ojczyźnie. W skutek głębokiego uczucia narodowego szuka on wzorów w własnej historyi i przeszłość stawia sobie za normę działania. Z powodu tego historycy są albo wyłącznemi obrońcami istniejącego porządku rzeczy lub postępu, a ponieważ rewolucya z r. 1688 stanowi kamień węgielny konstytucyjnych swobód, przeto jedni występują w jej obronie a drudzy ją krytykują. Historya przybiera barwy polityczne i pisana bywa albo w duchu torysów lub wigów, a historycy są adwokatami stronnictw do jakich należą.

Do tego czasu najznakomitszym historykiem był Hume który nienawidząc Anglię najlepszą napisał historyą angielską. Przywykły prawie od dzieciństwa do dyskusyi i powątpiewania, podciągnął pod rozbiór krytyczny

dogmata religijne i polityczne Anglii. Ow *a friend to doubts, disputes and novelties* jako sam o sobie mówi, bez dokumentów i źródeł, z uśmiechem na ustach i czytając Liwiusza pisał historię Anglii przeciwko Anglii która zacierając ręce powtarzał nie będzie się podobała nietylko wigom, ale nawet torysom i chrześcianom.

Czyliż mówi on, istniejący porządek rzeczy nie opiera się na anglikanizmie a tenże na dogmacie? Zniszczmy ów dogmat a wówczas biedni wigowie drzeć będą a my śmiać się będziemy do rozpuku! Dopiąwszy swego celu, z naiwnością wypowiada zadowolenie swoje w następujących słowach: „spodziewam się iż doskonale zamistyfikowałem tych Anglików, którzy niemają żadnego dobrego pisarza, gdyż takim nie jest ani Bakon którego czytam czasem dla jego idei, ani barbarzyński i nieokrzesany Shakspeare z którego chcą zrobić boga.“

Pisarz ten znakomity zamistyfikował nietylko Anglią ale całą Europę. Chcąc obalić anglikanizm zachwiał wszystkie podstawy pewności i dał początek nowożytnemu sceptycyzmowi. Żywością i wdziękiem stylu potrafił zmniejszyć do tego stopnia zasługi Wilhelma IIIgo i sfalszował jego zalety, iż dopiero w nowszych czasach zaczęto go bezstronnie uważać. Ten adwokat zimny lecz zarazem bardzo zręczny zawdzięcza swą popularność talentowi retorycznemu i delikatnemu taktowi który miarkowała jego nienawiść a raczej indyferentyzm.

Każda niemal sekta polityczna ma swoją ezoteryczną i exoteryczną szkołę, abstrakcyjne zasady dla inicjowanych a widzialne symbole, pompatyczne formy i mitologiczne powieści dla motłochu. Lecz Hume opowiadając w swych listach przyczyny jakie spowodowały go do pisania historii angielskiej, nie odkrywa tajemnych pobudek politycznych gdyż nie był ani torysem ani wigiem, lecz jako Szkot nienawidził Anglią i mścił się na niej za to, że pozbawiła kraj jego niepodległości.

Po Humie najznakomitsze bezwątpienia zajmuje miejsce Lingard. Lecz pomimo sumiennosci i nauki, historya jego z powodu suchego i jednostajnego opowiadania nie została popularną.

Hallam obrał sobie za główny przedmiot historyą konstytucyi angielskiej; z talentem prawnika rozbiera wszystkie jęj wątpliwe pytania, z skrupulatnością sędzięgo porównywa dokumenta i na szali sprawiedliwości waży opinie i postanowienia parlamentu. Mackintosh nie posiadał żywój wyobraźni potrzebnej do malowania osób i zwyczajów. Umysł jego filozoficzny i subtelny, skłonniejszy był do szukania ogólnych zasad i praw, aniżeli do plastycznego przedstawienia wypadków. Z resztą śmierć przerwała jego życie i zaledwo napisał kilkadziesiąt kart historyi panowania Wilhelma IIIgo. Do czasów przeto Macaulaya rewolucya 1688 czekała na dziejopisarza, któryby obronił ją z zarzutów zadanych przez Huma, wykazał jęj ważność, i wystawił w prawdziwym świetle jęj czyny.

Macaulay należy do odcienia wigów bardzo nawet radykalnego. Rewolucya 1688 była dziełem wigów, dla tego pisząc jęj historyę, pisze ją z miłością a czasami ze stronnością człowieka partyi który uważa na najmniejsze wady swych przeciwników a zapomina o największych u tych którzy dzielają jego opinie. Jakkolwiek nie wyznaje fanatyzmu członków sądu skazujących pod prezydencyą Bradshawa Karola Igo na śmierć, jakkolwiek niepowtarza za Miltonem argumentów z pisma świętego, jednakże potępia śmierć tego nieszczęśliwego monarchy dla tego tylko że zaszkodziła sprawie wolności, a nie zaś dla tego aby była niesłuszną. Korzysta z każdej okoliczności która mu podaje sposobność do obrony wyroku na Karola Igo. Rozbierając dzieła Miltona pobieżnie zastanawia się nad jego poezjami a obszernie i z subtelnością zręcznego adwokata

broni jego stanowiska politycznego. Toż samo robi mówiąc o historii konstytucyi angielskiej Hallama.

„Podobnie jak ziemia posiada góry i doliny tak również społeczeństwa — utrzymuje Macaulay — mają wielkich i małych ludzi. Lecz nierówności umysłowe podobne są do nierówności na powierzchni globu naszego które zostają w tak małym stosunku do ogólnej masy iż w porównaniu do jej wielkich rewolucyj, zupełnie pomienione być mogą. Podobnie jak słońce które chociaż zejdzie z horyzontu oświeca jeszcze pagórki, tak również wyższe umysły odkrywają prawdę cokolwiek wcześniej od innych ludzi. Dalej nierozciąga się ich wyzność. Oni pierwsi przyjmują światło i odbijają jego promienie lecz bez ich pomocy byłoby ono także widzianem cokolwiek później przez masy stojące za niemi. Ci którzy czytali z uwagą historję bardzo dobrze rozumieją fałsz panegyryków i przypuszczeń uznających pojedyncze indywidua za twórców wielkich moralnych i umysłowych rewolucyj, za niszczytel form politycznych socyalnych, i za tych którzy dzielnością swego ducha nadają nowy charakter wiekowi swojemu. Różnica pomiędzy jednym człowiekiem a drugim nie jest tak wielka jak to zwykle myślą przesądne masy“. Z tych słów pokazuje się iż Macaulay nie jest entuzystą wielkich imion. Nie podziela jednostronnych teoryj Tomasza Carleya i Emersona o czei bohaterów, lecz także nie uważa na podobieństwo Proudhona społeczeństwa za osobę moralną mającą życie i organa osobne, ani nie przyjmuje na podobieństwo Micheleta ducha ogólnego, który jakimś magicznym sposobem prawie bez udziału społeczeństw i ludzi wywołuje wypadki. Praktyczny jego umysł we wszystkiem miarę utrzymać umie. Nim wyda zdanie o wpływie i zasłudze pojedynczych ludzi, stara się wprzód poznać dążności czasu, usposobienie narodu i opinii pu-

bliższej aby lepiej zrozumieć o ile oni od nich byli zawiśli, a o ile takowym przywodzili.

Ten tylko jest doskonałym historykiem mówi Macaulay, w którego dziele duch i charakter wieku przedstawia się jak w miniaturze. Który bez dowodów autentycznych nie podaje żadnego faktu i nie używa żadnego wyrażenia na jego odmalowanie. Który przez rozsądny wybór, układ i obrobienie nadaje prawdzie powab taki jaki zwykle towarzyszy fikcyom. Który w opowiadaniu swem zachowuje właściwy porządek pomiędzy czynami mniejszej i większej wagi. Który skalę według jakiej je mierzy podwyższa lub zniża nie w stosunku do godności osób biorących w nich udział, lecz w stosunku do stopnia w jakim one tłómaczą stan społeczeństwa i naturę człowieka. Który oprowadza nas nietylko po dworach królewskich, obozach i senatach lecz daje nam poznać cały naród. Który nie spuszcza z uwagi najmniejszej anegdoty najmniejszego szczegółu obyczajowego i najdrobniejszego dowcipu skoro takowe wyjaśniają wpływ prawa religii i wychowania lub charakteryzują postęp rozumu ludzkiego. Gdyż niedosyć aby osoby zewnątrznie były opisane, potrzeba jeszcze abyśmy je mogli gruntownie poznać. Zmiany obyczajów powinny być przedstawiane w obrazach żywych malujących dobitnie ich naturę i znaczenie a nie zaś w ogólnych frazesach lub powierzchownych wyjątkach z dokumentów statystycznych!

Dzieło Macaulaya sądzić możemy według jego własnej teorii. On sam stawia normę według jakiej zapamiętać się powinniśmy na jego historię. Czyliż urzędywista ideal przez siebie opisany? czyliż dzieło jego podoła wytrzymać krytykę podjętą w imię jego własnych zasad? Nie tylko że wytrzyma krytykę, lecz prawie na każdej karcie znaleźć można dowody stwierdzające o ile w umyśle autora żywym był obraz doskona-

łego historyka — i o ile dokładał usilnych starań aby zasłużyć na podobne nazwisko.

Wierny swęj teoryi nie poprzestaje na ogólnem scharakteryzowaniu Jakóba IIgo i Wilhelma IIIgo na opisanu stanu partyj i opinii publicznej, lecz przedstawia nam żywy obraz społeczeństwa w drugiej połowie XVII wieku. Zapoznaje nas z ideami uczuciami i obyczajami ówczesnemi, wskazuje nam zwiększające się miasta, wzrastający handel i przemysł, mamy w ogóle przed sobą żyjący naród i przypatrujemy się jego czynnościom i rozwojowi.

Macaulay jako człowiek praktyczny zapatruje się na dzieje ze stanowiska czysto politycznego. Lecz czyliż teorya jego o historyi nie może doprowadzić do wypadków sprzecznych z moralnością? Czyliż on sam nie dał tego dowodów skoro zasady Machiawella broni jedynie dla tego iż znalazł ich wytłómaczenie w czasie w jakim on żył? Jakkolwiek opinie te są niedostateczne, to przecież w Anglii, gdzie życie publiczne i narodowe głęboko jest rozwinięte niemogą doprowadzić do następstw zgubnych. W tych tylko krajach powstać mogą Guiccardini które straciły byt polityczny a nie tam gdzie duch publiczny i narodowy jest potężny gdzie patriotyzm nie dopuszcza owego skeptycyzmu, co tłómaczy wszystkie zmiany polityczne i poddaje się każdemu porządkowi rzeczy.

Przedmiot jaki Macaulay obrał za cel swęj pracy jest nie tylko popularny, lecz stanowi epokę w dziejach angielskich. Każdy niemal anglik mówi o rewolucyi z 1688 z uszanowaniem. Wielki Chatam i Pitt, Fox i Burke, Wilberforce i Junius, Romilly i Mackintosh nazywali ją *slawną* i podobnie sądzi o niej naród cały. Jest ona tak popularną jak rewolucya 1789 we Francyi, lecz w tem tylko jest ich podobieństwo. W pierwszej prawa całego narodu zwyciężyły, a w drugiej jedne klasy.

Dla tego historyk opowiadający dzieje rewolucyi 1688, opisuje czyny wszystkich stanów, i wykląda ustawy strzegące ich swobód, historycy zaś francuzcy wystawiając ciągle za ideał cywilizacyi przyjście do władzy stanu średniego, bronią nie tylko gwałtu i nadużyć, lecz pomimowoli są apostołami wojny domowej. W Anglii historia służy za pośredniczkę łączącą wszystkie klasy. Bo czyliż każdy Anglik czytający Macaulaya nieznajduje dowodów wymownie świadczących o tem: iż ustalenie konstytucyi było skutkiem ogólnych usiłowań narodu? Czyliż nie musi miłować praw pod opieką których żyje skoro się przekona o postępie jaki pod ich błogim wpływem kraj uczynił pod względem materialnym i moralnym. Zresztą każdy bezstronny człowiek czytając to ciekawe dzieło odniesie wielką pociechę, pociechę zwłaszcza potrzebną w czasach zwątpienia i apatyi. Trudno w historii nowszych narodów znaleźć drugą epokę przedstawiającą o tyle co tamte zepsucia i nikczemności. Sądząc z powierzchownych oznak zdaje się iż naród angielski upada. Wszystko zapowiada bliiski jego zgon. Klasy wyższe różwiozłe, ministrowie nikczemni, członkowie parlamentu przekupni i monarchowie zaprzędani Francyi. Uczucie honoru i godności zastępuje hańba i bezwstyd. W życiu prywatnem i publicznem chciwość i zła wiara panuje bez granic. Pomimo jednak tego smutnego stanu Anglia ciągle wznosi się w potęgę i bogactwo. Instytucye jój ustalają się a duch publiczny coraz więcej nabiera dzielności i praktyczności. Czyliż z tego przykładu nie można wyciągnąć téj zbawiennéj przestrogi, iż nie należy pochopnie i lekkomyślnie sądzić o społeczeństwach i rozpaczać o ich przyszłości li z powodów powierzchownych?

Macaulay zapatruje się spokojnie na wypadki. Przedzielony od czasów rewolucyi przeszło przez półtora wieku wolny jest od przesądów i nienawiści jakimi

się zwykle stronnictwa kierują. Nie jest on alarmistą, z natury i arystokratą ciasnego rozumu na podobieństwo Xenofonta który fanatycznie nienawidził lud, i przekładał zbrodniczy porządek nad jego rozruchy. Dla tego pisze historię z umysłem zdrowym i trzeźwym. Nie podziela opinii radykalnych lecz owszem potępia takowe bezwzględnie, tak u ludzi rewolucyjnych jako i wstecznych.

W dziele jego nie ma pompacyjnych dytyrambów i czezych wykrzykników jakich zwykle pisarze partyi używają. Opowiada wypadki żywo i z różnaitością umysłu artystycznego, który spostrzega najdelikatniejsze różnice i takowe właściwie maluje. Podobnie jak znakomity mowca w parlamencie stosuje się do usposobień swych słuchaczów i stara ich [się ująć wszelkimi sposobami, tak równie Macaulay z wielkim talentem używa wszystkich swych zasobów umysłowych aby na czytelnika wywrzeć skuteczny wpływ i zaostrzyć jego ciekawość. Łączy zdolności wielkiego mowcy z talentami pisarza i artysty. Jakkolwiek stylowi zbywa niekiedy na powadze i jędrności, jednakże łatwość i potoczystość opowiadania, sąd trafny i charakterystyki osób namalowane pędzlem delikatnym i żywym, stawiają dzieło jego w rzędzie najlepszych historyj.

Anglia jest ziemią klasyczną, zdrowego rozsądku. W skutek téj skromnej władzy Burke w ocenianiu wypadków dochodził niekiedy do przenikliwości proroczej, a w nowszych czasach Greg kategorycznie przepowiedział następstwa ostatnich rewolucyj. W tym względzie jak i w wielu innych Macaulay jest wierny usposobie-
niom swego narodu. Nie sądzi ludzi jako bohaterów lub świętych, lecz przykładu do nich normę zdjętą z zwyczajnych stosunków życia. „Władza mówi on nie należy do hypokrytów ani do surowych moralistów, lecz do ludzi którzy z zapalem dążą do wielkiego celu, a

przytem niesumienni są w wyborze środków.⁴ Bezwątpienia zasada ta niewydostarcza do sprawiedliwego ocenienia ludzi publicznych i często krzyżować się musi z przepisami moralności. Lecz w kraju w którym życie polityczne wysoko jest rozwinięte, miłość władzy stanowi najmniejszą wadę. Znakomici ludzie urodzeniem, majątkiem i nauką chętnie występują w szranki polityczne a wejście do ministeryum uważają za ideał swych usiłowań i dążeń. Pod wpływem tego usposobienia Macaulay kreśli portrety, którym jakkolwiek zbywa na piękności moralnej, przedstawiają jednakże realne figury. Czytamy w nich pobudki i żądze, mamy przed sobą żywe osoby i dotykamy się ich wad i zalet.

Patrząc na wypadki z bliska historia wydaje się melodramą lub komedią, a uważana z odleglejszego punktu przybiera formy i charakter tragedyi. Sądząc z bliska wnosiliby można iż ludzie kierują się li namiętnościami i widokami egoistycznymi, a dzieje są tylko igrzyskiem swawoli i przypadkowości, lecz sądząc zdaleka ludzie wydają się jako narzędzia fatalnych idei a historia jako system praw koniecznych, które kierują bezwzględnie narodami i wypadkami. Zkądże ta zmiana? czyliż to pochodzi li z odleglejszej perspektywy historycznej a przez to zwiększającą nasze złudzenia optyczne?

Teraźniejszość przedstawia się nam w drobnych szczegółach, nie przewidujemy skutków dążeń czasowych, nie umiemy naznaczyć wypadkom przyczyn prawdziwych, sąd nasz jest gorączkowy i jednostronny, dla tego patrzymy na świat nas otaczający namiętnie lub przesadnie i wyrokujemy o nim według naszych chwilowych usposobień. Znakomici nawet ludzie mylnie sądzą o czasie w którym żyją. Wielki umysł Bossueta niepotrafił ocenić doniosłości wypadków jakie działy się w Anglii. Dzisiaj niemożna powtórzyć za nim zdania wyrzeczonego o narodzie angielskim w słowach nastę-

pających: „Duńczycy i Saxonowie poparli w nim krew dobrą, zostawioną przez ojców naszych.“

Jeżeli na wypadki w Anglii podczas XVIIgo stulecia zapatrywać się będziemy po szczególe, bezwzględnie na ich związek, i znaczenie historyczne, to wydadzą się nam takowe bardzo drobne. Z namiętności i przesądów ówczesnie panujących łatwo wywnioskować można, iż ludziom chodziło li o widoki osobiste i że w narodzie obumarały uczucia patryotyczne. Najważniejsza epoka w dziejach angielskich i najpłodniejsza w błogie skutki przedstawi się nam w formie odratającej i komicznej. Albowiem, cóż można sądzić o narodzie w którym zbrodniarz taki jak Titus Oates wymyśla spisek do tego stopnia potworny i niedorzeczny, iż jak mówi Fox, gdyby nawet pochodził z ust samego Katona, trudno byłoby uwierzyć w jego rzeczywistość, pomimo tego zyskuje powszechne uznanie a ofiary oskarżone przez niego giną na szafocie przy oklaskach fanatycznego i przesądnego ludu? w którym ludzie frymarzący opiniami politycznemi i religijnemi, przychodzą do władzy i znaczenia w kraju?

Lecz jeżeli na tę epokę patrzeć będziemy okiem historycznem Macaulaya, naówczas wyda się nam bardzo poważną i dramatyczną. Nie jest to bezwątpienia dramat grecki, w którym bohaterowie posągowi uroczyście kroczą naprzeciw fatalności, lecz dramat szekspirowski, w którym występują obok ludzi z wielkimi namiętnościami, błazny, a obok cnotliwych zbrodniarze. Ten co lubi badać naturę ludzką w jej sile i zboczeniach w dziele Macaulaya znajdzie bardzo wiele ciekawych przykładów. Obok szlachetnych i wielkich charakterów zapozna się z potworami i buffonami, jakich zwykle rewołucye i reakcye wydają.

„Nigdy nie dochodzi się tak daleko, mówi Cromwell, jak wówczas kiedy się nie wie dokąd się idzie“. — Słowa te przyjąć można za zasadę rządzącą w czasach re-

wolucyj i kontrrewolucyj. Są to chwile bardzo smutne, gdyż w nich znika głos sumienia i ludzkości, a panuje ślepa namiętność dochodząca aż do dzikości zwierzęcej. Rozum i umiarkowanie ustępują przed szalonym gwałtem, który dopóty niszczy dopóki się sam niezużyje.

Rewolucye i reakcye należą do zboczeń chwilowych jakie narody w szale swych uniesień i nienawiści popielniają. Są ściśle z sobą spowinowacone, zasilają się i utrzymują na wzajem. Prawa ich polarność są jedne i też same. — Im gwałtowniejsza rewolucya tem zjadliwsza reakcya, siły ich działania zostają w stosunku prostym do siebie. U zenitu swej potęgi rewolucya przemienia się w reakcya a reakcya zaś w rewolucya. Wszystko co przechodzi granice zwyczajnej naszej wiedzy zadziwia nas lub trwoży. Przyjmujemy z bojaźnią wiadomość o nowej komecie, gdyż lękamy się aby nie zachwiała porządku niebieskiego, i nie zniszczyła naszej planety. Wdzięczni jesteśmy ludziom, którzy na podobieństwo Laplace'a tłumaczą nam perturbacje niebieskie i wykazują, że nie grozi nam z ich strony żadne niebezpieczeństwo. — Bezwątpienia również wdzięczni byłibyśmy tym, którzyby odkryli naturę i prawa naszych własnych zboczeń, i opisali powody, bieg i istotę rewolucyj. — Lecz do tego czasu świat historyczny nie znalazł swego Newtona, a tem samem zbywać musi na Laplace'ach zdolnych wyjaśnić koleje i cel wszystkich perturbacyj historycznych. — Jednakże ktokolwiek chce zapoznać się wszechstronnie z wpływem jaki na siebie rewolucya i reakcya nawzajem wywierają, znajdzie w dziele Macaulaya bardzo rozliczne i ciekawe przykłady.

Obok rozmaitych zalet jakimi się dzieło Macaulaya odznacza, ma jeszcze dla czytelnika ten wielki powab, iż napotyka na wypadki i teorye podobne do tych jakie miały miejsce w nowszych czasach. Wszystkie pytania

poruszające i dwojące obecne społeczeństwa, zajmowały także Anglię podczas XVIIgo wieku. Również zastanawiano się nadtem, co jest władza, jaki jój początek i atrybucye? czem jest własność jakie jój prawa i komu ona się przynależy? Dążności były podobne, a różnica leży tylko w formie i w powagach na jakie się powoływano. W tamtych czasach teorye Filmora i Hobbesa, Lockego i Sydneya odgrywały rolę podobną do tej jaką zajmowały później opinie Roussa i De Maistra na stałym lądzie. W miejsce kommunistów występowali wyznawcy piątej monarchii, którzy oczekiwali na przyjście Chrystusa i powszechne braterstwo. Zamiast przyznawać na podobieństwo Saint-Simonistów prawo własności zdolnościom, przyznawano je cnocie i moralności. Zamiast wzorować się na sztucznych ideałach Plutarcha szukano w starym testamencie typów do naśladowania. Pod wpływem téj jednostronnej dążności rewolucya francuzka wydała karykatury bohaterów greckich i rzymskich a rewolucya angielska karykatury kapłanów, patryarchów i proroków hebrajskich. Za czasów restauracyi wielkie damy, dandyści i ludzie porządku wyznawali opinie Hobbesa i przyklaskiwali sztukom Wycherleya i Congrewa. W świecie jaki one przedstawiają kobiety są mężczyznami rozwiozłemi, bezwstydnemi, i okrutnemi, a mężczyźni zasługują na to aby byli skazani do Botany-Bay. Pisarze dramatyczni wystawiali cudzołozstwo nie jako błąd lub zapomnienie chwilowe lecz jako ideał zycia, powołanie i wdzięk człowieka wielkiego świata (the calling of a fine gentleman). Śmieszność i wzgarda okrywały ucziwych mężów a powab i zaśluga bohaterów i bohaterki intryg i zepsucia.

Dzieło Macaulaya dostarcza wiele przykładów i dążności które porównać można z usposobieniami nowszych czasów. Z wielką przenikliwością maluje przyczyny i skutki różnych aberracyj religijnych i politycznych, dla

tego rozwija w czytelniku zmysł obserwacyjny a przeto uzdolnia go do lepszego osądzenia wypadków, których się osobiście dotyka.

Ci którzy przypisują początki rewolucyj wielkiemu 4to lub małemu 8vo czytając historię Macaulaya przekonają się o ile podrzędny wpływ wywierają teorye polityczne na wypadki i namiętności ludzkie. Widząc poważne interesa występujące w Anglii do walki, rozumiem, że nie zasady oderwane i logicznie rozprawdzone rządzą światem.

Pod względem moralnym wiek XVII w Anglii ciekawszym jest od wieku XVIII we Francyi. Idee religijne głęboko poruszając narodem angielskim, nadały wypadkom trwalszą i wszechstronniejszą podstawę. Dla tego w walce pomiędzy tronem a parlamentem chodziło nie tylko o zmianę formy rządu, ale zarazem o ustalenie dogmatu religijnego i o system organizacji kościelnej.

We Francyi teorye polityczne, jakkolwiek wzburzyły namiętności i spowodowały gwałtowne wypadki, to przecież tak silnie i wszechstronnie nieporuszyły umysłami jak reformacya i rewolucya w Anglii. Polityka wywołuje chwilowy zapal i poświęcenie, religia zaś wnika w całe nasze jestestwo, i przekształca go moralnie. Dla tego racchy religijne zawsze są poważniejsze od politycznych i większe zostawiają po sobie ślady w życiu narodów.

W Anglii rewolucya i reakcyja miały charakter religijny — i pociągnęły za sobą skutki moralne daleko większe, aniżeli te jakie miały miejsce we Francyi. — Jakobini niepozostawili po sobie śladów w życiu praktycznem. Prócz ich teoryj politycznych, i strachu przed ich władzą nic innego po nich nie pozostało. Tymczasem wpływ purytanów do tego czasu istnieje w Anglii, i znaczne zaprowadził zmiany w wyobrażeniach i obyczajach.

Ludzie jakich wypadki XVII wieku wywołały na sce-

nią publiczną w Anglii, jeżeli nie są wyżsi charakterem od tych, którzy przywozili w wieku XVIII we Francyi, to niezawodnie, iż wady ich i zalety daleko są skomplikowane, a przeto ciekawsze dla historyka i psychologa. — Rewolucya angielska nie wylała się na zewnątrz na podobieństwo rewolucyi francuzkiej, lecz zwolna rozwijała się dopóki nie przysła do swęj ostatecznej mety. Restauracya nie nastąpiła w skutek przemocy obcej, lecz w skutek powszechnego entuzjazmu narodu, a przeto swobodnie rozwijać mogła swe plany i dążności. Dla tego stosunek rewolucyi do reakcyi, ich zawisłość i wpływ moralny daleko wyraźniej i wszechstronniej pokazuje się w dziejach angielskich aniżeli francuzkich.

Jakkolwiek dzieło Macaulaya obejmuje wiele ważnych i ciekawych przedmiotów, niemogąc jednakże o nich traktować, ograniczamy się na krótkiem zeszycowaniu wpływu jaki rewolucya i restauracya moralnie i politycznie wywarła na naród angielski.

W wieku XVII najważniejszą rolę odgrywali w Anglii Purytanie, dla tego chcąc poznać gruntowniej ówczesne czasy należy bliżej przypatrzeć się ich usposobieniom i charakterowi. Wady ich i śmieszności łatwo uderzają, i aby je dojrzeć niepotrzeba wielkiej bystrości umysłu. Za czasów restauracyi, służyły one za przedmiot dowcipu i złośliwej wzgardy. Literatura i teatr szukały w nich tematu do zabawy i rozbawienia publiczności. Purytanie ludzie prości i nie naukowci, a jako sekta znienawidzeni, nie umieli się bronić z zarzutów im czynionych i wystawieni byli na pastwę satyryków i pisarzy dramatycznych. Przesada ich w pojedynczości ubioru, wymuszona powaga; ich nazwiska hebrajskie, ciągłe mieszanie przy najmniejszej nawet sposobności zdań z starego testamentu, pogarda jaką okazywali dla nauk i dla najuiewinniejszych zabaw, stano-

wily bezwątpienia niewyczerpany przedmiot dla dowcipu i satyry. Lecz filozofii historii nie można uczyć się od ludzi dowcipnych, którzy w najpoważniejszej rzeczy dopatrują strony komiczne i śmieszne. Ktokolwiek bezstronnie sądzić chce o charakterze sekt religijnych i stronnictw politycznych, wystrzegać się powinien potężnego wpływu dowcipu i ironii.

Ecco il fonte del riso, ed ecco il rio
Che mortali perigli in se contiene:
Hor qui tener a fren nostro a desio
Ed esser canti molto a noi conviene *)

Tych którzy wywołali wielki ruch w narodzie angielskim, którzy kierowali jego sprawami w czasach zaburzeń i wojny domowej, którzy ludzi prostych natchnęli odwagą i utworzyli z nich armię najdzielniejszą jaką dotąd Europa posiadała, którzy zachwiali tronem, kościołem i arystokracją, którzy podnieśli potęgę Anglii do wielkiego znaczenia, niemożna uważać za zwyczajnych fanatyków. Obok śmieszności zewnętrznych, główne ich wady pochodziły z jednoczesnych uczuć i wyobrażeń religijnych.

Dziwić się niemożna, iż ludzie coś przyjmowali nie tylko ogólną władzę Opatrzności, lecz co w najmniejszym wypadku widzieli wolę Boga, dla którego potęgi nie niema niepodobnego, uważali poznanie go, i służenie mu na główny przedmiot i cel życia swego. Z pogardą odrzucali zewnętrzne ceremonie jakich inne sekty używały do oddania należnej czci Bogu, gdyż im się wydawało, że tylko duszą podnieść się można do niego, a sercem umiłować go prawdziwie.

Patrząc ciągle na Boga, czerpiąc natchnienia w jego

*) *Gerusalemme Liberata* XV. 57.

potędze i majestacie uznawali rzeczy ziemskie za zbyt drobne i znikome. W porównaniu z Bogiem wszystko wydaje się małym i niegodnym uwagi i przywiązania. Dla tego odrzucali różnice i formy istniejące pomiędzy ludźmi, a jedyną wartość i zasługę przypisywali łasce bożej. Z dumą spoglądali na panujących, bogatych i księży, albowiem przypisywali sobie, iż skarby niebieskie posiadają w swych duszach wyższe nad wszystkie marności świata.

To ciągle obcowanie a raczej ponaślność z Bogiem skrzywiła ich umysł i charakterowi nadała dziwną i śmieszną postać. Pod jednym względem byli oni pokorni, pobożni, i entuzyści, a pod drugim dumni, wytrwali i obrachowani. Z największą uległością korzyli się przed swym Twórcą, a z nieubłaganą zaciętością prześladowali swego panującego. Modląc się płakali, dostawali konwulsyi, słyszeli albo śpiewy aniołów lub straszne krzyki furyj szatańskich — lecz skoro przyszło sądzić króla, ci sami ludzie byli bez wyrozumienia i pobożania. Uważali się albo za wybranych, których Bóg powołał aby dali świadectwo o jego prawdzie i zapewnili jój panowanie na ziemi, lub też za potępionych, od których Bóg z pogardą twarz swą odwrócił.

Lecz ci sami fana tycy, którzy przed chwilą rozkoszowali w wizjach niebieskich, lub drżeli przed diabłami skoro zajęli miejsce w radzie, lub stanęli na placu boju nie pokazywali na swych twarzach żadnego wzruszenia. Nad sprawami państwa obradowali z powagą i rozsądkiem najdoświadczeńszych senatorów, a z orężem w ręku walczyli jak gdyby śmierć była dla nich przyjemnością a nie strachem!

W przedmiotach tylko religijnych dusza ich doznawała wzruszeń — lecz łzy i śmiech, radość i smutek obce jój były dla rzeczywistego świata. Entuzjazm przekształcił ich na stoików, uwolnił ich od namiętności

i przesądów zwyczajnych — i w pewnej mierze zrobił obojętnymi na niebezpieczeństwo i zepsucie.

Z zapalem rzucili się w rewolucyą, ponieważ sprawę wolności uważali za sprawę religii. Jakkolwiek nie posiadali zwyczajów eleganckich i punktu honoru, któremi się odznaczały, szlachta walcząca po stronie Karola Igo, jakkolwiek nie znali znakomitych poetów i filozofów, jednakże fanatyzmem pokonali wojska królewskie a zdrowym rozsądkiem i patryotyzmem rozstrzygali najzawilsze pytania polityczne z korzyścią i chlubą dla swego narodu. Dopóty dopóki byli prześladowani a rezygnacyą znosili wszystkie nadużycia. Z pisma świętego wynosili pociechę, a wiara w Opatrzność dodawała im odwagi i wytrwałości. Życie ich było prawdziwie religijne i moralne. Lecz skoro zwyciężyli, dawniejsze cnoty znikły a zostały śmieszności i wady. Przywłaszczyli sobie jak mówi Samuel Butler monopol świętości i w imię jego prześladowali. Ukrywając pod maską hypokryzyi i powagi, własne zepsucie, potępiali w innych najmniejsze wady nie jako cenzorowie przestrzegający dobrych obyczajów, lecz jako szaleni fanatycy których Bóg powołał na sędziów i mścicieli grzechów ludzkich. Nie dosyć że zakazali teatru, że potępił aktorów jako nieprzyjaciół religii i moralności, ale prześladowali najniewinniejsze rozrywki, tak jak gdyby chcieli nie tylko odebrać wyobraźni wszelką swobodę, lecz ją nawet wypędzić zupełnie z stóśunków ludzkich.

W własnem doświadczeniu i w cierpieniach zadawanych im przez panującą hierarchią kościoła anglikańskiego nauczyć się powinni byli tolerancyi i pobożania.

Tymczasem po zwycięstwie przeszli zaciętością i gwałtownością Lauda samego. Nieszanowali ani kościołów, ani grobów, ani pamiątek narodowych, lecz wszędzie niszczyli zabytki sztuki i pomniki starożytne.

Szaleni ci fanatycy będąc w większości w Parlamen-

cie postanowili aby wszystkie obrazy galeryi królewskiej przedstawiające Chrystusa, i Matkę Boską spalone zostały. Nowi ci ikonoklaści z barbarzyńską brutalnością niszczyli nie tylko Nymfy i Graeae, arcydzieła dłota jońskiego i pędzla włoskiego, lecz z furją szaleńca targnęli się na najniewinniejsze rozrywki. Za panowania tej fakcyi fanatycznej naród angielski jęczał pod największym terroryzmem jaki sobie wystawić można, gdyż pod terroryzmem religijnym i obyczajowym.

Natura ludzka dręczona długo przez gwałtownych purytanów wybuchła za czasów restauracyi i dała wolny popęd swym skłonnościom. Odtąd lekkomyślne zabawy i zbrodnicze rozrywki zostały modą powszechną. Naród znienawidziwszy obrzydliwy kant purytański, i podejrzewając wszystkie pretensye do życia świętego, chętnie przyklaaskiwał wesołym i rozpustnym występkom. —

Dawniejsze spory teologiczne i polityczne zastąpiła rozwiozłość i została przedmiotem nietylko rozmów i zabaw lecz środkiem do honorów i urzędów. Zepsucie klas wyższych zarażało niższe warstwy społeczeństwa. Poezya podniecała namiętności, filozofia niszczyła zasady, król panujący dawał przykład rozpusty, a duchowieństwo wtórowało im swemi niewolniczymi naukami. Pod wpływem zepsucia znikły przymioty łagodzące błędy popełniane przez wyższe i gwałtowniejsze natury. Szlachetność, czułość i rycerska delikatność, które bardzo często stroją występki w formy cnoty, ustąpiły miejsca bezwstydowi i rozpucie. Sofisterya epikurejska i przewrotność cyniczna zatruiły umysł i serce, a z niemi obyczaje prywatne i publiczne.

Historya zwłaszcza sławnych ludzi, pokazuje do jakiego stopnia doszła zepsucie w owych czasach. Pewien szlachcic dobrej familii przywieszuje się do króla, który uwodzi jego siostrę, i następnie w skutek jej i

własnej hańby przychodzi do bogactw i godności. Później za wszystkie dobrodziejstwa okupione sromotą odpłaca się najczarniejszą niewdzięcznością i zdradza tego, któremu winien był swe wyniesienie. Lecz Churchill a później Marlborough sławny, niestanowi wyjątku w tem społeczeństwie zepsutem. Mnóstwo jest osób godnych jego towarzystwa. Godolphin, Oxford, Danby, półśrodkowy Halifax i Sunderland apostata należą do tej samej co i on kategorii.

Łatwo pojąć, iż w podobnym stanie moralności ludzi niepodległych, upodlenie daleko większe musiało być u tych, którzy zawisnąć od rządu, miejsca swe zawdzięczali uległości i serwilizmowi. Do tego czasu sądownictwo angielskie z wstrętem wymawia imiona Jonesa, Seroggsa, Jeffriesa, Northa, Wrighta, Sawyera, Williamsa i Showera, którzy z niezrównaną podłością i sromotą zeszpecili jego roczniki.

Patrząc na ówczesną Anglię, zdaje się, iż mamy przed sobą świat odarty z uczuć ludzkości, prawdy, honoru i wstydu. Ludzie zwłaszcza publiczni posunęli do tego stopnia przewrotność, iż człowiek uczciwy wolałby chętniej żyć pomiędzy diabłami Miltóna aniżeli pomiędzy niemi.

Jakkolwiek wszystkie klasy skaziło zepsucie, jednakże ci którzy wyłącznie zajmowali się polityką, stanowili najgorszą część tego zepsutego społeczeństwa. Prócz wpływów rozszerzających ogólne zgorszenie, wystawieni oni jeszcze byli na inne im samym tylko właściwe. — Ich charakter kształcił się wśród częstych rewolucyj i kontrrewolucyj. W przeciągu kilku lat byli świadkami licznych zmian w urządzeniach kościelnych cywilnych i politycznych. Widzieli anglikanów prześladowanych purytanów i purytanów prześladowanych anglikanów. Widzieli upadek i restauracyą monarchii dziedzicznej długi parlament piastujący potrzykroć najwyższą wła-

dzę i po trzykroć rozpędzany w obec oklasków i radości ludu. Patrzeli na wyniesienie i upadek spokojny nowej dynastyi, i na własność rozdzieraną przez różne stronnictwa.

W czasach w których opinie i instytucye ulegają częstym zmianom trudno wymagać od ludzi przekonań stałych. Niemogą się przywiązać do żadnej formy rządu i partyi, gdyż panowanie takowych jest krótkie lub niepewne. Zaledwo rząd powstanie alizci natychmiast podnosi głowę fakcyja obala go i ogłasza nowe zasady. W stanie anarchii trudno aby się utworzyły poważne stronnictwa i trwały długo, dla tego związki pomiędzy ludźmi politycznymi są słabe i krótkie. Ci którzy przed chwilą podpisują odezwy, radzą wspólnie, przywodzą klubom lub stoją na czele rządu, wkrótce los ich rozdziela, a nienawiść przemienia na najzaciętszych wrogów. W podobnych okolicznościach góruje uczucie konserwatyzmu i każdy się ogląda skąd wiatr wieje aby uniknąć burzy. Ludzie polityczni zostając w styczności z rozmaitemi fakcyjami, nabierają wielkiej zręczności do ich obejścia i użycia. Z zadziwiającą bystrością umieją ocenić położenie każdej chwili i z niej korzystać. — Przenikliwość staje się u nich prawie instynktem dla tego przewidują z nadzwyczajną trafnością wypadki, i zawczasu opuszczają upadające sprawy a trzymają się tryumfujących.

Bardzo często porównują politykę z grą w szachy. W czasach zwłaszcza rewolucyjnych, ludzie publiczni są zręcznymi i niesumiennymi graczami, którzy opinie, interesa kraju uważają za narzędzia swych osobistych widoków. Pomyślność stanowi główny cel ich usiłowań i dążeń. Nie szanują ludu, gdyż byli świadkami najochydniejszych jego zmian i najpotworniejszej zdrady. Nie przywiązują się do żadnej partyi, albowiem znają jej ukryte i nieczyste zamiary. Ryszard Cromwell opu-

szczając Whitehall, zalecał swym ludziom, aby przedewszystkiem pamiętali o dwóch kufrach stojących w jego gabinecie. Na zapytanie co one zawierają, odpowiedział: ani mniej, ani więcej jak życie i majątki dobrego ludu angielskiego. Były one napelnione adresami z różnych stron kraju, okuszającemi radość i przywiązanie do nowego porządku rzeczy. Lecz ci sami ludzie, którzy przed chwilą z tryumfami przyjmowali nowego Protektora, wkrótce zaraz potem przyklaskiwali jego upadkowi. W podobnym stanie zwątpienie i ironia ogarnia umysły; tak ten co przychodzi do władzy jak równie i ten co z niej ustępuje czci jedyną siłą na świecie to jest szczęście i przypadkowość.

Dryden charakteryzując hrabiego Shaftsbury mówi, był to potwór i zarazem wielki człowiek. To samo zdanie zastosować można do wielu ludzi znakomitych jakich czasy rewolucyjne wydawają. Z jednej strony ich szatańska przewrotność i chytrość, przestrasza nas, a z drugiej strony ich bystrość i przytomność umysłu wywołuje w nas podziw i uwielbienie.

Oczytując dzieła polityczne Machiawella pomimowoli wstręt ogarnia duszę naszą, potępiamy jego zasady przewrotne, lecz trudno abyśmy mu odmówić mogli wielkiego talentu i nadawyczajnej bystrości umysłu. — Tak również czasy rewolucyjne wydawają Machiawellów praktycznych, którzy pod względem moralnym są potworami, a pod względem zdolności i energii umysłowej wielkimi ludźmi. Za panowania Karola IIgo szerzyło się zepsucie w narodzie, do którego dwór i klasy wyższe dawały zachęty złym swym przykładem i wolnemi obyczajami. Ci, którzy chcieli przyjść do władzy, lub uskarbić sobie łaski u króla, przyjęli za zasadę życia następujące słowa Rochestera: Co chcesz? im więcej mam wad, tem lepiej jestem widziany u dworu. — W skutek tego zgubnego wpływu demoralizacya tak

głęboko wkorzeniła się w życie publiczne, że zaledwo przy końcu XVIIIgo wieku jej ślady zacierać się poczęły.

Z téj słabej i krótkiej szkicy obyczajów narodu angielskiego łatwo wnosić możemy o kierunku i usposobieniu namiętności za czasów rewolucyi i restauracyi. Purytanie w imie pozorniej świetności gwałtem chcieli zaprowadzić moralność surową i zimną. Potępiając najniewinniejsze zabawy, niefolgując najmniejszej swobodzie umysłu i serca, obdzierali naturę ludzką z jej najistotniejszych przymiotów. Za czasów restauracyi popędy długo tłumione wybuchły z gwałtownością i szukały zaspokojenia w zbytkach i rozpuście.

Wszystkie cnoty jakie Purytanie zalecali, zostały później odrzucone i wzgardzone. Pobożność, czystość obyczajów, szanowanie danego słowa, za czasów restauracyi zastąpiły wszeteczeństwo, rozwiozłość i zła wiara. Purytanie chcieli przemienić człowieka na martwą mumię, a restauracya odzierając go z godności i szlachetności, zrobiła z niego istotę potworną.

Narody na podobieństwo fal Oceanu ulegają prądowi, który początkowo nieznaczny wzrasta potem w siłę i kruszy wszystkie przeszkody. Prądem tym za czasów rewolucyi był fanatyzm religijny którego geniusz Cromwella umiał opanować i użyć a za czasów restauracyi zepsucie kołysało swemi rozkoszami słabego i lekkomyślnego Karola drugiego.

Nie tylko rozum słucha niezmiennéj logiki lecz i namiętności mają swoje prawa konieczne według których postępują. Z tą tylko różnicą że ostateczności do jakich teorye dochodzą mieszają wyobrażenia, kiedy zaś ostateczności dotyczące moralności wzruszają całą naszą istotę i robią ją albo szlachetną lub potworną.

W skutek tego Purytanie posuwając zasady swe do ostatecznych następstw w imie jednostronnej moralności, gwałcili i zabijali naturę ludzką, a restauracya zaś

holdując jedynie potrzebom ciała, niszczyła instynkta wznioślejsze i szlachetniejsze. Po obydwóch stronach ostateczności doszły do tych samych wypadków, a u kresu swego rewolucya i reakcya połączyły się w swych celach i środkach.

Tym samym sposobem postępowały teorye polityczne. Jakub Iszy w formie bardzo subtelnej skreślił zasady monarchii z łaski bożej. Według jego opinii istnieje różnica między królem *in abstracto* i *in concreto*. — Pierwszemu wolno robić wszystko co mu się podoba, drugi zaś powinien rządzić według praw istniejących, lecz do tego prócz sumienia nie go innego nie zobowiązuje. On sam chętnie skłaniał się panować według ostatniej zasady z tym tylko warunkiem aby naród nic nie wymagał od niego, gdyż: zaprzeczać władzę królowi jest to samo, co poddawać w wątpliwość władzę Boga. Biskupi! przyjęli tę naukę i z wielką skwapliwością ją rozszerzali. Presbyterianie, drobna i znaczna część wyższej szlachty, a z niemi większa część narodu wyznawała zasady później sformułowane w sposób jasny i dobitny przez Shaftsburego.

„Uważam, mówi on, teoryę monarchii z łaski bożej za niebezpieczną i przeciwną wszelkiemu dobremu rządowi. Albowiem jeżeli ona jest prawdziwą, wówczas nasza wielka karta jest niepotrzebną, a nasze prawa zależą od dobrej woli króla. Skoro przyjmujemy zasadę z łaski bożej wtenczas monarcha będzie nieograniczony a my stracimy prawo przyzwalania podatków, wszystkie nasze swobody, tytuły, przywileje Izby wyższej i niższej, i całe nasze mienie zawisnąć będą nie tylko od interesu, ale od kaprysu i widzimisię korony. Każdy co szczerze wierzy w tę naukę, powinien natychmiast oddać królowi to wszystko co posiada.“ Pomiędzy Independentami jedni szukali wzorów politycznych u Greków i Rzymian, inni w Starym Testamencie, lub spo-

dziewali się przyjścia Chrystusa. W jednym tylko względzie byli zgodni, to jest w nienawiści władzy królewskiej, lecz skoro udało im się zaprowadzić rzeczpospolitą, natenczas rozpadli się na różnorodne partye bez wpływu i dzielności które Cromwell widząc że z takimi anarchicznymi żywiołami rządzić nie podobna, łatwo o władnął i zniszczył.

Narody zmęczone długim bezrządem rewolucyjnym z zapalem przyjmują wszelki porządek, który im przynosi spokój i bezpieczeństwo. Chętnie zrzekają się dawnych praw, z łatwością zapominają wyrządzonych sobie krzywd, a poddają się pierwszemu lepszemu który potrafi się utrzymać przy władzy.

Po wielkich rewolucjach następuje zwykle upadek moralny. Ludzie strudzeni ciągłą walką, przestraszeni gwałtownością opinii i partyi, tracą wiarę w zasady polityczne a całem gardłem żądają silnej władzy i porządku. W tych czasach powstają teorye przemawiające do najniższych skłonności ludzkich. Godność sponiewierana w życiu, najświętsze swobody nadużyte i zużyte, nie mają powabu dla umysłów. Czasy podobne sprzyjają alarmistom, którzy korzystając z chwilowego strachu i fatygi społeczeństw ogłaszają najpotworniejsze zasady.

Z wszystkich metafizyków i teologów politycznych jakich dotąd wydały czasy rewolucyjne najkonsekwentniejszym był Hobbes. Pojęcie władzy absolutnej rozprowadził racjonalnie i wyciągnął z niego ostateczne następstwa.

Według niego poddani winni bezwzględnie posłuszeństwo królowi bądź to czy on jest żydem lub mahometanem. Za czasów restauracy teorya ta brutalna i niemoralna była w modzie, a jej zasady podzielały tak wielkie damy jako też ludzie stanu.

D'Israeli w dziele swem słusznie noszącem tytuł *Ciekawości literackie* mówiąc o niektórych szczegółach ży-

cia Hobbesa wystawia go do tego stopnia bojaźliwym iż w nocy obawiał się sam przebywać w pokoju. Cóż więc dziwnego, że w duszy tak drażliwej strach powszechnie panujący znalazł przystęp i zyskał odgłos?

Na szczęście swe Anglia nigdy nie podzielała absolutnych teoryj, i niegoniła ze ścisłością logiczną. Naród ten praktyczny lubił przedewszystkiem *axiomata media* o których mówi Bakon, i pragnął takowe urzeczywistnić w prawodawstwie i konstytucyi. Podobnie jak za czasów rewolucyi Rzeczpospolita była chwilowem przejściem które rozburzone namietności wywołały, tak również podczas restauracyi dopotąd opinie Hobbesa panowały, dopóki strach i nienawiść dla rewolucyi istniały. Lecz skoro naród powrócił do dawniej rozwagi, spostrzegł natychmiast ich niebezpieczeństwo i ze zwykłą sobie energią stawiał im opór.

Pomimo zaburzeń rewolucyjnych naród angielski wier-ny pozostał formie monarchicznej, uważał ją zawsze za kamień węgielny swych instytucyj, i za sankcyą konieczną i zbawienną w swych urządzeniach politycznych. Dla tego niepojmował władzy abstrakcyjnie, która odarta z wszystkich tradycyj i stosunków jest tylko czczym symbolem zdobiącym skronie pierwszego lepszego dyktatora.

W skutek rewolucyi Anglia moralnie upadła bardzo nisko. Zepsucie doszło do tak wysokiego stopnia iż trudno znaleźć podobną epokę w dziejach nowszych narodów — lecz politycznie nie była bałwochwalczynią władzy jako władzy.

Z dwóch względów rewolucya wywarła bardzo zba-wienny wpływ na naród angielski. Ulegając przez długi czas despotyzmowi militarnemu znienawidził dyktaturę i wojsko. Klasy zwłaszcza wyższe które najwięcej ucierpiały za rządów świętych Purytanów czuły odrazę do wojska stałego i najsilniejszą stawiały opozycyę

jego utworzeniu. W sto lat jeszcze po upadku Cromwella torysi wystawiali wojsko jako narzędzie rewolucyjnej tyranii.

W wieku XVII-tym naród szukał właściwej formy politycznej dla swych nowych stosunków. Monarchia średnio-wieczna nieodpowiadała jego potrzebom, niedawała do-statecznych rękojmi dla nowych interesów i dążeń. Dla tego chciał jej nadać formę właściwą i zgodniejszą z duchem czasu. Jakkolwiek namiętności chwilowo za daleko go uwiodły, niezamyslał przecież zniszczyć monarchy i szlachty. Rewolucya przeto angielska niewywarła tak zgubnego wpływu, jak rewolucya francuzka która wyrwała wszystkie korzenie instytucyj monarchicznych a na ich miejscu postawiła oderwaną ideę władzy. —

Geniusz Cromwella z łatwością pokonał wojska królewskie, i owiadnął różne partye. Sumienie jego purytańskie nie wahało się uwieźć i skazać na śmierć Karola I-go. Żelazna jego dłoń trzymała w posłuszeństwie kraj cały. Lecz skoro przyszedł do władzy pokazała się jego niemoc, gdyż chciał rządzić legalnie a nie mógł. Używał wszelkich możliwych kombinacyj aby otrzymać parlament powolny swym widokom, a zawsze natrafiał na opozycyą przypominającą mu jego nieprawne wyniesienie i stawiającą opór jego dowolności. Rewolucya angielska targnęła się tylko na osobę królewską a pozostawiła wszystkie instytucye monarchiczne niewzruszone. Ze śmiercią Cromwella duch rewolucyjny zakończył swe panowanie a naród wkrótce potem z powszechną radością i zapalem witał Karola II-go.

Za życia jeszcze ojca Ryszard Cromwell zastanawiając się nad swym przyszłym rządem zdefiniował go w sposób następujący: mierność oziębła, eós półbrod-kowego pomiędzy głową w obłokach a nogami w błocie. I w istocie spełniły się te słowa. Załedwo przy-

szedł do władzy poniżył godność osobistą i narodu. Od parlamentu zażądał zapłacenia długów, a od Mazari-niego pożyczki pieniędzy. Rząd podobny trudno aby mógł zyskać szacunek i powagę dla tego upadł w skutek własnej niedołężności bez nauki i oporu.

Karol drugi przepędzając czas w rozkoszach w Breda niespodziewał się aby wypadki tak prędko powołały go na tron. Potęgą jego była osłabioną, Izba niższa rządziła samowładnie krajem, a lud z uległością słuchał formuł republikańskich. Lecz restauracya nastąpiła tak nagle i z tak wielkim zapalem, iż według Lockego Karol IIgi uważał ją za coś cudownego.

Z prawdziwie serdeczną radością przyjmował naród powracającego Karola IIgo. Koleję jego familii, śmierć heroiczna ojca, własne jego cierpienia i romantyczne przygody dodawały uroku jego osobie i robiły z niej przedmiot powszechnego uwielbienia. Za jego powrotem czuł się kraj wolny i zabezpieczony od anarchii. Wszystko zapowiadało błogą przyszłość. Spodziewano się iż król powszechnie kochany potrafi ułagodzić dawne boleści pojednać zwaśnione partye i ustalić pożądany pokój, iż sam przechodząc przez kolei tyle i przypatrując się rozmaitym stronom życia skorzystał z smutnego doświadczenia i rządzić będzie rozważnie według praw istniejących. Lecz na nieszczęście Karol IIgi posiadał tylko przymioty cechujące towarzyskiego człowieka. Dowcip, przyjemne maniery, talent konwersacyi powabnej i żywój zastępowały u niego wyższe i potrzebniejsze zdolności polityczne. Rozpusta i lekkomyślne zabawy osłabiły w nim uczucie moralności honoru i sławy. Uważał wszystkich ludzi za sprzedajnych, z tą tylko różnicą że rozumniejsi i zdolniejsi wyżej cenią swe mniemane cnoty. Wszystko to co zdobi i uszlachetnia człowieka straciło u niego znaczenie. Miłość Boga, ojczyzny, familii przyjaciół wydawała mu się czczym frazesem, ma-

skujałym interes osobisty. Wstyd i honor były tem dla niego czem jest światło i ciemność dla ślepego. Nieposiadał ambicyi wyższej a interesa państwa go nudziły. Mało go obchodziła teoria patryarchalnego rządu i nauka o prawie z łaski bożej. Nie mając zasad moralnych i politycznych pozostały mu gusta i chwilowe wrażenia, któremi się rządził. Pragnął on władzy absolutnej nie dla tego aby panować wszechwładnie na podobieństwo Ludwika XIVgo lub Henryka VIII lecz aby samowolnie i bez żadnego oporu używać wszystkich zasobów kraju i niemi zaspakajać swe fantazye.

Jakób IIgi którego słusznie Chateaubriand nazywa człowiekiem surowym i słabym, upartym i fanatykiem lubił władzę i rządy. Śmiało powiedzieć można iż był on uosobieniem teorii Hobbesa i chciał absolutnie rozrządzać sumieniem i majątkiem swych poddanych.

Dwaj ci monarchowie z których jeden lubieżny i lekkomyślny a drugi uparty i suchy utopista stanęli na czele Anglii i okryli ją hańbą i poniżeniem. Targnęli się na najświętsze prawa i na najdawniejsze swobody. Obrażając honor interesa i usposobienia narodu rozpoczęli reakcyę nie tylko przeciwko nowym dążnościom, lecz przeciwko historii i wpływowi wieków. Za ich panowania naród angielski przeszedł przez wszystkie możliwe stopnie poniżenia i upodlenia.

Z początku restauracyi prześladowania prezbyteryan jako twórców rewolucyi przyjęte były z powszechnemi oklaskami. Lecz skoro rząd sprzedał Dunkierkę Francyi skoro wypowiedział wojnę Holandyi i został niewolniczem narzędziem Ludwika XIVgo naówczas powstała niechęć przeciwko Karolowi IImu, która wywołała wielką i silną opozycyę.

Naród widząc swe poniżenie z zalem spoglądał na świetną politykę Cromwella. Wówczas pierwsze miejsce

zajmował pomiędzy państwami, a teraz wymazany prawie z ich rzędu same zniewagi znosić musi. Prócz hańby i prześladowań na większe jeszcze próby wystawiła go zaślepiona reakcja. Wszystkie najważniejsze swobody jako to: sąd przysięgłych, przywileje municypalne, wolność osobista których początek ginie w wiekach, zagrożone zostały.

Po zgwałceniu praw cywilnych i politycznych przyszła kolej na protestantyzm i kościół anglikański którego Jakób IIgi zniszczyć usiłował. Odtąd w najspokojniejszych ludzi wstępuje obawa a kraj widząc niebezpieczeństwo jakie mu zagraża skupia swe siły, zapomina o klęskach dawnych wałk i gotuje się do boju. Sekty zostające do tego czasu w niezgodzie łączą się, biskupi podają rękę prezbyteryanom, kwakrom i różnorodnym dyssydentom. W obec niebezpieczeństwa wspólnego, protestantyzm zapomina o dawnych różnicach dogmatycznych i formuje jedną poważną unią. Kościół anglikański wyznający dotąd naukę biernego posłuszeństwa przyjmuje zasady oporu a biskupi z uczniów Filmore i Hobbesa przechodzą na konspiratorów i buntowników. Podobny ruch dzieje się między stronnictwami politycznymi. Torysi, Wigowie i niedobitki republikańskie zawierają się w jedno stronnictwo które powołuje Wilhelma IIIgo na tron.

Podobnie jak restauracya nastąpiła spokojaie i z powszechnym zapalem tak równie sławną rewolucyą 1688 odbyła się bez walki i rozlewu krwi. Jakób II zdradzony przez własne dzieci, opuszczony od wojska, ministrów i pochlebców na wygnaniu szukał przytułku. Sromotny jego upadek wymownie zaświadcza o tem iż rządy nie mogą stać potężnie i trwale na apostatach i ludziach przekupnych.

Bardzo słusznie naród angielski rewolucyą 1688 nazywa sławną gdyż od niej datuje się epoka jego swo-

bód legalnie uznanych', postęp handlowy i przemysłowy. Bardzo szuszenie stawia Wilhelma IIIgo pomiędzy największemi swemi panującemi, gdyż wyrwał go z penitencji politycznego i zrobił jego potęgę groźną a imię sławnem.

Przypatrując się bliżej charakterowi Wilhelma IIIgo trudno, aby nie uznać podobieństwa w portrecie namalowanym przez Mackintosha.

„Podziwiam mówi on piękność moralną, prostotę, użyteczność, stałość, mądrość, odwagę spokojną i wytrwałość śmiałą tego człowieka bez szarlatanizmu i tego bohatera bez okazałości. Szczególnem sporządzeniem woli boskiej dopinając swego osobistego celu i zaspakajając swą ambicję, stawał w obronie najświętszych praw człowieczeństwa. Duma i patryotyzm zlały się w nim w jedną zasadę i dały za pomocą tych samych środków do jednego celu. Mądrość jego nieustraszona wybrała Hollandję, uwolniła Anglię i wyrwała Europę z pod panowania Ludwika XIVgo. Życie jego stanowi całość zupełną i harmonijną. Co za wielkie szczęście! Jakąż to niengiętą uczciwość posiadać musiał ten człowiek, który przez 30 lat postępując jedną drogą, nie tracąc odwagi, nie cofając i nie ustępując o krok umiał pomimo fakcyj przygód losu i niechęci ludu utrzymać wolność wewnątrz a bezpieczeństwo na zewnątrz. Czyliż to nie jest godnem podziwienia? W wieku prześladowań jest on religijnym pobożnym i filozofem i tolerantem. Bohater ten jest tak prosty jak Marcus Aureliusz. Zasługi Wilhelma dla Europy daleko większe są aniżeli te jakie mu zwykle przyznają. Zamiast zwiększać swe czyny, podnosić ich wartość, to on je ukrywa, zasłania i zmniejsza. Wady jego nawet sprzyjają mu, gdyż wstrzymują pochód zwycięzki Ludwika XIVgo. Jest on duszą wielkiego aliansu który stawia opór temu wszechwładnemu monarsze. Eugeniusz i Marlborough zbierają sła-

wę z owoców, które on zasiał i pozbawiają go nagrody przynależnej jego rozległej przenikliwości. Prócz Washingtona nieznam nikogo innego w historii z którymby można go porównać. Przymioty obydwóch były daleko więcej poważne aniżeli świetne. Obydwa odznaczali się zdrowym rozsądkiem, prostotą charakteru, miłością kraju i naiwnością heroizmu. Opatrzność wybrała obydwóch a wzięwszy ich za rękę kazała im wyrwać ludy z niewoli. Washington urodzony w rzeczypospolitej która swobodnie rozwijać się mogła w pośród pustej przestrzeni mógł dać dowody bezinteresowności takiej jakiej okoliczności niepozwalają Wilhelmowi okazać. Rzeczpospolita angielska znikła w pośród burz domowych. Wilhelm walczył z najpierwszemi wodzami, przezwyciężył największe trudności polityczne i dał świetne dowody swych wyższych zdolności wojskowych i politycznych.“

MICHAŁ SŁOMCZEWSKI.

WSPOMNIENIA

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA I.

i niektóre sprostowania tyjące się tego Pułku.

Odległe czasy istnienia pułku *Lisowskiego* i powstałych z niego pułków *Lisowczyków*, aczkolwiek czasy świetne, zostawiły nam mało podań o tych sławnych pułkach, tak dalece, że pomimo poszukiwań znakomitego pisarza Żywotów Skargi i Oleśnickiego, tudzież nie-spracowanego Wójcickiego, i ich poprzedników; nie wiemy nic stanowczego o *Lisowskim* i jego następca; a nawet nie mamy dokładnego wyobrażenia o stroju i uzbrojeniu tej sławnej Jazdy Polskiej. Dzieje nasze a raczej ułamki mogące dostarczyć zasobu do dziejów, rzadko były pisane przez ludzi wojskowych; najwięcej mamy pisarzy duchownych, którym uzbrojenie i umundurowanie wojsk, nie tylko było obcem, ale ta nieszczęśliwa niechęć, jaką wywoływały *leże* wojska i *zold*, za-

pełnia dzieje nasze przesadném wystawianiem: rabunków i nadużyć stanu wojskowego; która to zawiść i na pułki Lissowczyków sciągnęła osławienie tak dalece; że teraz trudno jest oznaczyć: jakie istotnie położył zasługi *Alexander Lisowski*? a przez jakie zbytki ostatni z Lissowczyków, znieważyli jego nazwisko? Jeżeli zaś mowa do cesarza Ferdynanda, jakoby do dowódcy Lissowczyków miana, nie była istotnie nigdy powiedzianą, ale przez szpetną igraszkę, na pośmiewisko przechwałek Lissowczyków przez jakiegoś Jowialistę napisaną, a nawet w Tomach „mowcy polskiego“ drukowaną, *) czegoż się nie mają obawiać ludzie rycerscy, co krwią znaczyli obce ziemie; jeżeli lada pisarkowi wolno plugawić ich pamięć atramentem, tak że po dwóch wiekach, nie możemy rozeznąć prawdziwej zasługi od łotrostwa, bo takie jest imię w końcu dawane rycerskim niegdyś pułkom Lisowskiego. —

Atoli kiedy widzimy że pracowiei pisarze, zajmują się odszukiwaniem szczegółów o przedwiecznych Lissowczykach, zdarza nam się czytać pojedyncze urywki, o niedawno, bo za Xięztwa Warszawskiego istniejącym pułku polskim Gwardyi Napoleona, które nietylko należnej sprawiedliwości temu pułkowi nie oddają, ale jeszcze przekazują potomności mylne i szkodliwe dla sławy tego pułku wyobrażenia. Żyjemy w czasach gdzie nie na niedostatek, ale raczej na zbytek pisma i druk narzekać można. Widzimy z radością, że ziomkowie zajmują się coraz więcej wyszukiwaniem i przechowywaniem pamiątek: mamy sobie więc za obowiązek, wezwać naszych dawnych towarzyszków broni, żeby uzupełnili niniejszy obrazek, jaki tu z pamięci bez dawniejszych notatek niestety! przynosimy w hołdzie zasługom braci

*) Kto tej mowy nie czytał niech ją przeczytać zechce dla lepszego zrozumienia naszej uwagi.

naszych, z okresu dziejów narodu, niepomyślnego wprowadzie ale nader świetnego. —

Pułki: Lekkokonny Gwardyi Napoleona, i Ułanów Nadwiślańskimi zwanych, Nrem 7 w Armii Francuzkiej oznaczony. Pułki te są następcami owych sławnych Lissowczyków, równie jak oni, rozniosły te pułki daleko i szeroko sławę Jazdy polskiej z tą chlubną dla siebie różnicą, że żadnym zakalem nie obarczyły swego i Polski imienia.

Pułk Ułanów Nadwiślańskich wsławiony we Włoszech i w Hiszpanii, powstały w legionach, posiada bezwątpienia przekaz zasług swoich w pamiętnikach jenerała Klickiego, jednego z dowódców tego pułku, a męża pod każdym względem, należącego do najznakomitszych wychowawców Kościuszki.

Pułk zaś Gwardyi Polskiej Napoleona dotąd z powodu nieszczęśliwych okoliczności, z przyczyny rozproszenia jego żyjących jeszcze towarzyszy, nie tylko niedoczekał się ogłoszenia swych dziejów, ale jak się wyżej powiedziało, doznaje uszczerbku swęj sławy. Wszelako niedoświadczy ten pułk świetny niepomyślnego losu Lissowczyków: uzbrojenie i umundurowanie jego, przekazane są potomności w zbiorach pomników francuzkich Gwardyi Napoleona, a mianowicie w nieśmiertelnych obrazach Verneta i w dziele jenerała Wincentego Kraszińskiego przypisanem cesarzowi Napoleonowi: „o nauce robienia kopią, czyli lancą“ *); niewspominając o licznych obrazach artystów polskich i francuzkich; a dzieje pułku tego opisał we francuzkim języku jenerał Dautancourt, jeden z majorów i organizator pułku. Pani

**) Essai sur le Maniement de la Lance par le Comte Corvin Krasziński, Colonel commandant le 1er Régiment de Chevalégers Lanciers de la Garde Impériale, à Paris de l'Imprimerie de Cordier, rue et maison des Mathurins Saint Jacques n. 10, 1811.*

Dautancourt, wdowa, żyje jeszcze w Paryżu i może dać najlepszą wiadomość o rękopiśmie swego męża.

Sławny dziejopis Thiers rzadko wzmiankuje o tym pułku, gdy jednak podobało się temu pisarzowi wyrzec w niedokładnym opisie bitwy pod Somo-sierra te boleśnie zadziwiające słowa: *Cheveau-Légèrs polonais, que Napoléon avait formé à Varsovie, pour qu'il y eut de toutes les nations et de tous les costumes dans sa garde*, to jest „Lekko-Konny pułk polski sformowany w Warszawie „przez Napoleona, ażeby mieć w swojej Gwardyi wszystkie narody i ich stroje“, przeto żeby zbić ten gruby zarzut Napoleonowi i pułkowi naszemu przez namiętne go dziejopisa uczyniony; zaczynamy pracę naszą od podania pamięci rodaków dekretu Napoleona stanowiącego utworzenie i skład tego pułku. Oto jest ten dekret w tłumaczeniu:

„W obozie naszym Cesarskim w Finkenstein d. 6go „kwietnia 1807: Napoleon cesarz Francuzów i król Włoski, postanowiliśmy i stanowimy co następuje:

„Artykuł 1szy. Utworzony będzie pułk Lekko-Konny polski Gwardyi.

„ 2gi. Pułk ten składać się będzie z czterech szwadronów, każdy o dwóch kompaniach.

„ 3ci. Każda kompania składać się będzie:

Z jednego kapitana,

„ dwóch poruczników Iszej klasy,

„ dwóch poruczników IIej klasy,

„ jednego wachmistrza szefa,

„ sześciu wachmistrzów,

„ jednego furyera,

„ dziesięciu brygadyerów,

„ dziewięćdziesiąt siedmiu szwoleżerów.

„ trzech trębaczy,

„ dwóch kowali,

- „Artykuł 4ty. Sztab pułku będzie złożony:
Z jednego pułkownika dowódcy,
„ dwóch majorów francuzów wziętych
z Gwardyi,
„ czterech szefów szwadronu,
„ jednego kwatermistrza podskarbiego,
„ jednego kapitana instruktora wziętego
z Gwardyi,
„ Dwóch adjutantów majorów wziętych
z Gwardyi,
„ czterech podadjutantów majorów wzię-
tych z pomiędzy Polaków co służy-
li w legionach we Francyi,
„ jednego podchorążego sztandarowego,
„ czterech oficerów zdrowia, z których
dwóch Iszej klasy, a dwóch z IIjej
lub IIIjej klasy.
„ jednego podinstruktora w randze wach-
mistrza-szefa,
„ jednego artysty konowala,
„ dwóch pomocników artystów kono-
walów,
„ jednego sztaba trębacza,
„ dwóch trębaczów brygadyerów,
„ jednego mistrza krawca,
„ jednego mistrza rajtuźnika,
„ jednego mistrza szewca,
„ jednego mistrza do wyrobów broni,
„ jednego mistrza siedlarza,
„ jednego mistrza do ostrych wyrobów
(*éperronnier*) (płatnerz),
„ dwóch mistrzów kowalskiego rzemio-
sła,

„Artykuł 5ty. Żeby być przypuszczonym do korpusu
Szwolężerów, trzeba być właścicielem

lub synem właściciela, nie mieć mniej od lat 18tu, a nie więcej nad 40 lat wieku, i opatrzyć się o własnym koszcie w konia, mundur, w rządy i rynsztunek kompletne, stosownie do wydanego wzoru: co się zaś tyczy osób, któreby nie były w stanie sprawić sobie zaraz konia, munduru, rządu i rynsztunku, tym dana będzie zaliczka. Koń będzie mieć miary 4 stóp i 9 cali najwięcej, a 4 stóp 6 cali najmniej.

„Artykuł 6ty. Szwoleżery polskie Gwardyi, będą mieć tę samą płacę co strzelcy konne Gwardyi. Pobierać będą żywność, furazę, i będą mieć masy, stosownie do taryfry oznaczonej przez pułkownika jeneralnego, dowódcę całej Jazdy Gwardyi.

„Artykuł 7my. Koszt pierwszego ekwipowania, jaki będzie zaliczony przez Radę Administracyjną, tym coby nie mieli dostatecznych funduszów własnych, potrącany będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 sokołów dziennie.

„Artykuł 8my. Rada Administracyjna, Rachunkowość, rejestra, urządzone będą w taki sam sposób jak w innych pułkach Gwardyi konnej.

„Artykuł 9ty. Osoby chcące się zaciągnąć do Szwoleżerów Gwardyi, mają się przedstawiać bezzwłocznie Księżu Poniatowskiemu Dyrektorowi Wydziału Wojny, przed którym usprawiedliwią się z przymiotów i warunków wymaganych przez Artykuł 5ty powyższy. Następnie przedstawia się majorowi wyznaczonemu do organizacyi pułku; który zrobiwszy ich przegląd,

wcielili takowych do pułku i zapisze w kontroli ich wiek, opis osoby, kraj urodzenia, nazwisko ojca i matki. *Kontrola ta podana Nam będzie do Naszego podpisu.*

„Artykuł 10ty. Nasz Major jeneralny, Minister Wojny, ma sobie poleconém wykonanie tego naszego dekretu. —

Pochlebiamy sobie, że czytelnicy nasi z przyjemnością ujrzą Dekret ten Cesarski obejmujący tak widocznie, troskliwość o naszą młodzież i tę przezorność znawcy w całym urzędzeniu nowego pułku, *na wzór Strzelców konnych Gwardyi*, owego regimentu powstałego z dawnych Guidów Jenerała Bonapartego; jemu ulubionego, i którego mundur zwykle nosił. Dodajemy nawiasem: że Napoleon przeznaczył nam na Garnizon Chantilly, gdzie są sławne stajnie Kondenszów, stajnie najwspanialsze we Francyi, a jakich może i w Anglii podobnych niema. To pewna że Napoleon miał w nas wielkie upodobanie pod Somo-sierzą powtarzał: *sont-ils braves ces Polonais!* a w innej okoliczności: *ces polonais! c'est tout honneur!*

Stósownie do dekretu i do woli Cesarskiej jeszcze uprzednio objawionój, Rada Administracyjna Warszawska ogłosiła była pierwej następujące postanowienie:

Dekret utworzenia Gwardyi polakiój.

Komisya Administracyjna Warszawska.

Wola jest Najjaśniejszego Cesarza Francuzów i króla Włoskiego, żeby był utworzony pułk lekko konny Polski o czterech szwadronach, który będzie wcielonym do Gwardyi Cesarskiej, i pełnić służbę, w tych samych obowiązkach, przy Najjaśniejszym Napoleonie.

Pospieszamy oznajmić publiczności ten nowy zaszczyt który J. C. M. udziela narodowi Polskiemu, powierzając młodym ochotnikom polakim, straż swojej uświęconej osoby. Pole otwierające się nauce, zasługom i

ślawie, jest nadto szerokiém, zaszczyt nadto pociągający ażebyśmy potrzebowali namawiać, tam: gdzie zapal i patriotyzm powołują pod sztandary narodowe, większą liczbę ochotników, nad liczbę postanowioną przez nas, przez wzgląd na szczupłość funduszów. Nieprzypuszczamy więc zalecań któreby mogły ubliżyć szlachetnemu zapalowi i gorliwości znanéj narodu: polecamy tylko Izdom Administracyjnym Departamentów, żeby założyły wpisy młodzieńców do téj Gwardyi, którzy się tłumnie zgłaszają do służby wojskowej; i żeby rozpoznawszy ich usposobienie, ich moralność, ich stan zdrowia, ich wiek, wzrost i siły do ich zawodu odpowiednie, odsyłały tych ochotników do J. O. Księcia Poniatowskiego naszego Dyrektora wojny.

Każdy ma wolny przystęp do téj Gwardyi, bądź szlachcic, mieszanin czyli wieśniak; tylko złe obyczaje, nałogi, podle rzemiosła, brak wychowania i wady ciała, mogą do téj służby niedopuszczać. Wszelako każdy pragnący mieć przystęp do téj Gwardyi, powinien być właścicielem lub synem właściciela, albo mieć ręcyciela swojej wierności. Gwardya ta będzie opatrzona w mundur, w konie, w rynsztunek, i utrzymywana kosztem skarbu cesarskiego.

Ponieważ w wojsku, ludzie luźni przeszkadzają ruchom wojennym, każdy Gwardzista będzie obowiązany sam opatrywać swego konia, tego wiernego towarzysza swoich trudów.

Pospieszajcie młodzi ochotnicy, stawiać się i zasłużyć pod opieką Napoleona wielkiego, na imię wojowników; i dowieść waszém mężstwem, wytrwałością w pracy, i cnotami Polakom wrodzonymi, że zasługujecie być wcielonymi do korpusu wyborczego, narodu i wojska zwyciężkich; wywdzięczcie się krajowi, przyczyniając się do jego chwały i zasługując na pochwałę Bohatera Odnawiciela i pokojodawcy świata.

Kraj tego po was żąda, odwaga wasza tego pragnie, sława i Cesarz czekają na was.

Odezwa ta ogłoszoną będzie przez Księcia dyrektora wojny.

Działo się w Warszawie na posiedzeniu 19 Lutego 1807.

Stanisław Małachowski

Prezes.

Józef Księżę Poniatowski

Dyrektor wojny.

Jan Łuszczewski

Sekretarz jeneralny komisji administracyjnej.

Z takich to więc ochotników złożony był pułk Gwardyi polskiej. Nie nam sądzić, z jakich powodów utworzył go Napoleon; ale i panu Thiersowi, — aczkolwiek Ex-ministrowi, Mowcy, i Pisarzowi głośnemu, nie jest dano orzekać: że Napoleon zwerbował sobie *Pułczek* w Warszawie, dla pokazania Paryżanom: *kurtek i czapek* polskich.

Pułk nasz był złożony, nie tylko z ochotników, ale z kwiatu młodzieży całego kraju; dość jest przejrzyć pobieżnie nazwiska które nam się nawet w tym szczupłym artykule nasuną; żeby się przekonać: iż ten pułk nie składał się z synów kraju który zwano *Prusami południowemi*, ale że złożony był z młodzieży przybywającej, od Czarnego i Bałtyckiego morza; od Dniepru i od Karpat, słowem, ze wszystkich zakątków dawniej Polski. Byli to po największej części studenci, ale i wiele było takich, co w obcych wojskach naukę i doświadczenie wojskowe pobierali; byli to, w ogólności tacy: którzy nie dla utworu Księstwa Warszawskiego, domy ojcowskie opuścili, lecz byli ożywieni tym duchem, jakim tchnie dekret rady administracyjnej, Rządu związanego w Warszawie.

Istotnie Pułk ten, był rodzajem reprezentacji krajowej przy Napoleonie mającej połączyć cnoty odziedziczone

z wykształceniem jakiego położyły zaród komisya Edukacyjna i sejm czteroletni, a które miał uzupełnić twórca kodexu ustawy dla kraju. Dla tego w pułku naszym nie znano innej różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje: odznaczenie, zasługa, zdatność, nauka, lubo w sztabie pułku nie było księdza kapelana, nie brakowało na uczuciach religijnych, jakie kto przyniósł z rodzinnego domu; zresztą nie pytano się o wyznanie, o ród, o majątek, i tym podobne przedziały klas towarzystwa ludzkiego; śpiew ulubiony pułku, zawierał tę zasadę: Wszyscy bracia, bo Polacy, kochajmy się wszyscy razem! i tak w korpusie Officerów, widziano a w szeregach obok Radziwiłłów, Giedrojców, Kilińskiego, *) Kocha, i innych synów miasta Warszawy; a w szeregach znaleźć można było, starozakonnych ożywionych przykładem Berka majora, i Tatarów Mahometanów, których po wyprawie r. 1812 była cała kompanija stanowiąca szwadronik bojowy ubrany po Tatarsku.

Z przytoczonego dekretu Napoleona, przekonają się nasi czytelnicy, że Szwoleżery polskie, były *starą gwardią od początku formacyi*, całkiem assymilowani do strzelców konnych gwardyi. Jeżeli po pamiętném natarciu pod Somosierrą, Bulletin urzędowy Nro. 13 z d. 2 grudnia 1808, zawiera te słowa: *ce régiment s'est couvert de gloire et a montré qu' il était digne de faire partie de la Garde Impériale*, to jest: „pułk ten okrył się sławą, i dowiódł, że jest godzien być częścią gwardyi cesarskiej“ to bynajmniej niema znaczyć: że dopiero za ten czyn był przyjęty do gwardyi, ale że: będąc pułkiem młodym, obcym, którego tylko jeden oddział był pierwój odznaczył się pod Rossco, okazał się w oczach Cesarza, *godnym* tej łaski, do której go powołał jeszcze w Warszawie i w Finkensteina.

*) Syn sławnego mowca pułkownika.

Równie błędnie, niektórzy przyjaciele nasi mniemali, że dopiero za bitwę pod Somo-sierą, przeszliśmy z młodej na starą gwardyę. — Kiedy Napoleon podpisał dekret naszej formacyi, nie było jeszcze młodej gwardyi, a przynajmniej, nie było jej z pewnością w jeździe. — W naszym zaś dekrete, wyraźnie stoi, że mamy zółd i całą organizacyę na wzór najdawniejszego pułku gwardyi konnej, strzelców konnych.

Inni twierdzili: że za nagrodę nadzwyczajnego natarcia pod Somo-sierą, otrzymaliśmy zaszczyt: tworzenia czoła kolumny gwardyi konnej francuzkiej. Rzecz się ma inaczey: zawsze, najłżejszy i najmłodszy oddział, jakiegokolwiek broni, *we wszystkich wojnach*, postępuje przodem. Póki pułk polski był najmłodszym w jeździe gwardyi cesarskiej, szedł na czele; gdy później, Cesarz utworzył pułk ułanów hollenderskich, ci zajęli czoło kolumny, a ustąpili go znowu, pułkiem *des gardes d' honneur*, i *des Eclaireurs*, jakie w ostatnich czasach napoleońskich nastąpiły.

Dodać jeszcze musimy, dla sprostowania licznych w tém pomyłek: że do końca roku 1809, nie byliśmy uzbrojeni w kopije, czyli lance; mieliśmy karabinki, pistolety i pałasze, byliśmy *czysto Szwoleżerami*, dopiero dostawszy do powyższej broni jeszcze kopije w obu szeregach, zostaliśmy przezwani: *Cheval-Légers Lanciers polonais de la Garde*; gdy jednak to uzbrojenie, okazało się uciążliwem i niestosownem, wróciliśmy się do przyjętego przez sławnych Ussarzów polskich zwyczaju: że tylko pierwszy szereg był uzbrojony w kopije czyli lance, a drugi szereg został przy karabinkach, ma się rozumieć i pałaszach. Takie uzbrojenie jazdy polskiej, okazało się najskuteczniejszem; lecz nie tu jest miejsce rozpisywać się nad temi szczegółami, należącemi do taktyki jazdy.

Łabo umundurowanie pułku jest znane z wielu obra-

zów, i szczegóły tego umundurowania nie dadzą się tak *opisać* jak wyobrazić, nie zawadzi podać i o tém jakąkolwiek wiadomość czytelnikom, a pamiątkę synom naszym.

Z początku, gdy ochotnicy, więcej mieli upodobania w mundurach, niż doświadczenia wojskowego; postanowiono dwie barwy mundurów: Paradny, biały; służbowy, granatowy; a te dla oficerów, znowu podzielono: na wielki i mały mundur; wielki był polski, to jest: kurtka, mały francuzki, to jest: frak; prócz jeszcze surdutów dla oficerów, szpencerów dla szeregowych, płaszczów i różnych dodatków. Sądziły zapewne wnuki dawnych Ussarzy, że kolebki i skarbniki cztero konne, będą za nimi ciągnąć. Miał więc *cały* pułk *jednostajne* polskie czapki, karmazynowe sukienne pikowane, z przodu metalowem złożoném pół-słońcem ozdobione, a w środku tego promienistego pół-słońca, była na białém dnie, litera N, złocista, z podobnąż koroną cesarską. Potrzeby wszelkie u czapki, były u oficerów srebrne; u pod-oficerów, półsrebrne, pół jedwabne karmazynowe; u brygadierów i szeregowych, białe; toż ma się rozumieć o szlifach i akselbantach, które ostatnie, w wojsku francuzkiem były oznaką gwardyi lub żandarmeryi. Okucie daszka czapki łańcuszek do podpinania, i inne metalowe przybory, u oficerów srebrne, u reszty posrebrzane. W paradzie zakładali wszyscy do czapek, pióra białe, wykwintne, strusie lub kapłonie. Oficerowie starsi aż do szefa szwadronu włącznie, mieli czapki karmazynowe aksamitne, pikowane srebrem, i kity z piór czaplich. — W marszu chowały się wszelkie ozdoby, lub pokrywały pokrowcami — prócz szlif i akselbantów — a czapki osłaniały się ceratą, czarną.

Atoli oprócz czapek *jednostajnych*, miały być od parady, kurtki białe, z wyłogami karmazynowemi bogato

srebrem haftowanemi, i spodnie karmazynowe z lampasami srebrnemi; — zaś balowe fraki, podobnież białe, z wyłogami karmazynowemi i takim samym haftem jak kurtki. Kiedy te paradne mundury białe postanowiono nie spodziewano się zapewne, że nim połowa pułku opuści Warszawę, pierwsze oddziały będą się już były w Hiszpanii, w Madrycie d. 2 maja, i pod Rioseco d. 14 lipca 1808. Gdy więc wkrótce okazało się, że nasza gwardya nie do salonów dworskich, ale do obózów i wojny stworzona, i że przy pułku nikt, prócz starszych oficerów sztabowych, bryczki mieć nie może, przeto wkrótce zaniechano tych mundurów paradnych białych, i przyjęto *jednostajne* kurtki granatowe, z wyłogami karmazynowemi rozpiętymi, a spodnie granatowe z lampasami karmazynowemi, za strój od parady; wyłogi miały u oficerów wszelkiego stopnia letki haft srebrny nakształt łańcuszka; zaś u pod-oficerów i szeregowych, galonki srebrne; — na paradę były wyłogi rozpięte, kurtki na haftki zapinane; a oficerów szarfy srebrne karmazynem przerabiane; na służbę i marsz, były kurtki na krzyż zapięte i rajtuzy skórą podszyte. Spodnie karmazynowe, pozostały tylko u Sztabsoficerów do ich woli. Rzemienie, to jest: pasy do pałasza, na kłamrę z orłem francuzkim, pas do ładownicy, owo zgoła wszystkie rzemienie, białe, starannie czyszczone; to samo wszystko u oficerów srebrne, safianem czerwonym podszyte. Płaszcze były u oficerów granatowe, surduty także, furażerki oficerskie były to konfederatki karmazynowe z barankiem czarnym. Pod-oficerowie i szeregowi mieli płaszcze białe z kołnierzem karmazynowym; furażerki zaś kroju francuzkiego, o trzech kolorach polskich. — Trębacze byli zrazu, ubrani całkiem karmazynowo, z wyszywaniami srebrnemi i białemi — lecz później, przybrali czapki białe z piórami czerwonymi, i kurtki białe z wyłogami karmazynowemi, zresztą po-

dzielali ozdoby właściwe całemu pułkowi — siedzieli na koniach siwych, czapraki mieli karmazynowe. Zaś czapraki w całym pułku były granatowe; ozdobne z frontu po obu bokach literą N. z koroną, a po tylnych końcach, orłem cesarskim także z koroną; to wszystko u oficerów srebrem, u niższych rang i szeregowych, suknem białem i sznurkiem karmazynowym wyszywane; rzęd na konie ozdobny, mantelzaki karmazynowe. — To wszystko, jakkolwiek tylko *w skróceniu opisane*, sprawiało i z osobna, a więcej jeszcze w massie, widok zajmujący; żaden pułk gwardyi francuzkiej konnej, nie miał tyle i tak gustownego blasku; te pióra strusie na skłiniących karmazynowych czapkach, te barwy, niegdyś mundur Igo województwa krakowskiego stanowiące, tak pięknie dobrane, biała, granatowa i karmazynowa, sprawiały nie tylko w paradzie, ale nawet i w marszu, widok ujmujący; gdy do tego przybyły jeszcze proporce, pół-białe, pół-karmazynowe, postawa pułku stała się jeszcze bardziej zachwycającą.

Wszakże był ten mundur naśladowaniem — lecz o dnużo wydoskonaloném — dawnej kawaleryi narodowej, i gdy książę Józef Poniatowski lustrował pierwszy oddział pułku, wyruszając z Warszawy na bitwę pod Friedland; wyrzekł: „ach! jak mi to przypomina kawaleryą narodową! to jest istna kawalerya narodowa“... było w tém zdaniu i trochę urągania; książę nie miał dobrego wyobrażenia o naszej karności... nie przewidywał książę, jak się prędko wykształcimy przy wzorach starej gwardyi francuzkiej... a gdy wr. 1813 na rewii pod Dreznem, *piętnaście* szwadronów bojowych naszego pułku przed Napoleonem galopem przeciągało, przywołał Cesarz księcia Poniatowskiego, który świeżo z Krakowa był przyciągnął, i spytał go Napoleon: „a co Książę! czy masz co podobnego?“ na to książę

Józef odrzekł: „co do powierzchowności, nie mam, ale mam równe co do wewnętrznej wartości.“

Jakkolwiek bądź, nieubliżając bynajmniej mężstwu i karności pułków jazdy polskiej; nikt nam nie zaprzeczy: że skład pułku, z którego szeregowi, wychodzili na oficerów do innych pułków różnej broni, musiał stać moralnie wyżej, od wszelkich innych; jakoż był gwardya Napoleona. Widzieliśmy z dekretu formacyi, jaki był skład pułku naszego przy jego tworzeniu się; później po pierwszej wyprawie hiszpańskiej w r. 1808, gdy ubytek w pułku był znaczny, tak przez straty w boju jak i przez awans naszych szeregowych i pod-oficerów niektórych na oficerów do pułku konnego i pieszych legii nadwiślańskiej, zaczęto wybierać ochotników, do skompletowania naszej gwardyi, z całego wojska polskiego pozostałego w księstwie Warszawskiem, bez różnicy broni. Ochotnicy ci, tak oficerowie, pod-oficerowie i bardzo odznaczeni szeregowi, podawali się sami, a komisya na to wyznaczona, rozpatrywała ich usposobienia; byli oficerowie co przybywali w równej randze do gwardyi, ale byli i tacy, co przybywali na prostych szwoleżerów; z zapału do walczenia blisko pod okiem wielkiego bohatera, i zachwyceni wiadomością o sławie pułku a mianowicie u Somo-sierry. Później jeszcze, po roku 1809, utworzono w Warszawie zakład pułku dla trudnienia się wybieraniem ochotników z pułków na dopełnienie gwardyi, i skupowaniem koni. — Zakład ten istniał w Warszawie, aż do końca r. 1812, potem przeniósł się do Krakowa, i z księciem Poniatowskim przybył do Drezna w r. 1813.

Musimy jeszcze czytelnikom naszym objaśnić, jak to na rewii pod Dreznem wyżej cytowanej, pułk nasz mógł mieć piętnaście szwadronów? ... Według dekretu cesarskiego pierwotnego, pułk składał się z czterech szwadronów, a z ośmiu kompanij — lecz gdy w wojsku

francuzkiem *dwoczesném*, szwadron manewrowy czyli bojowy, składał się z czterech plutonów po dwanaście rot, więc rozróżnić trzeba: Szwadron „etatowy” — *Escadron de Comptabilité* — od szwadronu „w boju” lub na „mustrze” *escadron de manoeuvre et de guerre* miał więc pułk zrazu, cztery szwadrony *Etatowe* po 250 koni, co tworzyło dwa małe szwadrony na mustrze i w boju; a zatem miał pułk w początkach, gdy się złączył w Hiszpanii w r. 1808, szwadronów bojowych ośm. —

Ale później przybyły szwadrony *Etatowe*: piąty, szósty, siódmy, po 250 koni każdy, i jeszcze w r. 1813 kompania czyli szwadronik tatarów, tak, że pułk nasz, podczas zawieszenia broni, występował w roku 1813 w Dreźnie, w *piętnaście* szwadronów, to jest przeszło 1500 koni. Trzeba albowiem wiedzieć, że w r. 1812 w Wilnie, Cesarz dekretował utworzenie pułku Gwardyi Litewskiej, zupełnie do naszego assymilowanej, z tą dawną w Polsce używaną *różnicą*, że pułk Litewski zamiast ozdób *srebrnych* i białych, miał ozdoby *złote* i żółte. Ten pułk miał szwadronów cztery — niewiem jak licznych? — formował się w Warszawie, pod dowództwem Jenerała Konopki, który będąc Majorem w naszym pułku, postąpił w Wilnie na dowódcę Gwardyi litewskiej i kadry do niej z naszego pułku dostał. Gdy zaś ten pułk został w Słonimiu rozbity, przez Jenerała rosyjskiego Czaplica (Polaka), więc co uszło z tej nieszczęśliwej porażki, lub co z tego pułku pozostało w Warszawie, to wszystko zostało wcielone do naszego pułku; szwadron *piąty* został sformowany w Gdańsku przez Seweryna Fredrę, z ochotników Wileńskich; szwadron *sósty* z reszty Gwardyi Litewskiej, przez Ambrożego Skarżyńskiego; szwadron *siódmy* z ochotników Krakowskich, przez Stanisława Roztworowskiego.

Tyle dajemy szczegółów czytelnikom naszym, *pobieżnie*, o pułku Gwardyi polskiej Napoleona. — Okazały się

w latach 1854 i 1855 dwa dzieła, z których ciekawi, mogą więcej zasięgnąć wiadomości o naszym pułku: jedno w Poznaniu przez pułkownika Niegolewskiego, drugie w Paryżu bezimiennie. Do tych źródeł odayłając naszych czytelników, przystępujemy do sprostowania zdań i powieści o naszym pułku, jakie nam się w różnych pismach polskich, a mianowicie w „*Czasie*“ czytać zdarzyło; i dodając niektóre uwagi nasze o zasługach tego pułku względem kraju.

Pierwszy zarzut był naszemu pułkowi uczyniony, o ile nam jest wiadomo, w r. 1853 w Nrze 8em *Czasu* z dnia 12 stycznia.

Referent czyli raczej korespondent *Czasu* paryzki, z lekceważeniem wspomniał, jakoby o *czynię* naszego pułku, kiedy mu się nawinęła potrzeba wzmiankowania o mieście Chatellerault. Odpowiedzieliśmy na ten lekkomyślny niby żart w Nrze *Czasu* 22 z dnia 28 stycznia że cała ta anegdota, jest albo zmyślona, albo zaraz w początkach tej wieści *przesadzona* jednakże przez złośliwie żartobliwych Francuzów, coraz bardziej wzrasta, tak dalece iż *obecnie*, córki tego miasta, polkami nazywają. Odsyłamy czytelników do wyż cytowanych NNrów *Czasu*, nie powtarzając tu, cośmy tam powiedzieli o mylności tego zarzutu uczynionego statkowi naszego pułku; gdyż jeżeli się co podobnego w małej mierze przytrafiło, to nie w pułku jazdy, a tém mniej w Gwardyi polskiej.

Drugi pomysł obrażający pamiętkę naszego pułku, a mianowicie zasłużonego pułkownika Kozietulskiego, był to obraz na wystawie sztuk pięknych w Krakowie w r. 1855 zamieszczony. Obraz ten olejno malowany *jakoby* bitwy pod Somo-sierą, wystawia Kozietulskiego rąbiącego z zawziętością dwóch księży Dominikanów: Umieściliśmy w *Czasie* z dnia 27 miesiąca kwietnia z r. 1855 N. 95 artykuł, na ten obraz ubliżający prawdzie i uczu

ciom Religii, tak samego Kozietulskiego, jak i naszego pułku w ogólności: powiedzieliśmy, że natarcie pod Somo-sierrą odbyło się na artylleryą i regularne wojsko Hiszpańskie, że tam żadnego duchownego widać nie było, i że walka szefa szwadronu dowódcy całego natarcia, z bezbronnemi mnichami, jest ubliżającą jego pamięci i pamięci pułku Gwardyi polskiej, a zatem i imieniomu polskiemu; do tego więc naszego artykułu w *Czasie* Czytelników odsyłamy.

Później, napotkaliśmy, w kalendarzu krakowskim p. Józefa Czecha na r. 1856 powieść: niby starego majora, z resztą z niepospolitym talentem napisaną, jakoby tenże Weteran opowiadał, dla zbudowania młodych słuchaczy przygodę bitwy pod Somo-sierrą, na przykład i naukę jak to bezbożność w wojnie karana bywa; a zatem powieść ta, ma za przedmiot, brak religii w pułku Gwardyi polskiej. Autor wystawia nietylko rabunek miasta Lermi przez wojsko Francuzkie, ale rabunek kościoła katolickiego przez szwoleżerów polskich Gwardyi, co więcej, przez Officera Polaka! następnie, zanotowanie sobie przez opowiadającego nazwisk wszystkich tych bezbożników; aż w krótkce pokazało się, że ci co polegli pod Somo-sierrą, w liczbie pięciudziesiąt siedmiu, byli ci sami których nazwiska ów Weteran, wówczas Wachmistrz starszy w szwoleżerach Gwardyi, naznaczył był sobie krzyżykami!.... Niema potrzeby zajmować czytelników poszczególnym rozbiorem i zbijaniem téj powieści; żyje nas, między innemi trzech kolegów z pod Somo-sierry w Galicyi: prócz mnie piszącego, pułkownicy Piotr Krasinski i Gabriel Siemoński; a czwarty kolega, pułkownik Jędrzej Niegolewski w Poznańskim: pytałem się tych wszystkich czy wiedzą co o rabunku miasta Lermi w pochodzie od Burgos pod Somo-sierrą, a mianowicie o rabunku tamiecznego kościoła przez Gwardyą polską? albowiem ja, który przez dni kilka bawiłem w Lermie,

i co wiele szczegółów tamecznych pamiętam, nie podobnego ani widziałem, ani przypuścić mogę. Kolledzy, odpowiedzieli mi wszyscy mniej więcej z *oburzeniem* a najmocniej Niegolewski: ta cała powieść jest nam niezrozumiałą, bo w jednych miejscach ukazuje ślady, jakoby opowiadacz miał jakie takie wyobrażenie o kraju Hiszpańskim i o składzie pułku Gwardyi polskiej; w innych zaś miejscach, objawia najzupełniejszą niewiedomość, i sam z sobą jest częstokroć w sprzeczności, jako to: Pan major popisывał się pod Rioseco i *wytrzepawczy tam porządkie Hiszpanów*, jak się wyraża, wszedł z tryumfem do Madrytu... zapomina więc Pan major, że szwadron Wincentego Radziwińskiego, co walczył 14 Lipca pod Rioseco, nie był w Madrycie wcale, aż dopiero po zajęciu téj stolicy przez Napoleona w *Grudniu*. Zapomina również, że szwadrony co wkroczyły do Madrytu *na wiosnę* jeszcze z Muratem, pod dowództwem samego pułkownika Wincentego Krasieńskiego, i szefów szwadronu Tomasza Łubieńskiego, i Jęna Kozietulskiego, wyszły z Madrytu, także właśnie tego samego dnia 14 Lipca, którego Radziwiński walczył pod Rioseco; szwadrony te szły w pomoc Marszałkowi Bessières i złączyły się z nim pod Rioseco, ale już po bitwie; zapominał więc opowiadacz że cały oddział Gwardyi polskiej, jaki był w Madrycie, opuścił to miasto, nie doczekawszy się mizernego wejścia króla Józefa do nie swojej stolicy, ani sromotnej jego z niej ucieczki.—To znowu opowiadacz robi Kozietulskiego *swym Rotmistrzem*; ten każe mu ludzi wolać do apelu; jakiś adjutant Cesarski, daje Kozietulskiemu rozkaz *mon Capitaine! faites charger ces coquins.là...* same szczegóły mylne. Kozietulski nigdy nie był w naszym pułku Rotmistrzem czyli kapitanem; żaden Wachmistrz Szeł czyli Wachmistrz starszy, nie czytał przed nim apelu;... Kozietulski był Szełem szwadronu, to jest: miał rangę pułkownika; żaden Adjutant cesarski, nie byłby się wazył

przemówić do niego, inaczej jak: *mon colonel!* — bo marszałkowie, sam Napoleon nawet, dawali Szetom szwadronu i batalionu Gwardyi tytuł pułkowników. Kozietułski był dowódcą drugiego szwadronu, składającego się z 2gięj kompanii, kapitana Jerzmanowskiego, i 6tęj Kapitana Radziwińskiego — które to dwie kompanije, były się już dawno przed Somo-sierrą połączyły, to jest: oddziały z Madrytu i z pod Rioseco; bo cały pułk czyli wszystkie ośm kompanij, i te, co były już dawniej w Hiszpanii i te co nadciągnęły z Polski, były się zeszyły między Pancorbo i Briwieską i stały obozem, podzielone na dwa Regimenta, każdy o czterech szwadronach bojowych; Iszy regiment pod pułkownikiem Krasieńskim stał pod Santa Maria de Cobo, 2gi pod Majorem Dautancourt przy Briwiesce. — Kozietułski pod Somo-sierrą nie nacierał ze swoim 2gim szwadronem, ale z 3cim składającym się z kompanij: 3cięj kapitana Dziewanowskiego i 7ej kapitana Piotra Krasieńskiego; — Szefem szwadronu 3go, był Ignacy Stokowski; ten nie był jeszcze osobiście zdążył do Hiszpanii, i dla tego, Adjutant major kapitan Duvivier, — jak to dobrze pamiętam — o brzasku dnia pod Bocequilas, kommanderował na służbę z *kolei* Szefa Szwadronu Kozietułskiego; i tym to sposobem, ten znakomity officer, prowadził do boju 3ci szwadron. — Jeszcze jedną — a to grubą militarną pomyłkę popełnił opowiadacz *pan major* mówiąc: „z tém wszystkiem gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasięk zrobili na gościeńcu, „i *djabły* nic by nie wskórali.“ Najpierw niech daruje pan major! ale to wyraz *nie religijny*, a powtóre, myli się: bo był zasięk, czyli raczėj rów przez gościeńiec przekopany; i właśnie póty Napoleon jazdy nie wysłał, póki piechota, rowu tego, chrustem i kamieniami nie zasypała.

To są szczegóły, może mało czytelnika obchodzące

ale dające poznać: że nie każdemu wolno bawić się powieścią z czasów *tak bliskich*, gdzie jeszcze uczestnicy czynu opowiadanego żyją, a które są tak ważne dla imienia polskiego. Podobne sceny: rabunku, mordów bezowocnych i bezbożności, może niestety! godzi się *wydybywać z zapadłych pamiątek* Lissowczyków, ale nie z szeregów Gwardyi Napoleona, której reprezentanci czuwają jeszcze nad jej sławą; lubo rozproszeni po szerokim kraju który ich za szlachetniejszym przeznaczeniem powołał z ojczystych progów do boju. Z jakiego czasu i opowiadacza, pochodzi ta krzywdząca nasz pułk i pamięć bohaterów Somo-sierry anegdota; okazuje najlepiej włożona w usta Koziętulskiemu komenda: *En avant Marche marche!* Ten rodzaj komendy podwójnego marszu, nie istniał w Regulaminie francuzkim; ani w piechocie, ~~tem~~ mniej w jeździe; pierwszy raz taką komendę usłyszeliśmy z chrapliwych ust W. Księcia Konstantego.

Jakkolwiek bolesno nam jest czytać tę potwarz, rozpowszechnioną przez kalendarz krakowski, stosujemy się do zdania kolegi Niegolewskiego: że ta plotka nie zasługuje na odpowiedź, i opuszczamy ją: gotowi każdego czasu podnieść rękawicę w obronie moralności i religijności naszego pułku, gdyby tego zdarzyła się potrzeba.

Wszelako przychodzi nam na pamięć wypadek zdarzony przed frontem *tego samego 3go szwadronu*, o którym dotąd była mowa: w jednej wielkiej bitwie, gdy kule armatnie ostro grały, zdarzyło się, że szwoleżer młody uchylił głowy przed przelatującą nad nim kulą armatnią; żołnierze sąsiedzi, zaczęli na niego powstawać i chcieli żeby ustąpił z szeregu. Szef Szwadronu 3go Ignacy Stokowski, dawny legionista, słysząc to, odwrócił się do frontu i rzekł mniej więcej te słowa: „koledzy nie miejcie za złe młodemu, wrażenia jakie na nim pierwszy ogień robi, ja wiem że on się przy bli-

skiej sposobności odznaczy; a ty młodzieńcze przeznaj się, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! i bądź przekonany, że ci się nie stanie bez Boskiej woli.“ Jakoż wkrótce po kanonadzie, nastąpiły kilkakrotne natarcia jazdy, i młody szwoleżer istotnie się odznaczył.

Jakkolwiek szkoda było talentu autora powieści, o owęj bezbożności ziomków i karze zań; była to wszelako tylko powieść; coś nakaztał owych z Tysiąca nocy i jednej; fikcya, pogadanka przy kominku, bez pretensyi do prawdy;... ale kiedy się cytuje po imieniu i nazwisku żyjących działaczy, nie wolno jest pisać o nich, bez ich osobistego zezwolenia.

W Tygodniku Warszawskim Nr. XV, w *Czasie* z d. 19 kwietnia 1855, czytamy relacyą o bitwie pod Somo-sierą, jakoby pochodzącą *wprost*, od kapitana Wincentego *Tedwena*. Znamy tego zacnego kolegę, znamy jego dzielność, możemy powiedzieć jego cnoty, i dla tego właśnie, pokładamy zdanie, że relacya o Somo-sierze, tak jak jest wydrukowaną w *Tygodniku Warszawskim* nie jest wierną opowiadaniu kapitana Tedwena. Jakoż i autor *Tygodnika* sam pisze: „Tedwen jeden z naocznych świadków tej sławnej rozprawy, żyje do dnia dzisiejszego, a będąc w miesiącu grudniu 1853 w Warszawie, opowiadał sam ciekawe szczegóły dotyczące tej bitwy, które jeden z obecnych skreślił do swych notat i nawet odczytał je w pewnem literackiem gronie; zrobiłem za pozwoleniem właściciela tych notat, wyjątek z tychże, i podaję tak jak wyszły z ust starego wojaka.“ — Otóż to tej *autentyczności* opowiadania Tedwena, zaprzeczamy; mała okoliczność: ale Tedwen nie mówiłby: „Napoleon widząc leżących zabitych *ulanów* naszych“ bo dobrze wiedział, że w ten czas *ulanami* nie byliśmy; powtóre: choćby Tedwen i miał był kontrolę w czapce, to chyba swego plutonu, bo nigdy nie był Wachmistrzem sze-

fem, a choćby i był, to by był tylko jedną kompanii, a w tekście *Tygodnika* stoi: „*kontrolla szwadronu, którą miałem w kaszkiecie*”; i tego wyrazu *kaszkiet* nie byłby Tedwen jużyl, bośmy kaszkietów nie mieli; a to tém mniej, że téj kontroli nie mógłby użyć chyba dla przypomnienia o *stu* naszych — ma się rozumieć poległych — braciach bo w całym szwadronie złożonym z dwóch kompanij 3ciój i 7mej niezginęło tylko 57 ludzi, a więc z jedną kompanii nie mogło ich zginąć sto.

Lubo pamięć nasza o naturze wawozu Somo-sierry, aczkolwiek go po dwakroć przebywaliśmy, po 48 leciech trochę mgłą zaszała; nie można, — nawet militarnie — na to przystać: żeby wawóz Somo sierry, nie miał długości, „wiele więcej *nad pół wersty*.” — Prawda że w r. 1808 ani piszący, ani Tedwen nie mierzyliśmy drogi do sławy *na wersty*; w téj więc mierze, nam obu *nowej*, możemy się obydwaj mylić, ale nam się zdaje, że wawóz był znacznie dłuższy.

Twierdzić zaś że wszelkie usiłowania Francuzów o zdobycie téj pozycyi *spetzty na niczem*... to jest zapominać: czém był *obecny* Napoleon, i czém był cały korpus pierwszy wojska marszałka Victor; wreszcie, któżby był zabronił Napoleonowi, obejść tę pozycyę? lub maszerować na Madryt, z Burgos głównym traktem? — Bardzo dobrze w tym punkcie odpowiada za nas, *literatowi Warszawskiemu* dziejopis Thiers, oto są jego słowa: *Napoléon voulant apprendre à ses soldats qu'il fallait avec les Espagnols, ne pas regarder au danger, et leur passer sur le corps, quand on les rencontrait, ordonna à la cavalerie légère de la Garde, d'enlever au galop tout ce qu'il y avait devant elle* a po dokonaniu zdobycia wawozu, tak się pan Thiers wyraża: *Napoléon fut enchanté d'avoir prouvé à ses généraux ce qu'étaient les insurgés Espagnols, ce qu'étaient ses soldats, le cas qu'il fallait faire des uns et des autres et d'avoir*

franchi un obstacle qu'on avait paru croire très redoutable *).

My do tego dodajemy: że Cesarz byłby niezawodnie zdobył wążów Somo-sierry piechotą, ale by to kosztowało kilka tysięcy zabitych i rannych, wtenczas kiedy zdobycie impetyczne przez jazdę, nie poniosło i stu ludzi straty; to jest tą zagadką militarną, na której rozwiązanie, posłał Napoleon Polaków; bo znał skład tego pułku, że każdy gotów był lecieć oślep na śmierć, dla sławy kraju, dla honoru pułku, a zwłaszcza w oczach jego samego.

Nieprzypuszczamy więc żeby uwagi nad trudnością zdobycia Somo-sierry pochodziły od kolegi *starszego* Tedwena — było albowiem *dwóch* tego imienia oficerów w pułku — a jakkolwiek szacujemy osobę i pamięć kapitana, nie możemy pozwolić na to *pod żadnym względem*, żeby marszałek Berthier, miał przedstawiać Cesarzowi, że to natarcie jazdy na armaty Hiszpańskie było niepodobieństwem, również nie wypada nam *zaprzeczać zupełnej możliwości*, żeby kolega Tedwen, który na ówczas był tylko Wachmistrzem, nie miał w kilka dni potem, rozmowy z majorem jenerałnym, marszałkiem Berthier, księciem de Neufchatel, ale byłoby to szczęście osobliwsze dla wachmistrza, bo Berthier był arcy-małowównym, suchym i niekoniecznie sprzyjającym sprawie Polaków. Wszakże nie ma w takowem rozmawianiu majora jenerałnego jeszcze niepodobieństwa — lecz pomnożenie *istotnych* ran Niegolewskiego *jedenastu*, aż do liczby *trzy-*

*) Napoleon, chcąc nauczyć swych żołnierzy że spotkawszy się z Hiszpanami nie trzeba zważać na niebezpieczeństwo ale iść na próbę, dał rozkaz lekkiej kawalerii gwardii aby galopem zdobyła wszystko co przed sobą znajdzie.... Napoleon kontent był bardzo że dowiedział swym jenerałom co to byli powstańcy hiszpańscy co to byli jego żołnierze, jak trzeba się obchodzić z jednymi a jak używać drugich; że przebył zaporę którą uważano za straszną przeszkodę...

dziestu dwóch! czyni podejrzanym o przechwałkę nie jeden szczegół téj relacyi o Somo-sierze, przypisanéj Tedwenowi. To tylko z téj Relacyi z upodobaniem uważamy: że oprócz wiadomych nazwisk oficerów co polegli pod Somo-sierrą, czytamy nazwiska: Benedykta Zielonki i Wincentego Dobieckiego, jako oficerów 3go szwadronu, i że ta relacya podaje siłę nacierającego szwadronu: Sto dwadzieścia pięć koni. W tych obu szczegółach zgadzamy się; lubo szanowny kolega Niegolewski, w obu tych przedmiotach jest innego zdania. Każdy z nas może się mylić, bo jest temu, jak się już powiedziało, lat 48; ale ja wiem dowodnie, kiedy Zielonka i Rudowski — między innemi — zostali oficerami, bo w téj samej nominacyi ja awansowałem na porucznika 1éj klasy, a Zielonce darowałem szlify i akselbanty oficerskie w których odbył bitwę pod Somo-sierrą, ale w kurtce wachmistrzowskiej; zaś Rudowski poległ w kurtce niby oficerskiej ale jeszcze niehaftowanej; nie tyle pamiętam: czy na ten czas także Wincenty Dobiecki został oficerem, lecz to wiem, że był pierwéj wachmistrzem szefem, w kompanii 7éj, zaś Zielonka, nigdy nie był wachmistrzem szefem, *choc tak stoi* w opisie Somo-sierry przez generała Łubieńskiego, o którym będzie mowa później.

Wrócimy jeszcze do opisu osnowanego na opowiadaniu kapitana Tedwena, ale teraz przejdziemy za przewodnictwem tego samego *Tygodnika Warszawskiego* do nekrologu kapitana naszego *Romana*, w zeszycie IIIcim Cmentarza Powązkowskiego, wydanego w Warszawie r. 1855 przez czcigodnego Kazimierza Władysława Wójcickiego; który to nekrolog i przypisy do niego powodowały autora *Tygodnika Warszawskiego* w *Czasie* ująć się za — jakoby zapomnianym — kapitanem Tedwenem, i umieścić poprzednio rozebrany przez nas artykuł o nim.

Otóż względem pochwały walecznego kapitana *Romana*, jesteśmy tego samego zdania co względem *Tedwena*, że oni oba: *co innego, albo inaczej opowiadali*, a przyjaciele *inaczej* opisali; nie pomni na tę przestrożę: że niema nic gorszego jak niezręczny przyjaciel.

Oba koledzy byli wachmistrzami pod Somo-sierrą, oba byli w nacierającym szwadronie, oba się odznaczyli, obu znaliśmy, kochaliśmy, poważaliśmy, ale gdy niebyli officerami w czasie natarcia, a przeciwnie kilku officerów nacierających zostało przy życiu; bo był jeszcze porucznik Iszėj klasy Wincenty Szeptycki z kompanii 7, którego artykuł o Tedwenie nie wspomina, więc na próżno przyjaciele Wincentego Tedwena i Wiktora Romana twierdzą z sobą sprzecznie jakoby każdy z nich pozostał najstarszym przy końcu natarcia. Autor *Tygodnika* zadziwia się: dla czego nekrolog Romana ani razu nie wspomina o Tedwenie? a sam podając nam jakoby relacją z ust Tedwena, znowu w niej o Romanie ani słowa nie zamieszcza. Dla czego? bo oba byli tylko wachmistrzami, a starsi od nich officerowie żyli. My wszyscy zaś dotąd przyznajemy to Niegolewskiemu jednemu, co przyjaciele Tedwena i Romana, chcą w niepojęty sposób im obudwom przypisać. Tém boleśniej jest dla piszącego czytać dalej: jakoby Napoleon miał gdzieś w jakiejś niedopytanėj twierdzy przez Romana zdobytėj gdy go ten w bramie przyjmował, poklepać go po ramieniu i wyrzec: „tu cię poznaję ostatni dowódzco szarzy na Somo-sierra“!?

Co się tyczy obrony kapitana Brockiego od niewoli, to się działo w okolicach Moskwy, niezaprzeczamy że Roman zrobił co mógł dla obrony swego starszego, ale nie w sposób tak niezrozumiały, i że szanowny Alexander Brocki kolega nasz ukochany, późniejszy radzca Komissyi Skarbu Królestwa Polskiego, nie uszedł wówczas niewoli, i nie wrócił do Warszawy aż po ukończo-

nę wojnie. Nieślyszeliśmy nigdy o zakładzie z officerami Jazdy nieprzyjacielskiej, jakoby ich Roman czterech uzbrojonych w pałasze pobić miał sam jeden lancą, i że skutkiem tego, odbył z temi czterema officerami nieprzyjacielskimi pomyślnie cztery pojedynki na pałasze.

Niewiem kto redagował text Nekrologu kapitana Wi-
ktora Romana, ale na str. 124 wymknęły mu się te wy-
razy: „dzisiejsze pokolenie nie zechce wierzyć temu i ja-
„ko bajkę przyjmie“.

Otóż na nieszczęście nie dzisiejsze pokolenie, ale sie-
dmioletni kolledzy wojny, zaprzeczają tym exaggeracyom,
i poczytują takowe za złe w imieniu rycerza samego,
któremu te przechwałki ubliżają, równie jak pułkowi
w którym on położył zasługi.

Dla czegoż czytamy w tym samym zeszycie Omenta-
rza Powązkowskiego nekrologi pułkownika piechoty Cy-
pryana Godebskiego i majora Luxa, pełne powagi, pra-
wdy i prostoty, tak jak przystało na bohatera z pod
Raszyna i rycerza z San Domingo? Dla czegoż musimy
czytać przeciwnie w *Tygodniku Warszawskim* w owęj
pogadance przypisywanęj Tedwenowi, że: „kontrolla
szwadronu“ (?) w *kaszkiecie* jego, tak była posiekana
kulami, że nie można jęj było użyć do apelu! Te i tym
podobne anegdoty są z rodzaju tych osławionych, któ-
re niestety zwłaszcza od niejakiego czasu przypisują
Radziwiłłowi Panie Kochanku, a które może nie jeden
pisarz tak podrabia jak ów Jowialista wyż cytowany
podrobił mowę Lissowczyka Kleczkowskiego.

Nietrzeba, żeby świetne, czyste, wzorowe zasługi
naszój Gwardyi przechodziły przez obłąkane pió-
ra, na pole owych pamiętników Dmóchowskiego
z Przemyśla, które wydał Jędrzej Koźmian, a w któ-
rém dziele, prócz przemowy Koźmiana, niema nic coby
krytykę wytrzymało... i tam są twierdze zdobywane,
o których nikt nigdy nie słyszał, i epizody romantyczne

o ognistych oczach, o ostrych sztyletach, o zabójczych truciznach, tak jak w nekrologu kapitana Romana, co bardzo może być piękne w melodramacie, ale bardzo nudne dla tych, co przebyli trzy lata w Hiszpanii prawie w ciągłej wojnie.

I tak co do romantycznych przygód kolegi Romana, musimy już aż do znużenia powtarzać: żeśmy w latach 1807, 8, 9 nie byli ułanami; dodajemy uwagę: że Roman Wiktor nigdy nie był kapralem, ani żaden z imienników jego kilku w pułku Gwardyi polskiej; bo kaprale byli tylko w piechocie, a nasz pierwszy stopień jak to widać z dekretu formacyi, miał nazwę brygadiera; że przez trzy lata pobytu w Hiszpanii nie doznaliśmy ani owych sztyletów, ani owych zabójczych trucizn od pięknych hiszpanek; że przeciwnie bardzo wielu oficerów polskich pożeniło się w tym kraju z córkami znakomitych rodzin, jak generał Estko, jak pułkownik Chłusowicz, i wielu innych, że nigdy nie słyszeliśmy o jakiejś przeprawie brygadiera Romana przez morze, w którym konie musiały pływać, że tenże kolega nie mógł dostać warkocza od pięknej branki, udając się na bitwę pod Burgos, bo to się sprzeciwia chronologii ruchów naszego pułku, nie przypuszczamy także, żeby Napoleon sam podpisywał nominacye podporuczników, czyli raczej poruczników II klasy, bośmy w żadnym stopniu takiej z podpisem jego nie odebrali, a tém mniej pojmujemy, żeby Cesarz był napisał, lub podpisał te wyrazy: *il commanda le premier peloton de l'escadron qui chargea Somo-sierra, et donna l'exemple de cette témérité et bravoure qui lui mérita mon estime* — „dowodził „pierwszym plutonem szwadronu który szarżował pod „Somo-sierra, i dał przykład owęj śmiałości i męstwa „co mu zjednało mój szacunek.“

Ponieważ zaś nekrolog kolegi Romana zaczął charakter narodu hiszpańskiego, zarzucając mu sztylety

i trucizny, nie chcemy opuścić sposobności oddania naszego świadectwa narodowi hiszpańskiemu: iż jeżeli się lubi sam nazywać: *heroica nacion* to jest takim istotnie. Nie w Hiszpanii nie znaleźliśmy podłego; wiele, bardzo wiele, do naśladowania. Cóż tam cudzoziemcowi nachodzącemu kraj ich, narzekać na sztylety, kiedy tam nikt nie chodzi bez sztyletu, to jest bez noża kończystego, obosiecznego *cuchillo* zwanego, kiedy tam codziennie chłopci pojedynkują się na takie noże. Palafox gdy go wezwano do poddania Saragossy, wystawiając mu że ulegnie przemocy, odpowiedział: „dobrze, to pójdziemy na noże“ *a cuchillo!* to jest będziemy się bronić do ostatniego... A co do trucizny — niesłyszałem o niej, lecz widziałem ją w piwnicach wina, z których mnóstwo Francuzów i naszych Polaków ginęło. Jeżeli nam się godzi śpiewać: cześć polskiej ziemi, cześć! to niech mi wolno będzie powiedzieć, że te same słowa zastosuję do tej samej Hiszpanii, którąśmy wojowali: tak niechętnie, tak niewinnie. To jednak wyczytaliśmy z wielką przyjemnością w przypiskach do nekrologu podpułkownika Romana, że ś. p. generał Wincenty Szeptycki pozostawił pamiątki które nam są dotąd nieznane; równie czytamy w tych przypiskach z udziałem, nekrolog Kozietułskiego i Zdanie sprawy o Somo-sierce generała Tomasza Łubieskiego, ale gdy każdemu z nas po przeciagu blisko połowy stolecia, zdarza się mylić, a nas jest jeszcze dzięki Bogu! znaczna liczba przy życiu dawnych towarzyszy broni, oprócz tu wyżej już wymienionych i za granicami kraju polskiego będących, jako to: generał Dzydery Chłapowski, generał Ambroży Skarżyński, generał Wincenty Dobiecki, pułkownik Wincenty Mikulowski, kapitan Dominik Kiełkiewicz, kapitan Joachim Hempel, kapitan Horaczko, a może i wielu innych kolegów, o których nam niewiadomo, przeto życzyć by wypadało, żeby się kiedy mogło zjechać grono dawnych

kollegów dla sprawdzenia i sprostowania relacji o znaczniejszych czynnościach pułku; żeby przejrzeć dzieło generała Dautancourt, takowe uzupełnić, i w polskim języku wydać na pamiątkę tylu osób, rodów i imie polskie obchodzącą.

Zanim wyjdzie co obszerniejszego i dokładniejszego o Gwardyi polskiej Napoleona, podajemy tu nazwiska officerów starszych czyli sztabowych tego pułku według porządku nominacyj — i officerów w boju poległych, albo takich co życie ponieśli w ofierze z ran lub trudów wojny. Wypisy te czynimy — z żalem wyznać przychodzi — bez żadnych notat tylko z pamięci, lecz jeżeli kolledzy znajdą w tym spisie pomyłki, lub opuszczenia, to właśnie powinno ich zachęcić, do uzupełnienia naszej drobnej pracy.

Pułkownikiem dowódcą mianował Napoleon Wincetego Krasieńskiego który był pierwój pułkownikiem regimentu tworzącój się Jazdy liniowej, a później został generałem brygady — hrabią na Opinogórze, generałem dywizyi, a w Fontainebleau naczelnym dowódcą wszystkich Polaków we Francyi w r. 1814 przy Napoleonie aż do jego abdykacyi wiernie walczących. — Majorami byli: Karol Delaitre dawniej adjutant generała Klebera w Egipcie, potem szef szwadronu Mameluków Napoleona, wystąpił na generała brygady w wojsku francuzkiem. — Dautancourt były szef szwadronu Żandarmeryi wyborowej, organizator pułku naszego. — Jenerał Konopka były dowódca sławnego pułku Ułanów Nadwiślańskich, wystąpił na dowódcę pułku Gwardyi Konnej Litewskiej. — Xiążę Dominik Radziwiłł ordynat, były pułkownik 8go pułku Ułanów Księztwa Warszawskiego. — Jan Kozietulski były szef szwadronu w pułku. — Paweł Jerzmanowski były adjutant Marszałka Duroc, a później kapitan w pułku, był z Napoleonem na wyspie Elbie i pod Waterloo. — Szefami szwadronu byli: Tadeusz Tyszkiewicz

wystąpił na pułkownika 2go pułku Ułanów Księstwa Warszawskiego, później generał brygady i senator kasztelan.—Ludwik Małachowski.—Tomasz Łubieński, wystąpił na pułkownika 8go pułku Ułanów francuskich, złożonego z Polaków, później generał brygady i dywizyi.—Jan Koziętulski, jak wyżej.—Ignacy Stokowski wystąpił na dowódcę pułku Ułanów Nadwiślańskich.—Henryk Kamiński wystąpił na dowódcę pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, później generał brygady i dywizyi, poległ pod Ostrołęką.—Pac, były szef szwadronu w sztabie marszałka Bessières, wystąpił na pułkownika Jazdy w wojsku Księstwa Warszawskiego, później generał brygady w sztabie Napoleona, i generał dywizyi zmarły w Smyrnie.—Dezydery Chłapowski były officer ordynansowy Napoleona, później generał brygady.—Paweł Jerzmanowski, jak wyżej.—Stanisław Roztworowski były kapitan pułku.—Seweryn Fredro były kapitan pułku.—Wincenty Szeptycki były kapitan pułku— a następnie pułkownik ułanów Gwardyi Królestwa Kongresowego, później generał brygady.—Ambroży Skarżyński były kapitan pułku, później szef szwadronu w Gwardyi Litewskiej.—Stanisław Wąsowicz odkomenderowany z pułku do sztabu Cesarza Napoleona, później pułkownik officier d'ordonnance Jego.—Jędrzej Niegolewski odkomenderowany do głównego sztabu księcia Neuchâtelskiego.—Książę Woroniecki były szef szwadronu Gwardyi Litewskiej.—Józef Załuski były kapitan pułku, później pułkownik w Strzelcach konnych Gwardyi Król. kongres., później generał brygady.—Antoni Jankowski były kapitan w pułku, później pułkownik Igo pułku Strzelców konnych w Jeździe Król. Kongres. następnie generał brygady i dywizyi —Wincenty Dobiecki były kapitan pułku, później generał brygady.—Benedykt Zielonka były kapitan w pułku, później pułkownik w Strzelcach konnych Gwardyi Król. Kongresowego.

Oficerowie zaś polegli w bój lub co zeszli z ran albo trudów, chronologicznie—lecz tylko z pamięci spisani, są:

Kasper Dembiński porucznik II klasy krakowianin zmarł szwankując z konia w okolicy Królewca r. 1807. Kapitan Dziewanowski poległ z ran.— Porucznik I klasy Krzyżanowski zabity—obaj z Poznańskiego.— Porucznik II klasy Rowicki mazowianin; — Porucznik II klasy Rudowski krakowianin obaj zabici — wszyscy czterej pod Somo-sierzą 30 listopada 1808. — Bogucki porucznik II klasy, zabity pod Valladolid w końcu r. 1808.— Kapitan Instruktor, Poleretzki z rodziny węgierskiej we Francyi przebywającej, i Zawidzki porucznik II klasy oba zmarli z trudów wojny w Chantilly w r. 1809.— Koziński kapitan poległ.— Olszewski z Lubelskiego, porucznik I klasy stał się kaleką oba pod Essling r. 1809 Mogielnicki i Marczewski (sic?) oba poruczniki II klasy polegli pod Wagram — Stanisław Gorajski kapitan z trudów wojny pod Wiedniem 1809.— Doktor Deplace zabity w Hiszpanii r. 1810. — Adam Załuski porucznik II klasy zginął w odwrocie z Moskwy r. 1812. — Julian Krasieński porucznik II klasy poległ pod Drennem r. 1813.— Giełgud porucznik II klasy pod Hanau.— Dominik książę Radziwiłł major pułku z kontuzji działowej w głowę odniesionej pod Hanau, zmarł w Lauterecken.— Polegli: Grotus porucznik II klasy, Malinowski kapitan Adjutant major Warszawianin. Gotartowski Marcel z Prus porucznik II klasy. Fichnowski porucznik II klasy z Chęcińskiego, doktor Baron Girardot pozbawiony uda. Gadon porucznik II klasy ze Żmudzi... Ci wszyscy we Francyi r. 1814. Nie możemy sobie przypomnieć, gdzie i kiedy postradał życie Wybicki porucznik I klasy syn sławnego Wojewody Wybickiego.

Podawszysy tak, *acz niedokładnie*, pamięci Ziomek, Imiona Rodaków, co w wyższych stopniach groby lub

kalectwo na obcej ziemi znaleźli; mamy sobie za obowiązek zakończyć to pobieżne wspomnienie o pułku Gwardyi polskiej Napoleona, kilku słowami skierowanemi do tak zasłużonego i pracowitego wydawcy, *Obrazów staro dawnych Polski* Kazimierza Władysława Wojcieckiego.

Szacowny ten pisarz rzeczy narodowych, podaje nam zbiór ciekawych przypomnień o tych sławnych Hussarzach — przodkach naszych — których, między niezliczonemi innemi: dwa natarcia, pod Kirchholmem i pod Wiedniem, całą Europę rozgłosem sławy polskiej napłynęły.

Szanowaliśmy w młodości naszej wszyscy, równie z autorem, pamięć tych dzielnych jeźdźców, i młodzież brała ich sobie za wzór, a możemy z pociechą dla przyszłych pokoleń wyrzec: iż gdy kto przejrzy czyny Ułanów nadwiślańskich i Gwardyi polskiej Napoleona; będzie musiał przyznać: że nie pozostali za wzorami w tyle pod względem odwagi — a pod względem karności, daleko ich wyprzedzili.

Piechota angielska, ów mur nieprzełamany pod Waterloo, niech powie co wycierpiała od Ułanów nadwiślańskich w Hiszpanii mianowicie pod Albuerą — pełne były w czasie swoim dzienniki angielskie opisów o tych natarciach kopii polskich. Zaś co do pułku Gwardyi polskiej, wzywamy przeciwników: żeby wskazali jedną porażkę tego pułku. Nie ma tu mowy, o bitwach walnych przegranych, jak n. p. pod Lipskiem... ale i w takich, a mianowicie w Lipskiej, bardzo się pułkowi Gwardyi polskiej szczęściło.

To co szanowny Wojciecki mówi: „że pierwszy szereg łamał kopijami a drugi wycinał szablą“... ten sposób uzbrojenia przyjęła Gwardya polska Napoleona, jak się wyżej powiedziało; a że był dobrze naśladowany, dowiodł — między innemi — Szef Szwadronu Seweryn

Fredro; nacierając pod Peterswalde w r. 1813, w dwieście koni, na pułk Huzarów pruskich o pięciu szwadronach; rozbiwszy ten cały regiment i wzięwszy w niewolę samego pułkownika dowodzącę, syna Feldmarszałka Blüchera. — Okazał tam prawnuk: że miał w pamięci słowo Maxymiliana Fredry: „że póki kopij stanie będzie polak panem w polu.“ Nie twierdzę tego — bo niepamiętam dobrze — ale mi się zdaje, że Fredro uchwycił własnoręcznie pułkownika Blüchera i przywiódł go.

Ale p. Wojciaki, powtarza za innemi: „porzuciliście kopije, a obróciliście się w Rajtary i Karabiniery; bez zbroi, bez szyszaków, bez tarcz, bez rohatyn, bez koncerzy i pałaszów; samemi tylko koletami skórzanemi a przepasaniami kitajczaném, chcecie nieprzyjaciela ustraszyc“ — tu autor uniósł się; bo rohatyny a kopije, to zdaje mi się być jedno; zaś bez koncerzy i pałaszów, to by i nasza jazda nowa, nie niedokazała... ale niech Panowie pisarze *niewojscowi* darują! nie zbroja, ani broń bije; tylko męże, którzy, i jak, ich używają. — Pułk Gwardyi polskiej Napoleona, tak bez kopij, jak i z kopijami, bił Ułanów *wszelkich*, jacy mu się nawinęli: skromność nie pozwala nam przykładów wymieniać, ale są powszechnie wiadome.

Każdy żołnierz, powinien obstawać namiętnie za swoją bronią: Huzar za huzarską, Ułan za ułańską, tak Strzelec konny, tak Kiryssyer;... a każdy z nich powinien być mniemania: że na każdą z tych broni zwyciężko uderzy: bo i Kiryssyer teraz, nie ma zakrytych żelazem twarzy i lewej ręki.

Co się zaś tyczy, winy jaką autor Obrazów starodawnych, rzuca na Hetmanów: Jabłonowskiego i Sieniawskiego, że poczęli zarzucać kopije a zaprowadzać karabinki, to nie *w tem* jest ich wina, ale w dopuszczeniu zmniejszenia *liczby* wojska do ilości aż śmiesznej; bo

nie darmo jest dawne przysłowie: *neo Hercules contra plures!* Nie było wojsko polskie tak dalece źle uzbrojone, ale 18tysięcy na Koronę i Litwę! i to jeszcze nigdy w komplecie, cóż tu o takiej *przewrotności* militarnie pisać? — Zresztą, Jazda, jakkolwiek by była uzbrojoną, powinna strzelanie zostawić piechocie; cała siła jazdy jest w natarciu; strzelba tylko do flankierskich potyczek, i do pilnowania się służyć powinna. Trzeba zaś wiedzieć: że nie każdy może być ułanem, czyli używać kopii; na ułana trzeba jeźdźca wyborowego, a bardzo silnego i zręcznego; widzieliśmy będąc jeszcze szwoleżerami Gwardyi, jak Ułani przeciwni, bacząc nas z pałaszami ostro nacierających, piki swoje rzucali, a sięgali po pałasze... można się domyślić: że od tego czynu, do ucieczki, nie było daleko.

Czém zaś wojsko Bonapartego miało górę nad wszelkimi wojskami, i czego się od niego nauczyliśmy, było to: że Officer piechoty niósł cały swój bagaż na plecach i maszerował pieszo, tak jak każdy żołnierz; tylko szef batalionu, sztabs officerowie, Adjutanci, mieli i musieli mieć konie, a to dla komendy, i roznoszenia rozkazów. A Officer od jazdy, miał jeden mantelzak szczupły na swoim, a drugi na luźnym koniu; bagażów żadnych, aamiotów żadnych, oboz pod gołym niebem, koczowanie.

Dalekie są od nas przykłady, jakie nam autor Obrazów starodawnych przedstawia, ale z nich nie można się czego innego nauczyć: jak tylko: 'czego *unikać* potrzeba, to jest: zbytków, niekarność, zarozumiałość... Owo zgola, dobry żołnierz powinien być: śmiały, zawsze gotowy na śmierć, niezmordowany, wytrwały, trzeźwy, na głód wytrzymały, bezzenny... a co więcej cnotliwy, nie samolub, nie chciwy zółdu i zdobyczy, jeżeli można religijny... Niech daruje autor powieści w kalendarzu krakowskim o wawozie Sommo-sierry ktokolwiek on jest ja mu odpowiem: że gdyby trzeci szwadron szwoleżerów Gwardyi był zra-

bował kościół w Lermie, tak jak on to opisał, nie byłby zdobył 16 armat i wąwozu.

Żeby zaś pocieszyć szanownego p. Wójcickiego, że potomkowie dawnych Hussarzy, nie tak bardzo odrodzili się od nich, jak się to może komu zdaje, odwołujemy się do natarcia kirysierów Stanisława Małachowskiego pod Mołajskiem. Wreszcie niech Panowie pisarze *nie-wojskowi* dopytują się ale tylko prawdy, zawsze prawdy, bez śmiesznych przydatków, bez chwalby bo mundury nasze narodowe są czyste, nie znają plamy, i nieporzebują przyozdobienia; dość będzie na tém, żeby im w ich godności nie ubliżać, nie uwłaczać.

Dodać jeszcze na pocieszenie czytelników, i samego p. Wójcickiego, że nie mamy wcale przyczyny poczytywać się za odrodzonych od owych przodków których nam przedstawia, jakobyśmy: „za zmianą życia, przy „napływie cudzoziemszczyzny, *zarzucenia łaźni*, ówieczeń „ciała, hartowania; ze zmianą pokarmów, przy piekli- „wém wychowaniu, gdy wśród miękkości, ciało więcej „wygód potrzebowało, a puszcze i bory nasze wytrzebione „nie dawały już sposobności łowów pracowitych na gru- „bego zwierza; znikła zwolna ich siła, tak i wzrost „dawny.“

Nim przystąpię do przykładów siły, jakie widziałem w pułku Gwardyi polskiej Napoleona, zwracam uwagę czytelników na piechotę zwaną nadwiślańską utworzoną z ostatnich Legionów i zapytuję się śmiało p. Wójcickiego, i każdego, co go ta rzecz obchodzić może: „czy kiedy Polska miała podobną piechotę?“ piechotę którą Napoleon w r. 1812 przyłączył całą do swęj Gwardyi. Ale i piechota Księstwa Warszawskiego, i piechota królestwa kongresowego nawet, niewątpliwie przechodziła, wyówiezieniem, karnością, bitnością wszelkie piechoty polskie jakie były aż do sejmu zaczętego 1788 roku. A w dowód tego, niech tu ma miejsce wspomnienie że

Napoleon w bitwie pod *Arcis sur Aube* w r. 1814 szukał schronienia w środku czworoboku szefa batalionu Skrzyneckiego.

Czy zaś wychowanie nasze, tak dalece zniewieściło? mogą inni wojskowi polscy, jeszcze żyjący, odpowiedzieć; ja tylko kilka przykładów z pułku Gwardyi polskiej Napoleona, przytoczę:

Józef Stadnicki brat rodzony Jana Hrabí Stadnickiego prezesa stanów Galicyjskich, będąc szeregowym, a potem Brygadierem w Gwardyi, jedną ręką podnosił zad każdego konia; a gdy się koń nie dawał knć, to jak go ujął za ucho, obalał konia na ziemię. Te dwie czynności były u niego codzienne, nie robił tego dla chwalebny, albo jakby co szczególnego, on to sobie miał za nic. Był nadzwyczajnej siły i zręczności, przytém postać i uroda, które niezawodnie mogły stanąć, obok owego Hussarza Krajewskiego, co to na wieczery imponował Wodzom Szwedzkim przed rozprawą Kirchholmską. Zdarzyło się w r. 1807, że w Frankfurcie nad Menem, mieszczanin tamieczny, obraził Szwoleżera, *szkalując go jako Polaka*; w skutek tego dom jego w okamgnieniu stał się ofiarą... mieszkańcy ledwie puciekali, a lekko konna Jazda polska, potłukła i powyrzucała przez okna na ulicę wszystko... aż do pieców — (*uwaga*: nie był to rabunek chciwości, było to uniesienie gniewu, za znieważenie Imienia polskiego) przyszła kolej na małe dzieci w kolebkach... Brygadier Stadnicki słysząc hałas, nadbiegł, nie dopuścił okrucieństwa, skarcił i uspokoił towarzyszków... lecz w tém nadchodzi silny patrol żołnierzy Arcybiskupa księcia Würzburgskiego, a zastawszy tam Stadnickiego, chce go aresztować... Stadnicki się tłumaczy: że nie on był sprawcą zgiełku, ale że go owszem uśmierzył... gdy to niepomagało — chociaż Stadnicki doskonale po niemiecku mówił — wyrwał następującym za niego żołnierzom

dwa karabiny, u uchwyciwszy każdy jedną ręką za koniec lufy, tak zaczął gromić kolbami, zamiatając ulicę od muru do muru, że cały patrol liczny, pędził przed sobą. Jednakże, gdy dwóch Żandarmów francuskich wystąpiło, by go aresztować, „a to co innego!“ rzekł do nich: „Was uznaję za moich kolegów, i słucham prawa“ i udał się z nimi najspokojniej do aresztu. — Nazajutrz Marszałek Kellermann, co był służył w konfederacyi Barskiej, i znał nazwisko Stadnickiego, kazał go uwolnić; śmiał się bardzo z tej przygody, gdzie jeden pędził dwudziestu, i przepowiedział: że to będzie dzielny oficer jazdy... Jakoż wkrótce, jeszcze znacznie przed bitwą pod Somo-sierrą, przeszedł Stadnicki na oficera do sławnego pułku Ułanów nadwiślańskich; tam, miał sobie za przyjemną powinność: przyprowadzać obce placówki za kark; obraniać i odbijać Jenerałów, komendantów, kolegów z rąk nieprzyjaciół — jakoż postępował w awansie, został kapitanem, i byłby wyszedł niezawodnie nierównie wyżej, gdyby wojna była potrwała. Gdy po zapadłym pokoju, wrócił do kraju, okryty ranami, i zwałony na zdrowiu, był jeszcze takiej siły, że był w stanie zgruchotać rękę, nieproszenie mu podaną, jednym ściśnięciem.

Podobnie jak Stadnicki z karabinami, postępował sobie Piotr Wasilewski z proporcami czyli lancami. Był on jako Brygadier jednym z bohaterów Somo-sierry, cudownym sposobem ani tknięty z tej szarży — był później officerem w pułku i kapitanem, Strzelców konnych Gwardyi królestwa kongresowego, i wystąpił jako podpułkownik. On kładł dwie lance na ziemi. — Lance te były z drzewa twardego, podwójnie okute od grotu aż do połowy drzewa, którego tylec był także grubo okuty. Wasilewski ujmował każdą ręką po jednej lancy za tylec, podnosił obie na raz, i wywijał obiema z największą łatwością. Można sobie

z tego wystawić jakiej był siły. Postawy był wysokiej wysmukłej, twarzy męzkiej, officer wzorowy w służbie, męztwa — jak Francuzi mówią: „à toute épreuve“ to jest niezawodnego, skromności panińskiej.

Ambroży Skarżyński, od porucznika I klasy, aż do Szefa szwadronu w pułku, później Jenerał Brygady w wojsku polskiem, był podobnie nadzwyczajnej siły i zręczności... między innemi miał dar, rzucania proporcem, jak Turcy rzucają dzirytem — trafiał w cel i był w stanie przeszyć tym sposobem nieprzyjaciela, czego niewiedziałem na własne oczy, ale słyszałem: że tego dawał dowody nawet już będąc Jenerałem; *żyje jeszcze* może się p. Wojcicki przekonać. Seweryn Fredro, officer, później Szef szwadronu, był także niepospolitej siły, zręczności i lekkości a każdego konia przeskakiwał z największą łatwością; przytém był postaci wspaniałej, mało kto, albo raczej nikt nie mógł się odważyć iść z nim w zapasy na siłę. Gdy dowodził szwadronem Strzelców konnych Gwardyi francuzkiej i polskim, przy boku króla Neapolitańskiego pod Polockiem, gdzie Napoleon był się z Wilna obiecał, ale w inny kierunek się udał; oficerowie francuzcy obiadując u stołu Szefa Fredry, według możności czasu i miejsca, ganili chleb żytni, razowy litewski, jakiego nam obywatele z gościnności do obozu dostarczali; i twierdzili ci oficerowie: że chleb żytni sprawia w żołądku kwasy, że pszenny jest o wiele zdrowszy, że oni wychowali się na pszenném pieczywie, — a byli to oficerowie nie z Markizów i Vicomtów... ale z prostych guidów Bonapartego awansowani, okazałych postaci, jakto mówią: „chłop w chłopu.“ Znudzony Fredro tém kazaniem cudzoziemskim, ozwał się, z wrodzoną sobie żywością: „no moi panowie! kiedyście wychowani na białym chlebie pszennym, to ja wam powiadam: zem się wychowałem na żytnim, a jak mnie widzicie nie jestem ulomek... więc spróbujmy się, kto

z nas mocniejszy? a który chleb daje więcej siły?... Francuzi znając olbrzymią siłę pułkownika i przeważną jego postać, przy której oni zchodzili na miarę zwyczajną... ustąpili z uśmiechem, i przyznali — bez próby — że i chleb żytni może tak dobrze, i lepiej nawet wychować, jak pszenney.

Benedykt Zielonka pułkownik, był nadzwyczajnej siły i postawy, lecz tu wzmianka się o nim czyni z powodu, że nigdy nie nie pijał prócz wody, co zaprzecza owej miękkości i zbyt kom jaki nam Wydawca „Obrazów starodawnych“ zarzuca.

Dominik książę Radziwiłł ordynat kilku ordynacyj, najmajętniejszy z polaków, urodzony z księżniczki Turn-Taxis, a zatem: *panicz*, delikatnej postaci, tak jeździł na koniu, przesadzając najszerwsze rowy i najwyższe płoty... i tak się rzucał na nieprzyjaciela, wyprzedzając swój pułk 8my ułanów, że sciągnął podziwienie samego Napoleona,... a *nawet* Murata: podobnie postępował będąc majorem gwardyi.... z podziwem Drezna, króla i królewskiej familii; o nim można było powiedzieć: że nie znał przeszkód.

A jeżeli szanowny autor „Obrazów starodawnych,“ chce wiedzieć: jaki wpływ demoralizacyi wywiera na nas: *cudzoziemszczyzna* i *pieskliwe wychowanie*? niech się raczy zapytać świadków: jak Michał Mycielski i w jakim stanie zdrowia nacierał na czele 2go pułku ułanów i choć niepoprawnie mówił po polsku, jak myślał?

W r. 1810 poznałem w Hiszpanii szeregowego z pułku naszego nazwiskiem Kłoczewskiego, który nie miał jak około 20 lat mniej więcej; atletycznej postaci, był tak silny, że przy pobieraniu obroku, jeden wór jęczmienia brał i zarzucał na jedno, a inny na drugie ramię — trzeba wiedzieć że w Hiszpanii nie karmią koni owsem i sianem, ale jęczmieniem i słomą na grubą sieczkę

w młóceniu mułami startą. Kiedy była budowla sta-
jen dla jazdy w Castroxeriz, brał belki na ramię i niósł
z łatwością; zdarzyło się, że go Mamelucey wyzwalali na
różne próby siły, on wyszedł na belkę wysoko umie-
szczoną, i spuścił im linę, kazał im czepląc się téj liny,
a że on będzie ich podnosił; mameluków przeciwnie,
chwyciło się jedenastu liny, i usiłowali go z tamtego
miejsca zciągnąć, co gdy się im nie udawało, wezwał
ich, żeby się teraz mocno liny trzymali, i wszystkich
jedenastu podniósł. Ten herkules miał te wady na woj-
skowego, że dużo jadł i musiano mu dostarczać po-
dwójne racye mięsa i chleba, a był tak ciężki, że nie
można było dobrać pod niego konia, każdego odpsał,
jakż — o ile pamiętam — w jakiejś potyczce prze-
wrócił się pod nim koń, i Hiszpany zakłuty tego mo-
carza.

W roku 1831 powiadał mi pułkownik Antoni Kuszell,
dowódca Jazdy Podlaskiej, że był z jego pułku nie-
jaki Załuski, takiż siły, że w boju nie chciał używać
broni, tylko pięścią zabijał...cóż potem? pod Rożanem
został od Kozaków zakłuty.

To niech służy szacownemu autorowi Obrazów staro-
dawnych za dowód, że i w nowych czasach nie zby-
wało wojaku naszemu na męzach o sile nadzwyczajnej,
pisząc pobieżnie i z pamięci, nie podaliśmy jak tyl-
kę mało przykładów — lecz czynimy tę uwagę, iż
w sztuce wojennej, nie wszystko zależy od siły i ro-
dzaju broni; znałem w r. 1831 generała znakomitego,
który raz tylko na dwie doby jadał, a sam sobie lubił
konia kulbaczyć; był postaci i sił wątplych, ale talen-
tem, a mianowicie nauką, niemal wszystkim generałom
przodkował.

Jeszcze jedna okoliczność: między innymi, jakoby
zatrąconemi zwyczajami, żałuje autor „Obrazów staro-

dawnych“ *zarzucenia łaźni!* przecież tu, nie o tój musi być mowa, którą dzięciem czuć?...

Nam się w militarnych wspomnieniach przedwiecznych, najbardziej podoba sposób używania łaźni Stefana Czarnieckiego, to jest: przebywanie jego wpływ Wisły i morza nawet i nasi w czasach niedawnych, tak Ułani Nadwiślańscy, jak i Gwardya Napoleona, *nie stawali za wodą*, gdy tego była potrzeba — jednakże, sądzimy, że jazda, nie może się dość ćwiczyć w tym sposobie używania *łaźni*, któraby ją wprowadziła, każdą rzekę, jakkolwiek bystrą i szeroką z łatwością wpływ przebywać — wszakże i tu trzeba szczęścia: Książę Józef Poniatowski, skoczył szczęśliwie z mostu w *Dunaj!* i przebył go dla żartu... a w małej rzece *Elster* utonął!—

Jeszcze jedna okoliczność, acz może podlegająca z pewnej strony naganie, jest to punkt honoru, jaki ożywia naszych Gwardzystów i innych rodaków służących pod Napoleonem, były to częste przykłady samobójstwa.... ale nie pochodzące z nikczemnej desperacji, lecz jedynie ze zbyt wygórowanego punktu honoru; o takich to Napoleon słysząc, wyrzekł te wyżej już przytoczone słowa: *Ces polonais! c'est tout honneur*. Szkoda takich młodzieńców! religia ich potępia... ale z takim uczuciem honoru, żołnierz nie zna ucieczki, i tacy to, zdobywają baterie, jak pod Somo-sierrą, jak pod Możej-skiem. —

Piękne są przykłady zaiste! które nam autor Obrazów starodawnych stawia: ale my nie ubliżając w niczem pamięci przodków, możemy się pocieszyć, że dowiedliśmy w tych krótkich notatach, iż pułk lekko konny Polski Gwardyi Napoleona i inne pułki wojska Polskiego, od czasów sejmu r. 1788, ciągle miały na pamięci te nauki i przykłady jakie nam pisarze nasi

niewojskowi podawają, i że w wojsku Polskiem, zawsze, wysoko cenione, i za podniecię służące, pamiętne było to słowo, którem Kościuszko przemawiał do swego wojska:

„Lepsza od ojców swych młodzi!“

Pisałem w Feslau pod Baden w miesiącu września 1866.

JÓZEF ZAŁUSKI.

RYTM WIEKOWY.

(z rękopismów Podhoreckich).

O nieznacany i dzielny Czasie!
O niewściągniony w twym locie!
Komuż więc pojąć istotę twą da się
Kto zliczy twoich zmian krocie?

Ty wzrost, upadek, radość i smutki,
Na jednych niesiesz wciąż piórach,
Rodzisz przyczyny, rodzisz i skutki,
Sprzeczny i dziwny w twych tworach.

Ty życie dajesz, i ty odbierasz
Rzeczom, bez zasług i winy,
Moc twą na latach i na dniach wspierasz,
Których sam króciś godziny;

A lecąc wśród dnia, wśród nocy cienia,
Bez zwrotu, kresu, spoczynku,

Świata, człowieka i przyrodzenia
Świadek dzieł, myśli, uczynku.

Wszędzie przytomny, nigdzie widziany,
Jawisz się wtenczas gdyś minął,
Od Boga tylko samego znany,
Na zmysł wszelakiś zagał.

Ziemi i krzewom płodność odbierasz,
Ty i obfitość w nich mnożysz;
Kwiat w barwy stroisz, kwiat z barw odzierasz,
I coś z bogacił ubożysz.

Ty sypiesz tamy na morskie brody,
Węzisz szerokie wprzód morze,
Ty brzeg od słonej usuwasz wody,
I ją wywodzisz w przestworze.

Za tym gdzie wprzód głęboka tonia,
Gdzie prąd, gdzie wiry groziły,
Tam się obfite w urodzaj błonia
Pod krojem pługa zjawily.

Gdzie zaś skalisty brzeg morskie wały
Odpierał swemi bokami,
Tam wielkie łono wody rozlały,
Tam Zephir igra żaglami.

Rozciągnionemi bez granic pióry,
Zwiedzasz wraz wszystkie krainy,
Jednych za sobą królestw wzrost skory
A drugich ciągniesz zwaliny.

Ty koisz gniewy, zale, niesnaski,
Ty tworzysz niechęć i zwady,

Wzniecasz pogardy, wzniecasz poklaski,
Uwieńczasz cnoty i zdrady.

Ty niepamięcią wielki czyn kryjesz,
Ty z zbrodni zrywasz zasłonę,
Dobrych i sprośnych mężów w głąz ryjesz
Imię, i ścierasz wkarbione.

* * *

O Czasie! niech już zbrodnie snowane
Dnie, z wiekiem starym zaginą,
Niech z wiekiem nowym szczęście czekane
Barki twe silne rozwina.

Możnyś!... lecz przecie nie tyleś możny,
Abyś mógł przestać być zmienny,
Byleś zbyt srogi, musisz być różny,
Musisz nieść w szczęście wiek pełny.

Ale mnie więcej niżli człowieczy,
Jakiś duch całkiem zajmuje,
On mi z ukrytych w przyszłości rzeczy,
Grubą zasłonę zdejmuję.

Widząc odmienną, wszech rzeczy postać,
Giną bunt, mordy, poczwary,
Nic się z zakału niemoże zostać
Którym się mazał wiek stary.

Wraca się pokój, a z nim nanki
Biorą wzrost dotąd strzymany,
Jawia największe skrytości druki
Rzeczy ród, trwałość i zmiany.

Próżno natura pod ziemią cędzi,
Kruszec i drogie kamienie
Już człek jej skryty postępok śledzi
I spędza z onęj dzień cienie.

Już po powietrzu plynącym człek w łodzi
Bieży swą wola, nie wiatrów,
Już jako sam chce łodzią swą wodzi
Po nad grzbiec Alpów lub Tatrów.

I ten na który przez setne lata,
Zwiedziony nieraz świat czeka,
Stawa Samoruch na widok świata
Złożony ręką człowieka.

Widzę jak schodzą mgły z boskiej woli
Z błędnych rozumów spędzone,
Kościół zwycięzca długiej niedoli
Roznieca światło zgaszone.

Jak przez Bożego ducha zjednanie
Następcę Piotra obrany
Siada na górnym on Watykanie
Łaskami Boga odziany.

Jak za swą trzodą do Boga woła
Jak łaski które dostaje,
Najprzód na królów pochyłe czoła
Potem na ludy rozdaje.

Jak dobrych królów pobożność święta,
Czei go zniżonym kolanem,
Jak swą potęgą króle, książęta
Stoją za wielkim kapłanem.

A on danemi od Boga dary
Lud koło królów gromadzi,
I słodkiem świętej wędzidłem wiary
Do posłuszeństwa prowadzi.

KACZKA.

Bajka. (*Z pism niewydanych Mołskiego*).

W jednej folwarcznej zagrodzie
Rodzina drobiu bez trosk i w swobodzie,
Najspokojniej żyła sobie.
Wtém, gdy pocziwe ptastwo ziarnka dzióbie,
Z kałuży kaczka wyskoczy — i oto
Z pleców skalanych strzęsa na nie błoto.
A to gadzina, co z czołem tak śmiałem
Czystych obrzuca swym kałem!...
Czemu was zbrudzić podły ptak się stara?
Świadek sceny, kwoka stara
Rzecz na to rozgniewanym:
Żeby nie został sam jeden skalanym,
Lecz nie na wiele kaczce to posłuży:
Brudniejsza, jeszcze niż wyszła z kałuży.

KLAUDJA HOMONOEAE.

Tu qui secura procedis fronte, parumper siste gradum, quaeso,¹ verbaque pauca lege:

Ille ego, quae claris fueram praecitata puellis, hoc Claudia Homonoëa brevi condita sum tumulo, cui formam Paphiae Charites tribuere decoram, quam Pallas cunctis artibus erudit; nondum bisdenos aetas mea viderat annos, injecere manus invida fata mihi.

Napis na starożytnym sarkofagu w Rzymie.

Sarkofag bez popiołów;—zdrój rzymskiej fontanny
Płynąc z grobu kapłanki Feba i Diany,
Dzwoni po marmurami wysłaném korycie,
Tak czysty, śpiewny, nikły, jak kapłanki życie;
I niewiesz czy najada co płyn srebrny leje
Z niewidomój amfory, płacze czy się śmieje...
Tylko wiatr, ten pustelnik rzymskiej okolicy,
Pieści się z wodotryskiem jak z włosem dziewicy,
I chciałby rozwiać wszystek w mgłę pereł, lecz słońce
Związało wstęgą tęczy mokrych splotów końce;

Iko trzcina schylając swe flety zielone
Piosnką Teokrytową budzi mogił stronę,
Kiedy wiatr co ją przerwą mąci i kołysze
Skanduje zwrotką szumu śpiewną mogił ciszę;
Tylko spragniony słowik we skwarne południe
Pijąc z grobowej czary czasem westchnie cudnie,
Zmilknie, — i darmo pytasz czy głos wstąpił w trunę,
Czy duch trącił poniku kryształową strunę?
Z rozbitej płaskorzeźby krętny bluszcz się toczy
Naksztalt uwitych z grecka kapłanki warkoczy;
Mirt festonami spięty z akantem grobowca
Użycza białym nimfom zieleni pokrowca,
A mech się aksamitny ich draperji ima.
Jasmin prószy na strumyk jako kwietna zima!
Dal sinozłota w pasy wodociągów szyta
Mieni się przez sieć laurów jako suknia lita,
I wzorujące lazur, z nad willów gęstwiny,
Z zieleni kapitelem wystrzelają piny *)
Pusto: — cisza drgająca jak harfa Eola
Bezimiennemi dźwięki — sarkofag okola,
I jakaś woń miodowa i gorąca wkoło
By od Hyblejskich rojów wieje ci na czoło.
Niekiedy pocałunkiem wiatru zwiana róża,
Lecąc jak gość jedyny z Palatynu wzgórza,
Sklada rozkwitłą głowę na kapłanki grobie
I wnet błędnie przy bladej marmurów żalobie...

Ach! tę różę bladością, czystością strumyki
Przenosiła kapłanka, a śpiewem słowiki...
Jeśli chcesz by jej imię lutnią ci zagrało,
Obudź melodję w martwej głosce skamieniałą
I drżmiącą pod długim księżycą spojrzeniem:
Klaudja Homonocea, nim została cieniem,

*) Sosny włoskie, *pinus pinea*.

Zwała się, nim na wieki przemarzyła życie,
Równa wiedzą Palladzie, wdziękiem zaś Charycie.
Mówią że gwiazd spejrzenie wzrok jęj przypomina,
Gdy sprawiała ofiarę w ganku Apollina,
Gdy w ramę kolumnady, w dym kadzidła wzięta,
To jak posąg piękniała, to znów nienjęta
Pod wiewną dymu gaza, w wonności obłoku,
Zdała się ideałem śmiertelnemu oku.
A gdy na siedmiostronnej lutni na oześ Feba,
Wcielała w ziemskie dźwięki tę dźwięczność co z nieba
Gibko na gżemsie wsparta i w zenit wpatrzona,
Tuląc jęczącą lutnię w okrągłe ramiona:
Pytales czy istniała, czy się jeno śniła,
Czy to rzeźba śpiewała lub pieśń się rzeźbiła?
I Febus ją ukochał: zorzy purpurowej
Owiewał ją łunami jak płaszczem królowej,
W kruczych jęj splotów połysk siał rubiny świtu,
Weświeceł ją w tła dali z kolumn i z błękitu,
I po spłynnych jęj kształtach, jako mistrz zwykły pienie
Zniżyć gamą po harfie, stopniował promienie.
A Noctilucea *) jasność — diadem swój perłowy,
By włożyć jęj na skronie zdejmowała z głowy,
I srebrne odpinając promieni przepaski,
Wkoło jęj szat faldzistych szarfą wila blaski;
Tak iż całkiem ujęta w jasnokrag miesiąca
Stała pod jego drżącym światłem jakby drżąca
W białych posagów rzedzie, — i tylko zasłona
Zdradzała wiewem, że to nie posąg, lecz ona...

W gajach żyła, — i jakaś gajów tajemnica
Nieraz biła rumieńcem na bladeść jęj lica,
Co różą skrytych ogniów płonęło jak płonie
Alabastrowa urna gdy ma światło w łonie.

*) Jedno z imion Diany u Rzymian.

Mówią że raz gdy wszedłszy w korynekie podsienia,
Łowiła w sieć strun złotych ulotne natchnienia,
I przy zaklęciach hymnu wzrok także natchniony
Niósł w niebo czar jój oczu synowi Latony,
Nagle z gaju wychodząc, na świątyni progu
Staął jakiś śmiertelnik równy wdziękiem bogu.
Włos jego woń ambrozji rozsiewał dokoła,
Laur mu ciemnozieleniał na śnieżności czoła,
I purpura płynąca po kształtów urodzie
Muskiała lśniący marmur w posuwistym chodzie...
Mówiono że był Febus, twierdzono że młody
Greczyn błądzący w pogoń porwanej swobody;
Że w sadach Akadema cień Platona błądy
Mawiał z nim o mądrości i losach Hellady;
Że jenjusz grecki za nim owdowiał ojczyznę
Oddał mu wieszczu wawrzyn i natchnień puściznę;
Lecz że złamał swą lutnię na kolumny złomie,
By muza, córą bogów, nie służyła Romie,
I odtąd piękny, niemy, w samotnej włóczędzie
Ciągnął żebracki purpur i natchnioną nędzę.
Głoszono też że Druzus po germańskiej wojnie
Cezar i tryumfator wstępował spokojnie
W progi Apollinowe, że dowodem świeży
Laur na skroniach młodzieńca purpur na odzieży...

Ktokolwiek był, to pewna iż uśmiech nadziei
Zagaśł odtąd na ustach Klaudii Homonoei;
Pośród ciemnych cyprysów błąkała się błąda,
Jak wieszczka gdy z trojnoga klęskę przepowiada,
Lubo pamięć młodzieńca, gajów tajemnica,
Nieraz biła rumieńcem na bladłość jój lica,
Co różą skrytych ogniów płonęło jak płonie
Alabastrowa urna gdy ma światło w łonie.
Krok jój stał się wolniejszym, i tak tęsknłem pienie
Jako konającego labędzia westchnienie;

Tak kadzidło niszczeje gdy się staje wonią,
Tak balsamowe rószeczki łzami życie ronią,
I tak z jój piersi cicho upływała dusza,
Jak perła rosy z kwiatu, co go wiew porusza.
Mówili że ją Febus urzekł swym promieniem,
Że w słońcu zakochana, była słońca cieniem,
I dla tego mijała, jako więc przemija
Cień co rzuca kolumna — ta gmachów lilija.

Tak siostrą cieniów będąc, z cieniami wieczora
Na brzeg Nemoreńskiego *) zeszła raz jeziora,
Gdy we zwierciadle swoim srebrna siostra Feba
Topi długie wejrzenie z pod szafirów nieba,
A jezioro w bogini wdziękach rozkochane
W około jój obrazu srebrzy swoją pianę,
I po wodnych bławatach zmiętych w senną falę,
Biegną mrowiem klejnotów perły i opale.
Gdy stanęła nad wodą mgława jak cień biały,
Słowiki przeczuwając pieśń jój oniemiały;
Z grot się stalaktytowych pnąc na skał krawędzie,
Słuchały posrebrzane poświata łabędzie;
Mleczne po złotym piasku szły stada gołębi,
Jezioro grać przestało na konchach swój głębi,
A brylantowa rosa u bluszczów wisząca
Drżała z promykiem w łonie upaść nieśmiejąca...
Raz jeszcze zaśpiewawszy czarodziejsko, smutnie,
Na strzelistym cyprysie zawiesiła lutnię,
I sama jako cyprys gdy go wiatr nagina,
Milcząc patrzała w obraz siostry Apollina,
Który na wód atlasie kołysany z cicha,
Zdał się miłości marą, gdy się w snach uśmiecha....
Nazajutrz ją na brzegu, przy błękitnej fali,

*) *lacus Nemorensis*, dziś jezioro Nemi w okolicach Rzymu,
zwane w starożytności zwierciadłem *Dianny*.

W gronie śnieżnych labędzi uśpioną zastali,
I już się nie ocknęła....

Zdrój rzymskiej fontanny
Płynąc z grobu kapłanki Feba i Dianny,
Dzwoni po marmurami wysłaném korycie,
Tak czysty, śpiewny, nikły, jak kapłanki życie;
A nad nim jak kwiat zgubion od wieków zawiei,
Słodkie zostało imie Kładji Homonoei:
Jeszcze dwudziestej wiosny nie widziała liści,
A już w cień zamieniona od łosów zawieści.

*Nondum bisdenos aetas mea viderat annos,
Injecere manus invida fata mihi.*

Albano 1856 r.

WŁADYSŁAW KULCZYŃSKI.

CZARNE KWIATY.

....Możnaby ciekawe w tym względzie rzeczy tu zapisać, ale zaraz wstręt cofa pióro i przychodzi na myśl zapytanie „czy warto!“.... Przy pojęciach albowiem współczesnych o czytelnictwie i o twórczości piśmiennej, zatracone jest prawie uczucie *kiedy pisarz stara się uniknąć stylu*, przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej a z siebie *samą* zupełnej i zajmującej: *kiedy zaś przecie nie dopracowawszy formy, styl zaniedbuje*... Kiedy chodzi po ziemi okazując jak nisko zstąpić potrafił? kiedy zaś również nisko stąpa przeto iż wznieść się wyżej niemógł? Te rozróżnić odcienia, tak dla pewnych osób jednoznaczące, rzadki bardzo czytelnik dziś potrafi i dla tego niebezpiecznie jest w jakąkolwiek nową drogę na cal jeden postąpić i dla tego najbezpieczniej jest w kółko, jedne i też *samą* *motywy i formy* proporcjonować tylko, nie niewznowiwszy, ani dodawszy, ani na nic się nie odważywszy.

Są wszakże w księdze *ignota i wiedzy* ustępy takie, dla których *formuły* stylu niema i to właśnie sztuka jest

niemała oddać je i zbliżyć takimi jakimi są. Mają one pozostać zamkniętymi osobistymi nabytkami przez obawę rubasznego krytyka, przywykłego do dwóch tylko formuł na wszelki plód wyciętych jako obowiązujące malarzy pokojowych wycięte patrony...

Pierwszą z tych formuł jest: jakiś książkowy klasycyzm o którym Grek Periklejski ani Rzymianin za Cæsara czasów bynajmniej nie wiedział; — drugą, pewne formuły czasowe dziennikarskie, to jest proste techniczne wypadki z rozwinięcia druku samego powstałe. Jedna z tych ram wszystko objąć jest w stanie mniej łącznością pomiędzy książką a żywotem — druga, wszystko, mniej istotą źródeł, z których ono wszystko płynie.

Ztąd to: niezawodnie snadniej dziś upowszechni się *udany pamiętnik średniowieczny* niż fakt społeczny, sumienie obowiązujący, należny mu wpływ wywrze i należną zachowa powagę. Jakoż — czytelnicy podobni są w tém do osoby oddalonej od przyjaciela swego a mającej wizerunek jego na pamiętkę, która, gdy on przyjaciel z drogi wraca „Nieprzeszkadzajże mi“ rzecze jemu „bowiem, oto godzina jest, w której na portret patrzeć zwykłam, listy właśnie że pisać mając.“

- ... To--pamiętam, jednego razu w Rzymie z katakomb powracałem, gdzie często patrzeć lubilem na pozostałe freski pierwo-chrześcijańskie — rzecz, o której tu napocząć niechcę, bo to byłaby historia bardzo długa, o każdym znaku i o każdej linii w tych rysunkach używaną — ale, tyle tylko oto wspomnę, iż to ogromne podziemne miasto z napisami i rysunkami swemi okazało mi jako przez całe akta dramatu tego seraficznie-krwawego, niebyła prawie jedna kropelka krwi wylana bez uszanowania jej i omodlenia braterskiego współwyznawców. Te szkła, dziś błękitno-krzemiennej barwy, które jako ampułki rozbite (albo i całe) w katakombowych sarkofagach, do półek biblioteki podo-

bnych, tu i owdzie leżą, błogie robią wrażenie, świadcząc jako zbierano rozprysniętą po ścianach katowni i schodach gmachów publicznych krew męczeńską. Tak ją szafowano szeroko i wspaniale, jako owczarni krew bogaty pan szafować może — a tak skąpi jej byli!!.

.....
.... To około tego czasu spotkałem był zstępującego ze schodów hiszpańskich, pochylonego jako starca i ki-
- jem pomagającego chodowi swemu Stefana Witwickiego — śliczna młodości jakiegós wiecznej pełna twarz jego i włosy jak z hebanu mistrzowsko wyrzezane ornamentacye w grubych partyach na ramiona spływające, szczególniej wyglądały przy tym sposobie wleczenia się o kiju, bardzo zgrzybiałym starcom jedynie właściwym. Niedługo potem odwiedziłem go był w mieszkaniu jego ale już to zaszło przed śmiercią jego na jaki tydzień. Leżał ubrany jak zwykle na kanapie, męczyło go mówienie, spoglądał tym samym wzrokiem niezwykłą zawsze jasność i zarazem kroplę łyzy mającym w sobie — tudzież, podnosił się niekiedy podając rękę komu aby go przeprowadził po pokoju. Tak to spojrzawszy ku mnie wchodzącemu doń, przywitał mię, a wyciągnąwszy rękę posunął mi po ziemi leżącą przy kanapie pomarańczę, którą (że zwyczaj miał mnie i Gabryelowi Roźnieckiemu *) jak mu się co w pracach naszych podobало, przynosić cygara i fraszki jakie) uprzejmie przyjąłem i podniosłem. Gabryel właśnie że był tam, bo on do ostatniej chwili całe noce przy ś. p. Stefanie, już zupełnie zdefigurowanym ospą siadywał, usługi wszelkie mu oddając. — Otóż Stefan Witwicki dał zrozumieć Gabrielowi że chce z kanapy wstać, a ten mu rękę podał i zaczęli w kółko pokoju powoli obchodzić.... Tak to wlokąc się, po pierwszy raz Witwicki wpadł w lek-

*) Mowa jest o Gabryelu Roźnieckim Muzyku.

ki, bardzo błogi ale widzialny obłęd — i zaczął tu i owdzie wskazywać ręką i zatrzymywać się:

„... *A to (mówił) co to za kwiat jest?... ten kwiat „proszę cię (a nie było kwiatów w mieszkaniu) jak to „się nazywa ten kwiat u nas?... to tego pełno jest w Pół- „sco... i te kwiaty... i tamte także kwiaty... to jakos „u nas zwoyczajnie nazywają...“*

Potem — już odwiedzałem Witwickiego kiedy leżał zdefigurowany panującą podówczas ospą i już nie mógł mówić. Niewiele przed śmiercią Witwickiego umarł generał Klieki całe dnie i noce otaczany, niedłwie zbiorem wszystkich polek i polaków podówczas tam bawiących, co wspomnienie zostawia równo szacowne i rzadkie.

Ile razy przypominam sobie ostatnie rozmowy z osobami co już w niewidzialny świat odeszły zmarliży tu; tyle razy niewiem jak pominąć to co ze zbioru razem wspomnień tych, samo czasem zdaje się określać i dla tego właśnie w *daguerotyp* raczej pióro zamieniam aby wierności nieuchylić — inaczej przyszłoby mi bowiem zacytować słowa jedyne Voltair'a, jakie kiedykolwiek na myśl mi przychodzą lub przychodziły z autora tego, a te są:

„Je tremble!... car, ce que je vais dire
„Ressemble à un systeme.“

(Voltaire)

— Może też to najfilozoficzniejszy filozofa tego apoftegmat.

To — później — później — w Paryżu *Fryderyk Ogiński* mieszkał przy ulicy Chaillet, co od Pół Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kupolę i cały Paryż.... jedyny punkt z lat 60

napotykają się widoki *cośkolwiek zbliżone* do tych które w Rzymie napotykasz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim — którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinął do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne, ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech — jakiego zdaje mi się już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadł też Chopin o godzinie piątej a potem zstępował jak mógł po schodach i do Bułońskiego lasku jeździł z kąpielni, wróciwszy, wnoszono go po schodach iż w górę sam iść nie mógł. — Tak jadłem z nim i wyjeżdżałem powielekroć i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Paryżu mieszkał wtedy po drodze wstąpiliśmy, niewchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wniesić, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie małeńki jeszcze w ówczes poety synek na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. — Nareszcie zaszedłem raz jednego i odwiedzić go chciałem — służąca francuska, powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. — Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną mówiąc: iż Chopin dowiedziawszy się kto był, prosi mię — że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny iż widzieć mię chciał i zastałem go ubranego ale do pół leżącego w łóżku z nabrzmiałymi nogami co że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu dość podobna...

On w cieniu głębokiego łóżka z firankami na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej — albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuzkich, które lubo nie są do starożytnego świata przez ich teoretyczną oglądę niepodobne; geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasyczyć... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gościów miał Chopin jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem... owóz — przerywanym głosem dla kaszlu i dawienia wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem — potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem — potem z siostrą jego mówiłem — potem, były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc zegnałem go, a on ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...*wynoszę się!*...“ i począł kasłać, co ja jako mówił usłyszawszy a wiedząc iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię rzekłem jak się mówi do osoby silnej i mężstwo mającej „...*wynosisz się tak co rok... a przecież chwała Bogu oglądamy cię przy życiu.*“

A Chopin na to kończąc przerwane mu kaszlem słowa rzekł: „*mówię ci że wynoszę się z mieszkania tego „na plac Vandome“...*“

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vandome i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Pontieu przy Elizejskich polach do domu którego odzwierny z uprzejmością odpowiadał ile razy kto zachodząc pytał go jak się *Monsieur Jule* ma?... tam na najwyższém piętrze pokoił był ile można najskromniej umeblowany a okna jego dawały na przestrzeń jaką się z wysokości zawsze widuje, tem jednym tylko upiększoną iż czerwone słońca zachody w szyby były lunami swemi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami temi stało a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szezebiotały. Obok, drugi małeńki był pokoił — to sypialnia.

Było to więc jakoś około piątej godziny po południu kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój z zupy i pieczonój kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarzane paltot i w amarantową spłowiałą konfederatkę akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie skąd właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża — o niektórych znajomych i przyjaciółach — o bracie mym Ludwiku, którego śp. Juliusz rzewnie kochał — o *Nieboskiej komedyi* którą wysoko bardzo cenił, o *Przedświcie* który miał za piękne dzieciństwo... Także, o sztuce że wpadła w mechanizm — także o Chopinie (który żył jeszcze) a o którym Juliusz pokasłując rzekł mi — *parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego moribunda*... sam wszelako, pierwój od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego umarłszy.

Do pokoiku tego, który jak Juliusz mawiał: „zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym,” — do tego, mówię pokoiku innego dnia wieczorem wszedłem był a Juliusz

stał przy kominię, fajkę na cybuchu długim paląc jak to używa się w Polsce na wsi, — na kanapie siedział malarz francuz (którego Juliusz potem exekutorem, testamentu swego zrobił) ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalném i siedział. Nad kominkiem wisiał brązowy medal Juliusza przedstawiający który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francyi, o rewolucyi, o Rzymskich wypadkach mówiliśmy — on, naturalném ale kolorowaném słowem i niespodziewanemi obrotami mowy i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w Maryi Malczewskiego napotykaných przypominającym. Co wszelako niezawsze z wielkimi jego czarnymi, ognia pełnemi oczyma i z orientalną skronią i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się.... Pod koniec rozmowy mówił mi „piersi, piersi nadwreżone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję że nie zadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi.“ — Wyraźnie mi to mówił bawiąc się cybuchem fajki swojej tam i owdzie powoli poruszającym jak wahadło zegaru ściennego. — W następującym tygodniu pośpieszyłem znowu, zając do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (możnaby rzec z uczniów jego), który odeń powracał a było już ciemno — i ten powiedział mi „jutro lepiej zajdź do Juliusza bo dziś właśnie dla tego wyszedłem od niego iż nie swój jest...“ — „jakte się ma?“ pytałem — „nie wiem“ odpowiedział mi „ale tyle ci tylko powiem, iż wedle słów Juliusza bardzo wątpi o zdrowiu swem i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki Ś. Michała archaniola, tusząc że mu to sił na jakiś czas uczczy.“ Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem że Słowacki bar-

dzo religijny był); na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o ranniej godzinie było i było to tak, że wszedłszy pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza bo w nocy poprzedniej Sakramentami opatrzony (list od matki swój nadeszły właśnie w chwili skonania, odczytawszy) zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym ~~nachodem~~ na spłowiałym dywanie ciemnym, ~~z~~ z historyi Polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzieliło. Ptaszki zlatywały na niepielegnowane doniczki z kwiatami;—krzątano się około pogrzebu a pogrzeb ten jaki był to różni różnie opisali. — Ja — na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem *dwie* — jedna z tych rzewnymi łzami zalana była co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającóm, na wiele dni potem kiedy liczne pod ówczas społeczeństwo polskie w Paryżu bawiące się odwiedzałem był — bo wiele było (jak zawsze świetnych i niepospolitych) Polek pod ów czas w Paryżu... Mam rysunek Juliusza, który on w Egipcie rysował z natury, bo pejzaże zwłaszcza rysował wcale dobrze, ale przeciałem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albumu osoby z kraju przybyłej ofiarowałem, drugą zostawując sobie — aby sprawdziły się słowa w Beniowskim napisane „*iz prawą rękawiczkę twoą zawieszę w muzeum jakim a o straconą lewą będą skargi!*...“ ironia bowiem taka nadobnie bez-zjadliwa jako ironia Juliusza, pośmiertnym bynajmniej wspomnieniom niezawadza. Owszem brzmi ona podobnie tym słowom, które Filip Macedoński przy budzeniu się powtarzać sobie kazał „*królu! słońce już wschodzi, pomnij przez cały dzień, że śmiercią jesteś.*“

To zaś — przypomina mi zupełnie odrębną rzecz o osobie bynajmniej sławnej, bynajmniej zasłużonej talentem, pracą lub cierpieniem — o osobie której nazwiska nawet nie wiem a narodowość wątpliwie wiem... dołączę tu więc wspomnienie *osoby śmiertelnej*, nieznannej mi niemniej ściśle wierne, z natury wzięte — czynię to zaś tém swobodniej, iż na wstępie zastrzegłem co o krytyce, krytykach i stylu książkowym trzymam i tuż, w treści jako niniejsza, w której za cały interes ~~właśnie~~ uważam ściśle tylko wiarogodność sprawozdania.

Otóż — było to w parę lat po śmierci powyżej zapisanej — nie byłem w Paryżu — nie byłem we Francyi ani w Londynie ani w Anglii ani w Europie ani w Ameryce... byłem, na kotwicy, na pierwszym wstępnym pasie oceanu Atlantyckiego pomiędzy wyspami kredowatej białości połamanemi wściany prostopadle — *Niedziela* była, słońce na niebiosach bez chmur, niżej ciemno, atramentowo, safirowe, ogromne fale ale cisza taka, że żagiel żaden nie drgnął, sznur żaden niedbale spuszczone nie poruszył się... Niewidziałem jeszcze wszystkich osob ekwipaż składających, a wszystkie dla słońca pięknego na pokład wychodziły właśnie; — siedziałem na ławce pod masztem wielkim, przy mnie nowy znajomy, światły młodzieniec jakiś, z rodu Izraelita z którym często mawiałem. Płynąć niemożna było dla zupełnego braku wiatru i kiedy się dalej popłynię zgadnąć niemożna było...

Kiedy tak siedziałem nieskończoną przestrzeń fal przed oczyma mając, przewiała przed nami suknia kobieca a obok mnie siedzący współpodróżnik rzecze mi po francuzku „...patrz pan, który jesteś artystą, jaka piękna kobieta właśnie przeszła, biednemu pieskowi w tę wielką podróż zaaranemu mleka na talerzu wynosząc, w dzień w który wszyscy cieszyli się pogodą i niedzielą a to

szczenię biedne ani wiedziało, gdzie i na jak długo zaniepodziało się.“ — Że niespojrzałem jak mi towarzysz radził odpowiedziałem mu więc jak to się mówi kiedy o czym innem właśnie myślisz, właśnie że dla tego te „raz niepójdę jej oczyma szukać, kobiety bowiem najpiękniejsze są wtedy kiedy nie słyszą ani widzą ani zgadują, że się spogląda na nie — będę więc *uważał ją innym razem — innego razu zobaczę ją*“... co powtórzyłem jeszcze z przyciskiem aby odmienić tok rozmowy. — Ale że to była dziwnie piękna osoba (podobno Irlandka) to, przecież i tak, kiedy przesunęła się spostrzedz można było boć ze stereoskopów już wyraźnie dziś wiemy ile to człowiek obejmuje wzrokiem mimowolnie, choćby i niepatrzył się wprost na przedmiot. Słońce potem zaszło, wiatru nie było — i księżyc wzeszedł i podniósł się i zasnąłem w kajucie ciasnej, dusznej... i straż tylko po pomoście okrętu trzymasztowego przechadzała się... krzyk, jakiś rozległ się w nocy — jacyś ludzie przybiegli z latarkami — wielki murzyn, służący główny okrętowy, tu i tam przewinał się po schodach doktora szukając... o świetle ruch był jakiś niezwykły na okręcie — wstałem i wyszedłem na pokład. Ta osoba młoda i piękna, którą obiecałem być innym razem uważać i widzieć, nagle umarła w nocy. Zwyczaj jest, że w takim razie przeznaczonym na to czarno-szafirowym żagle w wielkie białe gwiazdy obrzuconym, przykrywają to miejsce gdzie zwłoki leżą — taka plama czerniła na środku pokładu o wschodzie słońca...

— Tu, przychodzi mi na myśl, czy poezję tę co prawdy rylcem ścisłej, sama się w żywotach zapisuje, *warto jest* dla cynicznego czytelnictwa dzisiejszego piórem z niepamięci wywodzić i określać... Romans jaki, fantastycznie skłamanym po zażyciu indyjskiego *haczysz*

przyjemniejsze i pożądane wrażenie robi...!!.....

Później—później—kiedy do Europy powróciłem, Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastilii, w gmachu biblioteki arsenału gdzie i Bibliotekarzem był. Miejsce to, przepowiedziany przez niego człowiek: z dynasty Wielkiego Napoleona (dzisiejszy Imperator francuzki) ofiarował świętej i wiekopomnej [pamięci Adamowi Mickiewiczowi — miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla rodziny licznej poety przynoszące — a ofiarowane mu, zdaje się dobrze już potem kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor kolegium Francuzkiego Adam Mickiewicz i małowiczni inni odmówili przysięgi na wierność Imperatorowi [Francuzkiemu. Około to, późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy, *bibliotekarz do Imperatora* napisał też Horacjusza językiem *Ode*, nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to — krótko, przed misją, na Wschód na jaką z bibliotekarstwa udał się był Pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu biblioteki arsenału, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennymi wschodami — było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę z sobą miałem. A szedłem go przywitać więcej niż kiedykolwiek serdecznie bo *bliżej*... bliżej zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że *wspominał mię* kiedy w Ameryce zostawałem — a kiedy tam odpłynąłem powiedział tylko komuś „... *to on tak jakby na père Lachaise pojechał*...!” co, że zrozumiałem; było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie i dla tego też przyjemnie szedłem przywitać go. Wesół spojrzał na mnie i uściśnął i rozmawiałem z nim do zachodu słońca bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie kiedy myśliłem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem

dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu Pan Adam poprawiał nieco węgle kijem.

Ubrany był Pan Adam w futerko wytarte, szaraczko-wém suknem powleczone, które, zkąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe — bowiem: była to zdaje się kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincyach dobrze od Warszawy oddalonych. W pokoiku wisiała piękna rycina przedstawiająca Ś. Michała Archaniola podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie — czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Dominikina oryginalny rysunek komunij Śgo Hieronima przedstawiający — jeszcze także rycinka mała z Napoleona Igo przed Generalstwem jego portretowana a pod nią daguerotip mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym jak chodzą francuzkie inwalidy, a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków, ostatniej wojny... Na biurku zaś, *od czasu niedawnego dopiero widzialne* u Pana Adama dwa niedźwiedzie passujące się -- odlew z gipsu.

To, było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do Pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak, że drzwi kiedy otworzyłem wpadłem nań — wrócił więc na jakie półtóry godziny jeszcze przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miałbył gdzieś iść jeszcze one półtóry godziny pierwiej.— Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc: że nieświadomość *prawdy* tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy śmierci dotyczących... aż, kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę a on gdzie indziej iść; ścisnął mnie za rękę i mocnym głosem rzekł mi „no...

adieu!“ — Że nigdy ani po francuzku ani tym tonem nie żegnał mię był, a tyle-ć razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta i na schody do siebie wstępując słyszałem jeszcze to słowo „... *adieu!*“

Przypadek zrządził, że niemogłem widzieć odtąd Pana Adama, ani pożegnać go kiedy na Wschód wyjeżdżał — słowem, że to ostatnie było one dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co aby jaśniejszem było dodać trzeba, że nieboszczyk Pan Adam miał to do siebie iż nie tylko *co mawiał* ale i *jak mawiał* zatrzymywało się w pamięci

Przy ulicy *Tours de Dames* na wzgórzu jest dom, do którego dopiero wszedłszy, rozkład schodów i fragmenta z *gliny polewaną czternastowieczną, florencką*, okazują iż poważnego artysty to mieszkanie... Tam, gdy niedawno wszedłem był — a potem na najwyższe piętro do atelier P. Delaroch'a, wielki artysta raczył mi pokazać ostatni obraz swój, właśnie że skończony. Była to rzecz wielkości dużego *pół-arkusza*, malowana na drzewie — W zaulku Jerozolimskim dawało się więcej *czuć* niż *widzieć* przez podobną do okna szczelinę, iż człowiek którego zwano Mistrzem, Rabbim, Messiaszem królem i prorokiem i uzdrawiającym pewnym lekarzem; a który był Chrystus syn Boga żywego; właśnie że jest wzięty przez strażę i prowadzony od urzędu do urzędu a może właśnie na górę trupich głów. Piotr Śty najbliżej okna owego stojąc porywa się jak człowiek szabli szukający, a Jan Święty na piersiach kładąc mu ręce swe uspokaja księcia apostoła i sam zaś, przezeń czuwając, w okno patrzy.

Ta grupa jest przy ścianie okna — po niej ustęp jak w *Stabat Mater* ustępy strof — dalej kłęczy Matka Najświętsza jak się kłęczy przed ołtarzem w kościele,

kiedy jest wystawienie Najświętszego Sakramentu — za nią ustęp znowu — i grupa Świętych niewiast w Katakumbowej jakiejs architektury cieniach... Oto obraz cały z męki Pańskiej, w którym osoby Zbawiciela *widocznej niema*, ale jest ona tylko w *gammie-wyrazów-twarzy* osob, mękę Pańską widzących, wyrażona.

Wielce uradowany, iż jest przecie na świecie artysta... patrzyłem, na ten maleńki obrazek a że śp. Delaroche (tak, jak bywało kiedyś *Ary-Scheffer*) raczył mi pozwalać abym oglądając utwory jego mówił *wszystko co mi się zdaje*, ja zaś, na tym już stopniu stojącym artystom, niemniemam, aby inaczej się mówiło; długo więc myślenie moje określałem w słowach ściśle wiernych. — I skończyłem na tem — że sądzę iż obraz taki następstwa swoje mieć powinien i że sam jeden oderwanie wzięty niepełną jest rzeczą — na co mi P. Delaroche odpowie — „trzy właśnie takie robić chcę, aby to sformowało *trilogię*...” potem pokazał mi jeszcze portret *Thiersa*, wyborny pod wszelkim względem i znów do małego obrazka, powróciwszy rzekł mi tonem żegnającym (bo właśnie ktoś nadchodził jeszcze) „tak, trzy dopiero obrazy tego rodzaju razem wzięte, okażą całość...” i parę kroków ku drzwiom ze mną robiąc po dwakroć dodał — „*skoro tylko dwa inne obrazki zrobię... pokażę je Panu—pokażę je*” co zwykł był określać dobitnie, bo nie eksponował publicznie dzieł swoich ani nie każdemu je pokazywał, zwłaszcza od niejakiego czasu... odtąd niewidziałem już Pana Delarochea, w którego śmierci ostatni promyczek *Leonarda da Vinci* mrokiem się okrył...

Dowadywałem się, czy dwa inne obrazki zaczęte były przed śmiercią wielkiego artysty ale nie... może w szkicach....

*

Rzeczy tu opisanie, *Czarnemi Kwiatami* zwę, wiernie

są jak podpisy świadków, którzy pisać nieumiejąc znakami krzyża niekształtnie nakreślonego podpisują się; — kiedyś!... w literaturze, którą może *zobaczę innym razem*... pisma takie nie będą dziwnie wyglądały dla szukających powiastek czytelników. — Są, bowiem powieści i romanse i drammy i tragedie w świecie niepiśmym i Nieliterackim o których się naszym literatom *ani śniło*, ale — te określać — czy warto?... już?...

1856 r.

CYPRYAN NORWID.

DJARIUSZ

PODRÓŻY Z WARSZAWY DO PETERSBURGA

Hrab. Kazimierza Konst. de Bröhl Platara,
Starosty Inflanckiego później Łódkaudlerza litewskiego
w r. 1792 odbytej.

przepisany

przez J. I. KRASZEWSKIEGO.

I. Z Okuniewa d. 11 Października 1792 r.

Niewielkie jeszcze od stolicy oddalenie pierwszej stacyi z której list niniejszy wyprawiam, nie obiecuje Panu długiej relacyi podróży mojej, a mnie pozbawia materyi opisu, nie też innego donieść nie mogę o sobie, tylko że po dziesięciogodzinnej jeździe, o dziewiątej stanąłem w domu pocztowym i postanowiwszy snocować, póki ludzie łózek nie przygotują, zabieram się z żoną i synem do pióra.

Tak tedy począłem wędrówkę moją ku stolicy północnej, a lubo podróż ta nieodzowną się stała, a dzień każdy powoli do celu przybliżać mnie będzie w porze

nie zbyt przyjaznej — daleko mniej martwi mnie zimno i ślota które pewnie znieść mi przyjdzie, mniej straszy błoto, a coraz głębiej ku północy i gruda zapewne, i łamanina i śniegi w których się kopać będzie trzeba, niżeli we względzie politycznym zupełna niewiadomość z czem i po co jadę do Petersburga, a wreszcie bojaźń, aby skutek poselstwa mego nie omylił zbyt względnej ufności, jaką na mnie włożono.

Pomyślisz przyjacielu pewnie, że się darmo użalam nad tém, że nie wiem z czém jadę, bom ci nawet kopią instrukcyj moich komunikował, a punkta jej zawierają wyraźnie cel dla którego konfederacye obojga narodów nas wysłały, lecz chciój zarazem przypomnieć sobie jakie przed kilku dniami rozeszły się po Warszawie pogłoski, a zastanowiwszy się nad tém że u mnie widziałeś tylko kopiją instrukcyj, a w stolicy traktować nie zechcą pewnie chyba Credenciales i instrukcyą od króla i narodu złożymy — przyznać musisz, że z niczém prawie co do poselstwa wyjechałem. Z podobnych względów powiedzieć też mogę że niewiem po co jadę, bo jest wprawdzie w instrukcyi rozkaz podziękowania za pomoc, i dopraszania się o traktat przymierza i handlu, lecz kto wie czy inna nie przyjdzie jeszcze instrukcya? kto wie czy propozycye które uczynić mamy zostaną przyjęte? kto wie czy nasz sprzymierzeniec będzie już mógł bezpiecznie odkryć swój system, z którym się dotąd ukrywa?

Donosiłem WPanu powróciwszy z Brześcia, że w konfederacyi żadnej pewnej planty nie znalazł, a to mi daje do myślenia że państwo które jest duszą robót nowych, musi się oglądać jeszcze, aby przez konfederacyą utworzoną przez siebie, nie wykazało zbyt jawnie celów istotnych. Gdy więc pewném się zdaje oglądanie to, nie mnie nie odwróci od myśli mojej, że bieg interesów Francyi wpływać będzie na przyszłe losy Polski,

a zwrót czyniąc ku sobie, śmiem i to dodać, że życzenia twoje przyjacielu rychłego mego powrotu, radzić się powinny termometru francuzkiego, a to co czytać będziesz w przeciągu miesiąca o nowinach z Francyi, powinno ci oznajmić albo rychły skutek życzenia, lub wskazać ci że dłużej w Petersburgu zabawię. Jaśniej ci to powiem jeszcze, abyś sobie wcześniej mógł wyrobić prawo postępowania: Jeżeli z Francyi przyjdą nowiny, że kraj ten nieszczęśliwy w centrum swoim w Paryżu pognębiony zostanie, lub koalicja a najbardziej Prusak oprzeć się Francuzom nie podała, naówczas wezmą determinacyą stanowczą względem nas i my dla traktowania seryo, dłużej tu zabawieć będziemy-musieli, przeciwnie jeśli skutki wojny wyraźnie się nie okażą, pożegnają nas pewnie prędko, bo pocóż by świadkami niedeterminacyi swój mieć chcieli?

Ale podobno zawczasie politykować zacząłem, a ty nasłuchawszy się dosyć podobnych marzeń po wszystkich domach w Warszawie gdzie każdy w cinciubabkę grać lubi, chciałbyś może, abym z drogi o podróży tylko pisał, o co dziś trudno, bom tylko trzy mile ujechał i nie ma jeszcze o czém. Wolę więc dokończyć listu tém, żem od pocztmistrza słyszał, że dziś dopiero Potocki Marszałek do Siedlec dojechał. W nadziei że go tam jeszcze zastanę, przyrzekam w następnym liście coś ciekawszego, zawsze twój nieodmiennie wierny.

II. Z Siedlec d. 12 Października.

Jużemy mieli z noclegu wyruszyć o szóstą zrana, gdy trąbka pocztowa dała znać o przybyciu nowego wędrownika, a po chwili znaleźliśmy się w towarzystwie JMPani Zarebinéj, któraby może i z pojazdu nie wysiadła, gdyby trudność dostania koni na poczcie nie zmu-

sila jęj do użalenia się na przykre położenie. Wyjechawszy z Warszawy o godzinie drugiej z północy najboleśniejsem by dla niej było, jak mówiła nie zastać w Siedleach Potockiego a szczególnież Suchorzewskiego i daremnie odbyć fatygującą podróż. Winna dla damy dyskretya nie dozwoliła nam zaspokoić ciekawości naszej względem celu który tak nagle panią Zarębinę pędził do miejsca gdzie się znajdować miały osoby wyżej wymienione, a w rzeczy nie bardzo potrzeba było badać o to gdy tylko co odeszła sprawa w konfederacyi Warszawskiej Xcia Kalixta Ponińskiego z Wojewodą Kijowskim, łatwo się dozwalała domyślać, że siostra Xcia Kalixta przedsięwzięła podróż dla zamówienia sobie łaskawych względów dla niego i podniesienia w sądzie apolacyjnym konfederacyi rigoru dekretu *primae instantiae*.

Niemogąc wszakże być użytecznym stroskanęj damie, która niedostawszy koni w Okuniewie, warszawskimi aż do Stanisławowa jechać przymuszoną była i życząc jęj przynajmniej pomyślności w przedsięwziętej drodze, gdy ani pragnąc z przekonania, ani spodziewać się było można powodzenia w przedmiocie tęg wyprawy—pożegnaliśmy i zostawili popasającą.— Pomimo to jednak z podziwieniem naszym znaleźliśmy ją przed nami przybyłą do Stanisławowa, gdzie nowego rodzaju spotkała ją przykreść, pocztmajster bowiem robił jęj trudności w daniu koni, gdy na stacyą nie pocztowemi ale furmańskimi przyjechała. Nie bardzo wielką za sobą miał słuszność targując się pocztmajster, a w istocie nie długo też trwała dysputa, bo pani Zarębina nie tylko dostała czego chciała, ale nawet wyprzedziła nas tak dalece do stacyi Żórawskiej o mil trzy od Stanisławowa odległej, że kiedym tam z moją przybył kompaniją, już nasza towarzyszą wędrowki przebrana i kontenta z nadziei dostania się rychłego do Siedlec, wkrótce nas porzuciła.—

W relacyi pierwszej podróży mojej do Brześcia na Siedlce, podobno nie wzmiankował że stacya w Żórawkach a jak drudzy ją nazywają Grembowska dla miasteczka Grembowa niewiele oddalonego, nie exystowała dawniej nigdy, i na prośbę tylko J.W. Hetmanowej Ogińskiej ufundowaną została tak dla wygody téj damy w przejazdach jej corocznych zimowych do Warszawy, jako téż dla ułatwienia podróży mnogim i ustawicznym gościom, którzy się do Siedlec zbierają. Że zaś niedawnej daty jest stacya tutéjsza dowodem i to, że osobnego domu pocztowego jeszcze nie ma, i przejeżdżający zatrzymywać się muszą w karczmie koło dworu będącej, a konie i poczthalter we dworze do biskupstwa Poznańskiego należącym stoją. Dzierżawcą wsi jest JMP. Oborski Szambelan, brat kasztelana Ciechanowskiego znajomego z żony, a w dzisiejszym stanie rzeczy politycznych krajowych Marszałek Konfederacyi ziemi Litewskiej co tém dziwniejsza że za czasu Sejmu czteroletniego nietylko był posłem, ale do klubu należał i w municypalność Warszawską był wpisany, co wedle początkowych konfederacyi Uniwersałów nietylko od urzędowania, ale nawet od przysięgi zupełnie odsuwało i niezdatnym czyniło do wszelkiej funkcyi. Wszakże principia się zmieniają, a tego dowodem nietylko powolność względem p. Oborskiego, który został aprobowany może dla tego że nie miał antagonisty jak gdzieindziej, ale nawet Uniwersał obwieszczający że już przysięgi wymagać się nie będą jak od urzędników konfederacyi, tak od tych co do Sejmu zeszłego należeli same akcessa i rewersa dostateczne, zmodyfikował pierwsze dyspozycye. O dziewiątej zaledwie stanąłem w Siedlcach, a przybywszy, ledwie mi czasu stało na rozpatrzenie się w kompanii ludnej, którą tu zastałem. Do jutra więc odkładam obszerniejsze o wszystkiém doniesienie. i t. d.

III. Z Siedlec d. 13 Października.

Zastalem tu oprócz Ożanowskich Kasztelaństwa Wojnickich, z których sama od pięciu miesięcy w Siedleach mieszka, a nakoniec z mężem w nocy z 12go na 13ty do Warszawy wyjechała. Z dam, gęsto tu przybywających już dla widzenia nowój gwiazdy Polsce przyświecającej w wodzu konfederacyi Targowickiej p. Potockim — IMPanią Karasiowę Kasztelanową Wiską i Lachowiczową z domu Oknińskie siostry rodzone, Wojniłowiczową, Instygatorkę Lit. z domu Chrapowicką, córkę z zerwanego przez rozwód małżeństwa Chrapowickiego Instygatora, który się z panną garderobową matki swój w niesmak familii był ożenił — Kruszewską z domu Markowską przeszłego interesów JW. Hetmanowej plenipotentką córkę, Chrapowickę ex - kasztelanową Mściśławską z domu Suszczyńską, Lachnickę z domu Trębickę i JW. Zarębinę dwiema godzinami przed nami przybyłą. Nie rachuję Panu rozwódek, panien starych, i panienek liczny Pani Siedleckiej dwór składających, lub edukacyą tu biorących, do którego orszaku płci białej przybyła jeszcze dziś wieczorem JW. Dłuska, Stárościna Łukowska z domu Kasińska, Marszałka konfederacyi barskiej córka, o której w listach poprzednich namieniłem, że wiernie do konstytucyi majowej wzdycha. Co do mężczyzn, oprócz Potockiego Marszałka Targowickiego i z nim przybyłych dwóch synów Szczęsnego i Stanisława, Borzęckiego, Komorowskich dwóch, pierwszjej żony JW. Potockiego nieszczęśliwie ze świata zgładzonej, jak całej Polsce wiadomo, braci — Modzelewskiego kawalera Maltańskiego, Swaryczewskiego, Krasieckiego majora, Adama Potockiego syna Wojewody Bełzkiego z pierwszego małżeństwa z Sapiieżanki dziś Sołtykówój spłodzonego, — Suchorzewskiego i kilku oficerów nowego konfederacyi związku, znalazłem JW. Hetmana

Ogińskiego, Ożanowskiego, Wojnickiego i Chrapowickiego ex mścińskiego, Kasztelanica, Kruszewskiego i Karasia, Wisłoucha, Podkomorzego Brześcińskiego, Jordana, Wojniłowiczów Instygatora i Adjutanta Hetmańskiego, majora Klejsta, który do rady wojennej czasu zamieszek z Rosyą Iudyckiemu był przydany. Sierakowskiego przyszłej polskiej legacyi w Sztokholmie sekretarza i wielu innych, już domowych w Siedlcach, już w towarzystwie z wymienionemi przybyłych, których liczba znaczna najwydatniej się przy obiedzie okazała, albowiem dwa stoły wzdłuż dwóch sal zastawione, ledwie nas pomieściły.

Xięcia Prymasa już nie zastałem, bo był dwiema godzinami przedtém wyjechał do Warszawy, zabawiwszy tu przez półtora dnia dość wesoło, jak gospodyni domu upewniała, ale nie wiem, czy akcess do konfederacyi uczynił. Domyślam się jednak, że korzystając ze zdarzonej sposobności widzenia się z Marszałkiem zrobić go musiał, albowiem przed wyjazdem z Warszawy pokazywał mi biskup Inflantski przygotowany już dla X. Prymasa akcess z recesssem od Sejmu zeszłego, jakiego od wszystkich Senatorów i posłów wymaga konfederacya.

Marszałek Potocki chciał wprawdzie w nocy tegoż dnia którego do Siedlec przybył powracać do Brześcia, i konie tak pod ekwipaże jego rozebrane zostały, żem nie mógł ich dostać, ani na poczcie ani u furmanów — uproszony jednak od JW. Hetmanowej aby rannego nie odmawiał obiadu, nietylko się nań dał skłonić, ale nawet resztę dnia tu jeszcze przepędził, zobligowawszy mnie i żonę moją, abyśmy także zostali. Łatwo nam to przyszło spełnić, bo nie było czém wyjechać. Być może iż przez cały obiad nieustannie bawiąc się rozmową z żoną moją, miał zamiar jeszcze spędzić w ten sposób i wieczrę, co też nastąpiło, nieprzestannie bowiem z nią mó-

wił, i dla tego pozwolił się na resztę dnia zatrzymać. Znając doskonale Potockiego, który raczej mrukiem jest, niż skłonny do gawędki, zadziwił się Pan, że kilkogodzinną bawił się rozmową, ale i ja bym temu nie wierzył, gdybym na oczy nie widział; tém bardziej, że w dniu wczorajszym zagadniony przezemnie, iż miałbym do pomówienia z nim, nie tylko w dyskurs nie wszedł ze mną, ale się nawet stronić zdawał.

Nie mogłem wprawdzie słyszeć co było przedmiotem stołowej rozmowy Potockiego z żoną moją, ale mi ona ciekawszego powtórzyła, a ja tém skwapliwiej się komunikuję Panu, że w dzisiejszym czasie roztropność każe wszystko zbierać i kombinować dla odgadnienia przyszłego losu naszego, nizać musimy na nitkę to wszystko, co sposób myślenia pierwszych aktorów nowego teatru politycznego, w jakimkolwiek świetle nam daje.

Życzenia tedy naprzód aby konfederacje się nie cudzały z królem, i miasto tłuc się po kątach zjechały do Warszawy, dla wspólnego z królem radzenia ojczyźnie, dały powód żonie mojej do zapytania Potockiego, czy Warszawie odjęta całkiem zostanie przyjemność poznania nowych wodzów rządu, na co zapytany odpowiedział, iż co się tyczy jego samego, po accessie króla i dla wygody oraz dopilnowania examinatorów magistratur, nie byłby od tego żeby się konfederacje przeniosły do Warszawy, pewien siebie że żadna intryga zdania jego nie zmieni, ani też stchórzyć może dla czystego sumienia, które mu żadnych nieprzyjaciół widzieć nie dopuszcza — ale w tej mierze zawisł zupełnie od woli cudzej... Dalej spytany o Sejmie kiedy i gdzie by był spodziewany, odparł że podług niego, żądanym był jak najrychlej Sejm w Grodnie, gdzie po odbyciu przez konfederacje w Warszawie wszystkich examinów i wybrania osób do wszystkich dykasteryjów, po uformowaniu projektu do praw i formy rządu przyszłego i dość pożyte

czegoż można by postanowić dla kraju w przeciągu sześciu niedziel, a na tak krótki czas i królowi i innym zjechać będzie łatwo.

— Któż jednak zaręczy, przerwała żona moja, aby Sejm przyszły mając tak wiele do reformowania i postanowienia na nowo nie stał się znowu tak przeciągłym jak ostatni?

— A no rzekł Potocki, przykład wymieniony powinien być nauką, aby się chociaż w najlepszych zamiarach nie zaciękać; — wiele — dodał — ustaw z Sejmu przeszłego mogą z małemi odmianami pozostać, a trzeba też następnym zastawić zasługę równej pracy dla ojczyzny, nie nabierając na siebie zbyt wielkiego ciężaru. Dla tego samego, rzekł istno, Grodno na Sejm przyszły wybrać należy z ekсклюzą Warszawy, aby brak wygod zbytłownych, do krótszych obrad był pobudką.

— Jest więc nadzieja, że wiele robót przeszłego Sejmu, otrzyma cechę prawa na przyszłym? — mówiła dalej żona moja — na co Potocki:

— Zapewne i do nowego przerabiania możeby nie przyszło, bez rewolucyi 3 Maja, a nie mówiąc już o sukcesyi, bez nienaturalnego aliansu z Prusami i nieroztropnego konceptu Infantki, zdrady miejskiego stanu pod pozorem dobra jego, małoważnych praw w rzeczy stanu wiejskiego i nieroztropnego srożenia się na Rosyą, któraby nie weszła do Polski, gdyby w Marcu roku teraźniejszego nawet, Sejm z nią polityczniój był chciał postąpić.

Te i tym podobne rozmowy Potockiego z żoną moją przerywała często pani Hetmanowa, przestrzegając ażeby zapomniawszy o jedzeniu nie oddawał się polityce. . . . W ucinkowych swych rozumowaniach powiedział między innemi Potocki, że Warszawa nie zna lub znać go nie chce, gdy się lęka zemsty i jakiego bądź srożenia się konfederacji, że w całym swym życiu nie miał i nie

znał nikogo nieprzyjacielem, albowiem przekonany jest że więcej na świecie przeciwności doznawać się zwykło ztąd iż każdy bliższym jest siebie, niżeli drugiego (?) i że przeto nie wie gdzieby miał umieścić w swym dykcyonarzu to słowo nieprzyjaźń lub zemsta... Lubo są co go namawiali i namawiają aby tak postępować z drugimi jak ci by postąpili, gdyby moc mieli po sobie, nie usłucha ich jednak. Co do przysięgi, na którą się powszechnie uskarżają, odpowiedział Potocki, że Warszawa nie musiała czytać Uniwersału, gdy mniemamy, że konfederacja wszystkich bez wyjątku do wykonywania jej zmusza. A gdy żona moja oprócz innych przykładów w Litwie zdarzonych sekwestrów dóbr do osób nieskładających przysięgi, cytowała na poparcie przymusu niszczającego świętość jej — surowość postępku z panem Potockim starostą Szczerzeckim — odpowiedział marszałek, że konfederacja o tém nic nie wie, i zapewne szczególne jakieś były powody do takiego z posłem polskim u Porty postępowania.

Co jednak nadewszystko w relacji uczynionej mi przez żonę moją zadziwiło mię, i do dochodzenia jaki był cel dyskursu Potockiego skłoniło, było właśnie że, jakem wyżej doniósł Panu, lekko i bez zastanowienia się nadmieniwszy naprzód o najgłówniejszym punkcie sukcesyi, w końcu przez różne potoczne materje, wprowadził znowu rzecz o tém, powiadając że pan Kosburg nie tylko był zdziwiony, ale zgorszony listem króla, w którym koronę polską sukcesyjną ofiarował W. Xięciu Konstantemu, i że cesarzowa ani sobie o tém mówić dozwoliła. Gdy żona moja oświadczyła ztąd podziwienie swoje, z powodu że propozycja nic nie miała obrażającego, a skutek jej gdyby miejsce mieć mógł zawsze by dla W. Xięcia był dogodnym i zaszczytnym, gdyż ińaczej na apanażu swym by pozostał — odpowiedział wprawdzie na to Potocki coś, ale tak mało przekonywującego, że

odpowiedź jego ani w umyśle, ani w pamięci nie zostawiła żadnego wrażenia. Ja zaś pozostaję w przekonaniu, że moje co do losu Polski wróżby, o których tyłokrotnie Panu mówiłem najprawdopodobniejsze, i suponuję że Potocki wzmiankował o sukcesyi dla tego, aby zamiary nadal jeszcze ukrytemi były do niejakiego czasu, póki się nie wyjawią, co to o nas myślą, co nie sądzę aby Cesarzowa JMśc nie dała poznać Potockiemu tego, z czém się wydała przed Hetmanem Kossakowskim, że za perspektywę Tronu dla wnuka wcale się nie gniewa.

Miałbym jeszcze wiele do pisania o osobie, której charakter, postępowanie każde, sposób życia, zabawy, rozmowy i myśli nawet nietylko bawią ale ciekawość pobudzają całej Polski, gotując się jednak do ранnego wyjazdu, gdy zbyt by mnie dłuższy list trucił, a spoczynku potrzebnę, odkładam ciąg dalszy na dzień inny; bo nie jeden sukursu przypomnień starszych wymagać będzie.

IV. Z Brańska 14 Paźdz. o 2giej po północy.

Późno w noc przeciągnąwszy podróż, bośmy w Siedlcach zamarudzili, i dla mszy niedzielnej a targu z furmanami, ledwieśmy o godzinie dziewiątej wyruszyć mogli, poczynam od tego list mój, że klejące się do snu oczy, krótkim mi być nakazują, a szybszym niż pocztą (z powodu przepędzonych koni) — pędem biegnąc do końca listu, donoszę ci, że przez cały dzień ledwie ujechał mil siedem do Krzemieńca, a ztamtąd po przeprawieniu się przez Bug, pół szóstej mili do Brańska, zabrały mi dziewięć godzin nocnej jazdy. Pod Krzemieńcem widziałem ślady opuszczonego obozu, a w Polikrach czynił nam relację pocztmajster, jak samowolnie generał

Zabiello opuścił zrzeczność potyczki z Denisowem, i zrobienia sobie sławy na jaką zasłużył generał Kościuszko. Tu w Brańsku pierwszych spotkaliśmy żołnierzy ruskich konsystujących na kwaterach, gdy naszego wojska od Warszawy także nigdzie nie widzieliśmy.

Słyszałem po drodze podobne Warszawskim ale zarówno niesprawiedliwe narzekania na króla, jakoby dane przezeń rozkazy komendantom do cofania się, były powodem szczęśliwego ocalenia drobnój komendy generała Denisowa, z której jak mówią, inaczej by noga nie u szła. Lecz daremnie chciałby się generał Zabiello tym głosom puszezonym w obieg przed publicznością osłaniać, wielką bowiem różnica między napadaniem na nieprzyjaciela, co mu było zakazano dla politycznych względów bardzo słusznie, a broniem się jak wypadło uczynić w Krzemieńcu. Raczej naganiać wypada brak dbałości w komendancie o dobrych szpiegów, których gdyby był miał, wiedziałby że kiedy generał Denisów atak przypuścił we dwa tysiące kilkaset ludzi, oddzielił się niebacznie od większej komendy znajdującej się o pół szóstej mili w Brańsku; a generał Zabiello w tak dobrej za Bugiem znajdował się pozycyi, że mógł był w obronie zniósłszy Denisowa dopiero ustępować, gdyby liczniejsza nadeszła komenda. Nie by to wprawdzie, koniec końcem nie pomogło, ale generał Zabiello nie byłby na siebie ściągnął téj plamy, którą czas chyba zatrze, gdy w innych okazjach więcej okaze roztropności i odwagi — nie daj tylko Boże, by czas ten do minionego był podobny. Lecz dokąd się zapędzam, mienie to czas do spoczynku i zakończenia listu oświadczeniem etc. etc.

V. Z Białego Stoku 15 Października.

Z pod jednej daty list już drugi przesyłam, ale nie z jednego miejsca, gdy po przebyciu mil ośmiu z piątego podróży mojej noclegu piszę... martwi mnie to, wprawdzie, że znacznie opłacając codzień po 12 koni pocztowych, z pośpiechu jednak korzystać nie mogę — ale to skutek naturalny pory jesiennej, dni krótkich a nocy ciemnych i złego stanu koni po stacyach, które kuryjerowie nstawicznie biegający, pozamęczali.

W ciągu podróży dzisiejszej w Brańsku i Bielsku spotkałem Jegrów rossyjskich pod komendą podpułkownika Hlebowa kwaterą w Brańsku stojącego i Kozaków w Wojszkach, tu zaś stoją komendy wojska polskiego z brygady JMP. Walewskiego, którą dawniej JMP. Potocki Jan jenerałowicz artylerji komenderował, a złączwszy się z malkontentami ślepo do dawnego systemu przywiązaniemi, porzucił przez uproszony abszyt i wyjazd za granicę. Wspomniawszy Potockich, machinę polityczną w kraju od lat więcej czterech obracających, przychodzi mi na myśl jak słusznie ubolewała pani z Potockich Potocka kasztelanowa lwowska, która wśród radości siostry swój kasztelanowej Kamińskiej duszą i ciałem konstytacyi 3 Maja partyzantki, przewidywała z całym niepewnością ustawy rządu rewolucyjnym sposobem (?) wprowadzonego, a znając jenerała artylerji z powodu niesmaków jakie zniósł i z przekonani swych nieprzyjacielem robót nowych, odezwała się roztropnie w czasie gdy srogość sejmowa najniepolityczniej go od stopnia jenerała odsądziła; że w jakimkolwiek bądź składowie okoliczności następnych, zawsze imię Potockich, nie mile się stanie narodowi, dla szkód i ucisków, które z ich powodu Polska przenieść będzie musiała.

Dały się już rzeczywiście poznać te uciski, i koniec onych dla pobytu w kraju setysięcznego obcego wojska.

ska nie tak bliski, ponieważ pewnie cudzoziemski żołnierz nie tylko się w polskim chlebie przekarmi przez zimę, ale nadto znana gospodarność pułkowników, komissaryatu i prowiantowego etatu tego się słusznie lękać pozwala, aby prowiantów i furazów z nas nie wybierano podwójnie i więcej nad potrzebę, co głód by pewny na wiosnę sprowadziło. Nad tą naprzód smutną konsekwencją powinien jak najtroskliwiej zastanowić się Pan generał artylerji przy sterze nowych robót będący, ażeby albo kraj uwolnił od tej ostateczności, jeżeli ma dosyć kredytu u dworu, albo przynajmniej nie rozszerzał zemsty nad temi, którzy bądź w kraju, czy za granicą, ślepo są przywiązani do konstytucji, bo z własnego doświadczenia powinien mieć naukę, jak to źle do rozpaczki prześladowaniem doprowadzać.

Oświadczył się wprawdzie generał przed żoną swoją, jakem już doniósł, że niema w myśli najmniejszej zemsty i powolnością raczej niż musiem chce naprowadzać kraj na nowe odmiany, czego poniekąd dowodem jest początkowym, uniwersał ostatni od najciekawiej ułożonej przysięgi uwalniający obywateli, lecz w rzeczy zbyt licznych i kraj niszczących furazów, będzie li panem okoliczności? a w robotach następnych potrafi li sam być duszą konfederacji? Być może, i co do mnie, lękam się by nie było przeciwnie, bo sam się przyznał już, że nie mógł namówić do przeniesienia się do Warszawy, z nami zaś mężczyznami poufnie gadać nie chce czegom doświadczył w Brześciu i w Siedlcach, a podobno od nas większej by mógł spodziewać się pomocy niżeli od dam, z któremi najwięcej rozprawić lubi. Wreszcie gmach pracy jaką przedsięwziął ustawicznego potrzebuje czuwania i pilności, wybadywania co się dzieje w kraju, a przez cały czas w Siedlcach przypatrywałem się jak generał przykuty siedział przy Faraonowym stoliku. Ojczyzna prędkiego potrzebuje ratunku we

wszystkiem, a temperament jenerała marudny, pospiechu wcale nie obiecuje.

Może też wcale niewczesna jest ta moja jeremiada — daj Boże, ale... Jeżeli w czem to w sprawie pokoju i szczęścia kraju chciałbym być fałszywym prorokiem, bo dobrego nie wróżę... a com napisał, niech to będzie zachowaniem u pana dla przyszłego potwierdzenia. Szczerość z jaką myśli moje wypisuję niech będzie dowodem przywiązania i ufności itd.

VI. Z Grodna 16 Października.

Kontent jestem zupełnie z dzisiejszej mojej podróży, bo przecie mil dwanaście ubiegłem, i ze skierowania się na Horodnicę, gdzie mnie przyjął na noc JMPan Szambelan Badeni, tu znalazłem wiele osób a konfidencyjna z niemi rozmowa o wielu mnie rzeczach nauczyła. Zacznę zaś relację od doniesienia, które mnie zmartwiło, ażebym się raz zbył i na później spokojniej kończył to pismo.

Zastąłem na Horodnicy oprócz gospodarza, którego żona została podobno w krakowskiem dla towarzystwa brata ex-Chorążego Wawrzeckiego, konstytucjonisty najgorliwszego i przeto dziś niewypowiedzianie rozpaczającego — zastąłem mówię, Chorążego Nadwornego Wołłowicza i Horainą Wojewodzica Brzeskiego, komissarzów skarbowych, kilku konsyliarzów konfederacyi koronnej i litewskiej... Z tych Wołłowicz, Horain i sam gospodarz uważać się poczęli na niezdolne furaze, które kraj z chleba ogalacają, że na wiosnę głodu lękać się należy, a z téj przyczyny i rozpaczy chłopstwa, albo rozejścia się poddanych lub buntu łatwo mogącego się podlegać przez nieprzyjaciół dzisiejszej w rządzie odmiany. Na drugą też klęskę publiczną nie mniej okro-

pną w konsekwencyach użalali się obywatele litewscy z powodu niezgodnych rozporządzeń konfederacyj obojga, względem kurrency rubli w kraju naszym, których w Litwie kurs po 200 groszy a w Koronie po 110 naznaczono, przez co słusznie lękać się przychodzi, ażeby za litewskie złoto przeprowadzone do Korony przez żydów wekslarzy, Litwa w wygórowanej nad walor monnaie srebrnej z widoczną swą szkodą się nie napelniła. Skończyli wreszcie narzekania swe prośbą, ażebym co do furazów osobiście przełożył w Petersburgu uciążliwości nasze i doniósł że przewyższająca ich nad potrzebę liczba musi być przemysłem dowódców, którzy z chleba naszego powszedniego majątki sobie chcą robić. Alem im łatwo wyperswadował, że nieprzystало mi się teraz niczego samemu domyślać ani donosić o czemkolwiek, chyba by mi do tego wyraźnie dała konfederacya zlecenia.

Pomiędzy Konsyliarzami koronnemi, gdym postrzegł Moszczyńskiego Chorążego Braclawskiego a teraz już marszałka Wojewodztwa Braclawskiego, zesłego sejmu posła, a co go najszcześniejszym czyni, faworyta JW. Szcześniego Potockiego, z którego łaski został Szefem Regimentu złotej wolności przez konfederacyą ustanowionego i z reformy Cichockiego Regimentu dokomplementowanego, przypomniałem sobie doniesienie uczynione przez JMP. Sierakowskiego w Siedleach, o ułożonej jakoby i przez Potockiego przyjętej formie rządu posłanej do Petersburga, przez kurjera. Chcąc o niej być oświeconym przez Moszczeńskiego, dla którego co myśli Potocki nie jest tajemem, a on znowu dla pokazania, że mu nie jest tajemem pochwalić się lubi z czem może, zapytałem go o nią. Ten mi następującą uczynił relacyą — że Potocki sam ręką swoją projekt rządu przysłego, dla Polski napisał, a ten wytłomaczony przez P. Borzęckiego po francuzaku i kurjerem posłany do Cesarzowej JMci

zawierać miał co do istotniejszych punktów następujące :
1sze Podział dawny na prowincye—których ma być trzy, te być mają, każda z dziesięciu województw złożona, w nich znowu po trzy powiaty, co do liczby dymów równe. Projektem jest przyłączyć do Wielkiej Polski Województwa Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie—*powtóre*, pomnożenie ministerjów, aby po dwóch było Marszałków, dwóch Hetmanów, dwóch Kancelrzów i dwóch Podskarbich w każdej prowincyi, *po trzecie*, oddział komissyj rządowych, edukacyjnej, policyi, skarbowej i wojskowej podobnie udzielnych na każdą prowincyą z umieszczeniem onych w głównej stolicy, i również wydział assessorii na każdą prowincyą osobnej, wcielając w nie sądy referendarskie, i do spraw miast dozwalając zasiadać w nich assessorom miejskim. *Po czwarte*, ułożenie Senatu z 30 wojewodów, po jednemu na cały General, z kasztelanów dziewięćdziesięciu, po jednemu na każdy powiat, z ministrów jak się wyraziło 24, po ośmiu na każdą prowincyą; *po piąte* przywrócenie Rady z przezwaniem jój Dozorcą z ujęciem departamentu sprawiedliwości i rozdawnictwa urzędów jakie były dawniej w radzie. *Po szóste* ustanowienie trybunału na każdą prowincyą, sądu ziemiańskiego na każdy General i sądów primae Instantiae w każdym powiecie, w przedmiocie spraw facti et juris pomniejszej importancyi; *po siódme* zachowanie z reformą jaka się здаwać będzie normalnego rozgraniczenia i komissyj porządkowych na Generaly tylko rozdzielanych. *Po ósme* zachowanie sejmów ordynaryjnych, podawnemu i sejmów Elekcyjnych, które po śmierci króla bez poprzedzenia Sejmów konwokacyjnych zaraz przez Prymasa zwoływane być powinny. *Po dziewięte*, zachowanie sejmików poselskich co do wyboru tylko posłów na niedziel osiem przed sejmem, a po tych odbytych ustanowienie zjazdów przedsejmowych prowincjonalnych w wybranych

osobach z wojewodztw tak dla examenu dykasterjów jako też dla uformowania Instrukcyi z propozycyi od Tronu i dezyderyów, przez co na sejm tylko trzy instrukcyje prowincyonalne dane będą. *Po dziesiąte* ustanowienie stopniowania tak, aby w powiatach oprócz sędziów urzędnicy z niższych na wyższe postępowali aż do Chorążego, aby na podkomorzego szedł Chorąży albo obywatel co funkcję odbył, bądź poselską, bądź deputacką, na kasztelana podkomorzy, albo obywatel dwoiścią mający jako wyżej zasługę, na wojewodę kasztelana którykolwiek z powiatów do Generału należących, albo obywatel trzykrotnie jako wyżej zasłużony, aby nakoniec na ministra szedł ten tylko, który za granicą odbył funkcję publiczną w charakterze dyplomatycznym. *Po jedenaste*, zmniejszenie kompletu wojska do 45 tysięcy to jest po piętnaście tysięcy na każdą prowincyę, z równym artylleryi podziałem i postanowienie trzech Generałów teje. *Po dwunaste*, determinowanie aby na sejmikach ci do wotowania mieli prawo, którzy się sami do księgi ziemiańskiej wpiszą. *Po trzynaste* postanowienie między skarżami każdej prowincyi takiego rachunku aby przez kompensacye wzajemne równa wszędzie znajdowała się percepta. *Po czternaste* wnoszenie do komisyj skarbowych intrat edukacyj, na którą w każdej prowincyi równy być powinien expens z podobnej jako wyżej kompensacyi, na Akademije, i szkoły w każdej prowincii zarówno postanowione. *Po piętnaste*, alternata w pełnieniu obowiązków ministrowskich taka aby każdy już w prowincyj, już w Radzie dozorczej, zasiadał na przemiany.

Te są, *praeter propter* najistotniejsze objekta proponowanej Petersburgowi formy rządowej przyszłej, która lubo w wielu materyach wielką niezwykajnością uderza, wiadomość o przesłaniu jakiegokolwiek projektu ukontentowała mnie dla tego, że mam nadzieję, iż niedaremna bę-

dzie fatyga w drodze do stolicy, i za powrotem Polska jakąkolwiek formę przywdzieje. Nie było czasu dysputować z pierwszym ministrem autora projektu o wszystkich jakie na prędce postrzegałem trudnościach, dość mając tym czasem na tém co mi doniesioném zostało, troskliwy tylko o zapewnienie się czy w systemie nowym jest utrzymanie powagi i Wezyratu, gdy w téj mierze zagadnąłem P. Moszczeńskiego, odpowiedział mi, że Hetmani témsamém strasznemi być niemogą, iż ich będzie sześciu, i że pomimo całej usilności osobliwie p. Rzewuskiego władza buław zdaniem Potockiego—a jeżeli jego przeważy opinija, na tém się skończy, że każdy z Hetmanów w swojej prowincyi kolejno będzie raz komendantem pod komissją wojskową, drugi raz prezydującym w niej. Wreszcie ciekawy co do przedmiotu najgłówniejszego i najwięcej zajmującego względem sukcesyj tronu, lubo w relacyi swój wspomniał Moszczeński sejmy elekcyjne, ale jakoś o nich nie zbyt się obszernie rozciągał tłumaczając jak w innych przedmiotach patriotyczne myśli swego pryncypała — zagadnąłem go, iż gdy powaga króla i Hetmanów w Polsce ograniczona będzie według téj planty, lękać się nie należy w Polsce choćby i dziedzicznego tronu wybrawszy osobliwie familią dla Polski pożądaną. Zgodził się nasz Moszczeński, ale dodał że determinacya tego od zagranicznej zależy polityki, a konfederacya nie mogąc tylko wedle swych postępować prawideł w akcie publikowanych, zostawi narodowi wszystko to, czego dokonać nie będzie mogła ani chciała, z bojaźni aby jak sejm przeszły zadaleko się nie zaciekla.

Niechcę Pana mego zatrudniać uwagami mnogiemi, które mi troskliwość o przyszły los Polski nasuwa, lękam się nawet, aby mnie przekonanie moje co do sukcesyj i W. X. Konstantyna nie zdradzało, gdy się bez fundamentu domyślam tego czego pragnę, wolę więc

czasowi zostawiając sprawdzenie wszelkich domysłów, na historycznej poprzestać relacji, tego com słyszał, wstrzymując się od komentarza... a Panu dając przedmiot do odgadywania itd.

VII. Z Leypun d, 17 Października.

Już dzisiaj nocuję na trakcie nieznanym mi dotąd, w którym ponieważ od Narwi samój, krajem i miejscami takimi pojadę którychem jeszcze nie zwiedzał, lubo trzeci już raz Petersburską odbywam podróż— nie będzie to może gniewać cię kochany przyjacielu, gdy oprócz tego co usłyszę donieść nie omieszkam to co mi się widzieć zdarzy, i czego wesoło czy smutnie na sobie doświadczyć.

Od Krynicznej gdzie na stacyi przemieniłem tylko konie, rozdwaia się gościniec pocztowy w prawo na Rotnicę do Wilna, a w lewo na Przewalki do Kowna idący w ostatnim z tych miejsc a od Grodna o mil pięć odległym, dożywotnie zaś jako królewszczyna do Ogińskiego Kuchmistrza Litgo: należącem, zatrzymałem się dla zjedzenia podróżnego obiadku. W przeciagu mojego pobytu zajechał do Przewalki J.M. Pan Rosen obywatel Infant Rossyjskich Rotmistrz w pułku karabinierów dążący przez Warszawę do Wiednia, dla widzenia się tam z przebywającą familią swoją. Rotmistrz znajomy nam już był od czasu konstytucyi w Krasławiu, od wesołych dni które tam oficerowie Niemcy po większej części choć pod pułkownikiem rossyaninem Kozłowem przepędzali — przypomnienie sprawiło, że JMP. Rosen nie czując się jak to pospolicie z nieznajomymi bywa, pomógł nam do przepędzenia czasu póki się popas nie skończył.

Z tej relacji o drodze którą przebył dowiedzieliśmy się nie z wielką pociechą, że za Kownem na Żmudzi

a osobliwie od Kalniowa ostatniej stacyi przed Mitawą dla deszczów i rozbitych tak czarnoziemiów jak glejów, nie nazbyt pospieszną mieć będziemy drogę. Spodziewając się tedy mitrętnej podróży która tém przykrzejszą byłaby gdybyśmy nocami ciemnymi jechać mieli, równo że zmierzchem zatrzymaliśmy się w tém miejscu dla nocnego spoczynku, wołając raczej przededniem wyruszyć z noclegu niżeli tłuc się po nocach. Leypuny zkąd piszę inne od tych które są na trakcie wileńskim, a do starostwa Olkienickiego należą, należały dawniej do domu XX. Massalskich, dzisiaj zaś z nabycia dziedzictwem są JM. Xiędza Kruszewskiego który z audytoryi i z danej sobie przez Xięcia Biskupa Wileńskiego sposobność tyle zebrał, że można mówić iż go łaską jego własną wyzwał z tej fortuny, wprawdzie kupiłby nie on to inny, bo Biskup na spłacenie synowicy swojej Xiężnej de Ligne, córki nieboszczyka Massalskiego podskarbiego potrzebował pieniędzy. Lecz gdybym na miejscu rzeczzonego kanonika był, wolałbym co lepszego nabyć aniżeli same lasy sosnowe, a zatém grunta piaszczyste i chłopków którzy na złym gruncie ubodzy być muszą.

Ośm mil od Grodna tylko ubiegliśmy dzisiaj zamiast dwunastu które na dniu wczorajszym ujechać udało się, niebyłoby to przyzwyczajeniem do marudniejszej nadal jazdy? lecz niechęć sobie psuć dobrej myśli.

VIII. Z Bałbierzyszek 18 Października.

Lubo już zaprzężone były konie do naszej karety w zamiarze przebycia jednej jeszcze stacyi choć po zachodzie słońca i lubo na wcale niegościnnym napadliśmy gospodarzów w tém dziedzicznym JW kasztelana Żmudzkiego Tyszkiewicza miasteczku, dla opóźnionego atoli przybycia bryki od której niechcielibyśmy być daleko,

bo późno ułożyłszy się nie byłibyśmy w stanie wyruszyć rano — przedsięwzięliśmy zanoćować w tém miejscu, z żalem iż za cały dzień tylko półosmiej mili się zrobiło.

Mileż zaledwie ujechawszy od Lejpun, pod karczmą zwaną Ś. Jańską drugi raz przez Niemen przyszło się przewozić, co wielce mnie zastanowiło, z przyczyny że pojąc niemogłem dla czego dawniejszy trakt który szedł na Merecz a ztamtąd zwracał się do Olity zmieniony został z przykrością dla podróżnych w pomnożonych przewozach. Ale na pierwszej stacyi zaraz w Kryksztanach w wiosce należącej do starostwa Mereckiego w possessyi szwagra mojego Józefowicza będącej, uspokoiło mnie gdy pocztmistrz oświadczył, że i dawniej do Olity dojeżdżając, potrzeba się było przez Niemen przewozić, a dla uniknienia tego należało stacyą pocztową nie w mieście Grodnie lecz przed przewozem tamże będącym ustanowić, by od drukrotnego przez rzekę przewożenia się jadących z Warszawy do Petersburga uwolnić. Przewóz przy karczmie Ś. Jańskiej był przyczyną, żem się od bryki oddzielił, która do Kryksztan jeszcze nie była ściągnięta, gdyśmy się w dalszą puścili drogę po lekkim śniadaniu kieliszka likworu i kawałka chleba z masłem. W Olicie o półczwartej mili od Kryksztan, a półszostej od Lejpun nie jadłem obiadu dla niedojścia bryki na której był kucharz, a ztamtąd mil dwie ubiegłszy do tego miejsca lubo zupełnie głodni, niedoprasaliśmy się niczego przecie od tych kobiet które się tu gospodyniami być zdały. Jedna z nich stara najwięcej krzątała się w domu, druga półwieczna mruczała tylko na łóżku siedząc i z dzieckiem się pieszcząc, trzecia najmłodsza słudze tylko rozkazywała. Całemu temu babskiemu tryumfeminatowi jak miłosierdziu podobało się nam tego to owego użyć, gdyśmy jednak po ściągnięciu bryki około dziewiątej godziny przedsięwzięli

nocować w Balbierzyszkach, staruszka co się najwięcej krzątała tak dalece żeśmy ją zrazu wzięli raczej za służkę niżeli za współgospodynię, niemogąc snąć znieść dłużej byśmy zostawiali w nieświadomości czém była, wszczęła dyskurs i zawiadomiła nas że jest wdową po oficerze, że mężem jej był Sartoriusz, brat jak twierdziła JPana konsyliarza Sartoryusza, pocztą w Warszawie zawiadującego (lubo JPan Koch sociusz podróży naszej wiadomy familii konsyliarza, zaprzeczał temu).— Powiedziała nam też że owa półwieczna kobieta była jej córką, żoną szlacheica przez męża porzuconą, a dziecię z którym się pieściła wnuczką jej z siostry urodzoną, że najmłodsza jejmościanka była także wnuczką staruszki z innej córki, w szesnastym roku dla smutnego doświadczenia skutków stanu małżeńskiego nie pragnąc wcale słodyczy jego kosztować i t. d.

Wątpię żeby ta relacya mogła go wiele obchodzić, lecz wybaczyć na ten raz że cię tą historią utrudzam, i dzieje kafenhausu w Balbierzyszkach z taką opowiadam precyzją, bo to czynię dla własnej dystrykcyi i opędzenia się smutnym przeczuciom, które mnie z powodu dalszej podróży napadają. Codzień bowiem mniej mil njeżdżamy, drogi coraz szkaradniejsze, grunt z piaseczystego zmienia się na glinę, i czarnoziemy wprawdzie żyzne, ale do przebywania trudne, słowem nie lepsze ale gorsze obiecywać sobie potrzeba...

IX. Z Kowna d. 19 Października.

Znowu przez cały dzień podróży tylko mil ośm zrobiliśmy do dziesiątej w nocy, a wygodny szczególniej nocleg u brzuchatego pocztmistrza p. Essau osłodził nieco przykrości wolnej jazdy. Przyczyną jednak nie była sama zła droga, albowiem dwie mile ujechawszy

z Balbierzyszek w Prenach kowal z rymarzem zabrali dwie godzin z górą, pierwszy dla zrobienia nowój buxy w przedniem kole karety, drugi dla naporządzenia targańca zerwanego w niej pod Prenami, w wyboju, który nas do wyjścia z powozu i deptania gliny przymusił.

Preny królewszczyzna po śmierci Butlera, którego rezydencyi tu ustanowionój dowodem jest drewniany gmach dosyć wygodny jak nam mówiono — teraz w dzierżawie dożywotniej i emfiteutycznej księcia Sapiehy generała artylerji litewskiej, na zeszłym Sejmie Marszałka konfederacyi litewskiej. Miasteczko wcale nie wygląda na stolicę starostwa od stu górą tysięcy intraty; pocztolioni wprowadzili nas nie do pocztowego domu lecz do austeryi, w której miał być kafehaus, tam nadspodzianie znaleźliśmy IMP. Stegentyna podpułkownika i Ziemeckiego majora regimentu buławy polnej, oczekujących nadejścia pułkownika Gedrojcia z całym regimentem na zimową konsystencyą. Jakoż w czasie zatrzymania się tu naszego nadeszły fury z choremi tegoż regimentu i wiadomość że na noc cały miał tu ściągnąć.

Widok chorych i kompania oficerów, którzy się na wojnie znajdowali acz krótko, dały mi powód zapytania o jenerałów, którzy wojskiem litewskim komenderowali i potyczki w których uczestniczyli. Usłyszałem że Zabiellowie na tak niefortunną zasłużyli reputacyą, że oficerowie i żołnierze jak na śmierć bezwinną skazani szli pod ich komendę, szczególniej uskarżali się na Michała Zabiellę, o którym Ziemecki major mówił że nigdy szpiegów nie miał, nigdy, oprócz raz jeden w Krzemieńcu, gdzie niepotrafił z tego korzystać — plać dla wojska dobrego nie umiał wybrać, na podjazdy małe kupki jak na stracenie komenderował, i dla tego pułki osobliwie Kirkora i Bielaka z ludzi i koni poogalać; — za najmniejszym doniesieniem, nie nakazując dotarcia i przekonania się o prawdziwosci relacyi, za usły-

szeniem najmniejszego wystrzału, zaraz bić alarm nakazywał, tak dalece iż raz się trafiło, że odgłos grzmotu dał do alarmu hasło i cały obóz gotów był do rejterady, gdy nadchodząca chmura wskazała nieprzyjaciela w powietrzu. Z uprowadzeniem wojska w potrzebne magazyny nigdy się wcześniej nie pośpieszył, i gdzie nadciągnął tam dopiero o furach myślał, z kąd poszło iż najczęściej dwie i trzy doby żołnierz mrzeć musiał z głodu, a zmuszony do rejterady przez nieprzyjaciela zostawił potem dla niego zebrane zapasy. Pomimo głodu którego doświadczało wojsko całe, o sobie był jednak pamiętnym a darmo zrzucał na króla winę, jakoby ten rozkazał bezczynność i ucieczkę, gdy w kilku okazyach a mianowicie pod Krzemieńcem mógł poraziwszy w obronie przeciwnika porządnie w tył się posuwać, nie zaś po ośm i dziesięć mil czasem pędzić piechotę i artylerję. Po akcesie królewskim do konfederacyi tentował oficerów aby wszyscy o abszyt prosili, lubo w tej mierze mało znalazł powolnych, a nakoniec całe wojsko przyprowadziwszy do Stanisławowa bez zdania komendy komukolwiek, nie nikomu niemówiąc porzucił je tam, tak że niewiedzieli całe pod czyjem dowództwem zostali.

Te i tym podobne pochwały generała lejtnanta i posła, który był pierwszym jako członek Sejmu do zapalenia wojny uporczywém nastawianiem na Potockiego, a komendy ani wojska później utrzymać nie umiał — zabrały nam czas którego rzemieślnicy i kucharz do wygotowania rannego obiadu potrzebowali. Po południu ruszywszy w dalszą drogę zaledwie o czwartęj stanęliśmy w Gogach wsi do Starostwa Dorsunickiego należąc, dziś w dzierzawie Łopacińskiego Starosty Mściśławskiego będąc, jako drugiego męża z Ogińskich Ogińskiej Starościny Dorsunickiej.

Przeprężenie koni niewiele zabrało czasu, o piątą z Gog wyruszyliśmy i żeby nie trzeci przewóz jeszcze przez Niemen w Poniemuniu, dobrach Prozorowskich o pół mili od Kowna leżących, godzinę pewnie wprzód stanęlibyśmy w tém mieście dosyć murów mającém, a dla starożytności swój i liczby mieszkańców, zasługującém na trzecie po Wilnie i Grodnie miejsce. Warte jest Kowno ażebym się nad niem zastanowił, i dla tego nie zamykam listu, ale go tylko przerywam spodziewając się dla zgruchotanego w bryce draga, że jutro coś jeszcze nowego po dniu zobaczę.

W Sobotę rano d. 20 Października.

W rynku zamurowanym zupełnie kościołami i kamienicami znalazłem się, wyjrzawszy ciekawie przez okno z pocztowego domu, a lubo wczoraj jeszcze choć w nocy ulice z domów i kamienic po większą częśći murywanych dostrzegłem, jeszcze się dziś lepiej zapewnił formą i architekturą gotycką budowli, że Kowno musi być starożytne i dawniej mogło być zamożne, kiedy pomimo częstych przemian i bezrządu najfatalniejszego dla miast naszych, tak znaczne w niem pozostały kwitnienia ślady. Co to za różnica, pomyślałem, między Trokami stolicą jakoby Województwa tego nazwiska, a Kownem powiatu tylko miastem stołecznem, do jenerała Trockiego należącém. Postanowiłem sobie stale w przyszłych układach uporczywie stanąć przy tém aby podług plany P. Potockiego, o której już nadmienilem, podziału każdej prowincyi na dziesięć Województw, a Województwa na trzy powiaty — Kowno było nadal stolicą jednego Województwa, co łatwo by się uczynić dało z Województw Wileńskiego i Trockiego w dawnym składzie mających wielkich powiatów dziewięć, a

w nowym ostatniego Sejmu trzynastcie — formując na przyszłość cztery pod nomenklaturami naprzykład: Wileńskiego, Grodzieńskiego, Oszmiańskiego i Kowieńskiego.

Radbym był bardzo mieć przed oczyma historią domu Jezuickiego w Kownie, bo bym w niej znalazł pewnie coś o miasta tego początkach i w jakim ono zostawało kwiecie, kiedy kupcy z Memla przyjeżdżali tu i ze składów tutejszych kupując zboże i inne produkta, sami je ztąd własnym już kosztem do portów morskich Niemnem spławiali. Nie była wtedy ta część Litwy która po nad rzekami do Wilii i Niemna wpadającami się rozciąga, na dyskrety jak dziś rządu pruskiego...ale trudno też odmienić skład rzeczy jaki jest nieobalając potencji pruskiej, a miasto próżnego życzenia tego co Polak sam bez cudu Opatrzności dokonać niepotrafi — dość mi będzie przydać jeszcze jedną uwagę. Kowno leży w pozycyi szczęśliwej, w żyznym i zagospodarowanym kraju, w węgle dwóch rzek Wilii i Niemna — gdy więc wedle nowej planty jest pomysł ustanowienia tylu wojewodów ile województw i tylu kasztelanów ile powiatów, potrzebaby aby w prawie zamieszczono obowiązek koniecznego mieszkania wojewodów w stołeczném mieście jenerału. To by na zimę powoli gromadziło do miast obywateli, i miasta podnieść by się cokolwiek mogły.

Wybija godzina dwunasta, trąbka zwołuje nas do pojazdów, kończę więc list, chcąc być ile życie potrwa twym przyjacielem i t. d.

X. Z Kiejdan 20 Października.

Trudno było wyjechawszy o południu i dwakroć się przewożąc bo w Kownie przez Wiliją a pod Kiejdana-

mi przez Niewiażę, więcój mił sześciu ujechać, zwłaszcza przy dniu krótkim i drodze już coraz gorszej w tych stronach, od natury co do pożytków i produktów ziemi mniej uposażonych, uboższych niż powiat Grodzieński. Przydać jednak winienem że cały ranek strawili mi rzeźmieślnicy.

Na przewozie przez Wilią w samym Kownie nad spodzianie spotkaliśmy JMP. Gedrojoia generała, a dawniejszego Vice-brygadiera w Brygadzie Kowieńskiej z żoną i synem jadącego do Wilna. W Babłach zaś, stacyi ufundowanej w starostwie do domu Prozorów dożywnie należącem, a złożonem z jednego miasteczka, które z nowego prawa wolnego rzeczypospolitej miast przywilej otrzymało, blisko dworu i majątku dziedzicznego Prozorów sytuowanego, o mil trzy od Kowna, znaleźliśmy podróżnych jadących z Petersburga wcale nam nieznajomych. Ci lubo żonie mojej jako damie ustąpili miejsca najpoważniejszego, w głębi pokoju, a sami się koło pieca ulokowali, takie jednak zachowali incognito cicho między sobą rozmawiając, żeśmy ani od nich, ani od ludzi zkadby byli rodem dowiedzieć się nie mogli. My między sobą umyślnie to po polsku, to po francusku, to po niemiecku rozmawialiśmy, dodając im ochoty aby się ze swym językiem wydali, ale próżne były starania nasze! Żałowałem że nie miał włocho i anglika z sobą bo bym ja sam z pierwszym a syn z drugim wiodąc rozmowę, przerwali może niemotę tych, których już za Włochów lub Brytańczyków poczytywaliśmy....Konieczność obrachowania się z pocztmajstrową przymusiła wreszcie najlepiej ubranego, chociaż po podróżnemu i w pantoflach do otwarcia ust, ale kilka słów wymówionych po rusku zostawiły nas w pierwszej niepewności....już nawet i pokusa nam była odeszła dowiadywania się z kim hazard nas pod jednym dachem połączył, gdy nad spodzianie pantoflowy nieznajomeki

przybliżywszy się do nas, przemówił po francuzku dla pochlubienia się podarunkiem Cesarzowej JMci w soliterze najmniej kilka karatów wagi mającym, a dwakroć tylko rzniętym....Rad z podziwienia naszego i pochwał, z wrażenia jakie podarunek uczynił na umysłach, oświadczył prośbę nieznajomy, abym go JMPanu Kobentzel ambassadorowi wiedeńskiemu w Petersburgu przypomniał. Naturalnie wynikło z tego że go spytać musiał od kogo jestem o to obligowanym, ale nie dopuszczając interogatoryjów doniósł mi sam o sobie cudzoziemiec, iż był hrabią Stahrenbergiem wysłanym od Cesarza Franciszka II. z Frankfurtu do Petersburga z oznajmieniem o Elekeyi i Koronacyi jego.

Domyślać się możesz przyjacielu, że spotkanie to nie było wprzód zabawném, gdyśmy się bezskutecznie mordowali chcąc odgadnąć podróznego, tak się stało późnój milem, kiedyśmy się zbliżyli. Na zapytanie moje jeśli by należał do tego Stahrenberga, który był posłem Franciszka I. przy dworze Warszawskim za Augusta III, gdy przydał że jest synem jego i sam był naówczas z ojcem w Warszawie, wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż ojcowie nasi w dobrej z sobą żyli przyjaźni i chciałem już przedłużyć rozmowę, ale trąbka pocztowa do dalszej nas powołała podróży....Pożegnał się poseł cesarski z Delegatem Rzeczypospolitej i każdy w swoją ruszył stronę.

Mil ztąd trzy jechaliśmy godzin cztery, a przewóz w nocy przez Niewiażę całą godzinę zajął. Stanęliśmy w pocztowym domu o dziesiątej wieczorem, bryki zaś niedoczekaliśmy się aż w godzinę później. Z tego powodu i żeśmy nazajutrz mszy świętej słuchać chcieli, dróg coraz gorszych w Xięstwie Żmudzkiem do którego w Klejdanach wjechaliśmy, obawiając się — markotnych nas wstrzymało. Na jutro niespodziewamy się większego pośpiechu, ale wprzagliwszy się w jarzmo, dzwigać je należy.

XI. Z Bejsagoly 21 Października.

Niepróżne było przeczucie, gdyż dla piekielnój, mogę powiedzieć drogi, od ósmej zrana do północy po błotach i bagnach tłukąc się, zaledwie na noc ściągaliśmy w to miejsce od Kiejdan mil sześć odległe, późna pora niedozwala mi się rozszerzać, donoszę tylko że z Kiejdan przebywszy mil trzy przemieniliśmy konie w Montwidowie, dobrach dziedzicznych p. Gruzewskiego Starost. Spigłowskiego kalwina. — Pocztmajstrowa tutejsza Wyżykowska z mężem także kalwini, a przy nich znaleźliśmy mieszkającego stryja Kossakowskiego téjże wiary, który lat już 82 sobie licząc, jednego włosa niema siwego na głowie; tenże przed laty 30 był w Inflantach i w Kraszewiu zostawał u Szambelana Zaremby, przyjął nas rad i zabawił przez trzy godziny oczekiwania na konie. Wyjechawszy z Montwidowa około piątój zmierzchno nam zupełnie o mil dwie od noclegu, a straciliśmy więc dwóch godzin przed karczmą o półtorój mili od Bejsagoly leżącą, nim brykę zagrzęzłą w błocie z naratonemi kołmi wydobyć przyszło.

Jeszcze niemasz bryki lubo już godzina pierwsza i dwa wybiły kwadranse, Bóg wie co się stanie, i czy tu cały dzień nieprzyjdzie bawić jeżeli się co połamało, jutro więc spodziewam się mieć czas do ukończenia listu tego.

d. 22 Października.

Już słońce znacznie podeszło do góry, dziewiąta bije a my najnięjszej niemamy wiadomości o bryce, lubo konie pocztowe które nas przywiozły posłaliśmy jój w pomoc, korzystam więc z tego aby coś napisać o Kiejdanach miejscu z którego piszę, dla wypełnienia Djarjusza.

Kiejdany miasto dziedziczne Radziwiłłowskie, dawniej dosyć znane ze zboru i szkoły kalwińskiej, ufundowanej i dobrym opatrzonej funduszem przez Bogusława i syna jego Janusza Radziwiłłów, którzy tu jako założyciele od blisko półtora wieku w grobach zboru spoczywają. Tych to Radziwiłłów kalwinów darem być muszą znaczne w Niemczech fundusze z pomocą których młodź polska wyznania reformowanego znajduje w niektórych akademiach tamtych krajów nietylko wszelką do nauki sposobność, ale i na opędzenie swych potrzeb corocznie wypłacaną pensyą. W Kiejdanach zaś tak opatrzona jest szkoła że nawet w niej rzymsko-katolickiej religii młodź szlachecka bierze wychowanie. W czasach dawniejszych kiedy cnotą było prawie prześladować dyssydentów szkoła kiejdańska pewnie ucierpieć musiała i myślę nie bez przyczyny że Rektor szkoły przyjmował do niej katolików, aby tą powolnością zapewnić sobie protekcyą. Co do miasta, gruzy wskazują że musiało być porządne i przy rezydencyi dziedziców dziś w ciasnych spoczywających trumnach, kwitnące, mając rzekę do handlu na wiosnę sposobną, w żyznem leżąc kraju i dla bliskości od Kowna łatwość dostarczenia wszystkiego. Dzisiaj nawet Kiejdany podźwignąć by się mogły łatwo gdyby dziedzic mieszkając bliżej doglądał sam i pilnował gospodarstwa, ale z rąk do rąk pod skapstwem zastawników przechodząc, nie w górę ale w dół idzie. Całąbym wypisać musiał litanią, gdybym chciał wszystkich zastawników wymieniać, którzy jeden po drugim trzymali Kiejdańszczyznę z miastem. Dosyć będzie gdy od lat tylko kilkunastu wliczę wedle powieści pocztmajstra. Trzymał ją naprzód Szczyt którego francuzem zwano, bo w służbie francuskiej blisko dwadzieścia lat zostawał, był po nim zastawnikiem szwagier jego Syroć kasztelan Witebski, po nim Zabiello dzisiejszy marszałek w summie trzechkroć

sto tysięcy z górą, a dziś Chrapowicki eksztygator lit. stary, dla bliskości od Datnowa dóbr dziedzicznych. Kiejdańszczyzna zawiera miasto więcej sześćset osady mające i dwieście chłopów w pięciu czy sześciu folwarkach, za co Radziwiłłom dał zastawą sumę czterysta kilkadziesiąt tysięcy złotych, od której niezawodnie ma więcej pięćdziesięciu tysięcy procentu.

Bejsagoła o sześć mil jakem już powiedział od Kiejdan odległa, jest attinenecją dzisiaj do Starostwa Wielńskiego należąca a w posessyi JMCP. Generalowej Poniatońskiej pierwszego łóża z domu Kińskiej, matki Xcia Józefa synowca królewskiego, od którego zaś czasu Bejsagoła do Wielony przyłączona została, niewiem. Na początku wieku teraźniejszego Naruszewiczowna z domu, naprzód Chodkiewiczowa potem Pacowa, nakoniec Kazanowska za osobnemi przywilejami Bejsagołę i Wielonę trzymała, a przytém Starostwo Dangeliskie, o czém z papierów do tego ostatniego funduszu mam pewną wiadomość. Próżnobym podobno sobie i panu zabierał czas, nad dobrocią i gatunkiem gruntów tutejszych się zastanawiając, dość powiedzieć, że Bejsagoła leży na Żmudzi, ukrainie litewskiej, i ja bym téj mitręgi jaką doświadczam nie miał, gdybym po piaseczkach jechał. Wiele też marudztwa uprzykrzonym przypisać należy pocztmajstrom, którzy koni swoich nie trzymając podróжных ze wsi pobieranemi szczurami wyprawiają, a te niezwykle do pociągu znarawiają się łatwo....

Przerwał pisanie moje IMP. Rotmistrz Sacken w służbie rossyjskiej w regimencie dragońskim pskowskim zostający i tu konsystujący, przystojny i piękny wzrostem i twarzą męczyzna; na którego lieu uczciwość i prawość się malują jak najwydatniej. Oficer ten był tak grzeczny, jak mi doniósł pan Porucznik Plater socyusz podróży mojej, że oddawszy nam wizytę, jak się tylko o zagrożonej bryce dowieiedział, posłał zaraz żołda-

tów, kowala i stelmacha aby ją skutecznie ratował. Od tego oficera dowiedziałem się, że konsystujący w Kownie Brygadyer Mamonów, jego dotąd Pułkownik, ma być zmieniony na JMP. Soltykowa, któremu Regiment pskowski został oddany. Mamonów na Generała postąpił, a regiment, którego porzuca z piętnastu szwadronów złożony i do pięciu tysięcy ludzi zawiera. Znaczna to liczba, lecz komplet nienajwiększy, kiedy czasu wojny Tureckiej były regimenta po trzydzieści liczące, których pod najwyższą komendą Xcia Potemkina szefami byli synowcowie jego. — Różnie to tłumaczono a nawet ambicją i skrytymi Xcia zamiarami, ale mi się zdaje, że ta liczba jedynie dla zubożenia dowodzców, tak była podniesioną, gdyż w kraju własnym eskadren każdy przynosi z gospodarnego zarządu kieszeni szefa tysiąc i półtora tysiąca rubli, a w kraju obcym dwa razy tyle oprócz niezwykłych korzyści wojennych.

Przybyły z pocztą uspokaja mnie doniesieniem, że bryka lubo nocowała w błocie, nic się w niej jednak nie popsulo, a konie, które nas tu przyciągnęły i ją tu przywożą. Już więc nadzieja pewna, że w Bejsagole nocować nie będziemy, i list ten kończę resztę do przyszłego odkładając.

XII. Z Radziwiliżek d. 22 Października.

Mamte się Panu mojemu przyznać, że pocztą jadąc, zaledwie dziś mil cztery ubiegłem? nie wszakże pewnością wyruszyli po przybyciu (bryki o pierwszój z południa, z zamiarem wczesnego zanoconiania, aby nazajutrz snadniej nam było przededniem wyjechać.

Co się stanie dowiesz się z listu następującego, teraz zaś donoszę, że ujechawszy mil dwie stanęliśmy w Sza-

dowie, dziedzictwie X. Stanisława Poniatowskiego, przeszłego podskarbiego w X. lit. Sejm r. 1775 ze starostwa dobra te w dziedziczne zamienił i nadał mu w nagrodę kosztów przez ojca tego i X. Kazimierza ex podkoniuszego koronnego, brata królewskiego, poniesionych na sztyftowanie nowj Gwardyi koronnej. To nowe dziedzictwo z królewszczyny, dostało się do rąk ojca a potem syna, po śmierci Fleminga pierwjej podskarbiego a w końcu wojewody Pomorskiego, nie jest zaś dziś jak dawniej zupełnėm. Ze dwa miliony przeszło odprzedał ziemi z niego, osiadłej X. Stanisław, Karpiowi Chorążemu Upitskiemu, Münstarowi jak zwykłe w Kurlandyi od dóbr nazywać zwykli i Krowickiemu, obu bogaczom tego kąta Żmudzi, i innym graniczącym z Szadowem. Reszta z miasteczkiem dziś w possessyi dzierżawnj JMP. Puzyny starosty Michaliskiego blisko z nami przez matkę Brzostowską synowicę rodzoną babki mojej, spokrewnionego.

Przybył JM. Pan Puzyna do domu pocztowego wraz z plebanem miejscowym X. Poniatowskim kanonikiem Płockim, podczas przeprzėgu koni i lubo usilnie zapraszał abyśmy u niego przenocowali, wymówiliśmy się potrzebą pośpiechu a przez kwadrans czasu, rozmowę nas zabawiał o okolicznościach dzisiejszych dzierżawca Szadowa okazując się wiernym konstytucyi przyjacielem, a akcessu do konfederacyj i recessu od sejmu przeciwnikiem, ubolewając przytėm nad exorbitancjami wojsk, furazami i wszelkiego rodzaju dla nich dostarczeniami.

Z Szadowa mil tylko dwie do tego miejsca przebyliśmy, nocując w domu pocztowym murowanym fundacyi niegdys podskarbiego Tyzenhanza, pod którego despotyzmem równie z Ekonomią tutejszą Litwa cała jęczała. Byłem ciekawy dla czego attynencja Ekonomij Szawelskiej, która przed Zygmuntem III. była Starostwem, nazwaną została od imienia Radziwiłłowskiego, alem

nikogo tak mądrego nieznalazł, coby ciekawości moją dogodził. Domyślać mi się chce, że Radziwilliszki dziś jeden z folwarków Ekonomij Szawelskiej, musiał być erygowanym za posesyj Radziwillowskiej, bo w domu tym długo Szawelszczyzna była zastawą, a nie w przód jak na konwokacyj po śmierci Augusta III wydobyta została, na fundamencie, że bez woli Sejmu, Królowie polscy dóbr stołowych alienować nie mogą, szczególnież że to było w chwili, gdy dekret konfederacyi 1764 r. Xięcia Karola od urzędu województwa Wileńskiego odsadził, pro *hoste patriae* go deklarując. Obiecują nam tu, że do granicy Kurlandyi Szawelszczyznę pojedziemy, a zatem dłużej o tém jutro.

XIII. Z Janiszek 23 Października.

W prawdzie gust angielski po Europie rozchodzący się, porządku w nieładzie szukać każe, ale co się ty-cze rachunku najlepiej jednak po staremu się kalkulować, i expens stosując do percepty zgubnego unikać deficitu. Dokąd zmierzam spytasz? oto abym się pochwalił, że dla złej drogi i powybieranych wszędzie koni, doświadczywszy, iż dnia najlepiej i najbezpieczniej używać należy, a tego licząc zorzę i zmierzch ledwie mamy godzin dwanaście, postanowiliśmy tylko tej percepty światłości używać i doświadczenie okazało już, że dziś z noclegu o godzinie szóstej przed wschodem wyszywszy, a dla obiadu nie straciwszy nad godzinę, ubiegliśmy przecie mil osiem, pierwsza przemiana koni była w Szawlach o mil trzy od Radziwilliszek, druga w Miegzkuciach, o półtrzeciej od Szawel, zkąd po obiedzie jeszcze do Janiszek tyleż przebiegliśmy.

Przez cały dzień dobrami Szawelskimi jechaliśmy, które są wszędzie urodzajne, bo albo czarnoziem i gli-

na, albo (w mniejszej części) zwirowałe mi się zdały. Szawle stolica Ekonomij są dość ludne, a co do budynków jedna ulica pokazniejsza, którą z murowanemi frontami Tyzenhauzowi winno miasteczko. W czasie przemiany koni Rosenbaum pocztmajster uskarżał się przed nami na hetmana Kossakowskiego, który mu za dwadzieścia sześć koni nie dał tylko dziesięć rubli, to jest ledwie sześćdziesiąt złotych, zamiast stu trzydziestu; które dać był powinien. Jeżeli ten postępek godny jest jakiego kapitana, nie przystoi panu Hetmanowi; lecz kto zna dawniejszego w konfederacyi Barskiej zagorzałca, co całą Litwę na Rosyą podbudzał, kto śledził życie jego prywatne we wszystkich przemianach, dziwować się pewnie nie będzie wyrządzonej ubogiemu pocztmistrzowi krzywdzie. Całej brygady Kowieńską dawniej i Cesarską zwaną, a dziś Pancerną, sztab stoi w Szawlach, a przeto w czasie mego przyjazdu znalazłem tu brygadiera Sulistrowskiego, i vice-brygadiera Wawrzeckiego. Możeby ta brygada na dawnym swym stanowisku w Kownie pozostała, gdyby Zabiello dziś już generał-leitnant był jej dowódcą, a że prywatne u nas potrzeby publicznemi rządzą, nie dziwuję się przemianie konsystencyi dziś w Szawlach umieszczonej, gdy vice-brygadjer Wawrzecki bratem jest przeszłego chorążego Litewskiego, wszystkiemi ekonomjami litewskimi zarządzającego w imieniu Xięcia Stanisława, który je ma pasczone kilkunastoletnim dzierżawy kontraktem, a drugi brat tychże dóbr jest vice-administratorem i wraz z bratem ex-chorążym sześć kluczków trzymają na wspólną. W Mieszkuciach nietylko porządną znaleźliśmy stację, ale tak grzecznych i ochotczych do posługi pocztmajstrów, że nam przybyłym zaraz wódkę dobrą i konfitury prezentowali. Spytano nas czybyśmy obiadu nie ehcieli, i w pół godziny z największym pośpiechem i serca otwartością, tyle nam potraw zastawili że nie tylko na-

sza kareciana kompanija z osób sześciu złożona, ale i ludzie się wszyscy nasycili, nie wymagając za to wszystko więcej nad czerwony złoty, co ledwie po półtora złotego wypadło na osobę. Podobnej wygody w całej drodze nie doznaliśmy, a uczynność Mieszkucińskich pocztmajstrów była nam powodem przypomnienia niełudzkości tryumfeminetu w Balbierzyszkach.

Z noclegu w Janiszkach jeszcze o niczem inném donieść nie mogę tylko że pozór stacyj nieodpowiada popstutemu lepszymi gustowi — jednak mimo z pozoru obrukanego domu, pocztmajstrowie muszą być dobrzy i ładcy, kiedy matkę staruszkę przy sobie trzymają i szanują, co podeszła już kobiéta paraliżem ruszona, żonie mojej sama opowiadała.

Zalem nas potem przejął wszystkich Czyż (tak się ślicznie zowie pocztmajster) uskarżając się ze łzami na niełudzkość i krwawą krzywdę wyrządzoną przez Kosakowskiego, który nie tylko na stacyi tutejszej jak w Szawlach, dziesięć rubli zapłacił, ale nadto nie zastawszy koni na następnej — biciem przymusił pocztylionów, aby do Mitawy mil cztery jeszcze go wieźli; w drodze zaś tak pędził bez odpoczynku, że dwa konie ledwie nazad wróciły a trzeciego dnia na zawsze okaleczały. — Dla pozorów zaś, że nie darmo dalej ich użył, rzucił pocztylionom z łaski swój nieograniczonój rublów szesnaście.

Pomyślisz przyjacielu że na tego ptaszka ząb mam ostry, i prawda, niechciałbym jednak żeby o tém wiedział, bo mi w stolicy potrzebnym będzie dla przyjaźni jakąś ma z Zubowem i Markowem, dwoma matadorami od których zdania i dobrej lub złej woli, nie tylko mój los, ale — bogdajby inaczej było — i całego kraju dependuje.... Za przyjazdem na miejsce posłyszysz o tém więcej przyjacielu, a dziś krwi sobie psuć nie chcąc, przestaję na życzeniu dobrej nocy.

XIV. Z Würtzawy d. 24 Października.

Już nie z brudnego pocztowego domu, ale z Xiążęcego udzielnego Rezydencyi piszę, dziś wygodnie nocować mając, chociaż, jak to zwykle bywa, więcej worka naszego daremna tu gościnność kosztować będzie, niżeli płatna gdzieindziej... Ażebym od końca relacyi nie poczynał, powracam nazad do Janiszek...

Równo ze dniem ruszyliśmy z noclegu, gdzie przydać muszę iż podług relacyi matki pocztmajstra staruszeki, familja tego Czyża znajoma dobrze w Warszawie.— Był jęj tenże majorem w jednej z brygad polskich i, dla absolutnego postępowania z pewną cywilno-wojskową komisyją służbę i rangę utracił: zdaje mi się że ten sam o którym ona powiada że od lat dwudziestu niewie co się z nim stało. Imie miał Wiktora, a więc łatwo pana skonfrontować będzie, czy ten który suponuję.—

Po przebyciu doń rychło mil dwóch stanęliśmy w Kalwiach prawie na samej granicy Litwy i Kurlandyi, bo w pocztowym domu mieszka pisarz celny, którego miejsce bardzo korzystne być musi, jak sami świadkami byliśmy, gdyż niema momentu, aby kto bądź przejeżdżający do Mitawy lub Rygi cła nieopłacał, a przytém pewnie i kozubalce się dokłada dla zaskarbienia grzeszności.

Sądziłem że tu zastanę konie podesłane przez ks. Kurlandzkiego, jak mi tego nadzieję uczynił w Warszawie p. Manteufel, rezydujący przy królu plenipotencyaryusz, książęcy, który o wyjeździe moim i zamiarze wstąpienia do Würtzawy przez sztafety był doniósł — a lubo się w nadziei omylił, niechciałem wszakże zmieniać przyrzeczenia i postanowiłem w Kalwiach z żoną, synem i socyzusami podróży przebrać się dla uczczenia gospodarza. Te stroje i obiad zmarudziły nas do dru-

gię po południu, a wyjeżdżającym z popasu oświadczył p. Czyż, który do Kalwia nas przeprowadzał, iż gdyby wiedział o zamiarze popasania, koni swych byłby dalej użyczył, co nam też bardzo by miłym było, albowiem przez cały trakt Kowiński i Zmudzki tak dobrych i rośłych jak z Janiszek niemieliśmy, a zaprzężone nam były drobne i mdłe bo chłopskie... Ale zapóźno się z tém oświadczył p. Czyż, bo je od godziny odesłał. Lubo więc noga za nogą prawie, dla rozbitej gliny na drodze świeżo sypanej, dopetaliśmy przecie do Würtzau o szóstej godzinie wieczornej, a wysiadłszy z karety jużemy w trzecim pokoju byli, kiedy lokaj co nas przeprowadzał oznajmił że ani Xięcia ani Xiężnej nie zastaliśmy, co nas tak zmartwiło żeśmy zaraz nazad do poczty zabrać się i do austeryi udać na noc albo do Mitawy jechać postanowili, i bylibyśmy ten zamiar do skutku doprowadzili, gdyby żonie mojej na myśl nie przyszło spytać o Xiężniczki. Gdy nam powiedziano że są, zdało się nam przyzwoitém zaprezentować się im i oświadczyć ubolewanie żeśmy Xiążąt nie zastali w domu.

Dano im znać o przybyciu gości, i wyszły zaraz na przeciw nas trzy Xiężniczki, starsza Wilhelmina dwunastoletnia, średnia Paulina, w jedenastym i najmłodsza Jeanetta w dziewiątym roku, z guwernantką panną Forster, córką socyusza niegdyś sławnego wędrownika kapitana Cook i komentatora relacyi jego podróży i odkryć, a siostrą tego Forstera, który był czas niejaki profesorem historyi naturalnej w akademii Wileńskiej, i ztąd wysłany został przez rząd rosyjski w nową podróż odkryć kosztem Cesarzowej Katarzyny II, chociaż ta do skutku nie przyszła.

Po pierwszej zwykłych grzeczności wymianie, zjawił się słuszny mężczyzna, którego jako majora komendującego batalionem przedstawiła nam panna Forster, a

JMP. Drysen, (tak się zwał) ponowiwszy nam intencję Księcia zamartwienie jakiego dozna z powodu że go nie bytność w domu wizyty naszej pozbawiła, zapytał czy pozwolimy dać znać Księstwu o przyjeździe naszym? Czemu gdy trudno się było sprzeciwić, zaraz Książniczka Wilhelmina pobiegła napisać bileciki do ojca i matki, a pan Drysen z niemi dwóch wysłał umysłnych w różne strony, gdyż Księstwo w dwóch miejscach oddzielnie się znajdowali.

Przed wieczerzą którą, podług wprowadzonej miejscowej godziny ósmej zastawiano, zjawił się i drugi oficer, którego nam jako pana Nolden prezentowano. Ten czasu wieczerzy rozdając supę z wazy, najpierwszy talerz sam Książniczce Wilhelminie podał, po kolacyi i nie długim dyskursie między żoną moją, guwernantką, Książniczkami i synem naszym Kazimierzem, już między mną a mężczyznami, odprowadzili nas PP. Drysen i Nolden do wyznaczonych apartamentów na drugim piętrze pałacu.

Na tém się wprowadzić zakończył dzień, ale relacyj jego niemogę dokończyć, nie wzmiankując, że od chwili jakżeśmy wjechali w Kurlandya, tuż około stacyj 'Kawiskiej gdzie granica jest sucha i niczem nie odznaczona, wszędzie po stronach widzieliśmy dwory szlacheckie porządne i ziemię dobrze uprawioną, wyrobioną, zasianą, rowami gęsto bitymi osuszoną. Na polach Wurtzaskich, na których samej pszenicy do kilkuset purów wysianych było, ile od oka miarkować mogłem rozległe obszary najlepiej znać zagospodarowano. Pałac Wurtzanski z trzech tylko boków zamurowany nad samym gościńcem położony, i od niego ogrodem oddzielony, z tyłu ma dziedzińce, a nadto kilka jakoby kamienic dla wygody domowej i przyjeżdżających z obu stron jego stojących, dają mu pozór miasteczka. Zdaleka Wurtzau z dóbr dawniej do stołu Książęcego lennych, a

Augusta III aliodjowane, jest wdowim Xięcią przez męża zapisanym majątkiem, dziś zaś najulubieńszą obojga rezydencyą, z powodu bliskości Mitawy, gdzie od zgorzenia zamku bardzo rzadko przebywają.

XV. Z Würtzau d. 25 Października.

Upewniano nas że IMXiążę Piotr Biron pannyjący Kurlandzki i Semigalski Xiążę, zwykł był wstawać rano, o czym nas sam przekonał, gdy z folwarku o mil trzy odległego, dokąd od dwóch dni się był udał, około godziny wpół do dziesiątej przybył tu konno. Godziną pierwę oznajmił nam o tém w imieniu Xiężniczek p. Drysen, a punktualność ta zmusiła pospieszyć z ubraniem, zwłaszcza, że gdzie obiad o dwunastęj, a wieczórza regularnie o dziewiątej się zastawia, marudztwo warszawskie niemoże mieć miejsca. O wpół do jedenastęj, po przebraniu się, Xiążę gospodarz raczył nas w naszym mieszkaniu nawiedzić, pomimo wieku, gdyż sześćdziesiąt ośm lat sobie rachuje, dość jeszcze czerstwy i rzeski. Po wspólnych grzecznościach, a ze strony Xięcia oświadczonej wdzięczności za prace i starania moje na Sejmie zeszłym w sprawach Kurlandzkich mianowicie w rzeczy sporów między Xięciem a szlachtą, dobrze panu wiadomych, z mojej zaś strony po zapewnieniu stałej chęci służenia mu jeszcze w Petersburgu, po prezentacyi wreszcie nieznajomęj jeszcze Xięciu żony mojej i syna, z których pierwsza w Mitawie, a drugi na świecie nie był jeszcze w czasie ostatniej mojej tu przed laty więcéj czternastu bytności, odbytych wstępnych ceremoniach, zaszliśmy na dół na pokoje.

O jedenastęj prawie posłaniec od Xiężnej powrócił z oznajmieniem iż zaraz po obiedzie przybędzie, jeżeli-

byśmy przez dzień dzisiejszy zatrzymali się w Würtzau, a jeżeliby pośpiech nie pozwolił nam zabawić w Miławie u siostry chce się widzieć z nami. Spytany przez Xięcia jaką mam myśl, musiałem oświadczyć że pragnąc złożyć uszanowanie nasze Xiężnej pani przez cały dzień zabawić postanowiliśmy, za co szczerą objawwszy wdzięczność posłańca zaraz Xiąże odesłał z rezolucją. W czasie obiadu punktualnie o godzinie dwunastej zastawionego, w następném znajdowaliśmy się towarzystwie: Xiąże, nas dwoje, trzy xiężniczki, guwernantka, syn nasz i dwaj socyusze PP. Kohl i porucznik Plater, marszałek dworu Xcia Klopmann, kamerjunker Fireks, major Drisen, porucznik Nolden i hrabia Truchses, oraz oficer od strzelców xiążęcych.

Przez cały czas przed obiadem i po obiedzie do godziny piątej, żona moja bawiła się z xiężniczkami, ja zaś z xięciem, który był wcale w dobrym humorze i po wojażach odbytych przed kilku laty daleko go grzeczniejszym znalazłem niż przed laty. Po przybyciu xiężnej o piątej z południa, na którą z kawą, herbatą, i czekoladą oczekiwano, bo razem te wszystko zastawiono na dwóch stolikach pod szafarstwem panny Vittinghofownej damy honorowej i p. Forster, — kontynuowaliśmy dyskurs do wieczery, a potem tylko do dziesiątej. Rozmowa tak przeplatana była, że już my z sobą, to panie, to ja z xiężną, a xiąże z moją żoną zabawialiśmy się bardzo ochoczo, i byłoby się to dłużej przeciągnęło, bo xiężna marudzić lubi do późna, ale po podróży sfatygowana pełne snu miała oczy.

Zamiarem naszym było pożegnać xiążąt i jak świt wyjechawszy jednym dniem stanąć w Rydze, ale trudno było odmówić uczynionej propozycji, abyśmy dopiero po śniadaniu wyruszyli z Würtzau, zwłaszcza że pocztą jadąc, byliśmy na łasce i dyskrecyi xięcia, po odejściu wczora kalwiskich koni.

Rozmów naszych z xięciem oprócz tyczących się gospodarstwa, o którym najuczeńiej mówić może, (łącznie teorię z praktyką, co mu wielkie dało bogactwa) — przedmiotem były sprawy publiczne, a mianowicie tyczące się dzisiejszej xięcia pozycyi, tak co do sporu ze szlachtą lubo na sejmie przeszłym rozstrzygniętego, lecz przez konfederacyą podniesionego, jak co do protekcyi przez Rossyą danęj xiężnie Karolowej Bironowej z domu Ponińskiej, tudzież co do tak nazwanego Adama, który przedsięwziął podróż do Petersburga dla rehabilitacyi na czci i urzędzie. Oznajmił mi o nim xiążę że przed Petersburgiem zatrzymany został, nie otrzymawszy pozwolenia wjazdu do stolicy, póki by interessa polskie zaspokojone nie były, z radą aby się póty Adam w Kurlandyi zatrzymał, póki się to nie ukocify. Więcej wskórwała siostra jego xiężna Karolowa Biron za pomocą cesarzowej, wymógłszy dwanaście tysięcy dukatów, które jęj rocznie na wychowanie dzieci, xięciu opłacać kazano. Synowie jęj mają się wychowywać w Rydze. Wyplakała sobie list od kanclerza Ostermana, aby oprócz wymienionęj pensyi dla dzieci i dla nięj téż była opłacaną osobna. Ciekawy byłem z jakowego obrotu rzeczy wynikła protekcyja wysoka okazana przed rokiem dla starszego syna xięcia Karola, od urodzenia nazwanego Kalixtem a dziś przerobionego na Gustawa; i dla drugiego młodszego Piotra, którzy się rzekli successyi po dziś panującym xięciu, chociaż ten dzieci płci męzkiej niema. Xiążę zainformował mnie że to się stało od czasu gdy osnuto projekt aby syn drugi xięcia Karola zaręczył się z X. Wilhelminą. Ja zaś następną w myśli uczynilem kombinacyą, że gdy z jednéj strony ani Rossya Prusakowi, ani ten jęj nie zechce dopuścić owładania Kurlandją, a Rossya do dzisiejszich interesów przemiany mogła się lękać przewagi pruskiej na sejmie w posłach wielu o inkorporacyi Kurlandyi do Polski

myślących, nie ufając xięciu Karolowi przez Pomorską wspartemu Wielkopolanami, któryby za pieniądze renuncyować mógł Kurlandya na ręce pruskie, z pożytkiem i sukcesyją ewentualną dla męża Wilhelminy Kurlandzkiej — nie było więc polityczniejszego sposobu dla Rosyi jak wysłuchać prośby o protekcyą xiężną Karolową, pod warunkiem renuncyacyi przyszłej sukcesyi przez ojca, syna biorąc na wychowynie zaradzić szkodliwemu wpływowi pruskiemu w Kurlandyi i razem starszego po myśli swój wyedukować i t. d.

Z powodu téjże polityki wynika pewnie protekcyą przez Rosyją obiecana lubo w wyrazach ogólnych szlachcie kurlandzkiej, uskarżającej się na xięcia w materyi, w której lękałbym się cokolwiek bądź przepowiadać, aby miłość własna stronniczego nie dyktowała zdania, że jednak z Panem jako przyjacielem rozmawiam, i pewien jestem że rzecz i słowa ważysz, a nie powody których kombinacya może czasem omylić — bez bojaźni więc zakończę ten list już nieco przeciągły tém rozumowaniem, co do zajęcia w Kurlandyi między xięciem a szlachtą. Rosyja niema polityczniejszego sposobu do zapobieżenia wszelkiemu wpływowi pruskiemu, jak utrzymując prawa zwierzchnictwa polskiego, którem sama kieruje — zapobiegać skuteczniej nie może wszelkim szkodliwym nowościami, jak utrzymując rząd paktami i decyzjami komisarскими, które moc praw kardynalnych mają — ustanowiony; a idąc za temi prawidłami w końcu powinna Rosyja przystać na wyrok sejmu zeszłego co do istoty lubo w innych słowach dziś wyrażony i utwierdzi w Kurlandyi xięcia, już protegując tego którego następcę edukować przedsięwzięła, już zaradzając wcześniej aby arystokracya góry nie brała, i nie ważyła się budzić dawnych wspomnień rycerstwa mieczowego, któreby nasienie rokoszu do Jnfant rossyjskiej wrzucić mogły.

Szkoda że przy swych bogactwach Xiążę panujący tak jest skąpy, iż często przypomina przysłowie dwakroć na tém tracąc. Tę to skrzętności a razem nieumiejętności użycia bogactw dla zjednania sobie protektorów, przypisać powinien że każdy użyty do interesów kurlandzkich kończy na udarciu go nie dla tego że winien zapłacić, ale że ma z czego dać, mnie wszakże niechćiej w tej liczbie mieć, przyjacielu, bo choć już cokolwiek z Xięcia zyskałem i mam nadzieję większych pożytków, nikt mi nie zarzuci, ahy m na to nie zasłużył szczerze usiłując pracować dla Xięcia i dla kraju który jest moim rodzinnym.—

XVI. Allej 26 Października.

Regularność wprowadzona i zachowywana w domu xięcia i dziś ani na minutę nie zmieniła się, gdy punktualnie o dziesiątej zastawiono śniadanie, do którego i księstwo przez grzeczność zasiedli, lubo się od tego dyspensować mogli. Przed śniadaniem sam Xiążę dla informacyi mojej doniósł, że lubo na fundamencie dawniejszych wiadomości lękał się aby wysłany przezeń do Petersburga dla spraw jego JMP. Brinck niewyjechał przed moim do stolicy przybyciem, dziś rano jednak doszła go depesza od tego plenipotencyaryusza oznajmująca że podkanclerzy Hrabia Osterman, zatrzymać się p. Brinckowi radził, co dla biednego Xięcia stało się balsamem nadziei pomyślniejszych, lubo Altesti przyjaciel Heykinga jednego z zagorzałych, sekretarzem będący u Hra. Zubowa może być zawsze na niebezpiecznej przeprawie —

Po śniadaniu już pojazdy nasze Xięcia końmi zaprzężone stanęły przed gankiem, a tak około godziny jedenastej, z winną z naszej strony wdzięcznością, za przyjęcie, a ze strony Xięstwa najmiłą uprzejmością, poże-

gnawszy się dopiero o wpół do pierwszej, ściągnęliśmy do Mitawy, gdzie wysiadłszy wprost do domu J.M. Pani de Reck siostry Xieźnej kurlandzkiej z jednego ojca a innej matki, tu obiadowaliśmy, póki zamiana koni nie nastąpiła.

W domu J.M. Pani Szambelanowej Reckowej zastaliśmy ojca J.M.P. Manteufel Szambelana i delegowanego Xieźnego w Warszawie, miłego staruszka, z którym żona moja przyjemną w czasie obiadu prowadziła rozmowę, niemniej J.M.P. Medem bliskiego krewnego Xieźnej, któregośmy w Warszawie byli poznali— Ten przeciwnie doniósł nam że słyszał jakoby Adam w Petersburgu był i tabakierą bogatą udarowany został. — Relacją o tém uczynić mu miał J.M.P. Ruckman, minister rosyjski— Ten pan Medem odprowadził nas aż na przewóz przez Musę rzekę albo inaczej Bulderau, pod Mitawą płynącą.

O milę najdalej za miastem ku Rydze, drugi raz przewozić się nam przyszło przez mniejszą rzekę do Mussy wpadającą Eilau nazwaną, a od obudwu przewozów nicemy nie zapłacili dla prawa jakie mają kurlandczycy wolnego bez opłaty przejazdu przez wszystkie rzeki. Przed samą stacją pocztową w której nocujemy gdyśmy do kraju już rosyjskiego wjechali, na granicy 'przy forpoczcie zatrzymanemi zostały wprzód bryka a potem i nasza karetka dla zaplombowania kufrów i skrzynek oprócz pościeli, i przydania nam anioła stróża w Standrejterze (tak się zowie rewizor konny) który nas miał konwojować aż do Rygi dla ostrożności aby nie w kraj nie było wprowadzone, coby zakazaniem było lub odeclonem być powinno. Największa baczność na to jest obrócona aby ani asygnacje bankowe, ani moneta rosyjska nie były do kraju przywożone, a to niesłusznie, bo chociaż ten zakaz ma na celu ostrożność dla fałszowanych bankocetli, ale zarazem wstrzymuje obieg ich i powrót kruszców do kraju monety.

Pocztmajster tutejszy utwierdził mnie w tém, iż na stacyi jednej zjeżdżali się Adam z siostrą swą Xiężną Karolową z Rygi przybyłą, co utwierdza w przekonaniu że Adam nie musiał być wpuszczoném do Petersburga; boby to niebyło potrzebném, gdyby brat z siostrą krótko pierwiej widzieli się z sobą w stolicy.

Jutro nie myślę więcéj ujechać nad te werst dwadzieścia pięć, które mi tu każą 'płacić, lubo ich niema wymienionych nad dwadzieścia jedna. Z Rygi spodziewam się pisać z domu gubernatora Barona Pahlen'a, dawnego mego przyjaciela....

XVII. Z Rygi 27 Października.

Ostatni to podobno list mój będzie z kolei dni jak są w kalendarzu datowane, bo dla pośpiechu postanowiliśmy przez jedną noc biedz pocztą bez przerwy, a drugą, na stacyi dla spoczynku przebywać na przemiany.

Przybyliśmy do Rygi około godziny jedenastój, prosto udając się do rezydencyi Generała Pahlena, już w nadziei że nam kąta użyczy do przepędzenia reszty dnia i nocy, już aby powagą jego zasłonić się od rewizyj... co oboje otrzymaliśmy. Dla żony mojej nie mniej przyjemném się stało, że Generalową Pahlenową z domu Szepingownę a z matki Budbergownę krewną swoją, tak przyjaźną znalazła, jaką była przed kilką laty, i w czasie trzechletniej rezydencyi ich z pułkiem w Krasławiu.

Nietylko obiad i wieczerza nie nas tu nie kosztowały, ale nadto mnie pięćdziesiąt w wista, a żonie mojej dziesięć rublów w Bostona udało się wygrać, chociaż nie bardzośmy grzecznie postąpili ogrywając gospodarzy, zwłaszcza, że państwo Pahlenowie dla dotrzy-

mania nam kompanii odmówili sami wieczorę u Hrabiny Mengden, i niektórych innych od niej oderwali, jako JMP. Hurkę prokuratora, i Galtuchina Sowieтника. W czasie kiedyem się rozmową z gubernatorem bawił, przybiegł kuryer od p. Strekałowa z uwiadomieniem, że Xiężniczki Badańskie, (dla towarzyszenia, którym Hrabina Szuwałów wdowa z p. Strekałow wysłanemi zostali przez Cesarzową JMC.), na poniedziałek a najpóźniej wtorek staną w Rydze. Po przeczytaniu expedyeyi dodał p. Pahlen, iż ma rozkaz spotkania Xiężniczek w Alej na granicy i przeprowadzenia do granicy Rewelskiej gubernii, zkąd dalej gubernator rewelski konwojować je będzie do Narwy, gdzie syn starszy W. Xięcią, Aleksander dla spotkania ich destynowany. Honory te wszystkie rozkazane dla uczczenia przeszłej wnuki cesarskiej, albowiem z tych Xiężniczek starszej trzynastoletniej, lub młodszej jedenastoletniej, jedną W. X. Alexander ma wybrać na przyszłą żonę.

Zapytał mnie też Gubernator czym nie spotkał Xięcia Ponińskiego, u nas w Polsce tylko Adamem zwanego, i czy mu wolno ordery polskie posić, z którymi u niego był w powrocie ● Petersburga, lubo tam jadąc miał tylko wstęgę orderu Maltańskiego. Zapytałem na odwrót, czy aktualnie był przyjętym w Petersburgu, bo doszła mnie wiadomość, że na ostatniej stacyi kazało mu się zatrzymać i do konkluzyi interesów polskich nieznajdować się w granicach rossyjskich. Na to moje zagadnienie, obojętna nastąpiła odpowiedź. — Może był, może nie był i pomiarkowałem z niej, że niedyskrety byłoby dalsze z mojej strony pytanie. Podobnie więc odpowiedziałem tajemniczo Gubernatorowi, że może otrzymał pozwolenie noszenia orderów od dworu rossyjskiego, który tego mógł żądać od rządu polskiego. Zadziwił mnie nie pomалу sekret w tak obojętnej materii, a dalej rozmawiając z gubernatorem, który mało

osobistego szacunku dla Adama okazywał, odeszwał się że niegodziło się go odsądzać przynajmniej od marszałkowskiego Sejmu 1775 r. z czego wniosłem; że Rosya dla widoków swych na Polskę niechcąc Polaków drażnić dając protekcją, znienawidzonemu przez wszystkich człowiekowi, tymczasowie nie dozwoliła mu się prezentować u dworu, atoli uzalając się losu tego, którego najszczególniej zalecała przez posta swojego Salderna — mogła uczynić nadzieję powrócenia do czci i stopni, i obmyśleć mu jakiś w przyszłości utrzymania się sposób.

Przyznam ci się przyjacielu, że co mi zawsze na myśl smutnie przychodzi, ilekroć jestem w Rydzą, to i teraz martwiło, — jako Infantczykowi do Polski przywiązanemu żal mi nieznośnie straty tego miasta handlowego i Infant dziś rosyjskich, zawojowanych wprzód przez Szwedów w czasie gdy familia Szwedzka Wazów była na tronie, potem przez Piotra Szwedom odebranych. Powinny by one być zwrócone Polsce na zasadzie traktatu między Augustem II. a Piotrem Wielkim zawartego, gdyby ostatni pożytkując z niezgód wewnętrznych polskich, nie znalazł korzystniejszego: zatrzymać ich przy sobie;— powiesz i słusznie, że darmo o tém dziś myśleć co na zawsze dla Polski zginęło, bo Rosya dość jest mocną, by ich nigdy sobie wydrzeć nie dała, ale ja nie zupełnie tracę nadzieję, aby w obrocie rzeczy światowych nie nastąpiły kiedyś przemiany. — Ale tu ani czas ani miejsce politykowania, zakończę więc pisanie moje dzisiejsze doniesieniem, że po śmierci Hrabiego Brown'a teścia mojego Szwagra a żony mojej brata, wyznaczonym jest na Generała Gubernatora rosyjskiej i rewelskiej gubernii ten Xiążę Repnin, który ambasadą swą w Warszawie po Keizerlingu, Sejmem 1768 i zabraniami Senatorów stał się nazbyt sławny, a wielowładztwa Xcia Potemkina nie miał szczęścia, i

po śmierci swęj córki, aż do bigoteryi rzucił się w przesadzoną pobożność. —

XVIII. Z Wolmaru 29 Października.

Zginęła mi noc jedna i dla tego na trzecim dniu po ostatnim liście piszę niniejszy o wiorst sto sześć od Rygi, które po siedem licząc na milę czynią piętnaście jazdy w prawdzie ciągłej, ale w dwudziestu czterech godzinach w lepszej porze roku około stu sześćdziesięciu zrobić byliśmy powinni.

Wyjechawszy z Rygi po obiedzie, a za dnia w niedzielę nie ubiegłszy nad wiorst jedenaście do pierwszej stacyi w poniedziałek, zaś dzisiaj przez cały dzień do godziny czwartej po południowej, niepotrafiwszy zrobić nad sześćdziesiąt, od stacyi Roap nazwanej do miasteczka Wolmaru, w którym nocujemy resztą między Neuermuthlen a Roapem nocą przebiegliśmy. Nie mogę więc jako obserwator ludzi i obyczajów ani o gatunku ziemi ani o gospodarstwie tutejszem uczynić relacyi, dobrze że przynajmniej wypiszę panu marszrutę na przypadek, gdybyś do Petersburga kiedy jechał... Zresztą com z powozu, kraj przebiegając, napatrzył, tém się ochotnie dzielę.

Do Neuermuthlen na gruncie dziedzicznym barona Pahlen krewnego gubernatora, piaskami prawie ciągle jechać potrzeba i powoli, a téj samęj niewygody doświadczyć musi podróżny od Neuermuthlen do Nöthensfahr przez wiorst piętnaście, i z téj ostatniej stacyi do Engelhardthaffen, dziewiętnaście; na dziedzicznych zaś ziemiach Grafa Mantenfla i barona Nelmers osadzonych stacyach do czwartej od Rygi Roap zwanęj, na dziedzictwie Grafa Solms stojącej, twardszym lecz górzystszym jedzie się gruntem, i podobnie z Roap do Lentzenhaffu i Wol-

maru. Lentzenhaff należy do Campenhausena. Wolmar miasteczko dziś skarbowe, dla Wolmershaffu dziedzicznego majątku Loewensterna pod same miasteczko przypierającego, musiało jak mi się zdaje, za czasu Hermistrzów być rezydencją biskupa Wendeńskiego, a za czasów polskich starostwem nakształ Düneburga Rzeczycy, albo Lucyna, po zawojowaniu zaś Infant szwedzkich przez Piotra W. oddzielone zostało pewnie miasteczko Wolmar od Wolmarshlossu i wsi do niego należących, jak za naszych czasów Düneburg, Lucyn i Rzeczyca od starostw tegoż nazwiska. Szkoda że historyi Infant nie mam przed sobą, bo krew moich współziomków i krewnych pod tym miasteczkiem wylana, dałaby mi więcej materii do ukaszenia téj relacji. W braku więc przedmiotu to tylko przydam, że dowiedziawszy się w Rydze o konsystencji pułku karabinierów moskiewskiego w Wolmarze, w którym podpółkownikiem jest JMP. Grużeczki urodzony z X. Dołhorukownej dobrze nam z Połocka i Krasławia znajomy, rotmistrzem zaś Polak Zawierski, który przez pół roku w Krasławiu konsystował, zaprosiliśmy ich do siebie na stacyą pocztową. Przy herbacie przez podpółkownika przywiezionej, cały wieczór do dziesiątej przepędziliśmy wesoło.

Postanowiliśmy po spokojnym noclegu wyruszywszy ztąd całych trzydzieści sześć godzin przepędzić na jeździe, poświęcając na nią dzień wtorkowy i środowy, oraz noc całą je przedzielającą. Lękamy się tylko aby zaproszenie podpółkownika na herbatę nie zmitrężyło nam jutrzejszego ranka, o czém już w następnym liście.

XIX z Torma. 31 Października.

Dobrze jest biedz bez przerwy pocztą dniem i nocą, bo w porze jesiennój nie mogąc mieć użytku z dnia

zbyt krótkiego, spiac prawie, całowiek się zdaje przemiesiony, nie wiedząc jak daleko....ale dla obserwatora, straconem jest wszystko co nocna pora przed oczyma mu ukrywa i z tego powodu mało co o tej części podróży powiedzieć ci potrafię. Niesprawdziła się szczególnie obawa nasza względem mitręgi u podpułkownika Gruzeckiego, bo lubośmy przed dom jego zajechali, ale że o godzinie szóstej spał jeszcze, ruszyliśmy dalej. Nie chciałbym być tylko w skórze ludzi podpułkownika, z powodu których opieszałości stał się kłamecą, bo zapewniał że o szóstej zawsze już bywa ubranym.

Przejechawszy Wolmar miasteczko dosyć dobrze zabudowane, brukowane i stolicą jednego z dziewięciu powiatów gubernii rygskiej będące, ubiegliśmy w trzech godzinach wiorst dwadzieścia kilka i zmieniawszy konie w Hachell na pierwszą godzinę z południa stanęliśmy w Galben, znowu o dwadzieścia z górą wiorst odległym, pierwsze z tych miejsc było majątkiem szlachty Inflanckiej, a dziś koronnym, drugie dziedzictwem barona Wrangel. Wiedzieć zaś masz przyjacielu że przemiana dziedzictwa rycerskiego na cesarskie, równie innych dóbr jak tych, nastąpiła przed laty blisko dziesięciu gdy nowa rządu ustawa (Uczrezdenje) i do Infant zastósowane zostało. Mocą jej ponieważ Izba Cywilna ustanowiona została i pensye sędziom ze skarbu monarszego wyznaczone, sąd zaś dawny apellacyjny pod tytułem Land-hohe-Gerichte złożony z Landrathów stał się niepotrzebnym, przeto i te dobra które na pensyą Landrathom ukazem Piotra W. były wyznaczone, powróciły we władanie skarbu. Możeby Katarzyna II zostawiła była dobra te na zawsze przy szlachcie, gdyby infantczycy nie byli się przez lat kilka opierali wprowadzeniu nowego rządu, i nie dopraszały gwałtownie o zostawienie tych majątności w ich rąku. Tak to słaby, gdy bez pomiarkowania sił swoich chce się z mocnym pas-

sować traci zwykle więcej, niżby powolnością mógł urobić; nie przymierzając tego i do nas, co bym uczynił łatwo.

Mając noc całą przebydź w karecie dla pośpiechu, postanowiliśmy jeszcze stacją ubiedz do obiadu, a tak o czwartej do Tejlitz przybyliśmy nie zastanawiając się w miasteczku Walcke połowie prawie drogi między temi stacyami położoném, lubo mieliśmy pokusę widzieć się z oficerami regimentu moskiewskiego, z któremi poznaliśmy się w Krusławiu. Przed samą stacją przejechaliśmy po moście pływającym przez rzekę Embach, która odgranicza Estonią od Inflant, to była druga od wyjazdu z Rygi przeprawa, albowiem za Hiltchensfahr mieliśmy Alę, po rusku Gawją zwaną, szerokości takiej jak Niemen pod Kownem.

Tejlitz z papierów domu już mi był znajomym, jako jeden z czterech majątków dawnych Platerowskich w Inflantach. Smutno mi było dowiedzieć się od pocztmajstra o okolicznościach bankructwa Platara dzisiejszego marszałka Dorpackiego, który z dziedzica dóbr Felsch, Kiema, Wegensee, Tejlitz, Paenhaff i innych kilku najmniej do 14,000 rubli intraty przynoszących, przy niczém teraz pozostał, straciwszy te dobra za pół darmo, bo za 145,000 rubli długu. W czasie najpięrszej mojej jazdy do Petersburga w 1778 r. zaznałem był tego Platara młodym i tylko co z opieki wychodzącym, później nieco widziałem go w Rydze już żonatego z JMP. de Rosen ładną panienką.... Weczesne i za młodu objęcie fortuny znacznej, używanie życia swobodnego z żoną przystojną, pasya do myślistwa, musiały się stać przyczyną nieszczęścia biednego Platara, dla licznej famillii prawdziwie nieszczęśliwego, bo ma dziewięcioro dzieci pięciu synów i cztery córki. Po lekkim obiedzie porzuciliśmy prędko stację Tejlitz niedaleko od dworu ex potioritate na konto JMP. Rennekampa za 35,000 rubli

spadłego lubo 3,000 rubli dochodu przynoszącego, sytuowaną. — Po przebyciu wiorst z górą dwudziestu o godzinie dziewiątej stanęliśmy w Rujbatz, na dziedziectwie p. Loewensterna położonej, który graniczący z sobą Platerowski majątek Roenenschloss osiągnął w 28,000 rublach lubo sam przed lat kilka 42,000 zań ofiarował. Przed przybyciem na stacyą spotkaliśmy sześć pojazdów poszóstnych z paziami cesarkami i kuchnią oraz kredensem, które dla wygody Xiężniczek badeńskich szły naprzeciw nich. O dwadzieścia kilka wiorst od Rujbatz jest stacya pocztowa na gruncie JMP. Henninga ufundowana, zwana Uddern, od której do Dorpatu 25 wiorst miasta o samym brzasku dziś dosięgliśmy.

Dorpat miasto już tylko powiatowe z wojewódzkiego jakim było za polskich czasów, dosyć dobrze zabudowane i w domy murowane o dwóch piętrach obfitujące; starych murów oprócz Zameczyska Krzyżackiego zrujnowanego nie zawiera w sobie co jest dowodem klęsk poniesionych. Embach tak szeroka jak Wilija, płynie środkiem i ma dwa mosty niedaleko od siebie, jeden kamienny, drugi drewniany o jednej arkadzie — murowany przez który przejeżdżaliśmy, ma zwód z podwójną na środku mostu wystawioną bramą granitową, jak cała ta budowa miasto rozłożone na spadzistych z obu stron brzegach Embachu, najpiękniejszy daje widok mieszkającemu tuż pod Dorpatem JMP. Liphartowi jednemu z największych w Inflantach bogaczów, zięciowi hr. Stackelberga, ambassadora w Polsce.

Dla dogodności socyusza naszego p. porucznika Plate-ra, który żądał zasięgnąć wiadomości o bracie swoim majorze, i widzieć się z stryjecznym marszałkiem Dorpackim, bogaczem owym a dziś bankrutelem, zatrzymaliśmy się do godziny dziewiątej, co z marudztwem obiadów na pierwszej stacyi, sprawiło żeśmy do Iggafer o wiorst 23, na pierwszą dopiero po południu ściągnęli,

a na to miejsce zaledwie o siódmej stanęli, lubo tyleż od Iggafer tylko co i od Dorpatu odległe.

Pierwsza z tych stacyj jest na dziedzictwie Grafa Stackelberga, lecz nie ambassadora dziś przy dworze Stokolmskim przebywającego, ale tego który ma za sobą pannę Mantenfel, siostrę milionowego w Infantach bogacza. Torma zaś sytuowana na ziemi p. Liphardta który pod Dorpatem mieszka a po śmierci ojca, jest jak mi mówiono w Rydze panem substancyi milion rublów wartającej, której pewnie nie straci dla skąpstwa, przy czyny największej podobno złego pożycia z żoną.

Kraj inflancki który dotąd przebiegliśmy po większej części piaszczysty i żwirowaty, rzadko gdzie gliniasty, z tego powodu pszenicy mało się rodzi, ale żyta dosyć, lasu jest nad potrzebę w którym zwierz wieloraki się znajduje, bo są nawet jelenie, ryb zaś pewnie mało być musi, kiedy w przeciągu mil 40, oprócz rzeki Aa i Embachu, nad kilka jezior nie widziałem wód innych.

Przybycie xięcia Dolhorukiego przerywa mi pisanie, którego dalszy ciąg odkładam do następnego listu.

XX. Z Narwy 2 Listopada.

Lubo byłem pewien że Xże Dolhoruki jadący z Wilna nie nadto wiele nowości wieść musi, dla grzeczności jednak znajdując się z nim pod jednym dachem poszedłem na drugą stronę pocztowego domu, gdzie xiąże wysiadł na chwilę dla zjedzenia na prędce lekkiej wierzery. Po przywitaniu się przyjacielskiem zwłaszcza że nie miał okazji widzenia się z nim w Warszawie kiedy po kampanii na czas jakiś był przyjechał, dowiedziałem się z przyjemnością iż od dworu dla nas delegowanych, w Petersburgu wyznaczone są domy. Chwała Bogu że choć tym wydatkiem mniej będzie, gdy

z innych wyrobić się trudno. Gdy odjazd zięcia w dal-
szą do Petersburga drogę i nam ułatwił udanie się na
spoczynek, według zwyczaju wczoraj równo z brza-
skiem wyjechaliśmy i dwadzieścia kilka werst ubiegi-
szy, a raczej upełznawszy po piaskach koło jeziora Pej-
pus, ledwie po dwónastej znaleźliśmy się w Nemał,
stacyi ufundowanej w dobrach skarbowych.

Pejpus przez Rossyan Czuchonńskiem jeziorem nazwa-
nə, ma blisko dwóchset wiorst w kierunku z północy
na południe długości, a na pięćdziesiąt na północy jest
szerokie, wiele rzek doń wpada, a jednəm korytem to
jest Narwą do morza Bałtyckiego uchodzi. Zdawna był
granicą naturalną między Infantami a Rossyą, dziś od-
dziela gubernię Rygską i Rewelską od Petersburgskiej,
Nowogrodzkiej i Pskowskiej. O siedm wiorst od Nemał
gościniec pocztowy pod wsią zwaną Czerneja słoboda
do brzegów jeziora tak się przybliża, że kto chce dla
uniknienia piasku może miałkim jechać brzegiem, oko
zaś tak jest oszukane widokiem płaszczyzny wodnej
z horyzontem się stykającej, że jezioro morzem mu się
wydaje, i słuszniejby morzem Estońskiem lub Pskow-
skiem od Pskowa nazwać się mogło, niżeli jak na da-
wnych mappach mare Lubanieum. Miło mi było widzieć
teraz brzegi jego od strony Infant, gdym podwakroć
w latach 1773 i 1785 drugie od Rossyi w przejazdach
do Petersburga i nazad, traktem na Ostrów i Psków
oglądał. Życzylbym sobie wszakże tak wspaniałym cie-
szyć się widokiem w lecie, przy wschodzie słońca, i po-
niekad byłem kontent opuszczając brzegi a z niemi nie-
znośne piaski, przy stacyi Rannapurgern, gdzie je już
lasz zasłaniają.

Rannapurgern w czuchonńskim języku nazwana stacya
oznacza Ostrów brzegowy, dla położenia między jecho-
rem i dwiema rzekami przed nią i za nią do Pejpus
wpadającemi, odległa od Nemał wiorst kilkanaście, ró-

wnie jak następna Kleinapungern dwadzieścia kilka od niej odsuniona, obie na ziemi dziedzicznej hrabiego Stackelberga dawniej w Polsce dziś w Szwecyi ambasadora, który tak mało był ciekawy nadbrzeżnego swego dziedzictwa że po ośmnastoletniem w Warszawie przebywaniu, gdy przed trzema blisko laty powracał do Petersburga, przenocował jak w karczmie w domu własnym i dalej wyruszył. Dziwił się temu pocztmajster, który mi o tém opowiadał, jabym zaś sądził że niedobre pożycie z żoną, Felkersbowną z domu było przyczyną tak krótkiego zatrzymania się.

Do Jewe z Kleinapungern w odległości wiorst dwudziestu ledwieśmy o samem świtaniu przybyli, straciwszy noc prawie całą, na wiorst czterdzieści cztery, wśród śloty i śniegu mokrego, który tak znacznie pokrył ziemię że nam się nagle zima zrobiła. Po przemianie koni w Jewe w dalszą puściliśmy się podróż do Schudlejgh na dziedzictwie konsyliarza de Schwecka. Tu znaleźliśmy majora Bisinga zięcia p. Klingenberga od prezydencyi departamentu pierwszego sądów wyższych ziemiańskich gubernii połockiej nie dawno wraz z assessorami odsądzzonego za parcyalne i marudne sądzenie sprawy Jurewicza patrona i Szantyra ojcobójey. Major nie pocieszył nas wcale relacją najprzykrzejszej w świecie drogi z Jamburga do stolicy, a doniesienie jego że pojazd swój zupełnie połamał, stało się dla nas już drugą przestrogą, albowiem dawniej nieco już powracający hrabia Geslaer mówił na jednej stacyi że mu resory popękały.

Z Schudlejgh stacyi wystawionej na dziedzictwie sławnej xiężnej de Kingston, która w Anglii ojczyźnie swęj znieść musiała w sądzie parów angielskich oskarżenie, jakoby nie żoną ale metressą była zięcia Kingston, najpierwszego w swoim czasie bogacza — która później w Polsce miliony chciała pozyczyć zięciu Ra-

dziwiłowi dla wykupna dóbr jego zastawionych, a nareszcie w Rossyi skończyła kupieniem majątności nie bardzo znacznej ale upodobanej dla nadbrzeża morskiego... Z Schudlejgh ujechawszy kilkanaście wiorst a z tych kilka brzegiem morza Bałtyckiego, któremu się przypatrzyć słońca i mgła nie dozwoliła, przybyliśmy do Wojwora około zachodu słońca, a nie długo bawiąc na miejscu do Hrabiego Siewersa należącém, zaledwie na ósmą zdążyliśmy do Narwy.

O kilka wiorst przed Narwą napotkaliśmy w trzech kibitkach porządných jadących pocztą z Petersburga jakichś podróżnych. Ze średniej gdy się nam dało słyszeć — a czy nie pan Plater jedzie? wstrzymaliśmy się przez ciekawość, i wyskoczył Polak który nam powiedział że się nazywa..... a wraca do Grodna do Konfederacyi w towarzystwie p. Kochowskiego syna generała en chef w Polsce komendującego. Ten oznajmił mi że wszyscy delegowani czekają na mnie jednego z utęsknieniem, i z tego powodu zmieniliśmy zamiar nocowania i chcieliśmy jechać dalej, gdy pocztmajster nas uwiadomił, że w Jamburgu niespodzianie most kra złała. Pomimo więc silnego postanowienia pośpiechu, aby koledzy w Petersburgu nie tęsknili i rząd opieszałości mojej nie wziął za złe, a ztąd żebym na interesach moich nie szkodził, nie mogąc się po nocy narażać na niebezpieczną przeprawę, musieliśmy radzi nie radzi nocować. Mam więc czas jeszcze tu cokolwiek mimo przedłużonego już listu, dodać o Narwi.

Narwa miasto ufortyfikowane, było zawsze kluczem Inflant od granic rosyjskich a mianowicie Xięstwa Nowogrodzkiego, klinem między Estonją a Kariją do Narwy przypierającego. Udawało się Infantczykom wpaść i zdobyć sobie szukać w krajach ościennych, póki Iwan Wasilewicz, pierwszy mocarstwa rosyjskiego twórciel, przez połączenie wszystkich Xięstw ruskich w je-

dno ciało,—nie wystawił twierdzy Iwangorod na brzegu swoim, i nie zagroził nim Narwie. Ucierpiało zaś najwięcej to miasto, gdy Piotr Wielki zdobywszy na szwedzie Ingrią, Karelią i Inflanty sam osobą swoją dobył Narwy. Rudera znaczne w tém miejscu dziś jeszcze są świadkami wojennych klęsk, jakim miasto uległo. Wieczorem przejeżdżając miasto nie mogłem się przypatrzeć ani jego wielkości ani ludności, spodziewałem się jednak należy, że musi być w dobrym stanie, gdy wpadająca tu do morza rzeka Narwa do handlu daje sposobność. Katarakta na tej rzece obudza podróżnego ciekawość.

Niebyliśmy wprowadzić tą razą dla widzenia jęj bo i pora spóźniona i pośpiech niedozwalał zwłaszcza że o kilka wiorst z drogi zjeżdżać by potrzeba, ale opuścić nie mogę, abym niepomieścił tu relacyi tego, com przed laty dziewiętnastu oglądał własnymi oczyma; kiedym nie w ambassadzie jak dziś, ale w deputacyi od zabranych części Polski dla złożenia hołdu nowemu rządowi był wysłany z kilkunastu kolegami. Może spad rzeki całej w swęj szerokości zdawał mi się wówczas nierównie gwałtowniejszy, w stosunku do stanu mojego umysłu, gdyśmy z wolności na łeb właśnie byli spadli, — ale mi się na ówczas potężnie wydała rzeka spadająca na sześć przynajmniej sążni przez próg kamienny, jakby dwadzieścia sążni długi. Doznałem tamże stojąc na moście wysokim a niżej katarakty o dwieście przynajmniej sążni wystawionym takiego skutku z rozbitej spadkiem na najdrobniejsze pyłki wody, że w czasie pogodnym, a mniej niż w kwadrans czasu, suknie na mnie całkiem zmoczone zostały, jak w lecie od bujno osiadającej mgły, słyszałem wreszcie z czynionych mi relacyj, że pod kataraktę przechodzić można i ryby na powietrzu przed spadnięciem łowione być mogą. Nakoniec dla lepszego przedstawienia jak nagły jest spadek

Narwy dość będzie przydać, co mi o dwie mile przed Narwą, w powozie opowiadano, iż gdy wypadkiem statek zatrzymać się niepotrafi w porę, trudno mu już w olągu mil dwóch ratować się jakimkolwiek sposobem i ginąć musi z ludźmi i towarem. Drzewo splawione nie tylko w tratwy ale w najmniejsze gąski niemoże być wiązane, a towar ten nie inaczej się tedy dostaje do miasta, a ztamtąd na morze, jak pojedynczemi sztukami na impet wód rzucony, a niżej katarakty lapany; jeżeli go upadek nie podruzgocze.

Zastanawiając się nad pozycją jeziora Pejpus, brzegu ziemi tak Inflanckiej jako też Estońskiej i gubernii Pskowskiej, oraz Nowogrodzkiej, z górą 350 wiorst mającego, i wpadem do niego rzek wielu z głębi kraju pod panowaniem rosyjskiem będących, a od Dzwiny oddalonych, którym ta katarakta na zupełnej jest zawadzie do transportu produktów, dziwno mi bardzo, że dotąd obywatelska składka, nieobmyśliła funduszu na wykopanie kanału z jeziora Pejpus do koryta Narwy niżej katarakty, podobnie jak za Piotra W. wybitym kanałem Ładogę z Newą połączono. Być może iż grunt skalisty stanął na zawadzie temu przedsięwzięciu.

XXI. Z Jamburga 3 Listopada.

Jak bez najmniejszego zastanowienia komissarz Narwieński byłby nas wyprawił nocą na najokropniejszą przeprawę, tak dziś rano, wolny od wszelkich trosków o to co się z nami stanie, wziął swoje prokony (tak zowią w Rosyi pieniądze za konie przez pasażerów płacone) i bez informacyj co mamy czynić z sobą i jak począć, puścił nas na los szczęścia. Odjechawszy od Narwy wiorst dwadzieścia kilka do wsi Piątnica zwanój, dowiedzieliśmy się od mieszkalców, że zwyczajném miejscem gdzie

przewóz i most przez rzekę ułatwia przeprawę, dziś przejechać niepodobna, że zatem musimy jak Kazna cesarska (pieniądze skarbowe) wpław ją przebywać o pięć wiorst wyżej.

Wielec to z początku zmartwiło żonę moję, lecz gdy albo na kilkodniowe we wsi siedzenie, albo na tę wpław przeprawę musieliśmy się decydować, znużeni już i tak do zbytku przeciagnioną drogą, troskliwi nadto, aby na nas w Petersburgu nie narzekano, musieliśmy się puścić kędy kassa skarbowa przechodziła i bylibyśmy wpław pojechali, gdyby rozsądny i dobrych chęci chłoppek jakiś nie ostrzegł, że naprzód przeprowadzenia się téj kassy czekać trzeba... Zaprosił nas tymczasem do swego domu, gdzie w przeciągu trzech godzin tysiąceśmy od niego doznali grzeczności, póki posłany kamerdyner dla obejrzenia jak się kassa przeprowadzić będzie, niewrócił z doniesieniem, że czas ruszyć, i na brzegu pięćdziesięciu ludzi zebranych dla pomocy ekwipażów nas oczekuje. —

Między innemi gospodarza przysługami była i ta, że gdy pocztylioni chcieli powyprzęgawszy konie do Narwy porzuciwszy nas powracać, zamknął bramę od dziedzińca, przymusił starszego do rozmówienia się ze mną o powiększenie płacy za pięć wiorst drogi, i ofiarował się za małą cenę dać siana dla popasu. Oprócz tego ryby piwa, jaj, co miał w domu za mierną cenę nam dostarczył sam przypominając, co nam potrzebnem być rozumiał i udzielając skutecznych ostrzeżeń tyczących się bezpieczeństwa na przeprawie.

Cały prawie zysk раннего wyruszenia z Narwy zginał, gdy o drugiej po południu ledwie kamerdyner przybył, donosząc, że po przeprowadzeniu kassy nie było dla nas żadnej przeszkody, a tak przeżegnawszy się, pełni ufności w Opatrzność Bożą ruszyliśmy drogą nigdy nie praktykowaną, przez ługi i kilka ruczajów je przerzy-

nających, w których pewnie byśmy ugrzęźli, gdyby po śniegu spadłym dość bujnym mróz w nocy z pierwszego na drugi listopada nie był chwycił tak mocny, że ziemię całkiem wstrzymał, i ciężkie nawet powozy na niej bardzo nie zapadały. Nad rzeką samą stanąwszy, można było życzyć cudownej laski Mojżeszowej, do ułatwienia jak niegdyś przez morze Czerwone przeprawy...

Rzeka Ług początek swój ma pod miastem Ługiem w gubernii Nowogrodzkiej, wpada zaś, jak mi mówiono do Narwy, korytem skalistym pod Jamburgiem a tam gdzie nam ją przejeżdżać przyszło płynie także po kamieniu. Dno i boki są jakby ręką ludzką w nim wyłobione, podobnie do starożytnych owych aqueduktów; musi więc być bystrą w swym biegu tak dla kamiennego chropowatego dna, jakoteż dla boków skalistych, które rzekę ściskają. Spuszczać się inaczej w tę otchłań rozpiętej wody nie można było jak raptownie w nią z końmi wpadając, tak że przód pojazdów prawie się całkiem zanurzał i zdawało się, że z pieca na łeb zlatując, pogruchotać się musi, gdyby go ludzie sznurami nie strzymywali. Wydobyć się z przeciwnej strony na wysoki brzeg byłoby niepodobieństwem, gdyby od strony Jamburga próg ten nie był daleko niższy. W przebywaniu na koniec rzeki dosyć szerokiej i bystrzej, w której konie po brzuchy prawie brodziły, przechylenie się co chwila powozu z powodu dna najeżonego skałami czyniło przeprawę przykrą i niebezpieczną.

Wystawisz sobie pan, jak wiele strachu i przykrości doznaćby musiała żona moja,... ale go uspokoić muszę żeśmy przez czas przeprawy w powozach się nieznajdowali i w inny lubo nie mniej niebezpieczny sposób Ług przebywać musieliśmy. Od owiej wioski Piątnica grzeczny chłop ofiarował nam sanki i konika swojego, w których żona moja, ja, syn i kamerdyner do

brzegu dojechawszy, pod Jamburgiem, gdzie most na trzy części przez kry był przełamany, a woda pozamarzała, choć ze drżeniem po lodzie jeszcze pod nogami trzeszczącym przejść byliśmy zmuszeni, i jak niepyszni piechotą do pocztowego domu przydybaliśmy. Tu ja z czasu profitując piszę list dzisiejszy, i postrzegając już nadchodzące pojazdy z ludźmi, przerywam ciąg dalszy rad że już do Petersburga podobnych nie będzie przepraw. Ta dzięki Bogu, workowi tylko memu stała się szkodliwą, wyciągnąwszy z niego do dziesiątka rubli, co nie wiele jest jeszcze na dwa pojazdy, kiedy tu jakiś Xiaże ruski z żoną i czworkiem dzieci z Paryża wracający od dwóch dni razem prawie z nami jadący od jednego powozu, dziesięć rubli musiał zapłacić.

XXII. Ze Strelnéj dnia 4 Listopada.

Po całonocnej jeździe w mróz jak może być najtęższy w jesieni, bo nam się do dwudziestu stopni na naszej skórze dochodzić zdawał, korzystam znowu z chwili, której kucharz potrzebuje na sporządzenie nam prędkiego obiadku dla oznajmienia żem o siedmnaście wiorst od stolicy o szóstéj wieczornéj — i pewien jestem przybycia do niej jeszcze w dniu dzisiejszym, przed północą. Piszę zaś tém szczęśliwszy że nie tak złą drogę miałem jak mi ją byli odmalowali, lubo w domach pocztowych najmniejszej nie znalazłem wygody. Najpierwsza stacya była Opolska za Jamburgiem na ziemi Grafa Gołowina, ztąd przodem dla opalenia i przygotowywania stancyi posłałem kamerdynera aż do Petersburga. Z Opolskiej stacyi do Czyrkowitéj na dziedziectwie jenerała porucznika Me... sytuowanéj, upelziliśmy w godzinach sześciu wiorst dwadzieścia kilka, a ztamtąd nim do następnej na gruntach Sackena tajnego

Sowiecownika i Vice-Guwnerna Wielkich Xięzt przbyliamy, noene ciemności rozproszyło wschodzące słońce.

Na téj ostatniej stacyi znaleźliśmy nieboraka Xięcia, o którym z Jamburga donosiłem, na trzy godziny przed nami przybyłego, który nietylko doczekać się nie mógł koni, aleśmy go tam zostawili, marznącego w chłodnej izbie na stacyi, z perspektywą przebycia na niej całej nocy.

Następne stacye Koakowo i Kiepin, ostatnia zwłaszcza nie nadto dobrze brzmią w języku naszym, i warte są jak najobrzydliwszego nazwania dla niewygody jaką tu podróżni ponosić muszą. Radzę ci kochany przyjacielu, abyś na tych dwóch stacyach niewysiadał nigdy przed odmianą, która już jest wprojekcie, bo z doświadczenia wiem jak to tu dobrze...

Strelna albo Strelna myza zkad piszę, leży w dobrach koronnych, a z okna widzę obszerny pałac Cesarski opuszczony, fundacyi Piotra W., który tu zwykł był zjeżdżać na polowanie, i dla tego się miejsce Strelną nazywa. Droga do téj stacyi od przedostatniej ma być w jesieni i na wiosnę najbrzydsza, co poznać mogliśmy z grudy i kamieni, które się nam uprzykrzyły, lubo z rozkazu rządu mnóstwo chłopskich podwód sypało piasek dla uładzenia drogi Xiętniczkom Badeniskim za nami do Petersburga jadącym. Rzecz dziwna, której przyczyny dociec nie mogliśmy, że wszyscy z Kiepen do Strelny rachują 29 wiorst, a płaci się tylko za 25. Za lat kilka ma być ukończoną droga, którą robią z Petersburga na Strelnę, Peterhoff, Oranienbaum, aż do Czerkowic wprost, której próbkę już w majątku p. Łazarew widzieliśmy; będzie to grobla na faszynach wywyższona, z obu stron fossami osuszona, i kanały te kamieniem mają być cembrowane, a sama droga najmniej pół łokcia głęboko kamieniem tłuczonym nasypa-na. Niewiem czy expensem monarszym czy własnym

kosztem p. Łazarewa, który może ponieść ten wydatek, bo ma 18 tysięcy dusz pod Stolicą i znaczne intraty, zrobi się ten tak wspaniały gościniec.

Pod dworem p. Łazarewa napotkał mnie Kurier od p. Hetmana Kossakowskiego wysłany chociażby do Rygi pędzący za mną, dla dowiedzenia się co się zemną stało, albowiem rozeszła się była pogłoska jakoby miał odmienić zamiar jechania do Petersburga. Tu zaś znalazłem asesora sądu Kapitańskiego od dwóch tygodni wyczekującego na mnie, i wiadomość że pod najpierwszą bramą Petersburską czeka kurjer od p. Podkancelerzego Ostermana wysłany dla konwojowania mnie do domu wyznaczonego mi od dworu. Muszę więc chcąc niechcąc dążyć już na miejsce, dwadzieścia kilka tylko wiorst mając przed sobą. Niekończę listu tego, abyś zarazem i o przybyciu naszém, do stolicy, został zawiadomiony.

Z Petersburga. 5 Listopada z rana.

Przybyłem na to miejsce wczoraj o godzinie dziesiątej w nocy przeprowadzony przez kurjera kolegium spraw zagranicznych, do domu generała Borozdyna, a w nim u drzwi przyjęty przez Sowietnika nadwornego, który ma rangę podpółkownika i imieniem podkancelerzego Ostermana oraz grafa Bezborodki dwóch matorów dyplomatycznych, szczęśliwego przybycia powinszowawszy mi, oświadczył zarazem że z woli najjaśniejszej Pani, dom w którym wysiadłem, wyznaczonym mi został na cały czas urzędowania mojego.

Niedługo bawił Sowietnik okazawszy wszystkie wygody wyznaczonego mieszkania, a jak tylko posłano nam na pręde łóżka, domyślasz się, że zapraszać nas do nich i kołysać do snu nie było potrzeba.

Dzień dzisiejszy pewnie cały na rozlokowaniu się przejdzie, a że troskliwy być możesz otrzymać wiadomość o przybyciu mojem, nie będę czekał zebrania się w Petersburgu kolegów i nowin politycznych, co do dalszych odkładam listów, kończąc relacyą podróży. Tu tylko dodam, że od 11 do 27 Października dni szesnaście w podróży do Rygi przebywszy, a odtrąciwszy półtora dnia w Siedlcach, i półtora prawie w Würtzau i Mitawie, gdy przez dni 13, a w każdym z nich po 12 godzin najmniej rachując, przez godzin 156 zaledwieśmy 102 mil choć pocztą ubiedz mogli, wypada na milę więcej półtóry godziny czasu. Ta marudna jazda jeszcze się pośpiechem nazwać może w proporcycy czasu od Rygi do stolicy spotrzebowanego, gdy przez dni siedem i nocy cztery, a godzin 140 jazdy, nie zrobiliśmy nad 567 wiorst, to jest po siedem na milę rachując, 81 mil, po dwie godziny na milę.

Była wprawdzie przyczyna téj tak długiej jazdy, w popsutych jesiennemi deszczami drogach, i lichych koniach na pocztach przepędzanych, z przyczyny niedostatku których najczęściej nas chłopskiemu szczurami wyprawiano, ale się wiele i urządzenie poczt w cesarstwie do opóźnienia nas przyczyniło. W gubernii rygskiej szlachta utrzymuje poczty, przystawia na każdą stacyą furaze potrzebne, ma staranie o koniach aby się w liczbie naznaczonej znajdowały, i cały expens dzwigając, nietylko pocztmajstrów do wyrachowywania się z progonów w proporcyci 2 kopijek na wiorstę od konia, co czyni na milę groszy 28, zobowiązuje, ale nadto domy pocztowe arenduje pocztkomissarzom. Ten układ od granicy kurlandzkiej ciągnie się do Rannepangern exclusive przed którą stacyą gubernija rewelska się poczyna; w Estonij ktora dziś jest gubernią Rewelską aż do ostatniej stacyi przed Narwą, ciało szlachty ma podobnie dozór stacyj przygotowując jednak sam

tylko furaż w owsie i sianie a wreszcie arendy nie biorąc od pocztmistrzów i kalkulacyj z progonów niewymagając.

Od Narwy do Petersburga układ poczty jest taki jak w całej Białej Rusi, gdzie co rok na każdą stacyą ze skarbu monarszego dają pieniądze furażowe i fundusze tak na konie jak na powózki w proporcji 400 rubli na 11 koni, a na takowy expens perceptą jest podatek pocztowy na majątki nałożony po kopijek 15 z duszy, i gdzie przy takiem ułożeniu, osobliwie że i furgony dla pocztmajstrów zostają, byłoby najwygodniej dla trzymających poczty, gdyby darmo listy, sztafety i wszystkie koronne expedycye, z obowiązku wozzone, nie wymagały koni na to osobnych.

XXIII. Petersburg. 7. Listopada.

Dziś odbyliśmy pierwszy ceremoniał audyencyi u JMPP. Ostermana i Bezborodki grafów, z których jeden jakoby ministra, drugi podkanclerzego zajmują posady; chociaż po Woroncowie niegdyś kanclerzu nie ma już tego stopnia i graf Panin spełniał kanclerskie obowiązki przy nadanym sobie tytule Feldmarszałkowskim, a graf Ostermann podkanclerzem jest z rangą aktualnego tajnego sowietnika: to jest w cywilnej klasie generała en chef. Graf Bezborodko drugim liczy się po Ostermanie w kolegium interesów zagranicznych w równiej co do tytułu proeminencji jak hrabia Ostermann. Lecz mniejsza nam o to, wszakże czy kto jest w stopniu aktualnym czy nie, komedya, my też gramy i grać będziemy, wreszcie całe życie nasze komedya na obszernym świecie teatrum udawaną, której jeden z preliminarnych epizodów jest ten którego relacyą przedsiębiore.

P. ambassador wiedeński Kobentzel przed swoją audyencyą u monarchini, nie był obligowanym do cere-

moniału który nam zaleconym został. Poprzedzić powinno było od nas, udanie się do pierwszego ministra i podkanclerzego z doniesieniem o przybyciu naszym, żądaniem oraz wyznaczenia dnia w którymbyśmy ceremonialną im wizytę oddali, końcem złożenia prośby aby audyencyą u monarchini wyrobili, oraz komunikowaniem im kopij już credencjalium, już przygotowanych na audyencyą publiczną mów tak do Imperatorowej i wielkich Xiążąt, jako też do ich synów i córek starszych — a to udanie się w braku kawalerów ambassady których nam niedano, dopełnione było przez wybranych z pomiędzy nas kolegów Wielohórskiego i Mira, którzy obwieścili, że pierwszy minister i podkanclerzy srodę do odebrania od nas wizyty determinował. Zjechaliśmy się więc wszy, scy w komplecie dziesięciu, do mieszkania Rzewuskiego hetmana, a ztamtąd w następnym porządku ruszyliśmy.

Zaszła naprzód dworska karetą podwójną sześcią kołmi zaprzężoną i do niej wsiadł sowiećnik nadworny rangę podpółkownika mający, na ten raz do reprezentowania ceremonienmajstra wyznaczony, który paradny pochód otwierał; za nim zaś trzy karety dworskie paradne czteromiejscowe, cugami zaprzężone, jedna po drugiej następowały, w których tym porządkiem siedzieliśmy: w najpierwszej Branicki i Rzewuski w tyle, na przodzie Sapieha i Mir, w drugiej po tej Kossakowski i ja w tyle, po przodzie Granowski i Kossakowski wojewodzie, w trzeciej nakoniec i ostatniej Potocki i Wielohorski tylko w tyle. Spotkał nas u drzwi kareć jedna po drugiej wjeżdżających pod pałac przez grafa Ostermana wyznaczony z konsyliarzów podobno kollegium zagranicznych interessów jeden, a u wschodów aż do ostatniego gabinetu przechodziliśmy wzdłuż sieni i kilku pokoiów pomiędzy liberyą, kamerdynerami, kassyerami, kopiistami, subalternami, sekretarzmi kollegium zagranicznych interessów, ławą po obu stronach uszykowanemi. Gdyśmy zaś do-

chodzili do najgłębszego gabinetu przed nim zgromadzonych w kopiec ujrzelismy kawalerów krzyża s. Włodzimierza do dyplomacyi zapewne należących. Drzwi zaś tak gwałtownie otworzyły się od gabinetu w którym sam graf Ostermann znajdował się, że jako cudowny obraz po spuszczeniu zasłony zabłysnął oczom naszym.

Po wpuszczeniu nas wszystkich dziesięciu do gabinetu i drzwiach za nami zamkniętych, tak iż z grafem Ostermanem byliśmy tylko w jedenaście osób, oświadczył Branicki jako primus inter pares komplement, że wysłani od narodów koronnego i litewskiego skonfederowanych, przybyliśmy dla złożenia hołdu wdzięczności wybawicielom polaków z pod więzów despotyzmu i upraszamy JW. grafa jako pierwszego ministra wielkiej Katarzyny aby nam i honor i dzień audyencyi przez niego był wyrobionym, na co graf Ostermann odpowiedział iż oświadczy chęć naszą monarchini, i nieprzepomni starania o przyspieszenie żądania naszego, obligował nas potem wszystkich abyśmy kanapę i stolki przygotowane zasiedli, sam prawą stronę kanapy zajmawszy, gdy po lewej Branicki usiadł, my wszyscy w półcyrkuł na krzesłach od téjże lewej strony ją otaczających zabraliśmy miejsca. Po kilku chwilach takiej sesyi siedzącej, nasz primus inter pares kopią credencialium i mów które mieć będzie podał, a po oświadczeniu przez grafa, że się spodziewa, iż osoby nasze i wyrazy z którymiśmy przybyli będą mile przyjętemi od monarchini pragnącej szczęścia wolnego narodu, ruszyliśmy z gabinetu na próg, za który nie wyszedł graf, i wsiadłszy do powozów w tym samym porządku udaliśmy się do pałacu grafa Bezborodki.

Spotkanie nas przez wybranego urzędnika u drzwi pałacu, osadzenie wachodów, sieni i pokojów liberyą liczną, furyerami, oficiantami i mnóstwem osób w jednokowych cywilnych mundurach, takie prawie było jak u grafa Ostermana, oprócz że liberya JW. Bezborodki da-

leko się nam bogatszą wydała, a gospodarz domu nie zamknięty ruszył się przeciw nam do drugiego pokoju, i na kanapie na którą zaraz Branickiego zaprosił, dał mu prawą rękę, sam pierwój obok niego nie usiadłszy, pókiśmy wszyscy miejsc naszych nie zajęli. Wreszcie na oświadczony sobie komplement przez Branickiego, podobny do tego który grafowi Ostermanowi był przygotowany, odpowiedział grzecznie, i za ruszeniem się naszym odprowadził nas do miejsca w którym był przyjął.

Powracaliśmy już po pierwszej do domu Rzewuskiego temż samemi pojazdami, a wedle zwyczaju liberyi dano po sto rubli na każdą karetę, podkoniuszemu prezent, a masztalerzowi jego dziesięć rubli. Ni mniej ni więcej w tej mierze, nie można było uczynić, gdyż taka jest etykieta, której się tu ślepo trzymać potrzeba. Pomimo starania niewiem czyli się będziemy mogli wymówić od przyjęcia pewnej kwoty rublów na każdego na miesiąc, które nam gwałtem chce Graf Ostermann zaliczać, dla tego, jak twierdzi, że taki jest zwyczaj dawny. Lecz o tym potem gdy z porządku zdarzeń, przyjdzie mi o naszej ambasadzie i jej przyjęciu mówić obszerniej. Są między nami tacy co nieznajdując w etykiecie dla Kobentzela ułożonej obowiązku oddawania pompatycznej wizyty u pierwszego ministra i podkanclerzego przed audjencyą u monarchii, rozumieją to być upośledzeniem dla nas żeśmy do niej zmuszeni zostali, ale nie ma nad czém głowy łamać gdyż się po czasie rezonuje, i powinniśmy przyjąć pro rato et grato co nam podyktowano. Niewidzę wcale coby nas upośledzało że karetami dworskimi byliśmy wprzód u tych bez których audjencyi otrzymać trudno. Zresztą tać nie można żeśmy delegatami nie od kraju całego, ale od mniejszej części skonfederowanych obywateli. Więcej podobno i słuszniej by się dziwować potrzeba, że monarchini kontentuje się credentialibus od marszałków konfederacyi

danemi, z zamilczeniem króla, który po uczynionym accessie, ominionym być niepowinien. Przyznam się nawet, przyjacielu, że gdybym wyraźniej o to nie miał od króla rekwizycyj abym o credentials od Niego nie należał, stanąłbym śmiało przy tém aby potąd audjencya spóźnioną została, póki by ich nie nadesłano. Teraz równie w tém jak w wielu innych rzeczach milczeć postanowiłem, kontent że ambicya Branickiego wszystko na swój karb bierze, i że z przymusu prawie delegowany, nie jako Senator ale jako Plater Konsyliarz reprezentując skonfederowane narody; wreszcie to mnie zupełnie uspokaja, iż będzieli dobrze dla kraju z naszej na to miejsce wędrownki i gromadnej na wzór Kirgisów reprezentacyj, znają w Polsce jaką kto z pomiędzy nas ma zdatność i wdzięczność narodowa pożytek nie jednemu Branickiemu przypisze; a będzieli zaś źle, czego Boże zachowaj, splami się tylko ten, co się między równymi gwałtem wszędzie chce pierwszym czynić i w tém rady dać sobie nieumie, jak wydało się już w odbytych ceremoniale czasu którego Branicki z Rzewuskim dla jednej chęci przodkowania do pierwszej siedli karety, a wszędzie najpierw wysiadłszy, na kolegów innych czekać musieli pod wschodami, zamiast co byśmy my na nich czekali, gdyby się tak niewysforowali.

Wybacz przyjacielu że ci jeszcze tą razą nie o matadorach politycznych nie piszę, ani o złych lub dobrych nadziejach, negocyacye nasze czasu potrzebują, a więcęć jeszcze poznanie ludzi wymaga. Ażeby nie chybił i kombinacye moje mnie samego nie złudziły, ponieważ pierwszym progiem jest odbycie audjencyi publicznej, do trzeciego listu zachowuję co cię jak obywatela kraju najwięcej zajmować może; kończąc ten list doniesieniem że nie w Niedzielę, ale we Środę mamy przed Monarchinią ceremonialnie stanąć—

XXIV. ostatni (urywek).

Z Petersburga 14 Listopada.

Po audiencji dzisiaj publicznej, i po wieczornym danym nam po niej spektaklu w Ermitarzu, załedwie wróciwszy, rzucam się zaraz do pióra, abym ci opisał wszystko póki pamięć świeża. Dzień dzisiejszy nie jest zwykłym do audiencji publicznych, a że ta wyznaczona nam została, opinia jest wielu że i w tém Cesarzowa dystynkcyę uczynić chciała dla nas i kraju który reprezentujemy. W prawdzie w niedzielę przeszłą nie było wielkich Xiążąt, lecz mogli byli na drugą zjechać, jak zjechali na Środę, a tak niechcąc o tém sądzić, zostawję opinii twojej, czyli ma jakie znaczenie lub nie-determinacya dnia tego.

Ceremoniał ułożony i komunikowany nam wcześniej zapewnił o wszystkim jak być ma, jedno tylko miejsce z kąd w paradyje wyjeżdżać mieliśmy do naszej było zostawione woli. Przez dwadzieścia cztery godzin zdawało się, jakoby się wszyscy zgodzili na to aby z mojego domu wyruszyć, lecz późniejsza reflexyja przedstawiając obawę aby buławy na tém nie ucierpiały na prerogatywie lubo uzurpowanej,— wskazała dom Rzewuskiego Hetmana, zkądśmy i paradę do ministrów odbyli przed tygodniem. Tam tedy zatrzymaliśmy się przed jedenastą, o w pół do dwunastęj przybyły ekwipaże dworskie i w jednym z nich ceremonienmajster Xiąże Kolców Massalski z uwiadomieniem że czas jechać! Po przyjęciu go ruszyliśmy się następującym porządkiem.

Dwunastu lokajów cesarskich przy szpadach otwierali paradę, za nimi karetą czteromiejscową sześciokonnym cugiem założona, wiozła obu hetmanów koronnych Brannickiego i Rzewuskiego siedzących w tyle, a ceremonienmajster na przodzie, u dwi karety po obu bokach szli

po jednym hajducy bogato poubierani w kaszkietach z piórami, i podkoniuszy rangi sztab-oficerskiej konno u boku assystował mając za sobą jednego masztalerza. Po tej pierwszej następowała druga karetą w której w tyle Kossakowski hetman ze mną siedział, w trzeciej potem wojewoda Kijowski z Granowskim, w czwartej książę Sapieha i wojewodzie Kossakowski, w piątej na koniec i ostatniej Wielohorski i Mir siedzieli. Wszystkie karety czteromiejscowe były cugami zaprzężone i koło każdej po dwóch hajduków szli piechotą.

Wszystkie powozy jeden po drugim przez część ulicy Milionną zwaną na której dano dom Rzewuskiemu, powoli noga za nogą, szły z nami środkiem ludu zgromadzonego i karet z obu stron spektatorami napelnionych, aż do głównego wjazdu do którego przez dziedziniec i koło hauptwachu Gwardyi przejeżdżać potrzeba. U drzwi siemni spotkali nas furjerowie, w górze zaś wschodów kamerjunker na to wyznaczony, a w najpińszym przedpokoju generał ceremonienmajster Kasztaliński, wreszcie w przedpokoju drugim marszałek dworu książę Boratyński, który tu nas zatrzymał u wejścia do czwartej sali dopókiby ceremonienmajster nie obwieści N. Pani o przybyciu naszym.

(Reszty listów brakuje).

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Rzecz godna zastanowienia, że w narodzie, co przechodził przez tak liczne a tak gwałtowne koleje i przeobrażenia polityczne, jak naród francuzki, co towarzyski swój porządek po tylekroć zmieniał i przerabiał, co niszczył zwyczaje i przywileje, a tradycye z pamięci i z pomników ścierał — że w narodzie tak ruchliwym przechowały się po dziś dzień tradycye ducha literatury, atoli nie w tém dogmatycznem skośnieniu, któreby utrzymywało się jak szacowny zabytek przeszłości, lecz pełne znaczących wpływów, umiejętnie rozumnych kierunków powściągających wybryki piór unoszonych namiętnością, lub poślubionych jakiej paradoxalnej zasadzie.

Akademia francuzka, aczkolwiek obrzucano ją śmieszością i targano powagą, ostała się i śród burz politycznych i niebezpieczniejszych jeszcze, burz literackich, a to z prostej przyczyny, że czterdzieści jej krzeseł zapełnia się od czasu do czasu członkami górującymi w narodzie bezwzględnie jakiej są szkoły. Tym sposobem ciało jój, lubo nieprzestaje być reprezentantem myśli,

uczuc i wyobrażeń ogółu, jednakowoż stojąc na straży tradycji literackiej, umie głos podnieść w imie nieśmiertelnych zasad piękności, języka i stylu, i niehamując w niczem swobody piszących, ostrzegać ich przed grzechem nadużycia, jak z drugiej strony, utrzymywać sąd w publiczności wyższy i wytrawniejszy, a przytem tyle silny, że ani prądy mody, ani kupne oklaski, ani wszelkiego rodzaju szarlatanizmy, niezdolają takiej nabrać przewagi, żeby nikt nieśmiał już ust otworzyć i zaprotestować.

W największym tryumfie romantyczno — szalonej szkoły francuskiej zawsze znalazła się tam część publiczności ukształconej, której smak, wyobrażenia i uczucia, obrażały się nadużyciami onej, a choć niekiedy zbyttnia w tych kołach panowała wyłącność, niemniej jednak szkoła ta przeminęła, a uczucie prawdziwej artystycznej i moralnej pięknoty zostało.

Gdzie jest zatem taka tradycyjna literacka powaga jak w Akademii francuskiej, można być pewnym, że piśmiennictwo zawsze będzie miało stronę wyższą i niełatwo zejdzie na te drogi trywialnej płaskości i moralnej nędzy, na jaką schodzą literatury, kiedy je za narzędzie użyje sofizm lub namiętność stronnictw czy sekciarskich, czy politycznych, czy socyalnych.

Nie więc dziwnego, że głos członków tejże akademii traktujący jakie wyłącznie literackie pytanie, miewa znaczenie nie tylko dla samej Francyi, ale i dla reszty literackiego świata, który, choćby i niestósował tych zdań i pojęć do swojej narodowej potrzeby, jednakowoż uderzony być musi wagą słowa co płynąc z łona tej najwyższej umysłowej instytucyi mającej za sobą i doświadczenie wieków i górującą pozycję talentów, nasuwa mnóstwo pytań i do zastanowienia się nad niemi pobudza.

Przed niewiedzą dniaśni przyniosły nam dzienniki paryskie mowę Ponsarda wstępującego do Akademii i odpowiadź Nisarda. Pierwszy, jako poeta traiczny wszczął rzeź o trajedyi, gdzie uderzył mię, szereg jego dowodów: jako rodzaj traiczny, czyli poprostu Trajedya istnieje i nigdy nieprzestała istnieć. Przyznam się, że o istnieniu tego rodzaju literatury nigdy nie wątpił, a jednak czytając co mówił z takim naciskiem, mogłem się łatwo domyślić, że znaleźli się jacyś nowatorowie, zapewne literaccy *hugonoci*, którzy zrobili zamach na trajedyę.

Posłuchajmy tego ustępu Ponsarda przemawiającego w obronie trajedyi.

„Zgodzicie się na to szanowni państwo, że żaden rodzaj literatury nie może skończyć, jeżeli odpowiada ciągłej i ogólnej potrzebie umysłu ludzkiego. Przynajmniej ażali niektóre postacie historyczne niewzbudzają w nas większego niż inne zajęcia? Jakże nam miło kiedy kto ożywi osoby górujące nad pospolitym tłumem, kiedy ożyją tacy prawodawcy, zdobywcy, monarchowie, trybuny, zgola wielcy ludzie wszelkiego rodzaju skupiający w sobie pewne momenta cywilizacyi, tacy bohaterowie lub mędracy, co wywierali wpływ na losy narodów i na pochod myśli. Ani wątpię, że ich mowy i czyny będące w związku z wielkimi kolejami narodów i z głęboką nauką dla świata, większe robią na nas wrażenie, niż czynności prostego człowieka w domowym kółku. Historyk maluje te postacie, ale wielkimi pociągami pędzi, chwytając tylko ich życie publicane w stosunku z całością historyi; poeta zaś dramatyczny wraca im słowo, odsłania przed nami ich żywot wewnętrzny, robi świadkami walk tajemnych, wahań się i postanowień od których przyszłość państw zawisała. Nieszczęścia jakiego kupca mogą mi lży wycisnąć, nieprzeczę temu, ależ i tego mi nikt niezaprzeczy, iż August deliberują-

cy w obecności Maxyma i Cynny, lub Agryppina, w rozmowie z Neronem obudzają w duszy widzów coś, co do wyższego rzędu wzruszeń należy.

„Krom uwagi jaką wznecają sławne imiona, mamy jeszcze uczucie i miłość do tego, co piękne. Jeżeli nam pokażą na scenie zawikłaną jakąś przygodę, zręcznie utkaną, zawiązującą się i rozwiązującą niespodziankami, możemy doznać zdziwienia, wzruszeń, i ciekawość naszą wyteńczyć. Nieprzeczę, iż taka biegłość w utrzymaniu intrygi wymaga dużo talentu i nielada jaką znajomość sceny; lecz to wszystko niewzbudzi w nas uczucia pięknoty, gdy przeciwnie uczucie to podniesie się do najwyższego stopnia na widok charakterów potężnie narysowanych, uczuć trafnie rozwiniętych, w obec głębokich badań serca ludzkiego, i walk namiętnych mówiących właściwym sobie językiem. Zdarzenia mają tu podrzędną tylko ważność; przeciwnie w pierwszym systemacie wszystko im bywa poświęcone; tutaj perypeye rodzą się z przeciwieństwa charakterów, a tam z okoliczności całkiem przypadkowych. Poeta zajęty rozwinięciem uczuć i charakterów, niechce ani może wikłać tysiące nitek jakiej intrygi; toż i mało znajdzie się takich widzów, co by śmieli przenosić najzuchwalszy *coup de théâtre* nad stałość starego Horacyusza, nad uniesienia Fedry, i nad rozpacz Hermiony! Mówią jednak, że to nie bawi — jak gdyby celem sztuki była zabawa? — tymczasem to się zowie pięknem, i zaspokoja jeden z przymiotów i potrzeb duszy, to jest podziw! —“

Ponsard zdefiniował w tym ustępie starą trajedyję, i nowożytny dramat, robiąc bardzo trafną uwagę, że jeżeli dramat ma przyczynę swego istnienia, ma go nie mniej trajedyja, która dopóty istnieć będzie dopóki ludzie znachodzić będą przyjemność w nauce dziejów i w wiernem malowidle namiętności.

Z takim zastrzeżeniem niepodobna przypuścić, aby ten rodzaj miał zaginać jak mamut lub mastodont, ani zasługuje ten na miano reakcyonisty, kto się upomina o zaszczyty przeszłości swego narodu, tem mniej jeśli te odpowiadały warunkom wzniosłej piękności. Dziwno mi przeto, że Ponsard rozwiniawszy swoją doktrynę o trajedyi, mógł dodać w końcu te trwożliwe słowa: „kto wie, może mię pomówią o dążność reakcyjną.“ Pochwycił to w odpowiedzi swojej Nisard, i upewnił go, że rozwinięte przez niego myśli nie tylko niesą w duchu reakcyjnym, ale owszem najliberalniejszym — „Jeżeli to prawda — mówił dalej — że każda epoka narzuca poematowi dramatycznemu swoje zwyczaje, przesady krój myśli, a właściwiej, swój język — ażaliż ten nie jest wolnomyślnym człowiekiem, który chce bronić poetę przeciw temu niewolnictwu i usiłuje podnieść poemat dramatyczny nad wszelkie przemijające wymogi przyzwoitości, kraju, mody i chwili? — Również jeżeli zawikłana intryga efektowego dramatu, przypadki, niespodzianki, uderzenia teatralne, niezostawiwszy w poemacie dramatycznym ani jednego kącika dla rozwinięcia się charakterów i odmalowania namiętności obiorą go tem samem z wszelkich żywiołów pięknoty, i z wszelkiej siły wiersza, — czyliż wolnomyślnym nie będzie ten, który doradzi poecie szukać efektu na wielkiem polu pięknoty, i tworzyć wiersze mogące pozostać na zawsze?“

Obrałem umyślnie za punkt wyjścia do moich uwag nad trajedyją te postrzeżenia dwóch akademików francuzkich, ażeby pokazać jak niezbędną jest rzeczą przypominać autorom ich tradycye, w chwilach, kiedy się zapędzą na drogi ubliżające wielkościom przeznaczeń literatury, kiedy w zarozumiałej zaciętości swojej gotowi są pogrzebać jaki rodzaj dla tego tylko, że wiąże

się z takimi wymaganiami, jakimby sprostać niebyli w stanie.

Dramat nowożytny, intrygowy, który się urodził właściwie pod koniec 16go stolecia, aczkolwiek odpowiada formą swoją i żywiołami składającymi go, skłonnościom nowszych epok; niepowinien przecież wykluczać trajedyi, mającej tak nieśmiertelną przeszłość, a niemniej i wszystkie warunki pod którymi mogłaby istnieć w każdej epoce, byle ta miała poczucie i cześć dla piękna i charakteru.

Odkąd romantyzm rozsadził klasyczne formy, rzucono się na oślep w dramat, dla tego, że najwięcej dawał swobody, ale takiej swobody co przestawała być sztuką, co się prędko wyuzdała w potworności i niedorzecznościach mogące wywołać najmocniejsze efekta, nigdy jednak wprowiść umysł i serce widza w to upojenie jakiego doznawał, gdy przedłnim rozwijała się głęboka gra uczuć wewnętrznych, przesuwaly charaktery olbrzymie, z jednej sztuki granitu a odpowiedni postaciom język grzmiał ze sceny i jak strzałami wrażał się w pamięć, każda zaś postać jak pieczęć edgniatała się w sercu, zostawując w niem uczucie i pojęcie idealu. —

W pomieszanu dzisiejszém wyobrażeń, wcale nie na korzyść sztuki wypadajacem, ośmielam się rzucić kilka postrzeżeń o trajedyi, suchych może, bo teoretycznych, lecz zawsze będących na dobie, kiedy mogli w téj materii rozprawiać członkowie akademii francuzkiej tak głośno, że ich świat słyszy, kiedy przytém mam przed sobą parę naszych utworów dramatycznych tylko co w obieg puszczonech. I jedno i drugie nasuwa więc potrzebę pomówienia o trajedyi w ścisłem znaczeniu, a zatem odrębnie od tegoczesnego dramatu.

Niech mi wolno będzie i to jeszcze dorzucić, że myśli które pragnę rozwinąć potrącone zostały mową Pon-

sarda, w której chciałby wymownie bronić praw tragedyi, przecież nie ujął pytania tam, gdzie właściwie była do ujęcia, to jest w zasadzie tragedyi, tak jak ją pojmowali Grecy. Tam jest ona w swojem źródle, i dla tego najczystsza.

Cóż więc jest traiczność, co tragedya?

Zazwyczaj przeciwstawiamy traiczność z komicznością, jak łyżę ze śmiechem, i z tego przeciwieństwa tworzymy sobie najpospolitsze pojęcie obu rodzajów. Lecz gdy nie wszystko co łyżę wyciska bywa traicznym, jak nie wszystko co do śmiechu pobudza, komicznem, tak i właściwa traiczność tkwi w czemś wyżej; zwłaszcza że najpodnioślejszy stopień uczucia objawia się najczęściej milczeniem, a najtraiczniejsza scena nie zwilża oka. Starożytność najobfitsza w skończone traiczne motywy, czyż niema sióstr Faetona płaczących na jego grobie, którym gdy łyżę nie stało, zamieniły się w wierszy płaczące? Czyż Niobe po stracie synów i córek nie zamienia się w marmar? a w chwili zamordowania Ifigenii na ołtarzu ofiarnym, czyż Agamemnon płaczącem nie zastłania sobie głowy? łyżę przynosi wewnętrzną ulgę i jest już namieniem upadającego uczucia, a nie jego piętrzącej się siły.

Rozczulenie do łyżę, to nie traiczność — to rzecz dziejszego dramatu, który żelazną konieczność tragedyi zastąpił drobnem chceniem.

Właściwa traiczność w ścisłem pojęciu, łyżę gdzie indziej. Starożytni widzieli ją w tym nieszczęśliwym losie pognębiającym, który acz zasłużony przez winę, jednakowoż na skali ludzkiego uczucia nie wydawał się odpowiednym w stosunku do winy. Ztąd budzi się w nas litość dla dotkniętych ręką losu, budzi się oraz i trwoga przed karzącą potęgą, ale nie trwoga awyuczajna, upadająca, tylko inna, głębsza, pełna pokajania, a oraz podnosząca nas duchowie aż do nabrańia tej świadomo-

ci, że na szali boskich wyroków bezwzględnie sprawiedliwych, kara musi być odpowiedną zbrodni.

Traizność w proch ściera nasze człowiecze uczucie, lecz na to, aby je podnieść tém wyżej, kiedy zarazem daje przeświadczenie wewnętrzne o sprawiedliwości i nieomyślności sądów opatranych. Niewolnicze poddanie się niezrozumiałemu przeznaczeniu, byłoby zawsze hańbiącym; dobrowolne zaś przejrzenie planów sprawiedliwości boskiej i zgodzenie się z niemi — przynosi najwyższy zaszczyt i ulgę.

Z tego pojęcia wychodzą największe okropieństwa niestanowią jeszcze traizności. Okropność obudza tylko strach przed jakąś nieznana potęgą, gdy traizność smutna byśmy schylili czoło przed uznanym opatrznyim porządkiem świata.

Z powyższych określeń traizności, wynika, że tragedia nie tylko powinna budzić trwogę i litość, ale jeszcze oba te uczucia osłacać i uszlachetniać promieniami dobrowolnego poddania się widokom najwyższej woli. Arystoteles tak często cytowany gdzie niepotrzeba, właśnie myśl tę najtrafniej wyłożył: „Tragedya — powiada on — jest naśladowaniem działania, które za pomocą litości i trwogi oczyszcza każdą namiejtność“...

Jedno to zdanie Arystotelesa jak mieczem przecina starożytną tragedję, od dzisiejszego dramatu, który podszuwając się pod wielkie imie, pragnie w nas wmówić że jest dalszym ciągiem rozwoju, tragedję w postępie, gdy tymczasem nie oczyszczenie, nie zidealizowanie namiejtności ma on na celu, ale raczej ubóstwienie jęj i najpospolitsze oddanie w formie w jakiej się przedstawia w życiu codziennem. Naturalnie że tu mówię o dramacie intrygowym, efektowym, awanturnicznym bez ideału, i pięknoty.

Ależ co nam do starożytnych, co doklasyków! Kaldaron i Szekspir moi ojcowie! odpowie dramat.

Zapewne, Szekspir i Kalderon to ojcowie nowożytnej sztuki dramatycznej — inne wpływy, inne otoczenie, inny duch towarzyszył tworzeniu się ich dramatów — ale zawsze jak jeden, tak drugi rozrządzał wielkimi żywiołami traicznosci; jak jeden, tak drugi trafiał w myśl Arystotelesa: *oczyszczał każdą namiejętność*.

Kalderon rycerski i religijny, ma ideał honoru, górujący nad wszystkie inne powinności. Święte powołanie rycerza nieznosi na sobie żadnej skazy, podobnie jak czystość wiary grzechu na sobie nieznosi; z czystotą, zatem wiary nienaruszoność honoru stała się zasadą życia Hiszpana. Osiągnąć ten wzniosły cel mogło tylko *poświęcenie się*. Jak fenix sam palący się na stosie, aby odrodzonym w niebo ulecieć, Hiszpan idzie ochoczo na nędzę i śmierć w nadziei że duch jego wywinie się ku niebu promienny jak anioł.

Geniusz Szekspira szedł drogą więcej ludzką, chłodniejszą, rozumową, wyzwolony zarówno z pod władzy ciemnego fatum greckiego, jak z pod tej wielkiej myśli ofiary chrześcijańskiej. U Kalderona Bóg zabija zbrodniarza — u Szekspira grzesznik z dopuszczenia bożego sam się gubi. Szekspir choć może nieznał tradycyi starożytniej, ale mimo tego geniuszem swoim podniósł się do wysokości hellenckiego ducha, jego bowiem trajedya jest także trajedya losu ciemnego, nieuniknionego, krwawego i sprawiedliwego, tylko w inny sposób jak u starożytnych. Ten los u Szekspira jest raczej podobny do zagadki dawno rozwiązanej, jasny, jak śmiertelna koszula, którą potępieniec sam na siebie wdziewa. Kiedy w greckiej trajedyi gra niewidoma ręka i sieć demoniczną rzuciwszy na głowę winowajcy pędzi go przed sobą, tedy Szekspirowski grzesznik z głębi własnej pierśi wysnuwa powrozy, któremi się mota. Samodzielność charakterów tej u niego siły, że kierują akcją i stanowią o jej wypadku, z nich radzą się wszystkie sytua-

oye, gdy w starożytnej tragedji sytuacja rodziła charaktery. Są to tylko historyczne różnice — ale wysokość jednaka.

W antyku gra idzie o sytuacye, w modernizmie o charaktery. Grek lubił malować traiczne położenie; ojciec nowożytnej tragedji pokazuje jak się człowiek obraca w tem położeniu — pierwszy rozwiązywał zagadki losu, drugi zagadki psychologiczne.

Wszystko tu zrównoważone, bo jedno i drugie — wielkie i prawdziwe — podnoszące i pocieszające.

Bijąc czołem przed Eschilesem i Sofoklem, nie można nieuniżyć go przed Szekspirem i Kalderonem, ale wolno znachodzić w jednych więcej mistrzostwa niż w drugich.

Naśladownictwo, jak zwykle podejmujące strony najslabsze mistrzów, bo tylko do tych jest w stanie dostąpić, popsuło nam tak starożytne jak nowożytne wzory — z czego znowu niewynika żeby te wzory uznać za ułomne. Pięknota prawdziwa ma to do siebie, że się zawsze do niej wracamy, inaczej nie byłaby nieśmiertelna; ma i to jeszcze, że ogrzewa i zapładnia, jak ogrzała i zapłodniła epokę odrodzenia.

Sztuka musi mieć swoją wielką tradycję w literaturze; samorodne genjusze nawet, ujęte w jej karby, nie przestałyby tem być czem są, a zostałyby nadto wzorami doskonałości, wysokiego smaku, skończonej pięknoty.

Romantyzm świętej daty, podnosząc rewolucję przeciw tradycji, pogruchotał pojęcia i formy przekazane od starożytnych, rozbijał się, stracił miarę i wagę, pograżył w codzienności, ale jeszcze sobie właściwych form i praw nieustanowił.

Dotąd szedł drogą oddziaływania i dla tego niewypowiedział jeszcze swego słowa o nowożytném przeznaczeniu sztuki; uwieszony na Szekspirze przyznaje się do

wielkiego ojca i chce jeniusz po nim dmieć dymem, a zmięta tylko jego ręką.

Kto żyje jak my w epoce niemającej ani żywiołów ani ducha twórczości, bo w epoce rozkładowej i filozofującej, powinien mieć więcej na baczności naukę sztuki, niż ubieganie się za szukaniem nowych niby dróg, które w tej zadymce wyobrażeń najsprzeczniejszych to mają do siebie że po niedługim kołowaniu wracają znów do punktu wyjścia. W prawdziwej epoce estecyzmu, niechże już będą przynajmniej artyści, a to mianowicie w sztuce dramatycznej, która potrzebuje wyrobić się, wygładzić ścieżki, aby gdy przyjdzie szczęśliwa chwila, dramatyczny jeniusz narodu miał poczem stąpać swobodnie.

Gdy przyjdzie chwila — powiedziano — zapewne! czyż historya nieuczy, że najuprzywilejowane narody jedną tylko miały chwilę w wielowiekowym życiu, w której najszczytniejszy kwiat poezyi — dramat, odmykał się, i wonią swoją nie tylko upajał współczesnych, ale ją późnym przekazywał pokoleniom. Chwila ta nigdy nie była przypadkową, ani zawisłą od woli poety — wszystko przysposabiał zbieg okoliczności szczególnych. Zwycięstwo pod Salaminą gdzie garstka Greków tryumf odniosła nad całą barbarzyńców była szczytem historii greckiej, a oraz i tryumfem poezyi nad duchami — imiona trzech największych traików starożytności zbiegają się w tym punkcie. — W nowym świecie potęga Hiszpanii stoi w pełni kwiatu, lecz już się dają postrzegać znaki wędnięcia i Kalderon się zjawia. — Anglia wznoślić się zaczyna, ta królowa mórz flotami opasująca ziemię — i Szekspir opasuje ziemię swoim jeniuszem; jak na morzu, tak w dramacie odbija się władztwo jej nad światem. — W krwawej swawoli Frondy rośnie czoło wiek mający pierwszy obdarzyć Francję tem, czego najbardziej potrzebowała, to jest: surową jednią, dającą jej

się i sławę. Królewskość, to zmysłowe usobienie ludu, była natenczas jedyną formą, w jakiej naród mógł się przejrzeć i zrozumieć. Francya pewna siebie spokojnie patrzyła w swoje słońce gdzie się zbiegały jej opinie, smak, dążności — i powstał Kornel z Rasyne, lecz nie jako odbicie się wykwintnych obyczajów dworu, bo to nienadawałoby im tego znaczenia jakie im świat przyznał — ale jako wyraz uczuć ohrześcijańskich rozlanych w narodzie, co sanitrując się w sobie pod okiem Boga sprawiedliwego i zazdroznego, skupiały się i badały wewnętrznie. Ztąd taka w traikach francuzkich znajomość namiętności, taka głęboka analiza serca, i taka tklliwość ustawnie walczona i tłumiona, a więc burzliwa i potężna. Dodajmy do tego odżywną starożytność greckorzymską, którą jeniusz narodu przyswoił sobie o tyle o ile przyjąć mogła jego natura; jakoz wziął z niej harmonijną regularność, zdrowy rozsadek i smak wytworony. Z tych żywiołów utworzyła się literatura jednolita, w której na pierwszy rzut oka, po jasności i prostocie, misternem a szczelnem spojeniu części, i doborze trwałego materiału, poznasz, że tódy przesunęła się starożytna tradycja. — Najpóźniejsza tragedia w Niemczech urodziła się tam równocześnie z filozofii zmemi zacięki — książkowi ludzie wydumali ją. Wyrósłszy na filozoficznem gruncie sama jest filozoficzną; nie gra w niej zagadka losu jak w Sofoklu, ani psychologiczna jak w Szekspirze; ani walczy namiętność z powinnościami jak w Rasynie; ale ścierają się ideje i pryncypia, a charaktery i sytuacje są tylko środkiem, nie celem. Jest to dowodzenie tego lub owego założenia za pomocą osób którym zbywa na prawdzie życia; najczęściej ludzie mali, lecz obciążeni ogromem idei.

A teraz przebiegłszy tak wielkie momenta tragedji, spytajmy się, czy w dziełach naszej literatury niema żadnej analogii, któraby jeżeli nie na jednej linii to przy-

najmniej z boku przyczepić się nie dała do tych szczególnych chwil w których narody zdobywały się na dramaty?

Rzecz osobliwa, iż kiedy z powstaniem naszej literatury niezanosiło się na dramat, choć dwór obu Zygmuntów mógł sprzyjać temu rodzajowi, początki panowania Batorego zaraz takowy wydały. Silnie ustalona władza, bezpieczeństwo granic, upojenie zwycięstwami, rozrost swobody życia, i spokój umysłów pochodzący z otuchy w długie trwanie pomyślności obywatelskiej, zaraz wywołują dramat na scenę. Zjawisko to powtarza się od początku dziejów wszystkich literatur. Kochanowski z swoją *Odprawą posłów Greckich* rozpoczyna i kończy zawód dramatu, który utworzony pośród najwyższych wpływów grecko-rzymskiej starożytności popularniejszej wtedy w świecie ukształconym, niż własnego narodu dzieje i postacie, nosi najwybitniejszy jej charakter i krojem i mową. Aczkolwiek był to czysto literacki utwór niemający nic odpowiedniego w owych misteriach czyli grach jasełkowych scielących zazwyczaj drogę dla dramatu — jednakowoż niemusił on przejść bez wrażenia; ówczesni widzowie co nie tylko swoje pojęcia, ale i instytucje obywatelskie formułowali na krój starożytny, umieli zapewne poznać się na tej woni czysto helleńskiej. Bądź jak bądź *Odprawa posłów* była takim początkiem jakiego niepokaze żaden z nowożytnych narodów; była zakrojem na coś olbrzymiego, niedającego się nawet obrachować podług tej skali, która służy zazwyczaj na obrachowanie wpływów towarzyszących zjawieniu się jakiego ogromnego talentu lub jeniusza. Że się skończyło na początku — że się nie niewywiązało, przeczuł może wieszcz kiedy wołał ustami Kassandry:

Czućcie stróż: noc idzie, noc podejrzana,
Wielki ogień ma powstać: tak wielki ogień

Że wszystko, jako — w biały dzień, widać będzie:
Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie.
Wtenczas, ojcze, ani już Bogom swym dufaj,
Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:
Okrótnego Lwa szczenie za tobą bieży,
Które cię paznokciami przejmie ostremi,
A krwią swoją swe gardło głodne nasyci.
Syny wszystkie pobiją, dziewczki w niewolą
Zabiorą: drugie kwoli trupom umarłym
Na ich grobiech bić będą. — Matko! ty dziątek
Swoich płakać niebędziesz, ale wyć będziesz *).

W epoce późniejszej usiłowano pochwycić nie jakiej tradycyi dramatycznej, ale już nieumiano trafić do niej, natomiast trafiono do postaci z własnych dziejów, co było wielkim krokiem, tylko że zbyt niewolniczy sposób przykrawywania scen i figur do znanych patronów robił je martwemi podług wymagań sztuki, pełnemi zaś życia, gdy je weźmiemy ze strony uczuciowej. Postacie te ogrzane świętym ogniem lepiej znane są narodowi niż figury wszystkich trajedyj i dramatów pisanych po dziś dzień. Barbara, Głiński, Warneńczyk mogą nie stać głębokością, charakterów, psychologicznemi studiami ale stoją tém szlachetnem uniesieniem, co i w kaldejskiej trajedyi połowę jej wartości znaczy. W Hiszpanii stykał się wschód z zachodem, pogański islamizm z prawowiernymi synami Kościoła — u nas czyż nie tak samo? walka o wiarę i o domowe ogniska czyż nie była najgłówniejszym żywiołem w naszym życiu? a gdzie jest walka, tam musi być i miłość wyższa nad inne względy.

Com tu wtrącił o naszym dramacie, to aby wskazać na rozpierzchłe materyały, drgania ku życiu, ale nie

*) Allusya do Hekuby zamienionój w sukę.

życie w pełni i jawie. To ostatnie niezawisłe od poety-traiika, ale on zawisł od niego, a jak zawisł? zdaje mi się, że choć przełotnie wskazałem zatrzymując się na tych momentach najwyższego wzrostu szczęśliwych narodów, co pewne swojej wygranej w zapasach z losami, musiały mieć i czarodzieja coby im przed oczy stawiał własny, ich obraz skoncentrowany w ognisku myśli opatrzonej....

Bez tego warunku nie wierzę w dramat inny jak książkowy, literacki — jak znowu z temi warunkami wszystko da się tłumaczyć, nawet zjawisko jak Szekspir, który tak dalece jest ideałem wszechmądrego swego narodu, że wszystko zeń wziął, jak ktoś humorystycznie wyraził się — aż do otwartych zawsze ust, będących symbolem wolności słowa....

My cośmy jeszcze tak ubodzy w literaturę dramatyczną, pielęgnajmy przynajmniej dobre tradycje sztuki, czyli takie co najwięcej odpowiadają naszemu duchowi a w któreby najsmadniej wcielić się mogła myśl ogółu jeśli tenże ze stróżem zamku Atrydów przestanie powtarzać:.... *βοῦς ἐνὶ γλώσσῃ μῆγας*

βέβηκεν

Wieszcz Czarnolaski lubił rozmawiać z jeninazem Grecyi: prosta słowiańska dusza przylgnęła do tego pokaju, do tej czystości konturu, powagi bohaterskiej, pełności charakterów, i do tych traicznych sytuacji, które są dziełem losu, a nie skutkiem wikłającej intrygi, co się dziś tak wszechwładnie rozparła na scenie:..... Kto wie czy wieszczu duch Kochanowskiego niewytknął w swojej *Odprawie posłów* toru, jakim pójść winna przyszła nasza tajedyja, jeżeli słowa Kassandry przemina i niebędą miały

• u ludzi więcej

Wiary, nad baśni próżne, i sny znikome.

Powyższe uwagi nasunęły mi się w części, jak już wspomniałem, świeżemi utworami dramatycznymi: *Anna Oświęcimówna*, — *Zborowski* i *Jadwiga*. Mówić o nich szczerze wyłącznie — niezdawało mi się, z tej przyczyny, że szczegółowy rozbiór, zaplątałby mię w inne koło wyobrażeń mających, że tak powiem materialną część sztuki na celu, przy czem choćby się otworło szerokie pole do drobiazgowych postrzeżeń co do układu scen, przeprowadzenia akcji, utrzymania interesu dramatycznego wreszcie co do dykcji, a nawet samej gramatyki — je, jednakowoż mniej zostawiałoby swobody w ogarnięciu tragedji w całym jej obszarze. Z resztą mam to przekonanie, może mylne, iż podnosić te lub owe usterki dostępne oku każdego czytelnika umiejącego myśleć i zastanawiać się, jedno jest, co dla tyrallierki zaniechać walnej bitwy. Niech wszakże porównanie to nienaprowadza na wniosek, żebym godził walnym bojem na te dramatyczne utwory — bynajmniej — jam tylko bojem nazwał moją pogadankę w teoretycznym świecie dramatu, gdzie szło o większe, niż o wyrokowanie, czy się temu lub owemu autorowi udał lub nieudał pomysł dramata lub tragedji.

Z tem wszystkiem pomówmy naprzd o poemacie dramatycznym Mikołaja Antoniewicza: *Anna Oświęcimówna*. A więc to nie dramat w ścisłym znaczeniu? Nistety! — Wpływ romantyzmu wprowadził to mieszanę obywatelstwo w dziedzinę sztuki, że już wolno we dwóch rodzajach literatury naraz siedzieć, a właściwie nienależać do żadnego. — Lepszy był dawny zwyczaj kiedy utworom nadawano ścisłe granice jednego rodzaju przynajmniej krytyk miał prawo powoływać przed właściwy sąd, a tak mogą go odsyłać od Anasza do Kajfasza. —

Pomysł *Anny Oświęcimówny* wziął autor z podania przywiązanego do grobów rodu *Oświęcimów* w Kro-

śnięńskim kościele. Podanie mówi o namiętnej a grzesznej miłości siostry i brata, i o nagłej śmierci tej siostry, gdy kochając bez nadziei połączenia się na ziemi, ujrzała brata przywożącego z Rzymu dyspensę!... Nie może być przedmiot szczęśliwszy i traicniejszy jak to uczucie miłości w walce z uczuciem występku przeciw prawom naturalnym i boskim. Poeta miał tu przecudne pole rozwinąć traiczny talent, gdyby się był ograniczył że tak powiem na dwóch głównych osobach, i działaniu nadał-jedność;— tymczasem rozstrzelił interes akcji przez wprowadzenie drugiej pary także kochającej się, lecz mającej trudności pobrania się z powodu nierówności urodzenia; zepsuł nieużyte jeszcze motywum, zużytefni aż do przesytu scenami melodramatycznymi i niehistorycznymi, jak: napad szlachty na zamek; jakby to szlachta napadała u nas na zamki za to, że kto bierze ślub z bliską krewną i to za dyspensą z Rzymu? Wprawdzie złożył to na bojażń kary niebios mogącej okolicę osiągnąć za spełnić się mający grzech kazirodztwa — obawa aby grady niewytłukły łąnów, pomorek niewybił bydła, wiodła tę szlachtę z mieczem i głównią na gniazdo zakochanej pary — a więc fanatyzm? Przyznam się że mimo całej gorliwości religijnej naszych przodków, nigdy nie zdarzyło mi się czytać aby podobny powód wzbudził w nich zemstę na równym sobie obywatelu używającym jednych praw i przywilejów... Ale nie idzie mi o strony ujemne, raczj pragnłbym pokazać jak autor dopiero przy końcu piątego aktu schwycił tę myśl, która powinna mu być od samego początku przyświecać. Kiedy Anna umiera pustelnik powiada:

Radość zabiła — to twój wyrok Boże!

Stanisław.

O niebłuźń starcze! to wyrok szatana!

Bóg sprawiedliwy — niekarze bez winy!...

Pustelnik.

Możemy grzeszyć myślą, mową, czyny,
A sądów Bożych nam droga nieznana.
Tyś zgrzeszył myślą, a w sądzie przedwiecznym
Na każdy grzech nam kara naznaczona.
Chociaż jój ojciec był twemu stryjecznym,
Myśl była grzeszną — kochałeś rodziną.—

Poeta idąc tylko za tą myślą od początku, byłby niepotrzebował ani tego Łaszcza, ani burdy szlacheckiej, ani tych wszystkich romansów. Walka namiętności z powinnościami byłaby wystarczyła nietylko do zapełnienia aktów ale i uproszczenia akcyi, a nadewszystko przez skoncentrowanie całej potęgi dramatycznej na główne osoby, interes byłby się o stoprocent podniósł, a one, jak wielkie charaktery traiczne, niezestarzałyby się nigdy na naszej scenie... Niewchodząc w tyle innych rzeczy jakie ten dramat nastęrcza, mogę tylko dodać, że kto przedmiot ów podjął i wyprowadził na scenę, już tem samem miał niepospolite poczucie prawdziwej i głębokiej traicznosci.

Samuel Zborowski i Jadwiga dwie trzyaktowe trajedye wydane bezimiennie, a napisane wierszem białym i z chórami, mogą posłużyć za dowód że przez formę, a w części i ducha jakim tchną, zaczyna przeziarać myśl będąca jakby zapowiednią dramatu co z żywiołów narodowych ma się urodzić. Język w nich zbyt może archaiczny aby mógł być słyszany na scenie, nadaje im przecież pewną starożytną barwę, szorstką, czasami ciemną, lecz pełną jedności, co w nas sprawia złudzenie jakbyśmy słyszeli rozmawiające ze sobą te staroświeckie figury 16 i 14 wieku. Autor zapewne miał na myśli dać nam tylko próbę swych dramatycznych usiłowań, bo wszędzie spotykamy szkic charakteru, a nieprzeprowadzenie charakterów przez wszystkie perypecye dramatu,

jest to raczej zdramatyzowany historyczny obraz, niż właściwa tragedia, co wszakże nieprzeszkadza żeby nie znalazły się miejsca bardzo szczęśliwie pomyślane, jak między innymi to, gdy Włodkowa przypisuje Samuelowi prywatę w tej jego zawziętości na króla i na Zamojskiego — a on jej odpowiada:

Jakto niewiasto! obelga szlacheica
Całego rodu, z nią pół większe Polski
Tobie prywatę? To cały kraj tutaj.
Czemże bo Polska, jeżeliby szlachta
Niebyła, powiedz? a ktoby ją bronił,
Z piersiami swemi wyjeżdżał na harce?
Wysypaliśmy wał już z kości w koło
Od każdej strony; co zawadzisz pługiem,
To kość szlachecką wyrzucisz z pod skiby.
My to na szablach naszych ją podnieśli,
Z orężem w rękę zdobyli jak długi.
Ziemia ta nasza i co po niej chłopcy.
Ona jest w piersiach szlacheica każdego;
Nie ziemia polska, lecz cnota szlachecka
Miłość, i wszystkie rycerstwa klejnoty.
Ziemia ta w szlacheie swój raz ukrócona,
Stanie sąsiadom za dom przy gościńcu,
Którzy rozedrą na szmaty ją wtedy;
Iż dopóki nas to i ona będzie.

Takich wymownych miejsc można wiele przytoczyć i w Zborowskim i w Jadwidze, szczególnież pierwszy, jako motywum wyborne do tragedji nastroczając sytuację nadzwyczaj dramatyczną, jak to widzenie się Zamojskiego z Samuelem w więzieniu, tem bardziej że pamiętniki owoczesne, których autentyczności podejrzwać nie można bez dowodu, samém prostem zaprzeczeniem — pełne są gotowych już dramatycznych sytuacji robią.

cyoh i na dzisiejszym oryentaliku mocne wrażenie. To np. trzykrotne wołanie Kanclerza stojącego w drzwiach katedry gdy Samuela prowadzono na ścieżce: Samku odpuć mi w Imię Boże! — nie tylko jest dramatycznie efektywnem, ale nawet i szczytném... —

Jadwiga, przedmiot tyle razy obrabiany u nas, a tyle razy nieszczęśliwie; choć bowiem w niniejszej tragedji przychodzi nowa kombinacya oryginalnie pierwszy raz użyta: że Jadwiga poślubiona Wilhelmuwi musi go porzucić, aby z woli narodu pójść za Jagiellę — wszelako te kanoniczne zawady mogą następczo wiele kłopotu, ale dla tego peryperyi tragicznych nie tworzą.

Otóż tragedia którą mam przed sobą, jest także historycznym obrazkiem, jak Zborowski, a o tyle ma w sobie żywioł dramatycznego, o ile wola narodu jest tam nieubłaganem fatum, o które się musiało rozbić uczucie żony i kochanki, zwłaszcza że sama powiada jak pojmowała to polityczne poświęcenie się:

Lecz nie boicie się — Jadwiga wiedziała
I co jéj godne i to, czemu sprostą —
Nieda się ubiedz córce Krakusowej.
Co tamta rzuca się z koniem do Wisły
To ja gdzieś w cięższe od śmierci objęcie
Oddając rękę obcemu książęciu
Czynię od Wandy nierównieć rzecz większą.

Winienem jednak zrobić uwagę co do słów w przypisku (str. 144) gdzie autor powiada „Wyobrażenia o cnocie i wielkości są po dziś dzień pod urokiem szkoły pogańskiej“ — a dalej — „dramat ma być enotliwy i to surowej cnoty, aby nie psuł narodu.“ — Nie sprawiedliwszego, tylko że niepotrzebowalibyśmy wtenczas chodzić do kościoła na kazania, tylko do teatru, a cały starożytny teatr wraz z bardzo chrześcijańskim Kaldero-

nem, i głęboko ludzkim Szekspirem, wypadłoby skazać na spalenie. — Zdaje mi się że autor zapomniał na chwilę iż w każdej akcji którą poeta przeprowadza przed naszymi oczyma powinien nam wlać to przekonanie że indywidua działające inaczej niemogły działać tylko odpowiednio swojej istocie, bo zkadżeżby wzięły się *charaktery*? Dla tego nie należy dramatycznego charakteru mieszać z moralnym. Szekspirowski Rychard trzeci największy łotr, jakiego nosiły deski teatralne, jest mimo tego największym arcydziełem pod względem charakteru. Nie o to idzie czy on zły czy dobry, lecz że działa jak go natura zmusza, przeto staje się dramatycznym charakterem. A główny grzech popełnia pisarz nie przez to że złych wystawia, lecz że swoim osobom każe robić coś takiego, czego one robić niemogą w brew swojej naturze.

LUCYAN SIEMIŃSKI.

BŁĘDNE KOŁO.

Cieszkowski powiedział w swojej Historyzofii, że historię *a priori* pisać można, nie idzie tu bowiem o zdarzenia ale o konsekwentność w jej biegu. Polityka nie co innego zamierza jak loiczność tę utrzymać na wskazanój z góry drodze. Jeżeli systemat jest wytknięty, następstwa jego są nieuchronne. Tę uwagę nasuwa szereg artykułów, co miesiąc na tém miejscu kreślonych, które przeznaczone być obrazem każdorazowój chwili sytuacyjnej, złożyły łańcuch z ogniw tworzących całość.

I.

Rok 1856 zastał Europę w stanie anormalnym, który trwał od lat trzech, to jest od wystąpienia sporu rosyjsko-tureckiego. Pomimo ciągłych i niezaprzeczoych życzeń i usiłowań o utrzymanie lub przywrócenie pokoju, Europa odzyskać go nie mogła; pomimo huku dział nad Dunajem i pod Sebastopolem wojna nie pozyskała ani

na chwilę praw obywatelstwa. Układano się ciągle o pokój prowadząc wojnę; znamiona dwóch tych sprzecznych żywiołów występowały równocześnie i obok siebie, a to nie tylko w państwach prowadzących wojnę ale i w tych które w walce nie brały udziału. Spór bowiem rosyjsko-turecki, uznany został za sprawę europejską; mocarstwa nawet i niektóre państwa drugiego rzędu w neutralności utrzymać się nie mogły; solidarność coraz silniej w systemacie politycznym występowała — a w społeczności europejskiej odbijał się ów stan anormalny w każdej sferze najwyższej i najniższej. Był *Pokój i Wojna*, czyli co na jedno wychodzi: nie było ani pierwszego ani drugiego. Nie było zaufania jakie daje pokój, nie przewidywano kiedy się skończy wojna. Oczekiwano stanowczo jednego albo drugiego. Ostateczne warunki Rosyi postawione do przyjęcia lub odrzucenia, miały stan ów Europy na jedną lub drugą przechylić stronę. W razie odrzucenia, solidarność europejska ograniczająca się dotąd w sferze negocyacji, miała się zapewne przenieść w sferę czynu. Rosya, jak to sama w manifestcie oświadczyła, cofnęła się przed grożącą koalicją, i warunki znane pod nazwą czterech punktów przyjęła.

II.

Lecz przyjęcie warunków zawieszало dopiero wojnę, a jeszcze nie przywracało pokoju, bo wykonanie ich nawet najspieszniesze i najskrupulatniejsze — co dotąd nie nastąpiło — nieprzywracało jeszcze równowagi. W dzisiejszym systemacie państw, polityka wyłączenie na traktatach i interesach oparta w *Równowadze Europejskiej* szukać musi *Rękawij Pokoju*. Zerwano pokój bo Europa uznała, że równowaga sporem rosyjsko-tureckim nadwierzona. Konferencye wiedeńskie r. 1855 rozbiły się

bo nie mogły ubespieczyć równowagi. Bez przywrócenia równowagi pokój był tylko zawieszeniem broni. Lecz równowaga nie może zależeć na tém, aby państwa były równe sobie w sile, bo to jest niepodobieństwem, ani też żeby jedno było za mocne, a drugie za słabe w stosunku do siebie, bo koalicje zawsze są mocniejsze; ale równowaga zależy na tém, aby jedno państwo nie było za mocne w stosunku do ogólnego zbioru państw, to jest aby koalicje nie były potrzebne. Równowaga nie polega przeto na pojedynczych i materialnych warunkach ale na układzie państw. Musi ona mieć jakąkolwiek moralną stronę. Warunki przeto przyjęte przez Rosję były tylko przygotowawcze i pomocnicze, aby się mocarstwa pierwszego rzędu w równowagę ułożyć zdołały; mogły tylko usunąć materialne trudności, aby równowaga stała się rękojmą pokoju.

III.

Głównem przeto zadaniem *Konferencji Paryskiej* był ów układ państw w równowagę. Podstawą ich, jeżeli tak wyrazić się wolno materialną, były owe warunki ale ich określenie mogło tylko doprowadzić do traktatu czyli do skończenia wojny. Lecz do przywrócenia pokoju trzeba było czegoś więcej; potrzeba było ułożyć stosunek państw jednych do drugich i do całej Europy, a to na zasadzie politycznej przekazanej konferencyom przez traktaty westfalski i wiedeński, na zasadzie idei państwa. Idea ta coraz lepiej wykształcona i coraz silniejsza, przeszła była w teorię solidarności w ostatnich latach i czekała tylko na zapisanie tego systemu w prawo publiczne. Równowaga polityczna atoli oparta na solidarności, nie zdawała się dostarczać dosyć zaspakajających rękojmij, a w zastosowaniu nie jedną zbyt teoretyczną przedstawiała stronę. - Zkąd inąd znów przy-

mierza nierównie praktyczniej zdawały się ubezpieczać trwałość równowagi — ale jakie przymierza? czy te które wojna skojarzyła, i które z końcem wojny zakończyć się mogły, czy przymierza oparte na interesach państw i będące rzeczywistą rękojmią równowagi? Owóż w tém była rzeczywista trudność dla reprezentantów mocarstw obradujących w Paryżu.

IV.

Trudności tej nie usunęło *Podpisanie Pokoju*. Po przyjęciu warunków przez Rosyę, nikt nie wątpił że wojna skończona. Ale podpisanie pokoju nie kończyło kwestyi Wschodniej, nie usuwało przyczyn wojny. Przyczyny te jakiegokolwiek przybierały miano, cywilizacyjne czy religijne, czy wreszcie po prostu miano interesów materialnych, reasumowały się wszystkie w uznaniu przez mocarstwa europejskie, że jedno z nich miało dążności zagrażające zbytnią przewagą. Czy dzieło konferencyj przywracało i ubezpieczało równowagę? i na jakich rękojmiach? Pierwsza część zadania konferencyj paryskich dokonana była podpisaniem pokoju — zostawała druga.

V.

Tę drugą część, ową główną właśnie wyżej wskazaną trudność zebranych konferencyj, rozwiązać miały *Dwa Traktaty* z narad paryzkich wynikłe. Pierwszy z 30go marca, określając, o ile pośpiech na to dozwalał, wykonanie owych warunków przyjętych przez Rosyę a dla ułożenia równowagi niezbędnych, opierał tę równowagę na uznaniu niepodległości i nietykalności Turcyi jako państwa europejskiego w imieniu solidarności mocarstw europejskich. Zasadą tej równowagi

była idea państwa, rękojmnią systemat solidarności. Ale całej tej budowie brakowało na sile i środkach przymusowych, bez których równowaga długo utrzymać się nie może. Tem więcej, że traktat nie rozwiązywał wielu kwestyj; że wykonanie warunków na później odkładał; że zgodność obecna siedmiu mocarstw zarówno w traktacie uprawnionych mogła być niepodobną do utrzymania w przyszłości, już to z powodu ich liczby, już z powodu różnicy stanowisk i sprzeczności interesów. Drugi przeto traktat z 15go kwietnia uznał potrzebę silniejszej rękojmi dla europejskiej równowagi, owę rękojmnią praktyczną jaką dawało przymierze. Pomimo więc sprzeczności dość wyraźnej jaka zachodziła między rękojmnią równowagi ułożonej, to jest solidarnością która nieprzypuszcza opozycyi między członkami solidarnie zobowiązanymi, a wykonaniem tej rękojmi to jest przymierzem, które koniecznie przeciwnika chociaż domniemanego przypuszczać musi, potrójne przymierze 2go grudnia potwierdzone zostało traktatem z 15go kwietnia jako najwyższy trybunał i egzekucya spraw dotyczących się równowagi europejskiej opartej na traktacie z 30 marca, mającej rękojmnią w solidarności mocarstw europejskich.

VI.

Nie długo czekać trzeba było na *Następstwa bliższe i dalsze* tych dwóch traktatów. Wykazały one całą niepraktyczność dzieła konferencyi. Wykonanie owych warunków koniecznych do ułożenia równowagi nie mogło przyjść do skutku; komisye na ten cel wysadzone nie mogły działać z powodu liczby mocarstw w każdej najmniejszej kwestyi zarówno interesowanych; nie miał kto rozstrzygać najmniejszego sporu, bo systemat solidarności jedne tylko konferencye na sędzię podawał.

Rękojania wykonania traktatu z 30go marca zapisana w przymierzu potrójnem z 15go kwietnia, nieodpowiedziała zamierzonemu celowi; nie miała dosyć siły, a raczej, co zresztą na jedno wychodzi, użyć jej nie śmiała z powodu właśnie anomalii między nią a rękojnią równowagi europejskiej w traktacie z 30go marca postawiona. Przymierze z 15go kwietnia było zapewne dość silne, ale nie przeprowadzić nie zdołało, ani też zmusić do wykonania żadnego z czterech warunków, bo je paraliżowała niejako w działaniu, a osłabiała moralnie zasada solidarności.

VII.

Przeto też, zwłaszcza w następstwach konferencyj paryskich, można było widzieć w całym świecie ową politykę *Wspólności zasad i Solidarności interesów*. Idea państwa rozwinęta aż do wielkości ogólnego systematu europejskiego, przyjęta za rękojnię równowagi, wymagała moralnego i fizycznego kosmopolityzmu; wymagała aby wszystkie państwa przyjęły te same zasady, aby wszystkie w interesach były solidarne. Zapisanie tej teorii politycznej jako faktu, musiało wywołać niesłychane trudności i zawiłania. Polityka nie jest teorią, ale praktyką. Owa pozorna wspólność i zgodność, jeżeli się ukazywała jako ułatwienie w każdej sprawie dopóki ta zostawała na polu konferencyj, na polu teorii, stawiała się praktyczną przeszkodą skoro szło o wykonanie czyli o praktykę, słowem mogła być zgodność a nie być zgody. Przeszkody tej usunąć ani przełamać nie mogło żadne przymierze. Jeżeliby złożone było z mocarstw nieuznających przyjętej podstawy wspólności zasad i solidarności interesów, a chciało siłą anulować rostrzygnięcie jakowej sprawy według swego widzimisię, wywoływało koniecznie koalicję, a traktat

pokoju poprowadziłyby prostą drogą do wojny. Jeżeli zaś uznawało ogłoszoną zasadę polityczną w traktacie z 30go marca, szanować musiało powagę solidarności państw, uwzględniać ją, a wykonanie warunków zapisanych i rozwiązanie każdej sprawy odsyłać do trybunału wszystkich mocarstw. W każdym więc razie przymierze wstrzymać się musiało od przymusu, a bez przymusu przyjęty obowiązek jakoby egzekucyi warunków mających ułatwić przywrócenie równowagi europejskiej, stawał się czysto uludnym. W tem też ostatniem położeniu znalazło się przymierze zawarte traktatem z 15 kwietnia w obec systematu solidarności będącego rękojmnią traktatu z 30 marca, i to w przeciągu kilku zaraz miesięcy.

VIII.

Tymczasem występowały i dalsze następstwa systematu. Odbiły się one głównie w dążności *Polityki Europejskiej*. *Reformy* były jej cechą; reformy tak zwane cywilizacyjne — bo cywilizacya była jedynem polem, na którem wszystkie mocarstwa na jedno zgodzić się mogły; w istocie zaś reformy administracyjne, to jest idące z góry, nałożone w kierunku naprzód wytkniętym i obrachowanym, zgodne z ideą państwa która jest ich podstawą i w której zlewają się w końcu jakby w ognisku dodając ciągle nowych sił i żywiołów. Nic słusniejszego nad to, że wszystkie państwa składające ową Europę która się ma rządzić systematem wspólnych zasad i interesów solidarnie wszystkich dotyczących, powinny być jednakowo mniej więcej administrowane, że społeczeństwo przez ideę państwa ukształcone, według jednej także modły urządzone być winno; a jeżeli to być nie może, to przynajmniej administracye mogą być wszystkie do siebie podobne. Podobieństwo to w wielu już

napotyka się państwach, inne poddały się chętnie tej zdaje się nieuchronnej kolei, aby zdobyć stanowisko państwa europejskiego i używać korzyści jakie ono z sobą przynosi.

IX.

Jednem z państw które uroczyscie obiecały zaprowadzić takowe reformy cywilizacyjno-administracyjne, była Rosya. Tu wpływ nowego systematu najwięcej i najwyraźniej miał się dać uczuć. To też z powodu koronacyi cesarskiej wystąpiła cała solidarność państw europejskich w największej okazałości. Widziano wszelkie przepychy i wszelkie sprzeczności: stanęła nawet *Moskwa i Rzym* obok siebie. Na tem obszernem polu podbitém nibyto dla cywilizacyi XIX wieku przez ideę państwa, reprezentanci wszelkich reform spotkali się z sobą. Słusznie czy niesłusznie żegnano „dawną” Rosyę a witano „nową”. Wszelkie przymierza ginęły w blasku tej reprezentacyi solidarności europejskiej. Tu chciała ona dowieść że „na konferencyach paryzkich nie było ani zwycięzców ani zwyciężonych”, że prawdą było tylko głoszone słowo: „traktat z 30 marca zaszczytny jest dla wszystkich”.... Była to wszakże tylko uroczystość; uroczystość odpowiadająca teorii ale niedowodząca niczego w praktyce.

X.

Rosya bowiem, podobnie jak niektóre inne państwa z całkiem innego stanowiska uważała owe cywilizacyjne reformy. Owe *Interesa Europejskie* w imieniu których żądano reform administracyjnych od państw które na nie przystać nie chciały, wydawały się im tylko pozorem do zastosowania *Prawa Mocniejszego*. Wymaganie

uznania, jakoby żądana reforma była istotnie europejskim interesem, nosiło ich zdaniem piętno przymusu czyli siły; działanie w tym kierunku uchodziło za prostą interwencją; w systemacie solidarności upatrywały wreszcie absorbcyę godności korony i niepodległości państwa. I rzeczywiście, jeżeli w teorii systemat solidarności siłę zastępuje zgoda i wyklucza interwencję w wewnętrznych sprawach państw, to znów w praktyce żaden systemat polityczny oparty na idei państwa, gdzie siła decyduje o najwyższem prawie, chociażby nawet ułożony w równowagę z rękojmnią solidarności, bez użycia siły obejść się nie może; nie ma żadnego środka działania bez interwencji, a jako kosmopolityzm polityczny musi dążyć do pochłonięcia indywidualności czyli niepodległości państw pojedynczych.

XI.

Z każdym też powiedzieć można miesiącem od zawarcia pokoju mnożyły się *Kwestye* i chwały się *Przymierza* w polityce europejskiej. Niemogła ona rozwiązać żadnej trudności z tych jakie jej zostawił traktat z 30 marca; przeciwnie, każda trudność przeradzała się w kwestyę. Występywały coraz nowe, jedne ni espodziewane in ne już w konferencyach zapowiedziane. Każda z nich przybierała rozmiary kwestyi europejskiej, i jako taka odwoływała się do solidarności wszystkich mocarstw i do jedynego ich trybunału, do nowych konferencyj. Obok tych wszystkich „interesów europejskich“ stawały także „interesa państw pojedynczych“, które bądź co bądź, nawet w obec systemu solidarności, są i będą zawsze w praktyce głównym bodźcem i podstawą polityki opartej na idei państwa. Te to właśnie interesa, ten kierunek każdemu państwu właściwy, bo interesem własnym przedewszystkiem wy-

tknięty, niweczył działalność przymierzy w systemacie solidarności, nadwierżając ich podstawy i zmieniając cele. Nakoniec po sześciomiesięcznych płonnych usiłowaniach i ciągłych negocyacyach, gdy zawikłanie coraz się zwiększało i wreszcie niebezpieczeństwem nawet wojny zagrożało, ogłoszono zwołanie nowych konferencyj jako jedyny środek rozwiązania tych samych kwestyj, które były przedmiotem narad marcowych i kwietniowych.

XII.

Taki jest pierwszy obrót w polityce systematu solidarności, który się kończy wraz z rokiem 1856. W powyższym krótkim rysie, widać go jak to mówią od kółca do kółca. Po dokonanym kołowym ruchu, położenie ogólne Europy jest to samo jeżeli jeszcze nie krytyczniejszem. Rzeczy można że cały ruch poszedł mimochodem, że ze sfer wyższych dyplomatycznych nie zeszedł na poziom, nie dotknął się ziemi. . . . „Konferencye zwołane aby wyjść ze stanu dzisiejszego, w którym Europa niema ani pokoju ani wojny“ — powtarzają dzienniki. „Wojna wprawdzie skończona — rzekł niedawno jeden znany dyplomata, — ale pokój; jeszcze niezawarty.“ W rzeczy samej punkta pokoju te nawet które powszechną znalazły zgodę w konferencyach marcowych, jakoto neutralizacya Morza czarnego i ewakuacya terytoryum tureckiego, są dziś przedmiotami sporu. Kwestya wschodnia dawna nie skończona, a nawet przez wojnę w Persyi ukazuje się w nowej postaci. Owe warunki konieczne do przywrócenia równowagi nietylko niewykonane, ale nawet zamienione w sprawy, [których tłómaczenie wstrząsa najsilniejszym przymierzem. Równowaga zatem nieprzywrócona. Reformy w konferencyach zapowiedziane nie [przeprowadzone, ale natomiast kilka kwestyj nadzwyczajnie drażliwych rozpoczętych, otwartych, których

może nawet' systemat solidarności pod swój trybunał podciągnąć nie potrafi. Na to wszystko znów jedyny środek: konferencye w Paryżu. Znów mają one orzec o warunkach pokoju na który jak w ówczas powiedział hrabia Walewski, „czeka Europa“ — tak i dziś powiedzieć może; bo życzenie pokoju w Europie jest zawsze tak mocne i gorące. Konferencye znów mają przywrócić równowagę na podstawie solidarności państw której są wyrazem... Nie jestże to *Błędne Koło*?... Porwież ono znowu w swoje tryby, tak loiczne w teorii a tak bezsilne w praktyce, politykę europejską?.... Nie ułożą się w tych nowych konferencyach przymierza tak aby istotną były rękojmią dla europejskiej równowagi?.... Jeżeli prawdą jest że przymierze francuzko - angielskie dopiero równowazy Rosyę, a przymierze traktatem 15go kwietnia potwierdzone dopiero ją przeważa, (o czem prowadzona wojna przez Francją i Anglią z pomocą Turcyi i Sardynii i przyjęcie warunków pokoju podanych przez Austrią dostatecznie przekonały), czy nie mogłoby to służyć za wskazówkę, że równowaga europejska innego jeszcze potrzebuje układu przymierzy aby mogła być trwałą?.... Jeżeli zwłaszcza prawdą jest, co niestannie w pismach publicznych się powtarza, że na nowych konferencyach większością głosów kwestye rozstrzygane być mają, wtedy już z pewnością wnosić wolno, że istotnie narady w Paryżu obrane zostały za pole do zawarcia przymierzy, a systemat polityczny solidarności niejednej nawet w swej teoretycznej istocie ulegnie zmianie, wtedy też, w jego zastósowaniu inne zapewne będą następstwa.

MAURICEY MANN.

KRONIKA.

Kraków w grudniu.

Dzień w którym ta książka wyjdzie na widok publiczny, będzie ostatnim dniem konającego roku. Mimo- wolnie nasuwa mi to na pamięć całą jego przeszłość. Okoliczności towarzyszące urodzeniu jego burzliwą wpra- wdzie zapowiadały mu młodość, ale szczęśliwą za to i świetną starość, w którejby syt chwały, wolen od trosk i trudów, spokojnie mógł zstępować do grobu, zostawia- jąc przyszłym pokoleniom owoce pracy, krwi i potu. Atoli opiekunowie jego, ludzie stateczni a lękliwi, w zby- tniej o wychowanka swego troskliwości i unikając kło- potów, jakieby im gotowała niesforność młodzieńca, przemyślali od samego urodzenia się jego nad tem, by zapobiedz temu wszystkiemu, co w późniejszym życiu spokojność jego zakłócać by mogło, co by hudiło w nim jakoweś wybryki lub szale. Od niemowlęstwa więc sa- mego zaczęto go prowadzić na pasku po gładko utro- wanej ścieżce, niedozwalając mu o własnych iść siła ch; później zaś hamowano wszelkie w nim popędy, tłumio- no namiętności, miarkowano zapał, poskramiano śmia- łość i zbytęcną odwagę, przedstawiając mu zawsze za cel życia: szczęśliwość cichego zapiecka, sytego żołądka

i pełnej kieszeni. Zrazu wychowaniec rwał się do żołnierki, lecz mu te wojownicze zamysły i marzenia rychło wybito z głowy i przeznaczono na spekulanta. Plan wychowania jego ułożony na wielkiej radzie, w ciągu krótkiego żywota jego nie jeden raz wykazał się być niestósownym i wewnętrznemu jego usposobieniu sprzecznym. Lecz cóż, kiedy zamiast takowy całkowicie zaniechać, starano się tylko uzupełnić braki jego. W tym celu umawiano się wciąż między sobą listownie, naradzano się nad zastosowaniem planu raz z góry powziętego, a wreszcie postanowiono powtórny raz się zjechać, by mentorskich swoich dopełnić obowiązków. I rok już dogorywa, a oni jeszcze się nie zjechali.

Poprzednik jego, który całe życie był żołnierzem i bił się walecznie, nie tylko że nie zostawił po sobie żadnego majątku, ale znaczne pozaciągał długi, które następca spłacić był winien. Względem na to był także jednym z powodów do przeznaczenia go na giełdzystę. Mniemano, że szczęśliwym obrotem spekulacyj, nie tylko uratuje resztki zadłużonego majątku, ale nawet potrafi dojść do zamożności. Otwarto mu rozległy kredyt, nie mogąc go wesprzeć gotówką. Spekulacje też szły na wielką skalę, ksiągki handlowe wykazywały cyfry milionowe, lecz z czasem przekonano się, że były to tylko dziesiętne nieskończonego ułamku peryodycznego, że zysk cały zaledwie wystarczył na opłacenie meklerów, buchalterów i służby pilnującej skarbów papierowych. W tej chwili bilans już gotów, a z niego wypadło, że i dawne długi niespłacone i nowych przybyło.

Kończy więc rok swój żywot, niezostawiwszy dziedzicowi swemu ni wielkiego po sobie imienia, ni majątku; umiera bez żalu i łez, bez sławy i pieniędzy, niezadowolony z najważniejszych spraw swoich, a na barki jego następcy zwała się cały ciężar kłopotów, procesów i egzekucyj, które umierający jak mógł za życia swego odwlekał, by tylko nie zajrzeć w oczy niebezpieczeństw.

Taki był żywot roku 1856. — Jakim będzie jego następca?

Na miesiąc jeszcze przed zgonem starego roku, kiedy bliski koniec jego stawał się nienechrońnym, w tajemniczą noc, w wigilię Ś. Andrzeja, grono wróżbitek

zebrało się w świątyni panieńskiego pokoiku, by skrytemi, sobie tylko wiadomemi środkami zbadać przyszłość. Ha! gdybym mógł być świadkiem tych pytyjskich wyroczni, mógłbym wam tu jasno jak na dłoni wykazać cały horoskop przyszłoroczny, aż do drugiego Ś. Andrzeja. Lecz kapłanki zamknęły drzwi za sobą, a ja przez dziurkę tylko od klucza, zaledwie przy błękitnym płomienia palącego się na misie spirytusu, zdołałem rozeznad trapią bladocią powleczone lica dziewięć i czarnoksiężskie sztuki. Topiono ołów, wosk i siarkę; pierwszy przelewano przez zęby klucza, wosk zaś i siarkę spuszczano wprost do naczynia pełnego wody, a te sycząc tężały. Słyszałem również mruczenie jakichś niezrozumiałych zaklęć i cichy śpiew nieznanej melodyi, towarzyszący tym pogańskim obrzędom. Nareszcie wydobyto z wody jakieś dziwaczne kształty ścigające się nagle, a jedna z kapłanek objaśniała półgłosem znaczenie każdego odlewu. Kiedy się drzwi otwarły i wróżki napowrót zajęły miejsce przy stoliku z herbatą, dostrzegłem był w oczach jednej z nich tłumioną gwałtem łzę, na twarzy drugiej jaśniał uśmiech spokojnej radości i zadowolenia, a trzecia starała się koniecznie przybrać wyraz politowania, lecz z kącików ust jej wyglądało szyderstwo.

Zbliżyłem się ku niej — najmniej ona zapewne miała powodu utrzymania tajemnicy; widziałem że omal nie wyzywała do zapytań. Dla czego? Szczęście i smutek nie są skore do zwierzeń, ani też tak wymowne jak satyra. Sąsiadka moja wysypała wkrótce cały zapas żarcików, dowcipów i szyderstw na towarzyszeki swoje, dające wiarę zabobonom i przesądom, czytające przyszłość w koślawych i fantastycznych formach, którym tylko gra wyobraźni nadać może jakoweś znaczenie.

— Więc pani nie chciałaś losu swego szukać na dnie miski z wodą? — zapytałem.

— Czyż pan mię masz za tak przesadną i łatwowierną? Nie chciałam psuć zabawy moim przyjaciółkom i dałam się namówić do tej igraszki.

— Nie wierz pan temu — rzekła na to wesoła jej przyjaciółka, która przysuwając mi sucharki, mimowolnie, jak sądzę, usłyszała ostatnie słowa. — Nie wierz pan temu. Z równą ona co i my ciekawością oczeki-

wala wyroczni, lecz zaledwieśmy ją głosić poczęły, pochwyciła gołemi rękami gorący jeszcze oków i parząc sobie palce, pogniotła go. Teraz udaje *un esprit fort*.

— A pani? — zapytałem.

— Ja, oh ja wszystkiemu wierzę co mi wróżba przyniosła. —

— I cóż przyniosła?

— Nie powiem.

— Przyniosła jęj — rzekł *l'esprit fort* — to czego pragnęła i zażądała, bo pragnęła tak gorąco i zażądała tak silnie, że nawet wróżba skłonić się musiała do jęj woli. Jestem nawet pewną że się zjści. To prawdziwe dzieło szczęścia! Gdyby wpadła przypadkiem w morze, to nie tylko by nie utonęła, aleby jeszcze wyniosła z dna perłę.

— Bo też silna wola łamie trudności, i świat przed nią kłęka. A zadumana kuzynka? Cóż jęj przepowiedzianem było?

— Przypadek, ślepy traf zapewne, ale nie pomyślanego jęj niewywróżono. Któż zresztą wierzy w takie gusa! A pan czy lałeś kiedy oków w wigilię ś. Andrzeja?

— Raz jeden w mojem życiu... było to dawno, bardzo dawno.

— A czy się wróżba sprawdziła?

— Nie.

— I cóż się odlało?

— Kula.

Długo jeszcze potem rozmawialiśmy o gusłach, ich znaczeniu symboliczném, ważności ich historycznej, o zespoleniu ich z obrządkami chrześcijańskimi, i rozmawialiśmy tak uczenie, jak gdybyśmy byli członkami jakiego towarzystwa naukowego i przygotowali się zawczasu do tego, co mamy mówić.

Zmęczony tym wieczorem, w którym szukałem rozrywki i wytchnienia, a musiałem amyst rozpinać na śruby i niejako popisywać się z erudycją, gniewałem się sam na siebie, że nie znalazł dość odwagi, aby się zbryć pretensyi do rozumu byle się tylko bawić.

W kilka więc dni potem postanowiłem wieczór przepędzić w kole dzieci, boć zapewne nigdzie takiej nie znajdzie swobody, takiej szczerości i otwartości, takiej wesołości nieprzymuszonej co pośród tych psotników. Był to właśnie dzień ś. Mikołaja, dzień uciechy dzie-

cinnnej, podkładanych pod poduszkę podarunków, złotych jabłek i orzechów i złożonej różgi. Szczęśliwe te istoty wierzą jeszcze w złote jabłka hesperyjskich ogrodów: różga nawet jaką nielitościwy los nas częstokroć ochłoszcze, polyskuje im złocistem pręciem. Uradowany że tak szczęśliwą myśl powziąłem, krążyłem przez cały dzień pod kościołem maryackim około stołów zastawionych „mikołajkami“, pośród których Święty Mikołaj w papierowej infule i papierowym ornacie, z białą watową brodą, stał poważnie wsparty na drewnianym pastoraie. Naskupowawszy wszystkiego co mi dostarczyć mogła ta wystawa wyrobów miejscowych, udałem się wcześniej do domu moich przyjaciół, wiedząc, że wieczór dziecienny zaczyna się ze zmrokiem, a kończy się wtenczas kiedy się starsi bawić dopiero zamierzają. Kosz z zabawkami kazalem złożyć w cichości w przedpokoju, by dopiero przy danej sposobności olśnić oczy dzieci bogactwem malarskiego złota i pstrego papieru. Jakże wszelako uczulem się upokorzony, zastawszy w pokoju dzieciennym niezliczony szereg zabawek, które doskonałością materiału i wyrobu, tudzież mechanizmem swoim mnie samego jeszcze bawićby mogły. Zabawki które ja przyniosłem, zaledwieby warte były w porównaniu z tamtymi służyć za podpałkę do pieca. Były tam automaty nakręcające się jak zegarek, latarnie magiczne, telegrafy pokojowe, stereoskopy z precudnymi widokami, lokomotowy jeżdżące po stole, systemata słoneczne, lalki z gutaperki krzywiące się za pociągnięciem sznurka jak małe dzieci i wydające głos płaczliwy przez umieszczony wewnątrz organek, miniaturowe strzelby, przyrządy kuglarskie i mnóstwo różnych gier, zabawek i fraszek zaostrzających dowcip, ćwiczących pamięć, budzących wyobraźnię, rozwijających wszystkie władze umysłowe. Zabawki te mogły nauczyć mechaniki, optyki, pneumatyki, geografii astronomicznej, architektury i Bóg wie jeszcze jakich umiejętności, bez których się dziś żaden wykształcony człowiek obejść nie może.

— To Święty Mikołaj podłożył wam te wszystkie ładne rzeczy? — zapytałem.

Najmłodsze dziecko spojrzało na mnie z wyrazem zadziwienia, jak gdyby zapytanie to było mu zupełnie niezrozumiałe, a jedno ze starszych rzekło do mnie:

— A, to pan masz nas za takich jeszcze łatwowiernych i zabobonnych! a przecież my się uczymy historii i wiemy kto był święty Mikołaj. Ale powiedz mi pan, dla czego w innych krajach Ś. Józef straszy dzieci różgą lub daje im podarki, jak u nas Ś. Mikołaj? Proszę pana, skąd ta różnica? —

Zamiast odpowiedzi wybiegłem do przedpokoju.

— Janie! — zawołałem na służącego — czy ty masz dzieci?

— Mam panie.

— Weź ten kosz z zabawkami i zanieś im, ale wprzód wstąp do księgarni i niech mi tu zaraz przysła najpiękniejsze książki dla dzieci. Mniejsza o to co w nich będzie, tylko pamiętaj, żeby w nich były ładne obrazki, oprawa ładna i brzegi złożone.

Lokaj obojętnie zajrzał do koszyka, i dostrzegłem na ustach jego uśmiech lekceważenia. Zapewne dzieci jego do innych nawykły zabawek, może do tych samych co i pańskie. Kiedy się dzieciom pańskim zabawki znudzą lub nieco sponiewierają, przechodzą wtedy do dzieci lokajskich. Zapóźno przyszło mi na myśl, że tak zapewne być musi.

Święty Mikołaj nielepiej mi wypadł u dzieci jak Śty Andrzej u panien. Szukałem koniecznie tego, co już niepowrotnie zginęło; racjonalizm zagładający aż do główek jasnowłosnych przeraził mię i przypomniał mi przestrogę Jean Paula w jego „*Vorlegeblätter*“.

Na wilię Bożego Narodzenia zaproszony byłem na obiad.

— Na którą godzinę? — zapytałem służącego.

— Państwo jadają jak zwykle.

Wzruszyłem ramionami. Już to mię przez cały ten miesiąc prześladało rozczarowanie. Poszedłem na obiad. Stół był wprowadzie zastawiony postnemi potrawami, ale gdyby nie opłatki które przedemną leżały, byłbym na prawdę zapomniiał, że to wilia. Obiad skończył się jak zwykle, podano kubki i spodki z ciemnego szkła, wypłukaliśmy usta ciepłą wodą, i wypaliwszy w męskim pokoju cygaro przy czarnej kawie z kieliszkiem likieru hollenderskiego, rozeszliśmy się do siebie chwając przymioty kucharza, który potrawom rybnym umiał nadać nietyl-

ko powierzbowność potraw mięsnych, ale niekiedy nawet i smak znawców wystawiał na zwątpienie.

— Byłbym przysiągł — rzekł do mnie jeden z towarzyszy stołu — że kotlety były cielece.

— Licho go tam wie! — zawołał inny — ale to pewna, że bez sosu bulionowego nie obeszło się.

Wróciwszy do siebie, spotykam w sieni chłopca od rzemieślnika w tym samym mieszkającym domu, jak włókł za sobą snopek słomy.

— Cóż wy teraz ze słomą przy świecy robić zamysławiacie? — zapytałem chłopca w obawie jakiej nieostrożności z ogniem.

— Proszę pana, bo to u nas nakrywają już do wili. Pierwsza gwiazda dawno już na niebie.

Słowa te chłopca przywiodły mi na pamięć dzieciinne lata moje, stół podestany sianem, słoma na podłodze rozpostarta, nihy wyobrażenie stajenki betleemskiej, u stropu świat z opłatków, gałęzie choiny ze świeczkami do koła i złotymi orzechami, śpiewy kolędowe, i te wszystkie starych czasów zwyczaje, które każdemu obrzędowi religijnemu, każdemu świętu i każdej obchodowej pamiętce nadawały właściwą im cechę i urok. Pod wpływem tych wspomnień niewiem jak się to stało, ale nie namyślając się długo wpadam do mojego sąsiada rzemieślnika i bez ogródki wpraszam się do niego na wilię. Z otwartymi przyjęto mię rękami i oheiano na pierwszym usadowić miejscu, lecz na to nieczwoliłem szanując powagę gospodarza. Gospodyni mało przy stole siedziała zajęta pilnowaniem kolejności dań. Domownicy i dzieci przypatrywali mi się z początku ciekawie i nieśmiało, lecz wkrótce zrzuciwszy ze siebie to wszystko co było we mnie z obcego świata, umiałem sobie pozyskać ich serca. Łamałiśmy się opłatkami z miocem poczynawszy od gospodarstwa aż do sług, taką koleję przepiliśmy do siebie wódką, a po polewce rybnej, karpia na szaro, szcsepaku z chrzanem, linkach smażonych, kluskach z makiem i kilku przystawkach, zdjęto półmisek i zaczął krzątć gąsiorek, bo mój gospodarz powtarzał ciągle:

„Ryby, grzyby, wieprzowina
„Potrzebują dużo winą.“

Wreszcie ukazały się jabłka, pierniki i orzechy, uciecha dla dzieci, które zaczęły się przewalać po słomie rzucając na się lupinami. Niekiedy i starsi wmieszali się w te igraszki, a ja zbliżywszy się do jednego malca, zapytałem:

— Coż tam święty Mikołaj podłożył?

Chłopak pobiegł do drugiej izby i wyniósł na pokazanie świętego Mikołaja w papierowej infule i papierowym ornatce, z białą watową brodą, tudzież złoconą różgą.

— Musiałeś być mięgrzecznym mój chłopcze, skoro ci święty Mikołaj przyniósł różgę.

Dziecko spaściło na dół oczy.

— Nie umiał pacierza — odczwała się matka.

Północ wybiła, chór stołowników zaintonował:

„W złobie leży
„Któż pobieży...“

Pożegnałem sąsiadów, a dzieciom przyrzekłem, że jeśli będą grzeczne i nauczą się pacierza, to na przyszły rok święty Mikołaj niezawodnie podłoży im bardzo piękne zabawki.

Na przyszły rok? — pomyślałem zostawszy sam ze sobą — mój Boże! któż śmie sobie układać plany na przyszły rok? Mogą ja umrzeć, mogą te dzieci umrzeć, alboważ — zmadrać tak dalece, że papierowy święty Mikołaj z watową brodą i drewnianym pastorałem nie zdoła już przemówić do ich umysłu i serca; wręczając może mikołajki wyjdą z użycia jako zabytek przestarzałych przesądów niezgodnych z tegoczesną cywilizacją europejską. Wszystko to być może. Obawa ta tak mocno mię trapi, że między życzeniami, które zasypiam wam czytelnicy dziś w wigilię Nowego Roku, zapisuję na czele:

Szanujcie stare zwyczaje!

Ależ może życzenia tego nieprzyjmiecie, bo otę czytamy na waszych drzewiach drukowaną kartkę, jako dowód, że dawszy po reńskiemu na ubogich, jesteście wolni od przyjmowania i rozsyłania powinszowań.

Lwów w grudniu.

Nie mogę wam zrobić takiej „*niespodzianki*“ jak wasz korespondent warszawski, mówiący w ostatnim liście o „*charakterystycznych wypadkach*“. Mam jakiś skrupuł względem literatury, i nie chciałbym, by w jej arce składano brzydotę moralną, a do tego z pretenzą bawienia światłych i poważnych czytelników. Bez brudów nie obeszło się nigdy w społeczeństwie ludzkim. Zdaje mi się, że gdybym był ministrem sprawiedliwości, choćby nawet w kraju Abderytów, kto wie czy zważywszy korzyści i niekorzyści społeczne, wynikię z *Gazette des Tribunaux*, nie zdecydowałbym się skazać ten rodzaj dzienników na częste milczenie; kłódkę z ust zdjąłbym wtedy, kiedy zamierzony skutek poprawy moralnej nie zasiewa złego między swoimi, lub nie podaje cudzym sposobności odziać, zamiast jednego, wszystkich, w brudny lachman występku. Wtedy jak mówi przysłowie: *nie stoi skórka za wyprawę*.“

Długie wieczory zimowe każą szukać jakiegokolwiek towarzyskiej rozrywki. Benefis p. Smochowskiego i przedstawienia geologiczno-historyczne w obrazach p. Rhodego, połączone z grą kolorów, sprawiły, że teatr oddawna nie był tak zapelniony jak w tym miesiącu. Benefis wypadł, jak tylko można według składu sceny tutejszej, najlepiej. Sztuka: „*Ona jest obłąkana*“ mimo inwencji nienaturalnej w pobudkach, pełna wrażliwych sytuacji mogła być podnieść interes wysoko, gdyby w grze aktorów była jakaś równowaga artystycznych zdolności i usiłowań; gdyby gra w ten sposób zlała się w harmonijną całość. Tej całości niewidzieliśmy. P. Smochowski, jeden artysta górując nad resztą aktorów, dał nam w wybornej grze poznać, ile brakuje scenie tutejszej, aby przedstawienie mogło zlać się w ową całość gry tworzącą jedność dramatu. Jak jeden pełny i czysty akord nie stanowi muzyki obok innych słabych i niezgodnych, tak jeden artysta obok słabych i niezastosowanych usiłowań innych, nie sprawi wrażenia zamierzonego. Piękna rola p. Targowskiej zniknęła bez śladu dla braku przejęcia się nią zupełnego, a bardziej dla braku psychologicznego zbadania sytuacji i rozgrzania dosta-

tecznego indywidualności własnej. Wielkie, szkicowane tylko, niezupełnie wycieniowane role są niebezpiecznym szkopułem dla początkujących zdolności; widać w nich zawsze, o ile usiłowanie nie dosięga celu. Rola naiwna p. Linkowskiej przeszła w trzpiotanie się niestósowne; poważna i szlachetna lekarza, znalazła nieprzełamaną, zaporę już w samej postaci p. Linkowskiego, i w głosie hołdującym bardziej komice niższej i charakterem płaskim niżeli poważnym. P. Wilkoszewski sytuację dość seryo i zamiary wynikłe z planu i rozważgi głębszej, ubrał zanadto w dzieciinną postać, a pan Szturm zawsze tylko stereotypem jednej własnej indywidualności. Taki rozstrój w towarzystwie scenicznem, daje się czuć we wszystkich przedstawieniach. Wyglądamy z niecierpliwością ulepszeń, a jeżeli gdzie, to na scenie naszej reorganizacya byłaby szczerze pożądaną.

Nowém wcale, i ciekawém u nas zjawiskiem jest proces między dwoma dziennikami, do którego powodem jak twierdzi zaskarżenie, jest pomowa o fabrykację korespondencyj zagranicznych rzeczywiście niby w redakcyi rodzących się. Prawnicy nasi będą przeciw raz sposobność wystąpić w procesie literackim, a publiczność zagadniona tą nową *kwestyą juris*, czeka rozwiązania we własnym interesie. Pomimo bowiem ostrożności, z którą świat przyjmuje drukowane zdania, zdarza się napotykać takich, co w naiwnej wierze trzymają się starej wypłowiałej maksymy: *co drukowane, to prawda*. Tą razą nauczą nas sędziowie, po której stronie prawda drukowana, a my choć tyle na tém skorzystamy, że przeciw jednej lub drugiej stronie ostrożność w podwójnej dosis zapisywać sobie każemy. Muszę jednak nadmienić, że więcej ciekawości budzi ten proces, jak artykuł „*Wanderera*” wymierzony przeciw szlachcie galicyjskiej. Nawykliśmy do tych potwarzy. Widać, że zbliża się chwila zatwierdzenia ostatecznego wschodniej kolei galicyjskiej.

Do rzędu zabaw grudniowych należą u nas także wieczory muzykalno-deklamacyjne w sali towarzystwa muzycznego. Będzie ich w ciągu tej zimy dwanaście; dwa już odbyły się. Bardzo się podobał ten rodzaj zabaw, liczna publiczność zgromadza się na te wieczory. Deklamacye są zwykle dwie, jedna w języ-

ku polskim, a druga w niemieckim, — i albo nie wykliśmy do wygłaszania przed publicznością, majdźcie się przecież za każdym razem jeden i drugi wcale dobry deklamator. Mickiewicz, Pol, Ujejski, Zakrzewski i t. d. dostarczają osnowy ku wygłaszaniu. Ciekawość doboru i popisu, tak w deklamacyi, jak i w muzyce, a nadewszystko rzadkie u nas dawniej wygłaszania w języku polskim, mają swój urok; a chociaż wstępne dość drogo na rzecz towarzystwa muzycznego opłacone, przecież dotąd sala prawie pełna. Ostatniej środy podobał się szczególnie śpiew pani Lederer; wygłoszone, przez p. Aleksandra Szedlera ballada Stollego: „*Das Fischerblut*“ i przez p. Rudyńskiego ze „*Zgody Senatorskiej*“ Wincentego Pola epizod o Popielu i Leszczyńskim.

Kiedy więc wasz korespondent warszawski z listopada zasiadł na jednym końcu belki społeczność, i przeważnie ku ziemi ją gniecie, niech mi wolno będzie zasiąść dla równowagi na drugim końcu. A uczynię to w nadziei że i mnie posłuchają; w wierze, że dobre miléj głaszczę uszy ziomeków naszych, a przykłady jego znajdowały zawsze i znajdują przystępne serca; nakoniec w uwielbieniu dla owej miłości bliźniego, która sobie powiedziała: „*fais ce que dois, advienne que pourra.*“ W dawniejszej korespondencyi przesłałem opis naszych dobroczynnych zakładów; posyłam wam ich dalszy ciąg, zostawiając resztę na później.

Szpitałik ubogich dzieci lwowskich. Szpital główny i szpital Sióstr Miłosierdzia przepełniony zawsze chorymi nie miał dosyć miejsca aby oddzielić dzieci od starszych, młode więc te istoty najczęściej dotknięte cierpieniami skrofalicznymi, potrzebującemi długiej kuracyi, musiały zostawać w towarzystwie osób różnego usposobienia, a odzyskując fizyczne siły, moralnie podpadać mogły. — Obawa ta podala myśl dobroczynnym osobom, zgromadzoną pod przewodnictwem Ks. Jadwigi z Zamojskich Sapieżyny — do otwarcia szpitalu oddzielnego dla dzieci ubogich. W roku 1845 zawiązał się na ten cel komitet składający się z członków stałych płacących po 4 złr. rocznie, i zbierających ofiary. Dr. Franciszek Bramm ofiarował bezinteresownie opiekę swoją lekarską nad tym instytutem, którą po jego wyjeździe

przyjął na siebie zmarły niedawno Dr. Jan Caspary, od-
wiedzając w niezmordowanym wytrwaniu szpitalik co-
dziennie i udzielając rad potrzebnych. Instytut liczył
niegdyś pomiędzy dobrodziejami swymi ś. p. Aroksięcia
Ferdynanda d'Este, a dziś Najjaśniejszego Cesarza Fran-
ciszka Józefa i Arcyksięcia Karola Ludwika, którzy go
darami wsparli. Liszt ofiarował z koncertu swego 500
złr. Hr. Honorata Borzęcka darowała na kupno domu
5,000 złr., Magistrat lwowski wyznaczył rocznie po 500 złr.
Ze składek dobrowolnych, zbieranych corocznie, dopła-
cił komitet wartość domu w ilości 2,000 złr. i poczynił
restauracye i ulepszenia w wewnętrznym urządzeniu szpi-
talika. Prócz domu kupionego za 7,000 złr. i wsparcia
zapewnionego przez Magistrat w 500 złr. rocznie, zakład
ten nie posiada żadnego stałego funduszu; wszakże do-
broczynność mieszkańców Lwowa i obywateł kraju utrzy-
muje go w kwitnym stanie. Składki zbierane od lat
kilku przez Ks. Jadwigę z Zamojskich Sapieżynę wy-
noszą rocznie po 2,000 złr., ostatnia zaś z r. b. 2,400
złr. W domu tym utrzymuje komitet stale 24 łóżek
dla chorych dzieci, w czasach epidemii liczba ta wzra-
sta do 30. Roczny wydatek zakładu wynosi 800 do
1,000 złr.

Zakład Opieki Najśw. Panny, czyli dom roboty. Przyj-
muje dochodzące osoby płci żeńskiej, sposobiące się do
szycia bielizny i haftu, a w miarę uzdatnienia i pilno-
ści wyznacza im dzienną płacę. Wszystkie osoby pra-
cujące w tym zakładzie i damy trudniące się zarządem
tegoż, należą do jednego bractwa, mają duchownego
przełożonego, który dwa razy w tygodniu udziela im na-
ukę duchowną, codziennie słuchają odczytów religijnej
i moralnej treści, a co miesiąc wspólnej Mszy świętej
w kaplicy Bractwa. Instytut ten wpaja w młode robo-
tnice kamilowanie pobożności i pracy, a oraz podaje im
sposób zarobku przyzwoitego z pracy rąk własnych,
i rościaga opiekę swą nad niemi w razie zmiany stanu,
choroby a nawet i śmierci. Instytut ten, założony sta-
ranie tejże Ks. Jadwigi z Zamojskich Sapieżyny w r.
1845, otrzymał na rozpoczęcie od Najj. Cesarzowej Ma-
tki Karoliny Augusty dar 2,000 złr., a od Ks. Anny Sa-
pieżyny 1,000 złr., i paryskie modele robót kobiecych.
Szanowna ta dobrodziejka zakładu ponawia ten dar me-

delów corocznie. Z tego funduszu użyto 1,000 złr. na urządzenie zakładu; reszta 2,000 częścią w odsetkach, częścią jako kapitał obrotowy służy zakładowi. Zarządem Instytutu trudnią się damy dobroczynności składające komitet, którego prezesową jest wspomniona Ks. Jadwiga Sapieżyna, a vice-prezesową hr. Wanda Caboga. P. An. Zaleska trudni się od lat siedmiu dyrekcją zakładu. Są także dozoreczynie płatne. Zatrudnienie robotnic stanowią obstalunki haftów i całe wyprawy z bielizny. Zaufanie publiczności pozwala nawet dzielić te roboty z innymi zakładami, lub z pracującymi po domach prywatnych. Zakład obraca rocznie funduszem 10,000 złr. m. k.; po uskutecznieniu wypłat robotnikom, przeznacza resztę zarobku rocznego na kolendy, które rozdziela robotnicom w książeczkach kasy oszczędności, dopisując corocznie nowe dary, by zapewnić pracującym jakiś własny kapitał na czas potrzeby. Jest tu dziennie 140 pracujących w zakładzie samym; z pracującymi zaś po domach liczba dochodzi do stu sześćdziesiąt.

Mały Zakład. Jestto filia zakładu *Opieki N. Panny*, założona również przez Ks. Jadwigę z Zamojskich Sapieżynę i zostająca pod przewodnictwem dam składających komitet domu roboczego. Celem tego zakładu jest: dać wychowanie biednym dziewczętom od lat 9 do 15, i usposobić je na dobre służące. Założony w roku 1849 dla przychodzących tylko dzieci, od roku 1853 urządzony został dla miejscowych, których liczba rocznie od 40 do 60 dochodziła. Na utrzymanie ośmnastu dostarcza pieniędzy Ks. Anna Sapieżyna. Inną pomocą zakładowi są dobroczynne osoby, koncerty, loterye, teatr amatorski, które rocznie wynoszą do 1,500 złr. — Obecnie znajduje się w tym instytucie 40 dziewcząt na wychowaniu, nauczycielek trzy i dwie sługi. Dziewczęta pobierają naukę katechizmu, czytania, pisania, rachunków, szycia, haftu i innych robót kobiecych; również pomagają przy kuchni, praniu i gospodarstwie. Niedogodności towarzyszące zawsze mieszkaniom dla instytutu najmowanym, podały komitetowi myśl wybudowania osobnego domu na ten zakład. Ufając opiece Boskiej, wzięły się do dzieła — i oto już stanęły na „Nowym Świecie“ mury pod dachem. Ależ to dopiero mury!

Cały kosztorys wynosi 16,000; zebrano dotąd niemal połowę, resztę spodziewa się komitet zebrać wzywając dobroczynności miasta i kraju, i nie ustaje w pięknym przedsięwzięciu. Znaczniejszemi datkami przyczyniły się dotąd następujące osoby: Hr. Honorata Borzęcka 1,000 złr., Ks. Jadwiga z Zamojskich Sapieżyna, 2,000 złr., Nieznajoma 3,000 złr., Kornel Krzczunowicz 700 złr., Nieznajomy 300 złr., Waleryan Krzczunowicz 200 złr., Hr. Alfredowa Potocka Marya 500 złr., Hr. Wanda Caboga 500 złr., Ks. Jerzy Lubomirski 200 złr., Hr. Adam Potocki 200 złr. Pomniejsze dary wynoszą 120 złr. Razem wpłynęło 8,720 złr. m. k.

Wiedeń w grudniu.

Boże Narodzenie i Nowy Rok! W tych dwóch słowach co za niewyczerpane źródło do najwznioślejszych chrześcijańskich i społecznych rozmyślań! A przecież grzeszyłbym przeciw prawdzie, gdybym twierdził, że z małemi wyjątkami, świat nasz, na te dwa święta, z tego wyższego zapatruje się stanowiska. Przeciwnie, zdaje się, że z postępem wieków zacierało się coraz więcej ich duchowe i moralne pojęcie, i że natomiast występowały coraz silniej i wyraźniej poziome, przemijające i konwencyonalne po prostu widoki. I parci tym prądem z jednej strony słabnących uczuć religijnych, z drugiej, rozwijających się na coraz obszerniejsze rozmiary interesów materyalnych, przyszliśmy do tego, że Boże Narodzenie i Nowy Rok stały się jakby urzędowym zawezwaniem do wypłaty zaległych w ciągu roku wizyt, powinszowań, oświadczeń i koniecznych podarunków. Tu i owdzie po wsiach może, przechowały się jeszcze tradycyjne obrzędy, które tym świętom przywracają ich pierwiastkowy uroczysty i poetyczny urok. Po miastach a zwłaszcza stołecznych, pozostały tylko wspomnienia obok nowych i nieodzownych, jakby w jeden ogólny kodeks na te dni wyłącznie ustanowionych przepisów. Kto był w jakiegokolwiek bądź stolicy europejskiej, ten łatwo zgadnie, jaki w tej chwili przedstawia obraz Wiedeń. Sklepy ubrane z wystawą i przepychem. W dzień wprawne oko patrzy na ten strój

niekiedy z politowaniem, ale wieczorem, światła gasną, które z pod blaszanych rewerberów spływa obficie aż na ulice, przychodząc w pomoc złudzeniu, daje tamtą sztucznejmu blaskowi pewną cechę rzeczywistej pończy. Stanąwszy przed niektórymi tego rodzaju, można po-
niekąd zapomnieć, że nie wszystko złoto co się świeci. Skład rozmaitości Stammera na Grabenie przyciąga naj-
więcej kupujących i ciekawych. Jest to mikroskopi-
jne naśladowanie przepysznych zbiorów Susse i Girouk
w Paryżu: ale jak na Wiedeń jeszcze za zbytkowa.
Mieszkańcy błyszczących i zrzeźbionych rozłożonych towa-
rów wabi licznych gości; wymusztrowani na krój fran-
cuski posługacze, umieją grzeczne i w zalotne słów-
ka obwinieciem nadskakiwaniem, zająć nawet ich uwa-
gę, ale dostrzegłem, jak każde oznajmienie ceny studzi-
ło najwyższy zapal podziwienia i jak najlepsze chęci
kończyły się szczemi przy wyjściu pochwałami. Wszak-
że przybywający z prowincji nowicjusze i tutejsi me-
dnisie obcący się gwałtem do dających ton liczyć, ka-
piją tylko u Stammera, i płacą za próżność własną
i za cudzą ciekawość. Tym czasem rozważniejsi znaj-
dają w innych składach te same brązowe lub żelazne
statuetki, postumenta, lichtarze, stoliki, i t. d. i kupa-
ją taniej, wychodzą z tem co i tamci zadowolnieniem,
że te wszystkie dziwnej artystycznej inwencji płe-
dy przysły wprost z Paryża lub Londynu. Bądź co bądź,
sklepy tego rodzaju wyrobów są w tej porze roku
najbardziej uczęszczane i najwięcej wyprzedzają, może
dla tego, że względnie do innych rękoźmielnych towa-
rów, dają rzeczy tańsze i naturalnie trwałe, a jednak
dla oka powabne. Po brązach i żelazach, następują
z porządku porcelany i szkła, na liście przyjętej przez
medę do podarunków. Znające smak i zasoby pienię-
żne swych mężów lub protektorów tutejsze damy, prze-
noszą tego rodzaju — aczkolwiek wątłe i uszkodzenia
podległe pamiętka, nad trwałe ale najczęściej fałszy-
wym tylko blaskiem zajmujące metalowe drobiazgi.
I w rzeczy samej, te ostatnie prócz małej po większej
części albo żadnej artystycznej wartości, mają jeszcze
i tę wadę, że się niczem z powierzchowności od podo-
bnych im papierowych lub gipsowych wyrobów nie róż-
nią. Gdy przesiwnie, szkła czechoskie i porcelany sa-

kie, albo nawet i węgierskie, łączą, niema do sądy wewnętrznej, materialnej wysokiej esny, prawdziwe wykonania zalety. Wyznać nawet trzeba, że Wiedeń ma w tym względzie wyborno, i co do szkieł zwłaszcza, może najzupełniejsze w Europie zbiory. Fabryki cesarskie doprowadziły te wyroby do rzadkiego stopnia doskonałości tak pod względem kolorów, jak gładkości i czystości samego materiału. Wiszące lampy, świeczniki, wazy, talerze, szklanki i rozmaitego kształtu inne do ozdoby lub użytku służące przedmioty, stanowią w tej zwłaszcza chwili roku, żyzną dla kupujących i sprzedających do uprawy niwę. Widok tego rodzaju sklepów oświetlonych przyzwoicie wewnątrz i zewnątrz, uderza publiczność i zwraca uwagę znawców. Najpiękniejszymi są Hoffmanna przy *Bischoffsgasse* i Lohrmayera przy *Kärthnerstrasse*. Między sklepami z porcelaną trzymają pierwsze miejsce bogaty sklep przy *Herrngasse*, gdzie się główne znajdują wyroby fabryki cesarskiej. Lecz jest i innych kilka na każdej prawie ulicy. Sklep rozmaitości *zur Stadt Jassy* przy ulicy *Kohlmarkt*, założony przez młodego galicyanina, odznacza się doбором wyrobów i miernością cen, i dla tego jest niemal w stanie obłożenia, tak że docisnąć się tam trudno. Brązy, szkła i porcelany stanowią główną jego ozdobę. Są między innymi rzeczami zegary prawdziwie piękne. Jest on nadto, równie jak i inne tego rodzaju sklepy, przejściem od sprzętów przeznaczonych na ozdobę, do mebli, czyli właściwego i koniecznego w każdym mieszkaniu przyboru. Kilka sklepów zapelnionych takimi wyrobami otworzyło się niedawno, lecz wątpię, żeby oszczędność wiedeńska mogła posunąć się do pomnożenia rozesnego budżetu znacznemi summami, na ośrodek tak legalnych jak i tajemnych buduarów. Najhojniejsi swych względów na obie te strony rozdawacze, przekładają sklepy złotnicze lub bławatne, w których mniejszym kosztem zaspokoić łatwo i próżność i potrzebę. Rachunek połączony z modą, przyprowadziły liczne tutajszas małżeństwa do tego, że gdy żona znajdowała pod sadem święconym (*Christbaum*) suknię, mąż pewien był odkryć przy dalszem poszukiwaniu nowy dla siebie surdat. Zapewne że i ten rok skończy się tym obyczajem w niejednym damowym astronomicznym. A że wspominałem

o święconym sadzie, więc wyznać muszę naprzód żem go sam poświęcił, a potem, że gdybym koniecznie musiał, nie wiem jakbym wytłumaczył ten, średnich jeśli się nie mylę, wieków upominek przeniesiony z krajów protestanckich do stolicy cesarsko-apostolskiej. To tylko pewna, że Wiedeń sądząc z lasów chodzących po ulicach mógłby w tej mierze śmiało walczyć o pierwszeństwo z innymi miastami niemieckimi. Drzewa te, zwykle młode jodelki, przybrane we wstążki rozmaitych kolorów, stanowią w Wilię Bożego Narodzenia główną rozrywkę dzieci, które przy blasku licznych płonących między gałęziami świeczek woskowych, zbierają z nich nietylko smaczne łakocie, lecz bogate nieraz podarunki. Wieczory te kończą się pospolicie familijną ucztą i tańcem. Zamożniejsi i ubożsi, wszyscy się na to dziecinne wiązanie sadzą, jak mogą, licząc na uciechę, jeśli nie na wdzięczność i odbierają nieraz w nagrodę płacz i narzekania, gdyż podział mniemanej własności wspólnej, jest i będzie problematem najtrudniejszym do rozwiązania. Stokroć może szczęśliwsze w owych chwilach, te biedne opuszczone sieroty, które zwołane głosem opiekunów pod drzewo wzniesione niewidomą ręką dobroczynności, otrzymują z niego to tylko, co każdej z nich pieczołowita i łaskawa przysądza władza! Dla niektórych z takich zakładów, posyła te drzewa dostojna i zawsze szczodrobliva rodzina cesarska. Inne mają, nad sobą opiekę dobroczynności ogólnej.

Z rzuconego tu na prędce obrazu łatwo pojmiecie, jaki w tej chwili ruch panuje na ulicach Wiednia. Szczęściem, że nie zimno i że pogoda. Inaczej, za powozami trudno byłoby się przecisnąć. Lecz i tak pieszych po trotoarach i po przechodowych zakątkach, bez liku. Szczęśliwi eleganci krążą między czułemi na ich grzeczność paniami, jak obładowane muły. Inni wolą płacić niż nosić i służyć za kasyerów. Każdy na pozór wesoły, lecz w duszy?... W Paryżu kończy się prawie wszystko na cukrach i kwiatach albo na datkach godnych prawdziwie tego nazwiska. Tu lada bagatela jest już ołtarzem wzniesionym przez czułość dla wzajemności, lub kantonem!

Uczuciowość niemiecka jest znaną w poezyi i romansach. O wiedeńskiej dałoby się powiedzieć wiele.

Ale trudnoby ją przelać w natchnione sercem lub wyobraźnią utwory. Zamknięta w poziomych zwyczajnego życia obrębach, jest ona tak prozaiczną i podrzędną w niem sprężyną, iż nie wywołała dotąd żadnego wyższego pod względem artystycznym, nawet powieściowego utworu. O miłości szalonej jaką jest każda prawdziwa namiętność, o poświęceniu szczerem i nieograniczonem do jakiego prowadzi każde głębokie uczucie, o tej nawet sentymentalności która w innych stronach Niemiec zamienia ludzi w jakieś nadziemskie pod wpływem nieugiętego fatum, walczące z sobą atomy, jeszcze dotąd nie w Wiedniu ani czytałem ani słyszałem. Uczucio-wość jest tu więcej niż gdziekolwiek bądź indziej płodem zmysłowości lub ciekawości. Im zaspokojenie jednej i drugiej łatwiejsze, tem w formach mniej jest powabne dla umysłu, a w skutkach mniej zaspokajające dla duszy; ztąd, jak powiedziałem, brak obrazów do wyższych artystycznych utworów; — ztąd brak tej przyjemności, którą w życiu codziennem szlachetniejsze, choćby nawet gwałtowne sprawiają uczucia.

Tutejsze powieści, romanse i teatralne plody, noszą w sobie wyraźną tego ogólnego uosobienia cechę. A dowodem, że życie publiczne nie jest innem, i że się w nich wszystkie sfery tego życia wiernie oddanemi znajdują, są oklaski po teatrach i niesłychana liczba czytelników i abonentów na dzienniki wyłącznie podobnym literackim utworom poświęcone. Wszakże, gdy przypadkiem znajdzie się sposobność pokazania że i Wiedeńczycy umieją cenić głową i sercem wyższe talenta lub dzieła sztuki, to się założyć można, że przesadzą co do oznak zewnętrznych wszystko, na coby się zdobyć mogły inne zebrane razem stolice niemieckie. Rachel i Ristori nieznalazły nigdzie prócz Paryża i Londynu podobnego jak tu przyjęcia. Muzyka Bethowena i Mozarta ściągają tłumy na każdą godzinę i wywołuje zawsze te same wzruszenia. Przed kilku dniami, tysiące oczu i jakich oczu, płakało dziecinnemi łzami w Burgu przy rozstaniu się z panną Neumann! Lecz i to prawda, że dziś już wszyscy mówią, iż panna Neumann może być jeszcze wyborną żoną i ozdobą nawet salonów do których z tytułem hrabioskim będzie miała teraz

otwarte wrota, ale że już była na schyłku tej sławy, którą jej zjednały na scenie jej pierwsze, młodzieńcze role, i że przejście do innych byłoby i dla niej i dla publiczności mniej korzystnem niż zupełne opuszczenie teatru. Coby powiedział Wiedeń, gdyby panna Rachel chciała się ukazać wracając z Kairu; nie wiem — ciekawość oglądania zmartwychwstałej Hermiony możeby odnowiła dawniejsze dla niej uwielbienie. Ale pewien jestem, że pani Ristori, którą Europa karze ciągłe oklaskami i o której dzienniki nie więcej nie mają do doniesienia, jak że zdrowa i zbiera pieniądze, niewzbudziłaby tu już owego z którym pierwszą razą przyjechała, zapamiętała. Taką jest publiczność wiedeńska, i p. Renz zrozumiał ją doskonale, przybywając tu na kilka tylko tygodni, i to po dwóch latach oddalenia.

Teatra od parę dni zamknięte. Lecz gdyby były otwarte, nie miałbym nic ciekawego o nich do powiedzenia. Panna Taglioni wyjechała do Berlina. Z nowym rokiem występuje w Operze nowa, młoda i ładna śpiewaczka panna Mayer. Ma głos dobry i dużo wprawy. Renz dał ostatnie przedstawienie 23go i wraca do Berlina.

Berlin w grudniu.

W żadnym miesiącu całego roku nie ma stolica praska tak ruchomej, tak ożywionej, tak jaśniejącej i ujmującej fizyonomii, jak w bieżącym. To jakby całkiem inne miasto. Nie jeden z podróżnych, pobawiwszy w nim niejaki czas inną porą, czyni słuszne postrzeżenie, że nie masz w nim życia, nie masz stołecznego ruchu, gwaru, hałasu, wystawności, przepychu; nie chce wierzyć, że mieści się w nim prawie pół miliona ludności. Gdzież ci ludzie? Odpowiedź: przy warsztacie, w fabryce, w sklepie, w kantorze, w biurze, słowem, przy pracy. Nie widać ich jak w dni niedzielne i świąteczne, lub przy nadzwyczajnych publicznych widowiskach i rozrywkach. Dni powszednie spędzają w domowych zamknięciu, swoim każdym zajęty dziełem, od wczesnego poranku do późnego wieczora; część nocy spędzają w knajpie przy piwie i fajce, resztę poświęcają

na spoczynek. Ulica nie ma dla wielkiej masy ludności zajętej pracą i goniącej bez wytechnienia za zarobkiem, żadnej potrzeby. Lazzaronów w Berlinie nie masz. Widziano coś podobnego do nich tylko w pamiętany rok 1848, co i gdzieś indziej nie było osobliwością. Nazywano ich tu „bummlerami“. Z żebraków policya oczyszcza ulice. Nie masz i tak zwanych „flanerów“, czyli bummlerów dystyngwowanych, włóczęgów, próżniaków i gapiów wyższego rzędu. Iu ich jest, pomieści ich podczas zimy jedna eukiernia Kranzlera, gdzie ich można widzieć po obiedzie na kawie. Nie masz i „gryzetek“ „loretek“ i „demi-monde“. Co o nich prawia tutejsi pisarze obyczajowi, to jest plagiatem paryżkim, który wcale nie przystaje do tutejszych stosunków. Jest coś podobnego pomiędzy płcią żeńską, ale to mianuje się i mianować powinno innemi, debitańszemi nazwiskami, np. westalek, jakimi je koniecznie chcą mieć wydział policyi czuwającej z niezmierną surowością nad moralnością publiczną. Spędzone z ulic, na których wieczornemi godzinami odbywały tłumne na cześć Wenery procesy, wygnane z knajp, w których przy piwnych libacyach przyjmowały ofiary miłosnego całopalenia, strzeżone argusowemi oczyma policyi w lokalach zabaw i tańców publicznych, dzisiejsze westalki mogą tylko w przyzwolonych krynolinach pokazywać się na ulicy, mogą tylko pod zasłoną godziwych pozorów strzedz chlebojącego ognia miłości, mogą tylko skrycie zniżać się i widywać z swoimi Licyniuszami. Nie masz tu także tak licznej jak w innych stolicach arystokracji rodowej i pieniężnej, która już to z obyczaju, już z próżności, już z zbytku czasu, z którym nie wie co począć, już wreszcie z mniemania, że tak jęć czynić przystoi, rozwija zbytkownem występowaniem, powozami, kołmi, bogatym uprzęgiem, liberyą liczną służby, modnym, wykwinnym strojem, wystawność i przepych w mieście. Arystokracja pruska, która się mieści w Izbie Panów, i zmuszona jest przesiedzieć całą prawie zimę w stolicy, żyje tak skromnie i tak mało wystawnie, że pobytu jęć prawie wcale nie zna. Nie masz tu narazie widomego napływu cudzoziemców, którzy, szukając rozrywki, zabawy, towarzystwa, zapelniają tłumami inne stolice, pracując się niekiedy więcej od miejscowych do ich

ożywienia i ruchu. Ruch ulicznego życia w Berlinie jest prawie przez rok cały ten sam; większy nawet nieco, powiedzieliby można, z powodu przejazdu podróżnych, latem niż zimą. Porównany z ruchem innych stolic, mianowicie Paryża, gdzie wzdyma się, roztrąca, szumi bez przestanku, jak bałwany morza, jest jakoby jednostajna powierzchnia stojącej wody, raz po raz lekkimi, krótkimi falami kołysana.

Wyjątek czyni miesiąc bieżący, mianowicie druga jego połowa. Martwe i ciche oblicze miasta zmienia się nagle w tym czasie do niepoznania. W domach i na ulicach, w lokalach publicznych i teatrach, w cukierniach i restauracjach, w sklepach i magazynach, w biurach pocztowych i na dworcach dróg żelaznych, wszędzie, gdziekolwiek krok zwrócisz, nawet w ulicach najodleglejszych, panuje ruch i życie, jakby inna ludność naciągnęła do miasta, lub inny duch wstąpił w dawną. Wszystko co żyje krząta się około czegoś, biega, goni za jakąś myślą od rana do późnej nocy. Powozów ilość nieprzejrzana jakiej nigdy nie widać, począwszy od pysznych ekwipażów królewskich aż do osmolejonych jednokonnych dorózek i psami ciągniemych wózków, krąży przez całą porę w wszystkich kierunkach i częściach miasta. Tam na placu jednym, drugim, trzecim i dziesiątym porosły jednej nocy, fraszka w lasku bulońskim, całe gaje młodocianych choin, jodeł i świerków, poprzecinane alejami, na których pełno poważnych matron i matek, targujących się o najpiękniejsze drzewek egzemplarze. Owdzie znów, jakby w kraju Faraonów, wystawiono z drzewa całe rzędy piramid i obelisków, oblepionych i nastrzępionych różnokolorowym i połączanym papierem. Na innych wreszcie placach improwizowano z belek, desek i płótna, z talentem i szybkością Anglików i Francuzów z pod Bałakławy i Kamiesza, całe miasta z długimi, prostymi ulicami, z numerowaniami i sztyldami obwieszonemi domkami, i napełniono je wszelkimi, jakie tylko istnieją, wyrobami ręki ludzkiej. Tam, to jest, na placach zamku królewskiego z jednej i z drugiej strony, główny punkt ruchu; ścisk, gwar, świst, krzyk nieustanny, dniem i nocą jaśniejszą od dnia od nieprzeliczonych światel, przy dobrej i złej pogodzie. Tam tylko pieszo przeciskać się można, powozom przy-

step wzbroniony. Zresztą całe miasto przedstawia widok ogromnego bazaru o tysiącu skrzydeł, w których sztuka i przemysł wystawiły wszystko, na co się tylko zdobyć lub z obcych krajów zapisać mogły. Pośród tego bazaru cukiernie, załadowane do połowy lokalu stółkami ciast i cukrów, i restauracye, zmienione wewnątrz to na ogrody tropicznego klimatu, to na salony na dnie morza z gazową powierzchnią wody ponad głową, to na inny sposób dekorowane, są jakby miejscami wypoczynku zmęczonej długą po bazarze pielgrzymką publiczności. Tam dalej różne teatry, przedstawienia, widowiska, służące ku rozrywce i zabawie: sztuki sceniczne, pełne czarodziejskich cudów i przemian dekoracyjnych, osnowane jakby na tle powieści Tysiąc nocy i jedna, a trącające satyrycznemi śpiewkami, ucinkami, dowcipami o poważne stosunki teraźniejszości; włoskie poliszynelli, wiedeńskie kasperle, angielskie punsze, miejscowe kladradacze; przedstawienia chromatropiczne i fantasmagoryczne gry kolorów i przemiany obrazów, oraz geologicznego tworzenia się ziemi; wielkie cykloramy najważniejszych wypadków ostatniej wojny wschodniej; transparenty klasycznych obrazów z pisma ś., z towarzyszeniem chorałów kościelnych dawnych mistrzów włoskich, i t. d., i t. d.

Jakaż téj całej zewnętrznej i wewnętrznej przemiany stolicy pruskiej przyczyna? Jedyne obyczaje, upowszechnione w całym świecie chrześcijańskim, a w Niemczech narodowo ukształtowane, i wszystkie klasy społeczeństwa od tronu do łoża żebraka jednem usposobieniem przenikający; obyczaj obchodzenia święta Bożego Narodzenia, jednem słowem: Gwiazdki.

Uroczystość obchodzona d. 25 grudnia, dawniejszą jest od dzisiejszej uroczystości chrześcijańskiej. Obchodziły ją pogańskie narody północnej Europy, Celtowie, Germanowie, Słowianie, Litwini, ku uczczeniu rocznicy odradzającego się słońca, czyli zimowego zwrotu jego, w czasie w którym zaczyna dnia przybywać. Jest to taż sama uroczystość, która znana była w Azji u starych Parsów pod nazwiskiem Mihrgan, obchodzoną była przez siedm dni wśród gościnnych biesiad i dawania sobie nawzajem podarunków, a później, z rozszerzeniem się czci Mithry po całym obszerném państwie rzymakiem, nazy-

wala się „*festum natalis solis invicti*“ U Słowian (Czechów i Serbów) nazywała się Kolęda, u Polaków Kolęda, u Rusinów Kolada, a obchodzoną była przez gry, tańce, biesiady, podarunki i śpiewy. U Germanów nazywała się uroczystością Jula, trwała od 25 grudnia do 6 stycznia, i obchodzoną była również przez biesiady, zabawy i podarunki. Różnicą było to, że w środku mieszkania stawiano jako symbol odradzającego się słońca zieloną jodłę lub choinę, ognikami oświetloną, a zwaną drzewem Jula.

Widać stąd, ile do obchodu chrześcijańskiej gwiazdki wpłynęło z pogańskich obrzędów. Dzień narodzenia Chrystusa, właściwie nieznany, bo ani pismem ani tradycją nie oznaczony, i w czwartym dopiero wieku na 25 grudnia trwale przeniesiony, stał się odtąd, obok uważanego przez pierwszych Chrześcian za ważniejszy dnia Zmartwychwstania, głównym w kościele świętem, a zarazem cyklem kilku następujących po sobie uroczystości, które kończy dzień Trzech Króli. Kościół, walcząc przeciwko pogaństwu, umyślnie na ten czas przeniósł święta Bożego Narodzenia, i obchodził je z wielkim przepychem i okazałością, dodając im i zmysłowego powabu przez przedstawienie tego wszystkiego, co uświęconą tradycją o urodzeniu Chrystusa i o pierwszym życiu jego opowiadała. Tak powstały żłobki czyli jasełka, różne zabawne pieśni, dyalogi, sceny dramatyczne, które się dotąd zachowały. Z niemi spoił się pogański obyczaj wystawiania drzewek świeczkami i podarunkami obwieńczonych, co mianowicie w Niemczech miało miejsce i dotychczas się utrzymuje, z tą różnicą, że drzewka te nazywają się teraz drzewkami Chrystusa; spoił się z niemi także od pogan przejęty obyczaj obdarzania się nawzajem różnemi upominkami, co w innych krajach z wigilii Bożego Narodzenia na dzień Nowego Roku przeniesiono; dalej zwyczaj wieczornych biesiad, złożonych z osobliwych potraw w liczbie dziewięciu, między którymi kluski z makiem, jagły z śliwkami, co się szczególnie u nas przechowuje; zwyczaj pieczenia różnego gatunku i kształtu chleba, kołaczy, strucli zwanych chrystusowemi, i t. p. i t. p. Tym sposobem święta Bożego Narodzenia stały się świętami niejako patryarchalnymi, świętami powszechnego zadowolenia i wspólnej zabawy,

przeznaczonemi równie dla starych jak młodych, dla bogatych jak dla ubogich, dla panów jak dla sług.

Ten tęt obarakter ma obchód ich w Niemczech, w szczególności w Berlinie. Cały ruch panujący od połowy miesiąca w mieście, powodowany jest wyłącznie myślą obchoda gwiazdki. Ku niej skierowane są i do jej charakteru zastosowane i urządzone: jarmark, składy towarów, strojów, zabawek; wystawy książek, obrazów, rycin, rzeźb; teatru, przedstawienia, widowiska; słowem cały świat duchowej, fantazyjnej i przemysłowej pracy ludzkiej. Gdy wszyscy się nawzajem obdarzają, którzy jakimkolwiek bliższymi stosunkami pokrewieństwa, miłości, przyjaźni, wdzięczności, powinności, interesu, służby, związani są z sobą, poczynawszy od panującego aż do dziada w szpitalu, który ma może wnuka lub prawnuka sierotę, do którego się pamięć jego przyczepia; można sobie wyobrazić, jak ogromny jest pokup na wszystko. Miliony są w tym czasie w obrocie, bo nietylko na Berlin sam rozciąga się obecny jarmark, lecz rozsiała towary i wyroby swoje, co kosztowniejsze, mianowicie materye, stroje, dzieła sztuki, książki, zabawki, cukry, w bliższe i dalsze strony. Mnóstwo osób z prowincyj przyjeżdża także osobiście w tym czasie robić tu swoje zakupy, nietylko na gwiazdkę, ale na cały rok, bo nigdy nie ma większego wyboru a zarazem łatwości takiej dostania wszystkiego na każdą cenę, zastosowaną do kieszeni nawet najuboższego, jak właśnie w obecnej chwili. Znajdują się tu na placu zamkowym budy, które tysiące drobnych rzeczy do domowego gospodarstwa, do ubrania i do różnego użycia, po jednym srebrniku, to jest, po sześć polskich groszy, sprzedają. W innych budach znajdują się też same przedmioty po dwa, po dwa i pół, po pięć srebrników, i t. d. stosownie do gatunku. Przysłały kongres brukselskich statystyków, agronomów i przemysłników, jeśli się zajmie wystawą, wyrobów takich, koniecznych człowiekowi do codziennego użycia i do zaspokojenia najgłówniejszych potrzeb, powinienby przysłać delegowanych dla obejrzenia gwiazdkowego jarmarku berlińskiego. Taka sama taniość i na książki, mianowicie na dawnych klasyków wszystkich literatur, zwłaszcza dawniejszych wydań. Możeby kto z was pragnął nabyć np. dzieła Voltaira, wydanie kompletne,

siedmdziesiąt kilka tomów, w półskórek oprawnych, edycya Beaumarchais? Może je dostać za 10 talarów. Toż najpiękniejsze dzieła ilustrowane za bajeczne sprzedają się ceny. Droższe są dzieła nowe, któremi właśnie na gwiazdkę najwięcej są obciążone stoły i półki księgarskie. Mianowicie nowych książek dla dzieci i uczącej się młodzi nieprzeliczona jest ilość. Dzienniki ogłaszają codziennie całe ich katalogi. Nie będę wyliczał wystaw i składów sztuk pięknych, marmurów, bronzów, alabastrów, gipsów, i ich tańszych naśladowań z sztucznego kamienia, z cynku, z żelaza. Przemysł ten jest nowym w Berlinie, ale zdumieć się trzeba, w jak krótkim czasie podniósł się do takiego wydoskonalenia i takiej różnaitości wyrobów, a zarazem i niskości ich cen.

Inną niemniej zajmującą stronę czasu gwiazdkowego są teatry i różne sztuczne widowiska i przedstawienia. Ponieważ z charakteru gwiazdki wypada, aby się nie tylko wzajemnie obdarzać, ale i wzajemnie bawić i weselić, wszyscy, których tylko na to stanie, rodzice z dziećmi, krewni z krewnymi, przyjaciele z przyjaciółmi, muszą odwiedzić z kolei wszystkie większe i piękniejsze przedstawienia. Najcelniejszym miejscem zbierania się jest lokal Krolla, urządzający się zwykle na gwiazdkę, fraszka czarodziejski pałac, sławiony cudowną lampą Aladyna. Na zewnątrz goreje cały w świetle, na wewnątrz przy równem oświeceniu przepełniony jest tylu osobliwościami, że jednego wieczora niepodobna wszystkiemu się przypatrzeć. Najprzód w pierwszej sali przy wchodzie widzimy przed sobą wielkie panorama jeziora Garda w północnych Włoszech; tuż przy nióm, jakby nad jego brzegami, bazar włoski najrozmaitszych galanteryj, cacek, robotek, zabawek, które się puszczają na loteryą za biletami złotówkowemi, z których każdy wygrywa. Dalej w przytykającej małej sali teatr figurek na drutach, tańczących, skaczących, wyprawiających najdziwniejsze sceny, figle i psoty, przy towarzyszeniu fortepianowej muzyki. Następnie wchodzimy do wielkiej środkowej królewskiej sali, gdzie przez przynajmniej trzy godziny zajmuje nas czarodziejska sztuka w siedmiu aktach, mieszcząca w sobie wszystko, co tylko powieściowa fantazyja oryentalna wymyślić jest zdolna, i na którą, patrząc, żal się tylko robi, że się nie jest dzie-

okiem. Geniusze, anioły, duchy opiekuńcze, księżęta, księżniczki, ludzie dworscy, złe duchy, szatany, uosobione czarne myśli, bandy rozbójników, boginie na wyspie miłości, nimfy na wyspie młodości, wszystko to występuje z kolei na scenę w najpiękniejszych i najstosowniejszych ubiorach, wśród najcudniejszych dekoracji, i przy tak wyborniej maszyneryi, że ludzie i przedmioty, niebo, ziemia, piekło, pokazują się, przemieniają, znikają, prawdziwie jakby za dotknięciem różeczki czarnoksięskiej. Dodać muszę, że grają nie automaty, lecz ludzie żywi, a sztuka jest rzeczywistym dramatem, z wielką znajomością sceny, świata i charakterów ludzkich ułożonym, i moralną dążność mającym. Iłż to tam uciechy, rozkoszy, wrzawy pomiędzy małemi i wielkimi dziećmi! Z sali królewskiej przechodzisz do innej, wktórej się pokazują różne fantasmagoryczne przedstawienia; nakoniec zstępuje się na dół, do tunelu, gdzie jest 1500 stóp wielkie cyklorama, wyobrażające, tocząc się w koło, ważniejsze wypadki z ostatniej wojny wschodniej. Podobnych wystaw jest w mieście kilka, których, aby się nie powtarzać, nie wspomnam.

Główną zaś chwilą oraz środkiem obchodu świąt Bożego Narodzenia jest wieczór wigilii, w którym około godziny szóstej zapala się wspomniane wyżej drzewo Chrystusowe, ustawione wraz z podarunkami, złożonemi na jednym wielkim, lub na osobnym dla każdego stoliku, w największym pokoju lub sali, drzwi się na rozcież otwierają, i cała familia z dziećmi, krewnymi i czeladzią wchodzi do utrzymanego przez cały poprzedni tydzień pod ścisłym zamknięciem miejsca niespokojnych oczekiwań, myśli, nadziei, a potem spełnionych życzeń, marzeń, wzajemnej radości, rozkoszy, tysięcznych uściśnień, częstokroć i łez. Jest to chwila, która każdego cudzoziemca, chociażby mu to wszystko było obojętnem i obcém, rozrzewni i rozczeni, bo ma wtedy ludzi i ludzkie uczucia przed sobą, i patrzy na stosunki, któreby raz na zawsze źródłem cnoty i szczęścia być powinny. Drzewo Chrystusowe pali się przez parę godzin, towarzystwo ogląda wszystkie piękności na niem rozwieszone, czeladź odchodzi do siebie, a familia cała, wraz z gośćmi przyjaciółmi domu, siada do wieczerzy, która

pomędzy innymi potrawami, musi mieć kupa na stole. Zapalanie drzewa powtarza się o tej samej godzinie w pierwsze dwa święta; powoli znikają z niego owoce, pierniki, ciasteczka, cukry, i pozostają tylko rzeczy niejadalne, drobne zabawki, ozdóbki, cacka, które się zdymują po upływie jednego lub dwóch tygodni, i rozgrywają się zwykle w loteryą w zaproszonym młodzieńcu towarzystwie.

Tak się obchodzą i kończą święta Bożego Narodzenia. Zamyka je ostatni dzień starego i pierwszy Nowego roku. Obchód dni tych nie ma w sobie nic charakterystycznego. Ostatni dzień roku przepędza się na balu lub w towarzystwie przyjaciół aż do godziny północnej, w której składają się wzajemnie na rok następny życzenia; pierwszy dzień nowego zbiega się do obiadu na składaniu powinszowań drugim, a następnie na przyjmowaniu powinszowań od licznych takich osób, które z tego nłby to koniecznego dopełnienia powinności względem wyższych od siebie, robią sobie pewien i to weale nie mały zarobek. Choć powinszowania takowe małe co warto, czuję się jednak i ja, na lepsze ryzyko, zanieść podobne czytającej publiczności, gdy ją proszę o wybaczenie, że zamiast dalszego ciągu poprzedniego listu o artystycznem ukształceniu Berlina, pozwolłem sobie określić inną stronę jego miesięcznej kropki. —

Paryż w grudniu.

Żędasz odemnie sprawozdania z dzieł młodych pisarzy paryzkich, dziwisz się że dotykając w pogadankach naszych wielu mniej ciekawych przedmiotów, o literaturze bieżącej milczę jak zakłęty. Prawda. — Ale czy sądzisz że na tem kto traci? Czy sądzisz, że o wszystkim co wydrukowane mówić warto, lub czy masz jeszcze to miłe przekonanie, że ze wszystkiego co napisano nauczyć się czegoś można? I ja tak myślałem dawniej — ale młoda Franeya radykalnie z tego mniemania wyłeczyła. Dziś nie tylko podzielam mądre zdanie Frodry „lepiej rybeńko milczeć niż głupstwo powiedzieć”, ale

tę zbawienną radę rozciągam dalej, i mówię: lepiej wolać niż pisać o rzeczach niewartych wzmianki.

Jeżeli jednak chcesz koniecznie, przerzuciemy razem młodą literaturę paryską, żeby już do niej niepowracać chyba w dzień narodzin jakiego geniuszu. Ostrzegam cię atoli, że unikając nadto smutnych dyssekcyj, w tym przeglądzie trzymać się będę ściśle przepisu Balzaka, który jako patryota i najgłębszy znawca swego narodu, wymyślił dlań na urząd formułkę „*nie patrz z czego wyrasta, tylko co wyrasta*“, wiedział bowiem, że inaczej zadane francuzki autor egzaminu nie przejdzie.

Młodzi autorowie paryscy przeżywają, do dziś dnia idee, które rozsiał po świecie wielki rach romantyczny 1830 roku; żaden z nich ani na krok dalej nie postąpił — że zaś nie na tym świecie nie stoi, pisarze dzisiaj jeśli nie poszli naprzód, koniecznie cofnąć się musieli. Jakoż rzeczywiście, stoją nieskończenie niżej od swoich pierwowzorów, nie dla tego żeby im zbywało na pisarskim talencie, ale dla tego że nie mają jak tamci głębokiej wiary we własne słowo, a co gorzej, nie mają uczucia — człowiek zaś to tylko widzi co chce.

Za brakiem uczucia poszedł więc koniecznie brak prawdy, który choć umiejętnie pokrywany znajomością perspektywy, cytatai z pisma świętego i sztuczmem kwiecieniem arcyzmu, razi przecież nieznośnie w każdym nowym płodzie piśmiennictwa tutejszego. Literatura francuzka idzie ku mierności. Nikt tu już nie pisze źle — ale też nikt dobrze (w dawném znaczeniu tego wyrazu), zrównanie umysłów zupełne; jednocześnie piszący autorowie spotykają się w myślach ustawicznie, późniejsi rabują poprzedników. Nieprzeliczona masa literatów francuzkich podobna jest do łąki zboża, na którym wszystkie kłosa równej miary kołyszą się za tym samym powiewem wiatru. Są jeszcze między nimi lekkie odcienia, które by indywidualizmem nazwać można — ale jest także pewna moneta zdawkowa idei, pewna rutyna objawienia myśli, która krążąc jednostajnym prądem po wszystkich książkach, czyni z bieżącej literatury francuzkiej rodzaj bezkolorowej i jałowej polewki, której już nie tylko na attyckiej, ale nawet na kuchennej soli zbywa.

Wpatrując się pilnie w szerokie łorytę tej mętnej

rzeki, bacznym krytyk dostrzeże w niej pewne prądy nakształt tych jakie przy ujściu rysują strumienie wpadające do morza — pewne kolory które każda rzeczka przynosi z sobą do oceanu, a które mówiąc o piśmianictwie, nazwiemy szkołami, aczkolwiek wyraz ten nie jest tu właściwy, bo za wyraźnie rzecz określa.

Najwydatniejszy z takich prądów rysuje w bieżącej literaturze francuskiej, tak zwana szkoła *Brutusów*, na której czele stoją dwaj akademicy Augier i Ponsard, a przy nich wzdychający do akademicznego fotelu Feuillet. Trzej ci autorowie zagrzewają ludzi do cnoty jak pozytywki grające pieśni nabożne. Na każdej przez nich napisanej karcie napotkasz mnóstwo rad zbawiennych, co niemiara pięknych zasad i zdań katońskich, wypowiedzianych mniej więcej gładko. Jednak mimo to wszystko, jakiś chłód co z tamtąd wieje, uwiadamia cię mimo woli, że tych szczytnych przepisów nie natchnęła gorąca miłość dobrego, ale je podyktował dobrze zrozumiany interes własny — że te podniosłe chęci są wyrobem głowy nie serca, a ta miłość bliźniego jest po prostu *un parti pris*, suchy płód rozumu, mogący żyć wiecznie nie będąc karmiony żadnym dobrym uczynkiem. W końcu rozpatrzysz się bliżej dochodzisz do przekonania, że ci moralni autorowie są jak owe słupy co to wskazują drogę, a same nigdy nią nie chodzą.

Szkoła Ponsarda przedstawia w każdej sztuce jakiegoś szalonego lub występnego młodzieńca, marnotrawnego syna, rozpustnika, gracza, fałszerza, albo jeszcze gorzej, który trzymając się pilnie recepty autora dramatu, w piątym akcie jak gołabek bieleje — jakieś Magdaleny, które, kiedyś już zupełnie zwątpił o ich nawróceniu, nagle stają się świętymi. — Szkole tej niechodzi ani o uchwycenie charakteru, ani o prawdopodobieństwo ani o spostrzeżenia trafne, ani o dowcip, ani o dramatyczność, tylko o to, żeby przedstawione osoby mogły wyrecytować jak najwięcej przysłowiowych sentencji i prawd oklepanych, jak np. nie kradnij, nie zabijaj itd. — „Honor i pieniądze,“ i „Bursa“ Ponsarda, ściśle w powyższych warunkach napisane, zyskały poklask wszystkich uczciwych epizjerów. — „*Le Mariage, d'Olympe*“ Augiera, już mniejsze zrobił wrażenie; autor bowiem cierpiący jeszcze czasami artystyczny zawrót głowy

wy, zboczył tu i owdzie z udeptanej ścieżki zalet uznanych.

Jako pisarz, Augier stoi daleko wyżej od Ponsarda, wiersz jego mniej jest mechaniczny, ma więcej uczucia i subtelności — ale mimo to Ponsard jest głową szkoły *Brutusów*. Trzeci jój filar Feuillet, którego osoby rozmawiają stylem przemów akademicznych, za małe oddał usługi sprawie, ażeby cię jego komedyjkami zatrudniał.

Dumas syn, także należy do szkoły Ponsarda, tylko że mając daleko więcej dowcipu i więcej artystyczności, mniej krochmali ideały swoje, przez co powabniej wyglądają. Przy tem, umie on jakoś umiać tu i owdzie ciernistą drogę obowiązku i wskazać na niej nie jedną lilie, której woń czysta słodsza jest dla ducha niż drażniące zapachy egzotycznych bukietów.

Alé to tylko różnica formy. W gruncie wszyscy ci pisarze są zimni i napuszeni. Każden z nich jest satyrykiem nie dramaturgiem, zamiast malować społeczność jaką jest, dać widzieć jój złe, ale i dobre strony, daje tylko złe, i przedstawia na scenie nie osoby żyjące ale jakies filozofujące maryonетки, których posłannictwem wytepienie przywar ludzkości.

Wiktor Séjour autor „Kozaków“, komedyi dość głośniejszej na Bulwarach w swoim czasie — stoi na czele szkoły, której w stal zakute bohaterzy nigdy nie podnoszą przyłbicy; zawsze uzbrojeni w sztylety i truciznę, otoczeni zasadzkami, szpiegami, siepaczami, konjugują okropne słowa, zapłodnione zbrodnictwami rzeczownikami jak np. ja rozbijam, ty wieszasz, on podpala, my mordujem, wy trujecie, oni zdradzają itd. Przedstawiani w tych melodramach monarchowie i monarchinié, mają zawsze czarną jak węgiel duszę, mówią krótko a węzłowato, i obwiniają się wzajemnie o wszelkiego rodzaju nieprawości. W każdej takiej jaskini lotrów krąży białe stado aniołów mścicieli, którzy pod koniec sztuki wyrzynają zdrajców co do nogi.

Naczelnik téj krwiożerczej szkoły zyskał w Paryżu przydomek ostatniego *odrzyskóry* — na nieszczęście przydomek fałszywy, bo Séjour mnóstwo młodszych od siebie liczy naśladowców.

Pomiędzy feljetonistami odznacza się szczególniejsz Paul

Saint-Victor, rodzaj literackiego kuglarza, który słowa jak złote kule wyrzuca w powietrze, i spadające wręcz na powrót odbija — frazesom zaś każe tańcować na linie lub przez zalepione przesłakiwać obręcze, przy nieustannym odgłosie bębnow, puzonów i waltorni. — Saint-Victor jest żyjącą parodią Teofila Gautier; przejął on i spotęgował wszystkie wady tego feljetonisty: jaskrawość i przesadę która czasem w nim razi sprządził do absurdum, a nieuchwycił ani jednej z tych zalet, które każdą kartę Gautiego ozłacają i czynią go ulubionym pisarzem artystów. Jeden z tutejszych tartownisiów porównał Saint-Victora do jarmarcznego skoczka, który pisze stojąc na głowie. Nie znajdując trafniejszej definicji tego malignowego krytyka, przechodzę do innych pisarzy.

Pan About autor kilku kompilowanych romansów i kilku czczych komedijek, jest obecnie w wielkiej modzie. Bawi on Francuzów swą fruwającą wesołością i gryzącymi żartami. Ktoby teraz przeciw niemu z krytyką wystąpił, siebie nie jego by zabił — bo w Paryżu moda zasłania swych ulubieńców dyamentowym puklerzem, który nie tylko chroni ich od pocisków ale odbite strzały topi w piersiach zuchwałych napastników. Mimo tak wielkiego bezpieczeństwa, powiem ci jednak do ucha, że jeżeli kto, to p. About należy do licznej rodziny nie zasłużonych ale szczęśliwych. Od pism jego wieje chłód jak z piwnicy — ów zaś przechwalony dowcip jego, bywa często bardzo nie zabawny a nieraz płaski. Nadto, p. About nienawidzi prawdy. Wszystkie jego utwory, tak powieści, jak komedye i feljetony, są wymysłami nie mającemi żadnej styczności z rzeczywistością. Czytając je czujesz że to pisał człowiek bez serca, który za pomocą mokki, czy chaczyczu, zmusił swój umysł do tworzenia palących wizyj i oprawia je w fałszywe brylanty które przy gazowym świetle fantazyi nie jeden weźmie za prawdziwe.

Ostatnia jego sztuka „Guillery“ błyskotliwa a bezduszna, jest najpiérwszem odbiciem charakteru i talentu Abouta. Czyni ona wrażenie świecącej muchy, której brzęczenie i polysk czasem bawią, częściej jednak są natrętne.

Karol Monselet, brat bliźni Abouta w literaturze, z tychże samych co i on czerpie źródła, i przy jedném ognisku sporządza dla publiczności korzenną siekanę.

Jest także bardzo liczna szkoła w Paryżu prześladowająca systematycznie poetów, (tak jakby ich we Francji za wielu było), dowodząca jak na dłoni, że poeci są to pasożyty wysysające najlepsze soki ze społeczeństwa a nie dające nic w zamian. Jeden z filarów téj szkoły, p. Leon Laya, napisał świeżo komedję, której jedynym celem dowieść wyższości notaryusza nad poetą. Sztuka ta pod tytułem: „*Les Pauvres d'esprit*“, grywana teraz w *Théâtre-Français* oburzyła wprawdzie kilku feljetonistów, ale zyskała aprobację publiczności, która codziennie tłumnie na przedstawienia się zbiega. Komedya p. Laya jest wyrazem opinii panującej teraz we Francji, i jako taka zasługuje na uwagę. Dla tego chociaż pod względem literackim żadnej nie ma wartości, po krótko treść jej opowiem:

Doktor Delaure wydaje córkę za poetę Montforta. W domu zostaje jeszcze siostrzenica, którą wuj radby połączyć ze synem starego przyjaciela swego, ale romansowa panna niechce słyszeć o tym związku; Prosper bowiem jest notaryuszem, a ona brzydzi się prozą. Zajęta badaniem tajemnic ducha, Henryka wzdycha do sfer wyższych... tam nieustannie myślą wzłata, a szczególnie uczuje się wtedy dopiero, gdy znajdzie śmiertelnika co z nią zamieszka w krainie ideału, a przez kałuże ziemskiego życia przewiezie w gondoli, przygrywając na lirze.

Autor przez cały pierwszy akt wyszydza szaleństwo panny Henryki, która będąc ubogą nie chce bogatego męża dla tego że go nie kocha, i marzy o niebieskich migdałach. Pominąwszy sens moralny, a raczej sens niemoralny téj nauki, nie jest ona wcale na czasie, gdyż, jak każdemu wiadomo, tegoczesne panny w ogóle, a mianowicie téż Francuzki, bardzo są mocne w arytmetyce małżeńskieję; wpajać w nie pogardę dla poezyi i ubóstwa, jest toż samo co uczyć rybę pływać.

Prosta ta uwaga nie przyszła jednak do głowy autorowi; w drugim akcie z podwójną mocą téż same pojęcia wypowiada przez usta obrażonego odmową panny notaryusza. W bardzo długiej filipice przeciw poetom i

artystom w ogóle, Prosper usiłuje dowieść, że poeci są to szerszenie wyjadające z cudzych ulów miód zarobiony w pocie czoła przez uczciwych i pracowitych ludzi, Lowelasy zawsze stojący na zawadzie uczciwym związkom — plaga płci pięknej i zarazem jój bożyszczce, bo, jak powiedział Hugo: kobiety lubią niezmiernie zbawiać tych co je gubią.

Monolog notariusza wystosowany przeciw romantyzmowi naszych czasów, a mianowicie liryzmowi grasującemu we Francyi, wydaje się z razu dowcipną satyrą: ale to przypuszczenie wnet znika. W dalszém rozwinięciu zdziwiony słuchacz przekonywa się, że utyskiwania Prospera dosłownie brać należy, i że to tę odrobinę poezyi która jeszcze gdzieś niegdzie jak błędny ogień migśnie czasami w ojczyźnie bohaterów wojen krzyżowych, Francuzi sobie jako zbrodnię wyrzucają.

Z gadanin na ten sam temat, składają się dwa pierwsze akty. Że jednak same słowo nie zawsze przekonuje, autor w końcu faktami wybija z głowy pannie Henryce poetyczne wizye. Stawia jój przed oczy obraz pożycia kuzynki z mężem poetą. Tu dopiero jest niewyczerpany w argumentach, i pełną połą uzbieranych kamieni miota na głowy marzycieli; szczęściem że żadnego niema we Francyi, inaczej rozlew krwi byłby okropny.

Pani Montfort wyznaje że jest bardzo nieszczęśliwa za mężem lunatykiem, który ustawicznie spaceruje po obłokach a bardzo rzadko zachodzi do domu — jeżeli zaś przyjdzie, to patrzy w sufit, wygląda oknem, dumma...szuka rymów, liczy zgłoski, gwiazdy... lub jak Dante po innym błąka się świecie, nie zważając bynajmniej ani na łzy ani na uśmiechy żony.

Koniec końców, z wymienionych racyj i rozmaitych szczegółów, których niewymieniam, pokazuje się jasno jak słońce, że poezya z małżeństwem, jak pies z kotem, w żaden sposób zgodzić się nie może.

Straszny przykład pani Montfort, radykalnie lecz chorującą na liryzm Henrykę. Mąż kuzynki tylko wodeville pisze, a już taki nieznośny! — Cóż by było gdyby broń Boże, pisał poemata?... Zrywa więc na wieki z poezyą, i woła: „niech żyje notaryusz!“

Na tym tryumfie realizmu nad ideałem kończy się

budująca sztuka, na którą wszyscy tutejsi mężowie swoje żony i córki prowadzą.

Dla dokładniejszego wyświecenia swęj szczytnęj idei, autor przedstawił jedyne nieistniejące współzawodnictwo: literatów z episjerami — wymalował ścieranie się interesów dwóch klas, które sobie bynajmniej na tym świecie nie zawadzają, bo na dwóch przeciwległych stoją biegunach. Zresztą, przypuściwszy nawet tę niemożliwą walkę, nie rzemiosło ale charakter stanowi człowieka: najlepszy notaryusz może być najgorszym mężem, a wielki poeta najlepszym ojcem. Za ubóstwem głowy nie idzie przecież bogactwo serca.

A jednak, mimo tak widocznych nonsensów, komedya ta dla tego że jest panegirykiem mierności, została bardzo dobrze przyjętą. „*Nous n'allons ni vers le bien ni vers le mal, nous allons vers le médiocre*“ — powiedział niedawno jeden z najznakomitszych pisarzy francuzkich Ernest Renau. Jest to niezawodnie najtrafniejsza definicya nietylko literackiego, ale wszelakiego ruchu na Zachodzie. Dążenie ku wygodnej mierności widać wszędzie — tak dobrze w życiu domowém jak publiczném, w polityce, literaturze i sztuce. Malarze rzucili się w obrazy rodzajowe, których ideałem ładna twarzyczka, ładny trzewiczek i elegancko ułożona spódniczka — rzeźbiarze pod pozorem przyzwoitości porzuciwszy idealizowanie najwyższej formy, formy człowieka, trudnią się reprodukcją płaszczy, surdutów, kapeluszy lub haftowaniem koronek. W teatrach dekoracye i upstrzenie lokalu, zastępuje miejsce myśli.

Winaż to autorów czy słuchaczy? Jedni na drugich ją zwalają — ale zapewne obie strony winne. Kiedy zapal poety nie ogarnia słuchaczy złudzeniem, kiedy słowa jego nie złocą im ścian i nie zmieniają ciągle malowideł, to albo sztuka nie jest warta, albo czucie publiczności zupełnie stępione. Niegdyś najfantastyczniejsze sceny Szekspira przedstawiano bez żadnych dekoracyj i maszyneryj, a czarodziejstwo pisarza angielskiego dokazywało tyle, że przed oczyma widzów migały światła i cienie, rycerze i duchy, zamki i pałace. Dzisiaj też same sceny przedstawione z całą plastyczną fantasmagoryą, nie czynią żadnego wrażenia w Paryżu. — Jest to argument przemawiający wymownie w obronie dramaturgów;

publiczność atoli przyjąć go nie chce i dopomina się nowego Szekspira, któryby był równie wielkim znawcą sereca ludzkiego i niemniej genialnie malował nasze, jak tamten ówczesne obyczaje. Takiemu pisarzowi powszechność łaskawie obiecuje zapal i wawrzyny, a tym czasem przyklaskuje *aux Pauvres d'esprit*.

Jules Janin, którego pisma zawsze odzwierciadlają wiernie usposobienia i aspiracye społeczności francuskiej, wydał traktat filozoficzny pod napisem: „*Les petits bonheurs*“. Odgadnąć łatwo, ile subtelnych postrzeżeń powyższy temat sprowadził pod subtelne pióro sławnego feljetonisty. Jules Janin przedewszystkiem artysta i miłośnik fantastycznych wycieczek w krainie myśli, pospolity przedmiot codziennego życia traktuje niepospolicie. Ze zwykłym sobie sympatycznym dowcipem, usiłuje on dowieść w tej książce, że żywot ludzki nie jest tak ciężki, smutny ani prozaiczny jak go obgadano — że owszem, przyjemnie żyć ten może na świecie, kto nie wymaga niepodobieństw, i z każdej danej chwili umie zebrać śmietankę. — Na poparcie tego twierdzenia, autor odkrywa przed oczyma czytelnika mnóstwo mikroskopijnych przyjemnostek, których by mniej wesoły wojażer pewnie sam na swój drodze nie dopatrzył.

Czytając tę pocieszną książeczkę pełną różnaitości i niespodzianek, lżej się jakoś oddycha, bo na każdej stronnicy jeżeli nie kilka, to jedno przynajmniej szczęście napotkasz. Odkryte gniazdko jest szczęściem dziecka, pierwszy zegarek szczęściem panienki, pierwsze buty szczęściem dorostka, pierwszy szal szczęściem męzatkki, polowanie, rybołówstwo, przechadzki, majówki, kominkowy ogień, czytanie, rozmowa, przejażdżki po wodzie i lądzie, szukanie kwiatów, grzybów, orzechów, złudzenia i sny młodości — wszystko to są małe szczęścia, któremi przepełnione życie, a które równoważą mniej często napotymane wielkie nieszczęścia.

Elegancki styl Janina, który już sam przez się jest — w przemiany obrazkiem, karykaturą lub portretem — wydawca podniósł jeszcze przesłicznemi winietami Gavarniego — co sprawia, że samo przejrzanie tej książki do rządu małych rozkoszy policzyć można.

Rzym w grudniu.

Kilka miesięcy minęło jak się ostatni raz do was zgłosiłem; zdawałoby się więc że wróciwszy do stolicy Piotrowej będę miał wam do udzielenia niemało nowości. Gdzie tam! zastałem Rzym smutny i cichy. Dotąd bardzo mało cudzoziemców, z naszego zaś kraju daleko mniej niż przeszłego roku. Bądź że sprawa neapolitańska, bądź coraz częstsze rozboje po gościńcach państwa kościelnego stały się tego powodem, dość że nader się leniwo zjeżdżają; może i to najpewniejsza, że po skończonym dopiero adwencie zjawia się goście tak dla Rzymian pożądani. Gospody, domy gościnne wszystkie sklepy skarżą się na złe czasy i wyglądają niecierpliwie przybyszów. Już nawet *pifferari* ściągają do miasta. Są to kobziarze do polskich podobni: dzika ich muzyka rodem ze skał Sabińskich i z gór starego *Latium* przypomina smętną melodyę karpackich górali, od których się jednak różnią malowniczym południowym strojem. Przy wtórze swój kobzy, *la piffera*, śpiewają oni koledy, wiele także podobne do kantyczek naszego ludu i często zadziwiające prostotą poezyi i potęgą natchnienia. Za kilka bajoków, które daje zwykle tylko cudzoziemiec, odprawiają śpiewane nowenny przed Madonnami przystrojonemi w kwiaty i gromnice na rogach ulic i na murach winnic. Uroczym bywa czasem obraz jaki przedstawia *pifferaro* w stroju wirgiliuszowych pasterzy, kłędzący Madonnie pod ruiną. Ale zapewne wkrótce koleje żelazne i cywilizacya zatrą ten dawny zwyczaj i zapędzą naszych kobziarzy napowrót w ich góry. Przyłączam tu śpiewkę którą przed kilku dniami usłyszałem i która mnie uderzyła swoją poezją i prostotą:

O Bambino,

Mio divino.

Io ti vedo qui a tremar

O Dio beato,

Ahi! quanto ti costò l'avermi amato!

Tu lasci del tuo Padre il divin seno

Per venir a tremar su questo feno.

Nie wiem prawdziwie, gdzie i kiedy się zatrzyma we Włoszech ten zapamiętały szal do muzyki Verdegó. Od

samego Tryestu aż tutaj, po wszystkich wielkich i mniejszych miastach, gdzie tylko wstąpił do teatru, wszędzie dawano opery ulubionego mistrza. Długo będzie on jeszcze królował i dopóki mu nie wydrze berła inny jaki *maestro*, który się potrafi podobać włoskiej publiczności, dopóty inne opery będą tylko dawać od czasu do czasu, niby dla odpoczynku. Miałem sposobność podróżowania z berlińskim artystą i kompozytorem muzycznym, który własnym uszom wierzyć nie chciał, gdy słyszał jak Włosi mało dbają o muzykę niemiecką. Trzeba jednak brać Włochów jakimi są; oddają oni wszelką sprawiedliwość uczoności muzyki niemieckiej, ale jej nie lubią i słuchać jej nie chcą, co mojem zdaniem jest następstwem bardzo loicznym. Twierdzić zaś, że się Włochy wyradzają, jak to utrzymywał ów artysta berliński i jego przyjaciele, jest śmiesznością, albowiem ta różnica zachodzi między Niemcami a Włochami: że ową zdegenerowaną i zniewiesciałą muzykę Verdeggo usłyszysz w Berlinie, w Wiedniu, w Dreźnie, czasami nawet w ogrodzie strzeleckim w Krakowie, a niemieckiej muzyki we Włoszech nigdzie. Gdy czasem tu zabłądzi jakiś artysta zagraniczny i da koncert, to Włosi słuchając muzyki Beethovena usypiają, a na kwartetach Mozarta lub Mendelsohna nieobyczajnie chrapiają. Na poparcie tego powiem, że przedstawiono nareszcie podczas *stagione d'autunno*, o chrzczonego przez cenzurę Roberta Djabla. I cóż z tego? wszyscy jednomyślnie mówili „*una gran bella musica*“, ale za trzeciem przedstawieniem nie było w teatrze ani żywej duszy. Zresztą i nie było po co chodzić na teatr: nigdy może nie widziano doboru tak nędznych artystów, jak tego roku. Mieliśmy wprawdzie panię Cortesi, śliczną osobę i dramatyczną jak Ristori aktorkę, ale na nieszczęście bawiąc długi czas w Petersburgu tak sobie zamroziła głos w tym błogim klimacie, że nawet pod włoskiem niebem odwilż nastąpić nie myśli. Jedna Giovannini Baratti, *prima ballerina assoluta*, jak mówią Włosi, zachwycała publiczność swoim znakomitym tańcem. Ta młoda i przystojna artystka dopiero co wyszła z konserwatorium medyolańskiego, ale śmiało twierdzić można, że nie długo znawcy i amatorowie choreografii uznają ją za godną wstąpienia w ślady Tagliolini i Fanny Elsler. Dwa dni przed adwentem przedsta-

wiono operę Rzymianina p. Vera, pod tytułem „Adriana Lecouvreur.” Publiczność dosyć zimno przyjęła kompozycję i inaczej być nie może, kiedy panowie artyści jak najgorzej śpiewali i odgrywali swoje role. Jedna arya tylko otrzymała zaszczyt rzetelnych oklasków, to jest w chwili kiedy Adriana mówi Maurycemu Saskiemu:

*S'io t'amo oh! tu comprenderlo
Esprimer no l' poss'io
S'io t'amo! con te vivere
Per te morir voglio.*

Adwent, ten młodszy brat wielkiego postu, jeżeli nam pozamykał teatru, to bardzo mało natomiast salonów pootwierał. Dotąd oprócz rautów w ambasadzie francuskiej i austriackiej, nigdzie jeszcze wielkich recepcyj nie było. Zdaje się jednak, że karnawał będzie huczny. Pałac Wenecki, pewno największy w całym Rzymie, urządzi gustownie i bogato poseł austriacki hr. Colloredo. Jenerał hr. Goyon głównie dowodzący armią okupacyjną francuską, najął pierwsze piętro w pałacu księcia Ruspoli. Jeden i drugi obiecują dawać cotygodniowe bale.

Należy wspomnieć o ocknieniu się i szerzeniu artystycznego smaku u naszych rodaków, co łatwo poznać z coraz liczniejszych zamówień jakie artyści nasi we Włoszech bawiący dostają. Nie mam wprawdzie nadziei, aby ów obrazowy diletantyzm doścignął kiedy zbyt groźnych dla kieszeń rozmiarów i wskrzesił za Karpatami wiek Medycenszów lub zamienił którego polskiego obywatela w Leona X, ale jakkolwiek bądź, postęp w tym względzie niezaprzeczony. W Wenecyi p. Ignacy Karczewski kopiuje dla hr. P. do Litwy arcydzieło Tycyana, *L'Assunta*, Wniebowzięcie Matki Boskiej. W Bolonii p. Tadeusz Górecki syn naszego poety i bajkopisarza, maluje kopię cudnej ś. Cecylii jednego z najwspanialszych i najbardziej natchnionych utworów Rafaela. Niedawno też skończył oryginalną pracę, wielki obraz przedstawiający Pana Jezusa ukrzyżowanego i Najświętszą Pannę w towarzystwie śś. Jana, Szymona, Maryi, Magdaleny i Marty. Obraz ten jest przeznaczony do kościoła Karmelitów w Petersburgu. Artysta taki jak p. Górecki, jest prawdziwą chlubą dla naszego kraju. Obe-

enie zaś zaczął obraz obstalowany do Krakowa przez hr. F. M. i który zapewne będzie figurował na waszej wystawie r. 1858. Wyobraża on aniołów przychodzących w odwiedzinach do Piasta. W Rzymie nareszcie przypomnieć żadną miarą nie możemy ślicznej roboty p. Postępskiej. Jest to kopia miniaturowym sposobem *Madony di Foligno* Rafaela, którą w Watykanie podziwiamy, wykończona na marmurowej płycie mającej cztery metry francuskie wysokości.

Nigdy pisząc do was nie wspomniałem o tém, co zwykle służy za przedmiot rozpoczynającym się lub gasnącym rozmowom, gdy zbywać im na wątku zaczyna: *la pluie et le beau temps*. Ale jeżeli dotąd meteorologiczna strona bywała całkiem zaniedbywaną w moich listach, i atmosfera żadnej w nich nie grała roli, tą przecie razą musimy zaciągnąć do naszego sprawozdania nielitościwą zmianę klimatu włoskiego i przenikliwe zimno, jakim klasyczny Boreasz nadawszy policzki niezmówną tramontaną, przejmuje nas do kości i każe mimowolnie marzyć o północy.

Dopiero co wyszło z pod prasy drukarskiej: *La Paix 1856, Reverie pour le Piano-Forte composée et dédiée aux amis de l'ordre et de la paix par Henri Glinka Janowicki*. Ta kompozycja jest podzielona na siedm części jak następują: 1° *Les conférences*, 2° *La Satisfaction*. 3° *La reprise des conférences*, 4° *L'accord des plénipotentiers*, 5° *La joie des peuples*, 6° *Les commentaires des peuples, sur le bénéfice de la paix*, 7° *La fin heureuse des conférences*. Dodaje autor, że ostatnią część trzeba wykonać, *con la massima delicatezza*. Niech każdy z szanownych czytelników komentuje jak chce tytuł, rozdziały i z resztą samą muzykę.

A teraz kiedy się kończy stary rok i nowy nadchodzi, a nie wiedząc czego wam życzyć lub nie, bojąc się przysłać wam za mało lub za wiele, choćbym nawet traktował ten przedmiot *con la massima delicatezza*, tak postępuję jak gdybym zostawił u waszego odzwierne go moją kartę wizytową, pisząc na niej owe cztery litery uświęcone zwyczajem:

Z P. N. R.

Londyn w grudniu.

Grudzień — jeden z dwunastu bliźniąt roku — rozstaje się tu z nami z nadwyzwyczajnie łagodną twarzą. Ludzie podstarzali nie pamiętają żadnego z poprzednich jego imienników z tak ciepłutkiem i niemal letniem powietrzem. Wielce też on przyjemnym jest dla wieku z krzepnącą krwią w żyłach. Natomiast deszcze, burze i wiatry na około niego szumią. Chmury czasem się rozstępują i pokażą jakby na żart zniżone nad poziom słońce, albo dozwolą przebić się blademu księżycowi i mdłym gwiazdom. Mrozów ani nawet szronu niemasz i pruszący śnieżek odbył swój taniec w ostatnich dniach listopada, a wtedy zamarzył stawy i jeziora i pobielał pola. Nie na długo wszakże, bo grudzień wszystko rozwiliżył, lody i śniegi stopił. Stało jednak lodów dość na zabawkę dla tysiącznego tłumu biegających na łyżwach, którzy się załamywali na topielach na wielki przestрах i kłopot towarzystwa umyślnie na to ustanowionego, by te roztrzepane, swawolne poddane królowej Imci, wywłóczyć z wody i do życia ocalać. Dość było lodu w parkach londyńskich na tę zabawę, dość na wodach pod Windsorem. Na ostatnich goszczący u królowej Fryderyk Wilhelm książę Pruski, a zięć *in spe*, razem z księciem Wallii tej łyżkowej zabawy próbowali — ślizkieli jak dyplomacya. Widać, że obaj chcieli się do niej zawczasu zaprawić aby umieć się trzymać na ślizgawicach.

Po tym schodzącym jak miłe jagniątko miesiącu, następuje z kolei inne pokrewne jego bracia, ale zapewne innej przyrody i postaci, rozciągając swe berło nad krajami północnej półkuli, a po łagodnem, jak to zwykle bywa, dadzą nam się tém bardziej uczuć surowém swém panowaniem. Nadchodzi karnawał a z nim bale, pohulanki — mścić się nad nami za wesołość będą szczypiącym mrozem, kaszlami, zapaleniami płuc, łamaniami kości jak na torturach i puszczeniem na nas zgrai chorób z zaziębień pochodzących — a co okrutniej, pod drzwi niejednego domu, chatki i pałacu sprowadzą śmierć kołącą, niemiłosiernie. Przeciw takim plagom i niepowetowanym ciosom, jeden z najdoświadczeńszych lekarzy londyńskich, którego już znudziło pisanie ko-

sztownych recept dla swoich pacjentów, tę ogólną i co rzadko, darmo daje radę; a że ona przydatną może stać się dla waszych czytelników, a może dla was samych podczas rozrywek karnawałowych, posyłam ją wam jako przyjacielską przestrożę. Opuściwszy ciepłe mieszkanie lub salę balową, czy to pieszo czy pojazdem — mówi Dr. Hall — zamknij usta, strzeż się gadać na zimnem powietrzu. Na wyjściu, nim ci drzwi otworzą, otul się płaszczem, obwiąż szyję grubą chustką z wełny, zwaną w Anglii *comforter*, włóż ciepłe rękawiczki na ręce. Wyszedszy na ulicę, stul usta i nie otwieraj ich, aż chyba uszedłszy z dziesięć minut. Niegadaj idąc po drodze, dopiero w domu mów ile chcesz. Wielu, co na to niezważali, mogąc żyć czerstwo i zdrowo, leżą teraz w mogiłach. Najczęściej młodzież na to niezważa, i dla tego ona to najwięcej się naraża na cierpienia i przedwcześnie zapada. A dla czego tak radzę? Przyczyna jasna. Mając usta zamknięte, idąc sporym krokiem, powietrze może tylko dostać się do płuc przez nosi przez głowę i okrażając tak w przechodzie wchodzi ogrzane już w płuca — a przeto nie nie szkodzi. Gdy przeciwnie przy prowadzeniu rozmowy, wielka masa zimnego powietrza wciska się wprost i od razu do płuc, oziębiając nagle całą ich delikatną tkankę. Chód zwawy pomnaża żywszy obieg krwi, i tak zwiększając krążenie jej na zewnątrz, czyni zaziębienie niepodobnem, chyba za powrotem do domu przy rozbieraniu się w zimnym pokoju i położeniu się do zimnej a może wilgotnej pościeli.

Nieprzestrzeganie tego — jak Dr. Hall długą praktyką nauczony poświadcza — corocznie przyprawia mnóstwo ludzi o utratę zdrowia, a nawet życia.

Powiem tu parę słów o polityce — nie nawiasem ale umyślnie, gdyż wypadki, o których wspomnę, stanowić może będą dalszy rozwój dziejów świata. Admirał Seymour, ten sam który przeszłego roku komenderował flotą na Bałtyku, a teraz ma komendę na morzu Spokojnem, z wycieczki swój do Japonii wrócił do Hong-Kong dnia 26 września. W Chinach zastał wypadki wielkiej wagi, mogące zerwać pokój z tém państwem, a to z tego powodu: Okręt angielski „Lorcha“ pod narodowym swym pawilonem napadnięty został z rozkazu

chińskich Mandarynów i wszystkich co na nim byli pościnano. Konsul angielski zażądał zadosyćuczynienia za takowe pogwałcenie prawa międzynarodowego, lecz Mandaryni nie dali mu odpowiedzi. W skutek tego komodor Elliot zabrał chiński okręt (Junk) i przyprowadził go do Hong-Kong, ten atoli potrafił z pod straży uciec. Wyprawiono później dwa okręty „Sampson“ i „Encounter“ ku Wampoa z dość znaczną siłą marynarzy i majtków. Na szczęście, admirał Seymour znajduje się na miejscu, a ile z postępowania jego w Japonii sądzić można, przyjsć tam może wkrótce do ważnych wypadków. Najdoskonalsza spokojność panuje w samych Indyach, lecz ogień wojny dla Anglii roznieca się na obu ich krańcach. Jedna jój flota w odnodze perskiej działania swe rozpoczęła, druga rozpoczyna na brzegach chińskich; inne eskadry roztoczone są po drugich morzach, Czarném, Śródziemném, w zatoce Panamy, strzegąc panowania Anglii na wszystkich oceanach — panowania, nad które większego żaden naród dotąd niezdzierzył.

Z przeciwnej strony Rosya sili się rozszerzyć swe panowanie będące w Azji. Według wiadomości odebranej z Foo-Chow-Foo z dnia 7 października, zawarła ona w Pekinie traktat z Chinami. Do 3,000 morgów ziemi i oraz wygodny port morski na brzegach Chasanu odstąpił cesarz chiński „Syn Nieba“ na wieczne czasy Rossyi. Konsul jeneralny rosyjski już tam zesłany i przyjęty; mieszkanie jego ma być w twierdzy, której budowa wkrótce będzie rozpoczęta. Umocowany on jest od swego rządu obszerną dyplomatyczną władzą: wolno mu będzie mianować bez odnoszenia się do Petersburga, innych konsulów i agentów, jakich uzna potrzebę, na wszystkie prowincye państwa Chińskiego. Po otrzymaniu przed dwoma laty przez Rosyę obszernej krainy nad Amurem, terazniejsza zdobycz jój na Chinach — acz dyplomatyczna lecz tém straszniejsza — mocno zwraca uwagę Anglii na jój działania w stronach chińskich.

Po przeczytaniu w *Czasie* nader ciekawego i zajmującego felietonu o Australii, jaką była ta część nowa ziemi przy odkryciu, przytoczę tu w kilku słowach, jak ważną, ona stała się teraz dla cywilizujących ją posia-

daczków. Naturalnie z mego obowiązku trzymania się jako korespondent najświeższych tylko nowin, piszę jedynie o przybyciu ostatniego ztamtąd okrętu „True Briton,” co z miasta Melbourne tu przypłynął. Przywiózł on nowy transport złota do 132,000 f. szt. wartości, co uważam za nie wiele, gdyż zdarzało się nieraz, że po dwa razy tyle i nawet po pół miliona ztamtąd przywożono. Z dzienników, jakie także przywiózł, okazuje się, że stan tej krainy, którą Tazman nazwał dziedziną „mieszkańców piekła,” niepozostawia nic do życzenia, prócz większej ludności i rozmnożenia osad. Odkryto w niej nowe miejsca obfitujące w złoto, nagradzające sownie pracę kopaczy. W miejscu zwanem Landhurst, do 45,000 ludzi trudni się jego kopaniem. Znajdowano także srebro, miedź, cynę, rudę żelazną i piękny marmur — co wszystko obiecuje wielkie korzyści. Natrafiono podobnie na brzegach, w pobliżu *Port Philip*, podczas czynionych tam eksploracyj, na warstwę węgla kamiennego, tak potrzebnego do opał i oświecenia do fabryk i żeglugi. W cieśninie *Bass's Strait*, przy łowieniu ryb jako wielką osobliwość złowiono sztokfisz, rybę dotąd tylko na morzach północnej półkuli poławianą, nowy artykuł do żywności i handlu. W Nowej Zelandyi pod górą *Dun-Mountain* gdzie bogate miny miedzi, odkryto wielką ilość rodzimęj w sporych bryłach. Poszukiwano tam złota, lecz nigdzie go dotąd nie znaleziono.

Wspominałem wam nieraz o lektorach dawających odczyty po instytucjach mechanicznych i naukowych. Wędrownicy ci professorowie, niezamianowani przez żadną władzę akademicką, lecz upoważnieni jedynie mocą, wyższego talentu i ukształcenia, coraz nabywają większej wagi. Do pocztu ich widzimy już zaciągających się takich pisarzy jak *Thackeray* i *Albert Smith*, którzy występowaniem publicznie z swemi odczytami znajdują może większe korzyści niż od księgarzy za swe piśmienne prace. *Thackeray* od trzech miesięcy objężdża głównejsze miasta angielskie i szkockie i był w *Liverpoolu*, *Manchestrze*, *Edinburgu* gdzie w najznaczniejszych instytucjach naukowych, dla licznych słuchaczy dawał swe odczyty „o czterech Jerzych” królach angielskich, skreślając dziejowy obraz obyczajów i moralnego stanu narodu za panowania tych czterech królów. Że dobrze na tem wycho-

dzi ani wątpić; zwłaszcza, że tam tylko jeździ gdzie odbiera zaproszenie, a zatem pewność znalezienia słuchaczy. I tak zaproszony teraz został przez towarzystwo naukowe Marilebone londyńskie, do dania dnia 30 grudnia lektury o tych samych „Czterech Jerzych;“ za co mu w nagrodę ofiarowało towarzystwo 50 fnt. szt. Jest przyznacie, za co profesorstwem dla ludu się trudnić: nowy to rys i postać tego wieku. Albert Smith zbiera również obfite żniwo, jeżdżąc z swemi lekturami, czyli raczej opowiadaniem swej podróży odbytej na *Mont-Blanc*. Miał zaszczyt opowiadać ją nawet u dworu dla N. Pani i dla królewskiej rodziny. Ztąd ma wziętość u ludu i obudza ciekawość. Jak pisanie tak i opowiadania jego sposób jest humorystyczny, a ten najwięcej jest lubiony i popłatny u ludu angielskiego. Ma z tych lektur mieć do roku jak mówią 6,000 funt. szt., dochód wyrównujący pensyi ministrów stanu. Dawają także cudzoziemcy odczyty: Koszuth, Gavazi i Orsini; lecz ci rozprawiają jedynie o polityce lub kościelnych przedmiotach. Oczekiwany jest tu z powrotem w tych dniach Dr. Levingstone, niepospolity podróżnik w krajach afrykańskich, najślawniejszy niezawodnie po Mungo Parku. Zwiedził on środkową Afrykę przedzierając się przez nią, od zachodu na wschód pośród wielkich trudów i niebezpieczeństwa od dziczy tam mieszkającej i od lwów na które polował. Podróżował w podwójnym charakterze misyonarskim i lekarskim, a podróż ta zajęła mu całe 17 lat, i miano go już za straconego. Dostał się na okręt „Frolic“ na brzegach Mozambiki. Dr. Levingstone od tylu lat przebywając między pokoleniami afrykańskimi, zapomniał prawie własnej mowy i z trudnością nią się wyraża. Przybył z Aleksandryi na okręcie „Candia“ do Tunisu. W Mozambiku miał z sobą człowieka ze środka Afryki. Ten dziki człowiek albo raczej człowiek natury, za przybyciem na wyspę Mauricius, na widok parowych statków i różnych cudów cywilizacji, do tego stopnia był odurzony, że dostał pomieszania zmysłów, skoczył z okrętu i utonął. I nie dziw: musiało mu się wydawać, że był w zaczarowanej krainie.

Świat uczony wygląda z ciekawością opisów podróży Dra Levingstonea. Rząd zamyśla, jak wieść niesie, o wysłaniu wyprawy eksploracyjnej w tamte nieznane ustro-

nia pustyń afrykańskich, gdzie stopa ludzka z Europy dotąd niepostała.

Pan Coxe, jeden z bibliotekarzy Bodlejskiej biblioteki w Oxfordzie, ma jechać na Wschód, do wyszukiwania starodawnych rękopismów. Rząd otrzymał od p. Curzona uwiadomienie, że mnóstwo nieznanych dzieł greckich znajduje się po klasztorach tamtejszych. Uniwersytet dał p. Coxowi na żądanie rządu całoroczny urlop w celu dokonania tej naukowej podróży.

Zwyczajem jest w Anglii obierać znakomite osoby nauką lub urodzeniem, na godności rektorskie w uniwersytetach. Na rok następny uniwersytet Glasgowski obrał rektorem Sir Bulwera Lyttona, znanego poetę dramatycznego i autora wielu romansów historycznych. Przyrzekł on tam zjechać przed Wielką Nocą dla powiedzenia mowy inauguracyjnej. Nowa komedia jego „Money“ (pieniądz), tego tygodnia była przedstawiana na teatrze Haymarket. Murdoch, nowy aktor, występował z wielkim talentem w roli Evelina.

Na przyszły rok — bo już zawczasu trzeba nam doń sięgać — przygotowania robią się do wielkiej muzycznej fety mającej odbyć się w pałacu krystalowym. Wyprawiają ją na pamiątkę setnej rocznicy po śmierci sławnego Händla. Poprzedzić ona ma niemniej pamiętne rocznice wielkich kompozytorów roku 1859, jako to: pięćdziesiątletnią rocznicę po śmierci Haydena, oraz pięćdziesiątą od urodzenia Mendelsona. Tym pewnie także cześć będzie oddana. Można więc spodziewać się w tym krótkim przeciągu czasu nadzwyczajnych uroczystości muzycznych i wielkiego popisu znakomych talentów w różnych gałęziach muzyki. Czas na teraźniejszy obchód przeznaczony jest na miesiąc Maj. Na nim wystąpić ma 2500 najznakomitszych artystów. Harmonijne towarzystwo londyńskie muzyki kościelnej ofiarowało od siebie do 3000 osób pragnących mieć udział w tej uroczystości, niewłączając w to swojej licznej orkiestry składającej się z 700 artystów, a z której może być zrobiony wybór, równie jak z liczного grona amatorów należących do składu Towarzystwa Harmonijnego. Nie sama tylko stolica ale i miasta prowincjonalne pragną się przyłożyć do nadania blasku tej uroczystości, bo Händel niemniej jest wielkim jak i najulubieńszym w

Anglii kompozytorem. Miasto Birmingham ofiarowało od siebie chór 400 śpiewaków. Wykonanie muzycznej tej fety ma się odbywać w środkowej przegrodzie pałacu krystalowego, na największą jaką była dotąd skalę. Już budownicy zajmują się urządzeniem miejsca na ten cel, do dnia 25 kwietnia wszystko będzie gotowe.

Znana jest historyja sławnego *Requiem* Mozarta i pro-rocze jego przeczucie swej śmierci. Prawie podobne przeczucie miał Hogarth zapowiadające mu zgon. Jednego dnia po skończonem obiedzie, w mieszkaniu swem w Chiswiku pod Londynem rzekł ten malarz siedząc w kole przyjaciół, że zamysła malować koniec wszystkiego co na świecie. „Jeżeli tak — odezwał się jeden z gości nalewając z uśmiechem wina — wtedy będzie i koniec z malarzem.“ — „Nieinaczej, bo i tak stanie się — odrzekł Hogarth i ciężko westchnął — „i dla tego im rychlej dokonam dzieła, tem lepiej.“ Jakoż zaraz nazajutrz rozpoczął swój obraz — a jaki? Wymalował stłuczoną butelkę, zużytą starą miotłę, rozlupany dzwon i rozbity na drobne kawałki klepsydrę. „Tak dalece wszystko dobrze“ — wyrzekł malarz — „teraz nie pozostaje jak to“ — po których słowach rzuciwszy o ziemię swą paletę, roztrząsał ją. „Finis!“ — dodał — „tak wszystkiemu koniec.“ Nie minął po tém miesiąc, a mistrzowska ręka, co to kreśliła, leżała bezwładna w grobie.

Te przeczucia kresu życia przywodzą mi na pamięć ostatnie słowa mocarzy i sławnych ludzi — owe *novissima verba*, jak dawni Rzymianie je nazywali — wyrażenia, w których namiętności, żądze i zabiegi całego życia zbiorowo były skupione, spotęgowane a z jakimi wielu z nich świat żegnało. Z takich streszczonych słów i ostatecznym oddźwiękiem z całego życia, pamiętnem było: „Tête de l'armée“ — czoło wojska, wyrzeczone przez umierającego Napoleona. — „Kochałem Boga, mego ojca i wolność“ — przez de Stael. — „Niech umieram przy wdzięcznym odgłosie muzyki“ — przez Mirabeau. — „Takaż to wasza wierność?“ — słowa Nerona w obliczu swych morderców. — „Władca państwa powinien umierać stojący“ — słowa Augusta. — „Teraz pokój mi“ — słowa Savonaroli. „Muszę teraz zasnąć“ — słowa umierającego Byrona w Missolundze. — „Dzięki Bogu, dopełniłem swego obowiązku!“ — słowa Nelsona w bitwie morskiej pod Trafal-

gar — „Pocałuj mnie, Hardy,“ konając do swego przyjaciela. „Niedajcie wiazać okrętu.“ — słowa Lawrence’a. „Puls arteryi bić przestaje.“ — słowa Hallera: „Niech światło wchodzi“ — rzekł Goethe: „Wszystkie moje posiadłości w tym czasie“ były ostatnie słowa królowej Elżbiety: „Mnichy, mnichy, mnichy!“ — słowa Henryka VIII.: „Co? czy już niepodobna przekupić śmierci?“ — słowa Kscia Beaufort: „Zdaje mi się, jak gdybym odzyskał me zmysły.“ — Sir Walter Scott w ich zaciemnieniu za ostatnich lat życia: „Wszystko dobrze“ — słowa Washingtona: „Niedajcie mej Nelly nieboraczkę umrzeć z głodu“ — błagalne słowa króla Karola II. o jednej ze swych kochanek: „Kropki krwi niemasz na mych rękach“ — słowa Fryderyka V. „Najlichszym z prochu“ — A. J. Q. Adams Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki: „Niedajcie owej brutalskiej gawiedzi strzelać nad mym grobem“ — słowa poety Burns: „Posłałem po ciebie lordzie Warwick, byś widział jak chrześcianin umiera“ — słowa Addisona: „Przestań teraz“ — rzekł filozof Locke konający do pani Mashan czytającej mu psalmy: „Czyż to ma być śmierć?“ — pytał Król Jerzy IV. „A co? czy uciekają? umieram tedy szczęśliwy“ — słowa jenerała Wolfe: „Gdy tak, niema teraz niebezpieczeństwa“ — słowa Cromwella: „Dni moje minęły jak cień bez powrotu“ — słowa sławnego kaznodziei H. R. Hookera. „Dajcież mnie raz słyszeć te tony które tak długo były moją pociechą i rozkoszą“ — ostatnie życzenie Mozarta. „Niechno te prawdziwe zasady dobrego rządu będą przyjęte, a ja nie żądam nic więcej“ — słowa polityka Harissona: — „Niedbać jak upadnę, to moja rzecz“ — słowa Sir Tomasza More na rusztowaniu: „Ze mnie macie przykład końca wielkości świata i wszystkich jego próżności“ słowa p. Sydneya.

Na posępne wpadłem myśli, nasunął mi je kończący się rok. Bynajmniej to smucić niepowinno. Z nowym rokiem wszystko zwykłym torem toczyć się będzie — ginąć i odradzać się, i przeplatać się smutkiem i radością. Taki wieniec przeznaczony jest przez Opatrzność na skronie ludzkiego rodu.

Warszawa w grudniu.

Smutna to rola korespondenta miesięcznego, zmuszony jest bowiem często donosić wam wiadomości przebrzmiałe nie tylko dla siebie ale i dla was. W dzisiejszej na przykład korespondencji chciałbym koniecznie uraczyć was jaką nowością, a przekonywam się, że muszę zacząć od starych wiadomości i kończyć na starych, to jest takich, o których przez nasze dzienniki już wiecie zapewne. Ale na moją pociechę medal ten korespondencyjny ma odwrotną stronę, a tą jest pogląd na wypadki, mój zaś nie zawsze się zgadza z opinią dzienników warszawskich. Zaczynam więc śmiało, bo może do tych znanych wypadków, dodam jakie nowe przypiski.

Najbardziej (!) zajmowały Warszawian w tych czasach wybory na członków komitetu, do starej czyli wielkiej resursy kupieckiej. O tej resursie prawilem już wam kiedyś, ale ponieważ pewnie zapomnieliście, powtórzę w kilku słowach. Przed dwoma latami zrobił się był w tej resursie wielki przewrót. Do owego czasu wybierano do komitetu partyę staro-kupiecką, ludzi rutyny, którzy znajdowali, że rzeczy tak dobrze idą jak szły, i nie chcieli żadnych innowacyj wprowadzać. A tymczasem resursa ciągle upadala, z każdym rokiem coraz mniej bywało osób, liczba członków nie powiększała się i fundusze wcale nie wzrastały. Postanowiono zrobić *coup d'état*; partya opozycyjna ukuła spisek, przeciągnięto wahających się i bezkolorowych, a skutkiem tego powstał nowy komitet, złożony z żywiołów całkiem odmiennych od tych, które należały do składu dawniejszego. Wiadomo czy nie wiadomo wam, że komitet naszej resursy składa się z sześciu członków należących do stanu kupieckiego, i trzech nie liczących się do tego stanu, a to dla tego, iż kupcy w resursie jako w instytucyi przez siebie założonej, powinni stanowić większość. Otóż ze stanu kupieckiego wybrano: Halperta Ludwika (prezesa), Jakóbowskiego Salwiana, Hr. Łubińskiego Tomasza, Kronnenberga Leopolda, Rosena Matyasza i Vettera. Ze stanu zaś niekupieckiego: hrabiów Leona Łubińskiego, Augusta Potockiego i Seweryna Uruskiego. Pomiędzy więc członkami wybranymi aiby to ze sta-

nu kupieckiego, ani jednego prawdziwego kupca nie było, bo pan Vetter jedyny z niech może zasługujący na to miano, jest tylko właścicielem fabryki obić, oprócz zaś niego w skład komitetu wchodzi trzech bankierów, hr. Tomasz Łubiński były generał wojsk polskich, należący do wspólki domu pod firmą hr. Łubińskich prowadzonego i pan Ludwik Halpert, który trudnił się niegdyś przedsiębiorstwami przemysłowemi. Nazwiska zaś członków ze stanu niekupieckiego same za siebie mówią. Łatwo się domyśleć, że nowy komitet chcąc okazać swoją gorliwość i usprawiedliwić zaufanie w sobie położone, ostro wziął się do rzeczy. Odnowił gmach, powiększył czytelnię i bibliotekę, zaprowadził mnóstwo wygod, ustanowił peryodyczne zebrania, składkowe obiady i kolacje, a z tem wszystkiem przysporzył funduszków. A stało się to naprzód przez powiększenie liczby członków, bo mnóstwo zamożnych panów, szlachty, obywateli miejskich i urzędników spieszyło zapisać się w grono członków, których liczba w krótkim czasie przeszła w dwójnasób się pomnożyła, tudzież ustanowieniem gry w karty na dochód resursy. Dotychczas bowiem gra na bardzo małą odbywająca się skalę, stanowiła dochód dla służby i marszałka.

W krótkim czasie pierwotni założyciele resursy, kupcy, zatopili jak kropla w tem morzu przybyszów, a chociaż związali się w opozycję, głos ich bezsilnym był przeciwko przewadze komitetu, popieranego przez tych wszystkich, którzy co wieczór przychodzili bawić się w preferans lub *palki* (jest to nowa gra będąca teraz w największem użyciu). Wołali wprawdzie jak Kassandra, że zguba grozi muiom Troi resursowój, ale nikt im nie wierzył, i rzeczy szły ciągle dawnym porządkiem.

Tymczasem w bieżącym już roku, przed samymi wyborami, zaczęło się tworzyć odszczepieństwo w tej właśnie partyi, która wyniosła nowy komitet. Opozycja ta wprawdzie nie łączyła się z kupcami i działała osobno, ale niemniej przeto mogła być straszną dla komitetu przy nowych wyborach. A ci malkontenci występowali z następujących zasad.

— Któż to — mówili oni — należy do składu tego komitetu? Sami hrabiowie i bankiery, arystokracja rodowa i pieniądze; czyż to ma być rzeczywista repre-

zentacya naszego towarzystwa, złożonego z tak różnorodnych żywiołów i mającego za cel połączyć je w jedno? Ci panowie są tylko przedstawicielami pewnych części ale nie ogółu. Prawda, że pod ich zarządem pomnożyła się liczba członków, fundusze się podniosły, ale w jakież sposób podniosły się one? Oto dochodem z kart — to nie wielka sztuka; — karty stanowią najżywniejszą dźwignię zabaw resursowych, a stopa gry tak jest wygórowana, że różnica jednego wieczora na tysiące się liczy. Resursa nie jest ani nie powinna być klubem na wzór francuskich lub angielskich, nie taki był cel jej założenia; gdyby było kilka innych podobnych towarzystw, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, ale w obecnym stanie rzeczy jest to nadużyciem, któremu nie można dozwalać rozwijać się dalej w ten sposób. Resursa powinna dawać bale i koncerty, starać się o zjednoczenie i połączenie towarzystwa, a nie odciągać mężów od żon i służyć tylko dla zabicia czasu — Koncertów teraz prawie niema, a dawniej mieliśmy często. W prawdzie w karnawał bale i wieczory bardzo bywały świetne, ale za to przez całą resztę roku jak nożem uciął, żadna dama ani pokaże się w Resursie. Tak nie powinno być; trzeba zaradzić temu.

Postanowiono więc zrobić odmianę w Komitecie, odrzucić kilku członków, a zastąpić ich nowymi.

Otóż rozpoczęła się zupełna walka parlamentarska, ze wszystkimi intrygami, sesyami, z całym zajęciem przywiązaniem do walk tego rodzaju.

Ale opozycja źle się wzięła do rzeczy, zbyt głośno i zbyt wczesnie objawiła swoje zamiary, i nie połączyła się z partją kupiecką, która jak już mówiłem, stojąc na uboczu, jak legitymiści francuscy, pragnęła jedynie dawnego przywrócenia porządku rzeczy.

Stronnicy komitetu zmiarkowali się, nagromadzili wczesnie zaradczę środki, potrafili ująć na swoją stronę redakcyę pism naszych, które wszystkie oświadczyły się za utrzymaniem dotychczasowego składu członków, i nareszcie na wyborach, które kilka dni temu miały miejsce, wygrali sprawę, bo komitet utrzymał się znakomitą większością głosów.

Tylko zdaje mi się, że zwycięzcy za bardzo tryumfo-

wali ze swojej wygranėj, i tym sposobem mocniej jeszcze rozjątrzyli partję przeciwną.

Jestem najzupełniej za jednością, którą tak wszyscy tutaj proklamują pomimo najgorętszych sporów, ale sądzę, że komitet jeżeli się zechce utrzymać na rok przyszły, powinien by pomyśleć o zaprowadzeniu kilku koniecznych zmian w dotychczasowem postępowaniu.

A najprzód niechaj się postara o zniesienie stawki w karty, bo chociaż wielu z tych, którzy używają tej przyjemności, posiadając znakomite majątki, mogą się nie lekkać wielkiej przegranej, to jednak większość składa się z ludzi miernych zasobów pieniężnych, a przykład jest zaraźliwym — i widzieliśmy już wielu takich, których kilkakrotne przegrane o bardzo dotkliwe straty przyprawiły. Z tej niybyto równości, która tam panuje, wypływa to, że każdy chce się okazać możniejszym niż jest w istocie, a ponieważ zielony stolik jest miarą, w tym względzie, można widzieć mnóstwo urzędników o kilkutyśięcznej pensyi, obarczonych rodziną, zasiadających do gry stosunkowo bardzo wysokięj.

Powtóre, dla czegoż wielkie zebrania mają się odbywać jedynie w karnawał? Któż zabrania komitetowi ogłosić w innej jakiej porze jaki koncert, zaprosić na wieczór tańczący, albo zresztą urządzić coś podobnego do rautów tygodniowych—Resursa zabiera nieęczyzn z miejskich towarzystw, a damy się skarżą osamotnione. Dla czegoż owo zjednoczenie i do nich nie miałoby się rozciągnąć? W ówczas dopiero byłoby ono prawdziwém i weszłoby w życie. Tysiąc powodów przemawia za tem, a komitet może wiele zrobić, byleby chciał tylko.

Mała czyli nowa resursa, w swoim kółku, w oddzielnej sferze daje dobry przykład. I tam liczba członków powiększa się ciągle, fundusze nie umniejszają się a wieczorów i koncertów nie brak, a nawet tego rodzaju zebrania bardzo bywają ożywione. To prawdziwe towarzystwo a nie klub miejski. — Członkowie grają tam wprawdzie co wieczór w karty, ale stawka gry jest bardzo umiarkowana, nie przechodzi miary zabawy. — Wielka resursa jest izbą wyższą warszawską, gdy tymczasem nowa na izbę niższą zakrawa — niech więc *parowie* biorą przykład z *deputowanych*. Wierzymy że komitet ma jak najlepsze cele, a znając po szczególe

osoby w skład jego wchodzące, potwierdzający wybór, który jest zawsze zaszczytem, bo dowodzi zaufania. Niechcemy nawet powtarzać niektórych drobnych zarzutów przeciwko temu lub owemu członkowi. Wyborem i sympatya i *potrzeba* kieruje, ale wybrani, jeżeli im idzie o utrzymanie się na swoim miejscu, powinni starać się przede wszystkim ogół zadowolnić, bo jeżeli na przyszły rok dwie opozycje połączą się w jedną, to minimum będzie zmuszone podać się do dymisji.

Wybaczenie, że mam tyle namiętności, tę reprezentacyą warszawską, ale pragniecie nowin miejscowych, a dla Warszawy jest to przedmiot żywotny (?).

O procesie dwóch menażeryj bawiących obecnie w Warszawie wiecie już zapewne: p. Kreutzberg zakupił od p. Barnabo cały asortyment jego zwierząt za 95,000 złp. Wszczęła się pomiędzy nimi jakaś kwestya formy, i sprawa dotychczas nierozstrzygnięta. To tylko wam dowiedzi, ile mogą rachować na Warszawę tego rodzaju przemysłowcy, którym zawsze się tu udaje zebrać wielkie zyski. Warszawianie kontenci, że widzą różne indywidua w klatkach i pod batem; niedola cudza zawsze nas pociesza — A przytém obie menażerye warte widzenia, wielki tam dobór i mnóstwo ciekawych egzemplarzy, a chociaż zamiast orangutanga ogłoszonego w afiszach, pokazują niedorosłego mandrilla, to któżby znowu tam wdawał się w takie drobnostkowe rozbiory, zawsze i to mała.

Nie wszyscy jeszcze wychodzący latowi pojeżdżali się napowrót do miast; wieczorów więc mało. Z literackich zebrań rozpoczęły się na nowo piątki u Hr. Al. Przeździeckiego, poniedziałki zaś u pani Łuszczewskiej ustaly na dobre. Czasem tylko za osobnemi zaprosinami przy szczególnych okolicznościach, zbiera się tam szczerpie grono literatów. Z artystów muzykują, czytają ten lub ów, Deotyma improwizuje. Na czwartkach archeologicznych w resursie kupieckiej mało osób bywa, sami tylko najzapalenscy lubownicy archeologii, chociaż często bardzo ciekawe okazują nabytki. Wystawa starożytności wkrótce na nowo się otworzy, znacznie powiększona i skompletowana; katalog już podobno ukończono; P. Bajer także już wykończył swoje album fotograficzne wystawy. Wszystkie odbicia rzeczywiście piękne!

bardzo dokładne; kosztowało to wiele pracy która w żadnym razie się nie opłaci. Chciano by z tych wszystkich usiłowań utworzyć coś stałego, ale zdaje mi się że to tylko *pia desideria* — Podobno w Poznaniu przedsięwzięcie tego rodzaju lepiej się udało, bo tam jak mi donoszą, założono już coś nakształt towarzystwa przyjaciół nauk — Musicie mieć dokładniejsze o tém wiadomości przez waszego korespondenta. Daj im Boże wytrwać na dobrej drodze.

Słysząc o kilku zmianach w wyższym kółku urzędowym, donoszę wam to tylko jako wieść, bo żadnej dotąd niema pewności. Podobno Radca tajny Lebrun dotychczasowy Sekretarz Stanu przy radzie administracyjnej ma otrzymać miejsce prezesa Heroldyi opróżnione po tajnym radcy Tymowskim, a na posadę sekretarza stanu ma być zanominowany Rzeczywisty Radca Stanu Karnicki, dotychczasowy członek Senatu. Mówią także o nowem obsadzeniu posady kuratora Okręgu Naukowego; niezgadza się jednak na nazwisko osoby przeznaczonej na to ważne stanowisko, to tylko pewne, że dotychczasowy kurator Radca tajny Muchanów, który jest zarazem i Dyrektorem głównym prezydującym w komisji rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, przeniósł się już z pomieszkania w kuratorji do gmachu komisji spraw wewnętrznych.

Podobno Najjaśniejszy Pan ma przyjechać do Warszawy w zimie albo na początku wiosny.

O Akademii lekarskiej ucichło jakoś, projekt jak wam doniosłem, dawno już poszedł do zatwierdzenia, może to oczekiwanie jest zapowiedzią większych jakich zmian. Prezes komisji prawodawczej Radca tajny Hube bawi ciągle w Warszawie, a roboty około ustanowienia nowej formy sądownictwa nie ustają. Podobno sąd apellacyjny który dotychczas w Warszawie tylko zasiadał, zostanie rozdzielonym na gubernie. Z tysiąca wieści, które obiegają trudno co uchwycić, a niechęć znowu podawać różnych domysłów, które mogą bardzo łatwo okazać się fałszywemi. To tylko pewne, że tutaj wszyscy spodziewają się polepszenia; jest to echo ogólnych życzeń.

Otwarcie Hotelu Europejskiego ma wkrótce nastąpić. Na obchód tej ważnej uroczystości, współwłaściciele hotelu postanowili wydać wielki obiad, na który mają po-

dobno zamiar zaprosić księcia Namiestnika, naczelników władz, znakomitszych tutejszych obywateli, redakcye pism i t. d. Będzie to pompatyczny obchód, bo też i przedsięwzięcie nie lada: miliony tam utonęły, a rzeczywista przysługa odda się miastu.

Roboty około oświetlenia gazem postępują ciągle, pomimo spóźnionej pory, za pomocą rozkładanych ognisk topią lód i miękczą ziemię dla zakładania rur. Bo też jak słyszałem, kontrakt spisany z przedsiębiorstwem ma być bardzo ścisły, czas ukończenia robót dokładnie wypisany i w razie opóźnienia się, bardzo wysoka naznaczona kara. Również numerowanie domów ulegnie zmianie, każda ulica ma mieć osobne numera. Takżę kanalizacya miasta podług zupełnie nowego ma być urządzona systemu. Profesor Przysiański powtórnie wysłany został za granicę, ma on zbadać sposób wyrabiania pudrety we Francyi i Belgii, bo tu zamierzają korzystać z tej ważnej gałęzi przemysłu, która dotychczas leżała odłogiem. Wpływie to przeważnie na polepszenie gospodarstwa wiejskiego, zwłaszcza w okolicach Warszawy, a i do czystości miejskiej nie mało się przyczyni.

Z literatury oprócz kilku nowych powieści i ruchu dziennikarskiego nie wiele słychać. najważniejszą nowością jest, że któryś z księgarzy ma otrzymać pozwolenie na drukowanie dzieł Mickiewicza nie tylko wydanych w kraju, ale i niektórych drukowanych za granicą, a nawet urywków będących jeszcze w rękopiśmie. — Po to nawet umyślnie jeździł do Paryża i robił ugodę z panem Wołowskim, opiekunem małoletnich dzieci po Mickiewiczu pozostałych; jak słyszałem, uzyskał prawo wyłączne do własności tych dzieł na dziesięć lat, za dość sporą sumę, podobno 40,000 złp. Jak na nasze ceny, nie jest to mało, chociaż uwzględniając wartość dzieł i usposobienie publiczności, sądźmy iż księgarz ów zrobił bardzo świetny interes. Hrabia Przezdziecki usunął już się podobno zupełnie od prowadzenia *Gazety codziennej*; przedsiębiorstwo wydawnictwa bierze na siebie dotychczasowa redakcya: są to po większej części ludzie młodzi i niedoświadczeni, którzy ofiarowali się za darmo pracować, na przychód bowiem liczyć nie można, dobrze jak koszta papieru i druku się opłacą. — Do podniesienia tej gazety, trzebaby chyba jakich potężnych

nałowań, w obecnym bowiem stanie prowadzenie jej samo z siebie musi zgasnąć, a szkoda pisma. Inni znów utrzymują, że jeden z bogatych bankierów warszawskich będzie zasiliał redakcyę, pragnąc posiadać własny organ.

To pewne, że od niejakiego czasu *Gazeta Codzienna* występuje z artykułami na obronę starozakonnych na których znów inne pismo Warszawskie powstaje bardzo ostro. O ruchu teatralnym zdam wam sprawę na przyszły miesiąc, zwłaszcza, że w tym oprócz „Chałki w lesie“ Syrokomli i baletu pod tytułem „Faust“, niemieliśmy żadnych nowości.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Oprócz trzech kalendarzów o którychśmy donosili, kilku książeczek z rycinami dla dzieci, przekładu *Fabioi* i świeżo wyszłych Hymnów Kościelnych *Xiędza Hołowińskiego* nieślychać o żadnej nowości literackiej z końcem bieżącego roku, co nieprzeszkadza żeby niekrażły liczne projekta to dalsze, to bliższe urzeczywistnienia. Między innymi, najbliższy urzeczywistnieniu plan powziął księgarz tutejszy *Juliusz Wildt*; zamierzył bowiem od Nowego Roku wydawać *Czytelnię domową* w zeszytach, po bardzo niskiej cenie; ma ona zawierać wybór najlepszych powieści i romansów w dobrych przekładach z różnych literatur europejskich, a mianowicie z Angielskiej, Włoskiej, Szwedzkiej, Rosyjskiej itd. Wszakże nie same tylko romansy będą wchodzić w skład Czytelnicy, ale i dzieła historyczne, a nawet poezje, jeżeli w tym rodzaju okaże się coś znamienitego a pisanego przystępnie dla większej masy czytelników. Pomyśl o trafny i godny zachęty, już że

wyбір dzieł będzie staranny pod względem moralności i dobrego smaku, a podrugie że ta publikacya da to samo co zmniejszonym doбором zrobione tłumaczenia niemieckie lub francuskie belletrycznych bibliotek, ale da w języku ojczystym, a tym sposobem ułatwi poznanie najlepszych utworów zagranicznych. Na początek ma się ukazać przekład romansu *Dred* przez sławną Amerykankę *Beecher Stowe*.

— *Wincenty Pol* jak nas wieś deszła drukuje swoje poemata w Wiedniu czy co do znanych przybędzie niewiadomo. —

— Wyszło też w drukarni *Budweisera* tłumaczenie wierszem Niemieckim *Maryi Malczewskiego* przez *Ernesta Schroll* — Wiersz gładki i oddający dość z precyzją piękności oryginału. —

— *Józef Kremer* zajęty jest dziełem: „*Podróż do Włoch*.” — Praca ta będzie dalszym ciągiem czyli raczej dopełnieniem „*Listów z Krakowa*”, gdy bowiem w „*Listach*” podane są ogólne zasady estetyki i dzieje fantazyj arty-

stycznej na tle historii powszechnej, „w Podróż do Włoch“ autor zamierzył przedstawić Estetykę zastosowaną do pomników sztuki znajdujących się na ziemi Włoskiej a zwłaszcza unaoznosić za pomocą tych pomników Historię sztuki. Do tego celu podróż po Włoszech następuje autorowi wielce sposobną porą. — Jakoż reszty architektonicznych pomników i Muzea Florenckie, Rzymskie i Neapolitańskie tak są bogate, że dostarczą Autorowi obfitego materiału do wykazania historycznego rozwoju Architektury, rzeźby i malarstwa starożytnej klasycyzacji; a kościoły, pałace, galerie obrazów, które spotykamy we Włoszech znowu są tłem wyborem do wywieśnienia epok Architektury, skulptury i malarstwa Chrześcijańskiego. —

Dzieło to ma obejmować 5 tomów. — Wiele drzeworytów wyobrażających najważniejsze dzieła sztuki umyślnie do tej pracy zrobionych i wydrukowanych w text posłuży do wyjaśnienia rzeczy. — Rysunki do tych drzeworytów są wykonywane przez młodych artystów w Krakowie a znakomity drzeworytnik p. Kretschmar w Lipsku wyrznie takowe na drzewie. — Nakładcą tego dzieła jest pan Józef Zawadzki w Wilnie. — Dwa pierwsze tomy zupełnie skończone i do druku przygotowane, Autor zajęty skreśleniem Tomu III.

— Pan Teofil Żebrawski wydał już IX. Tom Historii Lit. polskiej Władysława, który w znacznej części jest owocem nauki i pracy wydawcy; — przybywa jeszcze tom X obejmujący spis wszystkich nazwisk znajdujących się w dziewięciu tomach. — **Lwów** który liczy oprócz rządowej i hebrajskiej drukarni, pięć innych t. j. nakładu narod. imien. Ossolińskich, Winiarsza,

Pillera, Poremby i stauropigian-ską; niewydaje przecież stosowanej ilości dzieł.

Oto co ostatnie miesiące przyniósł nowego:

W drukarni Zakładu narod. imien. Oss. drukuje się teraz: trzeci tom słownika Lindego, doprowadzony do 18. arkusza. — Piąty zeszyt wydawanego nakładem Kajetana Jabłońskiego zbioru pism naszych, pod napisem: Dzieła znakomitych pisarzy krajowych. Zeszyt ten obejmuje dokończenie Józefa Borkowskiego przekładu a Dumasa: *Teresa*, i początek oryginalnego utworu jego: *Mowa kwiatów*; którego zakończenie a oraz mała powiatka: *Podrój*, 6. i ostatni zeszyt pierwszego zajmuje tomu. Ciekawy utwór: *Mowa kwiatów*. zamierzający obok przyjemności nauk, wychodzi w tym zbiorze po raz pierwszy. Wysełł w tej drukarni właśnie nakładem W. Manieckiego pierwszy zeszyt dzieła pod napisem: *Kazania o męce Pańskiej księdza Isakowicza*; tegoż nakładem a staraniem Aug. Bielowskiego wydawana: *Wojna Moskiewska z rękopisu Żołnierza* Moskiewskiego hetmana, nie bódnie prostym przedrukiem Muchanowa, lecz ważnemi dodatkami przez uczonego wydawcę p. Aug. Bielowskiego uzupełniona przynosił się wielce do objaśnienia i zobrazowania tej ważnej chwili w dziejach ojczyźnych. Druk ważnego dzieła tego jest na ukończeniu, a że dotąd nie wyzło przypisać należy opóźnieniu nadesłania niektórych listów, któremi wydawca chce je wzbogacić. Kończy się w téjże drukarni nakładem Wilda przedruk gawędy o literaturze i sztuce J. J. Krassowskiego. —

Winiarsza drukarnia zajęta, dzieł drukowaniem Świta. Prócz Świta drukują się tam obecnie nakła-

dem Wilda: Nowe szkice historyczne, Karola Szajnoch, który niezmordowanie pracując, temi monografiami ciągle do wyjaśniania ojczyńskiej przeszłości przyczynia się i słusznie do najszacowniejszych pisarzy naszych może być zaliczony.

U Pillera wychodzi: *Pranjiaciel demowcy* coraz z wszystkimi premiami śwmi. Prócz tego drukuje się „*Biblioteki lwowskiej*“ zeszyt ówarty, tyle zapewne korzyści rokujący, jak trasy jego poprzedniki. Wydawca nie obliczył się z siłami śwmi i dla tego darzy publiczność tem, bez czego by się obejść mogła.

W drukarni Poremby wyszło w tym miesiącu drugie wydanie powieści Wojcieckiego pod napisem: Kurpie, nakładem niży Poremby, ale właściwie Marcina Jabłońskiego litografa. Oba tomiiki pierwszego wydania są tu w jednym, i na kartkach tylko czystych czytamy: Tom I. a potem T. II. bez powtórzenia napisu. Wydanie to nie odsuwa się ani starannością ani smakiem, które dzisiajse typograficzne znamionują utwory, i słusznie dziwić się temu wypada osobliwie, że p. Poremba mógłby korzystać ze wzorów drukarni Zakładu nar. imienia. Osz., gdzie rzeczywiście o przyjemną powierzchowność wydawanych starają się ksążek. — Obecnie zajęta drukarnia Poremby tłóczyeniem dzieł hebrajskich. —

W drukarni stauropeigiskiej, gdzie po największej części utwory i dzieła ruskie się drukują, ale także i inne, wydano w bieżącym roku: *Halickij istoriczeskij Sbornik izdawajemyj Obščestwom halicko-ruskiej Maticy*. Wypusk II. — Pierwszy zeszyt tego Zbornika wyszedł jeszcze w r. 1854. Ten zaś zeszyt obejmuje następujące przedmioty:

1. Antoniego Petruszewicza o biskupach halickich od utworzenia eparchii halickiej aż do końca wieku XIII. Jest to ciąg dalszy i zakończenie, pierwsza zaś połowa była w zeszycie pierwszym.
2. Przegląd ważniejszych politycznych i cerkiewnych wydarzeń w księstwie halickim od połowy XII wieku do końca XIII. —
3. Przegląd rozporządzeń (hramot) przypisywanych księciu Leonowi. —
4. Dopełnienia obu zeszytów. — Było unikano jednostronności, będą zawsze takie asperania dzięlowe ważne. — Tamże wyszło: *Ruka Damaškina is tmy nabuenija isjata*. *Nowoje isprawnoje izdanie*. Nie ma w tém nic, co by nie duchownego obchodzić mogło czytelnika i dotyczy szczególniej sposobów obliczania świąt ruchomych — *Nidylajja swiatyjja Propowidy (kazania) na swiatyj i woličaj post Socny iwo i kazani Stefan Mustyanowicz Paroch i Namistnik w Pilipci*. — Tomów 3. Są to zwykłe kazania, zastosowane do pojęcia ludu. — *Drewnyjja Zdanija w urawnenii s mynyszymi*. Broszura ta, z której przedaży dochód przeznaczony na pomnożenie przemyskiego funduszu dla wdów i sierot po zmarłych duchownych obrządku greckiego, dotyczy szczególniej niedbałości ludu o trwałość w budowaniu cerkwi, wskazując mu, jak w starożytności pogańkiej nawet urągające się wieków niszczeniu stawiano świątynie. — *Miesiaczostwo hospodarskij lwowskij na hod ot wopłotcenia hospoda naszego Jisusa Chrišta 1857*. Jest to kalendarz, w którym prócz świątka masz w drugiej połowie nauki rozmaite moralne i gospodarskie, anegdotki i poezyjki. Obie ostatnie kalendarzki drukowane piśmem rosyjskim (hradzianskiem), reszta

kiriliak. — Obecnie wychodzi w tejże drukarni: *Cena sw. i boskość wennyja* liturgii św. Joanna złotoustaho..... z perewodom nimeckim i polskim itd. Ja. T. H. — A w litografii zakładu tegoż ma wyjść, (a może już wyszedł): *Wid Doma narodnaho ruskaho w Lwowi i jichozapadnoj strany*. —

— Donoszą nam, że w drukarni Zakł. nar. imienia Oss. ma się rozpocząć niebawem druk dawno zapowiedzianego dzieła: *Monumenta historica Polonina vetustissima*. Nakładu pierwszego tomu podjął się Wiktor hr. Baworowski. Tamże druk 3. tomu: *Rysu dziejów Narodu Polskiego* Henryka Schmitta ma się rozpocząć w tejże drukarni. —

Szanek. Biblioteka Polska wychodząca tamże pod redakcyą K. J. Turowskiego obdarzyła nas nowemi przedrukami i tak: *Kroniką* Stanisława Orzechowskiego przekładu Włyńskiego; z dopełnieniami wziętymi z łacińskiego wydania tej kroniki pana hr. Działyńskiego — Większej wagi na teraz jest przedruk rozpraw Bredzińskiego pod tytułem: *O Literaturze*, i tym wydaniem prawdziwą zrobił publiczności przysługę p. Turowski. Aczkolwiek pójścia w dziełku tem rozwijane, nie wszędzie utrzymałyby się, jednakowoż jest to obfity zdroj, sktóręgo czytelnicy czerpać mogą literackie wyobrażenia i kształci się zdrowy. —

— W témże mieście w drukarni Pollaka wyszły już dwa pierwsze zeszyty: *Biblioteki parafialnej* dla ludu katolickiego wydawaney pr. Antoniego Załuskiego proboszcza Brzozowskiego. W dwóch tych zeszytach mieści się: *Rak kościelny*, a naprzód o *Adwencie* Są to nauki, modlitwy i pieśni ułożone dla zbudowania naszego ludu i wzbu-

dzienia w nim ducha pobożności. Pisemko to 4 zfr. kosztuje na rok — lecz gdy ta cena jest jeszcze dla ubożego ludu za drogą, przeto obok tego wychodzić będzie *Szkolka parafialna*, w szczęciu zeszytach rocznie, i kosztować tylko 1 zfr. — Jest to najwłaściwszy podobno sposób wychowywania ludu, przez pracę i modlitwę. —

Warszawa. Grudniowy zeszyt *Biblioteki Warszawskiej* zawiera następujące artykuły: O sprawieniu łożni przez Holsławę Chrobrego. Napisał Karol Szajnoch. — Romeo i Julia, przekład z Szekspira p. J. Pankowskiego. Kronika zagraniczna: Otwarcie opery włoskiej. *Biografia* powszechna muzyków, przez p. Fetis. Adwokat biednych, dramat Meurica. *Une femme qui n'aime pas son mari*, nowa sztuka pani Girardin. Teodor Chasserian. Wystawa artystyczna w Manchester. Projekt palenia ciast. Wiadomości literackie. — *Poesyje*. Powitanie p. Włodzimierza Wołoskiego. — Ewangelina, powieść H. Longfellowa, przełożył Felix Jenierski. — O telegrafii elektrycznej przez S. B. — Książka do nabożeństwa Zygmunta Starego i ianna królowej Bony zachowujące się w Anglii przez J. T. L. — Kronika Literacka: Studia historyczne Michała Balińskiego, p. Jul. Bartoszewicza. — Życie na łące powieść A. Niewiarowskiego. Dworek i pałac, powieść K. Wł. Wojciechskiego, p. Kazimierza Kaszewskiego. Przegląd muzyczny. Sinf i panna B rini. Koncert Mejera. Kilka uwag o koncertach. Nowości muzyczne p. M. K. — Kronika bibliograficzna i doniesienia literackie które od niejkiego czasu obrabiane na szerszą skalę dostarczają wielostronnych wiadomości z piśmienniczego

dwiatu, z czego i naszą Gasetkę korzyść odnosi. —

— *Biblioteka Warsz.* donosi, że Zygmunt Komarnicki pracuje nad Dziejami Katedry Kujawskiej od jej początku do przeniesienia do Włocławka nad Wisłą. Poгляд ogólny krytyczny przepłatan jest żywotami takich znakomitości, jak: Golańczewskiego, Karnkowskiego, Roszkańskiego, Łubińskiego i t. d. Nietworząc z resztą katalogu biskupów, niepomija żadnej ważniejszej okoliczności z ich życia, a wszędzie usiłuje zbliżyć swój wykład do dowodów czerpanych z archiwum katedralnego i źródeł wiążących zasłużoną mających.

Także Czasopismo podaje wiadomość iż księgarz Wolff w Petersburgu zamierza wydawać *Bibliotekę Zasłanckową*. Ma w niej być wybór powieści najznakomitszych pisarzy naszych. W tej mierze Fryderyk hr. Skarbek poświęcił mu zamieścić w tym zbiorze trzy swoje powieści: Pamiętniki Seglusa, Dodosińskiego, i Pana Starostę.

— Tom trzeci ważnego dzieła: Słownik malarzów polskich, Edwarda Białostockiego, postępuje w druku i niebawem wyjdzie na widok. —

— Księgarze warszawscy — Orgelbrand i Frühling zajmują się wydaniem *Marty Malczewskiego*, z objaśnieniami historycznymi i żywotem tego poety, napisanym p. Wojcieckiego. Zapewne wydanie jedno lub drugie pomnożone i uzupełnione będzie dwoma tragedjami Malczewskiego, Heleną i Samuelem Zborowskim które p. Zakrzewski Nauczyciel w Kielcach ma posiadać w odpisie. Tym sposobem przyszlubiśmy do kompletnego zbioru pism poety.

— Alexander Weimert wydał tom *Vty Starożytności Warsza-*

wy z rycinami. Tem tom zawiera: 1) Kronikę dawnego domu poprawy i szpitalu sierot moralnie zaniedbanych od r. 1628 z dwoma oddziałami kamieniami, przedstawiającymi: Cuchthaus, następnie koszarę saperackie i podobną najdawniejszej akcyi polskiej z r. 1778. 2) Zbiorki o kościele Śto. Krzyszkim, czyli Gwardyackim. 3) Szwedzi w Warszawie, z ryciną pomnika kamiennego z r. 1661, na pamiątkę odbudowania murów miasta zniszczonych przez Szwedów. 4) Wiadomości o karze aresztu, przez odsiedzenie w klatce. 5) Bractwo muzyczne Usualistów w Warszawie przy kościele XX. Karmelitów bosych od r. 1717. — są to szacowne materyały gromadzone dla przyszłego dziejopisa Warszawy

— *Księga świata*, wydawana nakładem Merzbacha staje się interesowną p. zez zamieszczenie opisów służących do poznania naszego kraju. W sześciu częściach przychodzi następujące artykuły mogące najbliższ obchodzić: Poselstwo ks. Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii p. Bartoszewicza. — Pamiętniki Biskupa Załuskiego. — Notaty z wywieczek po kraju Wład. Wisczorkowskiego. — Tatarski szlak. — Wyjutki z podróży Tryppline. — Wspomnienia starego szlachcica Mnożyśława. Przecory p. Tomasa D.... — O wodach siarczano-gorakich słonych i żelaznych w król. Polskiem. — Zasielki królewskie, p. Bartoszewicza. Wądrówka geologiczna po król. polskiem, p. Wiślickiego i S. Löwenharda. Przy dzisiejszym zwolnieniu cenzury w król. polskiem, byłoby rzeczą możebną poświęcić pismo osobne opisowi całego kraju z dołączeniem widoków, zbiorów, starożytnych itd. Mielibyśmy tym sposobem ilu-

strowane pismo przypominające Przyjaciela Ludu, co wychodził przed laty w Lesznie, z różnicą, żeby powinny być drzeworyty i to dobrze robione, a nie lichie litografie.

— Antoni Wieniarski, autor Ulicznika warszawskiego i nad Wisłą, napisał nową oryginalną komedię w trzech aktach, pod tytułem: Warszawiacy i Hroczkosieje, która przez dyrektora warszawskich teatrów przyjęta już została.

— Nakładem S. Orgelbranda księgarza i typografa, wyszło dzieło p. t. *Zarysy Filozofii Katolickiej*, w ośmiu poglądach zawarte, poświęcone pamięci H. Ignacego Hołowińskiego, przez Eleonorę Ziemięcką.

Poznań. Księgarnia N. Kamińskiego zajmująca się wydawnictwem większych dzieł historycznych prowadzi obecną publikację materiałów odnoszących się do panowania Sasów i Sejmów z tejże epoki, pod ogólnym tytułem: *Teka Podolskiego*; dotąd wyszło już cztery tomy — w ciągu zaś roku 1857 wyjdą trzy jeszcze; i tak: V. zawierać będzie różne dokumenta od czasów Michała Korybuta do Sasów; VI. zaś i VII. dokumenta dyplomatycznych stosunków między Polską a Moskwą, tudzież relacje poselstw wielce ciekawe i objaśniające położenie ówczesne.

— W tejże księgarni wyszła dawniej *Geografia* pana Zawackiego, która dla wybornego układu i umiejętnego obrobienia przedmiotu, zasługuje na pierwszeństwo przed innemi geografiami używanemi u nas do nauki dzieci.

— Zupański jak zawsze niezmordowany wogłaszaniu książek wyższej wartości, wydał teraz: *Wzory prosy* na wszystkie jej Rodzaje, Stopnie i Kształty —

zebrane p. Jana Rymarkiewicza Dr. filozofii i naucz. Gim. Zbiór ten obejmuje trzy grube tomy oddzielnie wydane; a oras: *Dezatak do Wzorów prozy 1. stopnia* zawierający *Poesyję* zebrane p. Rymarkiewicza. Zbiór ten dzieli się na a) poesyję epiczną czyli opisową, b) poesyję dydaktyczną i liryczną, c) poesyję dramatyczną. — Tamże wyszedł: *Wyciąg z Geografii polskiej* przez Teodora Wagę ogłoszony w r. 1767 — jest to opis podziela ówczesnej Rzeczypospolitej. „Dzieje polskie, powiada przedmowa — potrzebowałyby geograficznych wyobrażeń osobnych na dyocjonalne podziela dla opactw i zakonów, dla starościńskich i grodowych, elekcyjnych, ziemstwa i trybunałów, administracyi i tym podobnych w wewnątrznym stanie Rzeczypospolitej krzątających się i płaczących widoków.“ — Krótka nomenklatura Wagi może w tej mierze zaradzić pierwszej potrzebie. — Wyszedł tymże nakładem: *Agamemnon*, tragedia Eschylosa przekładania Zygmunta Węclewskiego naucz. gimn. — Wiersz w przekładzie miarowy w Chórach rymowany — jasny i dobitny język. trafność przeplaszczczenia pokazują, że to nie zwykły filolog, ale człowiek umiejący władać piórem i czas wyższe piękności, wykonał ten przekład.

Berlin. P. Ignacy Pietraszewski autor kilku dzieł w polskim języku traktujących o dziejach polskich w styczności z tureckimi, przytęm prof. języków orientalnych na Uniwersytecie Berlińskim, zaczął wydawać tam zeszytami *Zoroastra, Zędanę* (Zendawestę). — Pierwszy zeszyt wyszedł z druku ma tytuł: *Miano Słowiańskie* w rękę jednaj familii od trzech tysięcy lat zostające, czyli nie Zendawesta,

a Zendaasta to jest Zycłodawca książeczka Zoroastra — Berlin nakładem autora 1857. Wiadomo że przed kilkudziesiąt laty François Anquetil du Perron pierwszy raz podał tłumaczenie tej świętej księgi pisanój w języku Zendzkim; przekład ten niezadowolniał o-ryentalistów, owoż pan Pietraszewski biegły w wielu oryentalnych językach dopatrzywszy w tej księdze wyraźne ślady słowiańszczyzny spolszczył ją, dając obok text charakterem Zendzkim i łacińskim podług wymawiania polskiego. Autor sam jest wydawcą, dla niezmiernych kosztów jakie poniósł naznaczył cenę wysoką wprawdzie, lecz nieodstraszającą prawdziwych miłośników badań w dziedzinie naszej najodleglejszej przeszłości. Zachowujemy sobie obawnieć powiedzieć o tym ważnem filologicznem zjawisku.

Parýk. Literatura nasza posiadająca żywoty sławnych po-

laków, literatów, poetów, malarzy, teraz wzbogaconą zostaje dykcyonarem muzyków polskich ułożonym w języku francuskim przez Wojciecha Sowińskiego, pod tytułem: *Les musiciens polonais anciens et modernes*. Autor w programacie powiada że Polska miała dawniej tyle znamienitych muzyków i kompozytorów jak: Gomółka, Sebastian z Fulsztyna, Wacław Szamotulski, Marcin Lwowski, Xiądz Gorczycki i inni, że prace ich zasługują na uwagę i rozbiór. — Następnie idzie spis alfabetyczny osób mających imię w muzyce lub przykładających się do podniesienia tej sztuki; spis ten obejmuje z górą 900 nazwisk. Cena prenumeraty wynosząca tylko 5 franków a przesłana Autorowi pod adresem: *M. Sowiński rue de Lille N. 67, à Paris* powinna znaleźć licznych zwolenników, zwłaszcza że niebrak u nas na amatorach muzyki. —

ROK PIERWSZY.

SPIS ALFABETYCZNY PRZEDMIOTÓW

zawartych

w Tomie I, II, III i IV, „Dodatku do Czasu“

według podpisów sporządzony.

ARBUZOWSKI Bartłomiej — Wyprawa na jarmark do Sadogóry Tom I, str. 450. — Reorganizacya małżeńska, obrazek galicyjski, t. IV, 91.

ARCHIWA Podhoreckie, — Dwanaście listów Hetmana Mazepy, I, 660. — Rytm wiekowy, IV, 640.

BODZANTOWICZ K. S. — Krwawe Znamie, powieść konfederacka, I, 155.

BRZOZOWSKI Karol — Park Boży, obrazek z Bałkanów III, 141.

CHODZKO Aleksander — Przekład wiersza napisanego przez Rosyan do Adama Mickiewicza w Moskie 1827 r. IV, 89.

- DZIEDUSZYCI** hrabia Maurycy, — *Opinia publiczna*, II, 8. — *Szachy w Polszcze*, III, 3.
- GARCZYŃSKI** Stefan, — *Wiersz na jeziorze Genewskim*, II, 697.
- GOŁĄB** X. Zygmunt, — *O dziennikarstwie w stosunku do Kościoła* I, 299. — *Ostatnia pieśń pierwszej części poematu Dantego la Commedia* pod tytułem „Piekło,” 712. — *O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych: O Lacordairze* II, 64. — *O Ravignanie*, II, 565. — *O Venturze*, IV, 21, 306.
- GOŁUBOWSKI** hr. Artur, — *Z nad Czernai do Kairu*, II, 28.
- KIRCHMAJER** Wincenty, — *Przemysł krajów monarchii Austryackiej na wystawie paryskiej roku 1855*, I, 3.
- KRACZEWSKI** J. I. — *Abracadabra, charakter*, III, 104 — *Djaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hrabi Kazimierza Konstantego de Brühl Platara w r. 1792 odbytej*, IV, 667.
- KAMMER** Józef, — *Kilka słów o epoce w której rozkwitła sztuka byzantyńska*, IV, 259.
- KRZCZUNOWICZ** Kornel — *O składzie posiadłości gruntowych wiejskich i przepisach zakazujących podział takowych*, I, 65.
- KSIĘŻARSKI** X. Henryk — *O Bellandystach*, I, 121.
- KULONYCKI** Władysław — *Harmonie Raymu*, I, 399. — *Jedna z tysiąca nocy rzymskich* III, 586. *Klandya Homonocea*, IV, 645.
- LAON** SBYMA, K. — *Śpiew Hyawaty z Longfellow*, I, 415. — *O zbrodniarskich dzieciach w Anglii*, IV, 3.

- LENARTOWICZ** Teofil — Wiersz improwizowany pod rysunkiem zdjętym z kamey przedstawiającej oblicze Chrystusa, II, 142. — Książnie M. C... za muzykę Szopena, II, 699.
- ŁABIŃSKI** Michał — O Paryżu i Francyi w r. 1856, I, 690. — Dawny porządek rzeczy we Francyi i Rewolucya według dzieła pana Tocqueville, III, 85.
- ŁĘPKOWSKI** Józef — O chlebie, z notat do badań „o kuchni polskiej, II, 323.
- MAISTRE**, hrabia Józef de, — Kwestya usamowolnienia chłopów w Rosyi, tłumaczenie z niewydanego rękopismu, I, 91.
- MAŁACHOWSKI** generał Kazimierz, — Ustępy z pozostałych pamiętników, II, 660.
- MANN** Maurycy, — Pokój i wojna, I, 232. — Studenci paryżcy w 1835 i 1856 r., 378. — Równowaga europejska i rękojmie pokoju, 511. — Konferencye paryżkie, 800. — Podpisanie pokoju, II, 217. Dwa traktaty, 490. — Następstwa bliższe i dalsze, 757. — Wspólność zasad i solidarność interesów, III, 201. — Reformy i polityka europejska, 444. — Moskwa i Rzym, 718. — Interesa europejskie i prawo mocniejszego, IV, 186. — Nigdy i Zawsze czyli Dwie Siostry, dramat w pięciu aktach, 364. — Kwestye i Przymierza, 482. — Błędne koło, 761.
- MĄCZYŃSKI** Józef, — Spalenie zamku Tęczyńskiego, obrazek historyczny, IV, 73.
- MEDARD** F., — Z daleka i z bliska, powieść, III, 613.
- MERY**, — Szczęście Milionera (tłumaczenie) I, 755.
- MICKIEWICZ** Adam, — Rękopisy pozostałe i niedrukowane ustępy z „Pana Tadeusza,“ II, 408.
- MOLSKI**, — Bajka (kaczka) z pism niewydanych, IV, 644.

MORAWSKI generał Franciszek, — Excelsior z Longfellow, I, 435. — Trzy bajki, (Jabłko. — Zdarzenie z nosem. — Sekret) IV, 360.

NORWID Cyprian, — Wita Stosa pamięci estetycznych zarysów siedm, II, 145. — Czarne kwiaty IV, 651.

POL E. M., — Wiersz przy posłaniu listka z wieńca Tassa, I, 437.

POL Wincenty, — Zimą w puszczy, I, 136.

ROGAWSKI Karol, — O wykopaliskach Leżajskich, rzecz archeologiczna, III, 43, 315, 515.

ROGOJSKI, Józef Bogdan, — O rasach zwierząt domowych, II, 625.

RZEWUSKI, hrabia Leon, — Rozmowa o protekcyi i wolnym handlu, I, 323. — Pan Emil de Girardin publicysta i dziennikarz, II, 301.

RZEWUSKI, hrabia Wacław, — Trzy melodye greckie z pozostałych pism, III, 401.

SATALECKI X. Ludwik, — O seminariach w stosunku do szkół publicznych i do uniwersytetów III, 259.

SIEMIENSKI Lucyan, — Stan piśmiennictwa z końcem r. 1855, I, 214. — Sonnet na liść z wieńca Tassowego, 439. — Rzeź Gachów, przekład z Odyseji, 440, 701. — O kobietach jako autorkach i o poematach pani Pruszkowej, 497. — O nadużyciach formy powieściowej w literaturze i o bibliotece polskiej w Sankt Petersburgu, 782. — Żywot i pisma Kajetana Koźmiana, II, 192. — O powieści historycznej a w szczególności o „królu Wygnaneu” 477.

O danych do pisania historyi z powodu „Dziejów panowania Augusta II,” 744. — O „Drobnym Poetyce Wincentego Pola i o dziele „Dom mojej Babki” przez W. Wielogłowskiego, III, 185. — Ustęp z wykładu po okolicy Podgórskiej, 363. — O potrzebie poznania obcych literatur i o obrazie literatury ludów północnych Eichhofs, 426. — Beduin i Wąż, bajka arabska, 697. — Nowy Zwrotek poezyi i o poematach Syrokomli, 700. — O podróżach w ogólnosci i, o Szkicach wędrowek po Ukrainie” przez Padalicę, IV, 168. Materyjalizm i Poezya, i o humorystycz. kwiatów i koleów” Felicyana, 467. — O Trajceńskich i tragedyi, oraz: Uwagi nad Anną Oświecimową — i dwoma tragedjami: Zborewski i Jadwiga, 740.

SZCZECIŃSKI Michał, — Guizot i rewolucya angielska, III, 544. — Macaulay i rewolucya 1688 r, IV, 563.

SŁOWACKI Juliusz, — Śmierć żołnierza w szpitalu, III, 694.

SZUKIŃSKI Aleksander, — Powieść Krakowska, I, 718, II, 153, 435, 704, III, 155.

WĄTEK, Franciszek, — Kajetan Kotmian i Franciszek Pa-szkowski, II, 389.

WILCZYŃSKI, — Kapitan profesor, obrazy z wspomnień szkolnych, III, 408.

WIERZBIŃSKI, Edward, — Próby machin relacyjnych na wystawie paryskiej z r. 1855, I, 640.

WIERZBIŃSKI, hrabia Henryk, — Statystyka i kongres statystyczny, I, 624.

- ZASUSKI**, hrabia Jan, — Uwagi z powodu artykułów:
1) „o świętej Kindze;“ 2) „O Stanisławie i Annie Oświęcimach,“ w dziele p. Karola Szajnochę pod tytułem: „Szkice historyczne“ (Lwów 1854. 8.), H, 343.
- ZASUSKI**, generał hrabia Józef, — Wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I i niektóre sprostowania dotyczące się tego pułku, IV. 597.
- ZASUSKI**, hrabia Roman, — Chłopi w Hiszpanii, I, 332, 595.
-

KRONIKA.

- Z Berlina**, I, 252, 538, 835; II, 252, 539, 786; III, 228, 472, 800; IV, 215, 517, 790.
- Z Bononii francuzkiej**, III, 817; IV, 236.
- Z Drezna**, I, 258, 547, 824; II, 258.
- Z Florenoyi**, II, 814.
- Z Krakowa**, I, 236, 520, 812; II, 235, 517, 772; III, 217, 463, 758; IV, 200, 505, 772.
- Z Londynu**, I, 276, 565, 850; II, 275, 551, 801; III, 247, 486; IV, 242, 536, 811.
- Ze Lwowa**, I, 241, 527, 820; II, 243, 524, 777; III, 764; IV, 205, 511, 780.
- Z Paryża**, I, 267, 554, 840; II, 266, 542, 795; III, 237, 477, 808; IV, 225, 528, 798.
- Z Petersburga**, I, 288.
- Z Poznania**, I, 248, 537; II, 249, 784; III, 471; IV, 212.
- Z Rzymu**, I, 285, 573, 860; II, 285, 555, 823; IV, 807.

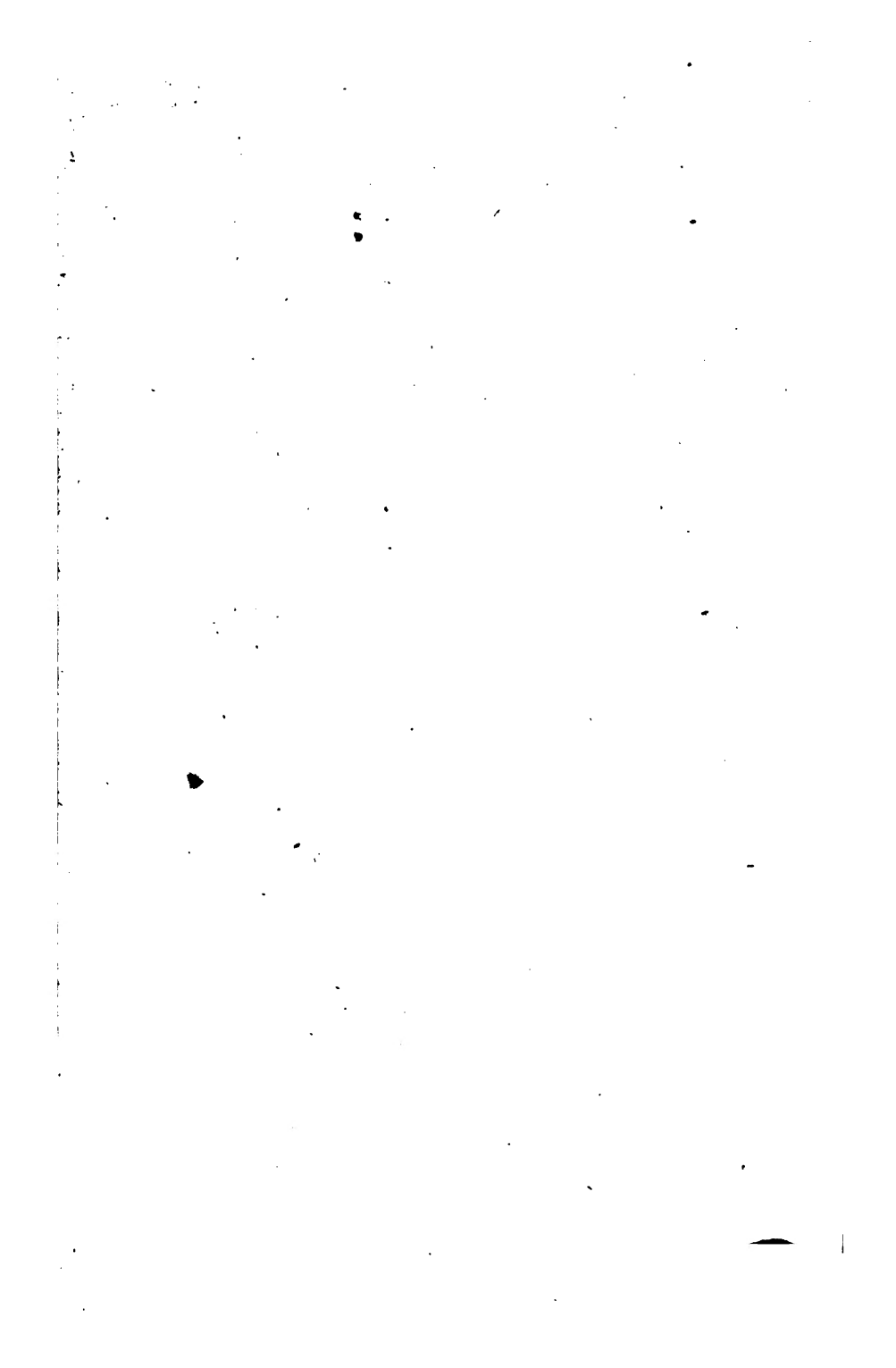
Z Warszawy, I, 577, 865; II, 290, 827; III, 503, 825;
IV, 545, 819.

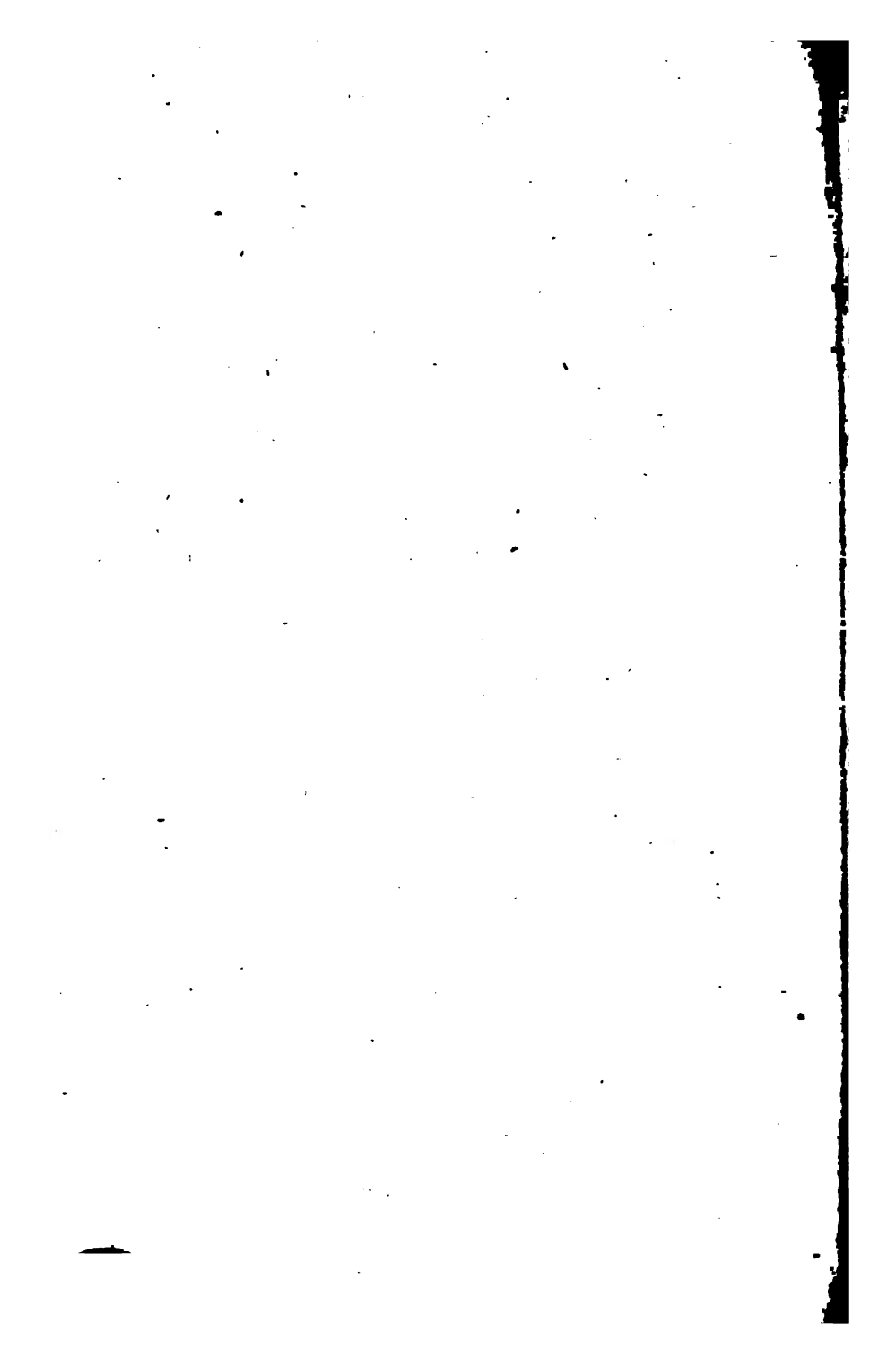
Z Wenecyi, II, 810.

Z Wiednia, I, 247, 533; II, 529, 781; III, 224, 466,
766; IV, 209, 514, 785.

Gazetka literacka, IV, 257, 554, 827.

KONIEC.





80 -

Harvard

1120 / New York / May

This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine is incurred by retaining it
beyond the specified time.

Please return promptly.